

Część pierwsza

LATO

- Widziałem przed chwilą Davida Crimonda. Paraduje w szkockiej spódniczce.

- Naprawdę? Gdzie?

- Tam, w tamtym namiocie, pawilonie, czy jak się te pałaty nazywają. Jest z nim Lily Boyne. Pierwszym rozmówcą był Gulliver Ashe, zdolny, chwilowo bezrobotny, młody Anglik tuż po trzydziestce, wyraźnie zbity z tropu liczbą swoich lat, drugim - Conrad Lomas, student ze Stanów, wręcz tryskający młodością, wzrostem wyższy od Gullivera, choć już ten uchodził za wysokiego. Gulliver nie miał dotąd okazji go spotkać, lecz sporo o nim słyszał. Uwagę swoją, która wzbudziła tak żywą reakcję, skierował nie tylko do Amerykanina, ale i do jego towarzyszek, Tamar Hernshaw. Miejsce akcji: doroczny bal w Oksfordzie, wydarzenie od miesięcy z niecierpliwością oczekiwane. Czas akcji: prawie jedenasta w nocy, lecz że w środku lata, więc ciemność jeszcze nie zgęstniała, zresztą do reszty zgęstnieć w ogóle nie miała. Ponad rzęsiście oświetlonymi namiotami, z których dochodziły dźwięki muzyki różnych gatunków, wzdymała się granatowa, jakby przydymiona kopała nieba z kilkoma żółtymi punkcikami gwiazd. Ogromny księżyc, podobny do pokruszonego sera, utknął nisko w gałęziach drzew, które rosły za odnogą rzeki Cherwell, opływającej tereny college'u. Tamar i Conrad dopiero przyjechali, nawet jeszcze nie zdążyli ze sobą zatańczyć. Gulliver zagadnął ich tak poufale, bo znał Tamar, wprawdzie niezbyt blisko, i znał jej towarzysza, choć tylko ze słyszenia. Na widok dziewczyny poczuł lekką irytację, ponieważ jego partnerką tej wyjątkowej nocy miała być Violet, matka Tamar, lecz w ostatniej chwili skrewiła. Gulliver za Violet nie przepadał, ale zgodził się jej towarzyszyć na prośbę Gerarda Hernshawa. którego życzenia traktował jak rozkazy. Gerard, znacznie od Gullivera starszy, był wujem Tamar, choć nie w literalnym tego słowa znaczeniu, jako że Violet nie była jego siostrą rodzoną, lecz stryjeczną. Siostra Gerarda Patricia, przewidziana jako partnerka dla Jenki na Ri-derhooda, również zawiodła, choć z istotnego powodu (w odróżnieniu od Violet, która najwyraźniej żadnego nie miała): stan zdrowia ojca Gerarda, od jakiegoś już czasu złożonego chorobą, niespodziewanie się bowiem pogorszył. Gulliver nie posiadał się oczywiście ze szczęścia, że w ogóle go zaproszono, lecz zarazem odczuwał złość, bo kojarząc go w parę z Violet, Gerard spychał go siłą rzeczy w szeregi wapniaków. Wolałby już mieć za towarzyszkę Tamar, choć i do tej panny nie pałał nadmierną sympatią. Drażniła go jej nieśmiałość, raził brak obycia. Błada, chuda i wiotka przypominała wyglądem uczennicę, nie dbała o siebie, brakowało jej stylu, a krótko ostrzyżone proste włosy czesała jak mała dziewczynka, z przedziałkiem z boku głowy. W białej sukni wyglądała, jego zdaniem, przesadnie już dziewiczo. Choć zdarzało mu się czasem wątpić we własną skłonność do płci odmiennej, wolał dziewczęta śmielsze, wiedzące, czego chcą. Zresztą Tamar jako partnerka dla niego w ogóle nie wchodziła w rachubę, wiadano wszak nie od dzisiaj, że wybiera się na bal ze swoim nowym znajomym, inteligentnym młodym Amerykaninem, którego poznała przez kuzyna, Leonarda Fairfaxa. Gerard, najwyraźniej poczuwający się do winy z powodu absencji Violet, pocieszał co prawda Gullivera, że na pewno sobie kogoś poderwie, jednak na razie nie zanosilo się na żaden podbój, dziewczęta były bowiem co do jednej zajęte. Naturalnie później, gdy ich towarzysze się popiją, sytuacja winna się poprawić. Gulliver wałęsał się bez celu, owiewany ciepłym powietrzem niebieskawego mroku, z nadzieją na spotkanie kogoś znajomego, tymczasem pierwsza napotkana znajoma osoba, właśnie Tamar, wzbudziła w nim raczej rozdrażnienie niż radość. Dodatkowym źródłem irytacji było dlań i to, że, po długich zresztą namysłach, nie włożył błękitnej, marszczonej koszuli z żabotem, jakie miała na sobie większość męskich przedstawicieli młodszego pokolenia, lecz przywdział konwencjonalny, biało-czarny wieczorowy uniform, taki sam, w jakich mieli wystąpić, o czym z góry wiedział, Gerard, Jenkin i Duncan. Gulliver, który sam siebie uważał

za przystojnego mężczyznę, był wysokim, szczupłym brunetem o prostych, lśniących włosach i wąskim, z lekka haczykowanym nosem, z którego kształtem w końcu się pogodził, kiedy ktoś nazwał go orlim. Jego oczy - prześliczne, jak go zapewniano - miały barwę czystego, bez żadnych cętek, złocistego, roztopionego brązu. Teraz wręcz palił się do tańca i byłby szczerze wściekły na Gerarda za pozbawienie go partnerki, gdyby nie fakt, że to właśnie Gerard zapłacił za jego kartę wstępu (diabelnie drogą), bez której w ogóle nie byłby się dostał na bal. Podczas gdy w głowie Gullivera kłębiły się te myśli, Conrad Lomas, rzuciwszy Tamar bąkliwe przeprosiny, pomknął w stronę pawilonu, w którym miał się podobno bawić David Crimond. Na długich jak tyki nogach puścił się biegiem przez trawnik, zostawiając Gullivera i Tamar samych. Tamar, zaskoczona tak nagłą rejteradą, nie pospieszyła za partnerem. Otwierało to pewne widoki przed Gulliverem, który też w istocie zastanawiał się przez chwilę, czyby nie skorzystać z okazji i nie poprosić dziewczyny do tańca. Zawahał się jednak, przewidując, że gdyby mu odmówiła, poczułby się boleśnie dotknięty. Poza tym nie chciał jej sobie brać na głowę. W gruncie rzeczy był rad, choć się w duszy nad sobą użalał, że może się tak wałęsać bez celu, samotny voyeur. Zresztą właśnie postanowił wrócić do pokoju, gdzie Gerard z resztą paczki poił się szampanem, i poprosić do tańca Rose. Co prawda przyszła z Gerardem, ale ten nie miałby zapewne nic przeciwko odstąpieniu partnerki, a perspektywa, o jakiej Gulliver nie mógł dotąd nawet marzyć: opasania ramieniem kibici Rose Curtland, była nieodparcie pociągająca. Tymczasem przepadła szansa, jaką mógł mieć u Tamar, i dziewczyna odwróciła się na pięcie.

- To był Conrad Lomas, prawda? - zapytał ją Guli. - Co go tak nagle ugryzło?

- Pisze rozprawę na temat marksizmu w Wielkiej Brytanii - wyjaśniła.

- Więc musiał się nacytać prac Crimonda.

- On go wręcz ubóstwia - przyznała. - Przeczytał wszystko, co Crimond napisał, ale dotąd nie miał okazji poznać samego autora. Chciał, żebyś znalazła kogoś, kto mógłby go Crimondowi przedstawić, ale uznałam, że to by nie było w porządku. Nie wiedziałam, że tu dzisiaj będzie.

pawilon, gdzie grano nastrojową staromodną muzykę, walce, tanga, powolne fokstroty, przeplatane wirowymi tańcami szkockimi i swobodnymi gigami, które można tańczyć, jak się komu podoba. Z oddali dolatywał hałaśliwy jazgot, wytwarzany przez słynną grupę pop. W innym namiocie grano tradycyjny jazz, w jeszcze innym muzykę country. Rose i Gerard, obydwójce wyśmienici tancerze, odnaleźliby się w każdym z tych muzycznych gatunków, uznali jednak, że wieczór nostalgicznych wspomnień winien nastrajać klasycznie. Orkiestra college'u grała Straussa. Rose skłoniła głowę na okryte czarną tkaniną ramię partnera. Była wysoka, on jeszcze wyższy. Tworzyli piękną parę. Twarz Gerarda, określaną mianem surowej, najtrafniej scharakteryzował jego szwagier, handlarz dziełami sztuki, nazywając ją kubi-styczną. Składało się na nią kilka mocno zarysowanych, dominujących płaszczyzn, opiętych na wyrazistej strukturze kostnej, gładkie, prostokątne czoło oraz nos, raczej tępo ścięty niż spiczasty. Całość mogłaby sprawiać wrażenie surowej kompozycji geometrycznych figur, ożywiała ją jednak i harmonijnie spajała przebijająca spod tych rysów siła ducha, która czasem nadawała im wyrazu ironicznego rozbawienia, a uśmiech zmieniała często w drwiący, szelmowski grymas. Oczy miały barwę metalicznie niebieską, kręcona czupryna - brązową, a choć nie mieniła się już, jak niegdyś, czystym, kasztanowatym połyskiem, zachowała dawną bujność i nie została jeszcze dotknięta siwizną, mimo że jej posiadacz przekroczył już pięćdziesiątkę. Rose miała włosy proste, gęste i stroszące się zwykle w puszyste blond aureole. Przeglądając się ostatnio w lustrze, przestraszyła się, czy ta masa puszystych, płowych wicherków nie przybiera aby, en bloc, barwy kawy z pieprzem. Panna Curtland miała ponadto ciemnoniebieskie oczy i bezsprzecznie ładny nosek, odrobinę retrousse. Figurę zachowała dziewczęcą, co tego wieczoru uwydatniała prosta, ciemnozielona balowa suknia. Rose uchodziła za uosobienie spokoju, co niektórych drażniło, za to na innych działało

kojąco. Nader często uśmiechała się blado, jak w tej właśnie chwili, choć jej rozkołysanym uczuciom daleko było do stanu zupełnej błogości. Taniec z Gerardem napełniał ją szczęściem. Gdybyż jeszcze umiała, co on jej czasem zalecał, odkrywać i przeżywać wieczność w ulotnej chwili bieżącej! Powinna być przecież szczęśliwa już z tego po prostu powodu, że jego silne ramię opasywało

jej kibić, a delikatne, lecz stanowcze ruchy ciała prowadziły ją płynnie w tańcu. Od dnia, kiedy Gerard odkrył przyjaciółom swe zamiary, nie mogła się wprost doczekać tego balu. To on postarał się o zaproszenie dla Tamar i Conrada. Tymczasem teraz, gdy pragnienia Rose się spełniały, ona błędziła myślami daleko. Uśmiechnęła się z lekką goryczą i cicho westchnęła.

- Zgaduję, o czym myślisz - szepnęła.

- Wiem.

- O Sinclairze.

- Tak.

Co prawda Rose na razie wcale o Sinclairze nie myślała, ale pamięć o nim zrosła się tak ściśle z osobą Gerarda, że mogła bez skrupułów udzielić twierdzącej odpowiedzi. Sinclair, brat Rose, „piękny, złoty efeb”, już od dawna nie żył. Naturalnie, wspomniała go tego wieczoru, kiedy wchodziła na teren kolegium, bo stanął jej przed oczami tamten dawno miniony letni dzień, kiedy przyjechała w odwiedziny do brata-studenta pod koniec jego pierwszego roku na uniwersytecie i Sinclair szepnął jej do ucha: „Spójrz, tamten drałgał to właśnie Gerard Hernshaw”. Rose, młodsza od brata, chodziła jeszcze do gimnazjum. Ostatnie listy Sinclaira do domu były wręcz pełne Gerarda. Rose wywnioskowała z ich treści, że jej brat jest w starszym (o dwa lata) koledze bez pamięci zakochany. Dopiero jednak podczas odwiedzin w Oksfordzie uświadomiła sobie, że Gerard odwzajemnia uczucia Sinclaira. Nie widziała w tym nic gorszego. Nie całkiem już stosowne było jednak to, że i ona od pierwszego spojrzenia straciła dla Gerarda głowę, i pozostała w nim od tamtej pory - taki szmat czasu! -

beznadziejnie, na zabój zakochana. Dziwny romans, jaki przeżyła z Gerardem w niecałe dwa lata po tragicznej śmierci Sinclaira, okazał się epizodem, o którym nigdy później ze sobą nie rozmawiali, do którego nawet w myślach - tak surową narzucili sobie dyscyplinę - nigdy nie wracali, jak wraca się do wspomnień, by je na nowo przeżywać, odświeżać, przewietrzać i upiększać. Tamten miłosny epizod złożyli w skrytce przeszłości niczym zapieczętowaną paczkę, której czasem mimochodem ostrożnie dotykali, ale której nigdy, czy to razem, czy osobno, nie próbowali otwierać. Rose miewała innych kochanków, przemknęli przez jej życie jak ulotne cienie, dostawała nawet propozycje małżeńskie, lecz każdą odrzucała.

Poczuła, jak dłoń Gerarda uściśnieła leciutko jej palce, i zaciekawiło ją, czy i on nie pomyślał teraz o tamtym. Podnosząc głowę z jego ramienia, gdzie ją na chwilę złożyła, nie podniosła wzroku na swego partnera. Po skończeniu studiów Sinclair zamieszkał z Gerardem. Hernshaw pracował jako dziennikarz, Sinclair kontynuował studia biologiczne i pomagał przyjacielowi zakładać lewicowe pismo. Kiedy szybowiec Sinclaira roztrzaskał się o stok wzgórza w Sussex, Gerard, po krótkim, na poły nierzeczywistym romansie z Rose, porzucił działalność lewicową i podjął pracę w administracji rządowej. W tamtym okresie po-mieszkiwał z różnymi mężczyznami, w tym również z kolegami z Oksfordu, Duncanem Cambusem, który wtedy pracował w Londynie, i Robinem Topglassem, genetykiem, synem znanego ornitologa. Robin poślubił później francuskojęzyczną Kanadyjkę i przeniósł się do Kanady, a Duncan - szkolną przyjaciółkę Rose, Jean Kowitz, i wszedł do dyplomacji. Marcus Field, który chyba nie należał do kochanków Gerarda, wstąpił do zakonu benedyktynów. Gerard miał zawsze wielu przyjaciół wśród mężczyzn, takich jak Jenkin Riderhood, z którym jednak nie utrzymywał kontaktów seksualnych, w ostatnich wszak latach, wedle wszelkich oznak, wiódł życie samotne. Oczywiście Rose nigdy go o te sprawy nie pytała. O mężczyzn, prawdę mówiąc, przestała już być zazdrosna. Teraz bała się rywalek-kobiet.

Walc ucichł i oboje stali przez chwilę przytuleni, znieruchomiali w odrętwiałej, rozmarzonej pozie ludzi, którzy nagle przestali tańczyć.

- Tak się cieszę, że Tamar spotkała wreszcie na swej drodze sympatycznego chłopca - powiedziała Rose.

- Mam nadzieję, że go ucapi i już nie wypuści.

- Nie sądzę, by była zdolna do takiej inicjatywy. On będzie się nią musiał wykazać.

- Jest taka delikatna, niewinna, taka, w najlepszym zresztą tego słowa znaczeniu, naiwna. Mam nadzieję, że gagatek zdaje sobie sprawę, jaki mu się trafia skarb.

- Myślisz, że może ją uznać za nieciekawą? Biedulka nie grzeszy błyskotliwością.

- Nieciekawą? Ależ skąd! - zachnął się niemal z oburzeniem. - Biedne dziecko, nadal szuka ojca.

- Sądzisz, że mogą ją pociągać starsi mężczyźni?

- Nie myślałem o czymś tak trywialnym!

- My oboje znamy przeszłość Tamar, więc nic dziwnego, że jesteśmy pod wrażeniem jej osobowości - powiedziała Rose. - Naturalnie, wrażeniem jak najlepszym.

- Istotnie. Wyszła z tego grzęzawiska zaskakująco czysta, nie zbrukana.

- Nieślubne dziecko nieślubnego dziecka!

- Nie znoszę tej terminologii!

- Mój drogi, obawiam się, że ludzie nadal myślą w takich kategoriach.

Violet, matka Tamar, dotychczas panna, była córką młodszego brata ojca Gerarda, Benjamina Hernshawa. Ów wyrodny syn rodziny, który również nigdy się nie ustatkował, porzucił matkę Violet. Z kolei Tamar, która, jak szeptano, przyszła na świat tylko dzięki temu, że Violet nie miała pieniędzy na skrobankę, była owocem krótkiej znajomości jej matki z pewnym turystą ze Skandynawii, znajomości tak przelotnej, że Violet nie tylko nie dowiedziała się nigdy, czy był Szwedem, Duńczykiem czy Norwegiem, ale nawet, jak utrzymywała, nie poznała jego imienia. Sierocy urok Tamar, jej włosy mysiego koloru i wielkie, szare, posmutniałe oczy nie dawały zaś dostatecznych podstaw do snucia wiarygodnych hipotez na temat narodowości rodzicie-la. Sama Violet roztropnie przyjęła nazwisko Hernshaw, które następnie przekazała córce. Burzliwe życie osobiste Violet, oceniane nader krytycznie nie tylko przez Patricję, ale i przez Gerarda, trwało przez całe dzieciństwo Tamar, choć już bez równie przykrych potknięć, jakim było jej poczęcie.

- Violet szalenie pociągała mężczyzn - rzekła Rose. - Nadal jest niezwykle atrakcyjna.

Gerard puścił tę uwagę mimo uszu. Zerknął na zegarek. Oczywiście miał na sobie czarno-białe wieczorowy strój, tak niechętnie oceniony przez Gullivera Ashe'a, w którym zresztą było mu wielce do twarzy.

Jestem zazdrosna o każdą kobietę, jaka się pojawia w jego otoczeniu, stwierdziła w duchu Rose, nawet o tę biedną małą, którą skądinąd tak lubię! Bywało, że dopuszczała do siebie okrutną prawdę: zmarnowałam życie dla tego mężczyzny, czekałam na niego i czekałam, choć wiedziałam, że czekam na darmo, tyle mu dałam, a tak mało otrzymałam w zamian. A za-

raz potem ganiła się surowo: ależ ze mnie wstrętna niewdzięcznica, przecież ofiarował mi swoją bezcenną miłość, kocha mnie, potrzebuje, czy to mało? Nawet jeśli kocha jak kogoś w rodzaju idealnej siostry. Ale teraz, po odejściu z posady państwowej, przebąkuje, że ma zamiar coś napisać, zapowiada, że wkracza w nowy etap życia, że będzie się wewnętrznie doskonalił, zachodzi więc obawa, że może mu strzelić do głowy jakiś nowy szalony pomysł, na przykład pociąg do kobiet... Co będzie, jeśli zgłosi się do mnie po radę? Nonsens, przesądziła szybko, a zresztą... czyż mało dotąd w życiu zakosztowałam szczęścia?

- Jak się czuje ojciec? - zapytała.

- Nie najlepiej... choć jeszcze się trzyma. Oczywiście, nie ma już żadnej nadziei, to tylko kwestia czasu.

- Jakże mi przykro! Więc Patricia nie uważa, że to tylko przejściowy kryzys?

- Niestety nie, stan jego zdrowia gwałtownie się pogorszył. Szukaliśmy już dziś nawet pielęgniarki, lecz bez powodzenia. Pat jest dla ojca bardzo dobra. Ma do niego anielską cierpliwość.

Rose rzadko w ostatnich latach widywała ojca Gerarda, ponieważ mieszkał w Bristolu, w rodzinnym domu w Clifton, gdzie Gerard przyszedł na świat. Dopiero niedawno, kiedy zachorował, Gerard zabrał go do Londynu. Między starym panem Hernshaw a Rose istniała więź silnej sympatii, która sprawiała wszelako, paradoksalnie, że czuli się nieswojo w swoim towarzystwie. Ojciec Gerarda pragnął gorąco, żeby jego syn ją poślubił. Podobnie jak jej własny ojciec pragnął kiedyś, by Sinclair poślubił Jean Kowitz. Gdyby brat Rose nie zginął, on odziedziczyłby tytuł. Ponieważ zmarł, tytuł przypadł Curtlandom z Yorkshire (kuzynom drugiego stopnia; dziadkowie obu gałęzi rodu byli braćmi), którzy mieli po śmierci Rose wziąć w spadku również jej dom. Odchodzimy z tego świata bezpotomnie, westchnęła w duchu. Wszystkie piękne rodzinne plany wzięły w łeb, znikniemy bez śladu!

- Patricia i Gideon nie zamierzają chyba pozostać na dobre w tym mieszkaniu na górze, które urządziłeś dla ojca?

- Nie, po prostu wygasła ich umowa dzierżawna. Posiedzą u mnie, póki nie znajdą czegoś odpowiedniego.

- Mam nadzieję, że się nie zasiedzą! Kiedy Gideon wraca z Nowego Jorku?

Mąż Patricii, Gideon Fairfax, marszand i finansowy czarodziej, spędzał ostatnio w tej amerykańskiej metropolii sporo czasu.

- W przyszłym tygodniu.

- Mówiłeś, że próbowali cię wysiudać i zająć cały dom.

- Istotnie, Pat powtarza jak katarynka, że jedna osoba nie potrzebuje aż takich przestrzeni!

Nowo urządzone mieszkanie „na górze” natchnęło niedawno Rose śmiałymi pomysłami.

Właściwie dlaczego miałby je zająć ktoś inny, dlaczego nie ona sama? Przez wszystkie te lata żyła nadzieją, hołubiła ją chyba nadal w jakimś zakurzonej, zapomnianym, lecz wciąż otwartym zakamarku duszy, że „kiedyś”, „wbrew wszystkiemu”, wyjdzie za Gerarda.

Nadzieja ta przybrała ostatnio skromniejszą postać i panna Curtland była skłonna kontentować się przywilejem „dzielenia z nim domu”, bycia „z nim” w takim sensie, w jakim, mimo całej łączącej ich, a powszechnie znanej zażyłości, obecnie z pewnością nie była.

Przecisnęli się na skraj zatłoczonego parkietu i Rose przeczuła, że Gerard zaproponuje za chwilę, żeby wrócili do „bazy”, czyli do mieszkania dawnego wykładowcy filologii klasycznej Gerarda, profesora Levquista, który udostępnił je byłemu studentowi i gronu jego przyjaciół na kwaterę na balową noc. (Rodzice Levquista, nadbałtyccy Żydzi, których prawdziwe nazwisko brzmiało Levin, przybrali ów skandynawski przyrostek w charakterze ubarwienia ochronnego). Pragnąc opóźnić przewidywaną propozycję przyjaciela, zapytała:

- Czy podjąłeś już jakąś decyzję w sprawie książki?

Nie miała na myśli dzieła samego Gerarda, bo nad żadnym jak dotąd nie pracował, lecz zgoła inny utwór.

Zmarszczył się gniewnie na to niewczesne pytanie.

- Nie.

Orkiestra zagrała następnego walca. Usłyszawszy porywającą, znajomą melodię, uśmiechnęli się radośnie i drgnęli jak na komendę. Po chwili Gerard przygarnął Rose, lewą ręką ujął jej dłoń, prawą objął talię i okręcił partnerkę wokół siebie, aż pofrunęła stopami nad parkietem.

Wkrótce potem Rose i SaKu<sup>i</sup> skierowali kroki do mieszkania Levquista, do

któreg<sup>^</sup>w<sup>^</sup>eftó7fz\$0\ się z krążanka. Rose czuła się trochę zmęczona<sup>^^</sup>cz ocz<sup>^</sup>wiśc<sup>j</sup>fe nie myślała się z tym zdra-

dzać. Na miejscu stwierdzili, że profesorskie pielesze objął w posiadanie Jenkin Riderhood.

Od jakiegoś już czasu musiał raczyć się sownie szampanem, lecz na widok wchodzących

spiesznie odstawił butelkę. Jenkin, nieco młodszy od Gerarda, należał do starej, „pierwotnej” paczki ze studenckich jeszcze czasów, do której, oprócz nich dwóch, należeli ponadto Sinclair, Duncan, Marcus i Robin. Nie licząc zmarłych, Jenkin odniósł chyba w życiu najmniejszy spośród nich sukces, w każdym razie pozował na nieudacznika. Duncan Cambus zrobił wybitną karierę najpierw w dyplomacji, potem w administracji rządowej. Największych zaszczytów dostąpił Gerard. Typowany na najwyższe stanowisko w ministerstwie, wycofał się wszelako niedawno, ku zaskoczeniu wszystkich i z nie wyjaśnionych powodów, na wcześniejszą emeryturę. Robin, którego zaniósł aż do Kanady, skąd rzadko dawał znak życia, był znanym genetykiem. Sinclair zamierzał zostać biologiem morza. Szykował się właśnie do wyjazdu do Instytutu Oceanograficznego Scrippsa w Kalifornii, kiedy zdarzyła się ta szybowcowa katastrofa. Rose wybierała się z nim razem, Gerard miał po jakimś czasie do nich dołączyć i planowali we trójkę „odkrywać Amerykę”. W Oksfordzie wszyscy trzej, Gerard, Duncan i Jenkin, zrobili dyplom z greki, łaciny, historii starożytnej oraz filozofii i uzyskali tytuły magisterskie. Rose, której rodzina pochodziła z Yorkshire i miała, po kądzieli, párantele angielsko-irlandzkie, studiowała filologię angielską i francuską w Edynburgu. Po studiach miała się różnych zajęć, lecz nigdy nie zrobiła tak zwanej kariery. Uczyła francuskiego w żeńskich gimnazjach, pracowała w stowarzyszeniu broniącym praw zwierząt, była dziennikarką w pismach kobiecych, próbowała napisać powieść, potem wróciła do etatowej pracy dziennikarskiej i działalności ekologicznej. Pracowała dorywczo jako wolontariuszka w instytucjach opieki społecznej. Od czasu do czasu, raczej rzadko, bywała w kościele (anglikańskim). Pobierała skromną roczną dywidendę z należącej do rodziny firmy, bez której, jak mawiała, radziłaby sobie zapewne lepiej, gdyż bardziej by się starała. Jej przyjaciółka z prowadzonej przez kwaków szkoły z internatem, Jean Kowitz, studiowała w Oksfordzie, gdzie poznała, przez Rose właśnie, Gerarda i resztę paczki, między innymi Duncana Cambusa, za którego się później wydała. Była wybitną studentką, przeznaczoną.

zdaniem Rose, do ambitniejszych zadań niż rola kury domowej. Cambusowie byli bezdzietni. Jenkin Riderhood wsiąkł w bel-ferkę. Obecnie pracował jako starszy wykładowca historii w jednej z londyńskich szkół. Nigdy nie aspirował do posady dyrektora. Wiódł żywot cichego starego kawalera, komentującego się ochoczo drobnymi darami losu. Znał kilka języków i uwielbiał wycieczki zagraniczne. W Oksfordzie przeżył parę - jak to się wówczas mawiało - romansów, ale potem jego życie erotyczne zamarło, a w każdym razie weszło w fazę utajoną. - Wyobraźcie sobie - przywitał wchodzących - idę ja rzucić okiem na stare śmiecie i w mojej byłej celi zastaję pochylonego nad biurkiem studenta. Czy wiecie, jak ten gałgan się do mnie zwracał? Per „szanowny panie”!

- Miło mi słyszeć, że wykazał się dobrymi manierami - ucieszyła się Rose. - To dzisiaj prawdziwa rzadkość wśród młodzieży.

- A co tam na dziedzińcu?

- Małpi gaj - rzekł Gerard. - Mam nadzieję, że zostało jeszcze trochę tych bąbelków?

- Całe kadzie. Do tego góry kanapek.

Czerwony i spotniały od wypitego alkoholu, Jenkin postawił na stole talerz kanapek z ogórkiem, po czym jął osuszać serwetką plamę rozlanego szampana. Był mężczyzną korpulentnym i niezbyt wysokim, a w smokingu, dobrze już znoszonym i skrojonym na znacznie szczuplejszą figurę, sprawiał wrażenie skrępowanego, do tego podrażnionego tą ciasnotą stroju. Pomimo tuszy zdołał zachować chłopięcy wygląd i gładką, delikatną cerę, toteż pasowałoby doń raczej określenie „pucołowaty”. Jego głowę okalały wypłowiałe, proste włosy słomianej barwy, przysłaniające, jak dotąd skutecznie, małą plackowatą łysinkę. Oczy miał niebieskie o szarym odcieniu, z plamkami cętek, usta pulchne, marzycielskie, nieco zajęcze zęby. Przed urodą cherubina chronił jego fizys dość długi, okazały nos, przydający mu ryjkowatego, zwierzęcego wyglądu, który bywał rozczulający, a czasem przecherny.

- Przepraszam, że Patricia nie mogła przyjść - powiedział Gerard, nalewając szampana dla Rose. Pod nieobecność Gideona Jenkin miał być na balu partnerem Patricii.  
- Och, mnie to nie przeszkadza, uwielbiam samotność. Psiakrew! Nie cierpię sypiących się kanapek!

Plasterek ogórka z jego kanapki spadł na podłogę.

- Czy Violet podała powód, dla którego nie mogła przybyć? - spytała Rose.

- Nie, ale nietrudno się domyślić. Wolą uniknąć widoku roześmianej i szczęśliwej młodzieży. Nie mówiąc o roześmianych i szczęśliwych członkach naszej paczki.

- Trudno ją winić - mruknął Jenkin.

- Chyba jednak sprawiło jej przyjemność, że została zaproszona - wyraziła przypuszczenie Rose. - Może nie chciała oglądać szczęścia Tamar? Rodzice potrafią kochać swoje dzieci, a jednocześnie im zazdrościć. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Powinniśmy coś zrobić dla Violet.

Był to postulat często w ich gronie zgłaszany.

- Jakoś nie udało mi się natknąć na Conrada i Tamar. Widzieliście ich? - zainteresował się Gerard. - Zapomniałem im powiedzieć, żeby tu wpadli na drinka.

- Wątpię, by byli spragnieni naszego towarzystwa - orzekła panna Curtland.

- Młodzi wyglądają tak młodzieńczo, nie uważacie? - powiedział Gerard. - Ach, la jeunesse, la jeunesse! Te ich jasne, gładkie, czyste, nie zepsute, nie zużyte twarze!

- Niepodobne do naszych - zawyrokował Jenkin - przeżartych namiętnościami, rozczarowaniami i rozmytych opilstwem!

- Wy dwaj wyglądacie wciąż chłopięco - stwierdziła Rose. -Przynajmniej Jenkin, bo Gerard wygląda jak... - nie dokończyła, bojąc się ośmieszyć jakimś niemądrym porównaniem.

- Wtedy byliśmy chłopcami - rzekł z naciskiem Gerard.

- Powiedz raczej: młodymi marksistami - sprostował Jenkin. - Albo platończykami, czy za kogośmy się tam jeszcze uważali. Ty zresztą nadal tak o sobie myślisz.

- Sądziliśmy, że zdołamy zbudować prawdziwie cywilizowane, alternatywę społeczeństwo - ciągnął Hershaw. - Przepęłniała nas wiara, ufność.

- Jenkin nie stracił wiary - zauważyła Rose. - W co dzisiaj wierzysz, Jenkin?

- W nową teologię - odparł bez wahania.

- Nie pleć głupstw! - zachnęła się.

- Czy nie uważasz - zwrócił się do przyjaciela Gerard - że odnowiony marksizm spełnia w dużym stopniu taką właśnie rolę?

- Ba, jeśli gruntownie odnowiony...

- Tak gruntownie, że już nie do poznania!

- Co prawda ja sam nie chodzę do kościoła - powiedział Jenkin - ale jednak życzylibym sobie, żeby religia w jakiejś formie przetrwała. Front walki przebiega dziś na styku religii z marksizmem.

- Nie twojej - stwierdził Gerard. - Nie twojej walki, mój drogi. Ty nie masz najmniejszej ochoty bić się w imię Marksa! Ta spójnia jest zresztą kompletnie niespójna.

- Więc którędy przebiega front mojej walki? Chciałbym walczyć na pierwszej linii frontu, lecz którędy on dzisiaj przebiega?

- Powtarzasz to samo od lat - mruknął Gerard. - Przynajmniej pod tym względem zachowałeś stałość poglądów.

- Jenkin jest romantykiem - wtrąciła Rose - podobnie zresztą jak ja. Chciałabym zostać księdzem. Mam nadzieję, że doczekam chwili, gdy stanie się to możliwe.

- Z Rose byłby cudowny księżulo!

- Zgłaszam sprzeciw! - zaprotestował Gerard. - Nie pożeraj tych wszystkich kanapek, chłopie!

- Zgadzasz się, by cię nazywano platończykiem lub kimś w tym rodzaju? - zaciekawiła się Rose.

- Czemu nie.
- Czy o tym chcesz pisać na emeryturze?
- O Plotynie, jak zapowiadałeś? - zainteresował się Jenkin.
- Może...

Gerard najwyraźniej nie chciał podjąć tego tematu, więc porzuciła go i pozostała dwójka. Rose odstawiła kieliszek i podeszła do okna. Widać było przez nie oświetloną reflektorami wieżę, księżyc, który zdążył się podnieść i przypominał teraz mały, lity krążek ze srebra, światełka w koronach rosnących nad rzeką drzew. Serce stanęło jej w gardle, czuła się tak, jakby połknęła za duży kęs i miała go chęć zwymiotować. Zachciało jej się zapłakać ze szczęścia i lęku. Wysmukła, nastroszona pinaklami wieża, płonąca niesamowitym blaskiem na tle granatowego nieba, przypominała obrazek z modlitewnika. Przypominała też Rose zatarte już w pamięci, jakby teatralne widowiska z dawnych czasów, wielokrotnie zapewne oglądane, gdy widziała w nocy jasno oświetlone gmachy i słyszała nieziemskie, dźwięczne głosy, takie jak ten, którego instynktownie nasłuchiwała w tej chwili, opowiadające jej niespiesznie, z namaszczeniem, barwne historie z dawnych lat i prastare legendy. Przypominała widowiska son et lumiere, oglądane gdzieś we Francji, w Anglii, we Włoszech lub w Hiszpanii. Pamięć podszeptała jej jakiś francuski tekst, nie zidentyfikowany poetycki okrucień, prawdopodobnie niedokładnie nawet zapamiętany. *Les esprits aiment la nuit, qui sait plus qu'une femme donner une âme a toutes choses.* Nie, to nieprawda, pomyślała, coś za śmieszny, swoją drogą, pomyśl. Oczywiście, i ona sama tak właśnie, w pewnym sensie, postępowała, obdarzała „duszą” całą masę tępych, nieczułych rzeczy, z pewnością przecież nie dla żadnego chwalebego celu, który godziłoby się obwieszczać światu przez boski głos, rozbrzmiewający z czarodziejskiej wieży. W jej wydaniu owo „uduchowianie” wynikało raczej z przesądu lub smutku nieszczęśliwej miłości. Westchnąwszy głęboko, odwróciła się od okna, oparła o parapet i uśmiechnęła blado, bo zwykle się tak uśmiechała.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią z czułością, po czym spojrzeli jeden na drugiego. Niewykluczone, że Gerard domyślał się jednak, co ona czuje, choć może się i nie domyślał. Rose zrozumiała nagle, jak mało zawsze dbał o to, by straciła nad sobą panowanie i dała upust uczuciom.

- Co powiecie na kolejną butelczynę szampana? - zapytał Jenkin. - Mamy ich tu zapas nieprzebrany.
  - Nie wiecie, gdzie się podziewają Jean i Duncan? Miałam nadzieję, że tu ich zastaniemy. Słowom Rose towarzyszył huk wystrzeliwującego w sufit korka od szampana.
  - Istotnie, wpadli na chwilę - odrzekł Jenkin - ale Jean rwała się do tańca i uprowadziła pana męża niemal siłą.
  - Jest tak cudownie wysportowana - zachwyciła się Rose. -Wciąż potrafi stawać na głowie. Pamiętacie, jak stanęła na głowie wtedy w Łodzi?
  - Duncan chciał tu zostać i tankować, ale mu nie pozwoliła.
  - On stanowczo za dużo pije - zmartwiła się Rose. - Jean włożyła na dzisiejszy bal tę czerwoną suknię obszytą czarną koronką, którą wręcz ubóstwiam. Wygląda w niej jak Cyganka.
  - Ty też wyglądasz bosko, Rose - skomplementował ją Jenkin.
  - Lubię cię w tej sukni - przyznał Gerard - jest tak urzekająco prosta. Lubię tę cudowną głęboką zieleń, ciemną jak zieleń lauru, mirtu albo bluszczu.
- Nadeszła pora, żeby Jenkin poprosił mnie do tańca, pomyślała Rose. Nie ma na to najmniejszej ochoty, nie lubi tańczyć, lecz nie będzie mógł się wykręcić. Tymczasem Gerard zatańczy z Jean. Potem ja zatańczę z Duncanem. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Czuję się już lepiej. Chyba jestem troszeczkę wstawiona.



- Chyba już pora zajrzeć do Levquista - oświadczył Gerard. - Masz ochotę mi towarzyszyć, Jenkin?

- Już u niego byłem.

- Byłeś?!

Oburzenie, jakie dało się słyszeć w okrzyku Gerarda, miało swe korzenie w odległej przeszłości. Zadawniona, niezniszczalna, ponadczasowa zazdrość objęła jego serce niczym płomień. Poczuł żar zastarzałego bólu. Jakże oni wszyscy w tamtej zamierzchłej epoce, w tym krótkim, złotym okresie młodości byli chciwi pochwał tego starego człowieka! Pragnęli, żeby ich chwalił, kochał. Gerard dostąpił owego zaszczytu. Lecz on pragnął dla siebie pochwały najwyższej, miłości wyłącznej. Dziś trudno wprost uwierzyć, ale jego najgroźniejszym rywalem do uznania i serca profesora był podówczas właśnie Riderhood!

Jenkin odgadł, o czym przyjaciel pomyślał, i parsknął śmiechem. Potem opadł ciężko na fotel, rozlewając przy tym trochę szampana.

- Dał ci coś do przetłumaczenia? - zainteresował się Gerard.

- Wyobraź sobie! Okrutnik! Podsunął mi jakiś fragment z Tukidydesa.

- I jak ci poszło?

- Przyznałem, że ni w ząb nie rozumiem.

- I co stary na to?

- Zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

- Zawsze czuł do ciebie słabość.

- Natomiast od ciebie zawsze więcej wymagał.

Gerard nie podjął tego tematu.

- Przepraszam, że nie uprzedziłem, wybierając się do Lev-quista - rzekł Jenkin, poważniejąc - ale wolałem odwiedzić go bez świadków. Byłem pewien, że jak zwykle podda mnie egzaminowi, i nie miałem ochoty oblewać go przy tobie.

Gerard uznał to wyjaśnienie za w pełni zadowalające.

- Ależ wy, mężczyźni, lubicie wracać wciąż do przeszłości! - zdumiała się Rose.

- Ba, ty sama przypominałaś nam przed chwilą, jak to Jean stanęła na głowie w łódce - wytknęła jej Jenkin. - A zdarzyło się to w pewien majowy poranek.

- Jak to? Toś ty przy tym był? - zdziwiła się. - Nie przypominam sobie. Pamiętam, że byli Gerard, Duncan i... i Sinclair.

Otworzyły się drzwi i wszedł Gulliver Ashe. Gerard przywitał go pytaniem:

- Nie widziałeś Tamar i Conrada, Guli? Na śmierć zapomniałem im powiedzieć, żeby tutaj wpadli.

- Widziałem - odparł Gulliver. Mówił wyraźnie, choć wymawiał słowa z przesadną dbałością człowieka pod muchą. - Widziałem, i owszem. Ledwo ich jednak ujrzałem, Conrad dał drapak i zostawił niebogę samą.

- Jak to: samą? - zdumiała się panna Curtland.

- Pogadałem chwilę z biedaczką, a potem i jam ją porzucił. To wszystko, co mam wam do oznajmienia.

- Porzuciłeś ją? - oburzył się Gerard. - Jak mogłeś? Cóż za niegodziwość! Zostawiłeś ją samą jak palec?

- Uznałem, że jej kawaler nie mógł się zbytnio oddalić - tłumaczył się Gulliver.

- Biegnij zaraz i poszukaj jej - nakazał Gerard.

- Dajcie się najpierw człowiekowi napić - ujął się za Gulli-verem Jenkin i dźwignął się z fotela. - Założę się, że stęskniony Conrad już wrócił do swojej bogdanki.

- Natrę mu uszu, jeżeli tego nie zrobił! - zapowiedział Gerard. - Niebawem, jak mógł zostawić ją samą, choćby na chwilę!

- Przypuszczam, że skłonił go do rejterady głos natury - domyślił się Jenkin - i chłopak musiał poszukać ustronia za krzewem lauru, mirtu albo bluszczu.

- Głos, lecz nie natury - sprostował Gulliver, który z zachowania zebranych wywnioskował, że nie znali jeszcze szokującej nowiny, z jaką przybywał. - Więc wy nic nie wiecie? Nie do wiary! Jest tu David Crimond!

- Crimond?! Tutaj?

- I owszem. Do tego przyodziały w kilt\

Gulliver przyjął od Jenkina kieliszek szampana i usiadł na opróżnionym przez niego fotelu. Oburzenie trójki przyjaciół okazało się nawet większe, niż się spodziewał. Spoglądali po sobie ze zgrozą, wstrząśnięci, z głupimi minami i zaciętymi ustami. Rose, która na ogół nie okazywała uczuć, teraz oblała się ciemnym rumieńcem i przycisnęła dłoń do policzka. Jej też przypadło w końcu przerwanie milczenia.

- Jak on w ogóle śmiał się tutaj zjawić!

- Ostatecznie też uczęszczał do tej budy - przypomniał Jenkin.

- Owszem, ale przecież musiał zdawać sobie sprawę...

- Że wejdzie nam w drogę?

- Że nas tu zastanie - dokończyła. - A to znaczy, że przyszedł umyślnie.

- Niekoniecznie - mitygował Gerard. - Nie widzę powodu do paniki. Lepiej chodźmy poszukać Duncana i Jean. Mogą nic jeszcze nie wiedzieć...

- A jeśli wiedzą, mogli już pojechać do domu! - wyraziła opinię Rose.

- Cholera, mam nadzieję, że tego nie zrobili! - mruknął Jenkin. - Niby z jakiej racji? Mogą go przecież omijać z daleka. Psiakrew, a tak czekałem na to spotkanie z kochaną budą! Miałem nadzieję nacieszyć się w spokoju towarzystwem naszej starej paczki!

- Pójdę, uprzedzę ich - zaproponował Gulliver. - Nie spotkałem ich dotąd, lecz myślę, że zdołam ich znaleźć.

- Nie, ty tu zostaniesz - zdecydował Gerard.

- Dlaczego? Czyżbym został aresztowany? Przecież miałem poszukać Tamar!

- Duncan i Jean mogą tutaj zajrzeć - powiedziała Rose - czy więc nie lepiej, żeby ktoś...

- Dobrze, biegnij i poszukaj Tamar - zwrócił się do Gullivera Gerard. - Sprawdź tylko, czy dobrze się czuje, a jeśli będzie sama, poproś ją do tańca. Mam nadzieję, że tamten gagatek już wrócił. A właściwie czemu ją opuścił?

- Poleciał się pogapić na Crimonda. Nie pojmuję, skąd ta gorączka wokół tej postaci. Wiem, że pokłóciliście się z nim na tle książki, ale czy on aby nie smalił kiedyś cholewek do Jean? Dlaczego jesteście tacy poruszeni?

- To wszystko nie jest takie proste - burknął Gerard.

- Boisz się, że Duncan się upije i zaatakuje go? - zwrócił się Jenkin do Rose.

- Duncan prawdopodobnie już się upił - odparła. - Lepiej chodźmy i...

- Bardziej prawdopodobne, że to Crimond zaatakuje Dunca-na - mruknął Gerard.

- Nonsens!

- Winowajcy często nienawidzą swoich ofiar. Jestem jednak pewien, że do rękoczynów nie dojdzie.

- Ciekawam, z kim przyszedł? - zainteresowała się Rose.

- Z Lily Boyne - poinformował Gulliver.

- Z Lily? Niemożliwe! - zdumiał się Gerard.

- To dla niego typowe - orzekła panna Curtland.

- Założę się, że trafił tu przypadkiem - oświadczył Jenkin. - Ciekawym tylko, czy przyprowadził ze sobą swoich hunwejbiniów?

Gerard zerknął na zegarek.

- Obawiam się, że muszę już iść, jeśli mam zdążyć do Lev-quista, zanim się położy. Wy dwoje poszukajcie Duncana i Jean. Zresztą ja też ich będę po drodze wypatrywał. Wyszli, zostawiając Gullivera samego. Guli osiągnął taki stopień upojenia alkoholem, kiedy zrewoltowany organizm zaczyna wysyłać rozpaczliwe apele o umiarkowanie. Zbierało mu się

na wymioty i czuł się bliski omdlenia. Język mu skołowaciał, uniemożliwiając płynną wymowę. Bał się, że za chwilę zwali się jak kłoda. Wszystko widział rozmazane, nie był w stanie wyostrzyć spojrzenia. Pokój wirował mu przed oczami, rozsiewając błyski podobne do świetlnych efektów specjalnych, towarzyszących występowi grupy popowej. (Nazywała się „Ptaki Wodne”. Władzom kolegium nie udało się zaprosić słynniejszego zespołu „Zdrada Klerków”). Gullivera rozpieła ochota do tańca, nie miał jednak pewności, czy stan, w jakim się znajdował, sprzyjałby pługom na parkiecie, czy raczej je wykluczał. Doświadczenie mówiło mu, że jeśli chce się tej nocy dalej bawić, musi zrobić przerwę w picu i postarać się coś przekąsić. Potem poszuka Tamar. Zależało mu na tym, by zadowolić Gerarda, a raczej, ściślej biorąc, obawiał się konsekwencji jego niezadowolenia. Kiedy śpieszył do „bazy” w mieszkaniu Levquista, by zakomunikować rewelacyjną nowinę, do pawilonu z bufetem ustawiała się już kolejka. Gulliver, który nie znosił wystawiania w ogonkach, a przeczuwał, że nie mając u boku partnerki, mógłby budzić podejrzliwość lub, co jeszcze gorsze, współczucie otoczenia, przed przyjazdem na bal najadł się na zapas w jakimś pubie. Tamta jednak kolacja, choć suta, zdawała się już należeć do zamierzchłej epoki. Objając się ostrożnie po pokoju, znalazł butelkę Perrier i nowy talerz kanapek z ogórkiem. Natomiast nigdzie nie mógł znaleźć czystego kieliszka. Opał na fotel i jął pochłaniać kanapki, popijając je wodą o smaku szampana. Powieki zaczęły mu się kleić. Trójka przyjaciół wyszła z krzéganka na rozległy trawnik, zastawiony wielkimi namiotami. Tu się rozdzielili. Rose skierowała się na prawo, Jenkin ruszył w lewo, a Gerard prosto, w stronę osiemnastowiecznej budowli, również skąpanej w blasku reflektorów, gdzie mieściła się biblioteka Levquista. Choć profesor Levquist był już na emeryturze, nadal mieszkał w college'u, dysponując w nim ponadto przestronnym pomieszczeniem, w którym przechowywał swój cenny księgozbiór, zapisany oczywiście w testamencie macierzystemu kolegium. Do tego sanktuarium wstawił również tapczan, by w sytuacjach nadzwyczajnych, jak choćby dzisiejsza, móc nocować wśród ukochanych ksiąg, a nie w domowych warunkach swojego mieszkania. Następca Levquista na profesorskiej posadzie, zresztą jeden z jego uczniów, trwał w niepokojącym związku uległości wobec dawnego mistrza. Levquist istotnie nie należał do osób łatwych we współżyciu - co należy uznać za zaskakujące, zważywszy na niezwykle wrażenie, jakie wywierał na tych, z którymi się stykał. Gerard rozglądał się po drodze, zacierając do mijanych pawilonów i przeczesał wzrokiem kolejkę stojącą do namiotu z bufetem, lecz nie dojrzał nigdzie ani Jean z Duncanem, ani Tamar z Conradem, ani też Crimonda. Zmieszany gwar muzyki, rozmów i śmiechów tworzył jakby wzorzystą kopułę, nakrywającą ciemność gęstą od zapachu ziemi, kwiatów i wody. Trawniki między pawilonem jadalnym a namiotami do tańca były usiane ruchliwymi grupkami młodzieży, a na jego peryferiach stało kilka splecionych w objęciach, całujących się par. Z upływem nocy miało ich przybywać. Gerard wszedł na znajome schody i doświadczył znajomego uczucia podniecenia. Zapukał do słabo oświetlonych drzwi, zza których dobiegł po chwili chrapliwy dźwięk, niemal niepodobny do brzmienia ludzkiej mowy. Profesor Levquist zapraszał do wejścia. Gerard wszedł. Długie pomieszczenie, zabudowane rzędami półek, tonęło w półmroku; świeciła się tylko lampa na stojącym pod ścianą w głębi wielkim biurku. Siedział przy nim przygarbiony stary człowiek z głową obróconą w stronę drzwi. Duże, wychodzące na park okno nad biurkiem było szeroko otwarte. Gerard podszedł po ciemnym, wydeptanym chodniku i przywitał się: - Dobry wieczór, to ja. Świadomie unikał formy „panie profesorze”, nie zdołał się również przemóc i przedstawić z nazwiska, choć dobrze wiedział, że nie był jedynym byłym uczniem, składającym tego wieczoru wizytę staremu belfrowi. - Hernshaw - skostatował Levquist. Opuścił siwą, krótko ostrzyżoną głowę i zdjął okulary.

Gerard usiadł na krześle naprzeciwko profesora i ostrożnie wyciągnął pod biurko swoje długie nogi. Serce waliło mu jak młotem. Levquist budził w nim nadal podszyty lękiem respekt.

Żaden nie uśmiechnął się na powitanie. Staruszek bawił się książkami, które miał pod ręką, i notatnikiem, w którym coś wcześniej pisał. Zmarszczył czoło. Pozostawił gościowi trud zawiązania rozmowy. Gerard przyglądał się chwilę ogromnej, imponującej, choć nieco groteskowej, żydowskiej głowie wybitnego uczonego, nim zapytał:

- Jak postępuje praca nad książką, panie profesorze? Zdecydował się na zagajenie wyjątkowo wręcz nieoryginalne. Pytanie dotyczyło dzieła o Sofoklesie, nad którym Levquist pracował niestrudzenie od niepamiętnych lat. Staruszek najwidoczniej nie uznał pytania za szczere, bo zbył je od niechcenia:

- Pomaluśku. Dalej pracujesz w tym urzędzie? - spytał on z kolei.

- Nie, wycofałem się już na emeryturę.

- W twoim wieku? Nie za wcześnie, he? Osiągnąłeś tam już wszystko, co było do osiągnięcia?

- Nie.

- Więc po co było odchodzić? Ani tu, ani tam nie zagrzałeś miejsca. Szło ci wyłącznie o władzę, he? Pragnąłeś zakosztować władzy?

- Nie o władzę dla samej władzy. Cenię porządek.

- Porządek! Należało wprawdzie zrobić porządek we własnej ołowie, zostać na uczelni i poświęcić się rzetelnej pracy umysłowej.

Rozmowa poczyniała się toczyć znajomymi, utartymi koleinami. Levquist, który w gruncie rzeczy nie wierzył, by ludzie wybitnie uzdolnieni mogli spożytkować swe talenty gdziekolwiek indziej poza uniwersytetem, chciał, żeby Gerard został w Oksfordzie, podjął pracę w Kolegium Wszystkich Świętych i został uczonym akademikiem. Gerard postanowił jednak odejść. Cechujący go idealizm polityczny, który w znacznej mierze tę ucieczkę w świat zainspirował, utracił niebawem wiele ze swej świeżości i siły, skromniejsza zaś i chyba bardziej racjonalna chęć służenia społeczeństwu na drodze starań o nieco lepszą jego organizację zawiodła następnie Gerarda do administracji rządowej. Przytyk Levquista, choć już znajomy, ubódł go, bo z taką też intencją został wypowiedziany. Gerard sam niekiedy żałował, że nie został na uniwersytecie, nie poświęcił się śledzeniu wpływów platonizmu w ciągu wieków, nie został prawdziwym uczonym, roztargnionym dziwakiem, badaczem.

Odrzekł ze spokojem:

- Rzetelnej pracy umysłowej mam nadzieję oddać się teraz.

- Rychło w czas! Jakże się miewa twój ojciec?

Levquist nigdy nie omieszkiał zadać mu tego pytania; choć ze starym panem Hernshawem nie spotkał się ani razu od studenckich czasów Gerarda, wspominał go zawsze, ku niepomiernemu zdumieniu syna, z szacunkiem i sympatią. Podczas pierwszego spotkania obu panów, które Gerard do tej pory wspominał ze zgrozą, jego ojciec, zwykły adwokat, nie był na przykład w stanie podjąć w rozmowie z Levquistem, jak równy z równym, tematu prawa rzymskiego. I ten właśnie przeciętny, niezbyt wykształcony człowiek, nie odczuwający najwyraźniej żadnego respektu przed groźnym nauczycielem syna, zapisał się trwale, zapewne dzięki swojej otwartości i prostocie, w pamięci profesora. Gerard w głębi duszy podziwiał i szanował ojca za prawosć

i szczerosć charakteru, zakładał jednak, że owe przymioty pozostają niedostrzegalne dla szerszego otoczenia. Jego ojciec nie należał do błyskotliwych, dowcipnych erudytów ani do ludzi sukcesu. Prawdę mówiąc, mógł uchodzić za osobnika przeciętnego, wręcz nudziarza, a mimo to Levquist, który gardził przeciętniakami i bez pardonu tępił nudziarzy, od pierwszej chwili nawiązał z nim więź na gruncie najwartościowszych jego cech. A może po prostu

wywarło na nim wrażenie spotkanie „zwykłego człowieka”, który nie drżał z lęku, stanąwszy przed jego surowym obliczem.

- Jest ciężko chory - powiedział Gerard w odpowiedzi na pytanie profesora - właściwie... - dodał i stwierdził ze zdumieniem, że nie jest w stanie wykrztusić następnego słowa.

- Umierający?

- Tak.

- Niezmiernie mi przykro. No cóż, życie to dla śmiertelnych jedynie krótka przechadzka, ale zawsze co rodzony ojciec, to rodzony ojciec... Ano, cóż poradzić...

Ojciec i siostra Levquista zginęli zamordowani w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Profesor odwrócił się na chwilę i przyglądał ostrzyżoną najeża srebrną szczecinkę, porastającą kopułę okazałej czaszki.

Gerard wolał zmienić temat.

- Słyszałem, że i Jenkin złożył dziś panu wizytę. Levquist parsknął śmiechem.

- A tak, miałem przyjemność gościć młodego Riderhooda. Zupełnie stracił głowę nad pewnym ustępem z Tukidydesa, który mu podsunąłem.

- Nie popisał się?

- Szkoda, że tak zaniedbał grekę. A zna przecież kilka języków nowożytnych. Co się zaś tyczy „popisywania się” (śmieszne wyrażenie, nie uważasz?), jest przecież nauczycielem, prawda? Riderhood nie musi się „popisywać”, kroczy własną drogą, nie szuka gruszek na wierzbie. Podczas gdy ty...

- Podczas gdy ja?

- Tyś się zawsze rozpraszał na gesty słusznego oburzenia, pociągała cię idea szczytnego, niedosiężnego celu. Pozostało ci to zresztą do dziś. Masz siebie za samotnego wspinacza, takiego, ma się rozumieć, który wdrapał się wyżej od innych. Łudzisz się, że uda ci się wyskoczyć z własnej skóry prosto na szczyt, choć dopuszczasz do siebie myśl o niepowodzeniu takiego wysokości. Tak czy siak będziesz, zadowolony z siebie, w dalszym ciągu spoczywał na laurach... Czemu zamierzasz poświęcić tę „pracę umysłową”, jaką postanowiłeś podjąć? Pisaniu pamiętników?

- Nie. Noszę się z zamiarem napisania rozprawki filozoficznej.

- Ba, filozofia! Dęte myśłątka niedouczone przemądrzalców, którym się wydaje, że można trawić, nie jedząc! Wierzą, że ich płytkie przemyślenia doprowadzą do głębokich wniosków! Czyżbyś był aż tak mało ambitny?

Również i ten zarzut profesora należał do kanonu ich dawniejszych sporów. Levquist, wykładowca wielkich języków klasycznych, buntował się zawsze, widząc, jak jego najlepsi uczniowie odchodzą w stronę filozofii.

- Nawet napisanie krótkiego filozoficznego eseju może być zadaniem ambitnym i trudnym - podjął ze spokojem Gerard. - Owe zaś „dęte myśłątka” wywarły jednak niemały wpływ na dzieje ludzkości. Zresztą zamierzam czytać...

- Obkładać się wybitnymi dziełami, ściągać je do swojego poziomu i produkować ich uproszczone własne wersje?

- Kto wie... - Gerard nie dawał się sprowokować. Levquist, nawykły do besztania swych najlepszych uczniów,

musiał zawsze, gdy go po latach odwiedzali, wylać im na głowy, jakby dla dopełnienia jakiegoś nieodzownego rytuału, wiadro żółci, zanim ich, ulegając swej głębszej potrzebie, obdarzył łaskawszym słowem, które zwykle chował w zanadrzu.

- No dobrze już, dobrze - burknął. - Przeczytaj mi teraz coś po grecku, toż kiedyś w tym celowałeś.

- Co, panie profesorze?

- Co chcesz. Byle nie Sofoklesa. Może coś Homera. Gerard wstał i podszedł do regału z książkami. Wiedział,

gdzie szukać dzieł autora Odysei. Ledwo dotknął grzbietów sędziwych woluminów, ogarnęła go nostalgia. Przeszłość odeszła, pomyślał, minęła bezpowrotnie, nie można w niej nic zmienić, niczego naprawić, rozwiała się jak dym, a jednak tu jest, czuję jej powiew, niczym podmuch wiatru, dolatuje mnie jej zapach, i to właśnie budzi taki smutek, taki bezbrzeżny żal. Przez otwarte

na park okno wpadały dźwięki dalekiej muzyki, których Gerard nie był dotąd świadom, i wsączała się ciemna, wilgotna woń od rzeki i łąk.

Usiadł na powrót przy biurku i zaczął czytać na głos fragment Iliady, o tym, jak boskie rumaki Achillesa, usłyszawszy o śmierci Patrokła, płakały, pochyliwszy łby, a z oczu im łzy się lały gorące z tęsknej żalości po panu i bujne się grzywy kalały w pyle, a widząc ich ból, ulitował się nad nimi Zeus i lak do swej duszy powiedział: „Biedne istoty! Przecz Pelejowi was daliśmy władcy, śmiertelnemu człekowi, gdy wyście są młode wieczyście? Na to li, byście niedolę z nędznymi ludźmi dzieliły? Nie masz bowiem zaiste stworzenia lak nieszczęsnego wśród wszystkiego, co dycha i pełza na ziemi, jak człowiek”\*.

Levquist sięgnął ponad biurkiem i wyjął mu z ręki książkę; obaj unikali swoich spojrzeń. Gerard, w którego głowie trwała gonitwa myśli, przypomniał sobie z rozpędu, jak oszalały z bólu Achilles uśmiercił u całopalnego stosu przyjaciela pojmanych w niewolę trojańskich synów, drżących z trwogi niczym jelonki, jak Telemach powiesił dziewczki dworskie za to, że gziły się z gachami, których właśnie pozabijał jego ojciec, i jak, wisząc rządkiem na linie, trzepotały się przed zgonem, nogami zadrgawszy w powietrzu. Potem wspomniął, że Patrokles obchodził się zawsze godziwie z pojmanymi brankami. A potem ponownie pomyślał o rumakach wylewających gorące łzy i zwieszających bujne grzywy w pył pobojuwiska. Te wszystkie myśli przemknęły mu przez głowę w ułamku sekundy, a gdy przeleciały, stanął mu w pamięci Sinclair Curtland.

Tymczasem Levquist, którego umysł jakimś innym, nieodgad-nionym torem skojarzeń również dotarł do osoby Sinclaira, zapytał:

- Czy czcigodna Rosę także tu dziś bawi?

- Tak, przyjechaliśmy razem.

- Bo też zdawało mi się, że mi gdzieś mignęła. Ależ ona podobna do swojego brata!

- Istotnie.

Levquist, który miał zadziwiającą pamięć, sięgającą na wiele

Fragment księgi XVII Iliady w przekładzie Ignacego Wieniewskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

pokoleń w głąb roczników, jakie przewinęły się przez mury uczelni, powiedział:

- Cieszę się, że wasza grupka wciąż się trzyma razem, przyjaźnie związane za młodu bywają najcenniejsze, a ty, Ri-derhood, Topglass, Cambus, Field i... Ano cóż, Topglass i Cam-bus są żonaci, szkoda... - Levquist nie pochwalał instytucji małżeństwa. - A biedaczysko Field przywdział mnisi habit. Przyjaźń, przyjaźń!... Dzisiejsza młodzież nie ma o niej pojęcia, nie ceni tych więzi... Ale wracając na nasze śmieci... czy wiesz, że oni przyjmują tu teraz kobiety?

- Wiem. Pan, na szczęście, nie musi ich uczyć.

- Bóg strzegł. Jednak psują obraz... Nawet nie masz pojęcia, jakie ich obecność wnosi rozprężenie.

- Wyobrażam sobie - przytaknął Gerard, bo miał do zagadnienia koedukacji podobny stosunek.

- No cóż, szkoda gadać, młodzi mężczyźni nie wchodzą już dzisiaj w przyjacielskie związki. Są płytki, powierzchowni. Uganiają się za dziewczętami, byle je tylko zaciągnąć do łóżka. A nocami, kiedy powinni toczyć rozmowy i spory z przyjaciółmi, oddają się rozpuście. Ohydne... szokujące!

Gerard ujrzał oczami wyobraźni te odrażające sceny rozwiązłości, znamionujące degenerację, upadek dawnych cnót. Oburzenie Levquista budziło w nim rozbawienie, choć je poniekąd podzielał.

- I cóż ty na to wszystko, Hemshaw? Czy nasza nieszczęsna planeta przetrwa? Co do mnie, wielce w to wątpię. Za kogo ty się teraz właściwie uważasz, za stoika, wbrew wszystkiemu? Nil admirari, he?

- Nie, nie uważam się za stoika. Przed chwilą oskarżył mnie pan o brak ambicji. Otóż jestem zbyt ambitny, by zostać zaledwie stoikiem.

- Masz na myśli ambicję moralną?

- Hm... również.

- Zepsuło cię chrześcijaństwo - zawyrokował Levquist. - To, co bierzesz za platonizm. to tylko stara, mazgajowata, masochistyczna chrześcijańska mrzonka. Twój Platon został skażony Przez świętego Augustyna. Brakuje ci twardego, solidnego jądra. Riderhood, na którego patrzysz z góry...

~ Ależ skąd! - zaprotestował Gerard.

- Riderhood jest twardszy od ciebie, solidniejszy. Twoja „moralna ambicja”\*, czy jak tam chcesz nazwać swój egoistyczny optymizm, to tylko stara bujda o chrześcijańskim zbawieniu, przekonanie, że można odrzucić swoje dawne „ja” i stać się dobrym dzięki samej wyłącznie refleksji. A gdy tak siedzisz i pieścisz się tą mrzonką, kiedy czujesz, że od samego tego pieszczona się zmieniasz, więc nie musisz się już o nic więcej starać, twoje własne złudzenie napęlnia cię szczęściem.

Gerard, który słyszał już kiedyś z ust profesora podobną fili-pikę, pomyślał z podziwem: ależ on jest precyzyjny, ależ przenikliwy, przejrzał mnie na wylot. Mimo to odrzekł z nonszalancją:

- Ba, jestem więc przynajmniej szczęśliwy, czy to mało? Zamiast odpowiedzi Levquist wydał tylko swoje grube wargi,

opuścił ku dołowi ich kąci i wpatrzył się milcząco w byłego studenta, ułożywszy twarz w maskę niemego szyderstwa. Gerard skapitulował.

- Poddaję się - bąknął.

- Stoję już nad grobem - powiedział profesor. - To żaden wielki skandal, starość jest zjawiskiem dobrze rozpoznanym. Różnica polega jedynie na tym, że w dzisiejszych czasach cała ludzkość jakby stanęła nad grobem.

- To prawda - przytaknął Gerard, konstatuując w duchu: stary czerpie z tej myśli pociechę.

- W dzisiejszej dobie każde myślenie niepesymistyczne trąci fałszem.

- Nie sądzi pan, że zawsze tak było?

- Zgoda. Tyle że dzisiaj pesymizm narzuca się nieodparcie wszystkim jednostkom myślącym jako jedyne możliwe podejście do świata. Na gwałt potrzeba nam dzisiaj cnót takich jak odwaga, wytrwałość, prawdomówność. Potrzeba zrozumienia faktu, że spośród wszystkich stworzeń, jakie dychają i pełzają po ziemi, najniezwyklejszym jest człowiek.

- Pana to cieszy, profesorze!

Na twarzy Levquista pojawił się uśmiezek. Pod wysuszonymi, pomarszczonymi jaszczurczo powiekami zabłysły łzawo ciemnoniebieskie oczy o piwnym odcieniu. Staruszek pokiwał ostrzyżoną na jeża, karykaturalnie wielką głową i uśmiechnął się chytrze.

- Ciebie to cieszy, kochasiu! Zawsze byłeś optymistą, skłonny wierzyć, że w ostatniej chwili przyślą po ciebie triemę.

Gerard potaknął z uśmiechem. Spodobała mu się ta antyczna metafora.

- Ale nic z tego! Śmiertelną istotą jest człowiek, rzadko z myślą w radzie, a kiedy się zamyśla, dłoń na sercu kładzie. -Mówiąc to. Levquist przycisnął wielką, pomarszczoną dłoń do górnej kieszonki sztruksowej, dobrze już znoszonej marynarki. Spędziwszy życie na obcowaniu z najwspanialszą poezją świata, zachował rozczulający sentyment dla wierszy A. E. Housmana.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi.

- Oho, następny ptaszek! - mruknął Levquist. - Pora na ciebie, kochasiu. Pozdrów ode mnie ojca. I złóż moje uszanowanie czcigodnej Rose. Nie zdążyliśmy się nagadać, wpadnij do mnie kiedyś. Nie czekaj na drugi tak uroczysty dzień, żeby odwiedzić starego.

Gerard wstał. Jak przy wcześniejszych podobnych okazjach poczuł gwałtowną potrzebę, żeby obejść biurko i uścisnąć dłonie profesora, albo nawet złożyć na nich pocałunek, bądź nawet przed starcem uklęknąć. Ciekawe, czy stary, wiernopoddańczy rytuał podejmowania pod nogi umożliwiłby wykonanie takiego gestu, czy przydanie mu znamion sformalizowanej czolobitności pozwoliłoby uniknąć posądzenia o nieprzystojną, niemęską czułość? I podobnie jak przy wcześniejszych okazjach najpierw zawahał się, a potem stłumił w sobie ów impuls. Czy Levquist zdawał sobie sprawę z intensywności przepelniających go serdecznych uczuć? Gerard nie był tego pewien. Poprzestał na sztywnym ukłonie.

Profesor wydał szorstkie warknięcie, oznaczające zaproszenie do wejścia, a potem rzucił jakieś nazwisko.

Gerard minął się w drzwiach z nieznanym, czerwonym jak burak czterdziestolatkiem. Schodził po schodach, dręczony zazdrością i wyrzutami sumienia, że nie potrafił się zdobyć na czulsze pożegnanie.

Tamar szukała Conrada, Conrad szukał Tamar, Rose i Jen kin S7-ukali Jean. Duncana, Conrada i Tamar, a Guli jakiejś lali, ? którą by mógł zatańczyć.

Pod wpływem przelotnego uczucia urażonej dumy, którego wnet pożałowała, Tamar oddaliła się od pawilonu, do którego Conrada pociągnęła z taką siłą obecność jego idola. Wróciła tam szybko i nawet zbliżyła się do gromadki młodych wielbicieli, ale swojego partnera wśród nich nie znalazła. Nie mogąc się docisnąć w pobliże Crimonda, Conrad stał przez chwilę jak zaczarowany na obrzeżu stłoczonej wokół mistrza młodzieży, po czym, stwierdziwszy, że Tamar za nim nie przybiegła, najpierw przeszukał cały pawilon, a potem, nie mając pewności, z której doń wszedł strony, jął krążyć, zataczając coraz szersze koła, wokół miejsca, w którym, jak mu się zdawało, porzucił Tamar.

Tymczasem ona skierowała się prosto do sąsiedniego pawilonu, w którym orkiestra grała walce i ku któremu oboje zmierzali przed spotkaniem z Gulliverem. Stała tam chwilę, rozglądając się na wszystkie strony, dostrzegła walczących Gerarda i Rose i chyłkiem się wycofała. Choć była bardzo przywiązana do wuja i lubiła Rose, oboje szalenie ją onieśmielali, więc wołała, by nie dojrzeli jej samotnej, bez partnera, o którego zgubienie siebie oskarżała. W chwilę po wycofaniu się dziewczyny w zalegającą wokół pawilonu ciemność zajrzał tam Conrad, również dostrzegł Gerarda i Rose i z tych samych co ona pobudek szybko się ulotnił. Tymczasem Tamar poszła pod krużganki, gdzie mieścił się studencki bufet z kanapkami, do którego Amerykanin miał zamiar dotrzeć, zanim się puszcza w tany. Z kolei Conrad pobiegł do namiotu, gdzie miała wkrótce rozpocząć przerwany występ sławna grupa „Ptaki Wodne”. Tamar precyzyjnie przemieściła się przez stłoczony wokół bufetu tłum roześmianej, sączącej drinki młodzieży i weszła do kaplicy, kolejnego z miejsc, którego odwiedzenie planował wcześniej Lomas. Potem przeszła przez krużganek i skierowała się nad rzekę właśnie w chwili, gdy od drugiej strony wbiegł pod krużganek jej zagubiony partner.

Przerwa na kolację minęła i ze świeżą werwą rozpoczęto tańce. Po rozległym trawniku, zastawionym pasiastymi namiotami, rozsypały się gromady pięknych, młodych ludzi: przystojnych młodzieńców w marszczonych koszulach, na ogół już rozchełstanych pod szyjami, i ślicznych dziewcząt w lśniących, mieniących się sukniach z falbankami, nie tak już nieskazitelnie, jak na początku, czystych. Tu i ówdzie rozochocony partner korzystał z okazji, że jego partnerce pękło w wirze szkockiego tańca

niesforne ramiączko. tu i ówdzie niecierpliwie męskie palce burzyły kunsztowne fryzury, które, przed kilkoma godzinami z taką pieczołowitością upinane za pomocą niezliczonych szpilek, opadały teraz w nieładzie na karki i ramiona. W co mroczniejszych zakątkach



całowały się namiętnie pierwsze pary, a niektóre zastygły jedynie milcząco w bezruchu, splecione w ciasnym uścisku, który stanowił niecierpliwie wyczekiwany punkt kulminacyjny niecierpliwie wyczekiwanego wieczoru. Ta i owa suknia nosiła już zdradzieckie zielone smugi od zetknięcia z trawą. Różne gatunki muzyczne ścierały się ze sobą w nie ustającej ani na moment rywalizacji, a członkowie zespołu „Ptaki Wodne” wydzielali się na całe gardła wśród wściekłego migotu wirujących świateł i ogłuszającej elektrycznej łomotaniny. Szeregi tancerzy w poszczególnych pawilonach co prawda przerzedziły się z lekka, ale dzięki temu pląsy pozostałych nabrały tym większej zadzierzystości.

Tymczasem z oczu Tamar puściły się łzy. Chcąc się opanować, zeszła nad rzekę i przystanąła na moście. Światła przybrzeżnych lamp kładły się na wodzie ruchliwymi serpentynami odbłasków, które kołysały się i migotały na powierzchni, by nieco dalej ciemnieć i zaciierać się w czarnej toni. Przechylona nad barierką dziewczyna wyłowiła słuchem spod dobiegającego z oddali balowego gwaru szmerliwy plusk rzeki, nie cichnący ani na chwilę i skupiony na sobie. Gdy na mostek weszli jacyś ludzie, chciała przed nimi umknąć na przeciwległy brzeg, lecz zawróciła szybko, dojrawszy w ciemności figury dyskretnych strażników w melonikach, rozstawionych w strategicznych punktach, a mających za zadanie nie dopuścić na teren tak prześwietnej uroczystości zazdrosnej gawiedzi, której nie było stać na zakup drogich kart wstępu. Tamar ruszyła przez trawnik w stronę collegium novum. Chwilę przedtem Conrad wpadł na Jenkinsa Ri-derhooda, który, widząc zgnębienie młodzieńca, nie zbeszał go, nie krył jednak niezadowolenia z faktu, że Conrad, co sam mu zresztą wyznał, porzucił Tamar wkrótce po przybyciu na bal, zanim zdążyli choćby raz zatańczyć. Po tym spotkaniu przygnębienie Amerykanina jeszcze wzrosło, gdyż uświadomił sobie, że wieść o jego niefrasobliwości (całą winę za zgubienie Tamar Przypisywał bowiem sobie) dojdzie teraz do uszu Gerarda, a może nawet Crimonda. Czuł się podle, głównie dlatego, że tak

straszenie, prawdopodobnie karygodnie i niewybaczalnie, obraził pannę Hernshaw, na spotkanie z którą tak czekał, marzył o tym, że będzie z nią tańczył, będzie ją całował na tym balu, który zapowiadał się tak wspaniale, na który ona również musiała się cieszyć. W odróżnieniu od Tamar nie powziął z góry zamiaru zakochania się. Lecz teraz, miotając się w coraz większej desperacji z miejsca na miejsce, bezmyślnie przeszukując po wielekroć te same zakątki, a zupełnie pomijając inne, potracając w biegu młodzieńców z napełnionymi po brzegi kieliszkami i nadeptując na suknie dziewcząt, przeżywał katusze wciąż odradzającej się nadziei i nowych wciąż rozczarowań, czyli doświadczał typowego stanu uczuć porzuconego kochanka. Po jakimś czasie zebrał się na odwagę i postanowił zajrzeć do mieszkania profesora Levquista, dowiedział się bowiem od Jenkinsa (o czym Gerard tak niefortunnie zapomniał poinformować Tamar), że paczka założyła tam „bazę”, gdy tam jednak dotarł, nie zastał nikogo. Chwilę stał w pustym pokoju, pełnym jedynie butelek i kieliszków, zbyt przygnębiony, by chociaż nalać sobie drinka, po czym, ponieważ takie bierne czekanie okazało się jeszcze dokuczliwsze od poszukiwań, jak burza wypadł z pokoju. W tym samym czasie zmęczona Tamar siedziała w jednym z pawilonów i, zwiesiwszy głowę, aby ukryć łzy, próbowała poprawić makijaż. Zgubiła gdzieś swój kaszmirowy szal i teraz drżała z zimna. Conrad zajrzał nawet w biegu do tego pawilonu, ale dziewczyny nie dostrzegł. Tymczasem Rose natknęła się na Lily Boyne. Obie panie czuły do siebie sympatię, nacechowaną wszelako rezerwą i pełną wzajemnego niezrozumienia. Lily sądziła, że Rose uważa ją za niewykształconą prostytutkę. Z kolei Rose obawiała się, że Lily sądzi, iż ona uważa ją za niewykształconą (prawda, istotnie tak uważała) prostytutkę (co już nie było prawdą). W istocie Rose w ogóle nic myślała w takich kategoriach, a jeśli, to tylko niechęć. Ona sama lękała się natomiast, że Lily ma ją za przemądrzałą damulkę, choć Lily wcale za taką jej nie miała. Rose uważała Lily za osobkę dość „rezolutną”, choć nie zawsze chwytła

sens jej żartobliwych powiedzonek i nie umiała na nie szybko ripostować. Lily podziwiała Rose za spokój, rozsądek, uprzejmość i dobre maniery, zespół cnót, którymi nie wszyscy jej znajomi się wykazywali. Z kolei Rose podziwiała Lily za siłę charakteru; wyobrażała sobie ponadto, że Lily jest kobietą dzielną, „znaJ3c3 życie” - i to od strony, która dla niej pozostawała tajemnicza i groźna. W gruncie rzeczy obie mało o sobie nawzajem wiedziały. Lily Boyne weszła do paczki przyjaciół Gerarda przez Jean Kowitz (panieńskie nazwisko Jean Cambus, które dotąd się za nią ciągnęło, jak to nieraz z panieńskimi nazwiskami bywa). Obie panie spotkały się przed kilkoma laty na gruncie „walki o prawa kobiet”, a zbliżyły na zajęciach jogi, gdzie często obok siebie stawały na głowie. To było jeszcze przed okresem przelotnej sławy, jaka na Lily niespodzianie spadła. Lily Boyne należała do wcale niemałego zastępu osób, które, jak to kiedyś określił Gerard, słyną po prostu z tego, że są słynne. Lily była teraz dziewczyną majątną, a przynajmniej za taką uchodziła. Wyrosła w biednej, rozbitej rodzinie, w dorosłe życie wkroczyła poprzez technikum sztuk pięknych, parała się garncarstwem i grafiką, marzyła o zostaniu malarką, potem zarabiała na życie jako maszynistka. Doszedłszy do pełnoletności, w przystępie desperacji wyszła lekkomyślnie za mąż za chorowitego, biednego jak mysz kościelna studenta akademii sztuk pięknych Jamesa Farlinga. Jakże często błogosławiła później tego bladego, nieszczęśliwego chłopca za nakłonienie jej do małżeństwa! Oczywiście pozostała przy swoim panieńskim nazwisku. W niedługi czas po ślubie cała seria nieprzewidzianych zgonów w rodzinie Fadingów złożyła rodzinną fortunę, o której istnieniu Lily nie miała pojęcia, na barki Jamesa, skromnego młodzieńca, który mało dbał o dobra materialne, a zresztą, zanim się wtrąciły wyroki przeznaczenia, znajdował się tak czy siak na szarym końcu kolejki do spadku. Będąc już bogatym, nie zmienił lekceważącego stosunku do pieniędzy, i Lily, która miała do nich stosunek wręcz odwrotny, z najwyższym trudem powstrzymała go w ostatniej chwili przed oddaniem fortuny w ręce pozostałych przy życiu rozjuszonych krewnych. Wkrótce potem, za namową żony, kupił sobie wspaniały motocykl i zaraz pierwszego dnia zginął w wypadku. Rodzina zmarłego natychmiast rzuciła się na Lily, by jej wydrzeć schedę, lecz młoda wdowa nie myślała poddawać się bez walki. Wydawało się, że sprawę ma wygraną, ale przebiegli adwokaci przeciwnej strony me ustawiali w wysiłkach, by podważyć prawo Jamesa do spadku. Sprawa nabrała rozgłosu, stała się cause célèbre. W końcu doszło do polubownej ugody, gdy Lily zgodziła się odstąpić krewniakom zmarłego męża rozmaite luksusowe dobra. Ona sama nie wyszła z tej walki bez skazy na sumieniu, jako że zdarzyło się jej powiedzieć, co prawda w gniewie, kilka jawnych kłamstw. Pomimo to stała się, na krótko, bohaterką dnia, jako „biedna dziewczyna”, walcząca z watahą bogatych harpagonów, samotna kobieta, występująca przeciwko kohortom pazernych mężczyzn. Jako taka właśnie przyciągnęła uwagę Jean Kowitz, w owym czasie żarliwej bojowniczką o prawa kobiet. Odnosiło się wrażenie, że Jean dosłownie zakochała się w Lily, z takim zapałem i taką gorliwością występowała w jej sprawie. Została w nią również wciągnięta Rose Curtland, więc i ona dość często widywała Lily, która tymczasem, przez Jean właśnie, poznała resztę paczki Gerarda. Kiedy jednak sprawa została zamknięta, a popularność Lily przygasła, Jean odwróciła się od niej, zrażona kłamstewkami, jakich się dopuściła wzbogacona wdowa. Natomiast Rose nadal utrzymywała z nią kontakty towarzyskie, po części zresztą z litości. Fortuna nie przyniosła Lily szczęścia, topniała zresztą z wolna, głównie za sprawą zastępu adoratorów. Lily nabrała kosztownych upodobań i przekonania, że zasłużyła na sławę, jaka na nią spadła. Nie miała zbyt wielu przyjaciół, a nadto mgliste jedynie wyobrażenie, co dalej ze sobą począć.

- Rose! - wykrzyknęła Lily, gdy na siebie wpadły. - Boże, co za szalowa suknia! Ty to się potrafisz ubrać! Szalowa, a przy tym prosta, absolutnie w twoim stylu!

Spotkały się pod pawilonem, w którym koncertowała grupa „Ptaki Wodne”, musiały więc przekrzykiwać ogłuszające dudnienie. Głuchy stukot obcasów o drewnianą membranę tanecznego parkietu towarzyszył muzyce jak natrętny akompaniament basu.

- Ty też wyglądasz cudownie - zrewanżowała się komplementem Rose. - Rzekłabym: orientalnie. Fantastyczne spodnie!

Porzucona przez partnera Lily miała na sobie obszerne, pomarańczowe szarawary, ściągnięte w kostkach połyskującymi od cekinów tasiemkami, do tego białą bluzkę z cienkiego jedwabiu, ozdobioną ciężkimi, złotymi łańcuszkami i przepasaną purpurową szarfą, za którą zatknęła końce okrywającego jej ramiona przejrzystego, srebrzystego szala. W ów wyszukany strój zaczęło

się już wkradać pewne rozprzeżenie: szarawary wysunęły się z opinających je w kostkach taśm, bluzka - z przepasującej ją szarfą, a srebrny szal zwisał luźno u jednego boku. Lily, niższa i szczuplejsza od Rose, prawdę mówiąc chuda, miała wąską, niemal wymizerowaną, bledziutką twarz, krótkie, puszyste, lekkie jak piórka blond włosy i długachną szyję. Kobieta może na osół bez uszczerbku dla urody mieć szyję nieco za długą, lecz szyja Lily zbliżała się niebezpiecznie do granicy, jaka dzieli szyję jeszcze łabędzią od groteskowo już długiej. Na domiar złego Lily dodatkowo podkreślała jej wysmukłość, gdyż miała zwyczaj wysuwać do przodu brodę, jakby chciała wyrzeć zza własnego oblicza, niczym spod muślinowej woalki. Ona sama uważała ten gest za koci i określała go na własny użytek mianem „robienia kociej mordki”. Wargi miała wyjątkowo cienkie, co jej przyczyniało wiecznego strapienia. Jej oczy, „śleпка z najśłodszej melasy”, jak je nazwał jeden z przymilnych adoratorów, odznaczały się intrygującą jasnobrazową barwą i ciemną obwódką wokół tęczówki, od której zbiegały się ku źrenicy niebieskie i piwne prążki, co upodabniało jej oczy do niektórych kandyzowanych owoców. Umalowała się dziś krzykliwie, częściowo z potrzeby zwracania uwagi, i srebrną szminką mocno podkreśliła wargi. Wystawiała się z akcentem z północnego Londynu, z lekka przeciągając zgłoski, lecz że z tą cechą wymowy walczyła, jej akcent czasami brzmiał z amerykańska.

- Przyszłam z tym draniem Crimondem - wyjaśniła - ale zostawił mnie, wyobraź sobie! Nie widziałas go czasem?

- Niestety nie. A ty nie widziałas czasem Tamar?

- Więc ta mała tu jest? Nie, nie widziałam jej. Boże, co za jazgot! A w ogóle co u ciebie słychać?

- Wszystko dobrze...

- Spotkajmy się kiedyś...

- Naturalnie, pozostaniemy w kontakcie.

Rozstały się. Tymczasem Tamar, ujrzawszy Rose w rozmowie z Lily, wycofała się w stronę sklepionego bindaża, prowadzącego do parku, ostoi jeleni.

U wyjścia z klatki schodowej prowadzącej do mieszkania Levquista czekał na Gerarda Jenkin Riderhood.

Wyszedłszy na dwór, Hernshaw zdał sobie sprawę, że niebo, które całkiem ściemnieć tej letniej nocy nie miało, poczynało już jaśnieć, co napełniło go smutkiem jakiegoś złowróbnego, proroczego przecucia. Bez reszty pochłonięty spotkaniem z profesorem, zapomniał o bożym świecie, zapomniał, gdzie jest i co tutaj robi. Nawet wzmianki w niedawno odbytej rozmowie na temat ojca, Sinclaira i Rose odbierał raczej jako odniesienia do świata myśli Levquista niż własnego. Teraz przypomniała mu się nagle nowina, z jaką przybiegł Gulliver Ashe. Jednak najpierw zwrócił się do Jenkina z innym pytaniem.

- Odnalazłeś Tamar?

- Nie, ale spotkałem Conrada. Zgubił ją i wciąż szuka!

- Mam nadzieję, że przemówiłeś mu do słuchu.

- Nie było potrzeby, biedaczysko był zupełnie przygnębiony.

- Musimy... Jenkin, czy coś się stało?

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

Jenkin chwycił przyjaciela za rękę i pociągnął przez zdeptany trawnik, wśród włóczących się grupiek rozbawionych balowiczów. Jedni nadal tryskali entuzjazmem, inni byli w siódmym niebie, bo spełniły się ich najskrytsze marzenia, jeszcze inni starali się ukryć gorycz rozczarowania, pozostali zataczali się po prostu pijaniutcy. Białawy, widmowy blask wstającego świtu obnażał twarze zmęczone i pobladłe. U końca arkady wymiotował jakiś młodzieniec. Jego towarzysza stała opodal na straży, odwrócona dyskretnie plecami. Jenkin zaciągnął przyjaciela do „pawilonu sentymentalnych wspomnień”, w którym Gerard i Rose tańczyli wcześniej walce, a skąd teraz dochodziły dźwięki skocznej, ognistej muzyki szkockiej. Na tanecznym parkiecie nie było jednak tłoku - publiczność stała w ciasnym kręgu i podziwiała popisy ósemki najwytrawniejszych zapewne tancerzy, wirujących pośrodku parkietu. Wśród tej ósemki znajdował się Crimond, podobnie jak inni tancerze odziany w kilt, szkocką spódniczkę. Obrotowe figury tańca pozwoliły szybko ustalić, kogo miał za partnerkę. Jean Cambus podkasła długą, czerwoną suknię i zatknęła ją za pasek wokół talii, tak że sięgała jej ledwo do kolan; tak skrócona i rozwirowana obnażała aż po uda smukłe nogi w czarnych pończochach. Pociągnęła, jastrzębia twarz Jean, zwykle blada jak kość słoniowa, płonęła ognistym rumieńcem i lśniła kropelkami potu. Jej ciemne, proste i gęste, sięgające do ramion włosy.

fruwały rozwirowane, tylko kilka pasemek przyłgnęło do spot-piałego czoła. Od pięknej, żydowskiej głowy pani Cambus, tak na co dzień dostojnej i dumnej, biło teraz jakieś dzikie, orientalne uniesienie, pałające też w jej wielkich, roziskrzonych oczach. Nie przekreślała w tańcu szyi. Drobne stopy, obute w pantofelki na płaskim obcasie, zdawały się polatywać nad ziemią, a oczy, poważne, bez cienia uśmiechu, rozpałały się jedynie wtedy, gdy napotykały spojrzenie partnera. Usta miała otwarte, właściwie z lekka rozchylone, lecz nie z braku tchu. lecz w grymasie jakiejś zachłannej pożądlivosti. Crimond się w ogóle nie pocił. Twarz miał bladą, pozbawioną wszelkiego wyrazu, wręcz surową, ale jego cera, nakrapiana piegami, przeważnie ziemista, niemal trupioblada, teraz lśniła szkliście. Włosy, lekko falujące, dosyć długie, kiedyś ogniście rude, dziś spłowiałe do barwy pomarańczy, przylegały do czaszki jakby przylizanc, nie strosząc się ani jednym niesfornym kosmykiem. Jasnoniebieskie oczy nie szukały partnerki, a gdy ją spotykały, nie zmieniały zimnego, wręcz posępnego wyrazu. Wąskie, mocno zaciśnięte wargi upodabniały jego usta do surowej, poziomo nakreślonej linii. Ze swoim długim i cienkim, zwracającym uwagę nosem przypominał Gerardowi jednego z wysokich greckich kouroi w Muzeum Akropolu, choć jego oblicza nie ozdabiał tajemniczy uśmiech tych młodzieńców. Crimond tańczył dobrze, lecz nie zatracał się w tańcu, jego ruchy cechowała wyniosła precyzja, trzymał się prosto, ramiona ściągnął do tyłu, napięty niczym łuk, a zarazem elastyczny i lekki jak skaczący z radości pies. Również jego barwny strój cechowała nieskazitelna elegancja. Miał na sobie fantazyjną, białą koszulę, ściśle dopasowaną czarną, aksamitną marynarkę ze srebrnymi guzikami, u jego kolan dyndał futrzany mieszek, za skarpetą tkwił szkocki sztylet ze srebrną rękojeścią, na nogach zaś miał nieskazitelnie czyste trzewiki ze sprzączkami. Pozostali mężczyźni biorący udział w płasach, sami zawołani tancerze, również wyglądali elegancko jak spod 'gły, lecz tylko jeden Crimond nie rozpiął guzików u kołnierzyka koszuli. Spódniczki z grubego materiału, z tyłu gofrowane, marszczyły się i okręcały na figurach tancerzy, podkreślając lekceważenie tych, co je nosili, dla siły grawitacji.

Jenkin wpatrywał się chwilę w Gerarda, a upewniwszy się, Ze scena wywarła na przyjacielu oczekiwane wrażenie, odwrócił

głowę w stronę tanecznego kręgu, by też napawać wzrok niezwykłym widowiskiem.

- Piękny widok - szepnął. - On mi przypomina Siwę.

- Przesadzasz... - mruknął Gerard.

Porównanie, podsunięte przez Jenkina, choć mąciło to, jakie się jemu samemu nasunęło, nie było wszak nietrafne.

Nagle muzyka ucichła. Tancerze najpierw zastygli w bezruchu z uniesionymi rękami, a potem z powagą złożyli sobie nawzajem ceremonialne ukłony. Widzowie, wyzwoleni z czaru, zaczęli wśród śmiechów tupać i bić brawo. Orkiestra zagrała ckliwą melodię Always i parkiet wnet się zaroił przytulonymi parami. Crimond i Jean zrobili każde krok w stronę partnera, po czym odpłynęli w tańcu, ginąc w gąszczu par.

- Jaki on miał wzór kratki na spódniczce? - zapytał Jenkin, kiedy oddalali się obaj od namiotu.

- Klanu Macpherson.

- Skąd wiesz?

- Powiedział mi kiedyś, że ten właśnie wzór ma prawo nosić.

- Sądziłem, że to jakiś przypadkowy, starodawny wzór.

- Crimond jest pedantem. Nie wiesz, gdzie jest Duncan?

- Pojęcia nie mam. Jak tylko ujrzałem tę scenkę, pogałem, żeby cię złapać. Nie chciałem, byś ją przegapił.

- To pięknie, że oderwałeś się dla mnie od takiego widowiska - rzekł z przekąsem Hernshaw. Jenkin puścił drwinkę mimo uszu.

- Lepiej się może rozdzielimy i poszukajmy Duncana. Tutaj go nie widzę.

- Wygląda mi na to...

- Że sprawy zaszły daleko.

- Nie wydaje mi się, żeby chłop się ucieszył na nasz widok.

- Nie uważasz, że powinniśmy go śledzić, ani na chwilę nie spuszczać z oka?

- Nie sędzę.

Gullivera całkiem nieoczekiwanie zaczepiła kobieta.

Po spałaszowaniu prawie wszystkich kanapek z ogórkiem poczuł się, o dziwo, znacznie lepiej, alkohol wywietrzał mu z głowy i porwała go szalona ochota do tańca. Zaczął więc krążyć między namiotami, nie tyle szukając Tamar (zupełnie

o niej zapomniał), ile jakiegokolwiek dziewczyny, której partner zdążył już szczęśliwie spocząć gdzieś pod krzakiem, pogrążony w pijackiej drzemce. Niestety, dziewczęta, choć same na rauszu, a niektóre kompletnie zawiane, wciąż miały u boków nieodstępnych, acz chwiejnych opiekunów. Niepodobna było dłużej isnorować faktu, że wstaje świt, a światło, które tej nocy na dobrą sprawę wcale nie dogasło, to już brzask budzącego się dnia. Rozśpiewały się jakieś okropne, niedelikatne ptaki, a z lasu za łąkami dobiegło kukanie kukułki. Poszukując nerwowo dalszego ciągu nocy, Guli powłókł się do pawilonu, z którego dolatywał jazgot muzyki pop i gdzie, na przekór jaśniejącym płótnom, zdawała się wciąż królować ciemność, choć rozrywana oślepiającymi blaskami wirujących lamp i maltretowana ogłuszającym łomotem. Sama grupa popowa już zwinęła sprzęt i odjechała, ale jej utwory, odtwarzane z taśmy, nadal dudniły w powietrzu. Tańczono też w najlepsze, choć ów taniec przypominał raczej akrobatykę sportową, a młodych ludzi, gdy zakreśliły ich w nozdrzach zapachy poranka, ogarnął istny szał. Mężczyźni zrzucili marynarki, co poniektórzy ściągnęli nawet koszule, dziewczęta podkasały suknie i rozpięły haftki bluzek. W porównaniu z poprzednią wytworną elegancją obecne rozchełstanie przypominało raczej bal przebierańców. Pożerając się zachłannie pożądlivym wzrokiem, pary podrygiwały z otwartymi ustami, przykucały, wirowały, robiły dzikie miny, wymachiwały rękami, fikały nogami, co, jak skonstatował Gulliver, przywodziło raczej na myśl sceny z Piekła Dantego niż radosne pląsy wiośnianej, beztroskiej młodości.

- Siemasz, Guli! Zatańczylbyś ze mną. Od dobrej godziny muszę tańczyć sama!

Przed Gulliverem stała Lily Boyne.

Nim się obejrzał, jej kruche ramionka objęły go w pasie i włączyli się, a raczej wpadli w sam środek opętającego wiru.

Gulliver znał oczywiście Lily przez resztę paczki Gerarda, ale nigdy się nią bliżej nie zainteresował, wyjąwszy raz jeden, na krótko, gdy ktoś w jego obecności nazwał ją kokotą.

Sprawiła °a nim wrażenie komicznej figury, w ambarasujący sposób pretensjonalnej i zaborczej. W tej chwili wyglądała jak szalony Pirat dość niepokąźnej postury, czy raczej chłopiec pokładowy z pirackiego okrętu, groteskowa postać z pantomimy. Z podwiniętych pomarańczowych szarawarów wystawały chude, gołe Dożęta, biała bluzka była rozchełstana, zniknęły szarfa, srebrzysty szal i złote łańcuchy, porzucone gdzieś' wraz z wieczorową torebką, gdzie - Lily już nie pamiętała. Jej zaczerwienioną od tanecznych harców i wypitych trunków twarz pokrywała pstra maź rozmazanego makijażu, co upodabniało jej oblicze do topniejącej maski z barwionego wosku. Srebrzone wargi pogrubiały groteskowo i wyglądały jak usta cyrkowego klauna. Gdy jednak zaczęli tańczyć, nieco na dystans, to odskakując, to przyskakując jedno do drugiego, miotając się w spazmatycznych podrygach, wpadając na sąsiadów, o których obecności całkiem zapomnieli, jak zresztą o całym bożym świecie, roześmiani, zadyszani, szcze-pieni rozjarzonymi spojrzzeniami, Gulliver pojął, że znalazł partnerkę doskonałą. Lily oddalała się od niego, okręcała w piruecie, podskakiwała, okrążała go, przeginając nad głową ramiona, niczym kapłanka w ekstazie, zdawała się coś wołać, w każdym razie poruszała ustami, jakby coś wołała, czego jednak Gulliver, z powodu hałasu, nie był w stanie dosłyszeć. Zresztą on sam, miotając wściekle głową, wlewał w burzę porywającego ryku własny strumień opętańczych wrzasków, dla jego uszu niesłyszalnych. Tamar nie znalazła Conrada, wpadła natomiast na Duncana. Duncan już dawno stracił kontakt z Jean, bo wołał pić, gdy ona skoczyła w wir zabawy. Niebawem dowiedział się z życzliwych ust o obecności na balu Crimonda. Niewykluczone, że te same życzliwe usta doniosły o tym fakcie jego żonie, dręczył się później domysłami, a może zresztą od początku wiedziała. Po krótkich poszukiwaniach trafił na zakończenie szkockiego tańca wirowego, który obserwowali także od jakiegoś czasu Hernshaw i Riderhood, i był świadkiem, jak Jean i Crimond wymknęli się chyłkiem przed następnym tańcem. Wtedy powlókł się do jednego z barów z zamiarem zalania się w trupa i poszukania pociechy, bo cóż mu innego pozostało, we własnym cierpieniu, gniewie i lęku przed katastrofą, na jaką się zanosilo. Przestało mu już zależeć na odnalezieniu żony, a kiedy, znacznie później, zobaczył, jak do „pawilonu wspomnień” wchodzi Jean i Crimond i dołączają do tańczących, zgarbił się tylko jeszcze bardziej w ciemnym kącie, aby czerpać bolesną satysfakcję z faktu, że może, sam niewidoczny, sycić ich widokiem swą zazdrość.

Kiedy Tamar, która wciąż szukała Conrada, bardzo już zmęczona i zziębnięta, przygnębiona dodatkowo tym, że posiała adzież swój kaszmirowy szal, weszła do „pawilonu wspomnień”, jej wzrok padł od razu na tańczących ze sobą Crimonda i Jean. Wiedziała, że przed laty między tymi dwojgiem „coś było”, ale nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiała i traktowała owe słuhy jak echa dawno minionej przeszłości. Widok, jaki się teraz ukazał jej oczom, przejął ją zdumieniem, przyprawił

0 wstrząs, a potem napełnił lękiem z dziwną domieszką zazdrości. Jean należała do najważniejszych postaci w jej życiu, można by nawet powiedzieć, że była w pani Cambus „zakochana”. To do niej w okresie dorastania przychodziła z problemami, o jakich nie ośmieliłaby się rozmawiać nie tylko z matką, ale nawet z Rose czy Pat. Często bywała w domu Jean i Duncana (do niego również była bardzo przywiązana), zapraszana dawniej na herbatę, a w ostatnich latach na drinka. Rozejrzawszy się teraz po namiocie, dostrzegła go wkrótce wciśniętego w kąt. Z brodą opartą na przedramieniu, które położył na oparciu stojącego przed nim krzesła, z bolesnym natężeniem przyglądał się tańczącym. Między nim a Tamar przesuwwały się liczne przytulone pary, gdy więc skończył się jeden taniec, a zaczął następny, dziewczyna, przerażona tym, co ujrziała, postanowiła się ukradkiem wymknąć. Na nieszczęście Duncan również ją dojrzał

1 przywoływał skinieniem ręki. Uznała, że nie wolno jej teraz uciec, i jęła się przeciskać między siedzącymi i stojącymi ludźmi, lawirować między przewróconymi krzeselkami i stolikami, na których stały baterie opróżnionych butelek. Kiedy docisnęła się do Duncana i

siadała obok niego, zerknęła szybko przez ramię na taneczny parkiet i dostrzegła, jak Jean i Crimond opuszczają właśnie z przeciwległej strony „pawilon wspomnień”.

Duncan był potężnym mężczyzną („niedźwiedziej” — jak chcieli jedni, „lwiej” - jak twierdzili inni, postury), tegim i wysokim, z szopą niemal czarnych, kędzierzawych, spadających aż na kark włosów na ogromnej głowie. Rosłe bary, z nawyku garbione, stwarzały wrażenie stłumionej, czasem groźnej siły. Wyglądał na człowieka nie tylko inteligentnego, ale i budzącego respekt. Usta miał szerokie, wyraziste, o falistym wykroju, oczy

ciemne, o trochę niepokojącym wyrazie, ponieważ jedno z nich było niemal smoliście czarne, jakby źrenica rozlała się na całą tęczówkę. Nosił okulary w ciemnej oprawce, zza których błyskał ironicznym spojrzeniem, śmiał się zaś dyszkantem.

- Cześć, dziecino! Dobrze się bawisz?

- Owszem, dziękuję. Nie widziałeś przypadkiem Conrada? No wiesz, Conrada Lomasa. Ależ ty go pewnie w ogóle nie znasz!

- Wyobraź sobie, że znam! Poznałem go u Gerarda. Jest kolegą Leonarda, prawda? Nie, tu go nie widziałem. Przyszedł z nim? Zginął ci?

- No właśnie. To moja wina. Odeszłam na chwilę i... Zbierało jej się na płacz, więc zacisnęła powieki, by zahamować łzy.

- Przykro mi, dziecinko - burknął Duncan. - Chodź, golniemy sobie po maluchu. To nam obojgu dobrze zrobi.

Nie wstał jednak, oparł się tylko mocniej na stojącym przed nim krześle. Opuściła go nagle pewność, że zdoła się podnieść. Przyglądał się Tamar i myślał o tym, jaka jest chuda, aż litość brała patrzeć, niemal zagłodzona, jakby cierpiała na anoreksję. Przyszło mu też na myśl, że w tej fryzurze (sięgające ramion włosy miała równo obcięte, uczesane z przedziałkiem z boku) wygląda na czternastolatkę. Nie zacierала tego wrażenia biała balowa suknia, która wyglądała na pannie Hernshaw jak za duża halka. Dziewczyna prezentowała się już znośniej w swoim codziennym ubiorze, złożonym ze schludnej bluzeczki i spódniczki.

Tamar wpatrywała się w Duncana z niepokojem. Dotarło do niej znaczenie sceny, jakiej była świadkiem, a teraz boleśnie wyczuwała emanujące z niego cierpienie, które jednak przyprawiało ją raczej o zakłopotanie niż współczucie. Trudno też było nie zauważyć, jak bardzo jest pijany. Był czerwony jak burak i sapał jak miech. Przestraszyła się, że może lada chwila zwalić się na ziemię, a wtedy musiałaby się nim zaopiekować.

Tymczasem on, jakby na przekór jej obawom, podźwignął się z krzesła. Przez chwilę chwiał się lekko, po czym wsparł się ręką na jej chudym, nagim ramieniu.

- Chodź, poszukamy czegoś do wypitki.

Pociągnął ją w stronę jednego z wyjść. Kiedy mijali parkiet taneczny, orkiestra zagrała melodię Night and Day.

\_ Noc i dzień - mruknął Duncan. - Zgadza się. Zatańczymy? Można panią prosić?

Porwał ją na parkiet i zaczęli tańczyć. Poddawszy się rytmowi muzyki, Duncan stwierdził ku własnemu zaskoczeniu, że nogi przestały mu ciążyć i zawadzać i, niczym dobrze wytresowane zwierzęta, potrafią pokazywać wyuczone sztuczki. Tańczył wyśmienicie. Tamar pozwoliła się prowadzić, poddała się rzewnej, nostalgicznej melodii i tańczyła swój pierwszy tego wieczoru taniec. Do jej oczu napłynęły łzy, które otarła o czarną marynarkę swojego partnera.

W pawilonie jazzowym Jenkin tańczył z Rose. On i Gerard zajrzeli przedtem do mieszkania Levquista, doszedłszy wspólnie do wniosku, że Duncan tam właśnie mógł się zaszyść.

- Nie będzie zachwycony naszym widokiem - wyraził przypuszczenie Hernshaw.

- Jeśli go tam zastaniemy, będzie to znaczyło coś wręcz przeciwnego - stwierdził Jenkin.

W mieszkaniu nie zastali jednak nikogo. Gerard postanowił tam zaczekać, po prostu na wszelki wypadek, Jenkin natomiast, przepelnięty chęcią zostania aniołem stróżem Duncana,

ponownie wybiegł. Niebawem spotkał Rose i uznał, że wypada poprosić ją do tańca. Ruszyli do pawilonu jazzowego, ponieważ stał najbliżej, i Jenkin ją przepisowo wodził pannę Curtland wokół parkietu, przeciskając się przez gęstniejący tłum rozchełstanych balowiczów, w których budzący się świt obudził świeży zapal do figur tanecznych. Taniec z Jenkinem należał do zajęć nieskomplikowanych i wolnych od niespodzianek, tańczył bowiem lak samo do każdej melodii. Oczywiście niezwłocznie podzielił S1? z partnerką niedawnym przeżyciem własnym i Gerarda, zasugerował nawet, żeby pójść i sprawdzić, czy tamten występ nie doczeka się powtórki. Rose dała mu jednak do zrozumienia, że Podobna ciekawość byłaby co najmniej w złym guście, a zmieszany Jenkin musiał jej przyznać rację. Rose, doszedłszy zapewne do wniosku, że wcześniej tego Wieczoru przejawiała nadmierne zainteresowanie całą sprawą, usiłowała ją obecnie celowo bagatelizować.

- Założę się, że Crimond już się ulotnił, a Duncan i Jean od dawna bawią się razem.

Właściwie nic złego się nie stało. Nie wspominaj mu tylko, żeś ich razem widział!

- Oczywiście, że tego nie zrobię. Masz naturalnie rację. Ale jednak co za tupet, swoją drogą!

- Postanowiliście już coś w związku z książką? - Rose zmieniła temat, gdy Jenkin nadepnął jej na nogę.

- My. moja droga, my! Przypominam ci, że ty również zasiadasz w Komitecie.

- To prawda, lecz ja się nie liczę. Decyzję musicie podjąć ty i Gerard.

- Praktycznie mamy związane ręce - odparł.

Martwił się o Duncana, który krążył gdzieś w pobliżu niczym ranny, niebezpieczny niedźwiedź.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się Conrad Lomas i zaczął przeciskać się w ich stronę, roztrącając przytulone pary.

- Nie widzieliście państwo Tamar? Nie wiecie, gdzie jej szukać?

- Pana powinno się o to zapytać - nastroszyła się panna Curtland.

Sam w mieszkaniu Levquista, w którym zasłony, choć wstawał już brzask, pozostawały zaciągnięte, Gerard przyglądał się z posepną miną straszemu pobjowisku, brudnym kieliszkom i pustym butelkom, stojącym gdzie popadnie: na gzymsie kominka, na krzesłach, na stolikach, na półkach z książkami, wreszcie na podłodze. Jak to możliwe, byśmy zużyli aż tyle naczyń, zdumiał się. Ano cóż, im bardziej zabawa się rozkręca, tym częściej człowiek traci kontakt ze swoim szkłem! Tam, do licha, nie została ani jedna kanapka, a raczej został nieśmiałek, ale bez ogórka. Zjadł rozmięktą kromkę i nalał sobie szampana. Miał już po dziurki w nosie musującego trunku, ale wyboru nie było. Co prawda Jenkin zdradził, że ukrył w gabinecie profesora butelkę whisky „na czarną godzinę”, ale Gerard nie czuł się na siłach, by jej szukać.

Miał szczerą nadzieję, że służący Levquista zdoła uprzątnąć ten bałagan, zanim staruszek wróci do siebie nazajutrz po śniadaniu. Trzeba dać chłopcu napiwek, i to suty. Potem przypomniał sobie z niepokojem, że w podnieceniu i gorączce, w jakie wprawiła go wizyta u profesora, zapomniał mu podziękować za użyczenie ich paczki swojego mieszkania, co należało uznać za znaczące wyróżnienie, zważywszy, że o ten sam przywilej ubiegało się z pewnością wielu co wybitniejszych dawnych uczniów. Hernshaw ją komponować w myślach uprzejmy list z wyrazami przeprosin. Nie ulegało wątpliwości, że Levquist dostrzegł jego zaniechanie i że sprawiło mu ono złośliwą satysfakcję. Gerard począł się następnie zastanawiać nad pewną zajmującą kwestią. Otóż od „tamtej sprawy”, od której upłynął już spory szmat czasu, Levquist ani razu podczas spotkań z nim czy Jenkinem nie wspominał nazwiska Crimonda, choć inne wspominał, a przecież i Crimond należał do jego wybitnych studentów, należał też do paczki. Niewątpliwie musiano mu donieść. Ciekawe, czy Crimond w ogóle podtrzymuje przyjazne stosunki z Levquistem, zainteresował się następnie Gerard, zresztą nie po raz pierwszy. Wszak niewykluczone, że i on dzisiejszego wieczoru złożył profesorowi wizytę! Strach pomyśleć! Boże, ależ obecność tego człowieka zwarzyła



im humory. Gerard był skłonny podzielać oburzenie Rose: jak on śmiał się tu zjawić, niegodziwiec! Jenkin replikował na to trzeźwo: a niby czemu nie? Ale żeby tańczyć z Jean... Gerard konstatawał z niechęcią, że ów nieszczęsny epizod, jeśli godziło się go tak nazwać, zdawał się napawać Jenkina jakąś niezdrową satysfakcją. On sam oceniał to zdarzenie jako niesmaczne, odrażające, złowrózbnne i grubo niestosowne. Zaciekawilo go, czy bardzo jest pijany. I owszem. A czy można powiedziec, że zalany w pestkę? Zadzwonil telefon i Gerard podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Czy mogę mówić z panem Hernshawem? Czy zastałam go Pod tym numerem?

- Pat!...

- Och, Gerard... Gerardzie... nasz ojciec...

Poczuł, jak lodowacieje. Jego ojciec odszedł z tego świata.

- Gerard, jesteś tam?

- Tak.

- On nie żyje. Nic tego nie zapowiadało, prawda? Lekarz nie uprzedził... To nastąpiło tak... tak nagle... Tatus... i w następnej chwili już nie żył...

- Jesteś sama, Pat?

- A jak ci się zdaje? Dochodzi piąta rano! Może mi powiesz, kogo miałam ściągać o tej porze?

- O której umarł?

- Jakąs godzinę temu... zresztą nie wiem... Co ja robiłem godzinę temu? - usiłował sobie przypomnieć.

- Byłaś przy nim?

- Tak. Położyłam się spać przy otwartych drzwiach... Około pierwszej usłyszałam, jak jęczy. Weszłam, siedział na łóżku i... mamrotał coś takim okropnym, cienkim głosem... Poruszał rękami i błędził wzrokiem po pokoju... Na mnie nawet nie spojrzął... Był niemal biały, bład jak ściana... usta mu też zbiełaly... Chciałam mu dać proszek, ale... Usiłowałam go położyć, chciałam, żeby zasnął... Myślałam, że gdyby zasnął, odpoczął, może... A potem on zaczął... tak okropnie... charczeć...

- O mój Boże!

- Ja wiem, ty wolałbyś o niczym nie wiedzieć... Od kilku godzin usiłuję się z tobą skontaktować... od tamtej chwili... Portier obdzwonil dziesiątki pokoi, ale wszędzie odbierały jakieś pijanice. Ty też jesteś pijany? Po głosie poznaje, że tak!

- Może trochę. - Prawda, Levquist nie ma telefonu, pomyślał, ale to się przecież zdarzyło już jakiś czas temu, co ja mogłem wtedy robić? Gapiłem się na tańczącego Crimonda? Biedna Patricia. - Trzymaj się. Pat - wybąkał.

- Więc jednak jesteś pijany! Jasne, że się trzymam. Cóż innego mi pozostaje? Jestem półżywa z rozpaczy i samiuteńka jak palec...

- Może się lepiej położyć.

- Nie zasnę! Ile ci zajmie droga do domu, godzinę?

- Najwyżej godzinę, ale teraz nie mogę wyjechać.

- Jak to?

- Przyjechałem tu z paroma osobami, nie mogę ich tak zostawić, nie mogę wyjechać bez uprzedzenia, a Bóg raczy wiedzieć, gdzie się wszyscy porozłaziłi.

Nie mogę wyjechać nie zobaczywszy się z Duncanem, przyznał szczerze sam przed sobą.

- Twój ojciec umarł, a ty chcesz zostać na balu, żeby obtań-cowywać jakieś pijane cizie!

- Przyjadę natychmiast, jak tylko będę mógł - zapewnił. -Przepraszam, Pat.

Trzasnęła słuchawką.

Przez jakiś czas siedział w ciszy z zamkniętymi oczami, a potem zaszeptał:

\_ O mój Boże, mój Boże, mój Boże!

Ukrył twarz w dłoniach i zajęczał spazmatycznie. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że ojciec dogasa, nawet wspominał o tym ze spokojem Levquistowi, ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna od mających ją oswoić wybiegów tchórzliwej wyobraźni. Domyślał się, czego nie chciał do siebie dopuścić: nieodwracalności tego wydarzenia. Miłość, ta dawna, tkliwa, bezgraniczna i wszechpotężna, o której już zapomniał, której może nigdy nie znał, zbiegła się do niego momentalnie ze wszystkich rozproszonych części jego duszy, złamana cierpieniem, spłakana, wyjąca z bólu po tej nagłej stracie. Więc już nigdy nie porozmawia z ojcem, nie zobaczy jego uśmiechniętej, serdecznej twarzy, nie będzie cieszył się jego szczęściem, pławił w ciepłe jego bezwarunkowej, ojcowskiej miłości. Chwyciły go wyrzuty sumienia, nie dlatego, aby był złym synem (wcale tak nie uważał), ale dlatego, że teraz nie był już niczym synem, a tyle jeszcze między nimi zostało do powiedzenia. Miejsce, w którym był kimś jedynym, wyjątkowym i niepowtarzalnym, bezpowrotnie zniknęło z tego świata. Och, mój ojcie, ojcie, mój kochany ojcie !

Usłyszawszy kroki na schodach, wstał szybko i otarł twarz, choć nie spływały po niej łzy, po czym zwrócił ku drzwiom spokojne spojrzenie. Wszedł Jenkin.

Gerard zdecydował w jednej chwili, że nie powie mu o śmierci ojca. Powie później, kiedy będą we dwóch wracali samochodem do Londynu. Wolał w ogóle nie zaczynać, wszak mogło mu za chwilę przeszkodzić wejście kogoś z pozostałych przyjaciół. Lepiej już zamilczeć. Jenkin to zrozumie.

Riderhood, który nauczył się czytać w myślach Gerarda, domyślał się, że przyjaciel przejrzał i potępia jego podniecenie, Wr?cz radość, wywołane małą, dramatyczną scenką, jakiej byli medawno świadkami. Przeczynał również, że Gerard ocenia nader krytycznie jego zachwyty nad rozwirowaną w tańcu szkołą spódniczką Crimonda. Martwiła go ponadto gaucherie, jaką wy-azał w tańcu z Rose, żałował, że nie jest lepszym tancerzem Ze tak obcesowo zbył jej pytanie. Prawdę mówiąc, nie zdawał

sobie nawet sprawy, jak bardzo jest zawiany. Kiedy Rose, wymawiając się zmęczeniem, odmówiła mu następnego tańca, od-;j szedł spieszenie balowe szranki w poszukiwaniu Duncana. ale go nie znalazł. Przez jakiś czas ścigał ubraną na białą postać, którą wziął za Tamar, zniknęła mu jednak z oczu, zanim ją dogonił. Tymczasem Tamar przestała tańczyć z Duncanem i została przezeń odprawiona z niejasnym poleceniem: „A teraz zmykaj i baw się dobrze”. I ona zresztą nie czuła najmniejszej ochoty ani nakazu płynącego z obowiązku, by mu nadal towarzyszyć, był najwyraźniej kompletnie pijany i bądź to nie chciał, by dłużej go w tym stanie oglądała, bądź też całkiem zapomniał, że została sama, bez partnera. Zaczęła snuć się bez celu po miejscach otwartych, „na widoku”, w nadziei, że dostrzeże ją ktoś ze znajomych. Całkiem natomiast porzuciła nadzieję na odnalezienie kaszmirowego szala. Pewnie ktoś go ukradł.

Gerard, który z łatwością czytał w myślach Jenkina, dojrzał chmurkę, zaciemniającą sumienie przyjaciela, i pośpieszył ją rozwiązać.

- Słuchaj, może odkopałbyś tę flaszeczkę, którą gdzieś tu podobno zachomikowałeś? Mam już po dziurki w nosie tych bąbelków.

Przeszli do utrzymanej w nieskazitelnym porządku sypialni Levquista, niewiele się różniącej od studenckiej, gdzie stało tylko wąskie, żelazne łóżko oraz umywalka z miednicą, dzbankiem na wodę i mydelniczką. Jenkin zaczął szperać w pościeli i wnet wydobyl butelkę whisky. Na stoliku obok łóżka stała karafka z wodą, nader przydatne znalezisko, bo w mieszkanku nie było oczywiście łazienki ani bieżącej wody.

- Już dnieje, może odsłonić zasłony?

- Niestety, nie da się ukryć - skrzywił się Hernshaw. - Co za ohydny widok!

Rozsunął zasłony i do pokoju wlała się zimna słoneczna jasność.

- Duncana nigdzie nie mogłem znaleźć. Może jest w parku. Chmara ludzi się tam szwenda.

- Nie powinni się tam zapuszczać.

- Co poradzisz?

Na schodach rozległy się ciężkie, niepewne kroki.

- To na pewno on! - zawołał Jenkin i otworzył drzwi.

Duncan wtoczył się do pokoju, podszedł prosto do fotela i zwałił się nań z trzaskiem. Przez chwilę patrzył tępo w sufit, potem przesunął dłonią po oczach, podobnie jak nieco wcześniej Gerard, zmarszczył czoło, otrząsnął się jak zmokły pies i wyprostował z wysiłkiem.

- Boże. Jesteś cały mokry! - wykrzyknął ze zgrozą Jenkin.

Istotnie tak było. Spodnie, a częściowo i marynarka przybitego, były nasiąknięte wodą i zabłocone. Błotnista ciecz kapiała na dywan, rozprzestrzeniając się na nim ciemną plamą.

Duncan zauważył plamę i mruknął:

- Psiakrew, ale się stary ucieszy!

- Zajmę się tym - rzekł Gerard.

Przyniósł z sypialni dwa ręczniki, jeden wręczył Duncanowi, drugim zaczął wycierać kałużę na dywanie, podczas gdy Duncan próbował osuszyć garnitur.

- Jestem zalany w trupa - wybełkotał, po czym dodał w charakterze wyjaśnienia: - Wpadłem do rzeki. Zupełny idiotyzm!

- Ja też jestem zalany - pocieszył go Jenkin.

- Whisky? Mogę sobie golnąć?

Jenkin nalał trochę do szklanki i dopełnił wodą. Duncan niepewną dłonią ujął szklankę.

Na schodach rozległy się pospieszne kroki. Weszła Rose. Od progu dojrzała Duncana.

- Kochany, tu jesteś, jakże się cieszę! - Nie wiedząc, co mu jeszcze powiedzieć, wykrzyknęła z udawanym oburzeniem: -Więc przerzuciliście się na whisky, ładnie to? Nie, ja dziękuję, już ani kropelki! Co ma znaczyć ta kałuża na podłodze?

- Wpadłem do Cher - objaśnił ją Duncan. - Stary i głupi Pijus!

- Biedaku! Gerard, włącz słońeczko. Przestań rozcierać tę plamę, powiększasz tylko szkodę. Daj no mi ten ręcznik. Zobacz, CZY w dzbanku w sypialni jest woda.

Okazało się, że tak. Rose podkasała zieloną spódnicę, ukłękła na podłodze i zaczęła skomplikowaną operację: z użyciem nie-wielkiej ilości wody, przemyślnymi ruchami ręcznika wtarła błotnistą plamę w dość ciemny na szczęście i solidnie wydeptany dywan.

Obawiam się, że powalaliśmy Levquistowi ręczniki. Służący je wymieni. Nie zapomnij dać mu sowity napiwek, Gerardzie.

Ktoś wbiegał po schodach, potykając się w pośpiechu, i po chwili do pokoju wpadł jak bomba Gulliver Ashe. Nie spostrzegłszy w porę Duncana, wyrzucił z siebie nowinę, z jaką przybył.

- Była jakaś chryja nad rzeką! Mówią, że Crimond wrzucił do Cherwell jakiegoś faceta!

Dostrzegłszy przemoczonego Duncana, poniewczasie zakrył dłonią usta.

- Guli, bądź tak dobry i zostaw nas samych - poprosił Gerard.

Guli odwrócił się na pięcie i sfrunął ze schodów.

Gulliver zgubił Lily Boyne. Było mu z tego powodu przykro, świetnie mu się z nią tańczyło, chociaż przykro umiarkowanie, bo zdał sobie sprawę, że choć ostatnio niczego nie wypił, nie licząc kieliszka szampana, który ktoś zostawił na trawie, czuł się znowu okropnie pijany, zbierało mu się na mdłości i wręcz słał się ze zmęczenia. Lily, która ściągnęła w tańcu białą bluzkę, zmięła i cisnęła między tańczących (pochwycił ją i przywłaszczył sobie pewien nieznamy młodzieniec), odsłaniając koronkową halkę, dostatecznie gęstą, by nie dać powodu do zgorszenia, również oświadczyła, że jest kompletnie „złachana” i musi sobie przysiąść. Guli wyszedł na chwilę za potrzebą i stwierdził po powrocie, że Lily zniknęła.

Właśnie wtedy doszły go szeptane plotki o Crimondzie. Wyproszony z mieszkania Levquista wałęsał się bez celu, zrazu pod krążgankami, gdzie udało mu się dostać, pomimo braku ochoty, szklankę piwa, potem wśród namiotów na głównym trawniku.

Wstawał już jasny dzień. Budził się straszny, inkwizytorsko surowy, gasząc zaczarowany las i całą magię nocy, a obnażając scenę przypominającą prawdziwe pobożowisko: zdeptana trawa,

opróżnione butelki, potłuczone kieliszki, przewrócone krzeselka, rozrzucone wszędzie fragmenty garderoby i rozmaitość zgoła nieciekawych pozostałości po licznej ludzkiej gromadzie. W nieubłaganym słońcu nawet pasiaste pawilony wyglądały jak brudne i wymięte szmaty. Darły się wniebogłosy kosy i drozdy, świergotały sikorki, strzyżyki, rudziki i szpaki, kwiliły jaskółki i niezliczone inne ptaszęta, gruchały gołębie, krakały gawrony, spomiędzy zaś wielkich drzew parku dobiegało głucho, bliższe niż dotąd, uparte kukanie kukułki.

Muzyka taneczna wciąż jednak

nie milkła. W otwartej już na oścież przestrzeni, pod wysokim, bezchmurnym, błękitnym niebem, zagłuszana ptasim jazgotem, brzmiała ciszej i wręcz nierealnie. Do pawilonu z bufetem ustawiała się już kolejka, ale spora część balowiczów, niezdolna przerwać taniec, płaśała dalej, porwana ekstazą, a może szalonym pragnieniem przedłużenia czaru i opóźnienia nadciągających nieuchronnie dokuczliwości i bolączek: wyrzutów sumienia, rozterek, zawiedzionych nadziei, ległych w gruzach marzeń oraz wszelkich dojmujących trosk dnia powszedniego. Guli, prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciwko śniadaniu, perspektywa jajek na bekonie stała się dlań nagle nieodparcie kusząca, wołał jednak nie stawać w kolejce samotny jak kołek w płocie, poczuł zresztą pewną silniejszą, pilniejszą potrzebę; zapragnął mianowicie przysiąść gdzieś sobie, a jeszcze lepiej - wyciągnąć się wygodnie. Postanowił najpierw trochę odetchnąć, a do bufetu wrócić później, gdy ścisk się przerzedzi. Na sprofanowanej, zdeptanej, zaśmieconej trawie leżały tu i ówdzie, obok innych odpadków, ludzkie ciała, przeważnie męskie, w większości pogrążone w głębokim śnie. Lawirując między nimi, Gulliver minął w pewnym momencie, choć go oczywiście nie poznał, kaszmirowy szal Tamar, obecnie brudną, wymiętą szmatę, której jakiś nieszczęśnik użył do usunięcia skutków niedyspozycji, wywołanej butelką czerwonego wina. Nad rzeką Cherwell wisiała zwiewna mgiełka. Przez sklepioną bramę Gulliver wyszedł do parku. Park, ostoję jeleni, ogłoszono, ze względu na ochronę przyrody oraz bezpieczeństwo, strefą dla balowiczów zakazaną. Wszelako obecnie, zapewne dlatego, że tańce miały się już ku końcowi, strażnicy w melonikach zniknęli i wśród zagajników snuli się tu i tam zakochani. W dali, na spowitych mgłami zielonych polanach, pasły się jelenie i żwawo kicały zające. Gulliver zapuścił się nieco dalej w głąb parku, rozkoszując się rześkim, nadrzecznym chłodem poranka i widokiem nie zdeptanej trawy. Potem usiadł pod drzewem i zasnął. Tamar wreszcie znalazła Conrada. Jakiś czas siedziała na krześle w jednym z namiotów i, prawdę mówiąc, trochę się zdrzemnęła. Kiedy wyszła z namiotu, na jasnym niebie wschodziło już słońce. Dienne światło obnażało wstrętą rzeczywistość. Dół białej sukni panny Hernshaw był powalany czymś szarym. Tamar c?uła się okropnie, niczym zbrzydła zjawa. Zamierzała uczesać

włosy swym małym grzebykiem, ale gdy go niechcący upuściła, nie odwróciła się nawet, by podnieść. Szła przed siebie wolno, byle iść, choćby po to, by nie stać nieruchomo w miejscu, co mogłoby zwracać uwagę. Świat wydawał się jej nierealny i przerażający, śmiech i dźwięki muzyki nadlatywały z podmuchami wiatru niczym lekkie klapsy, sprawiając, że mrugała powiekami i krzywiła się. Głowa jej ciążyła, opadały kąciki ust. Zbliżyła się do pawilonu, w którym nadal puszczano z taśm muzykę pop, i mijając go, zajrzała do środka. W jednej chwili odmienił jej się świat. Conrad, jej wysoki amerykański chłopak, podrygiwał na parkiecie, śmiał się i okręcał w piruetach. Tamar już miała krzyknąć i skoczyć ku niemu, gdy zobaczyła, że tańczy z Lily Boyne!

Odwróciła się na pięcie, zakryła ręką twarz i puściła się biegiem przez trawnik. Podkasawszy długą suknię, przemknęła przez krążanek i główną bramą wybiegła na High Street. Piękna, zakreślona jak sierpem ulica świeciła dostojną pustką w ciepłym blasku porannego słońca. Tamar już nie biegła, szła jednak szybkim, wyciągniętym krokiem, niczym zbieg uchodzący przed pogonią. Podczas biegu pękł pasek u jednego z pantofelków, więc z lekka kuśtykała, mijając wspaniałe gmachy, lśniące w czystym, chłodnym słońcu na tle świetlistego błękitu

nieba. Drżała z zimna, tymczasem płaszcz, który, przewidując chłodny poranek, zabrała ze sobą, leżał zamknięty w samochodzie Lomasa. Na całe szczęście, choć zapodziała gdzieś szal, nie zgubiła podczas tej okropnej nocy małej wieczorowej torebki z kosmetykami, pieniędzmi i kluczami, którą, całkiem o niej zapomniawszy, nosiła przez cały czas okręconą wokół nadgarstka. Podkasując wysoko pogniecioną suknię, potargana, nie przypudrowana, szła szybkim krokiem w stronę dworca autobusowego. Nieliczni o tak wczesnej porze przechodnie oglądali się ze zdumieniem za tą dziwnie ubraną, zapłakaną dziewczyną. Kiedy dotarła do dworca i wsiadła do londyńskiego autobusu, rozdzwoniły się wszystkie dzwony w Oksfordzie, wybijając godzinę szóstą.

Po wyjściu Gullivera pozostała w pokoju czwórka starała się unikać nawzajem swych spojrzeń. Rose postawiła piecyk elektryczny w sąsiedztwie przemoczonych nóg Duncana, spytała,

cZy mu nie za gorąco, po czym żartobliwie skomentowała obłoki nary. Jakie zaczety S'C niebawem unosić z nogawek. Duncan odpowiedział bagatelizująco, że jest już prawie suchy, naprawdę, więc niech sobie nie robi zachodu, i temu podobne. Jenkin i Gerard nadal poili się whisky. Uznano zgodnie za wielce niefortunne, że nie zostało już nic do jedzenia i obwiniono Gullivera

O pożarcie wszystkich kanapek. Jenkin żałował, że nie wziął ze sobą czekolady, choć, jak oznajmił, nosił się z takim zamiarem. Gerard i Jenkin rozważali, czy któryś z nich nie powinien się udać do śniadaniowego bufetu, aby przynieść reszcie towarzystwa kiełbasę i chleb. Roztrząsali kwestię, czy mogliby już tego dokonać bez konieczności wystawiania w długim ogonku, nie doszli jednak do żadnej konkluzji. Wszyscy czworo zastanawiali się w skrytości ducha, czy Jean się w ogóle pokaże i jak mają postąpić, jeśli się nie zjawi.

Jean Kowitz-Cambus zjawiała się jednak po małej półgodzinie. Z głośnym, miarowym stukotem obcasów weszła po schodach

I wkroczyła do pokoju już ubrana w płaszcz, narzucony na sławetną czerwoną suknię obszytą czarną koronką, którą się tak zachwycała panna Curtland. Jean najwyraźniej starannie sobie zaplanowała to wejście. Była gotowa do natychmiastowego wyjazdu, ubrana, umalowana i uczesana. Kruczoczarne włosy, lśniące niczym pióra egzotycznego ptaka, tak gładko przylizane, że wyglądały jak emaliowane, spływały na tył głowy, okalając twarz o rysach z lekka jastrzębich, której wyraz, cokolwiek początkowo twardy, choć spokojny, rozluźnił się w reakcji na szczerze radosne powitanie Rose.

- Jean. kochanie, nareszcie jesteś! Jakże się cieszę! Objęła przyjaciółkę, która poklepała ją po ramieniu, po czym

uniosła się w zachwycie nad porannym śpiewem ptaków. Gerard i Jenkin trzymali się podczas tej sceny na uboczu. Następnie •Jean podeszła do Duncana, który pólleżał rozwalony na fotelu, i spytała:

- No i jak, staruszkę? Ululaliśmy się, jak zwykle? Kto mu pomoże wstać?

Duncan podniósł ręce, Jenkin ujął go za jedną, Gerard za drugą i wspólnym wysiłkiem pomogli przyjacielowi stanąć na nogach.

Jean i Duncan odbyli następnie krótką małżeńską rozmowę.

Jean spytała, gdzie jest jego płaszcz, na co odrzekł, że chyba w samochodzie, tylko gdzie zostawili samochód? Jean przypomniała mu gdzie: nie na parkingu, lecz na pobliskiej uliczce.

Ucieszyli się oboje, że wóz nie stoi na parkingu. Z tą opinią zgodził się również Jenkin.

Można zostać zablokowanym, młodzi są tacy bezmyślni. Panna Curtland zażartowała, iż ma nadzieję, że to Jean usiądzie za kierownicą, na co przyjaciółka zapewniła ją, że tak właśnie będzie. Potem cmoknęła w policzek Gerarda, Jenkina i Rose. Duncan pocałował Rose i usiłował spierać się z Gerardem o udział w napiwku dla pedela profesora Levquista. Rose objęła Jean, ucałowała ją serdecznie i pogładziła po włosach, po czym w wymownym uścisku zamknęła Duncana. Jean ponaglała męża, w końcu wzięła go pod ramię i pociągnęła w stronę

drzwi. Wśród pożegnalnych okrzyków i machania dłońmi, oboje się wreszcie wytarabani. Odgłosy ich kroków ścichły w dole schodów.

Zaległa stosowna cisza, którejomal nie zburzył cichym śmieszkim Jenkin. Stłumił go jednak w porę, podszedł do okna i wyjrzał na dwór, przybierając odpowiedni do okoliczności wyraz twarzy. Rose spojrzała na Gerarda, który zmarszczył lekko czoło i odwrócił oczy.

W końcu, jako że pozostała dwójka oczekiwała odeń jakiegoś oświadczenia, stwierdził:

- Hm, mam nadzieję, że nic się złego nie stało i nie będziemy już zmuszeni wracać do tego incydentu.

- Ty może zdołasz o tym nie myśleć - powiedział Jenkin, odwracając się od okna z miną należycie spoważniałą - co do mnie, wielce wątpię.

- Gerard jest specjalistą od niemyślenia o tym, o czym, jego zdaniem, myśleć nie powinien - stwierdziła Rose.

- Lub zdaje mu się, że nie powinien - dopowiedział Jenkin.

- Pora na nas - zarządził energicznie Hernshaw. - Zostawię tylko kopertę dla służącego profesora.

Rose najchętniej wracałaby do Londynu z Gerardem, przyjechała jednak własnym samochodem, częściowo dlatego, iż Gerard zapowiedział, że zabiera Jenkina, a częściowo dlatego, że chciała mieć swobodę wyjechania wcześniej, przed innymi, gdyby poczuła się nagle zmęczona. Poszła po płaszcz, który zostawiła w sypialni Levquista, po czym wszyscy troje postarali się

doprowadzić pokój do jakiegoś takiego ładu, choć bez zbytniego zapału. Potem zeszli po schodach i przez krużganek wyszli na skąpany w słońcu dziedziniec. Przywitał ich hałaśliwy chór ptaków i głośnie kukanie kukułki.

Gulliverowi przyśnił się cudowny sen. Pochylała się nad nim przepiękna dziewczyna o wilgotnych, zmysłowych wargach i wielkich, czarnych, błyszczących oczach ocienionych długimi, oętymi rzęsami. Owiął go ciepły, wonny oddech, aksamitne wargi musnęły go w policzek, a potem dotknęły ust. Obudził się i ujrzał tuż nad sobą wielkie, ciemne, przepiękne oczy, które topiły w jego źrenicach wilgotne spojrzenie. Jeden z parkowych jeleni, ujrawszy zagadkowy ciemny kształt, zwinięty pod znajomym drzewem, przybliżył ku niemu czarny pyszczek, aby go powąchać. Gulliver szarpnął się do tyłu, jelen odskoczył spłoszony, przyglądał mu się przez chwilę z ostrożnym zaciekawieniem, po czym oddalił się truchtem, choć z godnością. Gulliver otarł twarz, zmoczoną delikatnym pocałunkiem płowego zwierzęcia, i wstał. Czuł się okropnie, nie lepiej też wyglądał. Powlókł się z powrotem na teren kolegium. Kręciło mu się w głowie, przed oczami zapalały się jaskrawe błyski, a na peryferiach widzenia tańczyły drobne wężyki czarnych hieroglifów.

Trąc powieki, wszedł pod sklepioną bramą collegium novum na główny trawnik i zatrzymał się nagle jak wryty, jego oczom ukazał się bowiem widok niesamowity zarazem i przerażający. Dokładnie na wprost niego, w jakiej odległości - nie umiałby zrazu ocenić, oszołomiony dziwnością zjawiska, stali w szeregu, właściwie w dwóch szeregach, jeden nad drugim, jacyś obcy ludzie i bacznie mu się przyglądali. Gullivera ogarnęła panika i obezwładniające uczucie bezradności, jakby prawa przyrody u'egły na jego oczach dramatycznemu pogwałceniu. Przetarł Powieki, jednak ludzie w dwuszeregu nie znikali, stali sztywno wyprostowani i wpatrywali się w niego w milczeniu. Dopiero Po chwili uzmysłowił sobie, co to takiego. Oto uczestnicy balu ustawili się po prostu do zbiorowej fotografii. Bliżej Gullivera, zwrócony doń plecami, garbił się fotograf, wpatrując się przez Wlizer stojącego na trójnogu aparatu w upozowane milczące sze-regi, które z kolei weń się wpatrywały. Niedawni tancerze zastygli w bezruchu, większość w pozach uroczystych, choć wielu wyglądało równie żałośnie jak Guli: ich stroje były wymięte, twarze zatarte zmęczeniem, obnażone w okrutnym blasku poranka, tępe i ziemiste. Zdawało się, że płytko pod śpiewem ptaków rozciąga się cisza, jaka zapadła wśród pasiastych namiotów po ucichnięciu muzyki.

Marszcząc czoło i wyteżając wzrok, Gulliver przesunął spojrzeniem po gęstej gromadzie gapiących łę nań postaci, wypatrując znajomych twarzy. Nie zdołał dojrzeć Jerarda ani Rose, Tamar ani Jean, Duncana ani Crimonda. Wyburzył natomiast Lily. Stała obok Conrada Lomasa i obejmowała go w pasie. Gulliver przemknął chyłkiem przed frontem >achu, kierując się ku parkingowi. Zastanawiał się, czy zastanie nochód zatarasowany. Był zatarasowany.

Gerard przekręcił klucz w zamku i wszedł do cichego domu. W samochodzie po drodze do Londynu powiedział Jenkinowi

O śmierci ojca. Jenkin wpadł w przygnębienie, wręcz rozpacz, a szczerść jego żalu z powodu odejścia ze świata pana Hern-shawa. którego znał od lal, była naprawdę wzruszająca. Po kilku jednak okrzykach bólu zwrócił myśli w całkiem inną stronę

I począł się martwić, czy przyjaciel nie będzie nazbyt cierpiał i czy nie dręczą go wyrzuty sumienia, że niezwłocznie nie opuścił balu. Choć nie wyraził swoich obaw głośno, Gerard wyczuł je intuicyjnie pod niezręcznymi słowami współczucia i poczuł irytację. Jechali pod słońce. Gerard poradził Jenkinowi, żeby się trochę zdrzemnął, ten zaś zastosował się skwapliwie do tej rady. odchylił oparcie fotela, przyłożył głowę do zagłówka i natychmiast zasnął. Bliskość śpiącego przyjaciela podziałała na Hernshawa kojąco. W tym momencie Jenkin śpiący był dla niego znośniejszy od Jenkina przebudzonego. Wjechali do Londynu w porze porannego szczytu. Samochód włókł się w żółtym tempie przez Uxbridge, Ruislip i Acton, a Riderhood spał snem sprawiedliwego, ze splecionymi na brzuchu dłońmi i wyciągniętymi nogami, w pomiętej koszuli i rozpiętych spodniach. Jego pulchna twarz wyrażała dziecięcą, błogą ufność. Obecność śpiącego, który powierzał się tak całkowicie jego opiece, podziałała kojąco na bolesne myśli Gerarda, oddaliła je nieco, jakby owinęła ich ostrza miękkimi bandażami. Kiedy podjechali P<sup>o</sup>d mały szeregowy dom Jenkina w Shepherd's Bush, Gerard obudził śpiącego, wysiadł, obszedł samochód, otworzył drzwi i pomógł przyjacielowi wysiąść, nie zapominając o walizeczce, do której Jenkin, jak zapewniał, zapakował wełniany, rozpinany sveter, na wypadek przenikliwszych chłódów, oraz pantofle, na wypadek, gdyby mu stopy spuchły od tańczenia. Z czekolady zrezygnował Qcnir(\

podziękował mu za propozycję, nie całkiem y<sup>o</sup>a szczerą, by wstąpił na herbatę. Obaj czuli, że pora się rozstać. Istotnie, drzwi zamknęły się za Jenkinem, jeszcze zanim Gerard uruchomił silnik. Nie wątpił, że przyjaciel wejdzie zaraz na górę, rozbierze się, włoży piżamę, zaciągnie zasłony, zwali się do łóżka i natychmiast na powrót zaśnie. Prawdę mówiąc, irytował go czasem uporządkowany i uładzony sposób bycia starego przyjaciela.

Teraz stał w holu swojego domu na Notting Hill i nasłuchiwał. Nie obwieścił głośno swojego przybycia. Miał nadzieję, że Patricia już śpi. Dom, dosyć obszerna, wolno stojąca willa z cegły, należał niegdyś do ojca Robina Topglassa, znanego ornitologa, a potem do samego Robina. Przez jakiś czas Gerard i Robin mieszkali w nim razem. Potem Robin ożenił się i wyjechał do Kanady, sprzedawszy dom Gerardowi. Znieruchomiłego w holu Gerarda owiał znajomy zapach i objęła znajoma cisza tej siedziby. Przyglądał się znajomym, milczącym przedmiotom, a raczej jedynie wyczuwał ich obecność - barwnym, ptasim litografiom Johna Goulda, należącym ongiś do ojca Robina, kupionemu na aukcji rzeźbionemu wiktoriańskiemu wieszakowi na ubrania, czerwono-brązowemu kazachstańskiemu dywanowi, który kiedyś przywiózł z Bristolu. Dom zdawał się nań czekać, czegoś po nim spodziewać, jakby oczekiwał, że natchnie otuchą jego mury, przywróci zakłócony porządek, obejmie przewodnictwo. Przede wszystkim jednak zachowywał rezerwę, niczym postronny widz i obserwator, bo nie zdążył się jeszcze zżyć z nowymi mieszkańcami, nie należał do zbyt starych domostw, został zbudowany ledwie w roku 1890, ale niemało już widział. Niejedno już widział, wiele miał jeszcze zobaczyć. Prawdopodobnie obserwował po prostu z ciekawością, jak Gerard się teraz zachowa. A Gerard powiesił na wieszaku płaszcz, który

przyniósł z auta, zdjął frak i muszkę, rozpiął pod szyją koszulę i podwinął rękawy. Jego serce, dotąd względnie spokojne, zaczęło gwałtownie kołatać. Zdjął buty i, niosąc je w rękę, zaczął się wspinać po schodach, przekraczając wydłużonym krokiem dawna skrzypiący stopień. Na podeście stwierdził z ulgą, że drzwi do pokoju siostry są zamknięte. Nie zatrzymał się, podszedł prosto do sypialni ojca i pchnął drzwi. Zaciągnięte zasłony nie przepuszczały słońca, a jednak w pokoju panował beżowy półmrok. Długa, chuda postać na łóżku była od stóp do głów przykryta prześcieradłem.

Gerard przeżył szok na widok tego całunu, który zakrywał również twarz. Pościel została zdjęta, usunięto też cały arsenał choroby: pigułki, buteleczki, szklanki, zniknęły nawet okulary ojca, nawet powieść, którą ostatnio czytał, Rozważna i romantyczna Jane Austin. Gerard postawił buty na podłodze, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Towarzyszyło temu znajome, metaliczne dzwonienie, dźwięk, który w panującej w pokoju niezwyklej ciszy przyprowadził Gerarda o dreszcz, wywołany być może przez jakieś podświadome wspomnienie ze znacznie dawniejszych czasów, kiedy on sam nocował w tej sypialni. Wyrzwał na dwór, na skąpany w zimnym blasku słońca, otoczony pociemniałym od brudu, starym, ceglanym murem ogródek za domem, na porośle zwilgotniałym mchem alpinarium, na różnobarwne (sadzone jeszcze ręką Robina) krzewy różane w pełnym rozkwicie, na orzech i drzewa w sąsiednich ogródkach. Potem odwrócił się i szybkim, delikatnym ruchem, starając się nie dotknąć tego, co się pod nim kryło, ściągnął prześcieradło z twarzy ojca. Zmarły miał oczy zamknięte. Gerard już w drodze zastanawiał się nad tym, jakimi je zastanie: czy będą otwarte czy zamknięte. Przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Ojciec odszedł tak niedawno, zaledwie przed chwilą, a już bezpowrotnie. I ja będę pewnego dnia tak leżał, pomyślał Hershaw, płasko na wznak, z zamkniętymi oczami, i będę wyglądał dokładnie tak samo, długi, wąski kształt, chyba że utonę i moje zwłoki nie zostaną nigdy znalezione, albo roztrzaskam się na miazgę jak Sinclair. Twarz zmarłego, wychudzona, o zapadniętych policzkach, wcale nie była spokojna, wyrażała raczej ciche, refleksyjne zdumienie... dobra, kochana twarz, nieobecna, już obca, woskowa, śmiertelnie blada nad cieniem świeżego zarostu, skurczona, trochę podobna do twarzy żywego ojca, a trochę niepodobna, jak dzieło sztuki, jakby jakiś mierny artysta wyrzeźbił dosyć wierną, ale bezduszną Podobiznę. Nie ulegało wątpliwości, że dusza już uleciała, nikt, żadna osoba nie zamieszkiwała już tego oblicza, wyraz zdumienia był ostatnim śladem, jaki po niej pozostał, niczym list pożegnany. Gerard uniósł nieco prześcieradło z boku ciała, chcąc Przyjrzeć się dłoni ojca, czym prędzej jednak z powrotem ją zakrył, sprawiała bowiem przerażające wrażenie, wyglądała jak żywa; kościste, tak dobrze znajome, pokryte starczymi plamami Palce były, choć znieruchomiałe, rozluźnione jak u śpiącego.

Szyję, ciemniejszą w barwie, wychudzoną, o wyraźnie widocznych mięśniach i ścięgnach, opinała nie pomarszczona niemal skóra. Natomiast zmarszczki na twarzy wyglądały jak wyżłobione w bladym wosku głębokie bruzdy. Twarz ojca, która długo zachowywała młodość, bardzo się w ostatnim czasie postarzała, oczy zapadły głęboko w fałdy skóry, dolne zaś powieki osobliwie w środku popękały, jakby celem utworzenia odpływu dla ciągłego wycieku wilgoci z oczu. Teraz te kanaliki były jednak suche, podobnie jak cała twarz i zakryte powiekami oczy. Śmierć osusza łyż zmarłych. Nieżywa, sucha jak pergamin twarz wyglądała starzej niż za życia, jakby proces starzenia się uległ w tej wielkiej przemianie nieznaczonej metamorfozie. Wkrótce zacznie przebiegać szybciej, gwałtownie przyspieszy. Ojciec wyglądał na zagłodzonego, co wcześniej tuszował w pewnym stopniu jego stoicki humor, który obracał każdy kolejny atak śmiertelnej choroby w dobrotliwy żart na własny temat. Bez okularów w przezroczystej oprawce i sztucznych zębów ta śmiertelna maska upodobniła się do starożytnej, nos wydłużył się i zaostrzył, podbródek się zapadł, rozbrojone usta rozchylały się bezradnie. Ojciec przyodziął się w śmierć niczym w garnitur, który leżał na nim doskonale.



Patricia widziała, jak ojciec umiera, pomyślał Gerard. On sam oglądał już zmarłych, lecz nigdy umierających. Kiedy śmierć nadchodzi, rozważał, jest dziełem jednej chwili, czyż nie? Nie może być inaczej, wynika to wprost z definicji, nie pasuje tu nawet określenie „chwila”. Mówimy tak, bo wszak musi być jakaś chwila ostatnia. To, co nazywamy powolną śmiercią, jest tylko powolnym konaniem. Można, co prawda, wyobrazić sobie ów kres ostateczny jako skok nad strumieniem, tyle że bez strumienia i bez osoby skaczącej. Po prostu ostatnia chwila. Czy umierający przeczuwa, czy ma czas pomyśleć: „to nastąpi zaraz, za chwilę”? Może to wiedzieć zbrodniarz, skazany na śmierć. Pod tym względem wielu z nas przypomina skazanych na śmierć zbrodniarzy. Tak niewiele czasu upłynęło od wczorajszego wieczoru, kiedy ojciec życzył wyjeżdżającemu na bal Gerardowi dobrej zabawy. „Jutro mi wszystko opowiesz”. Od pożegnania z ojcem - żywym - Gerard nie spał ani minuty. Ta okoliczność również ważyła na jego odczuciach. Dla Patricii odejście ojca, choć nagłe, musiało być dostrzegalne - na chwilę

zedtem wysiłki, by nawiązać z nim porozumienie, okazać po-rnoc uspokajanie, prośba: „odpocznij, wkrótce poczujesz się lepiej • w chwilę potem - zupełna samotność, zadanie skończone nic więcej do zrobienia, pustka. Mój Boże! Jak to się odbywa^ - zastanawiał się. Umieranie nie może być trudne, toż każdy przez nie przechodzi. Może przypomina drobny ruch, coś w rodzaju szybkiego odwrócenia głowy? Pewnego dnia i ja go wykonam. Skąd będę wiedział, jak się do tego zabrać? Kiedy przyjdzie pora. będę wiedział, podpowie mi to moje ciało, ono mnie nauczy, zachęci, w końcu zepchnie w przepaść. Czy śmierć wymaga wysiłku, czy przypomina raczej zapadanie w sen, czynność, która następuje nie wiadomo kiedy? W całkiem ostatnim momencie, w tym punkcie, w którym wszystkie zgony są do siebie podobne, umieranie jest chyba łatwe. Wynika to z samej definicji śmierci. W tym miejscu, już z nawyku, Gerard zabronił swoim myślom zagłębiać się w dociekania, na ile czasu przed śmiercią Sinclair wiedział już na pewno, że zginie. Nazbyt często się nad tym dawniej zastanawiał. Nie wolno mu ponownie zbłądzić wyobraźnią w tamte rejony. Wzdrygnął się, patrząc na martwe ciało, tak jeszcze niedawno żywe, a teraz tak okropne, odpychające. Nakrył twarz nieboszczyka, wstał i odszedł od łóżka. Starał się nie spuszczać oczu z podłużnego, znieruchomiałego kształtu, na którym białe prześcieradło układało się niczym fał-dzista draperia rzeźby, i starał się patrzeć na nie jak na zjawisko ponadjednostkowe, rodzaj pomnika. Podeszedł do okna i zapatrzył się na blade, owalne liście orzecha, szarpane wiatrem, prześwietlone słońcem. Wyglądały jak karteczki z drzewa wiadomości dobrego i złego, jak przywiązane do gałęzi papierowe modlitwy. Nagle chwyciło go porażające, przesywające współczucie dla ojca. Wydawało się rzeczą absurdalną, choć zarazem tak naturalną, litować się nad kimś tylko dlatego, że nie żyje. Bezradność zmarłych wydaje się na pierwszy rzut oka ogromnie wzruszająca, raczej żałosna niż tragiczna, wzrusza nas ich słabość, bezbronność tych „bezsilnych głów”. Adi ' h'edny mezwv w człowiek! Ach, biedna, biedna istota! mój biedny, mój drogi, mój kochany, nieżywy ojcie! Uwol- jest!13 ? tL>m m'\*0^ P tyme wezbrany m nurtem dopiero teraz, gdy już za późno. Powinienem się z nim częściej widywać. Boże, & j ym mógł spotkać się z nim teraz, choć na chwilę, przytulić

go, pocałować, powiedzieć, jak bardzo go kocham... jak bardz kochałem. Gerard przywołał na pamięć twarz swojego ojca, jeg oczy pełne miłości, patrzył w nie ledwie wczoraj. Po bezsenne nocy wczoraj to prawie dzisiaj. Tyle jeszcze mieli sobie d powiedzenia, tyle on powinien był powiedzieć. Powinien by porozmawiać z ojcem o papudze, ale że moment wydawał m się zawsze nieodpowiedni na taką rozmowę, więc ją odkładał a potem, podczas choroby ojca. ów temat stał się zbyt niebez pieczny, nazbyt trudny i bolesny, by nim obarczać umierające go - choć z drugiej strony tamto wspomnienie, taka rozmów" mogły być właśnie tym, czego ojciec pragnął, na co czekał, tyl że nie mógł już tego zakomunikować. Czasami, kiedy Gerar czuł, że przeszłość znów do niego wraca, że należałoby powie dzieć ojcu jakieś

dobrze słowo w tamtej sprawie, tłumaczył sobie że już nie warto, że „tamto” zostało dawno zapomniane. P coż to dziś odgrzebywać... lepiej nie rozdrapywać starej rany. gdy czas ją wreszcie zbliżnił. Jeszcze częściej wszelako nabierał pewności, że czas wcale tamtej rany nie zbliżnił, a tamta sprawa bynajmniej nie poszła w niepamięć. Przecież on nie zapomniał, więc jakże mógł zapomnieć ojciec? Papuga zjawiała się w ich rodzinie, kiedy Gerard miał jedenaście, a Patricia trzynaście lat. Dostali ją, gdy jej dotychczasowi właściciele, klienci ojca Gerarda, musieli w pośpiechu opuścić Anglię, zostawiając za sobą rozgrzebane interesy, które adwokat Hernshaw miał doprowadzić do ładu, oraz ptaka, któremu należało znaleźć nowy dom lub oddać go do sklepu zoologicznego. Gerard od pierwszej chwili zapłonął do papugi gorącym uczuciem. Nagłe zjawienie się w ich domu tej ptasiej, lotnej, skrzydlatej istoty graniczyło dlań z cudem, który każdego ranka po przebudzeniu napełniał go szczęściem. Miłość Gerarda wnet zatriumfowała, przełamując początkowy opór rodziców, i ptak u nich został. Papuga, płci męskiej, dostała od poprzedniego właściciela imię żartobliwe i protekcyjne, które Gerard od razu skazał na wieczne zapomnienie. Ptak należał do gatunku żako, toteż Gerard nazwał go Żakiem, uznając to imię za dość sympatyczne, bezpretensjonalne, wyciszone i stonowane jak siwe umaszczenie tych papug. Ochrzczony nowym imieniem ptak był wkrótce w stanie całkiem udatnie naśladować ów krótki, dobitny dźwięk. Matka i siostra Gerarda uparcie nazywały papugę Polly, lecz Żak tym przewiskiem gardził, nigdy też nie przyjęło się ono jako jego pierwsze, główne imię. Opiekował się papugą Gerard, wspomagany dorywczo przez ojca. Żak który wedle zapewnień poprzednich właścicieli był ptakiem młodziutkim, istotnie tryskał zdrowiem, zachwycał urodą i ujmował wdziękiem. Tęczówki jego bystrych oczu, otoczonych eliptycznymi obwódkami nagiej, białej, delikatnej skóry, miały barwę jasnożółtą, nieskazitelnie gładkie pióra mieniły się na orzbiecie odcieniami najczystszej, popielatej szarości, na ogonie zaś i końcach skrzydeł pałały krwistą czerwienią. Wokół szyi i barków Żak nosił kryzę z drobnych, gęsto na „rybią łuskę” ułożonych piórek (Gerard dopatrywał się w nich podobieństwa do kolczugi), które nader wyraziście, w zależności od nastroju ptaka, prześlizgiwały się migotliwie po jego krępym tułowiu. Powyżej pazurków miał jakby futerkowate getry z bielutkiego puchu, a pod skrzydłami krył się ciepły meszek, delikatny jak mięciutka wełna. Żak umiał gwizdać czyściej od najlepszego fletu i tańczyć przy tym do taktu. Na jego muzyczny repertuar, z jakim już przybył do domu państwa Hernshaw, składały się pewna stara dziecięca śpiewanka, fragment popularnej irlandzkiej melodii ludowej z hrabstwa Londonderry i jeden kościelny hymn. Wkrótce Gerard nauczył go ponadto dziecięcej piosenki o trzech ślepych myszkach, którym gospodyni obcięła ogonki, oraz popularnej ballady miłosnej z epoki elżbietańskiej. Żak potrafił naśladować śpiew kosa i pohukiwanie sowy. Jego słownik wzbogacał się wolniej. Umiał wyskrzeczec „cześć”, „dobra, dobra” (ze zniecierpliwieniem), „hurra!” (entuzjastycznie). Potrafił też wrzasnąć, często z komicznym wyczuciem sytuacji, „zamknij japę!” Spośród tego zestawu wypowiedzi, pochodzących z poprzedniego życia Żaka, najbardziej wzruszały, ale i szczególnie mepokoiły Gerarda czule słowa, jakie wypowiadał niekiedy kobiecym głosem, z lekka przeciągając sylaby: „Ach... mój ty zło-eniński... śliczniuski”. Zapewne jakaś kobieta kochała kiedyś aka, podobnie jak on teraz. Może za nim tęskniła? Lecz to y\*a przeszłość, do której Gerard wołał nie wracać, Żak był teraz jego i wyłącznie jego. Pod ręką chłopca okazał się jednak krnąbr-łuły3 UCZn'eiTL Szybko podchwycił ton głosu jego matki, która ^ "ła lamentować: „Ach, mój ty Boże, mój Boże”, ale oparł się erardowi, gdy ten chciał go nauczyć słów „srebrny piasr”, każenia typowego dla papug wszystkich piratów świata. Odwracał gniewnie swą inteligentną, ruchliwą główkę, mrugał ocz mi, jakby ze znużeniem, i zdecydowanie odmawiał powtarzani tych niejasnych, chrapliwych dźwięków. Nauczył się

natomiast szybko nie tylko wymawiać własne imię, ale i wygłaszać oświadczenie, które przypominało jako żywo interesującą deklarację tożsamości: „żako Żak”.

Żak grał przez jakiś czas rolę nowej zabawki dla całej rodziny wnet jednak - jako że tylko Gerard i ojciec czyścili mu klatkę karmili go, sprawdzali, czy nie ma kleszczy i roztoczy, kurowali z drobnych dolegliwości, nosili na badania do weterynarza - sta się wyłącznie „ich” papugą i wzbudzał odtąd znikome jedyni zainteresowanie Patricii i matki Gerarda. Obie przestały czuło do niego przemawiać i wręcz go unikały. Klatkę przeniesiono z salonu do gabinetu pana Hernshawa. Inteligencja Żaka i sam obcowanie z ptakiem stały się dla Gerarda źródłem nieustannej podniecającej radości, uczucia, które nazwał na własny użytek „zakochaniem”. Papuga wniosła do jego domu rodzinnego cały nowy świat, do którego łaskawie chłopca dopuściła, stanowiła pomost łączący Gerarda z wszelkim czującym stworzeniem, była awatarem, wcieleniem miłości. Gerard nie wątpił ani przez chwilę, że ptak wiedział, iż jest kochany i odwzajemniał to uczucie. Bystre, przenikliwe, jasnożółte oczy, otoczone białymi obwódkami, wyrażały, już po kilku tygodniach, niewzruszoną ufność i miłość. W delikatnym, choć mocnym uścisku drobnych, kruchych pazurków, w zaufaniu, z jakim powierzało się dłoniom Gerarda to małe ciało, w wachlarzowatym, zaskakującym objawioną czerwienią, rozpostarciu ogona, wyrażała się najprawdziwsza miłość. Nawet twardą, kościaną tkankę zakrzywionego czarnego dzioba zdawała się, w tajemniczy jakiś sposób, przepełniać czułość. Oczywiście klatka Żaka stanęła wkrótce otworem, fruwał swobodnie po pokoju, przysiadł na palcu bądź na ramieniu Gerarda, przytulał pieszczotliwie miękką, pierzastą główkę do jego policzka, wdrapywał się chłopcu na bark i z ukosa zaglądał w oczy. Obaj często się tak w siebie wpatrywali, kiedy Żak wracał do klatki, przed czym się zresztą nie bronił, i kołysał się, podskakiwał lub dreptał na drążku albo wspinał się na pręty, czasem łebkiem w dół, i zastygał w bezruchu, by lepiej się czemuś przypatrzeć, przysłuchać bądź tylko zwrócić na siebie uwagę. Wrażenie, że ma się do czynienia z czującą, istotą o żywej inteligencji było nieodparte. Papugi siwe nie osiągały zbyt dużych rozmiarów. Gerard nieraz brał ptaka do rąk. czule obejmował złożone skrzydła, tulił do piersi małą główkę i lekkie, kruche ciało lub wkładał Żaka pod koszulę i przytulał do serca, gładził jedwabiste piórka, obejmował dłonią cienkie, kruche kosteczki, a delikatne pazurki zaściskały się z absolutnym zaufaniem na jego palcu.

Papuga, akceptowana początkowo powszechnie jako ulubieniec Gerarda, stała się niebawem kością niezgody w rodzinie. Panią Hernshaw (miała na imię Annette) złościły, co skądinąd zrozumiałe, ptasie gówienka na dywanie. Obie z Patricią spoglądały z niechęcią na pychę posiadaczy, jaką demonstrował Gerard i, choć w mniejszym stopniu, pan Hernshaw (miał na imię Matthew), zaczęły je też irytować powtarzane do znudzenia opowieści chłopca o postępach i wyczynach Żaka. Niewykluczone (do takiego wniosku Gerard doszedł później), że były po prostu zazdrosne. Nie poświęcały papudze dość czasu ani troski, by mogły się z nią naprawdę zaprzyjaźnić. Zbliżając się do dzikiego stworzenia należy poruszać się spokojnie, nie czyniąc ruchów gwałtownych, mówić cicho i łagodnie, przestrzegać ustalonych zwyczajów. Odnosić się doń należy z szacunkiem, trzeba okazywać mu cierpliwość, postępować odpowiedzialnie i starać się zdobyć jego zaufanie. Gerard posiadał tę wiedzę instynktownie. Tymczasem Patricia, może z zazdrości, przez zawiść, zaczęła się z ptakiem drażnić, szturchać go palcem, podsuwać mu pokarm, a potem go szybko zabierać. Oczywiście Gerarda bardzo takie praktyki złościły. Patricia twierdziła, że po prostu bawi się z Polly, która wszak i do niej należała. Gerard tłumaczył siostrze często i wyczerpująco, jak należy traktować ptaka, z którym mają szczęście obcować. (Nigdy nie używał terminu „maskotka”). Pod nieobecność brata Patricia kontynuowała jednak swe prześladowania, aż pewnego dnia Żak chwycił dziobem palec dręczycielki i skaleczył. Wybuchnął krzyk i płacz. Od tamtej pory Patricia trzymała się od papugi z daleka i awantury między rodzeństwem ustały. Kiedy Gerard dorósł i miał wyjechać do szkoły z internatem, prosił Żaka, żeby się nie martwił, bo

wkrótce do niego wróci, a potem, gdy ojciec ją go przynaglać i wołać z samochodu, pożegnał się czule z przyjacielem, przytknąwszy policzek do prętów klatki. W listach Gerarda ze szkoły

pełno było pytań o Żaka i serdecznych pozdrowień dla ukochanej papugi. Gdy wreszcie przyszły wyczekiwane niecierpliwie ferie w połowie semestru, odwieziony przez rodziców jednego z kolegów, wbiegł radośnie do domu i jak burza wpadł do gabinetu. Żaka tam nie znalazł. Wbiegł do kuchni, potem do salonu. A potem zaczął przeraźliwie krzyczeć. Nastąpiły wyjaśnienia. Nie, Polly nie zdechła ani nie uciekła, po prostu odeszła, należała obecnie do kogoś innego. Została oddana do najlepszego sklepu zoologicznego w śródmieściu i kupiona przez jakichś ludzi, podobno nadzwyczaj miłych, jak zapewnił sprzedawca, gdy Gerard tam zadzwonił. Niestety, nie zna ich personaliów, po prostu przejeżdżali i zabrali Polly samochodem. „Nie zobaczysz więcej tego papużyska!” - krzyczała Patricia. Ojciec Gerarda milczał i spuszczał wzrok. Nastąpiły mętne wyjaśnienia. Pod nieobecność Gerarda opieka nad ptakiem stała się nazbyt uciążliwa, domownicy nie byli w stanie udźwignąć tych obowiązków, Żak zdziczał i stał się agresywny, próbował udukać Annette, przeczytali w specjalnym poradniku, że tak będzie dla niego lepiej... i tak dalej, i temu podobne. Gerard wpadł w histerię. Trwała dziesięć minut. Potem ucichł. Przez dwa dni do nikogo się nie odzywał. Matka chciała go już prowadzić do psychiatry. A potem, całkiem nieoczekiwanie, podjął normalne, uprzejme, na pozór radosne stosunki z rodziną.

O papudze więcej nie wspomniano. „Już po wszystkim, chwała Bogu!” - ucieszyła się Annette. Ojciec Gerarda był jednak odmiennego zdania. Zdawał sobie sprawę, jak strasznie, jak niewybaczalnie zawiódł swego syna. Poddał się, pozwolił się kobietom otumanić, sterroryzować, dla świętego spokoju ustąpił przed ich jazgotliwymi argumentami, uległ ich zardrości i złości. Uwierzył w ich kłamstwa (Gerard nie miał co do tego złudzeń). Mimo upływu lat pan Hershaw wciąż odczytywał w stężonym spojrzeniu syna, gdy je czasem złowił, zapiekłą odmowę przebaczenia, wyczuwał ją w nieuchwytnym niemal chłdzie, jaki przebijał z niektórych gestów młodzieńca, z pozoru ciepłych

i pełnych szacunku. Nawet w niekłamanej czułości, w szczerej synowskiej miłości, zachowała się ta niestępa, lodowa zadra. Nigdy też nie wracali w rozmowach do tamtej sprawy.

Czy to możliwe, zastanawiał się Gerard, czy rzeczywiście mogło być coś z prawdy w stwierdzeniu, że nigdy swojemu ojcu

nie wybaczył? Kobiety go mniej obchodziły. Mniej od nich oczekiwał. Jego miłość dla nich, boje przecież kochał, podlegała całkiem innemu kodeksowi, nie była w takim stopniu kwestią zasad, honoru, odpowiedzialności, prawdomówności. Po jakimś czasie był nawet skłonny uznać ich ówczesną postawę za wy-tłumaczalną, nie do końca irracjonalną. Natomiast zawód, jaki sprawił mu ojciec, jego słabość, jego dwulicowość (wszystko bowiem wskazywało na to, że tamtą nikczemną zbrodnię popełniono tuż po wyjeździe chłopca do szkoły) zraniły Gerarda boleśnie. Wraz z utratą zaufania w bezwarunkową dobroć ojca ubyła na zawsze ze świata jakaś wartość absolutna, bezwzględne poczucie bezpieczeństwa, niewzruszony fundament istnienia. Równie głęboka i równie trwała była rozpacz Gerarda po niezastąpionym pierzastym przyjacielem. Przez całe dzieciństwo, prawdę mówiąc, przez całe swoje życie, nie przestał tęsknić za Żakiem. Zamiar szukania go, chodzenia od sklepu do sklepu zoologicznego, tropienia śladów i temu podobne kroki odrzucił z miejsca jako trud daremny, skutkujący jedynie jeszcze dotkliwszym bólem. Później, kiedy był już człowiekiem dorosłym, przychodziła mu czasem myśl, budząca ogromny smutek i wzruszenie, że Żak prawdopodobnie nadal żyje. Przechodząc obok sklepu zoologicznego, zaglądał czasem i sprawdzał, czy nie ma w nim aby papugi tego gatunku i czy nie jest nią aby Żak. Był zupełnie pewien, że poznaliby się nawzajem. Odczuwał też jednak lęk przed takim spotkaniem po latach, bo mogłoby się ono okazać z różnych powodów zbyt przygnębiające. Prawdę mówiąc,

nie ulegało dlań wątpliwości, że Żak nadal żyje. Nigdy nie rozmawiał o papudze z rodzicami ani z siostrą, nigdy nie wspominał o niej swym późniejszym przyjaciółom - ani Sinclairowi, ani Duncanowi, z którym się bardzo zbliżył po śmierci Sinclaira, ani Robinowi, ani Marcusowi, Jenkinowi ani Rose. Nikomu z nich nie wspominał nawet słowem o papudze imieniem Zak. Tylko raz, przed laty, gdy na placu Świętego Marka w Wenecji, dokąd wybrali się kiedyś z Duncanem, na jego ręku Przysiadł gołąb, a jemu wyrwało się głębokie westchnienie żalu. Był bliski opowiedzenia przyjacielowi o tamtym przeżyciu 7 dzieciństwa, w końcu przyznał jednak tylko, że ptak odświeżył w Jego pamięci „bolesne wspomnienia”. Ach. mój ty złociuśki... sliczniutki... Ilekroć w rozmowie ktoś wspominał o papugach. Gerard natychmiast zmieniał temat. Nigdy też nie wziął żadnego stworzenia, nigdy nie pojawił się w jego życiu kot, pies ani ptak. Powtórka byłaby niemożliwa, zastępstwo - zbyt bolesne. Jakże kruche są te stworzenia, które godzą się dzielić z nami życie jak od nas zależne, jak podatne na naszą ignorancję, nasz zaniedbania, nasze błędy, a przy tym noszące w sobie niemą tajemnicę swojej własnej śmiertelnej natury. Należało porozmawiać z ojcem o Żaku, rozmyślał, należało w jakiś sposób wrócić do tego tematu. Co jednak miałbym mu powiedzieć, w jakie ubrać to słowa, z jakim celem na oku? Nie mogłem po prostu stwierdzić: „Wybaczam ci” bądź nawet: „Już dawno ci wybaczyłem”. Czy zresztą powiedziałbym prawdę;-; a jeśli bym skłamał, czyż kłamstwo nie zostałoby natychmiast przejrane? Tak czy inaczej podobne deklaracje byłyby nazbyt uroczyście, podobnie jak zarzut winy, gdybym z nim zechciał wystąpić. Nie mógł złożyć takiego brzemienia na barki konającego, a długa, wyczerpująca rozmowa w ogóle nie wchodziła w rachubę. Z drugiej jednak strony, właśnie dlatego, że tak mało im zostało czasu, czyż nie był to najważniejszy moment na taką rozmowę? A może takie ryzykowne rachunki sumienia uchodzą jedynie w otoczce obrzędu, więc najlepiej zostawić je księżom? Niewykluczone ponadto, że ojciec już nie czuł się winny i dawno o całej sprawie zapomniał. Nader mało prawdopodobne. Gerard! przez całe życie dostrzegał i trafnie interpretował, tak mu się przynajmniej zdawało, pewien szczególny, błagalny wyraz, czający się w łagodnym spojrzeniu ojca. Z drugiej znów strony nie można było wykluczyć i tego, że ojciec, nosząc przez lata tę ranę w sercu, ten żal i pretensję do siebie, ale i do Gerarda, mógł w końcu nabrać niechęci do syna nie tylko za jego rezerwę, ale i za to, że swoim fanatycznym przywiązaniem do obrzydłego ptaszka w jakiś sposób zapoczątkował rozdzwięk między nimi. Co się tyczy owej „rezerwy”, z pewnością przestała dawać o sobie znać już w oksfordzkich latach Gerarda; „lodowa” zadra została otorbiona. „Przebaczenie” zostało, bo musiało zostać, rozciągnięte w czasie, ale prawdopodobnie naprawdę się dokonało, skoro miłość Gerarda do ojca była tak serdeczna i szczerą, i tak się też z pewnością manifestowała, wbrew ukrytemu bólowi, który jednak nie budził już głosu oskarżeń. Czy fakt, że nigdy ze sobą o tamtym wydarzeniu nie rozmawiali ciy też, że Gerard nigdy o nim nie wspominał, bo wszak do niego należało zrobienie pierwszego kroku - był istotnie tak ważny, tak przygnębiający? Tak, był. Wraz jednak z upływem lat coraz trudniej było wrócić do tamtej sprawy bez ryzyka trudnego do przewidzenia wstrząsu, bez groźby pogorszenia stosunków między nimi. Nie można było o nią zahaczyć ot tak, od niechcienia, czy wpleść lekkim tonem w zwyczajne wspomnienia. W końcu zrobiło się za późno na wszelki w ogóle gest, skonstatował w duchu, wczoraj tak samo za późno jak dzisiaj. Jestem pewien, że Żak przeżył ojca, pomyślał po chwili, papugi żyją dłużej niż ludzie, może i mnie przeżyje, taką mam zresztą nadzieję, mam nadzieję, że jest szczęśliwy. Czy to jednak nie dziwne, że nie wiem, gdzie teraz jest, i czy to nie dziwne, że choć tyle zapomniałem, tamtego nie zapomniałem i potrafię dziś jeszcze doznawać tych samych uczuć? I czy to nie dziwne, że doznaję ich właśnie teraz, kilka godzin po śmierci ojca. Patrzy! przez okno na orzech z modlitewnymi karteczkami liści, na kruche, ulotne suplikacje

do dalekich, okrutnych bogów. Odwracając się w stronę długiej, nieruchomej postaci na łóżku, poczuł nareszcie z ulgą, że oczy mu wilgotnieją.

Otworzyły się drzwi i weszła Patricia Fairfax.

- Co ty tu robisz? - zdziwiła się, a zmiarkowawszy, że pytanie było absurdalne, dodała: - Dawno tu jesteś? Patrz, jednak zasnęłam.

- Niedawno - odrzekł, wycierając grzbietem dłoni oczy.

- Chodź na dół. Dlaczego zdjąłeś buty? Po coś je tu postawi!? Włóż je zaraz. Pożegnałeś się z tatą?

- Tak.

Patricia zerknęła na postać pod prześcieradłem, odwróciła się szybko i zbiegła po schodach.

Gerard wyszedł za nią, zamykając za sobą drzwi.

- Napijesz się kawy? Zjesz coś?

- Jeśli można...

Domyślał się, że przez całą noc nie zmrużył oka. ~ Istotnie.

Weszli do kuchni, Gerard usiadł przy drewnianym, wyszorowanym do czysta stole, a Patricia włączyła kuchenkę elektryczną - Od samego początku, od dnia, gdy Fairfaxowie się doń wprowadzili, drażniła go metodyczna konsekwencja, z jaką siostra obejmowała w posiadanie jego kuchnię. Gerard poczuł się zobowiązany do przygarnięcia na pewien czas - podobno niedługo - Pat i Gideona. Kiedy nieoczekiwanie wypowiedziano im najem mieszkania, tymczasem oni zachowywali się już jak właściciele domu. Poczuł się strasznie zmęczony.

- Pat. kochanie, nie rób sobie zachodu z jajecznicą czy czymś równie skomplikowanym, zrób mi po prostu kanapkę.

- Nie wolisz tosta?

- Może być tost. Zresztą wszystko jedno. Ty coś jadłaś?

- W takiej chwili nie potrafiłabym przełknąć ani kęsa. Gerard zawstydził się, że on to potrafił.

- Powiedz mi, jak to się stało.

- Jeszcze wieczorem czułem się całkiem nieźle...

- Po południu, gdy się z nim żegnałem, też czułem się nie najgorzej.

- Ułożyłam go do snu i sama poszłam spać. Około pierwszej usłyszałam, jak jęczy, kręci się... wydawał takie dziwne, ciche dźwięki... no wiesz, porównywałeś je kiedyś do kwilenia zaniepokojonego ptaka... no więc wstałam i poszłam do niego... nie spał, ale... nie bardzo go mogłam zrozumieć...

- Bełkotał?

- Tak, to się już wcześniej zdarzało... ale tym razem, widzisz... zachowywał się jakoś inaczej...

- Inaczej... chcesz powiedzieć, że już przeczuwał?

- Był... był bardzo przerażony.

- Ach, mój Boże!... - Och, jakie to bolesne, jęknął w duchu Gerard, jakie okropne, jakże mu współczuję, ach, jak to boli, jak potwornie boli! - Przykro mi, Pat, że mnie tu nie było.

- Mogłeś być, gdyby bał nie był dla ciebie ważniejszy.

- Czy cierpiał?

- Nie sądzę. Podałam mu to, co zwykle, ale miał taki... taki okropny, napięty wyraz oczu... no i nie przestawał się wiercić, jakby całe ciało okropnie mu dokuczało.

- Napięty wyraz oczu... Czy powiedział coś, co można było zrozumieć?

- Powtórzył kilka razy: „Pomóż mi”.

- Mój Boże!... Pytał o mnie?

- Nie. Coś mamrotał o stryжку Benie.

Benjamin Hemshaw był młodszym, „wyrodnym” bratem Matthew Hernshawa, ojcem Violet, a dziadkiem Tamar. Zawsze kochał Bena. Dzwoniłaś już do Violet? \_ Skądże znowu! \_ Dlaczego: „skądże”?

\_ [s]je mogłam przecież dzwonić do niej w środku nocy, prawda? Nigdy nie przepadała za naszym ojcem, mało ją by to obeszło. Wie, że nie wspomniał o niej w testamencie.

- Niby skąd?

- Sama jej powiedziałam.

- Musiałaś?

- Spytała mnie wprost.

- Powinniśmy ją jakoś wspomóc.

- Na miłość boską, daj spokój! Mamy teraz inne zmartwienia na głowie.

- Ojciec o niej nie wspomniał, bo zakładał, że sami o niej pomyślimy.

- Tylko spróbuj, a gotowa pokąsać ci rękę. Ta wariatka nienawidzi wszystkiego i wszystkich!

- A jednak przyjmowała pieniądze od ojca... Trzeba jej powiedzieć, że wspominał przed śmiercią o Benie. A co takiego mówił?

- Nie wiem, coś bełkotał... pamiętajcie o Benie czy może: pamiętajcie o Bena tym czy owym...

- Sama widzisz...

- Słuchaj, Gerry, musimy postanowić...

- Chwileczkę, Pat... Czy wiedziałaś, że on... że umiera?

- Dopiero przed samym końcem... wiesz, to stało się nagle... jakoś oczywiste... jakby mi to oznajmił...

- Boże... I byłaś przy tym?

- Tak. Leżał na łóżku, kręcił się, przewracał z boku na bok i coś mamrotał o Benie. Potem nagle usiadł, popatrzył na mnie... z takim okropnym zdumieniem i przerażeniem na twarzy... ro-Zejrzał się po pokoju... i powiedział... powiedział...

- Co? Co takiego?

~ Powiedział, wolno i całkiem wyraźnie: „Tak... mi... przy-0 • Potem opadł z powrotem na poduszkę, lecz nie szybko, w°lniusieńko, jakby układał się do snu... i wydał taki cichy, cieniutki, dziwny odgłos, jakby... jak miauknięcie... więc już wiedziałam, że to koniec. Gerard chciał pytać dalej: co widziałaś, skąd wiedziałaś, nie zapytał jednak, choć czuł, że później nie będzie w stanie zadać takich pytań, że wszystko powinno zostać wyjaśnione teraz, niezwłocznie. Nad tamtymi strasznymi, budzącymi najgłębszą litość ostatnimi słowami ojca: „Tak mi przykro”, zastanowił się potem, na osobności. On mnie szukał, pomyślał, gdy rozglądał się tak po pokoju.

Patricia miała suche oczy i doskonale nad sobą panowała; jej uczucia zdradzał jedynie szorstki, urywany, /nękany głos, jakim odpowiadała na pytania brata. Zaparzyła kawę. Wysunęła szufladę, wyjęła czysty obrus w czerwono-zieloną kratkę i zaściła stół. Potem ustawiła na nim talerz, spodeczek, nóż, łyżeczki, masło, marmoladę, cukier, mleko w niebieskim dzbanku i kromki chleba na talerzyku. Dzbanek z kawą postawiła na ceramicznej płytce.

- Mleko chcesz gorące?

- Nie, raczej nie. Ty nie pijesz kawy?

- Nie.

Podawała Gerardowi papierową serwetkę. Papierowe serwetki, zamiast preferowanych przezeń lnianych, stanowiły widome świadectwo jej rządów. Usiadła naprzeciwko brata i zamknęła oczy.

Dom sprawiał przygnębiające wrażenie. Wydawał się ograbiony i opustoszały. Nareszcie bezpieczny w jego wnętrzu, Gerard czuł w duszy rozpacz, ból i lęk, rozpacz zrośniętą z lękiem. Dręczyło go okropne, niesamowite uczucie nierealności istnienia. Postarał się skupić

uwagę na siostrze. Wiedział, iż jest rzeczą możliwą cenić i podziwiać ludzi, lubić ich towarzystwo, a zarazem serdecznie ich nie znosić. Bliscy i kochani też mogą człowieka irytować, doprowadzać do szału i śmiertelnie nudzić. Takim właśnie rozdartym uczuciem darzył matkę i siostrę. Z biegiem lat, mocą przyzwyczajenia, po prostu dzięki samemu procesowi trwania, jego miłość do nich rosła. Stanowiło to niewątpliwie dowód, że „rodzina” coś jednak dla niego znaczyła, a może tylko, że przez wzgląd na ojca przywykł tolerować towarzystwo nielubianych kobiet, choć, również z powodu ojca, czuł silną niechęć do ich ostentacyjnej odrębności, ich cichego, bab-

slde<sup>o</sup> sprzyśiężenia zwróconego przeciwko „mężczyznom”, jy-ytyczneao. drwiącego, tajnego. Nigdy nie lubił ich śmiechu, • ko dziecko wpadał w gniew, kiedy matka stroiła sobie z ojca żarty złością napawało go również, że ojciec tak łatwo się matce poddaje, rezygnując z władzy i godności pana domu. Jednak, 0oólnie biorąc, życie w ich rodzinie płynęło w zgodnej harmonia wyjąwszy oczywiście tamten okropny epizod i jego dalekosiężne następstwa, więc Gerard nie mógł się raczej uskarżać na nieszczęśliwe dzieciństwo.

Pan Hemshaw był za stary, a jego syn za młody, by walczyć w drugiej wojnie światowej. Gerard kochał wszystkich swoich najbliższych, a znacznie później dostrzegł ze współczuciem, że jego matka i siostra są kobietami silnymi, jedynie rozczarowanymi życiem. Patricia świadomie nie uczyniła użytku z wykształcenia, jakie odebrała, i rozpierał ją obecnie nadmiar energii, dla której nie potrafiła znaleźć ujścia. Była kochającą, zaradną matką i żoną, ale tęskniła do jakiejś mgliście nieokreślonej szerszej sceny, zaszczytniejszej pozycji, rozleglejszej władzy. Gerard przyglądał się teraz jej twarzy, rozluźnionej przez zmęczenie, a może przez senność, jej rozchylonym wargom, które, niczym usta tragicznej maski z antycznego teatru, opadały surowymi liniami ku kącikom. Patricia była imponującą niewiastą, po matce odziedziczyła pociągłą twarz i gładką cerę, minę miała zwykle surową i dostojną, z nieodstępnym marsmem na czole. Była to niewątpliwie twarz dzielnego, silnego człowieka, bez wątpienia pożądanego towarzysza na bezludnej wyspie. Pasowało do niej powiedzenie „robić dobrą minę do złej gry”, miała charakter, jako dziecko była typem chłopczycy. Jej krótkie, jasne włosy. Przetykane już siwizną, co pewien czas starannie przystrzygane, na co dzień zmierzwione, często przyklepywane przez swą właścicielkę dla nadania im bardziej pożądanego kształtu, wyglądały nadal młodzieńczo - jak potargana fryzura pazia. W ostatnich ' ach Patricia znacznie przybrała na wadze. Nawet teraz, w za-<sup>o</sup>szu kuchni, trzymała się prosto, wydatny podbródek wysuwała c. Przodu i wypinała pierś, okrytą kwiecistym fartuchem, który erard pierwszy raz widział. Dopiero niedawno zdał sobie spra-że siostra zazdrości młodszej kuzynce smukłej figury i świe-neho urocty- Patricia, choć niegdyś przystojna, nigdy nie 0 ziła za wybitną piękność, natomiast Violet Hernshaw odznaczała się typem urody nieprzemijającej, w każdym wie\* zdolnej budzić podziw.

Oczywiście, Pat cieszyła się ustało opinią kobiety, której się powiodło: miała bogatego męża, zdo nego syna, podczas gdy Violet, co Patricia ostatnio ze wspó czuciem podkreślała, doprowadziła swoje życie do stanu kat strofalnej rujnacji, a jej uroda sprowadziła na nią wyłączni kłopoty. Ben, człowiek zupełnie nieodpowiedzialny, zostawił k chankę z malutką córeczką, wpadł w narkotyki i młodo umar Matthew, który próbował brata ocalić, ciężko przeżył swe ni powodzenie. Niewykluczone, że czuł się trochę winny. Był czło wiekiem spokojnym, sumiennym i dobrodusznym. A teraz i o; odszedł z tego świata. Gerard miał świadomość, że głowa opadł mu na stół. Przypomniął sobie, a potem ujrzał w przedsenny" majaku, jak jego stateczny zwykle ojciec, który rzadko naduży wał alkoholu, trwożył od czasu do czasu rodzinę, wyśpiewują kuplety z musicali, cokolwiek risque, a na jego poważnym n co dzień obliczu pojawiała się mina figlarnego urwisa. Blisc traktowali te okresowe napady szelmstwa jako świadectwo wzruszającej, choć cokolwiek ambarasującej dziecięcej niedoj rzałości.



- Lepiej się połóż. - Gerarda obudził głos siostry. Podniósł głowę. Śnili mu się Sinclair i Rose. W tym śnie on sam był młodzieńcem. Nie od razu uprzytomnił sobie, że już nim nie jest, a Sinclair od dawna nie żyje.

- Długo spałem?

- Niedługo.

- Ty się raczej połóż. Ja się wszystkim zajmę. Trzeba zadzwonić do zakładu pogrzebowego...

- Już to zrobiłam, zadzwoniłam też do doktora w sprawie świadectwa zgonu.

- Zadzwonię do Violet.

- I to już zrobiłam. Posłuchaj, Gerardzie, rozmawialiśmy już kiedyś na temat domu w Bristolu. Właściwie dlaczego nie miałbyś się tam przeprowadzić? Twierdziłeś, że kochasz ten dom. Teraz nie musisz już mieszkać w Londynie.

Gerard całkiem oprzytomniał. Oto cała Pat!

- Co ty wygadujesz, dlaczego miałbym zamieszkać w Bristolu? Tu jest mój dom!

- Jest dla ciebie stanowczo za duży. To nie jest dom dla samotnego człowieka, zająłeś go wyłącznie na skutek splotu koliczności. Właśnie rozmawiałam z Gideonem przez telefon. Spłacimy cię. Zobaczysz, polubisz Bristol, zresztą potrzebujesz jakiejś odmiany w życiu.

Och. daj spokój, Pat - mruknął. - Co cię znów napadło?

Słuchaj, idę spać.

I jeszcze jedno. Teraz, kiedy ojciec nie żyje, chciałabym wejść w skład komitetu.

- Jakiego znów komitetu?

- Do spraw książki. Ojciec w nim przecież zasiadał, reprezentował rodzinę. Teraz ja powinnam.

- Ależ ty nie masz z tym nic wspólnego!

- Wydajesz nasze pieniądze.

- Nieprawda!

- Tak to widział tata.

Gerard poszedł na górę do sypialni. Wlewało się do niej jaskrawe słońce. Zasunął zasłony, ściągnął narzutę i rozebrał się. Już leżąc w łóżku, jął sobie przypominać niezwykle wydarzenia minionej nocy. Okropne i źle wróżące, zlepiały się z niedawnymi słowami siostry w jakąś fantastyczną chmurę, która zdawała się zawisać ciężkim brzemieniem nad ciałem nieboszczyka, tak nieruchomym i bliskim, z twarzą nakrytą prześcieradłem. Ach, mój biedny, nieżywy ojciec, załkał w duchu Gerard i poczuł rozdzierające współczucie, jakby jego ojciec wciąż doświadczał straszliwego bólu umierania, bólu samej śmierci. Schował twarz w poduszkę, zajęczał i cicho zapłakał.

- I co teraz zamierzasz? - zapytał Duncan Cambus.

- Odchodzę - odparła Jean.

- Do niego.

- Tak. Ogromnie mi przykro.

- Zaplanowałaś to spotkanie?

- Ależ skąd!

- Więc postanowiliście to oboje ostatniej nocy?

- Ostatniej nocy... ta noc właściwie jeszcze trwa... raczej dzisiejszego ranka. Ostatniej nocy w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy. Nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa.

Jej oczy, kiedy to mówiła, rozszerzyły się i zaiskrzyły.

- Myślisz, że na ciebie czeka?

- Ja w ogóle nic nie myślę... Po prostu odchodzę. Muszę. Niezmiernie mi przykro. Odchodzę jeszcze dzisiaj, zaraz.

- Ja idę spać - powiedział - i tobie radzę zrobić to samo. Radzę ci. proszę, nie odchodź. Proszę cię, zostań, poczekaj.

- Nie, muszę odejść, zaraz, nie mogę czekać. Czekanie byłoby... wykluczone... zgubne.

- W złym guście? Niewłaściwe?

To były pierwsze słowa, jakie państwo Cambus zamienili ze sobą od momentu opuszczenia mieszkania profesora Levquista. Drogę do samochodu, a potem podróż do Londynu, którą Duncan niemal w całości przespał, odbyli w milczeniu. Obecnie znajdowali się w salonie swojego mieszkania w Kensington. Zaraz po przyjeździe oboje uznali za czynność niecierpiącą zwłoki pozbycie się wygniecionych wieczorowych strojów i w osobnych pokojach, w pośpiechu, jakby zbroili się przed walną bitwą, przywdziali wygodniejsze, domowe okrycia. Duncan zdjął przemoczone, zabłocone spodnie od garnituru, a wciągnął stare sztruksy i obszerną niebieską koszulę, rozpinaną i luźno wypuszczoną. Jean przykryła czarną halkę i czarne pończochy bia-ło-żółtym kimonem, ściągniętym paskiem w tali. Twarz Duncan na nie była już czerwona od wypitego alkoholu, sprawiała za to wrażenie rozbitej na kawałki. Tępa, zmęczona, nalana facjata, blada i obwisła, pokryta sinymi liniami zmarszczek, jak wyrysowanych ołówkiem. Siedział nieruchomo i wlepił wzrok w stojącą przed nim żonę. Pochylał się lekko do przodu, a jego wielkie dłonie zwisały bezwładnie z poręczy fotela. Zdażył już umyć twarz, ręce i zęby. Jean zmyła tymczasem makijaż i wy-szczotkowała czarne, grube i proste włosy; zaczesane gładko do tyłu oblepiały czubek jej głowy. Dawniej, w zamierzchłych niemal czasach, wręcz w innej, niemal baśniowej epoce, kiedy flirtowała z Sinclairem Curtlandem, olśniewała urodą. Poznała Sinclaira przez Rose, kiedy wszyscy troje byli jeszcze dziećmi. Byli ze sobą blisko jeszcze przed pójściem Sinclaira do Oksfordu, a pozostali sobie bliscy i potem, mimo pojawienia się Gerarda. Czy oni sami traktowali kiedykolwiek serio pomysł tego małżeństwa, na którego skojarzeniu zdawało się tak szalenie zależeć otoczeniu? Starzejąca się twarz Jean zachowała wiele śladów dawnej urody. Nieco chmurna, zdradzająca upór i żywą inteligencję, odznaczała się, jak niegdyś, delikatną bledością porcelany. Ostatnio coraz częściej przypominała twarz ojca Jean, obsesyjnie pobożnego Żyda i obsesyjnie żądnego sukcesu finansisty. Jej matka, także Żydówka, była utalentowaną pianistką. Oboje przestrzegali ściśle tradycyjnych żydowskich świąt. Jean o te sprawy nie dbała, nie obchodziła jej ani synagoga, ani muzyka, ani romantyka wielkiego biznesu, którą próbował zarazić jedynaczkę ojciec. Wyrosła na obsesyjną intelektualistkę. Jedni dziwili się, dlaczego wyszła za Duncana, inni - dlaczego w ogóle wyszła za męża. Rodzice ją uwielbiali, choć chcieli mieć chłopca. Matka już nie żyła, ojciec robił kokosy w Nowym Jorku. Marzył o żydowskim zięciu, wszelako dla Sinclaira gotów był zrobić wyjątek. Duncan przetaił oczy. Zdał sobie sprawę, że lekko się kiwa. Spragniony snu organizm nawet w takiej chwili domagał się swoich praw.

- Kiedy wrócisz? - spytał. Był realistą, nie miał na myśli dnia jutrzejszego ani przyszłego tygodnia. - Ostatnim razem bardzo z tym zwlekałaś - dodał. - Mówię o powrocie.

- Drugi raz już byś tego nie zniósł - stwierdziła. - A zresztą...

kto wie, ile ty jeszcze potrafisz znieść. Kocham cię, tamto t coś innego.

- Najwyraźniej...

- Kocham cię i nigdy kochać nie przestanę... ale tamto.. A zresztą: oni tego nie zniosą, co tak czy owak podziąła n ciebie.

- Jacy oni? - Udał Greka.

- Dobrze wiesz: Gerard, Jenkin, Rose. Ludzie żonaci ni powinni mieć przyjaciół.

Niewykluczone, że lepiej by się nam układało, gdybyśmy nie byli pod tak ciągłą obserwacją...

Och, jak oni umieją bacznie obserwować! Staną po twojej stronie, jak ostatnim razem. Bo im zależy na tobie, nie na mnie.

Nie podjął dyskusji w tej kwestii.

- Oni nie są i nigdy nie będą przeciwko tobie. Rose nigdy się od ciebie nie odwróci. Jesteście przyjaciółkami do grobowej deski.

- Sądzisz, że kobiety też zawierają dozgonne przyjaźnie, pieczętowane krwią? Mylisz się. - Było jednak prawdą, że łączył ją z Rose pakt wieczystej przyjaźni. „Księżniczki nierozłączki”, tak je nazywał Sinclair. - Cholera, dlaczego pozwoliłeś się Cri-, mondowi wrzucić do Cher? Jak mogłeś do tego dopuścić?

- Nie miałem wielkiego wyboru.

- Nie strugaj wariata!

- Ależ Jean!...

- Dobrze, dobrze. Co między wami zaszło?

- Nie bardzo pamiętam - przyznał. - Ja go nie szukałem. Chcę powiedzieć, że za nim nie łąziłem. Po prostu wpadliśmy na siebie w ciemności. Chyba nawet się do niego nie odezwałem. Wydaje mi się, że go uderzyłem, a może tylko usiłowałem. Staliśmy tuż nad wodą. Wepchnął mnie i tyle.

- Boże drogi! Zupełnie jak... jak wtedy! Dlaczego ty jesteś taki fajtłapa, dlaczego nie umiesz niczego załatwić jak należy?

- Zabić go, to masz na myśli?

- Można by sądzić, że znajdujesz w tym niezgulstwie jakąś przewrotną przyjemność... oczywiście wiem, że nie o to chodzi. Ty po prostu musisz zawsze wszystko sknocić. Uderzyłeś go pięścią czy otwartą dłonią?

- Nie pamiętam - odrzekł.

Pamiętał doskonale. Zastanawiał się już nawet, jak często

ze z uporem maniaka, wracał pamięcią do tej sceny, podobnie jak wracał do tamtej, do Urszene. Odszedł na stronę za ^trzeba i w ciemności niemal zderzył się z Crimondem. Do-P° ro teraz przyszło mu do głowy, że tamten musiał go obserwować, śledzić, że sprowokował to nagłe rendez-vous. Było to niespodziewane spotkanie z rodzaju tych, podczas których zaskoczony człowiek wykonuje jakiś niekontrolowany, mimowolny gest: ściska wyciągniętą dłoń, podstawią policzek do pocałunku albo policzek wymierza. Duncan zamachnął się prawą ręką, postanowiwszy, tyle pamiętał, nie zaciskać jej w pięść. Zamierzał palnąć Crimonda otwartą dłonią w ucho, ale najwidoczniej zmienił i ten zamiar, bo grzmotnął go w ramię, chyba dość mocno, skoro tamten aż się zatoczył. Zaraz jednak chwycił Dun-cana za kłapy, okręcił wokół siebie i wepchnął do rzeki. Duncan stracił równowagę i wpadł do wody. O tak, ta scena stała mu jak żywa przed oczami. Zaciekawilo go, czy gdyby wynik był odwrotny, gdyby to on wrzucił Crimonda do Cherwell, Jean też by od niego odeszła.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Muszę odejść i kropka?

- A ty za chwilę polecisz do telefonu, żeby się i m poskarżyć.

- Wiesz, jesteś nie tylko okrutna, ale i podła.

- Oczywiście, oni są i moimi przyjaciółmi. Trudno, raz kozie śmierć.

- Nie podoba mi się to straceńcze porównanie. Jeśli kieruje tobą tylko pragnienie mocnych wrażeń, nie wystawia to najlepszego świadectwa twojemu postanowieniu. Sugerowałbym, żebyś się przebrała, wypiła kawę i uspokoiła.

- Zabiorę tylko walizkę - oznajmiła - po resztę rzeczy wrócę któregoś dnia przed południem, kiedy będziesz w pracy. Kładź siC i wyśpij, przecież padasz z nóg. Kiedy się obudzisz, mnie już nie będzie i będziesz mógł mnie przekląć.

~ ^a cię nigdy nie przeklnę. Uważam tylko, że jesteś ohydną zdrajczynią.

~ Nie mam nic na swoją obronę. Nie wiem, co mnie czeka, nie w'em nawet, czy nie przyplacę mego kroku życiem.

- Co to znowu za makabreski?

~ ubliżanie się do Crimonda oznacza w pewien sposób zbli-Zan'e do śmierci. Nie mam na myśli nic konkretnego... tylko

że to niebezpieczne. On się w ogóle nie boi śmierci, jest type-kamikadze, na wojnie dostałby na pewno krzyż walecznych.

- Kolekcjonuje broń i zapuszcza się w bardzo brzydkie sp kulacje, ot i wszystko.

- No cóż, ty też trzymałeś w domu broń, kiedy należałeś d klubu, uważałeś się nawet za strzelca wyborowego. W Oksfordzie, obaj stale bawiliście się bronią. Nie, stanowczo, gdyb on kiedyś przestał pisać, mógłby się okazać naprawdę niebe pieczny.

- Zabiłby siebie lub ciebie? Mówiłaś mi, że proponował c' kiedyś pakt samobójczy.

- Niezupełnie, on po prostu kocha ryzyko. Jest odważny, ni unika odpowiedzialności, mówi zawsze prawdę, jest najbardziej prawdomównym człowiekiem, jakiego znam.

- Chcesz powiedzieć: bezwzględny. Nie można by prawdomównym, nie posiadając również innych cnót.

- Ależ ma ich wiele! Jest altruistą, idealistą, troszczy si' o biednych i...

- Zależy mu tylko na podziwie młodych! Doskonale wiesz, co myślę o jego „trosce” o biednych!

- Jest niezwykle silną osobowością. Ciebie i mnie połączy nasze słabości. Z Crimondem łączy nas nasza siła.

- Czcze gadanie, pusta retoryka! Przypomnę ci, jak w dniu naszego ślubu powiedziałaś, że celem naszego małżeństwa powinno być szczęście.

- Mój Boże, szczęście! To właśnie jedna z naszych słabości.

- U niego z pewnością go nie zaznasz. Nie łudź się, że tym razem czeka cię sława albo grób. Wybierasz nudną i posępną niewolę u nędznego, żalostnego tyrana.

- Nie uwierzysz, jak mało w tej chwili dbam o własne życie...

- Wciąż mi to powtarzasz, a chodzi tylko o to, że chcesz zniszczyć nasze małżeństwo.

- Wcale nie! - Zmarszczyła czoło. Stała oparta plecami o zamknięte drzwi. Zrzuciła już z nóg zakurzone pantofelki, w których przetańczyła noc. - Nieprawda. Wspomniałaś przed chwilą o szczęściu... próbuję ci tylko powiedzieć, jak mało ono teraz dla mnie znaczy...

Duncan wyprostował się lekko w fotelu. Usiłuję Jean wciąż-

< W spór. pomyślał, byle ją trochę zatrzymać, jakbym prosił °ąC o chwileczkę zwłoki. Czy to znaczy, że już całkiem straci-nadzieję? Chyba tak. Wygląda na to, że spodziewałem się takie00 końca. Boże. ale co będzie ze szczęściem, naszym szczęciem, tym szczęściem, które ona ma dzisiaj za nic? S° \_ Posłuchaj - rzekł - ta twoja miłość do Crimonda wydaje mi się czystą fantasmagorią, zwykłą niemądrą iluzją, nie ma nic wspólnego z realnym życiem.

Przypominacie parę wariatów, którzy chcą”być razem, ale nie potrafią się ze sobą porozumieć...

Wariatów, zgoda - przyznała - a co do porozumienia, mamy je doskonałe.

Zrobiła okrągłe oczy, westchnęła, położyła rękę na sercu i pokiwała głową.

- Jean... kiedy zerwałaś z nim ostatnim razem, chyba miałaś po temu poważne powody.

- Nie pamiętam żadnych, z wyjątkiem jednego: mojej miłości do ciebie. Bo ja cię wciąż kocham, niestety... sam wiesz...

- Gdybyśmy mieli dzieci, zakotwiczyłoby cię to w realnym życiu, stanęłabyś na realnym gruncie. Przyznaję, nie udało mi się nigdy sprawić, by nasze małżeństwo nabrało dla ciebie cech realności. Przypominałaś w nim gościa.

- Nie powtarzaj w kółko tych bzdurek o dzieciach!

- Od lat ich nie powtarzałem.

- Zgoda, nie bawiliśmy się w męża i żonę, którą to zabawę ty nazywasz rzeczywistością, co nam jednak nie przeszkadzało kochać jedno drugie całym sercem...

- Całym sercem? Czyżby?

- Przepraszam, wszystko, co teraz mówię, musi ci się wydawać egzaltowane i głupie.

Widzisz, już to, że nie potrafię mówić do ciebie po prostu, świadczy o dramatycznym rozłamie, jaki między nami powstał. Sam rozumiesz...

- Oczekujesz ode mnie, że będę cię tak głęboko rozumiał i tak bezgranicznie kochał, by nie mieć nic przeciwko temu, że odchodzisz do innego mężczyzny, i to po raz. drugi?

~ Przepraszam, kochanie, tak mi przykro! Wiem, że rana, jaką Ci teraz zadaję, już się nie zagoi. Nie może być jednak inaczej, powiedz się zresztą... wiem, że to żadna dla ciebie pociecha... 17 me robię tego, wierz mi, z myślą o przyszłości. Potocznie rozumiana przyszłość w ogóle mnie nie interesuje.

- Oczywiście, przyszłość zostawiasz mnie, teraz, kiedy ją doszczętnie zniszczyłeś i splugawiłeś! Ale nie łudź się, ty też będziesz musiała przeżywać swoją wstrętą, niewolniczą przyszłość dzień po dniu, godzina po godzinie... Abstrahując już od całej reszty, twoja ślepota mnie po prostu przeraża. - Duncan dźwignął się z trudem z fotela. - Wszystko, co ma związek z twoim zaślepieniem, wszystkie obrazy twojego wspólnego życia z Crimondem, jakie mi podsuwa wyobraźnia, przejmują mnie wstrętem, odrazą i przerażeniem.

- Przepraszam. To okropne. Czuję się potwornie, jak rzeźne zwierzę w szlachtuzie.

Przepraszam. - Otworzyła drzwi. - Słuchaj... nie pij tyle... nie zacznij teraz znowu zaglądać do kieliszka, ogranicz picie, proszę...

Nie odpowiedział, podszedł do okna i odwrócił się do niej plecami. Przyglądała się przez chwilę jego barczystem, z lekka przygarbionym ramionom pod luźną koszulą, a potem wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Pobiegnęła do swojej sypialni i zaczęła z gorączkowym pośpiechem upychać rzeczy w walizce. Zrzuciła kimono, ściągnęła spódnicę i zrobiła staranny, choć skromny makijaż. Wobec Duncana przybrała minę surową i niewzruszoną, maskę nieuchronnego losu. Teraz w lustrze ujrzała twarz kobiety oszalałej z niepewności i lęku. Pakując się, ubierając, malując, nie przestawała dygotać, nie mogła opanować dzwonięcia zębów, a z jej gardła wydobywał się przez cały czas jakby cichy skowyt. Włożyła płaszcz, poszukała torebki, przez chwilę stała nieruchomo, chcąc uspokoić oddech, po czym wyszła do przedpokoju i opuściła dom.

Usłyszawszy szcęk zamykanych drzwi, Duncan odwrócił się od okna, przez które wyglądał na skwer przesłonięty gąszczem liści rozrośniętego płatanu. Podniósł porzucone na dywanie zakurzone pantofelki Jean. Nie chcąc, żeby pobudziły go do gniewu, a może płaczu, wrzucił je do kosza i poszedł do swojej sypialni. Sypiali ostatnio w osobnych pokojach. Nie miało to zresztą istotniejszego wpływu na funkcjonowanie skomplikowanej maszinerii ich małżeństwa, która tyle przetrwała, tyle zniosła, a teraz miała prawdopodobnie rozsypać się na dobre. Spadła nań katastrofa o wymiarze niemal kosmicznym, wiedziało o tym całe jego ciało, zmuszając płuca do przyspieszonego oddechu.

. to się znowu zdarzyło, to, co niemożliwe, niewiarygodne, . sje \_ z n o w u - faktem.

Dlaczego nie wybuchnął płą-Szem krzykiem, nie padł przed Jean na kolana, nie błagał, nie wpadł we wściekłość, nie zaczął jej dusić? Pogrzeżył się w głuchej rozpacz. Dopuszczenie do serca nadziei oznaczałoby jedynie przedłużenie przedśmiertnych męczarni. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Jean mogła się mylić, nie przyszło mu do „łowy, by oświadczyć:

„Ubrdałaś coś sobie! Zjawiając się u niego wprawisz go tylko w zakłopotanie i rozżościsz”.

Natychmiast uwierzył, gdy powiedziała, że przez całą noc nie zamieniła z dawnym kochankiem ani jednego słowa. Takie zachowanie było do Crimonda podobne. Dla Duncana nie ulegało wątpliwości, że jego rywal czekał teraz na nią, pewien, że przyjdzie, jak ona była pewna, że musi do niego odejść.

Duncan poszukał pociechy w czarnej rozpacz i przekonaniu, że to, co się stało, jest nieodwracalne. Nie zniósłby próżnych domysłów. Nagłość wydarzenia upodabniała je do śmierci. Nieoczekiwane zniknięcie Jean, niepojęte ponowne zjawienie się Crimonda, haniebny upadek do rzeki - to wszystko sprawiało wrażenie kosmicznej wręcz katastrofy. Jakże Jean się myliła, sądząc, że zacznie teraz wydzwaniać do przyjaciół! W tej chwili czuł, że tracąc ją, utracił wszelkie związki ze światem i nie pragnął już żadnych kontaktów z ludźmi. Przewidywał, że ci przyjaciele odsądzą go niebawem od czci i wiary, upokorzą i

zawstydzą z powodu tej powtórnej porażki, wyjścia znowu na fajtlapę, o co oskarżyła go żona. W tej jednak chwili jego rozpacz nie bała się żadnego wstydu. Oczywiście, że „przyjąłby ją z powrotem”, gdyby zechciała wrócić, lecz ona nie wróci, nie zapragnie wrócić do tego kadłubka, jaki z niego został po tym ciężym okaleczeniu. Uzna, nie będzie miała innego wyjścia, że ją znienawidził. Jeśli Crimond ją rzuci - nieważne, czy nastąpi to nazajutrz czy za parę lat - zdecyduje się najpewniej na życie w samotności, wybierze wolność, do jakiej zapewne tęskniła Przez cały okres ich małżeństwa, gdy musiała wkładać tyle energii w dochowywanie wiary mężowi i własnemu wyobrażeniu o miłości. Wyjedzie, zacznie pracować, rozmyślać, uda się do swojego wszechwładnego ojca z Ameryki, odkryje jakiś świat do podbicia, pojedzie do Indii albo do Afryki, rozkręci es wielkie przedsięwzięcie, spożytkuje na innym polu tę nie- spokojną inteligencję i siłę ducha, którą, jako żona Duncana, marnotrawiła na dążenie do szczęścia. Bo to prawda, związali się dla szczęścia i Jean miała rację, uznając ten fakt za oznakę słabości.

Oczywiście, jako Jean Cambus chwyciła się najrozmaitszych zajęć, lecz nie było wśród nich tego jednego, wielkiego zadania,

O jakim marzyła Jean Kowitz. Sekretarzowała posłowi do par-j lamentu, wydawała pismo, zasiadała w licznych komitetach, napisała książkę o feminizmie. Jako żona dyplomaty prowadziła dom, zarządzała służbą i udzielała się towarzysko w wielkim świecie, sprawując przy okazji rolę dostarczycielki cennych informacji. Zresztą byłaby sama świetnym dyplomatą i chyba za-; stanawiała się nieraz nad tym, że gdyby sprawy potoczyły się, inaczej, mogłaby zostać ambasadorem, ministrem, redaktorem naczelnym „Timesa”. Czy więc teraz, rozmyślał, jakkolwiek jej się ułożą stosunki z Crimondem, nie skorzysta z okazji, by wyrwać się na wolność? Kto wie, może Crimond okaże się dla niej jedynie odskocznią? Sprawdził, czy zdoła wycisnąć z tej myśli jakąś pociechę dla siebie. Potem jęknął, wyczuwając - wręcz węchem - odór wydostającej się z bulgotem na powierzchnię jaźni tamtej zabójczej, bliźniaczej pary uczuć: zazdrości

I nienawiści, przez lata zepchniętych w głąb, zatopionych w najciemniejszych otchłaniach podświadomości, niczym niebezpieczne paliwo atomowe w odmętach morza. Łatwo mu było dotąd - w okresie, jak się teraz okazywało, przejściowym - oceniać wyniośle marność uczucia zazdrości, jego bezsensowność i daremność. W ciągu ostatnich dwunastu godzin skończyła się w jego życiu jakaś epoka, już daleka, historyczna i zamknięta. Obecnie zazdrość miał za jedyną nauczycielkę i w przenikliwym blasku jej światła dostrzegał okrutną prawdę, że Jean naprawdę Crimonda kochała, miłością wielką i ostateczną jak śmierć, miłością, wobec której nawet wolność stawała się błahostką bez wartości. Naprawdę była skłonna zostać niewolnicą Crimonda, jeśli jemu spodobałoby się ją zniewolić, toteż, wcale nie przesadziła (by pozostać przy tej przenośni), mówiąc, że zbliżenie się doń groziło jej śmiercią. Jakimż jałowym zamętem okazywały się teraz wszystkie jego dotychczasowe starania, wszystko, co robił, wszystko, na co liczył. Jean otrzymywała obecnie - z rąk Crimonda! - swoją drugą szansę. Gdyż Duncan

- wątpił ani przez chwilę, iż tamten zjawił się na balu absolwentów wyłącznie po to, żeby nią zawładnąć.

Ta historia zaczęła się dawno. Co prawda Jean zaprzeczała (lecz czy mógł jej wierzyć, czy ona sama mogła wierzyć własnym zaprzeczeniom?), by kochała Crimonda już wtedy, gdy byli paczką młodych przyjaciół, gdy Sinclair Curtland zabierał ją na tańce, gdy tyle w nich było nadziei i tak szerokie otwierały się przed nimi perspektywy. Oczywiście, podziwiała Crimonda, wszyscy go podziwiali, zapowiadał się najlepiej z nich wszystkich, chyba nawet lepiej niż Gerard. Jakże mało tymczasem dokonali, i to każdy z nich, bez wyjątku, gdy porównać rzeczywistość z pięknymi nadziejami, jakie wtedy rokowali, i z niezwykłymi osiągnięciami, do jakich aspirowali! Nawet Crimond zawiódł, w każdym razie nie osiągnął,

jak dotąd, żadnego oszałamiającego sukcesu. W pewnym okresie zanadto się weń wszyscy zapatrzyli, po części zapewne dlatego, że jako jedyny z ich paczki pozostał wierny skrajnemu lewicowemu idealizmowi, jaki niegdyś gremialnie wyznawali. Coś się z nimi stało po śmierci Sinclaira. To on był ich „złotym młodzieńcem”, „najmłodszym bratem”, ulubieńcem otoczenia, wesołkiem, wreszcie ukochanym druhem Gerarda - Gerarda, który był (to, że nie został nim Crimond, rozumiało się czemuś samo przez się) „przywódcą” ich grupy, choć, naturalnie, nie uznawali niczyjego przywództwa, toż wszyscy byli tak niezwykle osobowościami, wybitnymi indywidualnościami. Po śmierci Sinclaira ich paczka się na pewien czas rozproszyła, poglądy jej członków zaczęły się zmieniać, zaprzętały ich kariery, podróże, poszukiwanie partnerów życiowych. Duncan i Robin zasiedzieli się trochę dłużej w Oksfordzie, ale potem zjechali do Londynu - Robin do kliniki uniwersyteckiej, Duncan do ministerstwa spraw zagranicznych. Czas płynął, Duncan ożenił się z Jean i toczył z nią rozmowy o szczęściu, bo też czuł się niewymownie szczęśliwy, wszak P<sup>o</sup>siadł tę piękną, powszechnie podziwianą dziewczynę, w której oehał się skrycie przez te wszystkie lata, gdy emablowali ją lnni, szczęśliwi. Crimond stał się popularną postacią na lewicy, szanowanym - czy raczej tylko głośnym - teoretykiem, autorem ontrowersyjnych artykułów, kandydatem do parlamentu, naj-mejszym. zresztą po dziś dzień, członkiem ich dawnej pacz-

ki. Pochodził z ubogiej rodziny - i chlubił się tym. Urodził się na wsi w szkockim okręgu Galloway jako syn listonosza. Usilnie dbał o to, by nie zasłużyć na opinię wyrafinowanego intelektualisty, zamkniętego w wieży z kości słoniowej. Jean, której poglądy polityczne sytuowały ją obecnie zdecydowanie na lewo od Duncana, była przez pewien czas gorliwą zwolenniczką Cri-monda, a nawet jedną z jego pomocnic. Napisała dla niego broszurkę o pozycji kobiet w związkach zawodowych. Kiedy ubiegał się o fotel w parlamencie (bez powodzenia), została sekretarką jego asystenta. Coś się między nimi musiało zacząć już wtedy, gdy Crimond stał się na pewien czas tak ważną i popularną osobistością, gwiazdą sezonu, ulubieńcem młodzieży. Później, po klęsce pierwszego romansu, wyznała mężowi po powrocie do domu, że z początku walczyła ze swoim uczuciem do Crimonda, a potem uciekła, nie chcąc się z nim wiązać. Zapewniła Duncana (lecz czy mógł jej wierzyć?), że w tamtym okresie nie była jego kochanką. Upłynęło kilka następnych lat. Duncan porzucił karierę akademicką i wstąpił do dyplomacji, Robin (który później od niego wrócił do Londynu) znalazł posadę w Stanach na Uniwersytecie Johna Hopkinsa, Gerard pracował w ministerstwie skarbu, Marcus Field (po szokującym dla wszystkich nawróceniu) wstąpił do seminarium duchownego, Jenkin został nauczycielem w Walii, Rose pracowała jako dziennikarka w Yorku i mieszkała u krewnych z północnej gałęzi rodu. Sława Crimonda przygasła, mówiono, że „złagodniał”, stał się głębszy, nie tak skrajny, rozważał nawet objęcie posady akademickiej.

Duncan w gruncie rzeczy nigdy Crimonda w latach młodości nie lubił, uważał za pyszałka, drażnił go też prestiż, jakim tamten się cieszył u innych. Tłumił w sobie tę niechęć do przyjaciela swoich przyjaciół także dlatego, że czuł przed nim, już wtedy, podświadomy lęk. Obaj pochodzili z górzystej północy Szkocji, choć szkoccy przodkowie Duncana dawno już temu przenieśli się do Londynu. Kiedy Jean zaczęła otaczać Crimonda podziwem, a nawet dla niego pracować, w sercu Duncana obudziła się tajona zazdrość, choć jeszcze nie obawa. Ucieszył się więc, kiedy Crimond zniknął z Londynu; podobno wyjechał do Stanów, a stamtąd do Australii. Czas płynął. Duncana wysłano do Madrytu, potem do Genewy, a potem, przejściowo, przed obie-

cany mianowaniem na upragnione, zaszczytne stanowisko Europie Wschodniej, na placówkę do Dublina. Jean była roz-zarowana. przyjęła wyjazd do Irlandii, którą uważała za głuchą rowincję, jako zsyłkę, lecz przekonała się wkrótce, że Dublin jest miejscem nader atrakcyjnym. Państwo Cambusowie niemal się w Irlandii zakochali, kupili nawet starą wieżę

w hrabstwie Wicklow. Ceny nieruchomości w Irlandii były jeszcze wyjątkowo niskie, więc Jean zapaliła się do kupna tej budowli (zwrócił im na nią uwagę zaprzyjaźniony z nimi pisarz Dominie Moran-ty), ledwo ją ujrzała, doszła bowiem do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby ją nabyli, skoro jest tak tania. Duncan najpierw skrytykował żonę, a potem, gdy nowy nabytek zobaczył, szczerze pochwalił. Wieżę, opisaną w prospekcie jako „obiekt szacownej starości”, wzniesiono najpewniej, na co wskazywały liczne cechy architektoniczne, pod koniec dziewiętnastego wieku ze starych kamieni, pochodzących chyba z jakiejś ruiny czy wielu ruin. Kiedyś, być może w pierwotnym swym kształcie, była połączona surową, sklepioną galerią z kamienia i cegły z kamiennym domkiem czy oficyną nieokreślonego wieku. Drewniane podłogi i żeliwne, kręcone schody w wieży sprawiały wrażenie solidnych, obie budowle zostały też należycie zmodernizowane. Prądu, co prawda, nie było (co zresztą szalenie ucieszyło Jean), funkcjonował za to nowoczesny system kanalizacyjny z szambem. Pompa, którą udało się łatwo zreperować, dostarczała wodę ze starej studni, mieszczącej się w sąsiednim budyneczku. Poprzedni właściciel, niedawno zmarły, ponoć malarz, użytkował okresowo wieżę niemal do ostatnich dni swego życia, toteż jej wnętrze, choć prymitywne i obecnie nie umeblowane, znajdowało się w całkiem przyzwoitym stanie. Można je było ogrzewać, paląc w kominkach torfem, do kupienia w pobliskiej wiosce, lub drewnem, którego się wokół wałało pod dostatkiem. Jean marzyła o prostym, romantycznym, choć wybornym życiu przy blasku kominka i pełganiu płomieni naftowych lamp, więc rozjeżdżała się po okolicy w poszukiwaniu oryginalnych wiejskich sprzętów. Z wieży rozciągał się piękny widok na dwa kopulaste wzgórza, a z pokoiku na górze, mieszającym sypialnię, było widać morze. Do zamieszkania nadawały się co prawda, jedynie dwie kondygnacje, sama jednak wieża s.a.gała imponującą wysokość. Duncan był tą budowlą i jej otoczeniem zachwycony, cieszyło go ponadto, że Jean zys. zajęcie, które odciągnie ją od zamierzonej kampanii na rzecz antykoncepcji i aborcji, które to działania weszłyby najpewniej w konflikt z jego delikatną pozycją dyplomaty.

Nastało lato, nareszcie suche, gorące irlandzkie lato, zaczęli więc spędzać w wieży całe weekendy, urządzali ją, czasem też jeździli na aukcje w okolicy celem zakupu mebli. Przeżywali szczęśliwy okres. Wieżę, stojącą pośród małej dolinki, również będącej własnością Cambusów, otaczały łąki, na których wypasano owce. Dnem dolinki płynął wąski strumyk, porastał je topolowy zagajnik, a na zboczach rosły dzika fuksja i przetacz-nik. Zdążyli już oczywiście odbyć piękne wycieczki po najbliższej okolicy, której wcześniej prawie nie znali, i Jean postanowiła, że muszą napisać własny przewodnik po Irlandii, gdyż istniejące uznała za „beznadziejne”. Zwiedzili wieże Joyce'a i Yeatsa. Teraz i oni posiadali wieżę, którą powinni nazwać, zdaniem Jean, wieżą Duncana. Nie było im jednak dane cieszyć się długo tą sielanką. Na którymś z wieczornych przyjęć ktoś wymienił nagle nazwisko Crimonda. Żartowano, że przyjeżdża, by „rozwiązać kwestię irlandzką”. Nosił się z zamiarem napisania dłuższego eseju na temat Irlandii, toteż miał zamieszkać w Dublinie aż do końca lata. Duncan nigdy nie zapomniął wyrazu twarzy Jean, gdy usłyszała tę nowinę: dosłownie rozjaśniła się z radości.

On sam był wręcz zdumiony przygnębieniem, w jakie wprawiła go momentalnie zapowiedź przyjazdu Crimonda. Czuł niemal dziecięce rozżalenie, że ograbiono go tak nieoczekiwanie ze wszystkich przyjemności i nie dostanie już więcej ulubionych łakoci. Kiedy Crimond niebawem istotnie się zjawił i zamieszkał przy Upper Gardiner Street. Duncan okazał niezwykle, przesadne wręcz zadowolenie na widok dawnego szkolnego kolegi. Przedstawił Crimonda wszystkim znajomym Irlandczykom (w tym Moranty'emu), zapewniając mu ciepłe przyjęcie i natychmiastowe względy jako serdecznemu przyjacielowi powszechnie już lubianych Cambusów. Dyplomatyczna misja Duncana była trudna i absorbująca. Do tego ambasador poszedł właśnie do szpitala i Duncan go praktycznie zastępował. Stosunki między



Dublinem a Londynem, nigdy przyjazne, weszły w fazę szczególnie delikatną. Premierzy obu rządów, którzy w ciszy gabinetów szykowali jakieś rozwiązania (czyli zamierzali wystąpić z „inicjaty-» jak się eufemistycznie określa te zazwyczaj jałowe plany), zn[a]e[ź]li się pod ostrzałem nie tylko opozycji, ale i pewnych odłamów własnych partii. Duncan musiał w związku z tym często podróżować do Londynu. Miał pracy po uszy, więc powinien był więcej uwagi poświęcać swoim obowiązkom, zamiast obsesyjnie myśleć o Crimondzie. Ten przeprowadził się tymczasem do mieszkania na Dun Laoghaire, z widokiem na Zatokę Dublińską. i wydał skromne przyjęcie, na które zaprosił również oboje Cambusów, że jednak Duncan był akurat zajęty, Jean poszła na nie sama. Crimond stawał się powoli obiektem zainteresowania gospodarzy i zdawał się świetnie z Irlandczykami rozumieć. Jego poglądy polityczne, te w każdym razie, które bezpośrednio dotyczyły Irlandii, zostały uznane za „trzeźwe i realistyczne”. W małym, rozplotkowanym światku intelektualnym Dublina jego nazwisko szybko nabierało rozgłosu i na każdym kroku obijało się Duncanowi o uszy.

By nie wyjść z roli starego przyjaciela, Duncan zaprosił oczywiście Crimonda na małe wieczorne przyjęcie w wieży. Crimond się tą dziwną budowlą zachwycił. Podniecony, okazywał spontaniczną chłopięcą radość, co, jak Duncan zauważył, niezmiernie ujęło pozostałych gości. Jean opowiadała, jak zamierza wieżę umeblować, jakie zmiany poczynić w kuchni. Zamierzała zasadzić trochę roślin, oczywiście nie myślała zakładać ogrodu, kłóciłoby się to z charakterem okolicy, posadzi co najwyżej kilka krzewów, położy kawałek chodnika. Crimond dosłownie tryskał pomysłami. Duncan dosłyszał, jak jeden z gości zachęca Crimonda i Jean. by zajechali do sklepu ogrodniczego niedaleko jego wiejskiego domu, gdzie można dostać stare kamienie brukowe i ogrodowe posągi. Wszak przydałyby się Cambusom po-s3gi, choćby jeden, żeby przyciągał wzrok i stwarzał nastrój. st°jąc samotnie wśród topoli. Crimond podchwycił temat i rozgadał się na temat posągów. Goście podchmielili sobie i coraz Cześniej wybuchali śmiechem. Duncan odniósł wrażenie, że Crimond, który rzadko zaglądał do kieliszka i z natury nie był nazbyt towarzyski, odrobinę się zgrywa. Nazajutrz Duncan musiał wyjechać do Londynu. Po powrocie Jean oznajmiła mu, że " a z Crimondem w sklepie ogrodniczym, zamówiła trochę ka-mieni brukowych, kupiła kilka krzewów różanych oraz kosiarkę

do trawy. Później, zwykle podczas nieobecności Duncana, ch; nie tylko wtedy, Jean i Crimond wsiadali nieraz do jego wynajętego samochodu i robili wypadki do różnych ciekawych miejsc. Któregoś razu pojechali zwiedzić ruiny klasztoru Clonmacnoise (Duncan tam jeszcze nie był) i dosyć późno wrócili. Czasami wypuszczali się na te wycieczki w liczniejszym gronie (tak przynajmniej zapewniała Jean), czasami tylko we dwójkę. Oboje zapalili się do pomysłu napisania przewodnika po Irlandii. Jean żyła w tym okresie w stanie ciągłego podniecenia i tryskała doskonałym humorem. Duncan nieustannie obserwował jej twarz, badał ją z obsesyjną niemalże uwagą i znajdował na niej ślady szczęścia, którego sprawcą był inny mężczyzna, a jednocześnie dostrzegał starania żony, by swą radość ukryć. Na przyjezdnych i turystach Irlandia sprawia oczywiście zachwycające wrażenie, ale zielona wyspa jest również terenem krwawych waśni, pełnym starych demonów i odwiecznej nienawiści. Duncan codziennie odczuwał w swojej pracy tę mroczniejszą stronę, i to coraz częściej, w miarę jak rosła jego sympatia dla tego kraju i pogłębiała się jego o nim wiedza. Okazało się wkrótce, co go dodatkowo przygnębiło, stał się bowiem na punkcie Crimonda chorobliwie wręcz przeczulony, że ów, choć nigdy wcześniej w Irlandii nie bywał, wie na temat ojczyzny świętego Patryka znacznie więcej od niego. Każdy, kto angażuje się naprawdę w problemy Irlandii, musi nieodzownie zagłębić się w jej historię. Okazało się, że Crimond zna historię Irlandii wręcz wybornie. Duncan musiał niebawem wysłuchiwać jego tyrad, wygłaszanych przed gronem wdzięcznych słuchaczy, refleksji o Parnellu, Wolfe'ie Tone'ie, a nawet Cuchulainie. Wysłuchiwał też, chcąc nie chcąc, wywrotowych poglądów politycznych

Crimonda, wygłaszanych z ryzykowną śmiałością, i jego drwiących napaści na brytyjski rząd, przeprowadzanych w obecności Duncana z uszczypliwością, która sprawiała nieodparcie wrażenie umyślnego nietaktu. Duncan nie dawał się jednak sprowokować. Patrzył, obserwował uważnie twarz żony i słuchał w milczeniu, jak Jean zaczyna powtarzać teorie Crimonda na temat Irlandii.

Chory z nienawiści i podejrzliwości, zgnębiony przez strach i odrazę do własnego nędznego i godnego pogardy stanu ducha, Duncan został popchnięty do działania przez czysty przypadek.

o tunku tych. jakie się często w podobnych sytuacjach przydają. Zastanawiał się oczywiście, czy Crimond i Jean oddają tf czemuś jeszcze poza włączeniem się we dwoje samochodem, wiedzaniem ruin i wizytami w marketach ogrodniczych. Pewnego niedzielnego ranka, który Cambusowie spędzali w wieży, Jean wstała wcześniej, by wcielić w życie zamiar, z jakim się od jakiegoś czasu nosiła, a mianowicie przegrodzić tamą strumień i stworzyć coś w rodzaju małej sadzawki. Duncan miał jej w tym pomóc po śniadaniu, które obiecała wkrótce przygotować. Stał w oknie sypialni na piętrze i wpatrywał się w połyskliwy błękit morza w trójkątnym prześwicie między zielonymi wzgórzami. Na rozświetlonym niebie nie było ani jednej chmurki, śpiewał skowronek, kwiliła jaskółka, szemrał strumień. Leżąc w łóżku, Jean i Duncan wciąż przypominali jedno drugiemu: słuchaj strumienia, słuchaj strumienia! Widział w dole żonę, stała boso w podwiniętych spodniach pośrodku strumienia, pochyliła się, znów wyprostowała, dostrzegła męża i pomachała mu ręką. Pozornie niczego mu nie brakowało do zupełnego szczęścia, tego szczęścia, do którego czuł się stworzony - tymczasem tkwił w piekle. Odmachał Jean, odwrócił się od okna, zamrugał oczami, które oślepił blask słońca i połysk morza, i spojrzał na nie zasłane małżeńskie łóżko. Już dawno pożegnali się z nadzieją splotzenia potomka. Odwiedzili już tylu lekarzy, którzy proponowali im tyle daremnych kuracji. Nagle dojrzał jakiś dziwny kłębuszek na podłodze pod kolistą ścianą z ciemnych, nierówno ociosanych kamieni, niewielki kłaczek, prawie nic, cień materii. Podszedł i wziął go do ręki. Był lekki jak puch, blady, na wpół substancjalny. Zacisnął dłoń, serce zaczęło mu bić jak oszalałe, usiadł ciężko na niskim tapczanie. Czuł, jak całą twarz i czoło oblewa pałący rumieniec. Otworzył pięść i przyjrzał się zgniecionemu kłębuszkowi. Mógł być kotkiem kurzu, lecz on wiedział, że jest kłaczkiem włosów, rudych włosów, które ktoś, jakiś mężczyzna, zgarnął po wyczesaniu z grze-enia i od niechcienia rzucił na podłogę. W wieży nikt nie sprzą-^> nie odkurzał, nikt tu niczego nie dostarczał, nie naprawiał, - poza Cambusami, nie miał do niej klucza. Duncan nie ymał w ręku kłaczka własnych włosów ani ciemnych włosów ny, ale kosmyk rudych włosów Davida Crimonda. ean zawołała go z dołu na śniadanie. Duncan włożył kłębu-  
szek do kieszeni, zszedł po schodach, usiadł za stołem i słuch z uśmiechem, jak roztacza przed nim plany urzędnika stawu Zjadł gotowane jajko, a potem wyszedł na dwór, pomógł je przenieść kilka cięższych kamieni i wykopać dół. i przygląda się jej uszczęśliwionej twarzy, gdy zaczął napełniać się wodą. Tegoż przedpołudnia oznajmił żonie, że w nadchodzącym tygodniu będzie musiał wyjechać na dwa dni do Londynu. Gdy ten czas nadszedł, Jean odwiozła go samochodem na lotnisko, jak zwykle zresztą. Po jej odjeździe Duncan kupił kilka kanapek, wziął samochód z wypożyczalni i okrężną drogą wrócił w pobliże wieży. Wcześniej zbadał okolicę i upatrzył sobie miejsce na szczycie wzgórza, porośnięte gęstwą kolcolistu, wśród którego leżało oplecione bluszczem zwalone drzewo. Roztaczał się stamtąd doskonały widok na dolinę i wieżę. Zaparkował wóz, wdrapał się do swojego punktu obserwacyjnego na wzgórzu, podczołgał pod pień drzewa w miejscu, gdzie rozrośnięty bluszcz tworzył gęstą zasłonę, i wyjrzał przez jego liście i mgiełkę kwiatów kolcolistu. Wiercił się przez chwilę, wreszcie udało mu się wygodnie usiąść. Oparł się o pień drzewa i spojrzał na wieżę w dole i wiodący do niej wyboisty gościniec. Wyjął lornetkę z futerału, zawiesił ją sobie na szyi i czekał. Czuł okropne, męczące podniecenie. W dole nic się nie działo, nikt nie nadjeżdżał.

Bluszcz właśnie kwitł, toteż całe chmury pszczoł pola-tywały nad jego żółtawymi kwiatami o cętkowanych pręcikach. Ciężka, duszna woń mieszała się z kokosowym zapachem kolcolistu. Minęło już południe i słońce zaczęło przypiekać. Duncan zdjął marynarkę. Ociekał potem. Był mężczyzną zwałistym, niemal opastym, toteż łatwo się męczył i sapał teraz jak miech. Po jakimś czasie to, co robił, wydało mu się tak ohydne, że zerwał się z miejsca i biegiem oddalił od swojej czatowni.

Pojechał na południe drogą wzdłuż wybrzeża. Dotarłszy do Wicklow, zameldował się w jakimś hoteliku. Nie mieli tam restauracji ani nawet baru, więc poszedł do pubu w sąsiedztwie i zamówił whisky. Wyjął kanapki, które kupił na lotnisku (miał wrażenie, że całe wieki temu), zjadł jedną i popił whisky. Wydobył z kieszeni kłaczek włosów Crimonda i przyjrzał mu się uważnie. Oczywiście, już wcześniej podejrzewał, że mogło dojść do katastrofy. Mętne domysły to jednak wciąż życie, niezbity dowód - śmierć. Przecież, perswadował sobie, chcąc odwlec

y Wyrok. właściwie nie mam żadnego dowodu. Mogli S do sypialni na górze choćby po to, żeby popatrzeć na morze Tyle że Jean jakoś nigdy mu nie wspominała, by zaprosiła Crimonda na wieżę. Nie miał pewności, czy powtórzy nazajutrz swe ohydne czaty. Czy nie lepiej wrócić do dublińskiego mieszkania na Parnell Square? Nie bał się, że mógłby tam zastać kochanków. Jeśli tych dwoje było teraz razem, niechybnie bawili w mieszkaniu Crimonda. Niemożliwe, jego mieszkanie, na ostatnim piętrze szeregowego domu nad morzem, było zanadto na widoku. Nie, jeśli gdziekolwiek, to tylko na wieży. Po co ja się zadreczam, pytał samego siebie w miarę, jak ciemniał wieczór i zapełniał się bar, po co sam się proszę o nieszczęście? Niedługo stąd wyjedziemy, to tylko przelotna przygoda, każdemu się może przydarzyć. Czuł jednak, że musi zdobyć pewność, trudno i darmo. Jeśli doszło do zdrady, on to musi wiedzieć - potem mogę machnąć ręką, puścić całą rzecz w niepamięć, przymknąć oczy. Mam pozwolić, żeby tych dwoje uczyniło mnie wiecznym kaleką z rozpacz? Na razie nie rozmówię się z Jean. Będę udawał błogą nieświadomość.

Poczuł się biedny i nieszczęśliwy, okrutnie skrzywdzony, i to uczucie na jakiś czas przyniosło mu ulgę. Siedział samotny w obskurnej knajpie, przygarbiony, zwałisty brunet z gęstą czupryną falujących włosów i posępną miną na okrągłej, czerwonej twarzy i zalewał robaka wśród gromady Irlandczyków (w barze nie było oczywiście żadnych kobiet), którzy również starali się topić swe troski w kieliszku. Założę się, że ich też zdradzają żony, pomyślał, a oni im odpłacają pięknym za nadobne, więc czemu biadolę? Jesteśmy bandą nędznych, odrażających grzeszników, zasługujących na to, żeby ich wytępiono jak szczury lub spalono żywcem. Siedzimy w tej spelunie i zalewamy pałę... wielka mi historia! Sam, co prawda, nigdy nie zdradziłem Jean, ale, tak z ręką na sercu, czy nie miewałem na to ochoty? Może to zresztą zrobię; pójdziemy, jak to się mówi, każde w swoją stronę. Słyszał wokół siebie śpiewne głosy irlandzkich towarzyszy niedoli i czuł, jak miękkie, melodyjne dźwięki tej mowy Wsączają się do jego mózgu, aż jał myśleć irlandzkimi wyrażeniami i przemawiać do siebie w duchu z irlandzkim akcentem.

O cóż, zoneczka okazała się zwyczajną dziwką, ale czy muszę Sle zaraz zadreczać tym, co tamten łobuz z nią robi, chcieć

ukatrupić drania? Zapewne poczyna sobie podobnie jak m wszyscy, obrzydliwe świnie. Nie lepiej siedzieć cicho i raczy się whisky, która jest miłosierniejsza od Boga? Sąsiedzi trącał go w ramię i zagadywali; gawędził z nimi, a potem zapad w stan tępej zadumy, ocknąwszy się zaś z niego, powlókł się do hotelu i padł jak kłoda na łóżko.

Nazajutrz obudził się wcześniej. Czuł się jak chore, zdychające zwierzę. Bolały go żołądek i głowa, w ustach miał suchość, czuł się ociężały, obolały, cuchnący i spuchnięty. Do pokoju wpadało zimne światło brzasku, przeciskając się przez nędzne podarte zastony. Jakiś czas leżał z głową nakrytą poduszką, niemal kwiląc z żalu nad sobą. Potem nagle usiadł, wstał, ubrał się, nie myjąc, zapłacił rachunek w recepcji, odszukał samochód i ruszył na północ. Na

morskim horyzoncie leżała smuga zimnego, białego blasku, przywalona powalą ciężkich, burych chmur. W oddali ciemniały kurtyny ulewy, mimo to słońce przedzierało się co pewien czas przez te zasłony i rozjaśniało szarą ścianę chmur, soczystą zieleń wzgórz i jaskrawe kolory drzew. Po lewej stronie szosy, nad dalekimi górami, ukazał się fragment łuku tęczy, ale zaraz zgasł. Duncan pędził jak wariat. Ból rozsadzał mu czaszkę, a inny ścisnął przepoń jakby żelazną obręczą. Banieczki i drobiny światła rozbłyskiwały nad śmigającą wstęgą drogi, gdy wpatrywał się w nią z napięciem spod zmarszczonego czoła. Pijackie refleksje ubiegłej nocy, te wszystkie pytania i postanowienia w rodzaju: „skąd pewność?”, „a pal to diabli!”, „machnij na to ręką”, łzawe bratanie się z innymi grzesznikami, to wszystko minęło bez śladu. Siedział za kierownicą wyprostowany i walczył z omdlałością ciała, ale czuł się jak czarna maszyna zdeterminowanej woli, maszyna zemsty, pociemniała z rozpacz i gniewu, napędzana jedną tylko myślą: dopaść i rozdeptać. Nie folgował już sobie, nie krył się za pełnym wahań uczuciem niepewności, najłżejsza mgiełka wątpliwości nie zaciemniała jego zamiarów. Niepewność była potworną męczarnią, ale pewność, niezbita pewność - ogniem piekielnym, od którego człowiek zajmował się jak żywa pochodnia i uciekał z krzykiem. Takie myśli i uczucia kotłowały się w jego głowic, gdy mknął przed siebie po mokrej, lśniącej szosie, a przed jego oczami szastały się wycieraczki, bo deszcz padał już ciągły i wciąż się nasilał.

Kiedy skręcił z głównej drogi na polne dróżki, prowadzące stronę wieży, zrobiło mu się nagle słabo, aż musiał zatrzymać W, -hńd i na chwilę oprzeć na kierownicy głowę. Zbierało mu • na mdłości. Nie był pewien, czy zdoła jechać dalej. Deszcz lżał zmienił się w dokuczliwą mżawkę, słońce, choć nadal niewidoczne, przecisnęło się przez rzednące chmury jasnym, szarawym blaskiem, i powlekło jaskrawą zielenią małe, trawiaste pastwisko przy drodze. Duncan wysiadł z samochodu. W padającej mżawce stał ze zwieszoną głową i oddychał głęboko przez usta. Jestem szalony, pomyślał, chwilowo niepoczytalny, muszę się jakoś pozbierać. Miał wrażenie, że jego nienawiść, pozostając nienawiścią, zmienia się w czysty strach. Nie wiedział, co może się zdarzyć, a mogły się zdarzyć rzeczy straszne, które odmieniłyby całe jego życie. Czuł w sobie potworną, niszczącą siłę, zdolną przewrócić do góry nogami świat. Wnikając we własne uczucia, stwierdził, że nie jest już w stanie zatrzymać motoru, który go napędzał. Podniósł głowę i ujrzał przed sobą kamienny murek, a za nim wpatrzone weń zwierzęta, konia i krowę. Deszcz przestał wreszcie siąpić. Koń podszedł wolno do murku. Duncan pomyślał, że właściwie mógłby zjeść kanapkę, kilka mu jeszcze zostało, mógłby podejść i pogłaskać szkapę. Odwłóklby rozwój wydarzeń, co byłoby ze wszech miar wskazane, gdyby powstał tam chwilę w towarzystwie obydwu zwierząt. Zamiast tego wszedł do auta i szybko odjechał. Wmawiał sobie: nikogo tam nie zastanę, będę mógł pojechać do Dublina, pójść do naszego mieszkania i odpocząć, nic złego się nie stanie, wreszcie będę mógł przemyśleć wszystko spokojnie, bez dręczącego lęku. Zanim postanowił, czy jechać prosto do wieży, już jechał dróżką biegnącą pod wzgórzem, na którego szczycie obrał sobie wcześniej-nieJ punkt obserwacyjny. Zatrzymał samochód, wysiadł i zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Sapiąc z wysiłku, zaczął się gramolić po stromym, porośniętym mokrą trawą zbocz. Nisko Pochylony, czepiał się jej kęp i małych krzaczków, żeby sobie P°rnóc. Osiągnąwszy wierzchołek nie próbował się kryć, wyprostował się i spojrzał w dolinę. Samochód Crimonda stał na 8°scińcu.

Un^Uncan zaczął schodzić ze wzgórza ku wieży, powoli, jakby dob S'C z'em^ niczym we śnie. Zejście na dół zajęło mu rycn ^kanaście minut. Słyszał śpiew ptaków, dostrzegał rozsiane w trawie jakieś drobne kwiatki. Wszystko lśniło wił, cią i błyszczało w słońcu. U stóp wzgórza kilka owiec o czar nych pyszczkach wlepiło weń zdumione spojrzenia, po czy-ucickło w popłochu. Duncan przekroczył strumień nieco powyżej sadzawki Jean. Nagle ujrzał w wyobraźni nagiego Crimonda, wysokiego, bladego, szczupłego i gibkiego jak młody Ateńczyk; długonosego i jasnookiego. Drzwi domku i wieży były na oścież otwarte. W

kuchni nie zastał nikogo. Po kręconych schodach zaczął się wspinać na górę. Wchodził krokiem zdecydowanym, choć niespiesznym, nie starając się stąpać cicho. Schody kończyły się małym podestem. Pchnął gwałtownie drzwi do sypialni.

Swoim wtargnięciem wywołał nagłe poruszenie. Crimond, nie tak całkiem nagi, jak go sobie wyobraził, wciągał właśnie koszulę przez głowę. Jean siedziała na dalszym brzegu łóżka.

Otuliła się kołdrą i spojrzała przez ramię w stronę drzwi. Duncan przypomniał sobie później, że zastanawiał się nawet przez chwilę, czyby nie stanąć w progu, nie spiorunować cudzołożników wzrokiem i nie rzucić im słów pogardy. Crimond skorzystał z tej chwili jego wahania i wciągnął do końca koszulę. Tymczasem; Duncan zaszarżował. Runął na rywala jak wielkie, dzikie zwierzę, które rzuca się na ofiarę całą masą ciała, by ją stratować i zmiążdżyć. Wpadł na Crimonda, odrzucił go w tył i porwał w niedźwiedzie objęcia. Wyczuł w uścisku kruche, cienkie kości, a pod koszulą gładką skórę zdraycy i odrażające ciepło jego ciała.

Ścisnąwszy jak kleszczami, kopął z furią szczupłe, gołe nogi. Jean zaczęła krzyczeć. Zataczali się chwilę i nagle Duncan poczuł w boku piekący ból: Crimond zdołał jakimś cudem wyrwać jedną rękę. Duncan zwolnił na moment uścisk i natychmiast oberwał cios kolanem w brzuch. Kopnięcie odrzuciło go w tył, prosto w otwarte drzwi. Jean krzyczała:

- Przestańcie! Przestańcie!

Nastąpiła krótka przerwa w walce, po czym Duncan zaryczał wściekle i skoczył na przeciwnika z wyciągniętymi przed siebie rękami i rozczapierzonymi palcami. Crimond zrobił krok w jego stronę i prawym prostym huknął z całej siły w nasadę nosa. Duncan poleciał do tyłu i stoczył się po kręconych schodach aż na parter.

Oto jak rozegrała się walka, której skutki miały być tak długotrwałe i straszne. Duncan zrozumiał od razu, że najgorsze, co

mo w

ło go spotkać, właśnie go spotkało. Nie potrafił sobie później hrazić jak jego wielkie, opaste cielsko zdołało stoczyć się • dół po wąskich żelaznych schodach. Głową, barkami, F • nogami tłukł o balustradę, obijał twarde, ostre krawędzie'stopni- wreszcie z głuchym łoskotem grzmotnął o posadzkę dole i przez chwilę leżał ogłuszony. I już wtedy, a nawet, jak to sobie później uświadomił, w czasie samego upadku, zdał sobie sprawę, że niezależnie od tego, co sobie uszkodził, najgorzej ucierpiał jego oczy. Czuł przeszywający ból, jednak gorszy od bólu był lęk, że może stracić bezpowrotnie wzrok; jedna z bezcennych gałek wydawała się zgnieciona. Dźwignął się powoli, badając, czy nie złamał sobie ręki albo nogi. Miał wrażenie, że środek jego pola widzenia zniknął, a peryferia wypełniały szarawe, pękające bąbelki.

Ostrożnie wyszedł przez drzwi i powłókł się, kuśtykając trawiastym dnem dolinki w stronę wzgórza. Nie zatrzymał się, by się przekonać, czy ktoś nie zejdzie na dół, aby sprawdzić, jak mocno się potłukł. Jean powiedziała mu później, że Crimond siłą zatrzymał ją w sypialni. Drzwi zatrzasnęły się za nim. więc mogli nie słyszeć, jak spada z łomotem ze schodów. Teraz miał tylko jeden cel: dotrzeć jak najprędzej do jakiegoś szpitala. Przebrnął przez strumień i wdrapał się na wzgórze, czepiając się kęp mokrej trawy, a potem ostrożnie i wolno ruszył do Dublina.

Najpierw pojechał do Rotunda Hospital, skąd odesłano go do kliniki okulistycznej. Gdy tam dotarł i usiadł na krześle w poczekalni, na krótko niemal całkiem zaniewidział. Pozwolił się prowadzić portierom, pielęgniarce, odpowiadał na pytania lekarzy, leżał na plecach, gdy wkraplano mu do oczu jakieś krople, świecono w źrenice jaskrawymi latarkami, opuszczano nad głową jakieś instrumenty. Oznajmiono mu na koniec, że w jednym oku najprawdopodobniej odzyska wzrok, ale drugie trzeba będzie operować. Tymczasem, jako że najwidoczniej doznał wstrząsu m<sup>o</sup>zgu, lepiej, żeby wrócił do domu i dobrze wypoczął.

Odprawiony z karteczką, na której zapisano mu termin następnej wizyty, Duncan stwierdził, że widzi dostatecznie wyraźnie, by móc Wrócić na Parnell Square piechotą. Nim dotarł na miejsce, powziął ważne postanowienie. O tym, co zaszło, nikt się le może dowiedzieć.

Lekarzom skłamał oczywiście, że P° prostu potknął się i upadł. Teraz kwestią zasadniczej wagi

było ukrycie przed światem, o ile to możliwe, zarówno swy obrażeń, jak i haniebnej porażki. Oznaczało to konieczność nie zwłocznego wyjazdu z Dublina, gdzie wszyscy o wszystkim wiedzieli. Ponadto chciał za wszelką cenę uniknąć spotkania, z wiarołomną żoną, odetchnął więc z ulgą, gdy się okazało, że Jean nie daje znaku życia. Zastanawiał się, czy będzie mógł jeszcze kiedyś czytać, pracować. W jego życiu zaszła kolosalna zmiana. Sam ją zresztą spowodował, wręcz wymusił. Zadzwoił do ambasady, żeby zawiadomić o swojej nieobecności, wezwał taksówkę i pojechał na lotnisko. Włożył ciemne okulary, aby zakryć sińce. Przypomnił sobie, że wypożyczony samochód zostawił na ulicy w pobliżu szpitala Rotunda. Wysłał pocztą kluczyki sekretarce, pannie Paget, z prośbą, by odstawiła wóz. Pierwszym samolotem poleciał do Londynu i prosto z lotniska pojechał taksówką do kliniki okulistycznej Moorfields. Miał za sobą naprawdę trudny dzień.

Ich londyński dom (mieszkali wówczas w Putney) został wynajęty, więc musiał zatrzymać się w hotelu. Wysłał wiadomość do Jean, podając jej jedynie adres swego klubu. Pochłonął go całkowicie stan własnego zdrowia. Zaczął chodzić na badania do kliniki uniwersyteckiej. Usiłował nie zastanawiać się nad odpowiedzią, jaka przyszła od Jean, niewiarygodnie bezczelnej: „Dlaczego uciekłeś?” Wkrótce potem, po jego drugiej operacji oka, przysłała mu nową wiadomość; donosiła, że mieszka z Cri-mondem. Nowinę tę potwierdził list od Dominica Moranty'ego, z pokrzepiającą informacją, że „cały Dublin o niczym innym nie mówi”. Moranty wyraził zdradzonemu mężowi swe współczucie, bez którego Duncan rad byłby się obejść, oraz oburzenie faktem, że „cały Dublin” obwinia go o to, że przez swą obłądną zazdrość doprowadził do takiego końca. Duncan nie zdziwił się wcale, że plotkarze sympatyzowali z kochankami, z ulgą natomiast skonstatował, że nietaktowne pismo Moranty'ego nie zawierało rewelacji, która z pewnością byłaby na ustach „całego Dublina”, gdyby się przedostała do jego rozplotkowanych elit. W jakiś czas potem wysłał oficjalny list do ministerstwa z prośbą o dymisję. Powiadomił listownie Jean, że zrezygnował z posady i zostaje w Londynie. W słowach wolnych od skargi, ale i czułości, zaproponował, żeby do niego wróciła. Odpowiedziała niebawem, wyrażając żal z powodu jego rezygnacji, a jednocześnie infor-

• c że pozostanie w Dublinie i zaakceptuje wszystko, cokolwiek on postanowi w sprawie mieszkania, samochodu i „nieru- homości” (nie napisała: „wieży”). W postscriptum dodała: „Tak nii przykro, tak szalenie przykro!” Duncan poprosił swojego dwokata o formalne potwierdzenie odbioru tego listu.

Jak sam później ocenił, zdołał załatwić tak rzeczowo tę okropną sprawę jedynie dzięki temu, że jego uwagę pochłaniała wówczas inna śmiertelna obawa, inne zajęcie, regularne wizyty w klinice okulistycznej Moorfields. Zastanawiał się później, czy nie lepiej było zrobić awanturę, zasypać Jean oskarżeniami, bła-oaniami, przynajmniej w listach; w obecnym stanie nie mógłby się jej pokazać osobiście. Żałował później gorzko, że nawet nie spróbował, prośbą lub groźbą, perswazją lub deklaracjami miłości, odzyskać żony. Zapiekleła nienawiść do Crimonda, którego uważał niemal za mordercę, sprawiła, że z lodowatym chłodem odnosił się również do Jean. Gdyby potrafił pomyśleć o niej szczerzej, serdeczniej, napisałby do niej list obficie skropiony łzami. Niestety, w wyobraźni i snach Duncana stał między nimi Crimond, chudy jak tyka, wysoki jak grecki kuros, błądy i lśniący.

Kuracja okulistyczna rozwijała się nadspodziewanie pomyślnie. Duncan odzyskał stopniowo wzrok w prawym oku, a i lewemu, choć tęczęwka była dziwnie zaczerniona, wróciła na tyle zdolność widzenia, że mogło wspierać zdrowszego towarzysza. Już i przedtem nosił okulary, obecnie z grubszymi tylko soczewkami, ośmielił się więc przewidywać, co istotnie nastąpiło, że powróci do normalnego życia, będzie mógł czytać, chodzić na spacer. Zapowiadała się

nawet dalsza poprawa, ożyła więc w n,m nadzieja, że będzie mógł znowu prowadzić samochód. »Nie patrzymy wyłącznie gałkami ocznymi, patrzymy mózgiem - poinformował Duncana jego pogodnie usposobiony oku-a - a nie ma pan pojęcia, do jakich adaptacji jest zdolny ów °rgan! Ten sam lekarz zapewnił ponadto pacjenta, że jego lewe, ^śmieszne oko", niewątpliwie zwracające uwagę, wygląda „na-er interesująco", wręcz „bardzo atrakcyjnie". 'ężka próba, przez jaką przeszedł, śmiertelnie Duncana wymóc odział się już ślepym, doświadczył, co to znaczy nie wiem02^3^ Poczuz\* nawet zimny cień śmierci, postanowił bo- ze Jeśli nie odzyska możliwości czytania, odbierze sobie życie. Obecnie, wychodząc powoli z jednego koszmaru, po^ się stopniowo w innym. Wraz ze zdrowiem jego dusza odzysV\*» zdolność do przeżywania innych cierpień. W wyobraźni odtwarzał wciąż od nowa scenę w sypialni na wieży, widział wciąż jącego koszulę Crimonda, spoglądającą przez ramię Jean, przeżywał na nowo cios i upadek ze schodów. Śnił mu się tylko Crimond, nigdy Jean, chyba że jako czarna kula, jakby czarna bryła błota, pojawiająca się często w jego snach. Pożądał Jean we dnie i w nocy, tęsknił za nią jak potępieniec, wyobrażał sobie moment jej powrotu, a potem wybaczenie, pojednanie, szczęście. Prześladowały go wyrzuty sumienia, wciąż rozważał w wyobraźni sytuacje i zachowania, które zapobiegłyby zapewne takim finałowi. Powinien był, zamiast śledzić, szczerze z Jean porozmawiać, upomnieć, ostrzec, powinien był strzec żony i ją ochra- l niać, zamiast odstępować rywalowi. Nie należało rezygnować z pracy, należało zostać w Dublinie i na miejscu się ze wszystkim zmierzyć, tam wykurować oczy i resztę naprawić. Jean zarzuciła mu, że uciekł. Wyłgał się od próby, której podjęcie zyskałoby mu prawdopodobnie jej szacunek i sympatię, nazbyt łatwo pogodził się z porażką, nie pokusił się o zwycięstwo. Teraz było już na to za późno... ale czy naprawdę? Paraliżowała go nienawiść do Crimonda... a może lęk przed nim?

Nie poinformował o swoim powrocie żadnego z przyjaciół. Gerard, Jenkin i Rose mieszkali wtedy w Londynie; Gerard pracował w administracji rządowej, Jenkin uczył na politechnice, Rose była redaktorką w jakimś czasopiśmie. Wiadomość, że Duncan zrezygnował z posady, rozeszła się oczywiście lotem błyskawicy, podobnie jak wieść, że jego małżeństwo przeżywa kryzys, jak wreszcie plotka, że tym trzecim jest David Crimond. Gerard dowiedział się o tych rewelacjach jako pierwszy od pewnego znajomego z ministerstwa spraw zagranicznych i natychmiast zadzwonił z tą bulwersującą nowiną do Jenkina, a potem do Rose; oboje o niczym jeszcze nie wiedzieli. Rose zastanawiało jedynie, że nie otrzymała dotąd od Jean, z którą regularnie korespondowała, odpowiedzi na swój ostatni list. Hernshaw, który z kolei utrzymywał stały, choć sporadyczny, kontakt z Duncanem, również zdał sobie obecnie sprawę, że już od dawna ni miał od przyjaciela żadnej wiadomości. Co do Jenkina, ten do nikogo niemal nie pisywał. Gerard podjął się sprawdzić inne, oraz już liczniejsze, źródła informacji i stwierdził wkrótce, że tki nie odbiegały od prawdy. Sytuacja nie kwalifikowała się oczywiście do rozmowy telefonicznej z Duncanem, zresztą obaj nie mieli zwyczaju gawędzić przez telefon. Gerard uznał, że ich trójka powinna coś przedsięwziąć, uczynić jakiś krok. Po zrobieniu kilku oględnych w treści szkiców na brudno wystosował w końcu do Dublina taktowny list, sądził bowiem (nie przyszło mu nawet do głowy, że Duncan mógłby tak nagle wyjechać), że przyjaciel nadal przebywa w Irlandii. Z kolei Rose napisała list do Jean. równie wyważony, choć krótki i zupełnie do listu Gerarda niepodobny. Oba listy „niczego nie stwierdzały wprost", sugerowały jedynie, że nadawców doszły pewne słuchy, uprawiając ich w zatroskanie i napełniając współczuciem. Jenkin posłał Duncanowi związłą kartkę następującej treści: „Trzymaj się, chłopie. Uściski, Jenkin". Poczłówkę wybrał starannie (nastrojowy krajobraz pędzla Samuela Palmera) i zakleił dyskretnie w kopercie. Te przyjacielskie posłania po jakimś czasie wróciły do Londynu i trafiły do klubu, skąd Duncan odbierał regularnie pocztę, niecierpliwie wyglądając kolejnej wieści od Jean. Rose, Gerard i Jenkin pozostawali w stałym kontakcie telefonicznym, a nawet

spotkali się w domu Gerarda na Notting Hill celem omówienia sytuacji. (Robin Topglass był już podówczas żonaty i mieszkał w Kanadzie). Winą za powstałe nieszczęście obarczyli zgodnie Crimonda. Wymienili się uwagami na temat jego osoby, zapewniając, że niechęć do przekonań politycznych byłego kolegi nie ma wpływu na ich bezstronność. Doszli zgodnie do wniosku, że skrajna, wojująca lewicowość wyraża część Jego osobowości, niezrównoważonej i nieobliczalnej. Uzgodnili, że choć go lubili i cenili na studiach, w gruncie rzeczy wcale go nie znali. Choć naprawdę szczerze przejęli się losem Cam-busów, nie mogli sobie odmówić przyjemności snucia rozmaitych spekulacji na temat szokującego romansu. Te rozmowy wpočas których powtarzali do znudzenia: „Tylko pamiętajcie, my nie znamy faktów!”) nie prowadziły do żadnych konkluzji, °d tamtego jednak czasu datowała się zapiekła niechęć panny w a°d do Crimonda, co miało później odegrać tak istotną rolę JeJ życiu. Ponadto żadne z nich nie wiedziało, gdzie właściwie Zas\*ył się Duncan. zymawszy pomyślną prognozę lekarską co do stanu swego zdrowia (od Jean nie miał żadnych nowych wiadomości, sa również do niej nie pisał), Duncan spróbował się jakoś pozbierać doprowadzić do porządku własne życie. Żałował przede wszystkim, że odszedł z ministerstwa i został bez pracy. Wkrótce potem, nie ze skruchy, lecz dlatego, iż uznał, że nadszedł już czas, napisał wreszcie kartkę do Gerarda. Podał w niej jedynie swój aktualny adres i zaprosił przyjaciela na drinka. Nie mieszkał już w hotelu, wynajął małe mieszkanie w Chelsea, w którym wiódł samotne życie zdziwaczałego odludka. Przebiegu rozmowy żaden z nich nikomu nigdy nie wyjawiał. Właściwie niewiele mówili, ale samo spotkanie okazało się przełomowe. Duncan zdał Gerardowi zwięzłą relację z wydarzeń, pomijając milczeniem bójkę na wieży. Powiedział, że stopniowo zaczęło do niego docierać, iż Jean zakochała się w Crimondzie i najpewniej została jego kochanką. Potem wszedł w posiadanie dowodu (nie powiedział, jakiego, a Gerard nie pytał), potwierdzającego jego podejrzenia, a w jakiś czas potem dowiedział się od samej Jean, że ma go zamiar opuścić. Od tamtego czasu, nie licząc listu, w którym donosiła, że mieszka z Crimondem i nie zamierza wrócić do męża, nie miał od niej żadnej wiadomości. Gerard rad by się dowiedział czegoś więcej, lecz oczywiście nie nalegał. Spotkanie było ważne dla Duncana i z tego powodu, iż dawało mu okazję zaprezentowania uszkodzonego oka tak wiarygodnemu świadkowi. Hernshaw, prawdę powiedziawszy, w ogóle nie zauważył żadnej skazy w lewym oku i Duncan musiał mu dopiero zwrócić na nią uwagę, wspominając o pewnych „kłopotach z oczami”. Trochę się obaj wstawili i zaczęli wspominać okres - nie dotykając wszakże istoty łączącego ich wtedy związku - kiedy po śmierci Sinclaira zostali na krótko kochankami. Gerard, choć nie wyraził wprost rozczarowania z powodu pospiesznej rezygnacji Duncana, którą uważał za pochopną, podniósł temat wyboru przezeń pracy. Szkolnictwo? Odpada. Polityka? Również. A może krajowa służba publiczna? Duncan, który wcześniej deklarował, że jest już człowiekiem „skończonym”, któremu pora „stanąć w kolejce po zasiłek”, przyznał, że to niezła myśl. Przenosiny z dyplomacji do Whitehall nie należały przecież do rzadkości, a choć odszedł z posady tak bezceremonialnie, mógłby zapewne liczyć na wyrozumiałość zwierzchników. Niebawem istotnie podjął pracę w administracji rządowej, może nie w tym r ministerstwie, które by wybrał, gdyby miał możliwość wy-3 ale na dość obiecującym, interesującym stanowisku. b°^3ójka na wieży miała miejsce w czerwcu. Po otrzymaniu nowej posady Duncan wysłał do żony list, w którym pisał, że kocha i z nadzieją czeka jej powrotu. To było w sierpniu. Na ten list nie dostał żadnej odpowiedzi. Otrzymywał natomiast nadal listy od Dominica Moranty'ego, w których irlandzki pisarz informował, że Jean i Crimond są nadal razem i zaczynają być traktowani jako stała para. Duncan miał teraz więcej czasu i sił na oddawanie się rozpaczy. Nadal chodził na opatrunki do kliniki okulistycznej, ale pierwszy, potworny lęk przed utratą wzroku minął, przestał się też uważać za człowieka skończonego. Odwiódł Gerarda i Rose od zamiaru, co prawda nader mglistego, aby „coś przedsięwziąć” - pojechać do Dublina, zwymyślać Jean. potępić Crimonda? Całkowicie pograżył się w



rozpaczy. W tym czasie wręcz roiło się wokół niego od przyjaciół i znajomych -zdradzony i porzucony mężczyzna bywa nieodmiennie postacią popularną i chętnie w towarzystwie widzianą. Choć odczuwał wdzięczność wobec Gerarda, Jenkinsa i Rose, którzy szczerze się o niego troszczyli, pragnął czegoś innego niż rozrywek, jakie dla niego obmyślali: pragnął siedzieć kołkiem w domu, sam na sam ze swoim nieszczęściem, bólem, poczuciem straty, a nawet ze swoją zazdrością, z obsesyjną nienawiścią do Crimonda, ze swoimi wyrzutami sumienia oraz żalem i obłąkańczą tęsknotą za ukochaną żoną. Pragnął się jakoś ułożyć ze swoim nieszczęściem, przeżywać wciąż na nowo okrutne wspomnienia, prześledzić wszystkie co do jednej możliwości innych rozstrzygnięć, dopóki wszystkich nie wyczerpie, a one jego nie doprowadzą do wyczerpania.

A potem Jean nagle wróciła. Był zimny, listopadowy wieczór, prószył drobny śnieżek. Duncan siedział, jak zwykle, z butelką whisky i książką przy gazowym kominku w swym małym mieszkanku, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Pora była późna, nie spodziewał się żadnych gości. Zszedł na dół, zapalił światło

I otworzył frontowe drzwi. W progu stała Jean. Odwrócił się na PjCcie \ msZyj pC scnodach na górę. Na długo miał zapamiętać

Poręczy, na której się ciężko opierał. Przybrał na wadze, drzv/m?CZ°ny' ^UZ troche- PUany- Usłyszał trzask zamykanych I od ulicy i kroki Jean za plecami. Weszła za nim do mie-

szkania, a potem do saloniku, i zamknęła za sobą drzwi. Była ubrana w czarny płaszcz przeciwdeszczowy i ciemnozielony nieprzemakalny kapelusz, jedno i drugie przyprószone śniegiem. Zdjęła kapelusz, przyjrzała mu się. strzepnęła płatki śniegu, po czym upuściła kapelusz na podłogę. Podobnie obeszła się z płaszczem. Wydała z siebie jakieś ciche, podobne do szlochu westchnienie, zerknęła na męża, odwróciła głowę i zaczęła skubać machinalnie karczek sukienki. Duncan stał przy kominku z rękami w kieszeniach i przyglądał się żonie spokojnym, z lekk-badawczym spojrzeniem, które w najmniejszym stopniu nie oddawało stanu jego ducha. Ledwie ją ujrzał, zrozumiał oczywiście, że wróciła do niego naprawdę, na dobre. To nie była konferencja pokojowa po zawarciu rozejmu, lecz bezwarunkowa kapitulacja. W oczy Duncana zaświeciło słońce, a wezbrane serce omal nie rozerwało mu piersi. Miał ochotę zapłakać z radości, omdleć ze szczęścia, studziło go jednak i dyktowało sposób zachowania,

O czym później myślał z satysfakcją, uczucie triumfu. Odbierał oto rozkoszną i zasłużoną nagrodę. Jednocześnie poczuł gniew, jakby uznał, że może go wreszcie na wiarołomnej wyładować, potrząsnąć nią. uderzyć. Przez tę długą, przedłużającą się chwilę pozostawała na jego łasce i niełasce. Właśnie te niskie myśli

I uczucia pozwoliły mu zachować taki spokój i opanowanie. Również w Jean zachodził najwyraźniej proces psychicznego lodowacenia. Zapewne miała nadzieję, że zostanie powitana z otwartymi ramionami, co otworzyłoby przed nią możliwość dania upustu łzom. W jej spojrzeniu czaiło się początkowo jakieś błaganie; teraz zmarszczyła czoło, przyglądała włosy, odwróciła się do Duncana i powiedziała twardo:

- Przypuszczam, że oczekujesz ode mnie jakiegoś oświadczenia.

Nie odpowiedział.

- A więc krótko: odeszłam od Crimonda. To już skończone. Chciałabym do ciebie wrócić, jeśli oczywiście i ty tego chcesz. Jeśli nie, natychmiast odejdę. Będziesz mógł wystąpić o rozwód lub zrobić, cokolwiek uważasz, za wskazane.

Twarz miała nadal zaczerwienioną od zimna po nagłym wejściu do ciepłego pomieszczenia, na podbródku kropelki wilgoci po stopniałych płatkach śniegu, które dostały się pod rondo kapelusza. Opuściła wzrok na leżący na podłodze płaszcz i naj-

!A^mei zdała sobie sprawę, że zdejmując go, popełniła błąd skoro będzie musiała zaraz wyjść; podniosła go i zaczęła

wkładać. . .

Duncan już tak długo trzymał na wodzy swe uczucia, że w rażenie ich teraz wydało mu się nagle niestosowne. Poczuł, że sam zamiar przełamania milczenia odbiera mu mowę. Dopiero widok ubierającej się Jean sprawił, że zareagował spontanicznie:

\_ Co ty wyprawiasz z tym płaszczem? Odłóż go zaraz.

Upuściła posłusznie płaszcz, a Duncan podszedł i zamknął ją w objęciach.

Tak oto zakończyła się pierwsza odsłona romansu Crimonda i Jean, a zaczął nowy okres małżeńskiego szczęścia Duncana i Jean, które trwało długie lata, aż do opisanego tu balu w Oksfordzie.

Sprawa książki stanowiła osobną kwestię, którą da się krócej przedstawić. Choć osobna, przeplatała się jednak z losami oks-fordzkich przyjaciół, raz luźniej, raz ściślej w miarę upływu lat, by w końcu, przynajmniej na płaszczyźnie emocjonalnej, złączyć się nierozzerwalnie z trójką Crimond-Jean-Duncan. Zaczęło się to dawno, jeszcze za życia Sinclaira, i zostało trwale naznaczone faktem, co w końcu wszyscy dostrzegli, że temu dziełu błogosławiła właśnie jego protektorska dłoń.

Byli wtedy młodzi, mieli po dwadzieścia kilka lat, Gerard i Sinclair mieszkali i żyli ze sobą. Kiedy zaczęli wydawać lewicowe piśmiennictwo (jego żywot okazał się efemeryczny), dosyć często spotykali się z Crimondem, który, mało jeszcze podówczas znany, zaangażował się głęboko w działalność polityczną i został właśnie usunięty z partii komunistycznej za lewackie odchylenie. Mieszkał w Bermondsey w bloku, który nazywał czworakami, i klepał ostentacyjnie biedę jako żarliwy, ideowy rewolucjonista. Zresztą cała ich grupa wyznawała wówczas, choć w rozmaitym nasileniu, poglądy skrajnie lewicowe. Robin należał, acz krótko, do partii komunistycznej, Sinclair deklarował się jako trockista, Duncan i Jenkin byli radykalnie nastawionymi zwolennikami labourystów, a Gerard, jak to określał Sinclair, 2?alistą od wesołej Anglii, Williama Morrisa i siedmiu bole-01 • Jean i Rose (wówczas pacyfistka) ukończyły właśnie uniwersytet. W „czworakach” Crimonda, w mieszkaniu Gerarda luclidra bądź na „złotach czytelniczych w Bojarówce”, wiejskim domu państwa Curtlandów, rodziców Sinclaira i Rose, bywały się długie i zażarte, czasem zjadliwe dyskusje polityczne Sinclair darzył Crimonda ogromną sympatią, choć nie aż taką ani takiego rodzaju, by miało to budzić zazdrość Gerarda. Żyli swobodnie, wewnętrznie wolni, szlachetni, nie znający uczucia zazdrości, utrzymywali styl szczerze pochwalany przez Levqui-sta, czego mieli zresztą świadomość, więc tym bardziej byli z siebie radzi. Wszyscy lubili Crimonda, choć już wówczas był osobą najmniej z resztą grupy zżytą. Podziwiali go i szanowali również i za to, że był politycznie bardziej czynny od nich, głębiej zaangażowany, no i wiódł przykładowo ascetyczne życie. Był politycznie lepiej zorientowany i wykształcony, potrafił też wiązać swoje poglądy w spójne teorie. (Nie na darmo należał do najzdolniejszych studentów filozofii). Już wtedy zaczął pisywać artykuły, z których później zasłynął.

Utrzymywał się na bardzo skromnym poziomie z dorywczych prac dziennikarskich i oszczędności, jakie poczynił jako stypendysta w Oksfordzie. Stałej posady nie miał ani też nie szukał. Podróżował mało, jeśli nie liczyć regularnych wizyt u ojca w Dumfries. Słyszał z tego, że umie „żyć powietrzem”, alkoholu nie pił, widywano go zaś zawsze w tym samym ubraniu. Lubił mieszkać w dzielnicach biedoty.

W tym mniej więcej czasie jął wspominać w trakcie ich ożywionych politycznych dyskusji o swym zamiarze napisania wielkiej, na pół filozoficznej książki, której główne tezy, ulegając naleganiom przyjaciół, rozwijał czasem przed Gerardem i resztą paczki. Oszczędności ze studiów poczyniły mu tymczasem topnieć (co przyznał Gerardowi, gdy ów przycisnął go kiedyś do muru), toteż rozważał podjęcie jakiejś pracy w niepełnym wymiarze; jakiegokolwiek, powiedział, byle na podrzędnym stanowisku. Próba nakłonienia go, by „zdobył pozycję”, na przykład jako wykładowca akademicki bądź dyrektor jakiejś instytucji, w oczywisty sposób

nie miała szans na sukces. Gerard miał dość kiepsko płatną posadę w Stowarzyszeniu Fabiańskim, Rose i Sinclair byli niezależni finansowo, a Jean, która miała ojca bankiera, była wręcz bogata. Przyjaciele omówili sytuację Crimonda i doszli do wniosku, że byłoby marnotrawstwem, gdyby tracił czas na jakąś głupią pracę, kiedy jego powołaniem jest myśleć i pisać.

David musi napisać tę książkę! - stwierdził Sinclair i dodał, ecałkiem zresztą żartem: -

Przeczuwam, że powstanie dzieło

eP<To°on również zaproponował, żeby się złożyli i wypłacali Crimondowi stałą pensję, by mógł poświęcić się bez reszty pracy twórczej.

\_ Ostatecznie wielkich pisarzy często wspomagali przyjaciele \_ dodał. - Przypomnijcie sobie Rilkego, który mieszkał i tworzył w zamkach swych znajomych, przypomnijcie sobie Musilgesellschaft, które wspierało Musila.

Chyba już wtedy przedstawiono Crimondowi zarys tego projektu, ze wzdgarą przezeń, oczywiście, odrzucony. Do realizacji w każdym razie nie doszło. Idea fundacji, którą Sinclair ochrzcił mianem Crimondgesellschaft, a którą później nazywali między sobą po prostu Gesellschaft, jednak przetrwała.

Czas płynął. Sinclair zginął w wypadku szybowcowym. Crimond wstąpił w szeregi Labour Party. Stawał się popularną postacią na skrajnej lewicy i zyskał sobie chlubną opinię wybitnego intelektualisty. Został kandydatem do parlamentu. Duncan przebywał wówczas w Londynie (po Genewie, a przed Madrytem), a Jean pracowała (oczywiście bez zapłaty) jako asystentka Crimonda. Ani Gerard, ani Rose nie zapomnieli o wymarzonym projekcie Sinclaira. Rose, jak się później okazało, nie rozstawała się wręcz z myślą, że takie Crimondgesellschaft mogłoby się stać swoistym pomnika dla Sinclaira, który tak Crimonda podziwiał. To, że ewentualny stypendysta pozostał na skrajnej lewicy, gdy oni wyznawali już poglądy bardziej umiarkowane, nie stanowiłoby oczywiście istotnej przeszkody. Pod pewnym względem, co wszyscy przyznali, czuli się trochę wobec niego winni, chcieliby mu jakoś zadośćuczynić za jego ascetyzm i całkowite Poświęcenie. Po wyborach (kandydatura Crimonda nie miała żadnych szans powodzenia, on sam zresztą nie liczył na sukces) Gerard, zachęcony przez Rose, ponownie zapytał Crimonda o książkę, której napisanie zapowiadał. Jean i Duncan bawili wtedy w Madrycie. Crimond, który przeprowadził się tymczasem większego, choć równie obskurnego jak poprzednie miesz-13 w Camberwell, odparł, że właśnie się zabiera do pisania. da^mmał również (zapytany wprost), że przyjął posadę sprze-y na pół etatu w pewnej księgarni z literaturą lewicową.

Gerard porozumiał się z Rose, Jenkinem, Duncanem i J Skonsultował się również z ojcem, a Jean zasięgnęła opinii sw jego. Spisano swego rodzaju nieformalną umowę, oczywiście dość luźną pod względem prawniczym, określającą proponowan Gesellschaft jako grupę darczyńców, którzy zobowiązują się kładać rocznie określoną sumę celem zapewnienia Davido Crimondowi czasu wolnego, potrzebnego do napisania żarnie rzonej książki.

Matthew, ojciec Gerarda, włączył się chętnie d tej inicjatywy, gdyż za młodu był żarliwym socjalistą i było trochę wstyd, że obecnie polityka go nudzi. Z kolei ojciec Jes Joel Kowitz, którego finansowy wkład miał być największy, dołączył dlatego, że uwielbiał swoją jedynaczkę i spełniał wszystkie jej prośby. Następnym progiem do pokonania było skłonienie Crimonda, by zechciał przyjąć ofiarowane mu stypendium. Spierano się, a nawet zakładano, czy są na to pomyslnie widoki. Gerard z lekkim niepokojem wybrał się na spotkanie z kolegą, przedstawił mu cały plan i pokazał spisany dokument. Crimond najpierw kategorycznie odmówił, a potem powiedział, że się zastanowi. Po jakimś czasie, naciskany przez Gerarda, a później również przez Jenkinsa, wyraził zgodę.

Tak więc Crimondge Seilschaft stało się faktem. Oczywiście, nie wyznaczono żadnego terminu ukończenia dzieła. Komite w wyżej wymienionym składzie (jedynie Joel nie pojawiał si nigdy na jego posiedzeniach), miał decydować, czy wkłady maj rosnać (wraz z inflacją), czy

też maleć (na przykład wobec pogorszenia się sytuacji materialnej udziałowców). Następnie zapadła wokół całej sprawy głucha cisza. Donatorzy woleli nie pytać o postępy w pracy z obawy, by ich nie posądzono o nikającą ze skąpstwa troskę o swoje wkłady, Crimond zaś, okresie początkowej, zrozumiałej wdzięczności, nie dostarczał żadnych sprawozdań ani rozliczeń. W gruncie rzeczy, co z smutkiem skonstatowali, zerwał niemal wszelkie kontakty swymi „dobrodziejami”, którzy dowiadywali się jedynie pośre nio, że podobno podróżuje po Ameryce. („Należało się tego spodziewać”, orzekł Jenkin). W niedługi czas potem nastąpiły, wyżej opisane, dramatyczne wydarzenia w Irlandii, które wszystkich, a szczególnie Rose, ogromnie zmartwiły, a nawiązały wzbudziły gniew na niewdzięcznika. Po tym incydencie, i powrocie Jean do Duncana, przyjaźń, a choćby tylko kont\*

inowającą, wydawały się nie wchodzić dłużej w rachubę, ale 7 ^oty przeznaczone na książkę, na niebagatelny zresztą po-kW ie wpływały oczywiście na konto „stypendysty” zgodnie z 7,0 r7yrZeczeniem. Rose ośmieliła się wyrazić głośno pogląd, który reszcie członków komitetu nie chciał przejść przez gardło, i Crimond nie powinien w zaistniałej sytuacji korzystać dłużej z ich pomocy. Ale, rozumie się (wszyscy byli co do tego zgodni), owinni oddzielać własne rozhuśtane emocje od danej obietnicy, wreszcie od konkretnej sprawy, której ta obietnica dotyczyła, a która wyrosła z dawnego pomysłu Sinclaira, poczętego z sympatii i podziwu, jakie zmarły żywił dla Crimonda.

Lojalność wobec Cambusów zdawała się początkowo wykluczać wszelkie stosunki z Crimondem, po pewnym jednak czasie Gerard uznał takie ignorowanie jego istnienia za absurd. Hershaw nie umiał tak po prostu „skreślić” bliskiego - a w tym przypadku również starego - znajomego. Człowiek im starszy, tym bardziej sobie ceni przyjaźnię „prawie od dziecka”. Zresztą Crimond go ciekawił; bardzo niechętnie zrywałby znajomość z tak niezwykłą postacią. Wszło więc w zwyczaj, że Gerard spotyka się z „grzesznikiem” sporadycznie, rzekomo po to, aby go wypytać o postępy w pracy nad książką, choć ów temat rzadko podnoszono, a nigdy go głębiej nie drażono. Również Jenkin, przezywany z tego powodu babą przez Rose, widywał się z Crimondem od czasu do czasu, choć ich spotkania nie miały charakteru towarzyskiego, odbywały się na neutralnym gruncie polityki. Jenkin bowiem, w odróżnieniu od Gerarda i Duncana, pozostał członkiem Labour Party. Crimond był nim również, choć nieustannie wisiała nad nim groźba wydalenia, co też się w końcu i stało. Plotkowano, że to wydalenie, już drugie w Jego karierze (wywołało znaczne poruszenie, a nawet poważne wzburzenie w szeregach partii), wielce samego Crimonda ucieszyło, a nawet dostarczyło mu dowodu na słuszność jego Poglądów. W wystąpieniu, niezrozumiałym dla jego młodych

chaczy, wszak nie czytali Kiplinga, zapowiedział, że obecnie, mczym Mowgli, „będzie polował w dżungli w pojedynkę”. Jeśli oczekiwał okrzyków: „My będziemy polowali z tobą”, nie dojące Z w'e'u Jednak stron doszły go liczne, pokrzepia-wyraży sympatii. Crimond pozostał czynny na polu polityki.

- mawiał na zebraniach, pisał artykuły i publikował okolicznościowe broszurki. Coraz częściej mówiło się wszakże, iż przepaścił szansę”. Z tak skrajnymi poglądami nie ma co marzyć

O wejściu do parlamentu, nie uważano go też za teoretyka, b-nie przedstawił żadnego spójnego światopoglądu, krytykowan-za brak codziennych, praktycznych kontaktów z realnym ruchem robotniczym. Nie wyrobił sobie, jak biadano, żadnej pozycji, z wyjątkiem pozycji wybitnego zjawiska, a grono jego młodych' rozczarowanych partyjną działalnością popleczników, nie było aż tak liczne, by mogło stanowić poważne zagrożenie dla partyjnych elit. Został, w rzeczy samej, samotnym myśliwym rewolucji. Ocena ta, jak się później okazało, była dlań krzywdząca.

Płynęły lata. Crimond wciąż otrzymywał „stypendium”, które pozwalało mu oddawać się działalności politycznej, budzącej coraz silniejszą dezaprobatę jego „dobrodziejów”, i pisać,

lub udawać, że pisze, książkę, która, gdyby się miała ukazać, wywarłaby niewątpliwie szkodliwy wpływ i mogła okazać się groźna. Coraz trudniej przychodziło darczyńcom udawanie, że szło po prostu o zwykłe dotrzymanie zobowiązania, coraz jaśniej ukazywała się bowiem prawda, że powstała absurdalna, idiotyczna, niemożliwa dłużej do tolerowania sytuacja, z którą trzeba koniecznie coś zrobić. Wyglądało na to, że powtórne uwiedzenie Jean pozwoli przerwać wreszcie ów stan niezdecydowania

I przeciąć nabrzmiały wrzód.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Gerard spał przy kuchennym stole w domu na Notting Hill, a w Kensington Duncan wrzucał pantofle Jean do kosza, Tamar Hernshaw, pobladła ze strachu, siedziała naprzeciwko matki w ich ciasnym, tonącym w brudzie mieszkanku w Acton. W sypialni Violet, gdzie łóżko nie bywało nigdy zaśnie, walały się stosy plastikowych torebek, do których gromadzenia popychał panią Hernshaw jakiś nieodparty przymus. Matka i córka siedziały w kuchni. Na podłodze walały się płachty gazet, na stole stały brudne talerze, butelki po mleku, słoiczki sosów, słoiczki po musztardzie, słoiki dżemu, leżały skórki chleba, okruchy spleśniałego sera, resztkę masła w zatłuszczonym papierku, stał wreszcie kubek nie tkniętej przez Tamar herbaty. Trwająca od dłuższego czasu rozmowa zaczynała się beznadziejnie kręcić w kółko.

- Nie mogę znaleźć pracy - powtórzyła Violet - doskonale wiesz, że nie mogę!

- A nie mogłabyś...?

- Tak, słucham? Czego czy bym nie mogła? Nie wezmę przecież pierwszej lepszej roboty! Nawet gdybym dostała posadę kelnerki na pół etatu, nam trzeba grubszej gotówki, a nie tych nędznych groszy, jakie bym zarabiała niewolniczą, morderczą harówką! Sama mi wciąż przypominasz, że nie jestem już taka młoda...

- Ależ nie, powiedziałaś tylko...

- Wszystko, dosłownie wszystko drożeje! Ty żyjesz w świecie jak z bajki, nie zaprządasz sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak pieniądze. Wiem, to moja wina, chciałam ci zapewnić jak najlepsze wykształcenie...

Pamiętam o tym i jestem ci wdzięczna... ~ Przyszła więc pora, abyś mi tę wdzięczność okazała. t szystko drożeje, raty, podatki, żywność, ubrania, opłaty hipo-ne— Mój Boże, ty pewno nawet nie wiesz, co to hipoteka!

Nie stać nas na opłacenie telefonu, będę musiała kazać go łączyć. Samo utrzymanie wegetarianki, jaką uparłaś się zosta kosztuje krocie. Ty żyjesz sobie jak królewna, myślisz, że zawsz będą ci wszystko podtykać pod nos! Tymczasem ja mam dłu dosłownie tonę w długach, więc jeśli nie zrobimy jakiegoś ra dykałnego kroku, stracimy wkrótce nawet ten dach nad głową

- Mam przecież stypendium - wybąkała Tamar, hamując łzy, dotarło bowiem do niej, do czego matka zmierza. - A przecież wiesz, jak mało mi trzeba do szczęścia... nie muszę stroić ani...

- Jeśli nie będziesz uważać, wpędzisz się znów w anoreksję, a to nie jest dla ciebie dobre...

- Sama wiem, co jest dla mnie dobre!

- Mylisz się, wcale nie wiesz! Spędziłaś kilka beztroskie' latek na uniwersytecie, zabawiłaś się...

- A nie mogłybyśmy pożyczyć od Gerarda... albo od P i Gideona...

- Ani myślę się przed nimi czołgać i tobie nigdy bym il wybaczyła, gdybyś to zrobiła! Czy ty nie masz za grosz durn., żadnego szacunku dla matki? Zresztą po co miałybyśmy si pakować w jeszcze większe długi?

- Mogłabym pożyczyć od Jean...

- Od kogo? Mowy nie ma! Nie cierpię tej baby!... Ach, wiem, wiem, ty ją ubóstwiasz, wołałabyś, żeby to ona była twoją matką!

- Słuchaj - zaczęła Tamar, choć zdawała sobie sprawę, że na tę propozycję Violet nigdy nie przystanie - oni są przecie, bogaci, w każdym razie Gideon, Jean zresztą także, nie musieliby nam pożyczać tych pieniędzy, mogliby je nam dać.

- Nie doprowadzaj mnie do rozpacz, Tamar! Chyba nie sądzisz, że łatwo mi przyszło poruszenie tego tematu... Miałam nadzieję, że mi to ułatwisz. Proszę cię, wróć do realnego świata i mnie pomóż stawić mu czoło!

- Nie mogę teraz przerwać studiów, muszę zdać egzaminy końcowe, inaczej to będą stracone lata... i wszystko pójdzie na marne...

- Masz wypaczone pojęcie o wykształceniu, jeśli zależy ci tylko na świstku papieru, stwierdzającym, że zdałaś taki a taki egzamin! Z pewnością przez te dwa lata czegoś się już nauczyłaś-Wystarczy ci, musi wystarczyć!

Ależ ja chcę się dalej uczyć... Jeśli uzyskam magisterium, " . mogła ubiegać o nowe stypendium, zostaną na uczelni, będę-S1 doktorat... Chcę dalej studiować, zostać pracownikiem Tukowyrn, pisać, zająć się dydaktyką... Nie mogę teraz prze-'^ć bo wszystko pójdzie na marne!

L Chcesz koniecznie zostać panią doktor Hernshaw? \_ Nie będę cię nic kosztowała...

\_ Wciąż mnie kosztujesz, kiedy nie zarabiasz! Suma, jaką nam dał stryj Matthew, rozeszła się już do ostatniego pensa... \_ Myślałam, że ją zainwestowałaś...

\_ Dobrze sobie: zainwestowałam! Moja droga, nas nie stać na inwestycje! Poszła na utrzymanie... na twoje kosztowne podręczniki, na tę balową suknię... A teraz na dodatek posiadałaś gdzieś płaszcz i ten piękny szal, który od kogoś dostałaś...

- Od Gerarda...

- I jakby tego było mało, zgubiłaś też kawalera! Powiedz, czy ty zawsze musisz wszystko zepsuć? Będiesz mogła przynajmniej odsprzedać te dziesiątki książek... Nie patrz tak na mnie i nie mów mi tylko, że chcę zmarnować ci życie, bo zmarnowałam już własne. Dobrze wiem, że tak właśnie myślisz. O n i ci tę myśl podsunęli...

- Nieprawda!

- Nie? Więc teraz podsuną.

- Został mi tylko rok, nie mogłybyśmy poczekać? Zdam egzaminy i...

- Później je pozdajesz. Możesz przecież podjąć studia wieczorowe. Masa ludzi tak robi. Każdy ci zresztą powie, że lepiej studiować, będąc człowiekiem dojrzałym.

- W Oksfordzie nie ma takich zwyczajów, nie można ot tak sobie podejmować i rzucać studiów, trzeba je ciągnąć nieprzerwanie. Tam w ogóle szalenie trudno się utrzymać, egzaminy są bardzo trudne, trzeba się stale uczyć... Nie mogę teraz odejść. 00 wszystko diabli wezmą. Jestem dobrze przygotowana, ciężko Pracowałam, sporo umiem... Mój profesor powiedział...

Boisz się, że zapomnisz to wszystko, co dotąd wykułaś?

zniej się znowu obkujesz. Nawet wyjdzie ci na zdrowie, jeśli °trzesz się najpierw o prawdziwe życie. Przypuszczam zresztą, że uznasz wtedy studia za czystą stratę czasu. Teraz jesteś tym

yrn Oksfordem zwyczajnie oczarowana, zaczadzona. Imponu-

je ci, że jesteś studentką, wydaje ci się, że Pana Boga za n złapałaś... A powiedz mi, co to uniwersyteckie wykształceń dało i m, Gerardowi i jego wspomniał przyjacielom, jeśli minąc fakt, że zrobiło z nich snobów i zarozumiałców, odsepa rowało od realnego życia i normalnych ludzi? Zdajesz sobie sprawę, że i ty zmieniasz się powoli w snobkę?

- Jeśli wytrwam do końca i zdobędę tytuł naukowy, będę miała widoki na lepszą pracę i wyższe zarobki...

- Boże, ty nic nie rozumiesz, w ogóle nie słuchasz, co cię mówię! Ja nie mogę cię dłużej utrzymywać. W ogóle na nic mnie już nie stać. Tonę w długach, rozumiesz? Jeśli ich nie

spłacę, pójdę do więzienia. Sama nie jestem w stanie zarobić potrzebnej kwoty. Ty ją musisz zarobić. Proste.

Matka i córka przyglądały się sobie w milczeniu przez szerokość stołu. Tamar zrzuciła już balową suknię i teraz siedziała boso, w samych tylko dżinsach i koszulce. Wygląd obu kobiet, gdyż Tamar, choć sprawiała tak dziecinne wrażenie, była już dorosłą kobietą, stanowił uderzający kontrast. Były tak do siebie niepodobne, iż można by sądzić, że córka, bez udziału matki, wyskoczyła, niczym Atena, z głowy ojca: z głowy swojego nieobecnego, nieznanego ojca, który w ogóle nie wiedział o jej istnieniu, a o którym ona, najczęściej w bezsenne noce, tak często i z taką tęsknotą myślała. Panna Hershaw należała do dziewcząt wyjątkowo chudych. W wieku szesnastu lat zapadła na anoreksję. W pociągłej twarzy tym wyraźniej uwydatniały się oczy, ogromne, smutne i szalone, niczym oczy małej dzikuski, zarazem dzikie i zalęknione, barwy zielonkawobrazowej, określanej mianem leszczynowej. Cienkie, jedwabiste włosy, proste, przycięte na wysokości płatków uszu, rozdzielone z boku przedziałkiem, harmonizowały z barwą tęczy: miały lśniący, brązowy kolor drewna z odcieniem zieleni, kolor pnia jesionu wiśni lub starej brzozy. Długie i chude nogi dziewczyny można by od biedy nazwać szczupłymi tylko dlatego, że były zgrabne. Szyję miała ciekawą, nos krótki, dłonie i stopy drobne. Jej mały wyjątkowo krągły, dziewczęce piersi nie zaprzętały jej uwagi, choć spędzały sen z powiek kilku uważnych obserwatorów. Cer miała jasną i gładką, policzki lekko zaróżowione, powieki, dobrane jak szyję, delikatne, niemal przezroczyste.

Uroda matki była wyrazistsza. Violet, jak zauważyła Rose, była nadal atrakcyjną kobietą, czemu nie należy się dziwić, bo dopiero niedawno przekroczyła czterdziestkę. Była dziewczyną o pełniejszej, kształtniejszej figurze. Kasztanowe włosy (obecnie dyskretnie malowane) czesała z grzywką. Nie miała chabrowoniebieskie. Była krótkowidzem i kiedy badała (możliwie jak najrzadziej) swoje duże, okrągłe okulary, wyglądała na kobietę inteligentną i nieco groźną, na przykład na surową, nieprzystępną urzędniczkę. Kąciki jej słodko wykrojonych ust (umiały się zaciskać w surowym grymasie, niczym pąk jadowitej róży) miały ostatnio tendencję do opadania. Ten sam układ rysów, który na twarzy Tamar oznaczał smutek, u jej matki wyrażał uczucia bardziej agresywne: zawziętości, wręcz napastliwości. Kiedy się tak sobie z napięciem przyglądały, łączące je podobieństwo - widoczne w wyrazie skoncentrowanej zaciętości, która mieściła w sobie również poczucie winy, strach i stare, oswojone nieszczęście - najsilniej rzucało się w oczy. Violet miała liczne powody do rozgoryczenia i złości. Los obszedł się z nią nieżyczliwie, bądź też - by się posłużyć boleśniejszym chyba dla niej porównaniem - ona sama z głupoty wyrzuciła wszystkie atuty, jakie miała w ręku. Jako nieślubne dziecko nieodpowiedzialnego ojca, uzależnionego od narkotyków nicponia, którego rzadko zresztą widywała, niewątpliwie przysłała na świat pod niedobłą gwiazdą. Matka nie mogła jej darować, że w ogóle istnieje. Violet, boleśnie świadoma fatalnej powtórki, nie mogła z kolei tego samego darować własnej córce. Istotna różnica polegała jedynie na tym, że podczas gdy Violet i jej matka nieustannie skakały sobie do oczu, Tamar i Violet nie kłóciły się prawie wcale. Violet zdawała sobie sprawę, że przypisywać to należy nie tyle jej własnej zasłudze, ile potulności Tamar, która była dla niej „dobra niczym anioł”. Anielska cierpliwość córki przynosiła niekiedy pociechę, częściej jednak budziła wyrzuty sumienia, które jedynie potęgowały poczucie

10'et, że została okrutnie skrzywdzona przez los. o Szkołę porzuciła, gdy miała szesnaście lat, byle tylko uciec

matki. Zerwała z nią wszelkie kontakty i ucieszyła się szczególnie, gdy doszła ją wiadomość, że jej rodzicielka odeszła z tego

świata. Po śmierci ojca rodzina z jego strony próbowała przyjąć Violet z pomocą, lecz Violet odtrąciła wyciągniętą rękę. Praktycznie jako pokojówka w hotelu, zaoszczędziła trochę grosza,

ukończyła kurs maszynopisania i zaczęła pracować jako maszynistka. Była wybitnie ładna, miała dwadzieścia lat i wielu przelotnych kochanków. Na tym etapie życia popełniła jednak kilka poważnych błędów. Odrzuciła konkury mężczyzny, w którym powinna była dostrzec obiecującego kandydata na męża. Prawdopodobnie, jak to później oceniała, nie kochała go po prostu a była jeszcze za młoda, by pojąć, że samotna, uboga dziewczyna nie może sobie pozwolić na luksus małżeństwa z miłości. Błędem o nieodwracalnych konsekwencjach okazała się oczywiście Tamar, owoc przygody z bujającym po świecie Skandynawem. Jak to często dawała do zrozumienia córce, „pozbyłaby się” jej niezwłocznie, gdyby w krytycznym momencie miała pod ręką odpowiednią sumę. Zaszła w ciążę w czasach, kiedy skrobanki były nielegalne, robiono je po kryjomu, toteż kosztowały krocie, nikt zaś wówczas nie szanował „praw kobiet do własnego brzucha”. Violet nie miała wyboru, urodziła dziecko niechciane, co często dawała później córce odczuć. Mówiono, że Violet, nie chcąc się trudzić wyborem imienia dla nieproszonej istoty, pozostawiła to zadanie urzędnikowi w urzędzie stanu cywilnego, świeckiemu kaznodziei, który zaproponował dać małej na pierwsze Tamar, oraz jego sekretarce, która zaoferowała dziewczynce na drugie własne imię: Marjorie. Panna Hershaw otrzymała przyzwoite elementarne wykształcenie na koszt państwa, okazała się dzieckiem bystrym i wyjątkowo pracowitym. Violet ucieszyła się początkowo, że córka dostała się do Oksfordu, choć poczuła jednocześnie ukłucie zazdrości, która nasiliła się jeszcze, kiedy Tamar poznała tam kilku młodzieńców i zachodziło podejrzenie, że miewa kochanków. Violet umiała cenić uległość córki, jej chęć zadowalania matki i pokorną akceptację wielce skromnego życia, jakie wiodły. Kilka razy przyjęły, w sekrecie, niewielkie kwoty od stryjka Matthew, lecz Violet odrzucała ze wzdrganiem propozycje pomocy finansowej zgłaszane przez kuzynów, Gerarda i Patricję. Tamar miała jedynie prawo przyjmować od nich prezenty bożonarodzeniowe. Kaszmirowy szal od Gerarda był właśnie takim podarkiem.

- Mogłabym znaleźć sobie jakąś pracę na czas wakacji - nie ustępowała dziewczyna.
- Na przykład jaką? Sortowanie listów na poczcie? Wykluczone! Musisz znaleźć posadę w pełnym wymiarze, wyciągnąć długów, zabezpieczyć przed wpadaniem w nowe, musisz wziąć "do roboty, stać się odtąd naszą żywicielką! S1C\_ A nie możemy po prostu przeczekać...

\_ Nie, nie możemy! Dość się już dla ciebie poświęcałam! -świadczyła Violet, wypowiadając głośno myśl, która i Tamar przysłała do głowy.

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem z podobnym wyrazem goryczy i złości na twarzach. Tamar pierwsza wygładziła rysy. Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu objaśniać matce różnicę między wykształceniem uniwersyteckim a takim, jakie zdobywają dorośli na studiach wieczorowych. Dar świetnego wykształcenia jest naprawdę bezcenny za młodu. Tyle się już nauczyła, nawet nie podejrzewała samej siebie o to, że jest zdolna osiąść taką wiedzę, a znajdowała się dopiero na początku drogi, na początku przemiany, która miała teraz zostać tak brutalnie przerwana. Oznaczało to dla niej stratę ogromną, niepowetowaną, równą niemal utracie życia, bo stratę szansy na odmianę nędznego losu na taki, jakiego dla siebie pragnęła, do jakiego czuła się uprawniona. Walcząc ze łzami, usiłowała pogodzić się z myślą, że nie ma wyboru, musi ulec. Zdawała sobie sprawę, że w domu się nie przelewa, wierzyła słowom matki.

Zadzwoił telefon. Violet wyszła, żeby go odebrać, a Tamar, odrętwiała z rozpacz, zaczęła, nie wstając z miejsca, układać machinalnie na stertę brudne talerze, porządkować słoiki i kubki, które nigdy nie zniknęły z obrzydliwego, nakrytego brudnym obrusem stołu. Tylko na chwilę dopuściła do siebie stare przypuszczenie, trwałe niczym ludowe podanie, że jej matka zmarnowała własne życie, a teraz chce zrujnować jej życie. Tamar już dawno dostrzegła, ile goryczy, żalu i złości Violet nosi w sercu, wiedziała też, że człowiek potrafi strawić wszystkie siły ducha, całą życiową energię na pielęgnowanie urazu, wyrzutów sumienia, gniewu i



nienawiści. Była w stanie wyobrazić sobie (dużo się "ym, nasłuchiwała), jakie stosunki łączyły matkę z babką i już tl 0 dziecko wyczuwała u matki pragnienie, przemożne i niemal niezależne od niej, „odegrania się”. Jednocześnie we własnym ^ercu odkrywała mroczny obszar zapiekłego gniewu wywołanego

1 Pragnieniem matki. Miała przed oczami przykład zmarno-g° życia i przyrzekła sobie, że nie zmarnuje własnego

w podobnej pułapce powtórek. Można by powiedzieć, że mają-do wyboru stanie się demonem lub zostanie świętą, wybrała to drugie. Uznała, że nie zapewni sobie bezpieczeństwa zimną, wykalkulowaną wrogością ani przebiegłą wojną o siebie, ale! szczerą rezygnacją z własnego „ja”. Z tego się brała jej „anielska”, nieco ryzykowna postawa, która tak irytowała Violet, bo podejrzewała, że jest udawana, a Gerardowi nasuwała porównanie z dziewczyną kapłanką. Okazało się, że nie jest wcale tak trudno nabrać zwyczaju wiecznej potulności i nigdy się nie odszczekiwać. Biedna Tamar dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak okrutnie bolesna i katastrofalna w skutkach (należało spojrzeć prawdzie w oczy) może się okazać rezygnacja z własnego „ja”. Violet wróciła do kuchni.

- Stryjek Matthew umarł.

- O, mój Boże! - zawołała dziewczyna. - Tak mi przykro... Och, jak żałuję, że nie zdążyłam go odwiedzić... chciałam... ale mi nie pozwoliłaś!

Zaczęła płakać. Nie były to potoki łez, jakimi miała się wkrótce zalać, lecz wezbrane smutkiem, rozpaczą i poczuciem winy ciche łzy, przeznaczone wyłącznie dla stryja Matthew, który z taką nieśmiałością i delikatnością pragnął się z nią zaprzyjaźnić i którego ona tak rzadko odwiedzała, bo jej matka nie chciała zaciągać żadnych długów wdzięczności wobec rodziny Bena.

- A jeśli myślisz, że coś nam zapisał - zasyczała Violet - to grubo się mylisz!

Matthew Hernshaw nie zdołał wprowadzić w czyn zamiaru „zrobienia czegoś” dla Violet i Tamar, bo stanął temu na przeszkodzie charakterystyczny dlań brak zdecydowania. Nie potrafił się zdecydować, ile im zapisać, gdyż wiedział, że gdyby zapisał za mało, Gerard by zaoponował, a gdyby za dużo, Patricia podniosłaby raban. Powziął natomiast stanowczy zamiar pozostawienia listu, zaadresowanego do obojga dzieci, w którym zlecałby im opiekę nad wnuczką Bena. Kilka razy siadał już nawet nad kartką, ale nie umiał się zdecydować, co mianowicie pragnie w tym liście napisać. Tę właśnie nie wyrażoną prośbę próbował bez skutku zakomunikować córce w chwili śmierci. Ach, czemu wcześniej nie dałem im tego zlecenia! Taka była ostatnia myśl Matthew Hernshawa.

Tamar, która w ogóle nie myślała o testamencie stryja, odrzekła:

\_ Na pewno zobowiązał Gerarda i Pat, żeby nas wspomogli.

\_ Pat o tym zdecyduje - prychnęła Violet. - Przyśle nam czek na pięćdziesiąt funtów!

Obejdziemy się bez ich łaski! Co prawda, Gerard mógłby ci znaleźć posadę... Tak, mam nadzieję, że gdzieś cię umieści, choć tyle mógłby zrobić dla kuzynki! A zatem postanowione!... Bo postanowione, prawda?...

Violet wpatrywała się w córkę napiętym, wyczekującym spojrzeniem, które mogło się za chwilę rozjaśnić radością lub zachmurzyć gniewem. Choć Tamar nie odrywała wzroku od słoików z dżemem i musztardą, potrafiła sobie wyobrazić wyraz twarzy matki. Zwiesiła głowę i zalała się łzami. Violet także zaczęła płakać. Obeszła stół, przysunęła sobie krzesło i objęła córkę. Odetchnęła z ulgą, a jej serce przepełniła wdzięczność.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy Violet i Tamar szlochały w swych objęciach, Gerard, który się już wypłakał, leżał w łóżku i rozmyślał o ojcu i Żaku, a Duncan w swojej sypialni bez powodzenia próbował i nie mógł zapłakać, Jean Kowitz, wręcz obolała ze szczęścia i lęku, dotarła do domu Crimonda na południowym brzegu Tamizy. Jego adres można było znaleźć w książce telefonicznej, ale Jean nie potrzebowała tam zaglądać. Stale

sprawdzała miejsce pobytu byłego kochanka, nie dlatego, że chciała się z nim spotkać, lecz po to, by mogła je omijać... lub tylko po prostu znać.

Pod numerem, którego szukała, stał obskurny, dwupiętrowy bliźniak z suteroną, licowany brudnym, pokruszonym tynkiem, pełnym dziur, przez które prześwitywały równie pokruszone cegły- Framugi okienne spękały i niemal całkiem oblażyły z farby, a jedno z okien na piętrze było chyba wybite. Choć brudny i zapuszczony (jaskrawe słońce obnażało bezlitośnie jego blizny), dom sprawiał wrażenie całkiem solidnego i nie był aż taką rudą, w jakiej wyobrażnia Jean umieszczała dotąd Crimonda. Wszystkie domy w tej okolicy zostały najwyraźniej podzielone na osobne mieszkania i pojedyncze pokoje. U drzwi wielu z nich widniały długie listy lokatorów. Lista w domu Crimonda adała się jednak z. dwóch tylko nazwisk: jego własnego i ja-

kiegoś słowiańskiego chyba nazwiska, umieszczonego na wyszej tabliczce.

Wielkie, porysowane siatką spękań kwadratowe drzwi w ściowe, do których wiodły cztery stopnie schodów, były uchylone. Jean pchnęła je ostrożnie i zajrzała do mrocznego korytarza, w którym stał rower. Przy drzwiach znajdował się dzwoni nie przypisany jednak do żadnego z nazwisk. Jean nacisnęła przycisk, nie usłyszała jednak żadnego dźwięku. Weszła do korytarza. Uderzyła w nią duchota i woń stęchlizny. Przeciąg z zakurzonej ulicy nie wnosił w tę atmosferę wyczuwalnego orzeźwienia. Nie przykryte chodnikiem nie malowane deski podłogi skrzypiały, wzbudzając w pomieszczeniu posępne echo. Po kilku stopniach wchodziło się na górę. Drzwi frontowego pokoju-stały otworem i Jean zajrzała do środka. Pierwszą rzeczą, na jaką padł jej wzrok, była wisząca na krześle szkocka spódniczka, kilt, którą Crimond miał na sobie na balu. Regały z książkami całkowicie wypełniały ściany. W pokoju stał ponadto telewizor. Jean cofnęła się i zajrzała do dwóch pomieszczeń na tyłach domu: pokoju wypełnionego książkami, z wąskim tapczanem i drzwiami do ogrodu, oraz kuchni. Ogródek był mały, lecz zadbane; Crimond lubił rośliny. Jean zacisnęła palce na kierownicy roweru, by opanować drżenie rąk. Połyskujący stalow metal kierownicy był w dotyku zimny i dojmująco rzeczywisty. Cofnęła dłoń i ogrzała je na własnej piersi, w której tłuło si serce. Dostrzegła swoją walizkę i torebkę, stojące na podłodze obok roweru. Musiała je tam postawić, kiedy weszła. Crimond może nie być w domu. Może kazać się jej po prostu wynosić. Może z gruntu błędnie zinterpretowała ich milczące porozumienie w czasie balu.

Nie miała siły wydobyć z siebie głosu. Za zamkniętymi, oszklonymi drzwiami biegły schody na piętro. Jean dygotała ~ całym ciele, nie mogła opanować drżenia rąk, dzwoniły jej zęby.

Dojrzała pod schodami otwarte drzwi, prowadzące zapewne do sutereny. Zaczęła powoli schodzić, ostrożnie wymacując stop płytkie stopnie. U dołu stanęła przed zamkniętymi drzwiami. Położyła na nich rękę, lecz nie zapukała, po prostu je pchnęła.

Pokój w suterenie był olbrzymi, zajmował całą powierzchnię domu. Panował w nim gęsty półmrok. Jedyne okno wychodziło na ciemną fosę poniżej poziomu ulicy. Drewniana podłoga była

- śli nie liczyć leżącego w rogu przed szerokim, kwadratowym tapczanem dywanika. Ściany również nagie, jedynie nad oknem wisiała tarcza strzelnicza. Pod jedną z niewielkich sporych rozmiarów kredens, a obok dwa długie, zawałone książkami stoły. Pod tarczą stało wielkie biurko, a na nim paląca się lampa. Crimond siedział przy biurku. Miał na nosie wąskie, bezobwódkowe okulary i coś pisał. Podniósł głowę, dostrzegł Jean, zdjął okulary i potarł oczy.

Ruszyła w jego stronę przez rozległy przestwór podłogi. Czuła się tak, jakby miała zaraz upaść. Chwyła jakieś stojące w pobliżu krzesło, przyciągnęła je do biurka i usiadła na nim twarzą do Crimonda. Z jej gardła wyrwał się cichy, niemal ptasi pisk.

- Co się stało? - zaniepokoił się.

Jean nie patrzyła na Crimonda, prawdę mówiąc nie była w stanie na niczym skoncentrować wzroku, ponieważ wszystko - ten pokój, ciemne, szare okno, lampa, drzwi, tapczan, leżący

przed nim stary, wygnieciony dywanik, tarcza strzelnicza, biała kartka papieru, na której Crimond pisał, jego twarz, ręka, okulary, szklanka z wodą, szkocka spódniczka, która jakimś cudem przywędrowała tu z góry - wszystko zlewało się jej przed oczami w jaskrawo iluminowane, obracające się powoli witrażowe koło.

Crimond nie odezwał się więcej, czekał, przyglądał się Jean, a ona oddychała szybko i kręciła głową, na przemian zamykając i otwierając oczy.

- Co miało znaczyć to pytanie? - spytała z kolei, a po kilku następnych głębokich oddechach dodała: - Spałeś choć trochę?

- Tak. A ty?

- Ja nie.

- Więc może powinnaś się zdrzemnąć? W pokoju na górze Jest tapczan. Obawiam się tylko, że nie posłany.

~ To znaczy, że się mnie nie spodziewałeś.

~ Wybacz, zwykłe roztargnienie.

~ Spodziewałeś się czy nie?

~ Naturalnie.

Co byś zrobił, gdybym nie przysłała? ~ Nic.

napadła chwila ciszy. Crimond przyglądał się Jean uważnie,

choć z lekkim znużeniem. Opuściła wzrok na jego stopy biurkiem, obute w brązowe pantofle.

- Skąd masz ten kilt'i

- Wypożyczyłem. Każdy może wypożyczyć kilt,

- Widzę, że wciąż masz tę tarczę.

- To symbol.

- I pistolety. Pewnie powiesz, że to też symbole?

- Istotnie.

- Dawno to zaplanowałeś?

- Niedawno.

- Jak zdobyłeś wejściówkę na bal? Były od tygodni wyprzedane.

- Poprosiłem Levquista.

- Levquista? Myślałam, żeście się przed laty pokłócili?

- Napisałem do niego z prośbą, by się postarał o bilet dla! mnie. Przysłał mi go odwrotną pocztą, wraz z sarkastycznym dopiskiem po łacinie.

- Co byś zrobił, gdyby nie przysłał?

- Nic.

- Chcesz powiedzieć... Och, zresztą nieważne. Skąd wiedziałeś, że będę na balu?

- Od Lily Boyne.

- Pomyślałeś pewnie, że ją o to prosiłam?

- Nie.

- Nie prosiłam.

- Wiem.

- A na co ci była Lily Boyne?

- Jak to na co?

- Przyszedłeś z nią.

- Na bale zwykle chodzi się z kobietą.

- Wzięłaś ją, żeby zachować twarz, gdybym cię zignorowała?

- Nie.

- Wiedziałaś, że nie zignoruję?

- Tak.

- Och, David, ale dlaczego... dlaczego właśnie teraz?

- Widzisz, udało się, prawda?

- A wracając do Lily...

- Nie traćmy czasu na głupstwa. Lily Boyne się nie liczyć  
. sZUKała znajomości ze mną, w końcu zwróciłem na nią  
Uparcie okazało się, że zna ciebie. Polubiłem ją. uV/age, SUJ  
Za co?

Bo jest zerem. Sama się za nie uważa. \_ Ciebie to bawi? \_ Wcale.

\_ W porządku, zapomnijmy o niej. Rozumiem, posłużyłaś się nią tylko. Co przed chwilą  
pisałaś? \_ Książkę, nad którą pracuję od jakiegoś czasu. \_ Tę książkę?

\_ Po prostu książkę. Tę, jeśli wolisz. \_ Kończysz już?

- Nie.

- Czym się zajmiesz, kiedy skończysz?

- Nauczę się arabskiego.

- Mogę ci jakoś pomóc? Zbierać materiały, jak dawniej?

- Ten etap mam już za sobą. Powinnaś zresztą zająć się własną pracą.

- Wciąż mi to powtarzasz. Cieszysz się, że przyszedłam?

- Tak.

- Słuchaj, skończmy to głupie ple-ple! Odeszłam od Dunca-na. Przyszedłam do ciebie. Jestem  
twoja. Na zawsze, jeśli chcesz. Po tym, co zaszło tej nocy, zakładam, że chcesz.

Przyglądał się jej bacznie. Jego zaciśnięte wąskie wargi układały się w linię prostą. Piękne,  
rudawe, nieco za długie włosy miał starannie uczesane. Jasne oczy, zwykle zamyślane lub po-  
błyskujące ironią, patrzyły zimno i surowo, twarde jak dwa nieprzeniknione, niebieskie  
kamyki.

- Odeszłaś ode mnie.

- Nie wiem, co mnie opętało.

- Ja również nie.

- To był błąd.

- Ale o czymś świadczył.

~ To dziś bez znaczenia, jestem tego pewna. Gdyby było maczej, nie przyszedłbyś na ten bal.  
Dobre sobie! Działalem pod wpływem impulsu, któr "D°bre SODic"! Crimond, zrozum,  
opuściłam męża, męża, ego szanuję i kocham, opuściłam przyjaciół, którzy mi nigdy g° kroku  
nie wybaczą, opuściłam ich, żeby oddać się tobie.

cała i na wieki. Zrozum: ofiarowuję ci siebie. Kocham cię. Jes jedyną osobą, którą mogę  
kochać bezgranicznie, całą sobą, dus i ciałem, kochać z całego serca. Jesteś moją drugą  
połową, part\_ nerem idealnym. Jestem twoja. Musisz czuć w tej chwili to samo co ja. Tej  
nocy poczuliśmy to oboje i przeszedł nas dreszcz gdyśmy to poczuli. To cud prawdziwy,  
żeśmy się w ogóle spotkali. Niebiańskie szczęście, że jesteśmy w tej chwili razem. Nie wolno  
nam się już nigdy, przenigdy rozstawać. W naszej miłości jesteśmy bytami koniecznymi, jak  
bogowie. Patrząc na siebie, potwierdzamy i zgłębiamy doskonałość naszej miłości,  
potwierdzamy siebie nawzajem. Przy tobie mi żyć, przy tobie, jeśli zajdzie potrzeba, umierać!  
Bo to sprawa życia i śmierci, jak groźba zagłady Izraela... Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem...  
Crimond, który podczas tej perory marszczył gniewnie brwi, poprawił się na krześle, podniósł  
okulary i rzekł:

- Mało mnie obchodzą te żydowskie zaklęcia... Poza tym nie jesteśmy bogami. Musimy po  
prostu sprawdzić, czy się nam ułoży.

- Zgoda, a jeśli nic z tego nie wyjdzie, możemy się zawsze zabić, jak kiedyś sam  
powiedziałeś! Crimond, sprawiłeś cud, jesteśmy znowu razem... Nie cieszysz się? Powiedz,  
że mnie kochasz.

- Kocham cię, Jean Kowitz. Nie wolno nam jednak zapominać, że tak długo dawaliśmy sobie  
radę jedno bez drugiego... Całe lata nie dawaliśmy nawzajem znaku życia.

- To prawda, choć nie pojmuję, dlaczego tak się stało. Może spotkała nas kara za to, że nie potrafiliśmy ze sobą wytrwać? Musieliśmy przejść przez tę próbę ognia, przez ten czyściec, abyśmy znowu stali się sobie godni. Ale teraz pokuta się wypełniła. Jesteśmy gotowi. Odeszłam od Duncana...

- Tak, tak... Przykro mi z jego powodu. Wspomniałaś też o swoich przyjaciółach, którzy nam nigdy tego kroku nie wybaczą.

- Oni cię nienawidzą. Z rozkoszą oćwiczyliby cię różgami, upokorzyli. Już wtedy pałali do ciebie nienawiścią... a teraz...

- Słyszę w twoim głosie satysfakcję.

- Oni się nie liczą, wobec tego, co nas łączy, zwyczajnie nie istnieją. Nie moglibyśmy stąd wyjechać, zamieszkać na przykład we Francji? Marzę o tym!

yyjje Tu mam swoją pracę. Skoro sama do mnie przyszłaś, musisz mi być posłuszna.

Ależ będę. możesz byc pewien! Wiesz, codziennie o tobie myślałam. Gdybyś zrobił choć najmniejszy gest... Sądziłam jednak. •

\_ Dość już o tym. Nieważne, co sądziłaś, ważne, że tu jesteś. Słuchaj, muszę się brać do roboty. Sugerowałbym, żebyś poszła na górę, położyła się i trochę zdrzemnęła. Czy już jadłaś? Miałabyś na coś ochotę?

- Nie. Mam wrażenie, że już nigdy nie wezmę do ust ani kęsa.

- Coś ci później przyniosę. Potem możemy oboje tu się przespać, starczy miejsca dla nas obojga. A potem naradzimy się. co dalej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jak ma wyglądać nasze wspólne życie. Jak ma się ułożyć to, co się ułożyć musi.

- O tak. musi! Dobrze. Idę i trochę odpocznę. To wszystko się dzieje na jawie, prawda?

- Prawda. Idź już.

- Pragnę cię.

- Idź już, moja sokoliczko.

Wstała posłusznie i poszła na górę. Nawet się nie dotknęliśmy, pomyślała. I dobrze, tak właśnie być powinno. Mój ukochany ma taki sposób bycia. Nie dotknęliśmy się nawet, ale obie nasze istoty zlały się znowu w jedno. Jak w potężnej reakcji jądrowej staliśmy się jednością. Dzięki Ci, Boże! Jean weszła do pokoju od podwórza, zasunęła zasłony, zdjęła buty, wczoięła S1? na tapczan i naciągnęła na głowę koc. Po chwili zapadła Powoli w ciemną otchłań snu, wypełnioną uczuciem najczystszej radości.

Część druga

ZIMA

- Mam nadzieję, że znajdzie się w tym domu butelczyna piwa - mruknął Jenkin.

- Nie martw się, przyniosłem flaszkę - uspokoił go Gerard.

- Przepraszam, stary.

- Nauczony przykrym doświadczeniem...

- Nie da się ukryć.

- Zimno tu jak w psiarni!

- Już włączam ogrzewanie.

Gerard uprzedził Jenkina o swojej wizycie nieoczekiwany-telefonem i wnet zjawił się w jego małym, szeregowym domku w bok od Goldhawk Road, niedaleko estakady. Riderhood mieszkał tam od lat, od czasu, gdy wykładał na politechnice, zani" wrócił do szkolnej belferki. Jenkin chadzał swoimi ścieżkami na których spotykał, jak mawiał, „zwykłych

szarych ludzi" Dzielnica, w której mieszkał, zaczęła jednak w ostatnim czasie ku jego zmartwieniu, „wytworkić”. Gerard często do przyjaciela zachodził. Dziś zjawiał się bez wcześniejszej zapowiedzi nie dla tego, by miał jakąś jedną wyjątkową sprawę, lecz ponieważ mi ich bez liku.

Od pamiętnego balu w Oksfordzie minęło już kilka miesięcy; Był mglisty wieczór, koniec października. Dom Jenkina, w którym nie zainstalowano centralnego ogrzewania, należał istotnie do wyjątkowo zimnych; latem nagrzewał się nad miarę, zimą nad miarę stygł. Co prawda Jenkin chętnie witał w swoich cztery ścianach aurę każdej pory roku; widok zamkniętych okien wprawiał go w zaniepokojenie. Niezależnie od temperatury na dworze spał w nie ogrzewanej sypialni, po której hulały przeciągi. Zimą dopuszczał jedynie butelkę z gorącą wodą do łóżka. Przez wzgląd na przyjaciela zamknął teraz spieszenie uchylone i zapalił gazowy komin w małym saloniku. Na co dzień okna walał ożownie w kuchni, nie wykorzystywał tego „fronto-UfZC okno” czy „bawialenki”, w której podejmował co „znawców Wegnitszych gości”. Salonik, podobnie jak reszta domu, był czy-miel schludny, choć dość skąpo umeblowany i pustawy. Znajdowało się w nim, co prawda, kilka ładnych cacek, przeważnie darunków od Gerarda, lecz duch tego pomieszczenia oparł się skutecznie ich urodzie, nie zintegrował w miłą, harmonijną całość, jaką, zdaniem Hernshawa, winny się odznaczać pokoje mieszkalne, pozostał surowy i bezładny. Spod wyblakłej tapety, jasnozielonej w czerwonej kwiatówce, w miejscach, gdzie Jenkin pieczołowicie usunął fragmenty podartego papieru, wyglądała pomalowana żółtą farbą klejową ściana. Rezultat należało uznać za interesujący. Dobrze spłówały był również dywan, nieskazitelnie czysty, w niebieskie i czerwone kwiatki, wtapiające się w ciepły brąz tła. Zielone kafelki przed kominkiem lśniły od częstego pucowania. Fotele z drewnianymi poręczami, o beżowej tapicerce w rustykalny wzorek, stały rzędem pod ścianą, jakby czekały na gości. Gzyms nad kominkiem ozdabiały porcelanowe filiżanki (w większości prezenty od Gerarda) oraz zielony morski kamień z purpurowym paskiem, podarunek od Rose Curtland. Do tych ozdób Jenkin dodał przyniesiony przed chwilą z kuchni, razem z dwoma kieliszkami do wina, zielony kubek z gałązkami o czerwonych listkach. Na kominku szumiał gazowy płomień. Grube, ciemne, welwetowe zasłony były zaciągnięte, zasłaniając mrok mglistego zmierzchu. W rogu pokoju paliła się lampa, również stary prezent od Gerarda.

Hernshaw przestawił filiżanki na gzymsie, zgasił żyrandol pod sufitem i podał gospodarzowi do otwarcia butelkę Beaujolais Nouveau. W zdenerwowaniu, czyli dosyć często, Jenkin miał zwyczaj wydawać ciche, nie kontrolowane odgłosy. Popatrując na przyjaciela i manipulując korkociągiem, wyemitował obecnie ków S6rię gardłowych chrząknięć, a nalewając wino do kieliszka stawiając butelkę na kafelkach przed kominkiem, zaczął pomrukiwać.

Choć przyjaźnili się od tak dawna, pozostał dla Gerarda fa-go u JąCą' Ch0Ć czasami drażniącą zagadką. Jego bezładnie i ubo-umeblowany dom, w którym panował aptekarski wręcz porządek, wydawał się nieraz Hernshawowi pusty i pusty j dyne ożywienie i urozmaicenie wnosili doń książki, które mowały aż dwa pokoje na piętrze, wypełniając całkowicie ściany i niemal bez reszty pokrywając podłogi. Mimo to Jenkin z^n wiedział, gdzie która książka stoi. Gerard uważał nie od dzisiaj że w pewnym zasadniczym, wręcz metafizycznym sensie jej przyjaciel jest solidniejszy od niego samego, bardziej spójny prawdziwszy, żyjący bogatszym, pełniejszym życiem. Tę właśnie cechę Jenkina miał na myśli Levquist. mówiąc, że ów „nie szuka gruszek na wierzbie”. Paradoksalnie jednak (a może /resztą nie?) Jenkinowi zdawało się brakować silniejszego poczucia indywidualności i na ogół nie umiał „mówić o sobie”. Tymczasem Gerard bez porównania bardziej intelektualnie wyrobiony, czuł się porównaniu z nim ubogi, nieokreślony, jakby abstrakcyjny. Ów kontrast sprawiał, że czasem czuł się inteligentniejszy i bardziej wyrafinowany od przyjaciela, a czasem zwyczajnie słabszy i mniej wartościowy. Już w Oksfordzie Jenkin „porzucił” filozofię, jak się o tym wyrażał z aprobatą Levquist. i aż do dyku mu studiował lingwistykę i literaturę. Jako nauczyciel uczył najpierw

greki i łaciny, potem francuskiego i hiszpańskiego, równo na politechnice, jak i w szkole, wykładał ponadto historię. Był gruntownie wykształcony, brakowało mu jednak woli i ambicji prawdziwego uczonego. Pochodził z Birmingham, była w nim solwentem tamtejszego liceum. Jego ojciec, niedawno zmarły, pracował jako urzędnik w fabryce, a „po godzinach” jako świecki kaznodzieja metodystów. Matka, również metodystka, wcześniej odumarała syna. Gerard zwykł wypominać Jenkinowi wii w Boga. której ów jednak stanowczo się wypierał. Z dzieciństwa, spędzonego w tak bogobojnym domu. po/ostało mu jednak coś w rodzaju wiary, co Gerarda dość niepokoiło. Jenkin był człowiekiem poważnym, chyba najbardziej serio spośród ws/ys'-kich znajomych Hernshawa, niełatwo było jednak przewidzieć jaką postać ta jego powaga może przybrać.

- Usiądź, proszę - poprosił teraz przyjaciela. - Przestań wreszcie chodzić po pokoju i przestawiać rzeczy.

- Wiesz, że lubię chodzić.

- Wiem. to twoja forma medytacji, ale powinieneś ją rac . praktykować na świeżym powietrzu. Nie siedzisz w więzieni , przynajmniej na razie. Zresztą mnie to denerwuje.

,nnl wie podgrzewaj wina. Ile razy mam ci o tym pr/.epraS/

^pomiąć? ^ ^ kafdków przed kominkiem Gerard poaniosi ----\_Ł ^----

wał nogami chiński dywanik. Kiory k..^ w^,„...~„.....-----

jenkinowi na gwiazdkę. Gospodarz pochylił się zaraz i dywanik wygładził.

\_ /decydowałeś już. o czym będziesz pisał? \_ Nje \_ Gerard zmarszczył czoło. -

Prawdopodobnie o niczym.

- Platon, Plotyn?

- Pojęcia nie mam.

- Mówiłeś kiedyś, że chciałbyś napisać rozprawkę o Dantem.

- Nie sędzę. A czemu ty sam nie napiszesz czegoś o Dantem?

- Tłumaczyłeś kiedyś na łokcie Horacego. Mógłbyś przełożyć wszystkie jego wiersze.

- Mówisz poważnie?

- Uwielbiam twoje przekłady. A może napisałbyś wspomnienia z dzieciństwa?

- Broń mnie Boże!

- Albo z naszych studenckich czasów w Oksfordzie?

- Bajdurzysz, stary!

- Mógłby to być esej z zakresu historii obyczaju albo historii politycznej. A sztuka? Co byś powiedział na tę dziedzinę? Pamiętam twoją monografię o Wilsonie Steerze. Mógłbyś pisać ° malarstwie.

- Chyba dla kawału.

- A zatem powieść, głęboka powieść filozoficzna!

- Powieść się skończyła, to dziś gatunek passo. Więc po prostu odpoczywaj, ciesz się życiem i chwilą bie-

c3, nurzaj się w szczęściu. Też nie najgorsze zajęcie.

- °i-'h, nie pleć... f^j°Wlę P°Ważnie, szczęście jest stanem nic do pogardzenia.

\_ ,e Jestem hedonistą. Zresztą ty również nie. Winien S-3naWiam S'? meraz— Hm' wic wygląda na to, że po-<. 7CS naPisać książkę filozoficzną.

Szcter/JU\* tCmUt' d°brZe?

e m°wiąc Riderhood też nie miał ochoty, w każdym

razie nie w tej chwili, na istotną rozmowę z Gerardem. Musi po prostu odprawić swoisty konwersacyjny rytuał, nie poruszać, jak miał nadzieję, żadnych niebezpiecznych tematów. Chcąc znali się tak blisko i od tak już dawna, wciąż usiłował reżyrować i konstruować rozmowy, jakie prowadził ze swym ni zwykłym, drażliwym przyjacielem o niewyparzoną nieki języku. Choć, podobnie jak reszta paczki, umierał z ciekawości co teraz, po przejściu na emeryturę, „zrobi Gerard”, czuł, | dość już o tym powiedzieli, że wymóg swoistej uprzejmo'

został dopełniony. Gdyby dalej ciągnął ten temat, naj wyrażni dla przyjaciela bolesny. Gerard mógłby wpaść w przygnębienie albo złość. W gruncie rzeczy Jenkin chciał mu przede wszystkim zakomunikować swój zamiar pojechania na Boże Narodzenie na wycieczkę do Hiszpanii. Oczywiście Gerard nie zechce towarzyszyć, ponieważ uwielbiał spędzać Boże Narodzenie w Anglii. Zresztą Jenkin wolał podróżować sam.

- Myśle... - zaczął.

- Widziałeś ostatnio Crimonda? Riderhood oblał się rumieńcem. Oto jeden z tematów, który rad by unikał. Nie miał jakichś zasadniczych oporów przy zasłanianiu się kłamstwem, lecz jeszcze nigdy nie skłamał Gerardowi.

- Nie, nie widziałem go od tamtego czasu... - odparł zgo z prawdą.

Czuł się jednak winny. Zerknął na przyjaciela. Marynar koloru butelkowej zieleni dodatkowo wysmukłała jego sylwetkę. Zmrużonymi oczami wpatrywał się ze spokojem w płomień zowego kominka, a lampa rzeźbiła jego twarz liniami kontrastu jego światłocienia. Przyglądał się gęste, ciemne, kędzierzawe włosy, założył je za uszy i ledwo dosłyszalnie westchnął. O czym on teraz myśli? - zaciekawiał się Jenkin.

Złościł go, że on widuje się z Crimondem. myślał tymczasem Gerard, osłabia tym naszą pozycję. Choć Bóg raczy wiedzieć, jaka właściwie jest ta nasza pozycja. Pozycja powinna jednak stanowić solidne oparcie do następnego ruchu, a jaki i uczyjmy możemy wykonać? Boże. to wszystko się tak piekielnie poplątało!

- Święto Guy Fawkesa obchodzimy, naturalnie, jak zwykle-upewnił się Jenkin.

Fawkesa? Oczywiście. Gideon nie zazna spokoju, jeśli 'Hmli swoich rakiet. Potem mamy zlot w Bojarówce, a zaraz potem Boże Na-

nie

rodzenie  
^kby przemawiał do dziecka, skonstatował Riderhood. Tra-odbywanych raz lub dwa razy do roku czytelnicych zlotów 'w Bojarówce, rodzinnym domu Rose, datowała się jeszcze ich studenckich czasów. Rose i Gerard odświeżyli ją ostatnio, bo na jakiś czas podupała. \_ a rzeczywiście... spotykamy się w Bojarówce...

- Zaprosicie Gullivera?

- Tak. - Gerard zmarszczył czoło, a Jenkin odwrócił wzrok. Gerard czuł się winny wobec Jenkina z powodu Gullivera Ashe'a, bo Jenkin przestrzegł go kiedyś, choć nie wprost: „Nie bałamuć go”, tymczasem Gerard chyba trochę (właściwie nawet na pewno) „zachęcił” Gullivera, bez żadnego zresztą niecnego celu, bez istotnego powodu, na dobrą sprawę w ogóle bez powodu, jeśli nie liczyć tego, że młodzian był dość przystojny, a Gerard czuł się akurat samotny. Oczywiście do niczego między nimi nie doszło, choć Hershaw przez jakiś czas „popierał” i delikatnie faworyzował Ashe'a. Skłonność Gerarda okazała się przelotna. Pozostały po niej jedynie oskarżycielskie spojrzenia Gullivera, wyrażające urazę po utracie minionych praw, i aura lekkiej impertynencji, cechująca jego stosunek do byłego protektora.

- Guli jest wciąż bez pracy - poinformował Jenkin.

- Wiem o tym.

Pod koniec lata i jesienią wiele się zdarzyło. Jenkin chodził zaJCcia wakacyjnej szkoły, a potem pojechał na organizowaną wT bmr° P°drÓ7y wycieczkę do Szwecji. Panna Curtland banie najpieni u krewnych ze strony ojca w Yorkshire, a następ-ryzu" ych malki w Irlandii. Gerard siedział trochę w Pa-areheoi ^°tern wyjechał do Aten na spotkanie ze znajomym szkole ^Cm Peterem Mansonem, który uczył tam w angielskiej w p' arnar ni stąd, ni zowąd rzuciła Oksford i podjęła pracę Wydawnictwie (o tę posadę wystarał się jej Gerard). °Jca, ponio najP'erw /aProponował Violet, w imieniu zmarłego ^rzuciła °c ^Inansowł' ale kuzynka jego propozycję szorstko erarda dręczyły wyrzuty sumienia z powodu Tamar;



czuł, że powinien energiczniej dociękać, co się właściwie stało Violet oświadczyła mu po prostu, że Tamar miała już dość Oksfordu, a Tamar tę wersję matki potwierdziła. Zły na Violet, Gerard nie drążył tej kwestii. Pograżony w żalobie po śmierci ojca. miał ponadto masę spraw na głowie: likwidował i sprzedawał dom w Bristolu, pełen pamiątek z dzieciństwa, kłócił się z siostrą i szwagrem, niepokoił z powodu Crimonda. martwił o Duncan. Duncan ostentacyjnie nie wziął ani dnia urlopu, pracował całe lato. Wieści o kochankach nadchodziły rzadko. Podobno nadal mieszkali w domu Crimonda w Camberwell. Plotkowano, że pojechali razem na jakąś konferencję do Amsterdamu.

- Mam nadzieję, że Duncan zjawi się w Bojarówce - rzekł Hernshaw. - Boże, ile bym dał, żeby mu jakoś pomóc!

- Nie możemy nic zrobić - stwierdził Jenkin. - Będzie, co ma być, i nasze lamenty nic tu nie pomogą.

- Uważam, że to chowanie głowy w piasek.

- Mam na myśli obecną sytuację. Duncan najwyraźniej nie zamierza uczynić żadnego kroku, więc gdybyśmy się wtrącili, moglibyśmy tylko napytać biedy.

- Sobie, to masz na myśli? Boisz się?

- Jego? Ależ skąd! Obawiam się jednak, że moglibyśmy jeszcze bardziej skomplikować sytuację, której do końca nie rozumiemy.

- A cóż tu rozumieć? Mów za siebie. Ja nie wiem tylko, co należy robić. Jeśli twierdzisz, że w dzisiejszych, nowoczesnych czasach niewierność małżeńska to betka...

- Niczego takiego nie twierdzę!

- Przypuszczam, że Jean wróci do Duncana. Z takim typem nie sposób wytrzymać, po całych dniach pracuje jak szalowiec, zresztą w gruncie rzeczy jest szalony... Jean ma ostatecznie zdrowy kościół moralny...

- Kocha go!

- Nonsens! To nie miłość, lecz psychiczne uzależnienie, zwykła mrzonka. Im prędzej wróci do męża, tym mniej zła zostanie wyrządzone.

- Sądysz, że Duncan może ją w końcu odtrącić?

- Istotnie, może się od niej odwrócić, choćby w odruchu samoobrony, może też zwyczajnie stracić dla niej serce. Po co miałby tak cierpieć? Zapije się na śmierć.

Więc jesteś zdania, że powinniśmy mu pomóc, choćby wbrew jego woli. jeśli to konieczne. Ba. gdybyśmy tylko wiedzieli, jak! \_ Skrzyknąć chłopaków i spuścić Cri mondo wi manto? Sprawilibyśmy mu tym nie lada frajdę. Najpierw chodziłby w glorii męczennika, a potem srodze się zemścił.

Oczywiście nie to miałem na myśli! Zresztą wcale nie sprawilibyśmy mu takiej frajdy, nie mówiąc o tym, że nie bylibyśmy zdolni do podobnego czynu.

- Nie mówiłem poważnie.

- Więc bądźże wreszcie poważny!

- Przecież nie pójdziemy i nie uprowadzimy Jean przemocą! Zeszłej nocy wspominałeś coś o Tamar, ale nie dokończyłeś, bo przeszkodziło ci wejście Rose.

- Rose jest szalenie przygnębiona postępkami Jean.

- Widuje się z nią?

- Ależ skąd!

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby się nie widywać? Przecież musimy jakoś osłaniać Duncana...

- Rose postąpi tak samo jak my.

- Wracając do Tamar... Uważasz zapewne, że ona mogłaby doprowadzić do pojednania między Duncanem a Jean...

- Takie mam przecucie. To naprawdę niezwykła dziewczyna.

- Nie lepiej, żeby Rose się tym zajęła?

- Jest zbyt zaangażowana uczuciowo. Wręcz nienawidzi Crimonda. Poza tym ona i Jean są sobie bliskie... w każdym razie były. Jean nie dopuści, żeby to właśnie Rose dowiodła jej błędu.
- Rozumiem, co masz na myśli. Tamar dużo przebywała z Duncanem i Jean. Pamiętam, jak kiedyś powiedziałeś, że mogliby ją adoptować. Uważam jednak, że nie powinno się jej w to mieszać, jest za młoda.
- To właśnie jej atut, dzięki temu nie potraktują jej jak sędziego. Poza tym jest kryształowo uczciwa, co wzięwszy pod uwagę dom. z jakiego wyszła...
- Może właśnie dzięki temu...
- ~ Zobaczyła przed sobą otchłań, cofnęła się i ruszyła stanowczym krokiem w przeciwnym kierunku... Mój drogi, ta dziewczyna wie, czego chce!
- Szuka ojca. Jeśli siebie widzisz w tej roli...
- Zdecydowanie nie! Przyszło mi tylko na myśl, żeby podsunąć...
- Nie składaj na jej barki nazbyt wielkiego ciężaru, niezwykle cię ceni. Będzie zdruzgotana, jeśli nie zdoła wype twoich poleceń. Obawiam się, że biedaczka dość ma trosk głowie.
- A ja uważam, że takie zlecenie mogłoby jej wręcz wyjść na dobre. Miałyby jakieś zadanie, misję do spełnienia, wystąpiłyby w roli posłańca bogów...
- Ty widzisz w niej zawsze dziewczyną kapłankę.
- To prawda... Żartowałeś?
- Uchowaj Boże!... Sam ją tak postrzegam. Ale zważ... w siejszych czasach żony często opuszczają mężów dla kochanków" a otoczenie nie uważa tego za postępowanie aż tak naganne, należało mu za wszelką cenę przeciwdziałać. Czym różni się innych przypadek, z jakim tutaj mamy do czynienia? Czy ty~ że Duncan jest nam bratem, czy tym, że Crimond jest type~ wyjątkowo paskudnym, czy...? - Riderhood zawiesił głos i " trzył na Gerarda rozszerzonymi oczyma, co miało oznaczać, coś pomija po prostu dla jasności wyводу. Rozumieli się ob w pół słowa, ostatecznie toczyli dyskusję, odkąd mieli po osiem" naście lat.
- Nad tym człowiekiem gromadzą się gradowe chmury, muś może się przytrafić coś złego.
- Sądzisz, że Duncan mógłby spróbować Crimonda uka pić? Nasz przyjaciel umie cierpliwie czekać, ale potrafi się te zachować jak najgorszy brutal, gdy mu coś strzeli do łba.
- Co to, to nie! Niewykluczone jednak, że przyjdzie mu nagi ochota spotkać się z Crimondem, a może nawet wygarnąć do słucho...
- I Crimond mógłby go wtedy zabić, choćby ze stracn z nienawiści...
- Winowajcy często nienawidzą swych ofiar.
- ...albo przypadkiem? Sądzisz, że ta awantura może się skończyć pojedynkiem? Albo że Crimond zabije Jean, albo że skoc razem w przepaść, albo...
- Crimond ma hyzia na punkcie broni palnej... pamiętaS jeszcze w Oksfordzie... Duncan opowiadał, że trenował w jaki, klubie strzeleckim w Irlandii. Facet uważa, że miał cholerneg ominęła go wojna. Byłby teraz trupem albo bohaterem, gtSv\*» swój cel...
- Wiesz, wydaje mi się, że przesadzasz, robiąc z Crimonda stwora. To po prostu romantyk. \_ Na pohybel romantykowi! \_ No więc âme damnée.
- Na pohybel! Nie usprawiedliwiał tego typka, Jenkin! \_ Modelujesz go sobie na jakiegoś zwyrodnialca! \_ on uwielbia dramatyczne spięcia, wyzwania i próby odwagi. Mało go obchodzi, czy ucierpią przy tym inni, ponieważ nie dba o samego siebie...
- Jest utopijnym myślicielem, ot i wszystko.
- Otóż właśnie! Błądzącym w chmurach gwałtownikiem!
- Nie przesadzaj!... Jest odważny, pracowity, nie dba o dobra materialne i naprawdę leży mu na sercu los biedaków...
- Szarlatan!
- Szarlatan, czyli kto? Jakoś do mnie nie trafiają tego rodzaju zarzuty.

- Jemu wcale nie leży na sercu los biednych ludzi, nie chodzi mu wcale o sprawiedliwość społeczną, nie ma zielonego pojęcia o prawdziwej walce klasy robotniczej! To opętany własnymi pomysłami teoretyk, pajak, który te wszystkie kwestie przerabia na idee, na abstrakcyjną pajęczą sieć. którą żarliwie przedzie...

- Ze żarliwie, to fakt. I to właśnie tak pociąga Jean.

- Ją pociąga niebezpieczeństwo... krwawe jatki.

- Kompleks Heleny trojańskiej?

Pragnęłyby, żeby z jej powodu obracały się w perzynę miasta i trupem padali męże.

- Jesteś niesprawiedliwy - zganił przyjaciela Jenkin. - Cri-n to fanatyk, asceta, a to samo w sobie jest pociągające...

Może dla ciebie. Obawiam się, że ty dopatrujesz się w tym Statku mistyka.

Prawd-17^00111^ some' ze kiedyś wszyscy widzieliśmy w nim sów a cz\*ow'eka współczesnego, bohatera naszych cza-rzetelniejs^13^01^.^° Z3 P0^^11'6' uważaliśmy za kogoś

że gdy0^^010'6, mg^y lak mc uważałem. Pamiętam natomiast, ° Ponar.,,, \_mu Zarzucał ekstremizm. odparł: „Trzeba zabiegać le młodych”. Niewybaczalny cynizm!

- Istotnie - przyznał z westchnieniem Jenkin. - Mimo \$ nigdy nie zapomnę jego tańca wtedy, na balu.

- Przypominał tańczącego Śiwę.

- Żarliwie przedającego swą pajęczą sieć.

- Otóż właśnie! Pomysły Crimonda to po prostu modny amalgamat, bezsensowny, lecz niebezpieczny... odmiana taoizmu okraszona szczyptą Heraklita i odkryciami współczesnej fizyki, opatrzona etykietką: marksizm. Filozof w roli fizyka, kosmologa, teologa. Platon miał słuszność, odrzucając presokratyków.

- Tak, ale oni wrócili! Wiem, o czym mówisz, mnie samemu również to nie w smak. Tylko czy nie mieszamy teraz dwóch całkiem odrębnych kwestii?

- Chodzi ci o jego moralność osobistą z jednej i książkę z drugiej strony? Ależ to nie są wcale kwestie tak odrębne! Crimond to typ terrorysty!

- Mówisz jak Rose. Tak czy owak, facet mnóstwo wie i przyznasz, że potrafi czynić użytek z szarych komórek. Książka, którą pisze, może się okazać o niebo lepsza od rzucanych lekko prowokacyjnych opinii, jakie niekiedy wygłasza.

- Pokazywał ci ją?

- Gdzież tam!

- Zamierzasz się z nim spotkać?

- Ani mi w głowie! Ale w końcu będziemy musieli się z nim spotkać, choćby po to, żeby zapytać o postępy w pracy.

- No tak, istotnie, zamierzam zwołać w tej sprawie posiedzenie komitetu...

- Musimy znaleźć właściwy ton.

- Powiedziałbym raczej: styl. Powiadasz: „zapytać o postępy w pracy”... ależ my na dobrą sprawę mamy związane ręce, możemy tylko przeklinać w duchu, że rok w rok bulimy forse na propagowanie wstrętnych nam idei!

- Rzeczywiście, głupia sytuacja. Jean mogłaby go teraz utrzymywać, ale nie zgodziłby się na to oczywiście... Zresztą to w niczym nie zmienia naszych zobowiązań.

- Jestem pewien, że nie tknął nawet pensa z jej pieniędzy.

- Jak sądzisz, czy to książka Crimonda się zmieniła, czy my sami? Bractwo zachodnich intelektualistów kontra dzieło na temat historii.

- Mówisz, jego językiem! Nie ma żadnego „dzieła na temat

ij'-ą bo nie istnieje żadna tak pojęta historia, jest tylko Sgniiiiizni i amorfati. A jeśli nawet uznać, że istnieje dzieło historii, nosi ono tytuł Fenomenologia ducha i jest przestarzała. A może uważasz, że myśmy już do reszty skapcianieli? Ach, jenkin, Jenkin!

Cośmy kochali z przyrodzenia i wychowania, zachowało uż tylko resztki dawnej mocy, i choć gotowi byśmy oddać za to wszystkie kolegia Oksfordu, dzwon Big Ben i wszystkie ptaki z Wicken Fen, nie ma już chęci do życia".

- Nie przygważdżaj mnie cytatami, stary, bo ani tak nie myślisz, ani tak nie czujesz.

- Kto wie, może słabość i wątpliwości są nie tylko naszym przeznaczeniem, ale i naszą prawdą.

- Mówisz tak, jakbyśmy rozmawiali w Aleksandrii u schyłku świetności Aten!

- Z pewnością nie uważam, byśmy mieli prawo wyrzekać się ptaków z rezerwatu Wicken Fen, bo one nie do nas należą. Mogę prosić o następny kieliszek wina?

- Przecież to twoje wino, nieboraku, przyniosłem ci je w prezencie!

Gerard wstał, jakby zbierał się do odejścia, więc Jenkin również się podniósł. Spoglądał na wyższego od siebie przyjaciela i mierzwił ręką rzednącą czupryną słomianej barwy.

- Dlaczego ten Duncan, u licha ciężkiego, musi brać zawsze cięgi, dlaczego to zawsze on wpada do rzeki?! - obruszył się Hernshaw. - Ciekaw jestem, co naprawdę zaszło tam. w Irlandii...

- Sądzę, że nie powinniśmy tego dociekać zbyt usilnie - orzekł Jenkin. - Wściubiamy nos w nie swoje sprawy. Na ogół nie jesteśmy przecież w stanie wejść w skórę drugiego człowieka. Każdy to z czasem odkrywa.

Gerard westchnął, uznając słuszność tej uwagi. Poczul, że nie jest w stanie wejść w skórę Jenki na.

- Czego szukałeś w tej wakacyjnej szkole? Nie wracasz chyba na łono Kościoła, co?

~ Siadaj. - Usiedli i Riderhood napełnił oba kieliszki. - Lubię 00 prostu wiedzieć, co w trawie piszczy.

~ W teologii wyzwolenia? W Ameryce Południowej? ~- Na całym ziemskim padole. \*2ez chwilę milczeli, Jenkin zgarbiony, z podwiniętymi pod

siebie nogami, z kształtu podobny do jajka, Gerard długach z wyciągniętymi daleko nogami, opuszczonymi ramionami, w r luźnym krawacie, z rozwichrzonymi ciemnymi włosami. !1

- Nie cierpię samej idei Boga - mruknął.

- „Ten, który sam jeden jest mądry, pragnie i zarazem i pragnie, by nazywano go Zeusem”.

Widzisz, Heraklit nie był takim mętniakiem.

Hernshaw parsknął śmiechem. Pomyślał o tym, w jak znac nym stopniu określał się poprzez to, co odróżniało go od prz jaciół, poprzez różnice odczuwane z taką gamą niuansów, d jakiej można dojść jedynie w następstwie często prowadzonymc istotnych rozmów. W gruncie rzeczy życie ziściło ich młodzieńcze marzenia o przyjaźni. Zarazem jednak był obecnie bardzi niż kiedykolwiek świadom samotności ludzkich istot, o jakie napomknął Jenkin.

- Jeśli czegoś pragnie lub nie pragnie, to znaczy, że istnieje

- Powinieneś napisać o Plotynie i świętym Augustynie ora

O tym, co się stało z platonizmem.

- Otóż właśnie: co? Levquist stwierdził, że zepsuło mnie chrześcijaństwo!

- Myślisz, że się wspinasz po ustawionej pionowo drabinie

I rzeczywiście wspinasz się do góry.

- Myślisz, że idziesz biegnącą w dal drogą i rzeczywiście idziesz drogą w dal.

- Wszyscy tak robimy, nie ma w tym żadnej zasługi.

- Ty potrafisz żyć w terażniejszości. Mnie się nigdy nie udaj do niej dotrzeć.

- Czasami mam ochotę odrzucić metafory i zacząć po pros' myśleć.

- O czym?

- Jaki ze mnie łajdak i niewolnicza dusza.

- To też metafora. Nie znoszę tych chrześcijańskich pochwał i oskarżeń, a jednak...

- Bo ty jesteś purytaninem, Gerardzie. Oskarżasz sam siebie o brak jakiejś idealnej, surowej dyscypliny!

- Pamiętam, jak kiedyś powiedziałeś, że my wszyscy tkwimy w iluzjach egoizmu jak w kolosalnym, lepkiem ciastku z kremem

- Istotnie, ale nie bardzo mnie to martwi. Po co niszczy to zdrowe ego? Do czegoś się przecież przydaje. Tym ciast-

ki m obudziłeś we mnie głód. Zostaniesz na kolacji? Proszę cię, ZOSI!DzieMe- nie. A ja myślę, że człowiek ma jakieś zadanie do spełnienia. Ty uważasz, że jedynie los. Może to zresztą bardziej kształcające.

\_ Nie byłbym taki pewien. Wiesz, wyobraziłem sobie przed chwilą mur berliński. Jest biały.

\_ Wiem.

- Tak właśnie wyobrażam sobie zło. Uważam, że człowiek powinien często zastanawiać się nad zjawiskiem zła. Może nawet bez przerwy. Również nad złem w sobie. Zacząć od siebie, od zła we własnej duszy.

- Ty zawsze wszystko płaczesz! - zachnął się Gerard. - Akurat z tobą mur berliński mało ma wspólnego. To prawda, że nie potrafimy wyobrazić sobie cnoty przewyższającej znacznie nasz własny poziom moralny, chyba tylko jako czystą abstrakcję. Ale powinno się choć próbować myśleć o staniu się dobrym, a nie tylko wylewać łzy skruchy i bajdurzyć o łajdactwie i niewolniczej duszy. To wygodnictwo!

- Nie można wyjść z siebie, przeskakując w wyobraźni w sferę ideału!

- Zgoda, ale lepiej mieć jakiś ideał, niż snuć się tylko i rozmyślać w kółko, jacy to ludzie są różni!

- Jesteś taki przekonany do własnych racji - stwierdził Jenkin. Powiedział to tak sobie, bo był już zmęczony abstrakcyjną rozmową, za jaką Gerard wręcz przepadał. Poza tym chciał, żeby przyjaciel został na kolacji, a nie był pewien, czy w spiżarni znajdzie się coś więcej niż zapiekanka z makaronu i kotleciki rybne. Supermarket powinien być nadal otwarty. Zresztą i tak musi jeszcze wyjść, żeby dokupić wina. Potem zdał sobie sprawę, jak niemiła musiała być Gerardowi wygłoszona przezeń opinia.

- Przekonany do własnych racji! - prychnął Hernshaw, wstał i Podniósł z krzesła palto. Zgnębiony Riderhood również wstał. Więc nie zostaniesz na kolacji?

- Nie, dziękuję. Spróbuję jakoś zwołać to zebranie. ~ A co z Gideonem i Pat?

- Nie chcę ich mieć w składzie komitetu. Powiedziałem im to otwarcie. Mimo to chcieliby wnosić składki. Powieź że to również nie wchodzi w rachubę. Zawiadomiłem też G że nie musi uiszczać składek, dopóki pozostaje bez pracy. Q" wiam się, że to wszystko wymaga przedyskutowania. Pies, trącał!

- Przecież Gideon i Pat nie byliby stronnikami Crimond-

- Bo też. nie są. Po prostu lubią wściubiać nos w nie sw-sprawy. Gideon uważa tę całą hecę za zabawną.

- Jest w Londynie?

- Tak. Usiłuje kupić jakieś płótno Klimta.

- Domyślam się, że nie wezwiesz taksówki?

- Nie, chętnie się przejdę. Uwielbiam spacerować w mgłę. Dobranoc.

Kiedy za Gerardem zamknęły się drzwi, Riderhood odetę pełną piersią atmosferą samotności, którą tak sobie cenił. Op się plecami o zamknięte drzwi i aż się wzdrygnął z rozkos Szczerze pragnął, żeby przyjaciel został, ale odczuł też ul kiedy sobie poszedł. Oświadczył kiedyś (tę uwagę Hernsh zapamiętał), że nigdy się nie ożeni, ponieważ małżeństwo pozwalałoby mu spędzać nocy w samotności. Obecnie przys pora pomyśleć o kolacji, sprawdzić, co nadają w radiu (tele" zora nie miał), i porozmyślać o Gerardzie - temat zawsze in resujący. Potem

trzeba przygotować kolację (na chybcika) i zj ją (bez pośpiechu). Jenkin był wyznawcą niespiesznego, star nego spożywania posiłków. Trzeba też dopić do końca w Potem jakaś radiowa pogadanka (jeśli krótka), trochę mu (jeśli klasyczna i znajoma). Następnie mógłby poczytać tr~ hiszpańskiej poezji, postudiować mapę i pomyśleć o świątecznej wyprawie. Wyłączył gazowy kominek w saloniku, odniósł do kuc butelkę wina i oba kieliszki, wrócił po zielony kubek z kio wymi liśćmi i zgasił światło. Postawił kubek na wykładanej felkami półce nad zlewem, która, zwykle pusta, służyła do właśnie celu. Stawiając go. mruknął na głos: - Otóż to!

Czuł się szczęśliwy. W jego szczęściu była jednak sl< Przeczynał intuicyjnie, że w jego życiu miała wkrótce nast jakaś wielka zmiana, której natury nie umiał na razie okre ie tej tajemniczej zmiany napawało go lękiem, lecz ?r7'eC/^ca\o. Możliwe, że jej zapowiedzią było jedynie kielku-| P° ninl przekonanie, że pora już skończyć z belferką; nie ^ u to zresztą wcale mało. Czy i on, podobnie jak Gerard. by.° fby się wtedy zastanawiać, czym zając myśli? Nie, nigdy Za° t.,nip sie taki jak Gerard, nie miewał zresztą takich myśli, nie stan'1- . Z całą pewnością me zwracał się ku Bogu, czego się jego przy-el obawiał. Miał wrażenie, że otwiera się przed nim jakaś pastna, mała pustka, lecz nie martwa, brudna biel muru berlińskiego, ale jasna, ożywiona głębia białego obłoku, wilgotna i ciepła. Gdzie się znajdzie, co będzie robił za rok o tej porze? Więc ta nowa, odmieniona przyszłość była już tak blisko? Nikomu się dotąd ze swoich przeczuc nie zwierzał, nawet Gerardowi.

Rozłożył czystą gazetę na drewnianym stole i postawił na niej talerz, położył nóż i widelec. Włał resztkę beaujolais do kieliszka, usiadł i upił łyżeczek. Pomyślał o Gerardzie, wracającym samotnie do domu przez zamglone, oświetlone latarniami ulice. Potem wyobraził sobie siebie samego idącego dokądś w pojedynkę. On także był zamiłowanym piechurem, lecz podczas gdy Gerard kroczył otulony ciemną, obszerną peleryną własnych myśli. Jenkin chadzał po świecie niczym po bogatym w ekspozyty muzeum, w którym wystawiano drzewa, psy o dobrych, inteligentnych i ciepłych ślepiach, spoglądających przyjaźnie w jego °czy, wysypiska śmieci, na których walało się nieprzebrane mnóstwo zadziwiających, wyrzucanych przez ludzi przedmiotów (Jenkin znosił niektóre do domu i cieszył się nimi jak dziecko), wystawy sklepowe, samochody, odpadki w rynsztokach, ubrania Przechodniów, ludzi o twarzach wesołych bądź smutnych, domy ponurych albo wesołych fasadach, okna w porze zmierzchu.

y jeszcze nie zaciągnięto zasłon i można było oglądać miesz-muC?W WslepiaJ3cych się w telewizory. Niekiedy, siedząc w do-rych " Wyobrażał SODie rozmaite osoby, zwykle takie, któ-w malinki^ Spolka\*' 'ecz 7awsze samotne: jakąś dziewczynę rne/c- ^ 'cawa'erce z kotem i rośliną w doniczce, starszego ^Scego d\*\* piora-cego sobie koszulę, człowieka w turbanie, dą-zaniieci Puis7-czystym gościńcem, zabłąkanego w śnieżnej snił się sWęc\*roWca. Czasami tacy ludzie mu się śnili, czasem Sam SODie w podobnych sytuacjach. Kiedyś wyobraził

sobie tak plastycznie włóczęgę na dworcu kolejowym, że w ko cu, mimo późnej pory. wybiegł z domu i poszedł piechotą dworzec Paddington, żeby sprawdzić, czy ten włóczęga naprawdę tam jest. Włóczęgi, co prawda, nie było, zastał jednak w dworcowej hali masę innych samotnych osób, które zdawały się na niego czekać.

Nigdy nie układał historii tych wyobrażonych postaci. To były migawki, osobne kadry przedstawiające pojedynczych ludzi, których losy były wypisane na ich twarzach, uwidaczniały się w ich ubraniach, w chwilowym nastroju, w tym więc sensie przypominali rzeczywistych ludzi, jakich spotykał na ulicy. Jego wyobrażenia o przyjaciołach, zresztą nielicznych, cechowała podobna intensywność i wycinkowość. Choć miał pełną świadomość, że Gerard, Duncan, Rose, Graham Willward (dyrektor szkoły, w której uczył). Marchment (pracownik opieki społecznej, były poseł, znajomy Crimonda) to osoby jak najbardziej realne, nie lubił snuć rozważań na ich temat, poza przypuszczeniami niezbędnymi w codziennym

życiu. Byli jak tajemnicze obrazy, na które często patrzył, stanowili zagadki, nad którymi często łamał sobie głowę. Nie przepadał za życiem towarzyskim i nie wykazywał skłonności do plotek, toteż niektórzy uważali go za nudziarza. Był jedynakiem, kochał swych rodziców, wierzył w religię, którą wyznawali, ufał ich dobroci. Później jednak z bólem serca porzucił chrześcijaństwo. Nie potrafił uwierzyć w nadprzyrodzone sfery ani w zmartwychwstanie Pana, chyba jedynie w cierpieniu. Równie obcy był mu quasi-mistyczny, pseudomistyczny platoński perfekcjonizm, który dla Gerarda stanowił substytut wiary religijnej. Zachował jednak, może dzięki tak drogim mu wspomnieniom z dzieciństwa, rodzaj wysokich, absolutnych miar nie tyle w odniesieniu do jakichś konkretnych ludzkich zadań czy zamierzeń, ile po prostu wobec posług, jakie winno się świadczyć bliźnim. Skromne życie, jakie wiódł, kojarzyło się jednym z ascetyzmem, innym z dziecięcą naiwnością lub wręcz pozą, wynikało zaś po prostu z tej absolutnej skali wartości, choć było również, z czego zdawał sobie doskonale sprawę, programem na szczęście. Jenkin nie cierpiał bałaganu, pazerności, kłamstwa, przemocy, pospolitych grzeszków, a nie cierpiał ich, ponieważ angażowały takie stany ducha, które go mierzyły, jak zawiść, złość, wyrzuty sumienia czy nienawiść.

On jest taki zdrowy", ocenił go kiedyś na wpół pogardliwie den ze znajomych, a Jenkin uznałby zapewne za słuszny zawarty w tej opinii element krytyki. Stał się zbyt beztroski, zanadto zadomowiony we własnym życiu. Gerard nie zaznawał podobnego zadomowienia, jego o wieczny niepokój przyprawiał ideał, jaki mu przyświecał. Przebłąski owego ideału, którego szczyty ginęły gdzieś w chmurach, darzyły go jednak zarazem pociechą, a nawet zwodziły, gdy zdawało mu się, że je osiąga na skrzydłach filozofii, gdy się wzbijał w te czyste, świetliste rejony, hen ponad swoją prawdziwą istotę. Tę właśnie skłonność przyjaciela uznawał Jenkin za hołdowanie odwiecznej religijnej iluzji. Gerard wciąż mówił o konieczności pozbycia się własnego „ja”, tymczasem Jenkin swoje „ja” dosyć lubił, potrzebował go, nigdy się nadmiernie nie zamartwiał, miał nadzieję, że będzie sobie radził coraz lepiej, ufał, że droga, jaką w życiu obrał, ustrzeże go przed „biedami”. Jestem ślimakiem, myślał o sobie czasami. Poruszam się, gdy się w ogóle ruszę, wyciągnę choć ciutkę, ciuteczkę.

Jenkin nie miał na ogół poczucia, że powinien dokąds wyruszyć, dokąds się udać. by służyć ludzkości. Rozumiał, że ucząc gromadę młodych urwipociów języków i historii, wykonuje ważne zadanie i prawdopodobnie robi właśnie to, co najlepiej umie. Czy pomyślał, by jeszcze nieco uprościć tę „prostotę” własnego życia, nie należało uznać za zwykły, egoistyczny romantyzm? Wszak odmiana, której tak wyglądał, już nastąpiła: dostał semestralny urlop naukowy. Nic nie stało na przeszkodzie, aby coś zaczął studiować, coś pisać. Tymczasem on niańczył swój niepokój. Chciał uciec - uciec, by żyć wśród ludzi, o których tak często myślał. Jak daleko? Na dworzec Paddington, do jakiejś kawalerki w Kilburn? Dalej. Do Limehouse, do Stepney, do Walworth? Jeszcze dalej. Ale czy nawet ucieczka na koniec świata nie byłaby tylko romantyczną mrzonką, eskapizmem, gonitwą za fatamorganą, porzuceniem codziennych obowiązków P° to, by karmić się nieszczęściem innych ludzi, budować na lch nieszczęściu swoje pełniejsze „ja”? Pragnął... czyż nie?... Wyruszyć na front najgorszego ludzkiego cierpienia, na granicę zyc'a i śmierci, pragnął tam zamieszkać, założyć tam dom. Bo-erami naszych czasów są dysydenci, ci, którzy protestują, samotni w swych celach więźniowie, anonimowi pomocnicy, nieznani głosiciele prawdy. Zdawał sobie sprawę, że nie u< się zostać jednym z nich. ale chciałby się jakimś sposobem z leżć bliżej takich ludzi. Na dobrą sprawę nie liczy się nic, p łagodzenia cierpień, cierpień konkretnych jednostek, wplątan 1 w swoje losy. Ale co to znaczyło dla niego, człowieka, który niedawna marzył skrycie o wyruszeniu do Ameryki Południo lub do Indii? Nawet jego teologia wyzwolenia była zwykłą mantyczną mrzonką, opartą jedynie na popularnym wizerun" Chrystusa jako Zbawiciela ubogich, opuszczonych,

zagubionyc Lecz czasem myślał też sobie, czy właśnie ta mrzonka, nie z uczone konstrukcje biskupów demitologizatorów, nie mogła się stać fundamentem teologii, teologii zburzonej, strzasl"l przez dopuszczoną nagle do świadomości grozę tego świa Mogłoby to nastąpić nawet wtedy, gdyby jego własne pl-wyjazdu skończyły się na przeglądzie wakacyjnych ofert bi podróży, były jedynie spełnieniem jego błahej skądinąd potrz ucieczki. Na przykład od Gerarda.

Nie trzeba wyjaśniać, że nie istniały żadne uchwytny c oczywiste powody, które skłaniałyby go do ucieczki od przyja cielą. Kochał Gerarda jeszcze od studenckich czasów, choć k~chankami nie byli nigdy. Aspiracje seksualne Jenkinsa, zwy' nie spełnione, obecnie w zaniku, ograniczały się do płci prz ciwnej. Co prawda wielka miłość angażuje zwykle całą oso' przywiązanie Jenkinsa było jednak w najściślejszym tego sło znaczeniu platoniczne. Gerard był dla niego niczym idealn starszy brat. opiekun i przewodnik, wzór, ktoś, na kim mó w pełni polegać, ktoś bezgranicznie kochający, ostoja i opo' był kimś wyjątkowym, prawdziwym skarbem. Może właś dlatego zapragnął nagle oderwać się odeń. uciec? Żeby się sprą dzieć w świecie bez Gerarda. Usunąć ze swego otoczenia, ac; z należną czcią, element doskonały, dlatego właśnie, że tak d skonały. Za długo już żył wygodniutko w swoim małym doi wśród małych, przyjaznych przedmiotów. Poczucie obowiąz wymagało, by wyszedł w świat, do ludzi, gdzie nie będą \_ otaczali sami tylko życzliwi przyjaciele (żadnych nie będmiał) ani same przyjazne przedmioty. Oczywiście, odejście, ra towne zniknięcie nie oznaczałoby wcale kłótni z Gerardem. 10 nałoby się jednak porzuceniu go, takiemu oderwaniu się i (K'-; leniu, że Gerard, gdyby się w ogóle pojawiał, stałby się zaledw . w tym nowym życiu Jenkinsa. Zamierzone zerwa-prZeChdotychczasowym życiem miało być tak gruntowne, że n'e 7 owi wydawało się czasem, gdy w ciche wieczory siedział jenkin ^ ^omUt słuchał radia, a potem kładł się wcześniej samOt"ciepodejmuje krok nie tylko absurdalny, ale i przerażający, SPdC'bny do śmierci, odejścia ze świata. Gerard zwykł mawiać ^takich postanowieniach: wyglądają na zacne, gdy patrzy się ° nie z dołu. Ale Jenkin nie szukał również cnoty. Kierowały nim motywy daleko bardziej złożone.

Po wyjściu od przyjaciela Hernshaw szedł spowitymi mgłą ulicami między Shepherd\*s Bush a Notting Hill otulony ciemną, obszerną peleryną własnych myśli. Przypomniał sobie, co ktoś mu opowiadał, w jaki sposób łowili ryby tubylcy z pewnej wyspy na morzach południowych. Otóż rozciągali oni z plaży daleko w morze ogromną, półkolistą sieć. Po jakimś czasie (Gerard już nie pamiętał, jak długo ów połów trwał) wyciągali tę gigantyczną sieć na brzeg, co wymagało znacznego wysiłku i współdziałania wszystkich mieszkańców wioski. Kiedy olbrzymi włók zbliżał się wolno do lądu i ukazywał nad powierzchnią, w jego matni kotłowało się mnóstwo olbrzymich ryb i stworów, które opowiadający (od tamtego dnia zaniechał podobno morskich kąpeli) nazwał „morskimi potworami". Stworzenia te, poczuwszy, iż są uwięzione i wywlekane z rodzinnego żywiołu, poczęły się miotać jak szalone. Rozpętało się istne pandemonium, waliły potężne ogony, błyskały dziko ślepia i zębiska. Biedne zwierzęta atakowały się nawzajem, barwiąc morze swą krwią na czerwono. Kiedy Gerard w jakiś czas później powtórzył tę onę Jenkinowi, ów spontanicznie porównał to horrendum do unkcjonowania ludzkiej podświadomości. Gerard zastanawiał ^ P°tem, dlaczego to porównanie wydało mu się tak trafne. groźnc80 W\*aSna Podświadomość kryła same tylko łagodne, nie-gi 00 ^ky? Jenkin ogromnie się przejął mękami biednych. n'e w 1 StWorzer' ' Potem wielokrotnie snuł plany, nigdy jakoś P°jęci W Z^C'e' zostania wegetarianinem. Gerard nie miał

mowa z aCZeg0 akufat teraz przypomniał sobie o tym. Roz-' ^iące f lneni wbudzała zwykle w jego umyśle dobroczynne /ln'eniła ' °' Wszc'ako dziś wprawiła go w niepokój, jakby Słę togość tych fal, choć inne parametry pozostały na pozór niezmiennie. Przyszło mu do głowy, że z jego przyjąłem, a może z nim samym, dzieje się coś niedobrego. Nie trafił jednak rozstrzygnąć, czy niepokój, jaki go nurtował, naprawdę



związek z Jenkinem, czy może z Crimondem. K wie, może miotające się w matni potwory były obrazem upiorów zazdrości? Gerard znał aż za dobrze to niskie uczucie, zma się z tym grzechem, starannie go zarazem ukrywając.

Mokre Plejady schodzą w głąb. Orion za nimi się skłania. Północ wybija na wieży dzwon, I mnie już czas do posłania.

Mokre Plejady schodzą w głąb, By szukać na morza dnie Głowy, o której będę śnił. Choć ona o mnie nie.

Gulliver Ashe często sobie w tych dniach powtarzał ten wie A. E. Housmana, przeróbkę jakiegoś greckiego utworu, powtarzał jak liturgię, choć bez modlitewnego skupienia. Przynosiło mu to ulgę. Co nie znaczy, by ów wiersz miał dla niego jakieś określone znaczenie lub odnosił się do jakiejś realnej sytuacji. Nie śnił ostatnio o żadnej konkretnej głowie, na dnie czy nie na dnie mórz. Prawda, że „do posłania” on również kładł się teraz sam, ale było tak już od dawna, więc przywykł. Wiejący z wiersza nastrój pustki miał dlań ogólniejszy, wręcz kosmiczny wydźwięk. Gulliver pozostawał bez pracy. Trochę trwało, nim zdał sobie sprawę, że nie jest to beczyność chwilowa, ale stan, który wedle wszelkich oznak mógł się przeciągać w nieskończoność.

Gerard, który znalazł posadę dla Tamar, znalazł też pracę dla niego, lecz Gulliver niemal natychmiast ją stracił. Gerard „ładnie się zachował” i już dwa razy prosił Gullivera o spotkanie, ale Gulliver jął tymczasem Gerarda unikać. Do objawów „stanu”, w jaki popadł, należał, co już sobie zaczął uświadamiać, swoisty wstyd. Posada, na której utrzymał się ledwo miesiąc, miała być posadą asystenta w pewnym wydawnictwie, prowadzonym przez drukarzy i grafików książkowych, którzy specjalizowali się w wydawaniu albumów o sztuce. Gulliver zrozumiał, że stanowisko, jakie objął, stworzono jedynie przez 1116 na Hernshawa. W istocie spełniał funkcję gońca, potem wgraszono go, by zastąpił chorego portiera i nosił książki. Porzucił do pracy, a Gulliver, znudzony taskaniem woluminów, poprosił o jakieś zadanie zgodne z jego angażem. Którys przełożonych ofuknął go opryskliwie i Gulliver porzucił posadę. Ashe studiował filologię angielską w jednym z londyńskich college'ów. Ukończył naukę z dobrą notą, wynosząc ze studiów całe mnóstwo talentów, co prawda w załazkowym stanie. W szkole występował z takim powodzeniem jako aktor, że począł się na serio zastanawiać, czyby się nie poświęcić karierze scenicznej. Myślał również o zostaniu pisarzem, nosił się z zamiarem wydawania lewicowego periodyku, pragnął się zaangażować w działalność polityczną na lewicy. Zapisał się do szkoły aktorskiej, gdzie stwierdził, że w gruncie rzeczy wolałby zostać reżyserem albo scenografem teatralnym. Porzucił więc szkołę, gdy dostał propozycję recenzowania nowości wydawniczych, zresztą już wcześniej powziął zamiar napisania powieści. Recenzowanie szło mu dobrze, powieść ukończył, lecz nie zdołał znaleźć wydawcy. Złożył podanie i dostał posadę w BBC jako młodszy redaktor. Po jakimś czasie zapragnął przenieść się do telewizji, bez skutku jednak. Jego kolejna powieść również nie znalazła wydawcy. Gulliver przypisał to niepowodzenie brakowi czasu, toteż porzucił BBC, zamierzając żyć z oszczędności i całkowicie poświęcić się pisarstwu. Opublikował kilka opowiadań, 2 których jedno doczekało się nawet adaptacji na sztukę telewizyjną. Podjął próbę powrotu do BBC (nieudaną), otrzymał na ostat posadę w pewnym warsztacie teatralnym. Trochę grał, cę reżyserował, został nawet członkiem związku aktorów kiern' ^ ^Q?' n'^dz'e n'e zagrzał dłużej miejsca. Został krytykobe' teatramym w pewnym czasopiśmie literackim. Zanim się zawód StUkneła mu trzydziestka. Jak dotąd chwalił sobie tę czepić" Wą n'esta'^ pewien, że zawsze zdoła „gdzieś się za-szać nJ 6 °obecnie jego sytuacja zaczęła się stopniowo pogarszać;|Nopis^r|Ut\*a'0 mu s'\*\*\* zdobyć upragnionej posady redaktorskiej, Sztat tea^i"teraC^e °e W stan'e dłużej mu płacić, warty przestał istnieć. Na rynku krążyło coraz mniej

pieniędzy, wszędzie zaciskano pasa. Gulliver napisał jes kilka opowiadań, ale nikt nie chciał ich wydać. Nie miał od w zaczynać następnej powieści. W okresie oksfordzkiego balu już od kilku miesięcy bez pracy.

Przez lata nieszczęśliwego dzieciństwa, a potem przez szc liwy okres studiów podtrzymywało Gullivera na duchu prze oanie, że jest młodym, urodziwym szelmą. Jako student szk aktorskiej i przez kilka lat po jej ukończeniu był naprawdę bitnie przystojny i pociągający dla obydwu płci. Z obiema c-się dobrze, ale że miał wysokie wymagania, nie udało mu znaleźć upragnionego, wymarzonego partnera. W swoim w leniu szelmowskim odwiedzał jakiś czas bary dla gejów, uch dzące za louche. Nosił czarne skóry, nabijane ćwiekami pj łańcuszki i groźnie wyglądające buty. Nie potrafił nigdy ust czy była to z jego strony pospolita zgrywa, czy może śr i dowcipne poszukiwanie głębszej prawdy. W środowisku, wj kim się obracał, wiele się rozmawiało na temat „tożsamości”, gdy jednak wchodził do gejowskich barów, nie potrafił odróżnić pozorów od rzeczywistości. Dziwił się później, jakim cudem udało mu się w ogóle ująć cało i nie paść ofiarą morderstwa. Nigdy nie opowiadał o tym okresie swojego życia. Nie wspomniał też nigdy Gerardowi, że jego imię usłyszał po raz pierwszy w podejrzanym barze dla gejów. Sam Gerard oczywiście nigdy do podobnych spelunek nie zaglądał, lecz ich bywalcy nieraz o nim rozmawiali. Gulliver poznał Hernshawa dzięki środowiskowej akcji na rzecz ratowania przed upadkiem pewnego awangardowego teatryku z Fulham. Gerard wspomógł teatr finansowo, a nawet kilka razy zjawił się na przedstawieniach osobiście. Mimo to teatryk nie pociągnął długo. Gulliver dotąd czuł przyspieszone bicie serca, gdy myślał o Gerardzie, choć nie miał nadziei zostania jego „faworytem”, jako że było powszechnie wiadomo, iż Gerard „faworytów” już w ogóle nie miewa. Wy” starczająco pochlebiało mu to. że wszedł do grona przyjaciół Hernshawa, a nawet w skład (w związku z poczuciem winy rarda. związanego z jego osobą) komitetu książki. Typowa dla Gerarda powściągliwość była lak wielka, że „awanse”, które, w swym mniemaniu, poczynił Gulliverowi, zaistniały jedynie w jego wyobraźni i niemal się nie zaznaczył) w zewnątrz0)“11 świecie.

starął się o kolejne posady, stopniowo obniżając wy-• i wyzbywając się dumy. Starął się o pracę w BBC, nsh Council. w ogniwach Labour Party, w dzielnicowym ^ stracie, na uniwersytecie londyńskim. Wystąpił, bezskutecz-m3§o stypendium na kontynuację kształcenia. Szukał oczywi-nlC • r^^id aktorskich, wnet jednak zdał sobie sprawę, że to łki całkiem beznadziejne, skoro bez pracy pozostawali na-^et świetni i doświadczeni aktorzy. Starął się o pracę w najróżniejszych, coraz dziwniejszych instytucjach, oferując swoje usługi w charakterze nauczyciela całej gamy przedmiotów lub choćby tylko pracownika opieki społecznej. Odkrył w sobie liczne ukryte talenty, o jakie wcześniej siebie nie podejrzewał, i niezgłębione pokłady entuzjazmu: umiał świetnie obchodzić się z dziećmi i ze zwierzętami, pielęgnować starców i wariatów, zapewniał, że jest bardzo młody, bardzo dojrzały, bardzo doświadczony, bardzo wszechstronny i pełen zapału do nauki. Jego zabiegi spełzały jednakże na niczym, czemu nie należało się dziwić, toż każda posada, o czym doskonale wiedział, przyciągała roje kandydatów. Co prawda nie starął się jeszcze o stanowisko portiera, kelnera czy robotnika niewykwalifikowanego, bo zakładał, że zostałby z miejsca odrzucony, uważał zresztą taki krok za desperacki, jeśli nie wręcz samobójczy. Miał jeszcze oszczędności, nie tracił nadziei, coraz jaśniej jednak rysowała się przed nim i taka możliwość, że choć jest młody, utalentowany, z uniwersyteckim dyplomem w kieszeni, może już nigdy nie znaleźć zatrudnienia!

W przeszłości przeszedł przez typowy dla wielu etap współczucia dla bezrobotnych i oskarżeń pod adresem rządu. Obecnie oświadczał bezrobocia na własnej skórze. Często nachodziły go myśli pełne pretensji i urazy: to niesprawiedliwe, przecież nie pQezę do klasy ludzi, dla których brakuje pracy! Gdy rankiem nat^0^26™11 usw'adaniał sobie mizериę własnego położenia, spra° m'aSt Wpadał w czarnowidztwo. Nie zdawał sobie dotąd

stawał<sup>^</sup>tyk <sup>^</sup>art/0 Jest samotny, a może dopiero samotnym się studentem leC'nStWO' C°  
prawda! Przeży\* samotnie, ale'gdy został wsze ot Uzna\* < ze jest towarzysko ustawiony i  
odtąd już za-Ze kiedy / ° ^° ^da- Przyjaciele. Tymczasem ostatnio odkrył, ktniec jakcf ma  
prac^ ' pieniędzy, człowiek nagle przestaje ° OSOr)a. Zdał sobie sprawę, że ów proces dotyka  
wręcz

podmiotowości bezrobotnego; świadczy o tym nawet język nych naprawiaczy, którzy tak  
skwapliwie potępiają i Opjs stan, którego nie doświadczyli na własnej skórze. Uznał, że-  
absurdalne, że czuje się tak zawstydzony, poniżony, bezużyty-ny. Miał wrażenie, że niszczy go  
jakaś obca, wroga siła, spyJ w otchłań, z której nigdy się nie wydobędzie. Wyobraził s  
samego siebie za lat kilka i ujrzał żałosnego życiowego rozbi\* żebrzącego o wsparcie u  
dawnych znajomych. Kwiat młodo zwiadł, szybko przeminęła nieskazitelna uroda, na jego ci  
pojawiły się zmarszczki i plamiste przebarwienia. Widok rni szych mężczyzn zaczynał go  
drażnić, co samo w sobie j wstrętnym objawem. Wkrótce nie będzie nawet w stanie n~ biać  
dłużej miną, co stanowi zabieg niezbędny do poszukiw? pracy. Nie miał rodziny, do której  
mógłby zwrócić się o pom prawie nie znał ojca, zaznał wrogości ojczyma i przyrodnie  
rodzeństwa, był wyrzutkiem, zakała, odtrąciła go nawet włas matka. Zemścił się na nich  
później, okazując wszystkim oste tacyjną pogardę, zrywając wszelkie kontakty. Nie miał więc  
kogo zwrócić się w potrzebie. Niebawem przyjdzie mu opu' nawet to skromne mieszkanko,  
jakie wynajmował. Sprzedał mochód, odłączył telefon, zaczął unikać dawnych przyjaci z  
kręgów literackich i ich kosztownych obiadków. Nie wypac prosić po raz drugi o pomoc  
Gerarda, wstydziliby się mu naw pokazać w tak oplakany stan. Jenkin trzy razy przysyłał  
pocztówkę, ale Gulliver nigdy jakoś nie nabrał przekonania Jenkinsa. Czuł niejaką romansową  
skłonność do Rose, która k dyś do niego zadzwoniła, a gdy wyłączono mu telefon, przysł  
zaproszenie na drinka. Wymówił się oczywiście. Posłał jej natomiast (anonimowo) bukiet  
kwiatów. Ten szarmancki gest podniósł go trochę na duchu.

- W pokoju mojej babki turlało się zawsze takie małe nie wiadomo co, jakby mała, śmieszna  
piłeczka. Zabraniała mi teg° dotykać. Ja, oczywiście, nie słuchałam, próbowałam to złapać,  
ale zawsze się odturliwało i pod coś wtaczało. Nigdy się nie dowiedziałam, czy było żywe czy  
martwe.

- Zrozum, twoja babka nie mogła być prawdziwą wiedźmą. A nie mogła, bo „prawdziwe”  
wiedźmy zwyczajnie nie is nieją. To tylko biedne wariatki albo oszustki, które udają--  
słę że by'3 akuszerką, w każdym razie dawniej, choć ' ^iedyplomowaną położną. Wiedziała  
wszystko o ziołach, r?0^ {a . zWykłe o pełni księżyca. Jeśli chciała wyrządzić •^^/krzywdę.  
zbierała zioła, kiedy księżyca ubywało... k°mUTwoja babka musiała być stuknięta...

~ Ależ skąd! Nie była też oszustką... Ty nic nie rozumiesz! arnoksięstwo ^ stafa rejggja  
znacznie starsza od chrześcijań-wa Jej istotą jest władza. Myślę, że babka nienawidziła  
swoich rodziców, bo należeli do jakiejś okropnej, surowej chrześcijańskiej sekty, a ona  
nienawidziła chrześcijaństwa. \_ Otóż i masz wyjaśnienie psychologiczne.

- Twoje wyjaśnienie jedynie rzecz zaciemnia! Babka mówiła czasem, że jest Cyganką,  
czasem, że Żydówką. Ludzie się jej bali, ale zwracali się do niej o pomoc, bo wiele mogła.  
Była różdkarką, potrafiła odczyniać złe duchy, umiała sprowadzać deszcz przez oddawanie  
mocz... No i oczywiście spędzać płód...

- Oczywiście!

- Miała uroczne oko. Jedno oko miała takie dziwne i...

- Jak Duncan! Lecz nie sądzę, żeby on miał ..uroczne oko"... choć pewnie by chciał,  
nieboraczek!

- Miała mnóstwo książek. Chyba uważała, że dokonała jakiegoś wielkiego odkrycia.

- Obląkani często tak myślą.

- Dobrze, w takim razie wszyscy jesteśmy po trosze obląkani! Dlaczego, jak ci się zdaje, sadzi  
się na cmentarzach cisy? Czary przypominają też socjalizm.

- Socjalizm?

- No tak, są taką działalnością wywrotową, formą protestu, czymś podobnym do tego, co robi Crimond i...

do~ ?Ch' Li'y ~ wykrzyknął Guli - przestań wrzucać wszystko Cr'mond^o W^orka! NaJP'erw twoja stuknięta babka, a teraz znów

!marach60'^ n ^ Pra^me władzy, pisze książkę o czarach-

~ Ty go znasz, prawda? jemv „leclv^ znałam - przyznała wymijająco. - Ostatnio widu-Lily rr/ad?iej-

GulliVcPr/ysz^o w'aśnie go głowy, że byłoby przyjemnie, gdyby "wierzył, iż była kochanką Crimonda. Nigdy dotąd nic

ośmieliła się nikomu podsunąć takiej myśli. Nawet teraz wyszyła się, że Gulliver może podchwycić jej sugestię, lecz dać jej wiary. Bądź jeszcze gorzej: uwierzyć w nią, a po powtórzyć wszystko Crimondowi. Co ona właściwie taki powiedziała? Zdążyła już zapomnieć. To przez to wino!

Lily zaprosiła Gullivera do siebie na mały obiad. Jej szkanie, niedaleko Sloane Square, było bardzo widne, Wielkich okien z podokiennymi ławeczkami. Szerokie z drewna tekowego wykonano w stylu z początku stulecia, wykuszowe w salonie, gdzie przy owalnym stole spożywali siłek, wychodziło na ulicę, na której wiatr odzierał właśnie sokie płatany z dużych, poźółkłych liści i składał je ostroży na chodnikach. Na kominku buzował ogień. Zagracony do możliwości pokój, niemal jarmarcznie pstry, mienił się v kolorów. Gulliver uważał, że tchnie zmysłowością i duch orientu, co mogło mieć związek z tą niesamowitą babką L Guli był zapewne idealnym widzem tego pomieszczenia, niezmiernie lubił wariacki, krzykliwy gust swej gospodyni, sz' nie mu się podobały niemalże czarne tapety, nowoczesny dyw w kratę (zielen i kość słoniowa) ze wstawkami trompe-l'o przypominający brukowany dziedziniec jakiejś egzotycznej dowli, rozłożyste otomany, przykryte wyszywanymi i hafto nymi narzutami, na których Lily wylegiwała się jak kotka, licz błaty politurowane na wysoki połysk, zastawione różnymi p derkami i figurynkami, kosztownymi cacuszkami, które Lily powała, jakby działając pod przymusem, w najdroższych s^1 pach. Lubiał zapach nowości, jakim pachniał jej salon, w któ nawet starocie wyglądały jak nowe.

Tak, byli prawdziwymi przyjaciółmi. Guli nigdy dotąd przyjaźnił się z kobietą. Ta przyjaźń była jedyną niespodztf spośród tych. jakie go ostatnio spotykały, której nie nazw" złowróbną ani wstętną, choć nawet nad nią unosiła się a jakiejś dwuznaczności. Gulliver utraci! już wiarę, że coś moz trwać i nie popadać w degrengoladę. Propozycja nawiązania bliższych stosunków wyszła nie od niego, lecz od Lily. Rozma wiali już o tym. Pod koniec lała. kiedy Gerard bawił w GreCJ Rose w Yorkshire, a Gulliver zaczynał pograżać się w rozpacz? otrzymał niespodziewanie kartkę od Lily z zaproszeniem ^ lunch do restauracji w Covent Garden. Zrazu chciał odmówili

końcu poszedł. Potem spotykali się jeszcze kilka razy, jednak w restauracjacrit zawsze na koszt Lily. Guliwerowi nie W dzioby nawet wcześniej do głowy, że może podtrzymywać pfZySktv z tak zabawną osóbką, a jednak je podtrzymywał. Po-^ri Lily na jakimś przyjęciu u Rose, ale zupełnie nie zwrócił uwaai. Czyżby teraz leciał na jej forse? Dzisiaj, po raz 03 wszy jedli lunch w jej mieszkaniu. Zaproponował tę odmia-pieGull który miał już serdecznie dosyc tego, że to jego partnerka wciąż płaci i zaczął się obawiać, że to się rozniesie. W towarzystwie Lily czuł się dobrze, swobodnie, nie obawiał się bowiem jej osądu, a zresztą, prawdę powiedziawszy, mało dbał o to, co sobie o nim pomyśli. W jego stosunku do Lily Boyne zawierała się szczypta odprężającej wyższości, którą prawdopodobnie przejął od osób, wśród których ją poznał. Jednocześnie czuł się w obowiązku zachowywać wobec niej pozory, co również wychodziło mu na dobre. Odgrywał wobec Lily chudego literata, zapoznanego geniusza, dawał do zrozumienia, że w istocie nie zależy mu na znalezieniu pracy, że zawsze chciał być sam, żyć skromnie i pisać. Oświadczył jej, że wyrzutki społeczne to święci

współczesnego świata. Lily szczerze podziwiała jego ascetyczny tryb życia. Oczywiście romans między nimi w ogóle nie wchodził w rachubę. Lily wspomniała kilka razy o swoich adoratorach, Guli o wizytach w barach dla gejów. Ich stosunki przybrały formę zadziwiająco swobodną i niewymuszoną.

Lily Boyne była niezwykle rada ze zdobycia Gullivera. Uważała go za nieco pośledniejszą wersję Gerarda i łącznik z „tamtym światem”. Brała za dobrą monetę jego opowieści o „chudym 'eracie' i „świętym wyrzutku” i nie domyślała się wcale, że 10 w”duje się już z Rose i jej przyjaciółmi. Uważała Ashe'a za arzystką zdobyczą, rodzaj odskoczni, ale jednocześnie zwy- nia ^ustovVafa w jego towarzystwie i cieszyła się z pozyskana iego przyjaciela. Oboje, co stwierdzali zgodnie, byli od-słuch ami' ekscentrykami- jednostkami niepospolitymi. Lubiała z kolei °^0Vvie^c' Gullivera o jego okropnej rodzinie i jemu odszedł°^W'aŁ'aĆ ° w'asneJ' równie okropnej, o tym, jak ojciec nawróć W ^ Przed jej urodzeniem, jak matka, świeżo neJ babć"3 na,kat0,icyzm, oddała ją na wychowanie półobłąka-1 n'ei dum la(^6-' ^"y potwornie się bała. choć obecnie była na. Ze szkoły uciekła do „koszmarnej” zawodówki. gdzie nauczyła się maszynopisania, trochę malarstwa i garnc: stwa. Jej matka katoliczka umarła z przepicia, babka, która mierzła żyć sto dwadzieścia lat, zmarła nagle w tajemniczy^ okolicznościach, na skutek zaklęć, jak utrzymywała Lily, pew. nej czarownicy, a jej rywalki. Lily znacznie wcześniej straciła z obiema kontakt.

- Nigdy ich nie kochałam - wyznała. - One też mnie nigd nie kochały. Beznadzieja. Nie ma o czym mówić.

Jedli szynkę, ozór, salami, suszoną kiełbasę, karczochy i solę. Oboje lubili jeść, lecz nie lubili gotować. Wypili mnóstwo taniego białego wina. (Lily nie była koneserką win). Na deser miał być ser, tort czekoladowy z kremem i hiszpańska brandy, którą Lily wołała od francuskiej. Mieszkanie tonęło w kurzu i brudzie, ponieważ Lily, która była chorobliwie podejrzliwa i jak ognia bała się złodziei, za żadne skarby nie zatrudniłaby sprzątaczkę, sama zaś odkurzać nie lubiła, pod innymi jednak względami była systematyczna, wręcz pedantyczna. Ich „obiadek” przebiegał niespiesznie, obrus z hinduskiej narzuty na łóżko był zastawiony ładnymi talerzami i kieliszkami. Tak naprawdę Lily nie nauczyła się malować w swojej „koszmarnej” zawodówce, ale instynkt, który ją tam popchnął, wyrażał, co niewykluczone, rzeczywisty artystyczny dar. Gulliver zaobserwował ponadto, że była niewiarygodnie zabobonna.

Wierzyła, że nieszczęście mogą sprowadzić: przejście pod drabiną, ptak, który wleciał przez okno, skrzyżowane na stole noże; wierzyła w złe dni, feralne liczby, w złe i dobre fazy księżycy. Bała się czarnych psów i pajaków. Wierzyła w astrologię; kilka razy dała sobie postawić horoskop, bynajmniej nic zrażona tym, że prognozy się wzajemnie wykluczały. Miała płytką i mętną wiedzę na temat jogi i zen. Do innych jej drobnych tajemnic należała umiejętność wyglądzania bądź to wyjątkowo staro, bądź wyjątkowo młodo. Kiedy przybierała wygląd staruszki, jej twarz kurczyła się, zmieniała w maskę niepokoju, fałdy plamistej, pomarszczonej skóry zakrywały jasnobrązowe oczy, długa szyja wyciągała się żyła-ście, cera stawała się ziemista i dziobata, jakby ściągana ku ustom grymasem jędzowatości. Kiedy indziej zaś twarz Lily wyglądziała się jak u nastolatki, ożywiała, olśniewała karnacją, słodkie niczym melasa oczy iskrzyły się inteligencją, szczupła figura tryskała sprężystą energią.

Towarzyszyło temu młodnieniu

sobliwe podniecenie, nasuwające czasem myśl o wisielczym morze. Również stroje Lily podlegały krańcowym metamorfozom, od przesadnej elegancji po niechlujne, jak u jakiegoś kocmołucha, zaniedbanie. Tego dnia - elegancka, młodzieńcza, bosonoga - miała na sobie obcisłe, czarne, sztruksowe spodnie, jedwabną, niebieską bluzkę z wysokim kołnierzykiem i naszyjnik z bursztynów. Gulliver, który również wystroił się na tę okazję, miał na sobie jasnokremowy pulower w czerwone ciapki, białą koszulę, najlepsze džinsy, najwytworniejsze buty oraz wspaniałą, brązową marynarkę z miękkiej skóry renifera, którą musiał jednak zdjąć, ponieważ w mieszkaniu panowała nieznośna duchota.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie zauważył aluzji Lily do jej zażyłych stosunków z Crimondem, bo chwilę wcześniej ugryzł się w język, co mu się często ostatnio zdarzało. Czyżby zapowiedź utraty koordynacji ruchów, objaw jakiejś groźnej choroby? Gdy zastanawiał się bliżej nad niebezpieczeństwami, na jakie był narażony jego język między dwoma potworami mocarnych szczęk, dziwił się, jak mu się w ogóle udawało przetrwać?

- Widziałaś może ostatnio Jean Cambus? - zapytał.

- Nie, ostatnio nie. - Lily wołała nie przyznawać, że jej przyjaźń z Jean należała do dawno minionej przeszłości.

- Niebywała historia! - stwierdził Gulliver. Oczywiście często o sprawie Cambusów rozmawiali. Gulliver nie potrafił się oprzeć uczuciu satysfakcji na myśl o tym, że bliźni również wpadali w kłopoty. Pomyśleć tylko, zostać dwukrotnie rogaczem za sprawą tego samego mężczyzny! - Na miejscu Duncana czułbym taką wściekłość, nienawiść i wstyd, że chyba palnąłbym sobie w łeb!

Po co? - zdumiała się Lily. - Lepiej by wziął kolegów. Poszedł i spuścił tamtemu tęgie lanie! Moje koleżanki z organizacji feministek zabiłyby takiego faceta jak muchę. Widziałam j<sup>7</sup> na Pokazie judo, jak jedna babka, zresztą fest kobitka, po-P0 ^ . a' ^ s'ć zachować, kiedy zaatakuje cię mężczyzna. °waliła faceta, choć był nieułomek, wgniotła mu twarz w zie-m'Ç i wykręciła rękę. Wszystkie babeczki na widowni darły się Jak opętane: „Zabij go! Zabij go!” To była bomba! Gulliver wzruszył ramionami.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Gerard i jego komilit0ni zdolni do użycia przemocy. Oni wolą siedzieć i mędrkow-

- Kółko kulturalnych dżentelmenów! - prychnęła Lily \_ dzą w tych swoich wieżach z kości słoniowej niczym bog0 bez żadnych zmartwień, a kiedy ich przyjaciel wpada w taranie kiwną nawet palcem.

- Niewiele mogą zrobić - przyznał Gulliver. - Gerard prawdę szczerze się tym przejął, bardzo się troszczy o inny

- Wymuskany goguś!

Gulliver uśmiechnął się z aprobatą. Był w nastroju, któ" skłaniał do lekkiego poniżania Gerarda. Czuł, że uległ zbyt fascynacji tą postacią. Na początku ubiegłego roku przepisał dla Hernshawa kilka własnych wierszy. Gerard wyraził się o nich z uznaniem, ale Guli znalazł je później w koszu na papiery.

- A Jenkin Riderhood to mięczak - ciągnęła Lily. - Baba w gaciach.

- Zadowolony z siebie człeczyna, skądinąd nieszkodliwy -uzupełnił Gulliver i zgañił się natychmiast za wygłoszenie tak horrendalnej opinii. Skonstatował, że obmawia z Lily znajomych tonem pogardliwym i lekceważącym, wygłasza, za jej inspiracją, opinie, jakich wcale nie podzielał. Schodzę na psy, stwierdził w duchu, ulegam demoralizacji.

- Ty wyraźnie trzymasz stronę kobiet - zauważył.

- Rose Curtland jest całkiem do rzeczy - przyznała - choć nie może siędamulka powstrzymać, by nie zadzierać trochę nosa. Ale jest łękliwa, co mnie wkurza, nie cierpię łękliwych kobiet. Najlepsza z całej paczki wydaje mi się ta mała Tamar.

- Tamar? - zdziwił się, bo nigdy wcześniej nie słyszał, by Lily wymawiała imię Tamar.

- Tak - potwierdziła. - Była wobec mnie bardzo uprzejma. Tamar wzięła sobie kiedyś za punkt honoru zabawianie Lily

rozmową na jakimś przyjęciu, przed laty. w domu Cambusów, kiedy Lily, pozostawiona sama sobie, stała nieszczęśliwa p00 ścianą. Lily o tym nie zapomniała. Guli się rozczulił.

- To dobra dziewczuszka, choć niezbyt rozzarnięta, taki błady fiołeczek.

- Bogu dzięki, że są jeszcze na świecie takie fiołeczki! Czy sta, niewinna, kochana, nie zepsuta, świeża! Ma wszystko, czec

kuje Ja jestem zepsuta, wydaje mi się czasem, że taka \*fc urodziłam. Uwielbiam tę małą!

SiejUnver był zdumiony tą nagłą deklaracją. Może nie doceniał °d Tamar, może należało pilniej się jej przyjrzeć? Z drugiej dotąd wydało mu się oczywiste, że wzruszenie Lily miało zwią-S^ bardziej z nią samą niż z młodą panną Hemshaw. 26 Ona będzie kimś! - zawyrokowała. - Reszta tej paczki to oniłki żyją przeszłością, oksfordzkim światem z bajki. Tamar dobrze zrobiła. że się stamtąd wyrwała, to dziewczyna z bigłem, typ zwyciężczyni. Człowiek musi być twardy, żeby w ogóle pojąć, o co chodzi w dzisiejszym świecie, a co dopiero próbować coś z tym zrobić!

- Jean też jest twarda - zauważył Gulliver - przy tym bardzo do Tamar przywiązana, zresztą z wzajemnością.

- Doprawdy? - Lily zastanawiała się przez chwilę, czy nie dałoby się jakoś obsmarować Jean, być może wykorzystując do tego celu Tamar. Po namyśle uznała jednak ten zamiar za niefortunny. - Wypisałam się już z tego cyrku - oznajmiła. - Mam powyżej uszu kontaktów z mężczyznami, ale kontaktów z kobietami też.

- Kontaktujesz się przecież ze mną.

- Z tobą to co innego!

- Jak to: co innego?

- Prawdę powiedziawszy, pogląd, że mężczyźni i kobiety tak bardzo się różnią, głoszą mężczyźni i uległe im niewolniczo kobiety. Te freudowskie bzdury na temat zazdrości o penisa świadczą jedynie o tym, że Freud uważał się jako mężczyzna za kogoś lepszego. Jedynie my, wykorzystane i wyzwolone kobiety, roamy dane, by widzieć jasno i rozumieć, co się wokół dzieje.

aściwie dlaczego używam liczby mnogiej? Jestem jedyną ko-16 ą' która widzi jasno i rozumie, co się wokół dzieje. że~ To dlatego, że jesteś wiedźmą - zażartował. - Słyszałem, an poznałaś na ćwiczeniach jogi, gdy obie stałyście na & A gdzie P°znałaś Crimonda? q? °/e' Crimond... Ten gość jest nudny jak flaki z olejem.

I\*UkS1I»y stale o nim mówić? chciał " t0 Si? Stał°" ze Przyszedł z nim wtedy na bal? - Guli na odwagedaWn° ZadaĆ to Pytanie' lecz dopiero teraz zdobył się - Och. czysty przypadek, jakaś flama nawaliła mu w oś chwili, ot i tyle. Ja naprawdę nie znam tego pana zbyt blisk Zresztą któż go zna?

Lily wyrażała się tak enigmatycznie nie dlatego, iżby mi nią a Crimondem do czegoś „doszło”, prawdę mówiąc, nie mi niczego ekscytującego do ukrycia, było też prawdą - choć oburzałyby się, gdyby ludzie podejrzewali coś wręcz przeci nego - że wcale go zbyt blisko nie znała. Po prostu droga b j jej sercu, nie obfitująca w żadne wydarzenia, lecz dla niej g\ boko znacząca, historia jej własnych wewnętrznych przez związanych z tym mężczyzną, i ją właśnie pragnęła ukryć. U-szała o Crimondzie, gdy zaślął jako wybitny radykał, id młodzieży, wpływowy przyjaciel popularnego lewicowego po przemawiający na tłumnych zgromadzeniach i pojawiający si na telewizyjnym ekranie. Potem poznała na ćwiczeniach jogi panią Jean Cambus. Stało się to wkrótce po jej powrocie do męża, a na krótko przed ślubem Lily. Oczywiście Jean ani słówkiem nie wspomniała o Crimondzie, ale w organizacji bojowni-czek o prawa kobiet, w której Lily się wówczas udzielała, dużo się o tym romansie mówiło, i choć nie ceniono w tym gronie instytucji małżeństwa, Crimond został zgodnie obwołany świnia, bydlakiem, męskim szowinistą, politykiem całkowicie niewiarygodnym na froncie walki o wyzwolenie kobiet. Kiedy miał raz przemawiać na jakimś zebraniu w Camden Town, niedaleko jej ówczesnego miejsca zamieszkania. Lily poszła go posłuchać. Wyszła oczarowana. Nie była to w ścisłym tego słowa znaczeniu miłość od pierwszego wejrzenia, Lily nie tak określiłaby fascynację, której uległa. Uczucie, jakiego doznała, przypominało raczej zniewolenie, jakie po prostu na człowieka spada, jest przyjmowane jako wyrok przeznaczenia, zdarzenie nieuchronne, z którym się trzeba po prostu pogodzić. Porównanie z niewolą oddawało z grubsza (Lily nie zastanawiała się nad niuansami) zimny fatalizm i beznadziejność jej położenia. Przez jakiś czas zastanawiała się, co ma dalej robić. Wybrała się





W tym kiepskim okresie podtrzymywał ją niewątpliwie na duchu ów dziwny, jednostronny „romans” z Crimondem. To jedno pozostało nie zbrukane i czyste. W Crimondzie widziała wówczas niemal Boga. Ta relacja angażowała jedynie jej najlepsze cechy, więc nie mogła ulec degradacji. Oczywiście, budziła też lęk, tak przerażająca była władza, jaką miał nad nią ten nieosiągalny mężczyzna. Jej kartki pozostawały naturalnie bez odpowiedzi, ale dostała kilka nowych zleceń na przepisanie na maszynie rękopisu, udało jej się też kilka razy spotkać z Crimondem, a nawet zamienić z nim kilka słów. Pewnego szczęśliwego dnia zwrócił się do niej po imieniu: Lily. Zrozumiała, że nie musi się już lękać odrzucenia. Crimond, przed którym drżało tylu silnych ludzi, mógł sobie pozwolić na olimpijską uprzejmość wobec istot słabszych. Lily zaczęła z wolna stawać na nogi i ufniej patrzeć w przyszłość. Podejmowała desperackie próby „podciągnięcia się umysłowo”, przeczytała kilka „trudnych P° wieści i zaczęła oglądać „lepsze” programy w telewizji. Cho dziła nawet (choć krótko) na wieczorowy kurs francuskiego-Czuła, że naprawdę zaczyna się z wolna zmieniać. Wcześniej nie mogłaby nawet marzyć o nawiązaniu tej dziwnej przyjaźni\*

zną

Z

ła ją obecnie z Guliwerem Ashe'em. Tymczasem jej jaka a. ^ kótkiem" Jean stały się sporadyczne, co smuciło kontakty ^j^j ze tak wielkie wiązała z nimi nadzieje. Jean ^ ^nktycznie zerwała, jedynie Rose Curtland podtrzymywała Zn"omość, zapraszała Lily od czasu do czasu na spotkania. Sórych jednak niewiele wynikało.

Bogowie, którzy chyba z nudów aranżują takie odmiany w losach śmiertelników, sprawili, że ledwo Lily nawiązała, po długim okresie ryzykownych starań, jakieś rzeczywiste, choć powierzchowne kontakty z Crimondem, wyzwoliła się ze stanu zniewolenia. Oczywiście, nadal kochała i ceniła Crimonda ponad wszystko w świecie, lecz przestała być jego bezsilną niewolnicą. Zaczęła nawet dostrzegać, iż nie jest doskonały, potrafiła go krytykować wobec innych, a nawet snuć śmiało spekulacje na temat jego życia erotycznego, o którym wszakże niewiele wiadano. Wyzbyła się wielu lęków i poczuła się generalnie lepiej. Podczas długich godzin, jakie spędzała na podobnych rozważaniach, doszła do przekonania, że nie jest Crimondowi obojętna jedynie dzięki swojej rzekomej znajomości z Jean. Nie wiedziała, co myśleć o tej hipotezie ani nawet, czy ona ją przygnębia. Perswadowała sobie roztropnie, że tak naprawdę nic dla niego nie znaczy, że Crimond ją jedynie wyniośle toleruje, jak tolerował niezliczone rzesze innych, nie liczących się dlań wielbicieli. Mimo to, nieomal w sekrecie przed samą sobą, pielęgnowała myśl, że Crimond w pewien sposób „trzyma ją w odwodzie”, me ze względu na nią samą, oczywista, ale jako narzędzie, ewentualną pośredniczkę i łączniczkę. Zaczęło jej sprawiać przyjemność myślenie o sobie jako o „uśpionym szpiegu”, do czasu stan.nspirowanym, przeznaczonym do ewentualnego wykorzy-szedł W Przysz\*o^c\*- I znowu paradoks sprawił, że gdy przy-ciu pW"aćiwy moment i Lily rzeczywiście miała odegrać w ży-nii.. : monda wręcz przełomową rolę, ona ów moment przega-pi i mało brakowało, by żadnej w ogóle roli me odegrała. z dużym wyprzedzeniem dowiedziała się od Rose o balu w Oksfordzie, wiedziała, kto się nań wybiera, wiedziała nawet o Tamar IM amerykańskim studencie. Przypadek sprawił, że tuż pized datą balu doszło do jednego z tych przelotnych, rzadkich, lecz °be<mie mniej już dla niej ekscytujących spotkań z Crimondem. dla którego miała przepisać coś „na wczoraj”. Przepisywała mu dotąd wyłącznie pisane na kolanie polityczne analizy • książki, o której istnieniu oczywiście wiedziała, ale które'8 • gdy nie oglądała na oczy. Crimond wiódł podówczas w C ^ berwell życie odludka, nie wspierany już przez armię sekreta pomocników, wielbicieli i „hunwejbínów”. Przychodząc na uiró' wionę spotkania, Lily zastawała go z reguły samego i dostęno! wała łaski krótkiej pogawędki, na którą starała się zawsze p-gotować jakąś ciekawostkę. Od tamtej pierwszej rozmowy ośmieliła się nigdy wymienić imienia Jean, od czasu do c~ wspominała jednak, że widziała się z Rose lub Gerardem. j puszczała, że może

dzięki temu zyskać uznanie w oczach chanego, choć skądinąd wiedziała, że stosunki między a „paczką” są obecnie wręcz lodowate. Crimond nigdy nie dejmował tych wzmianek, ale i nie wydawał się nimi zirytowany. Wśród paplaniny na temat Rose Lily wymknęło się zdanie o oksfordzkim balu, którego termin wypadał za tydzień. Dodała, że „wybierają się nań wszyscy”, i wymieniła również nazwisko Cambusów. Crimond odpowiedział natychmiast (zastanawiała się później nieraz nad szybkością tej odpowiedzi):

- Chyba i ja się wybiorę. Poszłaby pani ze mną?

Lily omal nie zemdląła z radości i zaskoczenia.

Jej radość zmaląła, gdy po zastanowieniu zdała sobie sprawę, że cel tej wyprawy jest zapewne taki, jakim się wkrótce istotnie okazał, a ona została w końcu wykorzystana, czego zresztą od dawna pragnęła, tyle że nie było to wcale takie miłe; poczuła się jak narzędzie. Zastanawiała się nawet, czy Crimond nie uznał, że ona w gruncie rzeczy jest wysłanniczką Jean. Mimo to nie mogła się powstrzymać, by nie snuć najśmielszych fantazji na temat możliwych wydarzeń nadchodzącej, czarodziejskiej nocy. Przed balem już się z Crimondem nie widziała. Pojechała do Oksfordu autobusem, Crimond nie zaoferował jej bowiem podwiezienia; oznajmił po prostu, że spotkają się przed stróżówką college'u. Na teren balu weszli razem i skierowali się ku najbliższemu pawilonowi, gdzie Crimond, zapomniawszy o swojej partnerce, zaczął się zaraz niecierpliwie rozglądać na wszystkie strony. To właśnie wtedy dostrzegł go Gulliver Ashe. Sławny radykał został szybko rozpoznany przez grupkę lewicowo nastrojonych studentów, z których jeden znał go nawet osobiście, toteż wnet otoczył ich idola tłumek rozemocjonowanych wie

Lily jakiś czas siedziała sama i wtedy właśnie dojrzała bicia! 1 Kiedy zaczął się kolejny taniec, grupka wokół Cri-ją Tamar' szyła się, a on sam gdzieś zniknął. Kiedy Lily go "^\odnalazła, tańczył już z Jean.

W wiele dni i tygodni po balu nie mogła się pozbierać po PrZe,Z,m <-/oku. Dowiedziała się wkrótce od Rose, którą sama iła o spotkanie, że Jean ponownie odeszła od męża i za-^eszkała z Crimondem. Lily nie była w stanie myśleć odtąd ^niczym innym i wkrótce zrozumiała, że utraciła go już bezzwrotnie. Niektóre zwierzęta dysponują takimi sposobami obrony które, gdy zastosowane, kończą się dla nich śmiercią. Lily osiągnęła apogeum swej użyteczności, wręcz niezbędności dla Crimonda, a osiągnąwszy go, spowodowała, że ich związek skończył się nieodwołalnie. Zbliżenie się teraz do ukochanego nie wchodziło w ogóle w rachubę, było całkowicie wykluczone. Żadnego więcej przepisywania na maszynie, żadnych pocztówek, spotkań, pogawędek, basta. Ledwie zdała sobie z tego sprawę, odżyła w niej z dawną siłą tamta głupia, niewolnicza miłość, ubarwiona na dodatek niemądrymi złudzeniami sprzed balu i bolesnym wspomnieniem tej szczęśliwej chwili, gdy dumna jak paw szła u boku Crimonda w stronę rozbrzmiewających muzyką namiotów. Zdawało się jej, że nie przeżyje tego smutku, wstydu i bólu po doznanej stracie. A potem, gdy Rose i inni zaczęli przebąkiwać, że ów romans już długo nie potrwa, że Crimond jest nie do zniesienia, że Jean go niedługo porzuci, zaczęła szukać pociechy w nowych rojeniach i fantazjach. Wyobrażała sobie, że została jego drogą, najmilszą przyjaciółką, tą, która jedyna go nie opuściła, gdy wszyscy inni zawiedli. Oczywiście nie Przyznała się nigdy, że sama powiedziała Crimondowi o tym e mm balu. Odczuwała nawet dziwny dreszczyk podniecenia na rzeń °tym' że stała sie sprawczynią tak dramatycznych wyda-siebi ^edząc c'cr»utko w swym kątku, dopuszczała czasem do e śmiałe przypuszczenie, że ma nad Crimondem tajemniczą

władz

ę.

mar. \_pomusisz Jean nic mówić - powiedział Gerard do Ta-Gerard \_Pr°StU Ją odwiedź\ Wystarczy, że cię zobaczy.

zaprosił Violet i Tamar na drinka, mając nadzieję, że

Violet, która wpadała w furję, gdy ją pomijano przy zap. niach, jak zwykle nie przyjdzie. Tymczasem zjawily się Na szczęście dla Gerarda Patricia zabrała Violet na górę, c jej pokazać ulepszenia, jakie Gideon wprowadził w mieszka C na piętrze, więc na chwilę zostali z Tamar sami.

Salon w domu na Notting Hill, jak kiedyś ktoś zauważył przypominał swego gospodarza: był jak Gerard, poważny i dostojny, dyskretnie stylowy i elegancki, utrzymany w kolorystyce brązów i zieleni, z gustownymi akcentami granatu i purpury. Na zielonej kanapie leżały poduszki niebieskie, na niebieskich fotelach - zielone. Na ciemnobrązowym dywanie przed dużym kominkiem, na którym palił się niewielki ogień, ścielił się kilimek o geometrycznym wzorze w brązowo-czerwonej tonacji. Na ścianach, wyklejonych jasnymi tapetami w brązowe ciapki, wisiały angielskie akwarele. Na kilku stolikach stały lampy z abażurami, na gzymsie zaś nad kominkiem - garść interesujących bibelocików. Drzwi tego wielkiego pokoju wychodziły na ogród. Gerard, który nie lubił, by go podglądano, zaciągnął brunatne aksamitne zasłony ledwie się ściemniło.

Stali przy kominku. Tamar trzymała w ręku kieliszek z odrobiną sherry. Miała na sobie swój zwykły, codzienny „mundurek” - spódniczkę, bluzkę i żakiet. Wybrała kolory, które przypominały barwy jej ciała: brązy, zielenie i złamane zielenią szarości drzewnych pni. Spódniczka i zapinane na guziczki buciki miały ton zgaszonego brązu, pończochy były szare, żakiet ciemnozielony, podobny w kolorze do marynarki Gerarda. Bluzka biała, do niej jasnozielona apaszka. Brązowawe włosy drzewnego odcienia gładko przyczesane. Wielkie, zielonobrązowe oczy wpatrywały się w Gerarda z ufnością, ale i powątpiewaniem. Wuj nie do końca uosabiał dla niej ojca. Dla swojego prawdziwego nieznanego rodzica Tamar nabożnie zachowywała w sercu puste miejsce. Często o nim myślała, nigdy nic mówiła. Dziwnie się czuła, gdy sobie uświadamiała, że on zapewne w ogóle nie wie o jej istnieniu. Gerard, którego nigdy nie traktowała jak pierwszego lepszego „wujka”, był jej zawsze bliski, stanowił autorytet. Z powodu antypatii jej matki do „nich” (co oczywiście obejmowało również Pat i Gideona) Tamar, szczególnie w ostatnim czasie, odnosiła się do Gerarda z nieznaczną rezerwą. Miała nadzieję, że rozumiał jej powody.

wdę uważasz, że powinnam ją odwiedzić? Czy nie '^^aby wygadało na jakies przeszpiegi... Na poselstwo b?d7-ie t0...,,,pia?...

' "eli?

od nieprZ^mCniej potraktuj to normalnie. Przecież zawsze lubiaś ' Byn'eł'ną zresztą wzajemnością. Często się widywałyście. Jean "Z rie odwiedzisz, gotowa pomyśleć, że ją potępiasz. JeS" JNeje chciałabym, by tak pomyślała. Więc widzisz...

\_ Ale przecież na pewno się domyśla, że widuję się również Duncanem. Naturalnie, sama jej o tym powiem, chyba że wcześniej zapyta, lecz ona nie zapyta. W ogóle nie wspomni o Duncanie. Ale będzie wiedziała.

\_ I to również jest całkiem naturalne. Jean wcale nie oczekuje, że wyprzesz się Duncana! Oboje traktowali cię zawsze jak córkę.

- Nie mów tak, przecież mam rodziców.

- Przepraszam, rozumiem cię, ale chyba i ty rozumiesz, co chciałem powiedzieć. Jean na pewno nie uzna, że przysłaś na przeszpiegi, a już na pewno nie pomyśli, że cię przysłał Duncan.

- Ale będę posłanniczką, tyle że twoją.

- No cóż, istotnie, w pewnym sensie tak... Lecz oczywiście nie omawiałem tego z. Duncanem. Chcę cię tylko zachęcić, byś zrobiła to, co, jak mniemam, sama miałabyś chęć zrobić, lecz nie pozwala ci na to nieśmiałość. Proszę cię tylko o to, Tamar, byś się od czasu do czasu z obojgiem widywała, bez żadnego innego celu na oku.

- Ale ty masz jakiś cel na oku.

Ależ to dziecko dociekliwe, zachnął się w duchu Gerard.

- Niczego przed tobą nie ukrywam - zapewnił. - Przyznaję, chciałbym, żeby Jean i Duncan się zeszli, wszyscy tego chcemy. ja przede wszystkim, tym lepiej, więc wszystko, co temu sprzy-  
o-oby do- Ty, w każdym wypadku, wyświadczysz przysługę  
icn tylko !eStCm tego wcale taka Pcwna \_ powiedziała. - Mogę Ona ' ZlrytOWa^ Jak°  
przybysz z innego, normalnego świata, shaw JCSt slanovvco nazbyt przenikliwa,  
skonstatował Hern-

I S?ołaŚ Si? Z Deanem?

statui raz jakiś miesiąc temu. Zaprosił mnie na her-  
batę. Na odchodnym poprosił, żebym kiedyś' znów do wpadła. Powiedział, że wystarczy  
zadzwoić.

- Ale ty nie wpadłaś...

- Wyczułam, że nie mówił tego całkiem szczerze. Kierował nim zwykła uprzejmość, podobnie  
jak przy tych zaproszeniach, herbatę. Wydaje mi się, że rad by mnie unikać. Zbyt wiele' °  
przypominam.

- Uważasz, że mógłby pomyśleć, że traktujesz go protekcjonalnie? Widzisz, młodzi potrafią  
traktować w ten sposób star-  
szych!

- Ach nie, dlaczego miałby tak pomyśleć? Idzie mi tylko o to, że kiedy człowiek wkracza w  
cudze nieszczęście, postępuje trochę jak ciekawski widz. Nie wiem, czy mamy do tego  
prawo...

- Gdyby wszyscy tak myśleli, nie można by nikomu pomóc! Już lepiej popełnić odwrotną  
pomyłkę. Znacznie częściej zawadzimy, nie usiłując okazać pomocy, niż pchając się z nią.  
Duncanowi oczywiście nic nie powiedziałem...

- Wy to świetnie potraficie: nie mówiąc sobie nic, jednocześnie dobrze się rozumieć!

- Och, przestań komplikować. Tamar! Po prostu wpadnij do Duncana, zobacz się z nim. Jeśli  
zechce, potrafi się ciebie pozbyć, nie bój się, zna cię przecież od urodzenia. Zajrzyj do niego,  
zajrzyj do Jean.

- Dobrze, tylko że...

- Co znowu?

- Boję się Crimonda.

Lepiej się w to nie zagłębiać, pomyślał Gerard. Jeśli zaczniemy wałkować ten temat, gotowa  
rozniecić w sobie ów lęk.

- Crimond chodzi z głową w chmurach - rzucił bagateli-zująco - nawet cię nie zauważy.

Zresztą z pewnością zastaniesz go przy pracy, będziesz, mogła porozmawiać z Jean w cztery  
oczy.

Tamar uśmiechnęła się blado, po czym wykonała drobny gest' jakim zwykła wyrażać  
kapitulację (Gerard pamiętał go jeszcze z jej dziecięcych lat), podniosła mianowicie rękę i  
odwróciła dłoń wnętrzem do góry.

- Poczciwe z ciebie dziecko - ucieszył się. po czym zmienił temat: - Słuchaj, czy ty coś w  
ogóle jadasz? Wyglądasz jak skóra i kości!

Ależ jadłam'-Zawsze byłam chuda. Miałaś jakąś wiadomość od Conrada? x,ie Tylko raz. zaraz  
po balu.

Donosił, onratce Odlatuje do Stanów i stamtąd  
do niej napisze. Infor-ZC WTże spędził całą noc na szukaniu jej (naprawdę wyglądało  
m0VVa^e obarcza Tamar winą za to, że się zgubił) i że jej płaszcz ^dał Fairfaxom. Więcej  
wieści od niego nie miała. Gerard uznał, że lepiej nie drążyć i tego tematu. \_ A jak tam w  
pracy? Wciąż ci się podoba? Tak, jest bardzo ciekawa. Dostałam niedawno rękopis do  
przeczytania.

Tamar nie powiedziała oczywiście Gerardowi o nacisku, jaki wywarła na nią matka, żądając,  
by porzuciła Oksford. Niejasno, nie wprost, dawała do zrozumienia, że zgadza się z jej opinią,

że odeszła z uniwerku, bo jej się „znudziło”. Chcąc sobie oszczędzić bolesnych przepytywanek, postarała się pogodzić jak najszybciej z uczuciami rezygnacji i rozpacz. Nie chciała zdradzać matki przed ich wścibstwem, choćby wpływającym z najlepszych zamiarów, bo bezproduktywna walka, jaką oni mogliby rozpocząć z Violet, zapowiadała jedynie przedłużenie bólu.

- To świetna firma - stwierdził Gerard, przypatrując się Tamar uważnie.

Powinienem być dociekliwszy, zganił sam siebie w duchu, powinienem był podnieść rąban, ale byłem zanadto pochłonięty Crimondem i tamtą aferą. Muszę naprawdę zająć się tą dziewczyną, a nie tylko używać jej na posyłki. Wciąż mi się zdaje, że ona ma szesnaście lat, a tymczasem to już silna, mała kostka, w pełni zdolna, aby mnie osądzać. Spuścił wzrok, amar, nie odrywając od Gerarda spojrzenia swoich czystych, niewinnych oczu < podniosła rękę i położyła dłoń na gzymsie ^ mka, tak że jej wąskie paznokcie spoczęły obok czarnej fokki acz Steatytu' ^óra tam zawsze stała. Hernshaw, którego gusta, ka okyrafinOWane\* cecnowai pewien eklektyzm, zgromadził kil-S2aleiaZow rzeźby Eskimosów. Tamar zerknęła na foczkę, którą w wykwlUblła' nie dotknęła jednak posążka. Foka spoczywała do góry7111^ pozie' przekręciwszy tłusciutką szyję i zadarłszy czuła d0PSI Pyszczek- Tamar, jak najdalsza od sądenia Gerarda, niego jedynie szczerą miłość, przywiązanie i zaufanie.

si

jak do starego, mądrego przyjaciela, w którym nie ma żadn złych uczuć, lecz tylko rozumna życzliwość, i z którym mo tak stać i milczeć bez skrepowania.

- Chciałbym ci coś ofiarować... - odezwał się Gerard i p, chwilę zastanawiał się nawet, czyby nie podarować dziewczyn czarnej eskimoskiej foczki, rozmyślił się jednak, bo wiedział -i wnet by pożałował swej hojności. Zanadto ten posążek lubił -

Tamar sprawiała wrażenie osoby, do której uśmiechnęło szczęście. Wybąkała:

- Słuchaj, Gerard... nie pomyśl sobie tylko, że zbzikowałam ale widzisz, chciałabym... naprawdę bym chciała... dostać co z ubrania... coś twojego... jakąś rzecz używaną, którą zamierzałe wyrzucić... rękawiczkę, szalik albo... coś, co nosiłeś... w dow sympatii i...

- Abyś to mogła nosić na swej włóczni?

- Właśnie!

- Doskonale, już wiem, co ci ofiaruję! - Wyszedł do holu skąd wrócił po chwili z szalikiem. - Proszę, oto mój stary oks fordzki szalik... Będiesz mogła odtąd nosić moje barwy! Okręcił jej szalik wokół szyi.

- Och... i nie żal ci się go pozbywać?

- Nie, mogę przecież zawsze postarać się o inny! Widać po nim, że swoje już przeżył.

- Och, jestem taka szczęśliwa... Teraz już niczego się nie zleknię... Serdecznie ci dziękuję!

Otuliła się szalikiem, ściągając jego końce aż do pasa, szarpnęła za nie i zaśmiała się. Gerard się również uśmiechał. Jakie to niezwykle, pomyślał, że ona postrzega siebie jako młodego rycerza, wyruszającego do bitwy pod mymi barwami! Jakie wzruszające! Niezwykłe dziecko. Drzwi otworzyły się. Weszły Patricia i Violet.

Zaledwie jej matka przekroczyła próg, Tamar zgasała, tak jak gaśnie światło, jak gaśnie zdmuchnięta świeca. W ułamku sekundy zniknęło roziskrzone, szelmowskie spojrzenie (nader rzad ko zapalające się w jej oczach), twarz spochmurniała, a niewy muszone, swobodne porozumienie między nią a Gerardem ZJ\* stało przerwane. Przybrawszy maskę tak dla niej typową

ze

trudno ją wręcz było nazwać maską, stała się w jednej chwili\*

nanowana i zamknięta w sobie. Bez widomych oznak

Oboję'na' op'-----.....—

:poko;

dobieństwa. Ojciec Gerarda i stryj Ben byli do siebie  
vm'i op«iiv" — k 'u przyglądała się matce z napiętą uwagą.

^Su^kuzynki. gdy się je widziało razem, nosiły

nawet pewne

^^łodii bardzo podobni, co szczególnie rzucało się w oczy na ^^•h fotografiach, których kilka  
Gerard znalazł w domu

star; w

Bristolu, robiąc w nim porządki przed sprzedażą. W Patricii "violet, co teraz zauważył,  
zachował się duch czy raczej aura

I dobieństwa ich ojców, co uwidaczniało się w skupionych spojrzeniach, wyraźnie  
zarysowanych ustach, znamionujących charaktery mocne i stanowcze, oraz w „dzielnych”  
minach. Lecz podczas gdy u Matthew Hernshawa i jego brata Bena ów czujny wyraz twarzy  
miał w sobie jakiś rys ironiczny i dobroduszy, u ich potomkiń stwardniał w grymas zacięty i  
surowy, w przypadku Violet wręcz wrogi i zaczepny. Pat była wyższa i postaw-niejsza od  
kuzynki, miała pulchną twarz i wydatny podbródek. Violet miała ładniejszą figurę i była  
szczuplejsza. Obie miały na czole u nasady nosa dwie pionowe zmarszczki wiecznego marsa.  
Teraz patrzyły oskarżycielsko na Tamar i Gerarda, których podejrzewały o knucie jakiegoś  
spisku. Przyglądając się im, Gerard poczuł, jak jego twarz tężeje w grymasie bólu. Wśród  
starych fotografii znalazł kilka przez siebie zrobionych zdjęć Zaka. Naturalnie natychmiast je  
podał. To smutne, że człowiekowi tak pilno, z obawy przed cierpieniem, niszczyć pamiątki  
miłości. Oglądając fotografie Bena jako chłopca, a potem młodzieńca, Gerard odniósł

wrażenie, że jego ojciec musiał czuć się winny wobec młodszego brata, winny tego, że nie  
próbował go ratować, odszukać, okazać mu jakąś skuteczniejszą pomoc, że

2 yt łatwo i szybko pogodził się z opinią, że Ben to „skończony ca^1131 • °p'n'a-' którą

Gerard słyszał w rodzinnym domu przez

d7-iecieństwo. Być może i o tym powinien był porozma-  
z ojcem. Jednak teraz Gerard myślał wyłącznie o Żaku,  
dłu minal so°ie, jak ukochany ptak zwykł wyciągać jedno

ny 0'e Skrzydło w rodzaju pozdrowienia, jak rozkładał szkarłat-  
i nnu 0 1 Wpatrywał mu się w oczy spojrzeniem inteligentnym uważnym. Wyczną  
dzievv- naDlecie w stojącej obok Tamar i domyślił się, że ' innymi]3 marzy 0 Ucieczce.

Nie lubiła słuchać rozmów matki udźmi, a już szczególnie z Gerardem i Pat.

Violet skierowała na córkę przysłonięte długą grzywką krótkowidza (wielkie, okrągłe okulary  
w niebieskiej oprawce trzymała w ręku) i spytała gniewnie:

- Co ty masz na szyi? Jakąś starą szmatę? To szalik?

- Tak, szalik Gerarda, jeszcze z college'u. Ofiarował mi go właśnie w prezencie.

- Nie możesz nosić męskiego szalika!

- Ależ mogę! Wszystkie uniwersyteckie szaliki są podobne.

- Przecież nie byłeś w tym samym college'u co Gerard! Zresztą ten łach pilnie potrzebuje  
prania.

Na twarzy Tamar odbiła się zgroza na samą myśl o tak świętokradczej de-Gerardyzacji jej  
trofeum. Bóg raczy wiedzieć, pomyślał Gerard, jakie wonie przechował w sobie ten szalik,  
toć nigdy nie był prany!

- Szalików akademickich zwykle się nie pierze - wtrącił. -Pranie starłoby z nich patynę. Nie  
wydaje mi się zresztą, żeby ten szalik miał ochotę iść do prania. - Mówię jak Jenkin,  
pomyślał. Obraz przyjaciela, nałożony niespodzianie na wspomnienie o Żaku, poprawił mu  
humor.

- Te wszystkie akademickie relikwie przyprawiają mnie o mdłości - oświadczyła Pat.

- Podobały ci się te modernizacje na górze? - zwrócił się Gerard do Violet.

- Musiały słono kosztować.

- To był pomysł Gideona - wyjaśniła Pat. - Mój mąż ma takie wyczucie koloru. Na piętrze jest mnóstwo miejsca. Kiedy sprowadzimy nasze meble i trochę rzeczy z Bristolu, ten dom nabierze zaraz jakiegoś charakteru... Wystarczy dokonać niewielkich przeróbek, a wszystko się zmieści.

- Wcale nie chcę, żeby się zmieściło - zauważył Gerard. - Życzyłbym też sobie, żeby Gideon zostawił w spokoju mój skalniak.

Tamar nie przestawała się kręcić niespokojnie. Patricia i Violet identycznymi gestami poprawiły fryzury i wygładziły sukienki.

- Pat mówi, że zamierzasz przenieść się na górę, a im zostawić dół - powiedziała Violet.

- To dla mnie zupełna nowina!

- Myślę, że to byłoby rozsądne rozwiązanie. Ten dom jest o wiele za duży dla jednej osoby. Całe moje mieszkanko zni-

by się w tym jednym salonie. Uważam ponadto, że powi-SC eś sprzedać meble z Bristolu, niektóre są bardzo cenne. Prze-n'6' wciąż spoglądać na zegarek, Tamar, to bardzo niegrzeczne! Jestem zdania, że powinniśmy oddać Violet część mebli

Bristolu - powiedział Gerard do siostry po wyjściu krewniaczek Violet nie zgodziła się, żeby zapłacił za taksówkę.

\_ Wyobraź sobie, sama się o to przymówiła, gdy jeszcze byliśmy na górze! W jej klitce nie ma na nie dość miejsca, poniszczy te piękne rzeczy, zarzuci je zaraz starymi gazetami, plastikowymi torebkami, ostempluje odciskami po filiżankach z herbatą. Można by jej natomiast oddać część kuchennych sprzętów. Zresztą i tak ich nie przyjmie. Zgrywa się po prostu na ubogą krewną. Chce nas wpędzić w poczucie winy.

- Z powodzeniem. Chciałbym, żebyśmy zrobili coś dla Tamar.

- Powtarzasz to w kółko, ale to daremne. Ta dziewczyna nie ma ochoty do życia. Nie potrafi się nawet zebrać, by sprzątnąć mieszkanie! Violet nie przestała być niesforną nastolatką, wciąż jej się zdaje, że ma dwadzieścia lat i życie przed sobą, że Tamar w ogóle nie istnieje. Nie widziała w niej nigdy istoty z krwi i kości, co najwyżej utrapionego, męczącego ducha. No i sprawiła, że Tamar czuje się jak duch. Ta dziewczyna wprost niknie w oczach. Któregoś dnia stanie się cienka jak nitka, następnego zniknie.

- Co ty wygadujesz!...

Wszedł Gideon Fairfax, łysy, spokojny mężczyzna o czerwonych jak wiśnie wargach, z gładziutko wygolonymi rumianymi policzkami i przystojnej, inteligentnej, młodzieńczej twarzy. Tego wieczoru miał na sobie ciemny garnitur i jaskrawą, zielonka-woniebieską koszulę. Swoje koszule farbował własnoręcznie. Gerard nie miał pojęcia, dlaczego jego uprzejmy, miły, kulturalny szwagier tak okropnie go irytuje.

~ Poszła już sobie? Chowałem się przed nią po kątach.

~ Poszła - odparła Pat. - Mówcie, co chcecie, ale chciałabym mieć Jej figurę!

~ Słuchaj, Gideon, życzyłbym sobie, żebyś zostawił w spo-k<sup>o</sup>ju mój skalniak! - rzekł Gerard. Ależ, mój drogi, bieda ze skalniakami polega na tym, że w m<sup>o</sup>żna ich żadną miarą zostawiać w spokoju. Pozostawione

sPokoju zarastają chwastami, nabierają stylu wiktoriańskiego

i w końcu przestają istnieć. Skalniaki wymagają ciągłego s. nia. Ja go tylko opielilem, usunąłem parę kamieni i dosadziłem kilka roślinek. Za rok będzie piękny jak z obrazka.

- Gideon to artysta - oznajmiła Pat.

- Zauważyłem, że wyrwałeś wszystkie siewki jesionu.

- Ależ, mój drogi, toż one wszędzie się pienią!

- I ja to właśnie lubię!

Gideon nie był oczywiście artystą, nie był nawet historykiem sztuki, lecz po prostu człowiekiem, który nie umiał się oprze robieniu pieniędzy. Jego gusta nie zawsze pokrywały

się z smakiem Gerarda, lecz ów musiał przyznać, że szwagier ma ni tylko dobre rozeznanie rynku, ale naprawdę lubi malarstwo.

- Co słysząc u Leonarda?

Leonard Fairfax studiował historię sztuki na Cornell University w Stanach. Patricia i Gideon martwili się przez jakiś czas że ich syn mógłby się zakochać w Tamar. Teraz to niebezpieczeństwo minęło.

- Widziałem się z nim w Nowym Jorku. Wyobraź sobie, że zaczął grać w baseball!

- Wielkie nieba!

- Szkoda, że Tamar wypuściła z rąk tego Lomasa - zafrasowała się Patricia. - Wygląda na to, że ta dziewczyna w ogół nie interesuje się seksem. Chyba nie jest lesbijką? Zupełnie mi się nie podobała jej namiętność do Jean Cambus. Bogu dzięki, teraz nie będzie już miała okazji jej widywać!

- Udało ci się zdobyć tego Klimta? - zwrócił się Gerard do szwagra.

- Niestety nie!

- Gerard cię przysłał? - spytała prosto z mostu Jean. Tamar zawahała się przed odpowiedzią.

- No, bądźże ze mną szczerą! Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała:

- Nie, tylko mnie zachęcił. Chciałam przyjść sama z siebie... ale się bałam.

- Czego?

- Myślałam, że może nie zechcesz mnie widzieć.

- Dlaczego miałabym nie chcieć?

Bo może wolałabyś zerwać wszelkie kontakty z nami. [f p0{joba mi się ta liczba mnoga...

Więc już i siebie zaliczasz do paczki?

\_ Nie, naprawdę nie... Pomyślałam jednak, że mogłoby ci się to nie spodobać...

\_ Wprawić w zakłopotanie, postawić w pozycji oskarżonej? Ależ nie! - Tamar zarumieniła się, bo właśnie coś podobnego miała na myśli. - Nie bądź taka surowa, Jean! Gniewasz się, że przysłałam?

\_ Ach nie, drogie dziecko, oczywiście, że nie! Jestem tylko ciekawa. Więc nie jesteś niczym posłańcem?

- Naturalnie, że nie.

- A czemu Gerard chciał, byś mnie odwiedziła?

- Bez specjalnego powodu. Po prostu, żeby podtrzymać kontakt.

- Masz mu złożyć raport z tej wizyty?

- Nie było o tym mowy!

Istotnie, Gerard nie wspominał o żadnym „raporcie”, było jednak oczywiste, że nań liczył.

Tamar zdała sobie sprawę, że powinna się była spodziewać takich właśnie pytań... a jednak omal nie zaplątała się w kłamstwach.

Do ich spotkania doszło w dziwny sposób. Tamar, przemyślawszy sobie dokładnie każdy krok, zadzwoniła do Jean z budki telefonicznej w Camberwell około czwartej w sobotnie popołudnie, powiedziała, że jest w pobliżu i zapytała, czy mogłaby wpaść. Jean zgodziła się. Nie wymieniły w progu zwyczajowych pocałunków, podały sobie tylko ręce. Jean wprowadziła następnie gościa do pokoju na tyłach domu. Był pełen książek. Pod regałami stał tapczan, a w tylnej ścianie widniały drzwi do ogrodu- Jean miała na sobie szlafrok. Tapczan był nakryty starą, sPłowiałą, bawełnianą kapą, na której leżały dwie piękne sukienki- Tamar zdjęła płaszcz, pozostawiła jednak na szyi szalik od ^rarda. Tymczasem niebo zachmurzyło się i zaczął padać

eszcz. Niewielki trawnik od ogrodu był zasłany liśćmi. Żółte chryzantemy, pociemniałe na brąz, zwisały smętnie u przygię-.y. wiatrem tyczek. W pokoju, który wydawał się opuszczony, nie zamieszkanym, panował przenikliwy ziąb, a deski podłogi . zypiały. Temu domowi brakuje duszy, pomyślała Tamar

°garnęło ją przygnębienie.



- Dobrze, nie będę cię dłużej dręczyć - powiedziała iQasi

Cię  
rnó

Wiem, że poczciwa z ciebie dziewczyna. Cieszę się, że dę. Jeśliś ciekawa - dodała - jego teraz nie ma.

Zapadła chwila ciszy. O tylu sprawach nie należało głośno, że zagajenie rozmowy wymagało pewnego namysłu

- Boże, ależ pociemniało! - zawołała Jean. - Zapalę światł Zapaliła słabą lampę pod sufitem, od czego w pokoju zn

się jakby jeszcze ciemniej. Usiadły naprzeciwko siebie na stych krzeselkach, jak w czasie wywiadu pracownika opieki s łecznej u klienta. Tamar przyglądała się łebkom gwoździ, tkwi cych w nie malowanych deskach podłogi.

- Jak ci idzie nauka?

Dziewczyna wzdrygnęła się przestraszona.

- Ja już nie studiuję. Pracuję teraz w jednym wydawnictwi Zadziwiająco, jak Jean się od nich oddaliła, jak zupełnie str ciła z nimi kontakt.

- Jak to?

- Matka miała długi...

- Dlaczegoś mnie nie poprosiła o pieniądze?

- Ona nie przyjęłaby wsparcia.

- Toteż nie dałabym ich jej, lecz tobie! Niemądra jesteś, c ty nigdy nie wydoroslejesz? Nie widzisz, że ona chce cię od izolować, zniszczyć.

- Nieprawda... ona mnie kocha. Tamar nie była ślepa na to, że oskarżenia Jean pasują do jej matki, w której zranionym sercu istotnie płonęła nienawiść również do niej, ale przecież zarazem i miłość!

- Porozmawiam z nią.

- Nie, nie rób tego, ona jest do ciebie wrogo nastawiona. Jest zazdrosna, bo wie, że cię lubię.

- Boże, ależ niegodziwi potrafią być ludzie! Coś w każdym razie wymyślę.

Tamar nie zdołała się oprzeć nadziei, że jakieś magiczne hokus-pokus zdoła jeszcze wszystko naprawić. Czyż pieniąd<sup>7</sup> nie potrafią działać cudów? W tym przypadku zdawały się po stronie rozumu, zdrowego rozsądku, sprawiedliwości, <sup>^</sup>ręc cnoty. Niestety, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę- Ta<sup>a</sup>(j nie mogła ani opuścić matki, ani jej ocalić. Jakby ciążył<sup>1</sup> n nią kłątwa, niczym w bajkach. Pieniądze na spłatę długów & sia

ły P0'

•chodzić z pracy Tamar. Żadne inne nie mogły się nadać, tu miejsca na zdrowy rozsądek czy rozumny kompromis. Nie był0 ue córki nie CZyniło Violet szczęśliwą ani wdzięczną, poświęceń nie wchodziło w ogóle w rachubę.

Jedn M0' ojciec coś obmyśli - mruknęła Jean. - Będziesz tylko

, °!,vH.isić z siebie kilka kłamstw. Nie patrz na mnie takim musiała wyciusit.

mrokiem, bo cię rąbnę!

\_ Jakie śliczne sukienki! - zawołała w odpowiedzi Tamar, wskazując na łóżko.

\_ Doskonale, zmieniaj temat, ja i tak nie zamierzam tolerować tej obrzydliwej ofiary!...

Właśnie kupiłam te kiecki i miałam je przymierzać.

Jean zerwała się i zrzuciła z ramion szlafrok. Została tylko w krótkiej, białej halce, czarnych podwiązkach i czarnych pończochach. W tym stroju mogłaby uchodzić za gwiazdę staroświeckiego nocnego lokalu, ale pannie Hernshaw przypominała raczej pirata lub żołnierza, na przykład greckiego hoplitę. Jej pończochy stały się butami, a koronki halki -

ozdobami munduru jakiegoś wyborowego pułku. Nawet jej twarz, blada, niemal biała, z cienkim, ostro zakończonym orlim nosem, przypominała oblicze młodego dowódcy, na przykład sułtana, sportretowanego z profilu przez jakiegoś hinduskiego miniaturzystę. Jej nagie ramiona i przezierający spod koronek skrawek uda były również białe. Delikatną, niemal przezroczystą skórę znaczyły cieniutkie, błękitne naczynka. Ciemne włosy Jean, przyлизane gładko na głowie, połśniewały niebieskawo. Nigdy jeszcze nie wydała się Tamar piękniejsza, młodsza, silniejsza, bo, choć tak blada, wręcz tryskała zdrowiem. Dziewczyna aż westchnęła z zachwytu.

Wsunawszy ręce w rękawy, Jean wśliznęła się zgrabnie w jedną z sukienek, po czym poprawiła ją na sobie, żeby jak najlepiej ied Zaprezentować- Była to prosta, szara, lekka niczym mgiełka a na sukienka z. wysokim, orientalnym kołnierzykiem, we cudów Z liŚC' fioletowycn J3^ gencjana. Ta piękna sukienka, mar 16 podkreślaJąca szczupłą sylwetkę Jean, wydała się Ta-nou, a.nielsklm wręcz odzieniem. Dziewczyna nie zdołała opa-PrakrZykU P°dziwu-droga ze ładna? - ucieszyła się Jean. - Ale i ty. moja nam by^US1SZ Się W koncu nauczyć ubierać! Już. dawno powin-Wziąć cię w swoje ręce. Pora, żebyś zrzuciła te dziew-

częce bluzczyny, spódniczki i buty na płaskich obcasach, któ przypominają domowe pantofle. Spraw sobie przyzwoitą sukienkę, śmiała w kroju, o żywszych kolorach. Musisz odejść od tych błotnistych brązów i zgaszonych zieleni. Jesteś ładna i jeśli b dzicsz się elegancko ubierała, będziesz również wyglądał ładnie. Spróbuj włożyć tę, a przekonasz się, jak ci w niej będzie do twarzy. Proszę, wystarczy, że zdejmiesz żakiet.

Jean zaczęła ściągać sukienkę, a Tamar zdejmować żakiet gdy do pokoju wszedł Crimond.

- Wcześniej wróciłeś - przywitała go Jean. Crimond wyglądał na zaskoczonego, wręcz poirytowanego-

widokiem Tamar. Dziewczyna zaczerwieniła się, spieszenie na ciągnęła żakiet i schyliła się, by podnieść swój płaszcz i torebkę Jean włożyła szlafrok.

- Muszę już iść - oświadczyła Tamar.

- Nie chodź jeszcze. Zostań. Napijemy się herbaty - zaproponowała Jean.

- Nie, dziękuję, muszę już pędzić. Nie miałam pojęcia, że zrobiło się już tak późno.

Skierowała się do drzwi, które Crimond, skłoniwszy lekko głowę, przed nią otworzył.

Jean odprowadziła pannę Hernshaw do wyjścia.

- Dziękuję, że mnie odwiedziłaś, skarbie. Wpadnij jeszcze kiedyś. Pomyślimy o załatwieniu tamtej drugiej sprawy.

Tamar w progu kończyła wkładanie płaszcza. Drzwi szybko się za nią zamknęły.

Jean wróciła do pokoju. Crimond siedział na tapczanie.

- Ona miała na szyi szalik mojego college'u - oświadczył.

- Przypuszczam, że to szalik Gerarda - powiedziała Jean, zerkając nań z ukosa. Czasem się go bała.

- Lub twego męża. To on ją przysłał?

- Skąd znowu! Przyszła, bo sama chciała.

- Nie wierzę. A może ty ją zaprosiłaś? Nie mówiłaś mi, że się spodziewasz gościa.

- Bo też się nie spodziewałam! Zadzwoiła tuż po twoim wyjściu. Powiedziała, że jest w pobliżu, i spytała, czy mogłaby wpaść.

- Byłaś niezadowolona, że wróciłem wcześniej.

- Nonsens...

Czy gdybym się na nią nie natknął, przyznałabyś się, że tu była? \_\_ No cóż...

\_ Mów mi prawdę, Jean!

I Tak. powiedziałabym ci. Przeczuwałam jednak, że będziesz . j Dędziesz wietrzył w tym jakiś spisek! A to żaden spisek! TaI biedulka nie należy do paczki. Czemu ty jesteś wiecznie

taki odejrzliwy? Skąd u ciebie to poczucie zagrożenia? \_ Zagrożenia! Stawiasz niebezpieczne pytania. Powiedziałaś jej, żeby jeszcze kiedyś wpadła, to o czymś pomyślicie. O czym?

- Chcę jej dać pieniądze, by mogła dalej studiować.

\_ Możesz posłać czek. Nie życzę sobie, żebyś się z nią widywała. Przysłał ją twój mąż jako posłańca burżuazyjnej moralności. Przyszła tu na przeszpiegi. Schodziłyście na dół?

- Nie.

- Całowałaś ją?

- Nie.

- Nie całowałyście się przedtem?

- Tylko przy powitaniach i...

- Więc czemu nie dzisiaj?

- Bo obie czułyśmy się jakoś niezręcznie...

- Byłaś zmieszana. Rumieniłaś się przed tą wścibską panną, czułaś się wobec niej nie w porządku. Dlatego ją zresztą przysłałi. Ta mała cię kocha, prawda?

- Miała do mnie słabość, gdy miała siedemnaście lat...

- Wchodzę i zastaję ciebie rozebraną, a ona się właśnie rozbiera...

- Nie bądź niemądry! Chciałam tylko, żeby przymierzyła Jedną z moich sukienek!

- I pozwoliłabyś zbrukać swoją sukienkę temu białemu, dziewczemu ciału?! Czy nie rozumiesz, że to dla mnie wstrętne, odrażające?

~ Och, przestań, przestań wreszcie!

- Nie życzę tu sobie żadnych podglądaczy! Najpierw przysyłasz do mnie Lily Boyne, żeby mi. niby to mimochodem. WsPomniała o balu. rozmawiasz z nią o mnie, a teraz zapraszasz tę dziewczynę i prawdopodobnie z nią również rozmawiasz na mój temat.

~~ ^uz ci przecież mówiłam: nie posyłałam do ciebie Lily!

I nie rozmawiałam na twój temat z Tamar! Crimond, my musi mieć do siebie nawzajem pełne zaufanie. Ocknij się! Ja wje, każdemu twemu słowu, nie tworzę sobie urojeń. Oszalałaby gdybym zwątpiła w twoją prawdomówność... Oboje zwariujerrr jeśli nie będziemy sobie ufać bez zastrzeżeń.

- Zabiję cię, jeśli mnie kiedy okłamiesz!

- Nie zobaczę się więcej z Tamar. Poproszę ojca, żeby jfc wysłał czek. Tylko się uspokój!

Cierpię, kiedy stajemy się sobi tacy obcy. Kiedy choćby na ułamek sekundy tracę z tobą więź czuję się tak, jakbym miała za chwilę umrzeć. Ja tobą żyję oddycham...

Opuścił wzrok na podłogę, a gdy go podniósł, jego gniewni stalowo błyszcząca, groźna, przerażająca twarz zmieniła się nie do poznania. Cienkie wargi rozchyliły się lekko, kąciki ust opad ły. Miał teraz minę człowieka zmęczonego, niemal udręczom Spojrzał na Jean, lecz wnet odwrócił wzrok i westchnął głębok Wiedziała, że burza minęła. Podeszła i usiadła obok niego tapczanie, a on położył jej na ramieniu w geście pocieszeni zmęczoną, ciężką rękę.

- Ja także żyję i oddycham tobą - szepnął. - Wierzę ci. Wido" tej dziewczyny niemile mnie zaskoczył. Nic lubię takich kóz.

- Cieszę się, że wróciłaś na kolację. Postanowiłaś zrezygn' wać ze spotkania?

- Zostało odwołane. Kupiłem kilka niezbędnych książek. n próżnowałem, jak widzisz.

- Ożenisz się ze mną? - Jean od czasu do czasu ponawiała to pytanie. Zależało jej na więzach małżeńskich, Crimondo-wi nie.

- Skąd u ciebie to poczucie zagrożenia? Żadne tego rodzaj gwarancje nie są ci przecież potrzebne.

- Wiem. Po prostu chciałabym, byśmy się pobrali.

- Nie widzę powodu. Jeśli natomiast chcesz się rozwieść bardzo proszę.

- Powiedziałaś kiedyś, że nie chcesz, bym się rozwodziła-

- Bo nie chcę. żebyś się widywała z tym człowiekiem-

- Wcale bym nie musiała. Wszystko by załatwił londyns adwokat ojca.

- Rób, jak uważasz.

- A poślubisz mnie?

Nie zwracaj mi głowy, Jean! Chciałabym, żebyśmy zamieszkali we Francji.

•oje miejsce jest tutaj. Przecież masz w Paryżu tylu znajomych, odwiedzasz ich. tó nie'moglibyśmy zamieszkać w Paryżu? , Nie. Nie stać nas na to.

| Kiedy skończysz książkę, moglibyśmy zacząć podróżować Europie. Mógłbyś dawać wykłady, staniesz się przecież sław-P° Qcn? tak bym chciała, żebyśmy razem wyjechali, zamieszkali gdzieś za granicą.

\_ Pewnego dnia może naprawdę razem wyjedziemy... na tamtą stronę.

- Chciałabym też, żebyś zgodził się korzystać z moich pieniędzy, żebyś pozwolił mi wydawać nasze pieniądze.

- Nie zaczynajmy od nowa tej dyskusji! Kupiłaś dwie ładne sukienki i dość. Sokoliczko. mała sokoliczko, nie dręcz się, moja ptaszyno. Musisz zacząć pracować, studiować, marnujesz swój talent. Musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie.

- Chcę pomagać tobie.

- Musisz sobie znaleźć coś własnego. Chodźmy na dół, moja sakalica.

Kiedy nazajutrz po balu Jean szła do Crimonda, nie miała żadnego ustalonego planu, wiedziała jedynie, że chce być blisko niego i, jeśli to okaże się możliwe, zostać z nim na zawsze. Po jakimś czasie zaproponowała, że będzie pomagać mu w pracy, współpracować z nim, jak kiedyś. Odparł, że nie potrzebuje asystentki. Traciłby tylko niepotrzebnie czas, próbując jej tłu-pisałZ^C' CZe^° 0(\* n'eJ oczekuje. Crimond nie używał maszyny, w . Wlecznym piórem. (Nie wyobrażał sobie innej metody popisać^0 myi\*'en'a'- Jean zasugerowała, że mogłaby się nauczyć że w na maszynie- a nawet posługiwać edytorem tekstu. Odparł, nia 71, -CZa mu bezosobowa, a sprawna agencja maszynopisa-Szyny a°r^ US'U^ korzysta, nie zniósłby w domu stukotu ma-dziai JeanOrn^S' UZyc'a komputera uznał za horrendalny. Powie-że mam "" powinna SODie znaleźć jakieś zajęcie. Wytknął jej, chanka 'e Zc^°Iności. Gotowa na wszystko, byle zadowolić ko-Pracę w Wz,c\*a sobie do serca jego słowa i postanowiła podjąć °Plece społecznej. Zbadała nawet teren, uznała jednak szybko, że praca w takim charakterze jej nie odpowiada z mond zgodził się, że istotnie traciłaby tylko czas. Wolałby podjęta studia, zdobyła stopień naukowy, skończyła jakiś ku-' wybrała się na filologię. On sam był lingwistą wybornym, cz ! (choć nie mówił) po francusku, niemiecku, włosku, hiszpańs' i rosyjsku. By nie zaniedbywać łaciny i greki, sięgał często tomy poezji klasycznej. Jean, pragnąc mu być pomocną, rozwa żała nawet, czyby nie nauczyć się chińskiego, zgodzili siejedn oboje, iż jest mało prawdopodobne, by ów język miał się w najbliższej przyszłości na coś przydać. Rozważali wspólnie, czy nie powinna nauczyć się greki, Crimond sprzeciwił się jednt temu pomysłowi. Jedynym językiem obcym, jakim Jean by" w stanie skutecznie się posługiwać, pozostał francuski. Kupi, co prawda, niemiecką gramatykę, ale nic zdołała zainteresowa Crimonda swoimi postępami w nauce. Jej oksfordzki dyplo-z historii porósł kurzem. Nie czuła za grosz powołania do zawodu historyka ani do belferki. Studiowałaby chętnie filologir angielską, ale wolała nie wspominać o tym kochankowi, mógłby uznać ów pomysł za nieprzystojny kaprys. Zaproponowała, że ukończy przyspieszony kurs komputerowy - Crimond nie znosił komputerów. Był również stanowczo przeciwny je; zamiarom studiowania filozofii. Dodatkową trudność stanowiło to, że tak naprawdę chciał ją widzieć w domu.

Jean nie pozostawała jednak całkiem bez zajęcia. Odkąd zamieszkała z Crimondem, stwierdzała, że jest z dnia na dzie' bardziej zakochana. Dosłownie żyła miłością. Czasem, gdy zostawała sama, odczuwała wręcz dreszcze z miłości. Nigdy przedtem nie doświadczała tak żywo obecności drugiego człowieka, nie zaznała również absolutnego związku z drugą istotą ani intensywnego przenikania się ciał i dusz, wzajemnego absolutnego oddania, przywodzącego na myśl miłość dwojga bogów, wreszcie zupełnego unicestwienia własnego

„ja”, dokonującego się w oślepiającym rozbłysku aktów miłosnych, które były jed' nocześnie częścią i całością ich życia, stanowiły misterium czy może rytuał, którym żyła, którego nieustannie oczekiwała i d° którego stale wracała wspomnieniem. Wspólne chwile milczenia\* spanie w jednym łóżku rozrzewniały ją do łez, toteż częste płakała z radości. Czuła się bezpieczna po części i dlatego. Crimond był panem absolutnym ich życia. To on ustalał, ki# kochać. Choć wyjątkowo namiętny, był pod wie-

^ ledami niezwykle purytański. Nigdy nie rozmawiał loma wzg^ używał nieprzyzwoitych wyrazów, właściwie pra-

0 sekSie' "ożku nie odzywał. Nie pozwalał Jean patrzeć, jak się wie się w r5Wniez miała się rozbierać szybko i dyskretnie, r°Zbierał ją oglądać bądź to całkiem ubraną, bądź zupełnie naga. by m0gz JTamcar jak się domyślała, przyprawiła go o taką irytację (SCCwodu złamania tej właśnie reguły). Zgadzała się oboje, że Z Tstosunek, czy sposób bycia, był obecnie całkiem niepodobny do romansu, jaki przeżyli w Irlandii. Tam ich ukradkową miłość, która wydawała się obecnie tak cudowna, mroczył strach nie tylko o to, że zostaną odkryci przez Duncana, ale i z powodu przeczuwanego końca czegoś, co wydawało się przypadkowe

1 nazbyt piękne, by mogło długo trwać. W Irlandii byli bezdomni, co pociągało za sobą pewien rodzaj trudnej, niepewnej wolności, która źle wpływała na ich miłość. Spoglądając wstecz, można by powiedzieć, że szukali szczęścia, przynajmniej Jean go szukała. Obecnie żyli w stanie jakiegoś niezwykle uniesienia, wobec którego szczęście schodziło na drugi plan. Kiedy wyznała któregoś razu Crimondowi, że jest szczęśliwa, spojrział na nią z takim szczerym zdumieniem, jakby nie wiedział, o czym ona mówi. Pomyślała wtedy, że znane mu było pojęcie ekstazy, lecz nie szczęścia. Uczucie, jakie ich łączyło, nie miało na celu szczęścia. Budząc się u boku śpiącego Crimonda albo czekając na jego powrót do domu, Jean czuła niewzruszony spokój, miała poczucie wręcz kosmicznej skali przepełniającej ją radości, która nie nosiła w takich momentach żadnej nazwy, zdychając powoli i głęboko, stwierdzała, że doświadczenie tego stanu mogłoby jej z powodzeniem wypełnić resztę życia. stała stworzona na nowo, otrzymała nową tożsamość, no-' meskalane ciało, nową, świetlistą duszę. Nareszcie mogła Wyl^nie Percypować świat, jej wzrok się przejaśnił, zmysły żywoarowały- Nigdy dotąd nie doświadczała rzeczywistości tak razem \l^U barwacn' w tylu szczegółach, nieskończonej i za-oc2y tak-0"07'000-' ^ak mit' a Jednocześnie stawiającej jej przed rzeń n i6 mnóstwo rozmaitych, przypadkowych, drobnych zda-ale taki ° . ch do boskich zabawek. Odkryła na nowo oddech, n'e Wszech^ mUSZą oddychać święci, tchnienie planety, tchnie-swiata, moment przechodzenia bycia w Byt.

To wszystko było niewątpliwie faktem. Co innego, gdy ws mniała czasem męża i jego cierpienie, przyjaciół, którzy uw / ją za zdrajczynię i których mogła już nigdy nic ujrzeć. Rose^j niej nie napisała; Jean tego zresztą nie oczekiwała. Tak był0 lepiej. Te złe myśli jednak czasem się zjawiały i niczym śmig]e czarne jaskółki przecinały czyste, lazurowe niebo jej miłości Jean nie podejmowała z nimi dyskusji, nie tłumiła tych smużę wyrzutów sumienia, pozwalała im mijać, powierzając sw' grzech (jeśli istotnie popełniła grzech) jakiemuś obiektywnemu sędziemu, a może wyższemu duchowi, który mógłby go pomieścić wraz z całą pełnią jej nowego świata, w którego osądzi nie zostałby rozmyty, ukryty, ale po prostu złożony. Jej wszys\_\_ powinności, podobnie jak cała namiętność, należały się obecnie kochankowi. Zdumienie, jakie ją ogarnęło na widok Tamar (o już zapomniała, kim Tamar w ogóle jest), wynikało z szoku, j kiego doznała, zdawszy sobie sprawę, że te dwie sfery, które tak zdecydowanie rozgraniczyła, potrafią się komunikować. Ktoś mógł na przykład z tamtego świata przybyć. Gerard, który liczył na taki właśnie wstrząs (zbawienny, jak mniemał), okazał się w tej mierze istotnie przewidujący. ..Misja dziewiczej kapłanki", w której pokładał nadzieję, odniosła więc pewien skutek. Widok Tamar uzmysłowił Jean, przynajmniej przelotnie, że zostawiła za sobą bałagan i chaos. Owo wrażenie wnet jednak minęło, a jej przestrasz w chwili powrotu Crimonda wynikał z przewidywania - trafnego, jak się okazało -

jego niezadowolenia. Nie sądziła, rzecz jasna, by Crimond naprawdę podejrzewał, że wiąże ją z Tamar jakiś spisek czy zakazany związek. Zdawała sobie jednak sprawę, jak wielką odrazą musiało go napawać choćby podejrzenie, że jest oceniany czy szpiegowany przez nich. Oni mieli zostać usunięci w niebyt. Pozostawało jednak faktem (Jean zastanawiała się również nad tym paradoksem), że to oni wy płacali jej kochankowi pensję. Crimond stanowczo odmówił korzystania z jej pieniędzy. Na nic się zdały nie tylko ponawiaj wielokrotnie próby Jean, ale i niezwykle list, jaki napisu niego ostatnio Joel Kowitz. Ojciec Jean, który dzieciństwo spędził w Manchesterze w ortodoksyjnej żydowskiej rodzinie a obecnie mieszkał w Nowym Jorku, był moralistą, ż- y oświeconym, choć przestrzegającym religijnych świąt juda -jedynaczkę posłał jednak do szkoły prowadzonej przez kwata

- zdobyć na tolerancję wobec małżeństw mieszanych, potrafił s, ^chwałaj rozbitych. Z drugiej jednak strony dość lubił 'e°Z "nda którego poznał w Dublinie w początkowym okresie ^dzkie^o epizodu, znał polityczną działalność kochanka córki sów Jego wczesnej sławy, a poznawszy go osobiście, przc-7 07 nawet kilka jego artykułów i broszur. Joel Kowitz, kapi-CZ|ta i oryginał, radykał z upodobaniem do barwności, od po-Vtku uważał Duncana Cambusa za kiepską partię dla swojej ° atkowej córki. Żywił nadzieję, że Jean poślubi Sinclaira Curtlanda, choćby przez wzgląd na jego tytuł szlachecki. Nie miał nic przeciwko jawnym skłonnościom homoseksualnym niedoszłego zięcia, które uważał za naturalną, wręcz niezbędną fazę w rozwoju każdego Anglika z wyższych sfer. Obecnie, choć nie pochwałał ucieczek żon od mężów, nie mógł się oprzeć uczuciu zadowolenia na wieść o nowym wybranku Jean, o którym poinformowała go niemal nazajutrz po odejściu od Duncana. Joel cenił w Crimondzie siłę charakteru, fascynował go ten ekscen-tryk, podobny trochę do niego samego. Po pewnym namyśle, upewniony przez upływ czasu, że jego córka nie zamierza się rozmyślić, napisał do Crimonda nader taktowny list, w którym dał do zrozumienia, że akceptuje powstałą sytuację i wyrażał nadzieję na szczęście i pomyślność Jean, do czego byłby skłonny przyczynić się swą kiesą. Spodziewał się, krótko mówiąc, choć nie wyraził tego tak prosto z mostu, że Crimond zechce korzystać z pieniędzy Jean. Choć nic sugerowała mu, oczywista, że jej kochanek może się przed tym wzbraniać, Joel najwyraźniej trafnie ocenił charakter Crimonda. Crimond pokazał Jean list od hwoś^0^0^ mU W ^C^° 'rmemu podziękowała za życzc, p0 czym, nie wdając się w dalsze komentarze, nadal czo odmawiał korzystania z jej zasobów finansowych, go o między wierszami tego wzruszającego i niezwykle-Znacznie S ° "Stu' "'ean wyczytała w nim coś jeszcze, wiarę kier i Wazniejszą i bardziej dramatyczną. Joel Kowitz, ban-Mwszy °Wlek wierzący w cuda, zawsze marzył o wnuku. Przynosił rT Ca^ow'tą w'nC za bczdzietność małżeństwa córki 26 mu " nCan' m'ał nadzieję, że z nowym partnerem Jean mo-^Ważał ' ?e' cnoc-'r)y za pięć dwunasta, sprawić dziedzica. n'e omawiaT W'CCZrne ndoda, nic na to nie mógł poradzić. Jean z ojcem wszystkich zmian, jakie zachodziły w jej życiu, więc nie wiedział, że zajście przez nią w ciążę jsto wymagałoby teraz cudu. Ona sama doszła do takiego wni0s a była to kolejna ciemna plama, bolesny punkt jej nowego zy Gdyby została wtedy z Crimondem w Irlandii, mogłaby nvu potomka. Crimond oświadczył jednak wówczas, że stanow< nie chce mieć dzieci. Postawiony wobec faktu dokonana mógłby wszak zmienić zdanie. Poza tym dziecko uniemożliwił by raz na zawsze powrót Jean do Duncana. Tymczasem pozostawało niezaprzeczalnym faktem, że, p drobnymi sumami, jakie Jean wydawała po kryjomu z własny1 funduszy na ubrania dla siebie i na drobne ekstrawydatki domowe, pieniądze na życie tego menage pochodziły głównie Crimoiulgesellschaft. Crimond nadal zarabiał niewielkie k... ty artykułami do gazet, unikał jednak wykładów i występów w telewizji, odrzucił też bardzo atrakcyjne zaproszenie do S' nów. Żyli nader skromnie. Crimond odbywał od czasu do czasu w pojedynkę krótkie podróże na różne konferencje, seminaria czy spotkania do Paryża, Frankfurtu lub Bolonii. Jeździł równie do Szkocji w odwiedziny do ojca. Jean chętnie by starszego pana poznała, lecz kochanek nie chciał o tym

słyszeć. Wspierał finansowo ojca i pewną sędziwą, na włość ślepią Polkę, która mieszkała nad nimi. Co miesiąc dawał Jean niewielką kwotę na utrzymanie domu. Nie wyrzucali pieniędzy na rozrywki, jeśli nie liczyć wydatków na puszki piwa. Jakże Jean miała obowiązek kupować, kiedy odwiedzali ich (nie za często) różni „towarzysze”. Sam Crimond nie brał alkoholu do ust. a i Jean, wspieranej przez miłość i dopingowanej przez kochanka, udało się go wyrzec. „Towarzysze” zamykali się z Crimondem w Pokoju Zabaw (tak nazwał swą pracownię) i toczyli tam jakieś debaty. Wygadało na to, że Crimond miał liczne grono znajomych, lecz żadnych przyjaciół. Pewnego razu odwiedziła ich grupka kolorowo odzianych młodych ludzi i jeden z nich zapytał w pewnej chwili, czy mógłby zrobić zdjęcie Crimonda na schodach w otoczeniu pozostałych. Crimond zgodził się uprzejmie, wręcz skwapliwie, co wzbudziło, ale i zasmuciło Jean. Ten niegdyś trybun m był teraz samotny jak kołek. Największe wydatki szły na P<sup>o</sup>u że, wyglądało jednak na to, że Crimond potrafił im bez ^ sprostać, korzystając z własnego jedynie portfela. Prawdę więc, jego sposób bycia nie wymagał sięgania po P, e ze ona

więc Jean pozostawało pocieszać się myślą, że kochanki- \* ^ głównymi donatorami Gesellschaft, bo tak też i J\*eJ 0-\*CłeDVło. Na szczęście jeden tylko Gerard wiedział, kto w istocie y^Qsi DokUczliwa była jednak świadomość, że „ko-jakiesunvy ^ utrzymywani przez ludzi (w tej liczbie przez chankowie nhpr. nie dodatkowv Dowód do niechęci.

01528tualność wstrzymania stypendium nie wchodziła jednak ^ o<sup>o</sup>le w grę. o czym Jean wiedziała z wcześniejszych posiedzeń komitetu. „Przyjaciele” Crimonda uzgodnili, że będą finansować pracę nad książką aż do jej ukończenia. Mogli jednak, co również wynikało z tamtych narad, okazać wreszcie swe zniecierpliwienie, domagać się sprawozdań i planów, a nawet poprosić o zaprezentowanie rękopisu i w taki lub inny sposób wezwać Crimonda do obrachunku. Jean wzdrygała się na myśl o gwałtownych spięciach, do jakich takie wezwanie musiałyby doprowadzić.

Sama nigdy nie wypytywała kochanka o książkę, a gdy po wielu zazwyczaj godzinach wychodził z Pokoju Zabaw, pytała jedynie: „Jak ci się dziś pracowało?” Nigdy też nie otwierała żadnego z zeszytów, których zbierał się już pokaźny stos. Raz i drugi zdarzyło jej się rzucić okiem na stronicę otwartego na biurku kajetu, ale przedmiot, o jakim pisał kochanek, wydał się jej niejasny, atramentowy zaś maczek jego pisma trudny do odczytania. Robiła zakupy, gotowała, zajmowała się domem, nie ośmieliła się jednak go dekorować. Przestała pić, ale nie wyrzekła się kupowania strojów, bo kupowanie ciuszków już dawno weszło jej w krew. Lubiła nosić nowe sukienki. Początkowo j<sup>^</sup>roiła się na odbywane z rzadka samotne wyprawy do cen-rn Londynu, a to do jakiejś galerii, a to na popołudniowe e stawienie do teatru. Z obawy jednak, że spotka kogoś zna-i ZaPr7esta'a tych ryzykownych eskapad, które zresztą

stroilaPrzesta,y Jej sprawiać przyjemność. W niektóre wieczory Waganc'1? tyllC<sup>o</sup> ^rimonda' który' cnoć nie pochwałał ekstra-Zwolić k t0'er<sup>o</sup>wał te urozmaicenia. Może czuł, że należy poboli luk dnCe na zacnowanie niektórych drugorzędnych sym-pI7eJawSUSU W !'a^m dawniej żyła, niewykluczone też, że ów ^r'rnondSWlat<sup>o</sup>We<sup>^</sup> S7<sup>^</sup>u wzmacniał jego poczucie posiadania. °2asu> w h-13\* .samocnód' fiata, którego używał od czasu do rając się na odczyty gdzieś w środkowej Anglii.

Nigdy jednak nie jeździł autem do centrum Londynu. Jean ii ce po ucieczce od męża sprowadziła do Camberwell s rovera. ale rzadko zeń od tamtej pory korzystała. Oba samo stały najczęściej na ulicy przed domem, czasem obok si \*w czasie w pewnym oddaleniu, w zależności od rozjazdów Crimond przestał jeździć na rowerze, który stał bezużyteczny w sieni. Jean zaproponowała, że kupi sobie rower, aby mo razem jeździć na przejażdżki, ale nic z tego projektu nie wyszło" Nie skarżyła się na brak towarzystwa i wypadów do miasta jakimś zaś czasie sama idea życia towarzyskiego zaczęła jej'si wydawać odpychająca, wręcz obmierzła.

Niekiedy, zachęcę przez kochanka, wpadała na herbatkę do pani Lebowitz, mie kające nad nimi leciwej Polki, która opowiadała jej w kółko\

0 powstaniu warszawskim. Crimond wcześniej zaczynał dzień i'

1 prawie do wieczora pracował nad książką. Na śniadanie wypijał filiżankę herbaty (nigdy nie pijał kawy), na lunch zjadał kanapki. Około osiemnastej, dziewiętnastej przerywał pisanie i spożywali! razem wczesną kolację w kuchni. Potem oglądali telewizję w pokoju od ulicy, zwykle wiadomości i jakąś dyskusję polityczną,! w której Crimond głośno uczestniczył, najczęściej przygadując ironicznie, a czasem się piekł. Rozmawiali też wówczas swobodnie i długo o polityce, książkach, filmach, o swoim dzieciństwie, miejscach, które poznali, szczególnie o miastach (Crimond nie znosił wsi, zakosztował jej uroków w nadmiarze jako chłopiec), o Irlandii, o historii ich miłości. Nigdy nie rozmawiali

0 znajomych. Pili czekoladę, około jedenastej jedli słodkie ciastka z kremem (Crimond za nimi przepadał), a potem kładli się spać na wielkim tapczanie w Pokoju Zabaw. W niektóre dni, choć niezbyt często, Crimond przerywał pracę około piętnastej

1 resztę popołudnia spędzali w łóżku.

Crimond nie cierpiał muzyki, lubił natomiast literaturę i malarstwo, o których sporo wiedział. Szczególnie kochał poezję-Na półkach w pokoju telewizyjnym, który nazywał biblioteką, stały wszystkie jego książki z college'u. Od czasu do czasu czytał kochance, tłumacząc od ręki. greckie i łacińskie wiersze, to znów raczył ją utworami Dantego i Puszkina. Jean, której łacina mocno zardzewiała, a włoski zawsze był mierny (grL- i rosyjskiego w ogóle nie znała), nie starała się śledzić tre prezentowanych dzieł, obserwowała za to /. prawdziwą rados ożywienie ukochanego. Crimond chciwie przeglądał wjdcczne^ości wycjawniczych, dosłownie rzucał się na nie. katalogl n d7jyy pocztą, a zamawiał nie tylko książki, służące gdy Valc w Oksfordzie uprawiał lekkoatletykę, dbał o kon-m^f^czną, gimnastykował się zawsze przed śniadaniową dycję lzyjego jedynym ujawnionym hobby było kolekcjonowa-tierbaom' kt5rą umiał się świetnie posługiwać (Jean miała okazję @e r° ac- sie o tym w Irlandii), nie starał się jednak zarazić tą ^ przyjaciółki. Jej obawy, że ciągłe przebywanie pod współ-SyrTdachem zacznie go w końcu drażnić, wkrótce się całkiem rozwiały. .

\_ Od kiedy tu jesteś - mawiał czasem - pracuje mi się o niebo lepiej-

Zdarzyło się kilkakroć, że poprosił ją, by usiadła wieczorem w Pokoju Zabaw, nie w pobliżu, lecz w odległym kątku, by mógł ją widzieć od biurka, i coś sobie czytała lub szyła.

Stwierdziła, że lubił patrzeć, jak szyje. Kiedy był zmęczony, krzyczał czasem:

- Nie umiem odpoczywać, nie umiem odpoczywać! Wołał do siebie Jean, a ona gładziła go po głowie, od czoła

po kark, lub masowała jego ziemistą, piegowatą twarz, wygładzając policzki i zamknięte powieki i przesuując opuszki palców wzdłuż grzbietu pociągniętego nosa. Po takim relaksie wracał zazwyczaj do biurka. Jego pracowitość mogła przyprawiać o zgrozę.

- Jesteśmy obłąkani - mawiał czasem. - Nasze życie przy-P°mina Kafkę.

- Lecz Kafkę szczęśliwego - prostowała, hnym razem mówił:

~ Nasza miłość jest absolutnie konieczna i absolutnie niemożliwa.

RePlikowała wówczas: możli^!1 konieczna' ponieważ dowiedliśmy, że nie jest nie-

a. Cri\*°nd odpowiadał n

~" Dorsk r ,iau<u »« 10: jean , °nale- Zatem jest bytem koniecznym, jak Bóg. Sem wręcza W?rUszona' zaskoczona, do głębi poruszona, a cza-- Przerażona stopniem ich wzajemnej zależności.

- Jesteś jedyną kobietą, jakiej kiedykolwiek pra mógłbym pragnąć albo pragnął pragnąć.



Siedzieli w pokoju w suterenie na wielkim, podwójnym czanie, niskim i twardym, niemal kwadratowym, przykryty reńką, spłowiła, zieloną narzutą w geometryczny w miedzi, twierdził, że została utkana na Hebrydach i zaś przed laty łożę jego rodziców.

- Szczerze mówiąc, wolałabym, żebyś nie gromadził arsenału. Masz przynajmniej pozwolenie na broń?

- Sza!...

- Właściwie dlaczego ty tak lubisz broń? Wiem, me: mają do niej pociąg, ale ty?

- Zawsze lubiłem broń. Ludzie ze wsi mają to we Wychowywałem się wśród strzelb. Mój dziadek był łowczym

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- W każdym razie łowczym na pół etatu, podobnie jak młodu ojciec. Ładowali fuzje panom dziedzicom i znosili n kupę zabite ptactwo. Ty prawdopodobnie nigdy nie byłeś świadkiem tych okropnych scen. Mas/ do broni palnej stosunek romantyczny, bo nigdy nie stanowiła części twego życia.

- To raczej ty masz do niej stosunek romantyczny! Jean wolała nie wspominać Crimondowi, że Sinclair nieraz

zabierał ją na „polowanka”. Jak dziwne figle płata człowiekowi pamięć! Nagle zmarły brat Rose Curtland stanął jej jak żywy przed oczami. Zobaczyła jego blond czuprynę, krótki, prosty nos, błyszczące, rozmarzone, ciemnoniebieskie oczy. tak podobne do oczu Rose, i różną, łobuzerską, kpiarską minę niegrzecznego chłopca, tak z kolei niepodobną do ciepłej, cierpliwej, powściągliwej miny jego siostry. Odwracał się do niej, trzymając w ręku strzelbę. Pumpy miał oproszone nasionami złocistej paproci. Jean nienawidziła polowań, nie cierpiała widoku spadających jak kamienie ptaków. Rose podzielała jej wstręt.

- Sądzisz, że przyjdzie ci jej kiedyś użyć w obronie własnej-

- Raczej nie. - Crimond potraktował to pytanie całkiem serio. - Chodzi jedynie o celność. Po prostu lubię precyzję- ^\_

- Och. wiem. że potrafisz celnie strzelać. Pamiętam z ^ fordu, z Irlandii. Mówiłeś, że tarcza to symbol, ale odka jestem, nie widziałam, abyś do niej strzelał.

wiem że tego nie lubisz. Zresztą mam zamiar pozbyć ^sSci mej kolekcji. Ale niecałej / " chcę mjeć możliwość odebrania sobie życia, gdy to się

Ok3ZWięc nie tabletki nasenne? Oczywiście, ty wolałabyś bardziej huczny koniec. \_ i pewniejszy.

\_ Czasami mam wrażenie, że wzdychasz do wojny. \_ Bynajmniej, przeszkodziłaby mi w pracy. \_ Ty chyba naprawdę życzyłyś sobie, żeby spadła wreszcie bomba atomowa i usunęła raz na zawsze ten cały śmietnik przeszłości, ten jarmarczny koszmar i fałszywą moralność, której tak nie cierpisz!

- Istotnie, ociekamy fałszywą moralnością, grzęźniemy w duchowości, autentyczności i zgniłym chrześcijaństwie...

- To prawda, ale jakaś moralność istnieć przecież musi! Ostatecznie jesteś purytaninem, brzydzisz się pornografią, rozwiązłością i...

- To, co się teraz dzieje, to schyłkowa orgia, ostatni okop tak zwanego indywidualizmu, który się wyrodził w zwyczajny egoizm. Samo pojęcie już śmierdzi. To koniec cywilizacji, która się pasie spekulacjami jednostki.

- Ależ Crimond, ty sam jesteś jednostką i miłośnikiem spekulacji! Cenisz sobie swój status odrębnego indywidualum! A może siebie wyłączasz, bo jesteś filozofem i potrafisz ogarnąć całość... bądź dlatego, że na to, iż jesteś tworem zgniłej epoki, j»e możesz nic poradzić?

Powiadasz: „schyłkowa”, lecz co dalej?

y. nikt inny, musimy zrobić na świecie porządek, nie możemy być c"30 ^ k°mbach czy Bogu! Czasem mam wrażenie, że ty ys chętnie zniósł nawet życie płciowe, ale nie możesz, ty po-

cny listonosza z Galloway! się c" {Q°nd puścił Jej rękę. Ich kolana się nie stykały. Nie lubił Przez °WaĆ przytulać poza łóżkiem. Dzięki temu nie tracił, miCtnościSty k°ntalct fi7-yczny, elektryzującego potencjału na-^icjalnie1 ^ °\*na Wrecz było odnieść wrażenie, że traktuje Jean Pr°siłją0 ledy nie lezeli ODok sieDie w łóżku, bardzo rzadko P° włos-ft8?"1, by się zbliżyła, wzięła go za rękę lub pogłaskała ^acn bądź twarzy.

Ignorując niezwykle wybuch kochanki. Crimond n rzeczowym tonem do jej ostatnich słów:

- Właśnie miałem cię poinformować: w przyszłym tygodniu wybieram się do ojca do Szkocji.

- Jakże on się miewa?

- Bez zmian. Jednak muszę jechać. Wiedziała, że nie przestawał martwić się o ojca, który, p-kuty do łóżka, tracił z wolna jasność umysłu. Crimond kał w rozmowach z Jean tego tematu. Tymczasem ona ni omdlała, osłabła z pożądania, a całe jej ciało drżało z rado w oczekiwaniu bliskiego spełnienia. Nie próbowała ująć na wrót jego dłoni.

Crimond wrócił do poprzedniego wątku ich rozmowy:

- Może masz rację. Jednostka nie jest zdolna do przewyżnienia egoizmu, jedynie społeczeństwo może do takiego aspirować. Co do mnie, poza jednym cudownym momencie czułem zawsze, że seks mnie poniża.

- Kiedy powiedziałeś, że nasza miłość jest konieczna, ch niemożliwa, czy miałeś na myśli to, że jest cudem?

- Nie... jedynie to, że... Proszę, nie mówmy już o tym.

- Chciałabym, żebyś częściej rozmawiał ze mną o swo: ideach.

- Moje idee żyją tylko na papierze. Pójdź, Jeanie, moja Iowo, sokoliczko, moja cudowna bogini, moja jedyna miłości pójdź, połóżmy się do łóżka. O najmiłsza moja, stałaś mi i strawą, powietrzem, którym oddycham, całym moim życie moim ostatnim domem...

Żadne z cierpień, jakie wyobraźnia Gerarda przypisywała c sem Duncanowi. nie mogło się równać z prawdziwymi męka jakich ów doznawał. Jego przyjaciół zwiodła, prawdę mówi' zdolność Duncana do zachowywania pozorów, robienia dob miny do złej gry i panowania nad sobą. zwiodła ich, choć sąd? że są przygotowani na najgorsze. Zdradzony mąż chodził ministerstwa, obowiązki wypełniał równie rzetelnie jak wprzód uśmiechał się do kolegów, żartował i plotkował, choć w J mózgu nieustannie warczał czarny motor. Wrażenie czerni leżało do jego głównych doznań. Miał uczucie, że czern

wszystko - czarny welon gasił lampę, czarny kurz leżał W'e eblach. czarne piętna pokrywały jego własne dłonie, a w zo-03 f rósł mu czarny, rakowaty guz. Nie umiał się zdecydować, ła iepie] znieść tę czern jako przygniatające brzemień wszech-czy ia|acego kosmicznego nieszczęścia, czy raczej rozdrobnić

ia mniejsze porcje i z każdą osobno się zżywać. Nadziei nie ^ rzucił aktem woli, po prostu nawet nie zdążyła mu zaświtać. Często myślał o samobójstwie i ta myśl łagodziła nieco jego męki. Położenie kresu cierpieniu odeń ostatecznie zależało.

Przyjaciele nie przynosili mu ulgi w tej męczarni, czuł zresztą, że sami mają tego świadomość. W gruncie rzeczy nawet jego katusze powiększali (jeśli to w ogóle możliwe) swym czułym zatroskaniem, unikaniem bolesnych tematów i dawaniem mu do zrozumienia, jak bardzo ich oburza jego krzywda. Chcieli, by podjął walkę, czy może raczej sami chcieliby coś zrobić, byle ich do tego upoważnił, zachęcił własną postawą. Już. mniej go drażniło uprzejme, obojętne milczenie kolegów z biura. Gerard i Rose zapraszali go uparcie na lunch, na kolację, na drinka, do teatru, choć im nieodmiennie stanowczo odmawiał. Rose telefonowała co jakiś czas (starannie odmierzając odstęp między jednym a drugim telefonem) z pytaniem, czy może do niego wpaść. Czasem, nie chcąc wyjść na ostatniego gburą, godził się, a ona zjawiała się wkrótce z kwiatami i zostawała na drinka. Zagadywała go na tematy obojętne (najnowsze ploteczki, nowy film na ekranach, nowa książka w witrynach, jej nowa sukienka) i wpatrywała się w Duncana tkliwym, kochającym, krzepiącym spojrzeniem swych błękitnych oczu, a jemu chciało się wyć. Ostatnio przypominała mu o

dwóch zbliżających się wydarzeniach towarzyskich, w których dotąd zwykle uczestniczył: wieczornym przyjęciu u Gerarda z okazji rocznicy spisku procho-Wego i zlocie czytelniczym w Bojarówce, wiejskim domu Rose, yko po to, żeby przestała wreszcie trajkotać o tych spotka-niach, w których od niepamiętnych czasów brali udział z Jean, mruknął na odczepnego, że przyjdzie. Gerard, który najwyraźniej U/Ila' 2a swój obowiązek narzucanie się ze swoim towarzystwem Pr.7yjacielowi w potrzebie, zjawiał się u niego częściej, zapo-can-ająC 7g'aszając swe przybycie tuż po powrocie Dun-d z ministerstwa. Siedział godzinę, dwie. lecz nigdy nie Wa\* na kolacji, bo też gospodarz go nigdy nie zapraszał.

Hernshaw również poruszał rozmaite obojętne tematy os nowiny, polityka rządu, ploteczki ministerialne, choć co,"j,^ c/as próbował zagaić rozmowę na temat zaistniałej „sytn -JM Duncan jednak tego tematu starannie unikał. Jenkin go nie odJi wiedział. Przysłał jedynie list z wyrazami życzliwości i deklaracją chęci spotkania w dowolnie przez Duncana wybranym mie' scu i czasie. Po tym liście przysłał jeszcze kilka pocztówek pochodzących z kiosku w British Museum (pr/edstawiwały główj nie ekspozycje klasycznej sztuki greckiej), w których wspominał mgliście o ewentualnym spotkaniu w bliżej nie określonej przy. I szłości. Duncan nie odpisał, ale pocztówki zachował.

Większość wieczorów spęd/al samotnic i mc tolerował zad- I nych innych gości) tylko ze szklanką whisky. Zwolnił sprzątacim kę i pozwalał, by mieszkanie popadało w zupełne zapuszczenie '! i obrastało brudem, który tylko od czasu do czasu tuszował, I zresztą wyłącznie ze względu na Rose. bo nie chciał, żeby mu f się brała za sprzątanie. Postarał się usunąć wszelkie ślady po Jean. Choć wkrótce po swym odejściu wpadła kiedyś w ciągu | dnia pod jego nieobecność i zabrała wszystką biżuterię, swoje ubrania, kosmetyki, trochę książek i kilka starych pamiątek / rodzinnego domu, wiele przedmiotów nadal ją przypominało. Dun- 1 can oddał pozostałe po niej części garderoby do sklepu organi- h zacji dobroczynnej, zniszczył bądź spalił kilka innych drobiaz- 1 gów, a resztę książek i obrazów zamknął na klucz w małym I gabinecie. Puste miejsca po usuniętych przedmiotach nadal jednak natrętnie pchały mu się w oczy. Wyr/ucił też porcelanę, którą Jean kiedyś kupiła i z której oboje korzystali, i zastąpił ją należącą niegdyś do jego matki porcelaną z czasów edwardiai -skich (Jean mówiła o niej wzgardliwie: ..te cacy cacuszka Lunch jadał w stołówce w ministerstwie, kolację przygotowywa sobie na chybcika w domu. po kolacji gapił się w telewi/or i popijał whisky. Przebiega! pilotem programy w poszukiwań katastrof, trzęsień ziemi, wypadków w elektrowniach nuk nych. powodzi, klęsk głodu, morderstw, porwań i tortur. -oglądać thrillery, im okrutniejs/e. tym chętniej. Wystrzeg jak ognia wszelkich scen wzruszających i filmów o zwierzęta Kiedyś uwielbiał filharmonię i operę, tera/ muzyka P0^^. zaczęła go drażnić; już po kilku usłyszanych taktach kłął i c ^ ] tal za pilota. Najgorsze były noce. Brał oczywiście pros/k' j

nie zawsze ze skutkiem. Istnieje powiedzenie, że do senlie dadziemy sie Jak do łozka- Duncan odwrotnie: kładł się i ,lo arobu - ale takiego, w którym nie przestawał przelać ,e, slC takie stany obsesyjne, w których człowiek nimi

Jadntęty potrafi myśleć o jednym, wiecznie tym samym °W dmioeie dosłownie bez przerwy. Przedmiot obsesyjnych Plzmyślań Duncana był niewyczerpany, dawał się obracać na wszystkie strony i oglądać pod różnymi kątami. Nieszczęśnik oróbował odtworzyć w pamięci całą historię znajomości Jean i Crimonda, sięgając aż do ich poznania się w Oksfordzie (kiedy i w jakich okolicznościach to nastąpiło na śmierć zapomniął). Czy Jean poznała wcześniej jego czy Crimonda? Wydawało mu się (czy słusznie?), że w Oksfordzie ta para nie zwracała na siebie specjalnej uwagi. Jean pochłaniał bez reszty flirt z Sinclairem, który z kolei durzył się w Gerardzie. Tymczasem Duncan, zakochany w Jean, próbował się pożegnać z daremną, a przyczyniającą mu cierpień nadzieją w ten sposób, że starał się w niej widzieć prawowitą małżonkę Sinclaira. Czy jednak aby naprawdę mogła nie zauważać inteligentnego i przystojnego Crimonda? Coś poważniejszego zaczęło się między nimi chyba później, gdy

Crimond stał się sławny, a Jean została jego asystentką. Czy już wtedy została też kochanką? Tym pytaniem potrafił się truć przez długie, pełne udręki, godziny. Potem wyjechali za granicę i Crimond zniknął z ich życia. Duncan przypomniał sobie wieczór, kiedy jego żona aż pokraśniała z radości na Wle<sup>0</sup> tym, że zjeżdża do Dublina, przypomniał też sobie gorące, wręcz zachłanne spojrzenie, jakie wymienili któregoś dzie'CJnyCh wieczorow na jakimś przyjęciu. Przypomniał sobie na Cn' że 8nał oboje przed ich wyruszeniem autem Crimonda Wae?Bo-CZkC P° Irlandii- Właściwie kiedy zaczął coś podejrze-które ' T Ja^ze stara' odepchnąć od siebie te podejrzania, tamto h "Parcie wracały. A potem zaczęło się pojawiać s° w i je ne' z^we' najstraszniejsze wspomnienie: kłaczek wło-dnia / ° Wo'aJ;|ca g° z dołu - wspomnienie, powracające co ^tatnio rili\* wyra7-istością. kiedy, czesząc włosy (zaczęły mu ^y motek^04\*7"0' Całymi garściami), ściągał z grzebienia sple-knt z siebij WrZUCa\* do kosza. Boże miłosierny! Crimond,\on-' Zesze się rankiem po nocy miłosnej z Jean! Duncan przypominał sobie następnie swój upozorowany wyjazd ostatni, judaszowy pocałunek, którym pożegnał na i »11 żonę. Potem wieczór wśród grzeszników w tym piekielnym' rze w Wicklow. Koń. krowa, owce z czarnymi pyszcj i drobne kwiatuszki. Po stoku wzgórze w górę, na dół, bijaty Sama walka toczyła się w jego pamięci w zwolnionym tenT' Choć myślał o niej nieustannie, nie był w stanie, jak to b w we śnie, odczuć fizycznego bólu po otrzymanym ciosie, koszm tego zdarzenia zawierał się w upokorzeniu i wstydzie. Dunc był w młodości obiecującym zapaśnikiem, a tymczasem ruj na przeciwnika jak nowicjusz. Czy byłoby lepiej, gdyby cięż Crimonda okaleczył? Czy powinien go natychmiast zdemasko" wać i napiętnować publicznie jak trędowatego? Czy nie powinien, choćby po czasie, zmusić Jean. żeby opowiedziała mir l' wszystko, ze szczegółami, opisała intymne chwile z kochan- |kiem? Czy nie lepiej, gdyby tak postąpił, a nie przechodził nad tym, co się stało, do porządku dziennego, wczuwał się w jej położenie, puszczał jej zdradę w niepamięć? Pozwolił, żeby Cri-mondowi uszła na sucho jego podłość, bo bał się o swój wzrok. , Nie chciał wszczynać publicznej awantury, biadając głośno, że został rogiaczem. Pozwolił, by wiarołomność uszła na sucho Jean; j bo tak się ucieszył, kiedy do niego wróciła, nie posiadał się omal z radości i wdzięczności. A należało zniszczyć Crimonda, ją I zaś surowo ukarać. Okazał się słaby i miękki. Ma, na co zasłużył. I To wszystko jego wina. Te natrętne, oderwane od suchych faktów myśli wiodły go prostą drogą do obłędu.

Jednocześnie tracił szybko sympatię do własnego ciała. Zni^J nawidził w końcu to zwałiste cielsko, które musiał z takim mazołem przenosić z miejsca na miejsce. Stale przybierał na wadze. Był niegdyś potężnym, muskularnym, barczystym mężczyzną o budzącej respekt posturze i wielkiej, władczej głowie. Przy- j wodził na myśl byka. niedźwiedzia lub lwa. Obecnie stał się zwyczajnym grubasem z obrzękłą twarzą, podobnym do wyrośniętego bobasa. Nos mu pogrubiał, z rozdętych nozdrzy wyra stały włoski. Niegdyś przystojny, teraz zbrzydł i zszarzał. \*y po prostu starym rogiaczem, klasyczną figurą z farsy. Zazdro Gerardowi jego sprężystej sylwetki i żywego wciąż idealizm Zazdrościł Jenkinowi jego prostego, nieskomplikowanego. 06 problemowego, niewinnego żywota. Wciąż od nowa odtwa • ; oglądał w snach szczupłą, wysoką, bladą jak mar-w pa"11^1, Crironda, jego zaciętą twarz, długi, wąski nos i bły-^urpostać ^ ^ ^M ^ zgrabnejł krzepkiej figury szczace 00 jeoQ ciejska? Nienawiść, jaką Duncan powziął do 0(1 o ciałafnie dotyczyła jedynie biednego, godnego współ-WłaŚlieşrszkodzonego oka z dziwną, poczerniałą tęczęwką. Miał C7MCia'o organu czułość, niczym dla żywego stworzonka, które Rosiła mu nawet chwilową ulgę, gdy na przykład przyglądał lustrze swojej wielkiej głowie, a potem wkładał okulary zjawilo się w jego życiu i wymagało czulej opieki. Troska o nie zyn< sit" W i-- " - ciemnej oprawce i usiłował wyobrazić sobie tamtą, na poły zapomnianą, wesołą, sympatyczną twarz, jaka dawniej patrzyła nań z lustra.

Seks z Jean nie odznaczał się doskonałością, był wszelako żywy, stały i niezbędny. Żyli ze sobą jak dwoje pocziwych zwierząt, parzyli się instynktownie, zawsze czule, kojąco, pieszczotliwie. Utrata tej dimidium animae pozostawiła w sercu Dun-cana straszną, krwawiącą, ropiejącą ranę. Czasami chwytalo go pragnienie, by jego miłość do żony pochłonęły nienawiść i wstyd, żeby ją zmiażdżyły i startły na proch. W największym nasileniu męczarni pragnął nie śmierci Crimonda, lecz Jean, i to nie z zemsty bynajmniej, lecz po prostu dlatego, by doznać natychmiastowej ulgi w cierpieniu, jak po zastrzyku morfiny. O takiej jednak uldze nie mogło być oczywiście mowy, bo ta Jean, która przyczyniała mu tych cierpień, miała istnieć już zawsze, jakkolwiek więc stanowczo i uporczywie próbował zerwać łączącą ich więź, nadal cierpiał katusze tak straszne, że mógł tylko charczeć i ryczeć niczym ranny byk.

Goląc się tego niedzielnego, październikowego późnego po-P°udnia (musiał się golić dwa razy dziennie), przyglądał się znie swym policzkom, zaczerwienionym od alkoholu i po-nych anym Siateczka- drobnych, pękających naczynek krwionośna w" myślał O Tarr»ar Hernshaw, która wprosiła się do niego nie z^u"11-680 drinka- Nie miał najmniejszej ochoty jej widzieć, (telefon T ^ednalc dostatecznie zręcznie pokierować rozmową Wał, Co amar zask°czył go w ministerstwie) i zanim zmiarko-rad 2 je-r0bi' Zapewniał już rozmówczynię, że będzie szczerze CambusoW17yty" Wbrew temu' co sądził Gerard i reszta paczki, Wle nigdy nie traktowali Tamar jak córki. Taki stosunek

iem t

byłby dla obojga zbyt bolesny, przypominałby im bowierr

O dziecku, którego los im poskąpił. Prawdą jest jednak że bardzo do Tamar przywiązani, troszczyli się o nią i współŁ jej. Jean była prawdziwie wzruszona sympatią dziewczyny kt budziła w niej wręcz fizyczne ciepło, bliskie chyba macieir skiej czułości. Dawniej Tamar zwykła wpadać do niej na herba

1 siedzieć aż do powrotu Duncana / ministerstwa. Duncan czaj się nieswojo w towarzystwie dzieci, więc aby sobie z tą trudm ścią poradzić, zaczął traktować Tamar jak dorosłą, jeszcze gc była całkiem małym szkrabem, i rozmawiał z nią bardzo poważ-nie jak z kimś równym pod względem intelektualnym. Dziew- 1 czyną była mu za ten stosunek do siebie (sprawdził się zresztą znakomicie) ogromnie w głębi ducha wdzięczna.

- To Jean, kiedy ją poznałem.

- Nic się nie zmieniła! Jest wciąż tak samo piękna! Pomysł wspólnego oglądania starych zdjęć nie wyszedł od

Tamar. Duncan. trochę już pijany, kiedy przyszła, wyjął albumy fotograficzne, usiadł obok niej na kanapie i oddał się orgii wspomnień. Tamar bała się, że zaraz się rozplacze. Grzał ich elek- | tryczny piecyk, który Duncan zainstalował przed kominkiem, w którym Jean zwykła palić drewnem. Ciemność pokoju rozpra- | szało jedynie słabe światło pojedynczej lampy: mrok oszczędzał Duncanowi trudu dokładniejszego sprzątania.

- A to Sinclair. Ta pyszna mina świadczy o zadowoleniu I z siebie. A tu Gerard w hieratycznej pozie.

Tamar przyglądała się z nabożeństwem Sinclairowi. Tak młoM do zginął. Był wtedy niewiele starszy od niej.

- Ten krępy brunet, który wygląda jak reprezentant uniwerku\* w rugby, to ja we własnej osobie.

- Grałeś w reprezentacji uniwersytetu?

- Prawdę mówiąc nie.

- A to kto?

- Rose. Biedaczka bardzo się zmieniła. Na tym zdjęciu wy gląda jak naiwna gaska. A tu masz błaznującego Robina Top-glassa. Ten zaś dziwaczny pokurcz, który się nań gapi- t0 ^

pocziwy Jenkin. To Marcus Field. ten. co został mnichem- A Żyd o kręconych włosach to profesor Levquist. Mój Boz.ł-. on tu młodo wygląda!

I.

" .w Co prawda bardzo się od tamtego czasu zmienił. g0 już spotkać d^\_\_

A -dziewczyna z rakieta to Rose!

est ten pan przypominający klauna? ^ jciec Jean. mój teść. Nigdy mnie nie lubił. Musiałaś ,7 spotkać.

partia krykieta w Bojarowce. Ta dziewczyna z rakieta to R« ' zgadza się, była całkiem niezła. W jej szkole grywali Jęta. Jean traktowała tę grę wyłącznie jako zabawę. Widać W ^ w °łęb' Pola- Gerard Dyl doskonałym krykiecistą, omal J3 wszedł do reprezentacji uniwerku. Sinclair też miałby szanse, on niczego nie traktował serio. Grał bardzo stylowo. A to znów Bojarówka, cała nasza banda na schodach przed domem, plus trzy pokojówki i dwaj ogrodnicy.

\_ Splendory przeszłości! Dziś Rose opęda wszystkie potrzeby domu przy pomocy jednej sędziwej rezydentki.

- Spójrz, ta śliczna dziewoja tu, z przodu, to właśnie ta sędziwa rezydentka. A to pies Sinclaira, Regent. Nie myślałem o tym psie od dnia...

To była właśnie jedna z tych chwil, gdy Tamar zlekła się, że Duncan się rozplacze. Wolałaby, żeby te wspominki już się skończyły. Każdemu odwróceniu strony w albumie towarzyszył lęk, że ukaże się im nagle twarz Crimonda. Trwożyła się niepotrzebnie. Duncan już dawno usunął z albumu ostatni ślad po Crimon-dzie: Crimond z rakieta do squasha, Crimond z rakieta tenisową, Crimond ze strzelbą, Crimond obejmujący za ramię Jenkina, Crimond na łódce, Crimond w białych flanelowych spodniach, w smokingu, w kaftanie i trykotach (w jakiejś sztuce Szekspira), nmond trzymający jeden koniec transparentu z napisem „Ręce Precz od ZSRR" (drugi koniec trzymał Robin), Crimond roze-^'any, lekko uśmiechnięty, dowcipkujący, spierający się, prze-łający, naburmuszony, nadaşany, dostojny, zamyślony, pozbic^ \*0tF Sta' s'ę cz\$ścią ich życia, jak tego dowodziło nie-wysłu °t0\$raficzne świadectwo, brał udział w ich wszystkich w WesołCh' Wkradał się w icn myśli, wciskał w ich plany, włączał

"~ hk\^3^aV/^, wykorzystywał ich młodzieńczy idealizm. \* j\*k ładnie ^ ^ dziewczęła wyglądają - westchnęła Tamar. -

piękrf° -\*alcm™ garclen party. Rzeczywiście, dziewczęta ne w tamtych latach. To siostra Marcusa Fielda. A to

Tessa jakaś-tam. przyjaciółka Jean. Zginęła później w Jeunes filles en fleurs. Jak ty dzisiaj - dodał szarmancko Tamar nie umiała się dopatrzeć podobieństwa między a tymi wysokimi, eleganckimi, młodymi pannami. Zrobiło ' się przykro z powodu Tessy jakiejś-tam, która zginęła w p0ża J Ci ludzie naprawdę studiowali w Oksfordzie, przemknęło przez myśl. Ja się tylko otarłam o te mury. Niczym medytacyj^ mantrę zapamiętała sobie na całe życie słowa matki (wszystkim naokoło powtarzane), że gdyby w stosownym czasie dyspono-wała kwotą potrzebną na skrobankę, Tamar by się na tym świecie nie zjawiała. Zamiast z goryczą rozpamiętywać to swoje przy. padkowe zaistnienie, Tamar traktowała je jako dowód własnej wyjątkowości i niepowtarzalności. Nie miała ojca, na dobrą sprawę nie miała matki, była poczetą w grzechu przybłądą znikąd. To właśnie postrzegał Gerard (o czym zresztą wiedziała) jako cechę nieskalanej dziewicy i zdawał się widzieć w tym wartość pozytywną, jakby jej odczucia, niczym w przypadku Kordelii, w ogóle się nie liczyły. Tamar nie miała, co prawda, pewności, czy jej przyjście na świat istotnie niesie ze sobą wartości pozytywne, ale z całego serca pragnęła nie zawieść opinii Gerarda.

- Podobało ci się w Oksfordzie? - zapytał Duncan. ku wiel\*j kiej uldze Tamar, zamykając album. Uznał najwyraźniej, że winien okazać większe zainteresowanie osobą gościa.

- O tak, uwielbiałam studia! Nie zawarłam tam jednak zbyt wielu znajomości, nie miałam tylu przyjaciół co ty i...

- No cóż, każdy poznaje Oksford na swój sposób. Miałaś jakichś kochanków?

Zaczerwieniła się jak piwonia, odsunęła kawałeczek dalej i obciągnęła spódnicę wokół smukłych nóg. Kiedy przyszła, Pvl czuła w oddechu Duncana zapach whisky, a teraz bliskość jego opasłego ciała podziała na nią odpychająco. Była zaskoczona jego pytaniem, którego, jak się domyślała, nie zadałby w zmaconym alkoholem stanie umysłu. Odpowiedziała jednak n\* wet dość chętnie.

- Owszem, dwóch... Ale to były raczej przelotne... /liaJ0I1nje ści. Oby tych chłopców naprawdę lubiłam, byli bardzo mił- l j wydaje mi się jednak, byśmy byli w sobie zakochani. •• P° Pr chcieliśmy przeżyć i to doświadczenie.

, l za Sobą! Cóż za podejście, doprawdy! Więc po i mice jc " robić częściej niż raz.' co 10 . wjem. Widzisz, to się po prostu zdarzyło... Chciałam " nac- Upewnić... Oni byli naprawdę szalenie mili, było się prze je ale nje spotkaliśmy się więcej i, szczerze wviac wcale do tego me tęskniłam. m° To brzmi dość niewinnie! A o czymże to chciałaś się u- ^Tarnar ogarnęły nagle wątpliwości, w każdym razie co do sposobu objaśnienia motywów własnego postępowania. Wiedziała całkiem nawet jasno, że nie chce długo pozostać dziewicą; dziewictwo w literalnym znaczeniu byłoby dla niej zbędnym balastem, niepotrzebnym źródłem niepokoju i napięcia. Naprawdę lepiej się go szybko pozbyć, i to w okolicznościach, w których, co trafnie przewidziała, żadnej ze stron nie stanie się krzywda. Obydwie przygody, niezbyt wstrząsające, ale też wcale nie tak nieprzyjemne, przeżyte z całkiem sympatycznymi młodzieńcami, objawiły Tamar to, czego się chciała dowiedzieć (czyli „jak to jest") i uwolniły od męczącej ciekawości, przynajmniej do czasu, aż pozna „tego jedyne", jeśli to miało w ogóle kiedykolwiek nastąpić, i będzie mogła o tamtych miłostkach zapomnieć. Jak dotąd, nie spotkała mężczyzny, o którym myślałaby naprawdę poważnie, choć zanosilo się na to, tak sobie wyobrażała, że może nim zostać Conrad Lomas. Ujmując te refleksje w zwięzłą formę, odpowiedziała Duncanowi: - Chciałam to przeżyć z kimś, kogo lubię i szanuję, jednak z zbytniego zaangażowania. Nie pragnęłam żadnych głębszych Przeżyć.

-Wyrachowana jesteś, moja mała.

wiści^zesnieJ tego samego dnia Tamar złożyła wizytę Jean. Oczy-

w Ogoi "1C rn'a\*a zamiaru rozmawiać z Duncanem o Jean. to s'enadfnic Wcnodz"° w Lre< zresztą on sam nie zatrzymywał nie musi°t08rafiami Z°ny W albumie- Gerard zapewnił, że Tamar ^mar nie'110^ "C sPccJameS0, wystarczy sama jej obecność.

^zekiwd ,S!<JZ"a\* ^ lieJ orjecność przydała się na coś Jean, nie

113 le misa -e7' by wyszła na dobre Duncanowi. Zgodziła się

Wi- Spod-C,Jedynic dlateS°i by okazać posłuszeństwo Gerardo-

sprawozdanie^\*3 S"? ^ ,& będzie musiała mu złożyć krótkie » ez.ego nie mogłaby z czystym sumieniem uczynić,

co

spotkawszy się z obojgiem małżonków. Jean poprosiła ' prawda, żeby jeszcze kiedyś do niej wpadła, ale Tamar waj by dalsze wizyty były roztropne czy mile widziane. Niezad lenie, wręcz odraza Crimonda rzucały się w oczy. Całą dr' powrotną do Acton przeplakała.

Emocjonalne napięcie mi^ Crimondcm a Jean, które wyraźnie wyczuła, sparzyło ją njc wyładowanie elektryczne. W kolejce płakała nie tylko z powód przeżytego stresu i strachu, lec/, i / podniecenia. Z tego doz.-nia nie zamierzała się Gerardowi zwierzać.

- Chyba już lepiej pójdę - wybąkała. - Matka będzie siej

- Proszę, nie chodź jeszcze! - zawołał Duncan, który, c' zwykle spędzał wieczory samotnie, teraz nie mógł znieść my

0 utracie kompana do kieliszka. - Napij się jeszcze. Ależ ty m skończyłaś nawet tego drinka!

- Już mi trochę zaszumiło w głowie. Ojej!

Tamar postawiła swój kieliszek na podłodze i sięgając te<sup>^</sup> raz po niego, potrafiła nogą. Kieliszek przewrócił się i słodkie sherry, które tak lubiła, wyciekło na jasny dywanik długim jęzorem ciemnego płynu.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Tamar. - Patrz, co narobiłam!: Jestem okropną niezdara.

Ogromnie cię przepraszam. Zaraz przyniosę ścierkę z kuchni i...

- Daj spokój, nie zawracaj sobie głowy. ja... - Duncan dźwignął się i pośpieszył za Tamar. Nie chciał, żeby zobaczyła panujący w kuchni bałagan.

Dotarła tam jednak pierwsza i zapaliła światło. Jej o020<sup>^</sup>] ukazał się widok istotnie szokujący. Nie po/mywane naczynia

I opleśniałe spodki piętrzyły się w chwiejnych stertach nie tylko w zlewie, lecz i na podłodze. Puste butelki po whisky i winiS niektóre stojące prosto, inne przewrócone, zalegały tam najwy raźniej dostatecznie długo, by obrosnąć lepkiem kurzem. Podłoga była śliska od skorupek jajek, gnijących warzyw, spleśniaM chleba. Z kosza na śmieci wysypywał się opróżnione PuS'

i zatłuszczone opakowania. Muszę tu przed wyjściem P08<sup>^</sup>, tać, postanowiła Tamar. Jakaś psychiczna przeszkoda, wy<sup>^</sup>]j. zapewne ze skomplikowanych stosunków / matką, urUe<sup>^</sup>anjLa wiała jej wysprzątanie i doprowadzenie do ładu ich niesz. < <sup>^</sup> w Acton. Tu jednak poczuła w sobie nieoczekiwane w<sup>^</sup> konania cudu. Sprzątnie tę kuchnię, upiększy, uporządkuje, le uczyni dla nieszczęsnego Duncana. któremu tak pajiniuej współczuła. Wpierw jednak musi się uporać z tą s<sup>^</sup>eczn,e,anl,j po sherry. Szafka, w której Jean trzymała ście-óggopna wisiała za półką, na której stała obecnie bezładna IC7 'na rozmaitych gratów. Chcąc sięgnąć uchwytu drzwi-/b',k 'panna Hernshaw odsunęła spiesznie szklany, brudny słoje, 'ice zupy błyskawicznej, zapomnianą, do połowy opróżnioną paC . 7 fasolką i ocieplacz na imbryk... Ledwo go chwyciła, <sup>^</sup>rientowała się od razu, że pod pikowaną kołderką coś stoi. Za 'żno, imbryk już spadał. Tamar krzyknęła rozpaczliwie, usiłowała go złapać w powietrzu, nie zdążyła. Rozbił się u jej stóp, rozsiewając wśród walających się na podłodze pustych butelek okruchy barwionej porcelany, zbrązowiały herbaciany napar i zwitki mokrych herbacianych liści. Dziewczyna rozplakała się.

Duncan najpierw usłyszał brzęk, a wszedłszy do kuchni, stwierdził, że piękny imbryk jego matki leży w kawałkach na podłodze, a Tamar chlipie głośno. Był do tego imbryka bardzo przywiązany.

Ten gwałt, brutalne zniszczenie ulubionego przedmiotu, wydał mu się w pierwszej chwili ciosem w niego samego wymierzonym. Widok rozbitego naczynia wstrząsnął nim, jakby ujrzał trupa ukochanego zwierzęcia. W następnej jednak chwili poczuł, że tę straszną szkodę on sam sprawił, zmaterializowała się w ten sposób zżerająca go czarna rozpacz, jakby to jego udręczone ciało wyrzuciło z siebie te skorupy. Patrzył na porcelanowy gruz i miał wrażenie, że zagląda w otchłań piekła. Usłyszał nawet własny, gniewny głos:

- Cholera jasna!

dz<sup>^</sup>zym w mistycznej wizji doświadczył nagle bezdennej nę-tu bg<sup>^</sup>6<sup>^</sup>6<sup>^</sup>0 stW0I"zenia, całego okrucieństwa i cierpienia by-du ki u<sup>o</sup>SU Zyc'3, bezsensu jego własnego życia, ogromu wsty-

Ujrza ' P<sup>o</sup>tępienia' śmierci w męczarniach, <sup>^</sup>ar rn W|SZ<sup>^</sup> " \*e<sup>^</sup>° wzr>urz.enie i usłyszawszy gniewne słowa, Ta-i trwogi Zł ° 3 S<sup>ę</sup> tym SłośmeJ- J3 lakze zalała fala rozpaczy <sup>^</sup>Ce i u h <sup>^</sup> Ona Jednak i przyćmiona przez bardziej dojm-u-i miłości hi n<sup>o</sup> uczuc'a: żalu po rozbitym imbryku, współczucia

- Prze Duncana-

stąd\*Stan' Tamar! Nic się takiego nie stało! Wyjdz-



Pochlipującej dziewczynie udało się wreszcie otworzyć i wyjąć ściereczkę. Zwilżyła ją pod kranem, po czym wjw^ do salonu, gdzie Duncan zapalił tymczasem więcej św^ Uklęła i, popłakując, zaczęła wycierać rozlaną sherry. wała wetrzeć brzegi plamy we wzór na dywanie, wy krę • nad nim ścierkę, by zmoczyć zalany obszar. Potem wbieoja^j kuchni obok stojącego w drzwiach Duncana i jeła nerw ° zbierać z podłogi okruchy imbryka. paznokciami zdrapywać z podłogi herbaciane listki i wycierać rozlaną herbatę. Następnie puściła do zlewu strumień gorącej wody i. wciąż, pochlipując zaczęła zmywać brudne talerze.

- Powiedziałem: przestań!

Duncan zakręcił kran, wyrwał jej gąbkę z ręki i pociągnął: dziewczynę do salonu. Usiedli na kanapie. Duncan podał zapłakanej Tamar białą, rozłożystą chustkę do nosa. Wytarła oczy. Najgorsze upiory odleciały. Spojrzeli po sobie.

Podobnie jak przedtem ogarnęła wzrokiem jego masywną po? stać i zaczerwienioną, nalaną, pomarszczoną twarz: tym samym spojrzeniem objęła wielką, zwierzęcą głowę z grzywą falujących włosów i rozdęte nozdrza podobne do końskich chrapów. Dostrzegła melancholijny smutek potwora, który był kiedyś księciem, i dojrzała również, ponieważ zdjął już swe masywne okulary, jego przepaszające, uważne i rozbawione spojrzenie.

- Podoba mi się to dziwne atramentowe oko - wyszeptła. I Jest naprawdę piękne. Zawsze takie miałeś?

- Zawsze. Ten dywan wygląda teraz jak nowy, za to twoje,; pończochy są całe w herbacie. Roześmiała się i poprawiła spódnicę. W jasnym świetle lampy pod sufitem ujrzała wreszcie opłakany stan i zapuszczenie pokoju. Ze ścian zdjęto obrazy, regał na książki stał pusty, opustoszał też gzyms nad kominkiem, na odsuniętych pod ścian) fotelach walały się gazety i rozmaite części garderoby, a wszy\*1 ko pokrywała gruba warstwa kurzu. Tamar w jednej chwili roz poznała atmosferę nieszczęścia i cierpienia, bo taka sama Pan°" wała u niej w domu.

Widząc, że się rozgląda, Duncan burknął:

- Lepiej już idź, moje dziecko. To nie jest miejsce stos dla białej kobiety.

- Chciałam jeszcze pozmywać i posprzątać w kuchni-

nie ma! Dzięki, żeś mnie odwiedziła. Będziesz u Ge-- Ivl°wy. • Guva Fawkesa? Może się zobaczymy. I nie trap

imbrykiem. bardzo cię proszę, się Vm znQWU przeplakała drogę powrotną do domu, lecz tym

TTwvlewała lzy zgoła innego rodzaju, razem j

I właściwie kim był ten cały Guy Fawkes? - spytała Lily

Boyyiedomu Gerarda odbywało się wieczorne przyjęcie w rocznicę spisku prochowego.

Gospodarz i goście, może z wyjątkiem Gideona, sprawiali wrażenie zdenerwowanych i nie w sosie.

\_ usiłował wysadzić w powietrze gmach parlamentu - wyjaśnił Gulliver.

\_ To wiem, głuptasie, ale kim był naprawdę i właściwie dlaczego chciał ten parlament wysadzać?

Gulliver był nieco poirytowany, przyszedł bowiem już pięć minut temu, a jeszcze nikt nie zaoferował mu drinka, a teraz na dodatek zadawano mu kłopotliwe pytanie, na które jedynie mgliście znał odpowiedź.

- Był katolikiem - odrzekł.

- I co z tego?

- Katolicy nie byli wówczas mile widziani. W najlepszym razie powinni siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

- Dlaczego?

~ Och Lily, czy ty w ogóle nie znasz historii? Anglia była °d czasów Henryka VIII krajem protestanckim. Fawkesowi i jego towarzyszom to się nie podobało, postanowili więc wysadzić obaaWletrZe gmach Parlamentu, kiedy Jakub I będzie otwierał wjasnCzyli był dzielnym człowiekiem, występującym w obronie snych ideałów. Kimś w rodzaju bojownika o wolność. neg0s °Zej kimś w rodzaju podejrzanego łotra, może podwój-że takZP.ie8a' Jakirr|ś agent provocateur. Dzisiaj przeważa opinia, chcąc "dprawde- nie było żadnego spisku, wszystko uknuł rząd, -C0tySkredyt0Wać Golików.

- B0 m°wiesz? Więc spisku prochowego w ogóle nie było?

Ja wtern... Przypuszczam, że upozorowano prawdziwy spisek. Powieszono potem wielu katolików, wśród nic Fawkesa.

- Myślałam, że go spalono.

- To my palimy jego kukłę. Naprawdę go powieszona

- Ale właściwie dlaczego, skoro zorganizował ten z; wiedzą i błogosławieństwem władz?

- Może za dużo wiedział. Może ktoś obiecał go wyc a potem słowa nie dotrzymał, albo nie mógł.

- Bardzo mu współczuję - oznajmiła Lily. - Był prawi buntownikiem.

- Raczej terrorystą. Przecież trudno pochwałać wysa w powietrze gmachów parlamentu!

- Ówczesny parlament nie pochodził z demokratycznych borów. Zasiadała w nim jedynie zgraja wielkich panów. Właściwie nigdy nie mogłam zrozumieć, czy święto Guya FawkesaŁ dniem nienawiści czy miłości do niego. Prawdę powiedziawszy, to ktoś w rodzaju ludowego bohatera.

- Wydaje mi się, że ludzie po prostu lubią fajerwerki.

- Chcesz powiedzieć, że w głębi duszy wszyscy jesteśmy terrorystami? Jeśli to kiedyś odkryją, święto pana Fawkesa zostanie zakazane i biedaczek będzie musiał zejść do podziemia.

Gulliver i Lily przyszli na przyjęcie każde osobno i teraz stali samotnie przy otwartym kominku w salonie Gerarda, oświetlonym na tę okazję wyłącznie świecami (takie oświetlenie, wyjąwszy pomieszczenia kuchenne, nakazywała w ten wieczór tradycja), w niezręcznej, wyczekującej pozie gości, którzy zjawili się trochę za wcześnie. Dodatkowym powodem irytacji Gullivera, zirytowanego na dobitkę własną irytacją, było to, że wśród zaproszonych znalazła się Lily Boyne. On sam już od kilku lat był stałym bywalcem przyjęć u Gerarda, natomiast Lily nigdy dotąd nie bywała na nie zapraszana. W ubiegłym roku w święto Guya Fawkesa towarzystwo było wyjątkowo starannie dobrane. Przej^ rzawszy się uważniej Lily w blasku świec,

Gulliver zirytoWO]

się jeszcze bardziej dziwnym wyglądem swojej rozmówczyni-Powziął podejrzenie, że Gerard zaprosił Lily tylko dlatego, sądził, że Gulliver ma do niej słabość. Skoro już tu Jedna^JC^B-wolałby, żeby prezentowała się korzystniej. Lily. mylnie o ^ tując charakter przyjęcia (sądziła, że wybiera się na sWC^°dnia dzaju bal karnawałowy), poświęciła znaczną część pop

nie tWarzy w czerwono-żółte pasy. Tuż przed wyj-na PolTia ° 'u 0puściła ją wszakże odwaga i pośpiesznie zmyła

ściem

ten

m Z neklUp° którym pozostały jednak liczne barwne plamy nia""nwyoiądające spod warstwy pośpiesznie nałożonego pu-»220 Gulliver również odważył się zrobić dyskretny makijaż, (lrU; n,ldzieję, że w blasku świec zyska dzięki niemu na urodzie. majj^j "przypomniała sobie pewną scenę z dzieciństwa. Palono stosie dużą, realistycznie wykonaną kukłę Guya Fawkesa •'dzieci śmiały się, kiedy biedna pałuba podfruwiała w płomieniach wznosząc błagalnie do

góry kikuty rąk. Lily nie odczuwała • dnak radości, ale przerażenie, dławiącą litość i coś w rodzaju gniewu, że zaś nie wiedziała, przeciwko komu go obrócić, zwróciła go przeciwko samej sobie. Kąsała własne dłonie i szarpała się za włosy. Doznała przelotnie i teraz tamtego uczucia z przeszłości. Jedną ręką odruchowo sięgnęła do włosów, drugą przycisnęła do serca. Rose wniosła tacę z kieliszkami i dzbankiem. Postawiła ją na stole, czemu towarzyszył stuk i dzwonienie szkła, i zapaliła lampę. Ona również czuła złość do Gerarda za zaproszenie Lily. Doświadczała tego śmiesznego, haniebnego w gruncie rzeczy uczucia, mimo że lubiła Lily i zapraszała ją bez oporów na własne przyjęcia. Czuła się bardzo zmęczona. Prawie cały dzień szykowała kanapki i koreczki z wędzonym łososiem, chodziła do sklepu po ser i specjalne małe ciasteczka, za którymi Gerard przepadał. Nie szykowała bufetu w ścisłym tego słowa znaczeniu, raczej „bufeciątko”, jak to kiedyś określił Jenkin. Jego zdaniem na, eżało przede wszystkim kapinkę się zalać. To on kupił. Za Pieni4dze Gerarda, i zorganizował fajerwerki. Obecnie był

ogrodzie, gdzie wraz z Gideonem i Gerardem mocował kijki ° rwiuJących słońc" i wkopywał w ziemię butelki, w których

Ros^k\* mian° zatknąć żerdki rakiet- Dzieki B°8U nie Padało-i Ul y a Zła również na Patricię za to, że zaprosiła Gullivera ZvvykleJakby t0 °na była w tym domu gospodynią. Rose, jak leC2 D-fresztą! zostawiła płaszcz na górze, na łóżku Gerarda, gdZie rniepJ StWierdziła' ze Pal zniosła go do szatni na dole, do kuchn'1 Z°staw^a<^ okryda zwykli goście. A kiedy wniosła wiktuałv ' ^asnoreczn'e przygotowane i starannie zapakowane zaraz Wyraz^0 się' ze w kuchni rej wodzi Patricia, która też azda zdumienie, że Rose przydźwigała taką masę jedzenia, kiedy ona, Patricia, zrobiła pasztet z wątróbek kankę ze stekiem i cynaderkami, warzywa z curry, rcitat różne sałatki i ciasto biszkoptowe z sherry. Rose nie z-pani Fairfax, czy wie o tym, że Gerard, który nienawidził sta I na środku pokoju z talerzem, nożem i widelcem w rękach 1^ przycupywania na brzeżku krzesła z chwiejną zastawą na ko!\*' nach, starał się oszczędzać gościom podobnych upokorzeń i swoich przyjęciach tolerował tylko takie potrawy, które dad"\* się wziąć do ręki. Nawet nie zaprotestowała, kiedy Patricia wcisnęła jej kanapki w najgłębszy kąt lodówki. Być może powinna była zawczasu skonsultować się z siostrą Gerarda w sprawie zestawu dań. Tyle że Fairfaxowie. choć zawsze zapraszani na przyjęcie z okazji rocznicy spisku prochowego, nieczęsto się dotąd zjawiali, a panna Curtland nie nawykła jeszcze do myśli, że mieszkają teraz w domu Gerarda i uzurpują sobie prawa go- l spodarzy wieczoru. Violet również zawsze zapraszano i czasem się nawet zjawiała, co stanowiło swoiste ryzyko tych zaproszeń; j Niepokój Rose wynikał ponadto z niepewności, czy zjawi się dziś Duncan, a jeśli tak, czy nie zaleje się w trupa. Przeważała opinia, że nie przyjdzie. Rose wcz.uwała się głęboko w cierpienia zdradzonego męża i rozumiała je prawdopodobnie lepiej od Hernshawa. Martwiła się również i bolała z powodu Jean i miała wielką ochotę do niej napisać, czuła jednak, że nie powinna tego robić bez uprzedzenia Gerarda, a na to nie była gotowa. Gerard oznajmił jej oficjalnie, że Tamar widziała się z obojgiem małżonków, po czym złożyła mu sprawozdanie z tych wizyt, lecz nie wyjawiał treści tego sprawozdania. Rose nie podzielała jego sądu o Tamar jako wyjątkowo mądrej, wręcz świętej dziewczynie, a jego pomysł posłużenia się nią jako emisariuszką nie spodobał się jej i z tego powodu, że Tamar mogła doznać w czasie owej misji poważnego psychicznego urazu, co mogłoby si? dla niej skończyć depresją. Nawet gdyby coś takiego ją spotkało, z pewnością nic przyznałaby się do tego Gerardowi. Rose p°~ stanowiła rozmówić się z nią później w cztery oczy.

Na ten wieczór włożyła niezwykle prostą sukienkę, r0 jasnokremowej tuniki, przepasanej brązowym skórzanym kiem. odpowiedniej, jej zdaniem, na to doroczne Prz^cCi^cSt0 którym, co sobie właśnie uświadomiła, ona i Jean bywały cz? jedynymi kobietami. Patricia włożyła czarną, elegancką, wł a do niej bluzkę w paseczki. Lily miała na sobie

r°wa SP^ ?l™a suto marszczoną toę z jasnoniebieskiej krepy, obszerni'  
luźna, 0 ' na grecką modłę, niewidocznym paskiem, spod upięta wy {y ciemnoczerwone,  
zamszowe kozaczki. Rose, ktÓie' dostrzegła właśnie dziwacznie cętkowaną, w gruncie rze-  
wóra ^murkową cerę Lily, zgasiła lampę, którą przed chwilą ^ zapaliła, po czym napełniła  
dwa kieliszki miksturą z dzban-ka^Zostały z wdzięcznością przyjęte. To poncz owocowy.  
Zdradziecki trunek - orzekła Lily. - Diabelnie idzie do  
głowy! ...

\_ Że też wszyscy muszą wygłaszać tę wyświechtaną opinię -  
burknęła panna Curtland i zorientowała się od razu, że jej słowa zabrzmiały niegrzecznie.  
Spróbowała wymyślić coś, co by złagodziło niekorzystne wrażenie, a ponieważ nie zdołała,  
jej irytacja na Lily i na samą siebie jeszcze wzrosła.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Rose usłyszała, jak Patricia wita w holu Tamar. Nalała sobie  
kieliszek owocowego ponczu, który był istotnie mocniejszy, niż się wydawał, i wychyliła  
duszkciem. Obawiała się, że Gerard zechce, by zaprosiła Gullivera i Lily do Bojarówki na  
tradycyjne złoty czytelnice, a wtedy byłaby zmuszona to uczynić. Gulliver, choć bywał  
zapraszany na przyjęcia z okazji rocznicy spisku prochowego, jeszcze nigdy nie dostąpił  
zaproszenia na tamte konwentykle.

Lny wyraziła zadowolenie, że dzisiaj nie pada.

Weszła Tamar. Nie miała na sobie swego zwykłego mundurka, złożonego z żakietu i  
spódniczki, zaryzykowała włożenie brą-z°wej bawełnianej sukienki z haftowanym  
kołnierzykiem. Sto-Jąca w Poblizu świeca ukazała jej młecznoblade, niemal przezyste  
policzki, z lekka zarumienione od zimna, i rozdzielone WyeuZla,kiem jasne, jedwabiste,  
równy przycięte włosy spięte w ą sPinką. Panna Hernshaw chwyciła ciepłą rękę Rose chwiH  
dr°bną zzieDniętą dłoń i cmoknęła ją w policzek, a po była jen\*3113''3 pocałowała również  
Lily. Lily lubiła Tamar, nie uśniech 3 pewna' czy JeJ sympatia zyskuje wzajemność. Tamar i  
niezgrab? 3 d° ^u^'vera' P° czym przywitali się wstydliwie Wyniesie ^ ^0c\*z'ck°wała za  
poncz owocowy, powiedziała, że

Tymc C S°bie 2 kuchni jakiś napój bezalkoholowy, i zniknęła. 'ern wrócili z ogrodu Gerard z  
Gideonem, zostawiw-

szy entuzjaście fajerwerków, Jenkinowi, dokończenie towań, czyli usunięcie z trawnika  
wszelkich zbędnych szkód. Weszli nie przez drzwi do salonu, wciąż zamknięte słońięte  
portierą, ale korytarzem, biegnącym obok kuchni -wadzącym do jadalni i holu. Na długim  
stole w jadalni oH\*^ niętym aż pod ścianę i pokrytym zielonym rypsem, zasłan białym,  
adamaszkowym obrusem, rozłożono już talerze i S7ti«<< ce, rozstawiono kieliszki, otwarte  
butelki z winem, salaterlci kanapki Rose z wędzonym łososiem, dopuszczone przez Patricie  
na stół, chleb, masło, kruche ciasteczka, pasztet z wątróbk. ratatouille oraz bogaty wybór  
szynki i ozorów na zimno, które pani Fairfax w przyływie natchnienia postanowiła dodać  
ostatnim momencie. Zapiekanę z szynką i cynaderkami, curry i ziemniakami miano podać  
na gorąco. Ciasto biszkoptowe z owocami i galaretką ścinało się jeszcze w lodówce.

Pozostałe kanapki przygotowane przez Rose nie miały w ogóle wyjechać na stół. Los małych  
ciasteczek pozostawał wciąż niepewny. Gerard, który dowiedział się zbyt późno o zamiarach  
siostry, spoglądał na tę wymyślną zastawę z odrazą. Zazwyczaj podczas przyjęć z okazji  
święta Guya Fawkesa goście mieli do dyspozycji bogaty zestaw kanapek, mogli podchodzić  
do stołu bez ceregieli i brać je do ręki, kiedy im przyszła ochota. Te zaś wyszukane dania  
zapowiadały wspólną godzinę posiłku, czyli kolejkę do stołu, ludzi stojących lub siedzących  
niewygodnie z nałożonymi kopiasto talerzami, jednym słowem: scenę, jaką Gerard szczerze  
się brzydził. Weszła Patricia z miseczką majonezu, który sama po południu ukreśliła.

W jadalni, której okna wychodziły na porośnięty krzewami i parą jesionów ogród od ulicy,  
panował półmrok. Ciężkie kotary w kolorze butelkowej zieleni były zaciągnięte. Na ścianach,  
wyklejonych tapetą w ciemnobrązowe paski przeplatające s z prążkami koloru ciemnej

ochry, wisiała moc (przynajmniej według standardów Gerarda, który nie lubił zagraconych pomieszczeń) dziewiętnastowiecznych japońskich malowideł, ci tych, subtelnych dzieł, powołanych do istnienia lekkimi do ciemi pędzla i okraszonych gdzieniegdzie cętkami a przedstawiających psy, ptaki, owady, drzewa, żaby, mały, wiotkie dziewczęta, zwykłych prostych ludzi. go C' i księżyc. Gideon te płótna tolerował, choć zasadniczo nie

• p0 większości amatorskiej kolekcji szwagra miał wjęgOru^evvažący Patrząc teraz na karton przedstawiający s10SUie krzewie ognika szkarłatnego, stwierdził: ważkę ^zem t0 nawet udane. Ale dlaczego ty nie spróbujesz

' l ,^wić naprawdę dobrych obrazów? Mógłbym ci służyć kolekcjonować r

^ Nie myślę wyrabiać sobie kosztownych gustów i upodabniać się do ludzi, którzy mogą pić tylko najprzedniejsze wina! Wielką sztukę wolę oglądać w muzeach. Nie muszę jej wieszać na ścianach swego domu.

\_ Nie mówię o wielkiej sztuce, mógłbyś jednak jako zbieracz mierzyć nieco wyżej! Wyznaję, że nie podzielam twojej skłonności do angielskich akwarel. Nie miałbyś ochoty na jakiegoś Wilsona Steera? Kiedyś przepadałeś za jego pejzażami. Mógłbym się rozejrzeć za czymś jego pędzla... Naturalnie, musiałbyś trochę rozsypać sakiewkę. Albo taki Vuillard. Dzisiaj należy kupować takich jak on artystów, wciąż trochę nie docenianych.

- Dla mnie stanowczo za wysokie progi.

- A Chagall, Morisot?

- Ba!

- Ta tapeta jest nawet ładna. Nieźle by się na niej prezentowały nasze płócienka Longhiego i nasz mały Watteau.

- Posłuchaj, Gideonie - rzekł Gerard. - To mój dom, nie zamierzam go z nikim dzielić.

Znajdźcie sobie własny dach nad głową. Ostatecznie nie należycie do biedaków.

Pomieszkalisc:ie u mnie i starczy.

chce^0 1Ub'C kaWa na \*aWC' Zgoda" móJ drogi' my także me

p\_^y dzielić tego domu. chcemy mieć go w całości dla siebie, usł C13, w'a^me weszła z dzbanem owocowego ponczu,

ysza«a ostatnie słowa męża.

1. j aprawdę, Gcrry, jesteś to winien rodzinie!

Patri mam rod7in>' ~ burknął Gerard.

- Le pusc" a mimo uszu ten niewczesny żart. ^e na łp13^ wkrótce ożeni... nie twierdzą, że już kogoś ma, lo "ajbard n°WkrÓtCe so^c znajdzie. Ten dom jest wyjątkowy, Cłlc'eh.śm ^ niezwykle dom w tej części Londynu. Zawsze Piękne P(Imieszkać na Notting HM. Wielki ogród pełen drzew, °je na górze, strych - to dom dla licznej rodziny. Nie uważasz za niesprawiedliwe, by samotna osoba zajmo wielki metraż?

- Nie uważam.

- Aha, Tamar dziękuje za szampana, napiłaby się raczę' pomarańczowego. Ciekawa jestem, czy znajdzie się jakimi w?

densie?

- Słuchajcie, moi drodzy, traktuję was oboje jak moich 1 M torów... choć to ja płacę rachunki.

- Mogę ci wypisać czek, drogi szwagrze.

- Nie wygłupiaj się!

W drzwiach stanęła Tamar.

- Och, Pat, nie kłopotz się. błagam! Szampan mi najzupełniej odpowiada, nie chcę soku pomarańczowego... Dobry wieczór Gerardzie, witaj. Gideonie.

- Tamar! - zawołał radośnie Gideon. podszedł do dziewczyny i pocałował ją.

- Mój mężulek ma do Tamar słabość - stwierdziła Patricia. -Prawda, kochanie?

Gerard, który nie lubił takich żarcików w ustach mężatek, skupił uwagę na Tamar. Ona jest jak świeże powietrze, pomyślał, jak czysta woda, jak świeży, pachnący chleb. Nie wygłosił tych pochwał, uśmiechnął się do niej tylko, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

- Mamy więc oranżadę, lepiej jej się napij - poradziła Patricia, zajrzawszy do kredensu. - Przypuszczam, że Duncan będzie przez cały wieczór dudlił whisky. Odstawię trochę whisky i dzinu na wypadek, gdyby ktoś jeszcze miał na nie ochotę, ale specjalnie nikogo nie zachęcajcie.

Jenkin korzystał z chwili osobności i nie spieszył się z P0' wrotem do salonu. Oszronione trawy chrzęściły tak cudownie pod stopami. Ubrany w ciepłe palto, wełnianą czapkę i rekawiczki, rozkoszował się mroźnym powietrzem, wciągał je w nozdrza i podstawiał policzki pod jego szczypliwą pieśczętę. DvWie ciężkie żeliwne ławki, ozdobione kutymi głowami i płetwami łabędzi, odnieśli z Gerardem i Gideonem na koniec 0SroL,UJ, za orzech, usunęli też z tarasu wielkie donice na kwiaty. Bute

które miały posłużyć za wyrzutnie rakiet, były już przygotowań . żerdki pod „koła świętej Katarzyny" wbite młotkiem W n&0^ fajerwerki posortowane i porządnie ułożone w kuchennym

wraz z zimnymi ogniami i elektrycznymi pochodnia-rytarzyk11' ^ygiadał się kłębowi pary własnego oddechu, roz-iiitt „Jcnkinbiadaępoświatą ulicznych latarni, docierającą z za węglą J^°nyIświatłem padającym z sypialni Gerarda, w której nie dopU'\_I zasłon. Oddech, dusza, tchnienie życia, nasze odde-ię ,iczne. Oddychał głęboko. Czuł, jak zimno wdziera

. « 1 .. u\_n-uilrXiTi \* ini<\ .titil'l t ~i i 111 r\*i ł zaciągnięto.zasłon.

chy^wPn^ętrza ciepłych przesmyków i jam jego ciała i odczuwał SI? ° i»dy nie słabnące i nigdy nie przynoszące rozczarowania OWdowolenie, jakie niosła mu samotność z dala od ludzi. Podrósł głowę, niczym zwierzę, które na pustym zboczach odludnego W aórza szykuje się do wydania nieartykułowanego krzyku, lecz nie^rzyku smutku, choć pobrzmiwa w nim i smętny ton, ale głębokiego, swobodnego i niepowstrzymanego krzyku istnienia. Podniósł więc głowę i zawył - bezgłośnie - ku usianemu gwiazdami, mroźnemu nocnemu niebu. Było jeszcze wcześniej, lecz że już ciemno od jakiegoś czasu, w okolicznych londyńskich ogrodach zaczęły strzelać race. Tu i tam rudziały ciepłe łuny ognisk, które wybuchając wysokim płomieniem, ukazywały w złocistych objawieniach ceglane fasady domów i gałęzie dalekich drzew, bezlistnych lub wiecznie zielonych. Ciszę rozrywały co chwila gwałtowne świsty, huki i trzaski, stłumione wybuchy i charakterystyczny, skwierczący wizg startujących rakiet, po którym następowały jakby głuche westchnienia i odgłosy pękających łupin gdzieś wysoko w górze, a P°tem sypały się na ziemię olśniewające, efemeryczne pióropusze rozpryskujących się bądź majestatycznie opadających gwiazd. Jenkin ubóstwiał fajerwerki. Gerard nie omieszkał nigdy ^prosie na przyjęcie z okazji święta Guya Fawkesa najbliższych 13 OW' ci jednak nie skorzystali dotąd z jego uprzejmych ogn °SZen Sąsieclzi 7 jednej strony uważali zabawę sztucznymi wiali ^ 23 dziecmade' ci z drugiej sami mieli dzieci i wypra-C2ysto'meCO WcześmeJ °d przyjęcia u Hernshawa, własną uro-Rakiet ° PrzyJ?cie w lcn ogrodzie dobiegało właśnie końca. Jowycn Zosla\*y odpalone, czemu towarzyszył wybuch zwyczajnie JUj? °krzykow zachwytu, i teraz z za muru dochodził sPrawę \ Umi0ny gwar rozmów. Nagle Riderhood zdał sobie ^cięcych °bserwowany- Nad korona. muru widniał rząddek - CześćitWarzyczek- Jenkin spojrzał na te główki i zawołał:

Dzieci nie odwzajemniły powitania, wpatrywały się \ w milczeniu. A potem, jak na komendę, wszystkie główki zniknęły i z za muru dobiegł wybuch ściszonego śmieszku^ kin. prawdę mówiąc, nie oswoił się dotąd z towarzystwem d ' Na tym zresztą polegała prawdopodobnie jedna z tajemnic'fIS była to tajemnica) jego pedagogicznego sukcesu. Dobrze ro miał potworną, wewnętrzną niedole dzieci, umiał się Wcz ?l w dręczące je koszmary. Wśród uczniów cieszył się niewymu szonym, godnym zazdrości, niemal niepodważalnym autoryte"

tern, który na obserwatorach sprawiał wrażenie istnych czarów wręcz daru natury, a opierał się wyłącznie na perswazji, nader rzadko sięgając po nakaz i przymus. Jenkin nie należał do belferskiego typu brata-łaty. nie miał do dzieci stosunku sentymentalnego, uważał je za odrębną rasę. zamkniętą w sobie, wrogą, często niepojętą. Jego uczniowie stanowili zbiór indywidualności, do których miał stosunek czysto profesjonalny. Pewien przenikliwy człowiek (jego kolega Marchment) powiedział mu kiedyś: „Wiesz co. stary, ty w gruncie rzeczy wcale dzieciaków nie lubisz!” Ten sąd nie do końca był zresztą prawdziwy. Jenkin lubił dzieci, choć nie w potocznym, konwencjonalnym sensie. Rząd główek, które przez jakiś trik oświecenia wydały mu się wszystkie rude, jakby należały do pstro malowanych członków dzikiego plemienia wyspiarzy, wytrącił go z równowagi i uświadomił jednocześnie kruchość i chwiejność jego obecnego stanu ducha. Jenkin miał poczucie klęski. Może to jego ostatnie przyjęcie z okazji święta Guya Fawkesa?

- Boże, Violet, szalowo dziś wyglądasz! - zawołał Gideon^ Nie mam racji?

Violet rumieniła się i krygowała niczym pierwsza naiwna. jak to potem określiła Patricia. Naprawdę dołożyła starań, by ładnie wyglądać. Nie miała na nosie swych niebieskich okularów. (P°z niej wyszło na jaw. że sprawiła sobie szkła kontaktowe). Przy pomocy fryzjerki wzburzyła trochę włosy, nadając im bar atrakcyjny wygląd, i przycięła grzywkę, pozbawiając ją sur°^e go. zaczepnego wyrazu. Miała na sobie w miarę prostą. d° skrojoną jasnoniebieską sukienkę koktajlową z jakąś potys\* J ozdobą wokół szyi. ^ ^jys-

- Wyglądasz wręcz bosko - orzekła Patricia - tylko te y trochę rzą, mam nadzieję, że możesz się ich po-koiki u gory szczerze rada, gdybyś czasem do nas wpadła zbyć- Była >oola jak kietiyś, nie mówiąc o tym. że Gideon

i Wkrętarki, prawda, kochanie? Każdy pragnie się czuć potrzebuje se

^Nifspodziewaliśmy się ciebie - dodał z życzliwym uśmie-

jf^e^podziewałem - wtrącił Gerard. - Chodź, zrobię ci Hrińka coś naprawdę ekstra.

Weszli do jadalni i Gerard zamknął za mmi drzwi.

\_ Violet - zwrócił się do kuzynki - tak byśmy chcieli, żebyś jeszcze raz przemyślała sprawę tych pieniędzy.

\_ Jacy „my” - zapytała wrogo, aż pogłębiły się marsowe zmarszczki u nasady nosa i tragiczne bruzdy wokół ust.

- Pat, ja i Rose.

- A co ma do tego Rose?

- Po prostu się z nami zgadza.

- Jej nic do tego!

- Zgoda, ale posłuchaj, postaraj się myśleć racjonalnie, okaż nam zrozumienie. Ojciec wyraził w testamencie nadzieję, że się tobą zaopiekujemy. Musisz nam umożliwić wypełnienie jego woli... w przeciwnym razie zmusisz nas do złamania przyrzeczenia.

- Nieprawda, niczego podobnego w swoim testamencie nie napisał, w ogóle tam o mnie nie wspomniał!

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

~ Pat mi powiedziała. Nie tylko nic mi nie zapisał, ale nawet nie Poświęcił wzmianki.

psiakrew, zaklął w duchu Hernshaw, i co ja jej teraz powiem?

~ Violet' nasz ojciec pragnął, byśmy ci pomogli. Ufał, że tak czynimy.

gano,?dyby naprawdę chciał, żeby mi po jego śmierci „poma-Twarz v°8ł l° inaczej "rządzić!

Zresztą ja nie chcę „pomocy”! -kotki 10let' podobna tczaz do mordki parszającej wściekłością

UniesienIeaZała"edn0CZeŚnie swego rodzaju wzgardliwe, radosne sZałeś ~~ Pat cnciaiaby,

żebym została u niej służącą, sły-°y list ! P°Wled/iała. Napisała do mnie okropny, protekcyjnal-ty rni tu pleciesz bzdury o testamencie stryjka Mat-thcw! Mogę być uboga i jestem waszą krewną, ale n rzam, dla twojej i Pat satysfakcji, grać roli ubogiej krew M

- My jednak postanowiliśmy pomóc Tamar. Ona musi wrd ! do Oksfordu.

- O, dobrze wiem. że ten cały spisek ma na celu dopomo' jej, nie mnie! O mnie się pies z kulawą noua nje zatroszcz! Tamar niczego nie brak. Ma dobrą posadę. Potem mogłaby "u takiej nie dostać, o pracę z roku na rok trudniej, dziewczyna zdaje sobie sprawę, że ma w gruncie rzeczy szczęście

- My jednak jej pomożemy.

- Wiesz, doskonale, że ona waszej pomocy nie przyjmie Chcecie tylko uspokoić własne sumienia! Wasza pomoc skończyłaby się dla niej psychiczną katastrofą. Nie możecie zostawić jej w spokoju? Wam się wydaje, że to krzepka, cnotliwa wiejska dziewczucha, a to niezrównowazona, chwiejna neurotyczka. Nie wytrzymałaby oksfordzkiego tempa, skończyłoby się to prędzej czy później nerwowym załamaniem. Skąd to przekonanie, że ten wasz. wyśniony Oksford to wymarzone miejsce dla młodej dziewczyny? Tamar nigdy nie czuła się tam dobrze, stale tylko chorowała z przemęczenia! Jej trzeba spokojnego, uładzonego życia i stałej posady. Nie jest intelektualistką, Bogu dzięki!

W drzwi wsunął głowę Gulliver, objął spojrzeniem Gerarda i Violet, bąknął „przepraszam” i wycofał się.

- Dlaczego ty nie chcesz być szczęśliwa? - zapytał Gerard.-Sprawiasz, wręcz, wrażenie, jakbyś szczęście od siebie odpychała.

- To moja sprawa. Ach, jak ty nic nie rozumiesz! Hernshaw nalał i podał kuzynce szklanę owocowego ponczu.\*

- Przepraszam. Nie powinnaś się gniewać na Pat. ma w gran cie rzeczy dobre zamiary. Później o tym porozmawiamy.

- Obiecałeś, że przyrządzisz mi coś ekstra...

Gerard wyjął z barku butelkę dżinu i dolał go hojnie szklanki Violet.

- Myślisz, że zdołam wydudlić takiego szprycerka? Zatrzymała jednak szklanę i wysłała uśmiechnięta.

Panna Curtland wydobyła z lodówki swoje w/gard7^łjve\*1 napki i przyniosła je do pokoju jadalnego, ponieważ -ajy, oświadczył, że jest głodny. Kanapki wyziębły i zvVI L nj0s- mimo to Gulliver i Lily pałaszowali je z apetytem. Rose p • ^.^ ła następnie z jadalni, którą opuścili przed chwilą Gera

rzez siebie koreczki. Należało dotąd do zwyczaju ^zrobione p^ gQŚcie popijali i pojadali, przechadzając się.

"" r7VJCĆ' ze gOSL"lc Fv'K'J"" | r-j-----' r-----

tych W-/\* ' Patricia wprowadziła własne porządki i postano-Tego W1C a<jzić wszystkich u zastawionego stołu. Rodziło to uila zgro^ pytan|e> kiedy właściwie mają się zacząć fajerwerki, dodatkowa ^kje 7 tą Tamar9 \_ zapytała teraz, wchodząc i spo-! z dezaprobatą na pośpieszną, nie przewidzianą i nie ^wnk>ną konsumpcję kanapek. - Nie umie chwili usiedzieć upnl !,!«mi wciąż krąży po domu jak kot. Domyślam się, że pra°nie spotkania tete-a-tete z Gerardem.

- Jest po prostu nieśmiała - powiedziała Rose. - Z własnej woli usuwa się w cień.

- Nie powiedziałabym, żeby usuwała się w cień, wszędzie jej pełno! Podejrzewam, że działa tak na nią obecność mamuśki.

- Violet wygląda cudownie. Wciąż potrafi zrobić się na bóstwo, jeśli chce.



- Choć na ogół woli rolę wiedźmy. Dziś przywdziała maskę, która mówi: „O nikogo nie dbam, mam to wszystko gdzieś”. Ta kobieta potrafi się dowolnie zmieniać, jest w gruncie rzeczy lepiej od nas przystosowana do życia, mniej cierpi... Nigdy nie widziałam takiej masy sztucznych ogni, cały boczny korytarz jest nimi zavalony. Ci nasi mężczyźni to istni mali chłopcy, nieprawdaż?

Panna Curtland nie podjęła wątku: „nasi mężczyźni”.

Jenkin wszedł z ogrodu przez oszklone, zawieszane portierą drzwi.

- Jest już Duncan?

- Nie, ale przyszła Violet.

^Duncan nie przyjdzie - wyraziła przypuszczenie Rose. tej SameJ chwili rozległ się dzwonek u drzwi.

zaowo^3 n°Ża' witlelca ' talerza, wprowadzona przez Patricię, ^dywał V Z @rUDSZa takimi następstwami, jakie Rose prze-dzisiejsza: pali bywalcy, adeptci szkoły Gerarda, odnosili się do 'ciasta bis 1?nowacJ' 7 niechęcią, ignorowali zapiekanki z curry kozłekSZ °pt0We- zmieli wszystkie kanapki i koreczki, a po-s°k'e na n6Wazyws/y wzgardliwie talerze i sztuce, przyrządzali ' Plując uo 6 u improwizowane kanapki, rozrywając bułki Srodka liście sałaty, płatki szynki i plasterki pomi-

dorów. które zresztą zaraz spadały na dywan. Małe ci Gerarda, odkryte w spiżarni, cieszyły się również wielkt^ wodzeniem, podobnie jak przyniesione przez pannę Curtl' sery. Kilkoro gości, jedni przez uprzejmość (Jenkin) h ^ ponieważ byli szczerze zainteresowani zapiekanką z I i cynaderkami (Gulliver), inni dlatego, że sami tę biesiadę myśleli ( Patricia i.

wyszukało sobie jakieś miejsce stosownej przycupnięcia i, podczas gdy reszta przechadzała się swobodnie mimo niewygodny stwarzano pozory spożywania regularnej ko lacji. Gideon baiilax. ku irytacji i zasmuceniu żony. krążył wśród perypatetyków. Podano bordo, dostępny był też nadal owocowy poncz. Na dżin i whisky w tej wstępnej fazie przyjęcia nie było większego zapotrzebowania, nie wykazywał go nawet Duncan, który przyszedł ostatni i zatrwożył przyjaciół poprosiwszy o szampana Perrier, po którym raczył się ponczem i dopiero na końcu whisky. Do tego czasu również Gulliver i Lily przerzucili się na ten trunek. Lily, która znalazła poniechaną przez Violet szklanę ponc/u doprawionego dżinem i opró/niła ją, była już wyraźnie wstawiona. Tamar wzbudziła ogólne zatroskanie, ponieważ nic nie jadła. W końcu przyjęła kawałek ciasta biszkoptowego, który znaleziono nazajutrz nietknięty na parapecie okna za zasłoną. Potem sama gdzieś zniknęła. Rose znalazła ją na piętrze w sypialni Gerarda, siedzącą po ciemku przy oknie. Powiedziała, że przygląda się dzieciom z sąsiedztwa, które, już w piżamkach. dokazywały w ogrodzie. Zanim podano kawę. zrobiło się tak późno, że nad przyjęciem zawisła groźba klęski, spowodowanej, jak to później określił Gerard, „podstępna, inwazją biesiady”. Nad całością nikt nie panował. Gerard W rzekł się ostentacyjnie obowiązków gospodarza, a Rose, która zwykle miała pieczę nad przebiegiem wieczoru, wycofała 1 z urazą na pozycję obserwatora. Jenkin wpadł w nastrój jaW| rozmarzenia, wręcz sponiewiania. Prawdopodobnie mocne ^ uderzyło mu już do głowy.

Gideon, który jak /W^e.W^jCrn. nie się bawił, kręcił się wszędzie z szelmowskim, usinies-^ czekając na rozwój wydarzeń. Violet również usniiec ' zagadkowo, piła niewiele, wyjmowała palcami kawałki °^^0 rek z zapiekanki, pakowała do ust ciasto biszkoptowe. P° łyżeczkę odkładała do półmiska. Patricia zmywała w

o z fajerwerkami? - zaniepokoił się Jenkin, budząc się letargu.

n3^e 7 późno już na to - orzekł Gerard. - Obudzilibyśmy H,iećIkU sąsiedztwa.

Tamar twierdzi, że one wciąż hasają w piżamach po ogro-

,7i' /powiedziała ROSC-

No coś możemy wystrzelić kilka rac, ale nie ma już czasu cały arsenał. Niektórzy zbierają się już do odejścia! 03Gulliver, uświadomiwszy sobie, że jest bliski stanu komplet-upojenia,

oświadczył, że musi już zniknąć, jakby zapomniał. Że sztuczne ognie miały być punktem kulminacyjnym wieczoru. \_ QH^ie się podziela Tamar? - zaniepokoił się Jenkin.

- Jest w kuchni, pomaga zmywać Pat - powiedziała Rose.

- A Duncan? - zapytał Gerard.

I pije whisky w twoim gabinecie.

- Miałem nadzieję, że Tamar się nim zaopiekuje - rzekł Gerard - ale biedulka jest dziś jakaś nieobecna.

- Prawdopodobnie pragnie odbyć z tobą kolejną rozmowę od serca - zauważyła Rose.

- Duncan zaczął od szampana. Nie uważasz, że to jej zasługa?

- Słuchaj, my musimy wystrzelić te race! - oświadczył Jenkin. - Ja się za to wezmę, ty tylko wygoń całe towarzystwo przed dom. A nie zapomnij o pochodniach i zimnych ogniach!

Bojąc

się, żeby mu Gerard nie skrócił programu, Jenkin zdążył wystrzelić rakiety rozpryskowe, zapalić kilka rzymskich ogni Każd^Ć ^aW^ą f^ntannę, zanim reszta gości wyszła do ogrodu. Pał V °lr/^mid Pochodnię, wiązkę zimnych ogni i pudełko za-j^amTrevmane w górze za krótkie druciki, pryskające białymi ści w Zlmne °gn'c miały zapewnić aktywny udział publiczno-»num Wldo^'sku' a dodatkowo, w przerwach między kolejnymi (Gull iii slan°wić źródło światła. Tymczasem jedni goście Wsadził " " r/"uc'n swoje zimne ognie na trawę, w roztertargnieniu do taki ^° ^eszem (Duncan), nie myśleli się w ogóle zniżyć aby je°zalgrafek <Pat i Violet) lub byli zbyt nieśmiali (Tamar), ^'deon apa'\*ć- Jedynie Rose i Gerard, przez grzeczność, oraz ' ^y'nach'vv^01^' Zapa'al' na przemian swoje siarczane patyczki skwierc2ą^Wc"\\ mrm- oświetlając oślepiająco białym blaskiem •skier nieco oszołomione oblicza pozostałych. Tu

nie

nadał

me

więc

i ówdzie w okolicznych ogrodach, tam. gdzie dzieci żono jeszcze spać lub gdzie wciąż bawili się dorośli wzbijały się w niebo, jakby dla dodania im otuchy, barw jerwerki. W pewnej chwili, gdy iluminacje na krótko pr/^ ^ Rose podniosła wzrok i ujrzała w oknach na piętrze sąsiedn domu twarzyczki wyglądających dzieci. Zapaliła kolejny ogień, podniosła do góry. żeby ją samą oświetlił, i pomachał w stronę dziatwy. Oślepiąca blaskiem tryskających iskier 3 była w stanie stwierdzić, czy dzieci jej odmachnęły. Gerard nawiązał przyjaznych stosunków z maluchami sąsiadów i dla panny Curtland pozostały obce.

Jenkin rozpoczął przedostatni etap pokazu, który wypełniły tak zwane koła świętej Katarzyny. Rakiety miały zamykać wi-dowisko. Wcześniej przybił gwoździami trzy wielkie koła do trzech palików ustawionych w głębi ogrodu w pobliżu (choć nie nazbyt blisko) orzecha: najwyższy palik stał w środku. Gdy z pochodnią w ręku obchodził tę instalację, widzowie, którzy dotąd wyrażali aprobatę dla pirotechnicznych pokazów cichymi pomrukami, a czasem nawet okrzykami podziwu, zamilkli. Przez chwilę zalegała w ogrodzie nieprzejrzana ciemność. Kilka zapalonych pośpiesznie pochodni ujawniło stopy zebranych, jedne przewidująco, inne nieroztropnie obute, oraz połąć mokrej, zdeptanej, oszronionej trawy. Mróz się nasilał, oszcypywał nosy, więc ci z gości, którzy nie włożyli rękawiczek, musieli wsunąć ręce głęboko w kieszenie. Gulliver. który marzył o kolejnym drinku, wspierał się ręką na ramieniu Lily.

Nagle, niemal równocześnie, trzy wielkie koła ożyły, obróciły się kilka razy. najpierw wolno, potem coraz szybciej, aż zmienił) się w trzy olbrzymie, oślepiające, ogniste kręgi, rozsiewając przeraźliwy, ogłuszający szum płomieni. Zebranych wyrwały się okrzyki zgrozy, bo też. widok i towarzyszący mu dźwięk by y nie tylko imponujące, ale i przerażające. Nikt się nie

krec wszyscy stali nieruchomo i wpatrywali się w zauroczeniu- z dziawionymi ustami, w trzy ogniste, wirujące tarcze. ^

Lily, która od jakiegoś czasu zapadała się w sobie i p°g,,! ' w milkliwości alkoholowego otępienia, szepnęła nagle tuż uchu Gullivera:

- Czemu je nazywają kołami świętej Katarzyny?

r wyrwany z własnej pijackiej zadumy, odparł ze znie-

cierpb\*1^™ Katarzynę łamano kołem.

~ S'ucna! Latarzynę miażdżono kołem. Zmarła na mękach. ~ ?Tęto ,kołem"? Co jej robili tym kołem? " Nje mam pojęcia - odrzekł Gulliver, zirytowany tym nie-m wręcz niestosownym pytaniem. - Sądzę, że było na-kolcami lub czymś podobnym. Lily zastanawiała się chwilę nad jego odpowiedzią, po czym odwróciła się nagle i poszła w stronę domu. Pozbawiony wsparcia jej ramienia, Gulliver zachwiał się i usiadł na trawie.

Koła Katarzyny zaczęły w końcu zwalniać, ku zasmuceniu zachwyconych widzów, po czym jedno po drugim gasło. Trysnęły jeszcze, jakby rozgniewane, kilkoma ostatnimi snopami iskier, wirowały jeszcze przez chwilę, dopalając się bladym płomieniem, po czym nagle zgasły i szerniały na swoich trzech słupkach. Z ust zebranych wyrwało się głośne westchnienie.

Kuglarz Jenkin, nie chcąc tracić oczarowanej publiczności, wystrzelił niezwłocznie pierwszą z rakiet.

Gerard zauważył zniknięcie Lily, stwierdziwszy zaś, że nie wraca, uznał, iż pora sprawdzić, czy nic się jej nie stało, więc gdy pozostali podnieśli oczy na wybuchające na niebie konstelacje różnobarwnych gwiazd, wymknął się niepostrzeżenie.

Po ucieczce z ogrodu Lily wpadła na oślep w drzwi salonu, splątała się w ciężkie portiery i omal nie udużyła. Zaczęła się miotać w panice, straciła w ciemności poczucie kierunku i usi-skrłałaZnaleŻĆ P° omacku ba-dż to wewnętrzny, bądź zewnętrzny w ^lcżkicn\* bawiących kotar. Wreszcie udało jej się wydostać, łazienk'd° OŚwietloneS° świecami pokoju i pobiegła prosto do ' po r 1 byle najdalej od ogrodu. W łazience zapaliła światło lWarazPienVSZy UJr/ąła w mstrze własną ubarwioną plamiścic przy n'łazienki Pobiegła następnie do jadalni, gdzie przysiadła P°sta\UiCnyr)°tllwym stoliku, na którym ona i Gulliver l? ttiby-k; t.alerze' aby sP°żyć ni to na stojąco, ni to na siedząco mości xa 3CJe' Alk°hol potrafi otwierać w ludzkiej podświado-Wdarł się w mane' mrOCZnc

wierzeje. Przez takie właśnie wrota WsPomnien SWladom°śc Lily, via imię świętej

Katarzyny, rój 0 matce katoliczce, która miała zwyczaj prosić

Pona

0 wstawiennictwo licznych świętych do specjalnych n Lily często myślała o babce, o matce bardzo rzadko Ter ° z chmarą złych wspomnień odezwało się w niej straszne^ cie winy i okropne wyrzuty sumienia. Jej matka w\*\*00\*\*" w piekło. Lily dręczyła się pytaniem, dlaczego odepchnęhr^ rzuciła swoją biedną matkę, pozwoliła, żeby umarła zapijaczo 1 samotna, przepełniona trwogą przed wiecznymi ogniami •' kielnymi? A teraz nie żyje i Lily nie może pobiec do niej żeby ją pocieszyć! Wraz z myślą o mękach matki wróciły do l\ wyobrażenia świętych, które budziły jej trwogę, kiedy byładziec kiem - najeżonego strzałami świętego Sebastiana i umęczonego na rozpalonej kracie świętego Wawrzyńca. I oczywiście Jezusa konającego w powolnej męczarni na krzyżu. Potem przyszło jej na myśl, że trzy tyczki kól świętej Katarzyny przypominały trzy krzyże Kalwarii. Zalała się łzami. W tej samej chwili wszedł do jadalni Gerard.

Rakiety wzbijały się teraz w niebo jedna po drugiej, tak gwałtownie, porywczo, groźnie, z rozdzierającym ciemność nocy sykiem i świstem, coraz, wyżej. aż. rozkwitały w zenicie eksplozjami złotych czas, fontannami strzępiastych mgławic, wzbudzają: u patrzących osobliwe uczucie ulgi. gdy gasły błogą, szczęśliwą i chwalebłą śmiercią, jakby im błogosławił jakiś zalotny bóg. W okolicznych ogrodach również, wzbijały się w górę rakiety,

szybko, coraz, szybciej, jedna po drugiej, jak gdyby koniec tego szalonego, usankcjonowanego tradycją święta wymagał, pod groźbą jakiejś strasznej klątwy, by eksplozja goniła eksplozję Niebo rozrywały całe serie ognistych wybuchów. Tak musi grzmieć front podczas wojny, przyszło na myśl Rose. Chcąc da odpocząć oślepiionym oczom, opuściła wzrok i dostrzegła mgnienie, w blasku zapałki, zachwyconą, uszczęśliwioną twarą Jenkinsa. Usta miał rozchylone, oczy zaokrąglone / podniecenia Cóż on tak świętuje, zaciekała się. jakiego czci boga, W wpatruje się miraż, jakie złote, tajemne pragnienie przeżył Deszcz wyjątkowo długo spadających gwiazd objawił jej inne wzniesione do góry oblicza: roześmiane, zachwycone deona, spokojne i zadowolone Pat. dziecięco rozradowane kina. Duncan sprawiał wrażenie posmutniałego, ale spokojnie podwinę\*

na kołnierzu palta. Twarz Violet wstrząsnęła panną Curd'

Zadarł wielką głowę, aż ciemna grzywa włosów podwin ... .. ' , \_\_\_\_\_mrtlanO'  
Jestem Gen

biło z niej uczucie: zawziętości, rozpacz, może nie-gwałtoVvrf za piecami matki Tamar  
niknęła w mroku. Wte-„awisci- e spostrzegła, że Gerard i Lily zniknęli.

dy ^rhciałabym umrzeć - chlpała Lily. - Jestem do niczego. ' ; do szpiku kości zepsuta, zła!  
ard który siedział obok niej przy stoliku, powiedział: Dosyć Lily, nie pozwolę ci wygłaszać w  
moim domu tak

niesprawiedliwych opinii! .....

Mój księgowy mówi, że kończą mi się pieniądze. 1 Jestem pewien, że tak nie jest. Musisz je  
zainwestować. \_ ja sje na tych sprawach w ogóle nie znam, nie znam się na inwestowaniu.

Och, jestem taka nieszczęśliwa! Co gorsza, nie umiem być szczęśliwa.

- Oczywiście, że to umiesz, jestem tego pewien. Możesz pomagać innym.

- Nienawidzę innych! Nienawidzę samej siebie, nie potrafię nikomu zaufać. Nikomu na mnie  
nie zależy...

- Och, przestań! Oczywiście, że ludziom na tobie zależy, choćby mnie, żeby daleko nie  
szukać. Jeśli martwisz się o swój majątek, o cokolwiek zresztą, zawsze możesz zwrócić się do  
mnie o radę.

- Naprawdę? - spytała niedowierzająco. Wytarła łzy bufiastym rękawem sukni, noszącej z  
przodu plamę po czerwonym winie, obróciła ku Gerardowi pijaną, rozmazaną twarz, wykrzy-  
WI°ną uśmiechem ulgi, i stwierdziła nagle: - Wiesz, zawsze chciałam obejrzeć te obrazki, a  
nigdy jakoś nie miałam okazji. s3 takie śliczne!

rard ^°Żemy Je obejrzeć razem - zaproponował. Wstali i Ge-AtoWzniósł do góry lichtarz. -  
To motyl, widzisz? To ślimak. żab° Chrabąszcz w 'ocie. Tu masz żabę, Japończycy bardzo  
lubią y' a tu dziewczynę, która myje głowę...

Na d

Violet M 0FZe WzmaSał sic 8war- Gideon wznosił okrzyki radości. dłonie doS?CZały °CZy'  
a USta miała otwarte- Patricia przyciskała Pr?-eraża" P°liczkow- Dlaczego tak im się  
podobają te okropne, ^^baja?0^111^' zastanawiaia sie Rose. Czy mnie się również lauważyta  
-ama °ie wiem- B°że, gdzie się podział Gerard? ?mier/a 'Jalc Gulliver odwraca się raptem i  
długimi krokami W stronę domu.

Otworzywszy drzwi jadalni, zobaczył, jak Gerard świecę przed obrazem, w który wpatruje się  
l.jly j Wztl°Si w okolicach przepony nieprzyjemny, bolesny skurcz. jakieo°C^ od dawna nie  
doświadczał. Rozpoznał w nim objaw^ za^0-? Ale skąd w nim nagle zazdrość, o kogo. o co?  
Zanik powrót drzwi.

W tej samej chwili wzbilo się w niebo całe stado rakiet a tern gdzieś w pobliżu rozległa się  
długa seria ogłuszających wybuchów, znacznie głośniejszych od wszystkiego, co dotąd shr  
sz.ano. Goście aż zakryli uszy. a Patricia krzyknęła nerwowo

- To nie fajerwerki, słyszycie! To na pewno bomby, terroryści!

- Skąd znowu! - odkrzyknął rozemocjonowany Jenkin. - To tylko przyjęcie w ambasadzie francuskiej!

Rose wróciła tymczasem do domu. Weszła do jadalni i zapaliła światło.

Kiedy dogasła zorza po spadających raketach i ucichło echo eksplozji, Duncan przysunął się do Tamar, ukradkiem wyciągnął do niej rękę, a jej drobna dłoń przelotnie ją uścisnęła.

- Jenkin tych kwiatów nie przysłał - stwierdziła panna Curt-land. - Pytałam go... Jestem też pewna, że nie zrobił tego Duncan.

- Cieszę się, że w ogóle przyszedł. To zasługa Tamar. Ona uważa, że jej wizyta u niego nic nie dała. tymczasem myli się najwyraźniej!

Goście się już rozeszli. Patricia i Gideon poszli do siebie na górę. Gerard i Rose siedzieli w salonie przy dopalającym się czerwono otwartym kominku i sączyli whisky z wodą sodową. Świece, starannie przez Rose osadzone w lichtarzach, dopalił się równo i zostały zgaszone. Światło elektryczne napełniało pokój ciepłym, przytulnym blaskiem.

- Rozmawiałeś z Duncanem?

- Niewiele. Miał mi do powiedzenia tylko tyle, że Tamar zabiła mu podobno jakiś imbryk! ?

- Podczas swych odwiedzin? Nie poparzyła się herbatą- ^

- Nie sędzę. To się stało, gdy usiłowała posprzątać ^| w kuchni. Strąciła go z półki. Wygląda mi na to, że Duncan, irlandzki, bardzo się przejął stratą. Uznał ten wypadek za przedni Pokładał się ze śmiechu, opowiadając mi o nim.

ia plus alkohol. To nie mógł być żart ze strony biednej

- #!StęTl k[órd usiłowała mu pomóc. Mogę sobie wyobrazić, dziewczycy?y'Duncana wygląda z grubsza jak kuchnia Violet... ze kuchniasie ze nie wspomniał ci o Jean i Crimondzie.

^^IrVzypuszczam, że kiedyś o tym pogadamy, ale jeszcze

nłC P°co teraz poczniemy z Crimondem? Mam na myśli książkę.

' Och, pojęcia nie mam! - burknął z irytacją.

Czuł wyraźnie, że „reszta paczki” popycha go usilnie do konfrontacji z Crimondem, swego rodzaju ostatecznego starcia,

on się brzydził „ostatecznymi starciami”. Z drugiej jednak strony nie życzył sobie, żeby ktokolwiek inny kontaktował się z tamtym człowiekiem. Jeśli już ktoś musiał, niech jemu przypadnie to przykre zadanie. Perspektywa takiego kontaktu napawała go jednak niechęcią. Rose, jakby czytając w jego myślach, stwierdziła:

- Nie musi wcale dochodzić do starcia! Mamy przecież pełne prawo poprosić o sprawozdanie z postępu prac. Ten pan bierze od nas pieniądze, a nawet nie raczył wysłać kartki z kilkoma choćby słowami. „Dziękuję, praca nad książką posuwa się naprzód”. Tak czy siak pora zwołać zebranie komitetu.

- Wiem, wiem. Niedługo je zwołam... A wiesz, Gulliver nadal nie może znaleźć pracy.

- Zdawało mi się, że zrobił dziś sobie makijaż.

- Jestem zmęczony, skarbie. Oboje jesteśmy zmęczeni. Zmy-kaj już.

do d°Se by'a lekk° wstawiona ' nie miaia jeszcze ochoty wracać omu. Tego wieczoru przestraszyła ją i głęboko zaniepokoiła

zawtzeSna Śmieszna' nieg°dziwa zazdrość o Lily i Tamar. Czy kob' 9mam drzeć z obawy, gdy on choćby spojrzy na inną własn? Czyzbym czuia sie az iak niepewnie? Owszem, tak

pełnie he^ °ZU^ę' ^° tym 'atacn bliskiej znajomości jestem zu-nic, aie ? r°nna' w kazdej chwili mogę zostać odtrącona. Jego ledwojest "IC me kłania do zmiany naszej wzajemnej relacji, to dobrze SWładom' że w ogóle mogłaby się zmienić! Skądinąd w duCriu jeZe traktuje mnie jak powietrze, tłumaczyła sobie Praw! w'v w? 7 dru»ieJ strony znaczy to, że nie mam żadnych stowa. ą • ra?ala sobie, jak by zareagował, gdyby usłyszał te nak muszę się z nim rozmówić, postanowiła, muszę

mu wszystko powiedzieć, muszę... och, w tym dźwięczy taka słabość i bezradność!...

muszę go poprosić8^ dodał mi otuchy. Lecz jak to wyrazić? I co mi na to odp. Muszę być

otwarta i bezwzględnie szczerą. Tylko czego ja w,6 ciwie chcę? Wiem. czego chcę w tej chwili: nie chcę iść ^ domu. ale z Gerardem do łóżka i chce zostać tam do końca świata. Czy mogę mu to powiedzieć? Czy on się tego domyśla!

- Nie dzwoń po taksówkę - powiedziała. - Z pewnością jakąś złapię, zanim dojdę do pierwszej przecznicy. Nie musisz mnie też odprowadzać.

- Oczywiście, że cię odprowadzę!... Gdzie, u licha, Pat rzuciła mój płaszcz?

Kiedy taksówka zatrzymała się przy krawężniku i kierowca otworzył drzwi, Gerard pocałował Rose prosto w usta, jak to miał w zwyczaju, a ona, jak to miała w zwyczaju, objęła go za szyję.

Tego popołudnia Tamar wyszła z biura wcześniej niż zwykle. Przywykła już do nowej posady, mimo że dyrektor firmy nazywał ją „Laseczką”, a jedna z koleżanek pouczała, jak się powinna ubierać. Nieżonaci koledzy z pracy lubili ją, chętnie wdawali w przekomarzanki, lecz nic posuwali się dalej. Tamar szła na spotkanie z Duncanem. Przysłał jej kartkę, w której prosił, by znowu do niego wpadła. Zadzwoiła i umówili się na dziś.

W roli, w jakiej obsadził ją Gerard, czuła się niczym młoda niewolnica, której zadaniem jest połączenie pary bohaterów bez wchodzenia w bliższe stosunki z żadnym z nich. Miała pozostać niewidoczna, bez widoku na nagrodę, ot, zwykłe narzędzie. Spoglądając po pewnym czasie wstecz, zdała sobie sprawę, że ściwie nigdy nie wierzyła, by mogło jej się udać P^0^2^" małżonków, zawierzyła po prostu wierze Gerarda i byłojemniej (a więc kryła się w tym jakaś przyjemność), że padł właśnie na nią. Zdarzyło się jednak coś, co skompb jej zadanie. Nie umiałyby określić dokładnie, kiedy to się - j ^ Może wtedy, kiedy Duncan krzyknął „przeastań!”, chwyt rękę i pociągnął na kanapę, albo wkrótce potem. } niej siedzieli i przyglądali się sobie, a może później, tej nocy, gdy wróciwszy do domu, rozmyślała, leżąc w

o jego wielkiej głowie, bujnej szopie włosów i ła-0 Puncan'CrzenikHwym. zagadkowym spojrzeniu. Nie mogłaby godnym'^.^ p0VVje<jzić, że się w nim zakochała, to było cał-z pe\*110 C'Lzone, tak z powodu różnicy wieku, jak i miejsca, kienl y a{ w jej życiu. Rosło jednak jej współczucie dla jd? . pragnienie. by mu jakoś pomóc, aby go ocalić. Coraz n\*e^o " o nim myślała, przyłapała się leż na fantazjach niemal CZCSCIznych. To odkrycie nie wprowadziło jej bynajmniej w kon-^rnację. Ostatecznie nikt nie wiedział o jej przeżyciach, czu-ł ch wszak i niewinnych, i nikt się nigdy nic dowie. Miewała już i dawniej, kiedy była młodsza, podobne niejasne ciągotki, równie niemożliwe do urzeczywistnienia: do jednego z nauczycieli w szkole, do Leonarda Fairfaksa, do Jean, nawet do Gerarda. Nie bała się tych fantazji, wiedziała, że są niewinne, można je było ukryć, stłumić, przeczekać. Przeżyła chwile silnego niepokoju na przyjęciu z okazji święta Guya Fawkesa, czekając w niepewności, czy Duncan się zjawi, a kiedy przyszedł, poczuła radość, ale i coś w rodzaju obawy, która sprawiła, że go unikała, „krążąc po domu jak kotka”, jak to ujęła Patricia. Gdy zaś pod koniec przyjęcia uścisnęła w ciemności jej dłoń, zrobiło jej się ciepło na sercu. Nie zamienili ze sobą ani słowa i wkrótce potem oboje wyszli, każde osobno. Gdy przypominała sobie później tę chwilę, ogarniało ją wzruszenie, bo uznała, że on chciał jej w ten sposób dodać otuchy. Postanowiła, że więcej go nie odwiedzi, chyba że na wyraźne zaproszenie. Jednak gdy nadeszło, ucieszyła się, choć ogarnęły ją zarazem wątpliwości, czy nie kierowała mi aby zwykła, w tej sytuacji niemal wymuszona, uprzejmość. ? M CZeśmeJ sPotkała ją jeszcze jedna niespodzianka: otrzymała 'nfornt80 CZel< znaczną sumc- Nadawca, Joel Kowitz, P°chod°Wa^ ŻC Cb°^ 113 cze'cu wonieje jego podpis, pieniądze Tamar i ^M Ist°cie od pewnej żydowskiej fundacji oświatowej, i nie Omy\*'i'a się, że inicjatorką wysłania czeku była Jean, 'a korjWlerZy'a Un' na cnwile w „fundację oświatową”. Rozerwana list HPrZy śniau"aniu. pod bacznym, jak zwykle, gdy otwie-go z m, ° sicc'ie' okiem matki. Violet chwyciła czek i byłaby kając, że 03 \*>°Ł'ar'a- gdyby Tamar go jej nie wyrwała, przyrze-°Wak zami\*^0 g°

me7w\*ocznie Jodowi, co zresztą tak czy Z Podzięko^1\*3' ^esiawszy czek wraz ze stosownym listem aniami, poczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie nie wpłaciła pieniędzy na swoje konto w banku, a m-pokazała figi. Rozumie się, nie mogła tego żadną miarą Potem zastanawiała się nad przyczyną owej niemożności v3 tym, czy postąpiła słusznie. Do decyzji o rezygnacji ze stul podeszła jak do ważnego zadania, twardego obowiązku i winności absolutnie nieuniknionej. Sama myśl, że wcale' musiała podejmować tego kroku, byłaby zbyt przerażająca. Matka zapoznała ją w chwili słabości z ich sytuacją finansową, która okazała się nader niewesoła. Violet nie miała pracy, stry' t Matthew nic żył. Stała się posada Tamar była nieodzowna dla rozważania obaw dyrekcji banku. Tamar doskonale rozumiała, dlaczego matka nie chce przyjąć znikąd pomocy. Nie zapomniała również jej wybuchu: „Dość już. dla ciebie zrobiłam!” Chodziło o kwestię honoru.

Mieszkanie Duncana wyglądało tym razem korzystniej. W salonie paliły się trzy lampy, na kominku płonął ogień. Salon, choć nadal zakurzony, był z grubsza wysprzątnięty, a część ułożonych w sterty na podłodze książek wróciła na półki. Również w kuchni, którą Duncan pochwalił się Tamar zaraz po jej przyjeździe, panował nieco większy porządek, choć gospodarz nie był w stanie usunąć do końca wżartego już w to pomieszczenie brudu.

Tamar zwróciła mu białą chustkę do nosa, którą zabrała po poprzedniej wizycie, wyprała, wyprasowała, a potem oparła się pokusie, aby ją sobie zatrzymać. Usiedli na kanapie, dosuniętej bliżej kominka. Dziewczyna podwinęła pod siebie nogi. Spod sukienki wystawały tylko jej chuda kostka i zapinany na guziczki bucik. Duncan dał jej do przeczytania list od adwokata Jean, w którym ten prosił o zgodną współpracę w przeprowadzeniu rozwodu. Tamar miała poprzedniej nocy zadziwiająco plastyczny sen. Zgubiła się w jakimś ogromnym, kolistym hotelu, „wysokim > wieża Babel”. Nie mogła znaleźć swojego pokoju ani na W przypomnieć sobie, na którym znajdował się piętrosko. ZrozpacZOj na. biegła w panice schodami w górę i na dół. obiegała w kolistych korytarzach, odczytywała numery i próbowała otworzyć kolisty korytarz, odczytywała numery i próbowała zamknąć na klucz drzwi. W końcu znalazła, jak jej sięzog właściwy pokój i otworzyła drzwi. Stała w progu małej łazienki, której nie było wody, leżała jakaś kobieta w dłu-^ wann'e'. czarnej siatkowej masce na twarzy. Obok

giej, czenVd°7iała i wpatrywała się w Tamar srogo milcząca ko-wanny S'6 ztanoWyCh włosach i w okularach na nosie, ubrana biela o as. arka jamar zrozumiała w jednej chwili, że kobieta jglc P.ol^nnieprzytomna, a może już martwa, padła ofiarą śmierci - W "zarazy, której wybuch starało się ukryć przed gośćmi teIneJwnictwo hotelu. Cofając się w trwodze od drzwi, zdała ^be nagle sprawę, że ktoś za nią stoi, i zobaczyła wysokiego, s0 deso mężczyznę o jasnych, prawie białych włosach i niebieskich niezwykle jasnych oczach. „To lekarz”, pomyślała najpierw, a potem: „To mój ojciec, Islandczyk!” W następnej chwili wysoki mężczyzna odsunął się od niej i z ceremonialnym namaszczeniem dotknął ręką ścianę korytarza. Ściana rozsunała się i ukazało się wnętrze ogromnej, stalowej szafy pancerniej. Ojciec wszedł do środka i ściana się zamknęła. Tamar jęła tłuc w nią pięściami, jednak nadaremnie. Próbując zinterpretować ten sen, doszła do wniosku, że pielęgniarka była najpewniej jej matką, a kobietą w wannie Jean, ubrana jak na balu w Oksfordzie, w czerni i czerwieni. Obie postaci miały w sobie coś złowieszczonego, spowijała je ponadto aura potwornej nierealności i ohydnej dwuznaczności (tak to Tamar odczuła) sennych mar. Z ojcem było inaczej. Bardzo rzadko ukazywał się jej w snach, a kiedy już, były z niego jakaś czystość, solidność i niewinność, jakby nie był zwykłą, zwodniczą ektoplazmą wytworzoną przez podświadomość, lecz składającym okresową wizytę gościem z 'nnego wymiaru. Pojawiał się zawsze jako mężczyzna wysoki choć ' n'gdy wcześniej (Jako Islandczyk), usposobiony życzliwie, ciąż nieuchwytny. Ten sen stanął jej nagle przed oczami jak adwokkiedy Siedząc na kanaPie obok Duncana, czytała list od że ifi a|a. Jean- Przyszło jej do głowy, po raz pierwszy w życiu,

ilowej 7 tC\* n'e żyje?" Pomyślała. doPuszczął y' ktÓra S'ę Za nim zamknęła- Juz wcześniej  
^^Wa^ d° Siebie myśl» cn°ć nigdy tak głęboko jej nie pragnęła w' ^ ?\*Ca mo§Jo Juz nie °yc  
na świecie. Tak bardzo uszedł do^^- Ze Jeszcze istnieje, że jeszcze gdzieś jest. Może nieJ, aby  
się pożegnać? Dziwny gest, jakim dotknął  
ściany, miał w sobie coś z nastroju tajemniczej ostate-On nic żyje. pomyślała. Ręka, w której  
trzymała list ^ la, a druga dotknęła rękawa marynarki Duncana i Tamar^^ ciała w jego stronę  
pełną przejęcia twarz.

Odebrał od niej list (przyszedł tego ranka) i rzucił na podł Zdawał sobie oczywiście sprawę,  
że wśród różnych krok'^ jakie Jean mogła teraz podjąć, znajdował się i len tak drastycznyT ale  
się go, prawdę mówiąc, nic spodziewał. Nie poszedł do ministerstwa, nie czuł się na siłach.  
Przesiedział cały dzień w do mu. zajmując się. jak to określił, praniem własnego niózoU  
Powtarzał sobie, nie po raz pierwszy zresztą: muszę to przetrwać nie pozwolę, żeby tych  
dwoje mnie zniszczyło! Lecz wizerunek Crimonda. który w pewien sposób chronił go dotąd  
przed poczuciem ogromu doznanej straty, bo pozwalał na zatracanie się w gniewie, teraz  
zbladł, odszedł na dalszy plan. Duncan widział już tylko Jean. która od niego odeszła. Jean,  
jego ukochaną Jean, która z zimną krwią zamierzała położyć nieodwołalny i  
przypieczętowany sądowym wyrokiem kres ich małżeństwu. Jednocześnie zaś poczuł lekki  
podmuch dziwnego ciepła, ciepła, które nic nie wiedziało o końcu miłości i powiało, by w  
nim obudzić niewinne oczekiwania i drobne wspomnienia, na przykład jak wybiegała mu na  
spotkanie, gdy wracał wieczorem do domu, obejmowała go w pasie i opowiadali sobie  
nawzajem, jak mi minął dzień. Byli szczęśliwi. Duncan uparcie ponawiał próby, by „spojrzeć  
prawdzie w oczy". ..uświadomić sobie bez ob-słonek, co się stało". ..dopuścić do siebie  
najgorsze". Tylko jak to zrobić? Teraz, gdy straci! ostatnią nadzieję, mógł się przekonać, jak  
silną wciąż skrycie żywił. Będzie musiał odpowiedzi na list adwokata, złożyć poniżające  
deklaracje, zgodzie się ^ poniżające układy, a wszystko po to. żeby pomóc Jean, -^ nigdy  
więcej nie musiała na niego patrzeć, nigdy w,cc^jnc musiała o nim myśleć. Zrobię to dla niej.  
a potem się ' ^ zdecydował. O Crimondzie całkiem zapomniał. PerS^zarna, nieuchronnej  
straty, jaka otworzyła się przed nim niczym bezdenna otchłań, unicestwiła Crimonda,  
podobnie J wkrótce unicestwi. ^ Ta-

Na przyjęciu z okazji rocznicy spisku prochowego ^ mar za rękę z wdzięczności, a także  
dlatego, bo ^njętej pomniała o zbitym imbryku. Ciepło jej ręki w jego zm  
z nich nie włożyło rękawiczek; Tamar ogrzała sobie dłoni (/ad"^zeni) przyprawiło go o  
dreszcz i przypomniało, jak rękę w klazern na kanapie i przyglądali się sobie po katastrofie  
sjedzieh ra ^apsaj ^Q niej liścik z ponownym zaproszeniem, zimbrykiem^ zapyła(<ł CZY  
widziała się z Jean. Lecz również 1)0 ^, ^że była nieszkodliwa, że był w stanie znosić jej  
współ-i dlatego- ^ Zaś jej wizyta stanowiła bodziec do wysprzątania ""szkania Po  
przeczytaniu listu od adwokata całkiem jednak "Tamar zapomniał, a przypomniał sobie  
dopiero tuż przed umówioną godziną spotkania.

Wciąż oszołomiona po tak niespodziewanym powrocie do brzemiennego w znaczenia snu z  
ostatniej nocy, dziewczyna usiłowała skupić uwagę na przeczytanym liście.

- Myślisz, że Jean naprawdę ma taki zamiar? Sądzisz, że tak się to skończy? A może...

- Tak, tak się to skończy - przytaknął. - Tamar, ja jestem szalony, obłąkany, niebezpieczny dla  
otoczenia. Nie dręcz mnie.

- Och, gdybyś wiedział, jak bardzo chciałabym ci pomóc! Zrobiłabym wszystko, by to się  
dało naprawić...

- Ale się nie da. Wszystko by się jakoś ułożyło, gdyby do mnie wróciła, jak poprzednim  
razem. Ale nic z tego. To się stać nie może... Tym razem to już koniec, szlus!

- Nieprawda! Życie ci się jeszcze ułoży. Ludzie cię kochają...

- Gadanie - mruknął i upił trochę whisky. Tamar kończyła drugi kieliszek sherry. - Widzę  
teraz wszystko w nowym, raczej okrutnym świetle. Wątpię, by ona mnie kiedykolwiek



naprawdę Pew ^atP'ę' by ktokolwiek mnie naprawdę w życiu kochał, zbl' ne, Jest ty"^^ Jedno: teraz nikt nie będzie się mógł do mnie nawet ° ^Wszem' 'udzie przejmują się moim losem, kilku jest powt miłych' lecz nikt mnie nie kocha. Nie kpjij ze mnie,

- Wyświecane komunały!

Miłość 1^°™ td^C^ okropnych rzeczy! Zresztą to nieprawda. wiS2 że nie Przyniesie ci może ulgi, ale jest, istnieje. Mó-siedzę ohV d° cieoie nie zbliży... Możliwe, aleja tu jestem, ok i oświadczam ci, że cię kocham!

, J265\*\*Tamar, proszę!...

Omamcie!

kark 1 wsu S?' Wycia-&nęła ręce, objęła Duncana za gruby, byczy a palce pod ciężką, chłodną masę ciemnych wło-

sów. Zaskoczony, objął ją ramieniem, a ona uklękła i n się do niego, a potem, przekręciwszy się i podciągnaj^"3 rękach, wciąż splecionych z tyłu jego karku, usiadła ^ "a kolanach.

Oddychali szybko i nierówno. Tamar trwała"111 ^ chwilę w tej niewygodnej pozycji, z głową opartą na szorstj? kołnierzyku jego tweedowej marynarki, aż nagle ta bliskość czemuś ich przeraziła, może wyobrazili sobie niejasno że ^ jest dzieckiem, a on ojcem, i odskoczyła jak na sprężynie, uciek la niczym małe. spłoszone zwierzątko w drugi koniec kan skąd wpatrywała się w Duncana z płonącymi policzkami, przyciskając rękę do szybko falującej piersi.

- Ogromnie cię przepraszam - wyszeptła. - Poczulałam po prostu... Kocham cię. nie ja jedna zresztą, i chciałam ci to powiedzieć...

- Chodź tu do mnie - poprosił, zdjawszy okulary. - Chodź! Tamar wyczula nowy. rozkazujący ton w jego głosie i pojęła

jego znaczenie, choć dopiero później zdała sobie sprawę z najwidoczniej nieuniknionych faz ich poruszeń, zaplanowanych niczym ruchy figur w jakiejś dziwnej grze. Uklękła, a potem usiadła obok Duncana. Podwinęła pod siebie nogi i chwyciła się ręką za wystającą spod sukienki chudą kostkę. Następnie złożyła głowę na jego ramieniu, a drugą rękę wyciągnęła za jego plecami na oparciu kanapy. Duncan objął ją tym razem obiema rękami, skłaniając delikatnie do przyjęcia wygodniejszej pozycji. Ujął niezgrabnie wyciągnięte ramię Tamar i podparł ją, a ona, w pół-klęcząc, wtuliła twarz w jego włosy i przywarła ustami do jego rozpalonego policzka. Przez chwilę pozostawali w tej pozycji, a ich serca biły coraz szybciej i mocniej, jedno przy drugim-Potem zamknęli oczy i pocałowali się lekko dwa razy, a potem Duncan wcisnął ją plecami w oparcie kanapy, a sam podciągn" nogi i przez, chwilę półleżeli twarzami do siebie w pozycji rów nie niewygodnej jak poprzednia. ^

- Kocham cię - powtórzyła. - Kocham! Przepraszam-gniewaj się na mnie. dziali

- Ależ nie gniewam się! Ach. dziecko, gdybyś wie jakie ja piekło przeżywałam! -en1,

- Tak ogromnie chciałabym ci pomóc, ale nie Potrat,C'^(/,i,c. że nie potrafię, wiem, że nie

powinnam tu była przyc

chciałam ci powiedzieć, że cię kocham. Wydobądź

^^opiekła'SprÓbUJ-" , sie \*1<? .^j t0. chciałbym cię lepiej poczuć. dieła rozpinany, wełniany sweterek i upuściła na pod-TaITiaDuncan objął ją tak mocno, aż guziki marynarki wpiły ł°Se' 3 . jersj. potem zdjął marynarkę i jedną ręką przygarnął sięwej^ szer0|cej siatki, która niemal rozsadała mu ^^le a drugą zaczął rozpinąć guziczki jej bluzki pod szyją. kOSZ"d 'nieg0 taki żar, że przytulonej dziewczynie zrobiło się co Jej miłość i współczucie dla Duncana zlały się naraz g0 :ne uczucie poświęcenia się, oddania. Leżała zamknięta I niedźwiedzim uścisku, czuła na policzku jego szorstki zarost, a na szyi wielką, rozpaloną dłoń. Po chwili usiadł i pociągnął ją za sobą.

- To bez sensu, na tej kanapie się nie pomieścimy. Co byś powiedziała, gdybyśmy położyli się na łóżku? Pragnę tylko trzymać cię w ramionach i słuchać słów pocieszenia. To raczej ja powinienem cię prosić, byś się nie gniewała.

Obejmowała go, więc gdy nie czekając na jej zgodę, wstał, zawisła uwieszona u jego szyi. a on schylił się i wziął ją na ręce. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie nosił jej na rękach.

- Jakaś ty lekka - zdumiał się. - Jak piórko.

Zaniósł ją do gościnnego pokoju, w którym sypiał od odejścia Jean, i położył na łóżku.

Rozsznurował i zdjął jej buciki, przez chwilę obejmował dłońmi jej ciepłe stopy, potem sam zdjął buty i miział koszulę, położył się obok Tamar i zaczął rozpinać pozostałe guziczki jej bluzki. Leżała na plecach, Duncan położył swoją głowę w zagłębieniu między jej piersiami. Zdławio-

nie, głosem owiewając jej skórę gorącym oddechem, wyszeptał:

~ Wybacz mi.

cham Umieję odszepnela. - Kocham bezgranicznie. Ko-dzieć- o d tego wyPatlku 7 imbrykiem. - Chciała powie-była gotów 13"11680 balu ' bo Przyszło jej na myśl, że już wtedy chowała dla Duncanowi ten wielki zapas miłości, jaki Pominąć k mnego, uznała jednak, że lepiej mu nie przy- (1 Zawsze tamtym wydarzeniu, więc dodała tylko: - Od dawna, Wilgot

namrot 1111 Wargami' przyklejonymi do jej gładkiej piersi

- Pocziwy stary imbryk... Nie miałybyś nic prze mu - zapytał po chwili - gdybyśmy się jeszcze trochę rozegrali? im

Rozegrali się pośpiesznie, jednak nie do naga. Zrzucili i przytulili się do siebie chciwie, dwa ciepłe ciała sn bliskości. 1 a8n, ne

- Nie gniewasz się na mnie? Nie. wiem, że się nie ome Jesteś aniołem dobroci! Jediną istotą na świecie, w której duT' nie czai się zło i piekielny mrok. Ocaliłaś mnie. dokonałaś cud\* Nie wierzyłem, że to jest możliwe. Wróciłaś mi życie, przywra ciłaś światu. Już nie chcę umierać z rozpacz. Czuję chęć do życia. Wróciłaś mi czucie. Czuję miłość, wdzięczność, zdumienie. Czy mnie rozumiesz?

- Rozumiem. Ale to długo nie potrwa. Myślę o nas. Ta chwila szybko minie. Jestem taka szczęśliwa, taka ci wdzięczna... Zrobię dla ciebie wszystko, żebyś tylko żył i mógł być szczęśliwy. Ta chwila szybko minie, ale ty musisz żyć dalej, musisz czuć. Przekonasz się, że nie cały świat jest piekłem. Nie umrzesz z rozpacz!

Po chwili milczenia wyszeptał:

- Kocham cię, dziecino. Ogromnie ci jestem wdzięczny... Nie myślałem, że...

- Cieszę się, że jesteś mi wdzięczny, ogromnie mnie to cieszy. Zobaczysz, co złe. minie. Jean do ciebie wróci. Ja to wiem. Tego najbardziej dla ciebie pragnę. Dlatego do ciebie przyszedłem, po to tu jestem...

Ucisnął jej dłoń. podniósł do ust, ucałował i przyłożył do swego policzka. Po chwili zapytał:

- Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym ściągnął tę kap? i koce? Przesuń się trochę.

Chciałbym, żebyśmy byli jeszcze bliżej siebie. Nie bój się. jestem bezpłodny. Zresztą prawdopdobnie i tak nic z tego nie wyjdzie, chcę cię tylko potrzymać w ramionach. Ach, wybacz mi, Tamar, wybacz... I pomóż mi, pomóż... na Glo\*

Hernshaw znalazł papua. W sklepie zoologicznym . cester Road. Choć bardzo podobna do Zaka, z pewi nie była. Gerard, który przypadkiem tamtędy przecho

/ed witrynę sklepu. Papuga siedziała w klatce po jak wtfW pI je szyby. Przyglądali się sobie uważnie. Ptak był drugiej strn^kojony, potem zawstydzony, a potem spoważniał, zrazu zan^bje Sprawę, z jakim napięciem jest obserwowany. gdy zdał so^ czujnościr przechyliwszy na bok łepki, z jedną St.^W uniesioną. Gerard nie uśmiechnął się. Przyglądał się pa-n0Żka "zułym, smutnym spojrzeniem pełnym czci i pokory, jak-pUdZe °aa była małym bogiem, a jednocześnie miał ochotę po-^ He? „Tak mi przykro, och, jakże mi przykro", jakby miał W1CedZ1sobą'godną najgłębszej litości, niewinną ofiarę. Wymamrotał nawet pod nosem „przykro mi", co miało wyrażać, jak się domyślał, przykrość wywołaną tym, że papuga była

więźniem, siedziała w klatce w Londynie, zamiast fruwać wśród wysokich lasów tropikalnych Afryki Środkowej, skąd pochodzą papugi żako.

Popołudnie było mroźne, padał drobny śnieżek. Prószył wolno, niczym materializacja ciszy, jakby stanowił element jakiegoś rytuału, ustanawiał teren prywatny, objęty w wyłączne posiadanie przez człowieka przed witryną i papugę w klatce. Myśli i uczucia Gerarda zamknęły go w szczelnej kapsule zadumy, z której wnętrza nie słyszał ulicznego gwaru i przestał dostrzegać przechodniów. Myślał o swoim ojcu, kiedy leżał martwy, o jego obcym, woskowym obliczu, ostrym, cienkim nosie, zapadniętych i żałośnie rozchylonych ustach. Myślał o swoim biednym, nieszczęśliwym, nieżywym ojcu, którego obraz będzie odtąd zawsze wywoływał wspomnienie pewnej papugi żako. ^wykluczone zresztą (wielce nawet prawdopodobne), że jego

chci'emeC nada' Ży\*' ZC pizezy\* stareg° Pana Hernshawa. Gerard C«alt0 właśnie przekazać papudze za szybą sklepu, miał zre-^olo3261116, ze m" się to poniekąd udaje. Klatka wisiała dość rwnie. v\Włęc oczy człowieka i ptaka znajdowały się na jednym, stworzWłęCe^ poziorme- Na wystawie nie było żadnych innych c\*one T WsPolczncie i czułość dla uwięzionej papugi, połą-Uczucia m^lancnouJnym poczuciem winy, bardzo przypominały Wszystkie 16 budziły się w Gerardzie, gdy myślał o ojcu, o tym Powiruj b'r° powinni sobie powi edzieć, o uczuciach, jakie °ardz0 iCnV bara"zieJ otwarcie wyrażać. Czy zmarli wiedzą, jak ^\* Wied? °chaliśmy, a raczej czy w i e d z i e l i, bo teraz żadnej nie maJą? Podczas gdy te myśli przebiegały przez

głowę Gerarda, jego ręce podniosły się machinalnie i Wv • w stronę klatki. Poznał w tym zawiązku ruchu wstęp ^ ności. którą jakże często wykonywał: /ara/ otworzy dr klatki Żaka, włoży do środka rękę. a ptak wdrapie się palec i zaciśnie na nim zimne, łuszczaste pazurki. A wt podniesie tę leciutką, leciuteńką. niemal nieważką istotkę ^ °\* jmie ją z klatki, aby ją tulić i głaszać po mięciutkich piórka Na to wspomnienie do oczu Gerarda napłynęły ł/y.

Można by sądzić, że papuga za szybą wystawy zrozumiak co przeżywa wpatrzony w nią człowiek, i podzieliła ze wznj! szeniem jego smutek, pozostając zarazem, niczym serdeczny-lecz spokojny przyjaciel, bezstronnym obserwatorem, który nii tonie w tym samym jeziorze bezdennej rozpacz. Poruszała się' teraz w tył i w przód, przestępując rytmicznie z nóżki na nóżkę, zupełnie tak, jak to zwykł czynić Żak. a potem nagle przestała dreptać i rozpostarła skrzydła - dwa cudowne, regularne wachlarze z szarych i czerwonych piór. Trudno było uznać ten gest za coś innego niż wyraz serdecznej sympatii. A potem ptak starannie złożył i wygładził skrzydła. Wpatrywał się w Gerarda uważnie swymi mądrymi, żółtymi oczami w eliptycznych ob? wódkach białawej, suchej skóry. Wpatrywał się bacznie, z napięciem, jakby chciał zatrzymać uwagę człowieka, podtrzymać łączącą ich telepatyczną więź. A potem przechylił się w przód,-mocnym, czarnym dziobem chwycił pręty, przekreślił się głową w dół i rozpoczął powolną wędrówkę wokół klatki, przez cały czas obracając główkę w taki sposób, by nie stracić Gerarda z oczu. Dokładnie tak samo zachowywał się Żak. Widok papugi, która do góry nogami pracowicie obchodziła klatkę, sprawił, że Gerard się uśmiechnął, pomimo wspomnień, jakie ten obraz w nim budził, a potem na powrót spoważniał i posmutniał.

Rozważał przez chwilę, nim odrzucił kuszącą myśl, że > wejść do sklepu, kupić papugę, wynieść ostrożnie k'atkC'toje ksówką wrócić do domu. postawić ciężki przedmiot na s w salonie (dostatecznie solidnym) i otworzyć drzwiczkvj| przecież zawarł już przyjaźń z tym ptakiem... Było to Je\*|| niemożliwe, wszak w domu (nie od razu to sobie u&i^oxa do którego chciał sprowadzić wymarzoną papugę, mieszka siostra. Przytknął dłoń do szyby, jak najbliżej wiszącej g , w dół papugi, i mocno nacisnął na szkło, chcąc w formie

. o gestu czułości przekazać jej swoiste błogosławień-polowic/n^7cybko odwr5cij wzrok i ruszył pobiegałym od śnie-  
stw°

gu cbodm^1^| jekj-oc już. zapowiadane i wciąż odkładane posie-g^edl^aellschajti na którym mieli postanowić „co dalej”

01 dem i jego książką. Zbierali się tym razem w miesz-1 CnmRose w Kensington. Zwykle spotykali się w domu Gerar-kanlU z°teraz uniemożliwiła to obecność Patricii i Gideona. Ge-

'odmówił siostrze, gdy nalegała, by na miejsce Matthew

czyli do towarzystwa ona i mąż. Przyrzekł jedynie, że podniesie tę kwestię na następnym posiedzeniu. Czuł jakiś niejasny "zapewne bezpodstawny opór przed dopuszczeniem tej pary do ich grona, choć oczywiście wkład finansowy Fairfaxów byłby nie do pogardzenia. Przed czekającym go spotkaniem czuł się dziwnie podenerwowany i rozdrażniony. Przypadło mu niewdzięczne zadanie zatelefonowania do Duncana z pytaniem, czy ma ochotę wziąć udział w naradzie. Duncan naturalnie nie miał na to najmniejszej ochoty, zapewnił jednak, że będzie nadal wnosił ustalone składki. W ich rozmowie zaległa następnie kłopotliwa cisza, aż w końcu Gerard wyraził nadzieję, że spotkają się niebawem w Bojarówce, na co Duncan odrzekł „być może” i odłożył słuchawkę, pozostawiając przyjaciela z uczuciem, że zachował się niestosownie i niegrzecznie. Oczywiście nieraz zapraszał Duncana do siebie, lecz ów nigdy nie skorzystał z tego, prawdopodobnie z powodu Fairfaxów. za którymi nie przepadał, a może dlatego, u towarzystwo Gerarda stało się dlań przykre.

Komitet, pomniejszony brakiem Duncana i Jean, zasadniczo Qez odmieniony (co Gerard obecnie dostrzegał) ubytkiem jego Jenkm'ał zebrac" w składzie czteroosobowym: Rose, Gerard, czas1" \* Gulliver Ashe- Obecność Matthew zapobiegała dotych-

Rose8WrftOWnie""S/'yin wybuchom emocji, na przykład ze strony sWemu ullivcra, którzy w innych gremiach często dawali upust Przez G°bUrZeniU Postawa- Crimonda, i wspierała preferowaną Stary pa"3^' P°ilykc spokojnego, pełnego wahań laissez-fcirc żyj j ernshaw reprezentował tradycję i wyznawał zasadę: awantury c Zyc< innym. Nie widział sensu we wszczynaniu ^ć- Choć? podeJmowaniu kroków mogących do niej prowa-mal°Wany .erard Wszystkim kierował (a nie był kierownikiem • w gruncie rzeczy to Matthew, któremu reszta podporządkowywała się przez grzeczność, nadawał ton komitetu. Gerard przewidywał, że teraz, gdy go zabrakł pójdzie na ostro. Zarówno Rose. jak i Guli, choć z '-Wall(a powodów, pałali żądzą zemsty, dążyli do awantury, postaw^ sprawy na ostrzu noża. ostatecznego starcia. Ta książka -t ^ doprawdy obsesją ich wszystkich! A kiedy już wyjdzie się prawdopodobnie niewypałem. Jak to zwykle: z dużej chmu mały deszcz. Taktyką godną rozważenia (ta myśl już ni światała Gerardowi) byłoby wysłanie z misją poselską JenkhT który i tak spotykał się od czasu do czasu z. Crimondem rozmaitych zebraniach i dyskusjach. Sumiennie (Gerard był teo0 pewien) donosił przyjacielowi o tych „spotkaniach", a Gerard rewanżując mu się podobną delikatnością, nie wypytywał nigdy

0 szczegóły. Wiedział, że tamte kontakty są sporadyczne i przypadkowe, a mimo to odczuwał z ich powodu irytację. Tym bardziej więc nie chciał posyłać Jenkinsa do Crimonda w formalnej misji z obawy, że takie spotkanie mogłoby posłużyć zadzierzgnięciu lub wzmocnieniu serdeczniejszej więzi między nimi. Już wolał tę sprawę sam załatwić. Rose również się do tego skłaniała, ponieważ gorąco pragnęła konfrontacji między nim a Crimoiidem. Miałże się więc uważać za rycerza Rose, wyruszającego do bitwy z jej barwami na drzewcu kopii? To rycerskie porównanie przypomniało mu Tamar. Przynajmniej tę sprawę rozegrał właściwie. Duncan zjawił się na przyjęciu z fajerwerkami i zjawi się też. święcie w to wierzył, na „złocie czytelnicy” w Boja-rówce. I należało to uznać za dzieło Tamar, dobroczynne zarówno dla Duncana. jak i dla niej samej. Duncan. zbyt zawstydzony

1 zgnębiony, by mógł szczerze rozmawiać z Gerardem, znajdzie zapewne ulgę w rozmowach z Tamar, niekoniecznie o swoim „problemie", ponieważ w niej jednej nie widział sędziego, z. lei Tamar, biedne, nieszczęśliwe dziecko, poczuje się pewn>eJ stwierdziwszy, że potrafi budzić zaufanie. Perspektywa wy^ pienia wobec Crimonda w roli harcownika bynajmniej ^eT&^ nie cieszyła. Obawiał się szczególnie wybuchu ostreg° j^jo-po którym, gdyby

zachował się niepowściągliwie lub nielubnie. czułby się zawstydzony, ośmieszony, a na domniemany związek z Crimondem wyrzutami sumienia, wątpliwość i kompletnym zamętem uczuć. Co gorsza, gdyby naprążyć (c. buchła między nimi kłótnia. Gerard uznałby za swój obowiązek

miął naturę, podjęcie prób mediacji, łagodzenia bo tak uczyłby powiewać białą flagą, co najprawdopodobniej napięcie zaczęło się trudniejsze i bardziej niezręczne po-wpędziło y> ^ cjerpień powikłań i źle się czuł, nie mając łóżka a zaczął się bez zarzutu. Ponadto była mu nieodłączna konieczność poświęcenia aż takiej uwagi osobie Crimonda. Miała własny problem, zgoła odmiennej natury, nad którą nie chciała się w spokoju zastanowić, związany z pewnymi etykietkami musiał niebawem podjąć.

Przepraszam, że się powtarzam - gorączkował się Gulliver ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego mamy rok po roku finansować powstawanie książki, z którą się absolutnie nie zgadzamy, na której rękopis nie wolno nam nawet zerknąć, nad którą ten pan mógł już dawno przestać pracować, która wreszcie najpewniej w ogóle nie istnieje!

- Nie przesadzaj! - mitygował go Jenkin. - Ależ oczywiście, że istnieje. Crimond nie jest oszustem, zresztą Gerard miał okazję rzucić na nią okiem...

- Kiedy to było! - prychnęła panna Curtland.

- Cały kłopot polega na tym - odezwał się Gerard - że już nie możemy porzucić Crimonda. Obiecaliśmy go wspierać i klamka zapadła. Daliśmy słowo.

- Wcale nie zapadła - zaprotestowała Rose. - Toż myśmy przecież w gruncie rzeczy zobowiązali do sfinansowania całkiem innej

sprawy, takiej, jakiej on nigdy nie zamierzał stworzyć! Wywiódł go w pole. Nie jest już tym człowiekiem, którego znaliśmy. nym wierzę w Drzemoc- usprawiedliwia kłamstwo! W jednym z artykułów napisał, że prawda musi czasem występować postacią kłamstwa, że gdy słyszy słowo „moralność”, zbiera

Drzewo na młodości, że moralność jest chorobą, którą należy zwyciężyć!

Ależ Rose mówiąc miała na myśli moralność burżuazyj-

- powiedział Gerard.

Tęsknił? - miał „moralność” i kropka. Do tego podziwiał Lawrence'a!

- powiedział Jenkin. - westchnął Gerard.

- Terrorem terrorystów.

to trudno precyzyjnie zdefiniować - wtrącił Jen-

kin. - Zgodziliśmy się już przecież kiedyś, że czasem usprawiedliwiona...

- Skąd my to znamy! - parsknął Gulliver.

- Nie broń go - zaapelowała Rose do Jenkina. - Ja w razie nie zamierzam wspierać finansowo książki, która nuje terroryzm. Mogłyby nas za to spotkać słuszne oskarżenia. Myślano by, że Crimond wyraził nasze poglądy.

- Nie sądzę, by jemu chodziło o... - zaczął Jenkin.

- A skąd my mamy wiedzieć, o co jemu chodzi? - Zap się Gulliver. - Ten gość nieustannie kręci. Rose ma rację, ona odróżnia prawdy od kłamstwa!

- To są stare teksty - zauważył Hernshaw, wskazując kilka artykułów, które Gulliver gdzieś wygrzebał i przyniósł jako materiał dowodowy.

- Crimond już zarzucił te poglądy - dodał Riderhood.

- A niby skąd my to mamy wiedzieć? - zaperzył się Gulliver. - Jego obecne poglądy mogą być zresztą jeszcze bardziej skrajne. Nie mówiąc o tym, iż nie znamy ich dlatego, że objawia je wyłącznie zaufanym! Wy uważacie go, jak mi się zdaje, za oddanego świętej sprawie pustelnika, a moim zdaniem facet należy do dobrze zakonspirowanej, nielegalnej grupy!

- To prawda, że publikuje teraz w obiegu zamkniętym - przyznał Jenkin. - Przestał publikować w normalnych wydawnictwach. Ktoś pokazywał mi niedawno jego ostatni tekst, dość zresztą krótki...

- Czy równie wywrotowy jak te? - zapytała Rose.

- Nie wiem, czy określenie „wywrotowy” jest tu najwłaściwsze, z pewnością nie mniej radykalny... Wyrażał jednak naprawdę głębokie idee. Crimond to myśliciel. Rose! Partyjni aktywiści atakują go wręcz za brak troski o interesy klasy robotniczej

- Zgoda, a więc nie podobają się nam idee tego myśliciel<sup>3</sup>; ripostował Gulliver. - Zresztą wiesz doskonale, że słowa r0^\_ potrafią zabijać! Naturalnie. Crimond nie jest stalinistą. ży do jakiejś obłąkańczej grupy trockistowsko-anarchistyc^^ Zniszczyć istniejący ład, oto ich zawołanie i credo. Każda chaosu jest formą rewolucji!

Spierali się tak już od blisko godziny. Wszystkie aspekty ^ sporu działały na Gerarda szalenie przygnębiająco. Rose już liver byli zaskakująco zajadli. Wyglądało na to, że p° niechęć, wręcz nienawiść do Crimonda. Gulliver nimi oSoblS)^Ibo Crimond (Guli zwierzył się z tego Gerardowi) go nie cierpiedyś w towarzystwie. Lecz nienawidził go także za obrazi! go ^ żarliwość, z jaką bronił własnych poglądów jego teonec'h Dyła niewątpliwie szczerą. Gdy w zapale przecze-politycznyc^\_ ciemne lśniące włosy, otwierał szeroko złotopiw-sywał pa.Crozzymał nozdrza orlego nosa, wyglądał nader intere-^oVak młody idealista gorącego ducha. W pewnej chwili rJrard uśmiechnął się do niego i wyczytał w spojrzeniu Gulli-a "Ięboką wdzięczność. Muszę jakoś pomóc temu chłopcu, ustanowił, ogarnięty nagle wyrzutami sumienia. Czy on czuje do mnie urazę? Mam nadzieję, że nie. Wezbrane emocje Rose (niemal poczerwieniała z oburzenia) Gerard przypisywał nie tylko jej niewzruszonym zasadom politycznym, a szczególnie odrazie do tajnych stowarzyszeń i terroryzmu, ale i upartemu przekonaniu, które często mu komunikowała, on zaś pozostawiał je bez komentarza, że Crimond jest jego wrogiem i może go pewnego dnia skrzywdzić. Oburzenie Rose wynikało ponadto z jej szczerego przywiązania do Jean. Panna Curtland gniewała się na starą przyjaciółkę, a zarazem bardzo o nią bała, a za sprawcę obutych deprymujących uczuć uważała Crimonda. Gerard i o tej kwestii nigdy z nią nie rozmawiał. Czy Crimond jest istotnie moim wrogiem? - zastanowił się. Nie byłoby to przyjemne. Odczuwał przygnębenie również i z tego powodu, że Jenkin wykazywał w trakcie dyskusji wyraźną skłonność do usprawiedliwiania Crimonda. Gerard przyjmował dotąd za pewnik, że Poglądy polityczne jego i przyjaciela są mniej więcej zbieżne. do°0 ^zie, jeśli wyjdą teraz na jaw naprawdę istotne i trudne tak P°80dzema światopoglądowe różnice między nimi? Gdyby 10|S,C sta\*0' czułby się zobowiązany konsekwentnie je drażyć, że g"3' Ch°Ć ty^° hip°letyczna możliwość zerwania sprawiła, Doszedł ^ ^ zastanawiać, co by się stało, gdyby Jenkin nie do °tWarcie na stronę Crimonda. Nie, to było stanowczo ^gruncj3^^611'11' ^łownym powodem irytacji Hernshawa był n'e Wyraz rZeczy agresywny nastrój członków komitetu oraz ich dranjern °ny wProst postulat, by poszedł i „rozprawił się” z tym e Wychodź ^^tym st°le z pałisandru. Okna mieszkania Zlty na mały, kwadratowy, ogrodzony ogródek. Za-

nim gospodyni zaciągnęła zasłony, przez gałęzie nagiCri przeświecały jasne okna domów / naprzeciwka, układ\* ^ wzór złotych prostokątów. Śnieg nadal prószył. Minęła'-0 i w salonie zapalono lampy. W mieszkaniu było ciepło'^ i parasole gości, już odtajałe i suche, leżały w stercie° ^

demnastowiecznej skrzyni w przedpokoju. Mieszkanie'^ ^ godne, choć trochę zapuszczone, polne rozmaitych drobiaz ^ pochodzących z irlandzkiego domu dziadka panny Curtland 1 strony matki. Po śmierci Sinclaira Rose oddała artystyczne c kryształły z Watertord. osiemnastowieczne srebra, obrazy Lave' ry'ego i Orpena kuzynom z Yorkshire. Sama czuła się wtedy jak martwa i zapragnęła usunąć ze swego otoczenia wszystko, co miało w przyszłości ozdabiać dom jej brata, a potem przypaść jego dzieciom. Chciała się pozbyć podstępnych pamiątek, okrutnych drobiazgów, sobie pozostawiając jedynie bezdenną, bezgraniczną rozpacz. To było. jeszcze zanim cudownym zrzędzeniem losu trafiła do łóżka Gerarda. Byliśmy oboje w szoku, tłumaczyła sobie, kompletnie rozbici psychicznie i nie

poskładani. Przypominaliśmy drewniane kukiełki, nie zmienione jeszcze w żywych ludzi. Ich romans był na wpół nierealny, a Gerard zapomniał o nim równie łatwo, jak zapomina się sny. Czy w ogóle go zapamiętał? - zastanawiała się czasem. Gdyby tamto mogło im się przydarzyć wcześniej... Nie. wcześniej nie mogło... Gdyby później... Później się nie przydarzyło. Minęło kilka lat. zanim Rose wróciła do względnej równowagi ducha i mogła sobie coś kupić, cokolwiek, choćby ubranie. Meble, jakie zachowała, głównie po przodkach z Irlandii, gdzie nie miała obecnie żadnych bliskich krewnych, były. owszem, ładne, ale zaniedbane, niewygodne, uszkodzone, porysowane, poplamione, częściowo połamane. Mahoniowy bufet nosił liczne rysy, sekretarze brakowało nóżki, na stoliku z palisandru widniały kręgi po kieliszkach od wina. siedemnastowieczna skrzynia w przedpokoju, na której odtajała palta jej dzisiejszych gości zażywały ciepła centralnego ogrzewania, straciła boczną plyninę. zastąpioną prymitywną wstawką z dykty. Rose nosiła się kiedyś z zamiarem wyiożenie łazienki dywanem i wyprania zastół. Miała zamiar "zająć meblami. lecz. stale to odkładała. Jej życie było zbyt pryncypialne, takie życie „na walizkach”, nieustatkowane, w o nim od życia większości ludzi. Prawdopodobnie było już

• W tym się martwić. Neville i Gillian, dzieci ku-22 P6, którzy mieli po niej dziedziczyć, besztali ją czasem, z ostrością. Należy stołu, nie odnawia skrzyni. Młode nie Polltura: a schedę. Któregoś dnia im przypadnie troszczyć się \* anawiam się. czy on nie jest po prostu szalony - ode-  
Co też ty mówisz! - oburzył się Jenkin. - Jeśli zaczniemy straszyć jego Schrecklichkeit i nazywać go szaleńcem, przegniemy dosięgać jego myśli i  
I opowiedział się po stronie zła - upierała się przy swoim. - To tyran' a ja nienawidzę tyranów. Człowiek niebezpieczny, gotów kogoś zabić.  
- Uspokój się, moja droga - mitygował ją Gerard. - Za młodu wszyscy byliśmy marksistami...  
- I co z tego... Zresztą ja nie byłam! To spiskowiec. Nie wierzę, żeby był myślicielem samotnikiem lub należał do jakiejś małej grupki postrzeleńców... Uważam, że jest zaprzysięgłym, zakonspirowanym komunistą.  
- Nie bronię go też bezkrytycznie - wyjaśnił Jenkin. - W gruncie rzeczy nie wiem, co naprawdę myśli. Może gdybym wiedział, odrzuciłbym to z odrazą. Najpierw jednak musimy to ustalić. On jeden nie przestał łamać sobie głowy nad problemami świata. Myśmy przestali. Trzeba mu to oddać...  
- Co za bezdennie głupi argument!...  
- Przymknij się, Guli, nie przerywaj mi. Crimond się nie leni, US1\*uje °bjąć to wszystko rozumem. Wierzy, bądź wierzył, że uda mu się stworzyć syntezę...  
~ Dzieło, na które czeka nasz wiek!  
~ wtedyśmy się z niego nie śmiali...  
„r, „Takie epokowe dzieło jest dziś po prostu niemożliwe -°rzek» Gulliver.  
jes^3' Sk0r° tak dzisiaj myślimy zapytajmy, dlaczego zohjj S ' Straciliśmy odwagę i zapał!  
Historia wyznaczyła na nią, y Prawdy bohaterskich dysydentów walczących z tyranem tyII.ąCyn w więzieniach, nie nas... Brakuje nam odwagi, winmś ym nikt nikogo nie prześladowa za poglądy. Po-wie, J Włec Przynajmniej próbować myśleć o społeczeń-anawiać się nad jego przyszłością.  
- Istotnie, ale... - zaczął Gerard.  
- Crimond twierdzi, że nadszedł koniec tego społeczeń-° przerywała mu Rose. - Oświadczył, że chce zniszczyć ten '1-1\*3'\* mając na myśli nasz świat.  
- Nie rozumiem, swoją drogą, co stoi na przeszkodzie jawnie oczywiste śmierdzące tchórzostwo, byśmy i my stali^ bohaterami? - zapytał Gulliver.  
- A ja myślę, że Crimond jest samotnym myśliwym - pod-. Jenkin. - Uważam go za prawdziwego romantyka, za idealistę

- Utopijny marksizm prowadzi prostą drogą do najohydniej-szych prześladowań! - stwierdził Gulliver. - Wizytówką naszego stulecia pozostaną zbrodnie Hitlera i Stalina. Nie można tolerować obłudnej gadaniny, że komunizm jest w gruncie rzeczy cacy wystarczy go tylko mądrzej wprowadzać w życie!

- Nie wściekaj się na mnie - poprosił Jenkin. - Chciałem tylko powiedzieć, że marksizm w wydaniu Crimonda jest przynajmniej utylitarystyczny. Jemu naprawdę leży na sercu cierpienie, nędza i niesprawiedliwość. Podobnie jak Kościołowi katolickiemu w Ameryce Południowej. Ludzie zdali sobie wreszcie sprawę, że tak naprawdę liczy się tylko ludzkie nieszczęście.

- On chce zniszczyć nasze społeczeństwo i zaprowadzić rządy monopartii - stwierdziła Rose.  
- Trudno to nazwać metodą walki z niesprawiedliwością!

- Rose ma rację - podchwycił Gulliver. - Demokracja oznacza, że akceptujesz spory, kompromis i samolubny indywidualizm. Crimond brzydzi się samym pojęciem jednostki, indywidualum. Jest purytaninem. nie ma w nim za grosz romantyzmu. Reprezentuje nowy. złowrogi typ fanatyka. Chwali horrory, bo w tych filmach widać, że pod miłą fasadą społeczeństwa burżuazyjnego czają się przemoc, okrucieństwo i zbrodnia, i 10 one wyrażają istotną o nim prawdę.

- Myślę, że pora zamknąć to zebranie - westchnął Gerard. Nagadaliśmy się wszyscy do syta. Każdy powiedział, i to kilka razy, co leży mu na wątrobie...

Jenkin wyglądał na przygnębionego. Rose na bliską płacz.

- Musimy się z nim rozmówić, wyjaśnić sobie to i rzekł Gulliver. - Ktoś to w końcu powinien zrobić. Co do umyłam ręce.

- I ja - oświadczył Jenkin.

'de z nim powinien oczywiście Gerard - przesyła Spotkac się

??!á R°see sp0tkam się z Crimondem - zgodził się Hern-

- D°b(Jjednak w końcu postanowiliśmy.

ShaWMoże ktoś ma ochotę na kieliszek sherry? - spytała gospo-

dy!U cy wstali. Jenkin oznajmił, że musi już zmykać. Zerknął rarda i w krótkiej wymianie spojrzeń przekazali sobie tele-03 Geraie że nie czują do siebie urazy. Gulliver, który nie władał SoCdarem telepatii, był ożywiony i kontent z siebie. Został rprzyJaJ drugi kieliszek sherry.

\_ Może należałoby opłacić temu panu przynosiny do Australii? - zaproponował.

\_ Biedni aborygeni! - westchnęła Rose.

- Ba, gdybyż to było takie proste - mruknął Gerard.

- A propos - przypomniał sobie Gulliver. - Lily Boyne wyznała, że chętnie dołączyłaby do naszej małej cosa nostra. Wiecie, że nie jest głupia i ma dobrze poukładane w głowie. Miałem wam wcześniej powiedzieć, ale całkiem wyleciało mi z pamięci.

- Jeśli ma dobrze poukładane w głowie, powinna raczej trzymać się od nas z daleka! - zadrwiła Rose.

- Oczywiście miałem na myśli jej poglądy polityczne. W każdym razie przekazałem wam jej życzenie.

- Psiakość - mruknął Gerard - zapomniałem wam wspo-mnjeć, że moja siostra i szwagier też chcą się do nas przyłączyć.

kó~ ^° ^CSt naJw'a^clwszy moment na nabór nowych człon-- orzekła Rose. - Przynajmniej dopóki sami nie wiemy, na czym stoimy.

rknęła na zegarek i Gulliver oświadczył zaraz, że niestety mUS,JuZ pędzić.

rardaSłUCH^~ zwrocita S'Ç do niego Rose - słyszałam od Ge-doroc'2ne miałbyś ochotę przyjechać do Bojarówki na nasze Prosihm Spotkanie czytelnicze. Serdecznie cię zapraszam.

Za-

^^^ i " I r\



awyjedzeni m&c, którym pociągiem przyjedziesz,

- Łyzw 9 ^° c'eD'e na stację. I weź ze sobą łyżwy. No tak T -i •

Słuta lodem doPiS7-e nam szczęście, łąka zalewowa będzie

Po wyjściu Gullivera Rose i Gerard usiedli po obu kominka, w którym zainstalowano grzałki elektryczne

- Czy to nie dziwne, że Lily pragnie do nas dołąć zagał rozmowę Hcrnshaw.

- Chce w ten sposób wejść do rodziny.

- Więc my stanowimy rodzinę? No cóż, przyjdzie si zaopiekować.

- Guli bardzo się ożywił. To miły chłopiec.

- Owszem. Do tego przystojny.

- Mój drogi, bądź ostrożny podczas spotkania z Crimondem1

- Obiecuje. Ale założę się, że choćbym był najspokojniejszy pod słońcem, on będzie jeszcze spokojniejszy. Cóż to, kochanie ty płaczesz?

Podniósł się, przysunął fotel do fotela Rose i objął ją ramieniem. Zarumieniła się. Dotknął jej wilgotnego policzka i stwierdził, że jest rozpalony. Oparł głowę przyjaciółki na swoim ramieniu. Poczul muśnięcie zimnych włosów i przypomniał sobie; o papudze żako. która o tej porze spała już na pewno w swojej klatce.

\_ Dobrze spałeś? \_ Dobrze, a ty? \_ Doskonale.

\_ Dlaczego ludzie - zainteresował się Duncan - pytają zawsze jeden drugiego, czy dobrze spali, mając po prostu na myśli, czy w ogóle spali? Toż człowiek może spać jak suseł i mieć okropną noc. Sen może być dobry lub zły.

- Masz na myśli marzenia senne? - spytała od drzwi panna Curtland.

- W ogóle sen.

Nikt nie okazał ochoty do drażenia tego tematu ani chęci, by dociekać, z jakiego snu, dobrego czy złego, obudził się Duncan.

Wstępne kwestie w powyższej rozmowie wymienili Guli i Lily, a działo się to przy niedzielnym śniadaniu, pierwszym śniadaniu tegorocznego „zlotu czytelniczego w Bojarówce”, dla Lily zaś i Gulla, którzy nigdy dotąd w domu Rose nie gościli, ich Pierwszym w ogóle spożywanym tu śniadaniu, które dawało im Ponadto pierwszą w istocie okazję przyjrzenia się otoczeniu, podważ, podobnie jak reszta gości, zjechali poprzedniego wie-z<sup>o</sup>™ juz po ciemku, prosto na kolację.

Pozost<sup>1</sup>^6 ^°Se PrzyJecna\*a poprzedniego dnia wcześniej od ^jaca^0\*1' n'e P° to" ^  
cokolwiek nadzorować. Jej sta-P^azaLT SIUZąca (młocla dziewczyna z fotografii, którą Duncan Służąca R3mar) Jak zwykle przygotowała wszystko nienagannie, a pieszcz Ose' córka ogrodnika, miała właściwie na imię Annie,

d°stałaC0dtliWe zdrot)nieme' ktorc 00 meJ w koncu przylgnęło, Sw°Jego° Sinclaira- kiedy ów, jeszcze jako dziecko, śladem fąrosyjskraTatlZiaŁlka Przccnocl7ił okres zafascynowania kultu-Wymyślił Cn SUM Prz°dek, z powodów nie do końca jasnych, nazwę „Bojarówka”.

Dlaczego nie Carogród? - zżymał

się Sinclair. Panna Curtland przypuszczała, że nazwa zaczerpnięta z Tołstoja via ..Ou soin les Rovers?- K(s°S'a'a jechała wcześniej po prostu dlatego, by zaczerpnąć - 6 Pl7y" powietrza, rozejrzeć się. wejść w rolę „bojaryni”, wreszc^86 stanowić się. nie po raz pierwszy, dlaczego częściej nic - ^ ^ do tego domostwa?

Gull i Lily przyjechali razem pociągiem. Tamar sama, in., pociągiem, a panna Curtland witała wszystkich na stacji. Dun^ przyjechał samochodem. Gerard, jak zwykle, przywiózł ze sT Jenkina. Patricia i Gideon, którzy zdawali się trwać w złudzę że byłiby tu zawsze mile widzianymi gośćmi, poinformowali ku ogólnej uldze, że przyszła pora na ich coroczny wypad do Wenecji. /. przyczyn, których nikt jakoś nie usiłował zgłębiać prawie nigdy nie odwiedzali Bojarówki.

Gulliver zszedł na śniadanie pierwszy. Zjadł gotowane jajko. Duncan posilił się jajecznicą na bekonie, nabierając ją z płytki grzejnej, stojącej na bufecie. Gulliver czynił sobie wyrzuty, że niepotrzebnie zawraca! Annuszcze głowę, by mu jajko ugotowała. Ponadto ponieważ stwierdził, że wolałby jednak jajecznicę. Mimo to czuł się nie najgorzej, gdyż miał na sobie swoją najlepszą granatową, dwurzędową marynarkę. Gerard zjadł plasterek bekonu na grzance. Jenkin usiadł przy bufecie i raczył się jajecznicą na bekonie, kielbasą, grzankami i pieczonymi pomidorami. Dawniej podawano również cynadry i risotto z ryb. Lily zjadła tost z agrestowym dżemem domowej roboty. Tamar skubnęła kawałeczek tostu i zaraz się ulotniła. Wszyscy pili kawę, z wyjątkiem Lily, która poprosiła o herbatę. Rose, która wstała skoro świt, a nigdy nie jadała śniadań, wypila swoją pierwszą herbatę z Annuszką. Teraz kręciła się jak fryga, ani na chwilę nie przysiadając wśród gości. Objąsniła nowicjuszom rozka domu i podała różne nietrudne „trasy spacerowe”. W domu nie brakowało miejsc, gdzie można było przysiąść i poczytać (oś» tecnie taki był cel tych zjazdów). Goście mieli do dyspozycji salon, jadalnię z uroczym siedziskiem w niszy okna, Pokój lardowy (niestety, przykro mi, ale z bilardu nici: mole dają się do sukna), gdzie można też było posłuchać płyt - czy bibliotekę (książki można z niej wynosić bez ograniczeń) i gabinet (panna Curtland obiecała go nie okupować). Co ciekawe, najlepiej trzymać się utartych drózek i ścieżek, a nie awna w ramkę mapka okolicy. Można na przykład nieciekawie wyjść do lasu, choć leśna ścieżka jest - a Uć nad rzeką - „Amor i wzdłuż niej. no i oczywiście pójść na a rzymską drogę i wzdłuż niej, no i oczywiście jość /ar°Sns liłat nazwę Foxpath). Owszem, znajduje się tam pub \*S1 biedzi Rose udzieliła na pytanie Guliwera „Pod Szczu-• .°dP'WNazwa odnosiła się oczywiście do ryby, a nie do susa pakiem • ekscentryczny właściciel pubu wywiesił tablicę

r7VnUraj. 3 nr... 1v.I\_\_\_\_.•l^WU nm.n.rnłomi

do wsi (tej

°Zy i tnijącą powstanie Wata Tylera, został szybko przywołany 3Lwku przez opinię publiczną. Oczywiście wszyscy goście przywieźli ze sobą książki, choć nie wszyscy byliby skłonni ogłaszać lub omawiać swój wybór. Duncan przywiózł dwie opasłe publikacje rządowe, Gulliver tomiki wierszy Lowella i Berrymana (zapowiedział, że podczas pobytu w Bojarówce też będzie pisał wiersze), Lily wzięła ze sobą przewodnik turystyczny po Tajlandii, Gerard Ody Horacego i tom Plotyna w wydaniu Biblioteki Klasyków Loeba, Rose przywiozła Daniela Derondę, Jenkin Oksfordzką antologię poezji hiszpańskiej, gramatykę języka portugalskiego i książkę jakiegoś jezuitę pod tytułem Socjalizm a Nowa Teologia. (Dwa ostatnie tomy starannie ukrywał przed Gerardem). Tamar najwidoczniej nie przywiozła żadnej książki, zaszyła się jednak w bibliotece, gdzie obiecywała sobie jakąś znaleźć. „Stali bywalcy” odczuwali, choć nie mówili tego głośno, brak Jean. Jej kpinki i wieczne żarciki dodawały pikanterii „złotom w Bojarówce”, którym bez domieszki humoru groziło popadnięcie w przesadną już powagę. Rose Przewidywała, że Guli i Lily setnie się wynudzą. Ledwo wstali od śniadania, zaczął padać śnieg, początkowo „”-””zdecydowanie, drobnymi płatkami, teraz już puszysty. Pola, ^w«eśniej, p0 poprzednich opadach, białawe, całkiem pobiela-but °Se.Zapowiedziała nowicjuszom, żeby wzięli ze sobą ciepłe tylko” Ciepłe Pul°wery do noszenia, w razie konieczności, nie eJonowT dWOrze' ale ' w domu. Co prawda, w Bojarówce funk-się dr^0 centrame ogrzewanie, ponadto przez cały dzień paliło wSypialnem w kominkach w pomieszczeniach ogólnych, ale rością w m°gło być wieczorami (jak z rozbrajającą szcze-

- czvTif & g0sp°dyni) zimniutko.

- Tak Zalewowa zamarzyła? - zapytał Gerard. ^iedłup^ Sąđ?ę ~" odrzekła Rose. - W każdym razie powinna.

° P°Jdę i sprawdzę.

Gerard i Rose, wytrawni łyżwiarze, trzymali tyżw w Bojarówce. Oboje nic lubili sztucznej atmosfery lodowisk. Jenkin nie umiał jeździć na łyżwach, ale lubił głądać się łyżwiarzom. Duncan ani sam nie uprawiał te<0 s \*H ani nic lubił obserwować wyczynów na ślizgawce T, zgawce.

a dotyczyło to również Jean. łyżwiarki znakomitej, że łyżw^ się zawsze popisują. Tamar, co prawda, umiała jeździć zapomniała wziąć łyżwy. Rose sądziła, że para starych \y^. Annuszki powinna być na nią dobra. (Annuszka, niegdyś wT śmicnita łyżwiarka. obecnie już ten sport zarzuciła). Lily OzniT miła, że kiedyś się trochę ślizgała i mogłaby od biedy spróbować Gulliver powiedział, że owszem, potrafi jeździć na łyżwach. Nie przyznał się jednak przed nikim, nawet przed Lily, że swoje pierwsze w życiu łyżwy kupił ledwo wczoraj, specjalnie na tę okazję. Prawie cały poprzedni ranek nacierał błotem nowiuteńkie łyżwiarskie buty. chcąc przyćmić blask ich nowości. Szarpnął się nierozsądnie na znaczny wydatek, choć wciąż pozostawał bez pracy.

- Spójrz, Rose - zawoła! Jenkin - po bufecie spaceruje boża krówka! Co z nią zrobimy, posadzimy na te roślinki? Mam ją złapać?

- Ja to zrobię. Wyniosę ją do stajni. Biedronki wciskają się jesienią w różne otworki w lesie, skąd na wiosnę wylatują. Zadziwiające, jakie są wytrzymałe!

- Przeżyją bombę atomową - stwierdził Jenkin. - Zawsze to jakaś pociecha.

Rose wyjęła z kredensu kieliszek do wina i złapała do niego biedronkę.

Do pokoju wszedł z wyprężonym ogonem biały kocur w sza robure prążki. Rzuciła się nań zaraz Lily.

- Rose, jak ma na imię twój kocio?

- Myszobój - odparła panna Curtland. Prawdę mówiąc, imię kota brzmiało Myszobój Wrzosowaty. ale Rose nie c-aż takiej zażyłości z Lily. żeby ją wtajemniczać we wszy tajniki domu.

- Zabawne imię!

- Poślizgamy się po południu? - zapytał Gerard. hjOpCy,

- Naturalnie - odparła Rose. - Do południa wy, c trochę popracować. Spójrzcie, jak sypie! Pogoda od ^ mały"-

spizowej m "r7VL u czorta? - zastanowiła się Lily, usiłując

r> to ma zna^/j • Rolnic krąbnego Myszoboja.

o śniadaniu Duncan wrócił na górę do swojej sypialni. ^liPspierali się tymczasem, czym wypełnić dzień. Łóżko P°ZOStaeśniej posłał. Annuszka łózek nie słała, co swoim go-Już W°^ale przypominała Rose. W nocy, w blasku kominka. ŚCkój wydał mu się całkiem przytulny. Obecnie ogień wygasł, spokoju panował ziąb. a ruchoma kurtyna śniegu za oknem okrywała wszystko szarością. Duncan nie został umieszczony w pokoju, który zwykle zajmowali z Jean. Rose przeznaczyła dla niego (świadomie, powodowana uczuciem taktu) mniejszy pokój na tyłach domu. skąd roztaczał się, jej zdaniem, ładniejszy widok. Duncan uznał widok za co najwyżej inny, był jednak zły, że dano mu mniejszy pokój, i to bez łazienki. Przyglądał się krajobrazowi przez irytująco małe, romboidalne szybki osadzone w ołowianej kratownicy spiczastego gotyckiego okna w stylu Strawberry Hill, w jakim został zbudowany ten fragment domu. Współczuł pradiadowi Rose, który przebudował (czy raczej zepsuł w barbarzyński sposób) fronton gmachu, przerabiając pseudogotyck na solidny styl edwardiański i dodając bez-stylową, za to użyteczną przybudówkę. Otworzył okno dla lepszego widoku, lecz musiał je spieszenie zamknąć, gdy lodowaty podmuch wiatru chlasnął go w twarz płatkami śniegu. Okno sypialni wychodziło na trawnik za domem i ogród, na iglasty zagajnik, gąszcz rozrośniętych krzaków, opleciony pnącymi ró-an"11 ,mUr Warzywnika. las i łagodne, falujące wzgórza typowej skie \* WS" W °ddali widniała jakaś

farma i odcinek rzym-fraor^elFaktU' Proszę Jak strzelił, ciągnący się całymi milami wija^ent słynneJ rzymskiej drogi, która w tych stronach przędny'f^"702 Wzgorza ' doliny, stanowiąc swoisty punkt orien- ' zymska droga już dawno utraciła status drogi głównej.

^'garnego ^1^nkey w<-'ather" - dopuszczalny w towarzystwie skrót nieco the ballyni^cni n'> określenie siarczystego mrozu: „it's cold enough to °dnio7-S- °if 3 l>rass nionkey"" (taki ziąb, że nawet spizowa małpa może

Jaja).

Główna droga, ważna lokalna arteria, choć nie autostrad dość daleko od Bojarówki, po drugiej stronie rzeki " 3 Duncan, który w towarzystwie przyjaciół zapomniał rr o swojej udręce, wrócił obecnie do jej rozpamiętyWan;a zf^0 zjadł na śniadanie i czuł się niezdrów. Niezdrów na ciele ' Zapowiedział poprzedniego wieczoru, że będzie musiał w-l-w niedzielę skoro świt, żeby się przygotować do jakiegoś-nego spotkania. Wcześniej miał zamiar w ogóle do Boi ^ nie przyjeżdżać, ale uznał, że powinien się pojawić, aby nj stwarzać pozoru, że unika Tamar. Teraz tamta obawa wydała ^ się śmieszna. Dlaczego ktokolwiek miałby sądzić, że pan llnrshaw unika? Z jakiego niby powodu? Te rozważania stano- ' wiły miarę wyrzutów sumienia, jakie go nękały po tym, co zaszło - tak nagle, tak niespodziewanie - feralnego wieczoru Dziś już niemal nie pamiętał, jaki stan umysłu, jaka nagłą, rozpaczliwa potrzeba ukojenia skłoniła go do wzięcia w ramiona tej dziewczynki, tego prawie dziecka. Nie sądził, by powodowała nim żądza, już raczej zwykle, nieodparte pragnienie miłości, kobiecego ciepła, znalezienia się w objęciach kobiety i usłyszenia, jak mówi: „Kocham cię i zawsze będę cię kochała". Miał wrażenie, że Tamar wyszeptwała do niego wtedy: „Będę się tobą opiekowała, będę cię strzegła, ulecę twój ból. ochronię cię przed światem, uczynię niewidzialnym i będziesz już. zawsze zupełnie bezpieczny". Niewykluczone zresztą, że coś podobnego istotnie powiedziała. Byłem tamtego wieczoru kompletnie zalany, mówił sobie. Musiałem być w sztok pijany, żeby się tak zachować. Czy byłem wstrętny, brutalny, odrażający? Wtedy nie sprawiała wrażenia, by tak mnie postrzegała. Jakkolwiek bym się zachował, byłbym i tak kochany. Lecz. co czuła później.' Duncan niechętna dopuszczał do siebie myśl. że Tamar mogła widzieć w nim obec nie tylko pijanego brutala. Z trudem jednak przychodziło mu «? uwierzyć, by go naprawdę kochała. Co by to bowiem znaczy ło. co mogłoby spowodować? Jakimi słowami miałby jej P0^ dzieć. że jest jej niezmiernie wdzięczny, ale to. co nvCii7^^,ti. zaszło, było tylko przelotną przygodą, ponieważ on nie o ^ jemnia jej miłości. Co dzisiaj czuł do Tamar, do małej. mCJ\*"p0(j-Tamar, która czesała się jak uczennica i miała chude n"glsobg. lotka? Ona wie. powinna wiedzieć, że nie byłem wte y ^ Byłem w szoku, dopiero co odebrałem ten list od adwokata

• • że potraktuje to jako okoliczność łagodzącą. Bo-Mam aai?ie\$lliem postąpić tak głupio, musiałem jeszcze i to na że, c# mU^ć? Mam już samego siebie powyżej uszu, nie mogę siebie ściągn'1 ^ żg tQ wina Qna była jnjcjatorką, na siebie pa^jobnego naWet do głowy nie przyszło! Flirciara. nlnie by c0 ^ potworny pech!... Ależ ze mnie nikczemny, kusicielka-ndziwy człowiek. niegou j nr7VVSZedł jeszcze do siebie po liście od adwokata, Duncan mc p""-r- ..

ie tak przeprogramował swój umysł, że ow list nie oznaczał •^wyroku śmierci ani całkowitego pogrzebania nadziei. Zawdzięcza\* to częściowo rozmowie, jaką nazajutrz po wizycie Timar odbył z Gerardem. Pokazał mu list i wspólnie go omówili. Duncan odczuł ulgę, mogąc choć ten jeden raz (zupełnie się ostatnio nie palił do spotkań z przyjaciółmi) porozmawiać z Hernshawem, choć drażniła go jawna satysfakcja, jaką ów najwyraźniej czerpał z tej rozmowy. Gerard uwielbiał układanie bilansu za i przeciw, plusów i minusów. Nadal uważał się za przywódcę grupy, uzdrowiciela, który sam nigdy nie miewał kłopotów i dotąd zachował młodość, podczas gdy Duncan stał się ociężały, pomarszczony, zdziażdżały i stary. Nawet jego ciemna czupryna, choć nadal gęsta i falująca, przypominała raczej

nasadzoną na głowę niezgrabną perukę, gdy tymczasem kręcone włosy Gerarda lśniły jak u młodzieńca. Duncan uważał oczywiście te swoje refleksje za głupie, równie śmieszne jak całkiem dlań nowe uczucie zazdrości o Jenkinsa, jak gdyby ów, kręcąc się stale w pobliżu, przeszkadzał mu w swobodnej rozmowie z Hershawem. Jednak stara przyjaźń nie rdzewieje, co potwierdza się teraz w ich przypadku. Gerard podsunął Duncanowi, wcale nie wydobyt z siebie, że list adwokata nie oznaczał swego zerwania. Niewykluczone zresztą, że był kochankiem. Duncan krokiem, który Crimond nakazał wykonać dla zasady. Duncan nie powinien stwarzać wrażenia, jacyś zamiary Jean poważnie. Zainspirowany przez przyjmiem, że przyjął jego list z najwyższym się jej, że nie chce rozwodu, kocha swoją żonę i spodziewa

-Powiedz mi, na ten list nie dostał od adwokata Jean

Jaki jest? Gerard uznał to za pomyślny znak. Duncan stał przytęskniwszy do znaków i próżnych nadziei, kiedy tymczasem do szpiku kości zepsuty, zmienił się

god. gruntownie, jest teraz człowiekiem przegrany, pod tym pogardą? Czy ktoś tak potwornie upokorzony, jeszcze podnieść, zdobyć na powrót szacunek nie? Wszak w miłości, lub choćby tylko liczyć na przebaczenie? Za to, że upadł tak nisko? Nie miało tu sensu odwoływanie do zwykłej, ludzkiej sprawiedliwości. Czy Jean mogła stać w głowie myśl, by do niego wrócić? Gdyby Crimond z nią zerwał, pojechałaby najpewniej do ojca. a zresztą świat stanąłby przed nią otworem. Była odważna, w przeciwieństwie do Duncana. gotowa iść pod lufy z odsłoniętą piersią Nie wróciłaby do męża na kolanach, znalazłaby sobie jakieś nowe frapujące zajęcie. Toż była wciąż, młoda. Podobnie jak Crimond Duncan śnił nocami, a potem coraz częściej obsesyjnie wracał na jawie do tamtych zamierzonych, zdawało się, czasów, gdy powstał i ukształtował się na wieki mit jego porażki, jego upadku. Przypominał sobie tamten cios, a potem runięcie ze schodów, przypominał sobie głos Jean, taki sztuczny, fałszywy, kiedy wołała go z dołu. a on stał w ich sypialni z kłaczkiem rudych włosów Crimonda w garści. Tego Crimonda, którego wysoka, szczupła i biała naga postać panoszyła się w jego snach i fantazjach na jawie, świecąc mu hardo w oczy chabrowym spojrzeniem. Duncan miał obsesję na punkcie swego rywala, podobnie jak na punkcie żony; do obojga był przykutym równie mocno i nierozdzielnie.

Od czasu, jaki upłynął od ich spotkania, nie kontaktował się z Tamar ani nie miał od niej wiadomości. Zastanawiał się, czy nie powinien wysłać do niej ostrożnego, sondującego listu, uznał jednak, że lepiej nie zostawiać śladów na papierze. Już lepiej zamilczeć. Pograżą się oboje w milczeniu, nie zrobią żadnego kroku, aż w końcu ich postępek się zairze, odejdzie w zapomnienie. Bogu dzięki, na dyskrecji tej dziewczyny mógł polegać. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby Gerard się o wszystkim dowiedział!... Duncan z pewnością będzie milczał jak grób. A robienie oka udało mu się przecież zachować w tajemnicy. A o tym zapomni. Kijca-Jako „lekturę” przywiózł raport rządowy i urzędową sprawę na temat podatków, choć tylko na pokaz, bo ani myślał druków tych zaglądać. Naprawdę do czytania przywiózł thrillery, z którymi oczywiście nie zamierzał pokazywać

siC

na

im czasie dosłownie pochłaniał książki z tego rodzaju - dłużej na łóżku, otworzył jedną z powieści, wstał, wlo-gatunku- i znowu usiadł. Tęsknota za żoną przenikała do niego, nie miał zważyć z nóg. Składał się już tylko z rozgłosu. Wkrótce porzuci pracę w administracji, zostanie Usunie się w cień, może się nawet zabije. W każdym odłudku coś strasznego. Zabije Crimonda. Nie miał innego razie zroni wyjścia.

Rose stała przy oknie i wpatrywała się w kłaczaste płatki wolno sypiącego śniegu. Padał gęsty, równy, nie rozwiewany wiatrem, który już ustał, podobny do zasłony, kotary, cudowny,

olśniewający, zasnuwający powoli krajobraz. Panna Curtland okryła ramiona wełnianą chustą. W domu panował ziąb i atmosfera jakiegoś dziwnego niepokoju. Może to koniec epoki? Może już nigdy nie zbiorą się w tym domu całą paczką, jak tylekroć dawniej. Wszyscy sprawiali wrażenie niespokojnych, rozdrażnionych, zdenerwowanych, oczywiście wszyscy z wyjątkiem Gerarda, który zawsze, przynajmniej na pozór, nad sobą panował i innym to opanowanie narzucał. Duncan, biedaczysko, snuł się z bólały, czemu trudno się dziwić, stronił od towarzystwa i był trochę najeżony. Tamar wyglądała na chorą. Na kolację i na śniadanie właściwie nic nie zjadła, tłumaczyła, że boli ją głowa, •lenkin, który zawsze przyczyniał kłopotów swoją skłonnością do znikania nie wiadomo gdzie, tym razem przeszedł samego koj5'6'St3' S\*C wręcz niewidoczny i wyparował natychmiast po kinie'1-' Z3miast zasiąść ze wszystkimi przed kominkiem w sa-1 Popijać whisky. Annuszka, której Rose z powodu jej ją 2a mu zabroniła nosić drewno, dąsała się, bo pani zburchała szcza ' 26 starow'nka poprosiła Gullivera o przyniesienie WrzosoJamiast zwrócić się z tym do niej. Nawet Myszobój nął Sic n 3t^\* który porzucił swe zwykłe zimowe leże i wyciąg-^zdrażn' P°Sa(\*Zce za wielkim żeliwnym piecem, wydawał się 8° na ręce ^ 1 nie w humorze, a gdy Rose spróbowała wziąć domej, 'P° Prostu czmychnął. Myszobój zyskał swój przy-'Ory Wrzos "eg0 Prešovana' rmra sierść przypominała ko-słotne raZU rzuci\*° sie Pannie Curtland w oczy przyniosła do g° W-eczoru Przed ośmioma laty, kiedy Annuszka 0 domu mokre, bezdomne kocię. Imię Myszobój, które zawdzięczał nie wiadomo komu, stało się jeg0 ^ pierwszym.

Rose zajmowała dużą, narożną sypialnię obok wieży tyckiej", swojej ukochanej części domu. Uwielbiała wy \* zakończone spiczaste okna. zwrócone połyskliwymi ła^I? znami w stronę ogrodu, i wieżę, nakrytą małą, ołowianą^^ w stylu francuskim. Szczerze bolała nad brakiem «ustu sw^ pradziada, który tak bezmyślnie przebudował i powiększ^80 piękną, rodową siedzibę (jej nie skażony, wysmakowany ksaah przetrwał jedynie na starych fotografiach), i nierozwagą prapra. dziada, który sprzedał ..wielki dom". Sinclair wspominał czasem o potrzebie rekonstrukcji pierwotnej formy budowli. Przez dwa okna swojej sypialni Rose mogła cieszyć oczy tym samym co Duncan widokiem na ogród, w stronę rzymskiej drogi. Okna pokoju na wieży, do którego wchodziło się bezpośrednio z sypialni Rose (pełnił funkcję zarówno łazienki, jak i ubieralni). wychodziły na trzy strony domu, z wyjątkiem jednego tylko boku. Za stajnią i sadem, wśród falistych pól. leżała wieś Fox-path, a bliżej rzeki, jakies pół mili za wsią. stał kościół, którego jasnoszara wieża sterczała nad ośnieżonymi drzewami. W niedziele nadal schodziła się na msze pokaźna grupka parafian, również Rose, ilekroć bawiła w Bojarówce. Niektórzy z jej gości także pojawiali się w kościele, jedni przez grzeczność, inni z ciekawości. Najładniejszy widok otwierał się od frontu. Okna wielkich sypialni w edwardiańskiej części domu wychodziły na gazon, na kutą w żelazie ozdobną bramę, na ceglany mur, ciągnący się wzdłuż alei dojazdowej, na pola. na łąki zalewowe i » kręt rzeki, wytyczany rozrośniętymi, ogłowionynii wierzbami-Z bocznego skrzydła domu. przeładowanego edwardiańskimi talami, rozpościera! się widok na las i widoczny z tej PerS; • tywy jako linia prosta dalszy ciąg rzymskiej drogi, przecinaj wypukłość odległego wzgórza. W tym skrzydle mieściła ^yij^ ko jedna przyzwoita sypialnia: Rose przeznaczyła ją dla ^ vera. Dwie najlepsze sypialnie od frontu zajmowali, jak ^ Gerard i Jen kin. Lily ulokowano w pokoju od strony mowanym dotąd przez Cambusów. Rose doszła jednak do ^ ku, że osamotniony Duncan czułby się tam tym bar ^^ie, szczęśliwy, a zresztą Lily, jako nowemu gościowi i ^Q^g» należał się ładniejszy pokój. Mała sypialenka między P ana pozostała pusta. Tamar zamieszkała, jak zwykle, Rose i DuIlCna piętrze wieży, nad ubieralnią Rose, w którym w P°kolk" dziecko umieszczano ją podczas wizyt w Bojarów- jeszczeJ2 a osobne mieszkanie na parterze domu, za ce AnnusZKd

ichnia- czytelnicze w Bojarówce", urządzone dwa, trzy razy 'ATJ trwające początkowo tydzień, a obecnie na ogół trzy d° r° vznaczano dawniej w takich terminach, by dawały się dni

• wać w ferie akademickie i nie kolidowały zarazem z let-^aS°ci-3rnikami ani świętami Bożego Narodzenia, kiedy członkowie paczki mieli inne zobowiązania. Rose na przykład spędzała święta w Yorkshire u swoich kuzynostwa Reeve'a i Laury Curtlandów, rodziców Neville'a i Gillian. Starła się sumiennie przestrzegać tego zwyczaju, bo była to już ostatnia okazja do spotkań dla smętnych resztek jej rodu, choć bywało, że składała kuzynom wizyty również i w innych terminach. Rose nie przepadała za Laurą Curtland, kapryśną malaclem imaginaire, że zaś Reeve stał się po trosze odludkiem, a Laura po trosze (w oczach Rose) stała się na coś uskarżającą hipochondryczką, oboje bardzo rzadko zjeżdżali do Londynu. Rose, która podejrzewała zawsze, że kuzyni uważają ją za dziwaczkę, obecnie wyczuwała, że zaczęli jej współczuć jako ekscentrycznej starej pannie. Gdy już wszakże dochodziło do spotkań, nawet się nimi cieszyła, bo dobrze się czuła w towarzystwie tak rzadko widywanych krewnych. Neville i Gillian, oboje już dorośli, studenci uniwersytetu (Gillian w Leeds, a Neville w St Andrews) przebąkaliwali o zamieszkanie w Londynie. Stała się zatem częstszymi gośćmi różni b?dą tCZ meczybnie oczekiwali zaprosin do Boja-lieobe^'- pozwolenia na pomieszkiwanie tu również pod jej ścianą, oś- °oje, demonstrując naiwną dezynwolturę młodo-się[ strach] ciotkę dość protekcyjnie. Rose przestraszyła ^ miała ZiWSZY' ŻC pcrsPektywa takiej bliskości ją przygnębia, ziszta a -S-łę d°tąd za waPniaczkę, odcięta od świata młodych, sP?dzał ' SC nawet wbiła tę parę żywotnych dzieciaków. Gerard 3 do niedTw13 ?Ożego Narodzenia z ojcem, siostrą i szwagrem, to'u- Rose na 1 Z s'ostrzencem Leonardem, w ich domu w Bris-°an' uciekani8dy zaProsil na ten rodzinny zjazd. Jean i Dun-CZaJ gdzieś^ PrZCd anLielskimi świętami, zaszywali się zazwy-We Prancji. Violet i Tamar, które odrzucały wszystkie zaproszenia, spędzały święta tylko we dwie, a potem je pytającym jako „spokojne”, co ci interpretowali jako teinie nudne. Plany na ten rok nie /ostały jeszcze spre ° ^^^^ jednak po śmierci pana Hershaw'a i wobec faktu, że ?°Wai^ oznak, iż Pat i Gideon noszą się z zamiarem wyjazdu"? ^ zakładał, że ich trójka, wliczając Leonarda, jeśli się z \*\*\*\*\* udziału w rodzinnej feście, będzie świętowała Boże Narod^ ^ na Notting Hill. Na pierwsze święto Gerard zaprosi niechyb^ Duncana i, ma się rozumieć. Jenkina. Sposób, w jaki J spędzał pozostałe dni świąt, owiany był tajemnicą. Rose pr/"" puszczała, że pomagał w jakiejś dobroczynnej placówce na East Endzie, a połem upijał się w gronie kolegów nauczycieli. Nigdy nie zwierzał się nikomu, nawet Gerardowi, co naprawdę robił Rose również najchętniej zostałaby w Londynie, ale nie chciała sprawić zawodu (jeśli to odpowiednie słowo) swoim pocziwym kuzynom, nie mając z góry pewności, czy Gerard ją zaprosi.

Odwróciła się od olśniewającej, białej kurtyny za oknem w stronę swej pięknej sypialni, chłodnej i jakby obnażonej odblaskiem śnieżnej jasności. Sypialnia prawie się nie zmieniła od czasu, gdy nocowali w niej rodzice, a Rose spała w pokoiku na piętrze wieży. Obecnie znacznie rzadziej przyjeżdżała do Boja-rówki, traciła z wolna kontakt z rodową siedzibą. Czuła to An-nuszka, wyczuwał Mysz.obój. Ostatnio, pierwszy raz w życiu, zaczęła się tu w nocy bać, nie tyle nawet głuchej, wiejskiej ciszy, ile martwej ciszy samego domu. Zaczęła się zastanawiać, co będzie później. Gdyby tylko miała kogoś naprawdę bliskiego, komu mogłaby ten dom zostawić. Gdyby zapisała go Gerardowi, zaniedbałby go lub zwrócił jej krewnym, gdyby Jenkinowi Ciekawe, swoją drogą, co by zrobił Jenkin? Prawdopodobnie sprzedałby całą posiadłość, a pieniądze przeznaczył na biedny • Nic było sensu zostawiać Bojarówki nieszczęsnemu Duncanowi ani tym bardziej Jean, która była krezuską i nie miała <iz ^ ani wreszcie Tamar, która z pewnością znajdzie sobie ^^ .jjj^, męża. A właściwie dlaczego nie Tamar? Ależ Neville i ^ by się wściekli! Tamar nie zniósłaby wyrzutów sumienia.arenl. dałaby im w końcu spadek, który dla niej byłby tylko ci^e(nj! nie przyniósłby jej szczęścia. Okropne, że wszyscy są bez A jeśli Tamar urodzi syna?... Cóż za niemądre, wręcz roztrząsania, istne myśli więźnia, głupie myślatka, jakz.e

•zczęśliwych, swobodnych, dumnych, rzec by się tamty0" ^ gdy Sinclair studiował w Oksfordzie, a Gerard, chciał-^zanScan cRoDin j Marcus, którego pamiętała już tylko Jenki'1' ^ zjeżdżali do Bojarówki, żeby naprawdę się jak PrzeZ . tworzyć. To było jeszcze przed ślubem Cambu-sPieraC Rose była w tym męskim gronie jedyną kobietą. Boże, sów, wiec \_^ sindairj wszystko potoczyłoby się inaczej... gdyby ie te same niemądre fantazje, nieustanna galopada głupich ^""karciała samą siebie. Dlaczego wyobraża sobie, że Sinclair usiałby się koniecznie okazać szczęściarzem? Przecież równie bobrze mógł się fatalnie ożenić, przerwać studia, przehulać resztki rodzinnej fortuny, wpaść w alkoholizm. Mógłby przyczyniać siostrze wiecznej troski, a nie być powodem wiecznej radości. Cóż by to jednak miało za znaczenie, gdyby istniał, żył! To dziwne, pomyślała, że oni wszyscy zginęli w wypadkach. Jej irlandzki dziadek zastrzelony nieszczęśliwie podczas polowania, dziadek z Yorkshire spadł w górską przepaść, ojciec zginął w wypadku samochodowym wkrótce po śmierci Sinclaira... Gdybym poślubiła Gerarda i urodziła mu syna, prawdopodobnie najpierw umierałabym z niepokoju o niego, a potem on spaliłby się w pożarze lub utopił.

- Kiedy zamierzasz się spotkać z Crimondem? - spytał Jenkin.

- W przyszły czwartek.

~ 0, więc jednak się umówiliście! Zadzwoiłeś do niego?

- Tak.

~ Inni już wiedzą? ~Nie.

- U

fpzie się spotykacie?

mnie.

^MeCZna własnym boisku?

~" Szk^1^ ^ moS'cm sam sie do niego wprosić!

"~ To 0(\*a' k° Dardzo jestem ciekaw, jak mieszka.

- Wyob^- U nieg° nie byłeś? m°n.da! p0d? SOme- Słuchaj, ja nie jestem przybocznym Cri-  
rÓ2nych , prostu od czasu do czasu wpadamy na siebie na ubraniach!

- W porządku - mruknął z irytacją Hernshaw - n się przede mną tłumaczyć!

- Najwyraźniej muszę.

Zbliżało się południe. Śnieżycy osłabła. W pokoju R szykowali się obaj do spaceru. Gerard był już gotowy do~w"il Jenkin dopiero wciągał buty. Gerard ponaglał, bo nie chciał\*3' ich zobaczyć Guli. gdyż mógłby wyrazić chęć dołączenia!/? nich. Zamierza! wymknąć się niepostrzeżenie bocznym ° ściem. choć obawiał się. że przyjaciel się takiej ukradkow\* rejteradzie sprzeciwi, uznając ją za ..niegodziwość". Sypiała Guliwera znajdowała się. co prawda, po tej samej stronie domu ale jeszcze niedawno, zwinięty w fotelu. Ashe grzał się przy' kominku w salonie. Gerard miał świadomość, że postępuje istotnie ..niegodziwie", ale bardzo mu zależało na rozmowie z przy. jacie lem w cztery oczy.

- O której się umówiliście? - zapytał Jenkin. - Chcę to sobie móc wyobrazić.

- O dziesiątej rano. Pośpiesz się. Wyjdziemy bocznym wyjściem, od strony lasu.

- Myślałem, że idziemy na wieś. Miałem ochotę na kielicha „Pod Szczupakiem".

- No wiesz! Zupełnie nie rozumiem tej twojej skłonności do pubów.

- Bo to miejsca publiczne, jak kościoły, święte przybytki zgromadzeń całej gminy. Przy tym każdy jest inny. Do tego będzie dzisiaj świątecznie udekorowany. Gdzie się podziała moja czapka?... Dobra, jestem gotów.

Zszedł za Gerardem po schodach. Przeszli przez hol, ni'11?'1 kuchnię, rusznikarnię (nie trzymano już tam broni), sień (sta ły tam jeszcze jakieś prastare buciory) i pralnię (wyposażona w technikę współczesną) i wyszli na mały dziedziniec P1^^ pany dziewiczym śniegiem. Gerard zamknął jak najciszej i ruszył szybkim krokiem. Jenkin pośpieszył za nim. J przejmująco zimne powietrze zaparło im dech w piersiach i nęli niskie, nie używane budynki



gospodarcze (przypomnie opustoszałą wieś), frędzlowane u okapów soplami „ej Jenkin wskazał skinieniem Gerardowi, i poszli po zeX^ traw-stronie wysokiego żywopłotu z buczyny, rosnącego wo ( );S nika za domem. O jakąś milę w lewo ciemniał na wzgłtm za drzewami ogrodu, otwierał się rozległy widok dZ'nieżone pola na falujących pagórkach. Wiatr całkiem ^USt\?nanowała zupełna cisza. Narzuciła się też przyjacio- ^Cbajrntlczech.

lo. zacią^nigte niskimi chmurami, świeciło żółtawym, po-^oblaskiem. Śnieg na brunatnych liściach żywopłotu, na łęny®' .; obsypanych czerwonymi jagodami krzakach ostro-jglakac ^ najczystsza bielą na tle ciemnych zieleni

l^w ale dalej, na wzniesieniach pagórków, wydawał się błysSący'1 zbrązowiwały. Mroźnego powietrza nie wzruszał żaden powiew. Ogród zastygł w bezruchu. Słychać było tylko chrzęst pod podszewkami butów, łamiących chrupką warstewkę lodu na świeżo spadłym śniegu, poznaczonym już tu i ówdzie ściesiem prostych lub kołujących lisich tropów i zawiłymi hieroglifami ptasich śladów. Gerard i Jenkin skręcili za dom i ruszyli wzdłuż warzywnika, gdzie rośliny, które nie zimowały przytulnie pod ziemią, widniały w kształcie śnieżnych kopczyków. Potem weszli w gęstwinę zagajnika. Grube, wiecznie zielone dęby i drzewa iglaste tworzyły tu sklepienie ze śnieżnych okiści. toteż ziemia nieoczekiwanie zbrązowiwała. Zasłana sosnowym igliwem, sprawiała wrażenie miękkiej i cieplej pod stopami. Cisza panowała tu jeszcze głębsza i bardziej przejmująca. Z zagajnika ścieżka wybiegała ku stajni, potem przemykała przez sad i wychodziła przełazem na drożynę, która, choć meandrowała wśród pól, zmierzała konsekwentnie w stronę wsi.

Rose opuściła tymczasem swą sypialnię. „Wzięła się w garść”. zak^mniała Annuszce' ze ma przygotować specjalne ciagutki, ^ rymi przepadał Jenkin. wzuła buty, włożyła palto i futrzaną z>oną w' P°Szła do staJni, niosąc w ręku koszyk, a w nim uwię-n°semWdkiel'S7kU b°7ą krówkę. Po drodze mruczała sobie pod •stróż") u""6 zakłęcie Sinclaira („piewca i siewca, herold s'?chand ^ m'a\*° zapewnić uspokojenie nerwów i pozbycie WsPięła ^ P° drewnianych stoczonych przez korniki schodach skryja sicC na Przestronny stryszek, uwolniła biedronkę, która 2e slcobla j^ezorme w jakiejś szczelinie, i wysunęła zasuwkę 0(1 stjonv Wadratowych drzwiczek, które otwierały się na pola UklkłarwymSkieJ dw%1

O worze framugi i zapatrzyła się na skapaną w żół-  
tawym blasku nieruchomą, białą scenerię bez śladu siedzib, pustą i głuchą. Za drzewami sadu ciągnęły U i falowały wzgórze, a w oddali za tymi wzgórzami M? p  
wzgórzami nastP wzgórze. Wczesną wiosną Rose otwierała kwadratowe H | ki, żeby do końca lata mogły przez nie wlatywać jaskółki na stryszek po jabłko. Na podłodze, okalając tu i ówdzie d^ w zbutwiałych deskach, leżało morze złotych renet Czerw'11^ -zielone jabłko, zebrane jesienią przez pana Sheppeya hvd ^ ka, i jego krzepkiego syna, rozłożone pieczołowicie w taki s" '\* sób, aby jedno nie dotykało drugiego, rozsiewały słaby njT uchwytny zapach. Te angielskie jabłko, za którymi przodkowie panny Curtland przepadali, jej kojarzyły się zawsze z czymś dobrym, bezgrzesznym, były dla niej owocami mitycznymi, jabłkami cnoty, wezbranymi słodkimi sokami zacości. Przechowuje się je aż do kwietnia, a nawet do maja, a one zmieniają się stopniowo w delikatnie pomarszczone, złociste kulki, kurcząc się zaś. nabierają słodczy. Rose najbardziej lubiła ich późne wcielenie, ale na przykład jej ojciec wolał smak świeżo zerwanych.

W głębi stryszku spoczywał zbiór innego rodzaju: wielki stos kamieni - gładkich morskich kamyków rozmaitych rozmiarów i kolorów, pokrytych liniami i arabeskami naturalnej sztuki abstrakcyjnej, spiralami, krzyżkami, w kratkę, w plamki, cętki, białe na tle czarnym, niebieskie na brązowym, czerwone na purpurowym, kamyków śnieżnobiałych, smoliście czarnych, przeważnie jajowatych, choć zdarzały się i kuliste. Wszystkie zebrał osobiście Sinclair, który znał każdy okaz tej kolekcji z osobna, a niektórym dał nawet imiona. Kiedy

zginął, kamienie umieszczono starannie, lecz. bez ładu i składu, w syP'ale^ obok pokoju Rose. Stamtąd przenieśli je do stajni Neville i ^ lian. liczący sobie wówczas odpowiednio lat piętnaście i ^ naście. Zrobili to. bo chcieli opróżnić pokoiik dla swojego s ^ nego kolegi, kiedy ich rodzice wynajęli Bojarówkę na pry ^ pod nieobecność gospodyni. Rose nigdy więcej nie ud°st^ . ^ domu Curtlandom z Yorkshire, nigdy ich też. do B°Jar°^aIl ynni zaprosiła, choć zapewniła, że będą zawsze mile wi -gośćmi. Na szczęście prawie nie korzystali z tego zaPr^nLj0w. Opanowała gniew, wywołany samowolą młodych <- u ^ ^ ^ ale kamyków już do domu nie przeniosła. Odwie

su a całkiem już sporadycznie wybierała któryś czasu d° c sobą jo Londynu. Kilka ofiarowała Gerardowi, i zabierała ze

jeden Je^"°^hwjij doleciał ją jakiś cichy szmer, a potem uj-^ ruchomym kadrze otwartych drzwiczek dwie ciemne rżała vv śniegu Poznała Gerarda i Jenkina. Gerard kroczył Syl - zwykłym, miarowym, długim krokiem, Jenkin dreptał SV°T boku. Nie rozmawiali ze sobą. Klęcząc, przyglądała się UJkawie przez opary własnego oddechu, niczym czujne, ostroż-zwierzątko, jak dwójka przyjaciół wychodzi z sadu, wchodzi na przełaz i oddala się dróżką. Tylko chwilę odprowadzała ich wzrokiem.

\_ O czym będziecie rozmawiali? - zapytał Jenkin, przerywając wreszcie białą ciszę. Zeszli ze ścieżki (zdecydował o tym samowładnie Gerard), która zbyt szybko przywiodłaby ich do wsi, i ruszyli środkiem rzymskiej drogi, po której od początku śnieżycy nie przejechał żaden samochód. Przed nimi i za nimi ciągnął się jak okiem sięgnąć pusty, zaśnieżony trakt.

- W ogóle nie będziemy rozmawiali.

- Jak to?

- Poproszę go tylko, żeby mi zdał sprawę z postępów w pracy nad książką.

- Opowiedział o niej, określił termin ukończenia?

~ Jeśli zechce... Na pewno nie będę wiercił mu dziury w brzuchu.

jfeśli go nie weźmiesz na spytki, słówka ci nie piśnie.

z ni °JUz ^eg0 sPrawa. Nie będę się wdawał w długie dyskusje 'legodziwcem.

i pCSZta nie ^go oczekuje - mruknął Jenkin.

- Rosf2 Wi?C 0czekuJe reszta?

nia' Podj6 • ^u^'ver oczekują jakiegoś zdecydowanego działa-

- A ty?'3 Stanowczych kroków. Dążą do starcia.

- Mi'J.a Pragne Porozumienia.

- Międ!/! mną a Crimondem? Rytm ro?mnoami a Crimondem.

wy bardziej zharmonizował ich kroki, Gerard je

skrócił, a Jenkin wydłużył. Oddychali czystym, m -wietrzem bezwietrznego dnia. zakutani

obaj w ciepłe^Y111 1 kin naciągnął zimową czapę aż na uszy, Gerard szom13"1211"

głową. Wokół rozciągały się zaśnieżone pola jak z. bajki nieruchome i puste. Odbite od

śniegu światło było żółte' ?1 niałe i mroczne, jakby dzień chylił się już ku zachodowi

ciwie

- Praktycznie mamy związane ręce - stwierdził Gerard

- Więc pozorujesz tylko działanie, by zadowolić resztę?

- Tak.

- Nie będą tym zachwyceni.

- Do diabła - zirytował się Hershaw. - Czego wy wlaś ode mnie chcecie? Co mam zrobić?.'

Dobrze, nie podoba nam sij Crimond ani jego książka, ale daliśmy słowo i kropka! Lepiej

0 całej sprawie zapomnieć i zając się czymś innym..

- Płacić i siedzieć cicho.

- Tak. Jesteś innego zdania?

Jenkin milczał chwilę, po czym rzekł:

- Wiesz, on naprawdę pracuje. Mnóstwo przeczytał, masę przemyślał.

- Tyle przeczyta! i przemyślał, że zapędził się sam w kozi róg. Kiedyś miał nawet kilku rozsądnych sympatyków, teraz jego teorie podniecają tylko najgorszych świrusów i garstkę młokosów. Przecież ty dobrze wiesz, jakie Crimond ma przekonania  
I dobrze wiesz, że są krańcowo przeciwne naszym. Chyba me chcesz, żebym go jeszcze podbechtywał, co?

Jenkin puścił mimo uszu to pytanie, stwierdził natomiast:

- Mimo wszystko to człowiek ciekawy, choćby tylko jako fenomen. W dzisiejszych czasach tak nisko ceni się wykształcenie...

- Martwi cię, że górnicy już nie czytają Marksa? ^ . \

- Ludzie wykształceni, intelektualiści, stracili pewność 9^ bie. Ich protest stał się niesłyszalny, czysto ezoteryczny-przeciwym zaś biegunie królują przemoc i gwałt. Nie ^ się teorii, nie podejmuje trudu myślenia. W ich miejscu pustka.

- Czy ja wiem?... - mruknął Gerard. - Zgoda, może^^ trzebujemy nowego filozoficznego geniusza... Tymczas \$ nak wyjdzie nam na zdrowie, jeśli odpoczniemy od 0 ^ genialnych teorii, szczególnie w rodzaju Crimondowy

- który pragnie się wyróżnić, a czuje się uprawniony byle dureń- czego nie rozumie, jest przeciwko „kapitali-d0 k°P,f nastąpiły takie czasy, że jedyną postawą uczciwą pozostał zinoWi ' Czyli to. co tamci nazywają oportunizmem. Budu-j^^Crimonda jest mamy. fundamenty przegniłe. Przeczytał lec teoria pańsJWO a rewolucję, a potem zakochał się w szkole \* mł° rkiej a wszystko dla dreszczyku podniecenia. To same frankfurc^ ^wJą nada, w jatacn trzydziestych, odgrze-

^^eświeże dania, stare emocje biorą za myślenie. Poznali WaJ-alizm w sowieckim wydaniu, ale nie chcą się wyrzec złudzenia że w tym sparciałym worku kryje się jakiś cudowny skarb. \_ Może. lecz marksizm jednak przetrwał - rzekł Jenkin - me zginął. Przyznasz też chyba, że w tym sparciałym worku można było znaleźć i cenne przedmioty. Sami je wyciągaliśmy.

- Marks zmienił nasz pogląd na historię, ale przedstawił tylko jedno z możliwych do niej podejść. Obudź się, chłopie, tobie wciąż chodzą po głowie tamte fantazmaty! Marksizm rości sobie pretensje do naukowości, nawet sam Marks w to pod koniec życia uwierzył. Te godne pożałowania uproszczenia, wyrażone na dodatek w odrażającym żargonie, są uważane za fundamentalne zasady rzeczywistości! Zgoda, „elita” nie daje się na to nabrać, lecz to dowodzi jedynie, że marksiści są albo naiwnymi głupcami, albo cynicznymi kłamcami!

- Hm, zgoda, ale... gdyby marksizm potrafił uwolnić się od tych uproszczeń i stać po prostu filozofią moralną...

ska" PrÓbowano Juz ' teš°- ale prowadziło to albo do tej samej.

"npromitowanej starzyzny, albo do całkowitego odrzucenia marksizmu!

obraj^!ecn C1 będzie, nie będę się kłócił. Nie umiem sobie wy-ciekaw kSiaŻki Cl"imonda, a muszę przyznać, że diablo jej jestem d0 kUpy' ^en facet przynajmniej usiłuje złożyć ten cały bajzel 8os-kto i 3 mn'e ^CSt k'mś w rodzaju religijnego proroka, ko-

- Aż ° sPraw ostatecznych i czeka powszechnej zmiany. Czarną mPI/ykr° słucnat:- goy tak uwznioślasz i ubarwiasz tę

Nadzieia t

Słę' Ze lud • mC lraszka- może nawet cnota... Wydaje mi ' e Zawsze, w każdej epoce, sądzili, że stoją na skraj

przepaści. Człowiek musi sięgać myślą dalej, wnikać przenikać mroki...

- Tylko tak daleko, jak długo cokolwiek widzi Dal • ciąga się już kraina fantazji. Nie potrafimy przewidywa'^ szłości. Marksizm bywa tak pociągający, bo twierH^0 potrafi. ZI' 26

1

- Uznajmy więc. że przyszłe pokolenia mają się same osi h" zatroszczyć, myśmy już wypruli z siebie Haki, pozostaje'^ być miłymi dla przyjaciół i dobrze się bawić.

- Wiesz, stary, niedobrze mi się robi od tego twojego gadania! Toż sam powiedziałeś, że bezsilność jest nie tylko naszym przeznaczeniem, lecz wręcz powinnością!

- Niezupełnie tak się wyraziłem, ale niech ci będzie. Możliwe, że masz rację... Człowiek ma jednak prawo odczuwać niepokój.

- A czy twój niepokój zmniejsza świadomość, że różni faceci wciąż wierzą w jakieś „systemy” i hołdują starym iluzjom?

- Może błędząca po omacku wrażliwość moralna jest lepsza od klarownej obojętności...

- To pułapka, w którą wpadają wszyscy liberałowie! Naprawdę jesteś takim pokornym, bezradnym pesymistą?

- Więc wszystkie nasze przemyślenia muszą koniecznie wylądować na śmietniku, na przykład pojęcie Boga?...

- Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie!

- Uważam, że ma znaczenie, co stanie się dalej z religią- Nie myślę, rzecz prosta, o wierze w zjawiska nadprzyrodzone. Ale musimy zachować jakąś ideę najgłębszej moralnej struktury-

- Której marksizm zaprzecza!

- Tyle się mówiło o demitologizacji. tymczasem chrześcijaństwo w Ameryce Południowej i w Afryce wrzucił całe to gadanie do kosza.

- Byle Platon i Szekspir również tam nie trafili!

- Ależ trafiają, trafiają! Lub będą musieli zejść do Podziemia\* razem z Bogiem i Świętym Graalem! Może zresztą i to ^ większego znaczenia. Może nic poza karmieniem głodnych ma większego znaczenia. . ^!^3-

- Hm, Crimond z pewnością tak nie uważa. Zarzucił nie polityczne, interesują go wyłącznie własne myśli, nie dąż realne ludzkie cierpienia.

- Tak' va!asz mnie męczyć!

-23 y , arn myślę tylko o waszym spotkaniu. Bieda ' ^dem polega na tym, że to purytanin, fanatyk, potomek z Cnvn |Jalwin0W. Dręczy go straszne poczucie grzechu i gnę-sZkockic śmierci. Wierzy w piekło, a jest perfekcjonistą, bi prag"1^^^ w predestynację, a sądzi, że społeczeństwo Ut0P,Sedliwe jest tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, byle tylko atomy ^hświata zechciały się trochę przesunąć, przemieścić, choć WSZ6u c Może się przesuną, a może nie, tymczasem wszystko zmienia, zachodzą potworne, niebywałe zmiany, niepodobne do niczego wcześniej, więc to, co się przed nami otwiera, to może czeluść piekielna. Mimo to on uważa, że jego posłannictwo polega na powtarzaniu, że da się to odmienić za cenę poświęcenia niemal wszystkiego i tak lub owak przekuć nieznanne w dobre, a to...

- Przestań, stary - stęknął Gerard. - Błagam cię, przestań! Szli dalej w milczeniu, gdy zaś słowa przestały mącić ciszę, zaczęli zauważać otoczenie: żywo płoty pod czapami śniegu, wyglądający tu i ówdzie brunatny powojnik pnący, prostą jak strzelił drogę, podobną do białej rzeki, która płynęła przed siebie to znikając, to wyłaniając się w oddali. Zmarznięta, zlodowaciała powierzchnia kruszyła się pod stopami, a głębiej chrupko chrzęścił puszysty śnieg. Światło zmieniało odcień, stawało się bielsze, jaśniejsze, niemal mleczne. Niebo powlekała białoszara opończa, całkowicie zakrywająca słońce, ale prześwietlona jakimś mięk-wm b,askiem, jakby niewidzialne śnieżne drobiny zgęstniały uk^tljsteJ Przestrzeni. W pewnej chwili w perspektywie drogi 2e 2daziSlęJakiścizarny przedmiot. Samochód. Przyglądali mu się ^łonił^1CniCm' Zniknął im w dole pagórka, a potem znów się dotarł d0JUZ ^'zeJ' odjeżdżał bardzo powoli, wreszcie jednak gu. 2eS2]j1C11 Uszu chrzęst miażdżonego czarnymi oponami śnie-r°wie n ?3 pobocze- Kiedy samochód ich mijał, jego pasażer-^achnej r°Wili Piechurów machaniem dłoni, a oni im od-l°o wsi F

Wysadzaria w\*1^' niewidoczneJ z drogi, dochodziło się drożyną !UŻ śnież.ne Wleklm' cisami> z klórych cieńszych gałęzi spadły Ś°e 1 blade naW'S^' 0DnazaJac ciemne, błyszczące, spiczaste li-' c?erwone, jakby woskowane jagody.

- Pub „Pod Szczupakiem” będzie już otwarty -w końcu Jenkin.

- Wiem.

- Nie złość się, Gerardzie.

- Nie złoszczę się. mój drogi. Zastanawiam się tylko nad jak inaczej my obaj postrzegamy świat.

- Prawdę mówiąc, chyba już nie rozumiem polityki Q tylko kilku uczciwych uproszczeń.

Utylitarysty wydaje mi ^ jedyną filozofią do przyjęcia.

- Uczciwe uproszczenia nie istnieją. Cała ta gadanina o kar mieniu głodujących to już religia. Zgoda, wypełnianie tego postulat jest ze wszech miar godziwe, ale jako idea to tylko odprysk starego, romantycznego, chrześcijańskiego mitu. Tobie się zdaje, że ta idea wszystko ci załatwia.

Długi nos Jenkina poczerwieniał z zimna. Oczy mu łzawiły. Naciągnął głębiej na uszy wełniana czapkę, a plecy zgarbił pod paltem na podobieństwo człekokształtnej małpy.

- Nie pędź tak. Gerardzie! Ja jestem facet praktyczny, to ty jesteś istotą religijną. Prawdą jest to. co sobie tak często wypominamy: patrzmy na życie inaczej. Dla mnie to podróż mroczną, owianą mgłami drogą w licznym gronie bliźnich. Ty je postrzegasz jako samotną wspinaczkę na szczyt. Choć nie wierzysz, że go osiągniesz, masz. wrażenie, że skoro potrafisz go choćby pomyśleć, już go osiągnąłeś. Oto idea, która z kolei tobie wszystko załatwia!

Gerard zerknął na przyjaciela z ukosa. Wyczuł zaczepkę, a zarazem pojednawczy ton. jakim została wygłoszona. ^

- Nie wierzę, aby człowiek był w stanie dojrzeć W ponad sobą. To. co w górze, wygląda mi po prostu na sin

- To ja z kolei nazwałbym romantycznym mitem.

- Ja wierzę w dobro, ty w sprawiedliwość, ale żaden z nie wierzy w społeczeństwo idealne.

- Istotnie... lecz ja czuję, że żyję w społeczeństwie, ty Uważam, że w ogóle go nie zauważasz. | dzifu.^0

Tymczasem ich dróżka połączyła się z. drogą prowa wsi. Śnieg na niej był wydeptany, wyjeżdżony przez sa W powietrzu niosło się szczekanie psów. zwielokrotnione^ na śnieżnych pustkowiach, i piskliwe okrzyki dziecię- ^^#3. cych na sankach z odległego o pół mili wzgórza.

dowali, było widać w całej okazałości stojący za gdzie sie znaj^ ^órku kościoł, gdyż nie skrywały go drzewa, wsią r»a m\*g2ii na wydeptany chodnik, biegnący między chatami ^krótCeRytych łupkiem lub poszytych strzechą, a teraz przy-0 dachac śnl'eoiem i sędziowanych soplami, o ścianach z jas-Wal°nyC rowatych. posrebrzałych od szronu prostokątnych ka-nyCh- Wymieniali z mijanymi ludźmi powitania i uwagi w ro-miem Ależ ziąb!" W mroźnym powietrzu, suchym, bezwietrz-dZ2JU""nasączonym mlecznym blaskiem, wyczuwało się nastroj Gniecienia i życzliwości. Gerard nigdy, prawdę mówiąc, nie f^znał bliżej mieszkających we wsi znajomych Rose. Choćby sędziwej panny Margoly, o której Rose tak lubiła opowiadać, a której ogród, obrośnięty bukszpanowym żywopłotem, właśnie mijali, choćby rodziny Scroptonów, których ładny, sześcienne domek stał kawałek w bok od głównej drogi. Minęli dom doktora Tallcotta, „poczciwego, choć opryskliwego jegomościa", wiejski sklepik, gdzie można było dostać „mydło i powidło", nowy dom miejscowego murarza, chatę hydraulika, pana Sheppeya, chałupę krawcowej, chatę, w której przysłała na świat Annuszka, a w której do dziś mieszkały jej siostrzenice. Wielki staw zamarzł, ślizgało się po nim dwoje łyżwiarzy, inni triumfalnie, lecz ostrożnie stąpali po lodzie wśród niepomiarne zdziwionych gęsi i kaczek. W powietrzu zawisło znowu, nie mając zamiaru opadać, kilka śnieżnych płatków. W końcu stanęli przed pubem „Pod Szczupakiem". Godło z

drapieżną, uzębioną rybą, wyłaniającą się tajemniczo z sitowia, wisiało nieruchome w mroźnym, niewzruszonym Płótnie. „Prawdziwe piwo angielskie” - zachęcał nee Rozpinając palta i ściągając rękawiczki, weszli do nagrzanego, zatłoczonego wnętrza, się ciemniało k' a\* eJ scenerii na dworze to miejsce wydawało się idealne. Pachniało rozgrzaną, przepoczoną wełną, ciepym Ubraniem i mokrą wykładziną podłogową. W ogółu się ?Warze nie słyszało się własnych myśli. Gerard roz-Jenkin wdał 3 prÓżno za Jakimś wolnym miejscem, tymczasem żył u Słę W Płwarki przy barze. On jest tu w swoim musimy tu ostatekowi Hernshaw, ja się tutaj duszę! Jak długo \*agł7D kWić? omawia duże piwa. Spóźnimy się na lunch, na rCZU! o k' r' P' e zmęczenie. Zdjął palta, otarł szron, sacną, i strzepnął płatki śniegu ze swych kręconych OSZU-

rym do mam

włosów. Wytarł zmarznięty nos, który, odtajawszy w • czyniał ciec. Obciągnął gładki pulower i poprawił schował nim kołnierzyk koszuli i węzeł krawata.

Jenkin nie musi się troszczyć o cnotę, pomyślał wot prosty, wolny od pokus i wyrzutów sumienia' ŻyJ^ || znacznych uproszczeń, dostrzega jedynie gromady cierpiących TSR5<1 nień. Ma oczywiście rację, gdy mówi o szczycie góry [ % stwie, jakim jest skok w sferę ideału. Rozmawialiśmy już oT"" wielokrotnie, ale jeszcze nigdy tak otwarcie i głęboko, wręcz bólu. Bogu dzięki, że przesta! mnie wypytywać, o czym m zamiar pisać. Może napiszę coś o Plotynie. jakiś skromny !2 o świętym Augustynie i Plotynie, z odniesieniami do współczesności. Tamta epoka była w gruncie rzeczy bardzo podobna do naszej. Jakże wzniosły wydaje się z perspektywy czasu moment, gdy platońskie Dobro zostało poświęcone Bogu z psalmów. Aja-kiż straszny, groźny zamęt temu towarzyszył, filozofia kontra magia, podobnie jak dzisiaj. Nam jednak brakuje geniusza, któryby nas nauczył! nowego sposobu myślenia o dobru i duszy.

Jenkin odwrócił się od baru, poszukał spojrzeniem Gerarda, uśmiechnął się do niego i wskazał palcem w górę. Gerard podniósł wzrok. Pod sufitem wisiały bożonarodzeniowe ozdoby, krzyżowały się połyskliwe srebrno-czerwone łańcuchy, migotały gwiazdy z lamety, dyndały figurki aniołów. Gerard ponownie spojrzał na Jenkina. który nadal wskazywał palcem sufit. Być może napiszę tę książkę, pomyślał, ale najpierw muszę uporządkować moje stosunki z Jenkinem Riderhoodem, muszę coś ustalić i coś postanowić. Mój Boże. podejmuję okropne ryzyko. Mam wrażenie, jakby chodziło o życie kóregoś z nas.

Podtopiona łąka zalewowa, rozległa połać nadrzecznych gór. zamarzała na kamień. Leżała na ziemi Rose, która z1 ^ wiała ją zaprzyjaźnionemu chłopcu. Niegdyś stanowiła W a ^ gminną i po prawdzie była nadal za taką uważana P17'6^^. szkańców wsi. Rose nie czyniła użytku ze swego prawa P.^g co złościło Neville-a i Reeve'a Curtiandów. Kapryśne ang' ^ . zimy rzadko skuwały wody w godne zaufania lodowe '^g \$ mieszkańcy Foxpath nie mieli wielu okazji do oddaw^ łyżwiarstwu i na ogół woleli mniejszą skalę wioskowego stwo Rose dotarło nad łąkę, na płaskim, białym, Kiedy toWarZryzSu uwijało się tylko kilku miejscowych. lodowy"1 m°olunchu. Choć zapowiadany jako „lekki i prosty”, Był° ^ nader treściwy. Składały się nań wędliny, gotowane okazał się ^ ^ deser cjastr0 p0nczowe, sery i czerwone kartofle. ^ wszyscy obiecali „uważać”, lecz przeważnie nie VVi"0' l godzono się, że jeśli w ogóle mają się tego dnia „waza i- o odkładać, bo wszyscy się rozejdą i po- /i;7gac, nie 111^04 o .....

-nie mówiąc o tym. że o wpół do piątej robi się już ciemno. śpiał "n który wyłopał większość bordo, oświadczył, że zamie-^niezwłocznie odespać, więc grupka amatorów łyżwiarstwa kładła się z Rose. Gerarda, Jenkina, Tamar, Gullivera i Lily. Tamar i Jenkin, którzy na łyżwach nie jeździli, przyszli jedynie popatrzeć. Rose była rada, że Tamar, która nie chciała nawet przymierzyć ofiarowanych jej butów łyżwiarskich, wybrała się ze wszystkimi. Bała się, że biedaczka (niemal nie tknęła lunchu) będzie wolała spędzić popołudnie w samotności.

Zdążyła już objąć w posiadanie bibliotekę, gdzie nikt się zresztą specjalnie nie kwapił mieć jej spokoju. Widziano, jak czyta bądź tylko udaje (takie panna Curtland odniosła wrażenie), że czyta powieście Tale of Genji, książkę poleconą jej kiedyś właśnie przez Rose. Panna Curtland nosiła się z zamiarem, jak dotąd nie zrealizowanym, odbycia poważnej rozmowy z Tamar, bo nieboga wyglądała na bardziej jeszcze niż zwykle zamkniętą w sobie i wymizerowaną.

Choć świeżo spadłego śniegu przyprószyło ślady ludzi zwierząt, lecz teraz już nie padało. Bezwietrzne, najłżejszym rodzajem wlewem nie wzniesione powietrze trwało w jakimś czystym światłości zawieszonym - skłaniającym ludzi do ściszenia głosu. Widać było, że a mleczne niebo nabiegło czerwonym - Pod śniegiem Biały Przewrót łąki oglądany z bliska ukazywał liźwiarzem tam gdzie Przeciety górami kreślone przez Północny Szklisty stalowoszarzy lód. Gromadka z Bojarówki w swój waży? Się dość barwnie. Rose i Lily włożyły nieco trudu Szabrowy bicie miały na głowach futrzane czapki, pierwszorzędny druczek czarna - Rose miała na sobie Ponadto długa - lico z golfu Urtkę z mięsistego tweedu, gruby brązowy sweter - weselny - nieszczęśliwy zielona - jedwabną apaszkę, na nogach brylantowe skarpety. Lily była ubrana w białe, obcisłe polo, na które włożyła czerwony sweterek z dekoltem a na to ściągnięty paskiem luźny, puszysty, rozpinany z czarnej angory i czarne wełniane spodnie wsunięte na skarpety. Na widok znoszonych brylantów panny "różowa" wygłosiła opinię, że spodnie wsunięte w skarpety równie ładnie, a są wygodniejsze (natychmiast zresztą i wzięła jej uwagę). Obie panie ogłosiły, że włożyły najcieplejsze bawełniane podkoszulki. Rose aż dwa. Lily tylko jeden trochę marzła. Zanim się przejęła zapowiedzią Rose że łyżwach szybko się rozgrzeją. Gerard, który uważał zbytnią dbałość o strój za rzecz niewłaściwą, ubrał się z niedbałą nonszalancją w ciemnozielony kaszmirowy sweter z golfem, wciągnął na białą koszulę, do tego ciemnoniebieski szalik z cieniutkiej wełny, długą, granatową kurtkę z ręcznie tkanego tweedu i czarno-niebieskie sztruksowe spodnie. Jenkin włożył swój zwykły zimowy garnitur, na wierzch gruby golf, ciepłe palto i wełnianą czapkę w paski. Tamar również miała na sobie solidne palto, pod spodem pulower, na nogach naciągnięte na spodnie ocieplacze, a głowę i część twarzy zakryła beżową chustą. Gulliver, po długich, pełnych wahania deliberacjach, włożył jasnobrązowe sztruksowe spodnie, swój najlepszy i najdłuższy golf, niebieski wzorek z truskawek, i krótki, zielony lodenowy płaszcz. Choć miał wrażenie, że okutał się jak wiejska baba. doskwierało mu zimno. Tylko on i Gerard byli z gołymi głowami. Gulliver, który uważał noszenie nakrycia głowy za nie liczące z jego godnością, teraz serdecznie zazdrościł Jenkinowi jego zabawnej, wełnianej czapki. Gerard, Rose i Lily mieli na nogach eleganckie skórzane buty z cholewami. Tamar i Jenkin ciężkie „traktorki. Gulliver ozdobne gumowce.

Guli przeżywał męki niepokoju. Podczas lunchu ugry boleśnie w język i dotąd odczuwał ból. Już przed przyjazdem powziął podejrzenie (notabene najzupełniej błędne), że zaproszony do Bojarówki dla jakiegoś testu. Chciał przyjrzeć z jakimś celem na oku. Miał zostać komuś „zawieszony”, przedstawiony jakiejś znakomitej osobie, teatrowi bądź wielkiemu impresario, a może minis tury. na którym zrobi wrażenie i który w konsekwencji ponuje mu posiadłość. A może mieli tu zjechać kuzyści sefaliści owi utytułowani Curtlandowie, i Gulliver miał po

ślubie” Gillian, siostrzenicę Rose, podobno, w opiekę dziewczynę. Guli czuł już w sobie niecierpliwość - znania nowej osoby, kobiety czy mężczyzny, pełną gotowość.

Wobec roli, która by całkowicie odmieniła jego niegrażliwy wreszcie (i taka bowiem myśl przychodziła mu do głowy - przeżywał jakieś poważne problemy natury osobistej?) ze nawet chował w sercu jakąś straszną tajemnicę, bił się nikomu dotąd nie odsłonił, a doszedł do wniosku, że osobą, której pragnie się zwierzyć, jest Guli. Gulliver braził sobie w związku z tym, jak to późną nocą Gerard wkrada się z obłąkanym wzrokiem do jego pokoju,

wyznaje wszystko i błaga go, by udał się we wskazane miejsce z niebezpieczną, życiowo ważną misją. „Wyruszam jeszcze tej nocy”, bez chwili wahania oświadczał w tym scenariuszu Guli. Kiedy stwierdził, że zaproszenie dostała również Lily, przeżył rozczarowanie, jakby jej udział w pewien sposób obniżał rangę całego wydarzenia. Gdy zaś odkrył później, że żadnych w ogóle nieznanymi gośćmi nie będzie, a jedynie stara paczka w zwykłym składzie, uczuł jeszcze silniejsze przygnębienie, choć szybko znalazł pociechę w myśli, że należało jednak uznać za wyróżnienie, iż potraktowano go jak „członka rodziny”. Również obecność Lily, po pierwszym niegodnym odruchu niechęci, przyjął z „Igą i zadowoleniem, ponieważ od pierwszego dnia zbliżyli się do siebie, wspierali się nawzajem na duchu, rozmawiali i chichotali po kątach.

~ Tylko my dwoje zachowujemy się tu jak dzieci - wyznała mu - ~ni wszyscy są tacy dorośli! Uważam, że to niezły jubel. nie h\* Gumvera tańcie weekendowe zjazdy w wiejskich domach się wy y, pierwszozną. Za swoich dobrych czasów, kiedy kręcił się Je<sup>o</sup> teatru' bywał zapraszany tu i ówdzie i uważał sam sądnie<sup>23</sup> bywałego m{odego człowieka, który nie może się za-ne oczekiwarZat< ^ towarzyska- nieśmiałość. Porzuciwszy próż-że przyna- ania' °- awne urazy i niedawne rojenia, miał nadzieję, ^eg0 prawd"1"1^ Zbliży się do Hernshawa, zostanie uznany za \*eby Ger ZIWego" D'iskiego przyjaciela. Zależało mu na tym, niesProstanrda Zaclowolić ' nie wyjść na głupca. Perspektywa Przed tGIT1U Zadaniu srodze go martwiła. Wciąż czuł lekką k<sup>o</sup>ietÇ; ej6 ^°Se" cho^ szanował ją i uważał za atrakcyjną 'y §° też, że i ona, jak się zdaje, miała do niego słabość. Pamiętał wieczór balu, kiedy taką miał zatańczyć, ale nie miał odwagi poprosić. Duncana ? \* z respektem, bał się jego zwierzęcej postaci. byczej nj Wal dziej postury, jego totemistycznej siły. zdolności do^^P" śmierci jednym ciosem łapy. Chętnie by się zaprzyja/njj3 ^ minotaurem. lecz Duncan. choc uprzejmy, zachowywał ^ niego rezerwę. Gulliverowi nie pozostawało więc nic ^ jak komentować się złośliwą satysfakcją, że ten biedak D był rogiaczem, którego David Crimond wepchnął do rzeki Jenki pozostawał dla niego zupełną zagadką, ale też kimś. kto budzi! w nim lekką zazdrość. Z kolei Jenkin odnosił się do Oullivcrâ z uprzedzającą grzecznością, która jednak przypominała względy ze strony jakiegoś elfa. Tamar Gulliver współczuł, domyślił się z rozmów innych, że przeżywa jakieś kłopoty, ona jednak okazywała mu chłód, a i on nie próbował się do niej zbliżyć. A teraz znalazł się, zresztą na własne życzenie, w położeniu iście opłakanym z powodu tej przeklętej łyżwiarskiej rozrywki. Po czorta się chepił, że potrafi jeździć na łyżwach, kiedy naprawdę nie umiał? Po licha kupował te piekielnie drogie buty z łyżwami (za połowę tej sumy mógł nabyć całkiem przyzwoite buty, takie jak Gerarda)? Niósł je teraz w plastikowej torbie, rozdzierającej się coraz, widoczniej pod ich ciężarem, i każdy krok przybliżał go do śliskiej, strasznej taili lodu jak do miejsca kaźni. Przecież, nie musiał opowiadać, że jest wytrawnym łyżwiarzem, mógł bez wstydu przyjść tutaj jako widz. jak to uczynili Riderhood i Tamar. Po prostu bał się, że go wykluczą z zabawy, jak dziecko krzyczące „ja też. ja też!\*\* Wypił za dużo bordo i zjadł za dużo ponczowego ciasta, nawet nie przewi ywał. na jaką się śmieszność naraża. Łyżwiarstwo jest SP° okrutnym. Można być od biedy marnym tenisistą czy kiep- ^ graczem w krykieta - łyżwiarstwo jest jak balet: kto łyżwiarzem dobrym, budzi tylko śmiech politowania, i Rose, jak się Gulliver domyśla!, byli wytrawnymi łyżwr ^ \_ ^ Lily oświadczyła, co prawda, że tylko trochę -iezd/"^e(j r0l3 dawno, lecz wyglądało na to. że nie wzdraga się P h nowicjuszki. Najgorsze było to. że na podstawie jego n|vef je\$ł mętnych odpowiedzi wyrobiła sobie pogląd, że Gu 1 ^ naprawdę mistrzem łyżwy, tyle że udającym skromnis'^^ ^ nadzieję, że ją wesprze, pomoże odzyskać wprawę- | oczach, nieuchronna i sromotna porażka. Rano, także i WsQJ^e sprawę z katastrofalnej sytuacji, w jaką zabnął, ja\wszy ^awet CZyby nie udać. że skręcił sobie kostkę. Do ^zwał ^brak }o mu jecjnak siły woli. Teraz było już za późno. P^a kostki doczeka się na lodzie.



skręce sprowadziła całe towarzystwo ze ścieżki, biegnącej —vTzakrzeplyeh na grudę fałdek ziemi, na zmarzniętą, iszczącą pod butami trawę, po której doszli brzegiem „lodowiska” do miejsca, gdzie leżący nieco ponad jego taflą pień ściętego drzewa, ułożony tam przed laty w tym zapewne celu. służył za ławeczkę. Panna Curtland oprócz pary butów z łyżwami niosła magnetofon kasetowy, a to na wypadek, jak wyjaśniła, gdyby ktoś miał ochotę zatańczyć. (Zatańczyć!! Gulliver aż wzdrygnął się ze zgrozy). Łyżwiarze usiedli na pniu i zaczęli ściągać zwykłe buty. a wkładać łyżwiarskie, tymczasem Jenkin i Tamar poszli brzegiem dalej w stronę rzeki. Gulliver poczuł (i miał wrażenie, że wszyscy poczuli to samo) coś jakby dreszcz podniecenia, niecierpliwego oczekiwania erotycznej niemalże natury, gdy się tak przeistaczali, jakby przepoczwarzali cielesnie, ze zwierząt człapiących w śmigle. Minęła trzecia po południu, słońce miało zająć niedługo po czwartej. Kopała nieba jakby się skurczyła, poczerwieniła i nabrała ciemnego połysku. Śnieg połyskiwał odcieniem różowym, a sylwetki kilku ślizgających się po lodzie łyżwiarzy były całkiem czarne. Głosy brzmiały dziw-nie, cn°ć dźwięczały czysto, były jakieś stłumione, jakby wydostawały się z pudła. Kim jest tamta pani w czerni? - zapytała Lily, której naj-Ch h 016 spieszno o!o przemiany w zwierzę śmigle. -

^ ^zwariowała, żeby się ślizgać w takiej długiej sukni! szczy ° kobicita- lec/ pastor! - sprostował Gerard, w którym tiezwvi^ mrÓZ' Darwy światła i perspektywa pędu obudziły - Nas d'ań Wesoło\*ć-s,er lub 7 .mieJScowy duszpasterz - dodała Rose - Angus McAli-U nas od n-^ tVlcAlisler' DO woli, gdy tak go nazywać. Jest s%n mv ° aWna" Ni8a'y nie zdejmuję sutanny. Pamiętasz UKU- Gerard?

w ze-

kim wdz^S6 Słę! ~ 7awyrokował Hernshaw. - Spójrzcie, z ja-Założył ręce m °d8amia Poly duchownej sukienki! O, a teraz e na plecy jak na tym obrazie Raeburna!

- Jest po trosze dziwakiem - dodała Rose - Posłtu starym modlitewnikiem i lubi rolę „ojca”, słucha nawet ^ S'ć dzi!... lecz jest przy tym pełen ducha prawdziwie e'wan T^l go. Jeśli wybralibyście się jutro do kościoła, usłysz.e!jh!?'n.e\* jakie wygłasza kazania.

- z przyjemnością - powiedziała nieszczerze Lily z łymi palcami w rękawiczkach mocując się ze sznurowkami\*

Rose pierwsza stanęła na lodzie, /biegła po łagodnym st h i kreśląc krótkie luki na śnieżnej powierzchni, pomknęła z ° nader chyżo. Holendrowała chwilę, po czym zawróciła, zawołała Gerarda i wyciągnęła do niego rękę. Trochę niezgrabnie zszedł po spadzistym brzegu, a potem wskoczył na lód i pomknął w jej kierunku. Chwycili się za ręce i okręcali przez, chwilę wokół wspólnej osi. po czym rozdzielili się i rozjechali w przeciwne strony. Gerard ku przeciwległemu brzegowi zalewowej łąki, a Rose podjechała do księdza, by się z nim przywitać. Duchowny przyspieszył trochę i pomknął gracko u jej boku.

Sprawdzają się moje obawy, skonstatował ze zgrozą Gulliver, to sami wytrawni łyżwiarze! Będę miał szczęście, jeśli zdołam utrzymać się prosto. Najlepsze, co Lily i ja możemy zrobić, to pokręcić się trochę na tym skraju laki. tak dla fasonu, gdy tamci będą śmigali w oddali, a potem szybko ściągnąć te brz; i poszukać nad rzeką Jenkina i Tamar. Zdołam uratować twarz, jeśli choć zobaczą, że się ślizgam! Są tak zadowoleni z siebie, że chyba ani im w głowie obserwowanie moich popisów. A jeśli zechcą popatrzeć!' Kiedy się ściemni, stanę się tak czy owak niewidoczny. Byle tylko kochana Lily nie uwiesiła się na mnie i nie ściągnęła na ziemię!

Popołudniowe światło dogasało, lecz czerwona zorza nasycza się blaskiem, a od mej cała scena nabrała ostrzejszych konturów Można by sądzić, że czarne figurki łyżwiarzy zadają ^k'6\*^ by szybkimi przepłotami stóp wydobyć spod dziewiczego ^ gu lodową taflę. Mieszkańcy wioski, którzy mieli do d0"11^ lej niż towarzystwo Rose, niemal wszyscy już poszli. 7'n^Q^ też posapujący ksiądz. Guli próbował wcisnąć skurczoną ^ w łyżwiarski bul. Jego stopa, skostniała z zimna. umÇQ^tr w tak niezwyklej pozycji, żałośnie domagała się swobody. ^

nicznej teraz brutalnie przez jezor buta. Ponieważ w zdjął rękawiczki, zgrabiały mu również dłonie.

acerowaliśmy się dziś rano z Gerardem do wsi -- pr7'eSjenkin do Tamar. - Okazuje się, że wioskowy staw powiedział en^ by było inaczej... więc gesi i kaczki zamarz\*- fundowane po lodzie. Wyglądały wręcz rozczula-człapab/ s niezgrabne, zdumione i tak pełne świętego obu-jąco- Były a bardzo ciezkie. Można się było o tym przekonać,

1 • i Gesi sa. Daiu v----- 'J----

rzea,a- v ostrożnie tymi swoimi pletwiastymi łapami. Stały kiedy kapa ^ agresywne, nie chciały nikomu ustępować tC\*i Łyżwiarze musieli je omijać.

Pewnie im się wydawało,

koniec świata: ich staw skamieniał i kręcili się po mm Tdzie' Potem poszliśmy do pubu „Pod Szczupakiem”. Wywiesili już ozdoby świąteczne. Zawsze kochałem okres przedświąteczny ty nie? Uwielbiam tę porę, gdy ubiera się choinki i wieszka na drzwiach wieńce. A wy kiedy dekorujecie dom?

- Wcale go nie dekorujemy.

- Hm, właściwie ja również nie... wiem najwyżej kilka starych bombek. „Pod Szczupakiem” panuje bardzo miła, przyjazna atmosfera, nie uważasz?

- Nie lubię pubów.

- Powinnaś dać im szansę. Nie trzeba się na nie złościć.

- Ja się nie złoszczę.

- Spójrz, jak pięknie poczerwieniało niebo. Jest tak cicho i spokojnie, jakby ktoś rzucił na świat zaklęcie i wszystko znieruchomiało. Teraz, kiedy oddaliliśmy się od reszty, można by sądzić, że wyładowaliśmy gdzieś na Syberii! Zauważyłaś, że od wyjścia z domu nie widzieliśmy ani jednego ptaka? Przypuszczam, że nastroszyły piórka i kryją się po najgęstszych zaroślach. /inimam P°JCcia, jakim cudem udaje im się przetrwać tak srogą ~Joteż wcale się nie udaje. Wiele z nich ginie. dłuŜsze P° !rawie' 00 lu ' ówdzie wystawały spod śniegu co krzonvC k dŹbła' P°dobne do cienkich, zielonych wstążek ocu- Jenkf lgielkami szronu-Wskazyw^arał Słę P°dlrzymywać rozmowę i zająć czymś Tamar. nym kształ l r°Py 7wierz'łL bezlistny dąb o wyjątkowo pięk-?odami i w 1C' kaczek ostrokrzewu, obsypany czerwonymi ja-' 2aPatrz.yijr0SniCty W °PasuJa.cy łąkę żywopłot. Dotarli do rzeki Wamanej w'e,W milc/eniu na skostniałe, zlodowaciałe kształty neJ roślinności, sterczące z szerokiej falbany lo-

nurt

du, ciągnącej się wzdłuż brzegów. Środkiem rwał choć cichy, wezbrany po śnieżycy i czarny, smoliścL między zrębami z lodu i śniegu.

Tamar z pochyloną głową spoglądała w dół. Chwilę palcami przy węźle chusty, a potem naciągnęła ją niżej na"1^

Jenkin obserwował ją ukradkiem od chwili przyjazdu ?0^° jarówki. Wiedział ojej kłopotach, podobnie jak wszyscy boleśnie wyczuwał jej smutek, nieprzystępność i zamknięci w sobie. Chętnie by coś dla niej zrobił. Znal ją od dziecka choć nigdy nie byli ze sobą blisko, nie występował w roli dobrodusznego wujcia ani kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, zaufać Nigdy, mimo jego pedagogicznych talentów, nie udało mu się nawiązać z Tamar, ani jako dzieckiem, ani jako dorosłą panną, takiej swobodnej, a na autorytecie opartej relacji, jaką się cieszył Gerard.

Podczas gdy Jenkin zastanawiał się, jaki temat ma teraz podjąć, Tamar spytała nieoczekiwanie:

- Jak myślisz, czy Jean wróci do Duncana?

- Oczywiście, że tak! - odparł bez namysłu. - Nie trap się tym zbytnio.

- Miał od niej ostatnio jakąś wiadomość?

- No cóż... dostał list od jej adwokata, któremu odpisał, że nadal ją kocha i oczekuje jej powrotu. Na swój list nie otrzymał dotąd odpowiedzi. Uważamy, że to dobry znak. Tamto nie może długo trwać... Nie potrwało kiedyś, nie potrwa i teraz. Jean wróci! Osobiście nie był tego wcale taki pewny, ale chciał Tamar pocieszyć.

- Szkoda, że nie mają dzieci - szepnęła, nie odrywając się od rzeki. - Pewnie nie chcieli. Przecież nie wszyscy Jean.

- Duncan z pewnością bardzo pragnął dziecka. Co nie mam pewności.

- Och, spójrz!... Czy to nie martwy kot? - W pędzącym nurcie podskakiwał jakiś kształt rozdęty.

wany i ciemny. Trup kota. lepiej!

- Nie - powiedział Jenkin - to tylko kępa sitowia, wracajmy. Zdaje się, że znów zaczyna śnieżyć.

rowała już buty, ale wciąż siedziała jak sparaliżowana, kręcąc się w oddali piruety Gerarda i Rose, wana. o! - A może się boisz? Głowa

~ Ch! Raz kozie śmierć. Módl się za mnie. do góry - j! - zachwiały na absurdalnie cienkich podłożach. które werżnęły się natychmiast w osnieżoną stronę - StrzaCzłoczył rece dla złapania równowagi i podnosząc ostrożnie wyczuwając, że schodzi chybliwie po pochyłości. Na domiar złego nie miał się czego chwycić, żadne brzyfazne drzewo nie wyciągało pomocnego konaru. Stanąwszy na skraju lodowiska, wysunął bojaźliwie jedną nogę w stronę tafli. Jego stopa aż się wzdrygnęła wyczuwając twardą, śliską i obcą powierzchnię, nie chciała stanąć solidnie, jak się należy, lecz przeginała się łamliwie, odjeżdżała i przekrzywiała się na bok. Gulliver cofnął ją czym prędzej. Gdyby tylko zdołał choćby na chwilę postawić na lodzie obie łyżwy, może zdołałby posunąć się ostrożnie do przodu krokiem choć trochę podobnym do łyżwowego. Toż przecież trochę umiał jeździć na łyżwach, w każdym razie udawało mu się w latach młodości pokonywać na lodowiskach krótkie dystanse w pozycji niepewnej, co prawda, lecz wyprostowanej. Postąpił ostrożnie kawałek naprzód, aż obie łyżwy ugrzęzły w śniegu na samym skraju zamrożonej tafli, która przy brzegu nie była bynajmniej równa, lecz stanowiła wyboisty pas grud ziemi i kęp trawy, pokrytych śnieżną krupą. I znowu wysunął jedną nogę, chcąc stanąć na tej powierzchni. Tymczasem druga jego stopa, przejmując moment ciężar ciała, zapadła się w grząską kruszę, pokrywa - Ldy s! - brzeżny Pas zamrożonej łąki. Zadanie wydobywania jej, nie! - alansu. na nodze wykroczonej, wydawało się absolutnie niemożliwe. Rozłożywszy ręce, Gulliver wpatrywał się do przodu. W czerwonej łunie zachodu. Nie mogąc postąpić

też Sa! - Ze Gerard i Rose są daleko, nawet ich nie widać. Je! - Cnwm ukazała się przed nim czyjaś ręka i ujęła

y odważyć! - Zawieszona - w powietrzu dłoń. Najwidoczniej Li-

u! - Wyciął Podana. mu dłoń i zdołał jakimś cudem po! - ty, a ter! - Wn! - ez drugą nogę, wspierając się mocno na! - 1 na jej ramieniu, które również się obok niego

pojawiło. Stał na nogach! Puścił się Lily i zaczął iść. Nie ślizgał się. ale kroczył, balansując niczym na! - Jak to się robi, u licha? Jego nogi oparły się! - przępona, barki, luźno zwieszona ramiona poszuk! - rozpaczliwie jakiegoś określonego rytmicznego ruchu na się składały pochylenie i rozkołysanie ciała, umiejętnie roz! - nie ciężaru, tak by stopy, stworzone wszak do naprzemienn! - stapania po ierra firma, mogły w tym dziwnym i sztucznym! - położeniu nawiązać względnie harmonijną współpracę. Gulliver pochylił się do przodu, wysunął jedną łyżwę, po czym, gdy pojechała kawałeczek i przejęła ciężar ciała, odruchowo,

mchem zapamiętanym z. przeszłości, dostawi! do niej drugą. Wciąż stał prosto! Umiał! Ślizgał się na łyżwach!

W tej samej chwili ktoś się z nim zrównał i krzyknął:

- Świetnie!

Minęła go Lily. Gulliver pojął w jednej chwili, że nie tylko umiała jeździć na łyżwach, ale robiła to naprawdę znakomicie. Wyrzuciła go i obróciła się tyłem. W purpurowym blasku wieczornej zorzy widział jej rozradowaną, triumfującą twarz pod czarną, futrzaną czapką, zarumienione policzki i zaczerwieniony nos. Zakreśliła małe, potem większe koło, pomachała mu ręką i pomknęła po lodzie z szybkością doprawdy oszałamiającą. Gulliver z wrażenia klapnął na siedzenie.

Rose i Gerard, którzy ślizgali się w parze, trzymając się & ręce na drugim krańcu łąki. gdzie kręciło się jeszcze kilku mie szkańców wioski, głównie małych chłopców, wracali właśnie środek skutego lodem rozlewiska, kiedy spotkali Lily U ją wcześniej, niż dojrzeli, ponieważ Lily. znalazłszy się w żywiole, wznosiła, w miarę jak nabierała pędu. coraz głośnie okrzyki, podobne do krzyku dzikiego ptaka lub bitewnego ^ ^ ku japońskich mistrzów sztuk walki. Uczyła się wach wraz z grupką kolegów ze szkoły na 'odoW^ajj Ona Queensway. Jej koledzy po jakimś czasie /rezy^n^a|ent łyż' została. Miała, jak powiedział instruktor, wrodzony ^kon-wiarski. Nauczyła się tańczyć, skakać, wygrała nawet J^^ ?0 kurs. Łyżwiarstwo stało się dla niej na krótko ^^nieJ\*-podboju świata. Wnet jednak rozstała się z tym wal lodowiska pozostał pałacem z bajki, który ^spaniały każdym treningu z uczuciem kłeski, tajemniczym Oposzczała P ybytkjem, wobec którego nędza jej rodzinnego ^tuczny"1 ^ ^ \_ przez kontrast - tym dokuczliwsza. Łyżwy domu sta^adzi }y jej w nowy krąg towarzyski. Zabrakło jej siły flie -^determinacji, by podjąć trud stania się mistrzynią. Nie-WC11 1 łyżwiarstwo do reszty straciło dla niej powab wśród bawem ^ c^Q^ zycja studenckiego, gdy zaś spadła na nią strapien ^ zaznała tylu miłych niespodzianek, a żadną nie Sa się cieszyć, nie przyszło jej nawet do głowy, by wrócić do sportu, który zdawał się należeć do raz na zawsze zamkniętego rozdziału jej młodości. Jej początkowy paraliż na brzegu zamarznętej łąki spowodowało nagłe bolesne wspomnienie. Kiedy jej palce dotknęły sznurowadeł łyżwiarskich butów, poczuła w sobie drgnienie swojej młodej, czystej, nie zepsutej duszy. Poza tym, podobnie jak Guli, wcale nie była pewna, czy wciąż potrafi się ślizgać. Wiedziała, oczywiście, że zdoła się jakoś poruszać na lodzie, ale czy będzie umiała jeździć doskonale? Dzikie okrzyki wyrażały radość z nagłego odkrycia, że talent jej nie opuścił.

Na chwilę przed pojawieniem się na środku lodowiska pani Boyne, chyżej jak strzała lub anielski zwiastun, Rose zaproponowała Gerardowi taniec. Prawie wszyscy już poszli, zostali na łące sami, więc mogliby puścić jakiegoś walczyka z magneto-°nu i zatańczyć na skraju łąki pod zwałonym pniem, jak to "ueli w zwyczaju od wielu już zim, jeśli mrozy chwytały dość

dobrz ^ °kUC łąCę ł°dem należycie twardym. Oboje tańczyli e> ale nie chcieli, przez delikatność, absorbować swoimi łąkcSami lnnych użytkowników lodowiska. Obecnie, kiedy mieli ^ niemal wyłącznie dla siebie, mogli bez obawy wywołać leka od ym PeJażu niezwykle czar muzyki. Trzymali się z danego \* ^y również z innego powodu, także motywo-"Cn najpewCZUC\*em ta^tlu me chceJi mianowicie być sędziami Boyn^111^ s'crommeJszych łyżwiarskich umiejętności. I oto W Piruecie Smiśnęła ODok nich. nadleciała pędem, zawirowała e

Lily! Toż z ciebie prawdziwa mistrzyni!

^ łyżew Wyskoczyła wysoko w górę i wylądowała na szpi-fnjn?ła p0 ' JdkDy Poruszała się nie na powierzchni lodu, ale ^^ Ależ 1\*1- ni.ą.' Gerard zawołał olśniony:

Rose przypatrywała się tym akrobacjom, po czym jęła decyzję.

- Z nią zatańcz - szepnęła do Gerarda.

Nie czekając na odpowiedź, pomknęła najszybciej jak w kierunku bazy pod zwałonym pniem i wkrótce ciszę zj go zmierzchu zburzyła muzyka Straussa.

Gulliver już nie wstał po swoim kłapięciu na lód. Nie ! najmniejszej ochoty zgłębiać dłużej świeżo odzyskanych urnie' jętności łyżwiarskich. Bezwstydnie, chyłkiem, wrócił na czwoi rakach na brzeg, wczółgał się po pochyłości, usiadł na pniu' rozsnuował z ulgą buty i uwolni! zgniecione stopy i obolałe' kostki. Cały przód ciała miał uma/any biotem i oblepiony śnie-gicm. jasnobrazowe sztruksowe spodnie całe w ciemnych plamach, przemoczone do nitki. Zgubił gdzieś jedną rękawiczkę. Prawdopodobnie zsunęła się. kiedy Lily chwyciła go za rękę. Gulliverowi zdawało się. że dostrzega w mroku zgubę; leżała na lodzie kawałek od brzegu. Usiadł prosto i jął przyglądać się Lily, która w oddali kręciła piruety. Nagle jak spod ziemi wyrosła przed nim Rose. Wskoczyła na brzeg niczym koza i włączyła magnetofon kasetowy. W tym samym momencie wyłonili się z ciemności Jenkin i Tamar.

Tymczasem Gerard i Lily podjechali bliżej i, krążąc jedno wokół drugiego, rozmawiali. Ich głosy docierały na brzeg w postaci cichych, czystych, choć nieczytelnych dźwięków, rozchodzących się daleko w coraz zimniejszym powietrzu. Kiedy zabrzmiała muzyka, zbliżyli się di) siebie jak przyciągnięci magnesem, jakby ich popchnął ku sobie jakiś nieodparty a radosny impuls. Gerard objął kibić partnerki, a jej dłoń. zaskakująco krzepka, spoczęła na jego ramieniu. Lily była IePszą tanC^' niż on tancerzem, lecz podobnie jak tenisista średniej potrafi wznieść się na wyżyny swych umiejętności, grając P ^ ciwko mistrzowi, tak i Gerard, porwany klasą Lily i PrZCZ(a]j. prowadzony delikatnym naciskiem dłoni i ruchami cia a. czył wspaniale, jak jeszcze nigdy w życiu. <,iadała

Czwórka na brzegu. Guli siedząc, reszta stojąc. Pr7^go)ovVy się ich tańcowi w napiętej ciszy. Tamar zsunęła się ' Q^ chusta i spadła na ramiona. Obserwując dziewczyn? ką bez odwracania głowy, Jenkin zauważył, że po JeJ

Gulliver, olśniony widowiskiem, jakie się przed sptynę12 l\*28, przysiadł się tancerzom, którzy wirowali coraz jjs\*\*oZgryWwanych widzów. Naraz zdał sobie sprawę z jakiegoś bliżej ^.^ania w okolicy pasa. Poczł jakby elektryczny dziwnego0 uniesienie. a zarazem gwałtowny niepokój. Ele-wstrząs, 0 ' -ąca radosna i jednocześnie melancholijna mu-ganckaP° w jeŁmą Cd\ość mroczniejące niebo, dogasającą łunę Zykł dTkąsający mróz. biel śniegu i rozległy, cichy, pusty do-^ly krajobraz, który już. wkrótce miała spowić nieprzejrzana

°ieSiec nie trwał długo. Wśród oklasków i śmiechów Gerard i Liry wspięli się na brzeg. Lily rzuciła Gullowi rękawiczkę, którą z wdziękiem podniosła z lodu sunąc ku brzegowi. Rose rozdała wszystkim elektryczne latarki i rozgadana gromadka ruszyła ścieżką ku domowi. Znowu zaczął sypać śnieg. W kręgach światła latarek zawirowały białe, kłaczaste płatki.

- Kapitalnie utarłaś nosa tej biedaczce Rose! - zachwycił się Gulliver, zwracając się do Lily.

- Jesteś gbur - odparła. - Oto twoja przywara: gburowatość. Rozmawiali po kolacji. Gdy łyżwiarze ściągnęli do domu,

zmęczeni, zmarznięci i podnieceni, przed płonąącym kominkiem w salonie czekał na nich podwieczorek: kanapki i maślane babeczki, placek ze śliwkami, domowej roboty dżem i kwaśna śmietana, dwa duże dzbanki z herbatą, mleko i cukier. Annuszka \* Porę zastawiła stół, bo już. z daleka dojrzała blask latarek więc"3^0^ gromadki. Przebywali poza domem dłużej, niż sądzili. sięk"16 WSZyscy m'eli ochotę na herbatę. Niektórym marzyła kośćTy?' 'nnym COŚ na rozgrzewkę. Nie chcąc sprawiać przy-babeczkj nUSZCe' wszvsc7 łyknęli herbaty, widząc zaś maślane °°jadal' ' doslovvme s'e na nie rzucili mimo próśb, żeby się nie ^etana^7611 kolacją. Z dżemem z czarnej porzeczeki i bitą sPany i r Srna^0Wwały wyśmienicie. Pojawił się i Duncan, roze-wiCkszośc- frZany' napytał o wyprawę na lodowisko i pochłonał ^adto D anaPek- Gerard i Jenkin pofolgowali sobie trochę Placka zj2 babeczkach. Gulliver wziął na później kawałek kol ami- Po kąpieli, odpoczynku i drinkach późno acJa również nie rozczarowała. Składała się z zupy

soczewicowej, pieczeni wołowej, pieczeni zapiekane' ciasta z agrestem i bitą śmietaną. Wszyscy, prócz T W szowali. aż im się uszy trzęsły. Po kolacji zasiedliMi' wyjątkiem Tamar, która wymówiła się /męczeniem)^^^ gdzie popijali kawę oraz wiśniówkę i pojadali boskie (zgodzono się, że są wyśmienite l. które Annuszka zrohT\*1 Jenkinsa. Rose wkrótce się oddaliła. Chciała najpierw za ' ^ Tamar, a potem udać się do siebie. Guli i Lily, ziew^ \* wyprzódk, oświadczyli, że idą spać. ale zasiedli jesszT troszkę" chez Lily. Duncan, Jenkin i Gerard zostali w salo""3 nad butelką whisky.

Gulliver żałował swojej niegrzecznej uwagi o Rose, wręcz był nią zdumiony. Wszystko przez to, że za dużo wypił. Zimno wysiłek fizyczny, przykre doznania, szokujące przeżycia, gorąca kąpiel, nadmiar spożytego jadła i wypitych trunków wprowadziły go w stan szalonego podniecenia, który dosłownie domagał się kolejnych dawek alkoholu. Okazało się, że zarówno on, jak i Lily wzięli ze sobą przezornie, „na wszelki wypadek”, po butelce whisky, więc nic nie stało na przeszkodzie, by mógł tej potrzebie folgować. Lily również miała już dobrze w czubie. Karygodna uwaga, jak najślusniej przez nią skrytykowana, wymknęła mu się poniekąd dlatego, że próbował jakoś uporządkować galimatias uczuć, jakie obudziły w jego sercu wyczyny Lily Boyne i jej „triumf. Nie miał nic przeciwko jej mistrzostwu, choć sam okazał się tak beznadziejnym łyżwiarzem. Nie odczuwał niechęci, kiedy fruwała nad lodem niczym skrzydlata bogini, a on wczłógiwał się na brzeg w utyłanych gaciach. Gładko zidentyfikował się z jej sukcesem, wzniósłszy w duchu okrzyk: jeden zero dla nas! Zupełnie jednak inaczej rzecz miała z tańcem. Bolesny skurcz, jaki podczas niego odczuł, a wał się bez trudu określić jako zazdrość, doznanie podobne te ^ jakiego doświadczył na przyjęciu w rocznicę spisku Pr0cl^W^e otworzywszy niespodzianie drzwi do salonu. I teraz, p ^ jak wtedy, zadawał sobie pytanie: o co ja. u licha, Jest^cze. zazdrosny? Może chodzi o bardziej ogólne poczucie wy.e0j8? nia, zlekceważenia, odrzucenia, zapomnienia i umeWaZt^egak Jego uwaga na temat Rose wynikała, jak to obecnie dos z zamiaru ulżenia własnemu dyskomfortowi poprzez przy go komuś innemu.

Iną rację - przyznał z pokorą, nalewając sobie Masz zupL '-' an kieliszka. wnisky d0. ^ pJaini Lily, w fotelach przysuniętych do komin-Siedziell \* Gulliver dorzucił właśnie kilka polan ze stojącego ka)doktóręgo^ ^wanik posypały się iskry, które szybko współ-Obok k0SZadem Zatupali. W pokoju, w którym głównym meblem nym yfL\* podwójne, stare łoże z ciemnym, dębowym, rzeź-był wezglowiem, paliło się kilka lamp. Błękitna tapeta b^nylczkę do cna wypłowiła, więc wzorek niemal zupełnie W a sterane wiekiem meble, jakby przygniecione ogro-slcZa0Z'a stały nieśmiało i skromnie. Dębowa skrzynia pod Scym'lustrem służyła jako toaletka, bufet bez drzwiczek oelnił funkcję biblioteczki. Kilka książek leżało na ośmiokątnym stolczku pod oknem, wśród nich powieści Lawrence'a i Virginii Woolf, wybrane dla Lily przez Rose, oraz, przez nią samą już przywieziony i dotąd nie otwarty, przewodnik po Tajlandii. Zielona kanapka, obita wytartym aksamitem we wzorek z kwiatów i liści, wypełniała przestrzeń między oknami. Na ścianach wisiało kilka akwarel przedstawiających posiadłość w Yorkshire i „starą rezydencję”, sprzedaną przez prapradziadka panny Curt-land. Nad kominkiem wisiał sporych rozmiarów współczesny obraz abstrakcyjny w tonacji czerwono-pomarańczowo-czarnej, który Gerard kupił od Gideona w prezencie dla Rose (zachęcona przez Jean podziwiała go głośno na jakiejś wystawie). Obraz ów stał się później ulubionym płótnem Cambusów, zawisł w ich sypialni i był nazywany „ich" obrazem.

- Wybierasz się jutro do kościoła? - spytała Lily. - Czy my W ogóle musimy tam iść? Czyja wiem?... Mam nadzieję, że nie.

~ JV już tu kiedyś byłeś, prawda? Nie.

dałeśZdaVVało mi się' ześ by'- Tyle mi 0 lym miejscu opowia-

- Nie jestem niegłupi, ale i nieszczerzy, mówił i idźmy do kościoła.  
Pójdźmy lepiej do pubu. Jenkin

- Przed wejściem Jest pub.

- A nie (Wunastit się nie otworzą.

- Możemy wejść? Utró niedzielę!

Zemy Pójść na spacer.

- Jeśli nas śnieg nie zasypie. Byłoby fajniej cięty od świata jak bohaterowie powieści  
detektywów

- Wątpię. Istyczych,

- Ciekawe, czy jeszcze pada. Zobaczmy!

Podeszli do okna. odsunęli ciężką aksamitną zasłonę i nieśli do góry dolną, ruchomą kwaterę.  
Okna od frontu, były oszklone gotyckimi romboidalnymi szybami. Do pokoju w fałd  
lodowatego powietrza.

- Zgaś światło - poprosiła Lily.

Stali w ciemności, wychylając się za parapet. Śnieg przestał padać. Pojedyncze, dalekie  
światelko, bladą żółty punkcik w nocnym niebie oznaczało opłotki wsi. Biały pejzaż tonął w ciemnościach.  
Za to w górze, gdzie z części niebosłonu już zeszła opona chmur mogli dojrzeć gwiazdy,  
szczególnie jedną jaskrawą gwiazdę a wokół niej i nad nią mleczny rój innych gwiazd, grube  
złociste runo mgławic nałożonych na mgławice, w zenicie niemal rozjarzające czarną kopułę  
nieba. Gdy zaś tak patrzyli, spośród tego złocistego pyłu spadła nagle gwiazda i szybko  
zgasła, a w chwilę po niej druga.

- Mój Boże - szepnęła Lily. - Nigdy w życiu nie widziałam spadającej gwiazdy, a teraz  
zobaczyłam aż dwie naraz!

Po chwili cofnęli się od okna, zamknęli je i zaciągnęli zasłonę. Guli zapalił światło. Spojrzeli  
jedno na drugie.

Gulliver, uprzedzony na szczęście przez Gerarda, że nie ma potrzeby zabierać smokinga, miał  
na sobie swój najlepszy ciemny garnitur, białą koszulę i muszkę w dyskretne ciapki. Nie był  
tak pijany, by nie przyczesać swej oleistej ciemnej czupryny co też uczynił ukradkiem, idąc  
po schodach na górę. Sztywna fryzura przydawała mu z lekką groźnego wyglądu (co  
cieszyło), lecz i postarzała (czego miał świadomość). Wycieńczony, mizerny, o ziemistej cerze  
wyglądał jak wygłodniała, chuda, chuda postać z filmu, na przykład nie  
prawnik lub niesympatyczny ksiądz. Jedynie jego czysty, czysty (podobny do sadzawek  
z mętłą, ale wonną) wyraz twarzy mu kiedyś wyznał w barze dla gejów) zachowały się  
młodzieńczy wyraz zaleźnionej niepewności. Lily, która, celem włożenia długą, obcisłą  
suknię, naszywaną z zielonymi i białymi, która, co wszyscy uprzejmie przyznawali, upadła  
do syreny, przebrała się teraz (nie dbając o to, że p

• naice) we wspaniały, granatowo-biały szlafrok. Gulliver weszła na zmęczoną i  
trochę naburmuszoną. Na Ona również w ciemnych obwódkach nasunęła się fałd-  
jedno z Płaskiej skóry. Lily zwilżyła cienkie, usrebrzone włosy. Plamliwie zburzyła rzadkie,  
jasne, kędzierzawe włosy. (Fryzura nie była a prezentowałaby się korzystniej, gdyby ją od  
czasu do Gulliver wzburzał zamiast przy lizy wać). Zasiadli na powrót w foliach przy kominku.  
Wierzysz w latające spodki? - zapytała Lily. - Wierzysz, że Mieszkańcy innych galaktyk  
przylatują, żeby nas podglądać?

- Nie.

- A ja tak! To absolutnie możliwe. Toż istnieją miliony planet podobnych do naszej Ziemi.  
Oczywiście, nie chcą, byśmy ich widzieli. Piszą o nas książki.

- Niech ci będzie. Może i przylatują, a my ich nie widzimy. Może nawet są teraz w tym  
pokoju. Rzecz w tym, że to nie czyni najmniejszej różnicy.

- A skąd wiesz? Skąd wiesz, czy wszystko nie byłoby inaczej, gdyby ich nie było?

- Mogłoby być tylko lepiej. Gorzej już nie. Czyli kiepsko o nas dbają. Kiedy już skończą pisać te książki na nasz temat, zetrą nas w proch i pył. I dobrze zrobią.  
- Oczywiście, cały wszechświat któregoś dnia się skończy. Więc jaki sens, skoro tak, jaki pożytek z czegokolwiek?... Ciewa jestem, czy w tym domu straszysz. Muszę zapytać Rose. ^daleko stąd przebiega linia mocy.  
- Skąd wiesz?

Czuję to. Rzymskie drogi wytyczano wzdłuż takich linii. Aonich co sądzisz?

'alaJące s° 00 TMC czyni najmniejszej różnicy, podobnie jak różdżkT^eZ t0 zJaw'ska fizyczne! Można je wykryć za pomocą Sktipja • mieJScach zbiegu linii mocy mamy czakramy ziemi. ludziachV nich.P^dto energia duchowa, pozostałość po \*zdłuż tych i—. k'edyŚ ZyU' P° rzymskich le gionach, które

tysięcy (jUS2l lnu maszerowały, pozostawiając na nich uczucia li ^~ Jeśu to lec,-

'n'a b' §1°ny wytworzyły tę energię, nic dziwnego, że •egnie wzdłuż tej właśnie drogi.

- Och, to jest także energia kosmiczna, podobnie megalitycznych kręgów. Linia mocy przebiega przez Sto ge. Są tu w pobliżu jakieś megaiity? Wiesz, one Wszysft^ ze sobą łączą.

- Zdaje się, że leży w lesie jakiś gład.

- Pójdę go obejrzyć. Jeśli jest naładowany energią, w to. Moja babka mawiała...

- Lily. toż to nonsens! To, co mówisz, jest irracjonalne!

- Sam jesteś irracjonalny! Nie chcesz dostrzegać dowodów po prostu wiesz, swoje i już!...

Słuchaj, nie uważasz, że nowin' nam pójść i sprawdzić, co z Tamar? Biedulka praktycznie nic nie je, a blada jest jak śmierć na chorągwi.

- Zawsze była blada i jadła tyle co ptaszek, a teraz na pewno już śpi. Golnijmy sobie jeszcze...

- Biedne dziecko! Biedne niebożatko...

- Lily...

- Rose ma taką spokojną, gładką twarz, a przecież jest ode mnie o tyle starsza. Moja buziunia przypomina ruinę. Wiesz, oni

się szykują na Crimonda. Chcą go zniszczyć.

- Któż taki?

- Oni, te ziemskie bożęta. te mądrale, wszystkowiedząceinte-ligenciki! Słyszałam, jak się zmawiali po kolacji. Bozi u. chyba się ululałarn, wszystko widzę podwójnie... A może to te ludziki

ze spodków?

- Przestań pleść głupstwa, dobrze?

- Ja tam jestem po stronie Crimonda. Wiem, że go nienawidzisz, ale ja przeciwnie...

- Lily, proszę cię, wstań na chwilę.

Stanęli chwiejnie przed kominkiem. Gulliver objął Lily i przytulił. Poczul jej chude, jędrne i drobne ciało, a potem jej serca.

- A teraz siądźmy tutaj.

Podeszli do zielonej kanapki. Lily usiadła na kolanach makija2

Uvera i ukryła twarz na jego ramieniu, rozmazując marynarce od najlepszego garnituru. r (,v

- Słuchaj, lepiej od razu ci się przyznam. Ko"CZ^z!6<<, na forsa, księgowy mnie uprzedził.

Bóg jeden raczy §jC dl3

co poszła. Bo ludzi obchodzi wyłącznie moja forsa.

... zę jestem jak ta skorupa. Przypominam rozdeptanego

nich me

ślimaka- r , słuchaj, czy mógłbym zostać tu u ciebie \_ przestań. ^ j-

na noc?^ wyobrazasz sobie, jak okropnie jest być Lily Boyne... ~ Więc mogę zostać?...



" Och skoro chcesz... Miejsca jest pod dostatkiem. Mnie tam żystkojedno. Ale uprzedzam: nic z tego nie będzie - zakończyła i rozplakała się.

Panna Curtland siedziała na łóżku Tamar i bacznie się jej przyglądała. Przyniosła gorącą czekoladę, przygotowaną specjalnie przez Annuszkę, bo wiedziała, że Tamar ją lubi, lecz dziewczyna upiła tylko łyżeczek. Rose przyniosła też aspirynę i proszki nasenne, ale Tamar odmówiła ich zażycia. Zapewniała grzecznie, że czuje się dobrze, nic jej nie dolega. Prawdę powiedziawszy, zjadła jak na siebie wyjątkowo dużo. Nigdy nie miała wielkiego apetytu. Zeszłej nocy spała doskonale. Tej również będzie spała dobrze. Świetnie jej się czyta The Tale of Genji. Powieść leży tu, na stoliku przy łóżku. Ma zamiar poczytać jeszcze trochę przed zaśnięciem, powiedziała, po czym nagle rozplakała się. Płakała tylko chwilę, jakby otworzyły się samoczynnie i zaraz zamknęły wrota śluzy. Łzy wielkie jak groch płynęły obficie Przez jakieś pół minuty, po czym równie nagle przestały płynąć.

se spróbowała ją ująć za rękę, tę samą, którą dziewczyna

Sa\*3 °CZY' Tamar schowała Ją P°d kołdrę" Gdy tak sie" sia f3 ^tÓŹkU W tym maiym' okrągłym pokoiku, ubrana w pa-mał plZamę' z wychudłą, mokrą od łez twarzą, przypominała mozęg^.cnłnPca- Ona jest chora, pomyślała panna Curtland, być co to da^3 depresJ'- Muszę koniecznie pomówić z Violet. Tylko tym d?ie ^cn' moJ Boże, gdybym tak mogła zaopiekować się sobie' p em' Porwać je, zabrać od matki, zatrzymać przy temu. AJe °P°dobnie powinnam to była zrobić już dawno •i^nana 10 t0 tak\*e dzikie stworzenie. Jest taka nieprze-  
~~ 'larn

Tallc°ttov/ -iesteś chora! Chcę, żebyś się pokazała doktorowi

fe^owrT°MJ 2 naszej wsL

Wl— Nie, nie trzeba!

Dziewczyna sprawiała wrażenie szczerze przerażo - Twoja matka nie musi się dowiedzieć...

Al<

chcesz, wybierz się przynajmniej do swojego lekarza Co 'lle Violet twierdzi, że jest do niczego...

- Ależ ja wcale nie jestem chora! Czuję się najzdrowsza słońcem. Chciałabym tylko, żeby zostawiono mnie w s ^ Rose, kochana, nie gniewaj się...

- Ależ nie gniewam się. skarbie! - Panna Curtland ukłęk przy łóżku, chwyciła drobna, chuda dłoń. która tymczasem wv\* nurzyła się spod kołdry, i okryła ją pocałunkami. - Naprawdę zaraz zaśniesz? A może coś ci jeszcze podać, coś przynieść?

- Nie, nie trzeba, czuję się naprawdę doskonale. Tak, myślę, że zaraz usnę. nie będę już czytała. Czuję, że bardzo mi pomogłaś. Nie martw się o mnie. Nic mi nie jest, zapewniam cię. Zupełnie nic.

Rose musiała się tym zadowolić. Wyszła z pokoju i chwilę nasłuchiwała pod drzwiami.

Tamar zgasiła światło.

Panna Curtland zeszła na dół do swojej sypialni. Ten pokój przypominał jej nieodmiennie matkę, taką piękną, tak skora do zadowalania innych, taką zagubioną i rozbitą po nagłym, niepojętym i niebывалым odejściu ze świata jej syna i męża, a przedtem tak zdominowaną przez, tegoż męża, przez Sinclaira, przez córkę, a nawet przez krewniaka Reeve'a. Rose dotąd za mąż tęskniła, bardzo jej matki brakowało. Pamiętała, jak się oburzyła, gdy ktoś, jakiś kolega Reeve'a. nazwał ją beczynną. Jej matka nie była „beczynna", była czymś stale zajęta, choć nie zawsze zadaniami, w których ludzie byliby skłonni dopatrywać się sen su. Za jej życia kwiaty były zawsze tak pięknie zadbanóktóyro i Annuszcze już tego daru brakowało. Pokój matki, w ^ panna Curtland umyślnie niczego nie zmieniała, stopni^^jec-rzał i niszczał, choć zasadniczo pozostawał taki sam: sta^atcZy. ka toaletka ze szklanym blatem, zawsze przyprószona ^@ nym pudrem, wielka „męska szata", pamiętająca czaSy^d)egle rodzice Rose spali we wspólnym, podwójnym łożu (J wydawały się obecnie, jakby z innego stulecia!), obs

u ^^ nie nadające się do pokoi gościnnych, dywan z Ax^ \_ x^o^ kryty wzorem cieniowanych kwiatów, tapeta w bia e^ ^^j-prążki (różowe niemal do cna wypływały), odłóżąca na której Widniały widmowe prostokąty po zdjęty skoro

rzedstawiające sceny biblijne, należące do babki ze ,beUny' ±i, znakomitej hafciarki. strony mas|ad}a w jednym z foteli i chwilę myślała o Tamar, R°se u jean Byty to myśli bolesne, pełne lęku i wyrzutów a P°tenl j^oZważała, czyby nie wrócić na dół i nie dołączyć Sumienia' rozmys'jjła się jednak. Gerard, Jenkin i Duncan utonęli do reszty^ ^ jg^jjs teoretycznym sporze, a nie chciała zawra-najpewniej ^ \_ Guljow^ którzy wybierali się już do łóżek. Ca° • też się położy i poszuka wytchnienia w błogiej niewin-łośćTsnu i głupiutkich strachach marzeń sennych. Kochany sen, brat śmierci. Spostrzegła Daniela Derondę, leżącego na stoliku przy łóżku pod obszytym różową frędzlą abazurem lampy. Nie mogłaby już czytać tej powieści. Kto wie, pomyślała, może w ogóle dotarłam już do kresu czytelnictwa? J'ai lu tous livres. Wszystkie ulubione utwory literackie znała niemal na pamięć. Żadna powieść nie przepełniała jej obecnie owym radosnym uczuciem ucieczki od świata, bezpiecznego azylu. Nie miała zaś ochoty czytać biografii ani tych przemądrzałych książek politycznych, które jej czasem rekomendował Gerard. Nikt już dziś nie czyta płodów wyobraźni, powiedział jej kiedyś jeden z kolegów Reeve'a (Tony Reckitt, farmer, ten sam, który nazwał jej matkę bezczynną), ludzie pragną faktów. Rose nie zadowalały "fakty", ale i beletrystyka przestała ją zadowalać. Czyżby, jak cały nasz wiek, stawała się wtórną analfabatką? Ros SmeZne^ c'emności za oknem rozległo się szczekanie lisa. dziki WZJ^a ^e zrazu za ujadanie psa, dopiero po chwili poznała S2 .. Szczek' Jaki wydają lisy. Żaden wioskowy pies nie pod-jące Zreszta- tak blisko domu. chyba zabłąkany. Psy szczeka-Regente Przypominały jej zawsze psa Sinclaira. Wabił się miała nadj^ • wkrótce po śmierci swego pana. Rose długo •iarówce alb^ ^ ^ed^ wróci, zaskrobie do drzwi - tu. w Bo-^wego ,° W ^Ondynie. Spodziewała się go nawet teraz, wid-SWego Panaa' ktÓFy wraca P° bezskutecznych poszukiwaniach ' r°2Paczhw WsłucnuJiC sie w szczekanie lisa, dzikie, smutne czyżbym ' Zadrza,a- A potem naprawdę obleciał ją strach.

\* 8ar«ó . Zaczynała sie Starzec'? - nnnrwśbiła Miiszp. sio. wziąć

8ars'ć, mns? yndla S1? starzec? - pomyślała. Muszę się wziąć -ę się pozbierać. To nieokreślone uczucie, ten lęk, związek z Gerardem. Przeżywała męki niepo-Przerażenia, patrząc, jak tańczył z Lily przy dźwię-

kach walca Straussa. Miała ochotę płakać i krzycz, zabolął ten nieoczekiwany gwałt, ta kradzież. Nij pomni tej chwili i tego całkowicie dla siebie nowego^16 ^ kiego i gwałtownego uczucia zazdrości bliskiej furii V nawiści. jakim napełnił ją triumf Lily Boyne. Co prawda \*~ pogratulowała rywalce, objęła ją. śmiała się i uśmiecha^16"1 Gerarda, któremu wyrzywały się okrzyki radości. To był str 3 \* zwiastun, ostrzegawczy znak. Czegóż, się przestraszyła? C ? saH7iła 7p Cipmrń w I ilv ln\\(ci\rhar) TV, tn ,,,.„. „JjJ bieda,

sądziła, że Gerard się w Lily zakocha? To ta sama stara skonstatowała w duchu, ta sama zastarzała, wieczna choroba Tylu przewinęło się przez moje życie miłych, przyzwoitych mężczyzn, za których mogłam wyjść, których kochałam, choć & byłam w nich śmiertelnie zakochana, lecz moje serce było więźniem z wyrokiem dożywotnim. Jestem głupia. Być aż tak niemądrą to doprawdy nikczemność!

Jakby tylko po to, żeby odegnać lęk. przepłoszyć uczucie samotności, które przyniosło jej z. mroków nocy szczekanie lisa, pograżyła się - i chętnie nawet ją powitała - w miłosną udrękę, to nieznośne pożądanie, pragnienie zdobycia Gerarda, jakie ją czasem nachodziło, jakie odczuwała na przykład z nieznośną intensywnością, gdy stała przy oknie w mieszkanku Levquista w czasie oxfordzkiego balu i patrzyła na oblaną blaskiem reflektorów wieżę. Miała czasem wrażenie, że Gerard został jej bratem, zajmując miejsce Sinclaira. Może tak się

właśnie czuł. Czyż nie wypowiedział kiedyś tego strasznego słowa, na którego dźwięk skrzywiła się tak boleśnie, że więcej go nie powtórzył) • Może właśnie owo braterskie uczucie, jakie dla niej żywił, p zwałało mu znosić z takim spokojem ich dziwną relację, z > a zarazem beznamiętną, wręcz aseptyczną. Chryste, Pon^ ^ ależ mam czasem ochotę rozwalić to wszystko, zwymy \* i skłać! Wyobrażała sobie, jaki byłby urażony takim ""^^g szafu". Niemal słyszała jego głos. wypowiadający z urazą ^ słowa, wyobrażała sobie, jak szlachetnie udzieliłby ^^09-czenia! Doprawdy, znajdowała się w położeniu beZ}o^ mia-Choćby nie wiedzieć jak niezwykle okazała P1"7^16^ nieciła spętane ręce. Było za późno, by mogła urodzić ^ fla. Spiesznie odwróciła myśli od tych bezbronnych isto ^ ^ zbyt łatwych do wyobrażenia. Po co w ogóle zap^cie rfc^ głowę takimi rojeniami? Ich małżeństwo nigdy w g .. w rachubę, nie mogłaby go nawet oskarżyć o to, wcn0 z^, q.w krótki i dziwny epizod po śmierci Sinclaira żeJ3"zW'ał raczej jakiś religijny obrządek, jednorazowe zda-przyp°minadalszycn konsekwencji, rytuał spowity w świątynną rzenie p0mniała sobie pewną uwagę, jaką Jenkin wygłosił ciszę-/ temat Gerarda. „Nie należy tracić z pamięci, że ten i^ert kompletnie stuknięty!" Wtedy ją ta opinia rozgniewała, CUZI\ znajdowała w niej nawet pociechę. Muszę coś zrobić, postanowiła. Wstała i zaczęła chodzić po koiu żeby choć trochę uśmierzyć dręczący ją ból. Muszę go ^baczyć, zaraz, dzisiejszej nocy! Muszę! Za chwilę zejść na dół i jeśli będzie u siebie, choćby już leżał w łóżku, zapukam, rozmówię się z nim. wszystko raz wreszcie wyjaśnię. Dłużej tego nie zniosę, jestem u kresu wytrzymałości, doprowadzona do ostateczności, więc nie powinno zabraknąć mi odwagi. Rozmówię się z nim uczciwie i szczerze. Mogę to przecież tak wyrazić, by się nie przestraszył. Po prostu musimy zawrzeć jakiś układ. Muszę wiedzieć na pewno, na jakim gruncie stoję. Czyż mam do końca życia spoglądać na Gerarda z uczuciem trwogi, drżąca z niepewności? Tylko jak to wyrazić? To nie takie proste. Bądź tylko mój i nie opuszczaj mnie. Dziel ze mną życie, bądź zawsze blisko mnie, pozwól mi się codziennie widywać, niechaj Mę ci najbliższa, najdroższa. Obiecuj, że nigdy się nie ożenisz, chyba ze mną. Były to z pewnością komiczne, wręcz niemoralne żądania. Chcę od niego po prostu gwarancji, pomyślała, czegoś, czym mogłabym żyć. co broniłoby mnie przed bólem takim Jak ten- Muszę się z nim zobaczyć, niezwłocznie! Gdy go zoba-°Zę' ZnaJdę odpowiednie słowa. neJ ni682\*3 d° t0a'et^ 1 przyjrzała się w lustrze swojej spokoj-cus p.eWzruszoneJ twarzy i szeroko otwartym oczom, które Mar-sała 6 nazywał nieustraszonymi. Przypudrowała nos i ucze-odcie^ ^ bl°nd włosy zaczynały już matowieć, a złotawy giej SU|^rZetylca\*y pasemka siwizny. Poprawiła spódnicę dłu-^wiatła h P°tem wys?ła z pokoju i cicho zeszła po schodach. szłado y y zapalone. Chwilę nasłuchiwała w holu. Ciszka. We-Pustką pyj |"U' Pa'ity się tam wszystkie lampy, lecz pokój świecił ' filizanki6 6 były Poprzesuwane, na wszystkich stały kieliszki PUsta buteUV° kaWie' na k°minku płonął ogień, a na kracie leżała a Po whisky. Rose przystawiła ekran do ognia, bu-telkę wrzuciła do kosza, filizanek i kieliszków nie siła światło w salonie i w holu, wbiegła lekko ?"a- i weszła w korytarz na półpiętrze. Spod°drzwi Gerard się światło. Przystanąła, przytknęła do nich ucho i nasłu Żadnego dźwięku. Zapukała i usłyszała głos przyjaciela a" - Proszę!

Jenkin i Duncan siedzieli na łóżku Gerarda, który khr jednym kolanie, grzebał w swojej walizce. Na widok^0"3 Curtland wszyscy trzej zerwali się na nogi.

- Rose, skarbie! - zakrzyknął! Hernshaw. - Aniele wybawi cielu! Wyobraź sobie, zdawało mi się, że wziąłem ze sobą bu" telczynę whisky, tymczasem nie mogę jej znaleźć! Bądź dobra i wystaraj się nam o flaszeczkę, co?-

tak

Ulubiony przez Gullivera wiersz. Housmana o „głowie, o której będę śnił, choć ona o mnie nie” mogłaby z powodzeniem wydeklamować tej nocy Rose. ponieważ Gerard, gdy został sam, wcale nie myślał o niej. Myślał o Jenkinie.

Siedział na łóżku (Jenkin i Duncan już poszli) i czuł się okropnie pijany. Co prawda Duncan wstawił się jeszcze bardziej - od rana pił jak smok - ale on był do opilstwa nawykły. Przez cały czas ich zajadłej dyskusji prezentował nieskazitelną czytelność wysłowienia, nie był jedynie w stanie utrzymać się prosto; wyszedł uwieszony ramieniem na szyi Jenkina. Riderhood, który wypił przynajmniej tyle co Gerard, zachował jasność i świeżość myśli, a jego chłopięcej karnacji nie zabarwił rumieniec, jaki rozlał się na twarzach jego przyjaciół, szczególnie Duncana. Dyskutowali, rzecz jasna, nie o sprawach osobistych-lecz o przyczynach zdumiewającego sukcesu chrześcijańska w czwartym wieku naszej ery. Mam nadzieję, że nie narobiliśmy zbytniego hałasu, zafrasował się Gerard, dotykając z lekkim wstydem rozognionego policzka.

Ubiegłej nocy przyśnił mu się ojciec. Siedział za biur przed którym stał Gerard, i miał na dłoni dużą, czarną, skórzaną rękawicę, taką, jakie wkładają sokołnicy, by miały na siadać ich krogulce i rarogi. Gerardowi przyszedł do głowy raz „pęta”. „A gdzie pęta?” - zaciekawił się. Wpatrując się groźnie, ojciec wsunął rękę do szuflady biurka i wydołował gazetę przedmiot, po czym podał go synowi, jakiś zawinięty Gerard pomyślał z przerażeniem, iż

mówiąc: „Jeż zaczął rozwijać gazetę, a gdy ją w końcu rozchodzi o pa że w śrocinie znajduje się nie martwy ptak, lecz żaba, stwieciek Wsunął go czym prędzej za pazuchę palta, mały żywy zwierzątko wygodnie się ułożyło. Kiedy podniósł gdzieś ciepło wyciągał wymownie w jego stronę urękawiczoną wznak, ojciec » rękawicę i stwierdził ku własnemu iękciu że ojcowska dłoń obficie krwawi, dosłownie odarł skórkę W tej samej chwili uświadomił sobie, że mylił się u do królika. Zwierzątko wcale nie żyło, było martwe. Obudził Te przygnębiony. Przypomniał sobie Żaka, gdy rozkładał skrzydła i przyglądał mu się mądrymi, łagodnymi, bystrymi oczami a wraz z tym wspomnieniem wróciły do niego, odnawiając wieczny, nieprzemijający ból, wszystkie dziecięce niepokoje związane z pytaniem: „Gdzie on może teraz być?” Przypomniał sobie ojca na krótko przed śmiercią i ten smutny, wzruszający, zalękniony wyraz, jaki ukazywał się czasem na jego twarzy i szybko gasł. Jego ojciec bał się śmierci. Gerard wprawiał się w umieraniu, już gdy miał jedenaście lat. Obecnie poczuł, jakby śmierć wyciągała rękę i dotykała go palcem w czarnej rękawicy. Miał już za sobą rozstania, zerwania, bezpowrotnie tracił to, co najcenniejsze.

Cieszył się na wyjazd do Bojarówki, miał nadzieję, że tu żyje, zakosztuje szczęścia. Ta nadzieja, jakby oczekiwanie na obiecany łakość, uzmysłowiła mu, jak bardzo czuł się ostatnio nieszczęśliwy. Czyżby przywykł do bycia szczęśliwym, czyżby przyjmował szczęście jako stan dla siebie naturalny. Prawa mu należy? Oczywiście, nadal nosił w sercu żalobę

Pq ^ . -----"j . ww.^ ni^ n-, nauai iiwon »v jvihu .....»»^v

spohir ^cięż zwracał myśli w pewną określoną stronę, a tam w ^\ Słę 2 Pustką i nieobecnością. Brakowało mu czegoś "ości r/n brakowaf0 bezwarunkowej miłości ojca. Jego obec-

ności h - wmu oezwarunKowej mitosci ojca. jego ooe-

"rernó j^13^7^ le,az jako uporczywego, tępego bólu, więc rajiny^ 1.teg0 bólu nie przypisywać nieobecnemu. Leżąc w po-ciemno •Clkemnościach (choć dochodziła już siódma, wciąż było tond był W studni>- Jaj rozmyślać o Crimondzie, jakby i Cri-S^bie' °y nęSCią snu' Jaki mu się przyśnił. Nie przypominał SZCZERA n , rim°nd kiedykolwiek nawiedzał jego sny i miał -leJC, że to się nie zmieni. Nie ulegało wątpliwości:

denerwował się przed czekającym ich spotkaniem choć nie przyznawał tego przed innymi, że Crimond\ wien sposób „zez.łóśliw iec". Perspektywa spotkania u""^ W ^ mu, jak słabo w gruncie rzeczy zna dawnego kolegę j^0"1"3 żenię, jakby czekało go spotkanie z

nieznajomym. Już rJ^ brych kilku lat unikali się nawzajem, niczym dwa niedźwiedzie polarne. (Sinclair często opowiadał historyjkę - aż stała się przysłowiowa - o kimś, kto widział w Antarktyce jak dwa niedźwiedzie zbliżały się do siebie z przeciwnych stron bezkresnej lodowej pustki, a gdy się w końcu zeszyły, w końcu minęły się obojętnie i bez pośpiechu poczłapały dalej, każdy w swoją stronę). Gerard nic przewidywał, co prawda, żadnych nieprzewidywalnych trudności, miał zresztą zamiar dopilnować, by spotkanie było w miarę krótkie i przebiegało w spokoju.

Siedząc samotnie na łóżku po pijackiej bibce, doznał najpierw niepokoju o Duncana. Dopiero tu, w Bojarówce, dostrzegł, dzięki codziennej bliskości, w jak okropnym stanie ducha znajduje się przyjaciel, wyczuł jego zagubienie i rozpacz. Ani jednak nie zainicjował szerszej rozmowy, ani do niej nie zachęcił. Ich ostatnia, krótka i rzeczowa wymiana poglądów dotyczyła listu rozwodowego od adwokata. Czyżby Duncan czekał na jego inicjatywę w tym względzie? Jeśli tak, nie dawał tego po sobie poznać. Większość postronnych obserwatorów, w tym kilku znajomych Cambusa, a byłych kolegów Gerarda, którzy znali te przykry, ale i fascynującą historię, zdawała się sądzić, że Jean wróci w końcu skruszona i na powrót małżonka uszczęśliwi. Gerard, który nie cierpiał plotkarstwa, nawet we własnej głowie, nie wdawał się w drobiazgowo przewidywania na temat przyszłych losów nieszczęśliwego przyjaciela. Z całą pewnością uważał za tak oczywiste ani tego, że Jean wróci, ani że uszczęśliwiłoby to Duncana. Czy zaznał choć chwili spokoju od tamtych wypadków w Irlandii? Zapewne nie znajdzie dobrych rad, myślał Hershaw, ale chyba już najwyższy czas by znów pogadać od serca. Muszę to sobie postawić. Bieda tylko, że jutro z rana wyjeżdża. Zobaczą się w Londynie. Spoglądając nieco trzeźwiejszym wzrokiem na minionego wieczoru, uznał, że Duncan nie był na niego zachwycony obecnością Jenkina i spróbował dać mu do zrozumienia, że chciałby zostać z Gerardem sam. Jenkin oświadczył zaraz, że czuje się zmęczony i musi już iść, ale jednak zatrzymał, gdyż on z kolei pragnął, by to Gerard, a nie on, cncjał bowiem porozmawiać z Jenkinem bez jego wiedzy.

Wszystko związane z Jenkinem, od pewnego czasu zaczęło się ukierunkowywać, zbliżały się obecnie do jakiegoś punktu, a przyczyna takiego stanu uczuć pozostawała dla niego niejasna. Niewykluczone, że wywołała je śmierć ojca, a może odejście kolejnej osoby, która kochała go bardzo, a może samotność, gdy nie będzie już na świecie takich miejsc, gdzie skakano by ze szczęścia na jego widok. Bardziej wszelako namacalną przyczyną jego niepokoju była obawa, że Jenkin przemyśli w duchu o wyjeździe. Przy kolacji oznajmił na przykład z nonszalancją, która wydała się Gerardowi podejrzana, że zamierza wyjechać z Anglii na Boże Narodzenie. Jak to? Więc nie pomyślał o tym, że Gerard, po raz pierwszy od wielu lat, miał spędzić święta w Londynie? Gerard wyczuwał intuicyjnie, a od pewnego czasu całkiem wyraźnie, że jego przyjaciela coś dręczy, jakby spoglądał nad jego ramieniem w bezkresną dal. Jenkin nie wspominał mu oczywiście o żadnych sprecyzowanych planach wyjazdowych, a Gerard ze strachu nie pytał. Nie uszło jednak jego uwagi nagłe zainteresowanie „nową teologią”, cała ta gadanina o „ubogich”, wreszcie gramatyka języka portugalskiego. Nurtowały go złe przeczucia, w rodzaju: Jenkin nas opuści, wyjedzie na drugi koniec świata, zabędzie Ameryki Południowej albo do Afryki, gdzie go nie ma prawa wyjeżdżać. Jeśli wyjedzie, pojedzie z nami. Nie potrafię bez niego żyć. Oto, co czuł.

Jakie uczucie nazywa?... Drżenie - przestraszył się. Robi mi się na ciebie gorąco, mam dreszcze, ręce mi drżą. W końcu nie powiedziałem ojcu, jak bardzo go kocham, nie chciałem popełnić tego samego błędu z Jenkinem. Może to jest właśnie zresztą - całkiem proste? Znam go od ponad trzydzieści lat, skąd naraz ten przypływ uczuć? Kocham go, nie stęskniłem się? Coś nowego w moim życiu?

• ^Wszem- zdałem sobie sprawę, że mógłby mi ^e Wyjechn!eZnośne^0 bólu - gdybyśmy się pokłócili, gdyby a • gdyby umarł. Taką posiadał nade mną moc. Nagle przeleciało mu przez głowę: czy ja się aby nie zak i w moim starym druhu? Czy takie rzeczy w ogóle bywa".0?^ po śmierci bliskiej osoby miłość się znarowia? Mo-f^0^ przejdzie? Muszę go jednak chronić, zapewnić mu b c z c n s t w o. muszę go z a t r z y m a ć. nie mogę pozwolić ^h^ jechał. Jak go jednak zmusić do zostania? Powiem mu p0 r ^" jak bardzo go potrzebuję. Muszę z nim zawrzeć umowę^11' mi obiecać, że ze mną zostanie. Musimy się częściej wid ^ znacznie częściej, szczególnie teraz, gdy zdałem sobie sorT"0' z uczuć, jakie do niego żywię, a może zawsze żywiłem, tyłb teraz stały się bardziej gwałtowne. Czy to wynik starzenia się° dojrzałej świadomości, która odkrywa, że czas i śmierć są czymś aż nadto realnym? Lecz wszak nic czuję się stary. To nowe dziwne uczucie odmłodziło mnie. Dobry Boże, przestraszył się nie na żarty, czyżbym był naprawdę zakochany? Upiłem się, pomyślał, jestem kompletnie pijany. Nie przypuszczam, żebym rano zapomniał o tych uczuciach, ale będę miał z pewnością trochę chłodniejszą głowę. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym uczynić podobne wyznanie drogiemu poczciwcowi. Pomyślałby, że zwariowałem, wpadłby w konsternację, może poczuł niesmak. Gdyby go zaś poczuł, nie dałby tego po sobie poznać, lecz ja i tak bym wiedział, wyczułbym, że jesi nieswój lub zirytowany. Mógłbym niechcący zaszkodzić naszej przyjaźni, w najlepszym razie rzucić na nią cień, a potem wyobrażałbym sobie, że Jenkin mnie unika, i przeżywałbym z tego powodu męki. Cierpiałbym, sądząc, że ochłódł w stosunku do mnie. Ryzyko jest zbyt duże. Żyję samotnie już od tylu lat... <w żył tak zawsze. Zadziwiające jest to, że w gruncie rzeczy wc go tak dobrze nie znam. nigdy nie byliśmy ze sobą aż w tak^ zażyłości, więc po prostu nie wiem, jak mógłby zareag Chyba już lepiej nabrać wody w usta.

Do kościoła wybierali się wszyscy z wyjątkiem zesnyta Duncana i Lily. Duncan wyjechał z rana. zaraz po wC śniadaniu. Tylko Rose była świadkiem jego odjazdu. \* jc daniu oznajmiła gościom, co zawsze w niedzielę ^"jła-oczywiście nie muszą jej towarzyszyć w wyprawie do ^^ji Pójdą wc dwie z Annuszką, należy to już bowiem na wsi. Pozostali mogą robić, co im się żywnie jej Poby!!^rd i Jenkin oświadczyli, też zgodnie z tradycją, że podoba- ke ^ ^^iorą. Tamar również wyraziła taki zamiar, chętnie się oznajmili natomiast, że wybierają się na spacer do Gull ' L' tem pójdą rzymską drogą do wsi, są bowiem ciekawi laSU' apPTszczupakiem". Ustalono, że wszyscy się tam później pubu spotkają \_ ^ w pySZnych humorach. Miniona noc nie była bynajmniej oczekiwań i nadziei Ashe'a. Położył się do ^"bok Lily< wymienili kilka nader wstępnych pieszczot, po 0Zm zaSnęli oboje twardym, pijackim snem, z którego obudzili się tak późno, że ledwo zdążyli na śniadanie. Lily uznała tę przygodę za nieopisanie komiczną. Gulliver, który początkowo odczuwał zażenowanie i wstyd, po namyśle również postanowił ją uznać za zabawną. Doszedł do wniosku, że tak czy owak wykonał zdecydowany krok w określonym kierunku, a skoro Lily przyjęła całe wydarzenie z takim humorem, niemal z nonszalancją, zyskał przynajmniej na czasie i będzie mógł zastanowić się spokojnie, czego mianowicie dokonał. Dzień był słoneczny, niebo błękitne, prawie bezchmurne. Pokoje zalewał jaskrawy blask. Goście wyglądali przez okna, wznosili okrzyki zachwytu i wskazywali jedni drugim iskrzące się kryształki śniegu i topniejące sople. Rozważano pomysł ulepienia bałwana. Na zaśnieżonych trawnikach krzyżowały się tropy zwierząt i ludzkie ślady, Gulliver i Jenkin wybiegli bowiem na dwór zaraz po śniadaniu, żeby pospacerować po ogrodzie i sto-bitWę na śmieżki. Rose odbyła już zwyczajową wycieczkę chennego okna. za którym chmara drożdżików, tłustych, siach^Cn ptasz^^w" większych od drozdów, o czerwonych pier-i ost' prązkowanych szyjach, małych, ruchliwych łebkach różanyCh'. wścibskich dzióbkach, zachłannie połykała jagody Ręcznika.

nym. XanJy byli ^acyś zadumani, pogrążeni w nastroju refleksyj-s'edziała ^ Ubrana w brunatną welwetową odświętną sukienkę, Tale ofG\*\*- podokiennej ławce w bibliotece z

powieścią The 8<sup>o</sup>m w \,enjl na kolanach, przyglądała się swoim smukłym no-k'&kina ^Wycn Pończochach, to znów wstawiała i oglądała VVyJedzoneP<sup>o</sup>ikaCh' Gerard poszedł do pokoju bilardowego, gdzie PrZez m<sup>o</sup>le sukno stołu skryto pod płóciennym pokrowcem, i położył na talerz adaptera płytę z pierwszą s Maniera. Lubił melancholijne, posępne brzmienie druo<sup>^111^</sup> tego utworu. Muzyka, choć ściszy 1 gramofon, przenikn salonu, gdzie Lily siedziała bez butów na kanapie i pasjansa. Gulliver, który przemoczył nogi w ogrodzie S aW'ala na górę do swego pokoju, aby zmienić buty i skarpetki Jrzeć się w lustrze. Miał na sobie luźny, ciemnoszary roz sweter o splocie warkocz.owym. koszulę w szare i ora . ^ paseczki z wysokim kołnierzykiem, ciemnofiołkowej krawat i szare spodnie w czarną drobniutką kratkę. We fiołkowym kra wacie pobłyskiwał ledwo widoczny różowy rzucik. Gulliver uznał to za dopuszczalne, wszak nie wybiera! się na mszę. Przy-liz.ał włosy i zrobił poważną minę. Jenkin, który włożył do kościoła swój najlepszy garnitur, zszedł do biblioteki, aby przysiąść na chwilę przy Tamar na wypadek, gdyby dziewczyna chciała z. nim pogwarzyć, lecz. ona najwyraźniej nie miała na to ochoty. Otworzył więc Oksjbrdzką antologię poezji hiszpańskiej i przeczytał sonet do Chrystusa Ukrzyżowanego, który bardzo lubił. Zerkał przy tym spod oka na Tamar, a ona wyczuwała jego wzrok i rosło w niej rozdrażnienie. Kiedy w końcu z trzaskiem zamknęła czytana książkę, zerwał się i wyszedł. Poszedł na górę do swego pokoju, by włożyć palto i buty. Miał wielką ochotę przejść się samotnie po ośnieżonych polach, postanowił przeto wymknąć się ukradkiem. Gerard słuchał właśnie jakiegoś utworu Haydna. Jenkin powiedział Rose, zajętej z Annuszką przygotowywaniem w kuchni ciasta z owocami, że idzie na spacer i spot ka się z. resztą towarzystwa już w kościele. Wyszedł drzwianu od frontu. Po jakimś czasie z pokoju bilardowego wyłonił sit Gerard i był wyraźnie zły. dowiedziawszy się. że przyjaciel<sup>^</sup> szedł. Rose zapowiedziała, że wyruszą do kościoła za jakieś ^ kwadrans. Guli przypomniał Lily. że chciała iść do lasu szu ^ megalitycznych głazów, na co odrzekła, iż. zmieniła zdanie<sup>^^^</sup> zostać w salonie przy kominku. Gerard poszedł poszukać<sup>^^^</sup> by jej pokazać drożdżiki. ale ptaszki wyskubały tym wszystkie owoce i odfrunęły z furkotem.

- Ciebie. Boże. wystawiamy. Tobie. Panu. wieCZIIa}a Tob»e

Ciebie, Ojca. niebios bramy. Ciebie wielbi ziemia ca

! Iowie. Tobie moce i niebiosy, Cherubiny, Serafiny, wszyscy<sup>^</sup>. śni g}osy. święty, Święty nad Świętymi... ślą wieczys JedziejnyCh nabożeństw na wsi towarzystwo Rose

podczas<sup>^k^ ^</sup> drugiej ławce, którą mieszkańcy Foxpath gadało z zwjedziawszy się, że panna Curtland „ma

P<sup>o</sup>Z0!!aVTv.apo dnia zasiedli w następującym porządku: Gerard,

gOSCIRose Annuszka, Tamar i Jenkin, który przyszedł pierwszy. ^ a wiejski kościółek, stojący spory kawałek za wsią, zgro-d"enie należało uznać za wcale okazałe. Wliczając

gromadkę 1112 zeszło się około dwudziestu wiernych. Na letnich nabo-z<sup>^</sup>ttwach

wieczornych, kiedy wyprawa do kościoła stawała się miłą przechadzką, frekwencja bywała

nawet większa. Dycha-wiczna fisharmonia akompaniowała hymnom. W kościele nie było

chóru. Pochodząca z trzynastego wieku budowla nie wyróżniała się niczym specjalnym, lecz

była stosunkowo mało zniszczona (przed stoma mniej więcej laty usunięto jedynie rząd okien

w górze nawy i kilka nieokreślonych posągów). Wielkie, „ozdobne" okno od wschodu, przez

które wlewało się słoneczne, rozjaśnione blaskiem śniegu światło, oszklono zwykłym,

czystym szkłem, w pozostałych osadzono w ołowianych ramkach szybki zielone i różowe. Od

strony zachodniej przylegała do kościoła zwieńczona blankami wieża bez okien, na której

wisiał sześć dzwonów. Wnętrze świątyni, pozbawione transeptu, krucht, fila-row 1 bocznych

kaplic, przypominało kolosalny, niebotycznie wysoki, zapuszczony i zaniedbany, biały

wapnem pokój. Tej niedzieli, mimo starań trzech dużych piecyków olejowych, pa-"ował w

nim ponadto przeraźliwy ziąb. W kościele znajdowanie kilka niezwyklej urody

osiemnastowiecznych tablic pa-ustaw<sup>o</sup>W<sup>^</sup>C<sup>^</sup> SUrowa" chropawa normańska chrzcielnica i

nisko ścian 10113 karmenna kazalnica, haniebnie wąska i wciśnięta pod ę' Jakby jakiemuś diablisku niemal się powiodło zupełne nastę0 ^ JeJ 7 kościoła. Frontowe ławki pochodziły z siedem-^wkami"16^11 1 ^y ozdobione ślicznymi, rzeźbionymi „ma-ne ^ęczn'INVP'eCi0nymi w motywy roślinne. Miały ponadto pięć-Cące Pustk 1 ^dalsze' 7 czasów króla Edwarda VII, obecnie świe-Parafiankami' były ich POZDawione), ślicznie wyszywane przez ^ to się ^awmeJS7-yh pokoleń. Rose zastanawiała się nieraz, 2l°dziei, sko1^6, 7Q tC cuclowne przedmioty nie padają łupem Or° kościoła, w zgodzie z ideami ojca McAlistera, nigdy nie zamykano na klucz. Wynikało to być może osobnicy aż tak zdeprawowani, by móc okradać jednocześnie pozbawieni dostatecznego zmysłu piękna^' ^ prezbiterium wyłaniały się dwa kamienne anioły b ^ ^ członkowie ekipy ratunkowej posłanej po to, by nie ^ ^ diabłu na usunięcie kazalnicy. Anioły były pierwotnie POfWolii mowane, a zostały przemalowane kolorami nader k ' syjnymi przez, poprzednika ojca McAlistera. W nawie^hr^ malowidło ścienne, z którego pozostał wszakże tylko bładny ^ Przedstawiało prawdopodobnie ciał zmartwychwstanie, czyli^" chodzących z grobów nieboszczyków. Obok. nieco 'wyrażnL wyryta, choć równie stara, widniała inskrypcja: -Proście, a dadzą wam. Szukajcie, a znajdziecie. Kołaczcie, a otworzą wam. Mateusz 7.7". Ten napis został również poprawiony krzykliwie jaskrawą farbą przez poprzedniego plebana, ku oburzeniu mieszkańców wsi. w tej liczbie Rose. która uważała, że podobnie szacownym zabytkom powinno się pozwalać obracać w proch bez takich ingerencji.

Ojciec McAlister wszedł po dwóch stopniach na ciasną kazalnice i przyciśnięty plecami do ściany zwrócił oczy na gromadkę wiernych, oni zaś obrócili się wyczekująco w jego stronę, szurając zmarzniętymi stopami i pozostawiając na kamiennej posadzce bryłki śniegu. Ojciec McAlister był mężczyzną wysokim, lecz teraz z powodu zimna garbił się pod liturgicznymi szatami, schował pod nimi zgrabiałe ręce. a głowę wtulił w ramiona. Miał ją imponujących rozmiarów, porośniętą sztywnymi, kasztanowymi, przetykanymi siwizną włosami, które wznosiły się wysoką falą nad szerokim czołem. Wyraz jego ust zdra surowość i nieustępliwość. Spojrzenie ciemnych, władczy oczu wbił w gromadkę zasiadającą w ławce panny ^ ^nQ. Gerard myślał o Jenkinie i początkowo nie słuchał słów dziei, lecz gdy nabrały mocy, jał się uważniej wsłuchiwać kazania.

- Tego, którego serce się wynosi i którego oczy W^WJ? p-yi. się, odrzuci przed oblicza Swego! Tak mówi Bóg. ^

I cóż jeszcze mówi? Słuchajcie! Mówi On. że jest ła\*°sZ0Dyfli tych, których serca są skruszone i złamane. Sercem s ^spl0ca, i złamanym. Boże, nie wzgardzisz. Szczęśliwi, którzy ^ie-albowiem będą pocieszeni. Szczęśliwi łagodni, albo

Łaska Boga, przyjaciele, spływa na pokornych, d^cza zienieł na okrytych wstydem, na pysznych zasię spada na cierpiacy^ { będą poniżeni. Bóg brzydzi się pychą przeklens pyChą tego stulecia okrutnej władzy, władzy

i P^^ma ziemskich dóbr, jarzma ciemżycieli, których paSZf'ion.- przeklina pychę bogaczy, pychę tych, którzy mnie-jmiC le\_8 .nteljaencja i wykształcenie wyniosły ich ponad innych. mała' ^tnie są zwiedzeni i jak straszny będzie ich upadek! j3kZnie jest z nimi, Pan jest z ubogimi, z grzesznikami, którzy. Pancn,zy skruchy, wyznają, że są niczym. Bo zaiste, grzech domaga się kary, grzech sam jest karą, ale prawdziwe działanie jaski dokonuje się poprzez nasz strach i nasz wstyd. Przed obliczem Pana nasze dusze zgoreją niczym émy w płomieniu, ale bojaźń Boża jest zaczynem mądrości, a świadomość grzechu, i ona jedna tylko, o drodze bracia i siostry, zdolna jest otworzyć zaślepione oczy i oczyścić zatwardziałe serca. Grzech kazi piękny obraz Boga, przeto grzesznikowi wydawać się może, że wcale nie zna Boga, że Boga w ogóle nie ma. Pozostańcie przeto przy grzechu swoim, trwajcie przy nim w prawdzie, mądrości i wierze i wołajcie do Ducha Świętego: „Przybądź, o Panie, przybądź,



O Panie!". A On na pewno przyjdzie. A teraz módlmy się do Boga Ojca, do Syna Bożego i Ducha Świętego i wyznawajmy, że Jego jest moc, potęga i chwała, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.

- Myślicie, że pił do nas? - spytała Rose, gdy wyszli z kościoła.

~ Bez wątpienia! - stwierdził Jenkin.

1 , eg0 aluzje i wycieczki, nawet jeśli uznać je za uprawnione, V dość impertynenckie - orzekł Hernshaw.

Rose leSt tU U Was niePOPuiarny? - zwrócił się Jenkin do

SCriodzUiCiWnie' racze-i Popularny! Latem zeszłego roku ludzie kazano ^ 7 sa.siedniej parafii tylko po to, by posłuchać

^ Gerar^701 należał zawsze do powabów chrześcijaństwa -

c°nego-!.C ^cAlister nic sprawia wrażenia człowieka wykształ-ledziała Rose - ale jest wielce elokwentny i szcze-

ry. Początkowo wzięłam go za zwykłego krasomow nością stanowi wytchnienie po panu Amhurst!

- Mnie się jego kazanie podobało - oznajmił Jeńki bie, Tamar?

Odśpiewali hymn Eternal Father, Strong to Save k \* odmiennie rozczuła Rose do lez. a

później panna Curtl^ ""^ mieniła kilka uprzejmych /dań z panną Margoly, z Julią S ^ ton.

która grała na fisharmonii, z Mavis, siostrzenicą Annu^ która była zaręczona i miała wkrótce wyjść za mąż, i Sheppey. który obiecał przyjść w poniedziałek i rzucić okie"1 na studzienkę ściekową. Pastor się już nie pojawił.

Kościółek prezentował się od zewnątrz równie skromnie jak w środku, zdobiło go jedynie kilka rzeźbionych na kształt groteskowych głów konsol, usytuowany był jednak malowniczo na małym pagórku, porośniętym dorodnymi brzożami, obok cmentarzyka z pięknie rytymi na płytach nagrobnych napisami, datującymi się z siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku, nieznacznie tylko odmiennymi w stylu. Plebanię zburzono; ojciec McAlister mieszkał w małym, nowoczesnym domku we wsi.

Uczestnicy nabożeństwa, którzy do kościoła przyszli ścieżką przez pola. uzgodnili, że wrócą razem okreśną drogą przez wieś. gdzie mieli się spotkać z Lily i Gidlem, a może i wypić kilka drinków w pubie „Pod Szczupakiem", jako że lunch miał być na zimno, więc mógł zostać podany tak późno, jak sobie życzyli-Parafianie, sami znajomi panny Curtland, brnęli już po śniegu w stronę wsi. lecz gromadka Rose stała jeszcze chwilę prz kościołem, by się napatrzyć na co starsze wiejskie chaty, fragment rzymskiej drogi, na wystające nad drzewa ogrodu da Bojarówki i wstępujący w oddali na wzgórze ośnieżony - \_ Palta, przezornie zdjęte w kościele, pośpiesznie na powrót p^ wdziano, podobnie jak rękawiczki, szaliki i nakrycia głowy ko Gerard stanowił wyjątek). Tamar nasunęła mały, c,afn0J! na legający filcowy kapelusik. Nie odpowiedziała Je ^^jaj pytanie; prawdopodobnie go nie usłyszała. Słońce świec ^ oślepiąjąco. Podeszwy butów miażdżyły z mile br^oS(,sZła chrzęstem zmarzniętą skorupkę na powierzchni snu"f Unjec0 z ty\* przodem, ramię w ramię z Annuszką, Gerard i Jenkm tu, Tamar między nimi.

• daleko, gdy dobiegł ich tupot czyichś prędkich Nie ^^j} ich ojciec McAlister. Zatrzymali się, aby nań Kroków-

poczekać- \_ liturgiczne i włożył cywilne palto. Biegając, ^IZUCH^ edną ręką sutannę.

Na głowie miał czarny beret, pjjdlcasywa na uszy Wyglądał teraz młodziej, był za-

ciągnie y r ^ . mQŻna było poznać-, że goił się z rana

czerwienio Zrównawszy się z gromadką z Bojarówki,

^ ął i rozłożył gołe ręce w geście, który mógł wyrażać ^wTedliwienie, ale i swoistą otwartość serca, jak przy udzie-rPu błogosławieństwa, po czym zwrócił się do Rose głosem stanowczym i nie cierpiącym sprzeciwu, z lekką naleciałością szkockiego akcentu.

\_ Proszę mi darować, panno Curtland... ale czy mogłaby mnie pani przedstawić tej młodej osobie? - Nie odwracając oczu, wskazał skinieniem Tamar.

- Ależ oczywiście - odparła ze zdziwieniem Rose. - Panna Hemshaw. Ojciec McAlister.

Wciąż nie patrząc na Tamar, kapłan pytał dalej:

- Czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, bym zamienił z panną Hemshaw kilka słów na osobności?... Rozumie się, jeśli się zgodzi.

Zaskoczona tak nieoczekiwaną prośbą, a chcąc chronić Tamar, Rose powiedziała z wahaniem:

- No cóż, śpieszymy właśnie na spotkanie z kilkoma przyjaciółmi, więc...

- Pójdę z panem - przerwała jej Tamar. - Wrócę na lunch, ^czekajcie na mnie... To nie potrwa długo.

Wróciła w stronę kościoła. Kapłan podążył za nią. niał podobneg°! - oburzyła się panna Curtland. - Co to

\*° znaczyć? Co za bezczelność! Czego on może chcieć? \_ j yczytai z jej twarzy cierpienie - domyślił się Riderhood.

Czuł"0 mU d° teg°! Tylko Ją dobiJe! " zawołała Rose-chora, chPrZyśn?bienie i złość.

Domyślała się, że Tamar jest ż°Wał ;p °łała JeJ P0inóc, a teraz wtrącił się ten klecha i pokrzy-

- Za SZyki'

" ^staw3"1 tU na nią ~ oświadczyła-

Po chwila ^ 'epie-\* W sPokoJu ~ zasugerował Jenkin.

1 Wahania ruszyli całą gromadką w stronę wsi. Kiedy

-się do niej zbliżali, ujrzeli Lily i Gulla, którzy, ślu wydeptanym śniegu, szli im na spotkanie.

Tamar weszła do kościoła pierwsza i usiadła na tv miejscu, które zajmowała podczas nabożeństwa. Ojciec ster usiadł obok i zaczął jej się uważnie przyglądać' Zd zdjąć palto i beret.

- Nie zdejmie pani płaszcz?

Tamar tylko rozpięła guziki palta, zdjęła natomiast niebieski

filcowy kapelusik o wąskim rondzie, zmięła go j Wonnł,0 .! • • r» i . . wsunęła do

kieszeni. Przeczesła palcami proste, krótkie, jedwabiste włos

by je odgarnąć z czoła, po czym spojrzała na ojca McAlistera rozpalonymi, zielonkawymi oczami.

- O co księdzu chodzi?

- Nikogo tu nie ma - odrzekł. - Jesteśmy sami, jeśli nie liczyć Bożej Obecności.

- Co mi ksiądz chciał powiedzieć?

- Pani cierpi. Sprawia pani wrażenie osoby w żałobie. Czy straciła pani kogoś bliskiego?

- Nie.

- Więc co się stało?

- Niby czemu miałabym się księdzu zwierzać?

- Bo jestem służką bożym. Rozmawiając ze mną, rozmawiasz z Panem, córko.

- Ja nie wierzę w Boga.

- Mniejsza o słowa. Znajdujemy się w obliczu świętości, w obliczu Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego-Chrystus ma moc zbawiania... oto prawda naszego żywota. Cz) znałaś Go, będąc dzieckiem?

- Nie. Jedyne... może... w szkole... na co dzień nie...

- Zostałaś ochrzczona? Byłaś u bierzmowania?

- Nie, moja matka nie lubiła tych obrzędów, nie apro ich. Nie rozumiem, jakim prawem ksiądz... . j.cZCt

- Nie unieś się przy mnie dumą, moje dziecko, ja się nie uniosłem. Jestem tylko sługą, narzędziem, niewolnikiem. Ale i ja jestem miłości. A ty potrzebujesz miłości. Wiara się liczy, tylko potrzeba wiary. Jak ci na imię? Nie daj mi, kiedy przedstawiała nas sobie panna Curtland.

- Tamar.

imię biblijne! Uważam, że na cześć rzeki, tej w Komwalii. - Długo stała interpretację podsunął jej nauczyciel w którejś z klas szkoły. - Cokolwiek cię dręczy, byś zwróciła się ku Jezusowi, do Rysowi żywemu, który jest dla nas bardziej rzeczywisty niż Bóg. bliższy niż my sami... Dziękuj? - przerwała mu. - Wiem, że kierują księdzem intencje i dziękuję za dobre słowo, ale teraz muszę już iść. - Chciała wstać, lecz ojciec McAlister chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał.

- Chciałbym, byś wiedziała, że istnieje Zbawiciel, dla którego nic nie jest niemożliwe. Potrzeba ci miłości. Być może potrzebujesz przebaczenia. Potrzebujesz uzdrowienia. Zwróć się ku bezgranicznej, doskonałej miłości, która uzdrawia i która wybacza. Uklęknij, Tamar! Osunęła się posłusznie na kolana, na jeden z miękko wyściełanych, pięknie haftowanych kłęczników, które tak się podobały pannie Curtland. Zaledwie poczuła na ręku mocny uścisk dłoni księdza, w jej oczach stanęły łzy. Teraz puściły się strumieniem i pociekły po obu policzkach. Tamar zanosła się gwałtownym szlochem.

Ojciec McAlister zwolnił uścisk palców, opadł obok płaczącej na kłęczki i jął się modlić gorąco, podniósłszy wzrok ku wlewającemu się przez okno białemu światłu.

~ O Panie Jezu Chryste, Królu i Panie, miłosierny sędzio, u Ciebie jest spokój, jakiego świat dać nie może, Ty, który tych, których serca są znękane, i gładzisz grzechy dać. Szczerą skruchą zwracają się ku Tobie, przypadał im zgębieni do Twoich świętych stóp... - Nagle Dziewucha cisza przerywana jedynie szlochem Tamar, jej twarz ukryła w dłoniach, a łzy przeciekały między łokci i sypły w przedramionach i wpływały do oczu. Ksiądz zachęcił ją szeptem wręcz konspiracyjnie. - opowiedz mi wszystko! - powiedział z zwieszoną głową, zaczęła opowiadać. W skąpanym kościele wyznała księdzu między innymi - Jest w ciąży.

- A jak się miewa twój ojciec? - zapytał Crimond

- Nie żyje - odparł Gerard.

- Jakże mi przykro!

- Umarł w czerwcu tego roku. Chorował na raka. A chociaż u twojego ojca?

- Jeszcze żyje. Jest starszy od twojego, jeśli się ma kłopoty z sercem.

- Wpółczuję...

- Pamiętam twojego ojca. spotkaliśmy się w Oksfordzie, a potem kiedyś w Londynie. Był dla mnie bardzo miły.

Gerard nie przypominał sobie, co prawda, żeby Crimond spotykał się z jego ojcem, lecz skoro tak twierdził...

Gość wszedł za gospodarzem do pokoju stołowego. Był czwartek, dziesiąta przed południem. Crimond stanął na „przesłuchanie” punktualnie. Dzień był pochmurny, z londyńskich ulic zniknął już śnieg.

Gerard postanowił po namyśle odbyć to spotkanie przy stole w pokoju jadalnym. Uznał, że nada mu to charakter bardziej oficjalny, mniej towarzyski, pokój był bowiem ciemniejszy i nieco odseparowany od reszty domu. Początkowo miał zamiar rozłożyć na stole arkusze papieru i pióra, jak przed posiedzeniem komitetu, odrzucił jednak ten pomysł jako groteskowy - w końcu blat świecił więc pustką. U jednego końca stołu stały dwa krzesła. Pozostałe zostały pod ścianą.

Poprzedniego wieczoru zirytował się, stwierdziwszy P<sup>0</sup>. wrocie z biblioteki, że Gideon i Patricia. którzy właśnie 7. Wenecji, zabrali się do rozwieszania ozdób bożonar<sup>o</sup> wych i zaczęli właśnie od stołowego. Światło dwóch Ian<sup>u</sup>Chy zapalił, roziskrzyło lśnieniem eleganckie czerwone kaCh i rozbłysło na połyskliwych, zielonych i szkarłatnych g ozatykanych gęsto za japońskie malowidła. Patri-oStrokrzew"u' zeby przywiózł trochę ostrokrzewu z Boja-

cia P<sup>o</sup>prOSloatyrn zapomniał, więc kupiła trochę gałązek u Har-<sup>o</sup>" anąc uniknąć niepotrzebnych dąsów, Gerard wspo-jodsa- <sup>^c</sup>'notiem siostrze i szwagrowi, że spodziewa się wi-  
zytyCn

3t \* <sup>^</sup>zęcie nie wyrazili, czego się obawiał, zamiaru uczestni-

• Gideon okazali naturalnie żywe zainteresowanie tą wizytą.

• \mw<sup>o</sup>cnu -----

m /-<sup>^</sup>onda w interesach i wołały, by im nie przeszkadzano.

:on o ;ie n

w rozmowie. Rose, jak należało się spodziewać, wpadła <sup>^</sup>absurdalne zdenerwowanie z powodu zbliżającego się spotkania i doprowadziła do tego, że i sam Gerard zaczął się z lekka denerwować. Oświadczył przyjaciółce, że poświęci Crimondowi najwyżej godzinkę (kwestia, jaką mieli do omówienia, raczej mało skomplikowana, nie powinna im zająć więcej czasu), więc owszem, może, jeśli zechce, zadzwonić do niego tuż po jedenastej. Postanowił załatwić tę sprawę jak można najpobieżniej. Wystarczy, jeśli Crimond odbierze właściwy sygnał ostrzegawczy. Nie miał ochoty stawiać sprawy na ostrzu noża, chciał po prostu zadać kilka uprzejmych pytań i byłby rad, otrzymawszy jakiegokolwiek bądź odpowiedzi. Miał zamiar, jak to ujął Jenkin, .odegrać grę pozorów".

Przybycie Crimonda wzburzyło go silniej, niż się spodziewał. Podczas gdy gość zdejmował w holu płaszcz i szalik, wymienili uwagi na temat pogody. Stojąc przy stole w jadalnym, narzekali chwilę na kłopoty z parkowaniem. Potem, po krótkim milczeniu, nmond zapytał o pana Hernshawa, ojca Gerarda, czasu 0Statme»<sup>o</sup> sP<sup>o</sup>tkania twarzą w twarz minęło sporo marv' Gerard ogolił się tego rana wyjątkowo starannie, włożył <sup>^</sup>tan ? W \*co'orze butelkowej zieleni i wyszczotkował włosy. wniosk<sup>^</sup>31 Sie' CZy wy2ła-da starzeJ od Crimonda, i doszedł do nieco ' ZC Jednak nie- Okazało się, że to Crimond wygląda którą JeJk<sup>^</sup> ProiTUenneJ postaci tancerza z oksfordzkiego balu, tyto don m P<sup>o</sup>r<sup>o</sup>wnał do tańczącego Siwy, trudno się w nim <sup>^</sup>imonda w' Zn"cnę\*a Ja<sup>^</sup> senna zjawa, przejaw czystej esencji Powiek Pobjmroku pokoju stołowego stał przed Gerardem <sup>^</sup>ła i Prz?YmęCZony' z/-iębnięty i zaniedbany. Błada cera zsza-ła jednak n8?la' a może tylko straciła piegi. Sylwetka pozostawiała m, a SZczupła i prosta, a trochę za długie włosy za-Połysek i naturalną falistość. Na twarzy nie było zmarszczek, wyjąwszy okolice oczu. Mimo uprzern 'fi jakie gość wygłaszał, jego oczy patrzyły twardo i n<sup>^</sup>?. \*m

gładko wygolony, włożył krawat, ale jego marynarkaTk\*' B)i wyglądały na dobrze znoszone: koszula była wystrzępionaOS2Ula rynarka łatana na łokciach - i to chyba wielokrotnie \* <sup>^</sup>

- Siadaj, proszę. - Hcrnshaw wskazał Crimondowi 1

z krzesel. Już wcześniej zdecydował, gdzie który z nic]fdno siedzieć. Usiedli.

- Pamiętam te obrazki z twojego mieszkania w Chelsea Crimond rozejrzał się po ścianach.

Mieszkanie w Chelsea

Gerard dzielił z Sinclairem.

- I chyba z tego drugiego, jeśli mnie pamięć nie myli.. -dodał.

- Istotnie. Miałem ich parę już wówczas. Od tamtego czasu kilka mi przybyło.

Crimond wyjął z kieszeni notes i pióro, położył przed sobą na stole i spojrzął wyczekująco na Gerarda. Był to zapewne najlepszy moment na wymianę uprzejmych uśmiechów, lecz żaden

się nie uśmiechnął. Długi nos Crimonda zmarszczył się z lekka. Gerard poczuł się niezręcznie i nieswojo.

- Miło z twojej strony, że przyszedłeś.

- A z twojej, że mnie zaprosiłeś.

- Jak wspominałem w liście, chodzi wyłącznie o książkę.

- Wiem.

- Jak postępuje praca?

- Dobrze.

- Czy dobiega końca?

- Jeszcze nie.

- Wciąż piszesz?

- Naturalnie. ^aż-

- Widzisz, idzie po prostu o to. że... Hm, uznaliśmy, dym razie kilkoro z nas uznało, że chętnie byśmy s\*ę ^j^wie z postęmem pracy, w jakim kierunku zmierza, o czym piszesz... Crimond uniósł brwi.

- O polityce. Piszę tę samą książkę! kiedyś ^

- Rozumie się, ale... jakiej polityce? Widzisz, ^zeznowałeś poglądy dość ekstremalne, więc uznabSITiy"wjcC d°

golnie, że twoje dzieło tak się rozrasta... doszliśmy

winno być bardziej refleksyjne, a mniej... hm...

\*tuoskU'.ze P°

podburzają-C odparf klótko gość, jakby Gerard sam sobie

' gZCrF na postawione pytanie.

odP°WI m nie będzie książka rewolucyjna? \_ Wiec to me uv

Oczywiście, że tak. ' Mam na myśli taką, która propaguje przemoc i...

naj \_ przerwał mu Crimond - kto to są właściwie ci Mówisz: „uznaliśmy”, „doszliśmy do wniosku”... ^ Mam na myśli komitet.

A kto wchodzi obecnie w jego skład? z No cóż, tylko ja, Jenkin, Rose i Gulliver Ashe. Mój ojciec, jak ci wiadomo, ubył z naszego grona.

- A skąd tu Gulliver Ashe?

- Dokooptowaliśmy go.

- Nie zawiadomiliście mnie o tym!

- Przepraszam. Może istotnie powinniśmy, uznaliśmy jednak, że nie jest to konieczne...

- Rozumiem. Słuchaj, Hemshaw, chodzi o pieniądze, tak? Nie zamierzacie mi dłużej płacić.

- Ależ skąd, nie chodzi o pieniądze!

- Uważacie pewnie, że w obecnej sytuacji nie musicie mnie już wspierać finansowo?

Gerard nie rozumiał w pierwszej chwili, co tamten ma na myśli, bo całkiem co innego zaprzętało jego uwagę.

- Nie, bynajmniej tak nie uważamy.

~ Dowiedz się zatem, że nie korzystam z niczyich pieniędzy, roz«mie się poza waszymi.

nmond przyci t dlofl dQ polic/ka a na jego biadej twarzy ^nął rumieniec.

-Pewnie W°lalby nie wymieniać imienia Jean, chciał jednak szło n W sPos°h rozmówcę, że nikomu z nich nie przy-

- AleT d° gł°Wy\* ŻC Stal Się teraZ b°Saty-

°tonam Wlem ° tym! My ani przez chwile— zuPełnie nie

Gliście dCil0dzj ° wasze pieniądze, co zresztą rozumiały... flnansowan° Wniosku- ze nie możecie sobie pozwolić na dalsze

- Ależ 16 m°JeJ Pracy, tak?

le- Możemy i będziemy...

- Więc o co naprawdę chodzi?

- Zastanów się tylko... Pisziesz tę książkę od dob lat, a my nawet nie wiemy, o czym ona traktuje. pr7 • Psr^ kimś sensie jesteście za nią odpowiedzialni, będziemy\*6\* \*S gani jako ci. którzy ją poniekąd zamówili, a wiecie ^Z0^ z jej tezami... ZgadzaJ\*4

- Wyście jej nie zamówili!

- Zgoda, lecz chyba sam rozumiesz...

- Należało pomyśleć o tym wszystkim wcześniej!

- Zapewne. Niestety, pomyśleliśmy dopiero teraz.

- Wiesz, nie bardzo rozumiem, czemu ma służyć to całe przesłuchanie. Słyszę, że zgadzacie się mnie nadal wspierać finansowo... Przyznaję, praca się trochę przeciąga... Twierdzisz, że nie chodzi o pieniądze. Nie widzę zatem żadnego innego powodu, byście mieli zabierać głos na temat mojej książki. Możecie się z nią co najwyżej nic zgadzać, uznać ją za zgniłą. Sądzisz, że zmienię w niej choćby przecinek, by zadowolić ciebie, Jenkina lub Rose?

- Ależ skąd!...

- Mówisz, że chcielibyście wiedzieć, o czym ma książka traktować. Uważam, że nie ma sensu, abym ci ją streszczał. Jej treść jest zbyt bogata.

Psiakrew, przestraszy! się Gerard, zaczyna spychać mnie do defensywy! Wiedziałem, że pomysł tego spotkania był kompletnie poroniony i on mi to właśnie wykazuje. Muszę znaleźć jakieś w miarę honorowe wyjście z tej głupiej sytuacji.

- Posłuchaj, Crimond, nie chcemy się do niczego wtrącać...

- Miło mi to słyszeć.

- Chcielibyśmy jedynie uzyskać...

- Gwarancje?

- Zakładamy... a chciałbym móc zapewnić w tej mier^ii}Ci zostałych... że będzie to... hm. powinno być... krótko m ^ ^ że będzie to swego rodzaju poważne dzieło filozoficzne, wezwanie do broni! Niepodobne, rzec chciałem, do eg nego artykułu o permanentnym konflikcie... -czyi

Crimond sprawiał wrażenie zamyszonego. Zmarszcz i mierzył interlokutora chłodnym spojrzeniem.

- To było jedynie krótkie oświadczenie. rześłaD'6

- Artykuł, i owszem... spodziewam się jednak, że

. ie inne... chcę powiedzieć, że twoje ówczesne tej ksi3żkl zne były dość radykalne i uproszczone... Wszys-poglądy P° wtedy poglądy radykalne i dość uproszczone... cywyznaWzamjeniliśmy je wcześniej od ciebie... lecz teraz... zapewne, z^ ^ mQje poglądy polityczne powinny być

'podobne do twoich, Jenkina lub Rose? z Sru^atwierdzą- że identyczne. Zbieżne w zasadniczych kwe-

SUa\_CłWymień mi więc jakąś „zasadniczą kwestię”.

~ pjm Czy wierzysz na przykład w demokrację parlamentarną?

- Nie.

\_ Co sądzisz o zjawisku terroryzmu?

Nie przestając wpatrywać się w Gerarda zimnym wzrokiem. Crimond wycodził:

- Mój drogi, jeśli mamy dalej prowadzić dyskusję, nie może ona przebiegać tak jak dotąd.

- Może lepiej w ogóle jej nie kontynuować - przyznał Gerard. - Powiedziałeś, że nie wierzysz w demokrację parlamentarną i uchyliłeś się od odpowiedzi na pytanie o terroryzm, co dowodzi dostatecznie jasno...

- Ze nie możecie liczyć na żadne gwarancje.

- Słuchaj, przepraszam, że zaprosiłem cię na to spotkanie. Oczywiście, nie ma sensu toczyć podobnych dysput. Obiecaliśmy cię wspierać i nie cofamy naszej obietnicy. Masz też cał-

I ą rację, mówiąc, że za późno występujemy z naszymi pre-jami. Nie zatrzymuję cię dłużej. I jeszcze raz przepraszam, usiadł ni°Sł Się' 'eCZ wi<Jzac' Ze s\*e nie rusza' na powrót Crimond'6"13^0'6 poznać tezy ' tre^ moJeJ książki - rzekł zemv j~ ^stem gotów pokrótce ci o niej opowiedzieć. Mo-

Hern!haSkUt°Wać' CZ6mU nie" ^°We' hon W Zawanał sie- Zdołał skomponować w miarę poko-00,1016 wdaw^ Zakonczenie przykraj sceny. Czy naprawdę ma

- Zgoda 30 7 {ym awanturnikiem w dyskusję?

'twtdł godnie, 2^ejsca "ac?-ynaJ- udawaj pytania, to nam ułatwi ruszenie

- Powiedziałeś, że nie wierzysz w demokracje pi Dlaczego?

Crimond już wcześniej otworzył swój notes, obec " się bardziej do przodu i rzeki po chwili milczenia- ^^ił

- To nie jest dobre pytanie. Nie mogę na nie teraz od dzieci. Może nieco później. Wymaga zarysowania szers Próbuj dalej.

- Czy należysz do jakiejś partii politycznej?

- Nie.

- Do jakiejś sekty, grupy nacisku, tajnego stowarzyszenia, ruchu o charakterze militarnym lub podobnej organizacji?

- Gdybym należał do tajnej organizacji, nie dowiedziałbyś się o tym... Odpowiem ci jednak. Nie. nie należę do żadnej tego typu grupy.

- Jesteś więc samotnym wojownikiem?

- Tak... w tej chwili tak.

- Więc wcześniej gdzieś należałeś?... Czemu wystąpiłeś?

- Z powodu tej książki. Nie chciałem tracić czasu na spory z różnymi zakutymi łbami. Gerard poczuł się raźniej. Nie jest tak źle, pomyślał. Okazuje się, że to w istocie książka filozoficzna, nieszkodliwe dzieło teoretyczne. Narobiliśmy niepotrzebnie zamieszania.

- Więc to książka teoretyczna?

- Naturalnie.

- Czy dzisiaj nazwałbyś siebie marksistą?

- Tak, choć to w dzisiejszych czasach już niewiele znaczy.

- Jesteś rewizjonistą?

- W każdym razie nie stalinista, jeśli o to ci chodz^vic

jestem też leninista. Nie lubię określenia „rewizjonista • w głównym nurcie marksizmu.

- Na kim się wzorujesz?

- Wzoruję? . g kogo

- No wiesz, czyje poglądy omawiasz w swojej książce wspierasz?

- Nikogo. ^-cie beZ-

- Chcesz powiedzieć, że twoja książka jest całko ^ ^ ^ . stronna, że jest pracą z dziedziny historii idei? Mi

szec...

książka, poświęcona polityce, odnosi się do idei KaZd? i Nie inaczej pisali Hegel, Marks i Lenin, z P^^ałbyś ją zatem książką polityczną?

'Naturalnie! .... , .,

' A jakie w niej głosisz polityczne tezy?

|| Moje własne!

, . t0 Zatem oryginalne dzieło z zakresu tilozofii poli-  
'9

^Owszem, będzie oryginalne - potwierdził Crimond tonem Twieka zrezygnowanego. -

Wyobrażasz sobie, że pracowałam przez lata jak wariat tylko po to, by przeżuwać i międląć

cudze myśli? Ta książka będzie zawierała moje własne przemyślenia, moje analizy, prognozy, mój program!

- Więc nie będzie ściśle filozoficzna?

- Osobliwymi posługujesz się kategoriami! Będzie dziełem filozoficznym, skoro chcesz... tylko co to znaczy?... Będzie dziełem myśli, a zarazem programem działania. Na tym się zasadza jej sens.

- Czymś w rodzaju długiego artykułu interwencyjnego?

- Nie! Nie będzie rozwlekłym uproszczeniem. Moja książka traktuje o wszystkim.

- O wszystkim?

- O wszystkim z wyjątkiem Arystotelesa, którego uważam za "szczęsne interludium w dziejach ludzkiej myśli, dziś na szczęście już przezwyciężone.

uśmiej się! Si? Z tobą 7god/ił- ~ Gerard zdobył się na słaby uśmiech, lecz Crimond utkwiał spojrzenie w blacie stołu i jął go

P°Wstrzeleniu drapac Pa/nokciem. Hernshaw postanowił go nie dasz, ywac- ~ Wyjaśnij mi

jeszcze jedno. Skoro, jak powia-samotnie się od codziennej praktyki politycznej i zostałeś

jesz, że "nie wiesz" w tym, na co ci program działania? Utrzymuj się - JeSte marksista - wiesz zatem, że polityka to robota. Wać jeśli "h fine" - Trzeba w niej siedzieć, stymulować,

hamować - Sz Wyw \ C-Q Się cokolwiek osiągnąć. A może sądzisz, że zdo-

mondero woiucje głoszeniem jakiejś teorii? Się w GerardarZeStał skrooac' Paznokciem blat stołu i wpatrywał do przoadniet) eSkimi' szeroko otwartymi oczami. Wysunię-rySurnjU cienkimi wargami i długim nosem, wszystkimi 1 twarzy, mierzył groźnie w swojego rozmówcę.

Może on naprawdę jest trochę szalony? - przestraszał. Tego wyjaśnienia nigdy dotąd nie brałem serio od? ^ Ponieważ Crimond nie odpowiadał na jego pytanie UWa& rając się mówić cicho i spokojnie:

- Dzieło refleksyjne mogłoby się okazać nader cenne - więc wiele dobrego. Jeśli to, co nazywasz swoim programem, zostało podane w opakowaniu idei, tym lepiej.

- Słuchaj. Hernshaw - burknął Crimond - ja nie jestem - zdajesz się mniemać, jakimś szaleńcem czy megalomanem!

- No wiesz!

- Wierzę jednak... cóż robić, przyznaję... że pracuję nad dziełem epokowym.

Drzwi jadalni otworzyły się nagle i ukazała się w nich głowa Patricii, a potem cała jej postać.

- Dzień dobry. Może macie panowie ochotę na kawę?

- Nie, dziękuję - powiedział Gerard, po czym zwrócił się do Crimonda: - Może ty? Nie?

Pamiętasz Davida Crimonda, Pat? Spotkaliście się przed laty, jeśli mnie pamięć nie myli.

Moja siostra, Patricia Fairfax.

Crimond wstał i skłonił się siostrze Gerarda, której najwyraźniej nie pamiętał.

- A może podać panom herbaty? Może po kieliszeczku sherry? Może herbatniczki?

- Nie, dziękujemy. Pat, bądź tak dobra i zostaw nas samych.

Drzwi się na powrót zamknęły. Crimond usiadł. Gerard zastanawiał się przez chwilę, jaki

wątek rozmowy teraz? J^ ' gdy gość, który ponownie wbił spojrzenie w blat stołu, po raptem głowę, przecesał palcami rudawe włosy i zapytał-

- Słyszę, że przeszedłeś na emeryturę. I co teraz zami-

robić? nheesowość\*

- Pisać - odparł Gerard, nieco poirytowany odzew pytania.

- O czym?

- Może o Plotynie. . ^ naz^

- Po co? Nie jesteś historykiem, nie mógłbyś się, Of filozofem. Prawdopodobnie już dawno w ogóle prz^stwo\veJ'



śleć. Zajęcia, jakim się oddawałeś w administracji

niewiele miały wspólnego z myśleniem. Mógłbyś Je

wać. śpiąc. Myślenie to udręka. Twoja książka jiiem wyk°"każe się najpewniej książeczką o Porfiriuszu.

0 plotynie okaze \_ burknął Gerard. Postanowił nie tracić zim~ T° flJwhv w końcu miało jednak dojść między nimi do

nej ^;9CZyZ Y Orzysz w Boga? \_ Ależ skąd!

Wierzysz, wierzysz... Przez całe życie uważałeś się za kogoś oo od innych. Wydaje ci się, że będziesz zbawiony przez •?SZdobra tylko dlatego, że o niej wiesz. Ta planeta spada ^piekielną otchłań, ale ty i twoi przyjaciele czujecie się bezpieczni. Na marginesie: przywiązujesz zbyt wielką wagę do przyjaźni.

- Jeśli nasza rozmowa ma się przekształcić w pyskówkę, lepiej ją zaraz przerwijmy. Chciałem wyrobić sobie pogląd na temat twoich zamiarów oraz książki i mam go już.

- Tak naprawdę nie obchodziło cię w życiu nic poza tą papugą. Gerard zdębiał.

- Skąd o tym wiesz, u licha?...

- Miała na imię Żak. Opowiedziałeś mi o niej zaraz przy naszym pierwszym spotkaniu.

Wracaliśmy z jakiegoś wykładu

1 zasłiśmy do szklarni w ogrodzie botanicznym. Nie pamiętasz?

Gerard istotnie zapomniał.

- Nie. - Był przygnębiony i szczerze zdumiony. - Nigdy nieJ nikomu nie opowiadałem. A już na pewno nie tobie!

A jednak. Przepraszam, nie gniewaj się. To, co przed chwilą mo ^ Zlałem, było głupie, pochodziło z czystej złośliwości. Mi-dzie r,„naprawde chciałbym z tobą porozmawiać. Być może bę-Raffl,

p° nasza druga zmiana, by użyć powiedzonka dzentelmena esa.

nowa/6 ^strze8am tu paraleli. - Gerard zdążył się już opa-dalej. n\*e odbyliśmy pierwszej.

Lecz proszę cię, mów

Srywa się1^11\* tCZ zaP°mniałeś. Drugą zmianę w krykcie roz-^opot poleZaWSZe inaczeJ-Zresztą mniejsza z tym. Inny twój

- A ciebie ^ tym\* ŻC ty Się b°isZ technikL

~~ Jest ni niC mierz> perspektywa świata bez książek?

t0V/ana, nax,eU°lr0nna' w'ec musi zostać zrozumiana, zaakcep-navvet Polubiona.

- Koniec końców okazujesz się więc wyznawcą m-historycznego! A co się stanie z twoją książką?

- Przepadnie wraz z całą resztą. Platon, Szeks " wszyscy szeszną, a ja razem z. nimi. Ale wcześniej mo^k • e1, wywrze pewien wpływ, to jej cel, tego się dobijałem p^ wszystkie lata. tej odrobiny wpływu. Oto. co warto rk właściwie jedyne, czym warto się dzisiaj

zajmować:"^10 w przyszłość, starać się ją zrozumieć, przeniknąć. Wierz mi^ uważam się za Boga, za Hegla czy choćby Feuerbacha ^

- Cieszę się.

- Żyję po prostu w terażniejszości, robię to, co teraz musi być zrobione. Tkwią we

współczesności, o której ty i twoi przy. jaciele zdajecie się nie mieć bladego pojęcia...

- No dobrze, więc co z. tym, co powinno być teraz zrobione? Co z nędzą, głodem,

niesprawiedliwością? Co z realną polityką, z opieką społeczną?

- Źle mnie rozumiałeś...

- Proszę cię, przestań drapać ten stół!

- Przepraszam. Oczywiście, trzeba się zajmować biedą i niesprawiedliwością. Ludzie twojego pokroju składają datki na fundusze dobroczynne, a potem o całej sprawie zapominają. Co się

tyczy opieki społecznej, tyś się przecież tak naprawdę nigdy z nią nie zetknął. To zajęcie dla osobników z niższej kasty. Te problemy trzeba rozwiązać radykalnie...

- Wierzysz w rewolucję? W rewolucję posługującą się przemocą?

- Wszystkie rewolucje, i te z barykadami, i te bez bary posługiwały się przemocą. Rewolucja wybuchnie, więc my myśleć rewolucyjnie.

- Osiągnęliśmy już może ten etap rozmowy, że zecnceS^? wyjaśnić, dlaczego nie wierzysz w demokrację parlamen

- To oczywiste. Jako forma sprawowania władzy te°wleCj0 nie ma szans na przetrwanie.

Świat w

nadchodzącym s ^

będzie przypominał raczej Afrykę niż Europę. Musim/czas0wej być na odwagę, spróbować wyciągnąć wnioski z ^oty^teg0 mar\* historii i dokonać trafnych przewidywań. Właśnie ksizm jest w dzisiejszej dobie filozofią jedynie sku e ^

- Toż coś takiego jak historia w ogóle nie istnieje.^g. swoją teorię na błędzie. W gruncie rzeczy postuluje

e o co jest, łudząc się, że wyniknie z tego automa-jjjeu/szy8 j^L-guo! Żenisz irracjonalny pesymizm z irracjonal-

zarazem wie-

rycznie c i przewidujesz rzeczy straszne, a zarazę

ntvmizmc" • .

nym°ry zt}0łas przyszłość zrozumieć, opanować, pok~

^SZ' ZC zawsze ratował własne nierealne hipotezy ślełą wiarą

^iązania utopijne. I ty mnie oskarżasz o wiarę w Boga! \* r°Tak mój drogi. Konieczne są

zarówno krańcowy pesymizm, ;Lj krańcowy optymizm. \_ I to nazywasz myśleniem

dialektycznym? i Widzisz, tyś zawsze zanadto się bał palnąć głupstwo i dla-e°o nigdy nie

byłeś w stanie uczciwie filozofować. Nie jestem utopistą, nie wyobrażam sobie, że państwo

obumrze, że przestanie istnieć podział pracy lub zniknie zjawisko alienacji. Nie uważam też,

że w możliwej do przewidzenia przyszłości doczekamy się pełnego zatrudnienia,

społeczeństwa bezklasowego czy świata wolnego od głodu. Najpierw wkroczymy na ziemię

jałową. Nie ulega dla mnie oczywiście wątpliwości, że nasze społeczeństwo, tak zwane wolne

społeczeństwo, jest do szpiku kości zepsute, oparte na ucisku, korupcji, niesprawiedliwości,

materiali-styczne, okrutne i niemoralne, słabe, przeżarte pornografią, bijące czołem przed

bałwanem kiczu. Przecież ty też tak uważasz. Wyobrażasz sobie jednak, że wszystko, co jest

cacy. jakimś cudem przetrwa, a wszystko, co be, diabli wezmą. Mrzonki! Nie ma wyjścia,

musimy przejść przez ogień. W społeczeństwie opartym na ucisku uczciwa jest tylko

przemoc. Ludzie są dziś nie Pami'.Jutro stana- Si? zupełnymi marionetkami. Nawet jeśli

tWoi^ysadzimy samych siebie w powietrze, przyszłość, wedle \*ładz CaCanycn standardów,

będzie straszna. Nastąpi kryzys °edzie'SUWerenn°Sci' technika zapanuje nad ludźmi, bo

zresztą si? Pędem8'3'3 Historia cie wyprzedziła. Dziś wszystko dzieje mówić ^ncąc stac- w

miejscu, trzeba biec, a cóż dopiero siniy wsz^16"111 kroku do Przodu dla poszukania drogi.

Mu-•~ Chw^C7?r/-emyŚleć -a nowo...

°IeJ' Zrobił0 ~ Przerwał Gerard. Serce biło mu coraz szyb-ŻC ludzie st mU S1? SOrąco'

więc zdjął marynarkę. - Powiadasz, H^cież, niezai? marionetkami' ze rza-dy obejmie

technika, ale n\*e' pow CZn'e °d tego' czy określasz się jako marksista ' a nie na^^ dz'a\*a(^

przeciwko takiemu społeczeń-Jego rzecz! Zgoda, obecna sytuacja jest daleka

od doskonałości, a przyszłość zapowiada się mroczni nic jest naszym obowiązkiem trwać

przy tym. Co się ^ C^ obstawać przy naszych wartościach i próbować posk^^0-rzę?

Powiadasz: przemyśleć wszystko od nowa, ale b°\* świetle? Uważam, że powinniśmy działać

praomatvcW-Jalt'ni tracić nadziei, nie zakochiwać się w rozpacz! Nie m ^ znać przyszłości.

Marks nie zdołał jej przepowiedzieć<sup>113f</sup>. spoglądał w przyszłość bez. porównania bardziej przewidyw<sup>^</sup> od tej, jaka przed nami. Musimy bronić jednostkę.

- Jaką znów jednostkę?

- No wiesz! - zachnął się Gerard.

- Burzuj nie przetrwa tego tornada, on się już rozpadł, roz-sechł. poznał, że jest fikcją. Ja nie zakochałem się w rozpaczycy jestem, jeśli już chcesz, zakochany w dobrym społeczeństwie' jakie nigdy dotąd nie istniało. Nie zdołasz jednak choćby zerknąć na takie społeczeństwo, jeśli nic zrozumiesz upadku naszego.

- Zgaduję, że przewidziałeś dla siebie rolę komisarza w światowym państwie marionetek nie potrafiących pisać ani czytać! Elita będzie czytała książki, reszta będzie się gapić w telewizor!

- My tego nie doczekamy, jesteśmy nawozem historii, nie zasługujemy nawet na różgi. Cierpimy, to oczywiste, przeżywamy własny rozkład i upadek. Wszystko, co możemy jeszcze zrobić...

W holu zadzwonił telefon. Po chwili do pokoju zajrzała Patricia.

- Rose do ciebie.

- Cholera! - mruknął Gerard, wyszedł i zamknął za sod? drzwi.

W głosie Rose brzmiały niepokój i skrucha.

- No i?... Dobrze się czujesz?

- Oczywiście! odezwała<sup>1</sup>

- Ogromnie cię przepraszam, że wcześniej się nie <sup>^^^</sup>i-ale nie dzwonię z domu... Mam za sobą niezwykle P1<sup>6</sup> nie. Później ci opowiem. Zadzwoniłabym wcześniej, j0? mogłam nigdzie znaleźć budki telefonicznej. No i J

- Co takiego?

- Twoja rozmowa z Crimondem oczywiście.

- Ona nadal trwa.

- Nie możesz się go pozbyć? Czy...

- yndzwonić później? Przepraszam, muszę koń-., Mogłabys czyć- . , słuchawkę i spiesznie wrócił do jadalni.

°dł°Ży ł rzed obrazkiem przedstawiającym płynącą łódką Gość star p odchodzi jeszcze. Siądź, proszę. ' mond sprawiał wrażenie rozluźnionego. Dyskusja najwy- ^\*oo rozgrzała, odmłodziła, przywróciła wigor, ^"czy panna Curtland boi się, że ci wyrządę krzywdę? ' Niepokoiła się po prostu. Obawiam się. że intelektualnie istotnie cię zraniłem.

- Jak dotąd nie.

- Muszę już iść...

- Siądź jeszcze na chwilkę. Usiedli. Zaległa cisza.

- Powiedziałaś: wszystko, co możemy jeszcze zrobić...

- Tak - podjął Crimond. - Musimy zrozumieć cierpienie, wyrazić je, dostrzegać, oddychać cierpieniem...

- „Całe stworzenie cierpi straszne udręki - aż do tej pory”.

- Istotnie...

- Chyba nie sądzisz, że zdołasz usunąć ze świata wszelkie cierpienie?

- Powinieneś się głębiej zastanowić nad implikacjami swojej uwagi!

- No dobrze... więc nie wszelkie... większość.

szle ^V.'ę.'CSZ0^ t0 Ju/ mnóstwo... Musimy rozważyć całe prze-padir'6""6' pomyśleć" 0 lycz wszystkich nieszczęśnikach, którzy co d Z°stali stratowani. i pomyśleć o nich w kontekście tego, głodni'^6

dzisiaj- "ekroć ludzie są gnębieni, zastraszeni,

marksi^ retoryka! - prychnął Gerard. - Co się zaś tyczy Wei> ale ' m°ze ' me doprowadza on ludzi do śmierci głodo-TanZ pewnością wprowadza terror strachu!

^]e ur^TZUt! Powinno sie Patrzeć dalej i liczyć na więcej.  
 zonym świecie trudno poprawnie myśleć. Musimy  
 ijl^te 5to,IIStU d° Rzymian św- Pawła, 8.22. Tłumaczenie wg wyd.: Pis-re§° i Nowego  
 Testanemu, Księgarnia św. Wojciecha, Poznań  
 myśleć w kategoriach nowego człowieka, nowej foliowego pojęcia szczęścia, takiego, o jakim  
 lud^-\*0^ się nie śniło! Jednostka, którą tak wysoko cenisz (n ^ się najpełniej w tobie samym,  
 ma się rozumieć), je^CJaVVlaJ^a kaleką, półosobą. Gorzej: półosobą była kiedyś' teraz\*-  
 tylko skamlącym zerem, a i tak ma szczęście. Ogromne ^ M energii duchowej pozostają  
 kompletnie nie wykorzystane^

- Twoja teoria jest schizofreniczna! Mówisz o kryzysie dzy, o ludzkich marionetkach, o drodze  
 przez ogień i tchem o duchowej energii, o nowych ludziach, zaznajających^ wej  
 szczęśliwości... Ale co pomiędzy? Twoje idee prowad^ prostą drogą do tyranii. Uroiłeś sobie,  
 że kawałek dalej czeka społeczeństwo idealne! Mówisz, że nie jesteś utopistą...

- Utopijny impuls to rzecz główna! Nie wolno wyrzec się idei, że społeczeństwo sprawiedliwe  
 jest osiągalne...

- Społeczeństwo sprawiedliwe to mrzonka! W każdym razie takie, o jakim ty roisz.  
 Społeczeństwa nie da się udoskonalić. Najlepsze, na jakie możemy liczyć, to społeczeństwo  
 przyzwoite, a wszystko, co było do osiągnięcia, właśnie osiągnęliśmy: prawa człowieka,  
 prawa jednostki, wykorzystanie techniki do nakarmienia głodujących. Oczywiście, wiele  
 można poprawić, może być mniej głodu, a więcej sprawiedliwości, ale każda radykalna  
 zmiana obróci się prędzej czy później przeciwko nam. twoje zaś mrzonki pozbawią nas tylko  
 tego, co już zdobyliśmy...

- Ty na serio twierdzisz, że nie potrafisz wyobrazić sobie systemu społecznego lepszego od  
 zachodniej demokracji parlamentarnej?

- Istotnie, nie potrafię. Oczywiście możliwe są...

- Wiem, wiem: drobne ulepszenia...

- Znaczne ulepszenia! Państwa totalitarne, tu oczy wiście zg^ da, mogą nakarmić ludzi, którzy  
 przymieraliby głodem ^ nym społeczeństwie, ale to całkiem inna kwestia. Wolne  
 czeństwo... pla

- Wątpię, byś ty wiedział, czym jest naprawdę wolnos^^ ciebie wolność to wolny rynek plus  
 prawa jednostki. ,^społecz' nie może być wolności tam. gdzie całokształt stosunków' ^ nych  
 jest do gruntu zły. niesprawiedliwy. n'eraC-,0"gerist^;1 przeważająca część społeczeństwa...  
 twojego spo

jest chora, zdeformowana. Musimy oczyścić grunt.-  
 nkracja potrafi się zmieniać... ' Vetn°f s0bie wyobrazić zmieniającą się samorzutnie de-" potra  
 'rzuazyjną? Nie bądź śmieszny! Musimy na to patrzeć n,okracJebur^usimy IQ wszystko  
 przeżyć całym sobą, przecier-generalnie^o ^ dostreegac-jakje to wszystko jest pokajaa ne.  
 Masz się za pluraliste o otwartej głowie, a tym-Wałk° wyznajesz prościutką, spójną życiową  
 fdozofijkę, w któ-

...o^wotUm l'jtn-7\! wewetlfrl nif>Vnif» 7H7P-  
 czasem ^ ?Q wszystkim łączy, wszystko się pięknie zaze-\$ ttpSfelegnujesz kilka milutkich  
 idejek. które cię zwalniają od

bl3j ^,ślpnia1 Tymczasem trzeba myśleć!... I to jest właśnie trudu mysiei""- j

• kłó Filozofia to piekło, czynność przeciwna naturze. Coś, co rani Filozof musi, chcąc nie  
 chcąc, zamierzać się na całość, a to z oóry oznacza porażkę, bo nic da się powiązać  
 wszystkich części w całość, a nie można przecież udawać, że elementy do siebie pasują, kiedy  
 nie pasują. Człowiek chwytą części, które do siebie nie pasują, i ściska je kurczowo, błaga, by  
 zespoliły się w całość... upiorne zajęcie!...

- Myślisz o swojej książce. - W Gerardzie zaczynał kipieć gniew, musiał się hamować.  
 Powrót do pierwotnego tematu potraktował jak wyjście ewakuacyjne.

- Och... książka... - Crimond wstał i potarł oczy. - Tak, to piekło... Musisz się wyteżać jak wszyscy diabli, zdobywać na resztki odwagi, by wznieść się ponad najlepsze z możliwych sformułowań w... O tak, to prawdziwa katorga!...

- Nie mogę się już doczekać, kiedy ją wezmę do ręki - rzekł "Przejmie Hernshaw i również wstał. Czuł się zupełnie wyczer-ten^' ~ ^ecmo mnie ly'ko dziwi- Dlaczego uparłeś się nazywać idee°ały melanz marksizmem? Wiem, oczywiście, że utopijne licehe "^dego Marksa" to dziś ostatni krzyk mody... Ale po a ty się pakujesz do tej pojęciowej klatki? wDjęd ||• tak... to klatka... choć niezupełnie ta... Jesteś Wszystkirm ' °°z"""" cnetnie °ym c,e przekonał, ciebie przede z któryś ^óg\*Dym cię wiele nauczyć. Mało dziś znam osób, byłbyś """"Sroyni prowadzić rozmowę. I ty oczywiście nie \*e •atwo m°Wcą 'dealnym. za mało wiesz. Stwierdzam jednak, - a niJ!\Się z tODA- gada... może dzięki starej znajomości... Siładzie? Zecniałbyś porozmawiać z komitetem w pełnym CIlVvią Wn ?apytał Gerard, któremu ten pomysł dosłownie przed

Pddł do gł0Wy  
mam

A zechcieliby mnie słuchać? Nie... to kiepski nic przeciwko rozmowie z tobą. ale... P0rnysł. ^ - Przemyśl to sobie. Dziękuję, że zechciałeś przyjść Wyszli do holu. Crimond włożył palto i okrecił • kiem. Z kieszeni wyjął zmiętą czapkę i chwilę trzymał^ ^ Powstała niezręczna sytuacja, jakby zamierzali podać soto^' lecz nie mogli się na to zdecydować. Potem gospodarz ot^ ^ drzwi, na których Patricia powiesiła podczas ich rozmowy^' narodzeniowy wieniec, i gość wyszedł szybkim krokiem \*°" oglądając się za siebie. Hernshaw zamknął drzwi i onarł c; '

i Mę o nie  
plecami.

„Niezwykłe przedpołudnie", o jakim wspomniała Gerardowi przez telefon. Rose spędziła z Jean. Rosnący niepokój o przyjaciółkę spowodował w uczuciach panny Curtland męczący zamęt. Nie napisała do Jean. bo Crimond mógłby przeczytać list i mieć do kochanki pretensje. Nie mogła po prostu do niej wpaść, bo istniało ryzyko, że się na niego natknie. Wołała też nie dzwonić, bo nawet gdyby telefon odebrała Jean, nie mogłaby w obecności Crimonda rozmawiać swobodnie, a nawet gdyby go nie było, mogłaby nie chcieć rozmawiać, mogłaby odburknąć coś szorstko bądź nawet rzucić słuchawkę, czym wpędziłaby Rose w jeszcze większe przygnębienie. Panna Curtland nie chciała - działając przez zaskoczenie - stawiać przyjaciółki przed koniecznością wyboru między szorstkością wobec niej a nielojalnością wobec kochanka. Ów wzgląd mógł na dobrą sprawę wykluczać wszelkie kontakty między nimi. Niezależnie od tych technicznych raczej przeszkód niepokój Rose bu ziy też jej własne pobudki i motywacje. Każde zbliżenie do ^ mogło na biedaczkę ściągnąć poważne przykrości. Crimj?najDy siał być zazdrosny, zaborczy, może nawet brutalny. Rose za wysłanniczkę Gerarda, a może nawet Duncana. P ^ była nader delikatna. Może należało pogodzić się z fakt^yrn. nie zobaczy więcej Jean i niczego się więcej nie .^^^jareO1 czasem ona tak lubiła wiedzieć! Czy więc nosiła się z -tych odwiedzin z troski o dobro przyjaciółki czy z p n prag-ciekawości? Naprawdę szczerze pragnęła spotkania z 'cZyć nęła się dowiedzieć, co u niej słysząc. Pragnęła z

- na kobietę, która należała teraz do Crimonda. jean, sp°^,c< informacje z pierwszej ręki. by móc je potem chciała i °e'rarj(nvi. Chciała ocenić prawdopodobieństwo po-prZekazac oraz ustalić, czy nie mogłaby przyjaciółce

^rotu Jean ^ ^ rozmowach z Gerardem wyobrażała sobie całe jakoś poi możliwycn sytuacji, w pojedynkę, w samotności -mnÓStW odobnie wszystkie możliwe. Jean mogła potrzebować prawdopo żeDy m0gja ucjec iUD choćby tylko nabrać

^Tafdo podjęcia decyzji o ucieczce. Z pewnością potrzebo-^akHakiegoś znaku od przyjaciół, dowodu ich nie słabnącej miłości a może tylko zapewnienia, że Duncan za nią tęskni i czeka jej powrotu. Jeśli zaś prawda wyglądała inaczej, jeśli Jean nie potrzebowała wsparcia i pomocy, i to byłoby ważne ustalenie. Rose i Gerard mogliby wtedy postanowić, co powiedzieć Duncanowi, czy w ogóle mu coś mówić. Rose chciała się czegoś dowiedzieć również i dlatego, że paliła ją zwykła ciekawość. Ten romans był laki frapujący! Bodźcem, który skłonił ją wszelako do zrobienia tego ryzykownego kroku, okazało się ostatecznie pragnienie ujrzenia przyjaciółki, uściskania jej i wycałowania.

Okazja nadarzyła się sama. kiedy zostało ustalone, którego dnia i o której godzinie Crimond ma spotkać się z Gerardem. Panna Curtland ułożyła plan. Pojedzie zawczasu do południowego Londynu, znajdzie budkę telefoniczną w pobliżu domu nmonda, a upewniwszy się, że już wyszedł, zadzwoni do Jean, oznajmi jej, że znalazła się w pobliżu, i zapyta, czy mogłaby na

wWdleCvkę WpaŚĆ' Plan sic udał- Jean odrzekła krótko: ..Dobrze.

niJ i Rose przekroczyła niebawem próg mieszkania Davida Lr'monda.

••poko^m^^ S'? W pol<0'11 w su,0,onie- ktory Crimond nazywał •«óre w"1 Zabaw'• Rose siedziała na kanapie, na własnym palcie, odsuniet zsune'a 7 ramion, a Jean naprzeciwko niej na

ulewni "i °d biurka krzesle. Przywitały się czule, choć nie ^eszni;-zjedna drugą za ramiona, po czym odwróciły się

,J>okój padłs7-y sobie w objęcia. ni»ne aba^'a aw" ^nał w półmroku. Paliły się tylko dwie ocie-Slencie ^iąż^i-1111 lamp-v- Jedna na biurku, druga ustawiona na ParaFlną. Jean na- 'ednym ze stołów. Pokój był zimny i pachniał trochę schudła. Wyglądała na zmęczoną, chyba w ogóle się nie umalowała. Miała na sobie ciemno wełniana sukienkę i brązowy rozpinany sweter Ledw^6^ chwilą odpasała fartuch. Mimo to wyglądała ładnie jak° piękna. Ciemne włosy, nieco potargane, miała dłuższe ni/^6 tern. mniej zadbane. Jej ciemne oczy płonęły. Wyoi^^'przed-Rose kiedyś określiła, niczym żydowska heroina.&Sied naprzeciwko przyjaciółki, panna Curtland czuła się wręcz straszona, zagubiona i bliska płaczu. Bała się i teg0 Ze może się nagle zalać rzewnymi łzami gniewu. Nawiazanie ° mowy okazało się trudne.

- Wiesz, byłam w Bojarówce w te ostatnie śnieżyce. Łąka zamarzła na kamień.

- Jeździłaś na łyżwach?

- Oczywiście. Była też z nami Lily Boyne. Wyobraź sobie jest wyśmienitą łyżwiarką. Byłam naprawdę zdumiona.

- Nie widzę powodu do zdumienia.

- No... może nie aż zdumiona... po prostu zaskoczona.

- Jak się miewa Tamar?

- Nie najlepiej. Prawic nic nie je i wygląda na nieszczęśliwą.

- Nie możesz jej jakoś pomóc?

- Usiłuję. Odwiedziła cię, jak słyszałam.

- Przypuszczam, że wyście to zaaranżowali.

- Cóż... Nie chcesz jej znowu zobaczyć?

- Nie. \_ fi

- Jest do ciebie bardzo przywiązana. Czy on nie lubi, g y cię ktoś odwiedza?

- Po co przyszłaś?

- Żeby cię zobaczyć. Przekonać się, czy czegoś ci nie potrzeba.

- Niczego mi nie trzeba.

Zapadła chwila milczenia, po czym Rose spytała:

- Czy on wróci tu prosto po wyjściu stamtąd?

- Kto czy wróci i po wyjściu skąd? rerarda?

- Crimond. Czy wróci tu prosto po wyjściu od u

- Więc jest u Gerarda?

- Tak. Nie wiedziałaś? . nie pyt;" 11

- Nie zawsze mi mówi, dokąd się wybiera, a ja Nie wiem, czy wróci prosto do domu.

- Wygląda na to, że niewiele o nim wiesz.

\_ Kie wJ^ja 7 rękami złożonymi na kolanach i wpatrywa-jean sie ' cze|cając na jej następne pytanie, jak na przesłuchanie, Się w ^se, Chan0n strzela do tej tarczy? ' Kiedyś strzelał.

' p niectam że był wyborowym strzelcem, zdobywał nawet • 'eś nagrody. Mam nadzieję, że nie przygotowuje rewolucji. ^Myśl?, że robi to po prostu dla zabawy.

\_ Jak spędzacie czas?

\_ Co macz na myśli?

\_ c0 robicie w ciągu dnia, czy siedzicie w domu, wyjeżdżacie gdzieś, bawicie się, bywacie, chodzicie na koncerty? Jesteście szczęśliwi?

- Przeważnie siedzimy w domu. Nie „bywamy". Czasem nas ktoś odwiedzi.

- Rozmawiacie o jego pracy?

- Rozmawiamy o bardzo wielu sprawach, ale jeśli macz na myśli tę książkę, nie. nie rozmawiamy o niej.

- Czy ona naprawdę istnieje?

- Naturalnie. Tam leży rękopis. Możesz rzucić nań okiem, jeśli chcesz.

Rose zerknęła w stronę biurka, gdzie pod zapaloną lampą leżał stos różnokolorowych notatników. Jeden był otwarty. Po-CZUła zabobonny lęk przed tym manuskrypcem.

~ Nie, dziękuję...

Sądziś, że jestem nieszczęśliwa, może nawet się tego spo-Haewasz.

ślałarn^ " ~ s^raço zaprzeczyła panna Curtland. - Pomy-tozmoj^0, że rnożesz się nudzić. - Miała wrażenie, że toczą czas Jea^6 ^n^C" wca'e s'e ze sobą nie komunikując, tracą tylko dziei „ • Zmarszczyła czoło i atmosfera stała się jeszcze bar-J lapięta i n' ale i odno . nieprzyjemna. W tej nowej atmosferze napięcia, które post^011^ bliskości- Rose wyrzuciła z siebie nagle słowa, "^jes K^Wlła wyp^owiedzieć. uznała to za swą powinność, ^ żebyśVe W d^mU Przec'wiczyła. - Duncan cię kocha! Prag-^tobą Ja 0 niego wróciła.

Wszyscy cię kochamy. Tęsknimy 7 Pragnę twojego powrotu.

Wydawało się, że ta deklaracja głęboko Jean p0rUK powiedziała wszak tylko: ""^a, o\*

- Przykro mi, że muszę was rozczarować, ale znud/ona ani nieszczęśliwa. Nigdy nie czułam pełni ! \*\*\*\*\* szczęścia. Jeśli chcesz zanieść im jakieś poślanie, oto \*\*\*\*\*

- Ostatnim razem odeszłaś od Crimonda, widać niu^h jakieś powody.

usiały być

- Doświadczam takiego szczęścia, jakiego ty, obawiam 1 nigdy nic za/nahiś. o jakim nawet nie śniłaś. S'e'

- Już zapomniałaś o swojej miłości do Duncana? Kochał i go przecież, z pewnością nadal kochasz... "S

- Wtedy było inaczej. Nie byłam zdolna do całkowitego wyrzeczenia się własnego „ja", do całkowitej przemiany. Tera/ do niej dorosłam. To jest niczym spotkanie z absolutem. Kiedy patrzysz na rzecz doskonałą, niedoskonałe znikają, giną. Tera/ to jest twarzą w twarz, nie w zwierciadle, niejasno". Nie można się temu przeciwstawiać, nie można opierać.

- I najwyraźniej nie można tego wyjaśnić. I nie można wyjaśnić.

- Wybacz - zawołała Rose - tak bardzo pragnęłam z tobą porozmawiać, mamy tak mało czasu, dlatego plotę głupstwa! Muszę uciekać, zanim Crimond wróci. Gerard zapowiedział, że poświęci mu tylko godzinę...

- Poświęci!...

- Nie wiem. ile mu zabierze droga powrotna do domu, gdyby prosto tutaj wracał... Widzisz, staram się mówić o tym, co ważne, przynajmniej dla mnie. Bóg raczy wiedzieć, kiedy cię znowu zobaczę. Wiesz, że cię kocham. Przyjaźnimy się od tak.da^ nie mogę milczeć. Uważam, że żyjesz w świecie iluzji- ^ związek jest tak jednostronny, tak niesprawiedliwy! ^a,v,ct^ wiesz, dokąd on wychodzi, co robi. Poświęciłaś mu wszy porzuciłaś przyjaciół, porzuciłaś swój świat, ale z jeg° nJcZyni ciółmi się nie spotykasz, nie weszłaś w jego życie. j,siaZki-się / tobą nie dzieli! Nie wolno ci nawet zaglądać do tej O ile wiem. nie utrzymujesz obecnie żadnych kon a ^ ^. romans wypełnia jedynie część jego życia, twoje wyp

Niedokładny cytat z I Listu do Koryntian, cz. 13.

raszam. jeśli mówię ci rzeczy przykre, impulsywne. lości! P<"zePr.e czuję gmew za ciebie... fo dlateg°irzebnie. całkiem niepotrzebnie. - Jean słuchała ty- ' ^,e/°ciółki z obojętną, roztargnioną miną wyrażającą znu-rady Prz>'ja c,a wstaja z krzesła, obesła je i przechyliła ku żellie w iesz się kawy? Obawiam się, że alkoholu nie mamy. ^Oczywiście, że się nie napiję! - wykrzyknęła zdesperowana - Och. Jean...

R0SCNie wyrzekam się naszej miłości. Naszej miłości, tej, jaka ciebie i mmc Jestem pewna, że będzie trwała wiecznie, Twet gdybyśmy się już więcej nie miały zobaczyć. Ale się przecież zobaczymy! Nasza przyjaźń jest czymś wyjątkowym, przetrwa wszystko. Musisz, jednak zrozumieć, że my dwie żyjemy w całkiem różnych światach. Ty polegasz na trwałości, żyjesz w zgodzie z ustalonym, niezmiennym porządkiem, to ci odpowiada, służy. Ja zaczynałam się w tym dusić... Puściła krzesło, które zakolebało się na nogach.

- No cóż, skoro to tylko pragnienie zmiany... Wybrałaś nie-trwałość, z tego wniosek, że nie ufasz tak bezgranicznie miłości Crimonda, nie wid/is/ przed wami przyszłości, c/ujesz się zagrożona...

- Jestem jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał czy był w stanie pokochać. Wierzę w jego miłość i w naszą wspólną przyszłość, cokolwiek się /darzy. Tyle że my, w odróżnieniu od eiebie, naturalnie, nie potrafimy przewidzieć przyszłych wypad-

n' RZeczywiście. istnieje zagrożenie, lecz nie dla naszego

—; "ijku., i.-miiiiv.i; /.<IJL11>/L1IIC, ICC/. HIC UICI ua>/.i'gw

odwa^\*11' \*w'ala" crimond jest odważny i mnie nauczył

gdzie"8' ^ zyJesz w krainie niezmiennej, milutkiej ciągłości, Wszyscy są uprzejmi, rzetelni i dobrzy, a lata biegną wedle

Dzidzi WSZC usla'one§° wzoru. Ja tę krainę porzuciłam. Przy rządZo 6 Zna'azłam się w świecie żywiołów, niebezpiecznym, też niebez" ?rZ&Z Prz.vPaciel<- lecz realnym, w którym miłość jest °°CuJe ze Zna' aDS0'utna ' dramatyczna, w którym człowiek Wym! Ty Qmierc'ą- Dopiero takie życie jest życiem prawdzi-naPrawdę ^aWet 'lie wiesz- co znaczy naprawdę kochać i być ^ 8° uśw°C ym" iak t0 przepelnia całe jestestwo człowieka. tyl(a' Jak od^03 UWznioś,a wszystko, co robi, myśli, czego do-i ^eóstw tC§0 0§romn'eJe świat, rozrasta się w kosmos i na ° kosmosu rozjaśnia się blaskiem! Ty w gruncie rzeczy nie masz pojęcia o seksie, nie domyślasz sj można nim żyć. oddychać, że jest czymś, co cię \*e

pochłania, co jest wszędzie, we wszystkim, co zmienia^ rCSZly ga! Kiedy się człowiekowi przydarzy taki cud. nie dba^^^ zasługi czy niskie, małostkowe kalkulacje, rodem ze° chaotycznego, samolubnego życia. „Ja" znika. Tyś n^rT680' przeżyła podobnego doświadczenia, nigdy nie zostałaśubć^ ^ na przez miłość, jesteś uczciwa, panienką, w gruncie rze0^0" rytanką, w głębi duszy uważasz, że seks jest czymś grzeszn^ Dlaczego nic wysłaś za małż.' Po co przysłaś się beznadzieja do mężczyzny takiego jak Gerard? Czemu nic posłaś za kogoś innego? Za Marcusa Fielda na przykład, który za tobą szalał

- Doprawdy? Nigdy mi o tym nie mówił...

- Sądził, że należysz do Gerarda, że on się z tobą ożeni. Mogłaś mieć dzieci...



- Och, przestań! Stałaś się po prostu... stałaś się okropnie melodia ma tyczna! Czy ty myślałaś kiedyś serio o poślubieniu Sinclaira?

- Tak, chociaż... nie wiem, czybym to zrobiła... Nawet, gdyby chciał...

- Gdybyś za niego wyszła, byłby dzisiaj żył.

- Bo zabroniłabym mu latać?

- Bo zmieniłby się łańcuch przyczynowo-skutkowy.

- Wszystko go mogło zmienić.

- Wiem.

Rose uświadomiła sobie, że gotowa się zaraz rozplakać, więc pobiegła spojrzeniem w głąb pokoju, gdzie majaczyła w P<sup>1</sup>\* ku tarcza podobna do mandali. Poczowała przenikliwe zimno i rzuciła na ramiona palto. Odchyliwszy się nieco do tyłu, wy dłońmi szorstką, drapiącą tkaninę starej narzuty. Po moim ^ ściu Jean zaraz, ją wygładzi, pomyślała z goryczą. ^ ^ oD czy mu powie o mojej wizycie? Muszę już iść, m"sZC'aa(j^ain wróci. Straciłam Jean. utraciliśmy naszą przyjaźń, naJ^, jej samych głupstw. Będę tego żałować, okropnie żałowa

- Muszę już iść, kochanie. , na

- Trudno. Odprowadzę cię. A może chciałabyś rękopis książki? Śmiało! . ?a ptzf

Rose wzięła szalik, rękawiczki i ruszyła posłusznie

, i buły stukwały na gołej podłodze, wzbudzając głośne •aCiółka- lekkich pantoflach stąpała bezgłośnie, echo- Jean | p0Ci lampą. Prawa strona otwartego zeszytu była R<sup>P</sup>bnym, równym, właściwie nieczytelnym pismem

/a

pisana ^a pust^ wyjąws7y kilka luźnych zdań i znak

cjmonda, przewróciła kilka kartek. Tu i ówdzie pisany pytania- ^ urozIl laicały wersaliki,

zdarzały się też fragmen-maczkie"1^ czerwono p0tem Jean ułożyła zeszyt tak, jak go V

P'Sa"0Stawił Crimond, przerwawszy pisanie. Cała procedura \ ^nominowała nabożną prezentację świętego manuskryptu bądź ^kąowego dzieła sztuki, zabytku, który nie wtajemniczeni

mo<»ą podziwiać, ale nie studiować. Gospodyni wskazała następnie przyjaciółce ułożony obok biurka stosik podobnych zeszytów, zawierających ukończone już rozdziały ogromnego dzieła. Rose, która początkowo nie miała najmniejszej ochoty ich oglądać, nie poczuła jakoś wcale odruchowej wrogości, na tyle w każdym razie silnej, by miała chęć te kajety podrzeć.

To, co ją uderzyło i zarazem wprawiło w zdumienie, to ich nieruchomość i odrębność, władcza samoistność i liczba. Czując, że powinna się zdobyć na jakąś reakcję, powiedziała:

- To zadanie na długie lata.

- Istotnie.

- Kiedy będzie ukończone?

- Nie wiem.

Weszły po schodach do holu, stanęły przy zamkniętych ^zwiach i spojrzały jedna na drugą. Rose nie zdołała pohamo-\*ac łez. Przyjaciółki padły sobie w objęcia i stały przez chwilę P^ytulone, z zamkniętymi oczami.

^dern\*)302680 m' nie Powiedziaieś' ze masz S'S spotkać z Ge-Siedzieb

narzutę w taPczanie w „pokoju zabaw". Jean wygładziła 111011(1 nie miejSCU

wygniecionym przez pannę Curtland. Cri-

- Powie-'Jeszcze z4Jąc palta, ciałem zr Złałbym' gdybyś mnie spytała, dokąd się wybieram, ^nia przszta- zamiar powiedzieć ci teraz. To rzecz bez zna-Cflc'ałem oyZnajc< byłem przedtem trochę zdenerwowany, nie tyrn mówić.

- Jak się udało wasze spotkanie?

- Nie najlepiej.

- Mam nadzieję, że jeśli był nieuprzejmy, p0s,ai diabła.

- Och, wcale nie był nieuprzejmy. Za to ja wyszedł durnia. Od dawna z nikim nie rozmawiałem na takie ^ na Mówiłem za dużo i nieskładnie.

- Rose wygadała się, że Hershaw zamierzał ci poświęcić jedynie „godzinę”.

- Ja zamierzałem mu poświęcić pół. Lecz gdy go ujrzała

- Tak?... ^ ' m'''

- No cóż, znam go dłużej nawet niż ciebie. Nie udało się nam dyskusja. Obawiam się, że musiał sobie wyrobić niekorzystny pogląd na moją książkę...

- Pewnego dnia zmieni zdanie!

- Ach, pewnego dnia!... Ale powiedz mi, moja królowo, cesarzowo, moja sokoliczko, co sprowadziło do ciebie lady Rose Curtland?

- Ciekawość - odparła Jean - oraz chęć doniesienia mi, że Duncan wciąż mnie kocha.

- Czy to znaczy, że do niego wracasz?

- Jak możesz w ogóle pytać!

- Jej wizyta wprowadziła cię w przygnębienie.

- Nie większe niż ciebie spotkanie z Gerardem. Raczej mnie zirytowała, ot i wszystko. Nie sądzisz chyba, że zachwiała moją decyzją?

- Tak właśnie sędzę.

- Bez przerwy mnie dręczysz! Dlaczego to robisz? Nie możesz uwierzyć...

- Wiara nie ma tu nic do rzeczy... mówimy o uczuci ^ Gdybyś miała w kieszeni najcenniejszy diament \*wiata,^es7etii bałabyś się go zgubić, nie wkładałabyś co chwila ręki do żeby sprawdzić, czy wciąż tam jest? dui?c'c

- Tak. Czuję dokładnie to samo. Mimo to nie przes. a swoją potworną obawą. rozwi^3'

- Mówię ci o mojej obawie po to, abyś ją zaraJcC 090 Całe moje życie zależy od twojej miłości, ieame^d tw0jej, °^ co chwila uśmierzać mój lęk. Moja jaźń zależy dycham twoim oddechem...

kochany- moja ty dumo, mój ty książę, mój ty UÓi mój arcykapłanie! paterze, ^ (j0wiem. co lady Curtland miała do powiedzenia - ^eC^gt? Musiała ci coś powiedzieć, coś takiego, czym by d3s?' ,\_\_ :a ar, nnwrotll.

"Isła skłonić do powrotu. ^ Ach, takie tam bzdurki...

L Na przykład? Powiedziała, że jej zdaniem umieram z nudów.

\_ A umierasz?

Powiedziała, że chyba niewiele o tobie wiem. \_ Na jakiej podstawie tak sądzi?

\_ Takiej, że poszedłeś na spotkanie z Gerardem, nie uprzedzając mnie o tym.

- Musiała się tego dowiedzieć od ciebie.

- Przypadkiem. Przepraszam. A kiedy mnie spytała, czy miałbyś coś przeciwko jej wizycie, odpowiedziałam, że nie wiem. Przypuszczam, że nie powinnam była tego mówić.

- To bez znaczenia. Nie potrzebujesz niczego ukrywać. Musiałbym się rozgniewać, gdybym zaczął podejrzewać, że jej skłamałaś. Cokolwiek jej powiesz i tak będzie zdania, że jesteśmy nieszczęśliwi, i będzie miała nadzieję, że jesteśmy przekłęci. Ale powiedz, czy ty się przy mnie nudzisz?

- Och, przestań, Crimond!... Co z lunchem? Ugotowałam taką ^P? jarzynową, jaką lubisz, a na kolację przygotowuję gulasz.

- Przygotowujesz gulasz na kolację! To brzmi jak fraza bawhndZiWe\$0 tyCVd' Czasem mam wrażenie, że my się w nie

-W co?

~ - prawdziwe życie.

wciebieSZ' \* ^ mam 7 k°e' wrazeme' ze czasem wstępuje MówiszŚ d'ar3ei' który dąży do zniszczenia naszej miłości, ^'ązek p e.potWorne rzeczy, jakbyś pragnął zburzyć nasz ^ ot tak ,ajesz w wątpliwość realność naszego życia, i robisz

- Och j Żadnej potrzeby.

a\*e uJ." :anie'intern taki zmęczony, dosłownie padam z nóg,

Jean obj^a°dp°CZać' nie umiem-^°D'e Jego kocnanka, wsunąwszy ręce pod palto, położyła po^k-^ na ramier|iu i zaczęła go głaskać po włosach, r u pod kołnierzem marynarki. Tuliła go w obję-

ciach i patrzyła ponad jego głową w stronę otwartych przeciwległym krańcu zimnego pokoju. Głowa Cri dr/Vv'Qa również zimna.

- Za ciężko pracujesz - szepnęła. - Wiem, że chciałabym sprawić, abyś mógł odpocząć.

Bardzo l'1Usisz' ale Musisz mnie nauczyć, jak tego dokonać. Wiem, odpocz^8^ w łóżku, lecz ty właściwie nie znasz innego odpoczyS^31\*11 zresztą także nie.

Podniósł głowę i musnął zimnymi wargami jej policzek

- Czym się zajmują ludzie, którzy umieją odpoczywać i ty aniele pokoju?

- Ach, tak bym chciała naprawdę nim być!

- Ależ jesteś, zapewniasz mi spokój. Jedyny, jaki znam

- Ludzie, którzy potrafią odpoczywać, czytają książki, chodzą na spacer, układają bukiety z kwiatów, pielęgnują ogródki, myją samochody, słuchają muzyki, przestawiają meble, zapraszają przyjaciół na kolację i rozmawiają o życiu.

- Przynajmniej czytamy książki.

- Ty czytasz tylko to, co ci potrzebne do pracy, plus poezję. Ja nie jestem teraz w stanie w ogóle czytać. Lecz to minie, wiem.

- Niewykluczone, że twoja przyjaciółka ma rację. Życzyłaby sobie, żeby się nam nie udało. W gruncie rzeczy nie jest twoją prawdziwą przyjaciółką. Jest zawistna, jak zwykle kobiety.

- Obawiam się też, że nie kieruje się rozumem, jest im^° nalna. Ale popatrz, chcesz zmieniać świat, a w głębi duszy nadal uważasz kobiety za istoty podrzędne, nie całkiem realne.

- Wszyscy mężczyźni tak myślą - przyznał, Podn,ósł^°0^ i lekko odepchnął od siebie Jean. - Zresztą również wicks^ne kobiet. Po co przeczytać faktom? Kobiety są inne, majamb0. mózgi. Są słabsze, płaczą. Mężczyźni nie płaczą. Oto s liczny wyraz tej różnicy.

- Ty nigdy nie płakałeś?

- W każdym razie tego nie pamiętam.

- Może jeszcze kiedyś zapłaczesz.

- Może, przed końcem świata. noal3d D3

- Wiesz, nie można powiedzieć, byś miał zdr^° 7apani>Je

kwestię wyzwolenia kobiet. Kto wie, czy islam w końcu nad światem...

^ałem i taką możliwość.

i mnie uważasz za istotę irracjonalną, podrzędną, " ^ realną?

oie całkiem sokolic7k0, bo ty nie jesteś kobietą. Jesteś zbłą-' CieblCh m' My oboje nie

jesteśmy z tego świata. Jesteśmy kany111 duc : or/ybyszami, którzy szczęśliwym trafem spot-m gośćmi, obcym i 3

kal' tffcdziwnego, że uważamy wszystkich naszych znajomych oóływywych-

Musisz sobie znaleźć jakieś zajęcie, zacząć coś studiować. Marnujesz zdolności. \_ Coś sobie znajdę, na pewno, me martw się!

- Boję się, że ty się jednak czasem nudzisz. Nie może być inaczej. Rose ma rację. Z tyłu rzeczy zrezygnowałaś, wyrzekłaś się przyjaciół, porzuciłaś swoje życie towarzyskie...

- To, czego się wyrzekłam, uważam za bezwartościowe. Ty poświęciłeś więcej: swoją samotność. Zastanawiam się, czy czasem tego nie żałujesz?

- Nie, moje serce, moja duszo, nie... To mi było pisane... Nie opuścisz mnie, prawda, moja sokoliczko?

- Jak mogłabym cię opuścić, przecież jestem tobą! Nie mogę porzucić samej siebie, opuścić własnego ciała.

- Widzisz, na razie tylko czytamy, ale może pewnego dnia pójdziemy na spacer. O tak, jeśli mają nas poćwiartować, niech Poćwiartują nas razem.

Jeś~ Gdyt>yś tylko mógł zaznać przy mnie spokoju! Powiedzia-. 'zejestem twoim aniołem, tymczasem wzdygasz się i od-^jesz, ilekroć cię dotknę, jakby cię prąd poraził.

kojny ^1-PokÓJ Jest spokojem, nigdy nie będę przy tobie spo-

nieJ dc)h mne8° mia,cm na myśl,i- ~ ZdJął Palto ' siedział obok słałośćC yl°ny' podPieraJąc rękami głowę. - Ty jesteś moją Zw'ązku m°im słaHyrn Punktem. To część niemożności naszego

W OstatnSimdZIała Zesztywniała, wystraszona, jak zresztą często

- tyoże CZasie. Po chwili powiedziała cicho i powoli:

Talc tyn/ch skoilczysz7 książkę, zaczniemy podróżować. Wciąż PodkrCl?ła poJcchae 7. tobą do Francji, do Włoch! Przecież nyrni ludzirCS,asz znaczenie Europy. Mógłbyś spotkać się z róż-m' Porozmawiać...

- Kiedy skończę książkę, przestanę istnieć, pod0b -

- Czemu się uparłeś wygadywać takie okronnp ^ jak ty głupstwa! 1 ' Pr2erażajace

- Może nigdy nie skończę tej książki...

- Ależ. oczywiście, że skończysz, a po niej napi.-stępna!

- Kochanie, czy potrafisz wyobrazić sobie starość?

nas dwoje

- Ty się nigdy nie zestarzejesz! - zawołała. Czyż on • Crimond, mógł się kiedykolwiek zestarzeć? - Kocham ^ Cokolwiek się zdarzy, będziemy zawsze razem. Ach, mój dmj przestań mnie już. dręczyć tą rozmową...

- Ja wyłysię, twoje piękne, gęste włosy zrzedną i posiwieją. Staniemy się słabi i zniedołężniali. Będziemy się kurczyli i przy. gładali jedno drugiemu z odrazą i zgrozą. Nie chcę się do ciebie nigdy przyzwyczać, Jeanie, moja miłości. Dlaczego mielibyśmy dźwigać... my. właśnie my!... przekłete brzemię starości i znie-dołączenia, m y, którzy jesteśmy na tej ziemi żywymi bogami? Ja cię tu samej zostawić nie mogę, podobnie jak ty mnie. Lepiej dopełnić naszą miłość w śmierci. - Mówiąc to, tarł rękami twarz, przecierał oczy i palcami przeczesywał włosy. - Boże, jestem taki zmęczony, śmiertelnie zmęczony... Mój umysł jest śmiertelnie zmęczony...

Przestraszyła się nie na żarty. Nie po raz pierwszy mówił takie słowa.

- To zrozumiałe, że jesteś zmęczony. Powinieneś zrobić sobie przerwę, odpocząć, koniecznie odpocząć, choć przez je dzień. . t

? 7jiwod'a>

- Nie mogę odpoczywać! Czy nie rozumiesz. ^ ^ mnie, nie słuchałaś, co mówię!...

Przepraszam... Czasami wrażenie, że jestem nożem, wbijającym się w twoje s^tvvisZ

- Ależ słucham cię. kochany, słucham i rozumiem. ^ ^ się, co będziesz robił po skończeniu książki. Boisz się, ^ niesz się nudny, pospolity. Ta książka od tylu lat utrzy ^ ^ w stanie ciągłego pobudzenia. Sama byłam świadkiem, sząc, drżałeś z emocji... , . stano-

- Ty zdajesz się sądzić, że to cokolwiek ^]^^g0 usp^' jakieś usprawiedliwienie. Otóż nie, nie ma za

To sięga głębiej. Chodzi o ciebie i o mnie. Nas

^edli^601 a'ożn0ść\ niepodobieństwo wspólnego życia...

niszczy n,en1 j^hany. My stwarzamy tę możliwość, budu-Mylisz się.

'dzień po dniu... jemy Ją , . Iniu ta miara jest iluzją. Istnieje tylko teraz...

\_ pzien p° u ' rhcesz mnie zabić?

' lko jeśli zabiję również siebie. Kocham cię, sokoliczko,

" • kochasz. Tylko to się liczy. Nasza miłość w pełni ' ^ała rozkwita w chwili obecnej. Teraz jesteśmy bytami ^ohimymi, bogami. Później czeka nas tylko degrengolada i uwiad. . , - u- .1

\_ Mój kochany, dobrze wiesz, że zrobię wszystko, co zechcesz. Wszystko! Jestem twoja, jestem tobą. Pójdę za tobą wszędzie. W tobie moje życie, w tobie śmierć. Ale...

- Ale teraz powinniśmy zasiać do lunchu, czy tak?

- ...ale przecież nie skończyłeś jeszcze książki, a kiedy ją skończysz, zaczniesz następną... A zresztą...

- Zresztą?

- Chcę znowu z tobą zatańczyć.

- Może jeszcze zatańczymy... kiedyś, przed końcem świata.

- A ty wtedy nauczysz się płakać. Proszę, nie strasz mnie tymi obłąkańczymi wizjami! Wiem, że pragniesz nieśmiertelności, ale wszak możemy stworzyć nieśmiertelność w czasie.

Ostatecznie tym jest przecież miłość. Chodź...

- Nie, nie chcę jeść. nie mogę pracować...

- Chodź do łóżka.

niało^Cn' ^ean'e' moJa królewno, gdybyż tylko to jedno ist-

- Ta dziewczyna umrze - oświadczyła Violet Hernsh Postanowiła umrzeć. Zagłodzi się. umrze z wycieńczenia zV

ją jakiś tajemniczy wirus, gruźlica lub depresja...

- I nie możemy jej powstrzymać? - zapytał Gideon Fairfax.

odchylając się na oparcie krzesła.

- „My" to znaczy kto?

- Ty i ja. Zjednoczmy nasze wysiłki, dobrze?

- Nie.

- Ty nie chcesz jej powstrzymać. Nie masz nic przeciwko temu, by umarła. Chcesz, żeby umarła?

- Czczą, głupia gadanina! Wyświechtany psychologiczny banał. Co ty wiesz o prawdziwym nieszczęściu, o codziennym obcowaniu ze śmiercią? Nawet nie wiesz, że śmierć istnieje!

- Może masz. i rację przyznał. - Choć patrząc obiektywnie, jeśli wolno mi użyć tego wyświechtanego słowa, wygląda na to, że ty nie życzysz sobie, by Tamar się powiodło. Można by wręcz sądzić, że wolałabyś, by w ogóle nie istniała. Naprawdę nic by cię nie obeszło, gdyby popełniła samobójstwo? Przepraszani /a banał.

- Ona nie popełni samobójstwa. Ta dziewczyna jest niezniszczalna. Wy wszyscy uważacie, że to takie czyste, nieWI°? dziewczątka. wątlutki kwiatusek. Tymczasem ona jest tw jak kamień. Dlaczegoś mnie nie uprzedził, że przyjdiesz-

- Nie masz telefonu. .,\0\*o

- Nic stać mnie na takie luksusy. Zaskoczyłeś mnie cc Mogłeś był napisać. nf7ed\*»&

- Nie mogłem tego zaplanować z takim wypr/-Kręcimy właśnie film.

- Bałeś się, że list mógłby stanowić dowód.

- Dowód na co? Na moje zainteresowanie losem Twoim?

uc7edłes z jej powodu. Przy\*. także. Interesujesz mnie ty jako matka Tamar 1 twojeg0 v tV P° Prostu-

ólczujesz mi. żałujesz mnie i mną pogardzasz...

~ t potrafisz przeskakiwać z tematu na temat! Dotąd

' ^y- v Tamar całkiem często, teraz odrzuca nasze zapro-

\*id^Wapodejrzewan. że za twoją sprawą. Nie masz nic prze-

sZen'a mu żebym odbył z nią wkrótce poważną rozmowę? ciwko temu, - j \_ Mam, i to dużo.

. Bardzo lubię to dziecko. Podobnie jak Pat, jak Leonard... " Pat zawsze trzęsa się ze strachu, że Leonard mógłby ją poślubić. Nie bójcie się! Moja rodzina nigdy nie wejdzie wam w paradę. Nigdy!

- Prawdę mówiąc, przychodzę, żeby ci powiedzieć, że oboje z Pat chcielibyśmy adoptować Tamar.

- Na drodze prawnej, to masz na myśli?

- Jeśli to możliwe. W każdym razie de facto.

- Chcecie zdobyć nad nią władzę. To pomysł Patricii. Chodzi o to, żeby zapobiec spiknięciu się mojej córki z waszym synem.

- Zawsze byłaś chorobliwie podejrzliwa, ale to już istna paranoja!... Adopcja to jedno. Po prostu chciałem cię poinformować. Druga sprawa jest taka: chcielibyśmy już dzisiaj wyłożyć pewną sumę, która umożliwiłaby Tamar powrót na studia. Wiem, że odmówiłaś już Rose i Gerardowi, chciałbym cię jednak przegnać, że my to co innego. W każdym razie ja.

- Tamar jest wszystkim, co mam, a ty chcesz mi to odebrać!

- Sama nie zdobyłaś wykształcenia, więc nie chcesz, żeby Ona się kształciła.

~ Pojmuję jałmużny!

~ Wolisz żyć z zarobków córki, tak 7 J767 Cale lata rmrowałam na jej utrzymanie! Miałam się Wypadaar0Wywać do śmierci? Jest młoda, ma dobrą posadę, bym ' Zeby Pracowała. Zarzucasz mi brak wykształcenia. I ja tyj3,lała' gdybym mogła dostać przyzwoitą pracę.

- GosSnie zarruar tałca ci zaproponować.

- MoSpOSl u twojej żony? Piękne dzięki!

"eła ci oV yś P°magać mi w biurze. O ile wiem, Pat napomk-tylko na Jm P°dczas fajerwerków. Mówię serio, Violet. Spójrz rmeszkanie, spójrz na samą siebie, pomyśl o swojej sytuacji. Ty i Tamar przypominacie dwa chore zwi

mknięte w obskurnym pudełku. Człowiek zagłada <T

dziennie, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyja Nie v,Jm° nieš<>c©. ... .... JJ^ ^ dmierzaiy, z boku i patrzeć, jak niszczysz samą siebie z zawiści ^

chronicznego już nieszczęścia i braku miłości. Przec^3^ inteligentna, ładna. Gdybyś się uczesała, umalowała ^ jeszcze staruszką. Moja firma kwitnie, zamierzam otw !ej?Słē\* lerię na Cork Street, taką ze lśniącym biurem ze sztuce roślinami i masą przemysłnych gadżetów.

Chciałbym zainTtT' wać tam kogoś, komu bym mógł zaufać. Mogłabyś się przyj-do tej pracy, w każdym razie do jakiegoś jej fragmentu, toinie taka aż abrakadabra. Patricia się nie bardzo do takiej'robotv nadaje, zresztą prędzej czy później i tak by jej zbrzydła. Lecz ty byłabyś świetna, wciągnęłabyś się. miałabyś ciekawe zajęcie, zamiast siedzieć tu i umierać ze

zgorzknienia i nudów. Nie chcesz zrobić użytku ze swojej inteligencji, którą marnujesz na ciągle wybuchy nienawiści? Mogłybyście też z Tamar, przynajmniej na jakiś czas, zamieszkać u nas. Stworzylibyśmy dużą rodzinę. Mogłybyście zając mieszkanie, które teraz

my zajmujemy. Ta klitka jest koszmarna!

- A co z Gerardem?

- Wysiudamy go. Chcę mieć cały dom dla siebie. Jeśli się nie uda, kupimy inny, większy.

- Myślałam, że Patricia chce zrobić ze mnie gosposię, jak wtedy.

- Tamto wynikało z chwilowej potrzeby. Teraz proponuję ci coś zupełnie innego. Chcę odmienić los Tamar, ale także twój. Chcę wami obiema potrząsnąć, odświeżyć was, odkurzyć, u

w piękne, szykowne stroje, ubarwić. Zaniedbałaś się, Violet, ci wyczucia koloru. Może nawet sam się zajmę ProjektOV^ówję mody, w najgorszym razie mógłbym drukować tkaniny, serio, skarbie.

- Nie, wcale nie mówisz serio. przwi n'e Gideon wpadł niespodziewanie około jedenastej.

^eaCe,

były zamknięte. Wszedł i znalazł Violet w maleńkiej u gdzie nad śniadaniem czytała gazetę. Sarta naczyń c2p, groziła upadkiem. Na kredensie walały się blaszane p ,gcZJd butelki, jakieś sznurki, kromki spleśniałego chleba, ^ ^ z resztkami nie dojedzonych potraw, nie rozcięte kop

Gideonowi, który objął ten bałagan jednym rzutem chunkarIU- dQ „łowy, że jako całość przypomina abstrakcyjny, oka, P^yS\* ° zny obraz, jaki niedawno nabył. Kiedy wszedł, ^presjom\* Okulary. Zaskoczona, nie przygotowana, Violet sZJ'o|cropnie. Kasztanowe włosy, dawno nie myte i wy-^yglądała^^^ zwiślały w strączkach. Twarz miała prze-magajaC " <jtary< luźny, rozpinany sweter włożyła na lewą stro-^Tzka była zbyt obcisła i za krótka, spódnica przekrzywiona D?'e dopięta- Na nogach miała skarpety do spania. Siedziała łucki i patrzyła na intruza z grymasem złości, który dodatkowo pogłębiał dwie wieczne, marsowe zmarszczki na czole. Oczy Violet przypominały szczelinki, wycięte w fałdkach suchych zmarszczek (drogie szkła kontaktowe nie zdały egzaminu). Wyglądała okropnie, lecz postanowiła najwyraźniej uczynić ze swego zaniedbania walor.

Gość, pachnący płynem po goleniu, przysiadł naprzeciwko niej na krześle, przykrywszy je uprzednio plastikową torbą, która leżała na kredensie i sprawiała wrażenie w miarę czystej. Spróbował z lekka przechylić krzesło. Podało się temu z oporem, odkleivszy się z cichym mlaśnięciem od jakiejś lepkiej substancji na podłodze. Gideon miał na sobie ciemny garnitur, różową, wpadającą w czerwień koszulę i kanarkowy krawat w błękitny rzucik. Jego kręcone, wypielęgnowane włosy, ciemniejsze i harderj kędzierzawe od włosów Gerarda, aż lśniły, pulchne czerwone wargi świeciły wilgocią, pucołowate policzki błyszcząły; amne powietrze dobrze im zrobiło.

nęła ^ ^ Uwazasz Tamar za chodzącą doskonałość! - prych-gospodyni. - Wszyscy tak uważają. Skąd u ciebie to nagłe m\* ^interesowanie?

nju ż^Qa Jest az nazbyt doskonała. Nie mogę się oprzeć wraże-pracuje8r°zi JeJ niebezpieczeństwo. Ktoś od wydawcy, u którego biedaczka°WieCI7'iał komuś' kt0 z kolei powtórzył to mnie, iż Jest blicu Wy8la,da na naprawdę chorą. Sama powiedziałaś, że - Stał SmIerCI"

Wypi S1? ostatnio zupełnie nie do wytrzymania. Nie chce ^ nie ra.a ^ak siodme dziecko stróża, milczy jak zaklęta, ze nyin dachpL/y rozrnawiać- zupełnie jakbym mieszkała pod jed- - Ww\*"1 Z ducr»em. wychodzi o,i • -

CI gdzieś, ma chłopaka?

- A gdzie tam! Zresztą gdyby nawet - i u wiedziała. Wieczorami gdzieś znika. Podejrzewam ^ ^ prostu włóczy po ulicach. Byle tylko uciec od matki it? ^ ^

- Pomówmy serio. Violet. Pozwolisz mi sobie eWiz014  
mojego teścia przyjąć pieniądze.

- Skąd wiesz? To było zresztą co innego, był je winie Zresztą było tego tyle co kot napłakał.

- Nie chcesz mieć nic wspólnego z Rose i Gerardem rządkiem. Ale dlaczego ze mną? Tamci to niedołęgi, ja człowiek czynu. Mogę ci pomóc naprawdę, mogę tobą rować. Poza tym... ja to ja, nie sądzisz?

- Zdążyłam już zapomnieć, coś ty za jeden.

- Nie pamiętasz już. Hello, swinger!

- Nie.

- Znamy się nie od wczoraj.

Do najpilniej chyba strzeżonych tajemnic Violet należała jej dawna znajomość z Gideonem. Byli wtedy oboje młodzi, mieli zaledwie po dwadzieścia lat. On jeszcze nie spotkał Patricii; prawdę mówiąc, to właśnie Violet ich ze sobą poznała. Gideon, nieśmiały, chudy, żydowski młodzieniec, student historii w jednym z londyńskich college'ów, nie zapowiadał się na

świetną partię. Jego ojciec (uchodźca, który przybrał nazwisko postaci z opery Gilberta i Sullivana) miał sklepik ze starzyzną na New King's Road. Violet kochała się wtedy w pewnym studencie konserwatorium, który zakładał właśnie grupę pop. Zanim dojrzała do tego, by zwrócić uwagę na młodego Fairfaxa, przy właszczyła go już. sobie Patricia. Świadomość, że Gideon nu do niej niegdyś „słabość” i dopiero nie znalazłszy wzajemn. uderzył w konkury do kuzynki, dręczyła Violet niczym zło<sup>^</sup> rakowaty guz. który, w miarę jak się starzała, coraz <sup>^</sup> złośliwił i rósł. Przez całe lata zastanawiała się nad Gideon opowiedział żonie o niedoszłym romansie z nim w końcu uznała, że chyba jednak nie. Z nim »a y <sup>^ ^</sup> o tym nie rozmawiała, ale kiedy z biednego studeJ!tatanltej ../.a-potentata finansowego, ich obustronna świadomości a przeszłości” zaczęła jakby nabierać znaczenia, choć nig rodziła się w prawdziwy romans. , \_ po\v'e'

- Tak naprawdę ty wcale nic pragniesz nam Porn<sup>o^</sup> sUkceS<sup>o^</sup> działa Violet. - Delektujesz się tylko smakiem swoje0

• mizerii błyszczą bowiem tym jaśniejszym blaskiem.

pa tle nasZe<sup>^m</sup> pomoc, chcesz po prostu nad nami triumfować.

Oferując nam <sup>^</sup> ciągnącej za twoim rydwanem. Chcesz,

Mamy d0 , oczy do nieba i śpiewały peany na twą cześć, c\*iv wzniosiy j .....

byśmy Jetlni rodzą się w czepku, innym życie biegnie

ale nic Należymy do dwóch różnych ras.

<sup>^ ^</sup>Świat ludzi szczęśliwych różni się diametralnie od świata

cześników, jak to często powtarza Gerard, cytując zresztą

<sup>^</sup>GSZ ' filozofa. Tylko że ten filozof nie wiedział, że człowiek

<sup>^z</sup>Swy może czasem porwać nieszczęśliwca i przenieść go,

choćby wierzgał i krzyczał, do krainy szczęścia. Ten cud potrafią

sprawić pieniądze. Do tego zresztą służą.

- Ty po prostu kochasz pieniądze, kochasz władzę, ot i cała tajemnica. Jesteś skończonym egoistą!

- Niech ci będzie. Naprawdę nie potrafisz mi przyznać żadnej szlachetnej pobudki? Przecież wiesz, jak lubię Tamar.

- Och, Tamar, Tamar, wiecznie tylko ona! Podejrzewam, że ty się w niej kochasz. Pociąga cię fizycznie. Chciałbyś zostać jej najmiłszym wujciem i lichy wie, kim jeszcze...

- Och, zamknij się! Słuchaj, Violet, podnieś wreszcie głowę, spójrz dla odmiany w niebo, w słońce. Zupełnie mi się nie podoba to porównanie z rydwanem. Wcale nie chcę, byście za nim szły, lecz na nim jechały. Gdzie spędzacie święta?

- Tu, oczywiście, jak zwykle.

Wolę sobie nie wyobrażać, jakie to musi być posępne wy-eiUe' Posłuchaj, już nie musimy spędzać Bożego Narodzenia gdzieś biedny staruszek nie żyje, możemy je spędzać

kąds <sup>^"</sup> kaczego ty i Tamar nie miałybyście z nami do-We <sup>^</sup>yjechać? Moglibyśmy na

przykład wynająć dom gdzieś tro<sup>^c</sup> °gZecn- Tamar tam nigdy nie była. Rozerwalibyśmy się

- Uw <sup>o-</sup> C<sup>o</sup> St<sup>o'</sup> na Przeszk<sup>o^</sup>dzie, możesz mi powiedzieć? •obrazi-323"1' ze 10 Pomysł twój,

nie Pat, na dodatek głupi i moją c-y. dla nas- Nie życzę sobie, żebyście traktowali mnie

ubogie l. ę 7 góry! Nie zamierzamy odgrywać przy was ról A zreszt fwnych, potulnych i

przepełnionych wdzięcznością! "ie wychvi amar nie z§ocIziłaby się jechać. W ostatnim czasie

-WyobranOSaP<sup>o^</sup>za Londyn. Wał<sup>o^</sup>ym z ra/' Sobie\* że to również pomysł Pat. Nie wyskaki-

mm Przecież bez uzgodnienia z nią!

- Rad byś błyszczeć swoim szczęściem przed nędzark Tymczasem nędzarki pokazują ci figę.

Uprzejmość Pat upokarza. Czuję się jak wtedy, kiedy traktowała mnie niczs służącą. Tamar

patrzyła na to z ogromną przykrością. Twoja ż <sup>^</sup> chce zrobić ze mnie świadka własnego

powodzenia w žvci Kiedy człowiek jest naprawdę nieszczęśliwy, ostatnią rzeczą jakiej mu



zależy, jest współczucie. Potrafię jakoś żyć z moim nieszczęściem, byle tylko bliźni zechcieli łaskawie zostawić mnie w spokoju!

- Sama jesteś sprawczynią swojego nieszczęścia! Poza tym jesteś cholernie niesprawiedliwa. Wcale nie byłaś traktowana jak służąca. Uniemożliwiasz wszelką hojność czy uprzejmość, a robisz to na rachunek Tamar, jakby i ona była tak zła, nienawistna podejrzliwa i pełna złości jak ty!

- Ty mną pogardzasz! Traktujesz mnie jak śmiecia, bo wydaje ci się, że masz do tego prawo. Nic przemawiałbyś w tak obraźliwy sposób do kogoś innego!

- Chyba faktycznie nie. I chyba faktycznie mam do tego prawo.

- Wpadłeś tu jak jakiś turysta, żeby zobaczyć, jak u nas biednie, jak ja fatalnie wyglądam, a teraz polecisz do żonki, żeby jej o tym z satysfakcją opowiedzieć!

W tej samej chwili w drzwiach kuchni stanęła Tamar. Prawdę mówiąc, nie wyglądała wcale jak duch czy inne półprzejryste widmo, ale jak przedmiot zgoła materialny, coś w rodzaju kija, na przykład trzonka od miotły lub słupka znaku drogowego. Miała na sobie długi brązowy płaszcz i wielki brązowy beret, naciągnięty głęboko na uszy, co nadawało jej wygląd jakiegoś dziwnego, bladoliczego zwierzęcia, trochę wzruszającego, a trochę odpychającego. Tylko wielkie zwierzęce oczy, które nienawistnym spojrzeniem obrzuciły kuchnię, świadczyły, jak to oczy zwierząt, o obecności ducha. Gideon, który od dość dawno dziewczyny nie widział, doznał szoku, jak na widok czyjejś okropnej umysłowej bądź cielesnej deformacji, straszliwej tamorfozy.

- Tamar, świetnie, że jesteś! - zawołał szybko. - w \* ^ mówiłem twojej matce, jakby było miło, gdybyście spę

z nami święta we Włoszech. Wynajmujemy tam dom i-

Qo tak wcześniej wracasz? - przerwała mu Violet. - Wy-

Wzięła™ wolne popołudnie. ' No i c0 powiesz na moją propozycję? - Gideon zerwał się krzesła, bo dziewczyna zwróciła się nagle do wyjścia. I - dziękuję, ale nie - burknęła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Mo i proszę! - zawołała triumfująco Violet.

Idąc w zimnej mgłę chmurnego londyńskiego dnia w stronę samochodu. Gideon rozmyślał o tajemnicy Violet i Tamar Hern-shaw. Jak ludzie mogą nie pragnąć szczęścia? To zgoła WDrew naturze. Według Gidcona istoty ludzkie sięgają instynktownie - a w każdym razie powinny - po owoc szczęścia, przeszukując ze sprytem gałęzie, a jeśli to konieczne, mocno potrząsając drzewem. Zastanawiał się nad tą zagadką, choć nie zamierzał zanadto jej drążyć. Oczywiście spróbuje jeszcze raz. Trochę przesadził, zapewniając Violet, że pomysł wspólnego wyjazdu do Włoch wyszedł również od Pat. Nigdy nie rozmawiał z żoną (przypuszczenie Violet było trafne) ni z nikim innym o czasach (czy w ogóle się zdarzyły?), gdy dostrzegał w dwudziestoletniej Violet atrakcyjną pannę. Nie chciał wyolbrzymiać tej dawnej słabostki, choć się jej i nie wypierał. Nie odczuwał z tego powodu niepokoju, a czasem wręcz rozbawienie. Kochał żonę, znalazł u jej boku szczęście (przeczuł to intuicyjnie, ledwo ja zobaczył). Tych dwoje było sobie bliższych, niż, to się wielu postronnym obserwatorom zdawało. Naturalnie Pat także pomogłaby chętnie tej parze nieszczęsnych kobiet, choć jej pobudki °yły zapewne nieco inne od tych, jakie nim kierowały. Nad tym zagadnieniem również nie zastanawiał się zbyt długo. Dla niego amar była aniołem doskonałości, a już na pewno „dobrą i dzielna, dziewczyną”, choć przeczuwał instynktownie, że ta opinia, te °. °i istotnie zgodna z prawdą, wynikała głównie z jej de-]nacji, by nie dać się zniszczyć matce. Violet nazwała ją -jv^niszczalną, twardą jak kamień. Ponieważ jednak determinacji ^ .ar wyraźnie brakowało radości, Gideon nie bardzo wierzył

JeJ niez.niszczalność i przewidywał, w przeciwieństwie do klu>- a' ?'Q dziewczyna nader łatwo może się załamać. Niewy-

Czone zresztą, że już się załamywała. Gideon istotnie miał '-ycznie atrakcyjną i pragnął, acz bez grzesznych, niego-

dziwych intencji, porwać ją i odmienić: ładnie ubrać, zabra Paryża, do Rzymu, do Aten, kupić jej samochód, znaleźć boja tego, rzutkiego, przystojnego, porządnego młodzieńca na męża. Pragnął też przeistoczyć Violet, wstrząsnąć nią. obudzić do życia jednak ta jego chęć była bardziej już skomplikowana, a zapewne też daremna, a nawet nieroztropna i niemądra. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy ona była „puszczalska”. a on (nosił wtedy pr/e zwisko tak głupie, że wolał o nim zapomnieć) durzył się w niej co prawda niezbyt mocno. Wzruszyło go to wspomnienie, po! dobnie jak myśl, że Violet była od tak dawna stałym elementem jego życia. Współczuł jej, choć nic przesadzał z tym uczuciem, które zresztą wciąż, ewoluowało - pod wpływem euforii, samo-lubstwa, a może umiłowania władzy, o jakie go posądzała. Postanowił odłożyć na później tę kwestię. Później do niej wróci, ale już inaczej. Zamiast tego pomyślał o ojcu. którego szczerze kochał, lecz. z którym nigdy nie zdołał się zbliżyć - tak naprawdę, głęboko, jak na przykład z Pat. Ojciec cieszył się naturalnie, że syn stał się człowiekiem mającym, cieszył się, oczywiście, że potomka otaczał obecnie zbytek. Pragnął jednak zawsze; by jego syn jedynak został lekarzem i wciąż wspominał z. nostalgią trudne lata na New King's Road. Wzajemna miłość (a taka ich łączyła) nie gwarantuje wzajemnego zrozumienia. Bogu dzięki Leonard miał tak dobre stosunki z dziadkiem jak w dzieciństwie on sam. Gideon, ze swoją babką, od dawna już nieżyjącą. Ona również, była osobą upartą, podobnie jak stary pan Fairfax. To rozumiało, oboje mieli okropne dzieciństwo. Gideon porzucił wspomnienia o przodkach oraz ich trudnym dzieciństwie i jął rozmyślać o pewnych grafikach Beckmanna, jakie miał nadzieję dość niedrogo nabyć. Zbliżając się do swojego0 pięknego samochodu, pomyślał zaś o sobie samym i na jego twarzu pojawił się uśmiech. Tamar wzięła wolne popołudnie, bo chciała się zobaczyć ' ^  
ly Boync. Samotna w swoim nieszczęściu, doszła do wnu  
że Lily jest jedyną osobą zdolną zorganizować jakąś pra  
pomoc, której tak rozpaczliwie potrzebowała, którą przyna)l  
musiała rozważyć. ;...

.1»; sM

Gdy po powrocie z apteki, zamknięta w swojej maiej  
ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że nosi dziecko Dun-. zdawało się jej, że oszaleje.  
Przyszło jej do głowy, że teraz j\*?^aprawde będzie musiała się zabić. Ta myśl ocaliła ją  
zresztą jUZ.ed prawdziwym obłędem. W nielicznych i bojaźliwych wcześniejszych amours  
nie opuszczał jej ani na chwilę strach przed ciążą.- On to głównie sprawiał, że unikała miłości  
fizycznej, wrecz czuła do niej odrazę. Wszak nieraz bywała świadkiem strasznych, bolesnych  
dylematów, przed jakimi stawały jej koleżanki ze studiów. Jakiś purytański instynkt, zapewne  
owoc złych stosunków z matką, sprawiał ponadto, że wystrzegą się wszystkiego, co choćby  
z daleka pachniało rozwiązłością, i kazał jej myśleć ze zgrozą, która za podłoże miała nie  
tylko przezorność, o widmie nieślubnego dziecka. Czuła się bezpieczniej, nie angażując się  
głębiej. Naprawdę zakochana nie była jeszcze nigdy. Przygody erotyczne napełniały ją  
poczuciem winy i wyrzutami sumienia. Nieoczekiwanego wybuchu namiętności do Duncana  
nie była w stanie przewidzieć, sądząc, że chroni ją przed nią dzieląca ich różnica wieku.  
Przywykła go traktować jak starszego przyjaciela, postać o cechach ojcowskich, bardziej  
jeszcze niedostępną od Gerarda i poniekąd go zastępującą. Stwierdziwszy, że zaczyna się w  
Duncanie zakochiwać, była zrazu zaskoczona, zaniepokojona, jakby spotkała ją jakaś przykra  
niespodzianka. lecz potem zadowolona, nawet podniecona. Nareszcie i ona poznała miłość, a  
w każdym razie uczucie łudzaco do niej podobne (a czyż dla niej nie to właśnie było najważ-  
Nejsze?), choć ulokowała je w osobie, z którą nie mogła wiązać żadnych nadziei. Zakochać  
się, oddać bez reszty we władzę drugiemu człowiekowi, stać się jego niewolnicą, uczynić go  
centrum swojego świata! Miłość do Duncana nie miała przed 3 perspektyw i Tamar właśnie  
dlatego (rozumiała to dopiero P°źniej) oddała się temu uczuciu jak cudownemu, oczyszczają-  
J^CeniU' choć bolesnemu przeznaczeniu - ona, zamurowana e2y> zaczarowana księżniczka.

Tak się właśnie czuła przed p<sup>ni</sup>łosnym zbliżeniem. Trwało to dość krótko, lecz było przerw<sup>o</sup>ne ś<sup>e</sup>pą namiętnością. On oczywiście nie miał się o tym y dowiedzieć. Będzie mu służyła, skrycie pomagała, 'to Ci P<sup>o</sup> czy go na powrót z żoną (nie wiedziała, jak, lecz ?apewne było zapisane w gwiazdach), a potem wycofa się.

unosząc w sercu swój bolesny sekret, który jednak z stanie się źródłem jej najczystszej radości.

Po akcie miłosnym stan ducha Tamar, wcześniej tak i i czysty, bliski wręcz błogości, zmienił się w mroczne poleh<sup>W</sup> ścierających się ze sobą sprzecznych uczuć. Gdy znalazła " w łóżku ze swym ukochanym, podobnym do wielkiego zwierz<sup>a</sup> cia, gdy go objęła i zaczęła pocieszać, ogarnęło ją szalone p0(j. niecenie (nie mogło być zresztą inaczej), które karmiło się i Sy ciło jej stale rosnącą miłością. Teraz przeklinała tę występna niegodziwą miłość, choć nie przestawała jednocześnie wierzyć' w skrytości ducha, że wszystko się jakimś cudem „dobrze skończy", tak dla nich obojga, jak dla niej. Czy nie było żadnego sposobu (przecież zawsze jest jakieś wyjście!) zachowania niewinności i uchronienia się przed egoizmem?

Najwyraźniej nie, gdyż przez swój uczynek - świadomy - wyrządziła nieodwracalną szkodę, wielką duchową krzywdę, której konsekwencje nie tylko ona poniesie. Straciła tamtego dawnego, niewinnego Dun-cana, którego przedtem nosiła czule w sercu, wyrzekła się go na wieki w zamian za przelotną radość miłosnego wyznania! Z drugiej jednak strony, jak mogła się oprzeć, jak mogła odmówić, kiedy ją błagał o miłość? Okazałaby się samolubna, tchórzliwa i zimna, zadałaby kłam własnemu uczuciu, poczułby się odrzucony, nigdy by jej tego nie wybaczył, a i ona sama nie darowałaby sobie nigdy swej małostkowości. Czasem myślała sobie, tym chętniej, że znajdowała w tej myśli pociechę, że wyrządzona „krzywdą" wraz ze strasznymi jej konsekwencjami tylko na nią spadnie, ominie Duncana i Jean. Czyż nie wyrządziła największej krzywdy własnemu poczuciu wartości i zVi nie ten właśnie skutek, zburzenie pochlebnego mniemania o sobie, najbardziej ją przeraził? Niezależnie od tego, jakie się niaft okazać te najgorsze, późniejsze konsekwencje, musiała się JuZ teraz zastanowić nad następstwami bardziej bezpośrednimi. rÓVf\_

.....,\_\_\_r..i\_.....: •,lp WC<sup>a</sup>

nie jednak katastrofalnymi i odrażającymi. Musi się w i li

w obecny stan ducha Duncana i odpowiednio do swych us<sup><</sup> ^ postępować. Domyślała się, że żałuje tej chwili zapomnienia<sup>a</sup> że chętnie by ją zbagatelizował, zapobiegł ewentualny111 s<sup>a</sup> nym nadziejom, jakie Tamar mogła w związku z nią P<sup>o</sup> Ostatecznie miał własne kłopoty, więc łatwo mu przyjtł7-,c<sup>a</sup> ^ pomnieć ojej dziecinnych wyznaniach. Zaufa jej zdrowemu dkowi- Później cała sprawa wyda się im zapewne błaha, nie-S3 tm Nie pociągnie za sobą żadnych złowrogich następstw, czucia Duncana pozostaną przyjazne, pełne czułości, a może awet wdzięczności, jednak na pewien czas z pewnością się od njej odsunie. A kiedy Jean wróci do domu, opowie jej o wszystkim i uśmieją się oboje serdecznie z tej niefortunnej przygody. Tylko czy aby na pewno jej opowie? Samo zastanawianie się nad tą kwestią przejmowało Tamar odrazą, starała się ze wszystkich sił odegnąć od siebie te myśli. Miała szczerzy zamiar dopilnować sama, by drogi jej i Duncana się rozeszły, choć będzie to dla niej bolesne. Takie postanowienie powzięła już po ich zbliżeniu, a przed strasznym odkryciem, jakiego później dokonała. Uwierzyła mu bez zastrzeżeń, gdy ją zapewnił, że jest bezpłodny, toteż kwestia zabezpieczeń w ogóle się nie pojawiła. Nie dowierzając pierwszym świadectwom natury, zrobiła sobie test ciążowy, zresztą głównie w charakterze ćwiczenia w prze-sądności.

Konsekwencje jej położenia ukazały się Tamar z całą brutalnością. Dziecko było katastrofą, było przekleństwem, ale wszak było dzieckiem, realną istotą, mającą przed sobą, jeśli przeżyje, bogatą i długą przyszłość. Było dzieckiem Duncana i jej, Tamar Hershaw. Nieraz słyszała, że „oni", Cambusowie, pragnęli mieć dzieci. Słyszała również, opinie, że Jean z.

pewnością wróci do męża. Widziała wypisaną na twarzy Duncana potworną męczarnię. Mogła sobie wyobrazić jego radość, gdyby zona do niego wróciła. Duncan pragnął potomka. No cóż, będzie 8° teraz miał...

Niesamowity fakt pojawienia się tego dziecka absorbował Tamar w takim stopniu, że nie była w stanie myśleć o niczym innym, jakby ta nie narodzona jeszcze istota już uzyskała prerogatywy władcy, jakiegoś udzielnego księcia (panna Hershaw miała wątpliwości, że to będzie chłopiec), zgłaszającego owo?CZEN'a ^° terytorium i domagającego się praw mu należnych, się ° Ca^°wite zaabsorbowanie uwagi, cudowne uczucie, że nosi on' ^ Sercern nowa. istotę, które jest dla matek źródłem niezło ne\*° szcze^cta' dla Tamar było koszmarem. Czyż mogła n'errr ° ^V'atu' ze Poczcia dziecko Duncana? Toż taka rewelacja Wet a' na Pewno wykluczyłaby możliwość powrotu Jean, a na-§dyby wróciła, położyłaby się z pewnością wiecznym cie-

niem na małżeńskim szczęściu Cambusów. Z dru<>' " ny. jakże by mogła zniszczyć to dziecko, cudow^" ^Stro" dziecko Duncana i Tamar, jej dziecko? Czvż ! me poczCle istnienia nie odbierał znaczenia wszystkiemu innemu l) r Jeg0 skazana na wyrzeczenie się swojego dziecka, zniechęcenie ^ ' z powodu Duncana. z powodu Jean, tylko dlatego że jej tej szczególnej odwagi, jakiej nowa sytuacja wym^aK Czy wchodziło w rachubę ukrycie tego dziecka, udanie ? leży do kogoś innego, oddanie go do adopcji? Wiedziała że "2 je urodzi, nigdy go nie odda. Gdybyż mogła zrzucić odpójfe! działalność na Duncana, pobiec doń i oświadczyć: „Oto tw"" syn". Czy byłby uszczęśliwiony? Przerażony? Kiedyś mógł istotnie pragnąć dziecka, lecz nie teraz, nie tego dziecka. Zrobiłam dokładnie to samo, co moja matka, pomyślała: zrujnowałam sobie życie. Noszę dziecko nieosiągalnego mężczyzny. Boże, gdybym tak mogła zniknąć, żeby wszelki śluch po mnie zaginął, zabrać ze sobą to maleństwo, stać się zupełnie kimś innym! Nie wolno mi tak igrać z przyszłością, nie wolno mi nawet tak myśleć. Potrzebuję więcej czasu, tymczasem czas ucieka!

Czy to musi się koniecznie wydać, a jeśli tak, czemu zaraz nie wyznać prawdy? Wszak zwierzyła się już jednemu człowiekowi, temu księdzu, ojcu McAlisterowi, który doradził jej, by urodziła dziecko i miała ufność w Bogu. Była pewna, że ojciec McAlister nikomu jej tajemnicy nie zdradzi. Już jednak samo to, że mu powiedziała, oznaczało, że powiedzieć mogła, \vicc niewykluczone, że jeszcze komuś powie. Naturalnie nie mu szczegółów, a w pewnym zasadniczym punkcie wręcz ^ hciała

zwiodła, tak że jego rada niewiele jej pomogła. Przyzn J nie wie, co robić, ale nie wyjawiała istoty problemu. do- rozmawiać o ojcu, powiedziała tylko, że to student. myślił się, że Tamar coś ważnego przed nim ukrywa, p^ ^ ^ jej o tym. lecz dodał zarazem, że niezależnie od teg ^ ^ flją rzeczy mają, rada, jaką jej daje, jest najlepsza. C^\*^ sje ?0 jeszcze raz spotkać, wyraził nawet gotowość wy nie

Londynu, ale Tamar, przerażona uczynionym wy^ zgodziła się na ponowne spotkanie i szybko uCi^a}a je za k°' ciężaru z serca wcale nie przyniosło jej ^^Utf \* lejną nieostrożność, której miała żałować i drzeć stępstwami.

miła nowe głupstwo: zwierzyła się Lily Boyne. A ieraz P0^^ zdawała sobie sprawę, dlaczego to zrobiła: .żteg°P0^^! czasie, a raczej oszukać czas. Czuła, że !^iała zyskaC jrnniej rozpatrzeć konkretne kroki w kilku wcho-^winnaprzynarozwi.(Zaniach. Chciała się zorientować, gdzie dacych w ^nkach mogłaby ewentualnie przeprowadzić cał-iDaJaklCh !watną aborcję i ile to mogłoby kosztować. Zabieg ko\vicie ^ 0CZywiście legalny, mogła go przeprowadzić «snBi€Cl^ncj placówce służby zdrowia, istniało bez. liku przy-li^dzie mogłaby zasięgnąć porady, lecz. takie jawne dzia-^"doprowadzoby prawie na pewno do demaskacji. Histo-S, jaką opowiedziała Lily, w ogólnych zarysach prawdziwa, ^kilku

istotnych punktach mijają się jednak z prawdą (Tamar >zbko uczyła się kłamać). Wymyśliła mianowicie jakiegoś kolegę z Oksfordu, który zjawił się nieoczekiwanie, a ona spędziła z "nim niebacznie noc. Nie omyliła się, przypuszczając, że Lily wie wszystko „o tych sprawach”. Wyznała Tamar, że sama poddała się kiedyś aborcji, więc może sobie wyobrazić, co ona teraz przeżywa. Oczywiście znała odpowiednie miejsce, zaproponowała nawet, że pokryje koszty zabiegu, ale dziewczyna tę ofertę odrzuciła. Lily przysięgła, że nikomu nie powie ani słowa. Na odchodnym Tamar obiecała, że wszystko sobie jeszcze przemyśli, choć rozumiała, że wypytyując Lily o skrobankę, już w grun-016 ntc?-y P°djęła decyzję. Czy tego właśnie potrzebowała, po-nnTna ^ ^°\*Cl Z0Stały rzucone? Czyżby już podświadomie Lily awidziła tego dziecka? Dzisiaj znów wybierała się do

t%b!a 1°Zmowc- Jakb>' te narady stały się jej niezbędnie po-ne do życia.

radłem J^leZala na kanapie, którą zasłała na dzień przeście-^^cznie °/'^rne 1 c/-erwone pasy i dobranymi do niego koło-83 sobie zie| USZkami ze sklepu z towarami orientalnymi. Miała Wwas biuzl-podomkc z cienkie-i wełny'

narzuconą na białą olejki" i7ymrc natłuściła szeroko ostatnio reklamo-Po ^"•kaniu k wł°sów i zrobiła sobie lekki makijaż.

o y 0 ciepło. Zaciągnięte zasłony pozwalały za-\*"Choć minę}6 ZA oknami- W pokoju paliły się wszystkie lam-^^iu m-d0piero n'zccia po południu. Tamar zabawiła zaledwie chwilę. Wpadła tam tylko po do-

datkowy pulower. Uciekła, bo nie chciała żeb trzy my wał. Czas, dzielący ją od umówionej wypełniła, włącząc się po ulicach, co ostatnio cz ^ Sp°!ka»k-

wieczorami, jak się trafnie domyśliła Violet K ó\*iU<, w jakiejś kafejce, lecz nie była w stanie przelkT'3 Ona i dziecko snuli się bez celu. Ona i dziecko w^V"" ^ do mieszkania Lily.

Tamar przysunęła sobie krzesło blisko Uly> usiadła ła na kolanach i wbiła wzrok w podłogę. Czuła się tak^ taka pełna winy. taka nikczemna, upokorzona decyzją najwyraźniej już podjęła, tak przeraźliwie jasno świadoma ^ nącej w niej istoty, że aż bała się. że nie zdoła wykrzm^ z siebie słowa. Odezwała się jednak. Matowym, drewnianym głosem żywego trupa stawiała pytania i na pytania odpowiadała.

Lily obserwowała ją uważnie, domyślała się, jak jest nieszczęśliwa, i ogarnęło ją szczere współczucie. Zarazem nie mogła się jednak oprzeć uczuciu lekkiej satysfakcji. Oto triumfowała, czuła swoją władzę. Mając pod boki paczkę mądrali Gerarda. Tamar wybrała właśnie mnie. niegodną Lily Boyne! Oczywiście, w podobnych sytuacjach kobieta zawsze szuka pomocy udnigiej kobiety. Lily zrobiło się ciepło wokół serca, gdy pomyślała o tym przejawie kobiecej solidarności. Trudno się też oprzeć uczuciu cichej satysfakcji, gdy jest się świadkiem takiego upadku ideału. Fakt, że ta wspaniała, doskonała Tamar znalazła się w takie. opałach, pozwolił pani Boyne spojrzeć nieco pobłaźliwiej, z 10 zoficznym dystansem na własne pokiełbaszone życie, nowało jej ponadto, że to właśnie jej powierzono ta^fanJ!L Uczuła się szczęśliwa, że uznano ją za osobę &^n\*\*0^ po-mądrą powiernicę. Tamar mogła przecież pójść do ^^ myślała, ale Rose najpierw wpałaby w popłoch, a Pj^^ wiedziałyby, jak pomóc, dokąd biedną dzieWC/yneCb ur0dzi^ i w końcu doradziłyby jej najprawdopodobniej, ze^ ^^ bękart! Tamar nie mogłaby też raczej liczyć na^^ dochowa tajemnicy przed Gerardem, a szC/eS ie0lec.pr oczach pragnęłyby nadal uchodzić za kryształową P daczka! na prywat \*

Lily zarekomendowała pannie Hernshaw pew ^ś ! ? nikę w Birmingham. (Angela Parke trafiła że w'

dobnym zmartwieniem). Tamar bała się naj

sic

żabie

• oWi w Londynie, doszłoby to natychmiast do

& usZU' i boli. nie bój się. Chwilka i będzie po wszystkim. v^f0nic^|^ \_e p0I11yślałaś o tym w porę. W ogóle nic nie Mądrze zroj11 praWda zatrzymają cię tam na parę dni, żebyś poczuJesz" ^ m będziesz wolna jak ptaszek. Widzę, jak to odpoczęła'3 bardzo bierzesz to sobie do serca. To jest naj-^eŻyVrnoment, zapewniam cię. Kiedy już będzie po wszystkim. "; r-z się jak nowo narodzona, odczujesz szaloną ulgę, bę-^Tkakała z radości! Spójrz na to jak na chorobę, z której

^eSZ •-, u/wleczwć narośl, którą musisz usunąć. Aborcja to nie «emusisz wjiv !] znów wielkie nieszczęście, po prostu jedna z metod konali urodzin. Nie podchodź do tego tak tragicznie. To spotyka każdą z nas... no, prawie każdą.

- Czy będę musiała podać prawdziwe nazwisko?

- No cóż, niektóre dziewczęta podają fałszywe personalia, ale to zawsze ryzyko, lekarze tego nie lubią. Lepiej podaj prawdziwe... Masz jakieś inne imiona poza tą zabawną Tamar?

- Tak, Marjorie.

-Marjorie! Zupełnie do ciebie nie pasuje! Wiesz, prawdę mówiąc, bardzo lubię twoje pierwsze imię. Dobrze, przedstaw się jako Marjorie Hernshaw. brzmi całkiem zwyczajnie. Zastanawiam się, czy nie lepiej, żebyś się podała za mężatkę. Mogła-y powiedzieć, że chcesz zachować zabieg w tajemnicy przed j\*«zem, to by ich zwiodło... Nie, jednak lepiej nie! A zresztą, rwi??11? P°tr/-eby zacierać śladów. Niczym się nie martw! Pamięć J-a n'e pisnc ani słówka- Cała sprawa pójdzie w nie-\*a' wolTa^^6 S'C-'al< Ł'ym' PoczuJesz s'c znowu czysta, zdro-

wolno -UWazasz-- ~ Tamar nie była w stanie mówić dalej. Zijlnymi ciP myŚle<" ° dzieciach wyrzuconych na śmietnik wraz. ^ięte z lruršicznymi odpadkami, umierających jak ryby wy-

fleni otartoł^' małe ryt>ki na hiałeJ Płytcce- Gniewnym tot^ ^em0 y WoIno JeJ sie rozbeczeć. Przed jej oczami •ości. Wo\_zielone kwadraty wzoru na dywanie. Poczuła " ^ie> nie

P°zwoUc-Zam! ~ oświadczy\*a stanowczo Lily. Nic miała ^ypomnieniC' IC-' mer)°gi rozczuliły ją lub zmusiły

a sobie własnych przeżyć związanych z aborcją

inaczej niż jako szczęśliwego rozwiązania kłopotu Zobacysz, wspomnisz moje słowa, kiedy już b h\*^ s kim! Chcesz, żebym tam za ciebie zadzwoniła? ^ ^

- Nie!

- Widzisz, może się zdarzyć, że nie będą cię z dnia na dzień, a tu się liczy czas.

- Nie chcę. Słuchaj, Lily, wspomniałaś zeszivm mogłabyś... ym razem. n

- Oczywiście! Oczywiście, że...

- Nie chcę darowizny, ale gdyby okazało się to koniec chętnie bym od ciebie trochę pożyczyła...

Tamar była wstrząśnięta wysokością wymaganej sumv i n miała pojęcia, jak zdoła ją wycisnąć ze skromnych oszczędności

Prawie całą pensję oddawała matce.

- Ależ oczywiście! Rozumiem, że on nie zgłasza sprzeciwu: A zresztą choćby i zgłaszał, to wyłącznie twoja sprawa.

- Nie zgłasza.

- A czemu sam nie zapłaci?

- Jest bez grosza.

- Zawsze tak mówią!

- Zresztą już wyjechał.

- Dranic! Na głowic staną, żeby cię zdobyć, potem nie uważają, a kiedy zaczynają się kłopoty, szukaj tatka latka. Założę się, że nawet mu nie powiedziałaś. Powinnaś zacząć brać pig\* moja droga. Więc kiedy tam dzwonimy? Bo już się zdecydow

łaaś, prawda?

- Nie... właściwie jeszcze nie...

- Kochanie, bądźże realistką, nie bądź sentymenty uruchom szare komórki! Żaden facet nie weźmie Pann^udz)-m ślubnym dzieckiem. Oni uważają poślubienie kobiety ^ bachorem za plamę na męskim honorze. Z d/ieC^I^c^e o • nie masz co myśleć o małżeństwie, trudno ci nawet ^ chanka. Facetom niedobrze się robi na myśli o fjaW słodka kruszyna może nagle stanąć w drzwiach syp' ^ [VU-:.. co z twoją karierą, co z posadą, wreszcie co na to P^ ^ maik a'? Poprosisz ją, żeby opiekowała się wnUC^ed7jeć \* \* będziesz w pracy? A może chcesz rzucić posadę, pCkiy^ mu i żyć z zasiłku? Tylko sobie wyobraź ta^any spOS# "" Biedny mały będzie nieszczęśliwy, to gwaranto

. -e was obojga! Znienawidzi szkołę, znienawi-1 ci stanie się wieczną ofiarą losu, podobnie zresztą dzi inneTd/1wci^aż reguła w tym naszym, pożał się Boże, spo-jak ty- To prZyZwalającym! A jeśli jakimś cudem wyjdiesz lecenstw1'^ \_ urodzisz mężowi dzieci, to dziecko zostanie kiedyś za^ 'Spróbuj 10 sobie tylko wyobrazić! I nie myśl, że odrzutIaenldecyZjj na później cokolwiek rozwiąże, że urodzisz ^mTT dopiero potem zaczniesz się zastanawiać, co i jak, co

a im Nie sadź też, że łatwo ci będzie oddać je do adop-robic daiej. .... , . .

• Kiedy ta słodka, mała kruszyna zjawia się już na świecie, CJ1 vstko się staje o niebo trudniejsze. Nie mówiąc o tym, że sama ciąża potrafi być koszmarem. Chcesz chodzić z wielkim brzuchem i zalewając się łzami podpisywać dokumenty adopcyjne? Wtedy podwójnie przegrasz, bo cały świat się dowie. Teraz pies z kulawą nogą nie musi o niczym wiedzieć. Na litość boską, Tamar, zbierz się póki czas na odwagę! Czy jasno się wyraziłam?

- Tak.

- No więc jak. cielątko, mam zadzwonić?

- Nie.

Zadzwęczał dzwonek u drzwi. Lily westchnęła ciężko, zsunęła się z kanapy i podeszła do domofonu.

- Kto tam?... To Gulliver! - szepnęła do Tamar, zakrywszy mikrofon dłonią. - Powiedzieć mu, żeby sobie poszedł?

- Ależ nie! Ja zaraz zmykam.

- Dobrze, wchodź - zawołała Lily do domofonu, po czym jutro°Cłła d° gościa- ~ SłucnaJ> skarbie, musisz koniecznie Wpad^0 ,mn^e zaJr/-eé. żeby mi powiedzieć, co postanowiłaś.

-Tak.

- Zajdź o jedenastej. ~ Robrze. Dziękuję'.

złego sobuf^' Przywilasz się 7 Gullem. On cię lubi, niczego Potrafię! plle P°myśli. a gdyby nawet, zabajtluję go, już ja to u "Inie x- Ocles7ła do drzwi, żeby wpuścić Gullivera. - Jest Dyi dmar' GuU, lecz właśnie wychodzi.

już palto i głęboko na uszy wciągnęła

- Witaj q

J' Guli. Niestety, muszę już pędzić. Dzięki, Lily.

- Do jutra, skarbie.

Panna Hernshaw wybiegła z mieszkania.

- Co jej się stało? - zaniekał się nowo n płakała. Co jej zrobiłaś? y yV

- Staralam się pomóc.

- W czym?

- Ma kłopoty ze swoim chłopakiem. Udzielałam jej biety doświadczonej.

- Ależ wy baby ze sobą trzymacie! - roześmiał się z U7 niem Gulliver. - Cieszysz się, że wpadłem?

- Oczywiście. Myślałam o tobie. Pachniesz mrożoną mo\\* a ja uwielbiam ten zapach.

- Na dworze jest ciemno jak w środku nocy.

- Bo też już prawie noc! Kocham Londyn zimą, kiedy człowiek na dobrą sprawę nie widzi dziennego światła... A gdzie bokobrody, które obiecałeś zapuścić?

- Nie wyhoduję ich przecież w dwa dni!

Guli rzucił płaszcz na podłogę. Miał na sobie jasnoszary garnitur, ciemnozielony, rozpinany sweter, białą koszulę i poma-rańczowozółty krawat. Potarł policzki, na których obiecane faworyty uwidaczniały się dopiero pod postacią krótkiej szczecinki. Lily schyliła się i podniosła z podłogi jego płaszcz. Korzystając z okazji, obejrzał ją sobie od stóp do głów. Stopy miała drobne, o krótkich palcach, włosy zadziwiająco gładkie. Przypominała mu „stara szantrape”, choć obecnie coraz częściej wydawała się młodsza. Jej cienki głosik i perlisty śmiech, które t go dawniej drażniły, teraz, brzmiały w jego uszach zalotnie i pociągająco. Zsuwające się skarpetki i ocieplacze na nogi też ^ glądały kusząco. Kochana Lily z pewnością nie należała o ^ ałów, lecz istniała, była pod ręką. Zdał sobie ponadto sp^ że świetnie się z nią rozumiał, jak rzadko z kim w przes^ Na dodatek niezmiernie urosła w jego oczach od ta^Ac^nf i wiarskiego popisu, do którego często wracał pamięcią ^cZy\ na jawie, jak we śnie. Ostatniej nocy śniło mu się, ^ ^ z Lily w jakimś pałacu w Japonii. Prawda, tań<:Zyn^uSiał być i w rzeczywistości, latem na balu w Oksfordzie, a wtedy w sztok pijany, bo prawie nic nie pamiętał- r/UCajac

- Wybierzmy się kiedyś na tańce - zaproponowa a, płaszcz Gul la na krzesło.

w moich myślach! Gdybym tylko znalazł jakąś

po^de- .. s7 odkładać wszystkiego do czasu znalezienia

^^P^buje mężczyzny już teraz, forciez mnie masz... " Zc zechciej mnie nie opuszczać,

dobrze? ' Tle sama widzisz: mnie nic me wychodzi. ' co? Chodźmy gdzieś do jakiegoś hotelu. Uwielbiam

~,WWZhotelu może nam lepiej pójdzie. Atmosfera będzie hotele, w

Mrdziej dramatyczna.

jeśli alkohol nie pomógł, jestem pewien, że i hotel me może. Słuchaj, coś ty zrobiła z włosami? \_ A zresztą co tam seks... rozrywka czysto mechaniczna. Liczy się tylko miłość.

Gulliver podszedł do Lily, objął ją i oderwał od ziemi. Nigdy wcześniej tego nie robił. Był rad, że mu się udało. Okazała się lekka jak piórko. Trzymał ją chwilę w powietrzu, po czym delikatnie postawił na podłodze, nie wypuszczając z objęć. Zaskoczona tym niespodziewanym gestem, zarumieniła się jak piwonia, a w jej miodowych oczach zamigotały iskierki wesołości.

- A gdybyśmy się tak pobrali, gdy już dostanę pracę?

-Nie bądź niemądry!... Och. Guli. czuję się czasami taka nieszczęśliwa. Na świecie jest tyle cierpienia! - zawołała po chwili milczenia i rozplakała się.

dziec^3'3 na(\* Ca\*Łi n'edo'a św'ata- nad Tamar, nad uśmierconymi m°want 3 l^e- naLl wiasna- niezdolnością do dawania i przyj- pomoże.

k°"ca stoj ^k^' (~iu""ver ' R°sc siedzieli półkolem u jednego ^8° koń W Jadalni domu Hernshawa. Crimond zasiadł u dru-Przestał d°h Docnod7iła jedenasta przed południem. Deszcz ^odni wiaaj! ale niebo nadal zaciągały bure chmury. Wiał W przedmi0ca l' ^ Jaciam' panował chłód (upodobania Gerarda Wedie fC centra'nego ogrzewania cechowała, w każdym ic^iiu Hern rd"W Fairfaxów' pewna spartańskość). Ku za-C pierWszejr^haWa Crimond zadzwonił do niego wkrótce po r°Zmowie i oświadczył, że istotnie byłoby chyba nie od rzeczy, gdyby spotkał się z komitetem G ,1 wyłożył pokrótce swe poglądy, doszedł bowiem do ^ członkowie komitetu powzięli najpewniej mylne , Wnio?Hie temat powstającej książki. Gerard byt mile zaskocz60\*^\* przejawem rozsądku i z niecierpliwością oczekiwał bar""^ ^ czerpującego. ale i pojednawczego sprawozdania. Crime-216"" dość czasu,



by sobie wszystko spokojnie przemyśleć byli nie mniej zaskoczeni. Rose wykazywała leciutki reszta żywe zaciekawienie.

- Będę zapewne wyrazicielem opinii ogółu - zagaił Gerard jeśli podziękuję panu Crimondowi za przybycie na zebranie kJ mitetu celem bliższego zapoznania nas ze swoim dziełem Po tym krótkim zagajeniu uprzejmym gestem zachęty oddał głos gościowi.

Zapadła kłopotliwa cisza. Crimond wpatrywał się w Gerarda, Rose i Gulliver wlepili spojrzenia w blat stołu, Jenkin popatrywał z niepokojem na Crimonda, a Gerard przyglądał się temu

z wyczekującą miną, która jednak powoli mu rzedła.

- No cóż... - bąknął w końcu.

W tym samym jednak momencie przemówił wreszcie i sam zagadnięty:

- Nie mam państwu nic szczególnego do powiedzenia: dziłem, że komitet ma do mnie jakieś pytania, lecz skoro nie...

- Przepraszam - wtrącił Hemshaw - naturalnie, jeśli wolisz odpowiadać na pytania, możemy to i tak poprowadzić. Czy chciałby zacząć? ^

Powiódł wzrokiem po zebranych. Rose i Gulliver na ^^ trywali się w stół, Jenkin zagryzł wargę i obrócił nę Crimonda. Milczenie się przeciągało. Crimond.0Jte°0dsur^ zamknął notes, który wcześniej przed sobą rozłoży , się do tyłu z krzesłem. } się w

- Może zechciałbyś nam przedstawić - odezwa ^^ Jenkin - swoje poglądy na temat reformy dowych? . Rszey władz?

- Chodzi ci o metodę nadania związkom ^&/^ den\*\*1\*'

- Raczej o to, jak sprawić, by stały się tyczne i... ^ • nd i sp0-^

- Demokratyczne? - powtórzył Crrrno

. wzrokiem, jakby ów wymówił jakieś dziwnie

'^l'obee S.o«o. brznw . DiaWo do strajku należy do praw fundamen-

\_ oczyw

talnycn;-- .nterესują mnie przyziemne szczegóły technik negocja-t u\ odrzekł Crimond. -

Związki zawodowe pozostają ście jedną z głównych sił w walce rewolucyjnej... °°7y A cóż to takiego owa ..walka rewolucyjna"? - zapytała Curtland. która zanim zabrała głos, oblała się rumieńcem, ^""walka o rewolucję - wyjaśnił niecierpliwie Crimond.

- Jaką rewolucję? - drażyła Rose.

\_ Rewolucja - odparł Crimond - należy do pojęć marksistowskich...

- To sami wiemy! - przerwał mu Gulliver.

- Jest ideą, która przewiduje całkowitą zmianę zastanej struktury społecznej, polegającą w początkowym okresie na przejściu władzy przez inną klasę społeczną...

- Podobno kwestionujesz reguły demokracji - wtrąciła Rose. - Czy mógłbyś nam wyjaśnić, dlaczego?

Panna Curtland wybrała się niedawno do fryzjera. Jej nastroszona blond czupryna, otoczona w tej chwili aureolą światła, została przeredzona i przycięta. Odsłonięte czoło nadało jej twarzy surowszy, bardziej wojowniczy wyraz. Mówiąc, łypnęła ciemnoniebieskim spojrzeniem w stronę Crimonda, po czym Jbiła je na powrót w blat stołu, na którym odkryła lekkie za-

Pama, ślady paznokci Crimonda z czasów jego poprzedniej WlZVty u Gerarda.

obecT° Wyświeciana' zużyta idea - odrzekł zapytany - na

-ty™ Ctapie całkowicie nieprzydatna i bałamutna... pytaj ę1^pan mc wierzy w demokrację parlamentarną? - za-

Cri ^\*

PannJr^ z^norovval jego pytanie i nie odrywając oczu od

To l,cItland- ciągnął: Wydolny n- Wy nazywacie demokracją, to ustrój skostniały, nie-Waity pr^leSprawieduwu i ewidentnie przestarzały, podtrzymy-Się ^ oorii /'Or»an'zowany system przemocy, którego zdajecie

y wydolne państwo monopartii, rządzone prze

i/, rc-

żym narzucony przez wyizolowaną grupkę rewoluc" nagabywała go dalej Rose.

- Samo sformułowanie twojego pytania zdradza założenia - odparł Crimond. pozwalając sobie

eŚ^one z uprzejmości, na leciutki tylko uśmiezek pobłażania3^\*^ obecny reżym jest właśnie narzucony. Stare, liberalne zgody społecznej zużyło się już do cna. Nas nie trzeb^6

przekonywać, że kolosalnej niesprawiedliwości i tchór ^ chaosu, jaki otacza nas zewsząd w obecnym społeczeństwie^ m o ż n a n a p r a w i ć. Państwo demokratyczne nie jest w stanie

skutecznie rządzić, ludzie coraz częściej wychodzą na ulice Czy nie dostrzegacie przyszłości na ulicach naszych miast? Kon" cepcja demokratycznych rządów parlamentarnych stała się

przeszkodą dla myśli, przeszkodą, którą należy przewyciężyć. Sam proces zmiany powoła do życia nowe struktury społeczne, które z czasem, mocą powszechnej zgody, wprowadzą

lepszą i bardziej efektywną formę rządów. Kwestia, czy zechcecie je nazywać rządami monopartii, czy nic, straci na znaczeniu, kiedy owa transformacja faktycznie się dokona.

Tymczasem jednak... będziemy lepiej przygotowani do wyzwań przyszłości, jeśli uzmysłowimy sobie, jaka potworna, przekłeta, jest terażniejszość, ilu ludzi cierpi, ilu zżera

nienawiść, jak okrutna, straszna szykuje się zemsta...

- Więc pan pochwała terroryzm? - zapytał Gulliver.

- Nie lubię tego nacechowanego emocjonalnie słowa. - Crimond zmarszczył czoło. - Cały nasz sposób bycia opiera się na przemocy i do niej zachęca. Poszczególne przypadki trzeba oce^ niać wedle ich zalet. Ci, którzy wyrażają swoją dezaprobatę systemu, zazwyczaj mało o cokolwiek dbają.

- Szczerze mówiąc, nie podoba mi się, że panu nie p się słowo „terroryzm” - natarł nań Gulliver. - Pan najzwymyguje się od odpowiedzi, a do tego obraża nas, suge

że jesteśmy obojętni na niedolę świata! tyczny10'

- Och, uważam, że państwo jesteście szalenie symp^^^ ludźmi - odpowiedział Crimond. nie patrząc jednak na ^ ale na Gerarda. - Tyle, że wam się zdaje, iż pl<? że jeSteśc& będzie

trwała do końca waszych dni, a ja uważam,

w błędzie. . c p0jedn^v'

Gerard wkroczył w tę wymianę zdań, przybierają

ksyjny lon\* ktÓiy miał na Ce'U ostuczenie rosna-ceJ

ggjoperatury spo formacja» została już wypróbowana! Oka-Aieztwoj"" .. \_\_-<\_\_ .....

S - że prowadzi do tyranii, do systemów społecznych bez d°IDyC? tolerancyjne

społeczeństwo, którym rządzą reguły de-

zało siC. - suroWSZyCh. bardziej niesprawiedliwych i mniej wy-porównam jesle<<my

niedoskonali, ale tworzymy wolne. jninvh. z>guuu- , ,....., . .

warte pcia»v;j" ' "

•! i kodeksy prawa. Nie musimy niszczyć samych siebie. m0ladrowadzać zmiany, zmieniamy się nieustannie - i to z re-by W^ia lepsze, jeśli porównasz z tym, co było pięćdziesiąt lat iu!

Czy mamy to wszystko wyrzucić na śmietnik w imię jakiejś chimerycznej, hipotetycznej

utopii, zaprowadzonej przez garstkę aktywistów po krwawej rewolucji? Powiedziałeś mi

wcześniej, że nie masz codziennych kontaktów z ruchem robotniczym, a przed chwilą, że nie

interesują cię żadne „przyziemne szczegóły”. Uważam, że jesteś teoretykiem zamkniętym w

wieży z kości słoniowej. Owszem, masz ciekawe poglądy, ale niewiele wspólnego z

rzeczywistymi problemami władzy, z praktyką prawdziwych zmian społecznych...

- Nie wierzę w ten brak codziennych kontaktów! - parsknął Gulliver. - Nie wierzę w postać samotnego teoretyka! Pan Crimond chce zniszczyć nasze społeczeństwo. To zresztą jedyne, co ta hałastra potrafi, ale jest to aż nadto rzeczywiste.

- Cała wasza idea zachodniej cywilizacji jest czystą teorią - Crimond zwracał się nadal tylko do Gerarda. - Wasz system wspiera nędzę i niesprawiedliwość, pod waszymi cywilizowany-«-stosunkami olw'ra się istne piekło nieszczęść i przemocy, ty S,ę na Przykład dzieje z dysydentami, gdy tu przyjeżdżają?

jedna3JaW rozpacz' &asną, stwierdzają, że ten cały Zachód to nazywWlellca ohyda. Oni to widzą. Istnieje coś takiego, co ^yślo^^ n'storia.> a nic mam na myśli po prostu pojęcia wy-  
potężn en° przez Hegla, Marksa, a może Herodota. lecz głęboki, nie nje ^leu°łagany proces społecznych zmian. Wy tego właś- "iec koń-'20'6 dostrześć. Uważacie, że rzeczywistość jest ko-Jecie Się j, W donra' zakładacie, że i wy jesteście dobrzy i czu-tyjecie"1 OrtOWo" Cenicie siebie za to, że jesteście Anglika-^!^ów (ws-W SW\*ec'e książek, rozmów, wzajemnej adoracji, "towary c Zyscy jesteście alkoholikami) i sentymentalnie poj-y- Brakuje wam energii, jesteście klasą próżniaczą.

mający We

Prawdziwymi bohaterami naszych czasów są ludzie odwagi, by odrzucić starą, marzycielską, zapatrzoną "w pępek, zadowoloną z siebie moralność i dawną zabór WłaSny nostkę, która była panem wszelkiego stworzenia! Mus^ ^ uczyć się żyć pośród maszyn, zastanowić się, jak współż ^ szynami, z komputerami, z informatyką, fizyką... Dawn^"13 wolona z siebie, liberalna jednostka jest już skończona ' zdolność kreowania wartości, stała się muzealnym z.ab tkie oszustwem i kpiną...

- Och, przestań! - Rose wręcz dygotała z gniewu. - j | zaprzedał duszę...

- A tak, zaprzedałem i szczyć się tym! Jaki pożytek z duszy tego połączanego bożka egoizmu? Zaprzedałem i zamierzam dobrze wykorzystać moc, jaką dostałem w zamian. Oto esencja nowego świata, jego nowej istoty. Wy wszyscy idealizujecie własne dusze, to znaczy samych siebie. Zadajcie sobie pytanie, z kim się utożsamiacie, a dowiecie się, kim jesteście, do jakiej należycie klasy. Mieszkańcy tej planety nie do was są podobni, a właśnie im trzeba służyć, oni muszą zostać ocaleni. Owce podnoszą wygłodniałe oczy, lecz, nikt ich nie karmi...

- Pan karmi je trucizną! - wybuchnął Gulliver.

- Ci twoi „mieszkańcy” to czysta abstrakcja - zawołała Rose - mglista idea, którą sycisz swoje pragnienie władzy. Wyznawana przez ciebie odmiana marksizmu jest przestarzała, przegrana. To już pieśń przebrzmiała! Wcale nie jesteś nowym gatunkiem człowieka, lecz tylko typowym, aroganckim maniakiem władzy, któremu się ubrdało, że jest supermanem! wisz, że jednostka nie istnieje... a co powiesz o głodującym w Afryce?... \_ -arf

- Wasza moralność grzęźnie w sentymentalizmie ^

Crimond. - Nie twierdzę, że jest całkiem bcZuZytCC/'^teście polega głównie na uspokajaniu własnego sumienia. ^ niezwykle wrażliwi na kwestie ekologii i praw zwie ' ^.iC\c jecie, gdy wybucha gdzieś klęska głodu, i skwapl.l^^ap0mnK'c czek. Brzydzicie się przemocą, by za chwilę o niej pjacZCgo Zamykacie oczy na istotne przyczyny zła na świecie ^^ggo nie możemy nakarmić mieszkańców naszej Pla°L'tu'raltIj tych-niemal wszyscy ludzie są ledwo nędznymi 'nl0żU»'0'

jakimi stać by się mogli? Ogromny potencjał lu z

wyższa, piękniejsza i naprawdę twórcza światy ^!°g^"ia^ p0/osłaje w stanie uśpienia!

Istnieją

dom0

też

nia

0 problemy, które wymagają doraźnego rozwiąza-

oczywisCI^ nawet nie macie pojęcia, więc tym bardziej , Ltórycn \* •

ia- 0 K    sic nad nimi zastanawiać!

nie m°zec.    wjele! - wybuchnęła panna Curtland. - Mówisz

TpoO JUZ ' . . .

«lbTpo to, żeby nas obrazić! 'państwo również nie jesteście wobec mnie zbyt uprzejmi, .

tvm mowa. Przypominam, że sami mnie zaprosili-Nie wiecie, co mi odpowiedzieć, me  
jesteście w stanie podjąć inteligentnej dyskusji nad moimi ideami, więc wpadacie w gniew!

\_ Powiedział pan, że cenimy sobie fakt bycia Anglikami -wtrącił Gull. - Pan zaś ma  
najwyraźniej kompleks niższości z powodu bycia Szkotem, i to nawet nie góralem z północy!  
Pańskie poglądy przejmują mnie nienawiścią!

- I vice versa - odciął się Crimond. - Pan w ogóle zdaje się pałać nienawiścią do całego  
świata, odkąd utracił pan swój chłopięcy wdzięk.

- Ależ CrimondzieL. - oburzył się Gerard.

- Nienawidzę chamstwa - wykrzyknęła Rose - a ty je nam demonstrujesz!

-Wy mi po prostu zazdrościcie - stwierdził Crimond. -sko r°ŚC'e' 130 tmiem myśleć,  
umiem pracować, potrafię się obur^nlrowac<' potrafię pisać, a wy potraficie się tylko  
nadymać

bó^npod klÓry °d Jakiegoś czasu wpatrywał się w karteczkę, wist,..:~\*.Sanał mu Guli

(widniały na niej słowa: „Podły niena-

~ Pośł hARLATAN!r'K odezwał się:

- Co •    Davidzie- to nie ma sensu...

2gad?-amnDin0WiCie? Wymiana obelś? Całkowicie się z tobą

- Nie^ m-d?8° mam zam>ar was opuścić.

^ "im kr Id CITI na myśli całość twojego stanowiska. Gdzieś

" °Ch' JukiC" Wielkk k,amStWO.

!^lu °ParciaWnC ^° t,lateg0, zc w waszym świecie brakuje sady! 3 ^nci!c cokolwiek  
zmienić, trzeba troszeczkę

1 Pan najwyra-' •

Zniej postanowił nie kończyć swojej książki.

Zdał pan sobie sprawę, że wcale nie jest taka fant

sieją wypuścić na świat! - zawyrokował Culliv^^

- Jedynym spośród waszego grona, który jest cokol jest Jenkin - oświadczył Crimond i wstał -  
choc' -W-półgłówkiem. A przy okazji dowiedźcie się, że skoiczV ^ ^ nie pisać moją książkę,  
więc nic musicie mi już dłuże\* ^ jeśli to stanowiło główny przedmiot waszej troski    ^

Po wyjściu Crimonda Rose zaczęła płakać, Gerard

Przyniósł

trochę sherry, którą dotąd raczył się Gulliver, a Jenkin ! w oknie i zatopił spojrzenie w  
żółtawej mgle.

- No i wygarnęliśmy sobie prawdę prosto w oczy ! - ode/.w;| się Guli. zawstydzony, że stracił  
nad sobą panowanie, i żły, fe pozwolił Crimondowi z siebie szydzić. Sherry łagodziło jego  
wstyd i potęgowało złość.

Gerard przechadzał sic nerwowo, po czym usiadł obok wypłakującej się w chusteczkę Rose.  
Była na niego zła. czemu dała wyraz, gdy wreszcie się opanowała.

- Dlacz.egoś na to pozwolił? Czemu pozwoliłeś, żeby na siebie krzyczeli?

- Ty też. krzyczałaś - przypomniał jej Gulliver.

- Crimond nie krzyczał - zauważył Hernshaw. - Zostawił nam tę przyjemność! To oczywiście  
bez znaczenia, ale trzeba przyznać, że wygrał to starcie.

- Wcale lak nie uważam - zaoponował Gulliver. - Za W tylko, że nie zrzuciłem faceta ze  
schodów. No, no... wię^? czyną jest podobno skończona. Ciekawym, czy to praw

- Oczywiście, skoro tak powiedział. Muszę zadzwoni

nowiną do Duncana. tylkoP°

- Więc po co tu przyszedł? - zapytała Rose. - Chy .', to, by nas poobrazić. Co za bezczelność!  
I ani słowa

ności! hv spróh0\*31"

- Uważam, że on naprawdę przyszedł tu po to, ^ ^ wytłumaczyć się przed nami. Nie  
powinniśmy być.

tacy napastliwi. Masz rację. Rose, to moja w,naj.d ycjL&&>

był poprowadzić tę rozmowę, powinniśmy obmy o co pytać, naradzić się... . , n

- A niby czemu, u diaska?... - oburzył się

ie przec'ez Juz z n'm rozmawJałeś, mogłeś się do-jejardzi^ ^Q^Q WySkoczyć. Po co nas tu  
zebrałeś? Żeby

f z czy

, Ge:

aj naubliżyć!'

nam ttl°G m dz^ powiedział, to karykatura tego, co wtedy od

- I'0' ° . n, caia ta sprawa wydaje mi się w pewien sposób niego usłyszają

-Widzę tu nic śmiesznego!

J On się przed nami zgrywał, chciał nas zaszokować, napędzić nam pietra.

Mnie go nie napędził, okropnie mnie tylko rozgniewał -oświadczyła panna Curtland i

wydmuchała nos. - Trzeba jednak stwierdzić, że nasza strona się nie popisała. Uważam, że on  
mówił najzupełniej serio. Zastanawiam się, czy naprawdę nie jest obłąkany? Siedzi w nim coś  
przeróżającego.

- Jest niewątpliwie fanatykiem - przyznał Gerard. - Jego przodkowie byli kalwinami. Crimond  
wierzy w czary.

- Więc kalwini wierzą w czary? - zainteresował się Guli.

- Owszem. W zbawienie błyskawiczne.

- Musi mieć silne skłonności samobójcze - podjęła Rose. -Uważam zresztą, że mordercze też.  
Jest zimny, bezduszny, nie uważa ludzi za byty rzeczywiste.

- Powiedział mi wtedy, że ludzie są marionetkami, w każdym razie niedługo się staną.

- No proszę!

jaciela ^ ^ P°wiesz' Jenkin? " Gerard spojrzął na plecy przy-

R'derhood odwrócił się od okna, podszedł i usiadł obok Rose. ale Ge^kscytuJ sie tak' skarbie.  
Oczywiście, że mówił serio,

~N°dob CJ?: °n grał' chciai nam naPCtliżić strachu! suszyła się rZC' Wi?C C° ty ° lym  
wszystkim sądzisz? - Nabur-

\*" AleT-i"110 mogę się JUZ ^czekać tej książki.

- -0 t0l u° Ukic same brednie... Żałuje

^ko ż 4 e'10 Mz.ie dzieło naprawdę głębokie... - Więc ' ' nie zdołaliśmy pewnych spraw  
wyjaśnić. 2eChciał Włą^^1680 nie zrobił? - natarł nań Gerard. - Gdybyś \*\* Wieay^ ^ d°  
rozmowy nieco wcześniej...

Zlałem, jak mam to wyrazić... a wy byliście tacy

[fi

rozgadani... chciałem... ustalić dokładniej, w kto go wywodów tkwi bład... pun^cieie.

'nu

- Wcześniej powiedziałeś „kłamstwo” Gerard. ' pr/ypomnia}

- W istocie... no cóż... kłamstwo... to słowo zakład lę... A jednak on może mieć rację, gdy  
mówi..

- Co takiego?

- Że trzeba troszeczkę przesadzać.

Wyszli pojedynczo. Pierwszy Jenkin, choć Gerard usiłował go zatrzymać, potem Gulliver,  
który wybierał się na lunch z li Boy ne i miał zamiar (choć się oczywiście tym nie chwaUfl

wszystko jej ze szczegółami opowiedzieć, ostatnia Rose, która miała nadzieję zjeść lunch z Gerardem, lecz on się od tego wykręcił. Odczekawszy chwilę po odejściu gości, Hershaw również wyszedł z domu. Patricia i Gideon wyjechali do Paryża na wystawę Signorellego, więc nie musiał od nich uciekać, chciał się po prostu przewietrzyć, przejść, przysiąć gdzieś w pubie, przekąsić to i owo i wszystko sobie przemyśleć. Szedł przed siebie przez, opary lodowatej mgły i wciągał mroźne powietrze ustami. Nie był z siebie zadowolony, bo nie zapanował nad przebiegiem spotkania, ale zarazem czuł jakieś dziwne, radosne podniecenie. A więc książka była skończona. Oczekiwał jej z niecierpliwością, ale i z obawą. Czego się lękał, czy tego, że okaże się marna, czy przeciwnie - świetna? Pocóż. Jakby jej ukończenie zamykało pewną epokę, zaP°M zelżenie napięcia, które ich jakoś trzymało przy życiu. L. nonsens! A znów dziś. jakież przybór retoryki i demagogU;7ua. gdy się nad tym bliżej zastanowić, dziecinnej wprost b. ności! Niezwykły typ, swoją drogą. Czy to takie dziwne, ^^ Kowitz została jego niewolnicą? Przyszło mu na mysł^tóry ni-mond to odmieniec, złośliwy, niszczycielski ^usze^QZe c0stft czym kometa Halleya. nawiedza ziemię co des lat, m ^ może co tysiąc, nic żaden potężny duch. mewątpj ^ ^ .dvn, podrzędny, jeden z licznej rzeszy planetników, razie demon, który rzuca się bezlitośnie na me ^ da, eji. upatrzył sobie na partnerkę, a na odchodnym (l'an a zabija ją. bądź samym tylko cofnięciem swej mo^ ^ ^ fi na nią śmierć, po czym znika w obłoku dymu 0 wystrzału. Demon zdolny zapewne do kontaktów w0iwerow^ ymi potężniejszymi mocami. z innym l' j\*^ . śpiewało w drzwiach kołody. Mgła wtapiała ^^Hknace. gęstniejące światło, które miało trwać aż do >if\*' 1 | zmierzchu. Gerard poczuł w sobie przyływ energii, ^"możliwe, by się w duchu cieszył z tego, że Crimond go

Czy10  
obraził?

Violet kilka razy dokładnie przeszukała mie,,, dzwoniła do Gerarda, by go zawiadomić, że jej córka całki\*\* z.bzikowała. a teraz gdzieś zniknęła. Wydarzenia potoczyły\* następująco: Violet zauważyła oczywiście (powiedziała o tym Gideonowi), że Tamar od jakiegoś czasu w ogóle przestała jeść miota nią jakiś niepokój, prawdopodobnie popada w depresję Uczucia pani Hershaw wobec tych objawów, choć w żadnym razie nie tak obojętne, jak to przedstawiła Fairfaxowi, były niewątpliwie złożone. Jakaś część jej natury cieszyła nieszczęście córki, tę mianowicie, którą dotknęłoby boleśnie jej szczęście. Widok Tamar nieszczęśliwej zgadzał się w pewien sposób z jej poczuciem sprawiedliwości - szczęśliwej uragałby mu. Violet poruszyła też uwaga Gideona, że ją samą należałoby winić za depresję córki, a nawet za jej samobójczy nastrój. Nie lubiła takich oskarżeń. Widziała się w roli ofiary, nie morderczyni. Fakt. iż nie wierzyła, by cierpienia córki były zbyt poważne, należało zapewne przypisać jeszcze innej stronie jej natury, tej. która troszczyła się o Tamar jak o swoją własność, swój krew z krwi. kość z kości. Kto by utrzymywał (jak glde0^by Violet wbrew pozorom naprawdę kochała Tamar, stwier • częściową tylko prawdę. Pani Hershaw była istotnieJ^y n!e zana do córki, co pomagało jej uwierzyć, że dzieW ^j&fr gnębi żaden poważny problem, że cierpi po prostu n we załamanie nastroju, a może coś gra, coś udaje. .osw\* Widoczne gołym okiem przygnębienie Tamar osufe^ ^ ^ sty punkt krytyczny, gdy oznajmiła matce, że mu ^ ^? Jej wyjechać. Dokąd? Nie potrafiła dokładnie okres ^ ^ pracodawca życzy sobie, by przeprowadzała baj»^ ^ mające odpowiedzieć na pytanie, jak często

ludzie  
be\*

zaglądają do księgarń. Jadą w kilka osób. rdtr7^Ja płaCić Z\* w hotelach, nie wie. gdzie. Nie. nie będzie^rnus^ ^ ^ p z własnej kieszeni. Tamar wyjechała i nie y

• uwierzyła w bajeczkę o badaniach czytelnictwa  
. Violet rue^ kłamstwo odkryła nazajutrz po wyjeździe

ród P<sup>o</sup>.<sup>o</sup>nonimowemu telefonowi do wydawnictwa, gdzie ^dzięki a że panna Hershaw jest obłożnie chora. Violet jowi2021 anSj0sku. że dziewczyna wyjechała z jakimś gachem. \*)SZła d<sup>o</sup> -zczenie szalenie ją zaniepokoiło, wręcz zatrwożyło, To P<sup>U</sup>^jaja je od siebie. Pocięszała się tylko nadzieją, bliską l0tCZ ewności. że pannica niedługo wróci, równie przygnę-^S tóerna i potulna jak zawsze. Dopiero po powrocie Tamar Jr<sup>o</sup>n przekonała się niezbitcie, że jej córka naprawdę oszalała, władnęło zaś nią nie szaleństwo ciche, milczące, lecz jakiś furiacki szal.

Zjawiała się po południu, nie odezwała do matki ani słowem, nie odpowiadała na jej pytania, nawet na nią nie spojrziała. Poszła prosto do swojego pokoju, zdjęła palto, ściągnęła buty, położyła się na łóżku i zaczęła szlochać, jęczeć i coś bełkotać, przewracając się z boku na bok i wydawać zduszone, histeryczne okrzyki. Kiedy Violet przyniosła jej kawę i kanapkę, odepchnęła ją z taką siłą, że wszystko spadło na podłogę. Szarpała prześcieradło i wpychała je sobie do ust. Leżała tak i jęczała od świtu aż do zmierzchu, a poskamliwała jeszcze, kiedy Violet (której udało się w końcu zdrzemnąć na krótko ze zmęczenia) obudziła się nazajutrz rano. Sama siła i gwałtowność tej rozpaczki wskazywały na obłęd. Człowiek niechybnie musi być szalony, gdy bez 'J przerwy wydaje tak okropne dźwięki. Istnieje coś takiego nalef \ ' 7 takim właśnie przypadkiem, zdaniem Violet,

lekarz<sup>o</sup> ^ IU liczyć- wys7-ła z domu, by zatelefonować po

Telef 3 kiCdy Wróciła- Tamar Juz nie Dylw-•Museum, "1^ d<sup>o</sup>mU Gerarda milczał. O" sam poszedł do British się na w' on<sup>o</sup>yl w swojej nowej galerii, a Patricia wybrała rad,a-ViolrZCtlaZ d<sup>o</sup> ^arrodsa P<sup>o</sup> bawełniane egipskie przeście-\*dornu. ^Zadzwoiła następnie do Rose. Panna Curtland była ^•a. Mje \*adorność o zniknięciu Tamar zaskoczyła ją i prze-SICp<sup>o</sup>dziew dmar U nieJ nie by'°- Nie ma P<sup>o</sup>Jecia- g^zie mogłaby ^iWobC' Zanim Pani Hershaw wyszła z budki telefoniczna- ^Cata Jej- że będzie kontynuowała telefoniczne po-na^^ac s- !°et pow'nna wracać do domu, czekać tam i nie 9 ^tępnie^"1'1' 7 Pewnością niedługo wróci. Rose zadzwo-0 Jenkinsa, który również ogromnie się zatroskał.

Nie miał pojęcia, gdzie Tamar mogłaby się Znajd sądzi, by należało od razu zawiadomić policję Rq^ Nie'Uie że do niego zadzwoni, jak tylko czegoś się dow^ Pr?yR\*% zatelefonowała do Duncana, który sprawiał poruszonego, lecz pomóc nic umiał. Poprosił Rose tT SZCZERZe miła go niezwłocznie, jak tylko dziewczyna się znajdzL^^ pogład, że Violet najpewniej histeryzuje, jak zwykle Pa'Wyraził land wykręciła jeszcze raz numer Gerarda (na próżno)^ numer Gullivera Ashe'a. którego również nie zastała'(w^ szukać pracy). Następnie zadzwoniła do Lily Boyne. ^

Lily odebrała telefon, poprosiła Rose, by chwilę poczekał po czym wymamrotała, że owszem, Tamar jest u niej, ma 5 całkiem dobrze, ale błagam, zrób wszystko, aby nikt nas teraz nie odwiedzał. Wyszepawszy tę prośbę, Lily szybko odłożyła słuchawkę. Rose zadzwoniła do Jenkinsa, a potem do Duncana. Jenkin powiedział, że zaraz, łapie taksówkę i jedzie do Violet, by ją uspokoić, że Tamar nic się nie stało. Rose oświadczyła, że jedzie prosto do Lily.

Zajechawszy na miejsce, zadzwoniła z dołu i podała swoje nazwisko. Po jakimś czasie Lily podeszła do drzwi wejściowych, uchyliła je lekko i spytała niechętnym tonem:

- Słucham?

W odpowiedzi na nerwowe pytania Rose odrzekła, że Tamar ma się zupełnie dobrze, wcale nie jest chora, po prostu odpoczywa, więc czy mogłyby prosić, by zostawiono je w spokoje Przepraszam. Drzwi zamknęły się i panna Curtland rada meta musiała wracać do siebie, w najwyższym stopniu zdumiona ^j niepokoiona. Z domu zadzwoniła do Gerarda, ale ten nie wrócił.

. hr7e możnii b)

Oczywiście. Tamar wcale nie miała się o o di - >> ^

nawet powiedzieć, że była bliska obłądu. Zabie<sup>^</sup>jadane przeZ prowadzony, niepożądany  
embrion usunięto. Zapo p7je\v'

Lily uczucie ulgi i wyzwolenia jednak się nie pojawił. Czyna szła do kliniki niczym lunatyczka,  
automa oczach, wyszła zaś stamtąd aż do bólu rozbud<sup>7L</sup>"^egafe ze skóry do czystej,  
udręczonej świadomości. °okrUtnie > ^

dopiero teraz, gdy było już najwyczałniej ta odwołałnie za późno, że

popęłnia potworną z

bec samej siebie, wobec tej bezbronnej, w pełni puncafl3' W<sup>o</sup>wanej, najpełniej obecnej  
ludzkiej istoty, którą tak już uksZta j 7CZyła Skazała samą siebie na dozgonne, okrut-

sumienia, na życie w wiecznym kłamstwie. Została ne wyrzuty , mvśienie o tym utraconym  
dziecku, do końca

•ma na Cl<4c- ' . .

skazaua orot) pamięć 0 nim, tym wyjątkowym, bez-

• u (juk r ^

5 zamordowanym dziecku będzie odtąd stałym elemen-cennyn<sup>^</sup>brazu ^jata. Będzie musiała  
do późnej starości chować <sup>^</sup>traszną tajemnicę, tyle że ona nie zdąży się zestarzeć, bo t? S

śniej umrze z rozpacz. Dlaczego to zrobiła, dlaczego tak trwała do tego strasznego czynu?

Tak jej było pilno, żeby już było po wszystkim, tak spieszo do chwili, gdy będzie mogła

odetchnąć z ulgą, jakby ulga była w ogóle możliwa! Nie przewidziała straszliwych następstw  
swego kroku i oto jej dziecko było martwe, równie martwe, nieczułe i porzucone jak utopiony

kot, zwiastun śmierci, którego zobaczyła w rzece w Bojarówce. Kiedy w klinice zaczęła

plakać, bo wtedy jeszcze nie była, dano jej proszki nasenne. Zasnęła i śniła o dziecku, które

będzie odtąd nawiedzało wszystkie jej sny niczym złowrogi, mściwy oskarżyciel, każdą

chwilę spoczynku zmieniający w koszmar. Sen, spokojny sen wydawał się teraz nieszczęsnej

czystym niepodobieństwem, miał być odtąd strasznym, krótkim interludium upiornych zmór.

Budząc się w nocy, słyszała płacz dziecka. Musi cierpieć świadomie, skręcając się z bólu i

prężąc jak nieszczęśnik wbity na pal. Książd pomyślał, że była w żałobie... •stotaie, była w

żałobie po kimś, kogo dopiero miała zamiar

nać cld<sup>o</sup>k matkl przcJmował Ja. wstrętem. Jej matka chciała usu-P<sup>^</sup>yszl-<sup>^</sup> "'CŁlyn'c brak

pieniędzy, nie chęci, sprawił, że Tamar

2Jej bot\*<sup>3</sup> Świat- Gdy<sup>o</sup>y lylko nie miała p<sup>o</sup>d reka- Lily< Lily

m' kusie<sup>^</sup>|tWem' zn'l-i<sup>o</sup>m<sup>o</sup>ścią świata i fałszywymi pocieszenia-kroJoj ' muda'ly więcej czasu

na przemyślenie sobie tego Z przysz.łoś<sup>^</sup> /e<sup>^</sup>ZIud tymczasem z tak okrutną łatwością dZ'ła

GerardaWifr-ZeSZI<sup>o</sup>^' Tamar znienawidziła Li,y'

znienawidzę do f a' .^l(^ry P<sup>o</sup>słał ją bezmyślnie do Duncana niczym <sup>^</sup>ocali<sup>^</sup>111' Wykorzystał

ją. poświęcił dla własnych celów! <sup>^</sup>ertelne Własne sumienie, pokazać swą władzę, naraził ją

na

,C<sup>^</sup>ąęodrazebe/"Plei"7CIIsłwo' nienawidziła Rose i Jenkinsa aJa.cą bandę kontentych z siebie

„życzliwych" kon-

spiratorów, którzy niczego nie dostrzegali, nicze i z uśmiechem satysfakcji bezboleśnie

płynęli f ?C r<sup>o</sup>zUlnieli dychając perfumowanym powietrzem samozadow<sup>^</sup>-Zy<sup>o</sup>ie<sup>o</sup>\* widziła

Duncana. który bezmyślnie i beztrasko dU<sup>^</sup> Zniena' wątpliwej pociechy, dla taniej seksualnej

uciechy,<sup>^</sup>\*-0<sup>^</sup> tclnym wirusem, który miał odtąd zmienić jej życie w<sup>^</sup> umieranie.

Młodość była już nic tylko posepna i przeU?6021\* skończona. Pomarszczy jej się teraz twarz,

stawy zeszyw<sup>^</sup> i zaczął boleć, zacznie utykać, przygarbi się i szybko postT<sup>^</sup> tak straszna

była choroba, jaką ją zaraził. A jednak - i {?t' dalszy ciąg katuszy - nie potrafiła Duncana

znienawidzić na/l go kochała i przypominała sobie z przeraźliwą jasnością,tamto piękne

uczucie czystego, dobroczynnego bólu, którego tak niedawno doświadczyła, gdy z ląką

lekkością i słodyczą Duncana pokochała, gdy poczuła tę czystą, niesamolubną miłość, która

miała już na zawsze pozostać jej tajemnicą. Gdybyż tylko mogła wrócić do tamtego bólu. do



tamtego cierpienia, do tamtej tajemnicy! W porównaniu z obecnym tamto cierpienie było samą radością, tajemnica - niebiańska rozkoszą! Teraz chowała w sercu tajemnicę, która ją stoczy jak czerw, do cna wypali jej duszę, nad którą będzie do śmierci płakała krwawymi łzami. Na szczęście umrze szybko, bo żadna żywa istota długo nie znieśie podobnej męki. Zagłodzi się na śmierć albo wyhoduje w opróżnionym łonie nowotwór, aby ją zabił. Zdawała sobie sprawę, że wybierając doradcę, tym samym wybrała drogę. Chciała usłyszeć to, co Lily jej powiedziała, i chciała, by zostało to powiedziane dokładnie takim tonem, jakiego użyła niecna doradczyni: lekkim, beztroskim, św,a<sup>o</sup> wym, bagatelizującym zamierzony czyn jako krok oC<sup>^</sup> i normalny, po prostu jedną z form antykoncepcji, która „każdej się przydarza”. Zrozpaczona, oglupiona a ^ obietnicą nic zdobyła się na odwagę potrzebną na to, czekać, pomyśleć, nie była w stanie znieść dłużejJospjeszyła okrutnego dylematu, potwornego niezdecydowania, P0<sup>^</sup> yL się i zabiła dziecko Duncana. jego jedyne dziecko, ^ t0 rego całe życie pragnął, do którego tęsknił. Sądzi a' j<sup>^</sup>ego dla Duncana. dla Jean. dla dobra ich nieudanego, ro/p się małżeństwa, wreszcie dlatego, by nie doznać uj ^ 0 -takich ludzi jak Gerard i Rose. których obecnie rm obija to całkiem niepotrzebnie. Nieskończenie waż-^06S<sup>^</sup>m zrozmiała poniewczasie, nieskończenie cenniejsze njejsz.e. c0 . eg0 cUCiownego dziecka - błogosławionego daru było 'stnienie7j3oga dla Duncana. dla niej, a może nawet dla zeSlaneg<sup>o</sup> ^ ^ |icZyja? ja również Tamar znieawidziła, jean- &e> ^ ^q<sup>^</sup>& 0kicłznać tę burzę! Wyraźnie widziała siebie Aiak k razem" w jednej łodzi, spokojnych wśród spienionych ^Inęliby we dwoje, wolni, ku szczęśliwemu, pięknemu fal • W końcu wszyscy zaczęliby im pomagać, okazaliby serce. ^C'U • to dziecko było martwe albo jeszcze gorzej: zmienione złośliwego, morderczego demona, zionącego żądzą zemsty, błakającego się pod postacią strasznego, ohydneho widma, które<sup>o</sup>o jedynym celem jest ukaranie matki morderczyni, zapowiadającego śmierć każdemu dziecku, któremu udałoby się wyjść i jej przekłętego łona i przeżyć. Odczucie żywej realności tej nienawiści, tej klątwy nie narodzonego, miało stanowić najbardziej przerażającą część okropnego losu, jaki przed sobą widziała. Zabiła dobre dziecko, żywe dziecko, a powołała do życia jadowitą, złą istotę, z jej zepsucia zrodzoną i mściwą, morderczego zazdrośnika, który się karmi zgnilizną jej krwi. Przeświadczenie, że to złe, mściwe dziecko będzie zabijało jej poczęte w przyszłości dzieci, nie pozwoli im przeżyć, bądź - wykazując S'C tym większym okrucieństwem - nazaczy je jakąś straszną chorobą, kalectwem fizycznym lub psychicznym, sąsiadowało w duszy Tamar z przekonaniem, że ona sama niedługo już po-\*yje> że znalazła się poza obszarem rozumu i miłości, jakby ją uch OWano w ciemnej, samotnej celi i wydano na pastwę nie-|^go i powolnego konania. nacnwa[ klóra leżała na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach, udawane' U<sup>o</sup>1Cn'a" ^"y -działa przy stole w pozie - zapewne zaczęja ,Wcie'onej cierpliwości. Po jakimś czasie dziewczyna a Potem rn<sup>o</sup>W C'cnut<sup>^</sup> pojękiwać i wzdychać rozdzierająco, Zaczęja "Zochała się spazmatycznie, przekręciła na brzuch. Jej "tonem ^ P<sup>o</sup>dus/ki ' wpychać je sobie do ust. Lily była ^ świadkPrZeraZ<sup>o</sup>n'1' d<sup>o</sup> sęłbi wslr?a.śnięta. Nigdy dotąd nie ^<sup>o</sup>wać. zafo"1 POclohne-i rozpaczy i nie wiedziała, jak się za-Ufan'a, że la<sup>o</sup>kWała' 7Q stała się obiektem tego przekłętego za-eztrosko i bezmyślnie pozwoliła się wciągnąć w ten dramat, który zmieniał się obecnie w nrau,a •

r-r | i • . flc,waziwv K

Zrozmiała teraz, że me powinna była nakłaniać do podjęcia decyzji, której następstwa (powinna to'^02^ widzieć) mogły być najrozmaitsze. Powiedziała to y 3 prze" sądziła - Tamar chciała od niej usłyszeć, i zrobiła to<sup>o</sup> \*" ^ jak sądziła - Tamar od niej oczekiwała. A teraz wv |CZeg0"~ to, że stała się współwinna jakiegoś strasznego, być może0"2 wybacznego grzechu. Oczywiście, nikt się nie może wiedzieć, powtarzała to dziewczynie w kółko, do znu<sup>^</sup> ^ Nie piśnie ani słoweczka. nie wymknie jej się najmniejsza na<sup>^</sup>, aluzja, święcie dochowa tajemnicy, będzie milczała jak grób i tak dalej, i

temu podobne. Trudno jednak było ukryć stan samej Tamar, jej wręcz obłąkanie, straszną, może nawet śmiertelną chorobę. Nic nie wskazywało na poprawę tego stanu, lecz gdy Lily zasugerowała, że pośle po lekarza, dziewczyna stanowczo zaprotestowała. Tym bardziej nie wchodziło w grę zwrócenie się o pomoc do n i c h. Lily nie miała nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc czy radę. Nawet Gulla, który dowiedział się od Jenkinsa, że Tamar jest u Lily i zaraz zadzwonił, musiała zbyć kłamliwą bajeczką. Tylko Rose Curtland nie umiała skłamać, choć żałowała teraz, że tak obcesowo ją potraktowała. Trzeba też było zawiadomić Violet, że jej córka miewa się „dobrze” i teraz wszyscy taktownie trzymali się z daleka! Boże drogi! Jednak będę musiała wezwać doktora, myślała w panice Lily, muszę poszukać jakiejś pomocy, nie mogę brać na swoje barki takiej odpowiedzialności. Jakaż byłam głupia! wczysz^k się, kiedy ta mała do mnie przyszła, pochlebiało mi, jej pomoc, byłam dumna, że mnie, nie im, okazała za ^^ Chryste, po co się pakowałam w tę dziką awanturę? I wszystko skończy? oskar-

Wyrazy sumienia Lily powiększały dodatkowo ^^ zenią, jakie Tamar rzucała jej w przerwach mię z i szlochem. niedzałaś? p0"

- Po coś mnie tam posłała? Dlaczego mnie pop?^^ wtarzałaś w kółko, że muszę się spieszyć. Mówi as^^by0 nostka, zapewniałaś, że potem poczuję slc/sWie. bym «a l° tylko trochę poczekała, choćby kilka dni, inacwd ^ {y ^ spojrzała, dotarłoby do mnie, co zamierzam zr

Jean  
ko

twierdziłaś, że nie mam innego wyboru. I oto zruj-ponag'a'aS', je życie. wszystko zaprzepaściłam! Przez ciebie!... uowałam so mo°e zasnąć, nie mogę zasnąć!- skarżył się Crimond. ' ^znajdowała się już u kresu wytrzymałości. Zaczęła gorz-'eaI1.' Płakała nad swoim życiem i nad szczęściem, którego, . JI^nie czuła, już nigdy nie osiągnie.

Crimond nie zwracał uwagi na jej płacz. Można by sądzić, k jowi sam do siebie.

Wcześniej czytał kochance jakieś greckie wiersze, mc bacząc na to, że nie rozumiała z nich ani słowa. I dawniej czytywał jej orecku, lecz jedynie krótkie urywki, które też od ręki tłumaczył Teraz była to inna lektura, ciągnęła się bez końca i przypominała raczej jakąś dziwną liturgię czy egzorcyzmy. Przynosiła w każdym razie jakąś ulgę.

Jean nie przypuszczała, że książka zostanie tak szybko ukończona. Sądziła, że przyjdzie jej z nią żyć bardzo długo, może nawet przez wiele jeszcze lat. Przywykła do niej, nauczyła się o niej myśleć z utęsknieniem i miłością, traktować jako część tajemnicy ukochanego. Kiedy więc oświadczył jej niespodziewanie: „Skończyłem”, nie posiadała się ze zdumienia.

Przypomniała sobie teraz jego złowrogie zapowiedzi, których nie wzięła początkowo całkiem serio, i przestraszyła się. Czy Crimond po-tKtfi żyć bez tej książki? Czym się zajmie? Jaki się okaże? Czy ujdzie w nim jakaś radykalna zmiana? Z pewnością przyjdą peU^7 d° ^0Wy nowe refleksje, rozważała, pomyśli o uzu-dziejeniaC^ Zacznie s'c w\*ęc z:apewne długi okres szlifowania śmiech Stan euto^", w Jaki P0Padł' uspokoił ją na jakiś czas. Ze Paczk em opow'ed7ia\* przyjaciółce, w jakie osłupienie wprowadził Wcze^ •^erarc'a swym nagłym oświadczeniem. Co prawda, ich czcjj116"" ni7 i3- (a'c niewiele wcześniej) poinformował o skoń-^umor P[acy]'ecz me miała mu tego za złe. Ponieważ jego dobre czucie 'ymywa\* się przez kilka dni, pojawiło się u Jean nowe ^ep ?"WakacyJnego odprężenia". Pozwoliła nawet, by cały ' Slei7-Ctnie ,Za'nycn- radosnych myśli, które dotąd starannie ^Pełnij j • Um'\*a' wyszedł z ukrycia i radosnym rejwachem k Crimona §}°Wc- domyślała, a nawet głośno tę myśl wyraziła - Wyjed.nie Za°Ponował):

az,emy teraz, dobrze? Zrobimy sobie urlop. Pojedzie-

my do Rzymu albo do Wenecji, zwiedzimy razem 'v zakątki, dobrze, mój kochany.'

Wyjedziemy i Lh - pi&8e liwi! Co ty na to? "W/icmy SZc.ą.

Nie sprzeciwił się. w ogóle nic nie odrzekł Uś 'sobie później, że jej !:|< prostu nie słuchał, tak był ^ladomiła w głąb samego siebie, skupiony najpierw na tamtej niez^0^ szalonej, wręcz niesamowitej wesołości, a teraz na jak^-.^' paczliwym niepokoju.

Książka zniknęła z. ich życia. Luźny pulower Crimond- 1 pióro, kałamarz, okulary, szal, którym podczas pisaniach kolana, spoczywały na swoich zwykłych miejscach, na' biurku i krześle. Lampa była jednak zgaszona, zniknęły też stopy ko"lorowych zeszytów. Odwieziono je do agencji przepisywania na maszynie, z której usług Crimond korzystał, gdzie miano wykonać fotokopie, a potem całość przepisać. Crimond nie okazał ani śladu zdenerwowania, kiedy pudła wnoszono po schodach i pakowano do furgonetki. Od tamtej pory nie siadał już przy biurku, lecz. przy stole w pokoju frontowym na górze, gdzie czytał lub zajmował się korespondencją. Opróżnił też szafki w „pokoju zabaw”, zniszczył całe sterty rękopisów, ponadto wyjął ze schowka i oczyścił należące do niego trzy sztuki broni palnej: dwa rewolwery i pistolet. Powiedział Jean, że pozostałą część kolekcji sprzedał, a obecnie miał zamiar sprzedać i tę resztę. Przynajmniej to. jeśli naprawdę miał ów zamiar, oznaczało pomyślną zapowiedź, i Jean uznała zrazu owo oświadczenie za wstęp do „nowego życia”. Obserwowała kochanka z niepokojem przez kilka pierwszych dni i cieszyła się. ilekroć w spokoju czytał u rozmawiał. Czasem wypytywała go o książkę: czy spoa, się. że teraz ją ukończy, czy maszynopis będzie wymaga nych poprawek? Uśmiechał się i udzielał niejasnych odP^dzi, Nieraz bywał tak zląkniony towarzystwa Jean, że nawet c z nią po zakupy. Zaproponowała, że zawiezie go doką s^ ^ chodem, dokądkolwiek, byle nie zaśniedzieć jako kie co się początkowo zgodził. Lecz. potem pograżył się czarnej rozpaczy i jął przebąkiwać o śmierci. ^ p0zwał-

Nocami nie mógł zasnąć i jej również zasnąć n10cno-

Ścisłał ją w objęciach, czysto platonicz. nie, tak iC^coV/0 &f& jakby chciał się zespolic z jej ciałem. Jean była kran^ej czona, wystraszona, wyczerpana gwałtownością

' chwilami sprawiała na niej wrażenie czegoś osta-„liłości' która^ ^ ^ my^[. cnyDa doszliśmy do jakiegoś

teczneg^ [Q si? sk0ńczy? Sytuacja, w jakiej się

kresu- > dawafa się zmierzać ku jakiejś katastrofie. A gdy z ko alezh- ZL

^ to tylko stan przejściowy, zrozumiały po takim wysiłku

z^a a nnnadał w euforii, dochodziła do wniosku, że jego lei Crimono PUH .....----- x-----

..... :iI

deprei który

depresja^ ju? mija. Ostatniej nocy. spleceni w uścisku,

-dolali się trochę zdrzemnąć. \_ Spałeś, prawda.' \_ Istotnie...

poranne słońce wpadało do małej kuchenki, w której jadalili siłki Jej schludność, czystość, przedmiot wielkiej troski Jean, przekonywały ją, że normalne życie jest dla nich mimo wszystko osiągalne. Gdyby tylko mogła powstrzymać kochanka od wygłaszania tych wszystkich okropieństw, które ją doprowadzały do rozpaczy.

- Chcesz, tostu?

- Dziękuję, napiję się tylko kawy.

- Coraz mniej jadasz...

Nic nie odpowiedział, wpatrywał się w nią tylko z napięciem. Twarz miał spokojną, jedynie jego niebieskie oczy były niezwykle rozszerzone i zaokrąglone.

- Mój miły, jestem pewna, że tej nocy będziesz dobrze spał. Musimy się wysypiać! Cierpisz głównie z powodu braku snu. Me cię wspierała, zaopiekuję się tobą. Poświęcę ci wszystko...

Bałb^ prZCŁ' śmiercią nic ma ni krzty logiki - oświadczył. -

ym się tylko popełnienia jakiegoś nieodwracalnego błędu... ~ Błagam, nie mów o tym! ^  
Wcale nie jest tak łatwo się zastrzelić. Można się tylko \*ątpjCZyC'spowotiwac" ślepotę lub  
paraliż. Straszne ryzyko! Nie Jesljuż. e zdołałbym zabić ciebie, ale udane samobójstwo nie  
jakie-oczyw\*ste- Może mi zadrzeć ręka, kula może znaleźć bierającIC0CZe'Ciwanc  
PrzeJście, powodując paraliż, lecz nie od-

Powiedz^3' P°IWOrna PersPektywa-

- Szc- ^ l° ca^em spokojnie, z refleksyjną zadumą.

kawa mus'sz zabijać ani mnie, ani siebie! Proszę,

" P°Jedz°C °\*"}dai^ martwą, Jeanie. Musimy odejść razem.

y razem do Francji, dokądkolwiek, byle gdzieś da-

leko. Pozwól mi się stąd wyrwać choć aa jakiś , dziczysz się z tego stanu, twój nastrój się /mieni  
ydoV

- Nie widzę takiej możliwości - odparł ze snok • omawiali jakiś błahy problem. koJern, j^

- A twój ojciec...

- Nie żyje.

- Nic mi nie mówiłeś!

- Umarł pod koniec października. Właściwie cieszył się odszedł. Nie był już sobą. Przysparzał  
mi tylko ciemienia^' &  
spoczywa w spokoju.

- Współczuję ci.

- Nie widzę powodu.

- Ach, mój najmilszy!... Napiszesz następną książkę.

- Uważam dzieło mojego życia za skończone.

- Nie chcesz zobaczyć swojej książki w druku? Posłuchać dyskusji, jakie wzbudzi?

- Nie. Wiem, że zostanie opacznie zrozumiana.

- I nie chcesz być tu, na miejscu, żeby ją objaśnić?

- Objąć? Co za pomysł!

- Błagam cię, spróbuj się otrząsnąć z tego czarnego przygnębienia! Musimy dalej żyć!

Będziemy dalej razem, przecież się kochamy! Postaraj się być mężny... Zrobię wszystko, co  
zechcesz. Stworzę ci szczęście, wymyślę ci je. Zaraz idę do sklepu, kupię ci plaster miodu,  
wiem, jaki to dla ciebie przysmak...

- Ach, przenaślodsza istoto! Kupisz mi plaster miodu! Boże,  
gdybyż to było takie proste!...

- Ależ jest, kochany!

Przechyliła się przez stół. chcąc ująć go za rękę, ale ją co i nadal wpatrywał się w kochankę  
ze spokojem.

- Czy chcesz wrócić do swojego męża, Jean? Chcesz w do Duncana? Wciąż go kochasz,  
prawda?

- Ach. Boże... ty się boisz, że któregoś dnia zec^e bąCjż  
do Duncana i chcesz mnie zabić, zanim to nastąpi-

! " «/ i e s z, z^ c

szalony i mnie nie przy wódz do obłędu! Przecież w .przy nie kocham, kocham tylko ciebie.  
Spójrz na mnie,je ^ ^

zdrowych zmysłach, jestem silna, kocham cię i De opiekowała do końca moich dni.

- Mogłabyś wrócić do męża i spokojnie żyć.

•' cię, °yś sic zastrzelił? Przestań gadać głupstwa! I z°staNVljko p0 to. by mnie dręczyć, by  
móc później zwać 0\*i&tak ty ie Gdyby mnie tu nie było, czy rozprawiałbyś

rajawvinCna

<rnierci /

teraZ ale bo też śmierć jest twoim darem dla mnie... ty mi " JS,iC' s' motyw, jesteś moim błogosławieństwem, podarun-^"atebios, najlepszym, jaki bogowie mi w ogóle zesłali. Ty ^liwiasz mi śmierć.

Wiesz, nie pojmuję cię. Jesteś dziś całkiem nie do wytrzy-

^Ty jesteś moją słabością, Jean. Teraz, po skończeniu książki, | "zostało mi już nic prócz naszej miłości, naszej obustronnej bezbronności. Jeśli ze sobą zostaniemy, zniszczymy się nawzajem w jakiś nędzny, niegodziwy sposób... A ja chcę, żeby zakończenie było piękne, godne naszej miłości, chcę aktu odwagi, chcę życia wiecznego!

- To są wstrętne, sentymentalne brednie! - zawołała. - Sam nie wierzysz w to, co mówisz!

Jeśli chcesz się mnie po prostu pozbyć, powiedz to wprost! Chcesz mnie poddać próbie? Jeśli ją przejdę, umrę, jeśli nie - ty mnie opuścisz. Z pewnością można by znaleźć prostsze rozwiązanie!

- Czy warto być niewolnikami czasu? Życie to tylko krótka przechadzka, Jeanie. Dlaczego ludzie tak wysoko je cenią? My mamy naszą absolutną miłość, wartość ponadczasową.

Umrzemy w naszej miłości, w jej łonie, razem, jakbyśmy się kładli do łóżka...

oczuBlaśam Cię' przestan- ~ Czują, jak łzy napływają jej do się"" PfZestań mnie dręczyć.

Starałam się... ze wszystkich sił tiebhT^"1 zacn°wać przytomność umysłu, być silną... dla

- Nie'sarr|emu wybrać moment odejścia z tego świata, ci t\ „Jestem nieuleczalnie chora, by szukać ratunku w śmier-

ly r°wnież nic ~ Ch |

„ Cj Lc- Zebyśmy odeszli razem, Jeanie.

- Na y mnic l0- lecz

4a emskiej drodze, ^odui W|es/-> w Bojarówce. Jeanie, mój skarbie, nie spraw mi

- Co ty zamyślasz?

- To prosta, długa droga... dwa rozpędzone się spotkać...

Wychodząc z British Museum w porze lunchu G dzwonił do Jenkina i dowiedział się odeń. że Tamar " \*\*\*\*\* U~ przygnębiona, siedzi obecnie u Lily i ma się podobno^dT^ Riderhood.

który właśnie wrócił od Violet, nie widział' ° \*\*\*\*" (sytuacja przedstawiała się bowiem niejasno), żeby prn^o^ niepokoić. Hernshaw. któremu całkiem co innego zaprzętało^3 wę. nie poczuł się bynajmniej zaniepokojony. Umówił się z fen kinem, że wpadnie do niego wieczorem na drinka. Zjadł lunch w jakimś pubie, potem poszedł do St James's Park i usiadł na ławce nad jeziorem, żeby zebrać myśli. Czuł się dziwnie, był jakiś podniecony,

wystraszony. Stwierdził, że cały drży. Nic potrafił się zdecydować, czy ten nastrój jest mu miły czy wręcz przeciwnie, ani leż, czy go pochwała czy nie. Obie sceny z udziałem Crimonda, ich rozmowa w cztery oczy i późniejsze starcie „stypendysty" z członkami Gesellschaft, stały mu dotąd jak żywe przed oczami, wzbudzając niepokojące, splątane uczucia. Jakiś czas siedział na ławce sztywno wyprostowany, potem uśmiechnął się.

zmarszczył czoło, zagryzł wargę, pokręcił głową, wreszcie się otrząsnął. Znajoma, która akurat tamtędy przechodziła, siostra Petera Mansona, choć go poznała, nie podeszła, żeby się przywitać, ponieważ (jak powiedziała bratu, gdy za dzwonił z Aten) „tak jakoś dziwnie wyglądał". Na hściac i źdźbłach trawy iskrzył się szron. Ławka była mokra, więc Gerard rozłożył na niej egzemplarz „Timesa". W powietrzu ^ ło się przenikliwy chłód. Słońce chyliło się ku zachodowi i\* nach urzędów przy Whitehall zapalały się już światła. Zac^ ^ łuna upodobniła najeżone pinaklami i w'c/ycz'<a<mlQerarda wy-pałaców z bajki. Poruszenie, wzbudzone w umyśle c brykami Crimonda. częściowo przyjemne. CZCŚC!°J° myślanajemne. lecz interesujące, mieszało się dziwnie z jego ^ ^ a jeszcze wyraźniej z jego uczuciami wobec Jenk^j z niej J3' konfrontacji z Crimondem i najwyraźniej nie wys ^ ^ z żako zwycięzca. Obecnie, w całkiem inny ^^!."^e sp\*\*^ miarem konfrontacji z Riderhoodem.

Wyjaśni nic

ytania. nareszcie sobie wszystko wyjaśnia; i zno-^da dzJwne do gf0Wy dość niepokojąca myśl, że choć zna -przyszła " dawna i to blisko, tak naprawdę wcale zbyt jobrze & ^ sZtywn0 wyprostowany i patrzył na wodę. Nieopodal 21 ily kaczki. Podpłynęło do nich kilka wielkich bernikli ^ ' kich, wycłapało ze stawu i wyciągnęło potężne dzioby ^ ruchy chleba. Stopy dzieci i pletwy ptaków pozostawiały P° .^j^cienkiej warstewce szronu powlekającej asfaltową alej-f prognozy zapowiadały deszcz, tymczasem panował ziąb, ? „oda była tak bezwietrzna, jakby nigdy nie miała się zmieść Gerarda ogarnął lęk. Bał się, że w rozmowie z Jenkinem może powiedzieć za dużo. W podobnych sytuacjach kilka nieopatrznie wypowiedzianych słów, których nie można już cofnąć, może zapaść w pamięć na zawsze. Muszę zachować zimną krew. chłód i przenikliwość myśli, napomniął się w duchu, skoncentrować się na jakimś jednym, głównym punkcie, który trudno będzie zrozumieć opacznie. Na przykład starać się wymóc na nim obietnicę, że nigdzie nie wyjedzie. Ale. z drugiej strony, czyż można wystąpić z żądaniem bardziej dwuznacznym i, prawdę mówiąc, śmiesznym? Jenkin będzie zaskoczony i zakłopotany, jak byłby wobec każdej deklaracji choćby przypominającej gnanie miłosne, a potem, po jakimś czasie zapewne, odczuje Hytocję, niechęć, poczuje się dotknięty. Cała ta sytuacja może mu Słę wydać dziwaczna, wręcz chora, a już z pewnością niepożądana. I Gerard będzie gryzł palce z powodu wyrzutów sumy, a Jenkin udawał uprzejmie, że „nic się takiego nie stało", ^yniłh duze"- 'ecz czyz m'a\* 'nne wyjście? Jakież bowiem •atacn y S°ble wyrzut>< gdyby w °góle zaniechał działania! Po w'stoścVan'a rj"ska' sei"deczna przyjaźń nabiera cech oczy-si?' płow'Sta'e S'? n'ema' niezauważalna, niewidzialna. Starzeje sierdzą'ICJe' Wyma2a odświeżenia, trzeba ją co jakiś czas po-sobie \ Jeśu Jenkin wyjedzie (i, nie daj Boże, znajdzie Żdavval sob»S' °boJęlnie jakiej płci!) po części dlatego, że nie "y ' bliski?^ Pełni sprawy- Jak bardzo jest Gerardowi potrzeb-^Psnęto ! Jc' ze wcześniej się nie wywnętrzyłem, że nie SI? v,'Vdać w f1C Zadne spontaniczne wyznanie. Teraz to może PUJąe °strożnieUmane- SZtLlcznc lub zanadto uroczyste... Przystę-" le do sedna sprawy, śmiertelnie go tylko wystraszę.

Zbliżała się dziewiąta wieczór. Spadł wreszcie deszcz. Nie przygotowanemu Gerardowi zmokła ojaPOWIada% zirytowało. Zjawił się u przyjaciela punktualnie.2^' °° & żył już włączyć gazowy płomień na kominku, zanik w saloniku, zaciągnąć zasłony i zapalić lampę; nie a° Okn° też o zgaszeniu lampy pod sufitem. Z parapetu'okna^S^ przyniósł brązowy dzbanek z gałązką wonnej kaliny, któr Marchment ucięła dla niego w swoim ogródku, kiedy zas^ do jej męża w sprawie listu do redakcji „Guardiana", na plotki na temat Crimonda. Na stoliczku, na którym Hernshaw indyjskiej

położył okulary, postawił talerz z. biszkoptami z mączki. Jenkin miał pić wyłącznie herbatę. Oznajmił Gerardowi (co tego ostatniego wielce zaniepokoiło), że postanowił ograni-czyć trunki. Gerard popijał wino, którego butelkę jak zwykle ze sobą przyniósł. Rozmawiali o książce Crimonda.

- Jest obecnie przepisywana. Wiem od Marchmenta. On nadal rozmawia z Crimondem. Jeden z ostatnich.

- Tyś się z nim nie widział?

- Nie. Siądź, proszę.

- Ciekaw jestem, kto mu to wyda?

- Nie mam pojęcia. Moglibyśmy zdobyć odbitkę korektorską.

Umieram wprost z ciekawości!

- Co to za roślina? Intensywnie pachnie.

- Kalina jakaś tam.

- Jaki sens kwitnąć o tej porze roku...

- Podobno kwitnie przez okrągły rok. Mam ją wynieść.

- Nie trzeba. Skąd masz ten kamyk?

- Już ci kiedyś mówiłem. Od Rosc.

- A tak. pamiętam. - Gerard odłożył kamyk (zad/WuSJIadl zimny w dotyku) na gzyms nad kominkiem, po czym i rzekł do Jenkinsa: - Myślałem o tobie.

- O!... Cieszę się...

- Wyjeżdżasz? Rą Wsp0"

- Tak, na Boże Narodzenie do Hiszpanii, z wycit minąłem ci o tym w Bojarówce... . yeraZł kiedy

- Miałem nadzieję, że spędzisz święta z nam^ozłjWe. mój ojciec nie żyje, byłoby to po raz pierwszy

- Niestety, przykro mi... . z&°\*6^

- Pytałem jednak o co innego... Czy ty naprą adzieś daleko 1 na dłużej? wydałeś mi si<?taki niespo-^jechać g "niesWOj. - Co ja gadam, zachnął się w duchu. To kojny- ^^pokojny i nieswój. - To nie znaczy - wyjaśnił -ja Jesten! wód przypuszczają... Ostatecznie dlaczego miałbyś...

bynimi^P0 -i 0 tyln. \_ Jenkin powiedział to tak, jakby Istotnie. n>}- •

' Jeszcze nie wiem... Może do Afryki, może do Ameryki iowej.- Chodzi mi po głowie taki zamiar... Wiesz, chciałby! się wyrwać z Anglii i robić coś innego, czym innym się ^^Zamiar, jaki ci chodzi po głowie, pachnie mi ucieczką -stwierdził Gerard. - To są romantyczne mrzonki, sentymentalne fanaberie! Po prostu przejadła ci się już belferka. Za stary jesteś na to, by brać sobie na barki wszystkie niedole Afryki czy Ameryki Południowej. Toż na to życia nie starczy! Chyba nie mówisz poważnie...

- Nie zamierzam tam jechać jako doradca, przywódca czy ktoś taki...

- Naturalnie, przewidziałeś dla siebie rolę sługi, najniższego z najniższych! Tyle że z niewykwalfikowanego sługi nie pierwszej już młodości raczej nie będzie tam wielkiego pożytku. Ciebie pociąga po prostu myśl o znalezieniu się w scenerii wielkie-g0 cierPienia. Czy się mylę?

- Dlaczego jesteś taki kąśliwy? - spytał pogodnie Jenkin. - chodź prawo do marzeń? Do teS° jednak zamiaru pod-tego "? całkiem poważnie. Z jakiegoś powodu... wcale nie dla-• ym miał się za kogoś wyjątkowo zdanego... ^atem czemu? "!" Bo tak m • !

rzecz2y w Sle- P° prostu zamarzyło. Oczywiście, jest coś na ^eșo ci tW°m Popuszczeniu, że pociąga mnie sceneria wiel-°choty 2 j^'ma' ale t0 powód drugorzędny. Zresztą nie mam - Domyśl Ć P°bUdek' 'akie mila- kierUJa-

'U' Leszka"11 S'C" C^cesz zna'eźć na pierwszej linii fron-Piek|e c gdzieś na końcu świata, w jakimś egzotycznym ^c\*nie.

nie

|

7-e to romantyczna mrzonka?

uważasz

- Absolutnie. To znaczy wcale nie uwa^ mantyczna mrzonka. y to była ro.

- Proszę cię, nie jedź!

- Dlaczego? Powiedziałem tylko, że nad tym prze

- Potrzebujemy cię... Ja cię potrzebuję. ^^Wam.

- Mój ty Boże!... Poradźcie sobie beze mnie, jak m ' Poza tym już postanowiłem... Pora na jakąś zmianę^z\*^ zawsze mogę wrócić... Wiesz, chyba się jednak napiję ^

Jenkin zniknął w kuchni, pomrukując pod nosem ze zdene wowania.

Spoglądając za przyjacielem, patrząc na jego plecy, na niemiłosiernie zawsze wygnieciony dół marynarki, Gerard poczuł takie rozrzewnienie, że omal nie krzyknął. Z tego nic dobrego nie wyniknie, przestrzegł się w myślach, niczego w ten sposób nie osiągnę. Zdążyłem go już zaniepokoić, to okropne. Nie zechce teraz podjąć na serio żadnej mojej sugestii, każdą z miejsca odrzuci.

Jenkin wrócił ze szklanką i puszką piwa.

- Wyjedźmy gdzieś razem na wakacje - zaproponował Gerard. - Tylko we dwóch. Od lat tego nie robiliśmy.

A właściwie czemu? - zapytał sam siebie. Nic nie stało na przeszkodzie, bym na taki wspólny wyjazd nalegał.

- Masz na myśli pieszą wędrowkę przez Lake District? Przeczekiwanie deszczu pod jednym namiotem?

- Nie. Myślałem raczej o jakimś dobrym hotelu we Florencja Pomysł z namiotem wydał mu się jednak również, dość

szący" -aro sie

- Zgoda, jeśli na wiosnę jeszcze tutaj będę. Obawia

jednak, że nie. Widzisz, coś mi mówi: „teraz albo mg ^

- Moglibyśmy przecież podróżować razem. Pojec 'd^leta stralii. do Afryki, do Brazylii, dokąd zechcesz. j,,z w Bojarówce. że studiujesz gramatykę portugalską, musisz wyjechać, mógłbym jechać z tobą. ^ prędk0

- To bardzo miło z twojej strony, ale dobrze wiesz. ja by ci zbrzydło. Oczywiście gdybyśmy pojechali tam, ^ chcę jechać. Zresztą nic z tego, muszę jechać | umowy.

- Jakiej znów umowy? Z kim?

Och.

nikim konkretnym... Z samym sobą... Z losem, jeśli "/Bogiem, jeżeli istnieje, chcesz-- ^ pielgrzymka! Mój drogi, to są sentymentalne

" nawykła dziecinada! «00° .mnie do prawienia głupstw. Po prostu nie chcę \_\_ Zoiuszas/- obcesowy!

-Ależ bądź! Bądź tak obcesowy, jak ci się tylko podoba. ' Boże zląkł się Gerard, czyżbyśmy się mieli pokłócić?

• «ie tvlko łudziłem, może on wcale nie jest aż tak bardzo mnie przywiązany? Nie powiem już teraz tego, co zamierza-tenTwszystko zepsułem, zniszczyłem! Gotów pomyśleć sobie o mnie Bóg wie co. Nie zniosę tego! Czuję, że za chwilę uderzę w patetyczną nutę. Albo. żeby nie wpaść w patos, udam obrażonego. Co gorsze?

- Nie wydaje mi się. byście aż tak bardzo mnie potrzebowali - rzekł ostrożnie Jenkin. - Zawsze czułem się wśród was jak piąte koło u wozu.

Nigdy tak nie mówił!

- Cóż za piramidalny nonsens! - wykrzyknął Gerard, odzyskawszy nieco pewności siebie. - Toż. jesteś wśród nas postacią centralną, najważniejszą, nawet Crimond to dostrzegł.

Przyznał, że jesteś z nas wszystkich najlepszy!

- Ach... Crimond... - roześmiali się obaj odrobinę nerwowo.

- To nieprawda, że jestem najważniejszy - podjął Jenkin. -"ncan mnie nigdy nie lubił. Robina zawsze drażniłem, podobne Gulla. Rose się ze mnie śmieje, Crimond uważa za półgłów-jje le Przerwywaj mi. proszę... Naturalnie, wygaduję głupstwa, trzeb3"1 mn'e d° t6§° zmusi,eś- Ta ca\*a gadanina o byciu porywali™ l° CZCSC: iluzJi' Jaka- przez te wszystkie lata podtrzy-relację1^^. ^em' ze pl°tC i że to cię wkurza. Oczywiście, naszą Mow WZaJemna. cechuje znaczna zażyłość, jest w niej coś wy-C2?ści jju\Zreszta- tego rodzaju związki są chyba zawsze po ^czuwa ^ ^Zecz Jednak w tym, że ostatnio coraz silniej

Wid2is2m.tcstr°neiluz.yjną.istąd po części moja chęć wyjazdu, łysiałem k^ern dostatecznie samotny, a nie byłem dlatego, ^ do koń graĆ"" °rac" w grę iluzJi— Nie, oczywiście, to nie ^



tajny ca gra, ale... Zrozum, ja muszę stać się samotny \* ,11'eJscach0ul-VV człowiek może być samotny jedynie

' które nazwałeś piekłem.

- Mylisz się w każdym razie co do tamtych xx, bardzo cenią. J Ws\*ysCy

- Jako maskotkę.

Cię

- Rose cię uwielbia... Nie sprzecajmy się jednak szta niewiele mnie to obchodzi... Ale może masz °

tego rodzaju związki składają się zawsze z iluzji i m°ze

tak jest ze wszystkim... y' ^iz

- Cóż takiego niewiele cię obchodzi?

- Oni. pozostali... naturalnie, obchodzą mnie, i t0 b ale... protestuję przeciwko twojemu stwierdzeniu,' że byłe3"\*20' tym kołem u wozu!... ale mógłbym się bez nich z' powódzie obejść.

- Wiesz, co ci powiem, mój drogi? - rzekł Jenkin i wreszcie spojrział na Gerarda. - Otóż niezmiernie w to wątpię! Oni cię przez całe życie wspierali. Spodobało ci się, że jesteś przywódcą naszej paczki. No bo jakże: najinteligentniejszy, najprzystojniejszy, najbardziej kochany, ten. który zaszedł najwyżej... tak było zresztą naprawdę... i nadal jest... ale to ty na tym budowałeś, nie ja. Proszę, nie zrozum mnie źle, nic zamierzam wyjechać dlatego, bo odkryłem nagle, że nikt mnie nie kocha! Odpieram po prostu twój argument, że mi wyjechać nie wolno, bo jestem tu potrzebny. Otóż nie jestem! To w ciebie oni wszyscy się wpatrują, na tobie polegają, więc...

- Oni?

- No dobrze: my. Ja również na tobie polegałem, jak wiesz. To jeszcze jedna okoliczność, od której muszę uciec. Przepraszam, nie to chciałem powiedzieć. Wszystko, co teraz ga • może zostać opacznie zrozumiane. Wolałbym, żebyś nie zaczy tej rozmowy. Nienawidzę takich wynurzeń!

- Musisz uciec ode mnie? , , , ^

- Tak, lecz nie bierz, tego do siebie, mój drogi! T°J^cl. część mojej potrzeby bycia naprawdę samodzielnym- copraw-ścicj miewam poczucie, że zostałem porwany z kołys ^ da przez grupę najmilszych, najlepszych ludzi na s ^ \$

- Przykro mi tego słuchać! Jesteś w błędzie... wy\_^ ^ skoro już tak szczerze rozmawiamy... jesteś w jeSt.je\*1' zazdrość o nich, przekonanie, że są mi bliżsi od cie naprawdę tak myślisz, głęboko mylnie...

- Ależ nie o to chodzi, zapewniam cię!

• razie przepraszam. Wygląda na to, że zamiast

- ^r ta^ wyznanie, wszystko tylko gmatwam...

uczynić pruwazarril że je uczyniłeś, wszystko w porządku, ale

- N'emVUVjuż, proszę, tę rozmowę.

przerwij y ieszCze nic nie powiedziałem, stworzyłem tylko

Ale\* ja ci J1-- -fałszywe wrażenie...

Proszę, zmieńmy temat. ' Mam sobie pójść?

Nie. chyba że sam chcesz. Wolna wola. \_ Jenkin!

i Nie rozumiem, do czego to wszystko zmierza, więc proponuję: dajmy temu spokój. Jest tyle innych spraw, o których możemy rozmawiać... poważnych lub przyjemnych... Przepraszam, nie chciałem cię urazić...

\_ To ja przepraszam. Pozwolisz, że zacznę jeszcze raz, od początku?

- Boże złoty!... Skoro koniecznie musisz...

- Nie chcę, żebyś wyjeżdżał i błagam: nie jedź! Potrzebuję cię, właśnie ciebie! Kocham cię.

Jesteś mi potrzebny...

- 1 ja cię kocham, stary, skoro już o tym mowa, ale...

- Posłuchaj, mój drogi, to poważna sprawa, dla mnie w ogóle najpoważniejsza. Chcę cię lepiej poznać, znacznie lepiej, chcę się z tobą zbliżyć, chcę, żebyśmy razem zamieszkali, dzielili życie, razem podróżowali, byli ze sobą. Pragnę cię stale wisieć, przebywać z tobą... Chcę, żebyś ze mną zamieszkał... tyś

naprawdę nigdy nie miał domu... chcę, żebyś mój dom nazwał hoh twierdzc" ze t0 realne, mówię ci tylko, czego pragnę, ardo, ogromnie!... Więc jeśli zastanowisz się nad tym, co Powiedziałem, zrozumiesz, dlaczego tak bardzo nie chcę, byś ujeżdżał.

tooże^3 CisZa' Jenkin wpatrywał się w przyjaciela nie tyle światłar0ZbaWieniem" ile Z natCzona- uwaS3' która wręcz roz-

- Ge mU lWarz' Oczy miał okrągłe, usta rozchylone.

- Wy3^7'16, °Zy t0- oświadczyły?

^ienie^11'0 miłości - odparł Hernshaw z irytacją i zniecierp-c\*yni Qb~ A zresztą niech będzie, skoro chcesz: tak, oświad-^aczn^01 S\*ę' Ze uznasz moje deklaracje za cokolwiek ^itierhood1CSk°r0 Sam użył\* tego określenia"-

Parsknął śmiechem i jął kiwać się w przód i w tył.

Odstawił szklankę na kafelki przed kominkiem jedną rękę przycisnął do brzucha, drugą chwycił'^f^!\* sie. koszuli na karku i śmiał się jak opętany, aż się zaślinił °In'ertz^ Kilka razy usiłował się pohamować i coś powiedzieć '.Spłal;ai-tonęły w kolejnym napadzie wesołości. Gerard obserwował go z miną surową i gniewną choć bi duszy był zadowolony, że zdołał w końcu wykrztusić ^ ^ jasne i zwięzłe oświadczenie, z jakim tu przecież przvb T\*^ dwie to uczynił, od razu poczuł się lepiej, wolny, nie skrupowa^ jakby nawiązał, wcześniej zerwaną, nic porozumienia z przyny, ciałem. Złożone wyznanie napełniło go uczuciem ciepła minio rosnącego zmieszania, z. jakim obserwował efekt swoich słów

Jenkin uspokoił się wreszcie i otarł twarz wielką chusteczką, podartą i poplamioną atramentem.

- O Boże... trzymajcie mnie... - powtarzał w kółko, poczym wystękał: - Ach. Gerardzie... przepraszam, tak mi przykro... Wybaczysz mi"?... Jestem potworem!... Jak mogłem tak rechotać... To niewybaczalne, karygodne!...

- Czy choć dotarło do ciebie, co powiedziałem?

- Oczywiście... każde słowo... Wszystko zrozumiałem... „Zamieszkać ze mną i bądź moim lubym"... Jestem ci naprawdę przeogromnie wdzięczny. Wzruszyłeś mnie do łez... Aleja naprawdę czuję się... niegodny, nad miarę wyróżniony... Doprawdy ścięło mnie z nóg.

- Przestań!

- Twoja propozycja... Czy przewiduje również współżyc seksualne? Miły Boże!

I znowu zaniósł się niepowstrzymanym śmiechem.

- Dlaczego nie - burknął Gerard, nie na żarty już czony. - To jednak rzecz drugorzędna, nieistotna. Powie

co mi leżało na sercu. Nie znam cię zbyt dobrze, Jen J"/jesZCZe bym poznać cię bliżej.

Pragnąłbym, by nasza przyjaźń bardziej się zacieśniła... drzewo?

- By rozkwitła jak usychające i cierniste stare ^ieznienie

- ...lecz skoro znajdujesz moją propozycję t bayffie0\& śmieszna, będzie chyba lepiej, jeśli uznam twoje ci gło-odpowiedź i pożegnam się. Przepraszam, że zawr^anaWiająC si\* wę.

Byłoby mi niewymownie przykro, gdybyś zas^ ^?0^ później nad naszą rozmową, uznał moje słowa

le ze docenisz wyłącznie ich komizm. Ufam też, Udaru na ' zabawny incydent w niczym nie zakłóci naszej ^ te° \t przyjaźni, którą zechciałeś nazwać przed chwilą sta-^ychajęyni i ciernistym drzewem.

°n1" nrd wstał i sięgnął po swój mokry płaszcz, który po przyj-% powiesił na krześle.

Riderhood zerwał s.ę na nogi. Oczywiście, że nie! Oczywiście, że nie uznam twoich słów

'brażliwe. śmieszne czy... Nic podobnego!... Przeciwnie, czuję ^niezwykle pochlebiony...  
\_ widzę \_ mruknął Gerard wkładając płaszcz.

- Ale... chyba rozumiesz, że... nasza przyjaźń doznała zakłócenia, i to głębokiego... i już nigdy nie będzie taka jak dotąd.

- Przykro mi to słyszeć.

- Niesłusznie! Tylko zrozum: chciałeś, żebyśmy stali się sobie bliżsi - i jesteśmy sobie bliżsi! Czyż tego nie widzisz? Terapia szokowa potrafi czynić cuda. potrafi przełamywać bariery, otwierać nowe perspektywy... Bardzo cię przeproszam za ten śmiech...

- Podobał mi się nawet... choć nie wiem, co znaczył, a wątpię, bym mógł go uznać za pomyślny dla siebie znak!

- Nie odchodź jeszcze. - Jenkin stał obok swojego fotela z rozjaśnioną, czujną twarzą, na której nie wygładziły się jeszcze mimiczne zmarszczki śmiechu i wciąż lśniły łzy rozbawienia. -

ch: mój kochany... jakże to mam wyrazić?... to, co między /as7}o; Jest absolutnie w porządku... Nie rozumiem, dla-e8° my się tak wstydzimy wypowiadać słowo „miłość”?

opuścić ^ Wslydżę- A mozc jednak nie pojedziesz?... Nie

- naS"" mnie nie OPuścisz?

\*SzystkoWICm martw się- Bardzo sie cieszę, żeś mi to t MamP°Wledział- Nie bedziesz tego żałował, prawda? 03 ^zrnaite3^2'6""5 ^Podziewam się, że jeszcze porozmawiamy Wczes'nip; C tematy' i te poważne, i te przyjemne, o jakich

- 0 Wspomniałeś.

[k. nje ^nością... i 0 tyCh sprawach również... Tylko proszę dobr 9" P°czucia-- Słuchaj, zostań jeszcze

SICs°bie5 u "e"Posiedzimy sobie w milczeniu, poprzyglądamy né"" Chyba p my sic< wypijemy drinka i posłuchamy desz-CC\*ki Whisky;Wszystkim nie obejdę się jednak bez szkła-

Kiedy tak stali i przyglądali się sobie, rozległo się motanie do drzwi. Ktoś. nic mogąc znaleźć w ciemnoś \*°" ka. dobijał się pięścią, wywołując głośny, wzbudza^ łoskot. Jenkin wybiegł do holu. Gerard pospieszył za^ ^ ruchowo zapalając lampę pod sufitem. W otwartych ""^ ^ derhooda drzwiach wejściowych ujrzał jakąś dziwną po^tac'? ^ ra skojarzyła mu się z widokiem wysokiego, chudego ko° nic przemokniętego kosa.

W progu stała Tamar. Była z gołą głową. Pociemniałe od deszczu, potargane wiatrem włosy oblepiały ciemną siateczką jej czoło i policzki. Długi, czarny płaszcz nieprzemakalny lśnił wilgocią, ręce zwisały u jej boków niczym złamane skrzydła. Weszła, a raczej wtoczyła się chwiejnie do środka. Jenkin chwycił ją i podtrzymał. Gerard obszedł oboje i zamknął drzwi, przez które zacinąca ulewa.

Tamar odsunęła się od Jenkina i zrzuciła z ramion płaszcz, pozwalając mu opaść na podłogę. Potem zaczęła powoli, jakby każdy ruch wymagał od niej wielkiego wysiłku, odklejać z twarzy kapiące wodą kosmyki włosów. Jenkin podniósł upuszczony płaszcz, po czym wybiegł, by wrócić po chwilę z ręcznikiem. Dziewczyna machinalnie wytarła twarz i włosy.

- Tamar! - zawołał Hernshaw. - Co się stało? Mnie szukasz? Nie patrząc na żadnego z nich, wykrztusiła:

- Nie, chcę porozmawiać z Jenkinem.

Pociemniała od wody spódnica oblepiała jej nogi. Tamar°,d róciła się wolno w stronę Jenkina. jakby miała za chwilę P bezwładnie w jego ramiona. Podtrzymał ją, a następnie pop wadził ostrożnie w stronę saloniku.

- Pójdę już - mruknął Gerard, ale nie wychodził. Jenkin odpowiedział mu przez ramię:

- A zatem dobranoc, mój drogi. Jeszcze porozmawia martw się... . ^ za soba

Hernshaw wyszedł na zacinający deszcz i zam V,szn0śc' drzwi. Nie miał parasola ani kapelusza. Był az o -eg0

zły na siebie za owo zadufane Pr/yPusZCZen\łoWC i ście^ szuka. Szedł przed siebie, a deszcz zlewał mu g ^ Jenkinertf za kołnierz. Był niezwykle poruszony rozmo^ ^ . zprZ^ i ogromnie żałował, że nie mógł zostać dłużej, poSieó^ jacielem, idąc za jego mądrą sugestią, po Pr0

leżeniu. Właściwie nie umiałby powiedzieć, co takiego sob4wn^m zaSzło, czy obróci się to na dobre czy skończy (niędzy cierpiał też i z tego po prostu powodu, że czuł się ^Tnkiną wyproszony - doświadczenie całkiem dlań nowe. ^akiś nie znany sobie rodzaj lęku. Idąc chodnikiem, na p0CZU światła łatania polśniewały refleksami w strugach desz- ^rarał się odegnać od siebie złe przeczucia, jakie go nagle CZU',uv a śmiech przyjaciela interpretować jako pomyślny znak. opactry.

Tamar siedziała przy małym, gazowym kominku ze spojrzeniem utkwionym w płomień. Wcześniej wykręciła wodę z przemoczonej spódnicy. Podziękowała za jedzenie, za herbatę i kawę również, zgodziła się natomiast na szklankę whisky z wodą, którą najpierw ścisnęła w rękach, nie zbliżając jej nawet do ust, a potem odstawiała na podłogę. Jenkin był głęboko zaniepokojony.

- Co się stało, moje dziecko? Powiedz mi, proszę.

W końcu podniosła głowę, nie spojrzawszy jednak na niego, przeniosła tylko niewidzący wzrok w głąb pokoju.

- Dobrze, powiem ci. Zaszłam w ciążę z Duncanem, ale zabiłam to dziecko.

Jenkin stał, gdy to powiedziała. Szokująca wiadomość sprana, że cofnął się o krok, jakby pchnięto na niego jakiś ciężki Podmiot. Zarumienił się i jęknął. Potem usiadł naprzeciw 'ewczyny, przysunął bliżej fotel i pochylił się do przodu.

^SpokoJ sic> kochanie. Opowiedz mi wszystko po kolei, estchnęła ciężko i przeciągle, po czym podjęła martwym,

JVUryrn głosem:

IWI? ^ Slę' nie ut0Płam go. Ono w ogóle się nie urodziło, •ciam ciążę

lu- - AI^t0 straszne ~ wybąkał, otepiały ze współczucia i bó-Tak «~ powicdziaia^ że czyje ono było?... Duncana?

Ubrdało mi,°SZłam Z "im d° łózka- tylko raz^ przypadkiem. i?« 'e jest^h' ZC g° kocnam' olałam go pocieszyć. Zapew-^ecko zabiłam?iPł°dny' Wi?C °hyba zdarzył się cud- A Ja 10 Jesteś

°ch,IeWna'Ze było Dukana? Onw^naJ2UpelnieJ!

- Nie, oczywiście, że nie! I to musi pozostać ta' wiedziałeś mi kiedyś, że zawsze pragnął mieć dzieciemn\*C^ | ko zostało poczęte. Poczęte i zamordowane!

- Ale czemu... Nie przyszło ci do głowy zehv dzieć albo... " ' Y mu P°\*ie-

- Nie! - Tamar niemal wyszlochała to słowo, ale i | pozostała nieruchoma, a oczy patrzyły obok Jenkina wI^ koju. - Jakżeby mogła? Mówiłeś przecież, że Jean do\* wróci.

Uniemożliwiłabym jej powrót, ogłaszając, że noszę"^^?0 dziecko. Doszłam do wniosku, że najlepiej zrobię, gdy pozbędę. Tylko nie przewidziałam następstw tego kroku Nie przewidziałam, jak będę się czuła, że znajdę się w piekle i nie zostanie mi nic innego jak umrzeć.

- Tamar, nie patrz tak! Nie pozwolę, żebyś trafiła do piekła.

- To było morderstwo, niewybaczalna zbrodnia, za którą karą jest śmierć! Nigdy nie urodzę innego dziecka. To zamordowane zabije każde następne. Ono chciało żyć! Chciało żyć, a ja mu nie pozwoliłam! Nic mogę tego nikomu powiedzieć... ale trzymanie tego w tajemnicy jest ponad moje siły, zabija mnie!...

- Powiedziałaś mi i ja ci pomogę.

- Nie możesz mi pomóc. Przyszłam tu tylko po to, żeby ci powiedzieć, że to wszystko twoja wina...

- Moja?...

- Wtedy nad rzeką powiedziałaś, że Jean wróci do Duncana. że będą znowu szczęśliwi, i poradziłeś mi...

- Tamar, ja niczego ci nie radziłem...

- Przecież nie mogłeś wiedzieć, czy ona wróciła, może w ogóle nie wróci, więc za dziecko na darmo! Kiedy jeszcze żyło, chciałam po Duncanowi, chciałam biec do niego i powiedzieć mu, że go kocham, ale teraz go nienawidzę i nie widzieć, bo w przystępie szałeństwa zabiłam jego cudu! Jeszcze kilka dni temu ono żyło i było mi żenienie ska-Rozpłakała się w końcu, choć nadal sprawiała

mieniała z bólu. Otworzyła tylko usta, a z jej oczu

ły i kapały z podbródka na kolana. gwałtownie

Jenkin chciał ją ująć za rękę. lecz mu ją wyjął

nięty usłyszana rewelacją. W czasie tych mew

Tamar u niego spędziła, zajął istotnie w otoczeniu

że jej pomoże, nie widział żadnego sposobu przyjscia pewnym ze sposobem

móc wziąć na siebie twoje sumienia, rozpacz i cierpienie, jej wyjął

Chcę ci pomóc, tylko weź

" Czy powiedziałaś o tym komuś jeszcze? ale tylko, że zaszłam w ciążę. Dała mi

pieniądze na to Nie powiedziałam, z kim. Uspokajała mnie, mówiła, że Za każdej

przytrafia. Powiedziałam też temu pastorowi na ale tylko, że jestem w ciąży, a on mi

powiedział, żebym godziła. Żałuję, że nie przyszłam do ciebie, choćby w ubiegłym tygodniu,

poradziłbyś mi, żebym tę ciążę donosiła i donosiłabym. Żałuję, że nie powiedziałam ci wtedy

nad rzeką. Gdybyś mnie tylko zapytał, co się stało, powiedziałabym ci i wszystko byłoby

dobrze, lecz ty nie zapytałeś, mówiłeś tylko w kółko o Jean i Duncanie. jacy to oni będą

szczęśliwi! Mówiłeś tylko o nich, a ja chciałam opowiedzieć ci o sobie!... Więc ciebie też

nienawidzę, wszystkich nienawidzę, a kto nienawidzi wszystkich, nie może dłużej żyć. Siebie

samej nienawidzę tak mocno, że mogłabym zadać sobie śmierć na torturach. Chciałabym

umrzeć dziś w nocy, chciałabym, żebyś mnie zabił, a moje ciało spalił!

- Przestań! Mówisz jak obłąkana. Napij się trochę whisky. Przestań płakać. Uspokój się,

proszę. Napij się.

Umoczyła usta. Drżała jej ręka i whisky chlusnęła na spód. Dziewczyna przestała jednak

płakać. dla obu my Jak uporządkować... Wiem, że to musi być siebie

Pracowne, ale ty wszystko gmatwasz i tylko pomóż ale oskarżasz... Musimy podejść do

tego rozsądnie. do mnie wcale mnie nie nienawidzisz, przecież nie-

Potrzymaj się Musisz u mnie zostać i okazać mi zaufanie- mieć przy sobie

kogoś bliskiego. Potrzebujesz

na tym- że plecie, co mu ślina na język kłóć, żeby

wyrzuci z siebie przy- byle Jakos zasklepić tę straszliwą ranę. jaką

powiedziała matowym głosem, takim y stwierdzała oczywisty fakt.

- Mnie nie można

kochać. To niemożliwe. Jestem osobą spoza ob Zawsze tak było.

- Nieprawda! Ale posłuchaj, chciałbym ci zadać kilk Przepraszam, jeśli cię zabolą, ale muszę

spróbować Pylać-mieć... Przysięgam, że nikomu nie powiem. Tamto zdar

ten jeden raz z. Duncanem... czy coś było przedtem lub Uwierzyłaś, że cię kocha?

- Nie, wcale nie. Poza tym jednym razem nic nie było P szłam do niego dwa razy, bo... Gerard

mnie o to prosił

- Gerard?

- Uważał, że mogę mieć dobry wpływ na Duncana, bo byłem taka niewinna i czysta. Gdy poszłam do niego drugi raz, dostał właśnie list od adwokata w sprawie rozwodu. Zrobiło mi się okropnie żal, więc powiedziałam, że go kocham, bo rzeczywiście poczułam do niego miłość.

- Nadal go kochasz?

- Nie. Potem on mnie objął, a potem poszliśmy do łóżka.

- A potem?

- Potem już nic. Może uznał, że Jean jednak do niego wróci albo że będę dla niego zbyt wielkim ciężarem. Potraktował to jak przykry wypadek, który lepiej, żeby się w ogóle nie zdarzył. W Bojarówce mnie ignorował. Zrozumiałam, co to znaczy.

- Wtedy wiedziałaś już, że jesteś w ciąży?

- Tak. Ale nie pojechałam tam po to, by się z nim zobaczyć. Pojechałam, żeby się z nim ostatecznie rozstać, upewnić, że mnie nie kocha, że z nami już koniec.

- Nie zakładałaś, że to może trwać?

- Nie. Wiedziałam, że nie może... że pokrzyżowałam wszystkie plany Gerarda... że to wszystko jest nieodwołalnie skończona. Zrozumiałam to. Jeszcze zanim zdałam sobie sprawę (jawiłam, w ciąży). Na te pytania, jakie ci wtedy nad rzeką z^c&D tak z góry znałam odpowiedzi, nie wiedziałam tylko, że u bardzo pragnął dziecka. , jenkin-

- Pewności nic mam, tak tylko mówiłem - buria ! Co prawda, wspominał kiedyś...

'H'

cbcia-

- Tego dziecka na pewno by nie chciał! Ale ja... ^łam. - Z oczu Tamar znowu popłynęły łzy.

- °Z^snać.-zmęczona - wyszeptła po chwili. - CnciałabyI^wynl nieszczZC

- Musisz nauczyć się z tym żyć, jak żyją ze

igle P° wielkiej stracie. To jest możliwe, zobaczysz. -^iefli|ud^ pomyślał: w tej sprawie tylu krzywd nie da się już \V duchU chyba cudem. Boże. gdybym mógł podzielić się z kimś naP1\* m! - Może chciałabyś z kimś jeszcze o tym poroz-

^ C1<-9 Może z tym pastorem, ojcem McAlisterem? Jemu ponawiać .

i

siedziałaś-

Zmusił mnie do zwierzeń. Mówił o Jezusie, zapewniał, że miłość napełnia człowieka skrucą, zmywa jego winy °utóe tam bajeczki. Ale on nie znał szczegółów, nie mam po co do niego wracać.

- Słuchaj, kto jeszcze, prócz Gerarda, wie, że tutaj jesteś?

Lily?

- Nie, uciekłam od niej. gdy wyszła na zakupy, a potem długo włóczyłam się po deszczu.

- Więc muszę do niej zadzwonić! Trzeba też zawiadomić twoją matkę...

- Nie!

- Muszą po prostu wiedzieć, co się z tobą dzieje. Nic więcej im nie powiem. Zadzwonię do Gerarda, on je zawiadomi. Może byś coś zjadła? Nic? Więc musisz się położyć, zaraz ci przygotuję pokój. Możemy jutro wrócić do tej rozmowy.

Posłał łóżko w pokoju gościnnym. Pod kołdrę włożył butelkę z..goraca: woda- a na kołdrze położył własną piżamę. Tamar lecz analogicznie Jak martwa. Chciał ją jeszcze pocałować w rękę, °na JUZ sPała- Chwilę przyglądał się śpiącej, a potem uczynił

Idą^rj0314 ~ SWÓJ prywatny znak błogosławieństwa, ^bie^a telefonu' ZeDy zadzwonić do

Gerarda, przypomniał o niej 2 awną' dziwną rozmowę z. przyjacielem (niemal już Z

dłoniaqan0mniał)" którą Pr7crwało zjawienie się Tamar. Zastygł ^Jasne w ShJchaWce- Nie pamiętał dokładnie, co mówił. Miał Ckliwe aZenie; ze w początkowej fazie rozmowy był

dość Jakieś stwie f|.Zn0W potem wybuchnął śmiechem w reakcji na nimi C Gerarda- No cóż'

z pewnością nie zaszło |\*du ^irno to"10 takieS°' czego naprawienie wymagałoby aż ' Wykl" Ccił n, ° musi rzeczyć wyjaśnić... Podniósł szybko słuchawkę

- st\* Cer Hermhawa-

- Czekałem na twój telefon. Co z Tamar?

- Wszystko dobrze. Właśnie śpi, nie chciałbym ' | Przyszło mi do głowy, że może zatelefonowałbyś do-^^ wiedział jej, że mała tu jest? A jeśli Lily zaalarmowała V 1 ^

- Jasne, załatwione. Zapadła chwila ciszy.

- Gerard...

- Wszystko w porządku, chłopie.

- Fajnie, cieszę się.

Jenkin usiadł przy kominku i nalał sobie whisky. Był przybity przygnieciony współczuciem, wystraszony, ale i podniecony Wśród zamętu nieprzyjemnych uczuć czaiła się rozkoszna świadomość, że pod jego dachem schroniła się zraniona istota, która przybiegła do niego po ratunek, że jest tu bezpieczna, odpoczywa. Trudno mu też było oswoić się z. myślą, że nie jest w domu sam.

Spróbował się uspokoić, opanować. Tamten śmiech był poniekąd reakcją szokową, pozwalał uniknąć odpowiedzi wprost Wynikał też jednak po prostu ze śmieszności i absurdu całej sytuacji. Pójdź i zamieszkać ze mną. Byłc kuszony? Tak, był kuszony. Przez wszystkie te lata miał świadomość, dostrzegał to jaśniej niż Gerard, dystansu, jaki ich mimo pozornej zażyłości dzielił. Zastanawiał się nad tym dystansem, tą stałą, ochronną przestrzenią, jakby proszącą o rękę, która by się ponad ma w, ciągnęła. Czyżby jego własną? \_ fckc

Siedząc tak przed kominkiem, podniósł w pewnej fl jakby ją chciał przed siebie wyciągnąć.

Stłumił jedna w ^ ten gest, powodowany nieśmiałością, a zapewne i ws y^ ^ nikłym z przeświadczenia o wyższości Gerarda, kl°r^drzucenia-rzyszyło przez całe chyba życie.

Czyżby się a Qct^f0fi a choćby tylko takiej ewentualności. naJdalsZeJskutków P0" i

hipotetycznej? Nie śmiał sobie nawet wyobrazić bez tego dobrego zbliżenia z

przyjacielem ani swojego /y^iet)iste P:IS' sanitarnego pasa pustki (wyobrażał go sobie ja o>

s^ obserW°-mo czystego, błękitnego nieba), z za którego druchen

wał. Podobne myślenie o wzajemnej relacji ze ażne: prz> wydawało mu się czasem

śmieszne, czasem zby ^^ptuah23 pomiędzy konceptualizację zjawiska, które się

• Gdyby im było przeznaczone obcować ze sobą oieP00^ icn związek miał być bardziej

zażyły, gdyby mieli bliżej'V- c7ęściej. czyż nie dokonałoby się to samorzutnie? spoty^aC ^

nje stało, widać istniały po temu istotne, chociaż Skoro siCwo(jy^ jia których takie zbliżenie

nastąpić nie powinno, ^^kąd ten cały zamęt? Ależ nie było żadnego zamętu, jedynie ^rtujące

dUSZę Jenkina uczucie, przejawiające się czasem 10 n ci zazdrości, do której, choć starannie

to przed Gerardem wał był niewątpliwie zdolny. I oto nagle, całkiem nicocze-ja^anie,' ten tak

ważny, graniczny pas ziemi niczyjej został ni stąd ni zowąd zlikwidowany. Król przyszedł do

niego, mnąc czapkę w rękę, a on go wyśmiał! Zamieszkać ze mną, a stworzę ci dom. Ależ ja

nic chcę mieć domu, zachnął się w duchu Jenkin, nie jestem zwierzęciem domowym. Nawet

ten skromny dom, właściwie domek, stanowi zbędną skorupę, którą muszę rozbić. Zgoda,

niech będzie, że to romantyczne mrzonki, sentymentalne rojenia. Widzę jednak, że będę

musiał wyjechać szybciej, niż planowałem, jeśli nic mam na skrzydłach pomknąć do

Gerarda...

Zaskakująca deklaracja przyjaciela potrząsnęła jeszcze jednym elementem łamigłówni,

bardzo już starym i wyblakłym, wciąż jednak realnie istniejącym. Miał on związek z Rose

Curt-land. Jenkin tak już przywykł do permanentnego stanu przewlekłego zadurzenia w Rose,

że trudno by nawet ów stan nazwać pchaniem. On sam nie używał tego określenia. Jenkin

łatwo ochiwał się w kobietach i miał (choć nie w ostatnim czasie) jorni J,^Ry^dd' niz mogliby

przypuszczać jego przyjaciela i zna-Rose h m\*C\*'^ ° Za 'stotę całkiem wypraną z płciowości.

się dlan Jednak kimś zupełnie wyjątkowym. Nie zwierzał Uczucia w ZC Swe\*>° dziwnego,

choć nie nazbyt kłopotliwego cusapj",. yjateľc zrobił kiedyś dla przyjaciela z Oksfordu Mar-  
rnlody wi^ który również się w Rose podkochiwał. Jenkin, nad ^ miłość ' p°troPny- trzymał  
własne uczucia w ryzach. Począ-10 Uczucie ^° ^ernsnawa t°nął w pomroce dziejów. Było  
Sinc'aira Qmemal równic odwieczne jak miłość Gerarda do czy erard POZWalał sie Pannie  
Curtland w sobie durzyć. 1 ^^a, ty m'ał inne wyjście? Jenkina ogarniała, co prawda °W°  
aWieib-ą ość' czy jego przyjacielowi nie zanadto aby ^Hcic ją ^ ^0se dogadzało, czy nie  
powinien był raczej 0 siebie, nie czynić jej nadziei, poradzić, żeby  
sobie poszukała innego mężczyzny? Tak czy owak jak bo nic był to powód główny, jego  
decyzji o wyjeździe^ chęć ucieczki nie tylko od Gerarda, ale i od Rose 6 Stan°^a  
Pytanie brzmiało: w jakim stopniu ów starannie ob gmach zamiarów i postanowień, który od  
tak dawna a teraz wreszcie wykończył, został zagrożony, a nawet " uszkodzony, przez  
nieoczekiwaną propozycję Gerarda^ j\*\*\*^ nigdy nie wchodził w związki homoseksualne, nie  
rozważał^"" swojej zażyłej przyjaźni z Gerardem w takim świetle. Nie ^ stanawiał się również  
nad pytaniem, czym naprawdę było to teraz się pojawiło, a czego dotąd nie było. Czuł po  
prostu wy° różniej niż przedtem, że żyje. Gerard zawołał do niego i owo wzbudzające echo  
wołanie poruszyło uczucia wcześniej głęboko ukryte. Pójdź, zamieszkać ze mną i bądź moim  
lubym. A może jednak to zmieniało wszystko?

Gerard zatelefonował do Lily, a potem do Rose, którą Lily zdążyła już zaalarmować, po czym  
wsiadł w samochód i pojechał do Violet, żeby jej powiedzieć, że Tamar jest u Jenkina. i  
trochę się u kuzynki zasiedziało. Opowiedziała mu (odniósł wra żenię, że opowiadanie o tym  
sprawia jej przyjemność) o napadach hysterii, jakie poprzedziły ucieczkę córki. Violet nie  
miała pojęcia, skąd u dziewczyny to nagle załamanie nerwowe. Pani Hernshaw sprawiała  
wrażenie wytrąconej z równowagi, przy gnębionej, a nawet wystraszonej. Niewykluczone, że  
pod wpty; wem szoku obudziła się w niej prawdziwa miłość do i szczerza o nią troska. Gerard  
skorzystał z okazji, by jyy^ ^ mieć stanowczo, że powinna, wręcz musi pozwoht a ^  
kontynuację nauki. Załamanie nerwowe było najpraw niej właśnie następstwem przerwania  
edukacji. Niekt ludzie wręcz namiętnie pragną się uczyć, pragną pewne zaś naprawdę trudne  
zagadnienia, które /tan^odu..Jeśli kapitałem na całe życie, należy sobie przyswajając za ^  
de\_ Tamar spotka teraz zawód (perswadował), może ^ Qks. presję i stracić posadę, jeśli  
zaś będzie mogła wro Qti

fordu, dostanie w przyszłości pracę znacznie lcp1^ ^so\*0-tymczasem będzie wielce rad.  
mogąc ją vVSp.1Crazybko z c^ i tak dalej w tym duchu. Violet otrząsnęła się lowego  
rozczenia i przyoblekła dobrze

Uczącego, ironicznego szyderstwa. Wyszedł od niej jed-\*\*\*\* ^nadzieją, że jego słowa  
zapadły jej w duszę. nakże z ,Q domu. usłyszał od progu dzwonek telefonu.  
°wała Rose. Powiedział jej o swojej wizycie u Violet. felef°n°^ interesował, zadzwoniła  
jednak z całkiem

TeIliat powodu. Chciała po prostu usłyszeć jego głos, usłyszeć,  
inne°° i (co zresztą skrupulatnie wypełnił): „Dobranoc, kocha-jak mowi i, - ^  
nie śpij d°brze •

Gerard siedział na łóżku w piżamie i szlafroku, wyprostowa-jak wtedy, gdy niewidzącym  
wzrokiem patrzył na dzieci karmiące kaczki nad stawem. Rose dawno już spała, a on nadal  
tkwił w bezruchu i rozpamiętywał zdarzenia minionego wieczoru Oddychał głęboko i czekał,  
aż opadną rozkołysane fale wzburzonych uczuć. Ogromnie żałował, że nie mógł skorzystać z  
propozycji Jenkina, by jeszcze został, by posiedzieli ze sobą w milczeniu, wypili po drinku i  
razem słuchali deszczu. Patrzyliby na siebie i nawiązali, już bez słów, nowe, głębsze  
porozumienie. No cóż, będzie jeszcze po temu niejedna okazja, a pojawienie się Tamar, choć  
uniemożliwiło tę milczącą kontynuację ich rozmowy, można było odczytać jako ważny znak.  
Byli tak zajęci, pochłonięci sobą, gdy nagle wdarli się w to ich wzajemne zapatrzenie  
potrzeby kogoś, kogo obaj cenili i kochali. Ta przeszkoda mogła się okazać rodzajem istotnej



więzi, która umożliwi naturalną kontynuację ich nowego przymierza. Owa pocieszająca "Wól pozwoliła Gerardowi uśmiechnąć się pobłaźliwie nad włas-j ^tacJą wywołaną faktem, że Tamar wołała Jenkinsa od niego

O Jenkinsa zwróciła się w potrzebie. Jużsi^lCCWy7UC"Cni t0 L s'emc nareszcie, pomyślał, znacznie \*ied2iał0Jnie^SZy' wyra/ilem dokładnie to, co zamierzałem, pognie 'le tr/eba- Prosl° i jasno - i cokolwiek się teraz "c/ególneUSZ<? byC' przy2ot°wany i na to, że nie stanie się nic ^ swojerf° P°70stamc 111' kojąca świadomość, że odkryłem Si?Już z UCZUc\_'a- P° tym- co między nami zaszło, nie zdecyduje S'C' \*e żad n°Sci'ł na wyjazd, straci chęć do wyjazdu, przekona

Później jednniar'S jechać nie może. W °err>ności k'et|y najpierw zasnął, a potem obudził się P!erwszy w doznał dziwnego uczucia, oto bowiem po raz

^ jak zebra0'1' °kaZał Wobec Jenkinsa słabość- Przyszedł do rak> stanął przed nim pokorny i bezbronny. Wy-

mienił swoją przewagę na absolutną uległość i ^ przyjaciela do przyjęcia roli jego kata. I gdy myślał teZmi^Lł kinie, o jego dla siebie niezbędności, przychodziły mu d' ° ^ obrazy dotąd niewyobrażalne. Nie wolno mi pragnąć te ° nie mogę dostać, pomyślał. Jak to możliwe. Ze uwtfj\*\*\*® dotąd za łatwe do osiągnięcia? Byłem tak pochłonięty rjotr? ^ złożenia swojego wyznania, jakby ono samo stanowiło -moich pragnień, tę najbezpieczniejszą. Sądziłem, że wolno^ zrobić z siebie głupca, a tymczasem nam obu zabiłem solidn T °wieka. Nawet nie przypuszczałem, że sprawy mogą się potoczyć naprawdę źle i że mimo obustronnej dobrej woli możemy obaj wylądować w piekle. Niewykluczone, że nam obu zgotowałem opłakany los.

\_ Włącz reflektory - polecił Crimond. Wypełniła jego polecenie.

\* Teraz światła mijania, a po nich znowu kilka razy długie.

Uczyniła tak. Siedziała w swoim samochodzie, którego drzwi były otwarte. Crimond stał obok w ciemności. Jego samochód, z zapalonymi światłami, stał tuż przed jej wozem. Była trzecia rano. Zatrzymali się na rzymskiej drodze.

Deszcz przestał padać, zrobiło się chłodno i bezwietrznie. Ukazał się księżyc i zabłyśły gwiazdy. Jean dygotała jak w febrze.

- Jesteś w stanie prowadzić? - upewnił się Crimond.

- Oczywiście.

Znajdowali się na szczycie wzgórza, skąd za dnia roztaczał się widok na długi odcinek starożytnego traktu, przecinającego pagórkowaty krajobraz. W miejscu, gdzie się zatrzymali, zaczynał się zjazd, potem droga wspinała się pod górę, potem następował lekki spadek, a dalej długi łagodny podjazd na odległy 0 blisko dwie mile szczyt następnego wzgórza.

- Kiedy tam dotrę, dam ci znak: włączę powoli, trzy razy,

'gie światła. Ty mi odpowiesz tak samo. Jeśli pojawi się jakaś °dkąd-° n'C PrzyPuszczam- °y c°ś miało nam przeszkodzić, auta - ZJCClla^my z §'ownej drogi, nie spotkaliśmy ani jednego światł gd^by Jednak wyskoczyło coś nieprzewidzianego, mrugnę mi tak 1 S?ybko ki,ka razy. co będzie znaczyło: „czekaj”, a ty cząja Samo °dpowiesz. Po pierwszej wymianie sygnałów, ozna-króti^ ' ZC dotar!em na miejsce, a ty mnie widzisz, robimy sygnajj? erwe' po czym oboje powtarzamy jednocześnie tę samą Parnfn^ WłączaJ^c trzykrotnie, powoli, długie światła. Chy-d^enia. S?' Ca'ą procedurę, powtarzaliśmy ją wręcz do znu-

NatUral

nie.

- Po drugim trzykrotnym, wolnym włączeniu reflektn zwłocznie ruszasz. Jedziesz oczywiście na światłach ^rÓWnk chcemy się przeciw wzajemnie oślepić. Musisz jed^\*0\*9^ tac, żeby się trzymać lewego skraju drogi. Nie jest w ^ Pamic" zbyt szeroka, więc nie sądzę, by coś miało się nie udać"1"\*\*\*" zostaw mnie. Nie zapomnij zapiąć pasów. Mogą z.Jjść^^ nieprzewidziane

okoliczności, a ty musisz zostać w e ° samochod. Nie zaniedbaj tego, proszę! Nie chcemy rze^\*

skończyć oboje na wózkach inwalidzkich. Nie wolno

, | . '«"uni nam ryzy-

kować i zdawać się na przypadek. Pamiętaj, że kiedy zjedzie-na dół. stracimy się z oczu. Za wzniesieniem zacznie się rne wielki spadek, a potem długi podjazd. Gdybym to przewidział moglibyśmy odwrócić kierunki, ale teraz to nie ma znaczenia zresztą twój wóz jest znacznie silniejszy... To powinno być proste' i łatwe, tylko błagam cię: jedź pełnym gazem! W chwili spotkania każde z nas musi rozwijać co najmniej osiemdziesiąt mil. Zdołasz zapanować nad wozem przy takiej prędkości?

- Oczywiście.

- Nie ryzykuj utraty kontroli nad autem... lecz po co to mówię, przecież jesteś wytrawnym kierowcą! Po prostu rozpuść wóz. Nic musisz patrzeć na licznik, troskę o właściwą prędkość zostaw mnie. Jedź prosto i trzymaj się lewej strony drogi. To chyba wszystko. Wsiadę teraz do mojego wozu. Uzgodniliśmy, że się pożegnamy... ale wszak my się nie musimy żegnać, bo odtąd zawsze będziemy już razem.

Odwrócił się szybko, chcąc odejść. Jean wysiadła z samochodu, dogoniła go po kilku krokach i dotknęła jego ramienia Poczwała, jak zadrżał i wzdrygnął się, a gdy się obrócił, ich ora zetknęły się na chwilę. Potem stała nieruchomo i P^3^ ^ wsiada do samochodu i zamyka drzwi. Włączył silnik. ^ wadzała wzrokiem tylne światła fiata i patrzyła, jak sno ^ [lektorów ześlizgują się szybko w dół wzgórze, wspn przeciwległe wzniesienie, na chwilę znikają, a następn wiają się ponownie na długim podejździe na o eg \_ Potem wsiadła do swojego auta, zatrzasnęła drzwit-z ła pas. sianatyID"

Jej rover był silniejszy od fiata Crimonda. Zfapa a ^^?0 że myśli o samochodach. Lubiła swoje auto, a tera^|ała 0 pun-

je rozbić, roztrzaskać na miazgę. Przez chwilę my

b pytała samą siebie, czy nie będzie miał nic prze-canie, J3\* ,zeruu ich własności. Potem odchyliła się na oparcie cjtoko znis^uła jak dopada ją senność. Czy ja śnię? - zastano-fotela i P0^ ^ sen9 niewątpliwie tak. Myślałam o tym nie-wiła się- ^ąd David zaczął drażyć ten potworny temat, ustannie- ^ ^ \_ ^ prZygnj^0 Poderwała głowę, jakby rzeczy-1 \* ^ocknęła się ze snu. Ale to nie był sen: przyjechała tutaj, ffniejsce. o którym tyle rozmawiali, i w czasie, jaki wybrali. Wt°czas nadszedł i jej kochanek odszedł. W pierwszej chwili ^raziło ją uczucie strasznej samotności, a potem przypominała sobie co miało się wkrótce zdarzyć, i zmartwiała ze zgrozy. Znowu zaczęła dygotać i dzwonić zębami. Zebrało jej się na mdłości. Machinalnie włączyła silnik. Jednocześnie zaś pomyślała: jeszcze czas. Mogę pobiec do lasu i wymiotować, mogę postradać zmysły, mogę błędzić wśród drzew, mogę gdzieś przycupnąć. Co to wszystko ma ze mną wspólnego? Czy nie dokonaliśmy już tego czynu przez samo to, żeśmy się nań zdecydowali? Po co posuwać się dalej? Czy to już nie jest tak czy siak skończone? Dotąd nie zwracała uwagi na dojmujący chłód. Teraz podkreśliła szybę w oknie. Lepiej zostać w ciepłym samochodzie, pomyślała. Miała na sobie kusą kurteczkę. Jej torebka leżała na siedzeniu pasażera. Po co ją ze sobą brała? Gwałtowne mdłości przywróciły Jean poczucie czasu. W jej głowie rozpuętała S1?gonitwa rozpaczliwych myśli. Przestała rozumować logicznie,

Prawdziwe mogły się okazać również sądy sprzeczne, koch °Statn^cn aniach starała się zgłębić prawdziwe zamiary anka, odkryć, jak to już miała w zwyczaju, czego napraw-mvJjragna-\*' \* dopasować się do jego oczekiwań. Przez jakiś czas mu ml- ^°hyba 7resztą nadal łudziła się taką nadzieją), że szło jedna °k° °dwagi. To byłoby do niego podobne. Jeszcze kdowad ^ W rosyJska. ruletkę, udawanie, że pistolet jest na-odwaginy' kiedy me był. Powiedział, że oczekuje dowodu jej jedno w "Wodu miłości? - spytała. Tak. dowodu miłości,

na "narko" Powtarzała się stara historia: potrzebował, nie-^> że n-T^U' wyraznego° dowodu, chciał się naocznie upew-Przyjechała 3 ^° niega A ona ,stotlue do niego należała, ^^'e, w na.tę rzymską drogę, brała udział w tej strasznej stawić 3 ^° teJ \*zr)y tortur, bo nic umiała mu się prze-' musiała być posłuszna. Nie mogła go zawieść... ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Jeśli go zawiedzie, porz • I czy musi zginąć, żeby przejść próbę pomyślnie? N|CI\*1,A,e w ostatniej chwili ocali, pomyślała, to będzie również0' °° Das podobne. Będę jechała lewą stroną drogi, a on mnie ^ 01680 wyminie albo będzie niby pędził prosto na mnie, po Czy° gwałtownie skreśli. Powiedział: „resztę zostaw mnie" Ntz^ na nic więcej mnie nie stać. tylko tyle zostało we mnie°C°Z' Potem się znowu spotkamy, obejmiemy, popłaczemy zatać^ my. Tak będzie. A potem nasza miłość nabierze jeszcze więksj mocy. wzbogaci się tysiącrotnie, stanie się wręcz boska Pr dziemy przez doświadczenie śmierci, które czyni człowieka nie śmiertelnym. A jeśli on naprawdę pragnie śmierci, jeśli pragnie byśmy zespolili się w jej objęciach i przeszli do legendy? Jeśli takiego dokona wyboru, jeśli się zdecyduje na to ostateczne dopełnienie naszej miłości, uznam jego wybór i podzielę chęć. Wydała cichy, niemal ptasi okrzyk, a jej ciało przeniknęła taka ekstaza czy trwoga, jakby rozpromienił je od środka nieziemski blask. Oddałam mu życie, więc jeśli je zechce wziąć, niechże się tak stanie, a jeśli oszczędzić, niechaj i tak będzie. Oto jest szczyt, ku któremu się wznosiło całe moje dotychczasowe życie, oto chwila warta całej reszty czasu, chwila odkupienia. Nie czeka mnie już żadna inna. trudno, godzę się na to. Nie mogła jednak uwolnić się od myśli: to niemożliwe, byśmy się nie mieli nigdy więcej spotkać, niemożliwe, byśmy nigdy więcej nie mieli być razem, nie mieli porozmawiać o tym doświadczeniu. Jeśli bogowie mają nas nagrodzić, musimy być przecież obecni-by przyjąć nagrodę - chyba że ma nam być nagrodą przc/y~Ł ostatnich chwil tak właśnie, jak je przeżywamy.

Dygotała z podniecenia i strachu. Miała wrażenie, wa urosła do rozmiarów ogromnej bani. nakłuwanej szp ładunków elektrycznych, naszpikowanej igiełkami P"^. ""^ mrU-bólu.

Siedziała za kierownicą w zupełnym bezruch"óra z(jawała czał, a ona wpatrywała się w drogę przed sobą\*\,dzia)a jcsięzyc się drzeć, wznosić i kipieć atomami ciemności, i Cv i gwiazdy, iskrzący się w ich poświacie oszroniony tylne-samochodu Crimonda. blade snopy reflektoroWra7Spłonęły które chwilę wcześniej zniknęły jej z. oczu, a e ^qc/c ó&F soko na odległym wzgórzu, wspinając się wolno jakW ności. Patrzyła, jak przygasają, a potem całkiem , tam przepaść, otchłań, w którą Jean miała zaraz ot%wierła z cjemności wyłoniły się z wolna kręgi reflek-

#paść- 0^błystły trzykrotnie włączonymi długimi światłami. Je-10r°tt orzyła usta i wydała głębokie westchnienie. Stwierdziła. an°tW°ka czeka już w pogotowiu na przełączniku światel.

Trzy-

ZejeJ- raz za razem mrugnęła długimi światłami. Sygnał z od-^|^wtórzył się zgodnie z umową, a ona szybko nań odpo-

edziała Reflektory Crimonda ściemniały, więc i ona włączyła ^ada drogowe. Wrzuciła bieg i zwolniła sprzęgło. Samochód czał się staczać ze wzgórza. Po chwili zniknęły w ciemności świadka reflektorów na przeciwległym zboczu. Jean dodała gazu i poczuła nagły przypływ energii, przybór jakiegoś szalonego uczucia, może trwogi, może radości, a może rodzącego się w głębi jej ciała przedłużonego spazmu miłosnej rozkoszy. Jeszcze mocniej nacisnęła pedał. Prędejj, prędejj! Jednocześnie zaś pomyślała: a palem wybierzemy się w podróż po Francji. Ja będę prowadziła, David w gruncie rzeczy nie lubi siadać za kierownicą. Tyle razy wyobrażała sobie tę podróż, w którą się mieli wybrać po skończeniu książki. Odpoczną, wyjadą gdzieś autem i będą szczęśliwi jak wtedy w Irlandii. Ale przecież książka już jest skończona, a oni już są szczęśliwi! Czy to, co robi wtej chwili, uległa woli kochanka, nie jest przeżyciem doskonałego szczęścia?

Kiedy osiągnęła garb na spadku drogi, ujrzała ponownie, lecz tenie już bliżej, reflektory fiata. Droga jeszcze trochę opa-

a' a potem zaczął się długi, łagodny podjazd. Jean wbiła w Jrzenie w blade, płonące w dali ślepie, które zdawały się fcymCh r°SnaĆ ' roziarzac'- Rover mknął lekko, bez wysiłku, P°WocT Cn.^ ptak' Zerknęła na szybkościomierz, ale z jakiegoś ślepie - mogła S° dojrzeć, jak gdyby blade, szybko rosnące J\* dJu'UDe\*nIe ^ 0slcPiiy- zakrywając przed nią cały boży świat. j^hała8? t0 będzie trwało? - zastanowiła się. Im szybciej będę ' c°koiwie^ ^óeej\* Dziwne, ale podczas długich, okropnych 1 tyiil- co ! SZA'0nycn rozmów, jakie prowadzili w związku S°D'e oigd11^0 S'ę 10zc8rać na rzymskiej drodze, nie usiłowała ^^ni, niezwW^^raZ'C" szczegółów planowanego zdarzenia. kJle,r" czyst\*^^ okres jej życia tak był przesycony metaforą,

c\*ący Sję erotycznym podnieceniem (przypominał nie °rgazm), tak nasycony wzajemną bliskością, że

choć w istocie trwał krótko, nie od razu się Crimond nie żartuje, że oni naprawdę szykują się <]0 °Wa\*a' te Ostatnie tygodnie przedstawiały się jej we wspomnie° skąpane w słońcu pole bitwy, szranki rycerskiego ^ z wiejącymi proporcami i obnażonymi, morderczymi k\*"^ r—r----- uiwiuuczymi koni •

jeszcze nie splamionymi krwią. Od tych potyczek Jean uciekać w nic kończące się nerwowe spekulacje na ternat00^ co jej kochanek naprawdę zamierza. Jej wyobraźnia zatm^0, wała się tylko od czasu do czasu na mglistych obrazach-dwa samochody zbijają się w jedną bryłę i na drodze zostaje jedynie zgniecione metalowe pudło. A w środku tego pudła? Ona, złączona z kochankiem na wieki w czarnej, wieczystej ciemności. Będzie tam krew. mieszanka ich krwi, stop dwóch ciał, lecz oni sami znikną, zespoleni wiekuiście w trzasku gromu. Zaczęła wzdychać i jęczeć, jeszcze nie krzyżeć, choć już słyszała krzyk, którym miała dopiero wybuchnąć.

Czy Crimond jedzie lewą czy prawą stroną drogi? - zastanowiła się. Trudno to było na razie stwierdzić. Powiedział, żeby się trzymała lewej strony, a resztę zostawiła jemu. Twoja wola zapewnia mi spokój. Ale teraz została całkiem sama. Nie powinna jednak o tym myśleć. Szybciej, jeszcze szybciej! Coraz bliżej, bliżej! Jej spojrzenie ponownie strzeliło w bok, tym razem ku krawędzi drogi. Biegł wzdłuż niej niski, kamienny murek, zbudowany ze złotożółtych kamieni, spojonych bez użycia zaprawy. Tworzyły geometryczny wzór, który przewijał się p? em w światłach reflektorów, hipnotycznie przykuwając jej uwagę-Mur. Przeciwległa strona drogi była niewidoczna, jakby ^ wała ją czarna przepaska. A potem Jean ujrzała oczanllmniaj braźni wózki inwalidzkie. Crimond ledwie o nich w\*P°dlat ale jej umysł już stworzył sobie obraz tak wyraźny, J<> szają go przywoływała i rozpamiętywała: oto ona i Crimo ^^tii się wolno w jakimś wielkim pokoju, mozolnie obracaj koła swoich wózków, mijając się obojętnie jak dwa^ CP^ chcerny owady. Czyżby tak miała wyglądać ich starość. ^ oboje stetryczeć, nie chcemy też. zostać kalekam'jeraZ 0 nieć\*\* tego spartaczyć! Samochód Crimonda, oddalony ,^eaop^' milę. mknął niewątpliwie właściwą stroną drogi, c -y^ wą, a jej lewą. Zbliźali się ku sobie po tym sainy^j g.l/U. IV' się czołowo. Stopa Jean dociskała do deski pe

•e- ryk silnika, którego dotąd nie była świadoma. Miała p^zryw^1 J6^ kierownica skamieniała jej w dłoniach, ściśnięta prażeń'6' .^aLJle jeszcze nigdy tak szybko nie jechała, mimo niczy111 że ca,kowicie nad samochodem panuje. Gdybym 10 C7Uła'ei chwili przecięła mu drogę, przemknęło jej przez \* ^uderzyłby w bok mojego wozu i doszłoby do wypadku. ^ "kamiennego murku rwała do tyłu tuż obok rovera. Blade, ^3SIIia ace ślepie, które przez pewien czas zdawały się rosnać bezruchu, teraz wyraźnie się zbliżały, nadlatywały pędem. Iły coraz bliżej, zbliżały się coraz szybciej. Jean zaczęła się modlić do swego kochanka. Czyż mogła go zabić? Gdybyż tylko ona mogła umrzeć, a on zostać bogiem! Powiedział: trzymaj się lewej strony, resztę zostaw mnie. Jasne ślepie były już tuż-tuż, hipnotyczne, rozjarzone,

oślepiające, wypełniały całe pole widzenia Jean, były tuż przed nią, nadlatywały pędem, szarżowały! On nic zamierza nagle ostro skręcić, przemknęło jej przez myśl, to wcale nie jest próba, to się dzieje naprawdę, to już naprawdę koniec! Zaczęła krzyczeć, jej krzyk zlewał się z rykiem silnika. Widziała już nie tylko ślepią, ale cały samochód, oświetlony jej własnymi reflektorami, czarną karoserię i zarys postaci za szybą, coraz bliżej, bliżej! Pudło, pudło, pudło. Ach, mój ukochany!

Kamienny murek nagle zniknął, a wzrok Jean, utkwiony \*c'az przed siebie, skoncentrowany na zderzeniu, które miało 1^ Wile nastąpić, omiół nagle jakieś drewniane wrota. Targnęła LestvWmCLł tra^\*a w bramę, samochód przebił się przez zoddarW°Płot ' przewrócił na Dok na trawę. Światła zgasły, zdumh 1 d°bieși Ją ^dzierający pisk. a potem zaległa cisza, jea^Wałoco martwa. Cisza i ciemność, o swoim0 yChała ostrożnie. Więc mogła oddychać. Pomyślała boku- Wi C-1Cłe 1 poruszyła S1? 'ekko. Samochód leżał na lewym "ionej Cjern 3 na zaP'ętym pasie bezpieczeństwa. W nieprzenik-^a Po om-n°SCi n'e byJa w stanic określić kierunków. Poszu-^ki, po' ?apięcia Pasa- Wydało jej się, że słyszy szcęk ^j^hał a <jZym spa<Jła na oparcie sąsiedniego fotela, który J k^chu \{k° d° Pr/°dm Podciągnęła kolana i zastygła

^bo,afan . r/yma-"lc sie Jedną ręką kierownicy. Bolała ją gło-a stopa. Niewykluczone, że wciąż naciskała pedał

gazu, gdy samochód przebijał się już przez żyWo wrażenie, że całe ciało ma w sińcach. Skoncent P°1' ^ oddychaniu. °Waia sie ^

Po jakimś czasie ujrzała światełko podobne do błonnika. W górze ponad nią zagrzechotały drzwi samochodu ^ °g~ je próbował otworzyć i wreszcie otworzył. Jednak znalazł 1 ^ we wnętrzu pudła, przebiegło jej przez myśl, i oto ktoś^oT^ wieko. Do wnętrza samochodu wśliznęło się światło latarki ^ żując jej kolana, przesunięty fotel pasażera, strzaskaną przed^ szybę i dziwny, pokrywający wszystko śnieg - okruchy rozbite szkła, jak sobie uświadomiła. Spojrzała na własne kolana i baczyła pończochy, brunatne pończochy, które włożyła, które z rozmysłem wybrała, ubierając się o północy. Crimond poradził jej wcześniej, żeby się trochę zdrzemnęła, i ona, choć to niepojęte, naprawdę zasnęła. Przypomniała sobie teraz, że zapomniała go spytać, czy i on się zdrzemnął. Wydała gardłowy dźwięk, żeby sprawdzić, czy umie jeszcze mówić, po czym wykrztusiła zmienionym głosem:

- Chyba nic mi nie jest...

- Wsiadaj - rozkazał zmieniony głos Crimonda.

Czy zdołam? Czują się taka słaba, zmaltretowana, wpleciona we wnętrze samochodu niczym martwy, bezwładny wąż. Wparła stopę w tablicę rozdzielczą i podciągając się na kierownicy, jęła windować się do góry. Pełzła wzwyż, trzymając się jedną ręką koła kierownicy, a drugą chwyciwszy się krawędzi otwartych drzwi. Zabrakło jej jednak siły, żeby się podciągnąć^Musir\* starać wcelować głową, głową, którą jej rozrywał jakiś zi ból, w ten otwór ponad nią, i musi zapomnieć o bolącej st°^ Przeciśnięcie się obok kierownicy nie będzie łatwe. P- ^ chwili poczuła, że klęczy, potem znalazła jakieś °^wan0gC stopy, być może na fotelu pasażera, zdołała wyciągnąć ^qVi.c). i wspiąć się do góry. Napała na oparcie siedzenia ^ ^ a ono ustąpiło nagle i opadło. Wysunęła głowę, a przez pogięty otwór drzwi, przez który wpada snJeWa s!opa latarki. Na moment ciężar ciała przejęły jej ramlon^o}0 kjero\*' znalazła jakieś chwilowe oparcie, prawdopodobnie ^ardz0 nicy, i Jean udało się usiąść na krawędzi otworu, p°^ najpie^ wolno, pomagając sobie rękami, wyjęła z samoC jedną, potem drugą nogę.

ł obok i przyświecał latarką. W inny sposób nie

rrjfli°nds

, ;ei pomoc

„siłował j j upad}a na zicmic. Oparła się o samochód. Jej jean nl ^ p0aiętego. czerwonego metalu, lśniącego w blasku rfkad°M sz.ę spróbować iść. nakazała sobie. Zrobiła kilka kro-

latarki a noga bolała, ale dawała oparcie. Ból w głowie, który kow. Prawa ^ Qm sic z wralcUł teraz powrócił.

Więc idź.

Promień latarki prześliznął się w stronę drogi i sylwetka Cn-monda jeła się oddalać.

Jean, skupiona na własnym, powracającym do życia ciele, zawołała:

- Ach, poczekaj, proszę! Pomóż mi!

Pokuśtykała za odchodzącym kochankiem. W świetle latarki ujrzała ciernisty, bezlistny żywopłot, wyrwę, jaką w nim uczyniła, dalej asfalt drogi, po kilku zaś następnych krokach - oświetlone reflektorami fiata drewniane wrota u końca kamiennego murku. Crimond zawrócił, żeby ją ratować.

Teraz przeskoczył przez wyrwę w żywopłocie i wyszedł na drogę.

- Odjeżdżam - oświadczył. - Ty rób, co chcesz. Więcej się nie zobaczymy.

Zaczęła krzyczeć.

~ Och nie, błagam, nie! Nie opuszczaj mnie!... Weź mnie ze \*\*ą, przebac mi!... Nie potrafiłam cię zabić. Kocham cię,

zabi     ? a Clc^le zycie- iecz zabić cię nie mogłam... Proszę,

erz mnie do domu. Nie możesz odjechać beze mnie!... Mied °Wiedziałem- Przestałaś dla mnie istnieć. Idź do diabła.

\*y nami wszystko skończone. }eś mruePrZeCie\* Wcale nie chciałaś nas zabić, nie wierzę!

Chcia-^chow6 •tylk° poddac próbie. Myślałam, że właśnie takiego

KuszyT     mn'e oczekuJesz-ny w hu .W strone swojego samochodu, doskonale teraz widocz-  
Jeanp^Ureflektorów.

Pok?7^1 J° zywoPłotl1, a,e nie zdołała się przezeń prze-^orzy^     stykała w stronę bramki, lecz nie była jej w stanie

otwierał tymczasem drzwi auta.

- Kochany, poczekaj na mnie, błagam! Poczek ' czaj mnie! dJ' "le °Pusz.

- To ty mnie opuściłaś. Do niczego mi już nie jesteś

na. Nie leż za mną. nie zmuszaj mnie. żeby cię kopo jP°tl2e')' już koniec. Basta. Nic widzisz, że mówię poważnie"" ^

- Ależ ja cię kocham! I ty mnie kochasz. Ślubowaliśmy miłość wieczną!

- Mogła się taką siać. Tyś to przekreśliła! Nie rozumiesz że ja także cierpię? Zabrałaś mi jedyną rzecz, jakiej naprawdę pragnąłem, jaką tylko ty mogłaś mi dać. Zawód, jaki mi \$Pa-wiłaś, przekreśliła nasz układ.

- Pojadę z tobą, jutro do ciebie przyjadę! Mam na świecie tylko ciebie, tylko ciebie jednego!

- Nie zbliżaj się do mnie więcej ani teraz, ani jutro, ani kiedykolwiek. Przestałaś dla mnie istnieć. Odejdź, ciesz się wolnością, wykorzystaj swą szansę. Nie pamiętasz? Myśmy się już pożegnali. Między nami wszystko skończone, sama wybrałaś sposób tego zakończenia.

Mogliśmy byli zabić jedno drugie, ale ty wolałaś zabić naszą miłość. Tej nocy ona umarła. A teraz odejdź! Idź. dokąd chcesz, i nie pokazuj mi się więcej na oczy. Odtąd jesteśmy sobie obcy. Nie chcecie więcej wid/iec.

Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Szarpała drewniane wrota, krzycząc rozpaczliwie:

- Nie odjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie!

Samochód ruszył tyłem pod górkę, zahamował i zaczął ^zawracać. Skowycząc, mocowała się z jakimś pierścieniem i cuchem.

prędkości i zniknęło w dole. Zobaczyła jeszcze tylne

brało światła i

emność

Aulo Crimonda zawróciło, zjechało w dół zbocza, nai

-: -itła na

szczyt pagórka, a potem już nic. Zapadły na powrót cie i cisza, pojawiły się księżyc i gwiazdy.

Zdołała w końcu otworzyć drewniane wrota. ^^j^^ona stała na środku drogi z otwartymi szeroko ustami i zWjerze w tył głową, zalewała się łzami, wyła niczym dzi >e ^^je i darła na sobie ubranie. Potem mszyła na osłep P^^j po

Musi się dostać do Londynu, złapie jakąś okazję, nią wróci. Uświadomiła sobie, że jest cała obola ją ziąb. Szła z trudem, płacząc, ze zwieszoną, powłócząc nogami, bliska osunięcia się na kolana,

ła się w pewnej chwili i rozejrzała wokół. Ota-zat[yeprzejrzana ciemność. Choć nie, w oddali migotało cza^a ^ światełko, zapewne okno jakiegoś domu. Od drogi pojedync2^^ stronę ścieżka. Powlokła się nią, kuśtykając, odszedłszy blisko, zdała sobie sprawę, że stoi przed

popiero p gojarówka.

Rose Curtland śniło się, że jest z Sinclairem w Watykanie • we trójkę z papieżem grają w brydża „z dziadkiem”. Papież okazywał niepokój, ponieważ czwarty gracz, na którego liczone, w ostatniej chwili zawiódł. Nagle zadzwieczał dzwonek i wszyscy troje rzucili się do drzwi. Wisiała w nich ciężka portiera, szamotali się z nią, omal się nie udusili, wreszcie przeczołgali siędotem. Znaleźli się w długim, białym jak śnieg westybulu, w którego dalekim końcu, odziany w białe szaty, w białej, sędziowskiej peruce na głowie, zasiadał na tronie Jenkin Rider-hood. Rose umierała ze strachu, kiedy oboje z Sinclairem zbliżali się doń powoli, z pokorą i uszanowaniem.

Dzwonek nic cichł. Panna Curtland obudziła się i zdała sobie sprawę, że to brzęczy dzwonek telefonu. Pamiętała swój sen i strach, a teraz przeraził ją dodatkowo ten natrętny terkot. Zapaliła lampę. Dochodziła szósta. Wstała z łóżka, pobiegła do stojącego w holu aparatu i po omacku sięgnęła po słuchawkę.

~ Słucham?

?! Panno Rose... tu Annuszka... Jest u nas pani Cambus. ~ Co takiego? ^mbu;^^0

PrzePraszam' \*e Paiua. niepokoję. Przyszła pani

»s 1 chce z panią mówić. ^ -° się stało?

sztah'?1\*! ^°se Us'yszała w słuchawce głos Jean, a raczej

tat. Co''chanie moje! Co się stało?... Boże, nie rozpaczaj Jean Slc stal°' skarbie?... Czy spotkała cię jakaś krzywda? - Chc- W ^ńcu wykrztusić przez łyzy: ^ Crimnnoj111 pros'ć. żebyś pojechała i... i sprawdziła czy..

-0

concio

Wl nic się nie stało., 1 Cle, natychmiast jadę. Ale ty... czy tobie nic się nie stało? Najdroższa, kochana Jean. nie płacz, błaP,m mi się kraje. B m< serCe Jean spróbowała opanować szloch.

- Nic mi nie jest. Jestem tu. u ciebie... Annuszk miła... a lekarz... d była tak

- Lekarz?

- Och. ja czuję się świetnie... ale boję się, że on... że on -sobie coś zrobić.

- Opuściłaś go - odgadła panna Curtland.

- Nie, to on mnie opuścił. Ale boję się, że może się zabić zastrzelić. Czy mogłabyś podjechać i...

- Naturalnie, już jadę. Choć jestem pewna, że nic złego sobie nie zrobił, nie on... Jadę i zaraz do ciebie zadzwonię. A ty, Jean nic jesteś ranna? Co lekarz?...?

- Skreśliłam tylko nogę, to głupstwo.

- Zostań tam. nigdzie się nie ruszaj! Annuszka się tobą zajmie, a ja prosto od Crimonda do was jadę. Połóż, się i odpocznij, ja już do was jadę!

- Dobrze... jeśli pozwolisz... chyba u ciebie jakiś czas zostaną...

- Czy mogę zamienić słówko...

Annuska już była na linii. Mówiła wolno i spokojnie, opanowana jak zwykle. Pani Cambus miała wypadek samochodowy. Tak, niedaleko stad, właśnie jechała do Bojarówki. Nie, nie odniosła żadnych ran, skręciła sobie tylko mocno nogę w kostce i ma lekki wstrząs mózgu. Zobaczyła światło na półpiętrze, które ona, Annuska, zawsze zostawia na noc. kiedy jest samak<sup>^</sup>(ką mu. i przysłała tu całą drogę na piechotę, z. tą skręconą Tak, doktor Tallcott już był. przyjechał w trymiga. PomL <sup>^</sup> że to wstrząs mózgu i kazał odpoczywać. Zabandażow <sup>^</sup> coną kostkę i dał pani Cambus jakieś proszki. Obiecał, zej<sup>^</sup> <sup>^</sup> zajrzy. Jean leży na kanapie w salonie, bo po sch<sup><</sup>u b0... rady wejść. Nie zadzwonili do panny Curtland o <sup>^</sup>za(jnym - Zatrzymaj ją choćby siłą! - nakazała Rose. ~~ tepCdy pozorem nie wypuszczaj! Zadzwoń jeszcze, a p

do was jadę. ,a sję w P0"

Zapaliła wszystkie światła w mieszkaniu i u kluC-/y.kó»' śpicchu. gorączkowo. Nie mogła znaleźć torebki <sup>^</sup> <sup>^</sup> do samochodu, omal nie zapomniała o płaszczu.

flico nawet rękawiczki, włożyła swoje najcieplejsze

jazła wsZ' czapkę i szalik. Nie zgasiwszy światel, zbiegła

pali<sup>o</sup>- we '. wypadła na mroźną, pustą, oświetloną latarniami

po sch<sup>o</sup> szosta rano. ciemno jak w środku nocy.

<sup>^</sup>cc' - ai -7V do samochodu. Rose poddała się lękowi. Oto działał Wsiadłszy ....

straszne, a jeszcze straszniejsze miały zapewne nastą-

S'-C<sup>a</sup>razie nie pozwalała sobie na radość z powodu rozstania

<sup>^</sup>nanków Cokolwiek to znaczyło, mogło wszak zapowiadać •itaś okropną katastrofę. A jeśli

znajdzie Crimonda w kałuży krwi z przestrzeloną głową? Nie powiedziała Jean prawdy.

Oczywiście uważała go za osobę ze wszech miar zdolną do targnięcia się na własne życie.

Prawdę mówiąc, jeśli naprawdę się rozstali, było to aż nadto prawdopodobne. Skończył

książkę, rzucił kochankę... Inna rzecz, że może wcale z. nią nie zerwał, może zejda się znowu

już jutro. Boże, żeby tylko żył, modliła się w duchu. Już. by wołała, żeby przyjaciółka,

choćby zaraz, do niego wróciła, inne rozwiązania wydawały się tak potwornie niebezpieczne.

Jean oszaleje, Duncan zwariuje, ktoś zginie i wszystko skończy się jakimś koszmarnym

chaosem, końcem wszelkiego ładu, końcem świata!

Ulice były o tej wczesnej porze jak wymarłe. Latarnie oświet-la,y Puste, bezludne chodniki. Z

mostu nad Tamizą zobaczyła drżące na wodzie refleksy światel. Przyptyw podniósł poziom

rzeki. Boże, żeby się tylko nie zgubić! W ciemności miasto oglądało inaczej, niemal strasznie.

Nie pamiętała drogi i nie-J<sup>^</sup>nnie wypatrywała punktów orientacyjnych. Zaczęła pochli-

W Z naPi?cia 1 leku. chodnik<sup>o</sup>ńCU d<sup>o</sup>tar\*a na m'ejsce i zaparkowała samochód na rem

Przed domem Crimonda. Drzwi wejściowe stały otwo-

ehuuo<sup>^</sup>816111 Palił<sup>o</sup> Się światło- Gdy wysiadała z auta, ze strajk szy<sup>^</sup> Słę.pod nia- kolana. W

policzki szczypał mróz. Okrę-<sup>'</sup> dotknęłaSZalikiem' ktÓry wcze<sup>^</sup>nieJ Z(1JCła. Zsunęła

rękawiczki nioria i 1<sup>^</sup>^ d\*on'3 żelaznej balustrady schodów. Była oszro-<sup>'</sup>\*^u- Potvk<sup>o</sup>Wal0

z'mna i JCJ dłoń na chwilę przymarzła do me-

W<sup>^</sup>SąCSię' Rose weszła do sienL <sup>^</sup>a do ko,301" Crimonda było ciemno. Panna Curtland

zaglą-

lec-6<sup>^</sup>0\*1 pomies7c7-eń, w każdym szybko zapalając <sup>^</sup>adząc<sup>^</sup>1<sup>^</sup>0<sup>^</sup>0 w nich nie zastała.

Podeszła do schodów c do sutereny. Paliło się na nich światło, jasny pro-

stokąt blasku padał też z otwartych drzwi pokoju na d pierając się na poręcz, zbiegła po

stopniach. P<sup>o</sup>d-

W dalekim końcu obszernego pomieszczenia lampą pod sufitem i drugą, stojącą na biurku

pod p<sup>^</sup>,et.Io,le80 ścianą, ujrzała sylwetkę Crimonda. Stał tak nienichomo<sup>^</sup>1\*168<sup>^</sup> trzymająca

ręką skrzydło drzwi, uległa przez chwilę zfo<b<sup>o</sup>\*' że on naprawdę nie żyje. że zmarł w

pozycji stojącej N <sup>^</sup> raźniej nie usłyszał, jak weszła, choć zbiegając po schód



musiała narobić hałasu. Potem obrócił z lekka słowo „

4 | j j • - i j .. t-'wvvv, uostrzegł

ją i w geście zdumienia podniósł do gardła rękę. Bierze mnie za Jean, pomyślała. Zdjęła czapkę, odwinęła szalik i rozmęła palto.

- Rose!

Usłyszawszy swoje imię w ustach tego człowieka, przeżyła nieprzyjemny szok. Zeszła po kilku schodkach do pokoju. Zapragnęła na chwilę usiąść. Na krześle stojącym przy biurku leżał wełniany szal. Podniosła go, rzuciła na podłogę i usiadła. Crimond odsunął się o krok; przyglądał się jej zza biurka.

- Więc jesteś cały i zdrowy...

- Widziałaś się z Jean?

- Rozmawiałam z nią. Bała się, że możesz się zastrzelić.

- Jak widzisz, nie zastrzeliłem się.

- I nie masz takiego zamiaru?

- W każdym razie nie w najbliższym czasie. A prawdopodobnie w ogóle.

- Wyście się naprawdę... rozstali?

W pokoju panował dotkliwy chłód i słowa wychodziły z J ust spowite w obłoczki pary.

- Tak

- Zostawisz ją teraz w spokoju, prawda? Nie będzie więcej prześladował?

Pozostawił to pytanie bez odpowiedzi i tylko up \_ wpatrywał się w gościa. Miał na sobie czarną marynarkę i szary pulower, z którego wystawał kołnierzyk białej koszuli. Księżyc błada, pociągła twarzą i wąskimi wargami wygła. a okrutny, surowy i bezwzględny ksiądz.

rose wstała

Rose wstała, podniosła szal i położyła go na krześle. Czowała, że ma do zrobienia coś niezmiernie ważne. Powinna to zrobić niezwłocznie. Musi wydobyć i informację, uzyskać od niego jakieś przyrzeczenie

jakąś informację, inA, i

sama mu

\*\*\*\*\* a mu COŚ Powiedzieć-

lub sama Odezwała się - że Jean nie spotka teraz żadna

" Nie wolno ci jej więcej niepokoić. Skoro doszło do rozstania, nie powinieneś się do niej więcej teściu Niech ta sprawa ostatecznie się zakończy. Wpatrywał się w nią z uwagą i milczał. Odwróciła się i weszła na schody. Okręciła szyję szalikiem, łożyła czapkę, zapięła palto i wyszła na ulicę, na przejmujący świat. Wsiadła do samochodu i odjechała. Zatrzymała się przy budce telefonicznej w pobliżu mostu Vauxhall i zadzwoniła do Annuszki. Poprosiła ją, by powtórzyła pani Cambus, że Crimond jest cały i zdrowy. Potem ruszyła w dalszą drogę, do Bojarówki. Jechała i płakała.

- Ale jak się tu znalazłaś? Co robiłaś na rzymskiej drodze? Jechałaś do Bojarówki?

- Tak, już ci mówiłam...

- Dlaczego nie pojechałaś drogą przez wieś?

- Zgubiłam się.

- Dlaczego przypuszczałaś, że mnie tu zastaniesz, przecież wiesz, jak rzadko tu bywam?

- Miałam taką nadzieję. Chciałam się wyrwać z Londynu, usiałam gdzieś wyjechać, zaraz, natychmiast, dokądkolwiek.

Wariacka- szybko, no i wbiłam się w ten ży-

Dzieciłaś z Pobiegnij ci drogę lis i musiałaś gwałtownie-

" Jale, oczywiście, lis... iście się z Crimondem... godzynie k'()tn'a-

Zachowywaliśmy lodowaty spokój.

\* przy Obo-'c, ze Pora si<? r°7-stać.

\* Opuścić"1- mÓwiła^ ze on ciec opuścił.

S'Cc° doT'^"1^ S\*c nawzajem. To już skończone. Zgodziliśmy > A,e ^e8° ohoje.

•" Byłam aS S'e' /C moşłby si? zabić...

'e zabi'^ S/'°CU- Pr7epraszam, że narobiłam ci kłopotu. On Je> miałaś rację. To oziębły typ.

- Nie powiedziałaś mu, że tu jedziesz?

- Oczywiście, że nie.

- Czy on kogoś ściga?

- Ależ nie!

- Więc czemu... Och. Jean, wybacz, że tak c ogromnie się cieszę, że tu jesteś i że opuściłaś tego par^"n^" to wszystko jest takie dziwne, niemal za piękne, by mopłr. u prawdziwe! Zadał sobie tyle trudu, by cię zdobyć bałam się, że nigdy cię ze swoich łapsk nie wypuści! Jesteś pewna, że to była decyzja obustronna, że to nie ty zapragnęłaś od niego uciec?

- Chciałabyś móc w to uwierzyć!

- Pragnę uwierzyć jedynie w to, że już nigdy tego człowieka nie zobaczymy!

Minęło południe. Jean, której doktor Tallcott zaaplikował środki nasenne, spała aż do dwunastej. Położono ją w starym, rzeźbionym, dębowym łożu w sypialni, którą podczas pobytów w Bojarówcc ona i Duncan zwykle zajmowali. Policja złożyła już. wizytę. Rose uznała za rozropne zatelefonowanie na miejscowy posterunek, ponieważ tutejszych policjantów znała osobiście. Rozbity samochód już zresztą odkryto. Policjanci przesłuchali Jean. zaledwie się obudziła. Przywieźli jej torebkę. Wypadek nie wzbudził podejrzeń. Przyjaciółka panny Curtland skrzyła gwałtownie, nie chcąc przejechać lisa. Policjanci doradzili jej, by w przyszłości raczej lisów nie omijała. Zjawił się też ponownie doktor Tallcott. Chciał, żeby udała si? do szplta'^"0 kompleksowe badania. Jean oświadczyła jednak, że nie ^ wróci do Londynu i pokaże się swojemu lekarzowi. Do or^ cott był człowiekiem ciekawskim i dociekliwym, ludzkiej natury (chciał kiedyś zostać psychiatrą). R°^}uchania trudu zapobiegła jego zamiarowi wyczerpującego p , ^ pacjentki. Czy przed wypadkiem coś piła? Zażywa oStat-

Jak to. nic brała nawet leków uspokajających? Prze/y miłeniu nio jakiś stres? Więc nie ma niczego do wyznania po-

studze Eskulapa? Rose skierowała uwagę medyka^ne. Nie-rej i zapytała, czy wstrząśnienie mózgu było po nie Q&' szczęście okazało się lekkie. Doktor Tallcott wyzna ^ ^ land na osobności, iż znajduje stan umysłu jej PW ZaSta0a^ niepokojącym. Czy pani Cambus mieszka z mężem

alada jej życie erotyczne. Rose nie udzieliła mu się, J3^ lśnień w tej kwestii. Następnie sługa Eskulapa się podać w wątpliwość prawdziwość wersji wypadku, ^miał si\_ ^ prZez poszkodowaną. Rose sama miała co do niej ^ wāt liw0^ ^ean wprowadziła na przykład do swej wersji ' lisa choć w dwóch wcześniejszych relacjach z prze-

^^ypadku o zwierzęciu tym nie wspominała. Poza tym jak

^ -zabłądzić"" w księżycową noc na drodze, którą tyle razy mogła „z" •\*

Wcześniej przemierzyła?

Teraz siedziała w olbrzymim łożu ubrana w jedną z najładniejszych nocnych koszul Rose. Sprawiała wrażenie zmienionej, obcej niemal wystraszonej. Przypominała wielkiego, demonicz-neo ptaka z ogromnymi oczami i groźnym dziobem. Jej niemal przezroczyście, niespokojne dłonie wyglądały jak ptasie szpony. Wydawała się jeszcze chudsza niż wtedy, gdy Rose widziała ją poraż ostatni; skóra twarzy, pergaminowo żółta, ciasno opinała kości. Siedziała wyprostowana, oparta o stos poduszek i jaśków. Unikała wzroku przyjaciółki, przez cały czas rozglądała się natomiast nerwowo i bacznie po pokoju. Wargi miała rozchyłone, oddychała głośno.

Było późne popołudnie. Słońce zachodziło za zwały różowych chmur. Światła w sypialni były zapalone, choć zasłon jeszcze nie zaciągnięto. Na kominku trzaskały szczapy. Rose stwierdziła, że w pokoju zapanował już ospały, wyciszony nastrój izby chorych, jakby ulotnił się zeń na chwilę straszliwy zamęt dotychczasowego i przyszłego życia Jean. Ach, gdybyż udało mi się tu na jakiś czas zatrzymać! - westchnęła w duchu. ~ Czy mam zaciągnąć zasłony? gdybyś była tak dobra... 06 za T ^Urdand zaciągnęła zasłony - stare, brązowe, aksamit-rze, ^ ny' których podszewka darła się odrobinę za każdym huię ^e zasuwano. Spojrzawszy przez okno w czerwoną tżami św u' dojrzaia mrugające w prześwicie między wzgó-^^gnięcie na-"dalszych wiejskich chat, a bl iżej, niemal na \* Pyszczj^6 r?^'

Przemykającego kota Myszoboja, który niósł

^ Nie C°S' 00 wyglądało na ptaszka, ^hę 2uD?łałabyś ochoty czegoś przekąsić, kochanie?

Może - DziejJ." Na co masz apetyt?

Je' na razie nie. Nie odchodź, proszę.

- A może byś się czegoś napiła? Może whisky b

- Nie, dziękuję. Ten obraz mnie drażni. Cały c?J^

- Już go zdejmuję. Rose zestawiła z gzymsu nad kominkiem parę porc

kotów, które stały tam od półwiecza, a może josc^0^ wspięła się na krzesło (żar ognia

przy piekł jej nogi)'o ^ zdjęła z haczyka duży abstrakcyjny obraz, utrzym^ny0^?2?\* rach

czerwonym, pomarańczowym i czarnym, i, trzyma przed sobą, zesła z krzesła. Oparła obraz

malowidłem doT° 8° odstawiła krzesło i umieściła na swoim miejscu koty. Nad^ minkiem

ukazał się jaśniejszy prostokąt błękitno-białej tapety w kra teczkę.

- Ten wzorek też mi skacze przed oczami!

- Na tapecie? Może chciałabyś się położyć w innym pokoju? Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Nie. Nie odchodź, proszę.

- Nie odejdę, kochanie. Ja nigdy cię nie opuszczę! - Rose przysiadła na łóżku i dotknęła, nie

ujmując jej, wąską, niemal przezroczystą, ptasią dłoń przyjaciółki. - Pragnę, żebyś tu została jak najdłużej. Będę się tobą opiekowała. Odpoczniesz sobie.

- Tylko ty, nikt więcej.

- Oczywiście, tylko ja. Nikt inny nie będzie cię tu niepokoił.

- Ja niedługo umrę. Wydaje mi się, że już jestem martwa.

- Nonsens, jesteś po prostu śmiertelnie zmęczona. Przeżyłaś coś w rodzaju katastrofy okrętowej, ale już jesteś bezpieczna na lądzie. Odpoczywasz w ciepłe, jesteś bezpieczna i otoczona opieką. Musisz tylko dobrze odpocząć, wyspać się, nabrać s do nowego życia.

Rose»

- Kusząca perspektywa, niestety, nie dla mnie. Ach, o. ty nie masz pojęcia... jaka jestem od środka wypalona...

- Zostaniesz u mnie? vk4c\*'

- A mam inne wyjście? Gdybyś znalazła jakiś us\*^radoś-gdzie mogłabyś mnie żywcem zamurować. Słucha a y^ pr7ygasa cią, jak rośnie ceglany mur, i patrzyła z rozkoszą, J światło...

- Co też ty mówisz, Jean!

krofl^

Minęło kilka godzin. Jean przełknęła trochę ^P? napraW^ chleba, a potem zapadła w płytką drzemkę, a n

ni!

przedtem poprosiła Rose, by zostawiła ją na chwilę na Curtland, wyczerpana, spragniona

chwili wy-santf' 1 osobności, usiadła przy kominku w salonie z mru-tchnienia^oC U rern na

kolanach. Ona również przeżyła silny cZącym jo;<vvja(iczała burzy chaotycznych uczuć.

Dominowała WStrZi?nimuleie jakaś szalona radość. Rose cieszyła się jak dziec-fjffl myśl o tym, że przez najbliższe miesiące będzie mogła \*° szkać w Bojarówce i opiekować się Jean.

Wyobrażała już 101. nawet, jak będą spędzały dni - na spacerach, lekturach •°ozmowach. Cudowny powrót do minionych lat! Nadejdzie 'ednak nieuchronnie taka chwila (jak prędko?), kiedy będzie anuszona spytać przyjaciółkę, czy nie pragnie skontaktować się z mężem. Niechybnie zaistnieje konieczność choćby tylko poinformowania Duncana, zanim dowie się o tym z trzecich ust, że Jean opuściła Crimonda i gdzieś zniknęła. Rose marzyła o tym, by mogła osobiście zanieść mu nowinę o ucieczce Jean, oczywiście ucieczce dobrowolnej, bo tak mu zerwanie kochanków przedstawi. Twoja żona jest już wolna, gotowa do ciebie wrócić. Gzy tak mogłaby brzmieć ta radosna nowina? Po bliższym zastanowieniu na tym pięknym obrazie pojawiały się jednak cienie. Przypuścimy bowiem, że Jean nie zechce wrócić do Duncana. Przypuścimy, że zechce wyjechać do ojca do Stanów lub zaszyć się na zawsze gdzieś na końcu świata. Rose wzdrygnęła się na wspomnienie potwornej wizji zamurowania żywcem. Czy jest °gole w stanie wyobrazić sobie potrzeby zrozpaczonej, zła-manej nieszczęściem przyjaciółki? A jeśli Jean zechce wrócić do cana, ale ten nie zechce wybaczyć wiarołomnej? Czy będzie

\*as pole do mediacji i czy ona, Rose, okaże się dobrą mediatorką u/ • ^ ,  
ści o pannie Curtland obudziło się już uczucie zazdro-

puS2c^y\*.ączna- °PJeke nad Jean, toteż z niechęcią myślała o do-"dalszych"11 ^° °S°k  
trzec^cn- Konieczność podjęcia jakichś ^e woln ^r0^w" naPełniała ją panicznym lękiem.  
Oczywiście, gotOWa T mczego przedsiębrać, dopóki Jean nie będzie na to u siebie ' -"^  
OWak Rose nie mogła dłużej trzymać obecności

^óźmy3'1' \*~amDus w ścisłej tajemnicy przed światem. d?i' Przv' te§° Sameg0 drua (Jean  
dążyła się tymczasem obu-nasenną i znowu zasnąć) Rose zatelefono-^!elić • >rarc\*a" Uznała,  
że nie tylko musi, ale i powinna SI? L ^mś swoim problemem, a zawiadomienie Hern-  
shawa nie oznaczało przecież rozgłoszenia sekretu tu. Choć dochodziła już północ. Rose była  
pewna3 ^ jeszcze nie śpi, że czyta.

- Halo.

- O, Rose, witaj, kochanie! Co się stało?

- Słuchaj, dzwonię z Bojarówki. Jest tu ze mną Jean

- Co takiego?

- Opuściła Crimonda i przyjechała tutaj. Po chwili milczenia Gerard zapytał:

- Naprawdę go opuściła?

- Naprawdę.

- Kto kogo porzucił?

- Podobno rozstali się za obopólną zgodą.

- No, no... A nie ucieknie do niego z powrotem lub on nie zjawi się i nie zabierze jej?

- Nie sądzę.

- To naprawdę wyborna wiadomość. Ale powiedz mi, jakim cudem... Zjawiała się u ciebie w Londynie, a ty zawiozłaś ją do Bojarówki? Doskonały pomysł!

- To dłuższa historia, później ci opowiem. Dość, że spędziłyśmy dzisiejszy dzień razem. Ale na razie nikomu o tym ani mru-mru!

- Nawet Duncanowi?

- Nawet... przynajmniej przez kilka dni. Jean jest w takim stanie...

- Wyobrażam sobie. Musi się najpierw sama upewnić, czy nie zmieni zdania. Ta nowina może się jednak rozejść. Na przykład Crimond może ją rozgłosić. Czy on wie, gdzie ona schroniła? . dziaj

- Nie. I byłoby lepiej, gdyby nikt się tego nie down^aa. Widzisz, biedaczka może nie mieć ochoty na sPotkan^e matay cancm, a gdyby się dowiedział, mógłby się tu zJaW,C'Jean może jeszcze pewności, jakie są zamiary tych dwojga, zechcieć pojechać do Nowego Jorku albo... temu, gdy'

- Masz słuszność. A czy miałabyś coś przeciwko bym powiedział Jenkinowi? Ma głowę nie od para y.

- Zgoda. Ale nikomu poza nim! \_ jearlj a

- Zastanowimy się obaj. co robić. Ty zostan^n0ł rao^ zajmiemy się Duncanem. Posłuchaj, skarbie, jest p

v dzień, opowiesz mi wszystko później... Kładź się pokrop ^ postaram się zasnąć.

Porozmawiamy rano. teraz spac. i

Zg0dZaoda... A więc dobranoc. " cbran0c, Rose. I nie martw się, coś wymyślimy.

Tnrland odłożyła słuchawkę. Oddała inicjatywę w cu-panna v-ul . . . .

W końcu to nie ona zanieś Duncanowi tę wielką

• e choć tak bardzo tego pragnęła. Mówi się trudno, me n^ała innego wyjścia, musiała zawiadomić Gerarda. Zaproponowany przezeń podział zadań był zresztą roztropny i słuszny. Przypuścmy jednak... przypuścmy, że podczas trwania tego okropnego romansu Jean znieawidziła Duncana, a Duncan ją znieawidził. Co wtedy?

- To ładnie z waszej strony, że wpadliście tak bez zaproszenia - burknął Duncan. - Napijecie się czegoś? Sherry, whisky, gin? Prawie nikogo ostatnio nie widuję. Towarzystwa dotrzymują mi te butelczyny.

- Może być sherry, dzięki - rzekł Gerard.

- Na razie dziękuję - powiedział Jenkin. - W stosownym czasie sam się upomnę.

- Nie omieszkaj. Wiecie, mam zamiar zrezygnować z. pracy w ministerstwie. Wiem, wiem, Gerardzie, oczekujesz, że napiszę

łąkę' Pamiętnik albo poradnik, jak rządzić tym krajem. Prawdę mówiąc, nie wiedziałbym, czego oczekiwać - po-'al Hernshaw. - Taki wszechstronny umysł jak twój może ? Porwać dosłownie na wszystko.

We lewykmczone, że wezmę się za malarstwo olejne. Możli-Biecj^7'6 Zacnam sie na śmierć. Nietrudno o zacne hobby. Ale \*cha iS,? dow'err|: przychodzicie jako moi przyjaciele czy Crr ?degacji?

Przyby^ Jen\*in siedzieli na kanapie. Duncan stał obok barku.

- No ,Wymienili ukradkowe spojrzenia.

^ncr^ Wa na taw?!- Wystarczy już tych zerknięć w stylu

-CntiGU!lderStema-^erard. 'e Jesteśmy czymś w rodzaju delegacji - przyznał

- Reprezentujemy jedynie nas dwóch oraz Jenkin. ' ^

- I o cóż chodzi? Nie trzymajcie mnie dłużej w ni

- Jean odeszła od Crimonda - wypalił Gerard n^ści. Duncan podał mu kieliszek sherry, sobie nalał czvst •

i gwizdnał: y GJ whjsky

- Fiu, fiu.

- Jest z Rose w Bojarówce.

Gospodarz upił trochę whisky i usiadł na krześle naprzeciwk gości. Szeroką, pomarszczoną twarz i byczą głowę, porośniei^ szopą czarnych włosów, zwrócił z posepną obojętnością na Ge rarda, po czym zakrył powiekami oczy.

- Uznaliśmy, że powinniśmy tu przyjść - rzekł Hcrnshaw -aby ci o tym powiedzieć, po prostu ci to zakomunikować, wszak mogłyby cię dojsć jakieś pogłoski czy plotki, więc... Chcieliśmy też, byś wiedział, gdzie przebywa Jean i że ma się dobrze.

- Co to znaczy: „po prostu mi to zakomunikować”? Czyżbyście nie mieli zamiaru udzielać mi rad?

- Oczywiście, że nie - pośpieszył z zaprzeczeniem Jenkin. -Zdajemy sobie sprawę...

- On ją porzucił?

- O ile wiem. to ona go opuściła - odparł Gerard. - Tak czy owak postanowiła odejść, dobrowolnie. Nastąpiła chwila ciszy.

- No cóż - mruknął Duncan i wstał. - Dziękuję delegacji i żegnam delegatów. Gerard odstawił kieliszek. Obaj z Jenkinem podnieśli ż miejsc. Licjer\_

- To wszystko jest jeszcze bardzo świeże - dorzuci hood. - Zanim postanowisz, co przedsięwziąć... brać"

- Nie zamierzam, u licha ciężkiego, niczego PrzedS, CrzedSiC-warknął Duncan. - Niby dlaczego miałbym cokolwie P brać? Nie jestem ciekaw waszych rewelacji. Dobran^raWjedli-

- Przepraszam, zachowałem się nietaktownie - uspwiał się Jenkin, gdy wyszli na ulicę. pocieszy'

- On nam uniemożliwił taktowne zachowanie -przyjaciela Gerard. - Zrobiliśmy, co do nas na,e/^le odzy^

- To moja wina, nie powinienem był się w Zawsze czułem, że on za mną nie przepada. leć głupstw. To oczywiste, że nie mówił tego, co ^rh \*ć nie^wiem. po prawdzie, co naprawdę myślał. Wpad-mJCł zadzwonimy do Rose. n'j \*° ściu °ości Duncan siedział jakiś czas nieruchomo i po--P°whisky- oddychał głęboko i sącył ów trunek, jakby to ^lekarstwo na duszności. Raptem zerwał się i cisnął szklankę ^ k minka. Podbiegł do regału, zaczął wyciągać z półek książki ^° zucać je z wściekłością po pokoju. Potem wpadł do kuchni zmiotł ze stołu stos talerzy. Jęcząc głucho, zaczął walić pięściami w stalowy ociekacz zlewozmywaka, co wywoływało arzmia.ee, metaliczne dudnienie. Zwiesiwszy wielką głowę, tłukł w zlewozmywak i jęczał jak potępieniec.

Drzwi otworzyła mu Rose. Usłyszała dźwięk, na który czek chrzęst kół samochodu na zwirowym podjeździe. Duncan \* siadł z auta i zamknął je bez pośpiechu. Potem starannie wy&rł na wycieracze nogi. Padał deszcz. Panna Curtland zamknęła drzwi i podała Duncanowi rękę. Ujął ją i pocałował, czego nigdy dotąd nic robił. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Rose wprowadziła gościa do salonu.

- Jak ona się czuje? - zapytał.

- Dobrze. Chociaż wygląda jak duch...

- Spodziewa się mnie?

- Tak. Nie podałam jej tylko godziny.

- Nadal chce mnie widzieć?

- Ależ tak! A ty? Też chcesz się z nią widzieć?... Nie przyjechałeś jedynie z poczucia...

- Z poczucia czego?

- Obowiązku, ponieważ uznałeś, że może jej to dobrze zrobić...

- Owszem, czuję, że to mój obowiązek i jestem zdania, że może jej to dobrze zrobić. Choć może się okazać inaczej, o-szedłem za twoją radą.

- Och. Duncan. wiesz, o co pytam! - Była bliska płac u kresu wytrzymałości.

- Wiem. Więc tak, chcę się z nią zobaczyć.

- I masz nadzieję...

- Mam, choć przygotowany jestem na najgorsze.

- Czyli na co? i po-

- Och. na przykład na to. że chce do tamtego wr^ ^ykJad stanowiła zobaczyć się ze mną. by mi to oznajmić. ^ na na to, że nie będzie mogła na mnie patrzeć. a ^ pf/.c^]C/ to, że ja nie będę mógł patrzeć na nią. Zgodziłaś^ ^^o\* ze mną podczas naszej telefonicznej rozmowy, na gra.

m tak powiedziałaś. .

- l\ -godziliśmy się oboje, że lepiej tego spotkania me „, Ale 'e ^toon mógłby się zjawić?

' w tym rzecz. On może się zjawić w każdej chwili,

' r Ód dziś aż po koniec świata. licza> v Wzdrygnęła się.

\_ Napijesz się kawy? Może drinka? . \_ Dziękuję nie.

\_ Więc skoro jesteś gotowy, pójdę na górę i powiem jej, że przyjechałeś.

Weszła na piętro. Jean mieszkała w Bojarówce już od kilku dni Tego dnia wstała wcześniej, ubrała się i siedziała teraz na przysuniętej do kominka zielonej kanapce. Miała na sobie tweedową sukienkę Rose, trochę na nią za obszerną, toteż ściągnęła ją w talii paskiem. Kostkę miała obandażowaną bandażem elastycznym. Wstała, kiedy przyjaciółka weszła do sypialni. Zrobiła na Rose wrażenie obcej osoby, chudej, starzejącej się, dziwacznej nieznanym o zastrzonych rysach, ubranej w niedopasowaną, za dużą sukienkę. Jej ciemne włosy, które po naleganiach panny Curtland pozwoliła sobie umyć, stroszyły się kędzierzawą chmurą. Wąskie dłonie ani na chwilę nie spoczywały w spokoju - jedna co chwila wygładzała sukienkę, druga Podnosiła się machinalnie do gardła. Jean dużo w ostatnich ^iach płakała. Zaczerwienione, opuchnięte powieki odbijały wyraźnie na tle zbielełej twarzy. W końcu przestała płakać, jakby ^Płakała już wszystkie łzy. Kiedy Rose do niej podeszła, odjęła n °d sukienki i uczyniła w powietrzu dziwny gest, jakby Wo^b'ała niewdzielną Pajęczynę czy zasłonę. Panna Curtland Wygi y We na to nie mogła poradzić), żeby jej przyjaciółka a a na przyjęcie męża tak ślicznie jak niegdyś.

^ XakSzałam Samocnód-Później?' ^rzyjecna\* Juz- Chcesz go widzieć zaraz czy wolałabyś - Ale" ChCe mnie widzieć? Gerard ?3tUralnie- toż P° to przyjechał! if^h z R zaaranżował to spotkanie w telefonicznych na-si KSe' był pelen "iedobrych przeczuć, zachował jc jed-le- Nie udało mu się niczego z Duncana wyciągnąć.

Oczekiwał, podobnie zresztą jak panna Curtland wzruszającej sceny, w której Duncan dałby wyraz sw UdUjacek nie osłabłej miłości do żony, zadowoleniu, że o uśc^ drania", wreszcie czulej wdzięczności dla przyjaciół"któ 3 \*\*\*\*\* nim stali, krzepili w nim wiarę i podtrzymywali nadzie' sądził, że po pierwszym, zrozumiałym szoku, Duncarf ^ przed nim w końcu serce, da upust łzom, wvzna \*a „, °tWorzy , • , , • | y ' ze Przez cały ten okropny czas żył nadzieją powrotu żony, i wyraził raci l wiarę w przyszłość, bo przecież „czas leczy rany". DuncaTod\* mówił jednak następnych z nim spotkań. Kontaktowali się je(j nie przez telefon. W trakcie tych rozmów Gerard kładł nacisk na dwie kwestie. Po pierwsze: to Jean postanowiła opuścić kochankę, do zerwania doszło z jej inicjatywy i na jej życzenie Po drugie: Crimond zaakceptował jej decyzję, więc de facto rozstali się za obopólną zgodą. Podkreślił też oczywiście, że Jean pragnie gorąco spotkać się z Duncanem. Wspomniał mimochodem o wypadku samochodowym i skręconej kostce. Duncan słuchał tego bez żadnych komentarzy, po jakimś czasie zadzwonił jednak do Rose i oznajmił, że jeśli Jean nie ma nic przeciwko temu, gotów jest do Bojarówki przyjechać. Panna Curtland, która starannie dobierała treści, jakie Gerard miał powtarzać Duncanowi, nie była w gruncie rzeczy wcale pewna, czy trafnie odczytywała pragnienia przyjaciółki. Nie była też w stanie na podstawie rozmów z nią wyrobić sobie żadnego spójnego obrazu ostatnich dramatycznych wydarzeń. Jean zachowywała się jak oszalała z rozpacz, a Rose mogła jedynie przypuszczać, że była to rozpacz po stracie Crimonda. Pa™mie ^ jej pierwszy, rozpaczliwy okrzyk: „To on mnie opuścił, i wierzyła w żadne „chłodne, obustronne porozumienie , o J^ Jean opowiadała później. Do jak najszybszego spotkania^ żonków dążył Hernshaw. Rose uważała, że było na n,eJeodpo, za wcześniej. Gdy Jean oświadczyła jednak, co praw ^ wiedzy na ponawiane pytania przyjaciółki, że pragnie . ^ ^ z mężem, Rose przekazała jej stanowisko GcraT<i°^^ miał trując go własnym wątpliwym komentarzem. Gf puncana, o\* szczerze mówiąc, błędnego pojęcia o stanie uczuć wJaSnycn wet wtedy, gdy już zdał sobie sprawę ze ślmeszn°skie C^w.5 wcześniejszych oczekiwań. Lakoniczność i chło ' Jwiły jedy0\* prezentował w rozmowach telefonicznych, s ..... p0Stawy z rodzaju „a co mnie to wszystko obcho-kontynuaC-'C vcja. Oświadczył w końcu (Rose, nie Gerardowi), d/i- C°, je: p0 głębszym namyśle, że jest gotów spotkać się najwywr'l ^ p1Zypadkiem nie chciał się z nią spotkać tylko 1 żeby ja obrzucić obelgami, a może nawet

czynnie znie-P° 10'9 Duncan należał, i owszem, do starych przyjaciół Hern-^C ale pozostał przede wszystkim dziwakiem, ogromnym, ^^ewidnywalnym, kapryśnym dzikim zwierzem. Naturalnie usiał żywić poważne wątpliwości (Gerard często się nad tym "niei zastanawiał) wobec zapewnień, że to Jean postanowiła porzucić kochanka, a on się pogodził z rolą porzuconego, i miał wszelkie podstawy, by podejrzewać, że Crimond nigdy nie pozwolił jego żonie odejść.

- Poproś go na górę - wyszeptła Jean.

Rose wyszła, zamykając za sobą drzwi. Pani Cambus stanęła na środku pokoju i przyczesła dłonią rozwichrzone włosy. Zerknęła na widniejący na błękitnej tapecie w kratkę ciemny prostokąt, ślad po zdjętym obrazie. Kolory wciąż na nim „tańczyły", to błękitny, to biały wybijały się na pierwszy plan. Błada twarz chorej zarumieniła się, a policzki zaczerwieniły ceglasto, jakby je uróżowała. Cofnęła się o kilka kroków i zwróciła w stronę drzwi.

Otworzyły się po chwili i wszedł Duncan. Zamknął za sobą c|cho drzwi, po czym na powrót zwrócił się ku żonie. Miał na s°bie elegancki, ciemny garnitur, jeden z jego najlepszych, ko-SZUłę w biało-niebieskie prążki i ciemny krawat. Ogolił się sła-i przyczesał falującą czuprynę dość już zapuszczonych zw v^Ctł w\*0sow- W pokoju zrobiło się wręcz ciasno od jego sies'? °8romneJ Postaci. Chyba jeszcze przytył. Przyglądali rn^yj ^ w milcz.eniu. Jean zdrząła i dotknęła ręką szyi. Kiedy Szego ^ StronC- poczuła strach, lecz nie wykonała najmniej-gestu. Nie była też w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Mo-' 8a.na Jeo° twarzy jakiś dziwny, niepokojący wyraz. Zał zie] /e UsiJldziemy? - zaproponował. - Może tutaj? - Wska-

C«CskanaPę-

^pa zajęc^ n,ez\*rabnie i usiadła. Gdy usiadł obok niej, ka-W'C""^ głow^ c^żarem- Obrócił w stronę żony swoją

~~ Chce ^ ^°neła się spłoszona i spojrzała nań pytająco. sz do mnie wrócić, Jean?

- Tak.

- Jesteś pewna?

- Tak...

- A więc dobrze.

Objął ją i przytulił. Oboje zamknęli oczy. Dziwny Wyr. • twarzy, który tak zaniepokoił Jean. spowodowały próby t^80 wania ogromnej, nabrzmiałej współczuciem czułości, jakirh^ ciła go na widok żony. Patrząc w dal nad jej ramieniem ^" walczył z nią dłużej.

W kilka dni później, już po powrocie do Londynu, panna Curtland przeżyła szok, otrzymawszy list następującej treści-

Droga Rose!

Ciekaw jestem, czy mógłbym wpaść do Ciebie dla omówienia pewnej nader ważnej kwestii? Proponowałbym wtorek w przyszłym tygodniu, godzina dziesiąta przed południem. Zechciej mnie zawiadomić listownie, czy ten termin Ci odpowiada. Jeśli nic, zaproponuj inny. Nie staraj się do mnie dzwonić, kazałem odłączyć telefon.

Z poważaniem

David Crimond

List przygnębił i przestraszył Rose, w ogóle wywarł na mej okropne wrażenie. Doszła do wniosku, że owa „ważna kwesua dotyczy z pewnością Jean. Crimond chciałby zapewne, by on^ Rose, wstawiła się za nim. wystąpiła jako jego posłanтт i orędowniczka. Co za tupet! Panna Curtland zasiadła, nie z kając, do pisania odpowiedzi. Stwierdziła, że pani Can^ łączyła się szczęśliwie ze swoim małżonkiem, więc ^ żadnego praktycznego celu. jakimu ich spotkanie nu ^ ^ żyć. Napisawszy te słowa, doszła jednakże do wnl0S. roZStanie może Jean nie mijała się wcale z prawdą, twierdząc \_ ^ ^ nastąpiło za obopólną zgodą, a więc i ona go Pra^|ście fakt (a nownym zejściu się z Duncanem podkreślała ocZ>T % własnej Rose jej w



tym sekundowała), że odeszła od kochanek chęci i woli. Obecna prośba Crimonda (jeśli p0parei<J stanowiłaby więc w najgorszym razie cenny dowód w V® tej właśnie wersji. Po głębszym zastanowieniu (P j

. sWego listu z wyrazami oburzenia) Rose zadała o^0 P'S je czy Crimond nie pragnie jej aby zakomunikować sobie y^c7 przeciwnego. Pobudką, w każdym razie jednym z celów^ proponowanego spotkania, mogła być chęć zademon-stracji obojętności wobec odejścia kochanki. Panna Curtland Stf° koła się. czy owo „coś wręcz przeciwnego" nie dotyczy przypadek Gerarda. Może Crimond chciał ją prosić o mediację między nim a Hernshawem? Może Gerard z jakiegoś powodu nie chciał się z nim spotkać i Crimond pragnął, by Rose aśniła zaistniałe nieporozumienie? Niewykluczone, że miało to jakiś związek z książką. Pannie Curtland przyszło nawet do głowy szalone podejrzenie, że Crimond zechce, by nakłoniła Gerarda do napisania przedmowy do jego dzieła! Wszystko, co łączyło tych dwóch mężczyzn, napawało ją głębokim niepokojem. Po dłuższym namyśle doszła jednak do wniosku, że list Crimonda ma jednak najpewniej związek z Cambusami, choć niekoniecznie taki. jak zrazu sądziła. Może Crimond chce po prostu uzyskać potwierdzenie, że Jean i Duncan naprawdę się zeszli? Rose nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z tym panem o swych przyjaciółach, bo taka rozmowa, choćby i naj-przezomniejsza, mogłaby zostać opacznie rozumiana i poczytana za nielojalność. Z drugiej zaś strony, okazawszy oczywiście na-ezytą czujność, miałyby okazję usunąć ostatnie wątpliwości w okropnej sprawie. Na koniec zaświtała pannie Curtland j^yśl, że wszechmiar zresztą prawdopodobna, że Crimond wy-dla SI? ^° n'e' 7 zarnmrem złożenia na jej ręce podziękowań la^^ ^ese^sc'haft za finansowe wsparcie przez te wszystkie bo ten ° 3^ W tej sprawie spotkać z nią niż z Gerardem, Rose Za°Za-my §° najpewniej wypytywać o ukończoną książkę.

InstynktJStan°Wiła Si? koniec k°ńców 7 autorem listu spotkać. O Wszy, L°dszePna-ł Jej, że powinna niezwłocznie powiadomić ^gnowaia"1 ^erarda' Jednak po namyśle z zamiaru tego zre-WtaJerna \*\*ędz'e lepiej, jeśli na razie zachowa to spotkanie w stanie uT- przekona się, o co naprawdę chodzi, będzie

-prawo- \ stosownie wyważone i racjonalnie umotywowane-^niosła q a°le z 'e§° przebiegu na użytek reszty. Gdyby zaraz ^snuć Crardowi ° propozycji Crimonda, zaczęłyby kręcić no-°kawy Jeszc°Zne spcku'acJe 1 doprowadziłyby do tego, że jej Ze by się wzmogły. Napisała więc w końcu do Cri-

monda jedynie krótki liścik, w którym donosiła, u siebie w przyszły wtorek o dziesiątej rano.

Duncan i Jean przebywali nadal w Bojarówce pod Annuszki. Ich przyjaciele nie posiadali się z radości p°P'eką trwoźnych spekulacjach doczekali się wreszcie - wszystko ^ wskazywało - pomyślnego zakończenia całej awantury Tam3 ^ deszczowego dnia. kiedy Duncan poszedł na górę do żony 3^° Curtland usiadła w salonie, nie zamknawszy nawet drzwi330\*3 zdolna do żadnych działań, prócz czekania, nasłuchiwania i drzęnia. Annuszka przyniosła jej kawę. Czy ma zanieść kawę również państwu Cambus? Niech Bóg broni! .Służąca była niemal równie niespokojna jak jej pani, nie wymieniały jednak między sobą żadnych uwag w interesującym je przedmiocie, żadnych nawet spojrzeń. Czekanie przeciągało się nieznośnie. Rose chodziła po salonie, zajrzała do jadalni, do biblioteki, do gabinetu, do pokoju na wieży, do pokoju bilardowego, postąpiła chwilę na schodkach przed domem, przyglądała się deszczowi i nasłuchiwała odgłosów z piętra. Czego się obawiała? Żc usłyszy krzyki, złorzeczenia, płacz? Z góry nie dolatywał jednak żaden dźwięk. A potem, ni stąd. ni zowąd (wróciła już do salonu), zszedł po schodach Duncan. Sprawiał wrażenie opanowanego i tajemniczego. Zrazu nic nie powiedział, podszedł do kominka, a Rose, która wybiegła mu naprzeciw, podreptała za nim.

Po chwili stwierdził z powagą:

- Chyba będzie dobrze.

Tymczasem jednak coś w jego twarzy, coś na kształt P<sup>o</sup>w<sup>^</sup> gancj szalonej radości, powiedziało pannie Curtland, 7C nie przedstawiają się najgorzej, że mają się zapewne dobrze. . ^ ai3\.

- Chcesz powiedzieć - zaczęła, nie mogąc się docze&ć w ta. szych wyjaśnień, które co prawda nieładnie było W<sup>^</sup>C' °uZyskać kiej chwili, lecz które jeszcze trudniej byłoby cnyNa później - chcesz powiedzieć, że będziecie znowu dobre i na złe? oewne naJ'

Unikała pytania: czyjej wybaczyłeś? Byłaby to za mniej stosowna forma ujęcia tej kwestii.

- Taką mamy oboje nadzieję. ^ jeg0 ustach Rose uradowała się niezmiernie, usłyszawszy tę liczbę mnogą: „my, my oboje”.

lada na to, że mimo ostatnich wydarzeń jesteśmy w sta-<sup>^</sup> na siebie bez nienawiści. Raczej wręcz przeciwnie, nie patr/e<sup>^</sup> j<sup>^</sup>jjjy słów ograniczył, rzecz dlań zresztą charakte-  
°° na, swą relację z rozmowy z żoną. ^Ach' jakże się cieszę! - zawołała Rose i ucałowała go. - kże się cieszę!

potem, za jego zgodą, pobiegła na górę do przyjaciółki. Jean kata się, spłakały się obie. Jean miała niewiele więcej do wiedzenia, wybąkała tylko, że odczuwa ulgę, jest szczęśliwa •"na wrażenie, jakby wróciła z koszmarnego snu na jawę, do normalnego świata.

potem zeszła na dół, a Rose pobiegła zakomunikować radosną nowinę Annuszcze. Stara panna już. oczywiście o wszystkim wiedziała. Pobiegła do salonu, gdzie Duncan i Jean serdecznie ją wycelowali. Rose odkorkowała butelkę szampana, obie z Jean wylały jeszcze trochę łez, po czym zjedzono lunch.

Po lunchu Jean odpoczywała, Duncan siedział w bibliotece i czytał Gibbona, a panna Curtland zadzwoniła do Gerarda. Potem i ona położyła się, żeby trochę wytchnąć.

Zdrzemnęła się i miała cudowny sen. Śnił jej się nieziemsko piękny ogród, w którym tańczyła z Jean, Tamar i gromadką dzieci. Później wszyscy troje napili się herbaty i gawędzili o codziennych sprawach. Rose zaproponowała, na co Cambusowie chętnie przystali, ^ wróci do Londynu sama, a oni powinni zostać jeszcze ja-J czas w Bojarówce, żeby wydobrzała kostka ofiary, wypad-! Skręcona kostka nabrała teraz wyjątkowego znaczenia, stając ^ zapewne symbolem głębszych i bardziej bolesnych kontuzji. zG<sup>^</sup>enocowała w Boj arówce i wyjechała nazajutrz. Oboje jg <sup>^</sup>ern zgodzili się oczywiście, w długich rozmowach, któ-wieie . m,ast Podjęli, że wiele urazów wymaga jeszcze kuracji, <sup>^</sup>ych<sup>^</sup>0<sup>TM</sup>0<sup>^</sup>6" wyrażenia, wiele gestów musi zostać wyko-czasy Przyjetych, że, jednym słowem, upłynie jeszcze sporo <sup>^</sup>kojn' 'm tyCn dwoje będzie mogło ponownie wieść razem Przedwr-' SZC7,ę!<sup>^</sup>wy żywot. Nadmierna radość byłaby na razie \*\*W Ostat<sup>^</sup>'zną ocenę niedawnych wydarzeń należy Jtyśł 0 ty<sup>^</sup>a<sup>^</sup>owi- Mimo to odczuwali niekłamana radość na 'Ze Jean i Duncan przebywają razem w Bojarówce !110

§aw

LonSf<sup>o</sup><sup>^</sup>0<sup>''</sup>u zrzierać siły przed czekającymi ich po powro-u trudnymi chwilami, jakich z pewnością im przy-

sporzy ten powrót do życia we dwoje. Rose się, że odtąd już nic nie będzie takie jak dawniej, a po miodowym" w Bojarówce nastąpią niechybnie wzaje<sup>^</sup>f8\*\*\* ty, tyle się wszak między tą parą nagromadziło uraz i bol<sup>^</sup> przeżyć, wymagających długiego gojenia, zanim zostair eSny<sup>o</sup>h czone i zapomniane, dużo więc czasu zapewne upły<sup>^</sup>e<sup>^</sup>" związek Cambusów będzie można uznać za trwałe i bez i' ^

'P<sup>^</sup>nie, nj

Nie wiadomo ponadto na dobrą sprawę, co tak naprawdę za między Crimondem a Jean i jaki to może mieć wpływ na<sup>^</sup>0 jemny stosunek małżonków. Czy na przykład Crimond nie pt jawi się znowu któregoś dnia w roli władczego demona? Dhjo0 jeszcze spekulowali w tym duchu Rose, Gerard i Jenkin ale także Gulliver, Lily. Patricia, Gideon, koledzy Duncana z ministerstwa oraz całe rzesze znajomych, mniej osobiście zaangażowanych, ale z nie

mniejszym upodobaniem, a większym często brakiem miłosierdzia oddających się przyjemnościom podobnych dociekań.

Panna Curtland byłaby w tych dniach niemal zupełnie szczęśliwa, wierzyła bowiem głęboko - widziała ich wszak razem - że między Jean i Duncanem „wszystko się ułoży”, gdyby nie troska o Tamar. Jenkin nie wyjawiał oczywiście nikomu tego, z czego mu się dziewczyna zwierzyła. Gerard, po pierwszych oględnych próbach, jął unikać tematu, który najwyraźniej stanowił tajemnicę tych dwojga, i w ogóle nie wspomniał Rose o niecodziennym wtargnięciu Tamar do domu Riderhooda. Panna Curtland wiedziała, że mała biedulka „przeżywa jakiś dranw” że uciekła z domu i zamieszkała u Lily, choć ostatnio wróciła już do matki. Napisała do dziewczyny, zapraszając ją na „” nie doczekała się jednak odpowiedzi. Wyglądało na to, że

... .. - \_\_\_\_\_ u^nchnflW WieiC u  
końcu

się

już z zamiarem napisania do Tamar bądź zjawienia^s^ gość wieczoru u pań Hernshaw bez zapowiedzi, ^nÇ{y ją do nc wydarzenia, związane z wypadkiem Jean, s^ ^ wCjqż Bojarów ki nie było. I powiedzi.

i Jenkin nie mają na temat kłopotów panny Hernshaw^ powiedzenia, podobnie jak Lily, do której Rose w ^

dzwoniła. Violet nie miała telefonu. Panna Curtland no

iu\_ vv^uai At-iiia, iwi^ttiii. /. w y ---- 'pania'" "

Bojarówki. Kiedy wróciła do Londynu, listu od ^

nie było. Rose napisała do Violet, ale nie otrzymała

,ed\ wtorek. Dzwonek domofonu w mieszkaniu panny ^rTzadzwoił punktualnie o dziesiątej. Crimond wszedł ^Todaen i wkroczył do salonu.

po sC zaSkoczyło niezwykle wręcz wrażenie, jakie na niej ^oS| Obecność tego człowieka w jej mieszkaniu. Odebrała • mai jak wybryk natury. Co „ten pan” robił w jej salonie?

i3 ^jpg widziała go ostatnio u Gerarda, a potem, całkiem edawno w jego własnym domu. To jednak, że stał tutaj, w jej

Ikoju, czekając, aż go poprosi, by usiadł, wydało jej się wręcz esaniowite. Wyczuła bijące od jego postaci napięcie i przeszedł ją dreszcz.

Crimond zostawił płaszcz w przedpokoju i zamknął za sobą drzwi. Na kominku płonął elektryczny płomień. Białe, tynkowane fasady domów po przeciwnej stronie ulicy jaśniały w blasku słońca. Gość miał na sobie czarną marynarkę, pewnie tę samą, w jakiej widziała go ostatnim razem, czystą białą koszulę i krawat. Marynarka była wyraźnie wystrzępiona i sfatygowana, prezentował się jednak, jak na niego, całkiem elegancko. Ostatnim razem wydał się pannie Curtland podobny do księdza. Obecnie wyglądał raczej na młodego chudego literata, wynędzniałego, bezdomnego, wybitnie inteligentnego i chorowitego. Wpatrywał się w Rose posmutniałym wzrokiem, potem rozejrzał się po pokoju i powiedział, a były to jego pierwsze skierowane do niej słowa:

~ Nigdy tu jeszcze nie byłem. Istotnie - odparła, potwierdzając tę oczywistą prawdę, yrażniej niż zwykle uderzył ją jego szkocki akcent, przebi-sztucf S—d wykwinlncJ wymowy oksfordczyka. Raził ją jakąś dą nosc'ą- Poczwała zakłopotanie. Nie zaplanowała, gdzie usią-się na raz'a sobie czemuś, że ich krótka rozmowa odbędzie Wduchu^C^ ^eraz uznała, że będzie bardziej oficjalnie, mniej nisz y ^t0VVarzyskim, jeśli zajmą miejsca przy stole w okiennej - Co Ska?wała gościowi krzesło, po czym oboje usiedli. R0?.piC}lę sPr^wadza? - spytała obcesowo. - Chodzi o Jean? ^Higie marynarkę i oparł na stole ręce, kładąc przed sobą łokcie 'e C^0mc' Porośnięte miękkimi, rudymi włoskami, ^uli ro m'ai równo obcięte, chociaż niezbyt czyste, mankiety zP1?te. Zastanowił się nad słowami Rose, po czym

rzekł z powagą, jakby udzielał odpowiedzi na jaki, czy akademickie pytanie:

- Odpowiedź brzmi „nie”.

- Więc o cóż?

Zacisnął usta, od czego jego wąskie wargi zwęziły się i rdziej. Przez chwilę wpatrywał się w blat stołu

•jeszcze Po czym pod.

bardziej

niósł spojrzenie na Rose.

- Wyjaśnienie tego zajmie trochę czasu.

- Nie mam go wiele - uprzedziła, zresztą niezgodnie z n dą, a ponieważ nic nie odpowiedział, tylko, zmarszczywszy c ło, świdrował ją jasnoniebieskimi, błyszczącymi oczami/doda" ła: -

Uważam, że winna ci jestem pewne wyjaśnienie. Otóż Jean wróciła do męża.

Crimond kiwnął głową, umknął w bok z oczami i zaczerpnął głęboko powietrza. Nie wypuścił go jednak w przeciągłym westchnieniu.

Czyżby oczekiwał, że zacznę mu współczuć? - przemknęło

jej przez głowę.

- Czy to ma związek z Gerardem? - spytała.

- Co?

- Twoja wizyta. Napisałeś, że chcesz porozmawiać o jakiejś ważnej sprawie. Zatem czekam: o jaką to ważną sprawę chodzi?

- Nie, to nie ma związku z Gerardem. - Spojrzał na nią, uśmiechnął się i dodał: - Okaż mi trochę więcej cierpliwości!

Powinnam być uprzejmiej s z. a, pomyślała, ostatecznie to zapewne wizyta dziękczynna.

- A więc praca nad książką dobiegła końca - powiCC tonem bardziej już pojednawczym.

- Tak. Przepraszam, że wcześniej was nie llPr/eŁl/teI^jaLj. chciałem was zwodzić. Trudno mi się było zdobyć na t0<sup>TM</sup>baie czenie z powodów czysto psychologicznych. Prawdop<sup>o</sup>^aWje okazałem się zwyczajnie zabobonny. Tak, przyznaję, <sup>TM</sup>eJttS\ę. tej książki wykazałem się lękiem wręcz, zabobonnym.

że nie dożyję jej ukończenia. ^ o&c7V

- Poświęciłeś tej pracy mnóstwo czasu. Musisz e

wać pustkę. interesuje

Rose i Gerard omówili oczywiście między sobą ^,,,1^ kwestię, w jakim stopniu, jeśli w ogóle, zerwanie roz-

wiązało się z ukończeniem książki, nie zdołali tego

•działa

niewykluczone, że ukończenie tak wielkiego dzieła g0\*ło zdrowie psychiczne Crimonda.

Jego obecny wygląd padwaj! ' o | .yc]a,y sję pannie Curtland podejrzane. Czy on

| . . by naprawdę szalony? - zastanowiła się nie po raz oic jest

Psośnie, odczuwam pustkę. - Powiedział to z solenną po-uważnie się Rose przyglądając. - To przypomina... żałobę ^tracie bliskiego człowieka. Zerknęła na zegarek.

\_ Może powinienes gdzie wyjechać, odpocząć?

\_ Obawiam się. że ja nie umiem odpoczywać. - Nastąpiła krótka pauza, w trakcie której panna Curtland usiłowała wymyślić jakiś stosowny komunał. Tymczasem Crimond podjął: -Podoba mi się ta zielona sukienka. To ta sama, w której byłaś na balu.

Poirytowana jego uwagą burknęła:

- Nie widziałam cię na balu.

- A ja ciebie tak.

To jest jak zły omen. pomyślała, jak wtedy, kiedy wilk pierwszy zobaczy człowieka! A może on jednak rzeczywiście chce porozmawiać o Jean? Nic zachęcałam go chyba do miłej, przyjaznej pogawędki?

- Napisałeś, że chcesz porozmawiać o sprawie wyjątkowej wagi, więc może wyjawisz mi wreszcie, o co chodzi?

Dotąd nie spuszczał z niej oczu, a teraz znowu umknął w bok spojrzeniem i nabrał przeciągle tchu. Zaczął błędzić wzrokiem P° pokoju. Sprawiał wrażenie człowieka głęboko zmieszanego.

~ To sprawa osobista...

~ ucząca ciebie i...

- Mnie Nie

owszem... ale i ciebie. O'egł. - rozumiem - powiedziała zimno, a jednocześnie prze-najdz.r deszcz trwogi. Nagle stanęły jej przed oczami wszystkie Wać l^Vac/meJS7e. najgorsze obawy. Ma zamiar mnie szantażo-

Jean\* PIJ~eniknęło jej przez myśl... Ale czym?... Chce odzyskać nadzi,!,, może knuje coś przeciwko Gerardowi?... Albo... Miała

^y tntl"13 tarSaJa.ce nią uczucia nic odbijają się na jej twarzy. -•wiązek z Gerardem?

odburknął z rozdrażnieniem. - Hernshawa to nie

zy ll> \_.. Co

ty z nim stale wyjeżdżasz?

- Wcale z nim nie „wyjeżdżam”! - zaperzyła się D land, w której zaczynała już wzbierać irytacja -tajemniczy i, powiedziałabym, emanujesz groźbą Mo--ale mam wrażenie, że źle nam wszystkim życzysz ^^C.

- Mylisz się, i to bardzo - rzekł, wpatrując się w n" k Sprawiał teraz wrażenie bardziej opanowanego, ale i' ha°2nie-napiętego.

- Powinieneś być nam wdzięczny.

- Toteż jestem, ale...

- Ale co?

- W tej właśnie sprawie przychodzę.

- Więc mów! O cóż chodzi?

- Chciałbym cię lepiej poznać. Otworzyła usta ze zdumienia.

- Chcesz się z nami na powrót zaprzyjaźnić? Po tym, co zaszło, po...

- Ależ nie z wami! Z tobą.

- Czemu właśnie ze mną?

- Chyba będzie lepiej, jeśli od razu wyłożę karty na stół.

- Chyba tak.

- Przyszedłem, by cię zapytać, czy nie zgodziłabyś się zostać moją żoną.

Zarumieniła się po białka oczu i aż się cofnęła. Z gniewu i zaskoczenia omal nie zemdląca.

Nic wierzyła wprost własnym

uszom.

- Mógłbyś powtórzyć, co powiedziałeś? - wykrztusiła.

- Chciałbym, żebyś za mnie wyszła, Rose. Oczywiście, rozumiem, że moja prośba może ci się wydawać przedwczesna...

- Przedwczesna, dobre sobie!

- Mógłbym przystąpić do rzeczy bardziej oględnie, dzi ^ nie wprost, na przykład zaprosić cię na lunch i tak da ej,|< takie... hm, podchody... przystoją raczej naturom Podst^e' uznałem więc za właściwsze objawienie mojego... P ^ nia... bez. ogródek, a reszta stosownych zabiegów ni dzie za nim. . . c0fnęła-

Panna Curtland chwyciła się za kołnierzyk sukienki i Była naprawdę przerażona. rozumu!

- Panie Crimond, stwierdzam, że jest pan mosp^jmondei»"-

- Proszę, jeśli łaska, nie nazywaj mnie „panem

żebyś mówiła mi „David", ale jeśli moje imię nie p^onajby01^ ^ razje przez gardło, wolałbym, żebyś mówiła mi P^echodrz ^^j» jaj, mnj wiem, że niektórzy mają mnie prostu „ widzisz z pewnością, a już na pewno w tej nhlakanCc |

l y' że jestem przy zdrowych zmysłach.

\* To chyba jakiś okrutny żart - wybuchnęła - albo złośliwa, Adorna obelga!

Czuła straszny gniew, czuła się osaczona, przyciśnięta do Bijące od niego napięcie, jakie wyczuła, gdy wszedł do Pokoju, nasiliło się jeszcze, sprawiając, że zadrzała. Crimond jakby się rozluźnił i dodał tonem wyjaśnienia: \_ Qobrze wiesz, że nie żartuję i nie próbuję cię obrazić. Propozycji małżeństwa nie traktuje się na ogół jako obelgi.

- Boże... ty chyba do reszty postradałeś zmysły! Nic pojmuję, jak mogłeś nagle wyskoczyć z czymś podobnym! Tu z pewnością nie chodzi o mnie! Tyś oszalał! Robisz, to z. zemsty, chcesz się zemścić na Gerardzie, a może na Jean. Chcesz ich zranić... ażc nie możesz... Cóż za potworność!...

- Żadna potworność. Rose. Zresztą twoje przypuszczenia całkiem mijają się...

- Chyba nie sądzisz, że mogłabym przyjąć tę propozycję poważnie? Czy jesteś taki bezczelny, czy taki naiwny? Nic znam cię zbyt dobrze, ale cię nie lubię. Wdarłeś się bezceremonialnie tycie mojej najserdeczniejszej przyjaciółki, niby to śmiertel-

^e zak^chany, i o mało nie zburzyłeś jej szczęścia, a teraz

sm'esz przychodzić do mnie i zgłaszać tę obraźliwą, głupią propozycję?

Łatwo mi sobie wyobrazić, że moje zażyłe stosunki z twoją fiołką mogą cię odstręczać...

rzaio ,C "°dstręczają" mnie twoje zażyłe... Doprawdy, to obu-CZeJ niż ' Potrafię zinterpretować twojego zachowania ina-ności Zjak^ faiszywe i niecne... Żadne, ale to żadne okolicz-UsPrawiedliwiają twojej propozycji!

. r01^187- dy^utować... ^dyskutuję!

l° c' wlaś tT10W'sz' ' 00 sugerujesz, zasługuje na odpowiedź, ^y w j^le Proponuję:

wyjaśnienie. Oczywiście byłem zako-an. Nasz związek okazał się jednak niemożliwy... tylko

Dwukrotnie podejmowaliśmy próbę wspólnego życia nie ponieśliśmy klęskę.

- Ponieważ jest zamężna...

- Ach nie, ten wzgląd się nie liczył. Powodem była kowa, niezwykła intensywność łączących nas uczuć

..... , , J Mógł

ci to bliżej wytłumaczyć...

- Daruj to sobie, proszę!

- Wspięliśmy się na szczyt... Później mogliśmy jU2 wzajemnie się niszczyć. Oboje zdawaliśmy sobie z tego spram" Ograniczałem jej osobowość, uszczuplałem ją. Jean musiałab-mnie w końcu znieawidzić. Lepiej było z tym zawczasu skonczyć. zerwać, aby zachować choć pamięć o doskonałej miłości Nasz związek był od początku skazany.

- Więc rozstaliście się za obopólną zgodą... nic porzuciłeś jej po prostu?

Nie potrafiła się oprzeć, by nic zadać tego pytania. Choć wystraszona i rozgniewana, nie zdołała jednak opanować dreszczyku podniecenia i ciekawości. To wszystko było tak niespodziewane!

Zamyślił się na chwilę, po czym odrzekł:

- Zasadniczo rozstaliśmy się istotnie za obopólną zgodą. Znalazłem, co prawda, inne rozwiązanie... Przypuszczam, że ci

o tym powiedziała?

- Otóż nie.

- Kiedyś ci to wyjaśnię.

- Panie Crimond - zachnęła się Rose - nie będzie żadnego „kiedyś”! Życzę sobie, aby pan natychmiast opuścił moją

I nie myślę się z panem więcej spotykać.

Zignorował jej wybuch. wspólnego

- Moje uczucia, moja miłość do Jean me mają me z tym. co zamierzam z tobą omówić. Oczywiście, aga szokowa... bo przyznaję, że jest to taktyka szokowa-namysłu, wyjaśnień... trwała m«- '

- Już sama nie wiem, co o tobie myśleć P ł obłakan>-Ponownie skłaniam się do przeświadczenia, że jes si?

w każdym razie niezrównoważony. Istnieje cos, ^ pr2?\$y#& potocznie zawodem miłosnym. Przypuszczam, ł t#o\$ł szok z powodu zakończenia... jeśli na naprawdę ko ^ ^ ^ długiego związku z Jean. Nałożył się na to zapc ukończeniem książki i wszystko to razem wytrąciło cię [ - z równowagi... Oto najbardziej miłosierne wyjaśnienie ^^niestosownej i bulwersującej propozycji.

Nie chciałem cię zbulwersować... a raczej chciałem... lecz rzvkry sposób. Zawsze darzyłem cię szczególnym uczu-' ' miałem o tobie wyjątkowo dobrą opinię. Tylko dwie koninie w życiu interesowały. Jedną była Jean, drugą ty. riałem cię, jeszcze zanim ją poznałem. Pokochałem, zanim ^kochałem Jean... Proszę, pozwól mi skończyć. Była to oczywiście miłość milcząca, skryta, uczucie nie uzewnętrzniane i abstrakcyjne. Już na samym początku uznałem cię za nieosiągalną. Może się myliłem...

- Doprawdy...

- Wydawało mi się, że darzysz mnie sympatią. Brakowało mi jednak odwagi, by wyjawic ci moje uczucia. Nigdy nie dałem ci nawet najmniejszego dowodu miłości. Zawsze tego żałowałem. I teraz żałuję. Znacznie później pokochałem Jean. Wyobraziłem sobie, że to jedyna realna miłość, do jakiej jestem zdolny. I znów się myliłem. Moja miłość do ciebie nie obumarła w ukryciu. Nie sądziłem jednak, że zdołam ją odsłonić... Aż do tej chwili, kiedy znalazłem w sobie dość odwagi, by stanąć przed tobą i prosić, byś mi uwierzyła. Chyba potrafisz się wczuć w moje położenie?

- Nic chcę słuchać twoich wyjaśnień - zawołała. - Jesteś na wpół obłakany po odejściu Jean i chcesz u mnie szukać pocie-c y- Uroiłeś sobie, że odżyło w tobie uczucie, które żywiłeś wieku lat dwudziestu. Propozycja małżeństwa w obecnej sy-acJi jest pomysłem iście szalonym! njg ^ydawało mi się - powiedział, wpatrując się w nią bacz-e me byłem ci wtedy, a i teraz nie jestem, obojętny. Byks i jesteś!

tania^0'0^6111 ta^e wrażenie podczas naszego ostatniego spot-  
^° ciehS?e^0 ostatniego spotkania? Tego dnia, kiedy wpadłam

- rj^by sPrawdzić...

- Isty Jeszcze żyj?. Odetchnęłaś wtedy z ulgą.

ście nje le' a'e Przez wzgląd na Jean, nie na ciebie! Oczywi-  
Fwsze 0Pb?nq\*arn UJrzeć twoicn zwłok na podłodze. Byłeś mi JCtny, a twoje idee uważam za odpychające...

- Och. moje idee... lecz moja osoba... Słowo „osoba” zabrzmiało w jego ustach tak że panna Curtland omal nie parsknęła s'miechem

- Twoja osoba... Czyżbyś sugerował?...

- Mam na myśli całą moją istotę. Proszę, Rose, nie o • się na mnie i wybac szokującą nagłość mojej prop\>zye|nieJ?j widziałem innego sposobu jej przedstawienia. Żadne z nas było dotąd związane węzłem małżeńskim, więc nic nie stoi"6 przeszkodzie, byśmy rozważali nasz związek na tej płaszczyźnie3 Miłość musi zostać obudzona. Ja pragnę obudzić twoją. Uważam że jesteś zdolna mnie pokochać.

Zapadła chwila ciszy, po czym panna Curtland oświadczyła stanowczym tonem:

- Nie wierzę w tę bajeczkę o wieloletnim uczuciu. Ta fantastyczna mrzonka urodziła się w twojej głowie przed kilkoma zapewne dniami. Spowodował ją szok. w jakim się znalazłeś. Czy zechcesz to przyznać czy nie, jestem pewna, że dzisiejsza wizyta jest w istocie zemstą na Jean i atakiem na Gerarda.

Milczeli przez chwilę, przyglądając się sobie przez szerokość stołu. Panna Curtland spostrzegła, że drżą jej ręce, skryła je więc czym prędzej na kolanach.

- Nic podobnego, jesteś w błędzie - zaprzeczył, po czym dodał tonem wyjaśnienia: - Doszedłem po prostu do wniosku, że powinienem otworzyć przed tobą serce. Mam nadzieję, że dostrzeżesz, po głębszym namyśle, jak poważne jest moje wyznanie. Trudno zresztą, by było inaczej. Oczywiście nie oczekuję od ciebie w tej chwili żadnej jednoznacznej odpowiedzi. Pocze kajmy, wróćmy jeszcze do tej rozmowy. Na początku powiem jedynie, że chcę cię lepiej poznać. Poczułem jednak, i to szczerze, że nie mogę się ograniczyć do tej d^3^^^, wyznawszy ci i całej reszty. Teraz jednak, gdy już ^^y zostało powiedziane, a nie zamierzam tego odwołać do pierwotnego pomysłu. Proszę, pozwól, byśmy się oDraż-wzajem poznali. Taka propozycja nie może być \_ liwa. Proponuję, żebyśmy się spotkali za jakiś ty^2^ ^ j chy.

- Uparłeś się, by mnie źle rozumieć - przerwała mu, nie słuchasz tego, co do ciebie mówię!

- Może uznasz mnie za... prowincjusza, ale-

nie pleć głupstw! Jeśli sądzisz, że chodzi o różnice i Sprawa jest całkiem prosta: nie lubię cię i tyle! ^W^wierzę. - Zarumienił się i rozciągnął wąskie wargi, aż " ^\ ie zebv - A co do Hernshawa, czym on ci się odpłacił feaU-j,^,

- Curtland zerwała się z miejsca. Cnmond rowmez na-hn^ast się podniósł. Otworzywszy usta, stwierdziła z ulgą, że lew przydał jej elokwencji.

° Jak śmiesz wyrażać się w ten sposób o Gerardzie? Zazdrościsz mu, pogardzasz nim, a mnie obrażasz! Wydaje ci się, że żywię wobec ciebie przyjazne, niemal serdeczne uczucia... Otóż mylisz się! Twoja zaś śmieszna „propozycja”... Najpierw jesteś nieprzytomnie zakochany w Jean, rujnujesz jej małżeństwo, potem ją nagle rzucasz i przybiegasz do mnie! Żeby zemścić się na całym świecie, deklarujesz mi... wyznajesz... jakiegoś obłąkańcze uczucie, które podobno przed laty... Z miłością ono nie ma nic wspólnego, bo i mieć nie może!... Podsyte pogardą, próżnością, żądzą, żądzą i kompleksem niższości... Boisz się, że ludzie mają cię za „prowincjusza”... i spodziewasz się, że ja cię pocieszę, że... uprawomocnię... Boże, cóż za zarozumiałość, by wyobrażać sobie, że kiedyś mi na tobie zależało, że nadal zależy...

- To jest miłość - burknął. - To ty mnie nie rozumiesz.

- Kiedy ją poczułeś, trzy dni temu? Jak mogę brać poważnie takie deklaracje?

- Nie dziwię się, oczywiście, że jesteś zaskoczona, że z obu-^eniem przyjmujesz, moje oświadczenie, cokolwiek obcesowo.

e" ^cn> Boże! - zawołał nagle - mógłbym ci to wszystko wytłumaczyćL. Kiedy możemy się spotkać? - zakończył, ściszej głoś.

zaint^6 !'eStem ODUrzona - zaprzeczyła. - Nie jestem dość

z

esowana, żeby się zaraz oburzać. Nie chcę rozmawiać ^ogich ° tW^'cn uczuciach. Odnosisz się wrogo do osób mi z t0Dą s ^ależysz do ludzi gruntownie mi obcych. Nie chcę się mi więcg01^^' ^oszę, żebyś opuścił mój dom i nie zwracał Dnie ^ej §'°wy podobnymi nonsensami. Proszę cię, zostaw WidyWaJpokoJu i zechciej zrozumieć, że nie chcę cię więcej ^w^r^3 d° drzwi i otworzyła je na oścież. Odwróciwszy 80seia, spostrzegła na jego twarzy burzę wezbranych

uczuć, która jednak po chwili ucichła. Choć nadal niony. przybrał na powrót obojętną minę. Stał na ^^^ koju, stuknął obcasami i lekko się skłonił. Minął Ro^0^1\*0" do przedpokoj, chwycił swoje pallo i opuścił mięsek ^&Ze® mykając za sobą drzwi. ' ' anie> za-



Panna Curtland stała nieruchoma jak słup soli Na nięcie Crimonda, jego nieobecność, przyprawiło V ^

O szok. Wyszedł, a ona wciąż tkwiła w miejscu, a w jej kipiły wzburzone uczucia. Jak on mógł tu przyjść i pow^ed^ coś podobnego! Jak mógł ją tak przygnębić, tak zranić! Czuł się bowiem strasznie, okropnie zraniona, boleśnie doUcniadał jakby to on ją odrzucił, nie zaś na odwrót. Jak on mógł postąpić tak nieludzko, tak brutalnie, zmuszając ją do zachowania, jakie przed chwilą zademonstrowała! Nie powinnam była przemawiać tak surowo, pomyślała. Straciłam głowę. Należało okazać chłód, opanowanie i uprzejmość, nie pozwolić mu zostać tak długo

I tak się rozgadać. Powinnam go była wyprosić od razu na wstępie. Ale przede wszystkim, co oczywiste, nie powinnam go była w ogóle zapraszać! Zachowałam się przesadnie nieuprzejmie, a co gorsza, niezgodnie ze stanem moich uczuć. W Oksfordzie go przecież lubiałam, podziwiałam, jak my wszyscy zreszta. Będę się mojego zachowania okropnie wstydziła, będę z jego powodu cierpieła. Zachowałam się niewybaczalnie, karygodnie! Pobiegnę za nim, postanowiła. A zaraz potem: ależ to me wypada, jakże można, stworzyłabym tylko fałszywe wrażenie. W następnej zaś chwili otworzyła drzwi i zbiegła po schodach na dół.

Na dworze uderzyła w nią fala mroźnego powietrza. Panna Curtland stała na śliskim, oszronionym chodniku i rozglądała się na wszystkie strony. Przyjechał samochodem? Czyżby już chał? Zniknął jak kamfora. Podbiegła do rogu i /aJrzaja,^e ja. bliższą przecznicę. Na dalekim skrzyżowaniu zniknął ^Jjj^ ^ kiś samochód. Zawróciła, przebiegła obok swojego ^ustfady. śliznęła się na chodniku i. aby nie upaść, chwyciła się ^ Zajrzała w perspektywę sąsiedniej ulicy, lecz nie dojrzała go. Wtedy wolnym już krokiem wróciła do domu, ^ ^ w otwarte na oścież drzwi i wspięła się po schody o^n0 od' Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami^ ^ dychając. Co się z nią działo? Dlaczego uważała teraz -

• a w świecie odnalezienie Crimonda, sprowadzenie oajważnieJ^em . od5ycie z nim długiej, bardzo długiej rozmowy i P°w na myśli Bóg, pozwoliła mu odejść? Dlaczego wy? D a . 7 mm tak niegrzecznie, surowo i wyniosłe? Co sobie ^^omyśl'- on - człowiek tak dumny, który jej zaufała, skłamał- owo zdumiewające wyznanie? Powiedział, że z pewnością daJąC je Tak. tak, na pewno, już zrozumiała. Była głęboko l° Zf° ona tą zamkniętą w ukryciu miłością, która jednak nie ^umarła Wierzyła mu. Powinna mu podziękować za to, że tak ją pokochał. Zaczęła nerwowo krążyć po salonie. Słońce już zaszło, zapaliła więc światło. Czy to możliwe, aby jakimś cudem, w przeciągu kilku minut, zakochała się w Crimondzie? Dlaczego byłam taka agresywna, taka okrutna? Przecież on mi w gruncie rzeczy pochlebił, nawet jeśli uważa mnie tylko za koło ratunkowe. Byłam taka wyniosła, taka odpychająca, tak pospolicie próżna, gdy mu zarzucałam, że mnie obraża, wyznając mi miłość. A przecież powinnam mu być wdzięczna. Nie powinnam go była odtrącać, kazać mu iść precz. Zachowałam się po grubiańsku. Mogłam się zgodzić na następne spotkanie, choćby z czystego współczucia. Boże. nawet nie zrobiło mi się go żal, a przecież to nikomu by nie zaszkodziło! Wyglądał na tak zmęczonego, posmutniałego. Porozmawiam z nim, jeszcze nie wszystko stracone, wysłucham wyjaśnień, jakie obiecał mi złożyć. Tylko czy roi wybaczyć nieoględne słowa? Uzna pewnie, że jestem nieszczerą- Boże, co się ze mną dzieje? Co ja najlepszego narobiłam! Panna Curtland uświadomiła sobie po fakcie, że hołd Crimon-szalenie jej pochlebił. Ten człowiek, taki wybredny, taki j^Wściągliwy, przyszedł do niej jako suplikant. Wyznał, że ją ' ZC zawsze kochał- Jost oczywiście szalony, myślała, SjcQZe Mam tego zdania. Jakże jednak inaczej przedstawiało ?no^Vo ODła-kanie pod postacią miłości do niej! Muszę się z nim g0 njeZ°:)aczy^' postanowiła, i to jeszcze dziś. Zwariuję, jeśli Werto Z?^dc/i\*- zadzwonię, może jest już w domu. Zaczęła sobie 30 ksiązkę telefoniczną i dopiero wtedy przypomniała mu ka7ał odłączyć telefon. Pojadę, postanowiła. Lecz co ^stałab^°C'a Pow''°- Przyjazdu? Taka

na gwałt eskapada by ją Q^ ZaPewne uznana za bezwarunkową kapitulację. A gdy-1r3cił, co wtedy? Wtedy i ja oszaleję, pomyślała, już zresztą jestem na poły szalona... Boże, jak to boli! M uśmierzyć ten okropny ból. Ach, czemu 20 nie'-« USZ?3^QS przynajmniej na trochę, bym mogła sobie przet^s?^3-3^ oświadczyć! Napiszę do niego list. a potem wybiegnę^g0 do skrzynki. Muszę coś zrobić, bo serce mi pięknie nT^\* wyważony list, w którym zaproponuję odbycie niebawem nej rozmowy. Napiszę, że bardzo żałuję swej opryskliwość ^ za nią przepraszam. Napiszę... Odetchnęła z ulgą. wyjęła pióro, kartkę papieru, usiadła p stole i jęła w pośpiechu pisać. Drogi Davidzie!

rozmawiałam z tobą tak nie- przeraziło, więc instynktownie się przed nim broniłam. Obecnie pragnęłabym Ci za nie z całego serca podziękować, podziękować' za zaszczyt, jaki mnie spotkał z Twej strony. Wierzę, że byłeś szczerzy i wielce sobie cenię uczucia, jakie do mnie żywisz. Przyznaję, że zasiałeś niepokój w mym sercu. Chciałabym spotkać się z. Tobą ponownie, by choć trochę zatrzeć okropne wrażenie, jakie musiałam sprawić. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Jestem zdania, że przydałaby się nam obojgu spokojniejsza, w nastroju przyjaźni toczona rozmowa. Wkrótce, jeśli pozwolisz, ponownie do Ciebie napiszę z propozycją terminu nowego spotkania. Serdecznie Cię pozdrawiam

Rose

Przeczytała list uważnie, wykreśliła zdania mówiące o zaąa nym w sercu niepokojowi i nadziei na przebaczenie, po czym pisała list na nowo. Sam proces przelewania myśli na pap ^ łagodził jej ból. Wpatrywała się w kartkę papieru, kiedy za nią telefon. To on. ucieszyła się w duchu. Musiał Pocz^ ^^tu co ja: że musimy się znowu spotkać. Podbiegła o i porwała z widełek słuchawkę.

- Serwus, Rose, to ja. . że naj-Gerard! Tak kompletnie zapomniała o jego istmie"^ nie była pierw wyrwał jej się cichy okrzyk zaskoczenia, a p ^^ę od w stanie wykrztusić słów powitania. Odsunęła s ucha. Z oddalenia dobiegło ściszone wołanie:

- Halo, Rose, jesteś tam?

j^óo!byś chwileczkę poczekać? - wydukała. - Muszę wy- óg

.«/coś w kuchni. 18 , ?0 kuchni, pogapiła się chwilę na rządę dobranych r czerwonych rondli, ustawionych według rozmiaru, po ^wróciła do telefonu.

1 Słucham?

, co się stało, skarbie? t Nic. Nic się nie stało. \_ Masz taki dziwny głos. \_ Czego chcesz? Czego chcę?" Cóż to za pytanie? Po prostu do ciebie dzwonię! Jesteś chora? \_ Nie, skądże. Przepraszam...

- Prawdę mówiąc, chciałem cię o coś zapytać. Nie wiesz przypadkiem, kiedy wracają Cambusowie?

Gerard? Cambusowie? A cóż. to za jedni? Spróbowała się skoncentrować.

- Niedługo, jak mi się zdaje. We wtorek lub we środę. Tak rai w każdym razie powiedziała Jean, kiedy do niej wczoraj wieczorem zadzwoniłam.

- Bardzo się cieszę, już myślałem, że będą się bali pokazać w Londynie. Słuchaj, nie zjadłabyś dziś ze mną kolacji? U ciebie lub gdzieś na mieście?

- Przykro mi, ale nie mogę.

- Więc może lunch?

~ Niestety, mam umówione spotkanie...

No cóż... widzę, że się spóźniłem. Spróbuję szczęścia innym razem k v>

••! kochanie, czy na pewno dobrze się czujesz? Pan CŻ ta^ ^z'ę^ za telefon. Niedługo do ciebie zadzwonię. un,5w-na ^urt'an(l wróciła do stołu. Nie miała tego dnia żadnych Wią^jj^^00 sP°tkań. Kompletnie zwariowałam, pomyślała. Na-tyy^l Jakakolwiek stosunków z Crimondem jest absolutnie na jean j°ne' tak przez wzgląd na Gerarda, jak przez wzgląd dziej na . lDym teraz do niego poszła, a pragnę tego najbar-Q jeg0 . „SWlecie' mogłabym znaleźć się w jego objęciach albo to Zrobić°\*n^rZeka mme zamknąć pod kluczem, ja sama muszę w^d-°być iv/amę\*° mme jakieś opętanie i muszę się z niego ^n Jeden °ZC Jednak mogłabym wysłać mu ten list... tylko ze by zatrzeć okropne wrażenie, spróbować jakoś naprawić stosunki między nami, w przeciwnym razie i przestanę cierpieć i będę stale myślała tylko o tym co""8^ n'e o mnie pomyślał. Mogłabym usunąć to zdanie o' powr^6 spotkaniu. Mimo to niewątpliwie potraktowałby ten list^"l zachęte, mógłby mnie znowu odwiedzić, zjawić się be wiedzy. Boże. jak ja tego pragnę! Podeszła do stołu i wzięła^T ręki kopertę. Po raz kolejny przeczytała list, po czym zmięła ° w garści. Jej oczy zasnuły się łzami. Żal mi go. pomyślała, muszę to sobie odtąd powtarzać nie ustannie. Kocham go. kocham, choć to beznadziejne. Jak mo głabym to wytłumaczyć, czy można się tak prędko, tak nagle zakochać? Mnie się to jednak zdarzyło... Pokochałam, lecz miłością zabronioną, zabójczą, którą muszę powstrzymać i zabić, a nawet całkiem przestać o niej myśleć. Najmniejsza słabość może się dla mnie skończyć katastrofą, zupełnym opuszczeniem. Więc nikt się nie może dowiedzieć. Jak mogłabym dalej żyć, gdyby na przykład dowiedział się Gerard? Gdyby do czegokolwiek doszło... skończyłoby się niechybnie źle... a to by mnie złamało, zniszczyłoby moją prawość, godność, dumę, te cnoty, którym staram się dochowywać wierności. Nie mogę wystawiać na hazard całego mojego życia. Tylko, Boże mój, jak to strasznie boli! Odtąd będzie mnie już zawsze dręczył ten sekretny ból. Mimo to muszę pozostać wierna mojemu prawdziwemu światu, mojemu drogiemu, męczącemu, lecz realnemu światu. Nowy świat po prostu nie istnieje. Jest mrzonką, iluzją, trucizną. Boże, ja chyba oszaleję! .^^

Weszła do sypialni. Lecz on mnie chciał poślubić! Pos u Rzuciła się na łóżko i wy buchnęła płaczem.

Przez krótki okres wspólnego z Rose pobytu w ^^je Cambusowic stwarzali pozory, że jako małżeństwo wydobrżeli. Panna Curtland nie mogła się nadz,W^acnoWywali jowi. Podczas kolacji tamtego pierwszego wieczorU.(,ało t0 wcale się niemal tak. jakby się nic nie zdarzyło. Nie ?0 prosW

z jakiegoś wcześniej zawartego cichego porozumie ^ ^ sl? instynktownie wzniesli wspólną, maskującą fasa ^ę, ^ Dad-schronili przed panią domu, kłopotliwym swia ^^jan\* to skorym do podzielenia się z innymi swoimi

interes nakazywał im zrobić na pannie Curtland po-wrażenie", skoro już byli zmuszeni cierpieć jej obec-^^Rose istotnie wyjechała pod wrażeniem cudownej rekon-B°SC\* ncji Cambusów, o której też zaraz opowiedziała Gerar-• Oboje z przyjacielem zabrali się jednak, nie zwlekając, ^mozolnego podważania wszelkich zwodniczych, zanadto mistycznych wrażeń, jakim mogła była ulec. Zgodzili się, ich „spokój" był w istocie rezultatem szoku, a „dobre samo-oczcucie" dawało się porównać do okazywanego podczas pogrzebu nerwowego ożywienia osób zmarłemu najbliższych, które śpieszą potem do domu, żeby się wypłakać. Przewidzieli liczne wyzwania i trudności, zastanawiali się nawet, czy ponowne zejście się małżonków okaże się w ogóle możliwe. Niewykluczone wszak, że załamię się natychmiast na skutek nieopanowanej urazy Duncana bądź ucieczki Jean do Crimonda. Panna Curtland i jej przyjaciel nie usiłowali sobie jednak wyobrazić w szczegółach najbliższej przyszłości Cambusów i nic wykraczali w swoich spekulacjach poza sferę ogólników. Ich zdaniem należało się uzbroić w cierpliwość i czekać - powściągliwość dla tej dwójki charakterystyczna.

Rose zamierzała wyjechać z Bojarówki zaraz po przyjeździe Duncana, wieczorem tego samego dnia uznała jednak za rozepnę odłożenie wyjazdu do rana po prostu po to, by się przelać, jak się sprawy między małżonkami ułożą. Doszła do osku, że jej obecność, przynajmniej na początku, może się okazać pomocna, narzucając kontaktom między godzącymi się SforPCWną pożądaną oficjalność. Poleciała Annuszce posłać Ostatni W Pokoju na liaci domu, gdzie Duncan nocował podczas badania "złoty czytelnicy". Nie usiłowała dociekać ani w polg Zle naPrawdę spędził tę noc. Spędził ją otóż samotnie żywią do mu Przydzielonym. Po wstępnym odkryciu, że „nie dziwie się Sforble niecheci”, Jean i Duncan popadli w jakąś za-Swoimą Illeśmiałos'c. coś w rodzaju milczącej rezerwy. kreSy ci t0VVarzystwie przeważnie milczeli, choć nie były to Wkrótce zdali sobie sprawę, i na krótką jjiiała wię"1^0 im to ul»ę (w tym względzie panna Curtland lunT^ ZC czekają P° Prostu na wyjazd gospodyni, owej ^ U' a mrwet przy herbacie, panował nastrój z lekka Wesołości, ale przy kolacji oboje już grali. Potem jeszcze chwilę posiedzieli z Rose, po czym zrejterowali czając, zgodnie zresztą z prawdą, że czują się „komplet^Viad" nani". Ledwie wyszli. Rose dosłownie pobiegła do sypialni schodami od tyłu. byle nie przechodzić obok Jean, umyślnie z hałasem zamknęła drzwi, położyła się wc—0" do łóżka i szybko zasnęła, bo również czuła się skona^ Scena, jaka rozegrała się w pokoju Jean. była również królk oboje małżonkowie pragnęli bowiem od siebie odpocząć Pr/ szkadzła im ponadto świadomość, że Rose jest niemal tuż " ścianą. Nie potrzebowali komunikować się słowami, by dojść do zgodnego wniosku, że tę noc chcą przespać osobno. Duncan przekradł się na palcach do swojej dawnej sypialni (skorzystał podobnie jak panna Curtland, z tylnych schodów, byle nie przechodzić obok jej pokoju) i nie zdziwił się bynajmniej, stwierdziwszy, że czeka go tam zasłane łóżko, a na kominku płonie ogień. Jean połknęła jedną z nasennych tabletek doktora Tallcotta i natychmiast zasnęła. Natomiast Duncan jeszcze długo stał w ciemności i patrzył w okno. Początkowo nie zapalał lampy, bo czekał, aż zgaśnie światło w oknie pokoju Rose (widział jego błądy odbłask na trawniku i na kolistym murze wieży). Ale i potem, gdy już zgasło, dalej stał nieruchomo w ciemności. Po jakimś czasie otworzył okno i wpuścił do pokoju mroźne, wilgotne powietrze, zalatujące wonią mokrej ziemi. Deszcz ustał i na niebie zabłysło kilka gwiazd. Duncan stał w otwartym oknie i oddychał tak głęboko, jakby nie tyle oddychał, co zanosił się głuchym, bezgłośnym szlochem. Cierpiał, jak cierpi człow^ przechodzący wielki duchowy kryzys, powalony szczęściem, przepełniony mieszaniną zgrozy, rozpacz, C » ^ i jakiejś cudownej, chociaż bolesnej radości. Był \*7f^^fg0s może przeżywać ów stan w samotności, dygocząc ja okazał i oddychając głęboko. Demonstracyjna oziębłość, J ^^g. Gerardowi i Jenkinowi. nie była bynajmniej całki^d nie do-Czuł, że musi pozostać niewzruszony, zachować c ^^?#5 puścić do siebie nadziei, niczego się nie spx>a^iewac,^^^ uwieść mirażowi szczęśliwej przyszłości. W zac nap2" stawy pomogło mu niekłamane rozdrażnienie, ja ^^ wsZ3k nił widok uradowanych twarzy przyjaciół. Przyn ^ vV/r0szettie dobrą nowinę i oczekiwali, że okaże stosoW"e,ką nad2'^ i wdzięczność. Tymczasem on stłumił w sobie tern zmienił się w krańcowego czarowidza, wręcz pia-Z10 swoje zastarzałe urazy i rany i naprawdę nie wiedział, stował s^ stanaj obojc jeaili że ją wclą2 bezgranicznie kocha dopóki^ \_ najwyraźniej obojętny. Wystarczyło mu 1 % ' cUtiUj by znaleźć oparcie na tę jedną przynajmniej noc. 'nazajutrz Rose przełknęła na chybcika wczesne śniadanie, po pożegnała się ze swoimi gośćmi, którzy w tym celu zeszli CZ^doł Sprawiali wrażenie spokojnych i opanowanych. Czekał W. na iuch stół zastawiony przez Annuszkę wyszukanyimi śniadaniowymi daniami. Słońce połyskiwało w mokrym po deszczu ogrodzie. Machali zgodnie za odjeżdżającym samochodem panny Curtland. nim jednak ucichł w oddali warkot silnika, spokój Jean w jednej chwili prysnął. Pobiegła na górę i zamknęła się na klucz w sypialni. Duncan słyszał przez drzwi jej histeryczne szlochanie. Co jakiś czas pukał i cicho

nawoływał żonę. Nie czuł złości. Usiadł na podłodze w korytarzu i cierpliwie czekał. Annuszka przyniosła mu krzesło i filiżankę kawy. Wolałby, co prawda, nadal siedzieć na podłodze, ale usiadł na krześle, by nie sprawiać starowinie przykrości. Gdy tak siedział i słuchał płaczu Jean, spłynął nań jakiś dziwny, podszyty rezygnacją spokój.

W końcu Jean przekręciła klucz, otworzyła drzwi, po czym biegiem wróciła do łóżka. Rzuciła się na nie i dalej płakała, choć już ciszej. Duncan rozejrzał się po dobrze sobie znanym Pomieszczeniu. Na kominku jasno płonęły drwa. Zauważył teraz (poprzedniego dnia uszło to jego uwagi) zdjęty ze ściany obraz

bocyróżny P° 'lim Ślad na błękitnej tapecie- Podniósł ośmio-czny stolik, zrzucił na podłogę leżące na nim książki, postawił

PoaY >k Pr?y °knie' a orjok nieL° ustawił dwa krzesła. Następnie dzi^d'6^ ^° ^^a- criwycił Jean za rece, podniósł ją i poprowa-zWróc° St°^^a' ^s'edli częściowo twarzami do siebie, częściowo ^a kt°ni W Slroni\* cieniejących w słońcu łagodnych wzgórz, s'cioła°iyCn

wyglądały dachy kilku wiejskich chat i wieża ko-d!Orjie ean Przestała płakać, ledwo mąż jej dotknął. Położyła gam, P as^° na blacie stolika i siedziała z rozchyłonymi war-^adaim0,Cra-  
 twarzą i potarganymi włosami, wpatrzona w okno. Pasej, ^ała na sobie tweedową sukienkę Rose, zdjęła tylko ^0,em w nCan Przez chwilę przyglądał się żonie w milczeniu. Jej twar/J p  
 2 Peszeni chusteczkę, nachylił się i delikatnie otarł rzy sunął bliżej krzesło i zaczął gładzić jej  
 dłonie

i ramiona pod luźnymi rękawami sukienki, a potem po głowie, przeczesując palcami włosy. Jean zaczęła cich^ 'ą chać, pochyliła głowę i poddała się rytmicznemu ^4°\*^ wielkiej i ciężkiej  
 dłoni. °m Jego

Po chwili odsunął się od niej i zapytał:

- Więc rozbiłaś wóz?
- Tak.
- Co się właściwie stało?
- Za szybko uciekałam.
- Czy równie szybko wrócisz?
- Nie. To już skończone...
- Nic jesteś już zakochana?

Nie odwracając oczu od okna, powtórzyła:

- To już skończone.
- Trochę potrwa, zanim ci uwierzę.
- Dołożę starań, żebyś uwierzył.
- Uplynie trochę czasu, nim między nami wszystko się ułoży. Wylejemy sporo łez. Będziemy musieli obnażyć przed sobą wszystkie nasze rany, odsłonić przed sobą dusze, żyć jak pokutnicy. To potrwa. I nic wiadomo, do czego nas doprowadzi.
- Ale będziemy razem.
- Mam nadzieję.
- Ty mi współczujesz...
- Nawet bardzo. Będziesz musiała nauczyć się z tym żyć.
- Boję się ciebie.
- Ach, mój ty... moja ty kochana, czy my jeszcze kiedyś będziemy szczęśliwi?
- Właśnie teraz, kiedy między nami zaczęło się dobrze układać, ty chcesz wszystko zepsuć! - krzyczała Lily. |i-ver. —
- Dobrze układa nam się tylko w łóżku - prydmął Gu^ ^ I nie mów mi tylko: „a czy to mało?" Mam powyżej u twoich życiowych mądrości! mnie
- Wcale nie jestem mądra. Najwyżej się stara^eczUi. Co chyba celowo ranisz! Stałeś się ostatnio okrutny i

się z tobą właściwie dzieje? jestem kołT1

- Powiedziałem ci już, co: jestem do niczego, J pletnym zerem!

• i- ta Oboje jesteśmy do niczego. A dwa kompletne To J'dK J , . ,  
00winny trzymać się razem!

zera ty jesteś prawdziwa, ty jesteś kimś. To ja jestem zerem.

^zforse,ato już coś.

Wiec zabawmy się! Pojedźmy do Paryża! " p0Za tym nie jesteś pustą lalą. Jesteś odważna,  
naiwna, "i również coś. Masz ikre, a choć brakuje ci wykształcenia

\* jesteś dość głupiutka, naprawdę ci na czymś zależy, rozpiera

Łjoie de vivre.

\_ Chciałabym, żeby i ciebie rozpierała. Od jakiegoś czasu stałeś się całkiem nie do  
wytrzymania. Powinieneś się rozejrzeć za jakąś robotą.

Powinieneś się rozejrzeć za jakąś robotą, dobre sobie! Drwisz sobie ze mnie czy co? Ty mną  
chyba gardzisz!

- Bzdura! Jak mogłabym gardzić wysokim, przystojnym brunetem?

- Ja już nigdy nie dostanę posady. Nigdy! Masz pojęcie, jak się czuje człowiek, który stanął  
przed taką perspektywą? Ty o to nie dbasz, bo w gruncie rzeczy lubisz się wałkonić i  
próżniaczyć. Ja tak nie potrafię.

- Możesz przecież pisać, nie? Zaczęłaś nową sztukę.

- Jest do chrzanu. Nie potrafię pisać.

- A może byśmy coś razem zaczęli, rozkręcili jakiś interes? Mając pieniądze...

- Jaki znów interes? Wyrabiać łożyska kulkowe lub kremy "awilżające? Przecież my nic nie  
umiemy. Wyrzucilibyśmy tylko mank-^°rSę W ^am Juz 7reszta. powyżej uszu roli utrzy-  
Przestań, ty wstreciuchu!... A Gerard nie mógłby ci znaleźć \*js posady? Kiedyś już próbował,  
prawda? i pos^jWSZem' ^Próbował też całkiem niedawno. Był tak dobry mnie do faceta,  
który prowadzi agencję literacką, a ten wiSj za^erać się do diabła! Ale to już panu  
Hernshawowi Wicu °n świadezy miłosierne uczynki na pokaz, żeby go Js\*a Podziwiali.  
aPoternPraWda' ^dm ™ S'ę Przyzna\*es, że cię kiedyś uwiódł, \* Gd f°rzucił- Mścisz się teraz  
na nim. † y°y mnie choć uwiódł!

zupełnie niemożliwy, i to teraz, kiedy wszystko za-

Jesteś

czy na się układać! Nam się zaczyna układać, Tamar d † Bogu, wróciła do domu, podjęła  
pracę, Jean wróciła do n^0^ zbliża się Boże Narodzenie...

- Tamar, jeszcze jedna ofiara losu, którą zabiją narkotyki" rak! A Duncan prędzej czy później  
ukatrupi swoją milutk-alb0 neczkę, bo nie wierzę, żeby jej szczerze drugi raz wyb^0 udaje  
tylko. Założę się, że biedaczka umiera po nocach ^\* chu. Którejś nocy obudzi się i zobaczy,  
że mężulek świdruv" wzrokiem Otella, a potem ją udusi.

- Powinieneś pójść do lekarza i dać się przebadać, wiesz?

- Dlaczego wciąż powtarzasz „oni. oni", jakby im na nas cokolwiek zależało? Jesteś  
skończoną snobką. Dałabyś Bóg wie co, żeby należeć do tej zasranej bandy, ale oni cię nigdy  
nie dopuszczą do swojego grona, podobnie jak mnie. Do usranej śmierci się tego nie  
doczekasz, więc przestań się tak starać!

- Zamknij buzię, dobrze? Idź i zaciągnij się do Legii Cudzoziemskiej!

- Wyjeżdżam, mówię poważnie. Wymówiłem mieszkanie, meble odsprzedałem sąsiadowi z za  
ściany, sprzedałem książki...

- Jak mogłeś?

- No cóż, w każdym razie większość. Jak ci się zdaje, co było w tych pudłach, o których  
przechowanie cię prosiłem? Nie stać mnie na życie na dotychczasowej stopie, a nie  
zamierzam iść na twój garnuszek. Wyjeżdżam na północ.

- Na północ?!

- Chcę się znaleźć tam, gdzie ludzie cierpią naprawdę, a nie tylko udają. Między najgorszymi mętami, na samym dnie społeczeństwa, chcę klepać prawdziwą biedę. Pora przestać się zać za burżuazyjnego intelektualistę. Pora przestać się nadzieją, że dostanę jeszcze kiedyś pracę. Ale tego wszy

nie osiągnę tutaj, przy tobie, pod bokiem kolegi Gerar , liniarza Jenkina i arystokratki Rose...

- Pojadę z tobą... symbole

- Wykluczone! Ja muszę uciec i od cienie, zło. Jesteś beczynną próżniaczką. . kobiet-

- Wiesz, dochodzę do wniosku, że ty nienaW^aWić sobie wyczułam to, ledwośmy się poznali. Pozwól ito P horoskop!

- Jesteś zabobonną babą, wnuczką więdźmy »-

\_ pro soba'

Proszę przesła" mnie straszyć, Guli! Nie jesteś teraz

ja ni^dy nie bywam "Sobą". Nie jestem dość „osobą”. ' ,peraZ się wymądrzasz. W gruncie rzeczy wcale tak źle nie

nich. Faktycznie, aż tak źle nie. Kobieto, czy nie widzisz, że jestem w rozpacz?

\_ Wielkie rzeczy, ja też, tylko nie robię wokół tego tyle hałasu Prawda, skapnęło mi trochę grosiwa, ale nie wiedziałam, co z tą forsą robić, ani co zrobić ze sobą... Potem tyś się zjawił i pomyślałam sobie: proszę, w końcu życie nabrało jednak sensu! A ty dręczysz mnie teraz jakąś przekłętą rozpaczą...

- Przychodzi w życiu mężczyzny taka chwila, gdy musi zostać sam, naprawdę sam.

- Guli, błagam cię, idź i z kimś o tym pogadaj, na przykład zJenkinem. Zadzwoń do niego...

- Mowy nie ma. Zresztą on też nawiewa, za co go wcale nie winię. Pryska do Ameryki Południowej.

- Skąd wiesz? Powiedział ci?

- Marchment mi powiedział, wiesz, ten belferzyna. Upadłem tak nisko, że poczołgałem się do niego, błagając o jakąś posadkę. Jenkin jest równy gość, szkoda tylko, że się wygadał przed Gerardem. Zresztą ja się tak daleko nie wybieram.

- Mam nadzieję! Wiesz, jesteś śmieszny! Nie rozumiem, co stoi na przeszkodzie, żebyś został w Londynie i zamieszkał ze toną? Jeśli chcesz pracować wśród mętów społecznych, w tym mieście znajdziesz ich na kopy. Mogłabym ci pomagać...

°Pieki arD'e' ^ ChCę scnodz'c< do tycn ludzi Jalco Pracownik społecznej, lecz zostać jednym z nich! Mam już dość tego "ansu i tych kompromisów!

dc D^uver' me zostawiaj mnie, błagam! Dzięki tobie napraw-soDie U Ze zyJc- Przecież się kochamy, wyznaliśmy to P°zazeszłej nocy. Pobierzmy się. błagam! ^e. ja wyjeżdżam. ^ Lle dokąd?

tydoyJj ^eeds' Sheffield, może do Newcastle, jeszcze nie zde-

> Tyś^ Tam wszyscy są bezrobotni. V'slr7-ymałCał,tlem oszalał!- Poproszę Gerarda, żeby cię po-

- Jeśli to zrobisz, nigdy ci tego nie wybaczą

- Ale dasz mi znać, gdzie się zatrzymałeś?

- Może. Napiszę, chociaż nie od razu. A teraz bardzo byś nie robiła scen.

Zerwała się na równe nogi i wybuchnęła płaczem.

- Nic. ty nigdy do mnie nie napiszesz! Pojedziesz licha ! gdzie, poślubisz jakąś siksę w Leeds, pójdziesz do pracy w^ bryce i już nigdy, nigdy ciebie nie zobaczę!

powróciwszy do Londynu. Cambusowie sprawili na swych zatroskanych przyjaciółach wrażenie pary, która świetnie się ze sobą dogaduje, znacznie lepiej, niż przewidywano. Oboje byli nieziemsko zmęczeni. Dźwigali ogromne ciężary i teraz z ul^ą zdjęli je wspólnie z utrudzonych barków. Za obopólną zgodą zajęli się tylko sobą i swoim małżeństwem.

Współdziałał z nimi w tym zadaniu wrodzony obojgu, niepohamowany he-donizm, który

kiedyś ich do siebie zbliżył. Wróciwszy do męża, Jean odkryła na nowo zasadę przyjemności. Żartowali też sobie z tego co niemiara. Prześcigali się w wymyślaniu drobnych uciech, zabaw i rozrywek. Uznali, że zasłużyli sobie na nagrodę, wszak przewyciężyli niebotyczne trudności, by znowu być razem. Kiedy londyński świątek dowiedział się o ich powrocie, zewsząd posypały się zaproszenia.

Cambusów zjednoczył cel, jakim było szczęście. Całkiem inną kwestią pozostawało leczenie głębokich ran, zadanych ich małżeństwu. Pytanie: „Czy zdołam jej wybaczyć?”, zakładało pojęcie przebaczenia tak mętne i złożone, że Duncan przestał się n, m w ogóle posługiwać. Istniało wiele innych sposobów radzenia sobie z tą sytuacją. Oboje odwoływali się do preceptów Półtora (\*7) di sobie przecież, zeszyłem razem, i to całkiem ładnie. Ciemu męczył, i chcieli poradzić sobie i teraz? Jedyna rada: „Słuchajcie, nie bardzo już sobie ten poprzedni przypominacie. Początkowo wydawało im się, że muszą tego użyć nad ponownym zbliżeniem, a drogą do siebie w tym celu szczere rozmowy o przeszłości, mówienie sobie prawdę, badanie każdej bliźniej, sondowanie każdego nieokazałego. W ten sposób rozbudowany program wzajemnych wynurzeń, chociaż trudny i oboje czuli w duchu, że okazać się miały nierzeczywiste. Mimo to dużo ze sobą rozmawiali i z siebie wzajemnie, że wiele to dla nich znaczy. Rozmawiali, choć wybiórczo, również o tym, co się zdarzyło w Ma dli ten pierwszy dramat wydawał im się teraz bliższy, bardziej plastyczny niż zdarzenia późniejsze, zasłane tylko Duncan opowiedział na przykład Jean. czego nigdy wcześniej nie robił, jak upijał się w pubie w Wicklow w gronie pod siebie potępieńców. Przywołanie jego ówczesnego stanu zdawało się mieć dla obojga istotne znaczenie. Nigdy nie powiedział Jean. i nie miał najmniejszego zamiaru tego teraz, jak znalazł włosy Crimonda na podłodze ich sypialni w wieży. Ów szczegół, wyjątkowo dlań odrażający, z latami obrósł w jego wyobraźni całą paletą brudów, toteż, nie zamierzał przydawać mu siły i wyrazistości przez zaszczepianie go dodatkowo w wyobraźni żony. Nie opowiedział jej również o ciosie jaki mu zadał Crimond. ani o jego przewlekłych, strasznych następstwach, uszkodzeniu oka i ranie na duszy, bardzo się bowiem wstydził tych okropnych wspomnień. Prawdę rzekłszy, choć tak często ze sobą rozmawiali, snuli różne wspomnienia i omawiali, choć z ostrożnością, znaczną część interesujących ich tematów, żadne z nich nie miało jakoś wiele do powiedzenia na temat Crimonda, jakby w tym ważnym przecież, wręcz, centralnym punkcie otwierała się jakaś osobliwa próżnia. Toczyli wciąż rozmowy jakby wokół niego, o nim samym nie wspominając. Bo też czy było istotnie rzeczą aż tak ważną rozmawiać o tym człowieku? Duncan pragnął zostać przekonany, a Jean dokładała starań, aby go przekonać, że jej związek z Crimondem jest nieodwołalnie skończony. Stało się jednak wkrótce oczywiste, że nie da się tego osiągnąć w żaden bezpośredni ani prosty sposób. Naturalnie, czas zrobi w końcu swoje, zagoi rany, ale i to będzie musiało upłynąć, czy starczy im na to życia? O siebie żonę, myśląc o niej, Duncan nie mógł się oprzeć. Jean wciąż Crimonda kocha. Tak wielka namiętność nie z dnia na dzień, obumiera po długim dopiero poście. chaj obumrze, niech zginie śmiercią głodową! Duncan nie pytał się jednak, że ma wielkie trudności z zadawaniem wprost na temat tej tajemnicy. Metoda zwierzenia. Jest przecież kiego” zakładała, siłą rzeczy, wyczerpujące i dogłębne prośby na nowo przygody Jean, w tym

drobiazgowo  
cesu. który doprowadził do rozstania kochanków; z tego widać, że wtedy małżonkowie mogliby odetchnąć z ulgą

romans naprawdę się skończył. Do tego jednak nie udało się Duncan zadawał jej określone pytania, na twarzy jego widać było grymas takiego bólu, że ze współczucia Jean nie mógł się oprzeć. Chciał się między innymi dowiedzieć, co postanowienie, Jean udzielała mu jednak mętnych, ale uczynnych odpowiedzi i szybko zmieniała temat. Rozmowy nie przyniosły mu też jasnego



obrazu wypadku samochodowego- w którym, gdy się nad tym głębiej zastanawiał, uderzała •  
kaś dziwaczność. Jeden temat po drugim omawiali zatem bo-ażliwie. po czym szybko  
odsuwali na bok. Niewykluczone, że inaczej się nie dało. więc należało przyjąć, że czynią  
jakieś postępy. W istocie uczynili pewien postęp, choć nie metodą wyczerpujących wyjaśnień  
i absolutnej szczerości. „Pokutnicze życie”, o jakim wspomniał Duncan, miało w jego  
rozumieniu obejmować również sferę seksu. Zanim wyjechali z Bojarówki nie potrafiłby  
sobie nawet wyobrazić, jak, kiedy i czy w ogóle będą w stanie podjąć choćby zbliżone do  
dawniejszego pożycie. Zastanawiał się czasem, czy jest w ogóle do pomyślenia, by Jean  
mogła się przenieść z łóżka kochanka do jego własnego lub by on sam zdołał się przemóc i  
przyjąć niewierną. Po jakimś jednak czasie przemożna, bezosobowa siła, której się potulnie, a  
nawet skwapliwie poddali, sprawiła, że spotkali się znowu we wspólnej małżeńskiej łóżnicy.  
Owo istotne ponowne zespolenie przyspieszyła swoista delikatność i czułość wzajemna, chęć  
zadowolenia partnera, która, jak można przypuszczać, zajęła miejsce procesu wspólnego  
dochodzenia do prawdy i obnażania ran. łac me ^tab: '-C7y mnie jeszcze kochasz?', miłość  
ich nadal \*|czyła, krzątając się pracowicie w pustej, jak się mogło czasami  
^wać, skorupie ich poharatanego stadła, (a w JWazn'e-'S73 rzeczą, o jakiej Duncan nie  
powiedział żonie łość UWa1, że się jej nie domyśla), była gwałtowność i zacieknymi  
naWi\*ci' jaką czuł do Crimonda. Nie mówił o niej zresztą że bn ^Znawano oczywiście za  
rzecz najzupełniej zrozumiałą, „uCY|jCan,„nie cierpi rywała. W miarę jednak, jak on i Jean  
s,°czv Sl<^ mozo'nie siebie nawzajem na nowo, czuł, że ona, jęła z.d Zy nieiatwą walkę z  
własną mroczną wyobraźnią, przystał PCWmk- ze skoro na dobre rozstała się z Crimondem,  
Sle z nim również ostatecznie jej mąż. Tak się jednak nie  
stało. Duncan nie przestał się oczywiście zastaiu. naprawdę opuściła kochanka dobrowolnie i  
czy któr ^ ^ nie polecą doń jak na skrzydłach, ledwo na nią zagwizd^ ^ czyły go wątpliwości i  
domysły, z którymi, choć^rLT Drę~ zrozumiałego bólu. musiał nauczyć się żyć. Menawieś  
monda należała do uczuć zgoła innego rodzaju, była obs ° ^ wrośnięta głęboko w serce,  
trująca. Rosła w nim niczyi tworny embrion, piła jego krew, oddychała jego piersią. Dun^  
wciąż na nowo przeżywał porażkę w walce na wieży i tT^ zawstydzającą bijatykę w  
ciemnościach nad rzeką. UpadekT schodów, upadek do rzeki, koszmarne dowody jego  
tchórzostwa, słabości i głupiego, niewydarzonego cierpienia. Takie upokorzenia domagają się  
odpłaty. Oczywiście, szczerze pragnął ułożyć sobie na nowo życie z Jean, a gdy pytał, czy  
będą jeszcze kiedyś szczęśliwi, jego troska płynęła z serca. To przyszłe szczęście ziszczało się  
czasem już teraz i Duncan cieszył się radością żony, gdy wspólnie planowali różne  
przyjemności i rozrywki. Owa nieodgadniona przyszłość kryła też jednak w sobie chwilę, nad  
którą pochylał się często jak nad drogocennym smoczym jajem, pochylał w zadumie  
odrażająco podobnej do świadomego dążenia - chwilę, w której pójdzie do Crimonda, by go  
zabić.

Tymczasem, w realnym świecie, pogoń Cambusów za przyjemnościami przybierała formę  
różnorodnych życiowych planów. Duncan nadal pracował w ministerstwie, gdzie miał wkrótce  
otrzymać awans, choć na stanowisko niższe od tego, jakie odrzucił Gerard, ze strachu, jak  
złośliwie twierdzili niektórzy. Duncan postanowił wszak ostatecznie, że świetnego, bądź co ą  
awansu nie przyjmie, porzuci Whitehall i zamieszkać z Je^aZ Francji, o czym tak zawsze  
marzyła. Zgodzili się oboje, bo co ^ częściej znajdowali przyjemność w obgadywaniu przyja  
^/^0j Gerard postąpił głupio, odrzucając tak eksponowane sta^zmy^ . skoro nie wiedział, co  
począć z wolnym czasem i tylko ^ nie go trwonił. Co innego oni. Spożytkują swój wolny ^  
zbudowanie szczęścia. Wiele godzin poświęcali ostami° starycb diowanie map i katalogów  
nieruchomości. Rozmawia basenów farmach do remontu, dyskutowali na temat ogrodów, ^o-i  
uroków mieszkania nad morzem.

Coraz częściej te/. ^ ^ dzili" - do teatrów, na przyjęcia lub do restauracji -

ii podniebieniu. Jean z pasją kupowała biżuterię i ciusz-<sup>^</sup>Igowa <sup>^</sup> z <sup>^</sup>(-jka<sup>^</sup> z Gerardem i Rose, a jednego <sup>^</sup> Widy<sup>^</sup>ykraj się nawet na kolację u Hernshawa, wydaną W'e<sup>°</sup>ZFairfaxów, na którą zostali również zaproszeni Rose, Jen-<sup>^</sup>CLel wien ministerialny kolega Duncana wraz z małżonką. <sup>^</sup> l c| oznajmił przyjaciółom, że przestał zapraszać gości, odkąd <sup>^</sup>6 o,>łq zwierzchnią władzę w domu. Zaproszono również pat przejęć . . , . . .

u vera i LaiY' ona się jednak wymówiła, a on w ogóle na szenie nie odpowiedział. Innym razem panna Curtland za-ła Cambusów na lunch. Przyszła sama Jean i opowiedziała rzYiaciółce o ostatnim weekendzie w Paryżu. Przyjaciele Duncana wykazywali się oczywiście najwyższym taktem, trudno jednak, by pogodzeni małżonkowie nie postrzegali ich inaczej niż jako ciekawskich i wścibskich podglądaczy. Podczas kolacji u Fairfaxow Jenkin wspomniął mimochodem o Tamar, dodając, bez wchodzenia w szczegóły, że chorowała, lecz ma się już lepiej. Wzmianka wprawiła Duncana w niemałe zakłopotanie. Oczywiście nie zapomniał o tamtym nieszczęsnym epizodzie, lecz. pamiętał o nim tylko tak, jak się pamięta fakty przeznaczone świadomie do gruntownego zapomnienia. Ledwo przychodził mu na pamięć, już go z niej wyrzucał. Jean o całej tej przygodzie nie wspomniął ani słówkiem. Odłożył ją na bok jako drugorzędne wyznanie, które kiedyś jej zrobi, później, w ich nowym życiu, We Francji, od niechcienia, pomniejszając znaczenie owej błahostki, niemal całkowicie ją bagatelizując, na co w istocie zasługiwała.

<sup>^</sup>ulliver Ashe przybył na dworzec King's Cross o dziewiątej Plan <sup>^</sup>C'a\* rzucić okiem na rozkład jazdy. Wyjazd za-ly <sup>°</sup>Wa\* na dzień następny. Po ostatniej „okropnej” scenie z Li-się<sup>^</sup>g01<sup>^</sup>\* S'Ç z mieszkania o świcie, wręcz ukradkiem, bojąc poWz- moślaby zjawić się niespodziewanie, by go odwozić od po je1?tCg0 zamiaru. Istotnie przyjechała, dosłownie w chwilę pensjo<sup>^</sup> Wy<sup>^</sup>ciu- Gulliver od kilku dni mieszkał w taniutkim liku) n- <sup>°</sup>łe <sup>^</sup>me zasługiwał nawet na miano podrzędnego hote-dy oo<sup>^</sup> aleko dworca. Poczł się wewnętrznie zbudowany, kie-? nowa. \ ' Z łatwością, przynajmniej na razie, radzi sobie r<sup>°</sup>lą bycia zerem, prawdziwym biedakiem. Oczywiście, doznawał również lęku. Odłożył wyjazd z powodu nie d uregulowanych rozliczeń z gospodarzem, a także no <sup>°</sup>k<sup>°</sup>ÓCa torem, który odkupił od niego część mebli, wreszcie • <sup>^</sup>kiem. którv n;ibvł ich reszto a na HnH<sup>^</sup>t<sup>^</sup>i- i,,,- ! Z' Cz<sup>^</sup>Wie-kiem. który nabył ich resztę, a na dodatek książki Ta transakcja przyniosła Gulliverowi sumę większą, niż <sup>^</sup>tatnia dziewał. a wraz z resztą oszczędności pozwalała zacząTn<sup>^</sup> życie z jakim takim zabezpieczeniem finansowym. Próbował nic myśleć o Lily. Czuł, że „prob!em Lilv” nr?\* , . i , | . . , \* Przerasta go i częściowo właśnie z jej powodu uciekał. Był szczery, kied deklarował, że ją kocha, i niezmiernie wzruszony, gdy (Kh<sup>^</sup> jemniła mu się podobnym wyznaniem. W zaniepokojenie wprawiła go jednak rozmowa o małżeństwie. Jakżeby mógł poślubić kogoś takiego jak Lily Boyne, osobkę uznawaną powszechnie za cokolwiek komiczną dziwaczkę, „bogata lalunię”? Cierpiałby z powodu finansowej od niej zależności oraz dlatego, że byłby niechybnie postrzegany jako utrzymanek. Cierpiałby z powodu swojego statusu człowieka bezrobotnego, szczególnie pokazując się u boku Lily, na domiar złego w otoczeniu Gerarda, którego próby znalezienia mu pracy tylekroć zawodziły i który prawdopodobnie jego właśnie winił za owe niepowodzenia. Do Gulli-vera wróciło dawne, dziecięce przeświadczenie, że jest odmień-cem, nieudacznikiem, zerem. Naprawdę był w rozpacz, znalazł się u kresu wytrzymałości i musiał wyjechać z Londynu, dokądkolwiek, licząc na jakąś odmianę losu. Całkiem poważnie traktował własne postanowienie zmierzenia się z dolą nieudacznika i „kompletnego zera”, choć zarazem nie umiał wyrzec się fantazji o tym. jak to kiedyś, w przyszłości, choć tak ubogi i zapoznany, zawiera, dzięki drzemającym w nim talentom, <sup>^</sup>ny związek małżeński z wielkiej miłości. Kreowanie sicprZCaj0 w duchu na

współczesnego Dicka Whittingtona' nie wykuczał zapewne pojawienia się w jego życiu „siksi z Leeds” na wspomnienia zrozpaczonej Lily. Nazwa tego miasta posługuje porządku dziennym problemem, jak dotąd nie rozstrzygnięta właściwie ma jechać. Wybór dworca King's Cross y

- który- \*cdm

• Żyjący na przełomie XIV i XV w. młodzieniec z Londynu^jciu dzwono\*

legendy, uciekł od swojego pracodawcy, lecz usłyszawszy „stoiicy” z°sU

słowa: „Wracaj, Whittingtonie, burmistrz Londynu”, wróci po latach jej burmistrzem. Częsty w Anglii temat pantomim-

m decyzji co do generalnego kierunku. (Wcześniej Gul-zastanawiał się nad Francją, Hiszpanią, Indiami, Afryką. I'wer j Australią). Zdecydował się w końcu na wyjazd do ^astle, częściowo dlatego, że już od dawna nosił się z za-^eWC zamieszkania nad morzem. Jego plany wyszły z początk-ml i fazy mgławicowej nieokreśloności, przestał też przygoto-° wać się do wyjazdu jak do wyprawy na tamten świat. Pytanie, zrobi po wyjściu z dworca w Newcastle, mieście, w którym niody dotąd nie był? Najpierw znajdzie sobie oczywiście jakąś tanią norę, gdzie by mógł przechować walizki. Nie bez wewnętrznych oporów zostawiał w Londynie znaczną część garderoby, choć nie u Lily, lecz w pewnej księgarni, do której często zachodził. (Wybór, co zabrać, a co zostawić, przepełnił go bolesną rozterką). Potem pójdzie do miejscowego urzędu zatrudnienia, a później, a może jednak najpierw, dowie się o adresy małych teatrzyków, warsztatów teatralnych i pubów wystawiających s/tuki „zbuntowane”. Legitymację stowarzyszenia aktorów miał w kieszeni. Bywa, że podobni mu rozbitkowie, gotowi zadowolić się głodową płacą, dostają czasem angaż w takich teatrzykach. Gdyby udało mu się zdobyć posadę, choćby na ćwierć etatu, mógłby dorabiać jako kelner albo sprzątac. Podobnie skrajne sytuacje znacznie trudniej byłoby mu znieść, od strony czysto psychologicznej, w Londynie, gdzie dbał mimo wszystko o zachowanie pozorów, a do tego miał pod bokiem 1 Y- Na północy mógł się stać, kim już w istocie był: szukają-Cym pracy biedakiem, jednym z armii bezrobotnych, anonim-^m petentem z kolejki. A że gotów był zadowolić się każdą

Naq' P°winien Jaka-ś znaleźć. miał3 C\*W0rcu Panował przeraźliwy ziąb, na szczęście Gulliver pr. na s°bie swoje najlepsze zimowe palto, kosztowny łaszek, swego 1116 n'ezms/cza'ny- który uważał już za główną sztukę gdzie pr/yoc'7'ewku- Spojrzawszy w głąb dworcowej hali, tam Made SZ^ny wybiegały spod sklepionych zadaszeń w szarówkę ^sz80!^0^' Stwierdził' ze rozpętała się zadymka. Ruszył nie-^'egow' WZ^UZ Jednego z peronów, chcąc przyjrzeć się z bliska W'ar?y i 'przyP°mniała mu się nagle Bojarówka, grupka łyż-by'lylkoJee0radoŚC\* Z sukcesu Lily\* "jeden zero dla nas". Gdy-^'edział 3 P'Ć'na-tr'urnfująca baletnica była całą Lily Boyne! Jednak, że nawet miłość nie sprawia takich cudów.

Wielka lokomotywa spalinowa przetoczyła się powoli < i Gulliver jął się przyglądać sznurowi wagonów i twarz pasażerów w oknach, pasażerów jadących na północ. Jakieś ko pomachało mu radośnie rączką, a on mu odruchowo od nął. Dworzec z posepnymi murami z żółtej cegły i przyćm ~ mi światłami pod wysokimi łukami sklepień przypominał kate" drę, ale też, przyszło mu na myśl. gigantyczną stajnię, a loko^ motywy z podłużnymi, żółtymi nosami i smutnymi, zielonymi ślepiami wyglądały jak wielkie, poczciwe bydlęta. Jednak bydlęta zabójcze, zdolne szybko i skutecznie człowieka uśmiercić Guli wrócił pośpiesznie pod tablicę z rozkładem jazdy. Miał niemało pociągów do wyboru, zanotował kilka wcześniejszych. Grantham, Peterborough, York, Darlington, Durham. NewcasUe. A dalej: Newcastle, Dundee. Arbroath, Montrose, Stonehaven, Aberdeen... Dokąd mógłby w końcu zajechać tym dalekobieżnym pociągiem? Tak czy owak już jutro stąd wyjedzie, może na zawsze, wyjedzie ze swojego dotychczasowego życia. Jednak na razie wciąż jeszcze w nim tkwię, skonstatował, i wprost wierzyć mi się nie chce, że te wszystkie wielkie zamiary, te śmiałe gesty, jak

wyprowadzka z mieszkania, stanowią wybory realne. Jeszcze nie jest za późno, jeszcze mogę wrócić, zadzwonić do Lily, umówić się z nią na lunch. Czy nie dlatego właśnie, że w taką możliwość wierzę, jestem w ogóle w stanie przeglądać rozkład jazdy? To jeszcze tak nie boli, jak bolałaby prawdziwa, nieodwołalna decyzja. Wciąż jestem zakotwiczony w moim dotychczasowym londyńskim życiu. Przypuszczam, że przyjdzie chwila, kiedy zacznę się stąd wykorzeniać, gdy inna scena, inni ludzie staną się dla mnie realni, a Londyn, Gerard i Li y wieją się jak sen. Kiedy to nastąpi? Gdy wsiądę do pociągu, kiedy pociąg ruszy, przyjedzie na miejsce, gdy wysiądę w Newcastle i zacznę szukać wyjścia, później, i zacznę się zastanawiać, w którą stronę pójdę, kiedy będę rozmawiał z kimś. kto o mnie się za-choćby to był tylko pracownik opieki społecznej; wtedy, kiedy znajdę sobie przyjaciela? Ba. Przyjdzie cię punktu ciężkości z południa na północ może, ale już w południe ale może się też okazać dziełem jednej chwili-ciągu spotkam kogoś, kto odmieni całe moje życie, Pod dworcowym gwarem, szumem i świstem, spowiedziami odjazdów, turkotem wózków bagażowych, świergotem rozmów i odgłosem kroków dążących dokądś

Powiesz, że to swoista cisza, jakby wyraźny zarys klosza pod ciemnym, ciemnym i ciemnym i ciemnym. . . .

otulin

W tym przybytku przypomina kościół, miejsce medytacji,

z mgły- Gulliver znalazł wolne miejsce, usiadł i po chwili opadło go znużenie, niemal senność. Istotnie, po-

ściślej kościół prawosławny, po którym się chodzi i zapala świece. Ciekaw jestem, o której otwierają bar? Zadumał się na chwilę, obserwując własne myśli, które najpierw się skupiły, a potem rozprzeczły. Może ja dopiero teraz zaczynam poznawać, pomyślał, co to naprawdę znaczy być bezrobotnym, kiedy człowiek jest już kompletnie wykończony chodzeniem za robotą, wpada w rezygnację, siada i nie ma siły nawet kiwnąć palcem. Gapiłby się tylko tępo w telewizor, jeśli oczywiście stać go na odbiornik. Guli zdał sobie po chwili sprawę, że na ławce obok niego siedzi jakiś mężczyzna. Zerknęli na siebie jednocześnie. Nieznajomy, który był bez palta, miał na sobie do cna znoszone dżinsy i wyświechtaną, mechatą marynarkę włożoną na poplamiony dżersej. Twarz miał wymizerowaną, kasztanowate, przeredzone włosy, policzki i szyję porośnięte siwą szczeciną. W ręku trzymał butelkę, zapewne patykiem pisanego wina, z której od czasu do czasu pociągał spory łyk. Pokaszliwał. Wystające z przykrótkich rękawów dłonie, czerwone, podrapane i obrzękłe, okropnie mu się trzęsły. Oczy nieznajomego, niebieskie; jak stwierdził Ashe, gdy ich spojrzenia zetknęły się na chwilę? za chwilę i zaczerwienione, jakby powieki wywiętego 113 1CWą Stronę' Gu, liver odsunął się instynktownie od sąsiada. Chciał coś do niego powiedzieć, ale nic sensownego "y f!7^0117'1\*0 mu do głowy. Siedział przygnębiony, poruszony jakimś czasem nieznajomy sam go zagadnął: | ^mnica, co? j; tycznie.

I R!PrZez lo wietrzysko

Zeczywiście, wprost urywa głowę. fe.tęŚnieŻ^-

plę zaPadła cisza. er/-y Pan w Boga?

- Nie - odparł Gulliver. - A pan?

- W Boga tak, w logikę nie.

- A czemuż to w logikę nie?

- Bo weź pan. gdyby istniał Bóg, na świecie powinno być cacy. no nie? A jest do dupy. Ludzie są do dupy. pan i ja tu siedzimy, obaj jesteśmy do dupy.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy byli do dupy - zaproponował Ashe. - Jesteśmy po prostu nieszczęśliwi.

- Gadanie! Nic. ja wcale nic jestem nieszczęśliwy, jestem zwyczajnym skurwielem. Dlatego wierzę w Boga.

- Jak to?

- A mam inne wyjście? Muszę. Grzech mi nakazuje. W tej sprawie, wierz mi pan. jestem szpeceni. Gdybym nie wierzył w Boga, rzuciłbym się pod pociąg, kurna felc... Dokąd się pan wybiera? Gdzie oczy poniosą?

- Do Newcastle, rozejrzeć się za robotą.

- Do Newcastle? Zwariowałeś, kolego? Tam nie ma żadnej roboty, czeka tylko kupa miejscowych gołodupców, gotowych takim ja ty podbić limo.

- Domyślam się. że też jesteś bez pracy? - zaryzykował Gulliver.

Głupie pytanie. Zadał je. bo nie spodobał mu się ton nieznanego. Poza tym sam się już zaczął zastanawiać nad zagadnieniem „miejscowych gołodupców” z Newcastle.

- Bez pracy? A co to takiego? Cała moja praca polega na główkowaniu, jak przekimać noc.

- Gdzie mieszkasz?

- Mieszkam? A bo to ja gdzieś mieszkam? Chwilowo tu

- Chcesz powiedzieć... . njC

- Jasne, na tej zaszrannej stacji. Dopóki się im <sup>TM°</sup>JaJ<sup>^</sup> zaopatrzy, bo wtedy przyjdzie spadać. Paddington, ,c ^ terloo, wszędzie ta sama polka, wypieprzają cię ' s\*Wo0 śrnjer-człowieku, po ulicach, póki się coś nie otworzy, a żyjemy dzieła jak ja nie wpuszczą nawet do pubu. A po o w wesołej Anglii! , r7v°riçb'enie'

- Masz rodzinę? - Gullivera zaczęło ogarniać p L\*leg0t jak

- Rodzinę? Powiedzieli „won”, no to poszłem.^ poWr0tem raz się zaczniesz staczać, już się nie zatr/ymaS?7:esZ na dn'e" za Chiny się nie wygramolisz. A jak się znaj

dłes grób-mogiła. Niedługo wykorkuję z zimna, kurna "będzie po herbacie. Powiedz, wierzysz w piekło? felC' Tak- Właśnie w nim siedzimy. I Trafiłeś, kurna, w sedno! Gullivera ogarnęła czarna rozpacz. Czy naprawdę musiał spot-' na swojej drodze tego okropnego, żalosego wykolejeńca? 7 wrotem za Chiny się nie wygramoli! Niewykluczone, że wneao dnia stanę się taki jak on, pomyślał, może nawet prędzej niż się spodziewam. To musi być moje alter ego, odrażający i proroczy stwór, który wypełził z mojej podświadomości i usiadł obok mnie. Po cholereę się do mnie przypiął? Sprawił, że czuję się nie tylko nieszczęśliwy, ale i zepsuty, do dupy, jak się wyraził. Owo przesunięcie punktu ciężkości, ta równoważnia, która miała się przechylić ku lepszej przyszłości, a przynajmniej ku przyzwoitemu, normalnemu życiu, przechyliła się najwyraźniej w takie właśnie rejony, w strefę nienawiści do samego siebie, która zaczyna obejmować również innych ludzi! On może być niewinny i czysty jak Chrystus, tymczasem ja oskarżam go o całe zło, jakie siedzi we mnie. Dlaczego mi nie żal tego wycirusa? Bo nie żal mi go, nie znajduję w sobie siły, żeby go żałować, poza tym on faktycznie wcale nie jest niewinny, nienawidzi mnie, a ja mu odpłacam pięknym za nadobne. Mam ochotę wepchnąć go pod pociąg!

A potem przyszła Guliwerowi do głowy okropna, niebezpieczna myśl. Powinien oddać temu biedakowi swoje Palto! ów zamiar pojawił się w jego umyśle tak niespodzie-wanie, jakby mu go podsunęła jakaś wroga moc. Niewykluczone, skak^2'3\* z\*ośliwego demona w przebraniu nędzarza! Za-^ jąca, obca myśl nie wypływała bowiem wcale ze szlachet-chachP°bUdek' Wynikala z jakiejś obsesji, przesądu, nakazu o ce-nioH Zantażu- Jeśli nie odda palta, spotka go nieszczęście, w rv ^ostanie pracy, stoczy się w alkoholizm, skończy s'ed7 ° W Pohańbieniu, którego widowym przykładem był •ernu °\* °b°k kJoszara'- Natomiast jeśli odda palto temu obdar-Zawsze^laStUnOW" wszystko pójdzie ku dobremu i odtąd już Nie d le sPrzyjało mu szczęście. Nadeszła chwila wyboru, ciście m' Z^ecyd°wał w duchu, niech się dzieje co chce! Oczy-^tow^^^01 Sobie ^P^ nowe palto, ale podobne do tego oby dzisiaj majątek, nie stać mnie na taki wydatek,

a zresztą je lubię, to jest moje palto, dlaczego mam je wac jakimś oberwańcowi. sprzedałby je zaraz na w fat 'śli to nie żaden demon, żadne aller ego. jeśli to Ch własnej osobie, który stanął przede mną, by mnie poddać - ^ Albo przypuścmy, psiakość. że ten obdarciuch jest fakf—7 tym. na kogo wygląda, biednym, pożałowania godnym' cem, jakim ja sam mogę się stać któregoś dnia, sobą i więcej, przypadkowym nieznanym nieszczęśliwym? Z^J\* że przyszedł mi do głowy pomysł, by oddać mu palto, żałuję że w ogóle spotkałem tego dziada, ale skoro już taki zamiar we mnie powstał, czyż nie powinienem go zrealizować?

Wstał, rozpiął palto, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął portfel. Otworzył go, wyjął banknot pięćofuntowy, wręczył go nieznanemu, który zdawał się tego datku oczekiwać, i powiedział:

- Proszę, niech pan to weźmie, na szczęście.

Potem wsunął portfel do kieszeni, zapiął palto i szyhko się oddalił. Niemal natychmiast opadły go współczucie, złość i lęk. Odszedłszy kawałek, obejrzał się przez ramię. Włóczęga zniknął, prawdopodobnie poszedł kupić butelkę sikacza, żeby jeszcze trochę skrócić sobie życie. Gulliver pożałował, że nie dał mu palta, a raczej zapragnął, by w jakimś innym, idealnym życiu jakiś inny Gulliver, którym on z pewnością nie był, posiadał zdolność dokonywania dobrego uczynku spontanicznie, bez ściągania go na poziom przesądu. Usiadł na najbliższej ławce, zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach.

Po jakimś czasie, starając się nie porzucać nastroju meszcze ścia. podniósł powieki i zerkając przez palce, ogarnął zgnę ' nym wzrokiem wycinek brudnego betonu pod ławką, zaśl"ie<sup>oo</sup> niedopałkami i papierkami po czekoladkach. Przez chwilę ep^ glądał się temu śmietnisku, po czym odjął od twarzy i wyprostował się z lekka. Pod ławką leżał jakiś dziwny, przedmiot wielkości piłeczki do ping-ponga. Cóż. by 0 być? - zaciekawil się Gulliver. Siedząc, pochylił s,e ' dkoWą pod ławkę, lecz zaledwie tknął koniuszkami Palców.7'a^a5obon-kulkę. odtoczyła się dalej. Jestem dziś nieprzyzwoicie

ny, pomyślał, muszę to coś osiągnąć. Co to może ty ^cze i zajrzał pod ławkę. Kulka odtoczyła się tym<sup>o^</sup> oś z pr^ kawałeczek, prawdopodobnie kopnięta przez

Gulliver przyklęknął i usiłował ją osiągnąć, leżała chodn11""\* ja[0j<0 na otwartej przestrzeni peronu, gdzie w każ-mógł !4 zgnieść czyjs but. Przestraszony, rzucił się zodu chwycił kulkę i wyprostował się. Otworzył garść. P,rzał się znależisku i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdu-Sa i zażenowania.

jedn dej do P

Duncan wpatrywał się z uwagą w młotek. Był to jego st wysłużony młotek z ciężką główką i krótkim, grubym, drew nianym trzonkiem o wyrazistych słojach, wypolerowanym uści" skiem wielu rąk, u końca lekko pękniętym. Wybornie wyważone narzędzie. Pamiętał, jak jego ojciec stukał tym młotkiem w swoim warsztaciku w ogrodzie, oddając się swojemu ulubionemu zajęciu: renowacji mebli. Młotek wędrował później z Duncanem przez różne kawalerki, a potem spoczął potulnie w odpowiedniej szufladzie małżeńskiego mieszkania, przyjazne, usłużne, pocziwe narzędzie, zawsze pod ręką, gotowe do przybicia pinezkami dywanu lub wbicia gwoździa pod obraz. Okazały i błyszczący, miał kształt pięknie zaokrąglony, jakby wygładzony, jakby przeleżał tysiące lat w morskiej głębinie. Przypominał ciemny, lśniący, starożytny kamień. Duncan zważył go w rękę, zbadał twardość rąbu i obucha, pieścił młotek w dłoni, po czym przesunął palce po ciepłym, gładkim trzonku. Zacne, wysłużone narzędzie z przyjaznym obliczem, potulne i wierne. Delikatnie przetarł papierem ściernym stopkę trzonka. Potem położył młotek na kuchennym stole i zaczął mu się przyglądać. Nigdy dotąd me traktował go jak obiektu kontemplacji. Młotek wyglądał topornie i niewinnie, cichy symbol skromnego, rzetelnego trudu. Duncan odłożył go w końcu do szuflady. Potem wyjął z kieszeni is^ który otrzymał przed dwoma dniami, i przeczytał po raz wiadomo który. Tekst był krótki:

Są między nami nie dokończone sprawy. .y

Jeśli chcesz, jc zamknąć, przyjedź pod ten adres w p piątek o jedenastej przed południem. p q Duncan odpisał niezwłocznie, informując, że PrJ^|^ \xo&-proszenie. Nikomu o tym liście nie powiedział. Dzis ^ ^ Zaadresowaną na maszynie kopertę rozciął, nic va ąc zaraz P1^ śniadaniu, w obecności Jean. Następnie Plenną, twarzą wsunął list ukradkiem do kieszeni. Najpierw zkanlj icj, potem podniecenie. Obecnie żył w stanie ciągłego, P°cf weo0 wzburzenia. Rozważył już oczywiście wszystkie ^i^e wyjaśnienia, w tym to nader mało prawdopodobne, 1110 anowicie. że Crimond chce zaproponować jakiś rodzaj po-8 T nia Taka ewentualność kłóciła się, co prawda, ze zdrowym \* zsądkiem, ale w błyskotliwym, szalonym umyśle Crimonda zdrowy rozsądek gościł rzadko. Ostatecznie byli kiedyś, w tam-t ch odległych, lecz. dotąd żywych oksfordzkich latach parą przyjaciół, dosyć nawet bliskich. Niewykluczone, że Crimond wciąż czuł do niego sympatię, że było mu po prostu po męsku przykro, że poróżniła ich spódniczka. Mężczyzn, którzy kochali tę samą kobietę, nieraz przez, długie lata łączy szczególna więź. Może się ona opierać na różnych podstawach, na przykład na pogardzie dla wspólnej kochanki, ale i na rycerskiej kapitulacji zjednej strony i przyjęciu jej z wdzięcznością z drugiej. Rywali może też połączyć ból po wspólnej stracie i wzajemnie podsycana miłosna nostalgia. Idąc tym torem myślenia (od dnia otrzymania listu nie był w stanie myśleć o niczym innym), Duncan rozważał i taką możliwość, że Crimond pragnie odbyć miłą pogawędkę, męską rozmowę, podczas której obaj wspominaliby swoje związki z Jean i doszliby do wniosku, że koniec końców są obaj zadowoleni z powstałej sytuacji i nie widzą powodu, by traktować się nadal jak wrogowie. Nie wykluczają nawet towarzyskich spotkań w przyszłości, przy drinku, partyjce bilarda lub szachów. Choć w ostatnich dniach bliski szaleństwa, Duncan nie J jednak do tego stopnia obłąkany, aby brać te swoje fantazje seno. Niepodobna, by Crimond popadł w tak koncyliacyjny

°J, a tym bardziej, by mógł zakładać, że rywal zechce go Podzielić.

k° jaki l° ?aProszeme oznaczało wojnę, zapowiadało walkę. Tył-stg |,ar^0 r°dzaju? Czy Crimond mógł mieć na względzie swoi-njek0' e Sam°usprawiedliwienie? Czyżby chciał zmienić swój ty Pr7?yStny wizcrunek w oczach Duncana? Sprawić, by daw-nym ,^ acie' Przestał o nim myśleć jako o nędznym, nikczem-INystko ' W^enc^ sie> wytłumaczyć, opowiedzieć, jakie to •Hu ro?^. nieuchronne, jak wymownie Jean przedstawiła ad swojego małżeństwa, jego klęskę, w gruncie rzeczy

faktyczny rozpad. Takie tłumaczenie również trudno h wyobrazić, oznaczałoby bowiem na dobrą sprawę oc Jean, poświęcenie jej w interesie takiego czy innego poroża

~-"«»uainepasował

Równie mało prawdopodobne było przypuszczenie bv u pokazać Duncanowi, jak mało go obeszło odejście Jean ośwjj czyć, że przyjął je właściwie z ulgą, a może próbować wykazać że to on ją porzucił, a wszystko po to, by zatrzeć wrażenie ?e' jest człowiekiem przegranym. Crimond był zbyt dumny, a i zbyt dobrze wychowany, by się zniżyć do podobnych usprawiedliwień, choćby i hardych w tonie. Prawdę mówiąc, Duncan nie potrafił sobie wyobrazić spokojnej między nimi rozmowy. Nie zamierzał jej w każdym razie nawiązywać, a przeczuwał, że i Crimond nie miał takiego zamiaru. Pozostawało jedyne rozwiązanie: walka... Ale jaka?

Nie można było oczywiście wykluczyć, że rywal badał jedynie jego odwagę. Gdyby odmówił stawienia się na spotkanie, zyskałby zasłużoną pogardę Crimonda, jeśli zaś zaproszenie przyjmie, może się narazić na prowokację, mającą na celu upokorzenie go lub przestraszenie. Ma się rozumieć nawet nie rozpatrywał nikczemnego i w istocie godnego pogardy pomysłu stawienia się na spotkanie w towarzystwie ochroniarza. To była męska sprawa między nimi dwoma, a należało przyjąć za pewnik, że nienawiść Crimonda dorównywała jego własnej. Znienawidzony, do tego śmieszny rogacz. Duncan przypomniał sobie opowieści Jean o

zabawach w rosyjską ruletkę, które opisywała jako głupie żarty, ale i próby odwagi. Nie wierzyła ani przez chwile

pistolety są nabite, ale nie miała też wątpliwości, że

v 7 teo. c° oczekiwał od niej podjęcia prawdziwego ryzyka.

mówiła (oczywiście z własnej woli, Duncan jej na te zW1\_ ^ nie wyciągał), wynikało, że Crimond nadał bawi s\* ^ że a w każdym razie jakiś arsenał posiada. Przypuśćmy ^.^, tym

razem pistolety będą załadowane, PrzyPuscmy^roWać \*T postanowił, ni mniej, ni więcej, zabić rywala i UP° nje wypadek? Czy Duncan nie pchał się aby sam w pułap ^ stawał na

sztym człowiekowi, który nim pogar z 7ajeZ0e o& jednak strony nie ulegało dlań

wątpliwości, że nie^ ^ nie posepnych, złowrogich przewidywań, jakie o

żadna, miarą wyzwania odrzucić. Bo co by było, gdyby ^^dowiedziała się jakimś sposobem,

że stchórzył? ^Wzburzona wyobraźnia Duncana nie ustawała w produkowa-brazów

najbardziej perfidnych i odrażających pułapek, ja-nlU Lrjmond mógł nań zastawić.

Najbardziej przerażająca by-^ rspektywa upokorzenia. Związany albo zakuty w kajdany

zostanie poddany torturom i zmuszony do błagania o litość. W miejscu spotkania mogły się

przecież znajdować zapadnie lub :nne ukryte pułapki. No cóż, zachowa się racjonalnie, nie

będzie stawiał oporu, nie zaryzykuje groźnych okaleczeń, nie narazi się na ból nie do

zniesienia, skapituluje, powie i zrobi wszystko, czego oprawca od niego zażąda. Wyobrażanie

sobie podobnych scen sprawiało, że dosłownie skręcał się z bezsilnej złości. Po takim

upokorzeniu nic mógłby dalej żyć, nie zabiwszy swojego oprawcy. W tym punkcie wracał do

dawniejszych, dobrze sobie znanych, niemal już rutynowych fantazji, jak to któregoś dnia

zglądzi swojego rywala.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że Crimond ma w sobie coś w rodzaju stalowego rdzenia,

nieokiełznaną, obłąkańczą, straceńczą brawurę, której Duncan. choć tak silne miały nim

namiętności, choć go dławiała nienawiść, był najzwyczajniej w świecie pozbawiony. Do

jakiegokolwiek mieli stanąć rozgrywki, Crimond ją zapewne wygra. Duncan złapał się na tym,

że ufa, choć nie bez odrazy, w klasę przeciwnika, w jego poczucie przyzwoitości, które

nakaże zwycięzcy potraktować znienawidzonego rywala w miarę łagodnie. W tym miejscu

wracał do zarzuconych wcześniej przewidywań na temat rozmów, jakie mogliby ^ sobą

odbyć, gdyby one w ogóle wchodziły w rachubę. Jed-^8° był pewien: musi za wszelką cenę

zachować inicjatywę, 'byt^ °^raZ PrzemeSu wydarzeń stawał się mglisty i raczej nie-ku

.Zacn^caJ4cy. Krótka rozmowa wstępna powinna wyjaśnić, PodobLmU zm'erzaJ^ Następnie

Duncan rzucił się na rywala, ny L. n'e wtcdy w wieży, ufając w masę ciała i błyskawicz-skim

asiUczy chwyt, który powinien zapobiec wszelkim szatanie )OdstęPorn' jakie Crimond bez

wątpienia uknuł. Podejmie Scenari'a^ C^°^ według reguł przeciwnika. Wynikiem tego la^23

było zakupienie noża, co uczynił poprzedniego dnia. dzje ntougatora, poprosił sprzedawcę o

długie, ostre narzę-4skim ostrzem, które dałoby się wsunąć pod grzbiet

sporego woluminu, najlepiej niezbyt giętkiego, ostro z nego sprężynowca. Rozważał też. lecz

po namyśle ten °DC2°" odrzucił, uzbrojenie się w rewolwer. W krótkim czasie\*\*\*I\*^

dysponował, zdobycie broni palnej nic byłoby łatwe' L'.Jaicitn wydała mu się ona zbędna.

Nóż powinien Crimonda zask \* ^ poza tym może się okazać przydatniejszy w walce wręcTT

stanawiając się nad przebiegiem zbliżającego się starcia, Du stwierdził, że myśli nie tyle o

morderstwie, co o zadaniu ^ gowi ciężkich ran. To dlatego przypomniał sobie o młotku

Zdruzgotana rzepka kolanowa, zmiażdżona prawa dłoń. zmasa krowanc oko, Crimond na

wózku inwalidzkim, Crimond niewidomy. Oczywiście, gdyby tak okaleczony przeżył,

Duncan już. nigdy nie zaznałby spokoju. Z drugiej zaś strony mogło g0 czekać oskarżenie o

morderstwo, z konsekwencjami, których w obecnym stanie ducha, bliskim obłąkania, prawie

nie rozpatrywał. Sprzedawca noży musiał go zapamiętać. Kilka zadanych z całą siłą. dobrze

wymierzonych ciosów młotkiem mogłoby spowodować nieodwracalne kalectwo, a mimo to

Crimond, gdy go już. znajdują, skrwawionego i samego, mógłby je przedstawić jako skutek



nieszczęśliwego wypadku. Duncan złapał się na tyra, że po raz kolejny liczy na wspaniałomyślność rywala, na jego próżność, dumę i niechęć do przyznania się publicznie, że padł ofiarą człowieka, którego wcześniej skrzywdził. Duncan Cambus chodził do ministerstwa i wiódł spokojne życie małżeńskiego rekonwalescenta u boku Jean, a w jego głowie kotłowały się tymczasem krwawe sceny. Miał czasem wrażenie, że popada w obłąd. Niebawem doszedł też do przekonania, że list Crimonda należało rozumieć jako znak. Należało się go spodziewać, przyszedł w odpowiedniej chwili. To przekonanie, nie wiedzieć c

mu, połączyło się w umyśle Duncana z przeświadczeniem^^ między nim a Jean układa się

źle; czasem myślał wrC^anoWj.

paczą, że katastrofalnie i nieodwracalnie źle. Lecz co

'yń 7 tvro, e° u

cie układało się źle, nie potrafiłby jasno określić wybranych określeń łatwych, umieli sobie radzić. Stwierdzić, po-

czył" Jean, znaczący by posługiwać się językiem P y . aczenie wierzchołkowym. Ależ

naturalnie, wybaczył jej, jej°P^ njC-stanowiło jednak tylko część czy aspekt czegoś męJ\*c

g(yól& ogarnionego, na co w ich odnowionym małżeństwie

[ę na cierpienie, na spustoszenie w ich sercach, godził na to. że mogłaby znowu od niego

uciec. Akceptował to tko czego nie wiedział i czego się już nie dowie na temat

nawet w

stosunków z kochankiem. Postulat, by wiarygodnej wy-

jej bacz grzes

i można by porównać do proszenia Boga, by wybaczył

t znikowemu grzechy zapomniane na równi z pamiętanymi.

8Ł~S;in orzestał się wkrótce zadrećcać pytaniem, czy to Jean nuncai' y \_ .....

ściła Crimonda. czy on ją porzucił, roztrząsanie tej kwestii

zaczęło bowiem przypominać drażnienie zagadek metafizycznych i dostrzegł w końcu jałowość

takiego zajęcia. Niewykluczone, że sama Jean tego nic wiedziała, niewykluczone, że nie

wiedział tego nawet Bóg. Duncan nie usiłował już dociekać, co się właściwie zdarzyło tamtej

nocy, gdy zjawiała się w Bojarówce, rozbiwszy samochód na drodze, na której nic powinna się

w ogóle znaleźć. Wysłuchał jej skąpej relacji, zadając ledwie kilka pytań. Przyjęła jego

delikatność z ulgą i wdzięcznością i pod wpływem obu tych doznań jej miłość do niego

odżyła. Nie czuła się jeszcze całkiem szczęśliwa, ale (wspólnie doszli do takiego wniosku) już

prawie szczęśliwa. Bezgranicznie szczęśliwa miała się stać w przyszłości. Duncan przestał się

c, e seksualne; choć na pozór zaskakująco wręcz udane, terngt\* ało sie jakby w chmurze niepokoju i lęku. Tego jednak n0sjęto Zac\*ne z nich, przez delikatność wobec partnera, nie podudziu, że czas ich uleczy, miłość ich uleczy, że miłość uleczy samą siebie, że na tym akurat polu jest miejsce dl i nadziei. Jednocześnie gnębiła Duncana świadomość szwankuje, że nic uwzględnili w swoich rachunkach0" ? C°Ś istotnego elementu, którego brak sprawiał, że ich próbie J 8°ś się nie tylko nierozwiązywalny, ale i niemożliwy do ustai\*^ Dopiero po odebraniu listu od Crimonda zrozumiał że ^ brakującym elementem był po prostu fakt, że tamten nadal dził po tym świecie.

rywal niego

Nie ograniczało się to naturalnie do zwykłej obawy, że może nagle stanąć w drzwiach albo że Jean może do wrocic. Wiązało się raczej ze wspomnieniem upadku ze schodów na wieży, a nawet jeszcze wcześniejszym: z kąpielą w Cherwell Rzecz nie sprowadzała się przy tym do pragnienia zemsty. Cały świat zachwiał się w posiadach, więc zachodziła konieczność jakiejś radykalnej naprawy. Duncan nic wyobrażał sobie oczywiście (choć tak trzeźwy sąd zachowywał jedynie na płaszczyźnie rozumowej), że gdyby zabił Crimonda, „żyliby potem długo i szczęśliwie". Gdyby bowiem naprawdę popełnił morderstwo, lub choćby tylko przeciwnika zranił, trafiłby za kratki, gdyby zaś jakimś cudem udało mu się wykręcić od odpowiedzialności karnej, do końca życia dręczyłoby go poczucie winy i prześladował strach. Nie sądził także, by dokonanie zemsty był winny Jean. Przeciwnie, podejrzewał, że mogłaby go za taki czyn na zawsze znienawidzić (miarą jego szaleństwa niechaj będzie fakt, że mało się taką groźbą przejął). Usunięcie Crimonda ujawniło się jako twardy, nieubłagany obowiązek, niemal uwolnienie się od jakiejś cielesnej dolegliwości, nieodparty przymus. Przeczytawszy list od rywala. Duncan od razu uznał trafność użytych sformułowań. Otóż właśnie: „Nie dokończona sprawa • Sam również tak to odczuwał.

Oczekiwał zatem spotkania z Crimondem jako wy ^ nieuchronnego, nieuniknionego, choć absolutnie nie umi ^ wyobrazić, jak ono przebiegnie. Młotek i nóż spełniały dopodobniej jedynie rolę symboli. Duncan musiał po prostu zabić czas dzielący go od piątku.

W czwartek rano złożył Jean wizytę niespodziewany^0^ Ostatnio czuła się bardzo, śmiertelnie wręcz, zmęcz ^ aJ-ąCe z rzeczy, które przed Duncanem zataiła, były wciąż następstwa wypadku. Zaraz po powrocie z Bojarówki 0zycZ^ja SZpital i usłyszała od lekarza, że z dachowania ra-^ trudno wyjść tylko ze skrzyżowaną kostką. Miała nadwreżo-czeJ a0Słup, zeszywnienie barku, kontuzje co prawda niezbyt ny ^ Cc magająCe jednak niezwłocznego podjęcia fizjoterapii, ^nte miewa bólów? Nie, cierpienie psychiczne sprawiło, że ^ kiś czas zapomniiała o dolegliwościach ciała, które dopiero dały o sobie znać. Zaczęła chodzić do szpitala na lampy • k-wanie w ciepłym basenie (co przypominało doznania z jakiegoś niesamowitego snu). To basen łąz, pomyślała, nie podzieliła się jednak tą przenośnią z mężem. Podjęła ćwiczenia rehabilitacyjne. Kostka wydobrzała, zeszywnienie barku również ustąpiło, zaczęło ją natomiast boleć całe ciało, w którym odczuwała wędrujące bóle. Była zbyt dumna, by wspominać Dunca-nowi o tak przyziemnych sprawach, chyba tylko w żartach (wiedział, oczywiście, ojej szpitalnej kuracji). Śmiejąc się. planowali wyjazd na wiosnę do Baden-Baden, a może nawet do Karlsbadu.

Tymczasem, na innym, głębszym poziomie, również Jean odczuwała obustronne niedopasowanie związku - przecież koniecznego - między analitycznymi rozważaniami a hedonistycznym oddaniem się uciechom. Choć przynosił jej pewną ulgę, nie znajdowała w nim lekarstwa na swą gorszą, duchową chorobę: miłość do Crimonda. Z tej przypadłości miała się leczyć długo, dzień po dniu, godzina po godzinie, uparcie i z nadzieją dążąc do odzyskania zdrowia. Próbowwała sobie czasami przypomnieć, jak to się odbywało poprzednim razem. Czy naprawdę starała S,C wówczas wyzdrowieć, czy po prostu odłożyła swe uczu-Cle' ulcryła je, aby przechować - żywe - niczym wirus lub embrión, w jakimś sekretnym słoiku, schowanym w jakiejś se-neJ szafce? Czy tym razem będzie podobnie, czy może wresz-

u^P^wdę je zgładzi, skaże na śmierć? Tylko czy ono zechce Prawd° PodoDme jak Duncan - bo była do niego podobna, On °P°dobnie stała się podobna; rozumowała podobnie jak naMa°^°^n'e Prowa^7^a rozmowę i argumentowała - zasta-x Sle czasem, czy nie podchodziła do całego problemu wyob U pędnie, czy nie zaciemniała jego sedna fałszywym liCZyjaazen\*em- Po co w ogóle zadawała sobie to pytanie? Teraz ^rspelT^ t^"C° m^°ść do męża i oddawanie się szczęściu. Z tej ywy utrata kochanka sprawiała wrażenie wydarzenia wręcz mechanicznego i nieuchronnego, należącego o minionej przeszłości, które nie zmieniło biegu iei 7« | tCn'e do istotny sposób. Osiągnąwszy stan takiego spokoju ducha lała sobie na powroty do pewnych wybranych wspom^0?\*\*\* przykład do często ponawianych zapewnień Crimonda ^ ni miłość jest ..niemożliwa", a także do jego okrzyku (w V \* ^ maniu szczególnie znaczącego) wtedy na rzymskiej drodze „Wykorzystaj swą szansę!" Cóż. jej szansa była i dla nie^ szansą, Jean uwierzyła wypowiedzianym wówczas przezeń sło° wom. To brutalne zerwanie musiało zostać wcześniej zaplanowane, stało się pieczęcią potwierdzającą rozstanie. Jean znalazła oparcie w swojej dawnej ufności w prawdomówność kochanka Ich romans był nieodwołalnie skończony, tak się musiało stać Nie doczeka się już zmartwychwstania. Crimond zapragnął wolności, więc i ona musi wzbudzić w sobie podobne pragnienie. Choroba należała jednak do wyjątkowo ciężkich, a kuracja zapowiadała się przewlekła. Duncan poszedł do ministerstwa. Nie złożył jeszcze rezygnacji, miał to uczynić niebawem. Znajdowali się w okresie przejściowym, cieszyli się swoją chwilą wytchnienia. Wydawało się, że wie o tym nawet ich mieszkanie, z którego zamierzali się niedługo wyprowadzić, choć Jean je wysprzątała, wypucowała i niemal przywróciła do dawnego stanu. Ich obecne życie cechowała jednak dziwna tymczasowość, oboje to przyznawali, lecz uspokajali się nawzajem, że przeprowadzka na pewno podziela na nich ożywczo. ^

Jean czytała właśnie o znalezieniu w Prowansji szkielet^dy nia, który musiał stanowić pozostałość po armii Hannibala, ^ zadzwonił dzwonek u drzwi. Poszła otworzyć. W progu s Tamar. 'wiał,

Jean nic widziała jej. odkąd wróciła do męża, Prawdę^°ie ?e' nawet o niej nie myślała. Dopiero teraz przypomniała s0^njał) dziewczyna podobno chorowała (ktoś jej o ty"1 wspo Szczerze się ucieszyła na jej widok. ( tgpjej si?

- Tamar! Wejdz. Jakże się cieszę, że cię widzę. ^

już. czujesz? Mówiono mi. że niedomagałaś. Przepr dotąd cię nie zaprosiłam, ale tacy byliśmy oboje zaJ^? paj rrrr wejdz i rozgość się. Jak tam na dworze, bardzo z g0au dzięki, że skończyła się przynajmniej ta śnieżycy, się kawy czy masz może ochotę na drinka? Poczęstuję ^pijesz ^ dłużej u mnie posiedzisz. c'f jsjje dziękuję - odparła Tamar i oddała pani Cambus ' 7 Torebkę postawiła na podłodze.

Jean dostrzegła od razu, że bardzo się zmieniła. Wydawała | zcze szczuplejsza i bledsza, jakby nawet wyższa. Można S,? sądzić, że się postarzała. Jej cera, tak zawsze gładka, prawie ^rzezroczyta, sprawiała wrażenie zmatowiałej i schropowacia-fe- Wielkie, piwnozielone oczy były podkrążone. Jak zwykle miała na sobie żakiet, spódniczkę i spłowiały pulowerek. na którego kołnierzyku podwijały się kosmyki przetłuszczonych, dawno nie mytych włosów. Rozejrzała się po pokoju nerwowo, wręcz trwożnie.

- Gdzie jest Duncan?

- W ministerstwie. Będzie niepokieszony, gdy się dowie, że wpadłaś i go nie zastałaś. Musisz nas niebawem powtórnie odwiedzić któregoś wieczoru, kiedy będzie w domu. Usiądź, proszę, i opowiadaj, co u ciebie słychać.

Tamar usiadła na kanapie obok kominka, Jean naprzeciwko gościa. Doświadczyła ulgi, jakiej doznaje człowiek, gdy się dowiaduje o kłopotach bliźnich, bo to mu pozwala zapomnieć o własnych.

- Semestr już się skończył? Ach Boże, przepraszam, zapomniałam, że rzuciłaś studia. Byłaś więc chora?



- Jesteś pewna, że dziecko było jego?

Dziewczyna milczała przez chwilę, po czym rzuciła na Jean spojrzenie pełne nienawiści (spojrzała na nią po raz pierwszy od wejścia do pokoju).

- Wydaje ci się, że ja z każdym idę do łóżka? Że się puszczam na prawo i lewo?

- Przepraszam. Jestem po prostu niezmiernie zaskoczona. Muszę się oswoić z tą nowiną.

- Przecież mówię jasno. Sądzisz, że mogłabym kłamać w tej sprawie, najważniejszej w całym moim życiu?... A więc on ci nic nie powiedział?

- Oczywiście, że nie! Ale dziecko...

- Nie ma go. Nie żyje.

- Zaadoptowalibyśmy je.

Tamar zerwała się na równe nogi. Przez chwilę stała z roz-y onymi ustami, dziwacznie przekrzywioną na bok głową ^niesionym barkiem. A potem zaczęła krzyczeć. Wydała Pod^6 Przerazbwy- przeciągły krzyk, przypominający wycie. p0Jl,0s\*a Paszcz, chwilę stała, trzymając go w ręku, a potem

^ziała nieswoim. dziwnie wysokim głosem: dZje^rdzo t0 uprzejmie z. twojej strony! Tyle, że to było moje przysz.ł- d° te^° st0Pn'a moJe, że mogłam je zabić, kiedy mi •biała 3 °Cnota"

Tobie bym go za nic w świecie nie oddała, nie chowv /amiaru dostarczać ci lalki do kochania.

Mogło się wy-tw0: ac De/ ojca. Było moje i tylko moje! Nie potrzebowałam cie,

VVs.Pozwolenia! Wszystko się kręciło tylko wokół cie-Pow ?Stłcim zależało tylko na tym, żebyście ty i Duncan się 1 ^unca Zeszł" Dlatego chcieli, żebym poszła i zobaczyła się netri, jakbym była waszą służącą, pokojówką, już nie

wiem kim. Miałam pomóc, a tymczasem... Więc n' nikomu powiedzieć, bo to by utrudniło

waszą sytua " m°ślątn ty wróciłaś, więc musiałam przyjść, żeby się z. tobą zob- \*\*\*\*\* bo tak cię kiedyś lubiłam. Myślałam, że wiesz, i • a.CZy<^ prawdziwe katusze...

- Błagam - zawołała Jean. - Błagam, uspokój się. Usiąd' Histerycznie rozwibrowany głos Tamar oraz nowina ' |T

oznajmiła, przejęty Jean lękiem. Gdy się nad tym później zast\* nawiała, stwierdziła ze zdumieniem, że ledwo panna Hershaw wyrzuciła z siebie szokującą wiadomość, ona w jednej chwili oceniła wagę tej rewelacji i mimo szoku i odrazy poczuła swoiste zadowolenie.

Więc i Duncan miał coś na sumieniu, nie był aż takim niewiniątkiem, zdradził ją. oszukał i nawet nie wiedział jeszcze, że ona już wie. Poczucie wyrządzonej krzywdy dotarło do Jean z opóźnieniem, a wraz z nim zazdrość i współczucie dla biednej, okrutnie zranionej dziewczyny, a nadto, co jeszcze gorsze, świadomość, że to niebożątko posiadało władzę zadawania cierpień. A na domiar złego to zabite dziecko, mogące jeszcze długo wywierać zemstę z za grobu...

Po policzkach Tamar, która stała, trzymając w rękach torebkę i płaszcz, ściekały łzy.

Szlochając, pojękiwała głucho. W pewnej chwili otarła twarz zwisającym luźno rękawem płaszcza.

Jean, sama już bliska łez, choć na zewnątrz wciąż zimna i opanowana, poradziła:

- Posłuchaj, dziecko, nikomu o tym nic mów. Lepiej to zachować w tajemnicy. Ja też nikomu nie powiem.

Z wyjątkiem Duncana, pomyślała. A może i jemu nie po wiem, nie powiem mu nigdy, że wiem. hinała

- A niech się dowiedzą, wszyscy, co mi tam - wyŁa} ia Tamar. - Nic a nic mnie to nie obchodzi. Och, jaka byłam D ^ że tu przyszłam! Chciałam się przekonać, czy już wiesz, ci wszystko wypaplałam... . usj|0wała

- Dobrze zrobiłaś, że mi powiedziałaś. - Jean nie zatrzymywał zmierzającej już ku drzwiom dziewczyny do mnie wkrótce, kochanie... porozmawiamy jeszcze

- Nie. wcale nie porozmawiamy. Nienawidzę uniesZc2# Duncana. naprawdę kochałam... a ty go porzuciłaś. A teraz to się stało i jestem zgubiona. ^ ciebie-sobie życie, zabiłam swoje dziecko, a wszyst -o p

- Tamar!

nienawidzę cię. rozumiesz? Nienawidzę! h'e0ła z płaszczem i torebką w rękach, zatraskując za drzwi mieszkania. Jean nie próbowała jej gonić. Usiadła

5°bą łakała się. Płakała nad wielką, nieogarnioną krzywdą, któ-  
^s,Pę stała przyczyną.

W piątkowe przedpołudnie Tamar Hernshaw odwiedziła Jen-kina.

Poprzedniej nocy poszedł spać wyjątkowo późno. Wieczorem, niezmiernie podniecony, pomknął jak na skrzydłach do March-menta. gdy ów zawiadomił go, że pewien znajomy może mu pożyczyć fragment książki Crimonda w maszynopisie. Obiecany rarytas mu się co prawda nie dostał, mimo to do północy dyskutował zawzięcie z Marchmentem i kilkoma jego kolegami. Od pewnego czasu, a ściślej od zebrania, które Gerard nazwał z ubolewaniem dintojra, podczas którego Crimond oświadczył, że ukończył pracę nad książką, pragnienie Jenkina ujrzenia gotowego dzieła stale rosło, aż doszło niemal do stanu miłosnej gorączki. Śnił o wyglądancj niecierpliwie książce, a na myśl o tym, że weźmie ją wkrótce do ręki, przebiegał go dreszcz podniecenia. Nie śmiał jednak wypytywać Crimonda o losy manuskryptu z obawy, że zostanie potraktowany niezyczliwie.

Niepokój, jaki ostatnio przeżywał, wynikał po części i z tego. °C7ym myślał - z rozbawieniem, lecz całkiem poważnie - jako

"Propozycji Gerarda". Od czasu tamtej rozmowy już kilka razy sP°tykał się z przyjacielem sam na sam, lecz żaden nie uczynił oh "!n\*eJszeJ amzji do tamtego wydarzenia - powściągliwość dla ^ytd" C'10^ r°zny sposób, charakterystyczna. Hernshaw, g0^Umny na to, by coś dwa razy powtarzać, był najwyraźniej °bejść CZQ^ w nieskończoność na odpowiedź Jenkina, bądź od rc^S1^ 7S°ła bez żadnej odpowiedzi, prócz tej, jaką otrzymał nie ^ kolei Riderhood, bojąc się stworzyć fałszywe wrażenie-^ozna^^^6 WODec os°by skrupulatnej, wymagającej \*%ac • CZność' ' prawdomówności, uznał, że będzie lepiej nie ^tne^ W °^wiałczeniach, dopóki nie będzie miał czegoś kon-niótjy^0 |J0 zakomunikowania. Tylko kiedy to nastąpi? Prawdę ył niezmiernie poruszony - znacznie nawet bardziej.

niż to sobie w pierwszej chwili uświadamiał - deklara da. (Wolał myśleć o tej sugestii właśnie raczej jako oj\Geiat' niż propozycji). Deklaracja przyjaciela w gruncie rz<\* 7\* odmieniła mu świat i na dobrą sprawę doczekała się ' • ^ wiedzy, tyle że nie wyrażonej wprost. Ich spotkania/ch-r^ wracali do drażliwego tematu, nabrały innego char^ ^ a w ich wzajemnym stosunku pojawiła się jakaś^nowa czuS\* uprzejmość i zażyłość, w spojrzeniach zaś nie znane dotąd ^ pło. Nie były to przy tym spojrzenia ..znaczące" ani „sondujące"-cechowała je jakaś szczególna bezinteresowność, milcząca ra' dość płynąca z przyglądania się sobie nawzajem. Często się przy tym śmiali, czasami zapewne dlatego, że wyczuwali intuicyjnie nieszkodliwy komizm całej sytuacji. Te chwile duchowego zbliżenia napępiały Jenkina uczuciem niezwykłego szczęścia. Przypominały stan zakochania... ba, pod pewnym względem były z nim tożsame... i najpewniej to stanowiło cci, właśnie osiągnięty, tamtej deklaracji Hernshawa. zatem dalej nie było już potrzeby się posuwać. Prawdę powiedziawszy, on i Gerard, jak to sobie Jenkin obecnie uświadamiał, nigdy dotąd tak często nie przyglądali się jeden drugiemu. Chytre demarche przyjaciela postawiło go jednak przed trudnym pytaniem. Wyjechać czy zostać? Z niejaką przykrością rozważył różne możliwe wyjścia kompromisowe i wszystkie odrzucił. Gdyby zrealizował swoje plany, oderwałby się całkowicie od Gerarda i od swojego obecnego „świata". Znalazłby się w z gruntu odmiennej sytuacji, w innym kraju i wśród innych ludzi, oddawałby się nowym zajęciom, zajęciom, jak przewi > wał, wielce absorbującym, trudnym i czasochłonnym. yP ^ samolotem do Londynu na lunch z Hernshawcm naJPewm^e> wchodziłby wówczas w grę, tym bardziej że takie prze ^

okazjonalne spotkania byłyby zapewne bardziej przygnę niż satysfakcjonujące. Decyzja o wyjeździe pociągałaby konieczność wyrzeczenia się wygod i przyjemności, prz nych pozostaniu w domu. Jeśli wyjedzie, straci - jo cza\*" już nie odzyska - ten spokój, którego obecnie od cza\ Gerard, doświadczał i którego, o czym wiedział, doznawa J^yska przynajmniej w chwilach, które ze sobą spdzal^dymn wzgl!\$' już tego uczucia, że znajduje się w miejscu pod kaz^ ^ sze. dem najprzyjaźniejszym. Wyjazd z kraju zburzyłyby o

- nie przewidywał oczywiście, w żadnym razie, by Gerard, Je"7" je20 decyzją, mógł z nim zerwać - nie, niebezpieczeń-poleiiało na tym, że taka ciągła na dobrą sprawę nieobecność S^ siłą rzeczy po jakimś czasie zmieniałyby ich w parę niezna-

S Choćby się nie wiedzieć jak starali walczyć z tym pro-jomyc"- esem alienacji, czas i oddalenie nieuchronnie zrobiłyby swoje. Ola Jenkinsa nie ulegało wątpliwości, że niezależnie od rozwoju wydarzeń stosunek Gerarda do niego pozostanie niezachwianie rzychylny. Tak długa jednak i nieustanna nieobecność musiałaby nadwreżyć łączącą ich miłość, pozbawiając ją nadziei i duchowych podniet, naruszyłyby i skaziła wieloletnią przyjaźń. Straszna perspektywa! Naturalnie, Jenkin już wcześniej rozważał te konsekwencje i był gotów, choć nie bez bólu, pogodzić się z nimi, po ostatnim jednak wyznaniu Gerarda znacznie wzrosła wartość tego, co miał do stracenia. Perspektywa posiadania prawdziwego domu i osiągnięcia spokoju, jaką przyjaciel przed nim roztoczył i jaką go kusił, głęboko go pociągała, a zarazem zaskakiwała, bo tak naprawdę nigdy nie wierzył, że dobra te zdobędzie. Już dawno, zresztą nie na drodze refleksji i właściwie bez żalu, odrzucił te cele jako dla siebie nieosiągalne, przeto nie mogące stanowić obiektu pożądania. Oczywiście, udało mu się osiągnąć pewien spokój ducha, taki mianowicie, jaki można zbudować na samotności. Nigdy dotąd nie przyszło mu nawet do głowy, że jego związek z Gerardem mógłby się kiedykolwiek jeszcze bardziej zacieśnić, przekraczając granicę tej zażyłości, jaką w yznaczyła ich prawdziwa, lecz cokolwiek skostniała Przyjaźń o tyloletniej już próbie. Jeśli jednak Hershaw napraw-C przewidywał (Jenkin wciąż nie mógł w to uwierzyć) współ-zamieszkanie, pociągałoby to za sobą coś, o czym nigdy dzi Właz'cu z Gerardem nawet nie marzył, a mianowicie praw-

- e wspólne życie. Jenkin Riderhood uważał dotąd dzielenie 7 v\ ' • •

czo ' zyc,a za absolutnie wykluczone, za coś, co stanowej aie Dyl° tnu pisane, wręcz takiego współżycia - wyjąwszy Metany6 F°"ien'a z mł°dości - nie pragnął. Jego kontakty z ko-Wać które udawało mu się z takim powodzeniem utrzymy-ro/.w tajemmcy, nie osiągały nigdy punktu, w którym by choć żyCjaa/'ał ewentualność małżeństwa. W dość wczesnym okresie czerp,P°slawrt na samotność w kawalerskim stanie i nauczył się z niej zadowolenie, jedyny zaś stały i ważny związek

łączył go z Gerardem i paczką, jaka się przed laty wok hawa skupiła. Rysująca się obecnie perspektywa wspólne / najbliższym przyjacielem wydała mu się nie tylko ^0Zyc!a pociągająca, ale i zaskakująco łatwa do zrealizowania, nat^ właściwa, dobra, wręcz zgodna z przeznaczeniem.' Ogląd z tej perspektywy sprawy seksu nie stanowiły dla Jenkinsa zaT nego problemu. Zawsze, odkąd się poznali (mieli wtedy3" osiemnaście lat), darzył Gerarda szczerym uwielbieniem Po° myśl, by pójść z nim do łóżka, nigdy nawet nie powstał mu w głowie, ponieważ - jak teraz właśnie - wydałby mu się po prostu nieodparcie śmieszny. Prawdę mówiąc, Jenkinowi niezmiernie pochlebiło, że Gerard (bo wszystko na to wskazywało) uznał swojego starego druha za osobę i pod tym względem atrakcyjną, choć już sama ta myśl budziła jego rozbawienie. Kochankowie Gerarda byli co do jednego mężczyznami wybitnej urody, jak choćby Sinclair i Robin, bądź tylko wyjątkowo przystojnymi, jak na przykład Duncan. Hwentualnc „zajścia" na tym polu zupełnie jednak Jenkinsa nie martwiły. I pod tym względem, cokolwiek miało się zdarzyć lub - co bardziej prawdopodobne - nie wydarzyć, Gerard niewątpliwie zachowa się bez zarzutu. Przyglądając się przyjacielowi podczas ich ostatnich, tak błogich spotkań, Riderhood stwierdził, że i

starego psa można nauczyć nowych sztuczek. Również to porównanie przyprawiło go później o uśmiech. Wszystkie owe ponętne i piękne perspektywy, owe głębokie, czułe pragnienia serca, zderzały się jednak brutalnie z innym równie mocnym postanowieniem, a mianowicie decyzją o radykalnym zerwaniu z dotychczasowym życiem. Jen kinowi nie dawała ponadto spokoju myśl, że za wyjazdem prze mawiał i głos obowiązku, choć na razie nie miał specja nej ochoty na tę nieprzyjemną konfrontację z powinnością, ją świadomie, pijany nektarem miłosnej deklaracji dera

Takim się oddawał rozmyślaniom, gdy około dziesiątej<sup>^ ^</sup> zapukała do jego drzwi Tamar Hemshaw. Zupełnie się nie dziewał jej wizyty. wła.śnie

- Masz szczęście, że mnie zastałaś. Wybierałem siw po zakupy. Ale wejdz, wejdz, proszę! łączył ga"

Wprowadził gościa do saloniku, zapalił<sup>^iatł° ' ^ty</sup>) potem zowy płomień na kominku (dzień był zimny i mg !SuDe|c z ga' wybiegł do kuchni, skąd wrócił po chwili, niosąc u ostrokrzewu. który postawił na gzymsie nad kominkiem. te^j5 wyjade na Boże Narodzenie do Hiszpanii, pomyślał, ta ka przypornm mi nastrój świąt w ojczyźnie. Tamar podzielała za kawę. za gorącą zupę i tosta. Nie zdjęła palta. Usiedli k°linim pokoju, jak najbliżej ognia. W i Nie jesteś w biurze? \_ Wzięłam znowu zwolnienie lekarskie. \_ Co słyhać, dziecko? Jak się teraz czujesz?

- Chyba jestem zupełnie zgubiona - odrzekła.

Mówiła spokojnie, a po jej twarzy, wciąż zapuchniętej, o po-orubiałych rysach, takiej, jaką poprzedniego dnia oglądała Jean, nie przebiegały już skurcze bólu. a oczy nie rozbiegały się na boki. Zwilżała co chwila językiem rozchylone wargi, wpatrując się uporczywie w zielone kafelki przed kominkiem, na którym szumiał wątył, gazowy płomień. Oddychała głęboko.

- Co się stało?

- Powiedziałam Jean.

- O Duncanie i dziecku?

- Wszystko.

Riderhooda ta nowina przeraziła.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogłam znieść niepewności: powiedział jej czy nie. Okazało się, że nie. A ja poleciałam do niej jak ta głupia i wszystko jej wypaplałam. Teraz - cedziła wolno słowa - ona mu Powtórzy, że go wydałam, że byłam z nim w ciąży, że "sunęłam dziecko, no i w ogóle... Jenkin miał w głowie kompletny zamęt. ~ Duncan i Jean jakoś to przeżyją. To już nie rozbije ich "wzeństwa. Nie tego się boisz, prawda?

^ Nie, nie tego - odparła z tym samym niesamowitym spo- wPatrzona tępo w zielone kafelki. - Nie martwię się

Ich- Martwię się o siebie.

~ A Jak zareagowała Jean?

owiedziała, że by je zaadoptowali. ~ ~ °°że!...

do ry^tlCl\*arn w furie. Poczułam się tak, jakby mnie zepchnęli biera; zto^a i poszli razem dalej w słoneczną przyszłość, za-

J4c \*e sobą moje dziecko.

Uobrze cię rozumiem.

- Powiedziałam jej. że zachowała się wobec kowo podłe, że jego kochałam, a jej nienawidzę.

- Nieprawda, wcałe jej nie nienawidzisz.

- To już bez znaczenia. Nie chcę jej więcej widzieć mogłybyśmy sobie znowu spojrzeć w oczy. A teraz na d d

i Duncan mnie znienawidzi. Wszyscy mnie znienawidzą ai^\* też nie ma już dla mnie żadnego znaczenia. Zresztą chyba sa ^ o wszystkim rozpowiem.



- Lepiej się jeszcze powstrzymaj - doradził. - Całkowita szczerość to chwalebna cnota, ale cnota nieraz mało polityczna

- Jestem pewna, że Lily Boyne już wszystko roztrąbiła.

- Przekonany jestem, że nie.

- Więc Jean przedstawi komuś własną wersję wydarzeń. Wolę już, nie czekając, sama rozgłosić nowinę.

- Poczekaj. Tamar - poprosił. - Jeszcze zobaczymy. Jestem, przyznaję, trochę wytrącony z równowagi tym, co mi powiedziałaś, a i ty nie myślisz teraz całkiem racjonalnie. Może chciałabyś, żebym spotkał się z Lily... lub z. Jean?... Czy to by coś pomogło? Nie jestem pewien, czy...

- Jest mi to zupełnie obojętne. Może zresztą nikomu nie powiem. Niech ludzie usłyszą to, co chcą usłyszeć, i uwierzą, w co chcą uwierzyć. Ja i tak jestem już zgubiona.

- Nieprawda, nawet nie wolno tak mówić! Udając, że się poddajemy, usiłujemy czasem wydobyć się z kłopotów, którym właśnie poddawać się nie wolno. Musisz przetrwać ten trudny okres. Powiedz, sobie: to minie, a ja godnie stawię temu czoło. Możesz teraz zrobić wiele różnych rzeczy, mądrych bądź g u-pich, więc musisz pilnie zważać na swoje kroki... nie zaponu nając, że mogą boleśnie dotknąć również innych.

- Och, inni!... Prawdę mówiąc, coś istotnie zamierzam, i to się może okazać okropne i... nawet niegodziwe...

- Tamar!... sify

- Po prostu potrzebuję pomocy, pomocy nad ludzi

- Co zamierzasz?...

- Postanowiłam zostać chrześcijanką. Zdębiał ze zdumienia.

- Wielkie nieba!... Czy naprawdę sądzisz... toneni

- Nawet ty nie rozumiesz - powiedziała spo «J^ 'D,atego wyjaśnienia - w jak czarnej otchłani się zna

iedziałam, że nie troszczę się już o Jean, o Duncana czy P° koiwiek, lecz tylko o siebie. Muszę za wszelką cenę szukać k°r Lu od całkowitego potępienia... Nie mówię nawet, że chcę ratunf>u .. ...

'- zbawiona, ja muszę zostać zbawiona. Nie mogę tego spr-

Jjć sama. ty również mi w tym nie pomożesz, dlatego potrzebuję mocy nadprzyrodzonej. To nie znaczy, że wierzę, by istotnie była nadprzyrodzonej natury lub że istnieje cokolwiek nadprzyrodzonego, ale może można znaleźć gdzieś jakąś pomoc, może ktnieje jakaś siła, potęga... \_ Ale czy ty wierzysz...

- Boże, ty i ta twoja wiara, ta twoja szczerość!... Wiedziałam, że zaczniesz z tej beczki. Wy wszyscy myślicie, że to takie niezwykle ważne! Ja wcale tak nie uważam. Tonący brzytwy się chwyta. Nie obchodzi mnie, czy Bóg istnieje ani kim naprawdę był Chrystus. Może po prostu wierzę w czary? Co komu do tego? To mój wybór i m o j e zbawienie.

- Mój Boże, Tamar, kto ci...

- Nakładł do głowy tych bzdur? Ojciec McAlisler. Spotkałam się z nim kilka razy. Pragnie, bym się ochrzciła i poszła do bierzmowania.

W przedpokoju zadzwonił telefon i Jenkin wyszedł, żeby go odebrać.

Jean nie powiedziała Duncanowi poprzedniego dnia o wizycie Tamar ani o jej wyznaniu.

Wieczór minął Cambusom jak zwykle, ly'e że Jean była wyjątkowo wesoła, dowcipkowała i śmiała się 062 przerwy. Również Duncan sprawiał wrażenie ożywionego i w dobrym humorze. Zwyczajowo już przekomarzali się i spie-0 to, czy zamieszkać w Prowansji czy w departamencie

r °gne, wreszcie czy nie okazałoby się szczęśliwszym po-^ys'em osiedlenie się w północnych Włoszech. Nazajutrz,

Piątek, Duncan o zwykłej porze wyszedł do ministerstwa. a ychmiast po wyjściu męża Jean podjęła obmierzły trud Nie ITllnanla sobie ze szczegółami wyznań panny Hernshaw. j^^ogła mamić się pociechą, że dziewczyna myliła się lub u'e^o'łó' ŻC dz'ec^o me by\*° Duncana lub że jeszcze żyło. Nie W Ogój w'llpliwości, że Tamar mówiła prawdę. Czy da się włąd,- .myśleć o takiej ohydzie, czy da się z nią dalej żyć i co oyto w tym wszystkim najgorsze? Czy da się coś jeszcze naprawić? Jean nie sądziła, by ta okropna nowina zburzyć jej świeżo odnowiony związek małżeński, jakkoT^a nadal chwiejny i niepewny, lecz zapewne go skomplikuje a^^ że zmieni w sposób trudny na razie do przewidzenia MusT^~ sobie jakoś poradzić z uczuciem ogromnego zaskoczenia na^\* domość o graniczącym z cudem fakcie, że Duncan był zdol do spłodzenia dziecka, wreszcie z uczuciem bólu. że to nie je poczęła. Do tego dołączał się osobny, właściwie dziwny ból wywołany świadomością, że to dziecko już nie żyło. Wstrząsem dla Jean było też odkrycie, że Duncan mógł pod jej nieobecność pójść do łóżka z inną kobietą (ale właściwie dlaczego by nie?) do tego tak nierozważnie, z istotą tak młodą i bezbronną. Zaczęły ją też gnębić inne, postronne, obsesyjne myśli. Poinformowani na samym początku, że nie będą mogli mieć dzieci, Cambusowie nie zadreżczali się nawzajem nieustannym uzalaniem się na ten wyrok losu. Smutek wywołany nie zaspokojonym pragnieniem posiadania dziecka Jean nauczyła się ukrywać głęboko w sercu. Niewykluczone, że Duncan uczynił podobnie. Oboje próbowali podchodzić do tego braku filozoficznie, wyrażali nawet ulgę, że oszczędzone im zostały troski i cienie rodzicielstwa. Lecz teraz, gdy okazało się, że Duncan jest zdolny do spłodzenia potomka, czy nie mogliby znaleźć kobiety, jakiegokolwiek kobiety, która zgodziłaby się urodzić dla nich jego dziecko? Czy ona, Jean. byłaby w stanie takie małenstwo pokochać? Czy nie było już dla nich na rodzicielstwo za późno? Potem pojawiło się straszne pytanie, czy w ogóle powinna przyznać się mężowi? Czy ta nowina istotnie miała się wkrótce różnie Dziwaczne podniecenie, jakie zrazu odczuła, że mianowicie przyłapała męża. że coś wic. a on nie wie, że ona to wie, okazy się obecnie zwykłą pokretną psychologiczną podłostką. ^

Zgnębiona miotła się nerwowo po pokoju. Poczwała nieo j.» potrzebę zrobienia czegoś, wszystko jedno czego, by e złagodzić ból ciągłej udręki. Ratunek znalazła w n^oyr^czaS pienu, w rozważaniu nowej, okropnej hipotezy: a jesn J3^^ jej nieobecności Duncan miał wiele kochanek? Bo ni przygoda z Tamar miałyby należeć do odosobnionych^.^ \_ ^ Do tego może te romanse nie były wcale takie prze- ^ pried-wyłącznie - z jego strony - zmysłowe, jak to dziewę - ^ stawiała? Duncan zapewnił żonę, że podczas jej nieo

"•• ł się do żadnej kobiety i Jean mu uwierzyła. Najwidoczniej Rzeszy13 świętą naiwnością. Z^V pewnej chwili wpadło jej do głowy, że jedno przynajmniej może zrobić, choćby tylko po to, żeby się czymś zająć, mianowicie przeszukać biurko męża. Weszła do jego gabinetu, zaczęła wysuwać szuflady biurka i z uwagą przeglądać papiery. Niemal od razu natknęła się na list od Crimonda. „Są między nami nie dokończone sprawy". Zerknęła na datę wysłania kartki i sprawdziła jeszcze raz porę wyznaczonego spotkania. Miało się odbyć dzisiaj. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dziesiąta trzydzieści. Włożyła list z powrotem do szuflady biurka, pobiegła do telefonu i zadzwoniła do ministerstwa, do gabinetu Duncana. Nie zastała go. Czy jest na zebraniu? Nikt nic nie wiedział. Zaczęła gorączkowo myśleć. Nic ulegało wątpliwości, że znaczenie listu mogło być tylko jedno: zapowiadało konfrontację, walkę, a nie pojednanie czy dyskusję. Przypomniały jej się w jednej chwili zabawy w rosyjską ruletkę, które uważała zawsze za rodzaj zgrywy. Czy i tym razem mogło chodzić o zwykły fortel, swoistą próbę napędzenia Duncanowi strachu, próbę upokorzenia go... czy może o prawdziwą groźbę? Wszak na rzymskiej drodze... To mogła być naprawdę śmiertelna pułapka. Tak czy owak nie ulegało dla Jean wątpliwości,

że jej mąż stawi się na to spotkanie. Nie dopuści, by tamten się chełpił, choćby tylko w duszy, że jego rywal stchórzył.

Ponownie podniosła słuchawkę, lecz tym razem nakręciła numer Crimonda. Oczywiście, czyste szaleństwo. Tego akurat Przedpołudnia Crimond z całą pewnością telefonu nie odbierze. «02 zresztą takiego ona mogłaby mu powiedzieć? Numer nie odpowiadał. Może powinna wyprowadzić wóz i zaraz tam je- dc; ^ec? - jeśli jej obecność rozogni tylko obu mężczyzn

zrriieni nieszkodliwą, być może, demonstrację w śmiertelną Q? Wykręciła numer Gerarda. Nie odpowiadał. Potem zagoniła do Jenkina.

-Tak?

ale ^Cn'cn1, m°wi Jean. Słuchaj, może ci się wydam obłąkana, mam podstawy, by przypuszczać, że Duncan pojechał do

a, żeby z nim stoczyć jakiś pojedynek... Ch-ryste Panie!...

- A przynajmniej... pewności nie mam... może r zrezygnował... Ja tam jednak pojechać nie mogę...

- Ja pojedę. Kiedy...

- Crimond zaprosił go na jedenastą, właśnie znalazłam k kę... Gdybyś wyjechał od razu. mógłbyś zdążyć przed nim... Ach Boże. przecież ty nie masz samochodu!... A nasz... właśnie sobie przypominałam, jest w warsztacie, inaczej sama bym cię zawioz ła... Boże drogi!...

- Nie martw się, złapię taksówkę. Na Goldhawk Road na ogół nie miewam z tym kłopotu. Zresztą jest postój na Shepherd's Bush Green. Zawiadomiłaś Gerarda?

- Nie ma go w domu. Och. Jenkin. tak mi przykro, że ci zawracam głowę, może to nic poważnego. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że Duncan prawdopodobnie wcale tam nie pojechał... Mógł odpowiedzieć na ten bilecik i... Ale błagam cię, jedź jak najszybciej! Mam przeczucie, że jeśli ty się tam zjawisz, do niczego złego nie dojdzie. Wiesz, gdzie Crimond mieszka, prawda? Pokój w suterenie...

- Wiem, wiem. Już jadę. nie martw się...

- A potem do mnie zadzwonisz?

- Oczywiście... No, to na razie, lecę!

Rzucił słuchawkę i pobiegł po palto, wołając po drodze do Tamar:

- Przepraszam, dziecinko, ale mam do załatwienia pewną pilną sprawę. Muszę na chwilę zostawić cię samą. Poczekasz tu na mnie, dopóki nie wrócę?

- Tak... oczywiście... Nawet chciałam cię prosić, żebyś pozwolił mi zostać.

- Nie wiem, ile mi to zajmie, ale ty się po prostu r0^s°~L ogrzej. Miło mi będzie myśleć, że tu na mnie czekasz. ^ żarce znajdziesz całą furę jedzenia. Położyć możesz się na łóżku...

Przepraszam, ale gościnnego nie zdążyłem P

I włącz sobie piecyk elektryczny...

- Poradzę sobie. Jenkin. Jakiś ty kochany! Wstała i objęła go za szyję.

Cmoknął ją w policzek.

- Poczekaj tu na mnie, niedługo wracam. ^ Green-Wypadł z domu i pobiegł w stronę Shepherd's Bus

Nie było tam taksówek. Staął na postoju.

nie należało raczej zawiadomić policji? - zastanowiła się o odłożeniu słuchawki. Czemu od razu o tym nie pomy-|ean9 potem opadły ją jednak wątpliwości. A jeśli Duncan po-h-& vil mimo wszystko nie jechać do Crimonda, jeśli odpowie-sa. , |!stownie, proponując na przykład inne miejsce spotkania, wławało się to możliwe, wręcz prawdopodobne. Zadzwoniła do ministerstwa. Pan Cambus jeszcze nie wrócił. Zatelefonowała do Gerarda, potem do Rose - bez rezultatu. Czy powinna zawiadomić policję? Jeśli to robi, będzie musiała - niezależnie od dalszego rozwoju wypadków - złożyć niezbędne wyjaśnienia j wszystko przedostanie się do prasy. Nawet gdyby cała historia okazała się tylko komedią pomyłek i zakończyła farsą,

Duncan wpadłby w niemałe kłopoty i miałby jej za złe, że w ogóle się wtrącała. Policja mogłaby skwapliwie wykorzystać nadarzącą się okazję, by zacząć nękać Crimonda, z kolei ona, Jean, byłaby zmuszona do składania zeznań na jego temat, co ponownie wpłatałoby ją w jego życie, właśnie teraz, gdy usiłowała zapomnieć, że on w ogóle istnieje. Potem przyszło jej do głowy, że taki fałszywy, mający na celu zastraszenie szantaż jest najpewniej częścią - może dopiero wstępem? - do zemsty byłego kochanka na niej samej. Nie umiając się zdecydować, co robić, usiadła i wybuchnęła płaczem.

Duncan celowo zostawił w biurku list Crimonda. Gdyby co-<sup>o</sup>wiek się stało, gdyby na przykład Crimond zamierzał mu wyrządzić jakąś krzywdę, chciał złożyć w bezpiecznym miejscu <sup>^</sup>kieszeni mógłby go wyjąć napastnik) dowód na to, kto -z Jaką intencją - zaprosił go do siebie. To mogło okazać się 1<sup>^</sup> e' Sdyby Crimond zechciał dowodzić, że działał w obronie Ręcznej, broniąc się przed napastnikiem, który przybył doń za t<sup>T0</sup>-0\*1 7arruaracn- <sup>^</sup>śli istotnie zamyślał coś złego, niech zdar <sup>^</sup>Zn'eJ zaPłaci. Z drugiej zaś strony, gdyby Duncanowi P<sup>o</sup>szk<sup>^o</sup> <sup>^</sup> Zraru<sup><</sup> Crimonda, list pomógłby mu wykazać, że nie- 0(\*<sup>o</sup>wany sam się o to prosił. Przypuszczenie, że „wyzwa-

Canowi<sup>o</sup>8\*0<sup>^</sup> WPa<sup>^</sup> w rcece JeL<sup>o</sup> zony, nie przyszło nawet Dun-w eU(jl <<sup>o</sup> §łowy. Jean nie należała do osób, które szperają <sup>^</sup>pew<sup>^0</sup><sup>^</sup> biurkach, poza tym wiedział, że dała wiarę jego nieniom, iż podczas jej nieobecności nikogo „nie przyjmował”. Była to zresztą istotnie prawda, jeśli nie 1" szczęsnego epizodu z Tamar, o którym przecież na pewnok' <sup>^</sup> jej opowie. kiedyś

Ponieważ samochód oddali do warsztatu, Duncan w " ksówkę. z której wysiadł kilka przecznic od domu Cri <sup>^</sup> Niepokój kazał mu przyjechać nieco za wcześniej, toteż T \*' jakiś czas krążył po wąskich uliczkach, próbując się rozgrzać2 Czuł się okropnie. Co on tu robi, u czorta? Po licha wałęsa ' po tej zapuszczonej, brudnej dzielnicy z młotkiem w kieszeni palta? Ciężkie narzędzie wbijało mu się w udo. Mimo rękawiczek marzły mu dłonie. Mróz sprawiał, że czuł się osłabiony wręcz bezsilny. Nie wyobrażał sobie, by mógł wziąć do ręki' a cóż. dopiero użyć, jakakolwiek broń. Właściwie czemu uznał za niedopuszczalne niestawienie się na to spotkanie? Toż zignorowanie tego absurdu listu byłoby rzeczą najłatwiejszą w świecie. Zrobiłby lepiej, gdyby po prostu nie przyszedł, takie rozwiązanie byłoby ze wszech miar godziwe. Naturalnie, zapowiedziawszy, że się stawi, wykręcić się już nie mógł. Cóż jednak właściwie nie pozwalało mu wrócić natychmiast do ministerstwa, gdzie wszak powinien się teraz znajdować, gdzie czekały na niego liczne pilne sprawy i codzienne, normalne obowiązki? Dlaczego szwendał się w tym zakazanym miejscu z morderczymi zamiarami w sercu... czy takie istotnie piastował?... bądź narażał się dobrowolnie na śmierć lub kalectwo? A Jean... czy wybaczyłaby mu kiedykolwiek, gdyby pozwolił się Crimondowi okaleczyć? A jeśli... przypuścmy, to on zraniłby Crimonda - ! to zranił ciężko? Czy nie obudziłoby to jej współczucia lub nawe uspięnej miłości? Znalazł się. przez własną głupotę, w P0<sup>^</sup>8<sup>^</sup> bez wyjścia. A może jednak jakieś istniało? Muszę /ac<sup>^</sup>te zimną krew. postanowił. Niepotrzebnie wyobrażam s<sup>o</sup><sup>^</sup>m wszystkie potworne, fantastyczne sceny. Będę po Prostu ' aby łajdakiem szczerzy. Oświadczę, że przychodzę jedynie P<sup>o</sup> \eg0 mu oznajmić, że nie widzę żadnego sensu w koñ02<sup>^</sup>11<sup>^</sup> diabła, śmiesznej „sprawy". Powiem draniowi, żeby posze <sup>^</sup> j<sup>^</sup>ech że nie myślę brać udziału w jego komedianckich heca <sup>^</sup> się trzyma ode mnie z daleka i nie waży nigdy <sup>^</sup>C\*\* pai,uił kontaktować. Zapewne nic nie stało na przeszko zI<sup>^</sup>staVViajac mówkę w tym tonie i niezwłocznie wyszedł, n,Csobje z gó# tamtemu czasu na wystąpienie z powitaniem, jak,e s

„hnie ułożył. Ta myśl, podparta próbą gniewnego, pańskie-<sup>^</sup>onu ał<sup>o</sup>su' podniosła nieco Duncana na duchu. "o punktualnie o jedenastej wszedł po schodkach i stanął przed • mj domu Crimonda. Nacisnął dzwonek, który nie za-'wiczczał- Po krótkiej jednak chwili Crimond (najwidoczniej czekał w sieni) otworzył mu drzwi.

Duncan dopiero wtedy uświadomił sobie, że - nie licząc pi• ckiej awantury na balu - nie widział rywala od pamiętnego spotkania na wieży, szmat czasu temu. Naprawdę jednak wstrząsnął nim młody wygląd Crimonda, który nie różnił się prawie od tamtego, zupełnie przecież innego i na dobrą sprawę już nie istniejącego młodzieńca, jakiego znał w Oksfordzie. My nie możemy ze sobą walczyć, przemknęło mu przez myśl... co, u diabła, w ogóle podsunęło mi ten pomysł? Chyba oszalałem. Powinniśmy się rozmówić, oto cel główny naszego spotkania. Niewykluczone, że koniec końców doprowadzi ono do pojednania, pomyślał i poczuł przyływ pewności siebie i mocy. Dyskusja, argumentacja, dyplomacja to był wszak jego żywioł. Pokona rywala słownie.

Crimond miał na sobie czarną, sztruksową, dobrze już znoszoną marynarkę i także spodnie; kołnierzyk koszuli ginął pod ciemnozielonym, zawiązanym na supeł szalikiem. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak elegancik, niemal dandys. Włosy nosił dość długie, dłuższe niż na balu. Chyba niedawno je umył, straszły się bowiem puszyście. Był bardzo chudy, oczy świeciły blado w twarzy wyjątkowo, karykaturalnie wręcz wydłużonej. Cera, latem usiana piegami, teraz była ziemista, a skóra wydawała się tak mocno napięta na kościach czaszki, jakby miała za c wdę pęknąć. Jedyne kolorowymi plamkami na jego twarzy W silnie zaczerwienione spojówki i czerwony koniuszek dłu-ciaf° n°Sa ^czy w suroweJ. napiętej twarzy sprawiały wrażenie a obcych, niczym suche, zbielałe kamyki. Duncanowi prze-wy°l? ° ^rZCZ my^" ze ma Przed sobą szaleńca. Młodzieńczy ubran Zawdz'ccza\* Crimond szczupłej sylwetce, sztruksowemu ściw"U SZa"kw\* wokół szyi i świeżo umyтым włosom. Wła- ^ jednak wyglądał jak widmo. a°y 2S^°darz milczał, skinął tylko głową, dając gościowi znak, drZtyZa nira ruszył, co też Duncan uczynił, zamykając za sobą L Przeszli przez lodowato zimny korytarz i po ciemnych jed-usta-a tu/

schodach zeszli do obszernego, podłużnego pomieszczenia na terenie. Było tam nieco cieplej, a zapach nafty zdradzał gdzieś w mroku piecyk. Do pokoju wsączała się z dwom odrobina przyćmionego światła, a wewnątrz paliła się tylko na, w głębi na podłodze stojąca lampa. Na środku pokoju ° wionę równolegle wzdłuż ścian, stały dwa długie stoły ' przy drzwiach łóżko. Pod ścianami piętrzyły się sterty k'si stały dwa krzesła, otwarta szafka i biurko, odsunięte w kąt ko^ lampy. Białe biurko, do czysta wysprzątanym, świadczył o zanL° chaniu wszelkiej pracy umysłowej. Kiedy wzrok przyzwyczał mu się do mętnego światła, Duncan dostrzegł w pokoju jeszcze jeden przedmiot, mianowicie strzelniczą tarczę. Czyżby chodziło o zawody strzeleckie? Skąpe oświetlenie nic zapowiadało jednak tego rodzaju ćwiczeń. Cambus poczuł przyływ animuszu i postanowił niezwłocznie wprowadzić w czyn postanowienie o przejęciu inicjatywy. Gospodarz zamknął tymczasem drzwi na klucz i ruszył w głąb pokoju. Gość postąpił za nim. Crimond podniósł z podłogi lampę i postawił ją na biurku. W jej świetle Duncan dostrzegł, że rywalowi drżą ręce. Poczuł się znacznie spokojniejszy.

- Jak widzisz - zaczął - stawiłem się w odpowiedzi na twój impertynencki list. Pozwól jednak, że złożę od razu pewne oświadczenie. Chyba rozumiem twoją potrzebę, a może nawet przymus, spotkania ze mną. Kto wie, może my obaj potrzebujemy dowodu, że możemy przebywać w jednym pomieszczeniu i świat się od tego nie zawali. Wyrzuciłeś niewybaczalną krzywdę mnie i mojej żonie, więc nie może być między nami mowy o żadnym przebaczeniu czy pojednaniu, co prawdopodobnie -podkreślam: prawdopodobnie - miałeś na celu, pisząc swój kuriozalny liścik. O stanie twojego, jak i mojego zresztą ducha świadczy już choćby to, że potrafimy na siebie patrzeć, co też właśnie czynimy. Przewidywałeś zapewne, że odbędziemy ^ sobą coś w rodzaju rozmowy, muszę cię jednak zmartwić, absolutnie nie wchodzi w rachubę. Czyn równie haniebny J ^ ten, którego się dwukrotnie dopuściłeś, nie może stanowić ^ ani dostarczać tematu do intelektualnej debaty. Czy nap sądziłeś, że

usiądziemy i odbędziemy męską rozmowę jak sły-Jean lub że wyznamy sobie nawzajem swoje grzechy. ^ szaleś, zdołałem wymówić w twojej obecności jej imię, sobie stanowi fakt znamienity, ale dalej się posunąć nie s3in0 am Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz. Twój im-ż^^ncki bilecik rozgniewał mnie, przyznaję. Teraz jednak, fT'rzalszyrn namyśle, widzę go w innym świetle. Podejrze-P° że ty sam, pisząc go, nie kierowałeś się jasnymi intencjami. \*T rzewam również, że w tym czasie doszedłeś do podobnych do moich konkluzji. Sedno sprawy zawiera się w samym naszym tkaniu, w tym, co się zdarzyło w ciągu tych ostatnich paru n^nut. Nienawiść i wstręt, jakie do ciebie czuję, nie osłabły, ma się rozumieć, ani na jotę. Nie można, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odmienić swoich najgłębszych uczuć. Trzeba z nimi jakoś żyć. Czasem jednak dla własnego dobra warto okiełznać i poskromić własną wyobraźnię. Gdybym miał przez resztę życia ulegać obłądnej obsesji, mógłbyś się słusznie chełpić osiągnięciem w postaci wyrządzenia mi jeszcze i tej krzywdy. Nie zamierzam myśleć o tobie dzień po dniu i zastanawiać się, do czego by doszło, gdybyśmy się spotkali. Spotkaliśmy się oto i nic się takiego nie stało. Ot, zelżało nieco napięcie między nami, co nie jest wszak równoznaczne ze wzajemnym zrozumieniem, nastąpiła po prostu pewna reakcja automatyczna, niemal mechaniczna. Jestem pewien, że mnie rozumiesz. Proponuję, byśmy na tym tę sprawę zamknęli. Spojrzeliśmy sobie w oczy i niech to wystarczy. To, jakie groźby mógłbym rzucić na twą głowę, pozostawiam twojej wyobraźni. Przekonany jestem, że dobrowolnie już nigdy nie wejdziesz mi w drogę. Oto wszystko, Co miałem ci do powiedzenia.

Ta niezwykła przemowa, absolutnie nie planowana, ogromnie ancana zaskoczyła. Ani przez chwilę, nawet gdy schodził po chodach Qo tej sutereny, nie miał tego typu myśli. Ledwo jednak olwvorzył usta, dostrzegł zarówno trafność własnej wypowiedzi. Jak i jej natychmiastowy skutek. Niespodziewana dla niego sa-^go improwizacja wyniknęła zapewne ze szczególnego poczu-Pewności siebie, jakim go napełnił widok drżącej ręki Cri-^ a. Doznał wielkiej ulgi (jej natężenia doprawdy nie prze-Poin stwierdziwszy, że jest w stanie przebywać w jednym jącg eS7xzemu ze swoim rywalem i ani nie wpada w upokarza-Cz.^0c^ręłwienie, ani nie wybucha niepowstrzymaną furią. Po-^yglóWU Zamierzał ~ celem „pokonania przeciwnika słownie” -°Ślć jakąś chaotyczną, gniewną filipikę. Tymczasem okazało rze.

się, że mówka, jaką oto palnął, nie była wcale od nowiła w istocie apel do inteligencji Crimonda Du czuwał, że udało mu się zrobić na przeciwniku Wr.?D^\* Zamilknąwszy, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę^""^ wszelako powoli, bez pośpiechu. Tamten z pewnością z^uU mu udzielić jakiejś odpowiedzi, a wtedy krótką kodą zamk? niesmaczną scenę.

Przemowa Duncana niewątpliwie Crimonda zainteresował bo nie próbował jej przerwać. Gdy dobiegła końca, odczekaj stosowną chwilę, na wypadek, gdyby gość zamierzał coś jeszcze dorzucić. Wpatrywał się weń z uwagą, uniósłszy jasnорude brwi których długie, jedwabiste włoski prześwietlał blask lampy. Napięcie na jego twarzy zelżało. Rytmicznie otwierał i zaciskał palce, jakby chciał w ten sposób rozluźnić całe ciało. Potem odezwał się cichym, zaintrygowanym głosem:

- Och, nie miałem najmniejszego zamiaru odbywać z tobą rozmowy, czy, tym bardziej, rozprawiać o Jean. Proszę, ja również zdołałem wymówić jej imię.

W tym momencie Duncan, uczyniwszy jakiś lekceważący gest, powinien był się odwrócić i wyjść, komunikując w ten sposób: nie dbam o twoje zamiary, powiedziałem, co miałem do powiedzenia, a teraz żegnam. Gdyby tak uczynił, Crimond by mu najpewniej nie przeszkadzał. Duncana rozpiekało jednak takie poczucie siły, że zapragnął pofolgować ciekawości. Popełnił błąd, gdyż zapytał:

- Cóż zatem chciałeś, abyśmy robili?

- Walczyli, ma się rozumieć - odparł Crimond, uśmiechając się dziwnym, zbolałym uśmiechem.

- Nie wygłupiaj się! - zachnął się Duncan, wciąż jeszcze spokojny, lecz już wplątany w pajęczynę woli przeciwni Nie jestem w nastroju do teatralnych gestów.

- Więc po co przyszedłeś?

- Żeby powiedzieć to, co właśnie powiedziałem. oioS^eś.

- Nie wierzę. Dyrzymały, jakie przed chwilą wyg ^ przyszły ci do głowy pod wpływem impulsu, a były cZ^e nje-pustą retoryką. To, co powiedziałeś o nienawiści i g jeWaż daleko jednak odbiega od prawdy. Przyszedłeś tu, ^ przyjść musiałeś. W przeciwnym razie mógłbyś c^.onor0wać. list - impertynencki, jak twierdzisz - po prostu cić do kosza. Wręcz spodziewałem się, że tak postąpisz, mówiąc jestem zaskoczony, że przyszedłeś. Lecz skoro prawa^ :uż jesteś...

Wychodzę - oznajmił Duncan i odwrócił się ku wyjściu większym niż poprzednio zdecydowaniem. Z O nie. tak łatwo się nie wymkniesz. - Crimond obszedł go hkim krokiem, stanął pomiędzy nim a drzwiami i powiedział - Są zamknięte. Wchodząc, zamknąłem je na klucz.

Duncan nie ruszył się z miejsca. Crimond stanowił teraz przeszkodę nie do zbagatelizowania. Gdyby spróbował ją ominąć, tamten mógłby uciec się do rękoczynów, a myśl o dotyku Crimonda napełniała Duncana paraliżującym wstrętem. Stał twarzą w twarz ze swoim śmiertelnym wrogiem w tym ogromnym, zimnym i ciemnym pokoju i czuł, jak wiedzłą wszystkie jego dawniejsze, mściwe, niejasne zamiary skoczenia mu do gardła. Żadne buńczuczne myśli nie przychodziły mu w sukurs. Marzył jedynie o tym, by móc się wymknąć z tego potrzasku z godnością. Miał wrażenie, że udało mu się, przynajmniej na moment, uzyskać nad rywalem przewagę, a w każdym razie zmusić go do umilknięcia. Teraz musi spróbować uczynić to ponownie. Tym razem znajdował się jednak na słabszej pozycji. Mimo to odrzekł stanowczym tonem:

- Nie mam zamiaru z tobą walczyć. Jak to sobie w ogóle wyobrażasz? Nie przyszedłem tu po to, by spełniać twoje wariackie zachcianki.

- Zdejm palto. Jeszcze nie wychodzisz, a w tym palcie wyglądasz dość głupio.

Duncan usłuchał, ponieważ zląkł się, że tamten może się na "lego rzucić, a wtedy grube okrycie utrudniałoby obronę. Do-atkowy powód był jednak taki, że zaczął się bać Crimonda. n człowiek jest szalony, przemknęło mu przez myśl, i do Wszystkiego zdolny. Rzucił ciężkie okrycie na biurko, przewra-^aJa.c lampę. Crimond, który odszedł tymczasem od drzwi, pod-""JJ M i postawił.

Prz^n°an' który spróbował w gniewie znaleźć schronienie e 'ekiem, powiedział: cię ^°Z za żalosna komedia! Zaślepia cię nienawiść, bo Jean a (1^Orzuc'la. Przekonała się, że jesteście nikczemnym okrutnikiem, tego okropnym nudziarzem. Oto sedno sprawy.

Na wzmiankę o byłej kochance blada twarz Cr spąsowiła, choć jej wyraz nie uległ zmianie.

- Jak śmiesz? - wydyszał. - Wypraszam sobie!

- Otwórz drzwi.

- Jeszcze nie teraz. - Można by sądzić, że Crimondowi -brakło nagle powietrza. Podniósł rękę do gardła, zdarł z — zielony szalik i rzucił na podłogę, po czym dodał tonem osób\* która udziela komuś dodatkowych informacji. - Kiedy powie' działem „walczyć”, nie miałem na myśli zwykłej bijatyki jaka nam się już kiedyś zdarzyła. Chciałem ci po prostu zapro^ono\* wać... pewną grę. Uznałem, że mogłaby okazać się... na miejscu Mam nadzieję, że podzielisz mój pogląd.

- Grę?...

- Owszem. Taką oto.

Zrobił krok do przodu i Duncan odruchowo się cofnął. Cri-mond sięgnął jednak tylko ręką do kontaktu. Przekreślił włącznik i pokój zalało niespodziewanie zimne, jaskrawe światło. Dwie długie, umieszczone pod sufitem jarzeniówki zaskwierzały, za-filowały, po czym zapłonęły równym, oślepiającym blaskiem. Crimond wysunął szufladę biurka i wyjął z niej parę rewolwerów.

Ujrzawszy broń, Duncan zrozumiał w jednej chwili znaczenie całej sceny, pojął przeznaczenie dwóch długich, zestawionych końcami stołów. Zmartwił ze strachu. A potem poczuł nagle niezwykle podniecenie, przebiegł go dreszcz erotycznej niemal natury. Podszedł do Crimonda prawie z ciekawością. Ów położył tymczasem rewolwery na stole, jeden obok drugiego. Jego twarz na powrót pobladła, a ręka powędrowała do szyi, po to jedn tylko, by rozpiąć guzik u koszuli.

- „Smith and Wesson” - stwierdził Cambus. - Domyślam się, że masz je ze Stanów?

- Tak.

- Tradycyjne sześciopalcowe.

- Istotnie.

- Czy zbierasz też nadal pistolety automatyczne.

- Nie... trudno zresztą powiedzieć, bym je zbierał-Crimond podszedł do szafki i zamknął drzwiczki.

W czasie tej wymiany zdań Duncan pomyślał o m ^  
tkwił w kieszeni leżącego na biurku palta. Przypom  
sn?

• rodem ze snu. widmową broń, którą się włada jak w zwol-°rcZ tempie. Co go skłoniło, by przynieść tu ten przedmiot, 0,0 okrutną zemstę chciał wyrzucić za jego pomocą? Zaatakował Crimonda przez zaskoczenie, kiedy na przykład zamykał drzwi szafki, i grzmotnąc go między łopatkami? Nie byłby zdolny do takiego czynu. Wtedy, na wieży, mógł sobie pozwolić na to, D' zaślepiła go wściekłość. Teraz był starszy, znacznie starszy, Crimond zaś na pozór tak młody jak zawsze. Walka na pięści Czy zapaśniczy pojedynek nie wchodziły w grę. Czy jednak młotek, narzędzie jak ze snu, należało uznać za bardziej nierealny od zdarzeń, na jakie się najwyraźniej zanosilo? To bluff, pomyślał, nic innego. Jean opowiadała przecież, że zabawiali się nie naładowanymi pistoletami dla kawału. Oczywiście, Crimond chciał napędzić jej prawdziwego strachu. Teraz jest tak samo. Zresztą ciężar naboju, co wiadomo nie od dziś, zwykle ściąga załadowaną komorę w dół, więc ryzyko jest naprawdę niewielkie. Mimo to nie zamierzam brać udziału w tej hecy. Nie ulega wątpliwości, że facet jest szalony, wariat i desperat.

- Wiesz - konspiracyjnym szeptem odezwał się Crimond -to, coś powiedział na początku, nie było całkiem od rzeczy. Jest między nami coś, co wymaga załatwienia... coś, z czym należy skończyć, jeśli nie mamy w nieskończoność myśleć o sobie nawzajem do końca naszych dni, co byłoby, przynasz, idiotyczną stratą czasu i energii. Pragniemy się od siebie nawzajem uwolnić, czyż nie? Takie wszak były psychologiczne pobudki dawnych Pojedyneków. Było w nich coś z wyzwania, coś z egzorcyzmów. Jeśli chcesz, z symbolicznego wyzwolenia. Pragnę takiego wyzwolenia, potrzebuję go, a przypuszczam, że i ty, jeśli jesteś uczciwym człowiekiem, pragniesz i potrzebujesz tego samego. ^ ~ Chętnie bym cię sprzątnął, skoro o tym mowa - przyznał

ucan. - Nie jestem jednak ciekaw twoich symbolizmów. Czy myślisz o rozwiązaniu symbolicznym, nie na serio, czy o rozkazaniu rzeczywistym, na serio, w obu nie zamierzam uczest-yc. Nie mam najmniejszej ochoty dać się zabić! Niby czemu yro brać udział w twoich gierkach? Ani myślę!

~ Będziesz musiał - burknął Crimond. czy "JnCan nie ot\* razu odpowiedział, bo zastanawiał się właśnie. sza Znajdzie w sobie dość siły, by dojść do drzwi i zacząć pac za kłamkę, dopóki gospodarz nie zechce łaskawie ich



otworzyć. Czy to wszystko działo się naprawdę? Czy c może zmusić go do uczestnictwa w swojej „grze”, nrz ń1^ jąc jako alternatywę okrutne upokorzenie? Czyż mało^\*” dwóch poprzednich? A jeśli przyjdzie mu błagać rywala go wypuścić? Duncan wyobrażał sobie przed tym spotkania całą grę najwymyślniejszych pułapek, a tymczasem dał"6"1 złapać w najprostszą. Na dodatek zaczął dostrzegać istotę pi^ Crimonda, pokrywającą się w gruncie rzeczy z. jego własnymi przemyśleniami, co tylko niebezpiecznie jego wahanie wzmocniło. Coś faktycznie należało przedsięwziąć, z czymś skończyć. Otóż to, skończyć z Crimondem! Lecz czy można to osiągnąć inaczej niż usuwając go z tego świata? To pytanie Duncan już nieraz sobie zadawał, lecz zawsze jako pytanie czysto retoryczne, zakładające odpowiedź przeczącą. A teraz zdrowy rozsądek, który jakimś cudem zdołał wcisnąć się przez jakąś szczelinę w ich obłąkańczej rozmowie, uświadomił mu, że jeśli kiedyś naprawdę rywala zabije, będzie jeszcze ściślej niż dotąd - i już na wieki - z nim związany. W swojej „mówce” zaproponował symboliczne rozwiązanie problemu, choć przecież problem już właściwie został rozwiązany. Wygłosił swe improwizowane przemówienie pod wpływem określonej potrzeby psychicznej i z bezpośrednim celem na oku: aby mianowicie wywikłać się jak najprędzej z. sytuacji, w której nie powinien się być w ogóle znaleźć. Pytanie, czy istotnie wierzył, że takie rozwiązanie mogłoby się sprawdzić, zmieniało się obecnie w rozważanie czysto akademickie, skoro Crimond zaproponował kurację daleko bardziej radykalną, więc zapewne i bardziej skuteczną. Czy symboliczne zabójstwo, za cenę narażenia się na gniew Crimonda, przyniosłoby mu upragnioną wolność? Duncan wpadł w sidła sformułowań użytych przez rywala, co tarfe\*? najpewniej na chłodno sobie wykalkulował. Tymczasem jea byli ze sobą szepieni jak ludzie walczący w wodzie, żeby utopić przeciwnika, muszą wraz z nim utonąć.

Crimond odsunął od siebie pistolety, usiadł na blacie i wbił spojrzenie w Duncana. izycj3

- A więc? - zapytał (zabrzmiało to niemal jak pr°P miłosna).

- Przedstaw mi reguły swojej gry. Tamten westchnął przeciągle.

mican miał poczucie, że wplątuje się w jakieś sidła (w isto-sam je rozpinął), pomyślał więc - udzielając spóźnionego CIC cia własnej, jak się okazało, decyzji - że Crimond, prze-W zv t? drogę rozumowania, jaką on przed chwilą przeszedł, • mó"1 1 pewnością powziąć na serio zamiaru pozbawienia go n'e. i Rozwiązanie ostateczne nie byłoby dla nich żadnym rozwiązaniem. Czego naprawdę potrzebowali, to ostatecznego aktu mbolicznego. Właśnie dlatego Grecy tworzyli swe tragedie, pomyślał. Muszę się kiedyś podzielić tym spostrzeżeniem z Gerardem. Przyszło mu również do głowy, że gdyby teraz wyszedł, nawet gdyby zdołał uczynić to z godnością, do końca życia żałowałby tej straconej szansy. Więc i pod tym względem sytuacja obecna przypominała schadzki miłosnej.

- Są bardzo proste - odrzekł Crimond. - I zgodne z tradycją. Tylko jedna z sześciu komór każdego z tych rewolwerów jest załadowana. Stajemy naprzeciwko siebie, po obu stronach pokoju, obracamy bębni i strzelamy.

- Jeden do drugiego?

- Oczywiście, nie proponuję ci paktu samobójczego. Naturalnie, celujemy tak, żeby zabić. Jak wiesz, nie jest wcale łatwo zastrzelić człowieka nawet z tak małej odległości, jeśli nie jest się wytrawnym strzelcem. Ty nim na szczęście jesteś. Oczywiście znasz tę markę rewolwerów. Pamiętaj, że mają bardzo miękki spust.

- Pamiętaj, pamiętam. Po ile oddajemy strzałów?

- Myślałem o dwóch, naturalnie przy założeniu... Możemy SI? jednak umówić na tyle, na ile zechcesz.

~ Niech będą dwa.

~ Strzał umyślnie spudłowany się nie liczy. ~ Zgoda.

Jesteśmy obaj szaleni, przemknęło przez myśl Duncanowi. czym my gadamy? | jeszcze jedno, mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz. Dla eJ uczciwości komory muszą mieć jednakową

wagę, w prze-dzj razie, jak obaj dobrze wiemy, komora załadowana bę-kilk ni'ała tendencje do opadania w dół. Nabiłem więc ołowiem tab . zużytych łusek, aby miały tę samą wagę co prawdziwe °Je' i włożyłem do pozostałych pięciu komór. Spójrz.

Crimond złamał jeden z rewolwerów i podsunął Duncanowi. Ten machnął lekceważąco ręką.

- W porządku, w porządku.

- Chcesz obejrzyć oba rewolwery?

- Nie trzeba. Zaczynamy.

Chęć obejrzenia rewolwerów byłaby nietaktem, szcz o-w sytuacji, gdyby się okazało, co Duncan, prawdę mówiąc80'0'6 widywał, że oba były nie załadowane!

- Powinniśmy rzucić losy o wybór pozycji, choć oświetleni jest z obu stron takie samo, no i o to, ma się rozumieć, komu przypadnie pierwszy strzał.

Duncan wyjął z kieszeni monetę i podał ją Crimondowi.

- Kto wygra, zajmuje pozycję pod tarczą - zaproponował Crimond.

- Awers - mruknął Duncan.

Crimond rzucił monetę, upadła awersem do góry. Crimond podał monetę Duncanowi.

- Wygrywający strzela jako pierwszy - oznajmił Duncan.

- Rewers - powiedział Crimond.

Duncan rzucił monetę. Upadła rewersem do góry. Crimond położył rewolwery na końcach stołów, pod przeciwległymi ścianami pokoju.

Przez jakiś czas stali nieruchomo i przyglądali się sobie w milczeniu. Duncan słyszał bicie własnego serca i czuł, jak potnieją mu dłonie. Słyszał wyraźnie swój oddech, a nawet oddech rywala. Czy to właśnie ta chwila, kiedy...

Crimond odezwał się tym samym miękkim, aksamitnym, niemal przymilnym głosem, jakim przedstawiał warunki pojedynku.

- Naturalnie, gdybyśmy mieli sekundantów, których niestety nie mamy, obowiązek nakazywałby im zapytać nas w tym momencie, czy walka jest naprawdę nieuchronna, czy nie jes ^ skłonni pogodzić się i zaniechać rozlewu krwi? Czy zatem, wszystko odbyło się zgodnie z regułami, nie powinniśmy stąpić teraz w roli własnych sekundantów? ctsu<-

Duncan zastanawiał się przez chwilę, czy całe to J^^pj wienie nie zmierzało do takiego właśnie finału? Czyżby ^Q^ zainscenizował tę hecę tylko po to, by ją w ten sposo ^ ^ czyć? Poczuł przyływ gniewu, ale i lęk z powodu ^cia. oczekiwanego, a otwierającego się w ostatniej cn

już sądził, że ta ohydna sprawa zakończy się wreszcie ^rozstrzygnięciem.

Nie, bo oznaczałoby to w gruncie rzeczy możliwość pogo-

. sję Wykluczone. Sam wiesz, że to niemożliwe...

Jak sobie życzysz - powiedział Crimond i skłonił lekko

°°\_ Zakładam, że podzielasz moje stanowisko. \_ Istotnie.

\_ W takim razie nie zwlekajmy dłużej.

Crimond wpatrywał się teraz w Duncana z jakąś nową i pilną uwagą-

\_ Twoje lewe oko ma jakiś dziwny wyraz - powiedział. -Dobrze na nie widzisz? \_ W tych okularach świetnie.

Duncan, który zapomniał, że ma na nosie szkła, zdjął je teraz szybko. Spojrzał na rywala swymi wrażliwymi, nie uzbrojonymi oczami i pomyślał: oto patrzymy jeden na drugiego, pierwszy raz od tamtego dnia.

Włożył okulary. Zdjął krawat, marynarkę, rzucił je na leżące na biurku palto, po czym rozpiął górne guziki koszuli. Crimond również zdjął marynarkę i upuścił ją wprost na podłogę.

Rozpiął jeden więcej guzik u koszuli i dotknął nagiej szyi. Rozbieramy się, jak byśmy mieli iść do łóżka, skonstatował Duncan. To wszystko jest szalone, obłąkane. Niechże się już wreszcie raz skończy!

Odwrócił się na pięcie, odszedł w przeciwny koniec pokoju i stanął pod tarczą. Crimond położył rewolwer przed sobą na stole. Jeśli któryś z nas trafi na prawdziwy nabój, pomyślał Duncan, będzie tu huk jak diabli. Z takiej broni, gdyby chciał płożyć tłumik, nie da się jednak dobrze wycelować. Nie ustaliśmy, co zrobimy, jeśli cokolwiek się zdarzy. Przypuśćmy na przykład, że jeden z nas odniesie poważną ranę. Ale przecież żadnych dramatycznych wydarzeń nie dojdzie. Nie ma potrzeby o tym dyskutować, Crimond stanął w przeciwnym końcu pokoju. Możesz już otworzyć drzwi - przypomniał mu Duncan. Duncan otworzył je kluczem. Duncan nie wziął jeszcze do ręki rewolweru. Podwinął rękawy koszuli. Widział sylwetkę rywala na tle drzwi. Jak się Zac Coś muszę zdecydować.

- Możemy zaczynać? - zapytał Crimond.

- Tak. Ty pierwszy, jak rozumiem.

- Istotnie.

Rozległ się cichy trzask i Duncan zdał sobie sprawę, że Crimond już podniósł broń, szybko zakręcił bębniem i pociął za spust. Trafił na podróbkę naboju.

Crimond odetchnął z ulgą. Poczul przypływ niezwyklej euforii oraz pewność, że nic złego spotkać go nie może, że to tylko gra, rytuał, egzorcyzmy. Mądrze zrobił, że nie zignorował zaproszenia tego wariata, nie stchórzył, nie wymigał się od wzięcia udziału w tym obrzędzie. Podniósł rewolwer, złamał, zakręcił bębniem, zatrzasnął. Ledwo jego dłoń dotknęła rękojeści, zelektryzowało go dawno zapomniane, nie doświadczone od lat doznanie: poczucie siły i pragnienie trafienia w cel. Podniósł jedną ręką broń i wycelował starannie w sam środek czoła przeciwnika. Jak w środek tarczy. Celując, dostrzegł kątem oka, na prawo od głowy Crimonda, jakby białą plamkę na drzwiach. Pomalowane na niebiesko błyszcząco oślepiająco w blasku jarzeniówek. Crimond stał bez ruchu na tle tego niebieskiego prostokąta. To mój pierwszy strzał, pomyślał Duncan. Crimondowi przysługiwał jeszcze jeden. Nawet gdybyśmy się chcieli naprawdę pozabijać, nie byłoby to wcale takie łatwe. Możemy natomiast zadać sobie potworne rany, straszniejsze od samej śmierci. Ale czy nie o tym właśnie myślałem, zabierając ze sobą młotek? A może wycelować w jego prawy bark? Przez chwilę trzymał broń nieruchomo, z muszką celownika na wysokości czoła Crimonda. Taki rewolwer, nawet na małą odległość, nie gwarantował celnego strzału. Duncan poczuł skurcz, w piersi, a przed oczami zawirowały mu czarne płatki, jakby miał zaraz zemdleć. Fakt, że Crimond był w tej chwili na jego łasce mie łasce, stanowił po prostu dopełnienie rytuału. Niczego nie pragnął. Nieznacznie przesunął lufę, wziął na cel biały pu na drzwiach i napiął palec na spuście.

Nagle, niczym we śnie, dobiegł go z oddali niereakcyjny spodziewany odgłos czyichś kroków na schodach. Z i jakiś głos zawołał:

- David! David!

wi otworzyły się szeroko i w miejscu niebieskiego prostokąta stanął Jenkin Riderhood, wyłoniwszy się z ciemności schodów. Już naciskając spust, Duncan spróbował w ostatniej chwili zmienić cel. Huk wystrzału, odbijając się echem w zamkniętym pomieszczeniu, był ogłuszający. Ledwo przebrzmiał, rozległ się nowy dźwięk, jakby głośny rumor. Duncan wypuścił rewolwer i dotknął ręką głowy. Jenkin zniknął. W miejscu, gdzie ukazał, czerniał pusty otwór drzwi. Crimond ruszył powoli w ich stronę. Riderhood leżał na znak na podłodze. Pośrodku jego czoła widniał idealnie kolisty czerwony otworek, dokładnie w punkcie, w który Duncan mierzył, biorąc na cel Crimonda. Jenkin był martwy, to nie ulegało wątpliwości. Oczy miał otwarte. Na jego twarzy zastygł wyraz bezmiernego zdumienia. Duncan zamknął drzwi. Wracając później pamięcią do tamtego dnia, nie umiał się nadziwić własnemu opanowaniu i zimnej krwi. Pojął w jednej chwili, że może zmniejszyć rozmiary tej niewyobrażalnej, potwornej katastrofy, jeśli będzie działał szybko i przebiegle. Dziwnym, wręcz niesamowitym elementem całej sytuacji (Duncan pamiętał, że odczuł właśnie tę niezwykłość, choć tyle

innych kłębiło się w nim uczuć) był fakt, że Crimond zaczął naraz cicho płakać i już nie przestał aż do końca sceny, jaka się następnie rozegrała.

Duncan zaczął myśleć gorączkowo.

- Musimy to przedstawić jako nieszczęśliwy wypadek - powiedział do Crimonda. - Bo to był wypadek. Tylko jak? Jaka Wersja będzie najbardziej prawdopodobna?... Strzelaliśmy do tarczy, a on znalazł się na linii strzału. To najlepsze wyjaśnienie. Jakie mi w tej chwili przychodzi do głowy. Przynajmniej proste. °móż. mi. przeciągniemy go w głąb pokoju, pod tarczę. Na Zczęście prawie nie krwawi.

Chwycił zwłoki Jenkina za nogi i zaczął ciągnąć. Gospodarz . nie Pomagał, szedł tylko obok i szlochał, gdy Duncan włókł łózk° ^derno°da w pobliże tarczy. Potem Crimond usiadł na 1 dalej cicho płakał, ukrywając twarz, w dłoniach.

^uncan odsunął tymczasem pod ścianę oba stoły. Podniósł 509

nawet

L podłogi trochę książek i ułożył na blatach.

- Ja mam zadzwonić na policję czy ty się lym zajmiesz zapytał.

Crimond mu nie odpowiedział. Siedział z pochyloną oją i zalewał się łzami. Duncan zobaczył, jak odrywają się od^^ liczków i kapią na podłogę.

Dopiero wtedy przyszło mu na myśl, że przecież wcale n' musi, tam zostawać. Może po prostu wyjść.

Narzucił marynarkę i zawiązał krawat. Potem włożył palto i głęboko do kieszeni wcisnął rękawiczki. Zmacawszy palcami młotek, nie od razu zdał sobie sprawę, co to takiego.

- Musisz zadzwonić na policję - powiedział do płaczącego Crimonda. - Nie ma potrzeby, żebym i ja był w to zamieszany Rozumiesz? Mnie tu w ogóle nie było! Musisz tylko złożyć wiarygodne wyjaśnienia. Po prostu trzymaj się wersji wypadku. Jenkin wszedł ci na linię strzału. Słyszysz? Rozumiesz mnie? Wychodzę. Nigdy mnie tutaj nie było!

Crimond nie odpowiadał. Duncan stał przez chwilę bez. ruchu, starając się pozbierać myśli.

Co jeszcze należało zrobić? Rewolwery! Odciski palców! Wyjął z kieszeni i włożył rękawiczki, podniósł rewolwer, z. którego wystrzelił, złamał go i wysypał na stół zawartość bębena: jedną łuskę po wystrzelonym naboju i pięć podróbek. Potem na powrót umieścił

łuskę w osmalonej komorze i starannie wytarł chusteczką rękojeść. Podeszedł do Crimonda i podał mu rewolwer, trzymając broń za lufę. Crimond wziął go od niego machinalnie i położył na podłodze. Duncan podniósł rewolwer i jeszcze raz mu go podał. Crimond trzymał go przez chwilę w ręku. po czym ponownie odłożył. Na Cambusa nie zwracał najmniejszej uwagi,

nawet nań nie spojrzał. Duncan uznał, że może zostawić rewolwer na podłodze, u stóp Cnmon da. Potem zajął się drugim rewolwerem, złamał go, odv^V bębenek i potrząsnął. Naboje się nie wysypały. Przyjrzał się uważniej. Komory były puste. Później to sobie przemys e, ^

stanowił. Odłożył rewolwer do szafki, w której znaJ^aupeł. ponadto pistolet automatyczny.

Czy to już wszystko? ie {0, nie. Na stole leżało pięć podróbek naboju. Crimond prz ° wał je starannie, przyciął ołów i wcisnął w gilzy, żeby P ^ nek odbył się uczciwie. Z tego się nie wytłumaczy, P ^ Duncan. lepiej je zabrać. Wsunął ślepe naboje do kies ^ ^ocn0

Potem podeszedł do Crimonda, chwycił go za ramiona

ąsnął- Tamten dźwignął głowę i próbował go słabo ode-

P° \< Duncan krzyknął mu nad uchem: nchn4c-

Wychodzę! W ogóle mnie tutaj nie było! Zastrzeliłeś go nadkiem. słyszysz? Wszedł ci pod lufę. Po prostu to sobie "obraż. Wyobraź sobie tę scenę. Potem zadzwoń na policję, ^le zbytnio tego nie odkładaj. Zrozumiałeś?

Crimond kiwnął głową. Nie patrzył na Duncana, odpychał go tylko bezsilnie mokrą od łez ręką.

Duncan wyszedł, zamknął za sobą drzwi, wbiegł po schodach i spokojnie wyszedł na ulicę. Owiało go mroźne powietrze. Przejeżdżały samochody, przechodzili przechodnie, najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na rewolwerowy wystrzał. Duncan ruszył w stronę stacji metra. Wzięcie taksówki byłoby nazbyt ryzykowne, zresztą prawdopodobnie i tak by żadnej nie złapał. Postawił kołnierz palta, wtulił weń głowę i szedł przed siebie szybko, choć nie nazbyt szybko. Kiedy dochodził do stacji, dobiegło go i oddali zawroźnienie syreny policyjnego auta. Czyżby Crimond zdołał się już otrząsnąć, przemyśleć sobie wersję wypadku i zadzwonić na policję?

Duncan wrócił do ministerstwa najszybciej jak się dało, stwierdzając ze zdumieniem, że zdążył tam jeszcze przed lunchem. Wyglądało na to, że nikt nie zauważył jego nieobecności. Pod błahym pretekstem zadzwonił do Jean. Usłyszawszy jego głos, ogromnie się ucieszyła. Powiedziała, że już dwukrotnie do Mego dzwoniła, lecz go nie zastała. Wyjaśnił, że był na zebraniu. Później poszedł na lunch do ministerialnej stołówki, gdzie wdał SI? w głośną pogawędkę z paroma kolegami. W drodze powrotnej do domu kupił, jak zwykle, wieczorną gazetę. W kronice Wypadków znalazł krótką, zdawkową wzmiankę o wypadku -ironią palną. Reporter nie zadał sobie nawet trudu, by ustalić SI^sam^ść sprawcy. Oto jak szybko przemija ziemską sława, nstatował refleksyjnie Duncan, siedząc w wagonie metra W1^za.cym g0 do domu.

Część trzecia

WIOSNA

Rose stała w oknie sypialni i patrzyła na rozległy, skąpany w słońcu trawnik, na włoską fontannę, piękne, olbrzymie kasztanowce, na pola, na których pasły się łaciate, biało-czarne krowy, na lesiste zbocza i siniejące po horyzont wzgórza. Było już po pogrzebie, przyjezdni żałobnicy wyjechali. Nie był to pogrzeb Jenkinsa Riderhooda. ten odbył się znacznie wcześniej, lecz żony Reeve'a Curtlanda Laury, Rose nie znajdowała się zaś w Boja-rówce, lecz w domu swych krewnych w Yorkshire. W Bojarów-ce przebiśniewi już przekwitły. Tutaj na północy wciąż spotykało się ich kępy w ustronnych zakątkach pod zastygłymi w bezruchu bezlistnymi drzewami i krzewami. W brzoźowym zagajniku za trawnikiem rozkwitły już wczesne podwójne żonkile.

Laura Curtland. od niepamiętnych czasów malade imaginaire, dowiodła w końcu słuszności swych obaw i najnieoczekiwanej zmarła. Utrzymując przez lata. pozornie wbrew rzeczywistości, że cierpi na raka. wyhodowała w przyśpieszonym tempie m-operacyjny guz i szybko odeszła z tego świata. Być może, zg\_ ^ dzono się poniewczasie, przez cały ten czas nie ca ^ w sprawie swojego zdrowia myliła. Jej niesPodzieWan^gC0 nie-wzbudziło niemałe zaskoczenie, wręcz konsternację i utulonej rozpacz. W Fettiston (tak się nazywał dom ^ ^zbc. z Yorkshire) przeważała rozpacz, podzielana także P12^^ lże. Kilkoro mieszkańców wsi również uroniło za nie sp0-

Krewni. z wyjątkiem męża i dzieci zmarłej, znieś i {e^cb kojnie. Rose, która nigdy nie utrzymywała z Laura zbiżyć s»e stosunków, pożałowała, że nie zadała sobie trudU'raywC Zawrze z osobą, z której zalet za późno zdała sobie sp^ \_ ^ fezenv-! miała wrażenie, że Laura odnosi się do mej wrog

kluczone. zastanawiała się obecnie panna Curtland, iż bie-\* a wyczuwała, zresztą nie bez podstaw, że Rose ich lekce-uważa za nudziarzy, ogranicza wizyty w Yorkshire do ^nium że stworzyła sobie „zastępczą rodzinę” w Londynie.

była poruszona, wręcz wstrząśnięta, nieklamany bólem ^°Se 'c Neville'a i Gillian, którzy chodzili jak obłąkani z roz-

DggVe a,

Jako świadectwo cnót zmarłej należało również policzyć łakane oczy kucharki i pokojówek, a także zwieszzone smutno U. y ogrodników. Wyciągnięta na chaise longue Laura najwidoczniej nie tylko zarządzała swoim wielkim domem i ogrodem, ale zdołała także pozyskać miłość

podwładnych, nie wspominając o bezgranicznej miłości, jaką darzyli ją najbliżsi. Rose zdawała sobie sprawę, że krewniaczka nie była głupia, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła jej nigdy traktować serio, a Laura niewątpliwie jej powściągliwość wyczuwała. Oczywiście te wszystkie refleksje przyszły poniewczasie.

Rose przyjechała kilka dni przed pogrzebem i na prośbę Reeve'a i dzieci została nieco dłużej. Bawiła już w Fettiston od ponad dwóch tygodni. Zdumiewało ją później, choć wtedy sprawiało wrażenie rzeczy całkiem naturalnej i oczywistej, jak szybko zajęła miejsce zmarłej jako pani domu. Reeve, Neville i Gillian, półżywi z rozpacz, błagali ją, żeby się zajęła gospodarstwem, a służba, samorzutnie, do niej przychodziła ze wszystki-1111 sprawami.

Nawet pastor zadzwonił do Rose właśnie, by z nią mówić przygotowania do pogrzebu, a ona wypytała kuzyna, jakie ma w tym względzie życzenia. Ona zorganizowała stypę Przydzieliła sypialnie przyjezdnym krewniakom, którzy zosta-trzeb, na n<sup>o</sup> r<sup>o</sup>wmez wydała dyspozycje w tej nagłej pocę p'6 °an' ^eim'ey' nadzwyczaj użytecznej i sprawnej kucharce annie Curtland było naturalnie przyjemnie, że może się na stała rZ^Cl a^ ~ w'ccej: odczuwała pewną dwuznaczną satysfakcję, czułak °w'ern naraz niezastąpiona w domu, gdzie wcześniej ^CksSI<^ CZ^St0 niechciana. Fettiston było domostwem znacznie to pro^m ' Dez

Porównania piękniejszym od Bojarówki. Była

°sierrinas' CZ^Sta W sty'u' nie skażona żadnym manieryzmem nia, OVVleczna budowla, zbudowana z miejscowego kamie-brą?enire^0 gania kolorystyczna rozpiną się między ciepłym do Vjc a D'adym różem. Jeden z przodków, który odbył podróż y> ozdobił obwiedziony balustradą dach rzędem posągów, które dziad Reeve'a i Rose usunął i umieścił w zakątkach ogrodu. Dom wzniesiono na rozległym

Ustr<sup>o</sup>nnych

który wchodziło się po wspaniałych, zwięzających sieT^'- "a kamiennych schodach. Pośrodku trawnika tryskała fo ozdoba fortunniejsza zapewne od posągów na dachu ntanna' zioną z włoskich wojaży przez tego samego przodka' Za^6" nikiem rozpościerał się typowo angielski sielski pejzaż a daP wznosiły się wzgórza łańcucha Pennines, blednącymi (tego ^ najmniej dnia) konturami wstępując w oddali, pasmo zapasrne^ w błękitny nieboskłonu. Rose nigdy nie czuła silnych związków z „rodzinnymi dobrami" ani też, prawdę mówiąc, z samą rodzi ną, nie licząc rodziców i brata. Po ich śmierci pogodziła się z myślą, że pozostali jej już tylko przyjaciele, a krewni - jedynie w formalnym bądź literalnym znaczeniu tego słowa. Nie czuła przynależności do Curtlandów. żadnych więzi ze „starym rodem z Yorkshire", choć jej dom rodzinny stał właśnie w Yorkshire i wszyscy jej antenaci tam mieszkali. (Miejscowy żarcik głosił, że kiedy Curtlandowie mówią o „ostatniej wojnie", mają na myśli wojnę Białej i Czerwonej Róży). Rose była szczerze przywiązana do Bojarówki, ale nie rozpaczałaby wcale, gdyby jej przyszło ją sprzedać. Teraz, zżywając się bliżej z domostwem w Yorkshire, zastanawiała się nieraz, jak dziwnie muszą się czuć Neville i Gillian (jeśli, co prawdopodobne, nie traktują schedy od niechcenia), mając świadomość, że ów dom to ich siedziba rodowa, powierzona w opiekę im oraz ich dzieciom, i dzieciom ich dzieci, i wypełniona zblakłą, lecz rzucającą się w oczy obecnością przodków, których wizerunki - malowane, niestety, przez marnych mistrzów pędzla - wisiały we wszystkich większych pokojach, choć kilka zesłano i do sypialń. Na ścianie sypi Rose wisiał na przykład mały, dziwaczny, siedemnast<sup>o</sup>^ecie. portret dość rozczulającej damy, która chodziła po tym ^ zanim Fettiston zbudowano lub nawet zaplanowano, a dziwiwiąco podobna do Gillian. dramat)' Dramat, jakim była śmierć Laury (bo był to wsza ^^fiie przerwał przedłużającą się żałobę panny Curtlan P<sup>o</sup> ożądana. Riderhoodzie. Pojawił się jako okoliczność nie^e \ prZytła-choć oczywiście niepomiernie smutna, i wyrwał ^J^jynu, P^ czająco mrocznej, wręcz niezdrowej, atmosfery ^ ponosząc w miejsce, gdzie jej uczucia nie były 32

i odzie na dokładkę czekało na nią wiele zwykłych, kowane • a

! ennych zajęć. Jej bożonarodzeniowa, coroczna wizyta Yorkshire, w niedługi czas po śmierci Jenkina, a przed od-\*. choroby Laury, przypominała koszmar. Święta w Fetti-^ obchodzono, jak zwykle, nadzwyczaj hucznie i radośnie. st0^ p0iana na kominku, choinka, moc ostrokrzewu, bluszczu : mioty z ogrodu, były kolędy, zabawy towarzyskie, stół ugiął • od jadła i napojów i wszyscy dostali kunsztownie zapakowane prezenty. Planowano także kuligi, wyprawy na nartach i łyżwy, nagłe ocieplenie udaremniło jednak te plany. Rose, dla której każda chwila w domu kuzynostwa była istną męką, uciekła stamtąd najszybciej, jak się dało. Nie wspomniała krewnym o strasznej tragedii, jaka się zdarzyła, a oni ograniczyli się do zdawkowych pytań o to, jak jej się żyje. Gerard spędził święta (o ile w ogóle mógł je spędzić w nastroju świątecznym) z Gi-deonem i Patricia. Przebiegły one tym razem w sposób wyjątkowy, ponieważ - najwidoczniej namówione przez Gideona -do rodzinnego grona dołączyły Violet i Tamar. Cambusowie pojechali jak zwykle do Francji, Lily wybrała się do swojej przyjaciółki Angeli Parke, a Gulliver bawił podobno „gdzieś na północy”, w Leeds czy Newcastle. Rose miała początkowo zamiar zostać z Gerardem w Londynie, nakłonił ją jednak do wyjazdu do Yorkshire. Prawdę mówiąc, żegnali się oboje z pewną ulgą. Zbyt dużo czasu spędzali ostatnio razem, pogrążeni w smutku ' żałobie, co tylko wzmagało ich cierpienie. Oboje potrzebowali towarzystwa ludzi lżej doświadczonych nieszczęściem bądź całkiem nim nie dotkniętych, wśród których mogliby zachowywać się normalnie. Ochłonawszy po pierwszym szoku, wywołanym ^'adomością o śmierci Jenkina, Rose zdała sobie sprawę, jak zo - znacznie bardziej, niż przypuszczała - kochała starego w yjaciela i jak ceniła jego dobroć. Co prawda, oceniała go Jej oczach lekka chmurka, a to z powodu zadawnionej żarno ik' ° Uczuc'e' jakie dlań żywił Gerard, i z. obawy, że Jenkin tyłk ^ któregoś dnia na dobre go jej odebrać. Teraz wspominała tyciu - pięknym zmarły był człowiekiem, ile znaczył w jej Zaś 'Jak »wkładał we wszystko całą duszę". Przypominając ZaWszele Jeś° mądrość, wyjątkową delikatność, dobroć, jaką jej serti, k Wzywał, wreszcie jego męską urodę, odnosiła też czajenie, że ją zapewne w jakiś specjalny sposób kochał.

Ta myśl uczyniła ją tym bardziej nieszczęśliwą, bo do dołączyły się jeszcze wyrzuty sumienia. Życie bez Jenk/ dało się pannie Curtland żalosne i puste, tyle wraz z ' l"3 jściem ubył. Jej rozpacz nie dorównywała oczywiście c' b° . °^t' Gerarda. Hernshaw cierpiał jak potępieniec, co Rosę aż trw bolało zaś tym boleśniej, że nic na jego mękę nie mogła poradzić Śmierć Jenkina w nieuchronny sposób skierowała myśli ob o ku Sinclairowi, odświeżając tamtą zabliznioną ranę. Rose zdąży już zapomnieć, że Gerard potrafi płakać - i to płakać rozdzie rajaco; szlochał i zalewał się łzami jak kobieta.

Z czasem zaczęli rozmawiać o niezwykłych okolicznościach tego zgonu, o wypadku, który sam w sobie napełniał ich bólem. Wciąż od nowa zadawali sobie te same pytania i udzielali na nie tych samych odpowiedzi. No cóż, to wszak był nieszczęśliwy wypadek, a wypadki zdarzają się różne. Podczas przesłuchań na policji i potem przed sądem Crimond opowiedział ze szczegółami przebieg wydarzeń. Pospierali się z Jenkinem na temat umiejętności strzeleckich Crimonda, zrobili zakład, Jenkin podszedł do tarczy, Crimond poprosił, żeby stanął z boku, a potem, skoncentrowany na celowaniu, wystrzelił nieszczęśliwie akurat w momencie, gdy Riderhood obrócił się trochę i przesunął, chcąc mu coś powiedzieć, nieświadom, że znalazł się na linii strzału. To był zwykły, choć straszny, tragiczny wypadek. Wyrok brzmiał: nieumyślne zabójstwo. Jawna rozpacz podsądnego wywarła wielkie wrażenie na policji i na koronerze. Wiele godnych zaufania osób było gotowych zaświadczyć, że Crimond i Jenkin byli przyjaciółmi. (Nikt się nawet nie zająknął, że przyjaciółmi wręcz niebezpiecznie bliskimi). Wszyscy zaświadczyli zgodnie, że zmarły miał złote serce. Nie padła najlżejsza sugestia na temat kłótni między kochankami, nie wysunięto kwestii zazdr°SC^gnia tensji finansowych, więc nie pojawił się nawet cień po ej o morderstwo. Jeśli popełniono karygodną nieostrozn°SLnia na należało obarczyć obie strony. Crimond nie miał poZW° wne. broń, więc wymierzono mu za ten występki wySC7a^ajęCych Policja

przeszukała jego mieszkanie, ale żadnych o ci dowodów nie znalazła. Prawdę mówiąc, Crimond nł&' Q ter-w dniach swej politycznej sławy, nie był podejrzany o roryzm. Teraz, prawie w ogóle nie przyciągnął uwagi mediów, od tak dawna już żył na uboczu. Żadna - \*

słała na proces młodego, dociekliwego reportera, zdolnego [uchać ukryte świństwo. Nikomu chyba nawet nie przyszło do głowy, że powodem śmierci Jenkina Riderhooda mogła być yónia na tle politycznym. Uwagę mediów zajmowały w danym momencie znacznie bardziej skandaliczne, bulwersujące i odrażające wydarzenia, w które byli zamieszani znacznie sławniejsi • ważniejsi ludzie. Ów dziwny, drobny wypadek nie przyciągnął więc żywszej uwagi. Gerard nie oczekiwał, że Crimond się do niego po sprawie odezwie i rzeczywiście nie spotkała go taka niespodzianka. Zabójca Jenkina nie odezwał się też oczywiście do żadnego z Cambusów. Jediną osobą, z którą się skontaktował, okazał się kolega Riderhooda, nauczyciel Marchmont, który wspominał w swoich zeznaniach, że podejrzany zadzwonił do niego z budki telefonicznej wnet po śmierci Jenkina, tuż po telefonie na policję, i opowiedział mu pokrótce o tragedii, jaka się rozegrała, po jakimś zaś czasie opisał mu całe zdarzenie bardziej szczegółowo. Gerard zadzwonił któregoś dnia do pana Marchmonta, a potem do niego pojechał, by jeszcze raz jego relacji wysłuchać. Nie dowiedział się niczego nowego. To był wypadek. Bo chyba niemożliwe, żeby Crimond Jenkina zamordował? Wykluczone. Nie miał żadnego powodu. Więc to chyba niemożliwe, prawda?

Panna Curtland brała udział w tych potwornych rozważaniach zco najmniej znaczną rezerwą. Miała obecnie swój własny, dość odrębny, pogląd na postać Crimonda - „jej Crimonda” - pogląd, który miał odtąd, i już na wieki, pozostać jej najskrytszą tajemnicą; iszczę przed śmiercią Jenkina wyleczyła się skutecznie tej zdumiewającej, niepojętej i niewytłumaczalnej choroby Umysłowej (tak to obecnie postrzegała), która sprawiła, że po- u a się do szaleństwa w Crimondzie zakochana, ten zaś, który ^ esnieJ był jej całkiem obcy, nagle stał się najbliższy na sto^ .!f". rychlej wydała sobie rozkaz „powrotu do rzeczywi->ohł' ^wyPeñila go dość rzetelnie już po kilku dniach trwania ^ u ; stopniowo ciemniał niepokojący blask tamtej rozmo-Hjejs^°dz'enne więzi odzyskiwały utracony powab, a co najważ-kjej-' ' Poczęło ją opuszczać straszne, dręczące przecucie ja-otwierającej s'c szsmy\* nowej możliwości. Z czasem za-u'icy S15 nawet cieszyć, że nie dogoniła wtedy Crimonda na e napisała do niego tego listu z przeprosinami, bo gdyby

to zrobiła, do końca życia nie zaznałaby spokoju pr2e • niemożliwe, żeby go kochała! Kochała Gerarda, a obydwu^ l° kochać nie mogła! Nie mogła też, to absolutnie wyklue\*^ wiązać się z byłym kochankiem przyjaciółki. Crimonda20"6, człowieka potępiała, uważała za obłąkanego - bo czyż nie^0 być szalonym, żeby wyskakiwać z podobnie nieoczekiwan\*5 3 oświadczeniami? Nie umiałaby z nim wspólnie spędzać czasu" a co dopiero mówić o nawiązaniu jakichś bliższych stosunków' W pierwszych dniach dochodzenia do siebie po tamtej szokującej rozmowie Rose znajdowała pociechę w myśli, że Crimond musiał być w istocie z lekka obłąkany i gdyby tylko okazała mu choćby odrobinę zainteresowania, rychło by swojej propozycji pożałował. Mimo wszystko coś jednak w jej sercu zaległo (zdała sobie z tego sprawę, ledwo postanowiła nie brnąć dalej w tę śmieszoną awanturę), coś pozostało - i to już chyba na zawsze, jak przewidywała z dziwną mieszaniną smutku i radości. Między nią a tym mężczyzną zadziergnęła się więź, która nie zniknie, nawet jeśli on swej deklaracji pożałuje (co nader prawdopodobne) i uzna za przejaw szaleństwa, nawet jeśli Rose zniechęci za niegrzeczne przyjęcie, jakie mu zgotowała. Pannie Curtland nie udało się ustalić precyzyjnie, skąd płynęła jej melancholia, która niewątpliwie wraz z upływem czasu osłabnie i przyblaknie. Spoglądając wstecz, przyznawała sama przed sobą, że wzięła się ona po części stąd zapewne, że tak jej pochlebiła, tak ją wzruszyła jego propozycja. Kobiecie



trudno się wszak obronić przed cieplejszymi uczuciami wobec mężczyzny, który wyznaje jej miłość. Ten niezwykle człowiek, którego tak się bano. którego nienawidzono, klęczał u jej stóp. Ależ b>' si^ zdumiano!... gdyby oczywiście się o tym zwiędziano, COJ<\J\ e nigdy nie miało nastąpić. W jej smutku zawierał się inny jeszcze składnik, znacznie - jak przypuszczała - s ^ niejszy. Otóż. ona go przez chwilę naprawdę koC^\*s\*y } Od-miłość, niczym promień lasera, zajrzała w głąb jego ^monda, znalazła tam, co prawda po omacku, prawdziwego ocnaC\ takiego, który istnieć musiał, skoro można go by o fflU Panna Curtland nie dopuszczała do siebie mysh, nie- sie kiedykolwiek przyznać do swojej przelotnej s należało potrafiłaby też, nawet po upływie lat, przeprosić go>} jed. za swoje grubiaństwo, nie mogłaby bowiem nie w ześnie w ten c7^ inn^ sPosób o zgoła odmiennych uczuciach, n°C dlań żywiła. Tamta sprawa była nieodwołalnie zamknięta, l^riczona. Cierniem wiecznego bólu tkwiło jednak w jej duszy ćmienie, by on jakoś domyślił się prawdy - pragnienie, które ^kxyła "lebo^0 w sercu niczym wiarę w zakazaną przez prawo religię.

W takim się znajdowała stanie ducha, gdy przyszła wiadomość o śmierci Jenkinsa i niecodziennych okolicznościach jej towarzyszących. Szok, spowodowany tą przerażającą, całkowicie niepojętą tragedią, odświeżył w wyobraźni panny Curtland wizerunek Crimonda jako siły mrocznej, groźnej i morderczej. Zgodzili się z Gerardem, że pod żadnym pozorem nie wolno im dopuszczać do siebie podejrzenia, iż ich przyjaciel został zamordowany. Byłoby to oskarżenie zbyt niesamowite i potworne, by je można rzucać, nie mając chociażby cienia dowodu.

- Nie wolno nam, nawet w skrytości ducha, formułować takiej hipotezy - oświadczył Hemshaw.

Formułowali ją jednak, stwierdzając z przygnębieniem i niesmakiem, że inni wygłaszają ją całkiem swobodnie, opierając się wyłącznie na złośliwych domysłach. Rose i w tej sprawie cierpiała własne, prywatne katusze, przyszło jej bowiem do głowy, że Crimond zamordował Jenkinsa w akcie zemsty, wymierzonej tak naprawdę w nią i w Gerarda, którego mógł winić o kosza, jakiego od niej dostał. Podejrzenie to, gdy się nagle Pojawiło, przypawiło ją o taką udrekę, że poczuła się bliska obłądu, a nawet zdolna do popełnienia kroku równie szalonego jak wyznanie wszystkiego Gerardowi, już choćby po to tylko, Zeby z nim podzielić swe cierpienia. Tak naprawdę to j a ponoszę

P°wiedzialność za śmierć Jenkinsa. oskarżała samą siebie w duchu. Gdybym była milsza dla Crimonda, nie tak bezlitosna ^zgardliwa,.. W tym wszelako punkcie dał wreszcie o sobie ^ solidny fundament jej rozsądku, twardy grunt moralności Pann^ ^ 7 instynktem samozachowawczym i w rezultacie obł^ ^Urtlancl uznała taką wersję wydarzeń nie tylko za dowód

^kan>a. ale i chorej fantazji. cere otkich odstępach czasu uczestniczyła zatem w dwóch Qatum<^n'ach pogrzebowych, obu anglikańskich. Gerard, który kina \_^le wziął na siebie obowiązki związane z. pogrzebem Jen-ecydował, że skoro przyjaciel objawiał w ostatnim czasie

sympatię dla chrześcijaństwa, winny go pożegnać pełne d urody wzniosłe frazy anglikańskiego modlitewnika. Je °y°ln^ miał rodziny, na pogrzebie zjawiła się cała masaT rH zupełnie Gerardowi i pannie Curtland nie znanych, chcąc eh wyraz swojemu smutkowi. Hemshaw zadysponował krenia^ gdy przypomniawszy sobie, co prawda jak przez mgłę, że j' wyrażał się o takiej metodzie pochówku z uznaniem, 'lecz głów" nie dlatego, iż nie mógłby znieść myśli, że ciało najdroższego przyjaciela gnije w ziemi. Już lepiej, by obróciło się w proch Laura została pogrzebana na cmentarzyku przy kościele parafialnym, w rodzinnej kwaterze Curtlandów. Spór o kształt jej nagrobka już się rozpoczął i nadal toczył. Obydwie ceremonie były do siebie podobne, z tą różnicą, że ciało jednego nieboszczyka zostało

„złożone do grobu”, a drugiego „oddane płomieniom”. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz... obróciłeś.

Później tego samego ranka Rose siedziała w bibliotece, gdzie Reeve Curtland odpowiadała na listy kondolencyjne, jakie nadeszły licznie po śmierci jego żony. Młodzi już wyjechali, Neville do St Andrews, gdzie studiował na ostatnim roku historii, Gillian do Leeds na pierwszy rok psychologii. Oboje nie zdołali się dostać do Oksfordu, wyglądało jednak na to, że odniosą błyskotliwy sukces w murach innych uczelni. Reeve, któremu również nie udało się w swoim czasie dostać do Oksfordu, skarżył się często, że przyszło mu spędzić ponure i jałowe lata w jakimś podrzędnym londyńskim college'u. Rose dopiero ostatnio ołśniła myśl, że Reeve, z grubsza jej rówieśnik, mógł zazdrościć Sinclairowi i reszcie ich paczki pięknych chwil, jakie przeżyli w murach starego uniwersytetu. Reeve bardzo się jednak rozchmurzył, jak stwierdzili niezyczliwi mu obserwatorzy, gdy jego ojciec odziedziczył tytuł. Curtlandowie byli anglikanami, nie non formistami czy kwakrami, choć mieli w tradycji i nurt pury ski, który czasem dochodził do głosu. Jeden z Curtlandów był oficerem w armii Cromwella. Angielsko-irlandzka matka beztrząsliwie tolerowała homoseksualizm Sinclairów, ale jej ojciec był dewiacją syna do głębi wstrząśnięty. Oczywiście nigdy nie rozmawiała z Reeve'em o tych sprawach, o żadnych poważniejszych kwestiach. Wiecznie do przystoj- podobieństw, odkryła w powierzchowności Neville'a brata. Jego blondyna, rys podobieństwa do zmarłego

•ało się w oczy, że Neville, przy którym kręciła się zawsze .aś narzeczona, nie ma dwuznacznych skłonności kuzyna, Reeve nie był podobny do żadnego z krewnych ani przodków, kowało mu niewątpliwie wigoru, jakim - sądząc po rodzin-ych portretach - odznaczeni byli mężczyźni z rodu Curtlandów, e- żywotności, którą obdarzeni byli w stopniu wybitnym zarówno Sinclair, jak i Neville. W odróżnieniu od nich obu nie wyróżniał się też wzrostem. Miał myszowate włosy, nie przyprószone jeszcze co prawda siwizną, ale z lekka już przeredzone, piwne, wieczniew zdziwione, niespokojne oczy, rumianą cerę i poryte zmarszczkami czoło o pofałdowanej, dziobatej, gąbczastej skórze. Również jego usta zdradzały niepokój. Brwi miał gęste, krzaczaste. Jakimś cudem udało mu się zachować młodzieńczy wygląd. W przeciwieństwie do swego syna w rozmowie bywał często nieśmiały, wręcz gauche. Lubił przesiadywać w domu i zajmować się gospodarstwem. Zawsze nosił krawat, nawet prowadząc traktor. Mimo jego niezgrabstwa, a czasem obsesyjnej podejrzliwości wobec świata, nie brakowało mu wdzięku, takiego, jakim się odznacza potulne, pocziwe zwierzę. Podkreślano też, że pomimo nie najlepszego wrażenia, jakie stwarzał, całkiem dobrze zarządzał swoją posiadłością i bankowymi lokatami. Grał ponadto całkiem znośnie na pianinie i malował akwarelami.

- Muszę wracać do Londynu, Reeve - odezwała się Rose, wypowiadając wreszcie na głos myśl, która ją od dawna nurtowała.

- Jak to? Dlaczego? Dzieci wyjechały, prawda, ale ja zostałam, a też wymagam opieki! Jakże sobie bez ciebie poradzę z domem i gospodarstwem? Tam przecież nie masz nic do roboty! Zastanawiałem się nieraz, dlaczego nie spędzasz z nami więcej czasu. Chciałbym, żebyś uważała nasz dom za własny.

Och, za taki go też uważam - zapewniła nieszczerze, p " ~ najwidoczniej nie, skoro tak nam skąpisz swego czasu!

ecież wiesz, jak dzieci cię lubią, jak cenią twoje rady! lał n'S PrzyPommafie s°bie wcale, by kiedykolwiek udzie-dy^1"\*^ ^eviHe'owi czy Gillian, energicznym, niezależnym mło-^ ludzom, choć było prawdą, że porozmawiała sobie z nimi tjs^erca podczas obecnego, wyjątkowo długiego pobytu w Fet- ciężkie

na.

- Wiesz, jak bardzo cię potrzebują - ciągnął Reeve dziej jeszcze będą... w przyszłości...

Panna Curtland wyczuła leciutki nacisk, jaki kuzyn na ostatnie słowa, i poczuła zmieszanie. Powtórzyła °Zył dziej już stanowczym tonem, żeby rozwiać wszelkie niejasno <

- Niestety, muszę wracać. Gerard przeżywa teraz chwilę. Zginął jego przyjaciel, w wypadku.
- Wiem, Jeńkin Riderhood.
- Tak. Nie wiedziałam, że wiesz. - Była szczerze zdziwio,,
- Powiedział mi Francis Reckitt. no, wiesz, syn Tony'ego Ktoś wspomniał mu o tym niedawno w Londynie, a on zapamiętał nazwisko tego człowieka. Spotkałem go zresztą kiedyś w twoim towarzystwie, lata temu.
- Rzeczywiście, poznałeś Jenkina, całkiem zapomniałam.
- Dziwna historia... ten gagatek Crimond, nieprawdaż... Zdaje się komunista...
- Istotnie.
- Przepraszam. Nie podnosiłem tego tematu, bo uznałem, że dość mamy własnych trosk.
- Faktycznie. Tak czy owak czuję, że powinnam już wracać... Jestem pewna, że mnie zrozumiesz.
- Uważam, że tu jest twój dom, ale nie będę się spierał... Niewielu ich zostało, nieprawdaż...
- Co masz na myśli?
- Przyjaciół z paczki Hernshawa. Mieszka teraz, zdaje się, z siostrą?
- Istotnie.
- Ano trudno, jedź, skoro musisz, tylko wracaj prędko. Jesteś nam bardzo potrzebna. Odtąd wszystko inaczej się ułoży... zresztą krew nie woda, pamiętaj...
- Mnóstwo się wydarzyło od twego wyjazdu - powiedział Gerard. nie\_

- a on nie

Rose zadzwoniła do niego zaraz po powrocie, zwłocznie się zjawił.

- Mieszkasz więc w domu Jenkina? j^ziysł\*

- Tak. Zapisał mi go, jak zresztą cały swój majątek -że już tam zostanie.

Więc Patricia i Gideon dopięli w końcu swego. Istotnie. Ale ja sam chciałem się już wyprowadzić. Zmę-yła mnie tyrania dóbr materialnych. Pora na jakąś radykalną yaiianę.

Chcesz się upodobnić do Jenkina? , Nie pleć!

\_ przepraszam, gadam głupstwa. Czuję się w tej chwili okropnie głupio-

Był późny wieczór. Rose skłamała przyjacielowi, że jest już po kolacji, choć naprawdę zjadła tylko małą kanapkę. Gerard również zapewnił, że już jadł. Siedzieli przy kawie. Gość podziękował za whisky. Wstęp do ich rozmowy, której panna Curtland z taką niecierpliwością oczekiwała, wypadł niezręcznie, wręcz irytująco, jakby oboje już zapomnieli, jak się prowadzi konwersację. Jest na mnie zły, domyśliła się, za to, że tak długo mnie nie było. Mam nadzieję, że tylko o to chodzi.

Gerard się zmienił. Jego kręcone włosy zmatowiały. Nie uczesane, straszyły się niczym futerko chorego lub wystraszonego zwierzątka. Jego rasowa twarz, której płaszczyzny tak pięknie zwykle ze sobą harmonizowały, wyglądała na rozbitą i kanciastą, wręcz toporną. Skrzywione usta spinał co chwila grymas jakiejś pretensji czy złości. Spokojne zwykle oczy rozbiegały się nerwowo, do tego wciąż odwracał od panny Curtland głowę, jakby się na nią dąsał. Co pewien czas zamierał w bezruchu i zamyślał się ze zmarszczonym czołem, jakby nadśluchiwał. Boże, on jest chory, jest jakiś nieswój, pomyślała z trwogą, wyglądało jednak na to, że w tej chwili nie może nic dla przyjaciela zrobić, co najwyżej go tylko bardziej zirytować.

- Słyszałaś, że Duncan złożył rezygnację?

- Nie.

~~ Ano tak, nie było cię tu przecież, całe wieki! Stale zapowiadał, że zrezygnuje, i wreszcie to zrobił. Wyjechali do Francji S2ukać domu.

"" W jakie strony? A skąd ja mam wiedzieć?

7 Dzwoniłam do nich, chciałam się zobaczyć z Jean. A więc yjechali... A jakże się mają?

- szczęśliwi jak para gołąbków.

- A Lily i Guli? Spodziewam się, że i u nich wszv lepszym porządku. y K0 w "aj-

- Niezupełnie - odrzekł nie bez satysfakcji. - wie Gulliver czmychnął do Newcastle? No.

oczywiście SZ' ?t Lily dotąd nie ma od niego żadnej wiadomości.

- Pewnie myśli biedulka, że znalazł tam dziewczynę U żarn,, że powinna za nim jechać. Więc się z nią widziałeś?

- Ależ skąd!

- Może chciał na pewien czas zniknąć, by później móc wrócić w chwale?

- Zatem skończy się na samym zniknięciu.

- Ale z. Tamar się widziałeś?

- Czy tobie się zdaje, że ja nic innego nie robię, tylko widuję się z ludźmi? Ale owszem, Tamar widziałem, ale i nic więcej. Nie rozmawiałem z nią. Boże, ależ jest teraz zadbana! Nie poznałabyś jej.

- Co to znaczy: „zadbana“?

- No, w świetnej kondycji, w kwitnącej formie.

- Doprawdy?... To wspaniale!

- Czy ja wiem?... - ostudził jej entuzjazm. - Nie byłbym taki pewien. Wygląda na osobę niespełna rozumu. Może się narkotyzuje albo...

- Nigdy nie mogłam zrozumieć tego dziecka... Przypuszczam, że jest po prostu zdominowana przez matkę.

- Wiesz, nie wydaje mi się, żeby Tamar choć trochę przejęła się śmiercią...

Nic pozwoliła mu skończyć, by nie utwierdził się w tym przekonaniu. |

- Co też ty mówisz, jestem pewna, że bardzo się przejęła. To dziwna dziewczyna, bardzo skryta.

- Spotyka się z tym księdzem, tym twoim pastorem.

- Ojcem McAlisterem?

- Przyjęła chrzest i bierzmowanie.

- Coś podobnego!... No cóż, skoro to ma jej pomoc- ^

- Została nafaszerowana pokrępowanymi kłamstwami-on również przykłada do tego rękę.

- Gideon? moim-

- Na to wygląda. Ostatnio dwukrotnie zastałem ją w

• 0 domu. Próbowałem się z nią oczywiście umówić na spot-> ale pannica nie chce mnie widzieć.

Jest zły, skonstatowała Rose, bo Gideon odniósł sukces na . na którym on doznał porażki.

Lepiej zmienić temat. P° ' Dobrze ci się pracuje w domu Jenkinsa? Pisziesz coś? i Nie. I nie zamierzam. Postanowiłem nie brać już pióra do

ręki-

\_ Ależ Gerardzie! Nie mam nic do powiedzenia. Po co czernić papier nie-doważonymi myślątkami? Dla samej przyjemności pisania? \_ Ależ...

- Oxford University Press wydaje książkę Crimonda. Może uda mi się zdobyć odbitkę korektorską od znajomego, który tam pracuje.

Ledwo padło nazwisko Crimonda, można było odnieść wrażenie, że cała dotychczasowa rozmowa zmierzała do tego punktu. Hernshaw, który wcześniej umykał spojrzeniem na boki, teraz, spojrzawszy prosto na pannę Curtland, zaczerwienił się. rozchylił usta, a na jego twarzy odbiło się zdumienie.

- Widziałeś się z Crimondem?

- Ach nie!

Rose zastanawiała się gorączkowo, co teraz powinna powiedzieć, tymczasem Gerard wstał.  
- Muszę już pędzić. Sprzedałem samochód, wiesz... kolejna z ostatnich nowin. Będę musiał złapać taksówkę. Może zresztą Pójdę piechotą. Dziękuję za kawę.

~ Nie napijesz się whisky? Może brandy? - Panna Curtland także wstała.

~ Nie, dziękuję. Przepraszam, że byłem taki... hm... taki °Pryskliwy.

^ Chciała go objąć, ale wyszedł, skinąwszy jej tylko z daleka mą, bez pożegnального pocałunku. To dziwne słowo - oprysk-. y - jak gdyby zawisło w powietrzu. Rose długo miała wrąbie, że wyczuwa jego smak na podniebieniu. On jest cho-j^^yślała, chory! Zatruwają go te myśli, te potworne

Gerard wrócił do domu i usiadł w saloniku Jenkinsa. Czuł się " ole h

se 7 nie uaało mu się nawiązać cieplejszego kontaktu z Ro-atował swojej postawy.

Komunikował jej ostatnie nowiny

tonem zgryźliwym i cynicznym; niemal o wszystkich się uszczypliwie. Zachował się paskudnie, zatracił gdzie""^ rozsądek i powściągliwość, był umyślnie niemły i celowo ^ jaciółkę ranił. Nie jestem sobą, pomyślał, moja dusza jest ch^" cięży nade mną przekleństwo.

^

Przekleństwu temu było na imię „Crimond”. Hernshaw 1 potrafił myśleć o niczym i o nikim innym i już nie wiedział mogłoby zmienić ten poniżający i męczący stan. Codziennie nosił się z zamiarem odwiedzenia dawnego przyjaciela i Co dziennie stwierdzał, że to całkiem nie wchodzi w rachubę Bał się, że książka Crimonda okaże się świetna, ale i drżał z obawy że taką się nie okaże. Naturalnie, nieustannie myślał o Jenkinie' ale jego rozpacz po stracie najbliższego przyjaciela została jakby przejęta, zawłaszczona przez Crimonda, a wszystko, co miało związek z Jenkinem, wikało się w Crimondzie. Co za ohyda i jaka podłość z jego, Gerarda, strony, że na to pozwolił! Nie był nawet pewien, czy dopuszcza możliwość, że Crimond mógł naprawdę Riderhooda zamordować. Nie, wykluczone. A jednak... Co Jenkin tam w ogóle robił? Zapewniał przecież, że w domu Crimonda nie bywa. Tamten musiał go zaprosić lub podstępem zwabić. Zapewne, to był wypadek, ale czy Crimond aby go nie sprowokował, choćby nieumyślnie? Czy taka hipoteza wytrzymała krytykę? Krążyła też plotka (Gerard usłyszał ją od pewnego złośliwca, który pośpieszył dodać, iż on sam w te nieczne pogłoski nie wierzy), że Jenkin i Crimond byli kochankami i że to było zabójstwo z zazdrości. Nie, wszak niepodobna! Riderhood i Crimond nigdy nie byli ze sobą blisko, poza tym Jenkin nie ukrywałby przed Gerardem tak ważnej informacji. Hernshaw nie dał wiary plugawej pogłosce. Czyż nie byłojedn do pomyślenia, że ci dwaj byli kiedyś, przed laty, bliskimi przyjaciółmi, lub wręcz kochankami, a Jenkin uznał za wskaz^ zachowanie tego faktu w tajemnicy? Może istotnie cos mię W nimi było... Stara miłość nie rdzewieje... Czyżby »oświadc^owi Gerarda... Oczywiście, sam Jenkin na pewno o nich Cnm^"o za\_ nie wspomniał... jednak jakaś dostrzegalna zmiana w^j^^ chowaniu, w życiowych planach, mogła podpowiedzieć dowi, że „coś się kroi”, mogła mu nasunąć podejrzenie^ ^^jj zamyśla o porzuceniu życia w celibacie. Czy w ta^ieJmeandry nie mógł stać się dla Crimonda, wszak niezbadane są

dzkiej natury, na nowo pociągający? Gdyby tak się stało, zna-1U loby to. że Gerard był poniekąd za śmierć Jenkinsa odpowie-dzialny. Myśl, choć okropna, była jednak mglista i mniej Hern-shavva dręczyła niż pewne nader konkretne obrazy, jakie wzbudziło w jego wyobraźni podejrzenie, że tych dwóch mógł łączyć, choćby i w odległej przeszłości, związek bardziej intymnej natury Wciąż też dźwięczały mu w uszach śmiech i słowa zmarłego przyjaciela: „Zamieszkaż ze mną i bądź moim lubym”.

Tamtego dnia. gdy Jenkin opuścił ją w pośpiechu, wezwany jakąś sprawą nie cierpiącą zwłoki, poprosiwszy na odchodnym: „Rozgość się i ogrzej. Miło mi będzie myśleć, że tu na mnie czekasz”. Tamar początkowo czuła się w jego domu dobrze i bezpiecznie, ale po jakimś czasie poczuła się nieszczęśliwa i samotna i zaczęła niecierpliwie wyglądać powrotu

gospodarza. Weszła do kuchni, zajrzała do lodówki, gdzie leżały na półkach chleb, masło i ser, przyjrzała się stojącym w spiżarni puszkom z groszkiem i jabłkom na talerzu. Miała przy tym takie wrażenie, jakby to jadło było zakażone albo jakby oglądała je w stanie rozkładu, z perspektywy jakiejś odległej przyszłości. Nie była w stanie myśleć o jedzeniu. Położyła się na łóżku Jenkinsa, lecz choć włączyła piecyk elektryczny, w pokoju panował nadal przenikliwy chłód. Dygotała z zimna pod kocem, bo nie znajdowała w sobie dość siły, by się zakopać w pościeli. Mała iskierka, iskiereczka nadziei, jaką zapaliła w jej sercu sama obecność Jenkinsa, już zgasła i w duszy Tamar na powrót zaległa ciemność - pusta, jałowa, jaskiniowa ciemność, jak w noc po trzęsieniu ziemi, do tego ciemność oniemiała ciszą, w której nie rozbrzmiewa najślabszy nawet głos, w której się nikt nie czai, sama tylko bezkresna, straszna, poharatana świadomość. Ucie-

Jako do Jenkinsa. Tamar szukała po prostu ratunku przed koszmarern obłądu, w jakim się z wolna pogrążała. Deklaracja o zoraniu chrześcijanką ją również zaskoczyła. Wynikła zapewne

szaleństwa, a może z cynizmu straceńca, a obliczona była na (jakże!) Jenkinem, a może i nią samą. W jej słowach gęlczała pustka, przez jej usta przemawiał jakiś obcy głos. 2b- 3niry  
o Jca McAlistera o potrzebie „przyjęcia Chrystusa jako awiciela”, która sprawiała na niej wrażenie mamrotów jakie-

goś zachora, słuchała z rosnącym przynębieniem, -t swego rodzaju gniewną wzgardą. Czekając teraz na Te^^ zaczęła po raz setny rozpamiętywać nieszczęście, jakie ^ spadło, i wkrótce wypatrywała jego powrotu już nie tylko\* "lę cierpliwie, lecz i z niepokojem. Szukała racjonalnych przyczyn tłumaczących, dlaczego nie wraca. Wszak powiedział, że zd^ rzyło się coś nieoczekiwanego. Może ktoś poważnie zachorował może kogoś dotknęło nieszczęście większe jeszcze od jej własnego, może ktoś próbował popełnić samobójstwo? Jenkin mógł w tej chwili trzymać kogoś za rękę, wspierać jakiegoś biedaka w potrzebie, mógł wreszcie zostać zatrzymany siłą. Tamar zaczęła doskwierać beczynność. Postanowiła posprzątać, ale dom Riderhooda lśnił czystością. Zaparzyła sobie herbatę, a potem umyła filiżankę i spodeczek, a także kubek stojący przy zlewozmywaku, lecz gdy upłynęło jeszcze kilka godzin, nie była w stanie zagłuszyć niepokoju pustą krzątaniną i czuła już tylko rosnący strach. Położyła się i zapadła w drzemkę podobną do letargu. Ocknęła się skostniała z zimna, trochę popłakała i około piątej po południu postanowiła wyjść, nie czekać dłużej na powrót gospodarza. Zaczęła pisać do niego kartkę, którą następnie podarła. Włożyła płaszcz, nie umiała się jednak zdecydować, czy wracać do Acton, do matki. W końcu zadzwoniła do Gerarda, spytała, czy nie wie, gdzie się podział Jenkin, i usłyszała, że Jenkin nie żyje.

Gerard był jedną z pierwszych osób, które dowiedziały się o tragedii, a to na skutek dość dziwnej okoliczności. Policja zapytała mianowicie Crimonda, czy zna jakichś krewnych lub przyjaciół zmarłego, a on podał nazwisko i adres Hernshawa. Gdy więc Gerard wrócił do domu z Biblioteki Londyńskiej, zastał pod drzwiami policjantów. Zawieziono go na posterunek w południowym Londynie i wypytano o Riderhooda, Cnmon i łączące tych dwóch stosunki. Zeznania Gerarda ocaliły zapewne Crimonda przed nadmierną podejrzliwością wymiaru prawniczości. Gerardowi oszczędzono koszmarne obowiązki identyfikacji zwłok, a to dzięki temu, że pan Marchmont na y \_\_ miast po telefonie od Crimonda skontaktował się z n J szym posterunkiem policji, po czym zjawił się osobiście ^ ^ctu scu zabójstwa, podając się za przyjaciela ofiary. Wsro i bieganiny, na jakiej upłynął Hernshawowi dzień trag

o sję zdarzyć, że spotkałby się twarzą w twarz z Crimon-tD°e> ale i to zostało mu szczęśliwie oszczędzone. Do domu ^ocił dosłownie na chwilę przed telefonem Tamar. Zapytał dziewczynę, skąd dzwoni. Odparła, że z budki. Poprosił, żeby nieooczekiwała, a zaraz przyjedzie po nią samochodem. Po-dziękowała. Pojedzie do domu, do matki, która na pewno na nią czeka - oświadczyła, po czym rozłączyła się, zostawiając Gerarda z pretensją do

samemu sobie, że, otepiał z rozpaczy, przekazał jej tak bez ogródek straszliwą nowinę. Tamar wróciła do Acton, ani słowem nie odezwała się do matki, wysłuchiwała jej utyskiwań, skubnęła kolację i wcześniej położyła się do łóżka. Znajdowała się w stanie, co zrozumiała dopiero później, szoku pourazowego, który pozwala żołnierzowi, któremu urwało rękę, chodzić, dorzecznie rozmawiać, a nawet żartować, nim nagle nie padnie martwy. Panna Hernshaw nie przyznała się nikomu, z wyjątkiem ojca McAlistera, że tragicznego dnia była u Jenki-na. Myśl o przesłuchaniu, jakiemu by ją z pewnością poddano, przejmowała ją wstrętem. Zresztą tamto spotkanie było ich wspólną - jej i Jenkina - tajemnicą. Tamar nie zapytała Gerarda, w jaki sposób Riderhood stracił życie; wystarczyło, że nie żył. Później, tamtej nocy, gdy leżąc w ciemności w łóżku, dusiła się z rozpaczy, przyszło jej do głowy, że niezależnie od powierzchownych okoliczności tragedii tak naprawdę zabiło Jenkina jej zamordowane dziecko i że odtąd każdy, kto się do niej zbliży, zostanie przeklęty i unicestwiony. Tak więc to na nią spadała odpowiedzialność za śmierć Jenkina Riderhooda. Nazajutrz miała spotkanie z księdzem. Zamierzała je odwołać, a'e zapomniała. Poszła więc, a potem zaczęła się z nim spotykać ^gularnie. Ojciec McAlister specjalizował się w przypadkach nadziejnych. Nad Tamar, bez przesady, dosłownie cmokał zachwyty i oczy mu się śmiały, choć nie lekceważył czeka-

^ik0-1 8° trut^no^c'- -\*eS° °Jc'ec był duchownym kościoła an-. 3ns e^°' odłamu bliskiego Rzymowi, matka zagorzała me-mó^^ ^Jc'ec McAlister umiał się modlić, ledwo nauczył się ka r'0' 3 Poc\*mosia' uduchowiona retoryka Biblii i modlitewni-g ranmera były mu bliższe od wierszyków dla dzieci. Obraz

tiaw °^ rzec' wzt^ P° ojou, ale Chrystusa po matce. Prze-1&ł dostojnym, pięknym językiem wyważonego uduchowie-  
nia, a jednocześnie zionął ogniem kalwińskiego radykali W tym niezwykłym amalgamacie kryła się tajemnica12"111" McAlistera: nie wierzył już mianowicie w Boga i w bosk^ Chrystusa, choć wierzył dalej w modlitwę, w "Chrystusa^0 mistycznego Zbawiciela oraz w cudowną moc, iaka zn^J ° dana, kiedy wyświęcano go na księdza, moc zbawiania dus i podnoszenia z upadku grzeszników. Na tym gruncie oceni2 wszy trafnie potrzeby jej serca i poziom inteligencji, nawiązał porozumienie z Tamar Hernshaw. W jej rozpaczy szukał wytrwale iskierki nadziei, którą mógłby rozniecić w płomyk. Kiedy nazywała samą siebie złą, apelował do jej rozumu, kiedy deklarowała swą niewiarę, mówił jej o wierze, kiedy twierdziła że nienawidzi Boga, mówił jej o Chrystusie, a gdy negowała boskość Nazaretańczyka, głosił Jego zbawczą moc. Niczego nie zaniedbał. Obiecywał siłę dzięki pokucie i radość dzięki odnowie życia. Nawoływał Tamar, by stała się narzędziem służby bliźniemu. Postępował się najstarszym argumentem na rzecz istnienia Boga (zwanym czasem argumentem ontologicznym), który, w jego wersji, głosił, że jeśli kocha się Boga całym sercem, to znaczy, że Bóg istnieje, ponieważ nie może nie istnieć. Wszak to, czego pragnie nasza najlepsza częśćka, nasze duchowe jądro, musi być rzeczywiste, więc nie należy się zbytnio troszczyć 0 przydawaną temu czemuś nazwę. Tamar uzależniła się od tych argumentów, od tej walki, od tego swoistego kontredansa, jaki wiodła z księdzem. Podporządkowała mu się niczym absorbującemu zadaniu. Odnosiła czasem wrażenie (takie też obrazy przynosiły jej sny), że przemierza jakiś wielki pałac, w którym otwierają się i zamykają drzwi, pojawiają i znikają komnaty, otwierają

I zamykają amfilady sal, a ona nie zna drogi, choć wie, że tam jest, należy tylko wytrwale podążać przed siebie. Wiele roznyc spraw musiało się w niej uporządkować w celu jej zbawienia i wyzwolenia od rozpaczy, upadku i śmierci. To PrzeTazaja?^ ryzykowne, często przeraźliwie smutne, przewlekłe i prze y ^ „porządkowanie" było zapewne najmądrzejszą rzeczą, J ^ ^ mar w życiu przedsięwzięła. Za wszelką cenę musi zyc, ^ wyzdrowieć! Kiełkująca nadzieja, która początkowo póJ^ ^ się jedynie jako stanowczy akt woli,

współistniała zraz" uża, tychczasową rozpaczą (doświadczaną jednak jako 7'WyaSjuguje lanie się nad sobą), z przeświadczeniem Tamar, że me szczęście, na wyzdrowienie, że jest skazana. W tym pierw-°a okresie przypominała sobie z goryczą okres, gdy czuła się Sjewinna. gdy rozpierała ją duma i radość, że nazywają ją anio-je, n dobrą dziewczyną, która samo tylko dobro miała świadczyć bliźnim. Jej upadek z tego piedestału sprawił, że ze szczególną dbałością zaczęła unikać Gerarda, bo też on się najbardziej przyczynił do stworzenia owej iluzji. To wykluczenie Gerarda, niemal złość do niego, otworzyły szansę przed Gideonem. który okazał się jedyną osobą, z jaką ojciec McAlister mógł dyskretnie współdziałać. Ksiądz znalazł w nim chętnego, aż zanadto gorliwego sprzymierzeńca. Stąd tak zaskakująca obecność Tamar i Violet na świętach w domu Fairfaxów.

Od pewnego momentu przyjęcie postawy pokory poczęło się Tamar wydawać wręcz kwestią logiki. Skoro tyle złego się jej przytrafiło, skoro tyle dobrego dla niej uczyniono, czyż nie powinna uznać realności źródła tych uczynków? Te formalne, zewnętrzne gesty były ważne jako symbole, świadectwa zobowiązania i obietnicy, miały wyrazić prawdziwą więź i zapoczątkować prawdziwą wolność. Pora na przynależność do jakiejś wspólnoty, na inicjację w tajemnicę. Tamar była wzruszona własną wdzięcznością, czułą troskliwością mentora i pełną rezygnacji ufnością, która była nową, zapewne lepszą formą jej dawnej rozpacz. Właściwie czemu nie? Czyż nie była wcześniej skłonna uwierzyć choćby w czary, skłonna nosić piętno osoby, która odwróciła się od ludzi, których poglądy tak wysoko niegdyś ceniła, wyprowadziła się do innego domu, przeniosła do innego świata, który oni niechybnie potępia, posługując się stwierdzeniami, jakie wydawały się jej obecnie płytkie i banalne. Istniała dr°ga i ona musi dalej nią podążyć, bo nie jest jeszcze bez-Pieczna. Obrządek chrztu i bierzmowania odbył się tego sa-^go dnia. Należało wybrać rodziców chrzestnych. Na matkę zestną Tamar wybrała niejaką pannę Luckhurst. jej była nauczycielką, obecnie emerytkę. Ojciec McAlister podsunął jej °JCa chrzestnego w osobie młodego wikarego, chorobliwego jęł z-araz po zakończeniu ceremonii panna Hemshaw przy-^ komunię. Czary, na które się otworzyła, okazały wnet swoją olał ^0^\*a nareszcie odpocząć, uspokoił się jej oddech, pojaś-j 0 sP°Jrzenie. Stała się „zadbana”, jak to ujął Gerard, spokojna °Panowana, co nasunęło mu podejrzenie, że nie przejęła się śmiercią Jenkinsa. Mogła się modlić. Ksiądz często z nią na modlitwy rozmawiał; mówił, że jest po prostu wycisz3 uważnym oczekiwaniem, przestrzenią otwartą na przyjęci^1 ^ Tamar czuła, że otworzyła w sobie tę przestrzeń i że istotnie nappełnia.

Panna Hernshaw była świadoma swej inteligencji Wr c? skłonna oskarżać siebie o chytryść, „oszustwo”. Użyła kied i tego określenia w rozmowie ze swoim mentorem, na co odpo! wiedział:

- Moje dziecko, w tej sprawie oszukać nie zdołasz... nie zdołasz. To, czego szczerze pragniesz, czego pragniesz całym swoim sercem, stanowi jedno z istotą twojego pragnienia. Dodał, że jest to prawda, z którą się trzeba oswoić. Tamar zrobiła, co w jej mocy. aby się z nią oswoić, najpierw po prostu uciekając z piekła, w jakim żyła, potem ćwicząc się w czymś, co wydawało się jej całkiem nowym rodzajem spokoju. Ojciec McAlister jął przebąkiwać o nieodwracalnej zmianie, jaka w niej zachodzi. Dziewczyna nie była jej wcale tak pewna. Nie wiedziała, czy ma do czynienia z religijną magią czy tylko z psychologicznymi sztuczkami. Ksiądz stanowczo odrzucił te nonsensowne wątpliwości. Skoro nie była w stanie uwierzyć w starego Boga i starego Chrystusa, czy naprawdę uwierzyła w nowego Boga, nowego Chrystusa? Czy weszła do grona „młodych”, którzy posiadli „nowe objawienie” - nowe, gdyż objawienie odnawia się w każdym stuleciu? Czy wielu było takich jak ona, czy może była sama, opętana przez opętanego klechę? Weszła do wspólnoty, bo tego sobie życzył jej nauczyciel. W pustym kościele w Islington strużka wody spłynęła po jej głowie, w zatłoczonej świątyni na Primrose Hill dłoń biskupa dotknęła jej czoła. Panna Hernshaw



zaczęła chodzić do kościoła, ale jak y potajemnie, na samotne spotkania z Bogiem. Nie chciała w-S^ przyłączyć do żadnej grupy dyskusyjnej, żeby rozprawa o chrześcijańskiej postawie. Zdawała sobie doskonale jak niezwykłym taktem wykazuje się jej nauczyciel, w^erp^c że poświęca każdy wolny dzień na rozmowy z nią, mając prawdziwą radość z każdej minuty tych spotkań. Czasem^ jego wrażenie, że oboje przeżywają swoje wielkie ^wict^oaaajębiała obecności zajmowała się sobą, sobą się 0Vie^0^d^^L tąony się w religijną mitologię i odkrywała nie znane o nei duszy. „Poznawała swojego Chrystusa”, by posłużyć się ^kreśleniem ojca McAlistera. Jeśli Chrystus zbawia, Chrystus ° • mawiał. Oto jest zmartwychwstanie, oto życie. Refleksje ^ad ową tajemnicą nie wprawiały już Tamar w konsternację, awdę mówiąc, oddawała się im chętnie. Religia opierała się najwyraźniej na jakichś realnych podstawach, myślała. Chodziła na długie spacerunki i siadywała w kościołach. Czytała pilnie Bib-jję Kierkegaarda, świętego Jana od Krzyża, Julian z Norwich. Czuła się lekka, nieważka i pusta, jakby rzeczywiście karmiła się tylko hostiami, popijanymi łyżkami słodkiego czerwonego wina. Jej nauczyciel przestrzegał, że unosi się obecnie na skrzydłach duchowej burzy, która jednak pewnego dnia ucichnie, ich spotkania też staną się rzadsze, za to nieporównanie intensywniejsze. Tamar zdawała sobie sprawę, na jak wielką wystawi to próbę tamto „uporządkowanie” i „ufność”, dzięki którym została ocalona od śmierci i piekła.

Przez cały ten czas nie opuszczały jej koszmary, które - by użyć słów ojca McAlistera - „popchnęły ją w objęcia Wszechmocnego”: zamordowane dziecko, wiarołomstwo wobec Dunca-na, okrucieństwo w stosunku do Jean, wstrząs po śmierci Jenkina, za którą czuła się odpowiedzialna, okropne stosunki z matką. Wspomagana swą dawną, zawziętą, bezbożną siłą Tamar potrafiła wieczorem w dniu tragedii nie wspomnieć Violet ani słowem o śmierci Riderhooda. Potrafiła też, bezlitosna w swojej skrytości, niezbędnej dla jej wyzdrowienia, nie powiedzieć matce 0 lym, przez co przechodziła ani jak spędza czas. Ich wzajemne stosunki uległy stopniowo niemal całkowitemu zamrożeniu. Violet dopytywała się nieustannie, kiedy Tamar zamierza wrócić do Pracy, na co ta odpowiadała nieodmiennie, że jest na urlopie. Matka straszyla ją widmem utraty posady, Tamar odburkiwała, Ze jest jej wszystko jedno. Czasem próbowała powiedzieć matce Jakies miłe słowo, wyglądało jednak na to, że wobec tej jednej °^oby nie włada językiem miłości. Cokolwiek mówiła, wprawia-0 fiolet w irytację i skłaniało do złośliwych ripost. Wkrótce Przeszali się po prostu do siebie odzywać i mieszkały pod jed-

01 dachem jak dwie obce sobie osoby. Tamar znikala z domu na q-a\p i |

^ «ie unie, przesiadywała w kościołach, w bibliotekach lub dornu parafialnym w Islington, gdzie spotykała się ze swoim °rem. Ojciec McAlister, przed którym nie miała żadnych tajemnic, zapewnił ją, że problem kontaktu z matką || w przyszłości pomyślne rozwiązanie: dziewczyna podejrzę^ jednak, że sam nie wiedział, jakie. Inne zmory zaczęły ją z wWa\*a opuszczać, w miarę jak wracała do zdrowia jej dusza, choć^0.-113 jeszcze odczuwała lęk przed ich nawrotem, sprawiały bow^\* wrażenie substancji niewchłanianych, niczym kamienie cierni0 bądź tkwiące w ciele zatrute groty złamanych strzał. Udało "-się pozbyć szalonego, nielogicznego, zabobonnego, a w istocie grzesznego przekonania, że to ona ponosi odpowiedzialność za śmierć Jenkina. Nauczyła się odczuwać zdrowy, naturalny smutek. Wiele przerażających cierpień zelzało, a skrucha i żal zastąpiły stopniowo, niczym rodzaj wyższej wiedzy, zwróconą przeciwko niej samej i przepełnioną nienawiścią do siebie samej bolesną żalobę i bezdenną rozpacz. Przeszala widzieć świat jako czarno-biały, dostrzegła odcienie szarości. Wciaż jednak zadreczala się myślami o Cambusach. Czy Duncan powiedział o niej Jean, czy Jean powiedziala mu o dziecku? Wydalam jego tajemnicę, sciagnęlam na niego przekleństwo. Muszą mnie nienawidzić, muszą mną pogardzać. Ojciec McAlister mądrze radzi, żeby się nie przejmować tym, co myślą o nas inni. Kiedy nie widać szansy naprawienia błędów, należy tylko zachować o nich pamięć, starać się je otorbić

dobrymi myślami. Chęć naprawy za wszelką cenę bywa często nerwowym, samolubnym pragnieniem samousprawiedliwienia, a nie szczerym zamiarem zadośćuczynienia. Zalecił Tamar cierpliwe czekanie, poradził, by potraktowała powstrzymanie się od działania jako pokutę, postarała się nie ingerować, zostawiła te sprawy Bogu. Dziewczyna nie ufała jednak własnej wytrwałości i wciąż przemyślała o napisaniu długiego, czułego listu do Jean. W sprawie zmarłego dziecka ojciec McAlister zdołał wreszcie, ku swojemu niezmiernemu zadowoleniu, poczynić <sup>on</sup>fja ny postęp. Dawał Tamar najróżniejsze rady, radził, żeby n0<sup>e</sup> zmarłe dziecko w sercu, lecz nie rozdrapywała tej rany, rozpaczała po nim nadaremnie, po prostu chowała je w p <sup>Qty</sup>' bez nienawiści, bez lęku, nie umierając z daremnej tęs Podsunał, by spróbowała myśleć o nim jako o dziecku sa. Kiedy stwierdziła, że to przechodzi jej siły, po Lic2& podeszła do tego zadania jak do swoistego duchowego <sup>nia</sup>. Wreszcie, gdy znaleźli się kiedyś sami, tylko we

w pewnym kościele na północy Londynu, ojciec McAlister od-awił obrzęd, jakiego nigdy dotąd nie odprawiał, który, prawdę mówiąc sam obmyślił, coś w rodzaju pogrzebu i pobłogosławienia zmarłego dziecka, uroczystego przypieczętowania miłości i zarazem symbolicznego pożegnania, zawierającego w sobie akt żalu za grzechy. Choć nie przyznał się do tego przed Tamar, potraktował też ów obrządek jako egzorcyzmy, mające na celu prześlęganie potencjalnie niebezpiecznego ducha, i on bowiem nie był wolny od przesądów, a napatrzył się w swoim czasie na najstraszniejsze demony, wychodzące z nieprzytomnych umysłów - jeśli właśnie umysły obierają sobie za siedlisko - wiernych z jego trzódki.

Tamar powtarzała za księdzem, że uznaje nieprawości swoje, a grzechy jej stoją jej zawsze przed oczami, że jest jak woda, która wycieka, że rozpręgły się wszystkie jej kości, że pragnie zostać obmyta, aby ponad śnieg bielszą się stała, że jej ofiarą duch skruszony, a sercem skruszonym i złamanym Bóg nie wzgardzi, aby się pocieszyły kości, które skruszył, że może zdjąć wór pokutny i przepasać się radością. Potem ojciec McAlister pobłogosławił nieszczęsny, bezimienny, zgłodzony płód, prosił w modlitwie, by spoczął w pokoju i został przyjęty do chwały niebieskiej, gdzie dusze tych, którzy zasnęli w Panu, cieszą się wiecznym odpoczynkiem i szczęściem, i aby Bóg wejrzał na skrucę Jego służebnicy, przyjął jej łzy i uśmierzył cierpienia. Prosił, aby ją błogosławił i jej strzegł, rozjaśnił nad nią Swe oblicze i był dla niej łaskawy. Rytuał ów, mieszanina starych, dobrze znanych zwrotów i pastiszu autorstwa ojca McAlistera, uznany przez niego samego za uświęcony melanz, przepęłnił mu serce radością. Nagrodą był mu również widok twarzy Tamar, rozpromienionej i obmytej łzami.

- Wiesz, jaką dziś mamy rocznicę? - spytała Gerarda R~

- Oczywiście - odparł.

Więcej na ten temat nie mówili. Chodziło o urodziny S claira. Gdyby żył, skończyłby tego dnia pięćdziesiąt trzy la

Pozawczoraj obudziło pannę Curtland w środku nocy skro nie psich pazurów. Obudziła się i natychmiast pomyślała: Regent! Wróciło wierne psisko! Zapaliła lampę przy łóżku. Dom tonął w ciszy. Oczywiście, to nie mógł być Regent, przyśnił jej się tylko. Mimo to wstała i zapaliła wszystkie lampy w mieszkaniu, a potem otworzyła drzwi, zapaliła światło na schodach, zeszła na dół i otworzyła drzwi od ulicy, aby się przekonać, czy nie stoi przed nimi jakiś biedny, bezdomny, rzeczywisty pies. Nie dojrzała żadnego. Już do rana nie mogła zmrużyć oka.

Przypomniała sobie to zdarzenie, gdy siedzieli z Gerardem przy herbacie w saloniku domu Jenkina. Wspólne picie herbaty należało do zwyczaju, który co pewien czas kultywowali, choć stopniowo coraz rzadziej i mniej wystawnie, jako że upływ lat ujął nieco treści pojęciu „herbatka”. W Bojarówce obyczaj herbaciany zachował coś z dawnego wykwintu jedynie przez wzgląd na Annuszkę. „Herbatce” u Gerarda nie towarzyszyły tego dnia placuszki, kanapeczki, chleb, masło i dżem; było tylko trochę czerstwych herbatników i ciasto z

owocami. Ani Hernshaw, ani panna Curtland nie jedli zresztą wiele, częściowo dlatego, że po Rose miał wkrótce przyjść Reeve Curtland, a y ją zabrać na kolację do hotelu, w którym się zatrzymał. Pomyślenia się po nią do domu Riderhooda wyszedł od Reeve, który oznajmił, że chce się zobaczyć z Gerardem, bo od a<sup>^</sup> się już nie widzieli. Rose nie miała wyjścia i telefonicznie muniowała tę wiadomość Gerardowi.

W duchu nie był tym wcale zachwycony, poczuł wręcz z<sup>^</sup> <sup>^</sup> że jego przyjaciółka mogła w ogóle dopuścić do siebie my

eeVe po nią zaszedł- Oczywiście ukrył swoją niechęć, oświadczył głośno, że bardzo się cieszy na spotkanie z Reeve'em, taił też przed Rose swoją irytację, w każdym razie zataić "óbował, ujrzawszy jednak jej posmutniałą minę, czynił sobie wyrzuty, że nie zaproponował otwarcie przeciwko nieszczęsnemu omySjowi Curtlanda z Yorkshire, a skoro już tego nie zrobił, nie symulował udatniej szczerzego zadowolenia.

Przeprowadzka do domu Jenkina okazała się pomyłką, niezdarzonym pomysłem, opartym na nieporozumieniu. Czego ja się właściwie spodziewałem? - zastanawiał się Gerard. Ze zdołam wieść tutaj doskonalsze życie jako ascetyczny pustelnik, że w pewien sposób stanę się Jenkinem? Czy tego oczekiwałem? Czy po prostu chciałem uciec od Gideona i Pat? Dom przyjaciela zdawał się stawiać mu opór. Początkowo Hernshaw starał się niczego nie zmieniać, potem, gdy okazało się to niepraktyczne, dokonał paru zmian: założył w kuchni nowy zlewozmywak, wstawił większą lodówkę, powiesił kilka przeniesionych z domu na Notting Hill akwarel. Część jego mebli wciąż stała u Fairfaxów, część została przeniesiona do mieszkania na piętrze, część spoczęła w piwnicy, część Gideon sprzedał. Książki Gerarda były rozsiane w trzech różnych miejscach: na Notting Hill, w mieszkaniu Rose i tutaj, w domu Jenkina, gdzie czekały na rozpakowanie, Gerard nie umiał się bowiem zdecydować, by mszyć książki zmarłego przyjaciela, które wciąż wypełniały półki. Dom sprawiał wrażenie martwego, pozbawionego duszy, porastał kurzem i brudem. Panna Curtland zaproponowała, że zrobi porządki, lecz Gerard się temu sprzeciwił, a ona nie nalegała.

Zastawa do herbaty, imbryk Jenkina i jego dzbanuszek do mleka, ciasto ułożone na zbyt małym talerzyku, herbatniki na zbyt dużym - wszystko to mieściło się na małym, składanym stoliku, który Gerard zasłał lnianą, kwiecistą ściereczką do naczyń, Wziąwszy ją za obrus. Nierówno pokrojone ciasto pokruszyło się i upstrzyło ściereczkę dużymi, wilgotnymi okruchami, zmieszanymi z suchym pyłem równie pokruszonych herbatników, obiny, które spadły na dywan, Gerard odgarnął niedbale stopą a nogach miał miękkie papucie) na zielone płytki przed gazo-Wym kominkiem. Rose oceniła w duchu, że wygląda na zmę-C2°neg0 i postarzałego.

ostrzegając współczujące spojrzenia przyjaciółki i wzięła go

złość. Istotnie czuł się zmęczony i postarzały. Goląc < co rano w lustrze znajomej, przystojnej twarzy, tryskaj nym ironii humorem, jaśniejszą inteligencją, lecz jej nie<sup>^</sup> dowołał. Zamiast niej widział zwiotczałe, kwaśne z&K7n /naj~

zgaszone oblicze z podkrążonymi oczami w sieci zmarszczek, matową

szarzała cerę i rzednące, przetłuszczone włosy. Rose, uprzyk P° na nudziara, spytała, czy coś pisze. Nie, nie pisze. Niczego te" nie czytał, choć wpatrywał się czasem tępo w stronicę tej

lub owej książki Jenkina. Nie mógł się opędzić od myśli o zmarłym przyjaciolem i jego zabójcy. Wciąż oglądał w wyobraźni Crimonda strzelającego w sam środek czoła Jenkina. W sam środek czoła, jak w swym zeznaniu podkreślił pan Marchmont. Chętnie by wymazał z

pamięci tę scenę. Crimond zwabił do siebie Jenkina, a potem go zastrzelił. Dlaczego? Zabił

go zamiast niego, Gerarda, z zemsty za jakąś minioną przewinę, może jakąś uszczypliwą uwagę, która wyrwała się Gerardowi przed trzydziestu laty i o której natychmiast zapomniał?

Jestem więc winien śmierci Jenkina, stwierdził. Spowodował ją jakiś mój błąd, mój grzech.

Nie potrafię żyć z tą świadomością, zostałem otruty, jestem potępiony i zgubiony, bo taki też był zamysł Crimonda. Codziennie postanawiał, że musi się z nim spotkać, i codziennie

odrzucał ten zamiar jako nierealny. Kiedy jego obsesja stawała się nie do zniesienia, szukał ratunku w przypominaniu sobie, jak Jenkin go wyśmiał, co czasem pomagało, choć wprawiało go zarazem w przytłaczający smutek, częściej jednak przypominało mu na nowo o stracie, jaką poniósł, i wtrącało na powrót do piekła, w którym miał za sąsiada Crimonda. Tkwili bowiem w tym piekle obaj, więc prędzej czy później musieli się nawzajem zniszczyć. Oczywiście Gerard nie zwierzał się nikomu z tych myśli, a już na pewno nie Rose, która próbowała go czasem wciągać w swoje jałowe rozważania. W rozmowach z nią odrzucał stanowczo ja ko nonsensowne wszelkie podejrzenia, by śmierć Jenkina m & ^ być następstwem czego innego niż nieszczęśliwy wypadek. zwierzał się również przyjaciółce ze swojej innej dl^cza\e^aj^ sesji, która ani na chwilę nie dawała mu ostatnio spokoju i ^ niła jego życie w jałowe oczekiwanie. Pewien znajomy • ^ dawnictwa „Oxford Press” poinformował go, że w'crotC^n(ja, nadzieję dostać do rąk odbitkę korektorską książki Cnm wtedy niezwłocznie ją Gerardowi przyśle przez umyślnego f gjarica. Hernshaw bał się panicznie nadejścia tej przesyłki. Wolałby nie czytać znienawidzonej książki, wolałby ją raczej odrzucić, lecz został na nią skazany, będzie ją musiał przeczytać. Jeśli okaże się marna, zazna podłej, nikczemnej satysfakcji jeśli dobra - zatruje go jad nienawiści.

Rose również wyglądała w jego oczach starzej, choć może brało się to po prostu stąd, że skoro go drażniła i przyprowadzała o niepokój, patrzył na nią - jej samej właściwie nie widząc - jak na mglistą emanację siebie, bliźniaczą zjawę z ektoplazmy. Spozstrzegwał nagle nie całość, lecz części. Włosy ostrzygła zbyt krótko, odsłaniając policzki i płatki uszu, co sprawiało, że jej twarz wyglądała na obnażoną i nienaturalną. Zmatowiałe włosy, choć nie dotknięte siwizną, wyglądały tak, jakby wyparował z nich barwnik; przypominały wędną roślinę. Wargi miała suche, spierzchnięte i pocięte drobnymi zmarszczkami. Nałożyła za dużo pudru na zgrabny skądinąd nosek. Tylko jej ciemnoniebieskie oczy, tak podobne do oczu brata, jej harde oczy, jak ktoś je kiedyś nazwał, błyszczały jak zawsze i spoglądały na Gerarda z jakimś milczącym wyzwaniem, od którego odwracał wzrok. Miała na sobie zieloną, jedwabną sukienkę, bardzo prostą i szalenie elegancką, a za ozdobę naszyjnik z ametystów. Sukienka przypominała Gerardowi tę, jaką nosiła na pamiętnym balu w Oksfordzie, kiedy tańczyli ze sobą walca, usłyszał nawet w głowie jego melodię, pod ramieniem poczuł kibić Rose i ujrzał w wyobraźni gwiazdy nad drzewami parku, po którym chodziły jelenie. To dla Reeve'a się tak wystroiła, pomyślał ze złością.

- Gerard, nie rozdeptuj okrucichów na dywanie!

- Przepraszam. Rozprostowała dywanik.

- Dostał go ode mnie - mruknął.

Odniosę te rzeczy do kuchni. Reeve powinien się niedługo zjawić.

w'ęc ona tu sprząta dla Reeve'a! Pewnie chętnie wypije drinka. Przyniosę sherry. Reeve lubi dżin z tonikiem.

Przyniosę więc dżin i tonik. Nie zawracaj sobie głowy krzątaniem!

- Nie możemy zostawiać takiego bałaganu. Uwinę si\*» w sekundeczkę. I z tym

Dojrzała opartą o ścianę tacę i zaczęła przenosić na nią stawę ze stolika.

- Jeszcze nie skończyłem! - zaprotestował. Zadzwoił dzwonek u drzwi.

- Ją otworzę - zawołała.

Wybiegła do przedpokoju, zostawiwszy tacę na stoliku. Gerard stanął w drzwiach salonu z filiżanką herbaty w ręku. Wszedł Reeve Curtland, przywitał się, zdjął płaszcz, poinformował, że wieje wschodni wiatr i właśnie zaczęło padać, po czym zapytał czy dobrze zrobił, zostawiając samochód tuż przed domem. Gerard podszedł do stolika, wziął tacę i precyzyjnie się z nią obok wchodzącego właśnie do pokoju gościa. Szukając w kuchni dżinu, usłyszał, jak Rose pyta kuzyna, co słychać u dzieci.

Z kieliszkami w ręku (dżin z tonikiem dla panów, sherry dla Rose) stali w niezręcznych pozach wokół kominka, niczym goście na stojącym przyjęciu.

- Reeve mówi, że musimy już iść. Mamy zarezerwowany stolik na godzinę. W eleganckim, ciemnym garniturze Reeve Curtland prezentował się czerstwo i dostojnie. Miał szerokie bary i ogorzałą twarz z rumieńcami na policzkach. Wypukłe, szerokie paznokcie u mocnych, chłopskich, ruchliwych dłoni były czyste, lecz poobgryzane. Na jednym z palców połyskiwała obrączka. Kasztanowe włosy uczesał starannie, prawdopodobnie tuż przed wyjściem z samochodu, a może już. stojąc przed drzwiami, czekając, aż mu otworzą. Spoglądał na Gerarda spod miękko pofałdowanego czoła i wydatnych łuków brwiowych, a wyraz jego twarzy wyrażał coś w rodzaju daleko posuniętej nieufności. Naturalnie, nieraz się spotykali przez te wszystkie lata, nieźle się znali i nawet dość lubili. Panna Curtland zaniepokoiła się nagle, że Gerard może potraktować jej kuzyna protekcjonalnie, z gory-Czyżby więc zwykle się tak zachowywał, tylko ona tego dotąd nie zauważała?

Reeve rozglądał się po małym saloniku wyklejonym Pod^ spłowiała tapetą, spod której wyzierały pasma żółtej ściany-zdołał ukryć lekkiego zdziwienia.

- Więc to było mieszkanie Jeńki na Riderhooda?

\_ Tak.

Słyszę od Rose, że teraz ty tu mieszkasz. \_ Istotnie. \_ Przykra sprawa.

- Rzeczywiście, przykra.

Reeve, który opierał się o wąski gzyms nad kominkiem, zdjął niego szary kamień z fioletowymi żyłami, który panna Curtland ofiarowała przed laty Jenkinowi.

- Założyłbym się, że ten kamyk pochodzi z Yorkshire.

- Istotnie! - wykrzyknęła Rose. - Z tej plaży koło...

- Ależ wiem, wiem, z której.

Uśmiechnęli się do siebie. Reeve nie odkładał kamienia.

- Jak tam plony? - zainteresował się Hernshaw.

- Mamie.

- Podobno farmerzy zawsze narzekają.

- Rose powiedziała mi, że Cambusowie szukają domu we Francji. Wygląda na to, że wszyscy się dokądś przenoszą.

- Reeve szuka domu w Londynie - wyjaśniła panna Curtland.

- Doprawdy? - Gerard uśmiechnął się uprzejmie.

- Domu bądź mieszkanca - uściślił Reeve. - Dzieciaki od dawna wiercą mi o to dziurę w brzuchu. - Spojrzał wymownie na Rose.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Gerard wyszedł do przedpokoju i otworzył. Na dworze wiał wschodni wiatr i padał deszcz. W mokrych chodnikach ciemnej ulicy odbijały się światła przeciwmgielnych latarni. W padającym z otwartych drzwi prostokącie blasku lśnił rolls-royce Reeve'a Curtlanda. Na progu stał jakiś młodzieniec z paczką w ręku.

- Pan Hernshaw? Mam dla pana przesyłkę z Oksfordu.

- Och, bardzo dziękuję... Może pan wstąpi na chwilkę? To Pański motocykl? Czyżby przejechał pan aż z Oksfordu na...

~ Och, drobnostka, nie ma o czym mówić... Dziękuję. Lepiej Przypnę moją maszynę. Chyba mogę oprzeć ją o tamtą ścianę?

Gerard wziął od posłańca paczkę. Była pokaźna i ciężka. Położył ją na krześle w przedpokoju. Chłopak wszedł, ściągnął Pelerynę i zdjął kask, odsłaniając gęstą czuprynę blond włosów.

~- Proszę wejść... Może drinka? Pozwolą państwo: panna Rose Curtland, pan Reeve Curtland. Obawiam się, że nie znam pań-skiego nazwiska...

- Derek Wallace. Nie, dziękuję za sherry. Gdyby coś be holowego... ezj

- Pan przyjechał na motocyklu aż z Oksfordu, w deszcz! - poinformował Gerard.

- No, niezupełnie, padać zaczęło dopiero przed chwilą
- Musiał pan mieć przez całą drogę wiatr prosto w twarz stwierdził Reeve, najwyraźniej świetny znawca wiatrów
- Domyślałam się, że chętnie by pan coś przekąsił - wtrą-panna Curtland. - Może talerz gorącej zupy?
- Nie, naprawdę dziękuję... W zupełności wystarczy le niada, cola lub coś w tym guście. Nie mam zbyt wiele c muszę zaraz wracać.
- Jest pan studentem? - zaciekał się Hernshaw.
- Tak.
- Którego college'u? Co pan studiuje?

Rose poszła do kuchni po sok pomarańczowy, zupę z puszki, chleb, masło i ser. Przechodząc przez przedpokój, zauważyła leżącą na krześle paczkę i domyśliła się, co zawierała, wiedziała bowiem od Gerarda, że spodziewa się tej przesyłki. Zrobiło jej się słabo, miała poczucie jakiejś dziwnej nierealności. Wysoki blondyn był ładną podobny do Sinclaira. Najpierw Regent drapie mi w drzwi, a teraz jeszcze ten efeb, pomyślała. Miły Boże! Nie ma to jednak nic wspólnego z Sinclairem. Otaczają nas po prostu demony.

- Czy ten młodzian nikogo ci nie przypominał? - zapytał Reeve, lawirując swym rolsem w wieczornym tłoku na londyńskich jezdniach.
- Owszem.
- Naturalnie, Neville nie jest aż tak chudy, no i ten nos, usta... Nie, chyba jednak nie...
- Chyba istotnie nie.

Oczywiście, oni już. nie pamiętają Sinclaira, pomyślała, nie pamiętają, jak wyglądał. Nie mają jego zdjęć, nie oglądają »c | Z pewnością nie. Wymazali go z pamięci. Najpierw ^iad°^Lj a teraz zwyczajnie o nim zapomnieli. Pewnie odczuwają dyskomfort z powodu tego odziedziczonego tytułu. Do tów sumienia nie mają co prawda powodów, znaleźli się J^^j w niezręcznej sytuacji, o której woleli zapomnieć, żeby żyć z przeświadczeniem, że to dziedzictwo słusznie przypadło im w udziale. Na pogrzebie Sinclaira, gdy składaliśmy do o obu jego pogruchothane zwłoki, nie płakali. Nigdy go na dobrą ° wę nie znali, nigdy za nim nie przepadali. Zresztą nie bez dstaw. Traktował ich zawsze jak kmiotków. Na tytuł nie musieli dłuao czekać, ojciec szybko odszedł śladem syna. Nowy dar losu. Pewnie trudno im było oprzeć się radości, gdy zdarzył się ten wypadek. Na pogrzebie musieli starannie ukrywać swe zadowolenie z powodu tak niezwykłego i niespodziewanego obrotu losu. Smutnego, ma się rozumieć, lecz dla nich, dla ich dzieci oraz dla dzieci ich dzieci wielce pomyślnego.

Podczas gdy Reeve, nienawykły do londyńskiego ruchu, zamilkł nad kierownicą (wjechali właśnie na rondo Shepherd's Bush, które nieuważnego kierowcę potrafi wbrew jego woli wywieźć na autostradę), Rose opadły nowe, okropne obawy. Co robi w tej chwili ten młodzian, ten revenant, sam na sam z Gerardem? Co się tam teraz dzieje? Czy Gerard dostrzegł to uderzające podobieństwo? Ależ musiał! A jeśli się zakocha w tym chłopcu, w tym niespodziewanym złowróbnym posłańcu, przychodzącym z deszczu i przynoszącym tak fatalną przesyłkę? Ludzie, którzy do tego stopnia przypominają zmarłych, mogą być demonami. A jeśli demoniczny chłopiec ma zabić Gerarda, który zostanie następnie znaleziony martwy, zamordowany w tajemniczych okolicznościach jak Riderhood? Może zagadka śmierci Jenkina była tylko zapowiedzią, zwiastunem śmierci Gerarda? A potem przyszło panie Curtland do głowy jeszcze straszniejsze podejrzenie. A jeśli złowróbną postacią był s a m Sinclair, który przybywał oto po dziesiątku lat jako mściwy, zazdrosny duch, aby, godząc w Gerarda, zemścić się na nich wszystkich? Bo czyż do pewnego stopnia nie ponosili winy za jego śmierć? Wszak nie odwiedli go od pomysłu zajęcia się sportem równie niebezpiecznym jak szybownictwo, tragicznego zaś dnia nie zaproponowali mu żadnej innej rozrywki. Czy my, którzyśmy go kochali, nie przyczyniliśmy się do jego zguby przez

zaniedbanie, beztroskę, a ci, którzy mieli na jego śmierci skorzystać, przez swoje - nieświadome być może - modlitwy? Rose zdawała sobie ^Prawę, jak straszne, nikczemne wysuwa podejrzenia, wywo-ane zapewne przez różne obecne wypadki, przez jej własną rozpacz, dobrze znaną, zastarzałą rozpacz, wydaną na tortury przeznaczenia. Nie potrafiła jednak zatrzymać terkocz złowrogo kołowrotka własnych chorych myśli, z któreo0 ro &° jały się te straszne obrazy. Chłopiec podobny do Sinclaira^2^ wiózł tę okropną książkę, która leży w tej chwili w mieszk"7^ Gerarda niczym groźnie tykająca bomba z piekła rodem Gerard, siadłszy do lektury, nie umrze aby tej nocy tajemni śmiercią?

Reeve, już. bezpieczny na Bayswater Road (następny labirynt ulicznego ruchu czekał go dopiero przy Marble Arch), odezwał się:

- Oczywiście, nikt dzieciom nie zastąpi matki, ale moje latorośle zawsze były do ciebie bardzo przywiązane, już jako małe szkraby, gdy byłaś ich kochaną ciotunią Rose. Widzisz, to nieszczęście spadło na nas jak grom z jasnego nieba... Musimy się oswoić z nową sytuacją i, prawdę mówiąc, zacząć życie od nowa. Naturalnie, zmieniliby się teraz tak czy owak... dzieci dorastają... Ktoś mógłby zapewne powiedzieć, że już są dorosłe... Prawda, pod tyłoma jednak względami wciąż pozostają dziećmi. Weszły w trudny, niebezpieczny wiek, potrzebują miłości i oparcia. Potrzebują domu, domowego ciepła. I tu widziałbym rolę dla ciebie, Rose. Musisz nas częściej odwiedzać... Przyszedł mi nawet do głowy pewien pomysł... mam nadzieję, że zechcesz go rozważyć... otóż uważam, że powinnaś przyjechać i zamieszkać z nami w Fettiston. Panna Keithley zajęłaby się prowadzeniem domu (na dobrą sprawę już się tym zajmuje), poza tym najęliśmy ostatnio do pomocy krzepką wiejską babę, nie byłabyś więc obciążona pracami przy gospodarstwie. Pragniemy tylko, żebyś z nami była, żebyś, by tak rzec, wzięła nas pod swoją opiekę. Przecież wiesz, jak bardzo cię cenimy, i to pod każdym względem. Oczywiście i my w zamian opiekowalibyśmy się tobą. Nie pora jeszcze mówić o szczęściu... dzieciom się wydaje, że już nigdy nie będą szczęśliwe, lecz oczywiście są w błędzie... ja też się w końcu podźwignę, czas leczy takie rany. Widzisz, moja droga, uważam, że gdybyś zechciała dzielić z nami to nasze nowe życie, byłoby to dla nas wszystkich ze wszech rzystne i szczęśliwe rozwiązanie. Będziemy mieli sw J ^ w Londynie, duże mieszkanie lub dom, i mamy nadzieję, — zgodzisz się z nami zamieszkać, chyba że zechcesz zac \_ swoje dotychczasowe mieszkanie, nie zamierzamy cię P monopolizować! Mam jednak głębokie przekonanie, że kiedy się nami zbliżysz, również tobie samej wyjdzie to na dobre. Nieraz myśleliśmy o tym... hm... jak samotna musisz się czuć, mieszkając wciąż w pojedynkę. Wiem, że masz grono przyjaciół, patricię. Gerarda, ale oni mają, co rozumiały, swoje własne życie, a poza tym co rodzina, to rodzina. Przemyśl to sobie zresztą. Przepraszam, że wyskoczyłem z tym tak nagle, w samochodzie, ale dzieciaki już od jakiegoś czasu wiercą mi dziurę w brzuchu, żebym z tobą poruszył ten temat. Jestem pewien, że potrafimy cię przekonać... Zresztą, kiedy zrozumiesz, jak bardzo nam jesteś potrzebna, sama zechcesz przyjechać.

Kochana ciotunia, pomyślała Rose, samotna stara panna, taka nam potrzebna, otoczy nas opieką, a my się jej odwzajemnimy. Niewykluczone, że omówili już nawet, co z nią poczną, gdy całkiem zgrzybieje. Zresztą cóż w tym złego? Przemawia przez nich nie tylko głos rozsądku, ale i głos serca. Niewykluczone, pomyślała, że po śmierci Jenkinsa wszystkie dawne układy legły w gruzach. Muszę przestać pogrążyć się w żałobie i usychać z daremnej tęsknoty. Przegapiła dzieciństwo Neville'a i Gillian, a niedługo przyjdzie jej pewnie niańczyć ich własne dzieci, brać je na kolana. (Ależ ja n i e lubię dzieci! - przypomniała sobie). Nowe obowiązki to wszak nowe źródła życiodajnych sił. Ktoś jej wreszcie naprawdę potrzebował. A Gerard... może właśnie w tej chwili go traciła, a raczej, ściślej biorąc, traciła własne złudzenia, że między nimi może się zdarzyć coś więcej, nawiązać jakaś ściślejsza i cenniejsza bliskość, że ma jej jeszcze c°ś do zaoferowania.

- Pomówmy teraz o sprawach lżejszej natury - podjął Reeve. - Posłuchaj, planujemy wypłynięcie całą rodziną w rejs wycieczkowy w czasie ferii wielkanocnych, na cały miesiąc, 1 Pragniemy, żebyś była naszym gościem... Wszyscy bardzo cię 0 l° prosimy! Zapowiada się cudowna eskapada: wyspy greckie. Potem południowa Rosja. Zawsze marzyłem o tym, żeby przejść Sle Po plaży w Odessie. Pojedziesz z nami, prawda, moja droga?

~" Niestety, mam już w tym czasie inne zobowiązania - od-Parła. - Moja szkolna przyjaciółka przyjeżdża ze Stanów i...

Przyślę ci szczegółowy program wycieczki, może zdołasz &° jakoś zmieścić w swoim kalendarzu. Bylibyśmy niezmiernie radzi, gdybyś nam towarzyszyła... Tylko musisz dać odpowied jak najprędzej, chodzi o dokonanie rezerwacji...

Panna Curtland była zdumiona szybkością, z jaką wymyślił tę szkolną przyjaciółkę. No cóż, kłamać nauczyła się wprawni 3 Czyż nie były kłamstwami jej wszystkie stare iluzje? Nie za mierzła wypływać w ten rejs wycieczkowy, uświadomiła sobie jednak, że boi się również odmówić. Może po prostu zapragnęła pojechać wreszcie tam, gdzie naprawdę jej potrzebowano?

Reeve zamilkł. Manewrował wokół Marble Arch, usiłując skrócić we właściwą ulicę, w czym panna Curtland starała mu się pomóc. Potem powstał problem, gdzie zaparkować wóz. Czy żółta linia, zakazująca postoju, obowiązuje również tak późnym wieczorem? Ulica była zatłoczona parkującymi samochodami. Reeve zasugerował, żeby Rose wysiadła i zajęła stolik, a on poszuka wolnego miejsca parkingowego i wkrótce do niej dołączy. Panna Curtland wysiadła, pomachała zaaferowanemu krewniakowi dłonią i przez chwilę odprowadzała wzrokiem rolls-roy-ce'a odtaczającego się wolno, jakby pełnego wahań. Deszcz przestał wreszcie padać. Rose weszła do hotelu i oddała w szatni płaszcz. A następnie, zamiast do sali restauracyjnej, skierowała się do najbliższego telefonu i wykręciła numer Hernshawa. Już po kilku dzwonekch jęła wyobrażać sobie, jak, gnana śmiertelnym lękiem, wraca taksówką do domu.

- Tak, słucham?

- Witaj, Gerardzie... to ja.

- Słucham.

- Jestem w hotelu. Reeve właśnie parkuje samochód.

- Czy coś się stało? - Zabrzmiało to chłodno, nieprzyjaźnie.

- Dobrze się czujesz?

- Naturalnie.

- Ten chłopiec jeszcze jest?

- Nie, już poszedł. Spieszyło mu się.

- Czytasz tę książkę?

- Crimonda? Nie. Właśnie wychodziłem.

- O!... A dokąd?

- Przekąsić coś.

- Zamierzasz ją dziś czytać?

- Nie sądzę. Mam zamiar wcześniej się położyć.

- Gerard...

% Tak?

I Niedługo się zobaczymy, prawda?

Oczywiście. Przepraszam, muszę już iść. iL przestało padać, wiesz?

Świetnie. No to pa! \_ Dobranoc. Gerardzie.

Odłożył słuchawkę. Nic dziwnego, rozmowy przez telefon zawsze go drażniły. Gdybyż. choć powiedział: „Dobranoc. Rose” miałyby o czym myśleć i co przeżywać, jak pocałunek przed położeniem się spać.



Hernshaw włożył płaszcz i zerknął na leżącą na krześle w przedpokoju paczkę. Oczywiście dostrzegł podobieństwo, które tak wstrząsnęło panną Curtland, i podobnie jak ona, choć w nieco inny sposób, jął się dopatrywać znaczenia w faktie, że ten akurat posłaniec przyniósł tę akurat przesyłkę. Gdy stojąc tuż obok młodzieńca, nalewał mu do szklanki soku pomarańczowego, owiał go zapach młodych włosów, a wraz z nim dziwnie wyraźne, choć ulotne jak woń wspomnienie. A może wywołał je raczej ich kolor, pamiętny aż do bólu, ów szczególnie odcień złocistych pukli, lśniących i bujnych, które nie tylko ujrzał we wspomnieniu, ale i poczuł węchem.

Teraz, sam na sam z leżącym na krześle pakunkiem, nie mógł się opędzić od myśli, że to przesyłka fatalna, zgubna nie tylko dla niego osobiście, ale i dla świata. Przemknęło mu przez głowę, że gdyby miał przed sobą jedyny istniejący egzemplarz tego dzieła, obowiązkiem nakazałby mu go zniszczyć.

Boże, strzeż je przed nienawiścią, a natchnij miłością, nie litością, ale miłością. I ustrzeż przed poczuciem siły, chroń je Przed tym. Panie, chyba że będzie to siła i moc z ducha Twego Syna, Jezusa Chrystusa - modlił się ojciec McAlister. Wyglądziwszy sutannę, zestawivszy stopy i złożywszy dłonie, siedział nieruchomo i obserwował zażartą walkę, jaka się przed nim toczyła.

Na mieszkanie Violet Hernshaw dokonano najazdu. Tamar aProsiła Gideona, Patricię i ojca McAlistera na herbatę. Gne z nich nie wspomniało o tym ani słowem Rose i Gerar-

tanad-ano  
dowi. Decyzja o wykluczeniu tych dwojga zapadła za milc zgodą wszystkich zainteresowanych.

Pat krzątała się w kuchni. Doprowadziła już do jakiegoś ładu sypialnię Violet, skąd wyniosła w worku setki gryzionych przez myszy plastikowych torebek. Herbatę podł w sypialni Tamar, w której paliły się wszystkie światła, p0p0" łudnie było bowiem pochmurne i ciemne. Tamar nakryła ładn ściereczką składany stół, przy którym się zwykle uczyła.

Herbaciana zastawa została już niemal w całości uprzątnięta, a nawet pozmywana, o co zadbała Patricia. Kanapki z szynką wzbudziły żywe zainteresowanie księdza, ciasteczka nie znalazły jednak amatorów. Gideon wziął na siebie rolę głównego mediatora.

- Nie sprzeciwiaj się nam, Violet - perswadował. - Pozwól, żebyśmy się wszystkim zajęli. Pozwól mi wszystkim się zająć. Od zbyt dawna przyglądamy się z boku tej degrengoladzie, najwyższa pora podjąć jakieś kroki. Nie rozumiesz, że wszystko się zmieniło, że przyszły nowe czasy? Nie możemy stać z boku i patrzeć, jak toniesz.

- Ja wcale nie tonę! Ani myślę tonąć! I nic się nie zmieniło, poza tym, że moja córka stała się okrutna i nawet nie usiłuje być dla mnie uprzejma. Ale to nasza sprawa. A ty, Patricia i ten klecha wdzieracie się tu i...

- Tamar nas zaprosiła.

- To moje mieszkanie, nie jej! A mnie nikt nie uprzedził, nie pytał o zgodę...

- Bo byś się nie zgodziła - powiedziała Tamar.

- Ze mną się najwyraźniej nikt nie liczy! Nie zamierzam z wami rozmawiać. Prosiłam, żebyście sobie poszli i proszę jeszcze raz, wynoście się stąd!

- To są moi goście - przypomniała Tamar. - Przyszli, żeby zaproponować pewien plan, korzystny plan, więc proszę cię, zechciej ich wysłuchać... Przecież zgodziłaś się, żebyśmy spędziły święta na Notting Hill...

- Zostałam do tego zmuszona i bardzo tego żałuję.

- Zechce pani zrozumieć, pani Hernshaw - wtrącił ksł^ach^ że przychodzimy ze szczerymi intencjami, w dobrych zanu

jak powiedziała pani córka, w pokojowych zamiarach"vioJet -

- Słabo mi się robi od tych bredni - WchnąX\*nJ^0\ Je-a przyprorowadzenie tu tego klechy to już naprawdę zan

steście bezwzględnyimi najeźdźcami, wdarliście się na mój teren rywatny jak złodzieje, skrytobójcy... - Violet zachowywała na pozór zimną krew i nie traciła kontenansu, tylko w jej głosie odzywała się od czasu do czasu nutka hysterii.

Według mnie - rzekł Gideon - mamy do omówienia dwa zasadnicze punkty. Po pierwsze: Tamar musi wrócić do Oksfordu. Będę rad, jeśli uznamy to za postanowione.

\_ Nigdy jej na to nie pozwolę!

\_ Ciekawa jestem jak? - spytała dziewczyna.

Siedziała na swoim tapczanie, pozostali na krzesłach rozstawionych wokół stolika, na którym stał już tylko talerz z ciasteczkami. Ojciec McAlister miał ochotę sięgnąć po jedno z nich, przeszkodził mu w tym jednak zajadły spór, jaki się rozpętał, gdy dobiegła końca „herbatka”. Zastanawiał się, czy wypada mu poczęstować się teraz, po namyśle odstąpił jednak od tego zamiaru.

Tamar miała na sobie czarną spódnicę, także pończochy i szary pulawer. Była zaskakująco spokojna. Gideon jej wręcz nie poznawał. Spódnicę podciągnęła nad kolana i wyciągnęła przed siebie długie, smukłe nogi. Wyzywający sposób, w jaki to uczyniła, nie mógł być, jego zdaniem, przypadkowy czy nieświadomy. Cienkie, jedwabiste, brązowawe jak kora drzew włosy wzburzyła w bujną szopę. Ubierała się z typową dla siebie prostotą, prawdopodobnie nawet w te same rzeczy co zwykle, lecz wyglądała zupełnie inaczej - na bardziej rozluźnioną, dojrzałą i bardziej opanowaną, nawet w tej napiętej, nerwowej sytuacji, a już z pewnością bardziej obojętną. Ta dziewczyna coś przeżyła, ocenił w duchu Fairfax, przez coś przeszła. Czuje swoją siłę, wie, że podjęła walkę na śmierć i życie i nie zamierza przed nikim ustępować. Wydobyła się już niewątpliwie z depresji, w jakiej dotąd tkwiła. Nie mógł tego sprawić w pojedynkę ten dobroduszny klecha. Czyżby znalazła wreszcie dobrego k°chanka? - Przecież ci już tłumaczyłam - Violet wbiła w córkę jadowy wzrok - że nie mamy pieniędzy. Nadal tkwię w długach P° uszy. Samo mieszkanie kosztuje majątek. Twoje stypendium n,e Pokrywało ani w połowie tych luksusów, w jakie tu opływasz. Twoja pensja jest mi niezbędnie potrzebna... jest nam P°trzebna. Jeśli Gideon twierdzi co innego, gada głupstwa. Tyś

straciła poczucie rzeczywistości, Tamar. Pozwoliłaś się ty dziom ogłupić i omamić... 'u~

- Jesienią wracam na uniwersytet - oświadczyła dziewczę Zwichrzyła włosy i patrzyła na matkę ze spokojną, chociaż sn?3 ną miną. - Rozmawiałam już w dziekanacie...

- Ja z całą pewnością nie wyłożę na to ani pensa!

- Gideon obiecał mi pomóc. Prawda, Gideonie?

- Nie potrzebuję niczyjej łaski...

- Oczywiście, że pomogę - powiedział Fairfax. - A ty przestań się wydzierać, Violet, bardzo cię proszę. Tamar żyje tak oszczędnie, że stypendium prawie w całości pokryje jej wydatki Resztę ja dołożę, spłacę też twoje długi. Mam jeszcze jedną propozycję... dajże mi skończyć!... uważam, że powinnaś sprzedać to mieszkanie...

- Beznadziejna klitka - orzekła od drzwi Patricia. - Można ją tylko podpalić.

- Powinnyście obie z Tamar przeprowadzić się do nas - ciągnął Gideon - do tego mieszkania na piętrze, które myśmy dotąd zajmowali...

- To naprawdę urocze mieszkanko - dodała Pat.

- Zresztą i tak chcieliśmy kogoś w nim zainstalować do pilnowania domu na czas naszych wyjazdów. Nie musiałybyście nam za nie płacić... Poczekaj, chwileczkę!... Jeśli chcesz, możemy uznać takie rozwiązanie za przejściowe, dopóki nie zastanowimy się nad lepszym... Ale skoro Tamar ma mieszkać w Oksfordzie...

- Wdarliście się tutaj i już mi chcecie podpalić mieszkanie -wybuchnęła Violet. - Dobrze, bardzo proszę, ale razem ze mną. Wolałabym zamieszkać w piekle niż pod waszym dachem!

- Pani chyba już mieszka w piekle - zauważył cicho ojciec McAlister.

- Jeśli nawet, to nie pańska sprawa, panie hipokryto! O, znam takich jak pan! Wtykacie nos w nie swoje sprawy, chcecie e<sup>^</sup> rować życiem innych ludzi, rozbijać rodziny, choć o <sup>^</sup>cl<sup>^</sup>ę dzinnym nie macie pojęcia! Chcecie mi po prostu zabrać c

- Nonsens! - parsknął Gideon. . t0

- Ona jest wszystkim, co mi pozostało, a wy chcecie ukraść... AJister.

- Ależ nie, myli się pani - bronił się słabo ojciec Mc

Dobrze, zabierajcie ją sobie! Prosiłam ją, błagałam, żeDy ze mną została, żeby mnie słuchała... Ale skoro nie chce, proszę, wolna droga! Nie mam już córki! Mówię zupełnie poważnie. Mam nadzieję, że teraz jesteście zadowoleni? Dopiełnięcie swego! No więc co postanawiasz, Tamar?

\_ Odchodzę, oczywiście - odparła ze spokojem dziewczyna - W tym, co mówisz, nie ma ani krztyny sensu. - Ależ jest, zapewniam cię, jest! A więc idź... pakuj swoje rzeczy!

\_ Są już spakowane... Jeszcze zmienisz zdanie.

- Ach, więc to był spisek? Ukartowaliście sobie to wszystko? Cała ta gadanina o chęci przyjscia mi z pomocą to był tylko pretekst!

- Nieprawda.

- Zostawiacie mnie, żebym się spaliła, żebym umarła... Dobrze o tym wiesz, Tamar!... Na miłość boską, nie opuszczaj mnie! Zostań, powiedz tym niegodziwcom, żeby sobie poszli! Co oni mają z nami wspólnego? Ty jesteś wszystkim, co mam... Poświęciłam ci życie!

Głos Violet wzniósł się do histerycznego, przesywającego krzyku, który zdawał się wprawiać w drżenie wszystkie przedmioty w pokoju. Patricia odwróciła się od drzwi i ukryła twarz w dłoniach.

Tamar nawet nie drgnęła powieka. Przyglądała się matce posmutniałym, spokojnym wzrokiem, niemal z ciekawością, po czym powiedziała cichym, zrezygnowanym głosem:

- Och, nie rób takich... Przenoszę się do Pat i Gideona... Jeśli zechcesz, przyjedziesz później... Przykro mi, ale obawiam się, że nie ma innego wyjścia.

Oryginalnym autorem tej sceny, którą - jak to sobie Gideon Później uświadomił - otaczała aura jakiejś osobliwej teatralności, był ojciec McAlister. Zastanawiając się nad sytuacją obecną i Przyszłością swojej podopiecznej, wpadł na odkrywczą myśl. by z prośbą o pomoc zwrócić się nie do Gerarda, lecz do Gideona, całkiem trafnie odgadł w nim bowiem konglomerat cech - pewności siebie, bezwzględności, dramaturgicznego wyczucia i bogactwa - niezbędnych do wypełnienia planu, który ro-Ogł, w razie niepowodzenia, skończyć się porwaniem. Przewidywał jednak, że realizacja tego planu będzie postępowała wolniej i przebiegała pod jego własnym kierownictwem. Przek

Tamar, co poszło mu łatwiej, niż oczekiwał, do odeoran;

„ . . uł-si'»ma roli

jej wyznaczonej, podkreślając szczególnie takt, że wielka zmiana, jaka się miała w jej życiu dokonać, może w konsekwenc" okazać się ratunkiem, wręcz zbawieniem, również dla jej matki Kilka przelotnych spotkań ojca Mc A listera z panią Hershaw pozwoliło mu postawić diagnozę na temat jej stanu psychicznego bardziej jeszcze posępną niż. opinia córki.

Gideon bał się, że Violet zacznie krzyczeć, bo też istotnie przez chwilę wszystko na to wskazywało: zacerpnęła głęboko powietrza, zacisnęła pięści i dosłownie wyszczerzyła zęby, niczym gotów kąsać wściekły pies.

- Więc już nic dla mnie nie zrobisz? - spytała szeptem córkę. - Nic?

- Właśnie staram się coś dla ciebie zrobić - odparła spokojnie Tamar. - Kiedyś to docenisz. Lecz jeśli chodzi ci o to, czy będę tańczyła tak, jak ty mi zagrasz, moja odpowiedź brzmi: nie. Tego dla ciebie nie zrobię... Zresztą na razie nie byłabym chyba w stanie nic dla ciebie zrobić... to ponad moje siły...

Odwróciła głowę, chwilę patrzyła w okno, zawieszono strzępami aż szarych od brudu firanek, po czym spojrzęła wyczekujęc na Gideona, jakby pytała: czy możemy już skończyć tę scenę?

Mówiła z takim chłodem i miała na twarzy wyraz takiej nie-czułości, gdy obróciła się do Gideona, całkowicie ignorując matkę, że ojcu McAlisterowi przyszło do głowy zaskakujące podejrzenie. A jeśli to wszystko, ten wielki dramat uczuć, ta kipięca namiętnościami sztuka o zbawieniu, w której występowali oboje, była podszyta fałszem? Nie to, by sądził, że dziewczyna go okłamała lub przed nim udawała. Jej nieszczęście było prawdziwe, cierpienie ogromne. Ale czy w swej rozpaczycie nie posłużyła się jego osobę, skoro się już nawinął, czy nie wypełnia a jego instrukcji jak dzikus wypełniałby nakazy czarownika lu człowiek chory polecenia lekarza? A może to, w co się o j zaangażowali, było po prostu rodzajem psychoterapii, leczem<sup>^</sup> nerwicy, wyzwalaniem się od różnych urojeń, po którym puje powrót do życia, do normalnego życia, pacjent m<sup>^</sup> terapeutycie dłonię i idzie swoją drogę, bo zdał sobie sPraV<sup>^</sup>C'cZy to, co brał za wartości moralne, imperatywy kategoryczne ręc diabła i wieczne ognie piekielne wynikało je-dynie z psychicznych powikłań, na jakie wszyscy cierpimy, rezultatu trudnego, toksycznego dzieciństwa, powikłań, od których można się wreszcie raz na zawsze z radością odwrócić. Tamar zobaczyła diabła, zobaczyła ognie piekielne, ojciec McAlister widział grymas przerażenia na jej twarzy, ale potem, gdy egzorcyzmował ducha dziecka-mściciela, zobaczył, jak spływa na nią boski spokój i omywa pokutnicze łzy. Obecnie biła od tej dziewczyny niezwykła wręc powaga. Księdz spostrzegł, że nawet Gideon znajdował się pod jej wrażeniem. Tamar była poważna i opanowana i nawet starcie z matką nie wytręciło jej z tego stanu. Jej celem upragnionym, zapewne od początku, była wolność, więc teraz, kiedy poczuła się bliska jego osiągnięcia, nie myślała zważać na żadne przeszkody. Można by sądzić, że w tym obrzędzie odrzucenia i wyzwolenia, który ojciec McAlister sankcjonował, przeklęła matkę. „Szlachetny plan” księdza zakładał oczywiście starcie, ale miała się z niego wyłonić prawdziwa miłość do matki, którą, jak mu się zdawało, odkrył w sercu Tamar. Nie zamierzał wyzwolić skruszonej grzeszniczycie od jednego demona tylko po to, by wpadła w sidła następnego. Dotychczasową uległość dziewczyny, jej uzależnienie od stanów psychicznych matki i jej woli, uznał za zło. Często mówił swojej podopiecznej o prawdziwej i wolnej miłości, miłości w Chrystusie, zdolnej uleczyć jej matkę podobnie jak ją uleczyła. Kilka przelotnych spotkań z Violet przekonało go, że ma do czynienia z potworem. Przeczł bezdennę otchłań jej nieszczęścia, od którego jego wrażliwa, „płaczliwa duszyczka” (określenie Violet) skuliła się i skurczyła, nieszczęścia głębszego, mrocz-mejszego i srozszege od cierpienia Tamar, nieszczęścia, które zmieniało ją w potwora. Nie pozwoli, żeby jego pupilka pozostawała nadal ofiarę tego monstrum. Czyż jednak nie należało Pomóc również biednemu potworowi i czy nie powinni tego dokonać oboje? Patrząc, jak Tamar strzepuje okruszyny ze spód-nicy i kręci się niespokojnie, niczym osoba, która marzy tylko o tym, żeby wstać i wyjść, począł się zastanawiać, czy jej nowa enrgia, obojętność i powaga nie są po prostu odmianę dawnej zapiekłej nienawiści, przez tyle lat skrzętnie ukrywanej? Czy ?amiast miłości Chrystusa nie obudziłem w niej przypadkiem nieczułego demona egoizmu? Czy nie stworzyłem aby nowego potwora? (Ojciec McAlister nie domyślał do końca tych okro nych obaw, lecz zgodnie ze swoim zwyczajem powierzy, " • swemu Mistrzowi, pewien, że zostaną mu później objawion w bardziej przejrzystej postaci).

Violet wpatrywała się w córkę z rozchylonymi ustami. Nagi jej oczy zwięziły się i pociemniały. Zerwała się z miejsca, po! tręcąc stół, i jęła grzebać w kieszeni spódnicy w poszukiwaniu okularów. Zaskoczona niespodziewaną wizytę, wyglądała okropnie (Fairfax, który cofnął się wraz z krzesłem, przestraszony jej nagłym powstaniem, dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest zaniedbana): miała na sobie poplamionę, pogniecionę bluzkę i rozpinany sweterek cały w dziurach, przez które przeświecały bluzka i spódnica, a na nogach

rozdeptane pantofle, z których jeden właśnie się zsunął. Violet spojrzała w dół i ze złością wbiła weń stopę. Gideon odsunął stolik. Violet podbiegła do drzwi, przybierając po drodze minę kamiennej maski. Stojąca w przedpokoju Patricia ustąpiła jej pośpiesznie z drogi. Violet wpadła do swojej sypialni, zatrzasnęła drzwi i z chrobotem przekręciła klucz.

Ledwie matka odwróciła się do niej plecami, Tamar również wstała.

- Chodźmy - szepnęła, podeszła do szafy i zaczęła wyciągać walizki.

- Boże przenajświętszy! - mruknął Gideon i także się podniósł.

Ojciec McAlister machinalnie chwycił jedno z cukrzonych ciastek - różowe - i wsadził je sobie do ust. Wyszli do przedpokoju.

- Ano cóż - westchnęła Patricia Hershaw - gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Zabierajmy się stąd czym prędzej i zabierajmy Tamar, zanim się rozmyśli.

- Ona się już nie rozmyśli - zapewnił ją mąż.

- Gdyby nam się udało wytaskać do przedpokoju ten worek - powiedziała Patricia - moglibyśmy go od razu wyrzucić śmietnik. W pokoju Violet zastałam bałagan wręcz nie do opisanego. Pod jej łóżkiem walają się jakieś okropne, gnijące chatości. Czort wie, co to takiego! Włożyła płaszcz. Ksiądz również, się ubrał. Tamar wym ^ do przedpokoju i postawiła pod drzwiami trzy duże wa i y»

czym obrzuciła ojca McAlistera nader dziwnym, niepokojącym spojrzeniem. Przejrzała mnie, przestraszył się, po chwili zaś pomyślał: kto tu kogo właściwie oszukał?

- Obawiam się, że do samochodu mamy spory kawałek - powiedziała Patricia. - Pójdziemy wszyscy pieszo, czy może podjechać pod dom? Walizki moglibyśmy nieść między sobą. Nie chcę tu zostawać ani chwili dłużej. Może dokądś ksiądz podrzucić? - zwróciła się do duchownego.

\_ Nie, dziękuję, miałem jeszcze wstąpić do kogoś tu w pobliżu.

- Idź z Tamar po wóz - zadysponował Gideon. - Nie ma sensu tachać tych waliz. Wystawimy je na schody. Poczekam tu na was. Może Violet wychyli jeszcze nos ze swojej dziupli...

- Nie wychyli. Dobrze, chodźmy, moje dziecko.

Fairfax i ojciec McAlister wymienili znaczące spojrzenia. Ksiądz uniósł brwi i lekkim ruchem głowy wskazał drzwi sypialni, gdy Gideon z obojętną miną otwierał drzwi przed wychodzącymi na klatkę schodową.

- Bardzo księdzu dziękuję - mruknął. - Jeszcze pogadamy.

- Oczywiście. - Ojciec McAlister westchnął, pomachał mu ręką i zszedł po schodach na dół. Gideon poczekał, aż zamkną się za wychodzącymi drzwi od ulicy, po czym zamknął cicho drzwi mieszkania, podszedł do sypialni Violet i zastukał.

- Violet, już poszli, wyjdź!

Wyszła po małej chwili. Zdażyła się już przebrać, uczesać i przypudrować nos, zdjęła też okulary. Najwidoczniej płakała i usiłowała pudrem zatuszować łzy, co pozostawiło wokół jej oczu tym wyraźniejsze ślady w postaci pomarszczonej, zbielełej i wysuszonej skóry.

Wpatrywała się w Gideona ze zmarszczonym czołem, a on zerknął ponad jej ramieniem i ujrzał niemilośnie zapuszczone wnętrza jej sypialni. Następnie gospodyni Przeszła do wysprzątanego pokoju córki, przesunęła stolik, wzięła do ręki talerz z ciasteczkami i podsunęła go Gideonowi. Wziął Jedno. Usiedli na łóżku. Po raz pierwszy od wielu lat Fairfax Poczul niespodziewany fizyczny pociąg do dawnej przyjaciółki. Pohamował pragnienie, by ją objąć i wybuchnąć śmiechem, bo o!° ktoś naprawdę silny, cudowny i kochany, tak się zatracił, Zagubił.

Fryzura Violet, choć podobnie jak fryzura Tamar skrócenia, była jednak porządnie uczesana. Jej włosy zachowa lśniący, kasztanowy połysk, przetykany tu i ówdzie pojedync/ nitką siwizny. Skrzydełka nosa miała z lekka zaczerwienione\*\* może od zimna, a może od płaczu. Małe usta, pośpiesznie p0' ciągnięte szminką, zaciskały się w wyrazie szczególnie surowym. Wyćwiczonym ruchem dłoni nadała grzywce pożądaną kształt, przykrywając marsa na czole.

Gideon uznał, że przybrała minę wyższego urzędnika państwowego. Nie wyglądała w najmniejszym stopniu na istotę pokonaną. Podejmując ryzykowną grę ojca McAlistera, obawiał się - a może spodziewał? - postawy z jej strony raczej słabszej, bardziej ugodowej. Choć przyszła pora, by się poddała losowi, nie wyglądała wcale na osobę skłoną do kapitulacji.

Oboje mieli myśli czymś zajęte i oboje czekali, aż to drugie przerwie milczenie.

- One zaraz wrócą - poinformował Gideon. - Pat ma zadzwonić z dołu, żebym zniósł walizki. Samochód zostawiłem dość daleko stąd, więc mamy jeszcze jakieś dziesięć minut.

Oczywiście jutro też do ciebie zajrzę.

- Jak mogłeś mi wyciąć taki numer? Do tego jeszcze ten pajac w sutannie!

- To był jego pomysł - odrzekł, nie całkiem zgodnie z prawdą. Strategię istotnie ułożył ksiądz, lecz taktykę niewątpliwie on. - Taki fortel, pojmujesz.

- Żeby mi zabrać Tamar.

- Przyznaję.

- Ależ ona mogła odejść w każdej chwili! Nie więziłam jej!

- Hm, w pewien sposób więziłaś. Pozbawiłaś ją własnej woli. Na gwałt potrzebowała wsparcia moralnego...

- Wsparcia moralnego?

- Które by jej pozwoliło odejść w stanowczy, wyraźny sposób, z rozumnym uzasadnieniem.

- I zacząć na was pasożytować, czy tak?

- Nie mogła po prostu spakować się i uciec. Potrzebna jej była oprawa w postaci najazdu zacnych ratowników.

- To dowodzi, jak nisko mnie szacujesz, nie uważasz c y za człowieka. Napadasz mnie bez ostrzeżenia z jakąś  
wymagał-ował

bandą, w moim własnym domu. Komuś innemu nie zrobiłbyś podobnego świństwa. Ależ ty musisz mną pogardzać!...

- Co ty pleciesz, Violet...

\_ Wszyscy odgrywaliście wyuczone role. \_ Ty także grałaś.

- Tak uważasz? Zaplanowaliście to specjalnie, by mnie upokorzyć. Sprytne zagranie, przyznaję. Moje reakcje były przecież dziecinnie łatwe do przewidzenia. Wszystkie kwestie wyznaczonej mi roli mogłeś być z góry napisać. Przygotowałeś brutalny zamach na słabą, bezbronną kobietę!

- Chwileczkę - przerwał - chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym współfinansował studia Tamar w Oksfordzie?

- Gwiżdżę na to...

- Doskonale, więc sprawa załatwiona.

- Byłem nie musiała jej więcej oglądać na oczy.

- A ty znowu swoje!

- Ja się tu w ogóle nie liczę.

- Och, daj już spokój, Violet! Zaczynj wreszcie myśleć, przecież nie jesteś głupia. McAlister uważa, że Tamar w istocie głęboko cię kocha i...

- Ona mnie nienawidzi. Zawsze była wobec mnie zimna jak gład, już jako małe dziecko. Posłuszna, ale lodowato zimna. Nie winię jej o to. Ja też jej nienawidzę, skoro już o tym mowa.

- Co do Tamar, nie byłbym wcale taki pewien, a wolę się trzymać faktów. Powiedzmy, że jestem osobą, najprawdopodobniej jedyną, która nie tylko dobrze cię zna, ale i szczerze lubi. Jak dotąd zgoda?

Tym razem, zamiast odciąć mu się złośliwie, odparła:

- Ach, dziękuję ci za tę deklarację sympatii... choć nie do końca w nią wierzę... Ale to na nic... mleko się już zwarzyło i nadaje się tylko do wylania.

- Ja nigdy niczego nie wyrzucam, właśnie dlatego wszystko, czego dotknę, zmienia się w złoto. Pozwól mi sobie pomóc. Ja wiele mogę. Oto samą właściwie siłą woli wysiadałem Gerarda z gniazdko na Notting Hill. Słuchaj, sprzedajmy to mieszkanie, fat ma rację, jest okropne, pechowe. Przenieś się do nas, zamieszkajmy razem.

~ Pod jednym dachem z Tamar? Jako wasza gosposia? Piękne dzięki!

- Musicie się z Tamar pogodzić. Obie potrzebujecie spokój... mniejsza o detale... Musicie żyć i być szczęśliwe. Ostrożnie od czego są pieniądze?

- Nic z tego. Ty jesteś człowiekiem szczęśliwym. Ktoś taki jak ty nie może, ot, tak sobie, uszczęśliwić kogoś takiego jak ja. Ja jestem przeklęta, zgubiona. Możesz się zaopiekować Tamar. Zresztą o to ci właśnie tak naprawdę chodzi.

Zadzwoń dzwonek u drzwi.

- Wpadnę do ciebie jutro.

- Nie zastaniesz mnie w domu.

- Nie strasz. Dobrze wiesz, że mi na tobie zależy...

- Na mdłości mi się zbiera od takiej gadaniny!

Wyszła do przedpokoju, otworzyła drzwi mieszkania, po czym zniknęła na powrót w swojej sypialni i przekręciła klucz w zamku.

Usłyszawszy z dołu wołanie żony, Gideon wyniósł walizki na schody i zamknął za sobą drzwi mieszkania Violet. Ona się nie zabije, uspokoił sam siebie. Cieszę się, że jej to wszystko powiedziałem. Zmieni zdanie, gdy sobie całą rzecz przemyśli.

Chociaż Violet nie miała się tej nocy zabić, była, prawdę mówiąc, bliższa targnięcia się na własne życie, niż Gideon Fairfax mógł przypuszczać. Tajemnicza choroba Tamar nie na żarty ją przeraziła nie tyle ze względu na córkę, ile na nią samą. W trupiej bledności i wykrzywionej cierpieniem twarzy dziewczyny dostrzegła obraz własnego losu, swojej własnej śmierci za życia, bo ona - w odróżnieniu od Tamar, która z pewnością zatańczy jeszcze na jej grobie - nigdy nie ozdrowieje. Była wstrząśnięta nowym wcieleniem córki, takiej okrutnej, kierującej się własną wolą, takiej niepodobnej do tamtego zimnego, choć potulnego dziecka, do którego się przyzwyczaiła, a teraz na dodatek przerażona jej niespodziewanym odejściem. W gruncie rzeczy potrzebowała przede wszystkim obecności Tamar, bo bez niej czuła się strasznie, okropnie samotna. Jej przekonanie o własnej podłości, połączone z chroniczną już niemal irytacją, utrudniało w coraz większym stopniu choćby próbę zbliżenia z ludźmi. Nie pozwalała sobie na żadne przyjemności. ^ zapiekłą niechęć do tych wszystkich dobrze odżywionych, e-ganckich, roześmianych osobników, jakich oglądała w telewizji • Nawet picie do lustra, które wypełniało jej ostatnio coraz więcej czasu, nie przynosiło ulgi, przypominało raczej wyszukaną metodę samobójstwa.

Opanowywała ją z wolna poczucie nierze-czywistości, porażała jałowość jednostkowej egzystencji. Bo cóż to właściwie znaczyło być „osobą”, kimś, kto umie mówić, kto pamięta, kto ma jakieś cele, kto potrafi zdusić w gardle krzyk? Czym w istocie było to dziwaczne, nieczyste, wciąż obecne ciało, które zawsze oglądała tylko we fragmentach? Dlaczego jej „osobowość” nie miałyby po prostu stracić swej ciągłości i rozpaść się na chmurę widm, które porwie i rozwieje wiatr?

Później, siedząc nad butelką dzinu, pomyślała: a może się jednak do nich przeprowadzić? Może z nimi zamieszkać? Tamar się w końcu wyniesie. Ale mnie - mnie - nigdy się już nie pozbędą. Uczępię się ich i przemienię ich życie w istne piekło!

Ojciec McAlister, który, ma się rozumieć, nie zamierzał nikogo w sąsiedztwie odwiedzać, myślał już tylko o powrocie do swojej parafii. Ze zbolowanym sercem siedział w wagonie metra i rozmyślał o tym, że łatwiej dawać ludziom wolność, jak ją świat pojmuje, niż uczyć ich miłości. Ostatnio bardzo często wypowiadał słowo „miłość”, często powtarzał je Tamar. W

gęstej od wezbranych uczuć atmosferze spotkań księdza i pokutnicy dziewczyna deklarowała nieraz, że „właściwie” swoją matkę kocha, a jej matka „właściwie” odplaca jej tym samym. To właśnie spodziewał się od niej usłyszeć, do wyrażenia tego właśnie przekonania ją zachęcał. Czyżby aż tak go zaślepiła wiara w potęgę miłości, że nie dostrzegł, zbagatelizował realną obecność zwykłej, ludzkiej nienawiści? Czy nie nazbyt zaufał własnej cudotwórczej mocy, mierząc się z siłami zła, nieprzebranymi co do liczby i różnorodności, przy pomocy siły - nie swojej przecież - która, aby zwyciężyć, musi być równie nieskończona? P<sup>^</sup>ypadek Tamar tak go poruszył dlatego, że szło w nim o stawkę tak wielką. Z przygnębieniem stwierdzał, że znaczna część Jego posługi w konfesjonale (jako spowiednik cieszył się sporą Popularnością) polegała na uwalnianiu dusz zatwardziałych grzeszników, którzy lekcy i radośni odchodzili od krutek kon-jjNjonału, aby dalej grzeszyć. Pocieszał się choć tym, że wracali. ^ Przypadku Tamar chodziło zaś najwyraźniej o kwestię życia lub śmierci. Gdyby ją zdołał wyzwolić, zostałaby wyzwolona naprawdę. I oto on, tak doświadczony spowiednik, zgrzeszył tak bezmierną naiwnością. O tak, dziewczyna wykazała się dzielnością, lecz co ją natchnęło tą odwagą? Czy cały ten szalo trud zdał się tylko na to, by zdobyła siłę potrzebną do porzucenia matki? Czy jego owocem miało być tylko zerwanie, wyzwolenie z obsesji, a nie zwycięstwo ducha?

Jako odtrutkę ksiądz przywołał na pamięć, niczym święte zaklęcie, niewinność dzieciaków, które występowały co roku - pod jego kierownictwem - w bożonarodzeniowych jasełkach, przypomniawszy sobie radość tych małych aktorów, przebranych za Józefa, za Marię, za Trzech Króli, za wołu i osiołka (te role cieszyły się zawsze największym powodzeniem), przypomniawszy sobie dumę ich rodziców, łzy radości, jakie ukradkiem ocierały matki, patrząc na swoje pociechy, które z taką naturalną czułością i umiłowaniem odgrywały historię Bożego Narodzenia. Żłóbek, w którym leżało Dzieciątko, Zbawiciel świata, Zbawiciel wszechświata, Zbawiciel wszystkiego, co istnieje, nabierał w tym zimnym wiejskim kościółku promiennego blasku tak wielkiej świętości, że widzowie szopki w pewnej chwili spontanicznie padali na kolana. Czyż można to nazwać maskaradą, zabobnem? Nie, oczywiście, że nie, lecz on nie był tej świętości godzien, oddzielił się od niej barierą, ponieważ był kłamcą, ponieważ nosił w sobie skazę fałszu, która zabarwiała wszystkie jego czyny. Nie wierzę w Boga, pomyślał, nie wierzę w boskość Chrystusa, nie wierzę w życie wieczne, a jednak wciąż głoszę tę wiarę. Dlaczego? Żeby móc dalej prowadzić życie, jakie dla siebie wybrałem, jakie ukochałem. Moc, jaką czerpię z Chrystusa, jest zbrukana, ponieważ przeze mnie przepływa. Wpływa we mnie jako miłość, wypływa jako czary. To dlatego popełniam tak poważne błędy. Pomimo tego samobiczowania, które stało się już dlań rytuałem, ksiądz czuł się jednak w głębi duszy spokojny i bezpieczny. Za jego zwątpieniem kryła się bowiem prawda, a za zwątpieniem, które wątpiło w tę prawdę - nastJ<sup>^</sup>\* prawda... Był grzesznikiem, lecz takim, który wie, że jego wiciel istnieje.

Droga do domu była długa i zimna. Ogrzewanie w P<sup>o</sup>f<sup>r</sup> nie działało, na szczęście udało mu się złapać na stacji t<sup>^</sup> więc nie musiał brnąć do Foxpath na piechotę. Znalaz s y w swojej skromnej chatynce, zamknął okiennice i zapalił drwa na kominku. Potem ukląkł i zaczął się modlić. Modlitwa podniosła go na duchu. Podgrzał sobie gulasz, który miał w rondelku w lodówce. Jego Mistrz, zwracając mu z powrotem jego problem, objawił mu, że teraz celem jego starań powinna się stać Violet Hershaw.

O setki kilometrów od Foxpath, w małym nadmorskim miasteczku na południu Francji Jean i Duncan Cambusowie siedzieli w kawiarni, rozkoszując się pierwszymi wiosennymi promieniami słońca. Oboje wyglądali jak okazy zdrowia. Duncan znacznie schudł. Znaleźli i kupili, nieco dalej w głębi łądu, dokładnie taki dom, o jakim marzyli: stary, malowniczo położony, kamienny wiejski dom. Naturalnie wymagał gruntownego remontu, ale to wcale ich nie odstraszało. Zamieszkali tymczasem w hotelu.



Choć słońce przypiekało, od morza wiał zimny wiatr, ubrali się więc ciepło - Duncan w starą marynarkę z irlandzkiego twee-du, Jean w obszerny pulower z Angory. Siedzieli na powietrzu, w altance obrosniętej pączkującą winoroślą, i popijali białe wino z miejscowych plantacji. Wkrótce wejdą do środka i zjedzą ze smakiem wyborny lunch, popijając go tutejszym winem czerwonym, a na deser zamówią koniak. Z terrase kawiarenki rozciągał się widok na mały, lecz solidny port z krótkimi, grubymi pirsami, na szerokie nabrzeża z wielkich bloków jasnoszarego kamienia, na rozłożyste, pełne gracji kutry rybackie zawalone zwałami brunatnych sieci i na kołyszące się na fali maszty smukłych jachtów.

Jean i Duncan, jak często ostatnimi czasy, przyglądali się sobie w milczeniu, w poważnym, spokojnym milczeniu, przerywanym jedynie westchnieniami i nieznacznymi gestami, po obojgu do ruchów, jakie wykonują odpoczywające zwierzęta, gdy przeciągają się sennie z leniwą rozkoszą. Uciekli! Znalazłszy się z dala od ludzi, którzy tak chętnie ich osądzali lub gnębili, wścibiali nos w ich prywatne życie, mogli wreszcie spojrzeć na tych sędziów i natrętów z góry. Ich miłość przetrwała. Było przecież najważniejsze, stanowiło w istocie samo ocalenie, o tym też stale oboje myśleli, komunikowali je sobie niemo, milczącymi spojrzeniami, nieśmiałościami, objawami radości z nowego domu, z życia we

\* dobrego jedzenia, trunków, spacerów, po prostu przebywania w swoim towarzystwie. Stale wskazywali jedno drugiemu rzeczy interesujące, zachwycające, piękne lub zabawne. Wciąż dowcipkowali, często się też śmiali.

Odrębnym aspektem ich milczenia była sfera przeżyć zatajanych. Nosili w sercach wspomnienia zbyt bolesne, by można się nimi dzielić, poza tym posiadanie tak strasznych sekretów dostarczało obojgu, oprócz sporadycznego dreszczu trwogi, również swoistego głębokiego podniecenia, dodawało energii, napełniało poczuciem niezwyklej bliskości. Jean nie powiedziała Duncanowi, dlaczego jej samochód rozbił się wtedy na rzymskiej drodze ani o wyznaniu Tamar na temat wieczoru, jaki z nim spędziła, ani o dziecku poczętym, a potem zgłodzonym, ani o tym, że znalazła kartkę od Crimonda, wyzwanie na pojedynek, wpadła w panikę i zatelefonowała do Jenkina. Wiedziała więc tyle, ile wiedział Duncan (choć on nie wiedział, że ona to wie), a nawet więcej od niego. Z kolei Duncan nie powiedział żonie o przygodzie z Tamar, o której Jean już zresztą wiedziała, nie wyjawiał jej też okoliczności śmierci Riderhooda, których nawet się nie domyślała. Uznała za nieprawdopodobne, by Duncan mógł pojechać na to spotkanie z Crimondem, a Duncanowi nawet nie przyszło do głowy, że Jean mogła odkryć tę kartkę. Rozważywszy wszystkie okoliczności, pani Cambus uznała za nader mało prawdopodobne, by Tamar zdecydowała się kiedykolwiek wyznać mu prawdę o dziecku. Przypuszczała, że dziewczyna zechce jak najszybciej zapomnieć o tym okropnym przeżyciu i okaże na tyle przyzwoitości, by oszczędzić przygodnemu kochankowi zbędnego cierpienia. Nie ulegało też dla niej wątpliwości, że Crimond zachowa milczenie na temat zdarzeń na rzymskiej drodze. Z kolei Duncan uważał za nader nieprawdopodobne, by jego rywal miał kiedykolwiek wyjawić, jak zginął Jenkin. Crimond miał wysokie pojęcie o cnocie dochowywania tajemnic, więc weźmie sobie za punkt honoru, by nie oskarżać Cambusa o coś, za co w gruncie rzeczy sam ponosił winę. Zastawił śmiertelną pułapkę i zwabił w nią rywala, co doprowadziło do śmierci Jenkina. We własnym więc interesie, ale i z poczucia sprawiedliwości wobec Duncana, powinien milczeć jak grób. Fakt, że tylko jeden z pojedynkowych rewolwerów był załadowany, stanowił przedmiot częstej zadumy Duncana - za-

dumy raczej niż domysłów. Uznawał tę zastanawiającą okoliczność za swego rodzaju finał całej sprawy. Crimond nie zamierzał go zabić, chciał z niego uczynić zabójcę. Położył rewolwery na stanowiskach, uprzednio je wybrałszy. Duncan z miejsca od rzucił możliwość, by przeciwnik pozostawił ich wybór losowi. Pamiętał jego słowa: „Nie jest wcale łatwo zastrzelić człowieka nawet z tak małej odległości, jeśli nie jest się wytrawnym strzelcem”. Crimond był

przygotowany na śmierć i chciał, by mu ją zadano jak należy. Być może doszedł do wniosku, że w efekcie i tak okaże się zwycięzcą. Jeśli zginie, uwolni się od ciężaru życia, które po ukończeniu książki straciło dlań prawdopodobnie jakąkolwiek wartość, i zostawi Duncana z trudnym zadaniem wytłumaczenia się z czynu, który wedle wszelkich oznak wyglądał na morderstwo z premedytacją. Jeśliby zaś ocalał, pozbyłby się Duncana raz na zawsze, rachunki między nimi byłyby wyrównane i mogliby nareszcie o sobie zapomnieć. Duncan rozumiał tę zawiłą kalkulację pokrętnego umysłu rywala. Sprawdzała się najwyraźniej i w jego przypadku. „Nie skończona sprawa” została wreszcie zamknięta. Obudziwszy się któregoś dnia, stwierdził ze zdumieniem, że nie czuje już do Crimonda nienawiści.

Pomimo wszystkich racji, by wystrzegać się tego tematu, Cambusowie często o Crimondzie rozmawiali, ale w sposób niemal sformalizowany, jakby prowadzili jakąś grę, w której występowali nie przeciwko sobie, lecz w jednej drużynie. Zgodzili się milcząco, że po prostu muszą przez tę fazę przejść. Potem już nigdy więcej nie wymienia tego nazwiska. Z kolei o Jenkinie myśleli często, ale nigdy o nim nie rozmawiali. Osobliwą cechą ich zgodnego milczenia w tej sprawie był fakt, że oboje oskarżali się o jego śmierć. To wszak telefon Jean wysłał Jenkina do „pokoju zabaw”, to palec Duncana pociągnął za spust. Zawiera się w tym ironia, której nigdy nie mieli wspólnie dostrzec.

- Kłopot z Crimondem polegał między innymi na tym, nie miał za grosz poczucia humoru - stwierdziła Jean.

(Mówiąc o Crimondzie, posługiwali się wyłącznie czase przeszłym). juZ

- Zupełnie się z tobą zgadzam - przytaknął Duncan. ^ ^ na studiach dał się poznać jako wyjątkowy ponurak. D a c% ^ się zbliżyli z Levquistem, bo i staruszek nie grzeszył poc humoru. Przypuszczam, że w jego przypadku zawiniła mitologia grecka, w którą wsiąkł bez reszty. Żył właściwie w świecie greckich mitów jako jeden z ich bohaterów.

- Grecy chyba nie mieli poczucia humoru...

- Tyle. co kot napłakał. Arystofanes jest w gruncie rzeczy mało śmieszny, zresztą w całej literaturze greckiej nie znajdziesz kawałka naprawdę śmiesznego w takim sensie, w jakim bywa śmieszny choćby Szekspir. Chyba jednak żyli w blasku zbyt oślepiającym i mieli zbyt wyostrzony zmysł przeznaczenia.

- Byli zbyt zadowoleni z siebie.

- To prawda. Do tego czuli zbyt wielki lęk przed bogami.

- Sądzisz, że naprawdę w tych bogów wierzyli?

- Z pewnością wierzyli w byty nadprzyrodzone. Na swój wzniosły sposób byli potwornie przesądni.

- To przypomina Crimonda. I on był na swój wzniosły sposób potwornie przesądny.

- Jego pierwszy opublikowany tekst dotyczył właśnie mitologii.

Na chwilę zapadło milczenie. W rozmowach o Crimondzie nigdy nie wspominali o książce.

- Kiedy przyjedzie ojciec, wyjedźmy do Grecji - zaproponowała Jean.

Joel Kowitz, wielki miłośnik podróży, podczas drugiej „przygody” Jean z Crimondem dyskretnie omijał Londyn. Jego powściągliwość nie wynikała z przekonania o trwałości czy nie-trwałości nowego związku córki. Po prostu wiedział, kiedy jest mile widzianym gościem, a kiedy wręcz przeciwnie. Wczytywał się uważnie w listy córki (w tym okresie pisywała bowiem do niego regularnie), czekając na wezwanie, które zostałyby wysłane w tej samej zapewne chwili, w której Jean zapragnęłaby naprawdę zobaczyć ojca. Dla jego kochającego serca listy jedynaczki stanowiły lekturę przynębiającą. Przynosiły wyłącznie Pedantyczne wręcz doniesienia o tym, że czuje się świetnie, Crimond ma się dobrze, pracuje nad książką, pogodę mają pod Psem, a kończyły się wyświechtanym zwrotem: „Serdecznie pozdrawiam”. Joelowi przyszło do głowy, że te listy przypominają Pty pisane z więzienia - ocenzone. Odpisywał na nie z delikatnością i taktem, opowiadał w dowcipny sposób o swo-łrn dniu codziennym (epistolista był świetnym) i nie zadawał

żadnych pytań. Prawdę powiedziawszy, gorąco pragnął odwie dzić nie tylko Jean, ale i Crimonda, którego uważał za wyjątkowego i niezwykłego człowieka, daleko wartościowszego i eie kawszego od prawowitego zięcia. Potem nastąpiła wymowna przerwa w korespondencji, po której przyszedł od Jean list całkiem odmienny w tonie. Wróciła do Duncana, mieli zamiar zamieszkać we Francji, wyrażała nadzieję, że ojciec wkrótce ich odwiedzi. Joel, który ani na chwilę nie przestawał o córce myśleć i trapić się jej losem, pożegnał krótkim westchnieniem Davida Crimonda (gdybyż wyszła za niego w swoim czasie!), bo ucieszył się szczerze, wyczytawszy w liście oznaki powrotu do życia, nowy ton nadziei, szczerłość i odmianę stylu.

- Musielibyśmy się upewnić, że robotnicy dokładnie wiedzą, co mają robić pod naszą nieobecność.

- Nie wybrałam jeszcze kafelków do kuchni - poskarżyła się Jean. - Wolałabym, żeby ojciec jednak nie przyjeżdżał przed końcem remontu. Moglibyśmy się z nim spotkać w Atenach, pobyc z tydzień razem, a potem pojechać do Delf.

- Byłoby wspaniale odwiedzić znów Ateny! - oświadczył Duncan.

Tego, czy chciałby pojechać do Delf, nie był już tak pewien. Ów groźny bóg mógł się tam wciąż kręcić. (Duncan miał w charakterze rys szkockiej zabobonności). Nie życzył sobie kolejnych zaskakujących ingerencji w ich życie, nie chciał narażać Jean na żadne silne emocje. Drżał o jej zdrowie jak o zdrowie osoby, która z trudem wracała do siebie po długim okresie obłądu.

- Rozumiem, że odwołałaś wizytę Rose?

- Tak.

Cambusowie zatrzymali się na krótko w Paryżu u starych znajomych jeszcze z czasów pracy Duncana w dyplomacji i Jean napisała stamtąd, pod wpływem nagłego impulsu, czu y list do Rose, list zwięzły, oszczędny w słowach, mający służyć jedynie jako sygnał, symbol lub tajny znak porozumienia, pier ścień, talizman czy hasło, świadczące o wznowieniu ich czu przyjaźni, której nic zakłócić nie mogło. Panna Curtland, rozumieć, odpisała niezwłocznie, zapytując, czy mogłaby busów odwiedzić. Ci jednak tymczasem wyjechali i jej ^V^j nie krótki i wymowny jak list Jean, podążył za nimi na po

Francji. Jean dopiero stamtąd odpisała Rose. Prosiła, żeby na razie nie przyjeżdżała. Ich przyjaźń uważa oczywiście za dozonną, nie jest jednak pewna, czy pragnęłaby w tej chwili przyjaciółkę widzieć. Przetrwały epizod irlandzki, więc przetrwają zapewne i tę rozłąkę. Jean nie czuła najmniejszej potrzeby szczerych, czułych spojrzeń i rozmów od serca. Później, kiedy ich wymarzony dom zostanie ukończony, zaczną oczywiście zapraszać gości - starych przyjaciół, Rose, Gerarda... jakże ich niewielu... i nowych przyjaciół, jeśli się tacy w ich życiu pojawiają, a także znajomych, błyskotliwych i zabawnych ludzi.

Czy z tymi ranami w sercu zdołamy na powrót odnaleźć spokój, zastanawiała się nieraz, czy to wszystko - nasz dom, Duncan, który tu siedzi, taki spokojny i piękny jak dawniej, podobny do lwa - jest naprawdę rzeczywiste? Bogu dzięki, mniej teraz pije, służy mu francuska kuchnia. Latem będziemy codziennie pływać w morzu. Czy to możliwe? Czyżbym naprawdę przestała kochać Crimonda? Ostatnio często zadawała sobie to pytanie, nie tyle dlatego, by żywiła w tej mierze jakieś wątpliwości, ile raczej dlatego, by tym wyraźniej uzmysłowić sobie fakt własnego ozdrowienia. To wszystko było takie smutne, tak niewymownie smutne. Wraz ze śmiercią Jenkina coś się skończyło, prysnęło kilka ostatnich złudzeń... a może tylko jedno z nich. Oczywiście Crimond nie zamordował Riderhooda umyślnie. Tak czy owak pozbawił go jednak życia. Jean nawet nie próbowała wnikać w tamtą zagadkową, okrytą mrokiem niejasności scenę, bo choć wierzyła w podaną przez Crimonda wersję wypadku, wyczuwała w nim jakąś tajemnicę. Można by sądzić, że Crimond zastrzelił sam siebie. Zatem śmierć Jenkina nie była całkiem daremna, myślała Jean. On umarł za mnie. Oczywiście, takie przypuszczenie mogło się wydawać szalone, ale wszak wszystko, co dotyczyło Crimonda,

zatrącało szaleństwem. W pewnym też sensie i ja jestem winna śmierci Riderhooda, nie tylko dlatego, że wtedy do niego zadzwoniłam, ale i dlatego, że nie odważyłam się zabić Davida tamtej nocy na rzymskiej drodze. Cóż za dziwna myśl: ułamek sekundy i już bym nie istniała. Co on właściwie zamierzał? Skreśliłby w ostatniej chwili czy może sądził, że ja to uczynię? Czy pragnął się poddać próbie, która - gdyby prze-2y\* - przyniosłaby mu wyzwolenie? Czy może to był tylko samobójczy pakt? Przewidywał, że ona w ostatniej chwili stchó- rzy, sprawi mu zawód, ale i da pretekst do zerwania ich zwi-w miarę miłosierny sposób, do dokonania na ich miłości sym bolicznego zabójstwa? Gdybym sprostała próbie, zginęłabym ponieważ jej nie sprostałam, zostałam porzucona. Ale przecież i on mógł zginać, prawdopodobnie chciał tego, chciał mi się złożyć w ofierze, a ja jego ofiary nie przyjąłam. Naprawdę podjął ryzykowną grę, zmieniając religijny rytuał, egzorcyzmy w hazard. Chciał zakończyć naszą miłość albo skończyć z życiem i bogom zostawiał decyzję, jak to się dokona. Tyle razy powtarzał, że ich miłość jest niemożliwa... a jednak ją kochał, na przekór i wbrew temu niepodobieństwu. Czasami o nim śniła śniła, że się pogodzili, a gdy stwierdziła po przebudzeniu, że to był tylko sen, nie mogła powstrzymać łez. Kiedy wówczas na rzymskiej drodze powiedział: „Odejdź, wykorzystaj swą szansę, więcej się nie zobaczymy”, przemawiała przez niego miłość, szalona miłość, gotowa poświęcić życie ich obojga. Czy taka miłość może w ogóle umrzeć? Czy nie ulega raczej metamorfozie, usycha i usypia w gęstym mroku, przybierając postać skarłalej, znieruchomiałej formy życia, zdolnej trwać latami w głębi ziemi ani żywa, ani umarła? To już skończone, perswadowała sobie Jean, pragnąc odpędzić te smutne obrazy, skończone na zawsze. Mam teraz nowe życie, życie pod godłem szczęścia. Nigdy nie przestałam kochać Duncana... Będziemy mieli dom, a niedługo zobaczą znowu ojca. Boże, spraw, by nasze udęczone serca zaznały nareszcie spokoju. Z kolei Duncan myślał: jesteśmy oboje tacy milczący, tacy cisi i spokojni... czy aby nie dlatego, że jesteśmy już martwi.' Nie umiałby powiedzieć, czy przetrwał tę małżeńską katastrofę lepiej, niż mógł się spodziewać, wręcz najlepiej ze wszystkich zaangażowanych, czy też po prostu został unicestwiony? Czuł się nieraz tak, jakby go całego pogruchotano, zmiażdżono i starto na proszek, niczym wielką porcelanową wazę, której szczątków, co oczywiste, nie uda się już nigdy złożyć z powrotem w całość Jeszcze częściej miał poczucie, że został zeń tylko kikut, g J' złośliwy, szydery kikut. Ta pozostałość dawnego Duncana nie zazna już cierpienia. Gruba skóra będzie odtąd jego tarczą- y się wycierpiał z powodu Jean, że cierpienie już mu się prze} | ^ Może koniec świata już nastąpił, może świat przestał istnieć ^ z Crimondem w tamtym pokoju w suterenie, a może tam ej niej nocy, gdy zobaczył, jak Jean tańczy z byłym kochankiem? Może wiódł życie po życiu? Dawne szerokie trakty jego duszy zniknęły- zostały zdeptane, zatarte i teraz jego dusza leżała ugięta, żył z połową duszy, z ułamkiem duszy, jak człowiek z jednym płucem. Został z niej tylko ogryzek, pociemniały, wyschnięty, nie większy od kciuka. A mimo to Duncan miał czelność snuć plany na przyszłość i marzyć o życiu szczęśliwym, a nawet o zapewnieniu szczęścia swojej żonie! Kto wie, może zawsze nosił w sobie tę nikczemną, tępą gruboskórność, jedynie oswojoną i uspioną przez miłość do Jean, największą miłość jego życia, która tak gruntownie odmieniała mu świat, a także przez niezwykle sukces, za jaki poczytywał sobie poślubienie bogatej, pięknej, inteligentnej Jean Kowitz, obiektu westchnień tylu konkurentów. Kto wie. może właśnie za tę małą łyżkę próżności w wielkiej beczce miłości teraz pokutował. Kochał Jean, „wybaczył” jej, ale jego zraniona miłość własna głośno domagała się satysfakcji. Czy aby nie stanie się w końcu jak ten uwolniony z butelki złośliwy demon? Co zaś dziwniejsze, odnosił nieraz wrażenie, że Jean wyczuwa tego wyrwywającego się na wolność demona i że budzi on jej podświadome podniecenie, jakby się zaraziła nową, złą naturą męża.

Innym znów razem zdumiewały Duncana jego własny spokój, delikatność, rozsądek, a nawet wesołkowatość. Kochał żonę i nie posiadał się ze szczęścia, że może ją kochać. Czuł się

zmęczony, lecz nie powalony zmęczeniem, a mile rozleniwiony. Cieszył go nowy dom, potrafił poświęcić całą uwagę kwestii lokalizacji basenu, nawet gdy budził się w środku nocy. Nie zapominał jednak o koszmarach, zjawach i ciemnych postaciach, które przy nim stały i wobec których czuł się niepozorny i bezsilny. Czy będą przy nim tylko stały do końca jego dni, nie wyrządzając mu poza tym żadnej innej krzywdy, czy może ich ciągła obecność doprowadzi go w końcu do obłędu? Czy zdoła dalej żyć ze świadomością, że w każdej dosłownie chwili... Jakie nieprzewidziane nieszczęścia zgotuje mu jeszcze przyszłość? Czy David Crimond pojawi się ponownie w jego życiu, bezlitośnie i nieuchronnie, mimo upływu lat? Jean zapytała go nawet (choć tylko dlatego, jak mu wyjaśniła, ponieważ czuła, że musi to powiedzieć, by się od tego pytania uwolnić): „Czy gdybym znowu do niego odeszła, wybaczyłbyś mi, przyjąłbyś mnie z powrotem?”. „Tak - odparł - wybaczyłbym ci, przyjąłbym cię wrotem”. „I za siódmym razem?” „I za siedemdziesiątym siódmym”. „Musiałam cię o to zapytać - powiedziała - choć wi że moja miłość do tego człowieka wypaliła się już doszczętnie” Czy naprawdę? Skąd mogła to wiedzieć? Czy nie pobiegłaby do niego, gdyby tylko gwizdnął, zastanawiał się Duncan z reżys<sup>o</sup> nacją. Siedemdziesiąt siedem to niemała liczba. Jeśli dane im będzie żyć w spokoju, czy nie zmęczy się w końcu ciągłym niepokojem o ponowne zejście się kochanków? Miał teraz czym zająć myśli, miał dom, w którym będzie siedział i pisał pamiętniki, a Jean urządzi ogród i napisze książkę kucharską, co tyle-kroć zapowiadała, a może - kto wie? - zaczną jeździć po okolicy i napiszą przewodnik albo zaczną podróżować i pisać przewodniki po różnych stronach świata? Nie przestawał też rozmyślać, choć nie były to myśli obsesyjne, lecz wręcz chłodne, o tym, co było wiadome tylko jemu i Crimondowi - o śmierci Jenkina. Nie odczuwał najmniejszej potrzeby ani chęci wyznania komukolwiek, co się wtedy naprawdę zdarzyło. Jeśli ludzie chcieli wierzyć, że Jenkina zamordował Crimond, bardzo proszę, zresztą nie było to wcale dalekie od prawdy. Dopiero niedawno odprawił ukradkiem osobliwy pochówek. Kiedy feralnego dnia opuścił Crimonda, polecając mu, by zajął się ciałem zabitego i zawiadomił policję, wyniósł w kieszeni pięć wypełnionych ołowiem podróbek naboju, które wcześniej usunął z rewolweru, z którego zastrzelił Jenkina. Nie potrafił się zdecydować, co ma z nimi zrobić. Gdyby kiedykolwiek znaleziono przy nim te dziwne pestki, mogłyby się one okazać bardzo niewygodnymi, obciążającymi go dowodami. Należało się ich koniecznie pozbyć. Okazało się jednak, że w Londynie jest to wręcz komicznie trudne do przeprowadzenia z pełną gwarancją bezpieczeństwa. Duncan zabrał więc naboje ze sobą do Francji i któregoś dnia, zatrzymawszy samochód w dzikim ustroniu daleko od ich wiejskiego domu, oddalił się i - podczas gdy Jean rozpakowywała piknikowe wiktuały - wrzucił je do głębokiej zatoczki na rzece. Trzymając w dłoni te gładkie, ciężkie bryłki, pomyślał o Jenkinie. To, co miał zrobić, przypominało pogrzeby na morzu.

Rozumiał już, dlaczego Crimond musiał się z nim spotkać. Skłoniła go do tego ta sama nieodparta, nagląca potrzeba, jaka popycha toreadora do dotknięcia byka, z którym walczy. chanka go opuściła, lecz pozostał dramatyczny konflikt między nim a mężem rogiaczem, a Crimond nie lubił długów i zawsze sumiennie zwracał pożyczki. Był hazardzistą, który czuje respekt przed bogami. Gest obnażenia piersi leżał w jego najgłębszej naturze, stanowił rytuał oczyszczenia, rodzaj egzorcyzmów, niczym u starożytnych Greków tragedia winy, którą można odkupić jedynie przez poddanie się woli boga. Ale dlaczego musiał umrzeć Jenkin? Crimond ofiarował się na ofiarę Duncanowi, tymczasem Duncan zastrzelił Jenkina. Czy to znaczy, że Jenkin zginął w zastępstwie Crimonda, musiał umrzeć, by tamten mógł żyć? Czy jakiś głęboki współudział z Crimondem sprawił, że Duncan zabił Jenkina, żeby nie zabić Crimonda? Nie zabijając Crimonda, spowodował śmierć Jenkina. A może nawet, w pewnym sensie, celowo mu ją zadał? Duncanowi codziennie stawał przed oczami purpurowy otworek w czole Riderhooda, a w uszach dźwięczał odgłos upadku jego ciała na podłogę. Wzdragał się na wspomnienie ciepła jego kostek pod skarpetkami, gdy włókł zabitego przyjaciela przez

całą długość pokoju, i przypominał sobie z dreszczem zgrozy, jak przestępował przez jego zwłoki, gdy z gorączkowym pośpiechem uprzętał miejsce zbrodni. Pamiętał płacz Crimonda. Wobec tych strasznych wspomnień zadawał sobie pytanie - i na oślep szukał na nie odpowiedzi w otchłaniach pamięci - czy aby już od dawna, zabawiając się bronią, nie marzył o tym, że któregoś dnia położy kogoś trupem takim strzałem w sam środek czoła? Może jakaś dawna, sadystyczna fantazja, od lat piastowana w mrokach jego duszy, czyhała tylko na okazję, by pokierować jego ręką i dokonać podobnego czynu - a doczekawszy się, znalazła go gotowego, bo przygotowanego przez inne zaszczości, jak na przykład zastarzałą zazdrość o Jenkinsa, która przetrwała w jego sercu jeszcze z oksfordzkich czasów? (Po śmierci Sinclaira Gerard poszukał pociechy u Jenkinsa, a nie u Duncana). Czy w tym ułamku sekundy, poprzedzającym pociągnięcie za spust, nie podjął aby decyzji? Pragnął zabić Crimonda, przekonał się jednak, że nie jest do tego zdolny... przestraszył się... bo tak naprawdę wcale nie pragnął go zabić... lecz musiał wyrzucić na kogoś zemstę i ktoś zginąć musiał. Można by powiedzieć, że nie znalazłszy w sobie siły do zabicia znienawidzonego wroga, zabił własnego psa.

- To twoje dziwne oko wygląda już lepiej - stwierdziła J przyglądając się bacznie mężowi. - Właściwie niczym się różni od zdrowego. Lepiej na nie widzisz?

- Chyba tak... tak mi się przynajmniej wydaje... Cwaniaczek mózg znalazł jakieś rozwiązanie, zresztą nie po raz pierwszy

- I dla nas jakieś znajdzie - powiedziała. Wymienili zmęczone, porozumiewawcze uśmiechy.

- Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy się zaczęły twoje kłopoty z tym okiem. Kiedyś ich nie miałeś.

- Och, dawno, jeszcze przed naszym wyjazdem do Irlandii. - Coś w tej wymianie zdań sprawiło, że Duncan uznał nagle, iż nadeszła pora, by wyjawić żonie prawdę o romansie z Tamar. Poczuję ulgę, kiedy to z siebie wyrzuci. - Wiesz, chciałbym ci coś wyznać... To ma związek z Tamar... Miałem z nią jednego wieczoru... pod twoją nieobecność... biedaczka przyszła, żeby mnie pocieszać... mały przelotny romansik.

- Z Tamar?! Z tym uroczym, kochanym dzieciakiem?! No wiesz! Jak mogłeś? - wykrzyknęła z oburzeniem, choć poczuła po tym wyznaniu męża zaskakującą ulgę, jakby ta drobna, mamie sfalszowana szczypta prawdomówności miała im w jakiś sposób wyjść na dobre. - Mam nadzieję, że jej nie skrzywdziłeś?

- Oczywiście, że nie! Właściwie nic się takiego nie stało. Po prostu mnie objęła... chciała mnie pocieszyć. Czuję się podle, jak zbity pies, więc ją przytuliłem. Ujęła mnie swoim oddaniem. Nic złego się nie stało. Do niczego między nami nie doszło.

Pocziwy stary kłamczuszek, uśmiechnęła się w duchu Jean. Nie myślę go oczywiście nękać pytaniami.

- Mam nadzieję, że to jej pochlebiło.

- Chyba raczej mnie! Pewnie uznała, że w ogóle nic się nie stało. Jesteś na mnie zła?

- Ależ skąd! Już nigdy nie będę na ciebie zła, ponieważ cię kocham.

Gdyby Tamar nic przyszła wtedy do mnie, aby mi powiedzieć o dziecku Duncana - pomyślała

- nawet by mi do głowy nie wpadło przeszukiwać jego biurko i dzwonić do Jenkinsa z błaganiem, by czym prędzej jechał do Crimonda. Gdyby Duncan nie uwiódł Tamar, Jenkin by nadal żył. Gdybym ja nie opuściła Duncana, Duncan nie uwiódłby Tamar. Więc czy to wszystko o moja czy może jego wina, a może wina Tamar lub wyrok przeznaczenia, czymkolwiek ono jest? Boże, jaka ja się czuję czasami zmęczona! Czuję się tak, jakby Crimond odgryzł część mojego ciała, która już nie odrośnie. Może to kara za opuszczenie męża? Czy ustaną kiedyś skutki tych moich postępów? Na dodatek ta biedaczka Tamar i jej dziecko. Jean myślała czasem w nocy o tym dziecku, dziecku Duncana, które mogli przecież adoptować. Więc skoro Duncan może płodzić dzieci, mógłby spłodzić jeszcze jedno, z inną kobietą, mogliby je wychowywać i cieszyć się nim... Nie wolno tak nawet

myśleć, już za późno, to zbyt skomplikowane, minął czas tajemnic, nowych początków i zaskakujących przygód, ich zadanie ograniczało się obecnie do tego, by się po prostu nawzajem uszczęśliwiać.

Wiatr osłabł i morze, dotąd lekko wzburzone, połyskujące białymi barankami fal, wygładziło się. Przestały się kołysać maszty stojących w porcie jachtów. Jakiś kuter rybacki wypływał na połów, jego silnik kichał i kaszał rytmicznie. Ten dyskretny, stłumiony terkot sprawił Cambusom przyjemność, jakby spoił i podsumował całą scenę - port i morze - scenę tak piękną, spokojną i pełną obietnic. Szafirowe morze, gładkie niczym lustro, zlewało się na horyzoncie z czystym, bezchmurnym niebem, które w zenicie lśniło słonecznym, błękitnym blaskiem południa.

- Lunch! - obwieścił Duncan. - Pora na rozkosze stołu.

Jean twierdziła uparcie, że najpiękniejsza godzina to pora aperitif. Choć mąż wstał, nie ruszała się z miejsca, zasłuchana w turkot silnika wypływającego kutra, zapatrzona w morze. Wstając, Duncan wsunął rękę do kieszeni starej, tweedowej marynarki i wyczuł pod palcami jakiś kształt kulisty, miękki i puszysty. Wyjął rękę. Trzymał w palcach mały, czerwony kłaczek, jakby zmięty motek jedwabiu lub nici. W jednej chwili spąsował na twarzy. Przed oczami miał oczywiście kłaczek włosów Crimonda, który tak dawno temu podniósł z podłogi sypialni na wieży w Irlandii. Rozchylił palce i pozwolił małemu kłębuszkowi opaść na chodnik. Przez chwilę leżał u jego stóp, a potem słaby podmuch wiatru poruszył nim i poturlał leniwie pod żeliwną nogę kawiarnianego stolika. Duncan omal nie uległ impulsowi, by go na powrót podnieść. Jak może pozwolić, by ten fatalny puch zniknął na zawsze na śmietniku świata? Kłębuszek potoczył się tymczasem na jezdnię, skąd porwał go niebawem pęd powietrza przejeżdżającego samochodu. Auto njechało, a Duncan miał wrażenie, że wciąż widzi na jezdni dawny kłaczek włosów. ' 1 ru"

Jean wstała.

- Po lunchu pójdziemy obejrzeć kafelki.

Weszli do restauracji. Duncanowi zrobiło się żal samego siebie. Pomyślał, że pewnie umrze niedługo na raka lub "zginie w jakimś niezwykłym wypadku. Nie czuł się bynajmniej nieszczęśliwy z tego powodu, choć śmierć mogła naprawdę czyhać tuż za rogiem, miał bowiem obecnie wrażenie, że on i śmierć stali się ostatnio bliskimi przyjaciółmi.

- Nie udało nam się znaleźć tego kamienia w lesie - poskarżyła się Lily.

- Jakiego kamienia? - zaciekała się Rose.

- Starożytnego menhiru, prastarego głazu. Jestem pewna, że gdzieś tutaj jest.

- Owszem, mamy tu niedaleko osiemnastowieczny kamień z jakąś łacińską inskrypcją, jednak niezbyt wielki. Nie sądzę, byś znalazła w okolicy cokolwiek prehistorycznego, jeśli to masz na myśli.

- Rzymska droga biegnie wzdłuż linii mocy.

- Doprawdy?

- To dlatego rozbił się samochód Jean.

- Jak to?

- Te linie, łączące czakramy ziemi, są naładowane ludzką energią, skupiają się w nich duchy. Chyba wiesz, czym są duchy? To strzępki świadomości ludzi z dawnych epok, ich uczucia, widoki, jakie oglądali. Jean musiała zobaczyć ducha... najpewniej rzymskiego legionisty.

- Powiedziała, że zobaczyła lisa.

- Ludzie niechętnie przyznają, że widzieli duchy. Wiedzą, że zostaną wyśmiani, no i boją się... Duchy nie lubią, kiedy się o nich rozpowiada, ale kiedy zobaczysz ducha, nie masz co do tego żadnej wątpliwości.

- A ty już jakiegoś widziałaś?

- Nie, ale bardzo bym chciała. W Bojarówce muszą być duchy.

\_ Mam nadzieję, że się mylisz - powiedziała Rose. - Nigdy niczego podejrzanego nie zauważyłam. Nie lubiła tych rozmów o duchach.

\_ Wciąż nie tracę nadziei, że zobaczę kiedyś ducha Jamesa, ale na razie nic z tego.

- Jamesa?

\_ Mojego męża... no wiesz, tego, po którym odziedziczyłam tę forszę.

- A, rzeczywiście, przecież ty byłaś mężatką! Przepraszam, zapomniałam...

- Nie czuję się wcale wdową. To tak migiem poszło. Do tego biedny James już za życia przypominał widmo.

- Często o nim myślisz?

- Nie. Teraz już nie.

Rose uznała, że lepiej nie drażnić tego tematu.

- Więc nie masz od Gullivera żadnych wieści? - spytała.

- Ani słóweczka. Jest w Newcastle. W każdym razie zapowiadał, że tam się wybiera. Ale mogło go zanieść dokądkolwiek, do Leeds, do Sheffield, do Manchesteru, do Edynburga, do Aberdeen, do Irlandii, a nawet do Ameryki. Zlikwidował mieszkanie i adieu, przepadł jak kamień w wodę. Zawsze o tym marzył, często mi o tym mówił: wyjechać i zniknąć bez śladu.

- Myślę, że wkrótce napisze.

- Nie wierzę. Gdyby miał taki zamiar, dawno by napisał. Powiedział, że chce zakosztować przygody. Na pewno już sobie kogoś znalazł. Straciłam go. No i dobrze, przestało mi na nim zależeć. Ulepię z wosku jego podobiznę i wrzucę w ogień, jak... jak kukłę Guya Fawkesa w rocznicę Spisku Prochowego... Była zupełnie jak żywa, podnosiła ręce i... Boże, to było takie straszne!...

W oczach Lily zaszklily się łzy i głos jej się załamał.

Lily Boyne i Rose Curtland spacerowały po ogrodzie w Bojarówce. Nastął już wieczór, wilgotny, przesycony woniami, niemal wiosenny, choć czuło się jeszcze w powietrzu zimowy chłód. Niskie, burzowe chmury, grube, skłębione i żółtawe, ze świetlistymi, strzępiastymi, białymi obwódkami, odsuwały się wolno na wschód, odsłaniając czystą, przejrzystą połąć nieba i czerwoną łunę zachodu. Deszcz, który padał przez cały niemal dzień, wreszcie ustał. Obie panie miały na sobie płaszcze i kalosze.

Lily zatelefonowała do Rose z pytaniem, czy ktoś ze znaior nie miał jakiejś wiadomości od Gulla (nie. nikt nic nie wiedział a że sprawiała przez telefon wrażenie bardzo przygnębion panna Curtland, ujęta współczuciem, zaprosiła ją do Bojarówki choć pora na taką wizytę nie była, prawdę powiedziawszy, na szczęśliwsza. Annuszka, która cierpiała na okresowe zawroty głowy, przebywała w szpitalu na badaniach. Również Myszobój wyglądał na chorego, a może po prostu chodził osowiały z powodu nieobecności Annuszki, bo to ona była przecież jego panią Bojarówka sprawiała wrażenie opuszczonej, jakby postradała duszę, która uleciała, wygnana złymi przecuciami. Może przeczuwała, że dom wkrótce opustoszeje, popadnie w ruinę albo gruntownie się zmieni, przybierając też nową duszę. Rose snuła się po pokojach i zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek uważała to miejsce za swój prawdziwy dom.

Pod gęstwą zarośli kwitły już blade żonkile. Wrony, strudzone całodzienną bitwą ze srokami, krakały na najwyższych gałęziach nagiego jeszcze buka, rysujących się czarno na tle krwistej łuny zachodu. Rose i Lily szły skrajem ogrodu wzdłuż mokrego po deszczu trawnika. Pod kwitnącymi krzewami pstrzyły ziemię płatki wczesnych fiołków.

- Wygląda na to, że Tamar ma się już znacznie lepiej - powiedziała panna Curtland. pragnąc odciągnąć gościa od tematu Gullivera Ashe'a i duchów.

Wzmianka o Tamar najwyraźniej nie przypadła Lily do gustu. Biedaczka cierpiała męki z powodu wyrzutów sumienia, ilekroć docierały do niej wieści o depresji panny Hernshaw, czy jak można było nazwać jej stan, bo miała świadomość, że na dobrą sprawę namówiła dziewczynę do zrobienia tego nieodwracalnego kroku. Połechtało ją mile, że może



pokierować niebogą w potrzebie, oddać swoją wiedzę o świecie, doświadczenie w danym przedmiocie, wreszcie pieniądze do dyspozycji tego wy noszonego pod niebiosami aniołeczka. Dopiero poniewczasie zdała sobie sprawę, do jak poważnej decyzji lekkomyślnie dziewczynę popchnęła. Na domiar złego zaczęła cierpieć - po raz pierwszy w życiu - z powodu własnej dokonanej przed laty aborcji, rej w owym czasie myślała wyłącznie z radością i ulgą - czyła sobie nawet, ile lat miałyby dzisiaj dziecko, którego wtedy tak lekko pozbyła. Kilka dni temu odebrała list od Tam

a w nim czek na sumę, jaką jej pożyczyła na skrobankę. Do czeku dołączona była kartka - krótka, oschła, bez słowa pozdrowień, życzeń czy podziękowań. Tamar prawdopodobnie serdecznie teraz Lily nienawidziła za „przysługę”, jaką jej wyświadczyła. Wpatrując się w lodowaty w tonie liścik, pani Boyne poczuła przyływ nienawiści do jego nadawczym za cierpienie i wyrzuty sumienia, jakich z jej powodu zaznała.

- Nie wierzę w to jej całe nawrócenie religijne - oznajmiła. - To tylko chwilowy kaprys.

Panna Curtland, choć również była tego zdania, stwierdziła wymijająco:

- Och, ta dziewczyna sobie poradzi... to twarda sztuka... naprawdę odważna.

- Chciałabym być twarda, odważna i do tego umieć sobie radzić w życiu - westchnęła Lily.

- Uważaj, nie depcz ślimaków - ostrzegła Rose. - Po deszczu rozpoczynają swoje gody.

Na skąpanej w czerwonym blasku trawie lśniły dżdżownice i dziesiątki ślimaków.

- Uwielbiam ślimaki - wyznała Lily. - Moja babka je przywabiła, same wchodziły do domu. Oczywiście taki ślimak wszędzie wlezie. Któregoś dnia znalazłam jednego nawet u siebie w mieszkaniu. Moja babka umiała obłaskawiać dzikie stworzenia, wszystkie się do niej łąsiły. Ślimaków używała do telepatii.

- W jaki sposób? - zapytała Rose; miała już trochę dość opowieści o tej niesamowitej babce, która miała uroczne oko i której imienia nikt nie śmiał wymówić.

- Żeby wysłać wiadomość na odległość, trzeba mieć parę ślimaków. Podajesz wiadomość swojemu ślimakowi, a osoba, która ma drugiego ślimaka, odbiera ją telepatycznie.

Oczywiście najpierw musisz oba ślimaki zakłąć.

Rose zaczęła się zastanawiać, czy Lily naprawdę w te banialuki wierzy. Wrócili do domu.

Kolację zjadły w kuchni przy wielkim, drewnianym stole, który Annuszka tak często szorowała, aż słoje nabrały żółtawego, woskowego połysku. Panna Curtland pozwoliła gościowi pełnić rolę kucharki. Zjadły omlet, trochę przyprawianej na ostro ka-Pusty. udanej improwizacji Lily, a na deser cheddar i renety 1 koksy, których pomarszczona skórka była teraz bardziej żółta

od stołowego blatu. Od dwóch dni, odkąd Lily bawiła w Białym Rowce, jadały niewiele, wypijały za to sporo wina. Myszobób wyciągnięty na rozgrzanych kafelkach za piecem, wodził za nimi ciężkim, posępnym spojrzeniem złotych ślepi. Rose wyłuskała go zza pieca, ułożyła sobie na kolanach i jeła z zapalem głaskać kocisko nie chciało jednak wdzięcznie mruścić, wyrwało się i wróciło do swojej ciepłej kryjówki. Jego futerko, zwykle tak aksamitne i naelktryzowane, było w dotyku suche i szorstkie. Po kolacji obie panie zasiadły z kieliszkami whisky w salonie przy kominku, na którym płonęły polana. Czuły się ze sobą swobodnie. Panna Curtland coraz bardziej przekonywała się do Lily, choć męczyła ją jej nerwowość i drażniły ciągłe próby wyciągania rozmówcy na zwierzenia. Pani Boyne dużo opowiadała o swoim dzieciństwie i o znajomości z Guliwerem. Rose nie odwzajemniała się jej równą otwartością. Znajdowała jednak pewną przyjemność w towarzystwie tej osobki i była szczerze ujęta jej sympatią. Wcześniej położyły się do łóżek, a w każdym razie wycofały każda do swojej sypialni.

Zamknawszy się w swoim pokoju, panna Curtland stanęła przy oknie. Błady księżyc świecił wśród postrzępionych, przesuwających się szybko chmur. Po rzymskiej drodze jechało jakieś auto, a jego reflektory wywoływały z ciemności blade, znikliwe widma fragmentów murku i drzew. Kiedy samochód przejechał, chmury całkiem zakryły księżyc i nad polami zapadły nieprzejrzana ciemność i grobowa cisza. Rose zapaliła światło. Centralne ogrzewanie,

wyłączane zimą w większości pomieszczeń, kiedy w Bojarówce nie było gości, nie rozgrzewało prawie wcale wychładzanych przeciągami pokoi. Rose czuła ziąb, ciągnący z sąsiednich, nie ogrzewanych części domu. Przed kwadransem była w stanie swobodnie gawędzić z Lily, ale teraz, przechadzając się po sypialni, poczuła się tak, jakby została jej odjęta zdolność mowy - doznanie, którego często doświadczała - jakby usta miała wypełnione kamykami. Czuła się zamurowana, oniemiała i samotna. Obraz zakneblowanych kamieniami ust i skołcałego języka przypomniawszy jej, że tego ranka, zaszedłszy do stajni po jabłka, wybrała ze stosu jeden z kamyków Sinclaira. Leżał teraz na gotowalni - płaski, czarny kamyk, pokreślony białymi liniami, z długą rysą z boku, jakby miał zaraz pęknąć i ukazać błyszczące jądro klejnotu. Panna Curtland wzięła go do ręki i bacznie mu się przyjrzała. W tej małej bryłce było tyle skupionej, skoncentrowanej odrębności, kryło się tyle zagadek. Pewnego dawno minionego dnia Sinclair wybrał go spośród tysięcy, milionów kamyków, zaścielających którąś z plaż Yorkshire, Norfolk, Dorset, Szkocji lub Irlandii. Kamyk napełnił Rose przejmującym smutkiem, jakby domagał się od niej opieki i współczucia. Czy cieszył się, że został wybrany? Boże, jakże tu wszystko jest przypadkowe i przesycone duchem, pięknym zarazem i strasznym! Odłożyła kamyk i zakryła dłońmi twarz, bo przestraszyła się nagle ciemności za oknem i panującej w domu ciszy. A jeśli Annuszka umrze? Może już umarła i dom to wyczuwa? Pełen duchów, poskrzypujący czyimiś krokami, trzeszczał na wietrze jak stary, drewniany okręt.

Tracę równowagę psychiczną, pomyślała panna Curtland, tracę hart ducha, tracę bliskich. Jean już mnie nie kocha... Czy na pewno? Skąd to przypuszczenie?... Czy jeszcze kiedyś ze sobą porozmawiamy, tak szczerze, od serca, patrząc sobie w oczy? Zarzuciła mi, że żyję w świecie ułudy, w świecie z bajki, gdzie wszyscy są mili i dobrzy, a rok jest podobny do roku. Nigdy nie zostałam ubóstwiona przez miłość. Mogłam być wyjść za Gerarda, gdybym się naprawdę uparła. A potem usłyszała - całkiem wyraźnie, jakby rzeczywiście zadzwieczał w pokoju -okrzyk Crimonda: „Rose!”, który ją tak przeraził, kiedy na prośbę Jean pojechała do jego mieszkania, aby się upewnić, czy się nie zastrzelił. Żadne z nas nie było nigdy związane węzłem małżeńskim, a miłość trzeba obudzić. A jeśli utraciłam Gerarda, przestraszyła się, jeśli naprawdę go utraciłam? Czy to możliwe, po tylu latach zażyłej przyjaźni? To wszystko przez tę ingerencję duchów.

W ostatnich tygodniach, a już szczególnie w ostatnich dniach, wyglądało na to, że jej związek z Gerardem uległ całkowitemu zerwaniu. Reeve dzwonił wciąż z Yorkshire, prosząc, by się zdecydowała na tę wspólną wycieczkę statkiem. Zbywała go wykrętami. Właściwie dlaczego, dlaczego czuła się uzależniona od Gerarda, co by mu szkodziło, gdyby na miesiąc wyjechała gdzieś z rodziną? Wszak krew nie woda. Gdy sobie jednak pomyślała, że Gerardowi mogłoby być wszystko jedno, co ona porabia i gdzie się podziewa, poczuła wokół serca lodowaty chłód, jakby otarł się o nią jeden z duchów Lily. Nie widziała

Hernshawa od tego wieczoru, gdy posłaniec przywiózł z Oksfordu książkę Crimonda. Spodziewała się, że do niej dzwoni, jak zwykle, zaproponuje spotkanie. Przecież musiał walczyć o siebie sprawę, jak była ciekawa jego reakcji na tę lekturę z jakim niepokojem jej oczekiwała. Tymczasem Gerard dzwonił, a gdy w końcu sama sięgnęła po telefon, odpowiedzi oziębło i oschle, że nie ma teraz czasu. Nie śmiała go zapytać ani o rejs statkiem, ani o wrażenia z lektury. Później jeszcze nieraz do niego dzwoniła, lecz telefon nie odpowiadał, a panna Curtland wyobrażała sobie, jak Gerard ze zmarszczonym czołem słucha natrętnego dzwonka, lecz nie podnosi słuchawki, bo się domyśla, kto dzwoni. Przypuśćmy... Boże, pole do przypuszczeń było wręcz bezkresne!... przypuśćmy, że się zakochał w tym młodzieńcu podobnym do Sinclaira, przypuśćmy, że trawił czas z Crimondem na dyskusjach o książce, przypuśćmy... Straciłam go, pomyślała. Tak. prawdopodobnie mogłam być za niego wyjść, gdybym była inną osobą, gdybym miała więcej odwagi, więcej szczęścia, lepsze pojęcie o seksie

(doprawdy nie wiem, na czym miałyby ono polegać), gdybym się stała bogiem. Tak bardzo go kocham... zawsze kochałam i nigdy nie przestanę kochać.

- Popłyn z nami na tę wycieczkę. Rose. Popłyniesz?

- Jedź z nami. Rose, ogromnie nam na tym zależy!

- Zobaczysz, będzie bosko! Błagamy cię!

- Dobrze - zgodziła się w końcu. - Pojadę.

Nie mogła się dłużej opierać naleganiom Reeve'a, Neville a i Gillian, poza tym niezmiernie ją wzruszyło i przepełniło wdzięcznością ich szczere pragnienie spędzenia z nią czasu.

Minęły prawie dwa tygodnie od wizyty Lily w Bojarówce. Wiosna poczyniła tymczasem niemałe postępy. Nawet w najbardziej obskurnych rejonach Londynu pachniała ziemia, rozwijały się kwiaty, lśniły świeżą zielenią liście i tańczyły słoneczne cętki. Gideon Fairfax wydawał w domu na Notting Hill przyjęcie. Leonard Fairfax przyjechał ze Stanów, przywożąc ze sobą swojego przyjaciela Conrada Lomasa. Gideon zaprosił Reeve a z dziećmi, dowiedziawszy się od Rose, że bawią właśnie w stolicy, a Neville przyprowadził Francis Reckitta, syna ich sąsiada

z Yorkshire, który im towarzyszył w tej wycieczce. Obecny był również ulubiony nowojorski marszand Gideona, Albert Labow-sky. od którego nabył niedawno upragnione rysunki Beckmanna. Głosy Amerykanów dźwięczały w uszach Rose jak krzyki jakichś egzotycznych ptaków. Na przyjęciu zjawiły się też obie panie Hemshaw oraz kilkoro przyjaciół Fairfaxow, których Rose wcześniej nie знаła. Tamar przyprowadziła niejaką pannę Luck-hurst, emerytowaną nauczycielkę, autorkę powieści detektywistycznych. Włóczył się też za nią jakiś chudy młodzieniec, podobno nie tylko pastor, ale i jej ojciec chrzestny. Rose zdziwiła się niezmiernie, ujrawszy wśród zebranych ojca McAlistera. którego czarna sutanna wyraźnie rzucała się w oczy. Pat roznosiła specjalną mandarynkową nalewkę Gideona. Gerard został oczywiście również zaproszony, ale się dotąd nie zjawił, choć goście zaczęli się już powoli rozchodzić.

- Co robisz potem. Rose? - zapytał Reeve. - Mam nadzieję, że zjesz z nami kolację.

- Niestety, nie mogę. Jestem dziś zajęta.

- Ale jutro musisz koniecznie przyjść, żeby obejrzeć mieszkanie - oświadczył Neville.

- Niestety, nie możemy zaprosić cię na lunch - dodała usprawiedliwiająco Gillian - bo w mieszkaniu jeszcze nic nie ma. nie licząc taśmy mierniczej i czapki papy, której tam zapomniał. Ale tuż obok, niemal po sąsiedzku, jest pierwszorzędna włoska restauracja. Reeve Curtland kupił niedawno mieszkanie w Hampstead.

- Dobrze, z przyjemnością was odwiedzę - powiedziała panna Curtland, której dokuczał ćmiący ból zęba.

Nie była tego wieczoru z nikim umówiona, miała jednak nadzieję, że Gerard do niej zajdzie i zjedzą razem kolację. Choć od powrotu z Bojarówki minęło już prawie pół miesiąca, wciąż nie miała od niego żadnej wiadomości. Sama też coraz rzadziej wykręcała numer jego telefonu. Napisała list, ale go podarła. Odwiedzić przyjaciela bez zapowiedzi nie śmiała. Ten brak śmiałości świadczył o tym, jak daleki jej się nagle stał, po tylu latach zażyłości - tylko „drogi” przyjaciel, lecz nie przyjaciel bliski, Przyjaciel od serca. Nie miała pojęcia, gdzie się obracał, co robił ani co myślał, a bała się kogoś o niego zapytać, bo przyznałaby lym samym, że nie wie czegoś, co inni być może wiedzieli.

Gerard mógł wyjechać za granicę, mógł się z kimś kochać, mógł leżeć w szpitalu bądź w grobie. Nie nosił wszak przy sobie żadnego dokumentu, który by na nią wskazywał jako na osobę mu najbliższą.

Gideon, niczym wielki czarnoksiężnik, przyglądający się gospodarskim okiem, jak wspaniale rozkręca się uczta, przybrał słodką minę z ustami „w ciup”, która tak zawsze drażniła Gerarda. Wysiadł szwagra z. jego własnego domu, wykorzystując słabości jego charakteru, na wpół świadome poczucie winy, brak rodzinnego szczęścia, który czynił zeń odludka,

wreszcie zwykłą drażliwość, która sprawiła, że zapragnął nagle uciec czym prędzej od siostry i szwagra. Gideon urządził dom po swojemu, przeprowadzając własne zamysły, bez oglądania się na projekty Pat. Co prawda zbytnio mu się nie sprzeciwiała, więc nie miał się czym chełpić. Salon, który za czasów Gerarda był wyklejony brązowymi tapetami w różowawe cętki, udekorowany wyblakłymi angielskimi akwarelkami i umeblowany ciemnymi, brzydkimi, przysadzistymi fotelami, został pomalowany na kolor jaskrawej akwamaryny i ozdobiony zawieszonym nad kominkiem olbrzymim, szkarłatnym w tonie, abstrakcyjnym płótnem de Kooninga i dwoma kolorowymi obrazami rodzajowymi Ko-koschki i Motesiczky'ego. Dywan był granatowy z bladoniebieskim deseniem, dywaniki białe w stylu art deco. Jedyne umeblowanie stanowiły dwie rozłożyste, białe sofy. Okropna kuchnia Gerarda została oczywiście gruntownie przebudowana. Jedyne jadalnia zachowała dawną formę i kolorystykę, choć na jej brunatnych ścianach wisały teraz piękne płótna Longhiego i uroczy widoczek Watteau. Najbardziej jednak cieszył Gideona powrót ze Stanów (ufała, że na stałe) ukochanego i utalentowanego jedynaka, który zamierzał kontynuować studia w Courtauld Institute. Ależ zgrany zespół będziemy stanowili, cieszył się w duchu Gideon, który nie rościł sobie pretensji do miana zawodowego znawcy, historyka sztuki, i jak świetnie będzie się nam ze sobą pracowało. Gideon mógł sobie również poczytywać za sukces (jak dotąd w każdym razie) uporządkowanie spraw Violet Hernshaw i jej córki. Od czasu najścia na mieszkanie Violet i uprowadzenia Tamar zmiany potoczyły się lawinowo. Dziewczyna wprowadziła się do mieszkania na piętrze, a w^rotce stąd, ni zowąd przeprowadziła się do nich również Violet (

wielkiemu zaskoczeniu Pat, mniejszemu - Gideona). Po jakimś czasie Tamar zamieszkała sama w małej klitce w Pimlico. Ich stare mieszkanie zostało sprzedane. Violet zachowywała się potulnie i pozwalała się sobą opiekować. Co dalej, dopiero się okaże, na razie Gideon mógł odnotować kolejne zwycięstwo nad Gerardem.

Patricia Fairfax uważała, że jej mąż. naprawdę zadał sobie wiele trudu, żeby otoczyć opieką tę nieszczęsną parkę, matkę i córkę. Mam nadzieję, że tego nie pożałuje. Jest stanowczo nazbyt życzliwy, no i ma prawdziwego fioła na punkcie władzy, lubi grać wielkiego pana. Kiedy się rozkręci, jak na przykład w tej chwili, traci wszelki umiar. Jak my się teraz Violet pozbędziemy? Rozsiadła się tu jak ropucha i udaje neurotyczkę, żeby dodać sobie uroku. To może tak trwać bez końca. Obawiam się, że będziemy musieli ją spłacić! Mój Boże, trzeba jednak przyznać, wariatka czy niewariatka, że zachowała dawną urodę i figurę. To niesprawiedliwe! Patricia zdawała sobie sprawę z niezdrowej, wręcz zabawnej skłonności męża do kuzynki, lecz się nią nie przejmowała. Obecnie była zresztą zbyt szczęśliwa -wszak wrócił Leonard, a na dodatek miała frajdę z urządzania na nowo domu - by chować jakąś urazę do nieszczęśliwej krew-niaczki. Co się tyczy Tamar, można by na dobrą sprawę uznać, że praktycznie ją adoptowali. Gideon prawdopodobnie zawsze do tego dążył. Przyglądając się uważnie towarzystwu, Patricia dostrzegła też coś, co wielce ją uradowało. Wyglądało mianowicie na to, że Leonard smalił cholewki do Gillian Curtland. No cóż, pomyślała pani Fairfax, dziewczyna jest miła, inteligentna i ładna, a kiedyś odziedziczy piękną fortunę. Kiedy tylko sprowadzą się do Hampstead, trzeba ich koniecznie zaprosić na kolację.

Na kapitulację Violet, ogłoszoną Gideonowi, gdy ją odwiedził nazajutrz po uprowadzeniu Tamar, złożyły się dwa czynniki: pierwszy natury materialnej, drugi uczuciowej (ojciec McAlister powiedziałby: „duchowej”). Ten drugi wynikał ze swoistej rozpacz, która przybrała formę tęsknoty za córką. Violet była <Jo głębi wstrząśnięta bezwzględnością, z jaką Tamar ją odrzuciła. Zdała sobie sprawę, że potulna, wiecznie zastraszona dziewczyna, jaką dotąd знаła, odeszła bezpowrotnie i nigdy już nie wróci. Po odejściu tak całkowitym mieszkanie ziało przeraźliwą

pustką, niczym klatka bez małego, pierzastego więźnia. Okazał się, że trzymanie córki w więzieniu miało dla Violet znaczenie jakiego nawet nie podejrzewała. Czy miało to cokolwiek

wspólnego z miłością, pozostawało kwestią, której na razie nie rozpatrywała. Potrzebowała pomocy, myślała tylko o ucieczce z pustego więzienia i wtedy zjawił się Gideon. Czynniki finansowe były mniej, skomplikowane. Gideon oznajmił Violet, czego się już zresztą sama domyślała, że Tamar porzuciła pracę; miała do nadrobienia duże zaległości w nauce. Pani Hershaw zostały długie rachunki do zapłacenia i bardzo mało gotówki. Gideon przedstawił jej racjonalne argumenty. Violet musi spojrzeć prawdzie w oczy i spróbować uporządkować własne życie. Powinna sprzedać mieszkanie, które miało znaczną wartość, zapłacić należności, przeprowadzić się na Notting Hill, odpocząć, a potem poszukać sobie posady (dobrze, nie w jego biurze!), na której mogłaby uczynić użytek ze swojej niewątpliwej inteligencji, musi po prostu inaczej ułożyć sobie życie, żeby było szczęśliwsze i sensowne. Nie musi mieszkać stale z nim i Pat, jeśli jej to nie odpowiada, niech to uzna za okres przejściowy. Violet, która już rozumiała, że jako wyjście alternatywne pozostawało jej tylko samobójstwo, zgodziła się skwapliwie, co zupełnie zaskoczyło Gideona, który przewidywał, że czeka go walka, może nawet gwałtowna kłótnia, zakończona, ma się rozumieć, ostatecznym zwycięstwem. Wręczył jej pewną sumę, żeby sobie sprawiła coś z ubrania. Przyjęła ją i rzeczywiście na ten cel wydała. (Rozmawiając o tym z żoną, Gideon przywiązywał wielką, wręcz symboliczną wagę do tego aktu kapitulacji). Na przyjęciu u Fairfaxów czuła się jak kopciuszek. Albert Labowsky rozmawiał z nią jak z osobą najnormalniejszą w świecie. Dostrzegała zachęcające spojrzenia Gideona. Wpadła w łapska wrogów, przedstawiciele jakiejś obcej rasy, którzy oczekiwali, że im okaże wdzięczność, a nawet zazna szczęścia! Nie oczekiwali od niej oczywiście, że zamieszka pod jednym dachem ze swą odmienioną córką. Gideon kupił dla Tamar mieszkanie, zanim Violet się do nich wprowadziła. Co ja pocznę sama w tym obcym domu, zastanawiała się. Może zapadnę wkrótce na jakąś ciężką, obłożną chorobę, dobrzy ludzie będą przynosili mi posiłki, siadali przy wezłowie łóżka i zabawiali mnie rozmową? Może nawet Tamar do mnie zajrzy, przysiadzie i porozmawia, zerkając ukradkiem na zegarek. Violet doświadczała nieoczekiwanej i zupełnej bezsilności, całkowitej utraty energii, jakiej musi doznawać samochód, gdy nie ma już w baku ani kropelki benzyny. Dotąd funkcjonowała dzięki paliwu złożonemu z czystej złości, nienawiści i żalu. Żerowała na Tamar, z niej czerpała życiodajne soki. Poprzez córkę kontaktowała się ze światem. Czy zdoła obecnie przeżyć, sycąc się tylko nienawiścią do Fairfaxów, której jeszcze właściwie nie czuła, którą będzie dopiero musiała w sobie wzbudzić, by zdobyć źródło energii? Jakże znienawidzi z czasem ich łaskawość, jaką poczuje odrazę do ich dobroci, do ukrywanego taktownie współczucia, do ich podarków! Lecz dokąd mogłaby teraz uciec? Jakiegokolwiek związku z dzieckiem, które ją odrzuciło, wydawały się obecnie na zawsze wykluczone, w tym kierunku mogła już tylko miotać przekleństwa. Czy oni nie wiedzą, zastanawiała się, że ja nie jestem normalna, że jestem niebezpieczna, że mogę spalić im dom? Na razie traktują mnie jak nową zabawkę, ale wkrótce zaczną się denerwować. A ja zacznę się wydierać. Będą musieli coś ze mną zrobić. Poślą mnie do eleganckiego domu wariatów, gdzie będą mnie poddawali elektrowstrząsom na koszt Gideona. Gdybym teraz wstała i poszła na górę, kogoś by za mną posłali, by sprawdził, jak się miewam. Niedługo zaczną się mnie bać, a to już coś.

Ojciec McAlister niecierpliwie czekał Wielkanocy. Na okres postu odstawił wszelkie trunki, więc zapach nalewki z mandarynek drażnił mu zmysł powonienia. Cekał Wielkanocy, ale i lękał się jej. Nie wiem, nie mam pojęcia, jakie męki On musiał wycierpieć, wiem tylko, że dla mnie umierał na krzyżu. Okrutna, drobiazgorowa konkretność jego religii ciążyła księdzu w czasie tych świąt bardziej niż kiedykolwiek. Oczywiście wytrwa, powtarzając znowu tę samą historię, cóż innego może uczynić? Bez odgrywanego bez końca dramatu Chrystusa, Jego narodzin, nauk, śmierci i zmartwychwstania, nic w ogóle nie istniało, a on, ojciec McAlister, był tylko zwiewnym cieniem, podobnie jak wszystkie planety, jak najdalsze gwiazdy i cały

krąg wszechświata. Pytanie: „Skoro inni mogą żyć bez Chrystusa, więc czemu nie ja?”, wydawało mu się całkiem pozbawione sensu. Nic mi nie odbierze miłości Chrystusa. Skąd święty Paweł to wiedział? Czy ta cała historia nie została zbudowana na jego przekazie? Bez niego, Pawła, który rozniósł tego dziwnego wirusa po świecie, ewangelie bezpowrotnie by przepadły bądź odkryte po wiekach jako miejscowe, historyczne ciekawostki. Byłoby więc chrześcijaństwo następstwem zwykłego przypadku? To niemożliwe, ono ma wymiar absolutu, a to, co absolutne, nie może być przypadkowe. Przypuśćmy, że po Jezusie zachowałyby się do naszych dni wyłącznie jego przypowieści słowa jakiegoś nieznanego człowieka, którego nie umielibyśmy umieścić w żadnym historycznym kontekście? Czy można by taką postać kochać, oczekiwać, że będzie się przez nią zbawionym? Uważać ją za bliższą sobie od własnej duszy? Chrześcijaństwo psuje swoich wyznawców, jak rodzice psują czasem dzieci. Boski nauczyciel, umęczony człowiek, wspaniały bohater, bóg wcielony, najślawniejsza jednostka w dziejach, najbardziej ukochana i najpotężniejsza: oto postać, na której chrześcijaństwo stoi i od której może zginąć. Nie było to jednak największe zmartwienie ojca McAlistera. Miał swoje niewzruszone przekonania i dość własnych paradoksów, których nie ośmieliłby się -szczególnie teraz, przed Wielkanocą - nazwać kłamstwami. Z całą pewnością jest w stanie, dzięki Chrystusowi, ustrzec się kłamstwa. W Nim jest prawda, która zwycięża każdą walkę, w Nim jest życie, które uśmierca śmierć. Chrystus konający na krzyżu nadał sens całemu światu, lecz tylko wtedy, gdy umarł naprawdę. Chrystus żyje i zbawia, ponieważ umarł jako i my umieramy. Na drzewie krzyża zawisła naga rzeczywistość nie w postaci widma człowieka, lecz okrutnej prawdy. Ojciec McA-lister nie potrafił nadać wyższej rangi własnym przekonaniom przez określenie ich mianem herezji. Modlił się, czcił, leżał krzyżem, czuł, że jest narzędziem mocy i łaski, która została mu dana, bo nie od niego przecież pochodziła. Nie udało mu się jednak nigdy zgłębić do końca swojej strasznej prawdy i ten niedostatek dręczył go w każdy Wielki Piątek srożej niż w inne dni. Podczas tych okropnych trzech godzin, gdy odgrywało się misterium męki Pańskiej, musiał jakoś przekazać tę tajemniczą absolutną prawdę klęczącym parafianom, którzy mieli zobaczyć... co innego niż on... coś, co wiedzieli tylko oni i Bog... tylko że Bóg nie istniał. Fakt, że ksiądz wypełniał swoje posłannictwo w trwodze i ze łzami, nie przynosił mu w jego mniemaniu zaszczytu. Raczej wprost przeciwnie.

Tamar, która przestała nosić w świątek i piątek swój szaro-brązowy uniform, miała na sobie granatową sukienkę z białym, marszczonym, jedwabnym żabotem. Miękkie, brązowe jak kora drzew włosy ostrzygła na chłopczycę, toteż wyglądała chłopięco, jak spokojny, opanowany elf. Twarz miała nieco mniej wychudzoną, a cerę nie tak bladą i nie przypominała już wyglądem uczennicy. Tego wieczoru nie zrobiła sobie makijażu. W jej wielkich, orzechowych oczach krył się jakiś nowy wyraz czujności, rezerwy i melancholii. Conrad Lomas wyznał Leonardowi, że przez chwilę zachwycał się urodą pięknej nieznajomej, zanim poznał w niej starą znajomą. Tamar zdała na Gideona troskę o swą przyszłość; to on pisał na maszynie listy w jej imieniu, ona tylko je podpisywała. To, co wydawało się zupełnie niemożliwe, zostało załatwione szybko i bez trudu, co na zawsze utracone - zostało odzyskane. Nikt nie sprawiał wrażenia zaskoczonego, nikt nie robił przeszkód, jej opiekun naukowy i władze kolegium wyrazili szczerze zadowolenie, że będą ją mogli na powrót powitać. Gideon Fairfax załatwił furgonetkę, którą wywieziono z dawnego pokoju Tamar resztę jej ubrań oraz wszystkie rzeczy, aż po najdrobniejsze bibelociki. Można by sądzić, że tamto okropne, zapuszczone mieszkanie zniknęło z powierzchni ziemi, jakby je naprawdę pochłonął pożar, którego obraz często zresztą dziewczynę prześladował. Nakupiła książek, wśród nich te. do których sprzedaży zmusiła ją matka i z którymi żegnała się ze łzami. Choć nie brakowało jej zaproszeń, wiodła życie samotnicy, jakby okres tej niezwyklej rekonwalescencji, jaka już nigdy nie miała się w jej życiu powtórzyć, chciała spędzić na towarzyskim poście.

Zapał jej religijnego nawrócenia wyraźnie ostygł, co zresztą przepowiadali cyniczni obserwatorzy. Gdy obecnie wspominała ten okres, nie mogła wyjść ze zdumienia, jak łapczywie pożądała sakramentu. Czy naprawdę połknęła te wszystkie hostie i natykała się tego ciężkiego wina, znacznie silniej uderzającego do głowy niż nalewka Gideona? Dzisiaj nie pragnęła już owych pokarmów. Cynicy (których opinii była najzupełniej świadoma) niewiele jednak z jej stanu rozumieli. W gruncie rzeczy Tamar sama dla siebie stanowiła zagadkę. Ojciec McAlister wciąż jej mówił o „nowej istocie”. No tak, stała się nową istotą, zmieniała się nieustannie. Ale co się tak naprawdę dokonało? Czy tylko to, że uwolniła się od matki, do czego zawsze, używając różnych

u

przebrań, dążyła jej chytra psyche. Jak schwyte w pułapkę zwierzę, przed którym zamknięto ostatnią drogę ucieczki, stała się nagle szaleńczo silna, zdolna niszczyć wszystko na swej drodze. W tamtej przełomowej chwili, w czasie awantury w jej dawnym pokoju, poczuła się naprawdę gotowa do stratowania matki, wyczuła też z radosną satysfakcją lęk Violet przed nieodwracalną zmianą, jaka się dokonywała w równowadze sił między nimi. Czy chrześcijanie, do tego świeżej daty, wolno zapominać na tak długo o ewangelii miłości? Stwierdzenie, że tamten wstrząs był nieodzowny, że najgorsze już minęło i teraz wszystko pójdzie ku lepszemu, wydawało się dość niecnym sposobem wykpienia się od odpowiedzialności. W gruncie rzeczy Tamar nie miała pojęcia, co naprawdę uczyniła matce. Nie omawiała tych najświeższych problemów ze swoim mentorem. Unikała go, za jego cichym zresztą przyzwoleniem. Później o tym porozmawiają... choć może już nigdy tak szczerze jak kiedyś. Była pewna jego troski, jego... no cóż... miłości. Bo przecież tylko miłość, ojca McAlistera lub Chrystusa, bądź i ojca McAlistera, i Chrystusa, mogła ją wydobyć z tej otchłani winy i strachu. Zdawała sobie również sprawę, częściowo tym rozbawiona, częściowo podrażniona, że duchowny, wyczuwając jej rezerwę, „przeniósł” swe uczucia na jej matkę. Oczywiście Tamar i ojciec McAlister wiele o Violet rozmawiali, a potem zaczął ją odwiedzać, najpierw z Gideonem, a później (jak wyjawiał dziewczynie) w pojedynkę, lecz były to krótkie i - jak się domyślała - bezowocne wizyty. Otwarte afronty i demonstracyjne pokazywanie drzwi nie wystarczyły wszelako, by zniechęcić tego konesera przypadków beznadziejnych. Ojciec McAlister ją wkrótce zapewniał swoją uczennicę, bardzo w tej mierze sceptyczną, że matka na niej polega, że ją naprawdę kocha i jest. w gruncie rzeczy, wzajemnie przez nią kochana. Przed swoją ucieczką Tamar nie była skłonna do głębszej refleksji nad tymi zapewnieniami. Zastanawiając się nad nimi obecnie, nadal w nie powątpiewała. Nasłuchiwała się wiele o twórczej potędze miłości (w istocie sama jej na sobie doświadczyła), tej jedynej cudownej sile na tej ziemi. Czyż jednak mogła naprawdę matkę pokochać lub odkryć, że zawsze ją kochała? Jej nowy stan ducha oddalił ją od niej jeszcze bardziej, a wyzwolenie stało się możliwe jedynie dzięki gniewowi, w którego świetle dawna potulność wyglądała raczej na słabość niż miłość. Czy widzi teraz jaśniej niż przedtem, czy mniej jasno? Czy nie uważała zawsze, że kocha matkę, bo wszak dzieci kochają swoje rodzicielki? Ksiądz, który dostrzegał i rozumiał ten jej grzeszny gniew, radził, by wyrzuciła go z duszy, myśląc o miłości i ją praktykując. Staraj się zbliżyć do matki. Wyświadczaj jej różne drobne przyjemności. Ona cię potrzebuje! Tamar nie była tego wcale taka pewna. Spróbowała jednak wyświadczyć matce przyjemność i przyniosła jej kwiaty, odwiedzwszy ją kiedyś w towarzystwie Pat, co okazało się pełnym nieporozumieniem. Violet przyjęła bukiet z grymasem tygrysicy. Jawna nienawiść budzi lęk i zgrozę. Tamar postanowiła mimo wszystko, że wkrótce ponowi próbę. Wyleczyła się w końcu z obsesyjnego poczucia winy po usunięciu ciąży. Czary przeciwko czarom okazały się skuteczne, została uleczona, wyzwolona od złego bólu - jak go nazwał jej uzdrowiciel - a pogodzona z dobrym. Przestała się też zadrećcać niepewnością, czy Jean powiedziała wszystko Duncanowi lub czy Duhcan wyznał prawdę Jean. Jako pamiątka po

tamtych przeżyciach pozostał jej wszakże dziwny dreszcz, jaki ją przebiegał na widok filiżanek do herbaty. Osobliwością ich niedawnych przeżyć (Tamar, a tym bardziej ksiądz, niezmiernie by się zdumiała, gdyby wiedziała, że nie jest tu wyjątkiem) było to, że ona, podobnie jak reszta, jak Rose, Gerard, Jean i oczywiście Duncan, czuła się odpowiedzialna za śmierć Jenkina. Inni mogli sobie jednak tę odpowiedzialność wmawiać, lecz ona, ostatnia z ich kręgu, która widziała go żywego (fakt znany tylko jej spowiednikowi), nie była w stanie zapomnieć, że gdy do niego przyszła, Jenkin właśnie się dokądś wybierał, więc gdyby się wtedy u niego nie zjawiała, nie odebrałby feralnego telefonu. Bardziej jeszcze przygnębiała ją myśl, że zaraziła Jenkina jakimś śmiertelnym złem. Wciąż miała w pamięci okrutną satysfakcję, jaką jej sprawiła możliwość „powiedzenia wszystkiego” Jean, obryzganego jej własnym nieszczęściem, własną nienawiścią, a zaraz potem pobiegła do Jenkina, żeby jemu z kolei „wszystko powiedzieć”. Nie znalazła jednak ulgi i nie uzyskała rozgrzeszenia, na jakie liczyła. Było tak, jakby rzuciła mu pod nogi swój grzeszny, złowieszczy ciężar, a gdy go podjął, wydała bezbronnego na pastwę jakiejś zabójczej mocy - może mocy zła, a może po prostu pomsty i kary - która w niego zamiast w nią

m  
ugodziła. Ojciec McAlister uznał to przypuszczenie za interesujące, choć potępił je zarazem jako zabobonne. Głęboka rozpacz po Jenkinie też przestała ją z wolna przejmować trwogą, ilekroć wspominała tamto długie oczekiwanie na jego powrót. Nie wierzyła w Boga ani w świat nadprzyrodzony, natomiast ojciec McAlister, który również w te rzeczy nie wierzył, nie wiercił jej z tego powodu dziury w brzuchu. Pochłonięty entuzjastycznym zadaniem walki o jej duszę, pragnął w niej tylko zaszczerpić wyobrażenie Chrystusa jako Zbawiciela. W ulgowym okresie przejściowym, przez jaki przechodziła, Tamar była gotowa uzbroić się w cierpliwość i sprawdzić, co ta świetlista postać mogłaby dla niej uczynić. Modliła się, choć nie wzywała Jego imienia, w tym jednak duchu, który zmieniał złe cierpienie w dobre i mógł nawet umożliwić jej z czasem prawdziwe zbliżenie z matką.

Patricia z jawną dumą opowiadała pannie Curtland o tym, jak jej mąż ocalał od zguby obie panie Hernshaw.

- Mówisz, że Violet zamieszkała tu z wami, a Tamar wraca do Oksfordu?

- Wyobraź sobie! Gideon i ojciec Angus zawzięli się i dopięli swego.

Rose, która nie słyszała nigdy dotąd, by pastora z jej parafii nazywano „ojcem Angusem”, nie oparła się mimowolnemu wrażeniu, że cała ta akcja była w gruncie rzeczy wymierzona przeciwko Gerardowi. Nowinę należało jednak istotnie uznać za wspaniałą.

- To cudownie! - zawołała. Ból zęba, dotąd tylko ćmiący, przewiercił nagle jej zuchwą niczym ostrą igłą. Panna Curtland odruchowo podniosła rękę do podbródka i zamknęła pięść, jakby chciała ten ból pochwycić. - Pat, boję się, że muszę już zmykać. Okropnie rozboleł mnie ząb.

- Może ci dać aspirynę?

Conrad Lomas mówił tymczasem Tamar, jak mu było przykro, że zgubił ją wtedy na balu i jak jej potem uporczywie szukał. Jest mu winna taniec, muszą się dokądś razem wybrać, na pewno zdążą, bo zostanie w Londynie aż do jesieni.

Zdominowana przez wysokiego Amerykanina, który pochylał się nad nią niczym żuraw, Tamar cofnęła się nieznacznie i rzuciła zalotne niemal spojrzenie w stronę ojca McAlistera.

Wcześniej

nawet nie usiłowali się do siebie zbliżyć. Ksiądz miał minę poważną. Lekkim ruchem głowy i oczu, podobnym do tego, jakim porozumiewał się z Gideonem w mieszkaniu Violet, wskazał Tamar matkę.

Francis Reckitt opowiadał pannie Curtland, że Neville, którego wręcz ubóstwiał, postanowił kandydować do parlamentu.

- Nie wiem, czy pani wiadomo, że z niego straszny radykał - powtarzał, trochę już wstawiony.



Gideon podawał Reeve'owi przepis na swoją nalewkę.

- To naprawdę proste. Bierzesz trochę wytrawnego białego wina, dolewasz ziołowej esencji, dodajesz kapkę rumu, trochę białego portu, a na koniec wrzucasz skórki z mandarynek. Violet, która zdążyła już wypić niemało tego specjału, uznała, że przyszła pora, by wrócić do siebie na górę i dołączyć do mrocznej postaci, która tam na nią czekała, a mianowicie samej siebie. Stała teraz na uboczu, oparta o ścianę, i rozglądała się wokół ze sztuczną miną rozbawienia i pogardy. Leonard Fairfax, który został oczywiście wtajemniczony w ostatnie domowe sprawy, uznał, że powinien podejść do ciotki i zająć ją rozmową. Ubiegł go jednak ojciec McAlister, który rzucił się właśnie w jej kierunku z furkotem czarnej sutanny, jakby dopiero przed chwilą Violet zauważył. Chwycił jej rękę i ścisnął serdecznie, a z jego ust popłynął potok wymowy. Tamar przypatrywała się tej scenie spod oka. Podczas ich licznych rozmów książdz nigdy jej nie dotykał, z wyjątkiem pierwszego spotkania i obrzędu chrztu. Jego wylewność wobec matki zrobiła więc na niej niemałe wrażenie. Przyglądała się ręce kapłana, zaciśniętej na dłoni matki, i zastanawiała, jak długo może ją tak hołubić. Ależ on dzisiaj przystojny, zdumiała się. Niewykluczone, że potrafi przystojnieć, kiedy tylko zechce! Spozierając sponad ramienia Rose, z którą właśnie rozmawiał, Gideon Fairfax również dostrzegł ów gorący uścisk dłoni i pomyślał o zjawisku zwierzęcego magnetyzmu. Nie potrafił ojca McAlistera rozgryźć. Cyniczny oszust, szarlatan, świątobliwy wariat czy co za lichy? Z pewnością potrafi czynić cuda, stwierdził. Zatrzymam go w odwodzie, może się na coś przydać.

- Zostań jeszcze chwilę, Rose. Chciałbym ci opowiedzieć o moim nowym pomysle, o Tamargesellschaft.

- O czym?

- Spoikałem w Nowym Jorku Joela Kowitza. Rozmawialiśmy o książce Crimonda i przyszło mi do głowy, że skoro została już skończona, moglibyśmy teraz wesprzeć finansowo Tamar, żeby mogła studiować w spokoju. Joel powiedział, że chętnie do tego projektu dołączy. Dziewczyna z samego stypendium nie wyżyje, a powinna mieć jeszcze fundusze na podróżę, na pożegłowanie morzami do świętego miasta Bizancjum...\*

- Och, i ja się chętnie dołączę! - oznajmiła panna Curtland. -Naturalnie, dziewczyna powinna... pożegłować...

Gideon tryskał szczęściem i zachwycał męską urodą. Miał na sobie różową, w odcień truskawkowy wpadającą koszulę. Kędzierzawe, krótko przystrzyżone włosy lśniły złocistością kasztana. Dziewczęca cera jaśniała zdrowiem i młodością. Starannie zadbanymi paznokciami muskał zarumienione policzki i gładko wygolony podbródek. Wyglądał równie młodo jak jego wysoki, wysportowany jedynak.

W przedpokoju powstało nagle jakieś zamieszanie, rozległy się śmiechy i okrzyki radości. Przybyła Lily w towarzystwie Gullivera Ashe'a, ubrana w niebieskie, jedwabne spodnie i złocisty żakiet. Poinformowała z radością Conrada, a teraz również Gideona, któremu udało się do niej precyzyjnie, że Guli wrócił, wyobraźcie sobie państwo, ma wkrótce dostać posadę, spotkał na swojej drodze niezwykle człowieka.

- Ach, Rose, Rose, on wrócił, wrócił, czy dasz wiarę? Odtąd wszystko będzie już dobrze. Tyle się napłakałam, tyle namartwi-łam, ale teraz wszystko będzie dobrze!

Panna Curtland ucałowała przyjaciółkę, ściskając jej rozpalone, zaciśnięte piąstki; cmoknęła też Gula. A więc Lily doczekała się w końcu na swego mężczyznę!

- Zamierzamy się pobrać, wiesz?

- Och, jakże się cieszę!

- Ci państwo się pobierają! - obwieścił tubalnie Gideon.

W oczach Lily Boyne stanęły łzy. Łzy załśniły również w oczach panny Curtland. Wokół narzeczonych począł się skupiać tłumek winszujących, więc Rose wycofała się chył-

- Ukryty cytat z wiersza Odjazd do Bizancjum W. B. Yeatsa w przekładzie Cz. Miłosza.

kiem w stronę drzwi. Nagle zjawili się u jej boku Curtlandowie z Yorkshire.

- Co się stało? Czemu uciekasz? - zaniepokoiła się Gillian.

- Nie umówiliśmy się jeszcze na jutro - przypomniał Reeve. - Właściwie my też się już ulatniamy. Podrzucimy cię.

- Oni się pobierają - wyjaśniła Rose. - Zawsze miałam nadzieję, że to się tak skończy. Zaczęła szukać chusteczki, żeby osuszyć łzy.

- To takie wzruszające - szepnęła do Reeve'a. - Jestem taka szczęśliwa z ich powodu! Na myśl o szczęściu Gullivera i Lily opadł ją nagle smutek tak gwałtowny, że niemal się zatoczyła i upuściła torebkę. Chusteczkę przycisnęła do ust.

Reeve podtrzymał ją, Gillian podniosła torebkę, a Neville poklepał ciotkę po ramieniu.

- Proszę, tu masz plan, jak do nas trafić - powiedział Reeve. - Wpadnij gdzieś tak po południu. Później wyjdziemy i zjemy razem lunch. Gillian, włóż to ciotce do torebki.

Tymczasem w progu pojawił się Gerard Hernshaw. Wesole, rozkrzywane towarzystwo wokół Lily i Gulla przemieściło się nieco w głąb salonu, jedynie otoczona przez rodzinę Rose pozostała przy drzwiach, Gerard stał więc przez chwilę twarzą w twarz z całym klanem Curtlandów.

Płaszcz zdjął w przedpokoju; miał na sobie elegancki, ciemny garnitur. Rose wydał się jakiś dziwnie obcy. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, wręcz półprzytomnego. Zapuszczone loki wiły się w nieładzie, usta obwisły w posepnym grymasie, twarz sprawiała wrażenie obrzmiałej i spuchniętej, a błyszczące, niebieskie oczy patrzyły niemal z wściekłością na stojącą na jego drodze grupę. Po krótkiej jednak chwili towarzyskie normy wzięły górę. Reeve zdjął rękę z ramienia Rose, Neville uczynił to samo, a Gillian podała ciotce torebkę, do której wsunęła karteczkę z narysowanym przez ojca planem. Twarz Gerarda przybrała swój zwykły, surowy wyraz, podszyty uśmiechem ironicznej zadumy. Cała piątka wycofała się do holu.

- Serwus, Reeve - przywitał się Hernshaw. - Ależ tam har-mider!

Reeve Curtland odrzekł oficjalnym tonem:

- Miło mi cię widzieć, Gerardzie. To moje dzieci, Nevil i Gillian. Chyba dawno ich nie widziałeś.

- Ależ urosły! - zdumiał się Gerard. - Już bym was poznał na ulicy.

Podał rękę Gillian, a potem Neville'owi. Młodzi wymamro jakieś uprzejme powitania.

- No cóż, my już zmykamy - oznajmił Reeve i obrócił się do panny Curtland. - Możemy cię podrzucić. Rose, dokąd tylko chcesz.

- Nie, dziękuję, wrócę na piechotę. Chciałabym jeszcze zamienić dwa słowa z Gerardem.

- Zatem do jutra.

- Do jutra.

Neville, który przez cały czas tej rozmowy leciutko się uśmiechał, zapowiedział:

- Porwiemy cię do Yorkshire!

Pomachali im dłońmi i weszli do jadalni, żeby poszukać swych okryć. Rose i Gerard zostali sami pod drzwiami salonu. Stali w milczeniu, nie patrząc na siebie. Po chwili Reeve i jego pociechy wrócili, spojrzeli na milczących przyjaciół, ponownie pomachali im dłońmi, po czym wyszli na ulicę.

Gerard zwrócił się do panny Curtland z uprzejmym pytaniem:

- Czy życzysz sobie, bym ci sprowadził taksówkę? Zdaje się, że się wybierasz na jakieś spotkanie?

- Nigdzie się nie wybieram.

Miała wrażenie, że się za chwilę rozplącze, więc minęła go, szybkim krokiem weszła do jadalni, odszukała swój płaszcz, wróciła do holu i zaczęła się ubierać. Gerard podał jej płaszcz.

Zwracając się ku drzwiom, powiedziała:

- Zatem do widzenia. A wiesz, Gull i Lily ogłosili właśnie swoje zaręczyny.  
Z salonu wybiegł rozradowany Leonard Fairfax i podał Gerardowi trzymany w ręku kieliszek.  
Od dziecka za wujem przepadał.

- Dobrze mi się zdawało, że słyszę twój głos! Nie mogłem się wprost doczekać, kiedy przyjdiesz.

Młodzian był podobny do ojca, miał takie same kręcone włosy i ładne, czerwone usta, był jednak wyższy i szczuplejszy.

- Witaj mi, faunie - uśmiechnął się Gerard. - Słyszę, że podejmujesz pracę w galerii Courtauld. Ogromnie mnie to cieszy.

- Już wychodzisz, Rose? - zdziwił się Leonard. - Fajnie, że przyszłaś. Wyobraź sobie, Violet poszła na górę z tym twoim pastorem!

- Było bardzo miło - powiedziała Rose, otwierając drzwi. Schody oświetlała zainstalowana niedawno przez Pat latarnia w stylu art nouveau.

Gerard oddał siostrzeńcowi kieliszek.

- Odprowadzę kawałek Rose.

Podniósł swój płaszcz, który po przyjściu porzucił w kącie przy drzwiach.

- Tylko wracaj prędko! - zawołał za nim chłopak. - Ojczulek chce z tobą pogadać. Przyjeżdża Peter Manson, właśnie dzwonił. Chciałby się z tobą zobaczyć. A ja porywam cię jutro na lunch!

Rose i Gerard poszli ulicą ramię przy ramieniu. Padał drobny kapuśniaczek, zacinając nieco z ukosa, bo wiał wschodni wiatr. Rose zaczęła znowu cicho pochlipywać, ukradkiem, w chusteczkę.

- Psiakość... - mruknął Gerard. - Co się znowu stało?

- Ach nic. Po prostu rozbolał mnie ząb.

- To przykre. Wybierasz się do dentysty?

- Tak. Słuchaj, nie chcę ci psuć przyjęcia... Osuszyła łzy i przyspieszyła kroku.

- A więc jutro wracasz do Yorkshire...

- Ach nie!

- Zdawało mi się, że Neville tak powiedział?

- Nie, po prostu zaprosili mnie na lunch. Reeve kupił mieszkanie w Hampstead.

- O, to świetnie! Więc zostają londyńczykami.

- Słuchaj, wracaj już, wszyscy są spragnieni twojego widoku. Pójdę dalej sama. Zresztą mogę złapać taksówkę.

- Dokąd się wybierasz?

- Do domu. O, jest taksówka! Chyba cię pożegnam.

- No cóż, skoro tak... - Gerard skinął na taksówkarza, po czym otworzył drzwiczki samochodu.

Panna Curtland wsiadła.

- Miło cię było widzieć. Zadzwoń do ciebie kiedyś.

- Co się z tobą dzieje, u diabła? - zniecierpliwił się Gerard. - Jesteś chora?

W odpowiedzi zaczęła znowu płakać. Gerard wsiadł do taksówki, zatrzasnął drzwi i podał taksówkarzowi adres. Poklepał płaczącą przyjaciółkę po ramieniu, ale jej nie objął. Całą drogę przebyli w milczeniu. Kiedy podjechali pod dom panny Curtland, Gerard zapłacił za kurs i weszli bez słowa po schodach.

W przedpokoju zrzucili płaszcze. Rose zaciągnęła zasłony i włączyła elektryczne grzałki na kominku.

- Napijesz się czegoś? - spytała.

- Owszem.

- Sherry?

- Niech będzie.

- A może byś coś zjadł?

- Nie, dziękuję. Napełniła dwa kieliszki.

- Co się stało, Rose?

- Nic się nie stało! Chyba ja ciebie powinnam o to zapytać? Znikasz na całe tygodnie, kiedy dzwonię, mówisz, że nie masz dla mnie czasu, potem w ogóle nie odbierasz telefonu albo wyjeżdżasz. Bóg raczy wiedzieć dokąd, i nawet do głowy ci nie przyjdzie, żeby mnie uprzedzić! Bo też właściwie dlaczego miałbyś mnie uprzedzać? Nie mam do ciebie żadnych specjalnych praw, nie należę do twojej rodziny...

- Ani ja do twojej, skoro już o tym mowa. Najwyraźniej postanowiłaś zamieszkać na północy i matkować tym bystrym, młodym stworzeniom! No cóż, skoro tak... Ostatecznie krew nie woda.

- To samo mówi Reeve.

- Dajesz mi wyraźnie do zrozumienia, że twój dom jest gdzie indziej.

- No cóż, tobie to powinno być obojętne. Tu nigdy nie miałam domu.

- Bzdura! Zależy, co rozumiesz przez słowo „dom”.

- No wiesz! Nie sądziłam, że siedzi w tobie taki złośliwiec i zazdrośnik...

- A ja nie sądziłem, że siedzi w tobie głupia, małostkowa baba! Wcale nie jestem zazdrośny. O co miałbym być zazdrośny, do diaska?

- Rzeczywiście, o co? Wiesz, zdałam sobie ostatnio sprawę, że ty masz drugie życie, do którego zabraniasz mi wstępu. Chowasz się tam, ilekroć ci to dogadza... Jakże się miewa Derek Wallace?

- Kto taki?

- Derek Wallace. Ten młodzieniec, który ci przywiózł... no wiesz, tę odbitkę szcztokową... Posłaniec z Oksfordu.

- Ty chyba zwariowałaś, Rose?... Z byka spadłaś?... Co cię opętało?

- Znikasz na całe tygodnie i czego się spodziewasz?... A może w ogóle nie powinnam się tobą zajmować? Jeśli naprawdę chcesz, żebym całkiem przestała o tobie myśleć, jesteś na najlepszej drodze...

- Boże, czy ty naprawdę sądzisz...

- Oczywiście, to wszystko moja wina. Ty jesteś bez skazy. Zawsze mnie traktowałaś jak powietrze, miałam być na każde skinienie pod ręką, ta miła, ta dobra. Nie powinnam się była na tobie uwieszać. Wielu mi to odradzało.

- Więc po co się uwiesiłaś? Nie prosiłem o to. Oczywiście, że nie traktowałem cię jak powietrze. Nie rozumiem, dlaczego się skarżysz ani dlaczego jesteś nagle taka na mnie zła?

- A ty dlaczego mówisz „do diaska” i „co się z tobą dzieje, u diabła”? I dlaczego przychodzisz tak późno na przyjęcie, przecież wiedziałeś, że będę i że będę chciała się z tobą zobaczyć! Och, byłam głupia, głupia!

- Więc mówisz, że Gull i Lily pobierają się?

- Zmieniasz temat!

- Należy go zmienić.

- Tak, Gulliver wrócił z Newcastle... dostał jakąś posadę... Owszem, mają zamiar się pobrać. A Gideon i Pat praktycznie adoptowali Tamar.

- Doprawdy?

- W każdym razie kierują jej krokami, wszystko za nią załatwiają. Ma wrócić do Oksfordu, powstanie Tamargesellschaft my wszyscy mamy ją wspierać do czasu ukończenia studiów...

- Świetnie. I któż to urządził?

- Gideon, on teraz wszystkim zawiaduje. Kupił Tamar mieszkanie, Violet siedzi z nimi na Notting Hill i obie są szczęśliwe.

Tyś mógł to wszystko sprawić, ale ty nie miałeś czasu i nie dość się starałeś...

- Wątpię, by Violet była naprawdę szczęśliwa... ale masz rację, nie dość się staraliśmy...
- Jacy „my”?
- Proszę cię. Rose, zważaj na swoje słowa!
- Więc już do tego doszło? Mam „zważać na swoje słowa”? A może byś tak ty zważał na to, co mówisz? Oskarżasz mnie o...
- O cóż cię znów takiego oskarżyłem, poza tym, że jesteś przywiązana do rodziny?
- Ja nie mam rodziny. Ty jesteś moją rodziną. Co oznacza, że w ogóle nie mam rodziny. Poświęciłam ci życie, a tyś tego nawet nie zauważył.
- Pleciesz głupstwa, byle mnie zranić. Oczywiście, że masz rodzinę. Toż Reeve cię po prostu zagarnął, przywłaszczył sobie jak małe, potulne zwierzątko.
- Sugerujesz, że mnie wykorzystuje, chce ze mnie zrobić służącą?
- A nie chce? Liczy na konwencjonalne przywiązanie rodzinne.
- Dlaczego zaraz „konwencjonalne”? Oni mnie potrzebują, im, w odróżnieniu od ciebie, na mnie zależy!
- Bądź łaskawa na mnie nie krzyczeć. Wiesz, że nie znoszę krzyków!
- Ja nie krzyczę. Zgoda, plotę głupstwa. To wszystko jest znacznie prostsze: kochałam cię, a ty mnie pokochać nie mogłeś. Nie twoja wina. Tylko z jakiegoś powodu stało się to dla mnie nagle zupełnie nie do zniesienia.
- Co mogę zrobić? Chcesz, bym sobie poszedł?
- Na zawsze, to masz na myśli?
- Nie bądź niemądra! Wygląda na to, że nie możesz na mnie patrzeć, nietrudno też. zgadnąć, że jesteś na mnie zła, pojęcia nie mam, o co. Chwila jest nieodpowiednia, jesteś rozdrażniona, może z całkiem innego powodu, więc chyba nic tu po mnie... Będzie lepiej, jeśli sobie pójde.
- Przyznaj raczej, że ktoś na ciebie czeka. Wciąż zerkasz na zegarek...
- Czyś ty się upiła. Rose?!
- Dobrze, więc idź sobie.

Zapadła cisza. Panna Curtland rozpięła górne guziki sztruksowej sukienki, szarpnęła biały kołnierzyk bluzki i złapała się ręką za gardło. Czy naprawdę jestem pijana? - zaniepokoiła się. Co się ze mną dzieje? W czasie ich rozmowy krążyła między palisandrowym stolikiem, na którym postawiła nie tknięte kieliszki, a biurkiem, na którym dojrzała nagle list do Gerarda, jaki zaczęła pisać przed dwoma dniami i nie dokończyła. Chwyciła go teraz i zmięta gniewnie w garści. Czyżbyśmy stanęli u końca długiej drogi? - pomyślała. Czy zacznę teraz krzyczeć, zemdleję? Zapomniał nawet, że byliśmy kiedyś kochankami. No cóż, to było tak dawno, a i wtedy nie miało wiele wspólnego z kochaniem. Teraz czekam, żeby sobie poszedł, nie będę go zatrzymywała, a kiedy wyjdzie, wszystko się skończy, staniemy się sobie raz na zawsze obcy. Może zresztą byliśmy i dotąd, tylko ja tego nie dostrzegłam. Rzuciła zmięty list na podłogę.

Gerard stał przy kominku i bacznie ją obserwował. Był zgnębiony i zaskoczony nieoczekiwaną skłonnością przyjaciółki do zadawania mu bólu. Przez chwilę rozważał, czyby natychmiast nie wyjść, opadło go jednak nagle przygniatające zmęczenie. Miał powody, by poczuć się zmęczonym, ostatnio wszystkiego miał serdecznie dość.

- Boże, padam z nóg! - westchnął, podszedł do stolika i wziął do ręki kieliszek sherry. Podnosząc go, wylał niechcący na stolik kilka kropel złocistego płynu. Choć blat starego mebla był już bardzo poplamiony, panna Curtland odruchowo wyjęła z kieszeni sukienki jeszcze mokrą od łez chusteczkę i ją osuszać małą kałużę. Gerard natychmiast nakrył jej dłoń ręką i stali tak w milczeniu, nie patrząc sobie w oczy. Po chwili cofnął rękę, a gdy Rose podniosła na niego wzrok, wyszeptał: - Nie powinniśmy się kłócić, skarbie. Szczególnie my nie powinniśmy się kłócić...

Rose, której zabrakło już łez i którą dławiał gniew, poczuła, że zbiera jej się znowu na płacz, spłynęło na nią uczucie wielkiej ulgi, a wraz z nią odezwał się na powrót ból zęba, o którym

całkiem zapomniała. Poczowała się niezmiernie szczęśliwa i niewymownie wdzięczna, że jednak nie wyszedł, że jej dotknął, że nazwał „skarbem”, że nie musi na niego dłużej napadać, co ich oboje tak bardzo raniło. Czując, jak łzy napływają jej do oczu, powiedziała:

- Muszę wziąć drugą chusteczkę, ta całkiem przesiąkła sherry.  
- Weź moją.

Zanurzyła twarz w dużej, białej chusteczce o sztywno zaprasowanych zagięciach, pachnącej wnętrzem jego kieszeni, ogrzała ją oddechem i zwilżyła łzami. Otarła się o katastrofę, ale uszła cało.

- Zostaniesz na kolacji? - zapytała.  
- Oczywiście. Ale nie rób nic specjalnego.

Poszli razem do kuchni. Gerard odkorkował butelkę wina, Rose połknęła dwie aspiryny, otworzyła konserwę z ozorem, puszkę ze szpinakiem, wyjęła z lodówki kawałek sera, kilka jabłek i torcik śliwkowy. Gawędzili o Gulliverze i Lily, o Tamar i Violet, o Annuszcze, która, dziękować Bogu, nie okazała się poważnie chora. Usiedli do kolacji przy okrągłym stole, który Rose nakryła podkładkami z rafii, naprzeciwko siebie, jakby zasiadali do jakiejś narady. Oboje czuli wilczy apetyt.

- Słuchaj, Rose, powiedziałaś, że „z jakiegoś powodu” to wszystko stało się nagle nie do zniesienia. Czy moglibyśmy ustalić ten powód?

- Chcesz do tego wracać? Wolałabym porozmawiać o tobie.

- Rzeczywiście. Nie zapytałaś mnie, jak się miewam i co porabiałem, choć pozwoliłaś sobie na śmieszne insynuacje, dotyczące mego prowadzenia się.

- Przepraszam. Jak się miewasz i co porabiałeś?

- Powiem ci, oczywiście, choć wolałbym się chwilę z tym wstrzymać.

- Gerard, czy to... coś złego?

- Czy złego?... Nie powiedziałbym... Chociaż... Zaraz ci powiem, lecz chciałbym najpierw wyjaśnić tamte kwestie.

- Masz na myśli to, co ci powiedziałam?

- Ale i to, co ja powiedziałem tobie. A także to, że oboje przeżywamy najwyraźniej jakiś kryzys. Oczywiście, istnieją po temu aż nadto zrozumiałe powody...

- Masz na myśli Jenkinsa?...

- Oczywiście. Czuję się tak, jakby nagle zawalił się świat...

Dla nas wszystkich coś się skończyło, a coś nowego zaczęło. To jakby początek nowego życia.

- Dla nas wszystkich? Masz chyba na myśli nas dwoje.

- Widzisz, wciąż ulegam złudzeniu, że jest nas cała gromada. No cóż, pozostał jeszcze Duncan... chociaż czy ja wiem?...

- Boję się, że ich także straciliśmy - szepnęła.

- Ufam, że nie.

- Ale co miałaś na myśli, mówiąc o początku nowego życia?... Czy chodzi po prostu o doznanie naszej własnej śmiertelności czy o coś innego?

- Mamy jeszcze zadania do wypełnienia - mruknął.

- Kiedy Sinclair zginął, byliśmy tacy młodzi... ale i wtedy czuliśmy, że to nasza wina.

- To prawda. Mamy poczucie, że nie opiekowaliśmy się nimi należycie, nimi oboma...

Oczywisty przesąd. Poczucie winy to jeden ze sposobów przydawania śmierci znaczenia, a my chcemy doszukiwać się w śmierci znaczeń, bo to łagodzi ból.

- Uważasz, że mówienie o przeznaczeniu czy...

- Robienie ze śmierci swoistej alegorii: wybrańcy bogów umierają młodo i tak dalej... Lub traktowanie śmierci jako ofiary, oddawanie życia za innych, w ten lub inny sposób, akceptacja kary, popularna dość zresztą idea.

- Ach Boże... - westchnęła - więc i o tym pomyślałeś... Ofiara doskonała i płynąca stąd radość...

- Owszem, ale nic z tego. To bluźnierstwo, fałszywy rodzaj pociechy... Oto do czego prowadzi poczucie winy za czyjąś śmierć... Myślę o irracjonalnym poczuciu winy.

- Więc nie tutaj nasz nowy początek.

- W cudzie odkupienia? Oczywiście, że nie. Musimy się pogodzić z działaniem przypadku. Zresztą nie wiem na pewno, co miałem na myśli, mówiąc o nowym początku. Chyba po prostu w miarę przyzwoite życie w świecie bez Jenkinsa.

- Powiedziałeś, że mamy jeszcze zadanie do wypełnienia.

- Owszem.

- Nie wierzysz, że to Crimond go zastrzelił?

- Powinniśmy przestać zadawać sobie to pytanie.

- Czy kiedyś go o to... zapytasz?

- Crimonda? Nie.

- Bo mimo wszystko sądzisz, że to jest do pomyślenia...

- Musimy się nauczyć żyć z tą tajemnicą... Ach, Rose mnie tak strasznie boli!... Jesteś jedyną osobą, której to mogę powiedzieć... Śmierć Jenkinsa, właśnie jego, jest czymś tak potwornym, jego brak jest tak dojmujący. Ja go kochałem, polegałem na nim. ufałem mu bezgranicznie... Nigdy mu się nie przyznam, pomyślała, dlaczego czuję tak mocno, że Jenkin zginął przede mną. Ale jestem szalona oczywiście. Wcale nie wierzę, że to Crimond go zastrzelił. To było coś innego... coś, co Gerard nazwał alegorią. Czyżbym sądziła, że ten wypadek uląkł się z podświadomości Crimonda, z powodu jego złości do mnie? Boże, gdybym tylko zachowała się wobec niego inaczej, grzeczniej, uprzejmiej!...

Z kolei Hernshaw myślał: nigdy jej nie wyznam, jak bardzo kochałem Jenkinsa, jaką szczególną miłością, ani tego, jak on mnie wyśmiał! Tej tajemnicy nikomu nie wyjawię. Ale samo wymawianie przy niej jego imienia przynosi mi ulgę. Postaram się często to robić. Jakiś czas oboje milczeli. Gerard w skupieniu obierał jabłko, Rose kroić kawałek sera na coraz mniejsze kęsy, których zresztą wcale nie zamierzała zjeść. Ogarnęło ją smutne, lecz błogie przeświadczenie, że ten dobiegający końca wieczór upływa w nastroju rozsądku i w klimacie bezpieczeństwa. Wiedziała, że potem będzie sobie czyniła gorzkie wyrzuty, że powiedziała rzeczy nie tyle może niewybaczalne (wiedziała, że już jej zostały wybaczone), ile niemądre, a może i nieodwracalne. Do katastrofy na szczęście nie doszło. Ale czy te wyznane żale, a także sposób, w jaki zostały zbagatelizowane, nie świadczyły o roz-dźwięku między nią a Gerardem, o barierze, jaka chyba zawsze ich dzieliła, ale dopiero teraz dotarła do jej świadomości? Doprawdy, niepojętą była uczennicą! Czy pobierała właśnie lekcję rezygnacji? Czy na tym polega rezygnacja, by krzyczeć i wymachiwać rękami, gdy ulicą przejeżdża księżę, zdając sobie sprawę, że on wcale o ciebie nie dba, mało go obchodzi, czy go przeklinasz czy wiwatujesz na jego cześć, bo w obu przypadkach obdarzy cię tym samym przyklejonym do warg uśmiechem i pojedzie dalej? Co za śmieszna myśl, pomyślała panna Curtland. Jestem śmiertelnie zmęczona. Musiałam się chyba zdrzemnąć i we śnie zobaczyłam Gerarda przejeżdżającego obok mnie w powozie. Gdyby teraz wyszedł, usnęłabym z miejsca jak

kamień. Ból zęba trochę zelżał. Wpatrywała się w przyjaciela, jakby chciała go wzrokiem zatrzymać. Patrzyła na jego twarz

O wyrazistych rysach, ruchliwą w grze światłocienia, na kilka błyszczących, siwych nitek w kędzierzawej czuprynie i czuła, jak jej własna twarz zaczyna tężeć, ciążyć, a powieki opadać.

- Nie zasypiaj, moja droga! Nie zadałaś mi jeszcze najważniejszego pytania.

- Słucham? Jakiego pytania?

- O książkę.

- A, książkę. - Omal się jej nie wyrwało: „Do diabła z książką!” Chciała tylko, żeby została jak najprędzej ukończona, poza tym miała serdecznie dość tego całego dzieła. Może i to był przejaw rezygnacji.

- Nie zapytałaś, co o niej sądzę. Zresztą jak ci się zdaje, co ja robiłem przez ten cały czas?

- No więc co o niej sądzisz? Jest niedobra, bzdurna? Gerardzie, to już nie ma żadnego znaczenia!... Została nareszcie skończona, tylko to się liczy.

- No wiesz! - Powiedział to z wyrzutem, niczym mały, zawiedziony chłopczyk. - Napijemy się whisky? Nie wstawaj, ja przyniosę. Słuchaj, upijmy się. Mam ogromną ochotę z tobą rozmawiać, chce mi się gadać i gadać bez końca. Masz, wypij, od razu oprzytomniejesz. Wypiła łyczek whisky i rzeczywiście przejaśniło jej się w głowie.

- Jesteś pierwszą osobą, z którą o tym mówię, pierwszą, z którą się w ogóle spotykam po skończeniu lektury. To dlatego nie odpowiadałem na telefony, dlatego nigdzie nie wychodziłem. Chciałem być sam, chciałem ją przeczytać uważnie i bez pośpiechu, obcować z nią w spokoju, sam na sam.

- Jest więc cokolwiek warta? To dzieło wariata, obsesyjna brednia, czy tak?

- Istotnie, do pewnego stopnia...

- Wiedziałam!... Tyle czasu i pieniędzy na to, żeby wyszły na świat chore rojenia szaleńca! Pewnie nudna? Majaczenia wariatów zwykle bywają nudne.

- Nudna? Skądże, omal nie przypłaciłem jej zdrowiem. Może zresztą jeszcze przypłacę.

- Co ty mówisz? Przerażasz mnie. Przypuszczałam, co prawda, że możesz to odchorować...

- Niebezpieczne hokus-pokus? Owszem.

- Co ma znaczyć to: „owszem”?

- Rose, ta książka jest cudowna, cudowna!

- Boże! To okropne!

- Dlaczego okropne? Boisz się, że umrę z zazdrości? Przyznaję, na początku, kiedy zaczęło do mnie docierać, jak znakomite mam przed sobą dzieło, doznałem istotnie niskiego, nikczemnego uczucia zawodu.

- Miałaś nadzieję, że będziesz ją mógł przekreślić, odrzucić... Ja także o tym marzyłam.

- Tak, tak, poczułem się upokorzony... Sama wiesz, przywykliśmy myśleć o Crimondzie jako o szaleńcu, nie zrównoważonym psychicznie fanatyku, a więc kimś złym, pozbawionym zasad moralnych... wręcz okrutnym, jeśli wziąć pod uwagę to, jak obszedł się z Duncanem wtedy na balu.

- Chodzi ci o to, że zabrał mu żonę?

- Nie, że wepchnął go do Cherwell... To było podłe, niepotrzebne... Oczywiście, nie wiemy, co wtedy naprawdę między nimi zaszło... Słuchaj, pamiętasz, jak Crimond tamtej nocy tańczył?

- Ja tego nie widziałam.

- Przypominał jakiegoś demona. Miałem wrażenie, że oglądam taniec boga, niszczycielski, twórczo potężny żywioł. Byliśmy wtedy zajęci gorliwym zwieraniem szeregów z powodu krzywdy, jaką wyrządził Duncanowi... Od tamtej historii w Irlandii stanowczo Crimonda nie docenialiśmy. Mieliśmy go za małostkowego, do tego ordynarnego nieudacznika, węszącego wokół domu natrętnego kundla... A potem, gdy rozeszły się tak krańcowo nasze poglądy polityczne, wówczas rzecz naprawdę niebagatelna...

- Dziś także.

- Owszem, zaraz do tego wrócę... uznaliśmy Crimonda za osobnika z gruntu zepsutego, niemoralnego, obcego nam politycznie, nieodpowiedzialnego, mściwego, trochę stukniętego... Więc jak ktoś taki mógł napisać znakomitą książkę?

- Bo ty uważasz, że właśnie taką napisał...

- Rose, to jest wielkie dzieło! Jestem oczarowany... Na pewno się co do jego wartości nie mylę.



- I nie jesteś zazdrosny?

- Odrobinę, ale to nie ma znaczenia, podziw zwycięża zazdrość. Należy czerpać inspirację z każdej rzeczy wartościowej, nawet gdy się z nią nie zgadzamy.

- A więc się nie zgadzasz?

- Oczywiście, że nie!

Hernshaw nie wyrywał sobie co prawda włosów z głowy, ale przeczesywał je palcami tak energicznie, jakby chciał wyprostować każdy z osobna błyszczący kędzior. Jego twarz, od której biła niemal luna, przypominała pannie Curtland zachwycającą maskę komiczną. Rose poczuła wzruszenie, ale w głębi duszy również niepokój i lęk z powodu jego uniesienia, którego przyczyn na razie nie rozumiała.

- A zatem jest dobra, choć ty się, oczywiście, nie zgadzasz z jej tezami. Dobra czy niedobra, ale przynajmniej skończona. Przeczytałeś ją i basta...

- Otóż nie, bynajmniej! Nie sądz...

- Ja nic nie sądzę, mój drogi. Uspokój się. Napiszesz jej recenzję?

- Recenzję? Czy ja wiem... nie sądzę, by mnie o to poproszono... A zresztą nieważne...

- Cieszę się, że tak uważasz. Powiedziałeś Crimondowi, że książka ci się podoba? Widziałeś się z nim?

- Nie, skądże, w ogóle się z nim nie kontaktowałem. Teraz i to nie ma już znaczenia.

Poczuła ulgę. Zaniepokoiło ją podniecenie, z jakim mówił

o tym niebezpiecznym dziele. Odżyły jej wszystkie dawne obawy związane z Crimondem.

Lękała się, że mógłby zrobić Gerardowi jakąś krzywdę, że sama książka mogłaby go zranić, a w najlepszym razie unieszczęśliwić, wzbudzając zazdrość

i żal. Bała się też - obawę zaś swoją odczuwała jak pierwsze symptomy groźnej choroby -

jakiegoś zaskakującego rapprochement, za pomocą którego Crimond zechce wziąć na niej

odwet, zawierając przyjaźń ze swym wrogiem, a ją pozbawiając przyjaciela. Pragnęła z

całego serca, by nieszczęsny epizod z książką skończył się nareszcie raz na zawsze, aby

Gerard, przeniesiony przez swą wspaniałomyślność od zazdrości do podziwu, prze-

dyskutował ją, wychwalał, a potem zapomniał i żeby wszystko wróciło do poprzedniego ładu, a Crimond, ten uprzykrzony kundel, trzymał się od nich na bezpieczny dystans.

- Przypuszczam, że ta książka nie wszystkim się spodoba.

- O. z pewnością nie! Niektórzy ją znienawidzą, ale inni, obawiam się, zapałają do niej miłością.

- Ty jej najwyraźniej nie znienawidziłeś, skoro cię tak poruszyła. Swoją drogą nie wierzę, by

książka poświęcona teorii polityki, mogła być aż tak pasjonująca. Toż podobnych dzieł masz

na półkach!

- Skarbie, ona jest genialna, dokładnie taka, jak przewidywaliśmy, kiedy uznaliśmy, że warto

wspierać finansowo jej powstanie. Jest dokładnie taka, na jaką liczyliśmy... i jakiej się

obawialiśmy, choć dopiero potem. Będzie szeroko czytana, szeroko dyskutowana i, mam

nadzieję, wywrze kolosalny wpływ. Wiesz, to dziwne, ale przypomniało mi się teraz (bo

jakimś cudem o tym zapomniałem), co myśleliśmy o Crimondzie przed laty. Uważaliśmy go

wtedy za niezwyklego człowieka, który przemówi w naszym imieniu, będzie głosem naszego

pokolenia. Oczywiście, nie jest taka, jakiej wtedy oczekiwaliśmy, jest czymś znacznie więcej,

nie przynosi też treści, jakich dzisiaj byśmy chętnie słuchali, ale trudno, musimy ich

- Ta książka cię tak frapuje, bo znasz jej historię, znasz autora, finansowałeś jej powstanie. Gdyby napisał ją ktoś zupełnie ci nie znany, najpewniej byś ją zignorował. Co w tej okropnej książce uważasz za tak wybitne?

- Dlaczego zakładasz z góry, że jest okropna? Popełniasz błąd. To nie jest kolejny bryk z zakresu teorii nauk politycznych, to synteza, kolosalne dzieło, które traktuje o wszystkim.

- Więc miesza groch z kapustą i okaże się niewypałem.

- Ależ bynajmniej! Boże, czego ten człowiek nie poznał, czego nie przeczytał, czego nie przemyślał!...

- Ty też sporo przeczytałeś i przemyślałeś niejedno.

- Nie byłbym taki pewien. Crimond zarzucił mi kiedyś, że dawno przestałem myśleć, że to, czym się przez całe życie zajmowałem, niewiele miało wspólnego z myśleniem. Jestem skłonny przyznać mu rację.

- Absurd! To w ogóle człek absurdalny. Ciekawam, czym się teraz zajmie. Usunie się w cień? Wyjedzie do wschodniej Europy?

- Po co? Tu jest jego miejsce. Może napisze drugą, równie grubą księgę, w której zbije tezy tej pierwszej? Niewątpliwie jest do tego zdolny. To dzieło będziemy musieli przetrwać latami. Nie znam wśród nich nikogo, kto mógłby dziś stworzyć rzecz podobnej miary.

- Cóż to za „oni”?

- Och. marksiści, neomarksisti, rewizjoniści czy jak się tam jeszcze sami określają. Nie wiem, czy Crimond jest prawdziwym marksistą, ani co to słowo dziś właściwie znaczy. Oni sami tego nie wiedzą. Przypuszczam, że jest kimś w rodzaju zbłąkanego marksisty, jak zresztą wszyscy co wybitniejsi myśliciele tego nurtu. Jedyny dobry marksista to marksista szalony. Dziś nie wystarcza być rewizjonistą, trzeba na dodatek mieć w sobie tę odrobinę szaleństwa, aby móc w ogóle dostrzegać współczesny świat, ogarniać ogrom zdarzeń.

- No cóż, zawsze twierdziłam, że Crimond jest szalony. Więc jeśli jego książka jest z gruntu mylna...

- Ano jest, przyznaję... Należy jednak rozumieć...

- Crimond wierzy w rządy monopartii. To mi już wystarczy.

- Ha, wierzy, ale i nie wierzy... Jego tezy są daleko pojemniejsze...

- Powiedziałabym, że nie ma już nic pojemniejszego od tego stanowiska.

- Ach, Rose, Rose! - Gerard wyciągnął nagle rękę ponad stołem i chwycił jej dłoń. - Co za uroczą riposta! - Ścisnęła jego ciepłą, kochaną rękę, która znaczyła dla niej więcej od wszystkich książek świata, więcej od losów demokracji, więcej od losu ludzkości. - Ale, moja droga, my musimy myśleć, musimy walczyć, musimy się zmieniać, nie wolno nam trwać w bezruchu, wszystko wokół zmienia się tak szybko...

- Masz na myśli technikę? Czy ta książka traktuje również o technice?

- Owszem. Jak ci powiedziałem, traktuje o wszystkim. Wyznał mi kiedyś, że musi ją napisać po prostu dla samego siebie, samemu sobie wyjaśnić całość filozofii, na własny użytek. I właśnie to zrobił. Masz tam wszystko: presokratyków, Platona, Arystotelesa, Plotyna, aż po filozofię współczesną. Dodaj do tego filozofię Wschodu... dodaj etykę, religię, estetykę! Świetny jest rozdział o świętym Augustynie. Przy tym on pisze wybornie, z humorem, z ikrą. Ludziska się na to rzuca...

- Szkoda, skoro propaguje błąd...

- To prawda. Ta książka może zapalić głowy całych tabunów bezmyślnych burzycieli. Crimond uważa, że liberalna demokracja jest skończona. Jest kimś w rodzaju pesymistycznego utopisty. Oczywiście, racja leży po naszej stronie. Zgoda. Ja mam rację, a Crimond się myli... Jednak moja racja... wymaga modyfikacji... wstrząsu, przewartościowania, oświecenia...

- Przewiduję, że ta książka okaże się sensacją jednego sezonu - orzekła panna Curtland - a potem będziemy mogli wreszcie spokojnie odetchnąć. Nawet ty spojrzysz na nią jutro trzeźwiejším okiem. Dziś jesteś pijany Crimondem i whisky.
- Wiesz, niewykluczone, że została bezpośrednio we mnie wymierzona.
- Nie sądzisz chyba...
- Nie w sensie dosłownym. Możliwe, że istnieje niewielka grupa osób, którzy ją rozumieją, są na nią przygotowani. Dla nich właśnie powstała... Jedni się z nią zgodzą, inni nie, i ci właśnie dostaną ważny przekaz. To może być jak sygnał helio-grafu: jest rejestrowany tylko w jednym punkcie, ale jest tam oślepiający.
- Ciebie na pewno oślepił. Ale jeśli ta książka traktuje tylko o Platonie, świętym Augustynie i Buddzie, nie sądzę, by mogła się okazać polityczną bombą.
- Nie tylko o tym traktuje... Jest próbą spojrzenia na całą przeszłość naszej cywilizacji w świetle teraźniejszości i przyszłości, z rewolucją, by tak się wyrazić, jako celem na oku.
- No proszę!
- Rose, nie mam na myśli rewolucji proletariackiej w klasycznie marksistowskim sensie tego słowa. Mam na myśli globalną rewolucję humanistyczną.
- Nie wiedziałam, że coś takiego w ogóle istnieje. Ty zresztą również nie. Podchwyciłeś tę ideę z książki Crimonda, ot co!
- Jesteś nieoceniona! - Zaśmiał się jak wariat i nalał sobie whisky.
- Upiłeś się. Zrzuciłeś mi, że ja jestem pijana, a teraz jesteśmy pijani oboje.
- Zgoda, skarbie, jestem pijany, ale nie „podchwyciłem” z książki Crimonda niczego, o czym bym wcześniej nie wiedział, choć on ukazał mi to w całkiem nowym świetle.
- Ulegasz złudzeniu. Ta książka to groch z kapustą, podobnie zresztą jak liberalna demokracja.
- Widzisz? Sama to rozumiesz. Tyle że powszechne złudzenie ma ogromną siłę... a nawet najbardziej szalona przepowiednia może ujawniać aspekty, o jakich się wcześniej nikomu nie śniło, choć są faktem.
- Co masz na myśli: postęp techniczny, problem Afryki, wojnę atomową?...
- Wiele różnych kwestii, które na razie sprawiają wrażenie osobnych, choć są połączone albo się wkrótce takimi okażą. Chwieją się fundamenty, stoimy w obliczu najradzykalniejszej, najgłębszej, najgwałtowniejszej przemiany, najburzliwszej rewolucji w dziejach naszej cywilizacji.
- Nie wierzę, by te problemy istotnie się łączyły - powiedziała. - Mitologizujesz, co mnie wręcz dziwi. Mamy wszak całą masę innych, realnych zmartwień. A zresztą, mój drogi, my tego ekscytującego kataklizmu nie doczekamy. Mam nadzieję i ufam, że do końca życia, ile mi go jeszcze zostało, będę w stanie wyjść i kupić kostkę masła i egzemplarz „Timesa”.
- Jesteś pewna? Pomyśl tylko, czego już byliśmy świadkami.
- Masz na myśli hitleryzm?
- Na przykład. Zdarzeń absolutnie nie do przewidzenia, wcześniej niewyobrażalnych. Choćby podróży w kosmos. Przed nami przyszłość, jakiej nawet sobie wyobrazić nie umiemy. Przypominamy tamtych tubylców z Nowej Zelandii, którzy najspokojniej w świecie dalej łowili ryby, bo nie byli w stanie dojrzeć okrętu kapitana Cooka... Stał jak wół w zatoce, ale oni nie byli w stanie go skonceptualizować.
- Ciekawe porównanie... No cóż, trudno, to, co niepoznawalne, jest po prostu niepoznawalne i kropka.
- Życie ludzkie jest zbyt krótkie, Rose. Smutne jest nie tylko to, że daje nam tak mało czasu na przyjemności, ale i to, że mamy tak mało czasu na poważne myślenie... Bo myślenie wymaga długiego treningu, surowej dyscypliny, długotrwałej koncentracji... Nawet geniusze musieli mieć poczucie, że nazbyt prędko się nużą, rezygnowali, ledwo zaczynało im świtać

jakieś wyjaśnienie... Filozofia, a zapewne i cała historia ludzkości, byłyby zupełnie inne, gdyby średnia naszego życia wynosiła, powiedzmy, dwieście lat.

- Żyjemy dostatecznie długo, żeby zaznać trochę przyjemności, trochę popracować, kochać parę osób i starać się wyświadczyć trochę dobra.

- Owszem, zgoda, ale musimy też, przynajmniej niektórzy z nas, usiłować myśleć nad tym, co się dzieje, i walczyć...

- Przeciwno czemu?

- Przeciwno... jakby tu rzecz?... przeciwko historii. Zgoda, wiem, to zabrzmiało głupio... To jest trudne, Rose, nie potrafię tego nawet jeszcze dobrze ująć... Czuję się jak na pierwszym semestrze filozofii w Oksfordzie, jakbym pełzał po śliskiej kuli i nie mógł się dostać do środka.

- A po co się tam dostawać? Może kiedy było się studentem, miało to jakiś sens, ale teraz?

- Mówisz o... No cóż, istotnie, byłem wtedy za młody. Teraz jestem już chyba za stary... Obrzydliwa, swoją drogą, myśl!...

- Nie chciałam cię dotknąć.

- Lejesz, mi na głowę kubły zimnej wody, ale masz rację, człowiek powinien wykazać opanowanie, zachować zimną krew...

- Czyżby Crimond był po stronie historii? Nie bardzo to rozumiem.

- Tak. Historii rozumianej jako rzeźnia. Wilk czyhający w ciemności. Historii rozumianej jako nieuchronność, choćby była potworna, mordercza.

- Sądziłam, że marksiści byli optymistami. Wierzyli, że po zwycięstwie socjalizmu społeczeństwo doskonale powstanie niebawem na całej kuli ziemskiej.

- Kiedyś istotnie byli. Niektórzy nadal są, inni są opętani strachem, choć trwają na dawnych pozycjach. Crimond uważa, że w przededniu upadku cywilizacji, który uważa za nieuchronny, powinniśmy oczyścić nasze idee utopijnymi wizjami.

- Nie wątpię, że chciwie tego upadku wygląda! Jest deterministą, jak oni wszyscy.

- Skrajnym deterministą, a to najgroźniejszy, ale i najciekawszy gatunek. Marksizm pojmują jako wyjście bezpieczeństwa, jedyne możliwe dziś instrumentarium myśli, jedyną filozofię na okres nieuniknionych rządów autorytarnych.

- I arkę, która przeniesie dawne wartości. Wszystkie stare, burżuazyjne cnoty zostaną wytrzebione.

- Crimond próbuje ogarnąć całokształt tego problemu. Nie zgadzam się z nim oczywiście, ale...

- Nie sądzę, aby tu w ogóle istniał jakiś „całokształt” ani że potrafimy wyobrazić sobie przyszłość. Dotąd nikomu się to jakoś nie udało.

- Nie potrafię ci dać wyobrażenia o tej książce. To imponujący, spójny system myślowy, wcale nie wyłącznie pesymistyczny... Jest bardzo utylitarystyczna, to była zresztą zawsze najsympatyczniejsza część marksizmu. Traktuje właściwie o wszystkim... Wiele miejsca poświęca ekologii i prawom zwierząt...

- W sam raz dla kobiet!

- Rose, to bardzo szlachetna książka. Porusza temat sprawiedliwości, cierpienia...

- Nie wierzę w tę szlachetność. On chce zlikwidować burżuazyjną jednostkę, czyli jednostkę jako taką, i burżuazyjne wartości, czyli wartości jako takie. Wierzy tylko w nieuchronność okrucieństwa.

- Zważ jednak, że ta książka to generalny atak na marksizm przeprowadzony przez wybitnie inteligentnego marksistę, próba przemyślenia dogłębnie całokształtu zjawisk... Sama się zresztą przekonasz.

- Ani myślę! Owszem, kierując się indeksem, przejrzę fragmenty poświęcone ekologii, zwierzętom i sprawiedliwości...

- Proszę, przestań ironizować, moja droga...

- Przypuszczam, że jesteś taki przejęty, bo ta książka zdaje się spełniać „oczekiwania epoki”, daje nową syntezę itepe, lecz jeśli proponuje wyłącznie władzę marksizmu nad światem, a potem raj utopii, to żadna nowość, to tylko dobrze znana dyktatura proletariatu we współczesnych szatkach... czyli coś, czego serdecznie nie cierpisz, więc nie rozumiem, skąd ta fascynacja? Nie wierzę w tę arkę Crimonda, w tę jego łódź, którą zamierza pokonać spienione porohy.

- Więc w co wierzysz?

- Uważam, że powinniśmy pielęgnować to dobre, cośmy już posiadli.

- Ale powiedz serio, jakie widzisz przed nami perspektywy? Totalna katastrofa? Apres nom le delugel

Milczała. Gerard wstał i pochylił się nad oparciem fotela. Z jego twarzy biło podniecenie, które wydało się pannie Curtland komiczne jako spotęgowanie jego zwykłego, prześmiewczego uśmieszku. Wreszcie, by nie powiedzieć „tak”, skinęła tylko głową. Hernshaw odwrócił się i zaczął krążyć po pokoju.

- Rose, może masz jeszcze trochę tych pierniczków w czekoladzie?

- Tych ciemnych, suchych jak wiór? Oczywiście, zaraz przyniosę.

Na stole stały dotąd talerze z resztkami kolacji, kawałkiem sera, plackiem śliwkowym i kilkoma jabłkami na ładnej paterze.

- Wciąż czuję głód. Skosztuję też tego placka. Czy to wypiek Annuszki?

Szukając w kuchni blaszanego pudełka z pierniczkami, Rose zdała sobie sprawę, że do sporu z przyjacielem zagrzewało ją w istocie pożądanie. Ukrytym przedmiotem tej dyskusji był dla niej seks. Myślała tylko o tym, by pójść z Gerardem do łóżka, i maskowała to pragnienie ciętymi ripostami, ironicznymi drwin-kami. Oto co jej naprawdę leżało na sercu, a nie przyszłość cywilizacji!

Gerard spałaszował placek śliwkowy, po czym rzucił się na pierniczki, które zagryzał serem. Chodził po pokoju i kruszył na dywan. Słuchając, jak okrucy chrzęczczą mu pod podeszwami, oświadczyła z irytacją:

- Wychwalasz tę książkę pod niebiosa, orzekając jednocześnie, że jest błędna! I wcale się nie dziwię, skoro jest z ducha marksistowska. Czy to nie przesądza sprawy?

- Otóż nie... bynajmniej! Kiedy się ją czyta...

- Nie mam zamiaru jej czytać! Uważam, że to szkodliwa i wstrętna elukubracja. Wolałabym, żeby w ogóle nie powstała.

- Ależ ty musisz ją przeczytać!

- Niby czemu?

- Dla powodów, które ci zaraz wyłuszczę. Poniekąd i ja bym wolał, żeby nie powstała, ośmieli różnych głupców i łajdaków i wywrze zgubny wpływ na szerokie kręgi, ale z drugiej strony cieszę się, że powstała, bo zmusi adwersarzy do myślenia, pokaże, że można tworzyć - i to na polu tak kluczowym! - idee nowe.

- Dzieła przynoszące nowe idee ukazują się co tydzień.

- Wcale nie! Nie dzieła poruszające tematy równie zasadnicze.

- Rewolucja, najburzliwsza w dziejach ludzkości, toż to tylko pogoń za sensacją! Jedyną burzą, jaką ta książka wywoła, będzie wzburzenie i zbeltanie starych, zużytych idei.

- Więc trzeba stworzyć nowe!

- Niestety, to przekracza nasze siły... Wybacz, jestem okropnie zmęczona.

- Przepraszam, skarbie... Tylko mi znów nie usypiaj! Chciałbym ci coś powiedzieć...

- Wybieram się w podróż statkiem z Reeve'em i jego dziećmi. Odbędziemy długi morski wояż, prawdziwą podróż dookoła świata.

- O! - Nie zdołał ukryć zaskoczenia. - Kiedy?

- Na Wielkanoc. No cóż, może nie podróż dookoła świata, ale jednak długą, chyba kilkutygodniową... już nie pamiętam.
- Hm, powinno być miło.
- Widzisz, postanowiłam częściej ich widywać. Zamierzam wprowadzić w swoim życiu znaczne zmiany. Sprzedam to mieszkanie i przeniosę się do Yorkshire.
- Nie zrobisz tego, Rose!
- A niby czemu? Kto mi zabroni?
- Jak to kto? Ja! Posłuchaj, dobrze, wybierz się w ten cholerny wóz, widuj się częściej ze swoją rodziną, skoro masz taką fantazję...
- Piękne dzięki.
- Ale przynajmniej posłuchaj, co ci mam do powiedzenia.
- Cała zamieniam się w słuch.
- Najpierw obudź się!
- Jestem przytomna. Przepraszam, że odniosłam się tak lekceważąco do książki Crimonda. Jestem pewna, że nie jest tak dobra, jak mówisz, choć niewątpliwie zrobiła na tobie ogromne wrażenie. Otrząśniesz się z tego. Poza tym nas nie dotyczy.
- Sfinansowaliśmy ją.
- Przez przypadek. Szybko o niej zapomnisz. Nie odmieni twojego życia.
- Prawdę mówiąc, już odmieniła... To właśnie usiłuję ci powiedzieć. Na tę książkę należy i trzeba odpowiedzieć, punkt po punkcie.
- Dobrze, zrecenzuj ją... Chociaż sam przed chwilą powiedziałeś, że nie masz na to ochoty.
- Zasluguje na coś więcej niż recenzję.
- Czyli?
- Równie obszerną książkę.
- Kto ją napisze?
- Ja.

Panna Curtland schyliła się, zebrała trochę okruchów z dywanu i wysypała na stół. Ogarnęło ją przecucie, na razie niejasne, niezrozumiałe, jakby wyroku losu, wyroku śmierci, napisanego w jakimś nieznanym języku.

- Proszę, nie bierz się za to - szepnęła ze znużeniem. - Nie pakuj się w to.
- Muszę, Rose. To mój obowiązek.
- Próżność, Gerardzie. Twój zamiar wypływa z próżności. Nie możesz siadać teraz do pracy nad poważną książką. Zabraknie ci czasu.
- Muszę... Jestem to winien Jenkinowi... Sinclairowi... Nam wszystkim.
- Nie popadaj w sentymentalizm, mój drogi!
- Książka Crimonda jest głęboka, wprost kipi od idei... Po części jest słuszna, przeważnie zatrwającą błędna.
- Napiszesz co najwyżej komentarz do niej.
- Nie, muszę napisać moją własną książkę! Mam już plan. Będzie to praca wymagająca tak kolosalnej liczby lektur i przemyśleń, że aż ma się ochotę zawyć... ale czuję, że mc innego się dla mnie nie liczy... Książka Crimonda nie może pozostać bez odpowiedzi.

- To zabawne - panna Curtland zgarnęła łupiny jabłek i drobno pokrojony ser ze swojego talerza na talerz Gerarda, po czym położyła jeden talerz na drugim - ale marzyłam sobie często, że kiedyś, może kiedy przejdiesz na emeryturę, zaznamy razem szczęścia. Nie mam na myśli niczego specjalnego. Moglibyśmy na przykład pojechać do Wenecji lub coś w tym rodzaju. Sądziłam nawet, że moglibyśmy się razem trochę zabawić. Biedna Rose, marzyła o szczęściu, niestety, daremne to były marzenia. Cóż, pora, żebym się przeniosła do Yorkshire. Będę jeździła wierzchem po dolinkach w towarzystwie Reeve'a, Neville'a i Gillian.

- Posłuchaj. Rose. będę potrzebował pomocnika.

- Weź Tamar.  
- Myślałem o tobie. Moglibyśmy pracować razem.  
- Mój drogi...  
- Właśnie dlatego musisz przeczytać tę książkę, dokładnie ją przestudiować... I właśnie dlatego nie możesz opuścić Londynu. Moglibyśmy zamieszkać w pobliżu siebie, drzwi w drzwi, może nawet pod jednym dachem... kto wie? Myślałem...  
Parsknęła śmiechem.  
- Pod jednym dachem?  
- A czemuż by nie? Uznałem, że to dobry pomysł. Nie musielibyśmy żyć jak mąż i żona, ale moglibyśmy się codziennie widywać...  
Nie przestawała się krztusić bolesnym, nerwowym śmiechem.  
- Och... Gerardzie... ty i ja... pod jednym dachem...  
- Więc...  
- Nie, nie ma o czym mówić, to całkiem wykluczone.  
- Trudno - mruknął i sięgnął po płaszcz. - I nie pociąga cię praca w charakterze mojej asystentki?  
- Ani trochę!  
- Hm, może to istotnie głupi pomysł. Znajdę sobie kogoś innego. Jesteś faktycznie zmęczona. Z czego się tak śmiejesz, u diaska?  
Rose siedziała za stołem i śmiała się histerycznie, zakrywając mokre oczy i usta piękną, białą chusteczką Gerarda.  
- O Boże, tylko... ty albo historia... albo... Bóg raczy wiedzieć co...  
- Zatem życzę ci dobrej nocy - burknął dość oziębło i włożył płaszcz. - Dzięki za kolację. Przepraszam, że zgłosiłem te absurdalne, jak je najwyraźniej oceniłaś, propozycje.  
- Zaczekaj chwilę! - Odrzuciła chusteczkę i podbiegła do Gerarda, chwyciła go za rękawy płaszcza, jeszcze wilgotne od deszczu, i potrząsnęła nim tak mocno, że omal oboje się nie przewrócili. - Nie udawaj głupiego! Czy nic nie rozumiesz? Oczywiście, że zostanę twoją pomocnicą, zamieszkamy pod jednym dachem, drzwi w drzwi, jak zresztą zechcesz... Lecz jeśli do tego dojdzie, musimy zawrzeć układ... Musi wyglądać na to, żeśmy się naprawdę pobrali, mam dość odchodzenia wiecznie z pustymi rękoma, chcę wreszcie coś mieć. Musimy naprawdę być razem, muszę mieć poczucie bezpieczeństwa... Dobrze, przeczytam tę książkę, zrobię, cokolwiek zechcesz, lecz chcę przynajmniej czuć... Nie, to beznadziejne... Boże, ta straszna książka!... Chyba nie zamierzasz wyjść za Crimonda, co?  
- Czyś ty zwariowała?  
- Niewątpliwie zechcesz się z nim spotykać, dyskutować.  
- Nie zamierzam go na razie w ogóle widywać, może nawet przez dłuższy czas. Zresztą zapewne i on nie miałby na to ochoty. Sądzę jednak, że kiedyś się spotkamy, ale przyjaciółmi już być nie możemy... ponieważ...  
- Nie odejdziesz ode mnie... Nie poślubisz nikogo innego... Będziemy razem...  
- Dobrze. Możesz jechać na tę wycieczkę statkiem, ale nie możesz się wyprowadzić i zamieszkać w Yorkshire.  
- Bo ty potrzebujesz pomocnicy.  
- Bo potrzebuję ciebie.  
- Zmusiłam cię do tej deklaracji.  
- Nie bądźże taka irytująca, Rose! Przecież dobrze wiesz, że cię kocham.  
- Właśnie, że nie wiem! Nic nie wiem... Żyję w kompletnej ciemności... Jeśli będziesz trwał przy zamiarze napisania tej książki, pomogę ci... ale muszę mieć jakieś poczucie bezpieczeństwa.

- Ależ masz je! Jesteś siostrą Sinclaira, moim najbliższym przyjacielem, kocham cię. Cóż więcej ci mogę powiedzieć?

Puściła jego rękę.

- Rzeczywiście. Cóż więcej mi możesz powiedzieć? A pamiętasz... Nie, dlaczego miałbyś pamiętać. Zatem zamieszka-

my razem, drzwi w drzwi lub w pobliżu siebie i będziemy się często widywali...

- Tak, jeśli tego chcesz.

- Sam to zaproponowałeś.

- Bo ja tego chcę.

- A więc dobrze. A teraz idź już. Jestem naprawdę zmęczona.

- Tylko proszę, Rose...

- Idź już. Nic mi nie będzie. Pomogę ci przy tej książce.

- Dobranoc, skarbie. Nie gniewaj się na mnie. Ja cię naprawdę kocham. Sprawię, że mi uwierzysz. Może nawet pojedziemy razem do Wenecji.

Po wyjściu Gerarda popłakała sobie cicho, mocząc białą chusteczkę i okapując poplamiony stolik z palisandru. Odsunęła na bok talerze i naląła sobie whisky. Boże, ile ona już łez wylała przez tego mężczyznę, a z pewnością nie były to łzy ostatnie!

Była okropnie zmęczona. Miała świadomość, że zdarzyło się coś ważnego, choć nie wiedziała jeszcze, czy miało się to obrócić na jej korzyść, czy okazać ogromnym błędem, zgraniem swojej ostatniej karty. Jakże nienagannie musiała się zachowywać przez te wszystkie lata, a tyle już ich upłynęło, by uznać swoje dzisiejsze zachowanie za oburzającą demonstrację uczuć! Czowała wyrzuty sumienia i wstyd. Krzyczała na niego, wyrzuciła z siebie wszystko, co leżało jej na wątrobie. Powiedziała, że go kocha, a nic nie dostaje w zamian, co nie tylko nie było prawdą, ale i niewybaczalnym nietaktem. Widziała, jak się skrzywił na jej ton i obcesowość sformułowań. To były stare żale, często w skrytości ducha wylwane, dotyczące pretensji, których nigdy, o ile pamiętała, nie wykrzyczała tak bezceremonialnie ich niewinnemu w gruncie rzeczy sprawcy. Tym wszakże, czego naprawdę gorzko żałowała w związku z niedawną sceną, co sprawiło, że osłabła teraz z niepokoju, był fakt, iż nierozważnie odkryła przed Gerardem, że oczekuje odeń jakiejś deklaracji. Czy mogło być coś gorszego, co bardziej by go odstraszyło, nakazało ostrożność i rezerwę, niż takie żądanie zgłoszone przez rozhisteryzowaną kobietę? Musiał być do głębi wstrząśnięty tą napaścią. Ach, jakże nieroztropnie, jak niemądrze, jak głupio postąpiła!

To prawda, że jej niewybaczalny wybuch spowodowała jego

własna sugestia, by zamieszkali pod wspólnym dachem. Nieopatrznie użył słów, które potrafiły strunę jej dawnej, pieczołowicie skrywanej nadziei. Ścisłej mówiąc, zaproponował: zamieszkajmy w pobliżu siebie, drzwi w drzwi, może nawet pod jednym dachem, oczywiście w osobnych mieszkaniach, bez prowadzenia wspólnego gospodarstwa. A ona w odpowiedzi postawiła warunki, zażądała gwarancji bezpieczeństwa - i to w sposób napastliwy, jakby chciała, by się taktownie wycofał. Zrozumiała teraz, jak powinna była przyjąć jego propozycję: z powściągliwą wdzięcznością. Wszak pomysł zaproponowanego przez Gerarda zbliżenia wynikał z pobudek praktycznych, z chęci posiadania pod ręką asystentki do kwerend źródłowych! Na czym zresztą miałyby polegać ta ich współpraca, gdyby nawet do niej doszło? Czy zdoła wypełnić tak absorbujące i długotrwałe zadanie? Czy będzie w stanie przestudiować i pojąć tę trudną książkę, której wywrotowość napełni ją niechybnie odrazą i lękiem? Czy potrafi się zabrać do tak trudnej i niewdzięcznej pracy, podejmowanej w ciągłej obawie, że może sprawić Gerardowi zawód? A jeśli po pół roku daremnych wysiłków zostanie zastąpiona przez kompetentną, młodą sekretarkę? Boże, ileż pułapek i cierpień wiąże się ze zwykłym, ludzkim pragnieniem szczęścia! Czy nie prościej się go w ogóle wyrzec?

Gerard żył teraz w stanie podniecenia wzbudzonego książką Crimonda, odczuwał przypływ świeżych sił witalnych, lecz nie można było wykluczyć, że po jakimś czasie, stwierdziwszy,



że nie jest zdolny do napisania równie ambitnej repliki, nie popadnie w rozpacz, upokorzony własną indolencją, a ona, Rose, będzie musiała na to patrzeć. Ta nowa sytuacja niosła ze sobą tyle zagrożeń, kryła w sobie tyle nieznanymi cierpień, tymczasem ona weszła już w wiek, gdy człowiek pragnie przede wszystkim spokoju. Zdawała sobie sprawę, że tym pragnieniem zaraził ją Reeve i dzieci, ogarnęło ją ono w Fettiston, spłynęło na nią z wrzosowisk, obudziło się wśród tamtego cichego, zapamiętanego na zawsze krajobrazu. Uświadomiła sobie, że bardzo się cieszy na tę wycieczkę statkiem. Prawda, Gerard pozwolił jej jechać. Ale kiedy zaangażuje się na serio w jego pracę (jeśli to w ogóle nastąpi), kiedy stanie mu się naprawdę niezbędna, sprawi srogi zawód swojej na nowo odkrytej i odzyskanej rodzinie, która okazała się tak miła, by jej potrzebować. Będzie zmuszona zaniedbywać krewniaków i sprawi im ból, gdy stwierdzą, że stała się prawdziwą niewolnicą Gerarda. Lecz czyż nie tego zawsze pragnęła: stać się jego niewolnicą? Jestem osobą nieszczęśliwą, pomyślała. Mając lepsze widoki na szczęście od większości ludzi na świecie, unieszczęśliwiłam się na własne życzenie, uległszy obsesji, którą już dawno powinnam była opanować lub całkiem pokonać. Wypiła jeszcze trochę whisky i zjadła kawałek śliwkowego placka Annuszki. Zaczęła się lękać, że przyjdzie jej przesiedzieć całą noc w stanie męczącego wzburzenia i wyświetlać w kółko na ekranie wyobraźni kadry z niedawnej przeszłości i najbliższej przyszłości. Chcąc się zmusić do położenia się do łóżka, zdjęła buty i ściągnęła pończochy, tymczasem jej myśli zaczęły krążyć wokół Crimonda. Pragnęła gorąco, by wreszcie skończył książkę, by ona odeszła w przeszłość, przestała ważyć w ich życiu, a wraz z nią zniknęła i postać autora. Tymczasem, jeśli Gerard nie mylił się co do jej wartości, posypią się wkrótce recenzje, rozpoczną dyskusje i spory, pojawią zdjęcia Crimonda w gazetach, jego głos zabrmi w radiu, a twarz ukaże się w telewizji. Crimond stanie się sławny! Nie przewidywali tego podczas tych długich lat, gdy jak wilk krążył w ciemności wokół domu. Pragnęła wierzyć, że to się skończy raz na zawsze, minie wraz z datą wydania tego dzieła. Gdybyż mogła znowu uwierzyć, jak wierzyła zaledwie kilka godzin temu, że oni oboje, ona i Gerard, naprawdę się od Crimonda oderwali, że jego nazwisko zatrze się w ich pamięci jak nazwisko autora nie czytanej, nie zauważonej książki! Do jej udręczonej świadomości jęło się sączyć, niczym ciemny barwnik, podejrzenie, że David Crimond nie odejdzie w mrok zapomnienia. Przeciwnie, że należy do przyszłości i zaciąży na niej podobnie jak jego utwór. Gerard zapewnia, że nie nosi się z zamiarem spotkania z adwersarzem, ale wszak wcześniej czy później będzie do tego zmuszony, to nieuchronne wobec przedsięwzięcia, jakie zamierzył. Ono ich zbliży. Przyjdzie czas, gdy zapragnie z Crimondem dyskutować, sondować go, przekonywać, poddawać własne idee próbie konfrontacji z tak wymagającym przeciwnikiem. Kto wie, może właśnie perspektywa takiego bezpośredniego starcia sprawiała - podświadomie - że Gerard był taki podminowany i rozgorączkowany? Czy Rose miała podstawy, by wierzyć, że niebawem ostygnie, uzna książkę Crimonda za płód poroniony, a własny entuzjazm za chwilowe zaślepienie? Czy naprawdę chciała uwierzyć, że jej przyjaciel się ocknie, straci zainteresowanie całą sprawą, a z tego żaru, z wielkiego zamysłu, zostanie tylko popiół? Rozbierała się powoli. Zdejmując brązową sztruksową sukienkę i białą bluzkę, stwierdziła, że oddycha tak głęboko, jakby przez cały czas wzdychała. Wciągnęła przez głowę długą koszulę nocną, szukając pociechy w znajomym geście uniesionych rąk. Więc miał być jakiś przyszły Crimond. Jeśli Gerard napisze -lub choćby tylko zacznie pisać - planowaną książkę, jeśli Rose będzie mu pomagać, jeśli się do niego zbliży, choćby tylko na dystans, jaki dotychczas ich dzielił, czekało ją nieuchronnie spotkanie z tamtym człowiekiem. Ledwo to sobie uświadomiła, podjęła w myślach, automatycznie i z gorliwością wręcz zaskakującą, pisanie tego listu z... czym właściwie?... z przeprosinami, propozycją naprawy stosunków, pogodzenia się, który zaczęła pisać do Crimonda zaraz po jego wyjściu tamtego niezwykłego dnia, kiedy się jej oświadczył. „Drogi Davidzie. Niezmiernie mi przykro, że rozmawiałam z tobą tak niegrzecznie. Twoje niespodziewane wyznanie zaskoczyło mnie i przeraziło. Dziś

chciałabym Ci wyznać swoje wzruszenie i wdzięczność. Wybiegłam wtedy za Tobą, ale Cię nie dogoniłam. Powiedziałeś, że powinniśmy się znowu spotkać. Spotkajmy się więc, proszę, i bliżej poznajmy. Kto wie, może zdołam Cię jednak pokochać?" Jestem szalona, przestraszyła się w duchu. Czyżbym już zapomniała, z jaką wtedy odetchnęłam ulgą, że nie wysłałam tego lekkomyślnego, kompromitującego listu, który, choć oględny w słowach, sprowadziłby Crimonda z powrotem i wrócił mu nadzieję? Musiałabym go odprawić po raz drugi, a jakże powtórne rozstanie byłoby bolesne i trudne dla nas obojga! Nawet sama świadomość, że list znajduje się w posiadaniu Crimonda, przywiązywałby mnie do niego więzami przerażającej niewoli, jakby miał mnie za jego pomocą szantażować. Umarłabym ze strachu, że Gerard może odkryć, iż - choćby króciutko, przez jedną sekundę - darzyłam Crimonda uczuciem. Więc Gerard ma do mnie aż tak wielkie prawa? Ma, bo sama mu je dałam. Przypuśćmy jednak... „Już na samym początku uznałem cię za nieosiągalną. Może się myliłem... Proszę, Rose, nie gniewaj się na mnie i wybacź szokującą nagłość mojej propozycji... Miłość musi zostać obudzona. Ja pragnę obudzić twoją... Uważam, że jesteś zdolna

mnie pokochać". Gdybym odpisała, nie zwlekając, rozmyślała, mogłam go odzyskać, a przynajmniej zatrzeć tamto okropne wrażenie. Gdybym napisała do niego dzisiaj, gotów by mnie znienawidzić za mój tupet. Jak mogłam potraktować tak wyniośle tego dumnego człowieka? Kto wie, pewnie każe mi jeszcze srogo odpokutować za mą hardość. Te myśli wybuchały w jej głowie jak lotnicze bomby.

- Ja tak wcale naprawdę nie myślę - powiedziała na głos.

Zaczęła wnosić do kuchni zastawę z kolacji. Wyrzuciła resztki z talerzy, zapakowała ser, włożyła placek do jednego blaszanego pudełka, a pierniczki do drugiego. Przypomniała sobie o bólu zęba, a potem go poczuła, ale już mniej dokuczliwy. Mimo to połknęła jeszcze dwie aspiryny. Była okropnie zmęczona, odeszło ją pragnienie, by siedzieć i rozmyślać przez całą noc. Miała już tylko ochotę na sen, na błogie zapadnięcie w nieświadomość. Bądźże realistką, przykazała sama sobie. Postąpiłam w sposób jedynie właściwy, choć zrobiłam to nieuprzejmie

I nagannie. Zadałam ranę własnej próżności. Odtąd będziemy już zawsze myśleli o Jenkinie i zastanawiali się, czy to, co niemożliwe, było osiągalne. Gerard zapewnia, że on i Crimond już nigdy nie zostaną przyjaciółmi... ale z pewnością któregoś dnia się spotkają i znowu Crimonda zobaczę, a wtedy oboje zadrżymy z przejęcia. On opanuje się pierwszy i odtąd już zawsze będzie wobec mnie chłodny i opanowany. I już nigdy nie wyzna mi miłości, choćby go wzięto na męki. Będzie milczał nie tylko z dumy, lecz i przez wzgląd na mnie. Istnieje więc między nami dziwna, bolesna więź, która już do końca naszych dni będzie nas prześladowała.

Ciekawa jestem, rozmyślała dalej, czy Gerard mówił poważnie o zamieszkaniu pod jednym dachem? Czy to w ogóle realne? Zapewne istnieje gdzieś dom, w którym ja i Gerard zamieszkamy na resztę życia jak brat i siostra. Kładąc się do łóżka, zaczęła się zastanawiać, gdzie taki dom mógłby stać. Nad rzeką. Zawsze marzyła o zamieszkaniu nad rzeką. Zgasiła światło, zasnęła i śniło się jej, że spaceruje po Wenecji z Marcusem Fieldem.

Hernshaw czuł się kompletnie pijany, postanowił więc wracać do siebie na Goldhawk Road piechotą. Mżawka ustała, na niebie

świecił księżyc w lisiej czapie. Wiał uporczywy wiatr ze wschodu. Gerard nie wziął rękawiczek, więc co chwila chował zziębnięte ręce do kieszeni, ale że mu było niewygodnie iść, znowu je wyjmował. Wiatr stroszył mu włosy i lodowatymi paluszkami oszcypywał głowę.

Ależ ta Rose dziwnie się zachowywała, jakiego dziwnego, szczególnie w jej ustach, używała języka! Czy udało im się w końcu wzajemne niesnaski usunąć? Czy osiągnęli jakieś rozumne porozumienie, czy tylko ciałniej zaciągnęli węzeł głupiej, niepotrzebnej waśni? Naturalnie,

byli przyjaciółmi. Łączyła ich przyjaźń głęboka i niepodważalna. Rose powinna być tego pewna podobnie jak on. Czy zachował się nienależycie, wykazał nieuwagą? Czy naprawdę potrzebowała ponownych deklaracji? Niewykluczone, że tak. Nie zaprzętała sobie głowy abstrakcjami, więc mogła rozpamiętywać swe żale. Poczuł, że dawał Rose mniej, niż oczekiwała, powiedział mniej, niż miałby ochotę wyznać, zachował się nieszlachetnie i zanadto powściągliwie. Może uderzyła ją różnica między natrętnymi zabiegami klanu Curtlan-dów a jego postępowaniem? Cóż to mu zarzuciła? Że traktuje ją jak powietrze. „Poświęciłam ci życie, a tyś tego nawet nie zauważył”. Diabelnie ciężkie oskarżenie. Mam nadzieję, że rzucone pod wpływem chwilowego nastroju, nie dowodzące żadnej głębokiej urazy. Owszem, traktował ją jak powietrze, a zatem wartość bezcenną. Czyż to nie dowód najgłębszego przywiązania? Oznajmiła mu... coś za dziwne, wręcz ambarasujące oświadczenie!... że czuje potrzebę zawarcia jakiegoś układu, oczekuje z jego strony jakiejś obietnicy. Dopiero teraz dotarło do Gerarda, że Rose domagała się od niego dokładnie tego samego, czego on żądał od Jenkina! Biedni my ludzie, pragniemy bezpieczeństwa, lecz nie mamy ochoty go zapewnić. Jenkin go wyśmiał. Rose też go wyśmiała, choć, by tak rzec, nie w porę. Właściwie czemu zaniósła się takim śmiechem, gdy zaproponował, by zamieszkali pod wspólnym dachem? Wszak w chwilę później wyznała, że zawsze tego pragnęła? Dotąd wykazywała się zawsze rozsądkiem i opanowaniem. Była oczywiście wściekła z powodu książki, a może nawet o nią zazdrosna, ale to inna sprawa. Czyżby ci diabelni Curtlandowie ją przekabacili? Gerard przypomniał sobie wyraz chytryści na twarzy Neville'a, z jakim ów oznajmiał, że zabierają ciotkę do Yorkshire. Czyżby to był swego rodzaju wypad, harce przed główną bitwą? Ależ nie może być nawet mowy o żadnej bitwie! Rose należała do niego, na zawsze. Był odpowiedzialny za nią i przed nią. Oczywiście może się opiekować krewniakami, jeśli zechce, ale jej prawdziwą rodziną był on, Gerard, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Zapewnię jej bezpieczeństwo, postanowił, będę się nią opiekował. Może nie dbałem dość usilnie o jej szczęście, lecz teraz to nadrobię. Do domu zbliżał się przemoczony do nitki i na kość zziębnięty. Przeprowadzka do tego małego domku miała dla niego znaczenie do pewnego stopnia symboliczne, lecz oznaczała również głęboką i rzeczywistą zmianę w sposobie bycia, polegającą na wyrzeczeniu się zbędnych dóbr tego świata, swoistym wyzwoleniu przez redukcję. Hershaw wyprzedził się z wielu majątności, konstatując przy tym ironicznie, iż nie jest ascezą w ścisłym znaczeniu tego słowa upływnianie dóbr i składanie kapitału w banku. Ostatnio zaczął się czuć w domu Jenkina niezręcznie, jakby coś udawał. Rozpoznawali to sąsiedzi, rozpoznawał prawdopodobnie i sam budynek. Zamieszkanie w domu przyjaciela w żadnym stopniu nie ułatwiało Gerardowi przeżywania żaloby, wręcz sprawiało czasem wrażenie profanacji. Tkwienie wśród rzeczy Jenkina po jego śmierci stawało się przygnębiająco bolesne i bezcelowe. Gerard nie zamierzał na razie wspominać Rose o wspólnym zamieszkaniu, choć taki pomysł od jakiegoś czasu snuł mu się po głowie. Obudziła się w nim ostatnio nowa chęć do życia, ale ani w rodzinnym domu, ani tu, w domu Riderhooda. Potrzebował jakiegoś całkiem nowego pied-ci-terre, a nie musiał się już zgrywać na ascetę, skoro życie postawiło przed nim nieoczekiwane tak szalenie wymagający cel. Nie sądził, aby przeceniał książkę Crimonda, zresztą tak czy owak musiał teraz napisać własną, bo dzięki Crimondowi ją przeczuł. Hm, może faktycznie wpadłem w jakiś amok, pomyślał, ale zrobię co w mojej mocy, żeby dopiąć celu. Naraz przypomniał sobie profesora Levquista i uczucie, jakiego doznawał, przebijając się przez wyjątkowo trudny ustęp w greckim tekście. Przypomniał też sobie, i odczuł w całym ciele, ów dreszcz erotycznej nieomal natury, jaki go często przebiegał na początku studiów w Oksfordzie, gdy miał wrażenie, że stoi pod poprzeczką zawieszoną na niebotycznej wysokości. Przypomniał też. sobie słowa Valery'ego, które Levquist lubił cytować: „Trudności są światłem, trudności nie do pokonania - słońcem”. Ba, trudności nie do pokonania pozostają zapewne najczęściej

trudnościami po prostu nie pokonanymi. Podejmując próbę odpowiedzi Cri-mondowi, musi się liczyć z tym, że jego książka może zostać uznana jedynie za komentarz do cudzego dzieła, a może nawet istotnie do tego się jej znaczenie ograniczy. Może zadanie, jakie sobie postawił, okaże się w końcu pomyłką, a jego trud pójdzie na marne. Strawi więc siły i zmarnuje resztę życia na spłodzenie tworu bezwartościowego. Przyszły mu na pamięć słowa świętego Augustyna, jakie kiedyś zacytował ojciec McAlister: w blasku boskiego światła moja dusza spala się jak ćma. Być może w efekcie nie pozostanie mu nic poza rozczarowaniem i gorzkim zawodem.

Kiedy dochodził do domu Jenkina, na powrót się rozpadało. Wsuwając klucz w zamek, poczuł się jak intruz, jakby przychodził z nie zapowiedzianą i najpewniej nie chcianą wizytą. W domu panował przenikliwy ziąb. Jenkin nie pomyślał nigdy o założeniu centralnego ogrzewania. Hernshaw zapalił światło, zaciągnął pluszowe zasłony i włączył gazowy płomień na kominku w małym salonie. Poczuł głód. Był zanadto rozemocjonowany, żeby się najeść do syta u Rose, zanadto mu było pilno, by jej opowiedzieć o wielkim dziele Crimonda. Oczywiście, nie udało mu się zupełnie przekazać jego treści, wyrazić, gdzie było słuszne, gdzie błędziło. Jest słuszne, rozważał, gdy zauważa cierpienie, błędne, gdy głosi wierność przyszlęmu sprawiedliwemu społeczeństwu. To główna idea tej książki, na tym się ona w gruncie rzeczy opiera... Tymczasem nic takiego jak sprawiedliwe społeczeństwo przyszłości w istocie nie istnieje. Z poszukiwaniem prawdy nie można wybiegać w przyszłość, bo przyszłości, jak to ujęła Rose, po prostu nie potrafimy sobie wyobrazić. Nie powstanie też nigdy społeczeństwo doskonale sprawiedliwe, co najwyżej: godziwe, to zaś zależy od wolności obywatelskich, ładu społecznego, okoliczności zewnętrznych oraz ciężkiej pracy, której niepodobna zaprogramować na odległość. To dziedzina przypadku, a wartości są czymś absolutnym. Oto prosta prawda o ludzkim istnieniu, wymagająca jednak rozwlekłych wyjaśnień. A jeśli kubek zimnej wody, jaki wylała mu na głowę przyjaciółka, zapowiadał generalne odrzucenie książki

Crimonda? Naturalnie, jej los, taki lub owaki, nie może wpłynąć na jego postanowienie napisania własnej. Gerard zdał sobie wszelako sprawę, że choć poczułby zazdrość, gdyby dzieło Crimonda zyskało wyłącznie pochlebne recenzje, byłby też srodze zawiedziony, gdyby zostało poddane powszechnej, miazdzącej krytyce.

Poszedł do kuchni i wlał do garnka zupę z puszki. Znalazł trochę pokrojonego chleba i posmarował kromki masłem. Począł, aż zupa się zagrzeje, po czym zaniósł ów posiłek do saloniku, gdzie piętrzył się na kredensie stos odbitek szcotokowych książki Crimonda, strzeżony przez porcelanowe figurki psów ze Staf-fordshire. Postawił talerz z zupą na zielonych płytkach przed kominkiem, po czym wrócił, by zamknąć drzwi saloniku. Na wycieracze w przedpokoju leżało kilka listów, których wcześniej nie zauważył. Jedna z kopert była zaadresowana charakterem pisma Duncana Cambusa. Podniósł ją, rozerwał i przeczytał:

Drogi Gerardzie!

Czytałeś zapewne nekrolog Levquista w „Timesie”. Ten, kto go napisał, nie dość starego wychwalił. Obawiam się, że ów rodzaj wielkości stał się dziś niemodny. Ogarnął mnie, wyznaję, wielki smutek i poczułem potrzebę napisania do Ciebie tych paru słów. Wiem, że widziałeś się z nim podczas tego koszmarnego balu latem zeszłego roku, a może i później. Był kimś w rodzaju świętego nauki, wyjątkowym przykładem uczonego. Jego śmierć kazała mi się zastanowić nad moim własnym życiem i nad tym, co z nim zrobiłem. Pograżyło się w chaosie, a takie jest krótkie. (Twój ulubiony, swoją drogą, temat). Dochodzę do przekonania, że w życiu liczy się naprawdę przyjaźń, nie ta przeceniana, okrzyczana miłość, ale przyjaciele, ludzie naprawdę bliscy, sędziowie i pocieszyciele. (Tyś zawsze spełniał wobec mnie obydwie te role). Mam nadzieję, że pomimo ostatnich tragicznych wydarzeń, pozostaniemy nadal przyjaciółmi.

Patrząc z tutejszej perspektywy, ma się wrażenie, że Londyn leży na innej planecie. Kupiliśmy dom, lecz na razie mieszkamy w hotelu, którego adres znajdziesz na odwrocie. Tuszę, że coś napiszesz. Co do mnie, zawiesiłem myślenie na kołku.

Twój Duncan

A więc Levquist zamknął już oczy! (Gerard nie widział nekrologu w „Timesie”). Przypomniał sobie długi pokój, ogromne, zarzucone książkami biurko, okno otwarte na park w ciemnościach letniej nocy, wielką, groteskową, ale i piękną głowę profesora oraz jego słowa: „Wpadnij do mnie kiedyś, nie czekaj na drugi tak uroczysty dzień, żeby odwiedzić starego”. Nigdy go nie odwiedził, nie ucałował ręki, nie wyznał uwielbienia. Przypomniały mu się inne słowa profesora: „Miałem przyjemność gościć młodego Riderhooda. Zupełnie stracił głowę nad pewnym ustępem z Tukidydesa, który mu podsunąłem”.

- Boże przenajświętszy! - zajęczał głośno Gerard, opadł na jeden z niewygodnych foteli przy kominku i ukrył twarz w dłoniach. Ogarnęła go nagle czarna rozpacz, miał wrażenie, jakby ktoś obok niego stanął. Tamtej nocy umarł jego ojciec. A teraz odszedł z tego świata Levquist, którego również uważał za ojca. Do krainy zmarłych przeniósł się też Jenkin. To jego obecność wyczuwał w pokoju. Czuł obok siebie Jenkina posmutniałego, kontaktował się ze zmarłym przyjacielem przez smutek, przez nieutuloną, rozdzierającą rozpacz. Dlaczego umarłeś, przecież cię tak kochałem! Zmroził go straszny lęk, bo wydało mu się, że cień zmarłego płacze i wyciąga do niego bezsilne ramiona. To nie była moja wina, usprawiedliwił się przed cieniem, przebac mi, daruj. Zostałem osierocony, zatruty. Czemu wylewasz te okropne łzy? Czy dlatego, że zostałeś zamordowany, a ja zaprzyjaźniłem się z mordercą? Jak to się stało, przyjacielu, że aż tak oddaliliśmy się od siebie, jak mogliśmy się aż tak bardzo zmienić? Ty stałeś się oskarżycielem, mnie sparaliżował trujący narkotyk!

Hernshaw wstał i rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś szukał, czegoś niewielkiego, bo do rozmiarów zgoła niepozornych skurczył się teraz ten straszny, oskarżycielski cień, do rozmiarów małego pudełka albo czarnej, mechanicznej zabawki. Otaczał go jednak tylko pusty pokój, brzydki, bezstylowy, nieprzytulny. Gerard gwałtownym mchem zrzucił z kredensu stos korektorskich arkuszy. Spadając, pociągnęły ze sobą porcelanowego pieska ze Staffordshire. Figurka rozbiła się na podłodze. Gerard pozbierał porcelanowe okruchy i złożył na kredensie.

Jestem naprawdę zatruty, pomyślał, szkoda gadać. Miewam zwidy, jestem przeklęty, obłąkany. Stłuczony piesek sprawił, że zaszkliły mu się wreszcie oczy. Jakże zdołam napisać tę książkę, skoro nie mogę się wyzbyć przeświadczenia, że Jenkin został zamordowany? Jakie znaczenie mają wobec tego faktu wszystkie przemyślenia Crimonda? Po co wspominałem Rose o zamieszkanu pod wspólnym dachem? Niech lepiej jedzie sobie do Yorkshire. Na mnie ciąży klątwa, jestem skazany na samotność wśród majaków i omamów. Książka Crimonda sprawiła, że poczułem się na powrót człowiekiem myślącym, ale to było tylko przelotne złudzenie. Levquist powiedział kiedyś, że brak mi solidnego jądra; Crimond, że wszystko, co wyszło spod mego pióra, było piękne, lecz nieprawdziwe; Rose, że kieruje mną próżność. Nie ma we mnie energii potrzebnej do napisania grubej, poważnej książki. Zresztą już nie widzę w tym sensu. Tak czy owak wyniosę się stąd. Nie chcę mieć więcej towarzystwa czy to ludzi, czy duchów. Starzeję się, mój Boże. Jeszcze nigdy nie czułem się tak staro.

Podniósł stojące na kafelkach przed kominkiem talerz i kubek i odniósł do kuchni. Nastawił czajnik, żeby zagrzać wodę do butelki, która mu służyła jako termofor w łóżku. Zapomniał włączyć elektryczny piecyk w sypialni, więc panował tam przenikliwy ziąb. Włączył go teraz i zaciągnął zasłony. Wiatr zaciągał deszczem w szyby, które dzwoniły, a przez szczeliny wdzierały się do środka lodowate powiewy i poruszały zasłonami. Oczywiście jestem pijany, skonstatował, trudno. Klątwa, która mnie dotknęła, spadła też na nas wszystkich. Kolegia Oksfordu i Big Ben już nas nie nawrócą. Czas, gdy nam się zdawało, że jesteśmy kowalami

własnego losu, minął bezpowrotnie, był zresztą krótki, króciutki. Rose ma rację, nie ma sensu zaprzętać sobie dłuższej głowy myśleniem. Komedia skończona. *Après noits le déluge*. Zagotowała się woda w czajniku. Napełnił butelkę i włożył ją pod pościel, która sprawiała wrażenie pokrytej zimną, wilgotną pleśnią. Z pizamą w ręku poszedł do salonu, żeby się rozebrać przy ciepłym kominku. Odbitki szczotkowe książki Crimonda zaścielały podłogę. Zgarnął je nogą na stertę. Zdjął krawat, który zawiązał wiele godzin temu, wybierając się na przyjęcie do Fairfaxów, gdzie miał nadzieję spotkać Rose. Spóźnił się, bo nie mógł się oderwać od tej przeklętej książki.

Rozpinając koszulę, zobaczył na fotelu otwarty list od Dun-cana. Odpisze nań, oczywiście, nie czuł jednak specjalnej potrzeby zobaczenia się z samym Duncanem. Może kiedyś, później. Czuję się zdruzgotany, pomyślał, te zgony zupełnie mnie przybiły. Wstydziłby się przed Duncanem. Duncan miał kobietę i dom. Umiał kierować swym życiem, umiał się nawet wydobyć z ciężkich tarapatów, nigdy nie był zadufany w sobie - jak Jenkin, jak on sam, Gerard, jak Crimond. Przypomniało mu się, że posłużył się tym określeniem, opisując Rose książkę Davida. Ale zadufanie Jenkina różniło się od zadufania Gerarda czy Crimonda. Przypomniał sobie, jak Levquist go zbeształ, gdy powiedział, że Jenkin „nie popisał się”. „Riderhood nie musi się «popisywać», kroczy własną drogą, nie szuka gruszek na wierzbie. Podczas gdy ty...” To prawda, pomyślał Gerard, Jenkin zawsze szedł własną drogą, choć nie sam. Angażował się bez reszty we wszystko, co go poruszało, był uważny, naturalny, przyjazny, wszystkiego ciekawy. Podczas gdy ja miałem zawsze poczucie, że prawdziwa rzeczywistość istnieje gdzie indziej, wyniosła, obojętna i samotna, na jakimś górskim, spowitym mgłami szczycie, którego ja - jeden z nielicznych wybrańców - jestem zdolny osiągnąć wzrokiem, choć nigdy nie zdołałem go zdobyć, którego magnetyczne przyciąganie łaskocze mi wątpia (wyrą-żonko Levquista), gdy rozkoszuję się swoją wzniosłą wizją, poczuciem wysokości i dystansu, otchłani pode mną, zawrotnych wyżyn nade mną, oraz miłym uczuciem, że jest się niegodnym śmiałkiem, jednym z wąskiego grona wybrańców - zadowolony z siebie platonizm, augustyński masochizm, jak to profesor nazywał. Dlaczego go nie odwiedziłem, żeby o tym wszystkim porozmawiać? Nie było żadnych przeszkód. A teraz, naprawdę zostałem sam... Czy ta góra, ten górski szczyt, uczucie wiszenia nad urwiskiem, to wieczne spoglądanie wwyż to było tylko złudzenie? Czy potrafię żyć, nie myśląc o sobie... i o tym... w ten sposób? Może tę właśnie możliwość odkryłem przed chwilą, kiedy zdałem sobie sprawę, jak mnie w istocie zatruwają te zabójcze wątpliwości, kiedy dotarło do mnie, że sięgam za wysoko, za daleko. Kiedy wreszcie stanąłem przed trudnościami nie do pokonania, o jakich zawsze marzyłem, okazało się, że zabrakło mi sił. Będę kurczył się coraz bardziej i coraz głębiej wciskał w szczelinę. Co brałem za szczyt góry, okazało się wierzchołkiem pozornym. Prawdziwy szczyt jest znacznie wyżej,

ukryty w chmurach, tak wysoko, że mógłby, jeśli o mnie chodzi, w ogóle nie istnieć.

Znalazłem się u kresu sił.

Muszę wyjechać stąd jak najprędzej i zaszyć się gdzieś. Kupię mieszkanie, zamknę je na klucz i wyruszę w świat. Nikomu nie zdradzę, dokąd się wybieram. Kogo to zresztą obchodzi? Może jedną Rose, ale ona ma teraz własną rodzinę. Ależ jej wczoraj naplotłem głupstw! Za dużo wypilem, nie jestem przyzwyczajony. Poproszę ją, żeby nikomu nie mówiła o moim szalonym pomysle. Nie ma obawy, nikomu nie powie, sama chce o nim zapomnieć. Dobrze wie, że z tych szczytnych zamiarów wyjdą nici. Ileż bym dał, by móc porozmawiać z Jenkinem! Niewykluczone, że moje przygnębienie i przywidzenia są wynikiem uświadomienia sobie w końcu faktu, że Jenkin naprawdę nie żyje, że go naprawdę nie ma. Gerard wsunął list Duncana do koperty i odłożył na gzyms nad kominkiem, po czym przejrzał pozostałe podniesione z podłogi listy. Dwa spośród nich były do Jenkina. Na początku odbierał sporo listów do zmarłego przyjaciela, teraz przychodziły już rzadziej. Oba listy do

Rider-hooda zawierały jakieś ulotki reklamowe, więc wrzucił je do kosza. Rachunek z gazowni wsunął do kieszeni. Spojrzał na następną kopertę i zdrętwiał, nie wiedząc właściwie dlaczego. Czyżby objawiła się nagle jakaś choroba, pękło mu jakieś naczynko w mózgu? Wpatrywał się jak zauroczony w ostatni z leżących na podłodze listów, zanim zrozumiał, że tego dziwnego, porażającego wstrząsu doznał na widok charakteru pisma na kopercie. Nieświadoma część jego mózgu odebrała błyskawicznie sygnał ostrzegający o niebezpieczeństwie i zareagowała nań wcześniej, nim zdążył rozpoznać, czyje to było pismo. Odręcznie kreślone litery potrafią budzić radość albo strach, jeszcze zanim się je skojarzy z osobą, która je pisała. Gerard patrzył na pismo Crimonda. Już od lat nie dostał od byłego przyjaciela listu, mimo to pismo, jakie miał przed oczyma - niczym złowrogie hieroglify, wydobyte przez światło latarki z ciemności grobowca - przeniosło go w odległą przeszłość, do studenckich czasów w Oksfordzie, budząc jakieś zatarte już w pamięci wspomnienia i uczucia, zbyt dawne, by dały się zidentyfikować, zanurzone w po-mroce umysłu, skąd czerpały swą paralizującą moc. Nawet wróciwszy już do teraźniejszości, nadal odczuwał na widok tego listu obezwładniający lęk, odrazę i wstręt. Wzięła go nawet pokusa, by go nie otwierać, a od razu podrzeć na strzępy. Odwrócił się i wszedł do kuchni. Umył pod ciepłą wodą talerz i kubek, po czym zgasił światło, wrócił do saloniku, wziął do ręki list Crimonda i rozerwał kopertę. List nie był długi. Składał się z jednej tylko linijki. „To był wypadek. D.”

Gerard zrobił sobie kolejną przerwę. Wyszedł do holu i wyjrzał przez drzwi na ulicę. Deszcz zelżał, ale nadal wiał silny, przenikliwy wiatr. Zamknął drzwi, dodatkowo machinalnie zasuwając zasuwę, czego na ogół nie robił. Potem wrócił do saloniku, usiadł przy kominku i jeszcze kilka razy przeczytał krótki list. Siedział w zupełnej ciszy, z zawieruchą uczuć w sercu. Potem pokręcił głową, czym jakby rozsiał w pokoju chmurę czarnych ptaków w śmigłym, bezszelestnym locie. Myśl ludzka z łatwością łamie prawa logiki i fizyki, więc miał jednocześnie przed oczyma całe mnóstwo plastycznych i zupełnie wyraźnych obrazów. Myślał głównie o Jenkinie, o jego śmierci i o wypadku, co ją spowodował; uznał, że jest to temat, który mogą omówić wspólnie. Jenkin nie musiał już być duchem, mógł być sobą, tyle że sobą z przeszłości. Jego istnienie było ponadczasowe. On nie cierpiał, pomyślał, teraz mogą to sobie powiedzieć ze spokojem. To była chwila. Nawet się nie zorientował. Gerard nie był w stanie czytać krótkich notatek w gazetach, opisujących ten dziwny, nieszczęśliwy wypadek z bronią, pewien pogląd wyrobił sobie na podstawie relacji innych. Nie czuł obecnie potrzeby drażenia tej sprawy. Nigdy go o to nie zapytam, obiecywał sobie, mając na myśli Crimonda. Wcale nie chce wiedzieć, co się wtedy naprawdę zdarzyło, teraz to już nieistotne. Nie wątpił ani przez chwilę w prawdziwość zeznania sprawcy. Wątpić znaczyłoby wydać się na pastwę wyniszczającego duszę obłędu. Wszystkie racjonalne przypuszczenia świadczyły o jego prawdomówności. Crimond nie napisałby takiego listu, gdyby to nie była prawda. Ledwo Hershaw to sobie uzmysłowił, nie tylko poczuł, że energia, która przed chwilą zaczęła zeń uchodzić, powraca z mocą spokojnych, oceanicznych fal, ale że cały świat okręcił się wokół niego niczym wokół osi i choć na pozór pozostał nie zmieniony, oferował mu teraz nieprzebrany wybór perspektyw i kątów widzenia. Zastanawiając się nad tym niezależnym od niego zjawiskiem. Gerard wstał, pozbierał z podłogi odbitki korektorskie i ułożył je porządnie na kredensie. Potem zaczął chodzić po małym pokoju, a czarne ptaki myśli, które kołowały wokół jego głowy jak chmara jerzyków, przysiadły bezszelestnie na meblach i wpatrywały się weń lśniącymi ślepkami.

W końcu usiadł w fotelu i po raz kolejny przyjrzał się listowi. Crimond musiał być głęboko poruszony, a nawet cierpieć, gdy wyobrażał sobie, co Gerard musi myśleć na temat śmierci przyjaciela. Nic dziwnego, że pragnął zaprzeczyć mogącym się rodzić w jego głowie strasznym podejrzeniom. Mógł to zaś zrobić z pełnym przekonaniem, że Gerard mu uwierzy.

Coś go jednak najwidoczniej powstrzymało przed natychmiastowym napisaniem tego listu. Może uznał, że należy z tym poczekać, może nie wiedział, co i jak napisać. Hernshaw doszedł do przekonania, że tamten wybrał w końcu najwłaściwszą formę. Za znaczący uznał też sam podpis: Crimond podpisał się pierwszą literą imienia, nie nazwiska. Gerarda to poruszyło i pozwolił sobie na to wzruszenie, nie usiłował z nim walczyć. Po raz pierwszy potrafił współczuć Crimondowi z powodu potwornego czynu, którego niechcący się dopuścił i którego wspomnienie miało go odtąd prześladować do końca jego dni. Pisząc do Hernshawa, uwolnił się przynajmniej od jednej dodatkowej udręki, jednocześnie wyzwalając adresata listu od mąk wyobraźni. To wyzwolenie miało dla Gerarda wartość nieocenioną, choć było zarazem bolesne, bo uświadomiło mu znowu, w czystszej i bardziej dojmującej postaci, ogrom poniesionej straty. Na domiar złego odżyło w jego sercu wstrętne podejrzenie, że Crimond i Jenkin pozostawali w przeszłości - choćby i odległej - w bliższych stosunkach, niż sądził. Obecnie należało jednak uznać te rozważania za niecelowe i próżne, swą trującą moc zawdzięczały bowiem owemu innemu zatruwającemu duszę podejrzeniu, które zostało właśnie usunięte.

Gerard rozebrał się i wkładał w zadumie piżamę. Powstawała osobna kwestia, jak odpowiedzieć na otrzymany sygnał. Będzie się trzeba nad tym zastanowić. Nadając go, Crimond miał głównie na celu ulżenie własnej rozpacz, nie ulegało jednak wątpliwości, że oczekiwał też zapewne odpowiedzi. Należy trochę odczekać, po czym wysłać mu liścik równie lakoniczny. Pomyśle o tym jutro, postanowił Gerard. Zdecydował również: napiszę tę książkę! Uznałem, że to zadanie przerasta moje siły. pod wpływem przygnębienia, chwilowej obniżki nastroju. Nie ma o czym mówić: muszę ją napisać. Naturalnie, przyjdzie mi się zmagać nie tylko z trudnościami nie do pokonania, ale i ścigać z czasem. Już samo przystąpienie do pracy nie będzie wcale łatwe. Ale się do niej zabiorę, szalenie mnie pociąga to zadanie. Zrobię to dla Jenkina. Teraz, kiedy wszystko zostało między nami wyjaśnione, mogę mu to obiecać. Boże, ależ mi go będzie brakowało na tej drodze, na którą się puszczam! Zaraz jutro zaczynam czytać książkę Crimonda na nowo, nie zapominając o przestrojach Rose i jej uwadze, że odebrałbym ją całkiem inaczej, gdybym nie znał autora. Nie sądzę, by miała rację, ale nawet gdyby kryło się w jej słowach źdźbło prawdy, to już nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ teraz już wiem, czym ja sam powinienem się zająć, jakie zadanie mam do wykonania, to zaś odkrycie zawdzięczam niewątpliwie Crimondowi.

Usiadł na łóżku i przysłała mu do głowy myśl niepokojąca: któregoś dnia się z nim spotkam! Zapewne nieprędko. Będziemy musieli nadać temu spotkaniu charakter chłodnej oficjalności. Z jednej strony stanie śmierć Jenkina (nie będziemy o niej wspominać), z drugiej książka. Rozumie się, że będę chciał porozmawiać z Crimondem o jego książce i moje uwagi powinny go zainteresować. A może zdąży już o niej zapomnieć, może nawet odrzuci jej tezy? Autorzy długich, uczonych i wybitnych dzieł często je odrzucają, nie chcą o nich rozprawiać ani nawet słyszeć, niekoniecznie dlatego, iżby uważali własne twory za nieudane, ale po prostu dlatego, że całkiem inne zagadnienia zaprzętają teraz ich głowy. Naprawdę wierzę w to, co powiedziałem Rose, że Crimond jest zdolny do napisania książki równie opasłej jak ta, lecz obalającej jej tezy, lub też do napisania z równym zaangażowaniem dzieła równie uczonego na zgoła inny temat! Tak czy inaczej któregoś dnia spotkamy się ponownie, a gdy ten czas nadejdzie, David będzie na mnie czekał.

Zaopiekuję się też Rose, postanowił, nie pozwolę, by zbłądziła w stronę Curtlandów, uczynię ją szczęśliwą. Ona jest moim szczęściem... choć dotąd nie spełnionym. Nie mógłbym się bez niej obejść. Położył się do łóżka i zgasił światło. Wyciągnął nogi i przesunął butelkę z gorącą wodą w dolne, lodowate rejonu pościeli. Porywisty wiatr bił o szyby kroplami deszczu, jakby ktoś rzucał w nie garściami żwir. W ciemności na powrót zalał



Gerarda smutek. Pomyślał o swoim ojcu, który był ciepłym, dobrym, łagodnym człowiekiem, ale z miłości do żony wyrzekł się nie tylko swoich pragnień, ale i często wyrzekał się zasad. Musiał z tego powodu niemało cierpieć. Z dziećmi nie potrafił znaleźć wspólnego języka, toteż z upływem lat coraz bardziej się od niego oddalały. Za mało się starałem, przyznał ze skrucą Gerard, za rzadko go odwiedzałem, nie prosiłem, by został, gdy on mnie odwiedzał. Mógł sądzić, że nigdy nie miałem dla niego czasu. Powinienem go włączyć do swojego życia. A matka... Nie potrafił wyobrazić sobie matki. Ten smętny cień darmo powiewał doń dłonią. Wszyscy moi bliscy już nie żyją, pomyślał: ojciec, Sinclair, Jenkin, Levquist. A potem po raz pierwszy zadał sobie pytanie: czy i Żak naprawdę już nie żyje? Papugi żyją dłużej od ludzi, a mój Żak był młody. Ale papugi więzione w klatkach są całkiem bezradne, muszą polegać na ludzkiej opiece, więc mogą umrzeć przedwcześnie z rozlicznych powodów: przez niedbalstwo opiekunów, z powodu choroby, zapomniane w opuszczonym domu, z głodu. Myśl, że Żak mógł umrzeć zagłodzony na śmierć, była tak potworna, że Gerard poderwał się i usiadł na łóżku i wielkie współczucie dla wszystkich męczarni i cierpień bezbronnych żywych stworzeń poczęło wlewać się do jego duszy jak do pustego naczynia. Miał wrażenie, że czuje obroty całej planety i doznaje całego jej bólu. Och, biedne, nieszczęsne, udręczone ciało niebieskie! Opadł na plecy, przekręcił się na bok i wcisnął twarz w poduszkę. Nie zatrzymywał tej chwili, pozwolił jej minąć. Muszę iść dalej, pomyślał, a raczej wyżej, jeśli zdołam. Nie wyrzeknę się mojego życiowego wyobrażenia, nawet dla Levquista, nawet dla Jenkina. To istnieje, gdzieś tam, wysoko, w górze, uroczyście, niezmiennie, samotne, niewzruszone i czyste. Czuję w tej chwili, wyraźniej niż kiedykolwiek, potężne przyciąganie i jakąś dziwną, ogromną radość z tego oddalenia. Cieszę się, że to jest tak wysoko, że takie jest nieosiągalne, takie obce, tak odrębne od mego grzesznego istnienia. Kurczę się w obliczu tej rzeczy, lecz nie jak przed obliczem osoby, a przed żarem obojętnego płomienia. Widziałem pozorny szczyt, a teraz, gdy teren się zmienił, dostrzegam jeszcze straszniejsze urwiska i jeszcze bardziej niebotyczne szczyty. Tak, spróbuję napisać tę książkę, choć wiem, że oznacza to wyrok dożywocia, a rezultat może okazać się mizerny - gorzej: mogę nic dowiedzieć się nigdy, jaki się okazał. Spokój myśli. Czy myśli kiedykolwiek zaznają spokoju? Oto moment na chwilę przed początkiem. Jutro zaczynam. Wyruszam w moją pielgrzymkę do miejsca, gdzie Jenkin pragnął stanąć, na skraj rzeczywistości, jak to kiedyś ujął. Wiem, za najbliższą granią nie będzie już szlaku, tylko pnące się w górę pionowe urwisko. Gerard ujrzał w wyobraźni tę pionową ścianę i zbladł jak skazaniec pod szubienicą. Już dziś nie zasnę, pomyślał. Lepiej wstanę i zajmę się czymś. Ciekawe, czy nie dałoby się skleić tego pieska ze Staffordshire? Nie zbił się przecież na drobny mak. Jednak po chwili ogarnęła go senność i jego świadomość zaczęła się mącić. Zasnął i przyśniło mu się, że stoi na zboczu góry, trzyma w rękach księgę otwartą na stronie z napisem: Dominus Illuminatio Mea, a z wysoka, z niebosiężnych wyżyn, zstępuje anioł pod postacią wielkiego żako o mądrych, kochających oczach, siada na księdze, rozkłada szkarłatno-szare skrzydła i zlewa się z nią, staje się papugoksięgą.

Lily Boyne szła brzydką, zaniedbaną ulicą w południowym Londynie. Choć szła wolno, serce biło jej jak oszalałe, usta miała rozchylone, posapywała z emocji i czuła się tak, jakby miała za chwilę zemdleć lub w najlepszym razie musiała na momencik przysiąść. Przysiąść jednak nie było na czym, jeśli nie brać pod uwagę krawężnika. Pragnęła jak najprędzej znaleźć się u celu, a jednocześnie bała się tam dotrzeć. Chociaż tam, dokąd szła, ciągnęło ją serce, wolałaby, żeby już było po wszystkim, wolałaby zmierzać w przeciwnym kierunku. Czy drogę powrotną odbędzie szczęśliwa czy unieszczęśliwiona? Czy zdrowa na umyśle była teraz, a obłąkana będzie dopiero później, czy już teraz była obłąkana, a zdrowa na umyśle będzie później? A może już z kretesem sfiksowała?

Lily Boyne szła odwiedzić Davida Crimonda. Nie widziała się z nim ani nie kontaktowała w żaden inny sposób od czasu oksfordzkiego balu, który tak fatalnie zapisał się w jej pamięci.

Koszmarne wspomnienie tamtej letniej nocy prześladowało ją do dzisiejszego dnia, choć przecież nigdy nie miała nadziei na bliższą znajomość z Crimondem. No, co najwyżej maleńką. Nie potrafiła się wyrzec zachwycających, choć zarazem bolesnych fantazji, w których Crimond odkrywał nagle na balu, jak bardzo mu na niej zależy. Czuła, właściwie po dziś dzień, swoistą dumę i zgrozę na myśl o tym, że to wszystko zdarzyło się z jej winy, wszak za jej sprawą Crimond i Jean się wtedy spotkali. Gdyby mu nie wspomniała o balu, nie zjawiłby się w Oksfordzie tamtego wieczoru wystrojony w kilt, jaśniejący jakby boską mocą. Choć nie przyznała się nikomu do swojej kluczowej roli w dramacie, jaki nastąpił, nie mogła się oprzeć przeczuciu, że ktoś lub coś ją za to ukarze, może los, a może sam Crimond. Ale też nawiązała się wówczas między nimi istotna więź, przecież Lily odegrała rolę posłańca Miłości i to nie jej wina, że ta namiętność w tajemniczy sposób wygasła. Szła krzywą i brudną ulicą pełną

obaw, z których najgorsza była taka, iż Crimond może pomyśleć, że ona przychodzi okazać mu współczucie! Ta myśl wprawiała ją w śmiertelną trwogę. Prawdę mówiąc, nie wiedziała nic o powodach (wyglądało zresztą na to, że nikt ich nie znał), jakie doprowadziły do powtórnego rozstania kochanków. Tak czy owak Crimond był znowu samotny i serce miał nie zajęte. Lily była tego najzupełniej pewna. Szła się z nim zobaczyć, ponieważ musiała. Zbliżała się do jego domu na uginających się ze strachu nogach, zadając sobie pytanie (w ciągu ostatnich tygodni rozważała tę kwestię wielokrotnie), czy przeczucia co do Crimonda gruntownie jej nie omyliły - i to od początku? Jej wyobrazenie

O nim jako o samotniku mogło być całkowicie mylne i zwodnicze. Kto wie, może „sprawa Jean”, którą Gerard i paczka traktowali z taką powagą, stanowiła jedynie epizod w długim szeregu jego miłosnych przygód? Może nawet w tej chwili w jego domu króluje kobieta, otworzy przed Lily drzwi i uśmiechnie się krzywo na jej widok? Ta niepotrzebna, nie zapowiedziana wizyta była niewątpliwie czystym szaleństwem, a mogła się skończyć nowym, jeszcze okropniejszym upokorzeniem, które na zawsze pozostawi w jej sercu krwawiącą ranę. Lily działała jednak pod wpływem przemożnego nakazu, płynącego z głębi jej rozdygotanej, zalęknionej duszy. Niewykluczone, że pożałuje swego kroku, ale z pewnością żałowałaby jeszcze bardziej, gdyby go nie uczyniła.

Na niebie świeciło słońce, więc nawet w tej gęsto zabudowanej, szpetnej dzielnicy Londynu czuło się tego dnia wiosnę. Otwarto okna po długiej zimie, ludzie chodzili bez czapek i rękawiczek, w jaśniejszych i lżejszych ubraniach. Krzewy w przydomowych ogródkach okryły się pąkami i zieleniła się trawa. Skąpo tu rosnące drzewa owiewała mgiełka świeżej zieleni, budząc nastrój, a nawet rozsiewając zapach nowego życia. Jasny

I chłodny blask słońca obwieszczał początek długiej angielskiej wiosny. Oczywiście Lily rozważyła sobie starannie, w co się powinna ubrać. Po dojrzałym namyśle zrezygnowała z eleganckich, choć prostych sukienek, nawet tej czarno-białej z aksamitnym kołnierzykiem, w której tak jej było do twarzy. Zdecydowała się na ciemnobrązowe, obcisłe spodnie z drogiego, choć nie rzucającego się w oczy tweedu, skórzany żakiet w ko-

lorze o ton jaśniejszego brązu, niebieską bawełnianą koszulę i jedwabną apaszkę w abstrakcyjny, niebiesko-różowy deseń. Mimo prób przybrania na wadze pozostała chuda jak zwykle. Tego ranka jej twarz (zrobiła delikatny jedynie makijaż) wyglądała wręcz na zabiedzoną; na długiej szyi napinały się wyraźnie ścięgna, a obojczyki rysowały się ostro na bawełnianej koszuli. Jej słodkie jak melasa oczy były czyste i lśniące, ale puder wydobył i podkreślił siateczkę zmarszczek, których sporo wokół nich przybyło. Wąskie, nie pomalowane wargi były niemal niewidoczne i usta Lily przypominały poziomą szczelinę. Nierozważnie umyła poprzedniego wieczoru głowę i jej rzadkie, cienkie włosy, choć je długo czesała i zatykała za uszy, sterczały na wszystkie strony suchymi, groteskowymi kępkami. Zrezygnowała ostatnio z szeroko reklamowanego olejku do włosów. Szyję owinęła jedwabną

apaszka i ona przynajmniej pozostawała na swoim miejscu. Na wierzch włożyła długi, zielony płaszcz, a spodnie wetknęła w czarne kozaczki.

W końcu ujrzała z daleka dom Crimonda i przyspieszyła kroku, chcąc zapobiec w ten sposób wstrętnemu wahaniu w ostatniej chwili. Weszła na kamienne schody. Wielkie drzwi, podobne do płótna jakiegoś współczesnego malarza, upstrzone barwnymi plamami i spękane, były zamknięte. Spróbowała je otworzyć. Okazało się, że nie są zamknięte na klucz. Weszła do znanej, obskurnej sieni, mrocznej, zaniedbanej i cuchnącej wżartym w ściany brudem. Przystanęła w półmroku, półoślepla po wejściu z jaskrawego słońca, i oddychała w atmosferze ciszy, oczekiwania i lęku, tak dobrze sobie znajomej. Nasłuchiwała. Może wyszedł, przemknęło jej przez głowę, lub się wyprowadził. Zrobiła krok do przodu, potknęła się o jakiś rower i, wystraszona hałasem, ponownie znieruchomiała. Otworzyła drzwi do suterenu i stąpając na palcach, zeszła w dół po schodach. Przystanęła i ponownie nasłuchiwała. Cisza. Nacisnęła cichutko klamkę, ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała przez wąską szparę do pokoju, który Crimond nazywał „pokojem zabaw”.

Ujrzała znajomy obrazek: mroczny pokój, zapalona lampa i postać pisząca coś przy biurku. Czuła się jak we śnie, bo też często jej się taka scena śniła. Okno, wychodzące na drugą, ciemną stronę domu, dawało przy drzwiach trochę szarego światła, ale daleki koniec pokoju tonął w mroku, wyjąwszy krąg

blasku zapalanej lampy. Crimond nie przerwał pisania i nie podniósł głowy, nieświadom obecności gościa. Lily wsunęła się do pokoju i przycupnęła na stojącym pod drzwiami krześle. Oddychała głęboko, z nadzieją, że ochłonie ze zdenerwowania, a nie wpadnie w jeszcze większe. Nastąpiła chwila pełna błęgiego spokoju, jakby Lily dostała w darze wyjętą z czasu wizję, scenę przemienioną padającym od podwórka światłem, nieuchwytnym jak prześlizgujący się po ziemi cień samolotu.

Nagle Crimond podniósł głowę, spojrzał w głąb pokoju i spytał ostrym tonem:

- Kto tu jest?

Myśli, że to Jean, przemknęło jej przez myśl.

- To ja, Lily - wyszeptwała.

Patrzył przez chwilę w jej stronę, po czym na powrót pochylił głowę nad kartką i podjął pisanie.

Lily ruszyła wolno w jego stronę, niosąc w ręku krzesło. Postawiła je nie przed samym biurkiem, lecz w pewnym oddaleniu, jak kandydatka na posadę, która przyszła na rozmowę kwalifikacyjną. Zdjęła płaszcz i usiadła. Zauważyła, że ze ściany za plecami Crimonda zniknęła tarcza strzelnicza. Siedziała w milczeniu i czekała.

Po paru minutach Crimond ponownie podniósł głowę znad biurka. Chyba nosił silniejsze okulary. Ciemna oprawka i okrągłe szkła zmieniały jego wygląd. Zdjął je i spojrzał na intruzkę.

- Słucham?

- Przepraszam - bąknęła. - Chciałam tylko pana zobaczyć.

- W jakiej sprawie?

Była przygotowana na to pytanie.

- Pomyślałam sobie po prostu, że mogłabym coś panu przepisać. Słyszałam, że kończy pan książkę.

Prawdę powiedziawszy, wiedziała doskonale, że książka już dawno została ukończona.

Dowiedziała się o tym od Gullivera.

- Dziękuję, ale rękopis jest już przepisany. Nie potrzebuję pani pomocy.

Mimo tych słów nie odnosiło się wrażenia, by oczekiwał, że Lily niezwłocznie wyjdzie.

Wciąż bacznie się jej przyglądał, jakby czekał, że jeszcze coś powie.

- Jest już skończona? - upewniła się.

- Tak.

- Więc co pan teraz pisze?
- Nową książkę.
- Podobną do poprzedniej? Jej dalszy ciąg?
- Nie, zupełnie inną.
- O czym?

Zbył jej pytanie milczeniem. Potarł nasadę długiego nosa, na której oprawka nowych okularów zostawiła czerwone odciski. Następnie, nie patrząc na gościa, przetarł chusteczką szklą, nabrał atramentu do wiecznego pióra i wytarł je w skrawek bibuły. Lily, która zdążyła już trochę ochłonąć, uznała, że się postarzał. Jego blada twarz była jakby z lekka opuchnięta, a rude włosy rzadsze.

- Czym jeszcze się pan zajmuje?
- Uczę się arabskiego.
- Dlaczego właśnie arabskiego?
- A dlaczego nie?
- Więc to arabski? Myślałam, że zapis stenograficzny.

Na brzegu biurka leżał zeszyt z kilkoma nakreślonymi atramentem zawijasami. Lily przysunęła się bliżej z krzesłem.

Crimond, który tylko przez chwilę zwracał na nią uwagę, zapatrzył się znów w notatnik, w którym pisał, kiedy weszła. Lily wskazała arabskie znaki w otwartym zeszycie.

- Pan to napisał?
- Tak.
- To trudny język?
- Trudny.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Crimond rzekł:

- Skoro już wyczerpaliśmy ten temat, może by mnie pani zechciała zostawić w spokoju? Jestem ogromnie zajęty.

Nagle się zarumieniła. Czuła, jak rumieniec wpływa z dekoltu na jej długą szyję, oblewa policzki i dosięga czoła. Czuła, że musi zaraz powiedzieć coś intrygującego albo zostanie wygnana na zawsze. Przypominało to ów krytyczny, znany z bajek moment, gdy bohatera czeka niechybna śmierć, jeśli nie rozwiąże zadanej mu zagadki. Niestety, żadna intrygująca uwaga nie przychodziła Lily do głowy. Wybąkała tylko:

- Bardzo bym chciała panu pomóc.
- Nie potrzebuję pomocy.
- Mogłabym panu pomagać w pana działalności politycznej.
- Nie ma potrzeby.
- Mogłabym pisać na maszynie, załatwiać różne zlecenia, przynosić książki, cokolwiek...
- Nie trzeba.
- Wiem, że pan jest lwem, ja tylko szarą myszką, ale i myszka potrafi czasem przyjść z pomocą lwu. Jest taka bajka o lwie, który wyświadczył kiedyś przysługę myszce. Gdy obiecała, że mu się kiedyś odwdzięczy, ryknął tylko śmiechem. No i zdarzyło się, że któregoś dnia wpadł w pułapkę, mysz przegryzła sznury i uwolniła go.

Ta krótka opowiadka obudziła wreszcie lekkie zainteresowanie Crimonda. Z rozbawieniem, choć bez uśmiechu, skonstatował:

- Ja nie lubię myszy.
- Więc będę, czym tylko pan zechce - zapewniła żarliwie. - To chciałam panu powiedzieć, po to tu przyszłam. Ja pana kocham. Zawsze pana kochałam. Wiem, że jestem zwyczajną, pospolitą osobką, ale pragnę stać się częścią pana życia. Zdaję sobie sprawę, że otaczają pana setki takich jak ja, pospolitych ludzi, gotowych panu służyć. Wiem o tym, lecz ja to co innego, ja żyłabym tylko dla pana. To ja powiedziałam panu przed rokiem o tym balu w Oksfordzie. Niezależnie od tego, co stało się później, intencje miałam czyste i pan o tym wie.

Mam wrażenie, że jestem w pana życiu kimś w rodzaju posłańca. Ostatecznie znam pana od dawna. Zrobię wszystko, cokolwiek pan zechce, będę pana niewolnicą, chcę złożyć panu dar z całej siebie. Nie dbam o to, co będzie później, wystarczy mi świadomość, że mnie pan akceptuje jako kogoś, na kim można zawsze polegać, komu wszystko można zlecić. Miłość do pana odczuwam jako powołanie, jakby to Bóg mnie nią natchnął. Pan jest dla mnie wszystkim. Pragnę tylko jednego: poświęcić panu życie. Jeśli się pan zgodzi, stanę się niewidzialna, cichutka jak myszka... och, przepraszam, pan nie lubi myszy!... Chcę po prostu przy panu trwać, jak mebel w kącie pokoju, gotowa na każde skinienie...

Słuchał tego wyznania ze zmarszczonym czołem, skubiąc wargami oprawkę okularów.

- Nie cierpię, gdy ktoś mówi o sobie: zwyczajny człowiek, pospolita osobka. Jest pani osobą, nie osobką. Nie cierpię tych określeń!

Choć najwyraźniej poczynił uwagę ogólną, nie odnoszącą się do niej w szczególności, Lily zawołała z radością:

- Cieszę się, że nie uważa mnie pan za bezwartościową... Będę studiowała. Pan mógłby mnie uczyć...

- Niechże pani przestanie bujać w obłokach i wróci do rzeczywistości.

- Pan jest moją rzeczywistością.

- Plecie pani głupstwa, byle się wygadać. Dobrze, powiedziała pani, co jej leżało na sercu, a teraz zechce mnie pani zostawić samego.

- Nie mogę - zawołała. Dotąd mówiła prędko, z ożywieniem, lecz spokojnie. Teraz sama usłyszała we własnym głosie ohydną nutkę hysterii. - Nie odejdę. Jestem pewna, że i pan coś do mnie czuje. Powinien pan być dla mnie miły. Nie może pan, nawet wiedząc, jak pana kocham? To niemożliwe, żeby tyle miłości poszło po prostu na marne. Ja muszę coś od pana uzyskać, jakieś zapewnienie, jakiś status w pana życiu, choćby najpośledniejszy, ale który na zawsze nas połączy.

Crimond, który jakby ze znużeniem odwracał od niej wzrok, westchnął i powiedział:

- Obawiam się, że wygaduje pani głupstwa, Lily. Mówi pani tak, jakbym mógł niczym za skinieniem czarodziejskiej różdżki ofiarować pani rzecz drogocenną...

- O tak, mógłby pan, mógłby!

- Tylko że ja niczego takiego nie mam. Nic do pani nie czuję i nie chcę pani mieć za niewolnicę...

- Więc nią nie będę...

- Ani za mebel w kącie pokoju, ani za szarą myszkę. Nie lubię takiego poddaństwa, nie chciałbym mieć obok siebie podobnej osoby. Nie mogę też nadać pani żadnego „statusu”, jak to pani ujęła. Nie żywię dla pani żadnego szczególnego uczucia i nie przewiduję żadnej wyjątkowej roli w moim życiu... Bardzo mi przykro.

Walcząc ze łzami, sięgnęła po leżący na podłodze płaszcz i położyła go sobie na kolanach.

- No cóż, rozumiem... Przepraszam, musiałam pana zobaczyć i musiałam powiedzieć to, co powiedziałam.

- A teraz proszę wrócić do prawdziwego życia... Co w ogóle u pani słyhać?

- Wychodzę jutro za mąż. Za Gullivera Ashe'a. Crimond uśmiechnął się. wręcz głośno roześmiał.

- Och, Lily. więc była pani gotowa uciec spod weselnej korony?

- Tak.

- Czy może miałem wziąć sobie na głowę zameżną niewolnicę?

- Ach nie... Gdyby szepnął pan choćby słówko, zerwałabym zaręczyny.

- Och, niemądra, niemądra... dziewczyno. Uśmiechnęła się przez łzy, starła je z powiek, wstała i włożyła płaszcz.

- Ale będę mogła pana od czasu do czasu widywać? Wolno mi będzie czasami wpaść? Nie żegna mnie pan na zawsze?

- Nie na zawsze, choć nic dla pani nie mam i miał nie będę.

- A więc przyjdę po nic.

- Na litość boską, Lily! - zirytował się. - Niech już pani idzie i da mi święty spokój. Życzę pani szczęścia. Niech pani je stworzy mężowi i zapomni o niemądrych mrzonkach. Żegnam i życzę pomyślności.

- Rose i Gerard zapraszają nas na kolację po swoim powrocie z Wenecji - oznajmiła Lily.

- Do nowego domu? - zapytał Gulliver.

- Nie, głuptasie. Przecież dopiero co go kupili. Do jej starego mieszkania.

Panna Curtland i Gerard Hershaw kupili dom nad Tamizą, w Hammersmith.

- Byłem przekonany, że Gerard nie usiedzi długo w tej lisiej jamie Jenkina - oświadczył Gulliver. - To zdecydowanie entourage nie dla niego.

- A co z naszym entourage! - zapytała Lily. - Uważam, że powinniśmy kupić jakiś mały, przytulny domek z ogródkiem, na przykład w Putncy. Dzieciom tam będzie jak w raju.

- Dzieciom?

- Teraz, kiedy ty masz posadę, a ja sprecyzowane plany. 642

możemy sobie pozwolić na przychówek. Mam nadzieję, że zostało mi jeszcze coś z tamtych pieniędzy. Bóg raczy wiedzieć, gdzie się podziała reszta.

- Nie spieszmy się tak. Mnie się tu podoba. Zresztą nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

- Jutro o tej porze już będziemy.

Był późny wieczór tego samego dnia, w którym Lily złożyła wizytę Crimondowi. Narzeczeni siedzieli przy stole po długiej, uroczystej kolacji, podczas której wzniesli - wódką, winem, a potem cherry brandy - liczne toasty, życząc sobie nawzajem szczęścia i powodzenia w przyszłości. Byli oboje pod dobrą datą, lecz czuli się wyjątkowo rześko i przytomnie, skorzy do rozmowy i rozdowcipkowani.

- Owszem - zaśmiał się Gulliver - chyba że jedno z nas stchórzy... A może nawet oboje.

- I uciekniemy spod weselnej korony.

- To cytat z Dostojewskiego - zdziwił się. - Nie wiedziałem, że go czytałaś.

- Och. sądziłam, że to wyrażenie potoczne. Wpadło mi gdzieś w uszy.

- Ja nie ucieknę - zapewnił Gulliver. - Proszę, oto dowód.

Pokazał Lily złotą obrączkę w małym, wyściełanym aksamitem puzderku. Jednocześnie przemknęły mu przez pamięć okropne wydarzenia z tamtej powieści rosyjskiego pisarza. Robi się niebezpiecznie, gdy człowiek wchodzi w związki z kobietami. Trudno, trzeba kiedyś podjąć to ryzyko.

- Powiedziałeś Leonardowi, co ma robić?

Leonard Fairfax miał być družbą, a Angela Parke, dawna koleżanka Lily z technikum sztuk pięknych, druhną.

- W urzędzie stanu cywilnego pójdzie nam jak z płatka - zapewnił Guli. - Wręczone Leonardowi obrączkę, a on mi ją odda w kluczowym momencie. Założę się, że większość nowożeńców zjawia się bez obrączek. Zresztą raz już przez to wszystko przechodziłaś...

- To prawda, ale... myśmy nie mieli obrączek... Już nawet nic pamiętam.

Nie zgodziła się wtedy na włożenie ślubnej obrączki. Nic mieściło jej się dzisiaj w głowie, że była kiedyś zameżna. Gulliver nie chciał słuchać o jej tajemniczym małżonku, a ona nie mogła już sobie nawet przypomnieć jego twarzy... Ach, biedny, biedny James!

- Nie mam nic przeciwko skromnej ceremonii.

- Nie potrwa i paru minut.

- Mój Boże, a potem będziemy ze sobą połączeni do grobowej deski!

- Mam szczerą nadzieję. Słuchaj, a może byśmy tak wyswatali Angelę i Leonarda?

- Mało prawdopodobne - powiedziała Lily. - Angela jest starsza ode mnie i zaczęła ostatnio tyć. Poza tym wygląda na to, że Leonard uderza do Gillian Curtland. To świetna partia.

- Diabelnie ładna - przyznał Gulliver i postarał się zapomnieć jak najprędzej o tej dziewiętnastoletniej świetnej partii.

- Wciąż nie wiem, co na siebie włożyć.

- Ja przywdziewam ten popielaty garnitur w jasnoróżową kratkę. Chyba nie zamierzasz wystąpić w spodniach?

- Oczywiście, że nie! Chyba włożę tę czarno-białą sukienkę z aksamitnym kołnierzykiem.

- Więc na przyjętko tutaj zapraszamy tylko Angelę i Leonarda? To prawie sekretny mariaż. A, zapomniałem ci powiedzieć: spotkałem u Leonarda Tamar. Byli również Conrad Lomas i ten rozrywany ostatnio księżulo z Bojarówki.

- Religia posłużyła tej pannie wyłącznie do uwolnienia się od mamci.

- Nie formułowałbym sądów tak kategorycznych - powiedział. - Myślę, że to było jednak głębsze. W każdym razie ona i ten klecha pysznie się razem bawili. A i Violet jest ponoć szczęśliwa.

- Nie wierzę. Ona nigdy nie będzie szczęśliwa.

- W każdym razie pogodna, wesoła, jak wolisz. Pat i Gideon nie wiedzą, jak się jej teraz pozbyć. Leonard mówi, że ona ich zjada.

- Oni są niejadalni - prychnęła Lily. - W odróżnieniu od Tamar. Gideon ją spensjonuje.

- Hej, zauważ, plotkujemy o przyjaciółach jak normalni ludzie!

- Czy to są nasi przyjaciele? Czy my w ogóle mamy przyjaciół?

- Oczywiście, a będziemy ich mieć jeszcze więcej, będziemy ich zapraszać na kolacje, jak zwykli, normalni ludzie!

- Tylko czy my chcemy być zwykłymi, normalnymi ludźmi?

- Czy jesteśmy do tego zdolni? Oboje zrobili wąpiące miny.

- Ciekawa jestem, czy Gideon zainwestuje w nasz sklepik? -zamyśliła się Lily.

Lily i Angela Parke postanowiły otworzyć sklep - no, może na początek kiosk - w którym miały sprzedawać pudełka zapalek. Pomysł wyszedł od Angeli, ale to Lily wniosła do projektu menedżerski zapal i kapitał. Jej zdaniem przedsięwzięcie było wręcz skazane na sukces. Każdy turysta chętnie kupi ładne pudełko zapalek jako pamiątkę z Anglii, najtańszą a niebanalną. Od pudełek z zapalnikami pomysł rozszerzył się i na inne podobne pudzderka: pudełka drewniane, ręcznie malowane w rosyjskim stylu, rzeźbione w celtyckie wzory, ozdobione widoczkami i wzorami podpatrzonymi w muzeach i galeriach sztuki Londynu - piękne, artystyczne cudeńka, naprawdę gustowne i wysmakowane. Angela była pewna, że zdoła zapalić do tego projektu całą armię bezrobotnych a utalentowanych artystów. „Nie wszyscy studenci akademii chodzą z głowami w chmurach - oświadczyła. - Nie wszyscy uważają, że byłoby hańbą dla ich geniuszu produkowanie ładnych cacuszek”.

- Spodziewam się, że tak - odrzekł Gulliver w odpowiedzi na pytanie Lily. Nie poznał dotąd sławnej Angeli Parke i obawiał się, że skończy się na tym, iż projekt pochłonie resztę majątku narzeczonej. Jak tylko się pobiorą, wybierze się na rozmowę do księgowego Lily, zapozna się z sytuacją i, jeśli będzie trzeba, stanowczo wkroczy. Musi przecież wejść w rolę męża. - Nie mogę się już doczekać poznania Angeli.

- A ja tego twojego cudotwórcy z Newcastle.

Lily mówiła o młodym scenografie ze Stanów, Justinie Byngu, który zaproponował Gulliverowi pracę w studiu scenografii teatralnej, jakie miał nadzieję otworzyć w Londynie. Guli miałyby zostać jego sekretarzem i przewodnikiem po świecie stołecznych teatrów.

- Dotąd mi nie powiedziałeś, jakie go poznał - poskarżyła się - ani co się naprawdę zdarzyło w Newcastle. Od twojego powrotu żyjemy w stanie ciągłego rozgorączkowania.

Nadeszła chwila, którą Gulliver starał się za wszelką cenę odwlec. Momentalnie odżyły w jego sercu obawy, które na pewien czas przyćmiło podniecenie wywołane nawiązaną na nowo

znajomością z Lily (przebiegała głównie w łóżku). Lily straci ostatniego pensa, on straci posadę i ożeni się jutro z kobietą, którą będzie musiał utrzymywać! Dręczył go również niepokój o to, jak narzeczona przyjmie wyznanie, jakie zamierzał jej uczynić.

- Muszę ci coś wyznać, kotku. Ja w ogóle nie pojechałem do Newcastle.

- Co takiego?!

- Dotarłem jedynie na dworzec King's Cross.

- Więc gdzie się podziewał przez cały ten czas?

- Początkowo zatrzymałem się w tanim hoteliku koło dworca, a potem... potem zamieszkałem u Justina Bynga.

- O Boże! - wykrzyknęła ze zgrozą. - Znowu się zaczyna!

Zerwała się z krzesła, podbiegła do kominka i chwyciła stojący na gzymsie jadeitowy posążek zółwia, żeby nim rzucić w kochanka. Zmieniła jednak zdanie. Guli wyglądał tego wieczoru tak pociągająco. Ostatnie wydarzenia odbiły się korzystnie na jego powierzchowności, wręcz jeszcze wyprzystojniał. Miał na sobie kawowe sztruksowe spodnie, doprowadzone do kwitnącego stanu po katastrofie na lodowisku, nowy, elegancki sweter w kolorze akwamaryny i nowe, ciemnobrązowe skórzane półbuty.

- Nie złość się! - wykrzyknął. - Mylisz się, nic z tych rzeczy. Justin mieszka z piękną dziewczyną z Michigan, swoją żoną. Przygarnął mnie z dobrego serca, a także dlatego, że chce ze mną pracować. Nie powiedziałem ci o tym wcześniej, bo chciałem się upewnić, że to nie żadne mrzonki i naprawdę dostanę posadę.

- No dobrze, opowiadaj. Ale wszystko!

- Najbardziej niezwykła rzecz... powiedziałbym: niesamowita... zdarzyła mi się zaraz na dworcu. Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale trudno, nic na to nie poradzę. Otóż znalazłem ślimaka.

- Ślimaka?

- Tak. Czy to nie dziwne? Naturalnie, wiem, wszędzie można się na nie natknąć, ale żeby na jednym z głównych dworców Londynu?

- Boże drogi... Opowiadaj, opowiadaj dalej!

- Sprawdziałem właśnie pociągi do Newcastle, kiedy zobaczyłem, jak toczy się po ziemi. Ktoś go musiał kopnąć. Nie miałem pojęcia, co to takiego, co to za dziwna kulka, więc ją z ciekawości podniosłem. Oczywiście, cwaniurka był głęboko schowany w swojej muszli, uznałem jednak, że żyje, a gdy usiadłem z powrotem na ławce i potrzymałem go chwilę w rękę, faktycznie wysunął różki i zaczął wiercić na wszystkie strony główką. Położyłem go na grzbiecie dłoni, a on zaczął pełznąć i... nie uwierzysz... popatrzył na mnie!

- O mój Boże! - szepnęła ze zgrozą.

- Co się stało?

- Nic, nic...

- Byłem w kłopotach, nie wiedziałem, co z nim począć. Nie mogłem go tam po prostu zostawić ani wziąć do mojego pokoju w hotelu, a potem zabrać ze sobą do Newcastle. Skoro już nawiązałem z nim więź osobistą, czułem, że muszę się biedaczną zaopiekować.

Przepraszam, wiem, że to brzmi kretyńsko...

- Wcale nie!

- Więc wyszedłem z moim ślimakiem z dworca (myślałem już o nim: „mój ślimak”), żeby mu znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. Ale w pobliżu King's Cross, sama wiesz...

- Wyobrażam sobie...

- Obszedłem dziesiątki ulic, szukając jakiegoś przyzwoitego parku lub ogrodu, lecz nic znalazłem żadnego. Wróciłem więc na dworzec i pojechałem metrem do Hyde Park Corner.

- Doskonały pomysł.

- Zawinąłem ślimaka w chusteczkę i wsadziłem do kieszeni spodni. Cały czas trzymałem go w garści. Na szczęście w metrze nie było tłoku. Zajechałem, wszedłem do parku... i nowy



kłopot. Jak wiesz, w tym końcu Hyde Parku są tylko otwarte przestrzenie, trawa i pojedyncze drzewa, więc nie mogłem go tam wypuścić, bo mógłby łatwo paść łupem jakiegoś kosa. Tak więc... a dostałem już prawdziwego świra na punkcie tego ślimaka... idę i rozglądam się za jakimś ustroniem, aż zaszedłem do Kensington Gardens. Wiedziałem, że lepiej nie składać go na klombie, gdzie byłby narażony na okrucieństwo ogrodników. Pomyślałem o terenie wokół pomnika Piotrusia Pana, ale tam przychodzi chmara ludzi, żeby karmić kaczki, więc wokoło jest mnóstwo ptaków. Zdecydowałem się w końcu na teren nad Serpentine, blisko mostu, wiesz, tam gdzie to niskie ogrodzenie. Przebiegłem przez nie i zacząłem się rozglądać za jakąś gęstwinką, gdzie mógłbym bezpiecznie złożyć mego przyjaciela. Kiedy tak myślałem po krzakach, na ścieżce zatrzymał się jakiś wysoki gość i zaczął mi się przyglądać. Zaciekało go, dlaczego się tak dziwnie zachowuję. Po jakimś czasie też przebiegł przez płotek, zszedł nad staw i wprost mnie o to zapytał. Nie było rady, opowiedziałem mu całą historię. Roześmiał się i wyznał mi, szczerze ubawiony, że też się stara troszczyć o małe stworzonka. Pomógł mi znaleźć naprawdę doskonałe miejsce, złożyliśmy tam ślimaka, życzyliśmy mu wszystkiego najlepszego, wróciliśmy na ścieżkę i ruszyliśmy razem w stronę mostu.

- I to był Justin Byng.

- Tak. Powiedziałem mu, że jadę do Newcastle w poszukiwaniu pracy, na co dosłownie zasypał mnie pytaniami: jakiej konkretnie pracy szukam, czy znam kogoś w Newcastle, gdzie mieszkam, itepe. Weszliśmy na drinka do tej restauracji koło mostu, a potem zjedliśmy razem lunch. Opowiedział mi historię swojego życia, a ja mu się zrewanżowałem. Zaczął mnie namawiać, żebym porzucił zamiar wyjechania na północ, wyprowadził z mojej nory i zamieszkał z nim i jego żoną Martha, abyśmy mogli w spokoju omówić kwestię współpracy...

- A potem zjawiasz się tu ni stąd, ni zowąd i oświadczasz mi, że właśnie wróciłeś z Newcastle!

- Nie powiedziałem, że byłem w Newcastle. Moje kłamstwo polegało na tym, że pozwoliłem ci w to wierzyć. Przepraszam. Byłem kompletnie skołowany, poza tym chciałem mieć pewność, że z tej roboty coś wyjdzie, zanim... No, a potem zdarzyło się, że ty i ja...

- Wiem, wiem...

- Przepraszam. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za kompletnego niedojdę? Uwierzyłaś w piękną, romantyczną bajkę

O mojej wyprawie za robotą aż na koniec świata, do Newcastle,

I bohaterskim powrocie z tarczą...

- To, co mi opowiedziałeś - Lily wróciła do stołu - uważam

za daleko bardziej romantyczne i piękne. Tylko ten Byng wydaje mi się trochę za idealny, by mógł być prawdziwy.

- Bo on jest baptystą.

- Kim?

- Baptystą, no wiesz. Podobnie jak Martha. To kapitalny facet, jeden z najfajniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem. Absolutnie bezinteresowny gość.

- Wygląda na to, że oboje przyciągamy bezinteresownych gości... Mam nadzieję, że ten twój bezinteresowny święty potrafi też robić interesy. Powiedziałeś mu o mnie?

- Oczywiście. Wszystko.

- Tak? A co na przykład?

- Powiedziałem, że mam dziewczynę, którą zamierzam poprosić o rękę, jak tylko dostanę pracę.

- Och, Guli, mój miły... - Lily otarła oczy, w których zaszklily się łzy zakłopotania, szczęścia, ale i pewnego głębszego, wręcz mistycznego uczucia. - Wyobrażam sobie, jaki Justin musiał być wzruszony! Mam nadzieję, że nie brałeś go pod włos?

- Jasne, że nie!... Oczywiście, jest ciebie bardzo ciekaw, podobnie Martha. Ona nie mówi o tobie inaczej jak „narzeczona Gulla”.

- Rozczarują się - westchnęła. - Pewnie myślą, że jestem młodą laską.

- Powiedziałem im, że jesteś niezłą ekscentryczką.

- Piękne dzięki!

- Lily, oni są naprawdę bardzo mili. Nie należą do ludzi, których się trzeba bać. Na pewno ich polubisz, a oni polubią ciebie. Powiedz, czy to nie dziwne, że to wszystko zdarzyło się na skutek całej serii najdziwniejszych przypadków? Gdyby nie ten ślimak na dworcu, gdybym go nie zauważył, gdyby udało mi się wcześniej znaleźć dla niego bezpieczne schronienie, gdybym nie poszedł dokładnie w to miejsce w Kensington Gardens, gdyby Justin przypadkiem tamtędy nie przechodził dokładnie w tamtej chwili... Przypadek to doprawdy zdumiewające zjawisko!

Jeśli to był przypadek, uśmiechnęła się w duchu.

- A zatem przybędzie nam kilkoro nowych przyjaciół - powiedziała głośno - którymi będziemy się mogli pochwalić przed starymi przyjaciółmi. Już jako małżeństwo... czyli choćby jutro...

Wszystko się cudownie ułożyło, ucieszył się Gulliver. A jednak szkoda, że nie dojechałem do Newcastle. To był naprawdę śmiały, podniecający pomysł. Wszystko mi się tam mogło przydarzyć - i straszne katastrofy, i wspaniałe przeżycia. Kto wie, może nawet szczęśliwsze od spotkania z Justinem? Gdybyż można przewidzieć przyszłość! Ale, na Boga, przecież to właśnie jest przyszłość! Ciekawym, czy nie pożałuję kiedyś, że spotkałem na swej drodze tego miłego śliniaczka? Marzenie, żeby któregoś dnia po prostu wyjść i wyjechać gdzieś daleko, wiele dla mnie znaczyło, jego spełnienie byłoby czymś w rodzaju próby ognia, testem na odwagę. Teraz już nigdy go nie zdam, przynajmniej tego konkretnego testu... Byłem gotowy, przecież nie stchórzyłem! Nie pojechałem na skutek splotu przypadków i nigdy się już nie dowiem, co by mnie spotkało, gdybym jednak pojechał. Może poznałbym tam jakąś fantastyczną dziewczynę?... Zreflektował się i porzucił ten śliski i niebezpieczny tor myśli. No cóż, skonstatował po chwili, ja nie dotarłem do Newcastle, a biedny Jenkin nie dotarł do Ameryki Południowej. Ciekawym, czy te nasze mrzonki należy uznać za dobre czy złe marzenia? I co się teraz dzieje z tym bezdomnym z dworca King's Cross? Gdzie biedak się teraz podziewa? Czy coś mi każe pojechać i odszukać go?

Z kolei Lily rozmyślała nad tym, że Gulliver powiedział jej najpewniej całą prawdę, tymczasem ona coś przed nim zataiła. Nie wyznała mu, że tego dnia przed południem, zamiast po zakupy, jak zapowiedziała, pobiegła do innego mężczyzny, by mu złożyć w ofierze całą siebie. Prawdę mówiąc, nigdy nie wyjawiała Gullowi, ani zresztą nikomu innemu, że kocha Davida Crimonda. Biedak mógł przypuszczać, uzałiła się nad narzeczonym, że przechwalała się znajomością ze znanym człowiekiem, lecz z pewnością nie przyszło mu nawet do głowy, że szaleję na jego punkcie. Zakochałam się w nim od pierwszego spojrzenia. Potem trochę ochłonęłam, stał się dla mnie po prostu najważniejszym człowiekiem na świecie, a potem - właśnie teraz - na powrót oszalałam, znowu się w nim zakochałam... i to z powodu Gullivra, z powodu tego małżeństwa, z powodu tych nierozzerwalnych więzów i nieodwracalnej zmiany, jaka ma zajść w moim życiu. Ledwo stanęłam przed tą perspektywą, ledwo poczułam się gotowa do pokochania Gulla, zdałam sobie sprawę, jak mocno i całkiem inaczej kocham innego mężczyznę. Niewykluczone, że coś podobnego często się ludziom przydarza. Musiałam tam pójść, musiałam spróbować. Gdybym do niego nie poszła w ostatnim dniu mego wolnego stanu, do końca życia bym tego żałowała. Zadręczałabym się, że mógł mnie potrzebować, mógł mnie pragnąć, a ja ze strachu tego nie sprawdziłam. Wszak człowiek jest dla człowieka nieodgadniona zagadką. Lecz w tej sytuacji...

W tej sytuacji poczuła, jakby z jej duszy zdjęto wielki, przytłaczający ciężar i została wreszcie uwolniona. Otwierała się przed nią nieznana przestrzeń spokoju i wolności, spokoju, jaki płynie z poddania się losowi. Niech będzie, co ma być. Miała nadzieję, że dzielnie i bez niegodnego żalu stawi temu losowi czoło. Crimond, jak mu to zresztą powiedziała, miał dla niej pozostać istotą wyjątkową, niemal boską, więc na jego cześć zawiesi sobie na szyi mały amulet, symbol cierpienia. Lecz. już. teraz wiedziała, że ta niegroźna mara z biegiem lat spłowieje, a ona zyskała dziś wolność, którą tylko on mógł ją obdarować. Przyszła pora, by przestać bujać w obłokach, wrócić do rzeczywistości i zacząć żyć szczęśliwie. Myślę, że jestem szczęśliwa, powiedziała sobie w duchu, ale czy jestem rzeczywista? Gulliver jest w każdym razie rzeczywisty, naprawdę go kocham, więc to chyba niezły początek.

A ta niezwykła historia ze ślimakiem? Czy to był tylko przypadek? Dlaczego nie, ostatecznie życie ludzkie jest serią przypadków i zbiegów okoliczności. Ten jednak był coś zanadto już dziwny. Bo i Lily znalazła kiedyś ślimaka w niecodziennym miejscu (opowiedziała o tym Rose, kiedy obserwowały ślimacze gody tamtego wieczoru w Bojarówce), a mianowicie na toaletce we własnym mieszkaniu. Wyniosła go do ogrodu, a że martwiła się wtedy o Gulla, wymamrotała stare, ślimacze zaklęcie, które wypowiadała czasami jej babka. Telepatia jest naturalnie zjawiskiem realnym, ale żeby jeden ślimak mógł wysłać wiadomość drugiemu?... A jednak przysięgłabym, że coś jest na rzeczy. Zdarzyło się coś naprawdę niezwykłego, i to ja byłam tego sprawczynią! Jakże tajemniczy jest ten świat! Chciała podzielić się z Gulliverem swoimi refleksjami, ale w porę ugryzła się w język. Uznałby, że zwariowała. Zresztą w zmiennych kolejach małżeńskiego życia szczypta tajemnej mocy może się czasem przydać. Bo moc, jak mawiała jej babka, kryje się w milczeniu. A więc jestem czarownicą, wiedźmą. Babka zapewniała, że to jest dziedziczne. Coś mi jednak mówi, że jeśli naprawdę dokonałam tej sztuczki, udała mi się dzięki miłości, i jeśli kiedykolwiek zacznę rzucać czary, to także z pomocą miłości. Taką już będę wiedźmą. Boże, ależ. tajemniczy jest ten świat...  
- Guli, kochanie, spójrz, która godzina. To już dzień naszego ślubu! A więc nasze zdrowie... Nasze i ślimaków.

- Nasze i ślimaków. I niech Bóg im szczęści.

#### SPIS TREŚCI

Część pierwsza

LATO..... 7

Część druga

ZIMA..... »32

Część trzecia

WIOSNA.....512